

***Tomasz Mann***

# **Czarodziejska góra**

Tom 1

**Przełożył  
Józef Kramsztyk**

**Posłowie napisał  
Marek Wydmuch**

**Czytelnik 1982  
*(ji14)***

## Słowo wstępne

Historia Hansa Castorpa, którą zamierzamy opowiedzieć — nie ze względu na niego (albowiem czytelnik przekona się, że jest to zwyczajny sobie, choć sympatyczny młodzieniec), lecz gwoli samej tej historii, która wydaje się nam w wysokim stopniu godną opowiedzenia (przy czym na korzyść Hansa Castorpa należałoby wspomnieć, że jest to właśnie j e g o historia i że nie każdemu może się każda historia przytrafić) — historia Hansa Castorpa jest już bardzo dawna, jest już, można powiedzieć, pokryta szlachetną patyną czasu, a przeto niewątpliwie powinna być ujęta w formę czasową zamierchłej przeszłości.

Nie wyrządzi to szkody niniejszemu opowiadaniu, wręcz przeciwnie, przyniesie mu korzyść, bo każda historia musi być miniona i im bardziej jest miniona, tym lepiej, rzecz można, dla samej historii jako takiej i dla opowiadającego, którego tajemny szept wyczarowuje to, co przeminęło. Dzieje się z nią przecież to samo co i z ludźmi dzisiejszymi — a spomiędzy nich w stopniu na pewno nie najmniejszym z pisarzami: jest mianowicie dużo starsza niż jej wiek; wieku, który na niej ciąży, nie należy obliczać według dni ani według obrotów słońca; słowem: stopień jej dawności nie jest właściwie zależny od czasu — co ustalając, pragniemy mimochodem napomknąć i wskazać na problematyczny charakter i na osobliwą dwoistość tego tajemniczego pierwiastka.

Aby jednak sztucznie nie zaciemniać jasnego stanu rzeczy: szczególna dawność naszej historii pochodzi stąd, że rozgrywa się ona przed pewną granicą, przed pewnym punktem zwrotnym, który głęboko rozszczepił życie i świadomość... Rozgrywa się ona, a raczej, żeby celowo unikać wszelkiego czasu teraźniejszego, rozgrywała się i rozegrała niegdyś, dawniej, w minionych czasach, w świecie, jaki był przed wielką wojną, z której początkiem zaczęło się tyle z tego, co dotychczas jeszcze nie przestało się zaczynać. Rozgrywa się zatem przed wojną, jakkolwiek nie na długo przedtem. Ale czy cecha dawności takiej historii nie jest tym głębsza, tym doskonalsza, tym bardziej baśniowa, im bliżej wojny jest owo „przedtem”? Ponadto może się okazać, że nasza historia także skądinąd, dzięki wewnętrznym swym cechom, pod tym czy owym względem nie bardzo odbiega od baśni.

Opowiemy ją szczegółowo, dokładnie i gruntownie — bo czyż kiedy zajmujący lub nudny charakter opowiadania zależał od przestrzeni i czasu, których ono

wymaga? Nie lękając się ściągnąć na siebie zarzutu pedanterii, skłaniamy się raczej ku pogładowi, że prawdziwie zajmujące jest tylko to, co gruntowne.

Nie załatwimy się zatem szybko z historią Hansa Castorpa. Nie starczy na nią ani siedmiu dni tygodnia, ani nawet siedmiu miesięcy. Najlepiej nie zakreślać sobie z góry, przez jak długi okres czasu ziemskiego ma nas ona trzymać w swych więzach. Chyba, na miłość Boską, nie potrwa to aż siedem lat!

Tak więc zaczynamy.

# Rozdział pierwszy

## Przyjazd

Było to w środku lata. Pewien zwyczajny sobie młody człowiek jechał z Hamburga, swego rodzinnego miasta, do uzdrowiska Davos w kantonie Graubünden. Jechał w odwiedziny na przeciąg trzech tygodni.

Z Hamburga aż tam, na górę, daleka to podróż; właściwie zbyt daleka na tak krótki pobyt. Jedzie się przez wiele różnych krajów, to pod górę, to na dół, z Wyżyny Bawarskiej do brzegów Jeziora Bodeńskiego, potem statkiem po jego skocznych falach, nad otchłaniami, które dawniej uchodziły za niezgłębione.

Stąd już komplikuje się droga, która tak długo wiodła wielkimi, prostymi szlakami. Zdarzają się postoje, trzeba załatwiać formalności. W miejscowości Rorschach, na ziemi szwajcarskiej, powierza się swój los znowu kolei żelaznej, ale dojeżdża się na razie tylko do alpejskiej stacyjki Landquart, gdzie trzeba się prze سیاć. Po długim wyczekiwaniu, w miejscu niezbyt malowniczym i wystawionym na wiatr, wsiada się do kolejki wąskotorowej i z chwilą kiedy rusza niepozorna, ale niewątpliwie bardzo mocna lokomotywa, rozpoczyna się prawdziwie karkołomna część drogi, nagle i uporczywe wspinanie się pod górę, nie mające, zdawałoby się, końca. Bo stacja Landquart leży stosunkowo jeszcze nie bardzo wysoko, ale od niej jedzie się już dziką, uciążliwą drogą skalną, naprawdę w góry.

Hans Castorp — tak się ów młody człowiek nazywał — siedział sam w ciasnym przedziale, którego wyściełane ławki pokryte były szarym materiałem: miał z sobą ręczną walizkę ze skóry krokodylowej, podarunek wuja i opiekuna, konsula Tienappla — by wymienić tu od razu i to nazwisko — palto zimowe, które bujało na haku, i pled zwinięty w rulon; siedział przy spuszczonej oknie, a ponieważ popołudnie stawało się coraz chłodniejsze, rozpieszczony jedynak podniósł kołnierz swojego skrojonego według ostatniej mody, szerokiego letniego płaszcza na jedwabnej podszewce. Obok niego na ławce leżała nieoprawna książka, zatytułowana *Ocean steamships*<sup>\*</sup>, do której na początku podróży zaglądał od czasu do czasu; ale teraz leżała

---

\* Ocean steamships (ang.) — parowce oceaniczne.

porzucona, a wpadający do przedziału oddech ciężko sapiącej lokomotywy posypywał jej okładkę czarnym pyłem węglowym.

Dwa dni podróży oddalają człowieka — a szczególnie człowieka młodego, który jeszcze nie tak mocno tkwi w życiu — od jego zwykłego otoczenia, od tego wszystkiego, co nazywał swoimi obowiązkami, interesami, kłopotami i widokami, o wiele bardziej, niż mogło mu się to wydawać podczas jazdy dorożką na dworzec. Przestrzeń, która wijąc się i pędząc wdziera się pomiędzy niego a ojczystą glebę, wykazuje moc, przypisywaną na ogół wyłącznie czasowi; z godziny na godzinę wywołuje ona wewnętrzne zmiany, bardzo podobne do zmian wywoływanych przez czas, ale poniekąd jeszcze je przewyższające.

Przestrzeń, podobnie jak czas, przynosi zapomnienie, ale czyni to przerywając dotychczasowe stosunki człowieka z jego otoczeniem, przenosząc go w stan pierwotnej wolności i czyniąc w mgnieniu oka nawet z pedanta i osiadłego mieszczucha coś w rodzaju włóczęgi. Mówi się, że czas to Leta, ale i błękit oddalenia jest takim napojem zapomnienia, a jeżeli działa mniej gruntownie, to za to o wiele szybciej.

Doświadczył tego także Hans Castorp. Nie miał zamiaru przywiązywać szczególnej wagi do swojej podróży, oddać się jej wewnętrzzną swą istotą. Raczej pragnął szybko odbyć tę podróż, bo odbyć ją musiał, chciał powrócić zupełnie takim samym, jakim był wyjeżdżając, i na nowo rozpocząć życie dokładnie w tym samym miejscu, w którym musiał je na chwilę porzucić. Jeszcze wczoraj obracał się w swoim zwykłym kręgu myślowym, zajmował się tylko tym, co właśnie opuścił, swoim egzaminem i tym, co go czekało w najbliższej przyszłości: rozpoczęciem praktyki w firmie „Tunder & Wilms” (stocznia okrętowa, fabryka maszyn i odlewania), toteż wybiegał myślą poza najbliższe trzy tygodnie z tak wielką niecierpliwością, na jaką tylko pozwalało jego usposobienie. Teraz jednak wydawało mu się, że okoliczności wymagają całej jego uwagi i że nie należy ich lekceważyć. To wzniesienie się do regionów, w których nigdy jeszcze nie oddychał i gdzie, jak wiedział, panowały całkiem obce mu, szczególnie ciasne i skąpe warunki bytowania, zaczęło go podniecać i budzić w nim pewną skłonność do lęku. Ojczyzna i ład były nie tylko daleko, ale leżały, w dosłownym znaczeniu, głęboko pod nim, a on wciąż się jeszcze ponad nie wznosił. Unosząc się między nimi a nieznanym, zapytywał sam siebie, jak mu będzie tam w górze. Może to było niemądre i niewskazane, że, urodzony i przyzwyczajony do oddychania na wysokości zaledwie kilku metrów nad poziomem morza, kazał się wieść nagle do tych podniebnych okolic, nie przepędziwszy chociażby paru dni w miejscu położonym na średniej wysokości? Chciał być już u celu, bo sądził, że gdy się znajdzie w górze, będzie żył jak gdzie indziej

i nie będzie musiał, jak teraz podczas wdrapywania się, wciąż myśleć o tym, w jak niezwykłych przebywa sferach.

Wyjrzał przez okno: pociąg zataczał łuk ku wąskiej przełęczy; widać było przednie wagony, widać było maszynę, która wyrzucała wśród znojnej swej pracy rozwiewające się brunatne, zielone i czarne masy dymu. W głębi po prawej stronie szumiła woda; na lewo ciemne świerki pięły się pomiędzy skalnymi zwałami ku kamiennej szarości nieba. Pociąg wpadał w mroczne tunele, a kiedy się znowu rozjaśniało, otwierały się rozległe przepaści, w których głębi widniały wioski. Potem zamykały się znowu, znowu jechało się przez wąskie przesmyki skalne, a w ich rozpadlinach i szczelinach bieleły resztki śniegu. Trafiały się przystanki u nędznych domków dworcowych, stacje czołowe, które pociąg opuszczał w odwrotnym kierunku, tak że Hans Castorp nie wiedział, dokąd jedzie, i nie odróżniał już stron świata. Otwierały się wspaniałe, rozległe widoki na święte fantasmagorie spiętrzonych szczytów górskich, ku którym pociąg piał się, w których łono się wdzierał, a potem, za jakimś zakrętem drogi, znikwały znowu sprzed kornie patrzących oczu. W pewnej chwili pomyślał, że strefa drzew liściastych została już pod nim, a zapewne i strefa śpiewających ptaków, i myślał, że oto coś dobiega kresu, że coś ubożeje, przyprawiła go o lekki zawrót głowy; czując się niedobrze, na dwie sekundy zakrył ręką oczy. Ale to przeszło. Spostrzegł, że pociąg przestał się wznosić, że znalazł się na wysokości przełęczy. Po równym dnie doliny posuwał się już bez trudu.

Było koło godziny ósmej i jeszcze jasno. W oddali ukazało się jezioro szarą powierzchnią wody, czarne lasy świerkowe wstępowały znad jego brzegów na otaczające wyniosłości, rzadziejac w miarę wznoszenia się, i niknąc odsłaniały nagie skały o mglistych zarysach. Pociąg zatrzymał się na małej stacyjce. Hans Castorp usłyszał, jak wywoływano na peronie nazwę Davos-Wieś; a więc już niezadługo będzie u celu. Wtem usłyszał obok siebie głos Joachima Ziemssena, swego kuzyna, mówiącego spokojnym hamburskim akcentem:

— Jak się masz? No, ty, wysiadaj już, wysiadaj.

A kiedy wyjrzał, zobaczył stojącego pod oknem Joachima we własnej osobie, w brązowym palcie, z gołą głową i wyglądającego tak zdrowo jak jeszcze nigdy w życiu. Joachim śmiał się i powtórzył:

— Wysiadajże, nie krępuj się!

— Ale przecie jeszcze nie zajechałem — odpowiedział zdziwiony Hans Castorp, nie ruszając się z miejsca.

— Owszem, już zajechałeś. Tutaj jest Davos-Wieś i stąd jest bliżej do sanatorium. Mój powóz czeka. Daj no mi swoje rzeczy.

Śmiejąc się, oszołomiony i podniecony kresem podróży i spotkaniem z kuzynem, Hans Castorp podał mu przez okno walizkę, zimowe palto, pled zwinięty wraz z laską i parasolem, a wreszcie i *Ocean steamships*. Potem pobiegł przez ciasny korytarz i wyskoczył na peron, aby się teraz dopiero naprawdę i, że tak powiemy, osobiście przywitać z kuzynem. Przywitanie to odbyło się bez zbytnich uniesień, jak przystało na ludzi chłodnych i powściągliwych. Chociaż może się to wydawać dziwnym, ale obaj kuzyni od dawna unikali mówienia sobie po imieniu, wyłącznie i jedynie z obawy przed zbyt wielką serdecznością. A że trudno przecież im było zwracać się do siebie po nazwisku, więc ograniczali się do słówka „ty”. Zwyczaj ten przyjął się między nimi od dawna.

Człowiek w liberii i w czapce z galonem patrzył przez chwilę, jak, trochę zażenowani, podali sobie szybko ręce — młody Ziemssen w wojskowej postawie — a potem zbliżył się do nich i poprosił o kwit bagażowy Hansa Castorpa. Był to portier Międzynarodowego Sanatorium „Berghof”; zaofiarował się sprowadzić kufer nowo przybyłego gościa z dworca „Davos-Uzdrowisko”, podczas gdy panowie mieli pojechać powozem prosto na kolację. Człowiek ten silnie utykał, pierwszą więc rzeczą, z jaką Hans Castorp zwrócił się do Joachima Ziemssena, było pytanie:

— Czy to inwalida wojenny? Dlaczego on tak kuleje?

— Rzeczywiście — odparł Joachim z pewną goryczą w głosie. — Inwalida wojenny! On to ma w kolanie — albo przynajmniej miał, bo później wyjęto mu rzepkę kolanową.

Hans Castorp domyślił się dość szybko.

— Ach, tak! — powiedział i szedł dalej, podniósłszy głowę i rozglądając się przelotnie wokół siebie. — Ale nie zechcesz chyba we mnie wmawiać, że i ty masz jeszcze coś takiego? Wyglądasz przecież, jak gdybyś już miał swoją szablę u boku i właśnie wracał z manewrów. — I spojrzał na kuzyna.

Joachim, wyższy od niego i szerszy w ramionach, był uosobieniem siły młodszej i jakby stworzony do mundurów. Był typem bruneta, zdarzającym się nierzadko w ich blond ojczyźnie, a jego i tak ciemna cera przybrała wskutek opaleniźny barwę brązu. Byłby wprost ładny, ze swoimi czarnymi oczami, ciemnym wąsikiem i pełnymi, dobrze zarysowanymi wargami, gdyby nie szpeciły go odstające uszy. One to były do niedawna jego jedynym zmartwieniem i jedyną zgryzotą. Teraz miał już inne troski. Hans Castorp mówił dalej:

— Zjedziesz chyba od razu ze mną na dół? Naprawdę nie widzę żadnej przeskody.

— Od razu z tobą? — zapytał kuzyn i zwrócił na niego swoje wielkie oczy, które zawsze patrzyły łagodnie, ale w ciągu ostatnich pięciu miesięcy przybrały nieco znużony, a nawet smutny wyraz. — To znaczy kiedy?

— No, za trzy tygodnie.

— Ach, tak, ty już w myśli wracasz do domu — odrzekł Joachim. — Zaczekaj, dopiero wysiadłeś z wagonu. Trzy tygodnie to oczywiście nic prawie dla nas tutaj w górze, ale dla ciebie to duży kawał czasu, bo przecie przyjechałeś tylko z wizytą i w ogóle nie chcesz dłużej tu zostać. Przede wszystkim jednak musisz się zaaklimatyzować; to wcale nie jest takie proste, przekonasz się. Zresztą, nie tylko klimat jest u nas czymś niezwykłym. Zobaczysz tu niejedną nową rzecz, uważaj tylko. A ze mną to nie taka prosta sprawa, jak ci się wydaje; „za trzy tygodnie do domu” — to są pomysły z dołu. Prawda, że jestem opalony, ale to jest prawie wyłącznie działanie śniegu i nie ma wielkiego znaczenia, jak utrzymuje Behrens, a przy ostatnim generalnym badaniu powiedział, że prawie na pewno potrwa to jeszcze z pół roku.

— Pół roku? Czyś ty oszalał? — zawołał Hans Castorp. Właśnie zajęli miejsce w żółtym kabriolecie, zaprzężonym w dwa kasztanki, który ich oczekiwał na wybrukowanym placu przed budynkiem stacyjnym, niewiele lepszym od jakiejś szopy; pojazd był już w ruchu, ale Hans Castorp, oburzony, nie mógł sobie jeszcze znaleźć miejsca na twardym siedzeniu.

— Pół roku? Przecież już prawie pół roku tu jesteś! Przecież nie ma się aż tyle czasu!...

— Tak... czasu — powiedział Joachim i pokiwał głową, nie zwracając bynajmniej uwagi na szczere oburzenie kuzyna. — Nie masz wyobrażenia, jak oni obchodzą się tu z ludzkim czasem. Dla nich trzy tygodnie to jeden dzień najwyżej. Przekonasz się sam, sam wszystko zobaczysz — rzekł, a potem dodał: — Tutaj pojęcia ulegają zmianie.

Hans Castorp bezustannie przyglądał mu się z boku.

— Ty jednak rzeczywiście bardzo przyszedłeś do siebie — powiedział potrząsając głową.

— Tak uważasz? — odparł Joachim. — Ja jestem również tego zdania — powiedział i oparł się wyżej na poduszkach, zaraz jednak wrócił do swojej pochylonej pozycji. — Czuję się o wiele lepiej, ale zupełnie zdrowy jeszcze nie jestem; w lewym szczycie, gdzie przedtem słychać było rżenie, jest już tylko szorstki ton,



to jeszcze nie najgorsze, ale na dole jest jeszcze b a r d z o szorstki ton, a ponadto słycać szmery także w drugiej przestrzeni międzyżebrowej.

— Widzę, że zdobyłeś tu niemałe wykształcenie — zauważył Hans Castorp.

— Ach, Boże, ładne wykształcenie! Cieszyłbym się, gdyby ze mnie w służbie znowu wyparowało — odparł Joachim. — Poza tym odpluwam wciąż jeszcze — dodał, wzruszając ramionami na wpół leniwie, na wpół gwałtownie, z czym mu było nie do twarzy. Mówiąc to, z kieszeni palta, znajdującej się od strony Castorpa, wyciągnął do połowy i zaraz na powrót wsunął płaską, łukowato wygiętą flaszeczkę z niebieskiego szkła, opatrzoną metalową przykrywką. — Większość nas tutaj w górze nosi przy sobie ten przedmiot — objaśniał. — Ma on tu nawet pewne żartobliwe przezwisko, bardzo zabawne. Oglądasz okolicę?

Hans Castorp rozglądał się rzeczywiście.

— Cudowna! — rzekł.

— Sądysz? — spytał Joachim.

Z początku jechali równolegle do szyn kolejowych, wzdłuż doliny, nieregularnie zabudowaną drogą, potem skręcili na lewo, przecięli wąski tor, przejechali ponad strumieniem i zaczęli wspinać się stępą po łagodnej pochyłości ku zboczom gór, porośniętych lasem. Przed nimi, na małym zielonym płaskowzgórzu, widać było podłużny budynek, zwrócony frontem ku południowemu zachodowi; jego wieżyczka zakończona była kopułą, a fasada tak podziurawiona licznymi wnękami balkonów, że z daleka robił wrażenie porowatej gąbki; w oknach zapalano właśnie pierwsze światła. Zapadał szybki zmrok. Błada zorza wieczorna, która na krótką chwilę ożywiła niebo, jednostajnie zaciągnięte chmurami, już zgasła i w naturze zapanował ów bezbarwny, bezduszny i smutny stan przejściowy, bezpośrednio poprzedzający ostateczne nadejście nocy. W długiej, lekko wygiętej dolinie rozbłysły teraz wszędzie światła, zarówno w głębi, jak tu i ówdzie na stokach — zwłaszcza na prawym stoku, na którym tarasowo wznosiły się zabudowania. Z lewej strony na zboczach gór rozciągały się łąki poprzerzynane ścieżkami, które wyżej ginęły w matowej czerni szpilkowego lasu. U ujścia zwięzającej się doliny niebieszczały wyraźne zarysy dalekich gór. Zerwał się wiatr i chłód wieczorny dawał się już we znaki.

— Nie, prawdę powiedziawszy, nie widzę, żeby to było takie porywające — odezwał się Hans Castorp. — Gdzież są lodowce i wieczne śniegi, i potężne olbrzymy skalne? Zdaje mi się, że to tu przed nami nie jest chyba bardzo wysokie.

— Owszem, te góry są wysokie — odpowiedział Joachim. — Prawie wszędzie

widać granicę drzew, niezwykle ostro zarysowaną: kończą się świerki, a z nimi kończy się wszystko; nie ma już nic, tylko skały, jak widzisz. A tam masz nawet lodowiec — na prawo od Schwarzhornu, tego ostrego szczytu — tam gdzie jest tak niebiesko. Nie jest zbyt rozległy, ale to jednak prawdziwy lodowiec, nazywa się Scalletta. Piz Michel i Tinzenhorn — w tym wcięciu — stąd ich nie widać — są zawsze pokryte śniegiem, przez cały rok.

— Wiecznym śniegiem — rzekł Hans Castorp.

— Wiecznym, jeżeli chcesz. O tak, to wszystko wokół jest naprawdę wysokie. Ale przecie my sami jesteśmy straszliwie wysoko, pomyśl, tysiąc sześćset metrów nad poziomem morza. Dlatego te wzniesienia wydają się stąd dość niskie.

— Tak, tak, mówię ci, że lęk mnie ogarniał, kiedyśmy się tutaj wspinali. Tysiąc sześćset metrów! To mniej więcej pięć tysięcy stóp, jeżeli dobrze liczę. Nigdy w życiu nie byłem jeszcze tak wysoko.

I zaciekawiony Hans Castorp wciągnął głęboko, na próbę, obce powietrze. Było świeże — nic więcej; nie było w nim aromatu, treści, wilgoci, łatwo wchodziło do płuc i nie przemawiało do duszy.

— Świetne! — rzekł uprzejmie.

— Tak, to powietrze jest słynne. Zresztą okolica prezentuje się dzisiaj jakoś nieszczególnie; niekiedy, zwłaszcza w śniegu, wygląda ładniej. Ale z czasem ma się jej dosyć; wierzaj mi, że nam wszystkim tutaj w górze już się straszliwie znudziła — mówił Joachim; jego usta wykrzywiły się z wyrazem jakby przesadnego i nieopanowanego wstrętu, z którym znowu było mu nie do twarzy.

— Wyrażasz się tak dziwnie — powiedział Hans Castorp.

— Dziwnie się wyrażam? — spytał Joachim z odcieniem niepokoju w głosie i odwrócił się do kuchni...

— Nie, nie, przepraszam cię, tak mi się tylko przez chwilę wydawało! — odparł Hans Castorp pośpiesznie. Miał na myśli zwrot „nam tutaj w górze”, którego Joachim użył już po raz trzeci lub czwarty, a który go jakoś dziwnie przykro uderzał. — Nasze sanatorium, jak widzisz, leży jeszcze wyżej niż ta miejscowość — ciągnął Joachim. — Wyżej o pięćdziesiąt metrów. W prospekcie podane jest „sto”, ale naprawdę jest tylko pięćdziesiąt. Najwyżej położone jest sanatorium Schatzalp, tam, po tamtej stronie, stąd go nie widać. Ci muszą w zimie ekspediować swoje zwłoki na bobslejach, bo drogi są zasypane.

— Swoje zwłoki? Ach, tak! No wiesz! — zawołał Hans Castorp. I nagle wybuchnął śmiechem, gwałtownym i niepowstrzymanym śmiechem, który wstrzą-

sał całą jego pierś i bolesnym grymasem wykrzywił twarz, nieco zeszywniałą od chłodnego wiatru. — Na bobslejach! I opowiadasz mi to tak z całym spokojem? Ależ ty stałeś się straszliwie cyniczny w ciągu tych pięciu miesięcy!

— Bynajmniej nie cyniczny — odpowiedział Joachim wzruszając ramionami. — Dlaczegoż by? Zwłokom przecie wszystko jedno... A zresztą, możliwe, że tu u nas człowiek staje się cynikiem. Sam Behrens jest także takim starym cynikiem, poza tym to wspaniały chłop, były korporant i świetny operator, zapewne ci się spodoba. Ponadto jest tu jeszcze Krokowski, jego asystent — nadzwyczajnie sprytna sztuka. W prospekcie jest specjalna wzmianka o jego działalności: uprawia mianowicie z pacjentami analizę duszy.

— Co uprawia? Analizę duszy? Przecież to wstrętne — zawołał Hans Castorp i znowu owładnęła nim wesołość. Nie umiał już nad nią zapanować, do reszty rozbawiła go owa analiza duszy; śmiał się na całe gardło, tak że łzy spływały mu spod ręki, którą pochyliwszy się, przysłonił sobie oczy. Joachim śmiał się również serdecznie — widocznie dobrze mu to robiło. Tak więc obaj młodzi ludzie w świetnych humorach wysiedli z powozu, który, od pewnego czasu jadąc stępą po stromej, wijącej się drodze, zatrzymał się wreszcie przed bramą Międzynarodowego Sanatorium „Berghof”.

## Nr 34

Zaraz po prawej stronie między bramą a drzwiami wahadłowymi znajdowała się dyżurka portiera, a w niej, przy telefonie, siedział czytając gazetę wyglądający na Francuza służący w szarej liberii, takiej samej, jaką miał na sobie ów kaleka na dworcu; na widok wchodzących odłożył gazety i poprowadził ich przez jasno oświetlony hall, z którego na lewo wchodziło się do sal ogólnych. Przez uchylone drzwi zauważył Hans Castorp, że sale te były puste. Zapytał Joachima, gdzie teraz znajdują się goście.

— Werandują — odpowiedział kuzyn. — Ja miałem dzisiaj wychodne, bo chciałem iść po ciebie na kolej, ale zwykle także leżę po kolacji na balkonie.

Niewiele brakowało, a Hans Castorp byłby się znowu roześmiał.

— Co, nocą we mgle leżycie jeszcze na balkonie? — spytał niepewnym głosem.

— Tak, takie są tutaj przepisy; od ósmej do dziesiątej. Ale teraz chodź, obejrzyj swój pokój i umyj ręce.

Weszli do windy; Francuz uruchomił elektryczny mechanizm. Podczas wznoszenia się w górę Hans Castorp wycierał sobie oczy chustką.

— Jestem zupełnie rozbity i wyczerpany śmiechem — powiedział i wciągnął powietrze ustami. — Naopowiadałeś mi tyle dziwnych rzeczy... Analiza duszy to dla mnie za wiele, mógłbyś być mi tego oszczędzić. Poza tym jestem pewnie trochę zmęczony podróżą. Czy tobie także tak marzną nogi? A jednocześnie tak pali twarz, to jest bardzo przykre. Pewnie zaraz coś zjemy? Wydaje mi się, że jestem głodny. A czy jada się dobrze tu u was w górze?

Kokosowy chodnik, którym wyłożony był wąski korytarz, tłumił odgłos ich kroków. Klosze z mlecznego szkła rzuciły blade światło spod sufitu. Ściany powleczone olejną farbą błyszczały biało i twardo, jak wylakierowane. Gdzieś w przejściu mignęła postać pielęgniarki w białym czepku i z binoklami na nosie, których sznurek przeciągnęła sobie za ucho. Z pewnością była protestantką, pozbawioną prawdziwego umiłowania swojego zawodu — ciekawską, którą dręczy i niepokoi nuda. W dwóch miejscach korytarza przed wylakierowanymi na biało, numerowanymi drzwiami stały na podłodze jakieś balony, wielkie, pękate naczynia o krótkich szyjkach. Hans Castorp zapomniał na razie zapytać o ich przeznaczenie.

— Mieszkasz tutaj — odezwał się Joachim. — Numer trzydziesty czwarty. Na prawo jest mój pokój, a na lewo mieszka pewne małżeństwo rosyjskie, trzeba powiedzieć, niezbyt czyste i trochę zanadto głośne, ale inaczej nie dało się zrobić. No, cóż?

Na ścianie między podwójnymi drzwiami przybite były haki na ubrania.

Joachim zapalił górną lampę. W jej drżącej poświacie ukazał się pokój miły i zaciszny, z białymi, praktycznymi meblami, z również białymi, grubymi tapetami do zmywania, z czystym linoleum na podłodze i płóciennymi firankami, haftowanymi w modne, proste i wesołe desenie. Drzwi od balkonu były otwarte; widać było światła rozsiane w dolinie i z daleka dochodziły dźwięki muzyki tanecznej. Poczciwy Joachim postawił na komodzie trochę kwiatów w wazoniku — jakie udało mu się znaleźć w trawie zieleniejącej po raz drugi tego lata: parę krwawników i dzwonek przez niego samego zebranych na zboczu.

— Ach, jak to ślicznie z twojej strony — powiedział Hans Castorp. — Co za miły pokój! Z przyjemnością można tu spędzić kilka tygodni.

— Przedwczoraj umarła tu jedna Amerykanka — rzekł Joachim. — Behrens od razu powiedział, że będzie z nią koniec, zanim przyjedziesz, i że będziesz mógł dostać jej pokój. Był przy niej jej narzeczony, oficer marynarki angielskiej, ale się bynajmniej mężnie nie zachowywał. Co chwila wychodził na korytarz, żeby płakać

— zupełnie jak mały chłopak. A potem smarował sobie twarz cold creamem, bo był wygolony i łzy paliły mu skórę. Przedwczoraj wieczorem Amerykanka dostała jeszcze dwóch krwotoków pierwszej klasy, to był koniec. Ale wyniesiono ją już wczoraj rano, a potem zrobiono tu naturalnie gruntowną dezynfekcję formaliną, to ma być nadzwyczaj celowe.

Hans Castorp wysłuchał tego opowiadania z pewnego rodzaju niespokojnym roztargnieniem. Stał z zakasnymi rękawami przed dużą umywalnią, której niklowane krany błyszcząły w elektrycznym świetle, i zaledwie przelotne spojrzenie rzucił na czysto zasłane łóżko z białego metalu.

— Dezynfekcję? To doskonale — powiedział uprzejmie i trochę nieskładnie, myjąc i wycierając sobie ręce. — Aldehyd metylowy... tego nawet najsilniejsza bakteria nie wytrzyma,  $H_2CO$ ... ale to kręci w nosie, prawda? Ma się rozumieć, że największa czystość jest pierwszym warunkiem...

Hans Castorp mówił północnym akcentem, podczas gdy kuzyn jego za czasów studenckich przyswoił sobie rozpowszechniony w południowych Niemczech sposób wymawiania. Rozgadawszy się prawil dalej:

— Co to jeszcze chciałem powiedzieć... Prawdopodobnie ten oficer marynarki golił się maszynką; tak przypuszczam, bo w ten sposób można się łatwiej zaciąć niż dobrze wyostrzoną brzytwą — takie jest przynajmniej moje osobiste doświadczenie — ja używam na zmianę raz jednego, raz drugiego... A podrażniona skóra nie znosi słonej wody; pewnie w służbie przyzwyczał się używać cold creamu, nie widzę w tym nic nadzwyczajnego... — Tak gadał dalej, opowiedział, że ma w kufrze dwieście sztuk cygar marki „Maria Mancini”, które wyłącznie pali, że rewizja na granicy była bardzo łagodna, i przekazał Joachimowi ukłony od różnych osób z ich rodzinnego miasta.

— Czy tu wcale nie palą? — zawołał nagle i podbiegł do radiatora, chcąc położyć na nim rękę...

— Nie, nas trzymają w stosunkowo niskiej temperaturze — odpowiedział Joachim. — Musiałaby być zupełnie inna pogoda, żeby zaczęli palić w sierpniu.

— Sierpień, sierpień — powtórzył Hans Castorp. — Ależ ja marznę! Okropnie marznę na całym ciele, tylko twarz mnie jakoś dziwnie pali. O, dotknij, zobacz, jaka gorąca!...

Propozycja, żeby ktoś dotykał jego twarzy, nie licowała z charakterem Hansa Castorpa i sam ją przykro odczuł. Joachim nie zgodził się też na nią, tylko powiedział krótko:

— Nic nie szkodzi, to skutek tutejszego powietrza. Sam Behrens ma zawsze sine policzki. Nie wszyscy mogą się tu zaaklimatyzować. No, go on, bo inaczej nie dostaniemy już nic do jedzenia.

Na korytarzu ukazała się znowu pielęgniarka i z daleka ciekawie im się przyglądała. Na pierwszym piętrze Hans Castorp zatrzymał się nagle, uderzony jakimś niezwykle przykrym odgłosem, który rozlegał się gdzieś blisko, za zakretem korytarza; odgłos ten nie był intensywny, ale tak wyjątkowo ohydny, że Hans Castorp skrzywił się i szeroko otwartymi oczami spojrzał na swego kuzyna. Był to wyraźny kaszel — kaszel męczyzny, nie przypominał żadnego z kaszłów, które Hans Castorp dotychczas słyszał; każdy inny znany mu kaszel był raczej wspaniałym i zdrowym wyrazem żywotności w porównaniu z tym beznadziejnym kaszlem, który nie składał się z poszczególnych wybuchów, ale brzmiał jak straszliwie bezsilne gmeranie w papce organicznego rozkładu.

— Tak — powiedział Joachim — z nim jest niedobrze. Jakiś austriacki arystokrata, wiesz, bardzo elegancki mężczyzna, wygląda jak urodzony sportsmen. A teraz tak źle jest z nim. Ale pokazuje się jeszcze.

Idąc dalej, Hans Castorp z przejściem mówił o kaszlu sportmena.

— Pomyśl tylko, że ja nigdy nic podobnego nie słyszałem, to jest dla mnie zupełnie nowe, więc musi na mnie robić wrażenie. Są różne rodzaje kaszlu, suche i flegmiste, a te flegmiste są podobno lepsze i mniej szkodliwe od takiego szczekania. Kiedy w młodości (Hans Castorp powiedział: „w młodości”) byłem chory na krup, szczekałem jak wilk i wszyscy się ucieszyli, kiedy ten kaszel się zaflegmił — pamiętam to doskonale. Ale takiego kaszlu jak ten nie było jeszcze nigdy na świecie, tak mi się przynajmniej wydaje, to już jest żywy kaszel. Nie jest suchy, ale nie można go też nazwać flegmistym, jest jakiś zupełnie inny. To jest tak, jak gdyby zaglądało się do środka człowieka, a tam już nic więcej nie było, tylko papka i szlam.

— No, no — powiedział Joachim — ja to słyszę przecie codziennie, nie potrzebujesz mi tego opisywać.

Ale Hans Castorp długo jeszcze nie mógł się uspokoić i raz po raz powtarzał, że słuchając tego kaszlu zagląda się po prostu do wnętrza chorego sportmena; kiedy weszli do restauracji, jego oczy, zmęczone podróżą, błyszczały niezdrowo.

## W restauracji

W restauracji było jasno, elegancko i przytulnie. Znajdowała się zaraz na prawo od hallu, naprzeciwko pokoiów ogólnych. Joachim opowiadał, że w sali tej jadają przeważnie nowo przybyli, zamawiający posiłek poza zwykłymi godzinami, a także ci, którzy podejmują gości. Święcono tu również uroczyste rocznice urodzin, wigilie odjazdów, a nawet pomyślne wyniki generalnego badania lekarskiego. — Czasami w restauracji odchodzi zabawa; podają nawet szampana — dodał Joachim. Teraz siedziała tam tylko jedna pani, mniej więcej trzydziestoletnia, czytała książkę, ale przy tym nuciła jakąś melodię, środkowym palcem lewej ręki wybijając lekko takt na obrusie. Kiedy młodzieńcy usiedli, zmieniła miejsce, aby odwrócić się do nich plecami. Joachim objaśnił szeptem, że chora ta unika ludzi i w restauracji jada zawsze z książką przed sobą; powiadają, że już jako młodzianka dziewczyna przebywała w sanatoriach i od tego czasu nie powróciła do świata.

— No, to w porównaniu z nią jesteś dopiero początkujący, nawet gdyby się twoja kuracja nie skończyła jeszcze po tych pierwszych pięciu miesiącach i gdybyś cały rok tu przesiedział — powiedział Hans Castorp. Joachim wykonał znowu ów niezwykle dawniej u niego ruch ramion i sięgnął po menu.

Siedzieli naprzeciwko siebie w najładniejszym kącie sali, przy stoliku, który stał na podwyższeniu pod oknem, zasłoniętym kremową firanką; na twarze ich padało czerwone światło stojącej elektrycznej lampki z czerwonym abażurem. Hans Castorp zacierał świeżo umyte ręce gestem wyrażającym zadowolenie i oczekiwanie; robił tak zawsze, siadając do stołu — może dlatego, że jego przodkowie modlili się przed podaniem zupy. Usługiwała im uprzejma dziewczyna w czarnej sukni i białym fartuszk, z szeroką twarzą o niezwykle zdrowej cerze, i z gardłową wymową. Zamówili u niej butelkę Gruaud Larose, ale Hans Castorp odesłał flaszkę z powrotem, by jej nadano właściwą temperaturę. Jedzenie było doskonałe. Podano zupę szparagową, faszerowane pomidory, pieczeń suto garniowaną, wyjątkowo smaczną leguminę, sery i owoce. Hans Castorp jadł bardzo wiele, chociaż apetyt nie dopisał mu w tym stopniu, jak się tego spodziewał; ale ponieważ dbał o swoje zdrowie, przeto jadał dużo nawet wtedy, kiedy nie był głodny.

Joachim ledwie tknął potraw. Mówił, że mu się tutejsza kuchnia przejadła, że oni wszyscy tutaj mają jej dosyć i że się już przyjęło wymyślać na jedzenie, bo przecie siedząc tu wieczność całą z okładem... Ale wino pił z przyjemnością, nawet z pewną pasją, i kilkakrotnie — jednakże starannie unikając zbytniej uczuciowości — dawał wyraz swojemu zadowoleniu, że wreszcie znalazł się ktoś, z kim można rozsądnie porozmawiać.

— Ach, jak to świetnie, żeś przyjechał! — powiedział i jego spokojny głos zdrzął wzruszeniem. — Mogę śmiało powiedzieć, że jest to dla mnie prawdziwy ewenement. Jest to wreszcie jakaś odmiana, że tak powiem: wyłom, pauza w tej wiecznej, bezgranicznej monotonii...

— Ale zapewne czas upływa wam tu szybko — zauważył Hans Castorp.

— I prędko, i powoli, jak kto chce — odrzekł Joachim. — Właściwie, powiem ci, nie upływa wcale, to w ogóle nie jest czas i w ogóle to nie jest życie — o nie, na pewno nie — mówił potrząsając głową i znowu sięgnął po kieliszek.

Hans Castorp pił także, chociaż twarz paliła go teraz jak ogień. Ale poza tym w całym ciele czuł ciągle jeszcze zimno i ogarnął go jakiś dziwnie radosny, a jednak męczący niepokój. Słowa goniły jedno drugie, raz po raz się mylił, ale, machnąwszy na to ręką, mówił dalej. Zresztą i Joachim był bardzo ożywiony, a ich rozmowa toczyła się tym swobodniej i weselej, że nucąca i stukająca pani nagle wstała i opuściła salę. Wymachiwali widelcami, mając pełne usta jedzenia, przybierali ważne miny, śmiali się, przytakiwali sobie, podnosili ramiona i zanim zdążyli przełknąć, już mówili dalej. Joachim chciał się dowiedzieć, co słyhać w Hamburgu, i naprowadził rozmowę na projektowaną regulację Łaby.

— To będzie rzecz epokowa! — powiedział Hans Castorp. — Epokowa dla rozwoju naszej żeglugi — rezultaty będą olbrzymie. Wstawiamy do budżetu pozycję pięćdziesięciu milionów jako jednorazowy wydatek i możesz być przekonany, że dobrze wiemy, co robimy.

Zresztą, pomimo wielkiej wagi, którą przywiązywał do regulacji Łaby, zmienił zaraz temat i prosił Joachima, żeby opowiedział mu coś jeszcze o życiu „tutaj w górze” i o kuracjuszach, na co ten chętnie się zgodził, bo przyjemnie mu było, że może sobie ulżyć i wypowiedzieć się. Musiał więc powtórzyć historię o zwłokach zwożonych w dół po torze bobslejowym i raz jeszcze wyraźnie potwierdzić, że to szczerą prawdą. Ponieważ Hansa Castorpa znowu śmiech ogarnął, śmiał się i Joachim i widać było, że się rozkoszuje swym własnym rozbawieniem; toteż ażeby podsycić wesoły nastrój, opowiadał i o różnych innych zabawnych rzeczach. Jest tu pewna dama, żona jakiegoś muzyka z Cannstatt, nazywa się pani Stöhr, zresztą dość poważnie chora, siedzi z nim przy stole; jest to osoba najmniej kulturalna, jaką kiedykolwiek widział: mówi „dezynfeskować” — i to zupełnie poważnie. A asystenta Krokowskiego nazywa „fomulusem”. I trzeba tego wszystkiego słuchać poważnie, bez najlżejszego grymasu. Poza tym plotkuje straszliwie, jak zresztą prawie wszyscy tutaj w górze, a o pewnej innej damie, pani Iltis, opowiada, że nosi „sterylet”! — Wyobraź sobie, nazywa to „sterylet” — to przecież nieocenione! —



I na pół leżąc, rozparci na krzesłach, śmiali się tak serdecznie, że trzęsły im się brzuchy i prawie jednocześnie obaj dostali czkawki.

Wkrótce jednak Joachim zasepił się i zaczął mówić o swoim smutnym losie.

— Tak, tak, siedzimy tu i śmiejemy się — rzekł z bolesnym wyrazem twarzy i przerywając raz po raz skutek wstrząsów przepony — a zupełnie nie da się przewidzieć, kiedy się stąd wydostanę, bo jeśli Behrens mówi: jeszcze pół roku, to jest to liczone skąpo i trzeba być przygotowanym na dłużej. Ale to nie jest łatwe, pomyśl tylko, jakie to dla mnie smutne. Już miałem zdawać egzamin oficerski, a tu muszę sterczeć z termometrem w ustach, liczyć błędy tej niekulturalnej pani Stöhr i tylko czas tracę. Rok znaczy bardzo wiele w naszym wieku, tyle zmian przynosi w życiu tam na dole, jest krokiem naprzód. A ja gniję tutaj jak woda w brudnej kałuży, w butwiejącym bajorze — to nie jest bynajmniej przesadne porównanie...

Zupełnie nieoczekiwanie Hans Castorp odpowiedział na to tylko pytaniem, czy tu właściwie można dostać portera; a kiedy Joachim spojrział na niego ze zdziwieniem, zauważył, że już zasypia — właściwie już spał.

— Ale ty śpisz przecie! — powiedział Joachim. — Chodź, już czas, byśmy się obaj położyli.

— To w ogóle nie jest czas — rzekł Hans Castorp sennym głosem. Ruszył się jednak z miejsca i poszedł za kuzynem trochę zgarbiony i na sztywnych nogach, jak człowiek, który ze zmęczenia po prostu upada; jednakże wyprostował się jeszcze, kiedy Joachim w ciemnym już prawie hallu szepnął mu:

— Tam siedzi Krokowski. Zdaje się, że wypada, żebym cię jeszcze szybko przedstawił.

Dr Krokowski siedział tuż obok szeroko otwartych rozsuwanych drzwi w jednym z jasno oświetlonych pokoiów ogólnych i czytał gazetę. Kiedy młodzi ludzie podeszli do niego, wstał z miejsca, a Joachim, przybierając postawę wojskową, powiedział:

— Pozwolę sobie przedstawić panu doktorowi mojego kuzyna Castorpa z Hamburga. Właśnie przyjechał.

Dr Krokowski powitał nowego domownika z pewnego rodzaju jowialną, z lekka rubaszną serdecznością, jak gdyby chciał go zachęcić, by w bezpośrednim zetknięciu z nim kierował się jedynie beztróskim zaufaniem, bez śladu jakiegokolwiek skrupowania. Miał około trzydziestu pięciu lat, był tęgi, barczysty i o wiele niższy niż ci dwaj, którzy przed nim stali, toteż musiał głowę przechylać w tył, aby widzieć ich twarze; cerę miał niezwykle bladą, bladości niemal fosforyzującej, która

jeszcze bardziej odbijała od ciemnego blasku jego oczu, czarnych brwi i dosyć długiej czarnej brody, kończącej się dwoma klinami i przetykanej już z rzadka białymi nitkami. Ubrany był w czarną, dwurzędową i trochę znoszoną marynarkę, czarne, ażurowe sandały i szare wełniane skarpetki; miękki wykładany kołnierz otaczał jego szyję; Hans Castorp widział podobny kołnierz tylko w pewnym atelier fotograficznym w Gdańsku i dlatego wrażenie, które dr Krokowski wywarł na nim, kojarzyło się z nastrojem zakładu fotograficznego. Z przyjaznym uśmiechem, pokazując swoje żółtawe zęby, ścisnął dłoń młodzieńca, mówiąc przy tym barytonowym głosem i przeciągając trochę jakby z cudzoziemską:

— Witam pana u nas! Życzę panu, żeby pan się tu szybko zaaklimatyzował i dobrze czuł w naszym gronie. Czy pan tu przyjechał w charakterze pacjenta, jeżeli wolno zapytać?

Wzruszający to był widok, jak Hans Castorp starał się być grzecznym i zapanować nad swoją sennością. Przykro mu było, że jest w tak złej formie, i z podejrzliwością, właściwą niezbyt pewnym sobie młodzieńcom, w uśmiechu i ośmielających manierach asystenta doszukiwał się oznak pobłażliwej drwiny. Odpowiedział, że chce pozostać w sanatorium tylko trzy tygodnie, wspomniał o swoim egzaminie i dodał, że jest, dzięki Bogu, zupełnie zdrowy.

— Doprawdy? — spytał dr Krokowski i przekrzywił głowę, jakby przekomarżając się i śmiejąc jeszcze wyraźniej... — Ależ w takim razie jest pan zjawiskiem wysoce godnym uwagi! Bo mnie się nie zdarzyło jeszcze spotkać zupełnie zdrowego człowieka. Jaki egzamin pan zdawał, jeżeli wolno zapytać?

— Jestem inżynierem, panie doktorze.— odparł Hans Castorp skromnie, ale z godnością.

— A, inżynierem! — Uśmiech dra Krokowskiego przygasł jednocześnie, tracąc swą świeżość i serdeczność. — To dzielnie z pana strony. Więc pan nie będzie tutaj korzystał z żadnej opieki lekarskiej ani pod względem fizycznym, ani psychicznym?

— O nie, dziękuję po stokroć — zawołał Hans Castorp i omal nie cofnął się o krok.

Uśmiech dra Krokowskiego ukazał się znowu w całej swej wspaniałości; jeszcze raz potrząsając dłoń młodzieńca, zawołał głośno:

— A więc dobranoc panu, niech pan śpi dobrze — w pełnym poczuciu swego nienagannego zdrowia! Dobranoc i do zobaczenia! — Tak dr Krokowski pożegnał się z młodymi ludźmi i zabrał się z powrotem do czytania gazety.

Windziarza już nie było, wchodzili więc pieszo na górę, milczący i trochę zmieszani spotkaniem z drem Krokowskim. Joachim odprowadził kuzyna do numeru trzydziestego czwartego, gdzie już leżały rzeczy, przywiezione przez utykającego służącego. Gawędzili jeszcze przez piętnaście minut, podczas gdy Hans Castorp wypakowywał swoje przybory do mycia i wszystko potrzebne do spania, paląc przy tym grubego i lekkiego papierosa. Cygara jakoś dzisiaj już nie zapalił, co jemu samemu wydawało się dziwne i niezwykle.

— Wiesz, on wygląda na wybitnego człowieka — odezwał się wypuszczając z płuc kłęby dymu. — Jest woskowo blady. Ale jego obuwie jest wstrętne. Szare wełniane skarpetki i do tego te sandały! Czy jednak pod koniec rozmowy nie był obrażony?

— On jest trochę wrażliwy — odrzekł Joachim. — Nie powinienesz być tak ostro odrzucić opieki lekarskiej, przynajmniej tej psychicznej. On nie lubi, kiedy jej ktoś unika. Do mnie także ma pewną niechęć, bo nie dość mu się zwierzam. Ale od czasu do czasu opowiadam mu jednak jakiś sen, żeby miał coś do analizowania.

— No, to musiałem go urazić — rzekł Hans Castorp, trochę rozdrażniony, bo był zawsze niezadowolony z siebie, kiedy komuś sprawił przykrość; ogarnęło go jeszcze silniejsze znużenie.

— Dobranoc — powiedział. — Ja już upadam.

— O ósmej wstąpię po ciebie na śniadanie — powiedział Joachim i wyszedł.

Hans Castorp szybko zrobił pobieżną toaletę nocną. Ledwie zgasił lampę stojącą na nocnym stoliku, już zawładnął nim sen, ale ocknął się raz jeszcze, bo przypomniał sobie, że onegdaj umarł ktoś w tym łóżku.

— Pewnie nie pierwszy raz — powiedział sobie, jak gdyby mogło go to uspokoić. — To jest śmiertelne łóżko, zwykle śmiertelne łóżko. — I zasnął.

Ale natychmiast zaczął śnić, i śnił bez przerwy aż do rana. Przeważnie widział Joachima Ziemssena w jakiejś dziwnie powykręcanej pozycji, zjeżdżającego na bobsleju po stromej drodze. Był tak fosforyzująco blady jak dr Krokowski, a na przedzie siedział ów sportsmen i kierował saneczkami; wyglądał przy tym tak niewyraźnie, jak ktoś, kogo się zna jedynie z jego kaszlu.

— Nam to wszystko jedno, nam tutaj w górze — odezwał się pokręcony Joachim, i teraz on, a nie ów sportsmen, wybuchnął straszliwym, papkowatym kaszlem. Hans Castorp z żalu gorzko się rozpląkał i przyszło mu na myśl, że musi pójść do apteki, ażeby kupić sobie cold creamu. Ale na drodze siedziała pani Iltis ze ściągniętymi wargami i trzymała w ręku coś, co było widocznie jej „steryletem”,

a okazało się zwykłą maszynką do golenia. To pobudziło Hansa Castorpa do śmiechu, i tak przechodził z jednego nastroju w drugi, aż zbudził go szary ranek, zaglądnąc przez uchylone drzwi balkonowe.

## Rozdział drugi

### O chrzcielnicy i o dziadku w dwojakiej postaci

Hans Castorp zachował zaledwie niejasne wspomnienie o swym właściwym domu rodzicielskim; ojca i matki nie znał prawie wcale. Odumarli go szybko jedno po drugim, pomiędzy piątym a siódmym rokiem jego życia. Najpierw, zupełnie nagle, umarła matka, która oczekiwała właśnie rozwiązania; przyczyną śmierci był skrzep, w następstwie zapalenia żył — embolia, jak to określił doktor Heidekind, która stała się powodem paraliżu serca; właśnie siedząc w łóżku zanosiła się od śmiechu, i wyglądało tak, jak gdyby to śmiech ją przewrócił, ale upadła tylko dlatego, że była martwa. Niełatwo mógł się z tym pogodzić Hans Hermann Castorp-ojciec, a ponieważ bardzo był przywiązany do swojej żony i sam nie należał przy tym do najodporniejszych, nie umiał się już z tego podźwignąć. Upośledzony na umyśle, popełniał w stanie depresji i zamroczenia błędy w interesach, i firma „Castorp i Syn” poniosła poważne straty. Wiosną następnego roku przeziębił się na inspekcji spiżarni w porcie, wystawionym na wiatry, i dostał zapalenia płuc. Jego osłabione serce nie wytrzymało wysokiej gorączki, więc umarł, pomimo całej troskliwości doktora Heidekinda, w piątym dniu choroby. Odprowadzony tłumnie przez ludność miasta, spoczął obok swej żony w rodzinnym grobowcu Castorpów, położonym bardzo pięknie na cmentarzu Św. Katarzyny, naprzeciwko ogrodu botanicznego.

Ojciec jego, senator, przeżył go, choć nie o wiele. Zmarł również na zapalenie płuc, i to po wielkich zmaganiach i cierpieniach, bo Hans Lorenz Castorp był, w przeciwieństwie do swojego syna, mocno przywiązany do życia i niełatwy do ostatecznego złamania. Krótki przeciąg czasu pomiędzy tymi dwoma zgonami — trwało to nie więcej niż półtora roku — przeżył osierocony Hans Castorp w domu swojego dziadka, zbudowanym w stylu północnego klasycyzmu z początkiem ubiegłego stulecia na wąskiej parceli, a położonym przy Esplanadzie i pomalowanym ponurą farbą. Drzwi wejściowe umieszczone były pośrodku parteru, wzniesionego nad powierzchnię ziemi o pięć schodków, i ozdobione po obu stronach pilastrami. Dom miał trzy piętra, a okna pierwszego sięgały aż do podłogi i zaopatrzone były w kraty z lanego żelaza. Tutaj znajdowały się wyłącznie pokoje recepcyjne, wraz

z jasną jadalnią zdobną w sztukaterię; trzy okna tego pokoju, osłonięte ciemnoczerwonymi firankami, wychodziły na ogródek położony za domem; w jadalni tej dziadek i wnuk, co dzień o godzinie czwartej w ciągu osiemnastu miesięcy, we dwóch spożywali obiad; usługiwał im stary Fiete, z kolczykami w uszach i srebrnymi guzikami u fraka; nosił do tego fraka zupełnie taki sam batystowy halsztuk, jak gospodarz domu, tak samo ukrywał w nim wygolony podbródek. Dziadek mówił mu „ty” i rozmawiał z nim narzeczem dolnoniemieckim, platt — nie żartem (bo nie był obdarzony zmysłem humoru), ale zupełnie poważnie i naturalnie, bo przywykł tak zwracać się do robotników w spichrzach, listonoszów, furmanów i służących. Hansowi Castorpowi podobało się to bardzo i lubił słuchać, jak Fiete odpowiadał również w tym narzeczu i, stojąc za swym panem z lewej strony, nachylał się do jego prawego ucha, na które senator znacznie lepiej słyszał niż na lewe. Stary rozumiał, kiwał głową i jadł dalej, siedząc prosto, ledwie pochylony nad talerzem, pomiędzy stołem a mahoniowym oparciem krzesła. Z drugiej strony stołu wnuk patrzył milcząco w głębokim i nieświadomym skupieniu na krótkie, wytworne ruchy, którymi chude starcze ręce, z zaostrzonymi, wypukłymi paznokciami i zielonym sygnetem na wskazującym palcu prawej ręki, kształtowały na końcu widelca kęs złożony z mięsa, jarzyny i kartofli, i wkładały go do ust, podczas gdy głowa z lekka pochylała się na jego spotkanie. Hans Castorp patrzył na swoje własne, niezgrabne jeszcze ręce i przeczuwał drzemiące w nich zdolności, które mu pozwolą kiedyś władać widelcem i nożem tak samo, jak to czynił dziadek.

O wiele ważniejsze było pytanie, czy uda mu się kiedyś chować podbródek w halsztuku, który suto wypełniał otwór dziwaczного kołnierza z ostrymi końcami, przylegającymi do policzków dziadka. Bo do tego trzeba być tak starym jak on, a dzisiaj już nikt, w szerokim promieniu, nie nosił oprócz niego i starego Fietego takich halsztuków i takich kołnierzy. To wielka szkoda, bo Hans Castorp szczególnie lubił, gdy dziadek chował podbródek w szeroki, biały jak śnieg halsztuk. I później, kiedy już dorósł, lubił o tym myśleć: było w tym coś, co z głębi duszy uważał za odpowiednie.

Po obiedzie składali i zwijali swoje serwety i wsuwali je do srebrnych kółek; Hansowi Castorpowi trudno było się z tą czynnością uporać, bo serwety były wielkości małych obrusów. Senator wstawał z krzesła, które Fiete za nim odsuwał, i drobnymi krokami przechodził do „gabinetu”, by wziąć sobie cygaro. Wnuczek czasem przyłączał się do niego.

„Gabinet” ten powstał dzięki temu, że jadalnia w tym domu była trzyokienna i zajmowała całą jego szerokość, wskutek czego zostało miejsce tylko na dwa

pokoje, a nie na trzy, jak zwykle w takich budynkach. Jeden z tych pokoi, prostopadły do jadalni i z jednym tylko oknem od ulicy, musiałby być zbyt długi w stosunku do swojej szerokości, oddzielono więc odeń mniej więcej czwartą część — pomieszczenie ciasne, mroczne, z górnym tylko światłem i wyposażone w niewielką ilość mebli; stała tam etażerka, a na niej szafeczka na cygara, stolik do kart z szufladą, w której leżały pociągające przedmioty: karty do wista, żetony, deszczułki do markowania z ruchomymi ząbkami, tabliczka łupkowa z kredą do zapisywania, papierowe ustniki do cygar i wiele innych rzeczy. Wreszcie stała w kącie oszklona szafa z drzewa palisandrowego, w stylu rokoko, z żółtymi jedwabnymi firaneczkami.

— Dziadziu — mówił czasem mały Hans Castorp, stając na palcach, ażeby dosięgnąć ucha starca — proszę, pokaż mi chrzcielnicę!

I dziadek, który już przedtem uniósł poły długiego, miękkiego surduta i wyjął z kieszeni pęk kluczy, otwierał oszkloną szafę, z której wiało na chłopca jakąś osobliwą i dziwnie miłą wonią. Były tam najrozmaitsze rzeczy, dawno już nie używane i dlatego właśnie tak pociągające: dwa srebrne lichtarze, połamany barometr z figurkami rzeźbionymi w drzewie, album z dagerotypami, cedrowa skrzynka na butelki likieru, malutki Turek w pstrokatym jedwabnym ubranku, kryjący w swym twardym ciele zegarowy mechanizm, który umożliwiał mu niegdyś bieganie po stole, obecnie jednak od dawna już odmawiał posłuszeństwa; staroświecki model okrętu, a na samym dole nawet łapka na szczury. Ale starzec zdejmował ze środkowej półki okrągłe, silnie już pożółkłe srebrne naczynie, stojące na srebrnym również talerzu, i pokazywał chłopcu oba przedmioty, dodając dobrze już Hansowi znane wyjaśnienia.

Miseczka i podstawka nie zawsze tworzyły jedną całość, ale jak prawil dziadek, od stu lat już były łącznie używane. Naczynie było piękne, miało kształt prosty i szlachetny, utrzymany w surowym smaku początków ubiegłego stulecia; gładkie i solidne, spoczywało na okrągłej nóżce i wewnątrz miało złożone, ale ze złota pozostał już tylko żółtawy nalot; jedyną ozdobę stanowił wypukły wieniec z róż i ząbkowanych liści, okalający jego górny brzeg. Co się tyczy talerza, to jego szanowny wiek można było zeń odczytać, bo na jego wewnętrznej stronie ozdobnymi cyframi było wypisane „tysiąc sześćset pięćdziesiąt”; liczba ta otoczona była zgodnie z ówczesną modą zmanierowanymi, przeładowanymi rysunkami, wśród których odróżnić można było herby i arabeski — na wpół gwiazdy, na wpół kwiaty. Na odwrotnej stronie talerza były wyryte nazwiska jego kolejnych właścicieli, a każde z nich innym charakterem pisma. Było ich już siedem, wszystkie opatrzone datą

odziedziczenia srebrnego talerza. Dziadek pokazywał wnukowi wskazującym palcem każdy napis z osobna. Było tam imię i nazwisko ojca, dziadka samego, pradziadka, a potem przedrostek „pra” podwajał się, potrajał, i mnożył dalej w ustach senatora; malec wsłuchiwał się z głową na bok przechyloną, z zapatrzonymi, rozmarzonymi oczami i z jakby sennie, na pół otwartymi ustami, w to pra-pra-pra-pra... w ten tajemniczy głos dalekiej przeszłości i zapomnienia, który zarazem wyrażał związek, z pietyzmem pielęgnowany, pomiędzy teraźniejszością, jego własnym życiem, a tym, co już dawno minęło. Dźwięk ten działał na niego jakoś dziwnie — tak właśnie, jak to się odbijało na jego twarzy. Zdawało mu się, że wdycha zatęchłe i chłodne powietrze, jakie znał z kościoła Św. Katarzyny albo z krypty Św. Michała, że czuje tchnienie miejsc, w których trzyma się kapelusz w ręku i stąpa na palcach jakimś szczególnym, pełnym trwożnej czci, podanym naprzód i kołyszącym się krokiem; zdawało mu się także, że słyszy wielką, poważną ciszę tych miejsc, w których czai się echo. Owa tajemnicza zgłoska budziła w nim prócz uczuć religijnych również przecucie śmierci i uchylała zasłony dziejów; wszystko to oddziaływało na chłopca jakoś dziwnie kojąco. Może właśnie po to, aby słyszeć ten dźwięk i powtarzać go z cicha za dziadkiem, prosił, by mu znowu pokazano chrzcielnicę.

Potem dziadek odstawiał baptysterium z powrotem na talerz, a malec zaglądał do jego głębokiego, złocistego wnętrza błyszczącego w padającym z góry świetle.

— Już niezadługo minie osiem lat od chwili — prawil senior — kiedyśmy cię nad tym naczyniem trzymali, a woda, którą cię chrzczono, ściekała tutaj... Zakrystian Lassen od Św. Jakuba lał ją do ręki naszemu kochanemu pastorowi Bugenhagenowi, a stamtąd poprzez twoją głowę spływała do tej czary. Woda była ogrzana, żebyś się nie przestraszył i żebyś nie płakał. Byłeś też bardzo grzeczny — bo przedtem krzyczałeś i pastorowi Bugenhagenowi niełatwo było wygłosić przemówienie, ale kiedy tylko poczułeś wodę, uspokoiłeś się natychmiast — spodziewam się, że z szacunku dla świętego Sakramentu. A w tych dniach przypada czterdziesta czwarta rocznica chrztu twojego nieboszczyka ojca, i z jego głowy woda spływała do tego naczynia. Działo się to w tym samym domu, domu jego rodziców, w sąsiedniej sali pod środkowym oknem; obrzędu dokonywał jeszcze stary pastor Hesekeel, ten sam, którego w młodości Francuzi chcieli rozstrzelać za kazania, jakie wygłaszał przeciwko ich rabunkom i grabieżom; od dawna jest on już w niebie. A przed siedemdziesięciu pięciu laty mnie samego chrzczono w tej sali, i moją głowę trzymano nad tą chrzcielnicą, którą tu widzisz na srebrnym talerzu, a pastor mówi te same słowa, co przy chrzcie twoim i twojego ojca, i mnie także letnia, czysta woda spływała po włosach (nie miałem ich wtedy wiele więcej na głowie niż teraz).



Chłopiec spojrział w górę na wąską, starczą głowę dziadka, która teraz znowu pochylała się nad chrzcielnicą, jak w tej minionej godzinie, o której mu opowiadał, i owładnęło nim znajome uczucie, którego doświadczał już dawniej w podobnych okolicznościach — na pół marzycielskie, na pół niepokojące uczucie czegoś płynącego i zarazem stojącego, jakiegoś zmiennego trwania, które miało w sobie rytm i powrotu, i zawrotnej jednostajności; Hans Castorp lubił to uczucie, i po części w jego oczekiwaniu kazał sobie pokazywać ten przedmiot, przechodzący stale z ojca na syna.

Kiedy młodzieniec analizował później swe doznania, stwierdził, że obraz dziadka wrył mu się w pamięć o wiele głębiej, wyraźniej i trwalej niż obraz rodziców. Było to prawdopodobnie skutkiem sympatii i szczególnego pokrewieństwa fizycznego, bo wnuk był bardzo podobny do dziadka, o ile różowy młokos w ogóle może być podobny do wyblakłego i sztywnego siedemdziesięcioletniego starca. Ale pochodziło to przede wszystkim stąd, że dziadek był bez wątpienia najbardziej charakterystyczną postacią, najwybitniejszą indywidualnością w rodzinie.

Jeśli rozważać sprawę z punktu widzenia społecznego, czas wyprzedził przekonania i upodobania Hansa Lorenza Castorpa na długo przed jego śmiercią. Był to człowiek surowych zasad chrześcijańskich, obrządku reformowanego. Nie lubił nowinek i wyznawał pogląd wybitnie arystokratyczny, że tylko szczupła klasa społeczna godna jest dzierżyć ster rządów — o tym był przekonany tak mocno, jak gdyby żył w czternastym stuleciu, kiedy rzemieślnicy zaczęli dopiero mimo gwałtownego sprzeciwu patrycjuszów zdobywać sobie miejsca w radach miejskich. Działalność jego przypadła na lata bujnego rozwoju i wielostronnych reform, lata zwycięskiego pochodzenia postępu, wymagającego od społeczeństwa ciągłych ofiar i wielkiej odwagi. Ale nie jego, nie starego Castorpa było to zasługą, jeżeli geniusz nowoczesny święcił wiadome wszystkim wspaniałe triumfy. Stokroć bardziej zależało mu na zachowaniu ojcowskich obyczajów i dawnych urządzeń niż na ryzykownej rozbudowie portu i bezbożnych wielkomiejskich błazeństwach, toteż hamował i przeciwdziałał gdzie mógł i, gdyby się działo po jego myśli, dzisiaj jeszcze w administracji publicznej panowałaby taka sama starofrankońska idylliczność, jak swego czasu w jego własnym kantorze.

Tak się przedstawiał z punktu widzenia społecznego stary senator — za życia i potem. Mały Hans Castorp, patrzący na dziadka zamyślonymi oczami dziecka, nie rozumiał się jeszcze na sprawach ogólnych, ale i na nim robił dziadek podobne wrażenie, wrażenie niezupełnie uświadomione, raczej ogólne, bo nie umiał jeszcze krytykować ani formułować sądów. I później, we wspomnieniu, kiedy myślał

o dziadku, miał przed sobą obraz czegoś mocnego, czegoś z jednej bryły i nie dającego się zanalizować. Jak już było powiedziane, odgrywała tu rolę sympatia, pokrewieństwo duchowe i wewnętrzna bliskość, które, jak to się często zdarza, przeskakują jeden stopień pokrewieństwa krwi. Dzieci i wnuki przypatrują się, ażeby podziwiać, a podziwiają, aby się uczyć i kształcić w sobie to, co drzemie w nich jako odziedziczone cechy.

Senator Castorp był chudy i wysoki. Wiek pochylił mu plecy i kark, ale starał się przeciwdziałać temu skrzywieniu przez napinanie mięśni, wargi jego, nie podtrzymywane już przez zęby i spoczywające bezpośrednio na pustych dziąsłach (sztuczne szczęki zakładał tylko do jedzenia), z wyrazem godności wyginały się przy tym ku dołowi, a cała postawa nabierała surowej powagi i sztywności. Aby zapanować nad poczynającą się chwiejnością głowy, wpierał podbródek w wysoki kołnierz, co tak bardzo podobało się małemu Hansowi.

Senator Castorp chętnie zaglądał do swojej szylkretowej, podłużnej, wykładanej złotem tabakiery i używał dlatego czerwonej chustki do nosa, której rożek zwieszał się zawsze z tylnej kieszeni surduta. Stanowiło to bez wątpienia defekt w jego wyglądzie — defekt nadający mu odrobinę komizmu, ale było zarazem licencją, na którą może sobie pozwolić starość — niestarannością albo świadomą, i przez to mającą w sobie coś jowialnego, albo nieświadomą, a więc wynikającą z poważnego nastawienia senatora, w każdym bądź razie jedyną, jaką dziecięco spostrzegawcze oko Hansa Castorpa zauważyło kiedykolwiek w wyglądzie dziadka. Siedmioletni chłopiec widział jednak staruszka nie w jego właściwej, zwykłej postawie, a i potem, we wspomnieniu, zjawiał się mu nie ten dziadek z codziennego życia. Dla niego senator wyglądał inaczej, o wiele piękniej i prawdziwiej niż w rzeczywistości — mianowicie tak, jak go ukazywał portret naturalnej wielkości, który dawniej wisiał w bawialni w domu jego rodziców, a potem powędrował razem z małym Hansem Castorpem na Esplanadę, gdzie otrzymał miejsce w salonie nad wielką kanapą, krytą czerwonym jedwabiem.

Na portrecie tym wymalowany był Hans Lorenz Castorp w urzędowym stroju radnego miasta — owym poważnym, a nawet świątobliwym stroju z ubiegłego stulecia, w którym odbijał się majestat i jednocześnie zdobywcza odwaga mieszczaństwa; stroju tego używano jeszcze przy szczególnie uroczystych okazjach, aby przeszłość czynił terażniejszością, a terażniejszość przeszłością, aby świadczył wymownie o ich nieprzerwanym związku i o niewzruszonej pewności ich wzajemnej gwarancji. Senator Castorp sportretowany był w całej swej okazałości. Stał na podłodze, wyłożonej czerwonymi kamykami, na tle perspektywy kolumn i ostrołuków. Głowę

miał z lekka pochyloną, usta ściągnięte w dół, niebieskie myślące oczy, podkrażone workami, patrzyły w dal; miał na sobie czarny, poza kolana sięgający surdut, krojem przypominający szatę duchowną, otwarty szeroko z przodu, bramowany futrem po brzegach. Spod szerokich, bufiastych, lamowanych wierzchnich rękawów wyglądały węższe rękawki ze zwyczajnego sukna, a koronkowe mankiety przykrywały dłonie aż po palce. Cienkie starcze nogi obciążone były czarnymi jedwabnymi pończochami, a stopy tkwiły w bucikach ze srebrnymi sprzączkami. Szyja otoczona była szeroką, nakrochmaloną, suto marszczoną kryzą w kształcie talerza, opadającą z przodu, a z boków podniesioną do góry; spod tej kryzy zwieszał się jeszcze na kamizelkę, również marszczony, batystowy żabot. Pod pachą senator trzymał staroświecki kapelusz z szerokim rondem, zwiężający się ku górze.

Portret był piękny, wykonany przez nie byle jakiego artystę, utrzymany w najlepszym smaku i w stylu dawnych mistrzów, tak bardzo odpowiednim dla tematu, i wywoływał najróżniejsze hiszpańsko-flamandzko-późnośredniowieczne skojarzenia w patrzącym. Mały Hans Castorp często oglądał ten obraz, ma się rozumieć bez zrozumienia artystycznego, ale jednak z pewnym ogólniejszym nawet i wnikliwym zrozumieniem. Chociaż dziadka takiego, jakim był na płótnie, widział w rzeczywistości raz jeden tylko, i to bardzo przelotnie, przy okazji jakiegoś uroczystego wjazdu na ratusz, jednakże, jak już wspomnieliśmy, ten właśnie jego wygląd uważał za właściwy i istotny, a dziadek z życia codziennego był dla niego pewnego rodzaju dziadkiem tymczasowym, jakby zastępczym, i to niezbyt dobrze dostosowanym do okoliczności. Bo to, co w jego codziennej prezencji było odrębne i dziwaczne, polegało właśnie na niedoskonałym i może trochę niezgrabnym przystosowaniu; to były pozostałości i aluzje do jego czystej i prawdziwej postaci. Tak na przykład jego „vatermörder” i wysoko związany biały halsztuk były stanowczo staromodne; ale nie można tego było bynajmniej powiedzieć o owym godnym podziwu szczególe toalety, do którego tamte były jedynie tymczasową aluzją — mianowicie o kryzie hiszpańskiej. Tak samo miała się rzecz z niezwykle fasonem jego cylindra, który nosił na ulicy i którego odpowiednikiem na wyższym stopniu rzeczywistości był kapelusz z portretu, filcowy kapelusz o szerokim rondzie; tak samo — z długim i fałdzistym surdudem, którego pierwowzorem i właściwą istotą była dla Hansa Castorpa owa szeroko futrem bramowana szata.

Tak więc Hans Castorp głęboko uznawał istotny i rzeczywisty splendor dziadka, gdy nagle nastąpiła chwila pożegnania. Pośrodku sali, tej samej, w której tak często siedzieli przy stole naprzeciwko siebie, leżał Hans Lorenz Castorp w srebrnym obijanej trumnie, na katafalku otoczonym wieńcami. Chorował na zapalenie płuc, walczył długo i zawzięcie, chociaż, jak się zdawało, tylko dzięki zdolności przystoso-

wywania się przebywał w tym życiu. Leżał teraz na swoim uroczystym łożu, nie wiadomo, czy jako zwycięzca, czy jako zwyciężony, w każdym bądź razie z zupełnie spokojną twarzą, ale wskutek stoczonych walki z mocno zmienionymi rysami i zaostrzonym nosem; dolna połowa ciała okryta była kapą, na której położono gałązkę palmową, głowa spoczywała wysoko na jedwabnych poduszkach, tak że podbródek z gracją tkwił w wycięciu śnieżnej kryzy. Dłonie do połowy przysłonięte były koronkowymi mankietami, a palce, które, z rozmysłem splecione w sposób naturalny, zdradzały jednak sztywność i martwość, trzymały krzyżyk z kości słoniowej — i wydawało się, że oczy senatora są wciąż spod spuszczonej powiek na ten krzyżyk skierowane.

Na początku tej ostatniej choroby Hans Castorp często widywał dziadka, ale pod koniec już go do niego nie dopuszczano. Oszczędzono mu widoku zmagania się ze śmiercią, które zresztą najgorsze formy przybierało nocami: z tym, co się działo w pokoju chorego, stykał się tylko pośrednio, przez zaczerwienione oczy starego Fiete, przez przyjazdy i odjazdy doktorów i całą przygnębiającą atmosferę domu. Wynik tego wszystkiego, jaki chłopcu ukazał się teraz w sali jadalnej, można było określić w ten sposób, że dziadek porzucił wreszcie swój byt tymczasowy i zastępczy i uroczyście powrócił do właściwej i jedynie godnej go postaci. Wynik ten był bezsprzecznie pomyślny, chociaż stary Fiete płakał i wciąż kiwał głową i chociaż płakał sam Hans Castorp, jak czynił to niegdyś na widok swojej niespodziewanie zmarłej matki, a również na widok ojca, którego wkrótce potem ujrzał również leżącego bez ruchu i jakby obcego.

Bo już po raz trzeci w ciągu krótkiego czasu i w tak dziecięcym wieku mały Hans duszą i zmysłami — szczególnie także zmysłami — zetknął się ze śmiercią. Widok jej i wrażenie, które przeżywał, nie były dlań nowe, przeciwnie, był już do nich przyzwyczajony; w dwóch pierwszych wypadkach, chociaż ogarnięty zupełnie naturalnym smutkiem, zachowywał się spokojnie i rozważnie, tak samo było i teraz, a nawet w wyższym jeszcze stopniu. Sam był wstrząśnięty i udzielał mu się smutek innych, więc raz po raz stawały mu łzy w oczach, ale pomijając ten zupełnie zrozumiały objaw, zachowywał, patrząc na trumny, pewien dziecięcy chłód, odwagę i rzeczowość; płynęły one bądź z nieuświadomienia sobie praktycznego znaczenia tych faktów dla jego życia, bądź też z dziecinnej obojętności mającej swe źródło w pełnym zaufaniu, że — tak czy inaczej — świat przecie go nie opuści. A kiedy po raz trzeci stał przed trumną, dołączył się do tego jeszcze pewien specjalny odcień znawstwa, jako skutek wielokrotnego doświadczenia. Po upływie trzech czy czterech miesięcy od zgonu ojca zapomniał już o śmierci; teraz nagle stanęła znów przed nim i te same wrażenia, które przeżywał wtedy, wszystkie naraz znowu się

zjawiły, przejmujące do samego szpiku, w swej z niczym nie dającej się porównać odrębności.

Wrażenia te, poddane analizie i ujęte w słowa, przedstawiałyby się mniej więcej w ten sposób: śmierć miała właściwie dwie strony, jedną — religijną, pełną znaczenia i melancholijnie piękną, to znaczy duchowną, a zarazem drugą, wręcz przeciwną — bardzo cielesną, bardzo materialną, której nie można było nazwać ani piękną, ani pełną znaczenia, ani religijną. Strona duchowna znajdowała wyraz w uroczystym ustawieniu zwłok, w mnóstwie kwiatów i w liściach palmowych, oznaczających, jak to było wiadomo, spokój niebiański; a wyraźniej jeszcze w krzyżyku, włożonym w martwe palce dawnego dziadka, w błogosławiącym Zbawicielu Thorwaldsena, stojącym u wezgłowia trumny, i w ustawionych po obu stronach kandelabrach, które przy tej okazji nabrały również jakiegoś kościelnego charakteru. Wszystko to stało się jasne i słuszne na myśl, że dziadek powrócił już na zawsze do swojej właściwej i rzeczywistej postaci. Poza tym — mały Hans Castorp zauważył to, chociaż nie potrafił tego wyrazić słowami — miało wszystko jeszcze jeden dalszy sens i trzeźwy cel, szczególnie kwiaty, a przede wszystkim licznie między nimi reprezentowane tuberozy. Miały one służyć do udekorowania owej drugiej strony śmierci, ani pięknej, ani właściwie smutnej, ale raczej prawie nieprzyzwoitej, przyziemnej i cielesnej, miały sprawić, że się o niej zapominało albo myśli o niej nie dopuszczało do świadomości.

Z tej to drugiej strony wynikało, że zmarły dziadek wydawał się tak obcy; właściwie nie przypominał wcale dziadka, ale lalkę woskową naturalnej wielkości, którą śmierć podsunęła zamiast niego i która była przedmiotem tych wszystkich religijnych i uroczystych poczynań. Ten, co tam leżał, albo słuszniej: to, co tam leżało, nie było już samym dziadkiem, tylko osłonką, która, jak wiedział Hans Castorp, nie była z wosku, ale z właściwej sobie materii; wyłącznie z materii; i to właśnie było nieprzyzwoite i nieco tylko smutne — nie więcej smutne, niż są nimi rzeczy związane z ciałem i jedynie z nim. Mały Hans Castorp przyglądał się woskowożółtej, gładkiej, serowatej materii, z której zrobiona była naturalnej wielkości figura zmarłego — twarz i ręce byłego dziadka. W tej chwili właśnie na nieruchomym czole usiadła mucha i zaczęła żywo poruszać ssawką. Stary Fiete spędził ją ostrożnie, starając się przy tym nie dotknąć czoła i robiąc minę poważną i mroczną, jak gdyby nie chciał i nie powinien nic wiedzieć o tym, co czyni, minę skromną i obyczajną, która najwidoczniej była w związku z faktem, że dziadek był już tylko ciałem i niczym więcej. Polatawszy w powietrzu, mucha usiadła na krótką chwilę znów na dłoni dziadka, w pobliżu krzyżyka z kości słoniowej. Obserwując to, Hans miał wrażenie, że wyraźniej niż kiedykolwiek czuje znajomy z dawniejszych cza-

sów, delikatny, ale jakoś dziwnie trwały zapach, przypominający mu, pomimo zawstydzenia, które przy tym odczuwał, pewnego kolegę szkolnego, dotkniętego przykrą właściwością i dlatego przez wszystkich unikanego; zapach ten miał być zagłuszony wonią tuberoz, ale nie udawało się to pomimo całej jej ostrości i intensywności. Raz po raz przystawał przy zwłokach: albo sam ze starym Fiete, albo z bratem swej babki Tienapplem, handlarzem wina, i obydwoma wujami, Jamesem i Piotrem, albo wreszcie z grupą odświętnie ubranych robotników portowych, którzy przyszli na chwilę do trumny, ażeby pożegnać się z byłym szefem firmy „Castorp i Syn”. Potem był pogrzeb. Pokój nappełnił się ludźmi, pastor Bugenhagen z kościoła Św. Michała, ten sam, który chrzczył Hansa Castorpa, odziany w kryzę hiszpańską, miał mowę pogrzebową, a później rozmawiał serdecznie z małym Castorpem, jadąc za karawanem w pierwszej dorożce, za którą ciągnął się długi, długi sznur innych. A później skończył się i ten rozdział życia, i Hans Castorp zmienił zaraz potem dom i otoczenie; czynił to już po raz drugi w ciągu swojego krótkiego życia.

## **O pobycie u Tienapplów i obliczu duchowym Hansa Castorpa**

Nie stracił na tym, bo dostał się do domu konsula Tienappla, swego urzędowego opiekuna, i nie zbywało mu tam na niczym ani pod względem osobistym, ani pod względem spraw majątkowych, o których nie miał jeszcze pojęcia. Konsul Tienappel bowiem, wuj nieboszczki matki Hansa, zarządzał schedą Castorpa, posprzedawał nieruchomości, zajął się również likwidacją firmy „Castorp i Syn, Import i Eksport”, i suma, jaką z tych operacji osiągnął, wynosiła około czterystu tysięcy marek. Majątek ten, własność Hansa Castorpa, ulokował konsul Tienappel w papierach pupilarnych i na początku każdego kwartału z przypadającego dochodu odliczał dla siebie dwa procent w charakterze prowizji, czemu bynajmniej nie stały na przeszkodzie jego uczucia rodzinne.

Dom Tienapplów położony był w głębi ogrodu przy ulicy Harvestehuder Weg, okna wychodziły na trawnik, na którym nie tolerowano najmniejszego nawet chwastu, dalej, na miejskie plantacje róż i na rzekę. Co rano konsul udawał się pieszo, chociaż miał piękny powóz, do swojego biura na Starym Mieście, chciał bowiem zażywać trochę ruchu, jako że miewał od czasu do czasu uderzenia krwi do głowy; o godzinie piątej wracał również pieszo do domu, po czym wszyscy zasiadali do elegancko zastawionego stołu. Konsul był człowiekiem wielce poważnym, ubranym

zawsze w najlepsze angielskie materiały; jego wodnistoniebieskie, wylupiaсте oczy patrzyły spod złotych okularów, nos miał ciemnoczerwony, siwą żeglarską brodę, a na pulchnym małym palcu lewej ręki nosił wielki, pięknie błyszczący brylant. Żona jego nie żyła już dawno. Miał dwóch synów, Piotra i Jamesa, z których pierwszy służył w marynarce i rzadko bywał w domu, a drugi pracował w firmie ojca i upatrzony był na przyszłego jej szefa. Gospodarstwem od wielu lat zajmowała się panna Schalleen, córka jubilera z Altony, z nakrochmalonymi mankiecikami, obejmującymi jej grube w kostce ręce. Jej to było zasługą, że na śniadanie i na kolację podawano zawsze w wielkiej ilości zimne mięsa, kraby i łososie, węgorze, gęsinę i tomato catsup do rostbefu; baczne swe oko zwracała na służących podczas proszonych obiadów i ona też w miarę swych możliwości zastępowała matkę Hansowi Castorpowi.

Hans Castorp wzrasta przy paskudnej pogodzie, w wietrze i we mgle, wzrastał w żółtym płaszczu gumowym, jeżeli się wolno tak wyrazić, i na ogół czuł się z tym dobrze. Co prawda, od samego początku był trochę anemiczny; stwierdził to również doktor Heidekind i kazał mu co dzień na trzecie śniadanie po szkole dawać dużą szklanekę porteru, napoju, jak wiadomo, odżywczego, któremu doktor Heidekind przypisywał krwiotwórcze własności; w każdym bądź razie trunek ten mile oddziaływał na umysł chłopca i sprzyjał jego skłonności do „zagapiania się”, jak to nazywał Tienappel; Hans Castorp zwykł był mianowicie, z ustami na w pół otwartymi i nie trzymając się żadnego określonego wątku, zamyślać się o niebieskich migdałach. Poza tym jednak był zdrow i do rzeczy, nieźle grał w tenisa i wiosłował, chociaż wolał zamiast napręzać mięśnie, siadywać w letnie wieczory na tarasie przystani u Uhlenhorsta, przy muzyce i jakimś dobrym napoju, i spoglądać na oświetlone łodzie i na łabędzie, sunące pomiędzy nimi po lśniącej różnymi kolorami wodzie. A kiedy mówił, z umiarem i rozsądnie, trochę bezdźwięcznie i monotennie, z lekkim odcieniem narzecza dolnoniemieckiego, nawet kiedy się nań tylko patrzyło, na poprawność jego jasnego typu, na dobrze zarysowany, troszeczkę jakby staroświecki kształt głowy i na wyraz suchej ospałości, która była u niego odpowiednikiem odziedziczonej i nieświadomionej dumy — nikt nie mógł wątpić, że ten Hans Castorp jest rzetelnym i niefałszowanym wytworem tutejszej gleby i że jest tu idealnie na swoim miejscu: on sam nie wątpiłby o tym ani na chwilę, gdyby sobie zadał takie pytanie.

Atmosfera wielkiego miasta portowego, ta wilgotna atmosfera wszechświatowego handlu i dostatniego życia, która była właściwym żywiołem jego ojców, i dla niego była czymś zupełnie normalnym, co przyjmował bez zastrzeżeń i w czym czuł się dobrze. Wdychając zmieszane wyziewy wody, węgla i smoły, ostre zapachy

nagromadzonych towarów kolonialnych, widział wzdłuż portowego wybrzeża olbrzymie parowe dźwigi obrotowe, które naśladowały spokój, rozum i potężną siłę tresowanych słoni, z brzuchów nieruchomych okrętów przenosząc do wagonów i składów całe tony worów, pak, skrzyń, beczek, i balonów. Widział kupców, ubranych, jak i on sam, w żółte płaszcze gumowe, tłumnie śpieszących w południe na giełdę, gdzie, jak słyszał, gra bywała ostra i gdzie łatwo mogło się zdarzyć, że ktoś jął pośpiesznie rozsyłać zaproszenia na uroczysty obiad, aby w ten sposób przedłużyć swój kredyt. Widział (i w tę stronę zwróciło się później jego specjalne zainteresowanie) ruch i wir pracy w dokach, widział mamutowe cielska zadokowanych okrętów, przybyłych z Azji i Afryki; wypiętrzone wysoko, ukazujące spód i śruby, spoczywały na grubych jak pień drągach, potwornie bezradne na lądzie, pokryte karłowatą armią szorujących, bijących młotami i tynkujących robotników, widział, jak na pokrytej dachem stoczni zza dymu i mgły wynurzają się szkielety powstających okrętów i jak inżynierowie, zbrojni w plany i tablice do pomiarów zanurzenia, udzielają wskazówek rzemieślnikom. To były widoki, do których Hans Castorp przywykł od najwcześniejszej młodości i które budziły w nim miłe uczucie własnej przynależności; uczucie to dochodziło do szczytu, kiedy na przykład w niedzielę przed południem siedział z Jamesem Tienapplem albo ze swym kuzynem Ziemssenem — Joachimem Ziemssenem — w restauracji nad rzeką Alster, jadł ciepłe grzanki z wędliną, pił stare porto i, rozparty wygodnie w krzesło, z lubością puszczał dym z cygara. Bo w tym właśnie był najbardziej sobą, że lubił żyć wygodnie, a nawet pomimo swego anemicznego i wydelikaczonego wyglądu, był mocno i z całej duszy przywiązany do prostych rozkoszy życiowych, jak łakome niemowlę do piersi matczynej.

Swobodnie i nie bez godności dźwigał na barkach ciężar wysokiej cywilizacji, którą panująca klasa uprawiającej handel demokracji miejskiej przekazywała swym dzieciom. Był zawsze czysto wymyty jak niemowlę i ubierał się u krawca, który zdobył sobie zaufanie młodzieży z jego sfery. Niezbyt bogatym, starannie poznanym zapasem jego bielizny, ukrytym w angielskiej szafie, opiekowała się troskliwie panna Schalleen; nawet wtedy, kiedy Hans Castorp wyjechał na studia, przysyłał regularnie bieliznę do domu do prania i reperacji (bo jego maksymą było, że poza Hamburgiem w całym państwie nie umieją prasować), a zmarszczka na mankiecie eleganckiej kolorowej koszuli wywołałaby w nim głębokie niezadowolenie. Ręce jego, chociaż nie specjalnie arystokratycznego kształtu, lecz wypielegnowane i gładkie, były ozdobione łańcuszkowym pierścieniem z platyny i sygnetem odziedziczonym po dziadku, a zęby, trochę za miękkie i w wielu miejscach uszkodzone, uzupełnione złotem.



Stojąc i chodząc, wysuwał brzuch nieco naprzód, co nie nadawało jego postawie dzielności; ale przy stole trzymał się doskonale. Siedział wyprostowany, grzecznie zwrócony do sąsiada, z którym rozmawiał (rozsądnie i nie bez naleciałości dolnoniemieckich); łokcie miał z lekka oparte, podczas gdy tranżerował kawałek drobiu albo przeznaczonymi do tego celu narzędziami zręcznie wyciągał różowe mięso z kleszczów homara. Jego pierwszą potrzebą po jedzeniu była miseczka z perfumowaną wodą do opłukania palców, a drugą nie ocłony rosyjski papieros, który dochodził do jego rąk pokątnie, drogą niewinnej kontrabandy. Potem następowało nadzwyczajnie smaczne bremeńskie cygaro marki „Maria Mancini”, o którym będzie jeszcze mowa i którego esencjonalna trucizna tak dobrze dopełniała treści czarnej kawy. Hans Castorp chronił swoje zapasy tytoniu od szkodliwego wpływu centralnego ogrzewania, przechowując je w piwnicy, dokąd co rano schodził, żeby napełnić cygarnicę ilością wystarczającą na dzień. Niechętnie jadłby masło podane na stół w kawałku, a nie w postaci karbowanych kuleczek.

Jak widać, pragniemy opowiedzieć wszystko, co może mu zjednać przychylność, ale osądzamy go bez żadnej przesady i nie przedstawiamy go ani lepszym, ani gorszym, niż był w rzeczywistości. Hans Castorp nie był ani geniuszem, ani głupcem, a jeżeli dla jego określenia unikamy słowa „przeciętny”, to czynimy to z przyczyn, które nic nie mają wspólnego z jego inteligencją i niewiele chyba z jego skromną osobą w ogóle, ale z szacunku dla jego losu, któremu skłonni jesteśmy przypisać pewne ponadosobowe znaczenie. Zdolności jego mogły sprostać wymaganiom gimnazjum realnego — bez zbytniego wysiłku, do którego zresztą nie dałby się nakłonić w żadnym razie i w imię niczego: nie tyle z obawy przed zaszkodzeniem sobie, ile dlatego, że absolutnie nie widział do tego żadnego powodu, albo powiedziawszy wyraźniej: *ż a d n e g o a b s o l u t n e g o* powodu; i może dlatego nie chcemy go nazwać przeciętnym, że w pewien sposób odczuwał brak takich powodów.

Człowiek nie żyje wyłącznie swoim życiem osobistym, jako jednostka, ale, świadomie lub nieświadomie, również życiem swojej epoki i swojego pokolenia. A gdyby nawet i nieosobiste ogólne podstawy swej egzystencji uważał za bezpośrednio dane i oczywiste i gdyby nawet był tak daleki od ich krytykowania, jak był nim poczciwy Hans Castorp, to jednak jest rzeczą zupełnie możliwą, by w sposób niejasny odczuwał szkodliwy wpływ ich braków na swoje zdrowie moralne. Poszczególni ludzie mogą mieć swoje subiektywne cele, dążenia, nadzieje i widoki, z których czerpią impuls do intensywnych wysiłków i działalności. Jeżeli jednak otaczający ich świat obiektywny, jeżeli epoka, w której żyją, pomimo zewnętrznego rozpędu nie daje w gruncie rzeczy żadnych widoków ani nadziei; jeżeli pozwala im

dostrzec, że jest bezradna, beznadziejna i pozbawiona widoków na przyszłość; jeżeli wreszcie tępym milczeniem odpowiada na świadome lub nieświadome pytanie, jaki ostateczny, ponadosobowy, absolutny sens mają wszystkie wysiłki i wszelka działalność — to właśnie u ludzi prawych taki stan rzeczy wywołuje prawie zawsze skutek poniekąd paralizujący, który poprzez sferę intelektualną i etyczną może objąć też fizyczną, organiczną stronę jednostki. Ażeby mimo to, że epoka i otoczenie nie dają zadowalającej odpowiedzi na pytanie: po co? mieć chęć dokonania dzieła wielkiego, przerastającego miarę bezpośrednich nakazów — na to trzeba albo być wybitną i niezależną indywidualnością etyczną, co zdarza się rzadko i wymaga podłoża bohaterskiego, albo być obdarzonym potężną żywotnością. Ani jedno, ani drugie nie było udziałem Hansa Castorpa; tak więc był on chyba jednak przeciętny, choć w dodatnim i nie przynoszącym mu ujmy znaczeniu.

Mówiliśmy tu nie tylko o wewnętrznej postawie naszego młodzieńca w okresie jego pobytu w szkole, ale i o latach późniejszych, kiedy już wybrał sobie zawód. Co się tyczy szkoły, to musiał nawet czasem powtarzać tę czy ową klasę. Ale jakoś przepychał się naprzód, a pomagało mu w tym jego pochodzenie, jego wytworne obyczaje, a wreszcie wcale duże zdolności do matematyki, z którymi jednak nie łączyła się żadna namiętność. Kiedy już otrzymał świadectwo, uprawniające go do odbycia jednorocznej służby wojskowej, postanowił ukończyć jednak szkołę, prawdę powiedziawszy głównie dlatego, że w ten sposób przedłużał stan tymczasowości i braku decyzji i zyskiwał czas dla zastanowienia się nad pytaniem, czym by najbardziej chciał zostać. Hans Castorp nie miał o tym żadnego pojęcia, nie wiedział tego nawet w najwyższej klasie, a kiedy wreszcie decyzja zapadła (twierdzić, że to on sam się zdecydował, byłoby może już za wiele), czuł dobrze, że mogłaby była doskonale wypaść zupełnie inaczej.

Trzeba jednakże przyznać, że okręty zawsze bardzo go interesowały. Już jako mały chłopiec pokrywał kartki swoich notesów rysunkami kutrów rybackich, jedno- i wielomasztowców. Raz, gdy miał lat piętnaście, pozwolono mu przyglądać się z zarezerwowanego miejsca, jak w firmie „Blohm & Voss” spuszczano na wodę nowy dwuśrubowy parowiec pocztowy „Hansa”; namalował potem wodnymi farbami nowy wysmukły okręt z najdrobniejszymi szczegółami, a podobieństwo było tak uchwycone, że konsul Tienappel powiesił ten ładny obrazek w swoim prywatnym gabinecie; szklista zieleń falującego przeźrocza morskiego oddana była tak zręcznie i z takim wdziękiem, że ktoś dopatrzył się w tym nawet talentu i powiedział konsulowi, iż chłopiec może wyrosnąć na doskonałego marynistę. Konsul Tienappel mógł spokojnie o tej pochwiele opowiedzieć swojemu wychowankowi, bo

Hans Castorp uśmiechnął się tylko dobrodusznie i ani na chwilę nie zastanowił się nad możliwością podobnego wybryku i związanego z nim przymierania głodem.

— Wiele nie posiadasz — mawiał mu nieraz wuj Tienappel. — Majątek mój odziedziczą kiedyś James i Piotr, to znaczy pieniądze zostaną w przedsiębiorstwie, a Piotr będzie pobierał rentę. Twoja scheda jest dobrze umieszczona i przynosi ci pewny dochód. Ale żyć z procentów dzisiaj niełatwo, jeżeli nie ma się przynajmniej pięć razy tyle co ty, a jeżeli chcesz coś znaczyć w tym mieście i żyć tak, jak jesteś przyzwyczajony, musisz porządnie dorabiać, pamiętaj o tym, syneczku.

Hans Castorp pamiętał o tym i rozglądał się za jakimś fachem, którego ani przed sobą, ani przed ludźmi nie musiałby się wstydzić. Wreszcie wybrał sobie przyszłe zajęcie, a stało się to za namową starego Wilmsa z firmy „Tunder & Wilms”, który odezwał się raz przy wście do konsula Tienappla, że Hans Castorp powinien studiować budowę okrętów, że to jest myśl wyśmienita, bo weźmie go potem do siebie i będzie już miał oko na chłopca. Hans Castorp z dumą myślał o czekającym go zawodzie i był zdania, że chociaż wściekle skomplikowany i wyczerpujący, jest to jednak doskonały, ważny i wspaniały zawód, a dla jego spokojnego usposobienia w każdym razie o wiele odpowiedniejszy niż zawód jego kuzyna Ziemssena, syna przyrodniej siostry jego zmarłej matki, który koniecznie chciał zostać oficerem. Joachim Ziemssen miał przy tym niezupełnie zdrowe płuca, ale właśnie dlatego najlepsze było dla niego — myślał nie bez lekceważenia Hans Castorp — zajęcie związane z przebywaniem na powietrzu, nie wymagające, w gruncie rzeczy, nużącej pracy umysłowej. Dla pracy bowiem miał Hans Castorp najwyższy szacunek, chociaż jego osobiście praca trochę męczyła.

Wracamy tutaj do naszej poprzedniej uwagi, do przypuszczenia, że ujemny wpływ, jaki duch czasu wywiera na osobiste życie człowieka, może rozciągnąć się na jego stronę fizyczną. Jakżeż mógłby Hans Castorp nie szanować pracy? Byłoby to czymś zupełnie nienaturalnym. Tak jak się rzeczy miały, praca musiała wydawać mu się czymś bezwzględnie najbardziej godnym szacunku; właściwie nic poza nią nie zasługiwało na szacunek, ona była kierującą zasadą i naczelnym probierzem, absolutną wartością epoki, wartością samą w sobie. Szacunek jego dla pracy miał więc odcień religijny i nie ulegał, jak mu się zdawało, żadnym wątpliwościom. Ale zupełnie innym pytaniem było, czy lubił pracę; bez względu na cały szacunek, nie był do tego zdolny, a to z tego prostego powodu, że mu szkodziła. Wyteżona praca denerwowała go i prędko nużyła; przyznawał się też zupełnie otwarcie, że właściwie woli wolny czas, niczym nie zapełniony, nie obciążony pudowym ciężarem wysiłku, otwarty i rozległy, nie posiekany na części przeszkodami, które ze zgrzyta-

niem zębów trzeba pokonywać. Ta sprzeczność w jego stosunku do pracy wymaga właściwie rozwiązania. Płynęła ona stąd może, że zarówno jego umysł, jak i ciało (przede wszystkim umysł, a pośrednio ciało) byłyby bardziej skłonne do pracy i większą w niej znajdowały radość, gdyby na dnie swojej duszy, tam gdzie już się niezupełnie dobrze orientował, umiał wierzyć w pracę jako wartość bezwzględną i samą w sobie i uzyskać w ten sposób spokój wewnętrzny. I tutaj znowu wyłania się pytanie co do jego przeciętności czy ponadprzeciętności, ale nie chcemy go rozstrzygać. Bo nie mamy zamiaru chwalić tu Hansa Castorpa i pozwalamy przypuszczać, że praca stanowiła w jego życiu po prostu pewną przeszkodę w beztróskim paleniu cygar marki „Maria Mancini”.

Powołania do służby wojskowej zdołał w swoim czasie uniknąć. Cała jego istota była jej przeciwna i potrafiła zapobiec powołaniu. A może też dr Eberding, lekarz sztabowy, który bywał przy Harvestehuder Weg, dowiedział się kiedyś w rozmowie od konsula Tienappla, że nałożenie zbroi stanowiłoby dla młodego Castorpa przykrą przerwę w studiach, które dopiero co rozpoczął poza rodzinnym, miastem.

Jego mózg, pracujący powoli i z umiarem, jako że Hans Castorp i w nowym otoczeniu zachował uspokajający zwyczaj używania do śniadania porteru, wypełnił się geometrią analityczną, rachunkiem różniczkowym, mechaniką, geometrią wykreślną, grafostatystyką, i chociaż czasami miał już tego po uszy, obliczał odchylenia z obciążeniem i bez obciążenia, stałość równowagi, przesuwanie ładunku i metacentrum. Jego rysunki techniczne, te wszystkie szkice szpag, poziomu zanurzenia i przekroje podłużne, nie były równie udane jak ów obrazek przedstawiający „Hansę” na pełnym morzu, ale gdy chodziło o unaocznienie tworów abstrakcji, o cieniowanie tuszem i przedstawienie przekrojów poprzecznych za pomocą żywych, naturalnych barw — Hans Castorp prześcigał większość swoich kolegów.

Kiedy podczas wakacji przyjeżdżał do domu, bardzo elegancki i świetnie ubrany, z krótkim rudoblond wąsikiem, ożywiającym jego senny, patrycjuszowski wyraz twarzy, i niewątpliwie w przededniu świetnej kariery życiowej, wtedy współobywatele, którzy zajmowali się sprawami komunalnymi i byli dobrze poinformowani o stosunkach rodzinnych i osobistych (a w wolnych miastach posiadających autonomię większość mieszkańców orientuje się w tych kwestiach), przyglądali mu się uważnie i zadawali sobie pytanie, jaką też rolę odegra kiedyś młody Castorp w życiu publicznym. Miał przecie za sobą tradycje, nazwisko jego było stare i dobre, wiedziano, że niechybnie nadejdzie taki dzień, kiedy z jego osobą trzeba będzie się liczyć jako z czynnikiem politycznym. Będzie wtedy zasiadał w radzie lub w jej zarządzie, będzie wydawał ustawy, będzie obleczony w jakąś honorową

godność, brał udział w troskach związanych z suwerennością miasta, będzie członkiem jakiegoś wydziału administracyjnego, może delegacji finansowej, a może komisji budowlanej, ludzie będą go słuchali i liczyli się z jego zdaniem. Można się było zastanawiać, do jakiej partii przyłączy się ten młody Castorp. Pozory mogły mylić, ale prawdę mówiąc, wyglądał całkiem tak, jak nie wygląda nikt, na kogo mogą liczyć demokraci, i podobieństwo do dziadka było niezaprzeczone. Może będzie się na nim wzorował, może będzie elementem konserwatywnym, hamującym? Było to zupełnie możliwe, ale równie dobrze mogło stać się wręcz przeciwnie, bo przecie był inżynierem, przyszłym budowniczym okrętów, człowiekiem związanym z zagadnieniami techniki i światowej komunikacji. Więc może się zdarzyć, że Hans Castorp przyłączy się do radykałów, że będzie bezwzględnie zrównywał z ziemią stare budowle i niszczył romantyczne piękno krajobrazu, pozbawiony wszelkiego pietyzmu, jak Amerykanin; może będzie wolał raz na zawsze zerwać z szacownymi tradycjami niż dbać o powolny rozwój naturalnych warunków życiowych, może będzie skłonny do narażania państwa na ryzykowne eksperymenty — tak, to też było możliwe. Czy będzie miał we krwi poszanowanie dla przedstawicieli Jego Mości Rozsądku, przed którymi podwójna straż u wejścia do ratusza prezentuje broń, czy też raczej zbliży się do opozycyjnego odłamu obywatelstwa? Z jego niebieskich oczu pod rudawoblond brwiami nie można było wyczytać żadnej odpowiedzi na te pytania, budzące ciekawość współobywateli, a i on sam, Hans Castorp, ta nie zapisana kartka, nie umiałby ich rozstrzygnąć.

Kiedy puścił się w podróż, podczas której poznaliśmy go, miał rok dwudziesty trzeci. Miał już poza sobą cztery półrocza studiów na politechnice gdańskiej i cztery następne, które spędził w wyższych szkołach politechnicznych w Brunświku i Karlsruhe, a niedawno zdał pierwszy z egzaminów ostatecznych, nie nadzwyczajnie i bez tuszu orkiestry, ale z zupełnie przyzwoitym rezultatem. Teraz miał zamiar wstąpić na praktykę do firmy „Tunder & Wilms”, jako inżynier-wolontariusz, aby w stoczni zdobyć wiedzę praktyczną. W tym miejscu w życiu Hansa Castorpa dokonał się zwrot następujący.

Do egzaminu uczy się intensywnie i wytrwale, więc kiedy wrócił do domu, wyglądał gorzej, niż przystało jego typowi. Doktor Heidekind robił mu wyrzuty, ilekroć go spotykał, i zalecał mu zmianę klimatu, ale gruntowną. Tym razem Norderney ani Wyk na wyspie Föhr nie mogą wystarczyć, a jeżeli go się już radzą, to jego zdaniem Hans Castorp przed rozpoczęciem pracy w warsztatach powinien na kilka tygodni pojechać w góry.

Konsul Tienappel nie miał nic przeciwko temu, powiedział tylko siostrzeńcowi,

że drogi ich tego lata muszą się rozejść, ponieważ on nawet czterema końmi nie da się wciągnąć tak wysoko; jego organizm nie znosi gór, wymaga przyzwoitego ciśnienia. Więc niech Hans Castorp będzie łaskaw sam jechać. I niech odwiedzi przy tym Joachima Ziemssena.

Propozycja ta była zupełnie na miejscu. Joachim Ziemssen był mianowicie chory, nie tak jak Hans Castorp, tylko naprawdę, i to bardzo poważnie; stan jego zdrowia budził nawet wielkie obawy. Zawsze miał skłonność do katarów i gorączki, a kiedy pewnego dnia pokazała się krew w plwocinie, musiał na łeb, na szyję jechać do Davos, ku swojemu wielkiemu zmartwieniu, bo właśnie był u celu swych dążeń. Przez kilka semestrów, zgodnie z wolą rodziny, studiował prawo, a potem nie mógł już dłużej opierać się swoim najgorętszym pragnieniom; rzucił uniwersytet i wstąpił do szkoły podchorążych. A teraz od przeszło pięciu miesięcy siedział w Międzynarodowym Sanatorium „Berghof” (lekarz naczelny: radca dworu doktor Behrens) i nudził się śmiertelnie, jak donosił w kartkach pocztowych. Jeżeli więc Hans Castorp przed wstąpieniem do firmy „Tunder & Wilms” chciał już zrobić coś niecoś dla swego zdrowia, to było najrozsądniej, żeby również pojechał do Davos i pobyl trochę ze swym biednym kuzynem. Dla obu stron było tak najlepiej.

Lato dobiegało już zenitu, kiedy Hans Castorp zdecydował się w ostatnich dniach lipca na tę podróż.

Pojechał na trzy tygodnie.

## Rozdział trzeci

### Godne zasepienie się

Hans Castorp bał się, że się obudzi za późno, bo był przecież tak straszliwie zmęczony. Wstał jednak wcześniej, niż było potrzeba, i miał dosyć czasu, aby spokojnie i dokładnie wykonać swoje poranne zabiegi toaletowe, zabiegi niezmiernie kulturalne, w których odgrywały główną rolę gumowa wanienska, zielone mydło lawendowe w drewnianej miseczce i pędzel do golenia. Myjąc się i ubierając rozpakowywał jednocześnie i porządkował swoje rzeczy. Kiedy przesuwiał srebrzoną brzytwą po policzkach, okrytych pachnącą pianą mydlaną, przypominał sobie swoje pogmatwane sny i, uśmiechając się z politowaniem, z uczuciem wyższości człowieka, który goli się w dziennym świetle rozsądku, potrząsał głową nad tym stekiem nonsensów. Nie czuł się zanadto wypoczęty, ale rano nappełniał go jednak świeżością.

Wycierając sobie ręce ręcznikiem, z upudrowanymi policzkami, w fildekosowych kałesonach i czerwonych safianowych pantoflach wyszedł na balkon, który przebiegał wzdłuż całej ściany domu; ścianki z matowego szkła, nie dochodzące do samej bariery, dzieliły go na szereg odcinków, z których każdy należał do innego pokoju. Rano było chłodno i chmurno. Długie ławice mgły leżały nieruchomo z obu stron przed górami, a dalej leżące szczyty pokrywała skłębiona masa białych i szarych chmur. Tu i ówdzie wyglądały plamy lub pasma błękitnego nieba, a w promieniach przedzierającego się słońca domy położone w dolinie połyskiwały bielą na tle ciemnych lasów świerkowych, porastających zbocza. Skądśś dolatywały dźwięki porannej muzyki, prawdopodobnie z tego samego hotelu, w którym i wczoraj wieczór odbywał się koncert. Po przytłumionych akordach chorału nastąpiła pauza, po czym zagrano marsza i Hans Castorp, który bardzo lubił muzykę, bo działała na niego podobnie jak porter do śniadania: uspokajała go, oszołamiała i skłaniała do zagapienia się — słuchał zadowolony, z głową pochyloną na bok, z otwartymi ustami i trochę zaczerwienionymi oczami.

W dole wiała się serpentyna drogi, którą wczoraj jechał do sanatorium. W wilgotnej trawie zbocza kwitły gwiazdziste gencjany na krótkich łodygach. Część terenu, zamieniona w ogród, była otoczona parkanem; widać było ścieżki wysypane żwi-

rem, klomby kwiatów i sztuczną grootę u stóp okazałej jodły. Wielka, blachą kryta weranda, na której stały leżaki, otwierała się na południe, a obok niej sterczał brązowo pomalowany słup, z którego zwisała niekiedy chorągiew — fantazyjna chorągiew zielona i biała, z laską Eskulapa, emblematem medycyny, pośrodku.

Po ogrodzie spacerowała jakaś starsza pani o wyglądzie ponurym, a nawet tragicznym. Była ubrana całkiem czarno, czarne szpakowate włosy owinięte miała czarnym woalem i bezustannie przemierzała równym i szybkim krokiem ścieżki, zginając przy tym kolana i sztywnie zwieszając ku dołowi ręce. Spod czoła, poprzecinanego poprzecznymi bruzdami, nieruchomo patrzyły czarne jak węgiel oczy, pod którymi zwisały worki pomarszczonej skóry. Jej starzejąca się, blada twarz, o typie południowym, z dużymi zgorzkniałymi ustami, których jeden kąt opuszczony był w dół, przypomniła Hansowi Castorpowi widzianą gdzieś podobiznę pewnej sławnej tragiczki; widok tej czarnej i bladej kobiety, która zapewne bezwiednie stawiała swe długie, stroskane kroki w takt dolatującego marsza, był zaiste niesamowity.

Hans Castorp spoglądał na nią z zadumą i współczuciem; miał wrażenie, że smutek tej postaci rzuca cień na poranne słońce. Równocześnie jednak doszło do jego świadomości coś innego, coś wyraźnie dosłyszalnego, jakieś odgłosy pochodzące z sąsiedniego pokoju po lewej stronie, zajmowanego, jak mu powiedział Joachim, przez rosyjskie małżeństwo. Odgłosy te stanowiły również kontrast z wesołym, świeżym porankiem i sprawiały wrażenie czegoś lepkiego i brudnego. Hans Castorp przypomniawszy sobie, że je słyszał już wczoraj wieczorem, ale wskutek zmęczenia nie zwrócił na nie uwagi. Było to jakby zmaganie się, chichotanie i sapanie, i nieprzyzwoite znaczenie tych dźwięków nie mogło długo pozostawać dla niego niejasne, chociaż z początku, z wrodzonej dobroduszości, starał się wytłumaczyć je sobie niewinnie. Można by dobroduszości dać jeszcze jedno miano, można by ją na przykład nieco banalnie nazwać wewnętrzną czystością albo, poważnie i pięknie: wstydlivością, albo, niepochlebnie: niechęcią do prawdy i świętoszkowatością, albo nawet pewnego rodzaju mistycznym lękiem i religijnością. W reakcji Hansa Castorpa na te odgłosy było po trosze z tego wszystkiego, a fizjonomicznym jej wyrazem było godne zasepienie się jego oblicza, jak gdyby nie powinien był i nie chciał nic wiedzieć o tym, co słyszał — mina wielce obyczajna, która nie była zupełnie oryginalna, którą jednak przybierał zwykle w pewnych okolicznościach.

Z taką więc miną cofnął się do pokoju, żeby nie podsłuchiwać dłużej czynności, które, chociaż towarzyszyły im chichoty, wydawały mu się poważne, a nawet wstrząsające. Ale w pokoju było słyhać jeszcze wyraźniej, co się działo za ścianą.



Było to jakby uganianie się dokoła mebli, przewróciło się jakieś krzesło, potem ktoś kogoś schwycił, rozległo się klepanie i pocałunki, a do tego wszystkiego dołączyły się teraz dźwięki walca, ograne melodie znanego szlagiera, i stworzyły muzyczne tło dla niewidocznej sceny. Hans Castorp stał w miejscu, z ręcznikiem w ręku, i słuchał wbrew swej woli. Nagle zaczerwienił się pod warstwą pudru, bo nastąpiło to, czego oczekiwał, i zabawa z całą pewnością przeszła w akt zwierzęcy. Psiakrew, do diabła! — pomyślał i odwrócił się, aby umyślnie hałaśliwie dokończyć swej toalety. No, to mąż i żona, na szczęście, pod tym względem wszystko jest w porządku. Ale w jasny dzień, to trochę za wiele, i zdaje mi się, że wczoraj wieczorem także nie zachowywali się spokojnie. Przecie skoro są tutaj, muszą być chorzy, w każdym razie jedno z nich, więc powinni by się trochę szanować. Ale najgorsze z tego wszystkiego, myślał ze złością, jest to, że ściany są takie cienkie i że wszystko dokładnie słychać. Tego nie będzie przecież można wytrzymać! Oszczędny sposób budowania, haniebnie oszczędny! Czy też zetknę się z tymi ludźmi lub nawet będę im przedstawiony? To byłoby w najwyższym stopniu nieprzyjemne. W tej chwili Hans Castorp zdziwił się, zauważył bowiem, że zaczerwienienie jego policzków, które wystąpiło po goleniu, nie znika — zaczerwienienie czy też tylko towarzyszące mu uczucie palenia twarzy; były to takie same wypieki jak te, które mu dokuczały już wczoraj wieczorem; opuściły go tylko chwilowo na czas snu i przy tej sposobności znowu się pojawiły. To go bynajmniej nie nastroiło bardziej przyjaźnie względem rosyjskich sąsiadów; wydawszy wargi rzucił w ich stronę jakieś brzydkie wyzwisko, po czym popełnił poważny błąd, bo próbował zimną wodą chłodzić sobie twarz, co jeszcze pogorszyło jego przykry stan. Dlatego też odpowiedział głosem zdradzającym rozdrażnienie Joachimowi, który zawołał pukając przy tym w ścianę, a kiedy kuzyn wszedł do jego pokoju, Hans Castorp niezupełnie wyglądał na człowieka tchnącego poranną świeżością.

## Śniadanie

Dzień dobry — powiedział Joachim. — To więc była twoja pierwsza noc tutaj w górze. Czy jesteś zadowolony?

Joachim był gotów do zejścia, ubrany po sportowemu, w grubych, mocnych butach, a przez ramię przewieszzone miał angielskie palto, w którego kieszeni zarysowywała się wyraźnie płaska flaszeczka. Również i dzisiaj był bez kapelusza.

— Dziękuję — odrzekł Hans Castorp — jako tako. Nie chcę przesądzać sprawy,

ale miałem trochę przykre sny, a poza tym dom ma tę wadę, że jest zanadto akustyczny, to trochę przeszkadza. Kto to jest ta czarna dama tam w ogrodzie?

Joachim domyślił się natychmiast, o kogo chodzi.

— A, to jest Tous-les-deux — odpowiedział. — Tak ją tu wszyscy nazywamy, bo tylko te słowa można od niej usłyszeć. Jest Meksykanką, nie umie ani słowa po niemiecku, a po francusku także prawie nic. Jest tu od pięciu tygodni u swego starszego syna, beznadziejnie chorego, który już wkrótce skończy; ma to już wszędzie; można powiedzieć, że jest na wskroś zatruty, a Behrens mówi, że to przy końcu wygląda prawie tak jak tyfus, w każdym razie dla otoczenia zupełnie niezdolnie. Przed dwoma tygodniami przyjechał tu drugi syn, bo chciał jeszcze zobaczyć się z bratem — prześliczny chłopak, jak i tamten zresztą — obaj są prześlichni, mają tak ogniste spojrzenie, że kobiety szalały za nimi. Otóż ten młodszy kaszlał trochę już na dole, ale poza tym był zupełnie zdrowy. I wyobraź sobie, zaledwie się tutaj znalazł, dostał gorączki, i to od razu 39,5, najwyższa gorączka, rozumiesz — położył się do łóżka i, jak mówi Behrens, jeżeli się jeszcze w ogóle podniesie, to będzie sobie mógł powinszować. W każdym razie, mówi Behrens, był już najwyższy czas, żeby tu przyjechał. Tak, a ich matka, o ile nie siedzi przy nich, chodzi ciągle tam i z powrotem i gdy do niej przemówić, odpowiada tylko: Tous les deux!, bo nic więcej nie umie powiedzieć, a chwilowo nie ma tu nikogo, kto by mówił po hiszpańsku.

— Ach, więc to tak się rzeczy mają — powiedział Hans Castorp. — Czy też ona i mnie powie to samo, kiedy ją poznam? To byłoby dziwne — zabawne i niesamowite zarazem. — I znowu poczuł, jak wczoraj, że oczy mu ciąży i palą go, jak po długim płaczu, i znowu nabrały owego blasku, który rozniecił w nich wczoraj niezwykły kaszel sportsmena. Teraz dopiero odnalazł kontakt z dniem wczorajszym, poczuł się na płaszczyźnie aktualnej rzeczywistości, bo od przebudzenia się aż do tej chwili jakoś nie bardzo tak było.

— Zresztą, jestem gotów — oznajmił, skropił chustką wodą lawendową i zwilżył sobie czoło i policzki pod oczyma. — Jeżeli chcesz, możemy tous les deux zejść na śniadanie — żartował swawolnie. Joachim spojrzał na niego łagodnie i uśmiechnął się zagadkowo, melancholijnie i jakby trochę drwiąco — dlaczego, to była już jego rzecz.

Hans Castorp, sprawdzwszy, że ma pełną papierošnicę w kieszeni, wziął laskę, palto, a na przekór i kapelusz — był bowiem zanadto pewny swoich form i swego ułożenia, żeby tak łatwo i na przeciąg trzech krótkich tygodni poddać się nowym i obcym zwyczajom, i wyszedł razem z kuzynem. Schodząc na dół Joachim wska-

zywał na niektóre drzwi i wymieniał nazwiska mieszkańców, niemieckie i cudzoziemskie, o najróżniejszym brzmieniu, dodając przy tym uwagi o charakterach tych osób i stopniu choroby.

Spotykali gości wracających już ze śniadania; Hans Castorp grzecznie zdejmował kapelusz, kiedy Joachim mówił komuś dzień dobry. Był lekko niespokojny i nerwowy, jak młody człowiek, który ma się właśnie przedstawić licznemu towarzystwu, a czuje przy tym wyraźnie, że ma mętne spojrzenie i wypieki na twarzy, co zresztą słuszne było tylko częściowo, bo był raczej blady.

— Ach tak, póki nie zapomnę! — powiedział nagle z pewną gwałtownością w głosie. — Możesz mnie przedstawić tej pani w ogrodzie, jeśli tak się złoży, nie mam nic przeciwko temu. Może nawet wciąż powtarzać swoje *tous les deux*, niech tam, jestem przecież na to przygotowany, rozumiem znaczenie tych słów i potrafię zrobić właściwą minę. Ale z tym rosyjskim małżeństwem nie chcę zawierać znajomości, słyszysz? Kategorycznie nie chcę. To są ludzie bardzo źle wychowani, a jeżeli już muszę przez te trzy tygodnie mieszkać w ich sąsiedztwie i inaczej tego nie można urządzić, to przynajmniej nie chcę znać się z nimi. Wypraszam to sobie z całą stanowczością i uważam, że mam do tego zupełne prawo...

— Dobrze — odparł Joachim. — Czy aż tak bardzo ci przeszkadzali? Tak, to są poniekąd barbarzyńcy, jednym słowem ludzie niecywilizowani, uprzedzałem ci przecie. On schodzi do jadalni w jakiejś skórzanej kurtce, okropnie wytartej, mówię ci — zawsze mnie dziwi, że Behrens na to pozwala. A ona też nie jest z tych najschłodniejszych, pomimo swego kapelusza z piórem. Ale możesz być zupełnie spokojny, oni siedzą daleko od nas, przy gorszym rosyjskim stole — bo jest także lepszy stół rosyjski, przy którym siedzą bardziej nobliwi Rosjanie. Nie ma żadnej możliwości, żebyś się do nich zbliżył, nawet gdybyś tego chciał. Tutaj w ogóle niełatwo jest zawierać znajomości, chociażby dlatego, że między gośćmi jest tylu cudzoziemców; ja sam, chociaż już tu siedzę tak dawno, osobiście znam bardzo niewiele osób.

— Kto z nich dwojga jest chory? — zapytał Hans Castorp. — On czy ona?

— Zdaje mi się, że on. Tak, tylko on — odpowiedział Joachim z widocznym roztargnieniem, podczas gdy się rozbierali w garderobie przed jadalnią. A potem weszli do jasnej, łagodnie sklepionej sali, w której rozlegało się mnóstwo głosów, dźwięczały talerze, a kelnerki uwijały się z dymiącymi dzbankami.

W jadalni stało siedem stołów, pięć wzdłuż, a dwa w poprzek sali. Były to stoły duże, obliczone każdy na dziesięć osób, chociaż gdzieś brakowało nakryć. Hans Castorp przeszedł tylko kilka kroków, na ukos przez salę, i był już na swoim miejscu; wyznaczono mu je po wąskiej stronie stołu, który stał wzdłuż pokoju,

z przodu, pomiędzy dwoma stołami poprzecznymi. Stanąwszy za swoim krzesłem, Hans Castorp uklonił się sztywno, ale grzecznie swoim współbiesiadnikom, zaledwie na nich patrząc, a Joachim wymienił ceremonialnie nazwiska, które nie doszły jednak do świadomości nowo przybyłego. Zauważył jedynie panią Stöhr, zarówno jej osobę, jak i nazwisko, i spostrzegł, że miała czerwone policzki i tłuste, szaroblond włosy. Twarz jej wyrażała tak tępą ignorancję, że z łatwością uwierzyć było można w braki jej wykształcenia.

Hans Castorp usiadł i z przyjemnością stwierdził, że pierwsze śniadanie traktowano tu jako ważny posiłek.

Roznoszono ryż na mleku i owsiankę, półmiski z jajecznicą i zimnym mięsem, na stole rozstawione były czarki z marmoladą i miodem oraz masło w ogromnych ilościach; ktoś uniósł szklany klosz, aby ukroić sobie kawałek wilgotnego sera szwajcarskiego, a środek stołu zajmował talerz ze świeżymi i suszonymi owocami. Jedna z usługujących panienek, ubrana biało i czarno, spytała Hansa Castorpa, co będzie pił: kakao, kawę czy herbatę? Była niziutka, miała wzrost dziecka, ale twarz starą i wydłużoną — karlica, jak z przerażeniem stwierdził Hans Castorp. Spojrzał na kuzyna, ale ponieważ ten wzruszył tylko obojętnie ramionami i ściągnął brwi, jakby chciał powiedzieć: „No, więc cóż z tego?” — musiał pogodzić się z faktami i poprosił o herbatę, z wyszukaną grzecznością — ponieważ mówił z karlicą. Potem zabrał się do ryżu na mleku, z cynamonem i cukrem, podczas gdy jego spojrzenie błądziło po innych potrawach, na które miał ochotę, a również po gościach, kolegach i towarzyszach niedoli Joachima, z których każdy trawiony był chorobą, a wszyscy jedli śniadanie wśród spokojnej pogawędki.

Sala jadalna była utrzymana w tym nowoczesnym stylu, w którym prostota i rzeczowość łączą się z pewną domieszką fantazji. W stosunku do swej długości była niezbyt szeroka; otaczał ją rodzaj krużganku, w którym stały pomocnicze stoliki i który wielkimi łukami oddzielony był od wnętrza sali, zastawionego siedmiu długimi stołami. Słupy do połowy wysokości obłożone były drzewem, politurowanym na drzewo sandałowe, a wyżej, podobnie jak i górna część ścian i sufitu, pobielane; na ich białym tle widniały różnokolorowe pasy, niewyszukane i wesołe szablony, które zachodziły aż na zebra płaskiego sklepienia. Kilka świeczników elektrycznych z błyszczącego mosiądzu zdobiło salę; każdy z nich składał się z trzech pierścieni, umieszczonych jeden pod drugim i połączonych misterną plecionką, a z ostatniego pierścienia zwisały, jak małe księżycy, klosze z mlecznego szkła. W pokoju było czworo drzwi. Dwoje w jednej ze ścian dłuższych prowadziło na wysuniętą poza dom werandę, jedno po lewej stronie — do hallu, czwarte wreszcie, którymi wszedł

Hans Castorp — wprost do sieni — bo Joachim poprowadził go dzisiaj innymi schodami niż wczoraj wieczorem.

Po jego prawej ręce siedziała jakaś niepozorna osóbką, czarno ubrana, z puszką na pałającej gorączką twarzy; wydała mu się szwaczką lub domową krawcową, może także dlatego, że śniadanie jej składało się wyłącznie z kawy i bułek z masłem, a od niepamiętnych czasów wyobrażenie domowej krawcowej łączyło się u niego z wyobrażeniem kawy i bułek z masłem. Z lewej strony siedzieli: jakaś niemłoda już panna, Angielka, bardzo brzydka, z chudymi, odmrożonymi palcami — czytała listy z domu, pisane okrągłymi literami, i popijała mocną herbatę koloru krwi, dalej Joachim, a obok niego pani Stöhr, ubrana w szkocką wełnianą bluzkę. Podczas jedzenia trzymała przy twarzy lewą dłoń zwiniętą w kułak i kiedy z kimś rozmawiała, wyraźnie starała się robić inteligentną minę, podnosząc górną wargę i obnażając przy tym wąskie i długie, zajęcze zęby. Obok niej zajął miejsce i jadł w milczeniu jakiś młodzieniec z małym wąsikiem i wyrazem twarzy człowieka, który ma w ustach coś niesmacznego. Wszedł do sali, kiedy Hans Castorp był już przy stole; w przejściu, nie patrząc na nikogo, ukłonił się krótkim ruchem głowy i usiadł, dając swoim zachowaniem się wyraźnie do zrozumienia, że nie chce, aby mu przedstawiono nowego gościa. Może był zbyt ciężko chory, by interesować się jeszcze otoczeniem i przywiązywać wagę do zewnętrznych form. Przez chwilę siedziała naprzeciwko niego wyjątkowo chuda młoda panienka z jasnymi włosami, która wylała sobie na talerz butelkę jogurtu, prędko go zjadła łyżką i natychmiast odeszła.

Towarzystwo przy stole nie było zbyt ożywione. Joachim prowadził konwencjonalną rozmowę z panią Stöhr, pytał ją, jak się czuje, i okazał uprzejmie współczucie, słysząc, że niedobrze. Skarżyła się na „oklapnięcie”. „Jestem taka klapnięta!” — powiedziała ciągnąc sylaby i krygując się bardzo niekulturalnie. Miała rano już 37,3, więc co dopiero będzie po obiedzie. Szwaczka oznajmiła, że ma zupełnie taką samą temperaturę, ale że, przeciwnie, czuje się podniecona, że jest w ciągłym naprężeniu i niepokoju, jak gdyby oczekiwała czegoś ważnego i rozstrzygającego, jest to jednak niepokój czysto fizyczny, bez żadnych przyczyn psychicznych. Mówiła zupełnie poprawnie, prawie uczenie, więc chyba nie była szwaczką. Jej podniecenie, a więcej jeszcze opowiadanie o nim, nie podobało się Hansowi Castorpowi, wydało mu się nie na miejscu, a nawet bardzo niewłaściwe u tak niepozornego i nic nie znaczącego stworzenia. Zapytał po kolei szwaczkę i panią Stöhr, jak długo są już tutaj w górze (pierwsza mieszkała w sanatorium od pięciu, a druga od siedmiu miesięcy), pogrzebał w swej angielszczyźnie, żeby się poinformować u swojej sąsiadki na prawo, jaką to ona pije herbatę (był to odwar z głogu), i czy

jest smaczna, co znów ona z zapalem potwierdziła, i rozglądał się wokół; jedni goście wchodzili do sali, inni z niej wychodzili: pora pierwszego śniadania nie była ściśle określona.

Przed zejściem na dół Hans Castorp obawiał się przykrych wrażeń, ale teraz był mile rozczarowany: nastrój w jadalni był zupełnie wesoły i nie miało się uczucia, że się jest w jakimś przybytku udręki. Brązowa od słońca młodzież obojga płci wchodziła tu podśpiewując, wdawała się w rozmowy z kelnerkami i z niesłychanym apetytem zabierała się do śniadania. Obok chłopców dopiero dorastających nie brakło też osób starszych, małżeństw; pewna rodzina, wraz z dziećmi, mówiła po rosyjsku. Prawie wszystkie panie miały na sobie obcisłe wełniane lub jedwabne kaftaniki, wchodzące wówczas w modę swetry, białe i kolorowe, z wykładanymi kołnierzymi i z kieszeniami po bokach; wyglądały ładnie, kiedy stały i gawędziły z sobą, trzymając obie ręce w tych kieszeniach. Przy niektórych stołach pokazywano sobie fotografie, z pewnością nowe zdjęcia własnej roboty; przy jednym ze stołów wymieniano między sobą znaczki pocztowe. Rozmawiano o pogodzie, o tym, jak kto spał dzisiaj w nocy i jaką miał rano temperaturę w ustach. Goście byli przeważnie w dobrym humorze, prawdopodobnie bez specjalnego powodu i tylko dlatego, że nie mieli żadnych bezpośrednich kłopotów i że towarzystwo było tu licznie zebrane. Niektórzy siedzieli jednak odosobnieni, z głowami wspartymi na dłoniach, i nieruchomo patrzyli przed siebie. Nie przeszkadzano im w tym i nie zwracano na nich uwagi.

Nagle Hans Castorp wstrząsnął się, rozzłoszczony i zarazem obrażony. Jakieś drzwi trzasnęły — były to drzwi prowadzące wprost do hallu — ktoś trzasnął nimi mimo woli albo nawet zatrasnął je za sobą; był to rodzaj hałasu, którego Hans Castorp nie znosił, którego przez całe życie nienawidził. Ta nienawiść mogła być owocem dobrego wychowania albo też jakiejś wrodzonej idiosynkrazji — dość że miał wstręt do trzaskania drzwiami i gotów był bić każdego, kto się go dopuścił w jego obecności. Na domiar złego, drzwi, o których mowa, były oszklone wielką ilością małych szybek, co jeszcze bardziej przyczyniło się do wzmożenia hałasu: był to trzask i brzęk jednocześnie. Pfe, pomyślał Hans Castorp z wściekłością, cóż to za wstrętne niedbalstwo! Ale nie miał czasu na stwierdzenie, kto był tym winowajcą, bo w tej samej chwili szwaczka o coś go zagadnęła. Kiedy jej odpowiadał, pionowe zmarszczki między jasnymi brwiami przecinały jeszcze jego czoło, a twarz wykrzywiona była grymasem złości.

Joachim zapytał, czy lekarze odbyli już wizytę. Tak, pierwszy raz już tu byli, odpowiedział mu ktoś; opuścili salę nieomal w chwili, w której obaj kuzyni weszli.

— W takim razie możemy już wstać i odejść — powiedział Joachim. Okazja do przedstawienia Hansa nadarzy się w ciągu dnia. Ale we drzwiach o mało nie zderzyli się z radcą dworu Behrensem, który szybko wchodził w towarzystwie dra Krokowskiego.

— Hopla, ostrożnie, panowie! — rzekł Behrens. — To mogłoby się smutno skończyć dla naszych odcisków. — Mówił akcentem wyraźnie dolnosaskim, szeroko i jakby żując. — A, to pan! — zwrócił się do Hansa Castorpa, którego mu Joachim, stuknąwszy obcasami, właśnie prezentował — bardzo mi przyjemnie, — I podał młodemu człowiekowi rękę, wielką jak łopata. Był to człowiek kościsty, o dobre trzy głowy wyższy od doktora Krokowskiego, już zupełnie siwy, z grubym karkiem, wypukłymi, niebieskimi, zażawionymi i przekrwionymi oczami, zadartym nosem i krótko przystrzyżonym wąsikiem, tworzącym krzywą linię wskutek jednostronnego uniesienia górnej wargi. To, co Joachim powiedział o jego policzkach, było zupełną prawdą: były sine; tak więc jego głowa odcinała się barwnie od białego chirurgicznego fartucha sięgającego poza kolana; poniżej widać było szare spodnie w paski i nogi olbrzymiej wielkości, tkwiące w żółtych, podniszczonych sznurowanych butach. Dr Krokowski był również w stroju lekarskim, ale jego chałat był czarny, z błyszczącego materiału — miał krój jakby koszuli i gumki u przegubów rąk — i silnie uwydatniał bladość asystenta. Dr Krokowski zachowywał się tak właśnie, jak asystentowi przystało, nie brał bynajmniej udziału w powitaniu, ale krytyczne skrzywienie jego ust świadczyło, że swoje podrzędne stanowisko odczuwa jako coś dziwnego.

— Kuzyni? — spytał radca dworu, wskazując palcem to na jednego, to na drugiego i spoglądając od dołu swymi przekrwionymi niebieskimi oczami... — Czy i ten chce także? — zwrócił się do Joachima, dając znak głową w kierunku Hansa Castorpa... — Ale gdzie tam! Co, prawda? Od razu spostrzegłem — zaczął mówić już wprost do Hansa Castorpa — że pan ma w sobie coś z cywila, coś wytwornego, nie chciałby pan pobrzękiwać szabelką, jak ten oto syn Marsa. Lepszy byłby z pana pacjent niż z tamtego, na pewno, mogę się założyć. Mam już takie oko, że od razu poznaję, czy ktoś jest materiałem na przyzwoitego pacjenta, bo do tego trzeba mieć talent, jak do wszystkiego, a ten Myrmidon nie ma go ani troszeczkę. Może do musztry, tego nie wiem, ale na pewno nie do chorowania. Czy pan da wiarę, że on ciągle chce stąd uciekać? Wiecznie mnie zanudza i zamęcza i już nie może doczekać się chwili, kiedy go tam na dole znowu wezmą w obroty. Co za nadmiar gorliwości! Nawet pół roku nie chce nam poświęcić. A przecie tu u nas wcale nie jest źle. No, Ziemssen, niech pan sam powie, czy u nas jest źle? Pański kuzyn na pewno zdoła nas lepiej ocenić i potrafi tutaj przyjemnie czas spędzić! Pań nie brak tu także,

i to najmilszych, jakie w ogóle istnieją. Przynajmniej z zewnątrz przedstawiają się niektóre bardzo malowniczo. Ale pan musi koniecznie nabrać trochę kolorów, bo inaczej nie będzie pan miał powodzenia. Wprawdzie złote drzewo życia jest wiecznie zielone, jak powiedział Goethe, ale zielona cera nie jest bynajmniej na miejscu. Najwyraźniejsza anemia — rzekł, obcesowo podchodząc do Hansa Castorpa i ściągając mu środkowym i wskazującym palcem dolną powiekę. — Naturalnie, najwyraźniejsza anemia, jak mówiłem. Wie pan co? To wcale nie było takie głupie z pana strony, że pan na pewien czas rozstał się ze swoim Hamburgiem. Ten Hamburg to wcale niezła instytucja: jego wilgotna meteorologia dostarcza nam stale dość liczne kontyngenty pacjentów. Ale jeżeli mi wolno przy tej sposobności udzielić panu skromnej porady — tak zupełnie sine pecunia, rozumie pan — to niech pan tu przez czas swego pobytu robi to wszystko, co robi pana kuzyn. Na pana miejscu nie można uczynić nic rozsądniejszego niż żyć przez pewien czas tak jak przy lekkiej tuberculosis pulmonum i trochę wzbogacić się w białko. To jest mianowicie rzecz zadziwiająca z tą przemianą białkową tutaj na górze... Chociaż ogólne spalanie jest wzmożone, organizm jednak odkłada białko... No, Ziemssen, spał pan dobrze, wyspał się pan, co? A więc marsz na spacer! Ale nie dłużej niż pół godziny! A potem wsadzić sobie w twarz ręciovę cygaro! I zawsze skrupulatnie zapisywać. Ziemssen! Jak na służbie, sumiennosc przede wszystkim! W sobotę obejrzą pański wykres! A pana kuzyn niech sobie także pomierzy. Mierzenie nigdy nie zaszkodzi. Do widzenia panom! Wesołej zabawy! Do widzenia... do widzenia... — I doktor Krokowski powędrował za radcą dworu, który popłynął dalej, wymachując rękami, z dłońmi zwróconymi ku tyłowi, i pytając się na prawo i na lewo, czy się dobrze spało, na co wszyscy odpowiadali potakująco.

## **Przekomarzenie się.**

### **Wiatyk. Zmącona wesołość**

Bardzo miły człowiek — odezwał się Hans Castorp, kiedy główną bramą wyszli na powietrze, grzecznie pozdrowieni po drodze przez kulawego portiera, który w swojej łoży porządkował listy. Główna brama położona była w południowo-wschodnim skrzydle białego otynkowanego budynku, którego część środkowa przewyższała o jedno piętro oba skrzydła boczne i zakończona była niską wieżyczką z zegarem, krytą szarą blachą żelazną. Wychodząc tędy, obaj kuzyni znaleźli się nie w ogrodzie, ale od razu na drodze, z której otwierał się widok na pochyłe łąki górskie przetykane niskimi świerkami i płożącą się kosodrzewiną. Droga, którą poszli — wła-



ściwie jedyna oprócz tej, która obniżała się ku dolinie, wprowadziła ich, lekko się wznosząc na lewo, na tyły sanatorium, obok kuchni i pomieszczeń gospodarskich, gdzie u krat zamykających piwnice stały blaszane beczki na odpadki; potem szła jeszcze spory kawałek w tym samym kierunku, tworzyła nagły zakręt i pięła się już stromiej w prawo na stok, porosły rzadkim lasem. Droga ta miała kolor czerwony, była twardo ubita i jeszcze wilgotna; na skraju jej leżały z rzadka rozrzucone wielkie głazy. Dwaj młodzi ludzie nie byli tu sami. Goście, którzy zaraz po nich wstali od śniadania, szli za nimi; spotykali też całe grupy powracających, którzy schodzili z góry drobnymi krokami, zginając nogi w kolanach.

— Bardzo miły człowiek — powtórzył Hans Castorp. — Nadzwyczajnie żywy i wymowny, aż przyjemnie go słuchać. Termometr nazywać „rtęciowym cygarem” to doskonały pomysł, natychmiast zrozumiałem... Ale teraz zapalę sobie prawdziwe cygaro — rzekł przystając — już dłużej nie wytrzymam! Od wczoraj w południe nie paliłem nic porządnego. Przepraszam cię na chwilę. — Otworzył cygarnicę, wykonaną ze skóry automobilowej i ozdobioną srebrnym monogramem, i wyjął z niej piękną sztukę „Maria Mancini”, z jednej strony — co lubił specjalnie — przypłaszczoną; następnie sięgnął po skośnie krającą maszynkę, którą nosił przy łańcuszku od zegarka, obciął koniec dość długiego cygara, nacisnął guzik kieszonkowej zapalniczki i kilkoma rozkosznymi pociągnięciami rozżarzył swą stępioną „Marię Mancini”.

— Tak! — odezwał się. — Teraz możemy spokojnie kontynuować nasz spacer. Ty, naturalnie, nie palisz, z nadmiaru gorliwości?

— Ja przecież w ogóle nie palę — odparł Joachim. — Dlaczego miałbym właśnie tutaj palić.

— Tego nie pojmuję! — rzekł Hans Castorp. — Nie pojmuję, jak można nie palić; kto nie pali, dobrowolnie pozbawia się, że tak powiem, najlepszej części życia, w każdym razie wielkiej przyjemności! Budząc się już się cieszę, że w ciągu dnia będę mógł palić, a przy jedzeniu znów się na to cieszę, a nawet mogę powiedzieć, oczywiście z pewną przesadą — że jem tylko po to, aby później zapalić. Ale dzień bez tytoniu byłby dla mnie szczytem szarzyzny, byłby dniem zupełnie pustym i bez żadnego powabu, a gdybym musiał sobie rano powiedzieć: dzisiaj nie ma nic do palenia — sądzę, że nie znalazłbym wcale odwagi, żeby wstać, słowo daję, że zostałbym w łóżku. Bo widzisz: jeżeli się ma dobrze pałace się cygaro — naturalnie, nie powinno mieć dodatkowego dopływu powietrza ani źle ciągnąć, bo to jest nad wyraz przykre — jeżeli się więc ma przy sobie dobre cygaro, to jest się właściwie kompletnie bezpiecznym i literalnie nic się nie może przytrafić. Zupełnie tak

samo, jak kiedy się leży nad morzem — leży się wtedy właśnie nad morzem i nie pragnie się niczego więcej, ani pracy, ani rozrywki... Chwała Bogu, że pali się na całym świecie; o ile wiem, wszędzie, dokąd los może człowieka zapędzić, palenie jest znane. Nawet odkrywcy bieguna zaopatrują się obficie w tytoń na czas swoich wypraw, i to mi zawsze sprawiało przyjemność, kiedy o tym czytałem. Bo przecie może się zdarzyć, że kogoś spotyka wielkie niepowodzenie, przypuśćmy na przykład, że mnie powodzi się fatalnie; otóż dopóki miałbym swoje cygaro, mógłbym to przetrzymać — cygaro pomogłoby mi znieść wszystko.

— Jednakowoż to niedobrze — odezwał się Joachim — że ty do tego przywiązujesz taką wagę. Behrens ma rację: ty jesteś cywil — on powiedział to raczej jako pochwałę, ale ty jesteś nieuleczalny cywil, w tym cała rzecz. Zresztą, jesteś przecież zdrowy i możesz robić, co ci się podoba — dodał, i oczy jego przybrały wyraz zmęczenia.

— Tak, zdrowy, pomijając anemię — powiedział Hans Castorp. — Ujęło mnie to, kiedy mi powiedział, że wyglądam zielono. Bo to prawda, że w porównaniu z wami tutaj na górze jestem zupełnie zielony, sam już to zauważyłem. W domu jakoś nie przychodziło mi to na myśl. Bardzo mi się też podobało, że mi z własnej inicjatywy udziela rad, zupełnie sine pecunia, jak się wyraził. Chętnie zastosuję się do jego wskazówek i będę żył tak jak ty — zresztą, nic lepszego nie mam tutaj na górze do roboty, a zaszkodzić nie może, jeżeli odłożę trochę białka, chociaż musisz przyznać, że to brzmi paskudnie.

Joachim zakaszał parę razy — wspinanie się widocznie go męczyło. Za trzecim razem przystanął ze zmarszczonymi brwiami.

— Idź naprzód — rzekł. Hans Castorp pośpieszył naprzód i nie oglądał się za siebie. Potem zwolnił kroku, a w końcu zatrzymał się prawie, bo zdawało mu się, że już znacznie przegonił Joachima. Ale nie oglądał się za siebie.

Grupka kuracjuszków obojga płci szła na jego spotkanie — widział ich już przedtem na równej drodze w połowie wysokości zbocza, a teraz schodzili ku niemu i dolatywały go ich zmieszane głosy. Było ich siedmioro w różnym wieku, od bardzo młodych do ludzi w sile wieku. Przyglądał się im, przechyliwszy w bok głowę i myśląc o Joachimie. Wszyscy byli opaleni i bez kapeluszy, panie ubrane były w swetry, panowie nie mieli palt ani nawet lasek — jak ludzie, którzy ot tak sobie, z rękami w kieszeniach, wychodzą tylko przed dom. Ponieważ schodzili w dół, co nie wymaga żadnego wysiłku, tylko trochę hamowania i wpierania nóg w ziemię, żeby się nie rozpędzić i przypadkiem nie potknąć — właściwie jest to nie więcej niż ostrożne spadanie — więc chód ich miał w sobie coś z beztroski lotu, która udzie-

łała się ich minom i całemu wyglądowi, tak że miało się ochotę należeć do tego towarzystwa.

Właśnie mijali go i Hans Castorp mógł się przyjrzeć ich twarzom. Nie wszyscy jednak byli opaleni, dwie panie uderzały swą bladością; jedna z nich była chuda jak tyka i miała cerę koloru kości słoniowej, druga — niższa i tęga, oszpecona wątrobianymi plamami. Całe towarzystwo patrzyło na niego, nie ukrywając trochę bezczelnego uśmiechu. Młoda wysoka dziewczyna w zielonym swetrze, źle uczesana i z głupkowatymi, na wpół tylko otwartymi oczami, przeszła tuż obok Hansa Castorpa, dotykając go prawie ramieniem. Przy tym gwizdała... Nie, to było coś niesłychanego! Gwizdała wyraźnie na niego, ale nie ustami, bo wargi miała zaciśnięte, bynajmniej nie wysunięte. Coś z niej gwizdało, podczas gdy patrzyła na niego głupkowato z na wpół opuszczonymi powiekami. Był to gwizd wybitnie niemiły — chropowaty i ostry, chociaż pusty i przeciągły, obniżający się przy końcu; robił wrażenie pisku owych jarmarcznych świnek gumowych, które, padając, wraz z wdmuchniętym powietrzem wydają z siebie żaloszny jęk. Gwizd ten wydobywał się jakimś niezrozumiałym sposobem z jej płuc, gdy mijała Hansa Castorpa.

On stał osłupiały i spoglądał w dal. Potem odwrócił się szybko i tyle przynajmniej zrozumiał, że musiał to być z góry ukartowany żart, wstrętne kpiny, bo po ramionach oddalających się ludzi widział, że się śmiali; jeden z nich, krępy młodzieniec z wywiniętymi wargami, trzymając ręce w kieszeniach spodni podnosił dość nieprzystojnie swoją kurtkę i obejrzał się nawet na niego zupełnie wyraźnie, śmiejąc się przy tym... Joachim uklonił się całemu towarzystwu, swoim rycerskim zwyczajem stając nieomal na baczność i pochylając się ze zsuniętymi obcasami, po czym łagodnie spoglądając zrównał się z kuzynem.

— Dlaczego masz taką minę? — zapytał.

— Ona gwizdała! — odrzekł Hans Castorp. — Ten gwizd wychodził z jej brzucha, kiedy przechodziła koło mnie. Czy możesz mi to wytłumaczyć?

— Ach — powiedział Joachim i roześmiał się pogardliwie. — Nie z brzucha, to nonsens. To była Hermina Kleefeld, gwizdże sztuczną odma.

— Czym? — zapytał Hans Castorp. Odczuwał silne wzburzenie, sam dobrze nie wiedząc, na czym ono polega; wahając się między płaczem a śmiechem, dodał: — Nie możesz wymagać, żebym rozumiał wasz żargon!

— Chodźmy dalej! — powiedział Joachim. — Mogę ci to przecie wyjaśnić idąc. Stoisz jak wryty. To jest coś z dziedziny chirurgii, jak się pewnie domyślasz, operacja, którą tutaj w górze często się stosuje. Behrens ma w tym wielką wprawę. Jeżeli jedno płuco jest poważnie chore, drugie natomiast zdrowe albo przynajmniej sto-

sunkowo zdrowe, wtedy pozwala się choremu płucy odpocząć przez jakiś czas, ażeby je oszczędzać... A więc tutaj rozcina się, gdzieś tutaj na boku — nie znam dokładnie miejsca, ale Behrens robi to na pewniaka. A potem wpuszcza się do środka gaz, azot, i w ten sposób wyłącza się chore płuco z oddychania. Ma się rozumieć, gaz nie trzyma się długo, co dwa tygodnie mniej więcej musi być odnowiony — rozumiesz, napełnia się człowieka gazem. A po upływie roku albo dłuższego czasu, jeżeli wszystko dobrze się składa, chore płuco może dzięki spoczynkowi być wyleczone. Naturalnie nie zawsze, bo jest to sprawa nawet ryzykowna. Ale podobno za pomocą odmy sztucznej osiągnięto już bardzo piękne rezultaty. Wszyscy, których tu widziałeś, mają odmę. Pani Iltis też była z nimi — ta z tymi wątrobianymi plamami — i panna Levi, ta chuda, przypominasz sobie — musiała bardzo długo leżeć w łóżku. Oni trzymają się razem, bo taka rzecz jak sztuczna odma zbliża przecie ludzi do siebie, i przezwali się „Stowarzyszeniem Jednego Płuca”; pod tą nazwą są znani. Ale chlubą stowarzyszenia jest Hermina Kleefeld, bo ona umie gwizdać odmą — to jest jej swoisty talent, nie każdy to potrafi. Nie mogę ci wytłumaczyć, jak ona to robi, ona sama nie umie tego dokładnie opisać, ale po odbyciu jakiegoś szybkiego marszu może potem wydobywać z siebie gwizd; i naturalnie posługuje się tym, żeby straszyć ludzi, a szczególnie nowo przybyłych chorych. Przypuszczam, że marnuje przy tym azot, bo co tydzień muszą ją na nowo napełniać.

Teraz Hans Castorp śmiał się słuchając słów Joachima; wzburzenie jego przeszło ostatecznie w wesołość, więc gdy szedł, raz po raz nachylając się i zasłaniając sobie oczy ręką, ramionami jego wstrząsał szybki i cichy chichot.

— Czy może są zarejestrowani? — wykrztusił z trudem, a głos jego był płaczliwy od powstrzymywanego śmiechu i trochę zawodzący. — Czy mają swoje statuty? Szkoda, że nie należysz do nich, bo może wybraliby mnie na członka honorowego albo dopuścili jako... kompana... Powinieneś poprosić Behrensa, żeby cię częściowo unieruchomił. Może, gdyby ci na tym zależało, potrafiłbyś także gwizdać, ostatecznie można się tego pewnie nauczyć. Nic równie zabawnego w życiu swoim nie słyszałem! — rzekł westchnąwszy głęboko. — Nie gniewaj się, że tak o tym mówię, ale przecie oni sami, ci twoi pneumatyczni przyjaciele, są w najlepszych humorach! Jak oni pędzili z góry... I pomyśleć, że to było „Stowarzyszenie Jednego Płuca”!... Fiu!... tak na mnie gwizdnęła — narwana kobieta! — Ale to przecie jest wyraźne zuchwalstwo! Słuchaj, dlaczego właśnie oni są tacy rozwydrzeni?

Joachim namyślał się nad odpowiedzią.

— Mój Boże! — rzekł wreszcie. — Oni mają przecie tyle swobody... Są młodzi, czas nie odgrywa dla nich żadnej roli, a przy tym mogą nawet umrzeć. Dlaczegóż

by mieli stroić poważne miny? Wydaje mi się nieraz, że choroba i śmierć nie są właściwie niczym poważnym, że są raczej rodzajem próżniactwa, a poważne naprawdę jest tylko życie na dole. Mam nadzieję, że z czasem zrozumiesz to, kiedy tu trochę dłużej pobędziesz.

— Z pewnością — odparł Hans Castorp. — Z pewnością tak będzie. Bardzo mnie interesujecie wy tutaj w górze, a kiedy się ktoś czym interesuje, to zrozumienie przychodzi już samo... nieprawdaż? Ale co to takiego — ono mi nie smakuje! — rzekł i zaczął oglądać swoje cygaro. — Zastanawiam się cały czas, co mi dolega, a teraz dopiero uświadomiłem sobie, że mi moja „Maria” nie smakuje. Ma smak papier mâché; zapewniam cię, doznaję takiego wrażenia, jak gdybym miał zupełnie zepsuty żołądek. To jest nie do pojęcia! Wprawdzie bardzo dużo jadłem na śniadanie, ale to nie może być powodem, bo po zbyt obfitym posiłku cygaro z początku smakuje jeszcze bardziej. Może to dlatego, że tak źle spałem w nocy — jak myślisz? Może to mnie wytrąciło z równowagi. Nie, muszę je po prostu odrzucić! — powiedział po jeszcze jednej próbie. — Każde pociągnięcie jest rozczarowaniem, nie ma sensu, żebym starał się to przewyciężyć. — I po chwili wahania cisnął cygaro w dół, pomiędzy wilgotne igliwie. — Czy wiesz, z czym to, moim zdaniem, pozostaje w związku?... — zapytał. — Przekonany jestem, że to ma związek z wypiekami na twarzy, które znowu dręczą mnie od samego rana. Do diabła! Ciągle mam wrażenie, jakbym się rumienił ze wstydu... Czy z tobą było po przyjeździe tak samo?

— Tak — odpowiedział Joachim. — Ja także z początku czułem się jakoś dziwnie. Nie rób sobie nic z tego! Mówiłem ci przecie, że nie jest tak łatwo zaaklimatyzować się tutaj! Ale to minie. Widzisz, z tej ławki jest śliczny widok. Usiądźmy na chwilkę, a potem pójdziemy do domu, muszę, werandować.

Droga szła tutaj równo i zmierzała w kierunku uzdrowiska Davos mniej więcej na jednej trzeciej wysokości zbocza. Spomiędzy wysokich, cienkich i pokrzywionych sosen widać było całą miejscowość, bielejącą w jasnym poranku. Z gruba ciosana ławka, na której usiedli, opierała się o stromą ścianę skalną. Tuż obok, otwartą drewnianą rynną, bulgocąc i pluszcząc, spływała woda w dolinę.

Joachim chciał kuzynowi wymienić nazwy zamglonych szczytów alpejskich, które zdawały się od południowej strony zamykać dolinę, i wskazywał je końcem swojej szwajcarskiej laski. Ale Hans Castorp zaledwie przelotnie spojrzął w tamtą stronę, siedział pochylony, rysując na piasku różne figury skuwką swojej miejskiej, srebrem okutej laski, i inne zajmowały go myśli.

— Chciałem się ciebie zapytać... — zaczął. — Ten wypadek w moim pokoju

zdarzył się bezpośrednio przed moim przybyciem. Czy podczas twojego pobytu zaszło tutaj dużo wypadków śmierci?

— Na pewno sporo — odpowiedział Joachim. — Ale załatwiają się tutaj z tym bardzo dyskretnie, rozumiesz, nie słyszy się o tym wcale albo najwyżej przypadkiem, już po wszystkim. Jeżeli ktoś umiera, trzymają to w najściślejszej tajemnicy ze względu na pacjentów, a szczególnie na panie, które łatwo dostają różnych ataków. Nawet jeżeli umiera ktoś w twoim sąsiedztwie, nie zauważasz tego. Trumnę przynoszą z samego rana, kiedy jeszcze śpisz, a wynoszą zmarłego także tylko w takich godzinach, na przykład podczas jedzenia.

— Hm — rzekł Hans Castorp rysując dalej. — A więc to wszystko dzieje się za kulisami.

— Tak, można to tak nazwać. Ale niedawno... zaraz... przed jakimiś dwoma miesiącami...

— W takim razie to nie było bardzo niedawno — zauważył Hans Castorp cicho i czujnie.

— Co mówisz? A więc nie niedawno. Ależ ty jesteś dokładny! Ja tylko tak powiedziałem, w przybliżeniu. Otóż przed niejakim czasem udało mi się zajrzeć za kulisy, przez czysty przypadek, pamiętam to doskonale. To było wtedy, kiedy przyniesiono tej małej Hujus, katoliczce, Barbarze Hujus, wiatyk, sakrament umierających, wiesz, ostatnie namaszczenie. Kiedy tu przyjechałem, jeszcze chodziła i nieraz tak była wesoła, tak dokazywała jak podłotek. Ale potem pogorszyło się jej gwałtownie, przestała już podnosić się z łóżka; leżała w trzecim pokoju, licząc od mojego. Przyjeżdżali jej rodzice, zjawił się wreszcie i ksiądz. Przyszedł podczas podwieczorku, kiedy wszyscy byli zebrani w jadalni i nie było nikogo na korytarzach. Ale wyobraź sobie, że akurat wtedy zasnąłem podczas werandowania i nie słyszałem uderzeń gongu, zszedłem o jakieś piętnaście minut za późno. W decydującej więc chwili nie byłem razem ze wszystkimi, lecz znalazłem się za kulisami, jak to nazywasz, i właśnie kiedy szedłem korytarzem, spotkałem cały pochód; mieli na sobie koronkowe komże, a jeden z nich niósł na przodzie złoty krzyż, jakby janczarskie dzwoneczki przed orkiestrą.

— Cóż to za porównanie — przerwał Hans Castorp nie bez pewnej surowości w głosie.

— Tak mi się wydało. Mimo woli przyszło mi to na myśl. Ale posłuchaj dalej. Zbliżają się do mnie szybkim krokiem, raz — dwa, raz — dwa, zdaje się, że we trzech: na przedzie ten z krzyżem, za nim ksiądz w okularach na nosie, a z tyłu

młody chłopak z kadzielnicą. Ksiądz trzymał przykryty wiatyk przy piersi i kornie pochylał głowę, bo to przecie ich największa świętość.

— Właśnie dlatego — odezwał się Hans Castorp. — Właśnie dlatego dziwię się, żeś mógł mówić o „dzwoneczkach janczarskich”.

— Tak, tak, ale gdybyś ty był świadkiem tej sceny, to także nie wiedziałbyś, jak się do niej ustosunkować, chociażby we wspomnieniu. To było coś, co może się potem przyśnić!

— Dlaczego?

— Zaczekaj. Zastanawiałem się, jak mam się zachować w tej sytuacji. Kapelusza zdjąć nie mogłem, bo go nie miałem na głowie.

— A widzisz! — przerwał mu znowu Hans Castorp. — Widzisz, że należy używać kapelusza! Od razu uderzyło mnie to, że chodzicie z odkrytymi głowami. A kapelusz trzeba wkładać na głowę, żeby go można było zdjąć, kiedy zajdzie potrzeba. Ale co było dalej?

— Stałem pod ścianą w przyzwoitej pozycji i pochyliłem się trochę, kiedy przechodzili koło mnie — było to właśnie przed drzwiami pokoju tej małej Hujus, numer dwadzieścia osiem. Wydaje mi się, że ukłon mój sprawił przyjemność księdzu; podziękował bardzo grzecznie i odkrył głowę. W tej chwili właśnie zatrzymali się, ministrant, niosący kadzielnicę, zastukał, nacisnął klamkę, wpuścił swego przełożonego do pokoju i wszedł za nim. A teraz wyobraź sobie moje przerażenie i moje uczucia! W chwili kiedy ksiądz przestępował próg, usłyszałem z pokoju taki krzyk, taki wrzask, jakiego nigdy jeszcze nie słyszałeś; krzyk ten powtórzył się trzy, cztery razy, a potem przemienił się w jeden nieprzerwany ryk, dobywając się widocznie z szeroko otwartych ust. Słysząc w nim było rozpacz i przerażenie, i protest, a jednocześnie tak straszliwe błaganie, że nie można tego opisać; potem nagle głos ten stał się pusty i bezdźwięczny, jak gdyby zapadł się w ziemię i wydobywał się z piwnicy.

Hans Castorp gwałtownie zwrócił się do kuzyna.

— Czy to była ta Hujus? — zapytał niespokojnie. — I jak to: z piwnicy?

— Schowała się pod kołdrę — powiedział Joachim. — Wyobraź sobie, co się ze mną działo! Ksiądz stał tuż za progiem i starał się załagodzić sytuację, widzę go jeszcze: głowę już to wyciągał naprzód, już to znowu ją cofał. Człowiek z krzyżem i ministrant ciągle jeszcze nie śmieli wejść do pokoju, a ja spoza ich pleców widziałem, co się dzieje wewnątrz. Pokój był taki jak mój i twój, z łóżkiem pod ścianą na lewo od drzwi; w głowie łóżka stali ludzie, naturalnie rodzina, ojciec i matka, kiero-

wali jakieś uspokajające słowa w dół, w stronę łóżka. Widać w nim było tylko jakąś bezkształtną masę, która o coś zebrała, namiętnie protestowała i wierzgała nogami.

— Mówisz, że wierzgała?

— Z całej siły! Ale to nic nie pomogło, ostatnie sakramenty musiała przyjąć. Ksiądz zbliżył się do niej, jego dwaj pomocnicy weszli do pokoju i zamknęto drzwi. Ale zdążyłem jeszcze na krótką chwilę dostrzec głowę umierającej z rozrzuconymi jasnymi włosami; wpatrzyła się w księdza szeroko otwartymi, bladymi, zupełnie bezbarwnymi oczami i nagle z ponownym krzykiem schowała się pod kołdrę.

— I teraz dopiero mi to mówisz? — rzekł Hans Castorp po chwili milczenia. — Nie pojmuję, dlaczegoś mi wczoraj o tym wszystkim nie opowiedział. Ale, mój Boże, musiała mieć jeszcze dużo siły, żeby się tak bronić. Do tego przecie trzeba mieć siłę. Nie powinno się sprowadzać księdza, dopóki chory jeszcze zupełnie nie osłabł.

— Ona już była słaba... — odpowiedział Joachim. — Ach, tyle byłoby do opowiedzenia, że nie wiadomo, od czego zacząć... Była już bardzo słaba, tylko strach dodał jej nowych sił. Bała się tak straszliwie, bo zrozumiała, że musi umrzeć. Była to przecie bardzo młoda dziewczyna, więc trzeba jej wybaczyć. Ale i mężczyźni nieraz zachowują się tak samo, a to już jest niewybaczalny brak hartu. Behrens umie zresztą z takimi postępować, umie trafić we właściwy ton w tych wypadkach.

— Jakież to ton? — spytał Hans Castorp ściągnawszy brwi.

— „Niech pan się tak nie stawia!”, mówi — odparł Joachim. — Przynajmniej do kogoś tak powiedział — wiemy to od starszej siostry, która była przy tym obecna i pomagała trzymać konającego. Ten człowiek w ostatniej chwili urządził okropną scenę i w żaden sposób nie chciał umrzeć. Wtedy Behrens wrzasnął na niego: „Niech się pan z łaski swojej tak nie stawia!” — i chory w tej chwili ucichł i umarł zupełnie spokojnie.

Hans Castorp uderzył się ręką po udzie, odrzucił głowę w tył i spojrzał w niebo.

— No, wiesz, to jest okropne! — rzekł. — Wrzeszczy po prostu: „Niech się pan tak nie stawia!”. Do konającego! To jest straszne. Umierającemu należy się pewnego rodzaju szacunek. Nie można go przecie tak ni stąd, ni zowąd... Umierający jest pewnego rodzaju świętością, tak przynajmniej sędzę!

— Nie przeczę temu — powiedział Joachim. — Ale jeżeli się tak tchórzliwie zachowuje...

— Nie! — zawołał Hans Castorp z gwałtownością, zgoła niewspółmierną ze sta-



wianym mu oporem. — Tego nie dam sobie wyperswadować, że umierający nie jest dostojniejszy od byle jakiego nicponia, który lata po świecie, pęka ze śmiechu, zarabia pieniądze i napycha sobie brzuch! Nie wolno! — głos jego drżał jakoś dziwnie. — Nie wolno go tak ni stąd, ni zowąd — i jego słowa zdusił nagle śmiech, który go porwał i nad nim zapanował, ów śmiech wczorajszy, wyrywający się gdzieś z głębi, wstrząsający, niepohamowany, który mu zamknął oczy i wycisnął łzy spod powiek.

— Pst! — syknął nagle Joachim. — Bądź cicho! — szepnął i trącił kuzyna nieznacznie w bok. Hans Castorp spojrział przez łzy.

Drogą z lewej strony zbliżał się do nich jakiś obcy pan, niewysoki, z czarnymi włosami, z pięknie podkreconymi czarnymi wąsami, w spodniach w jasną kratę. Zrównawszy się z młodymi ludźmi, przywitał się z Joachimem — głos jego był opanowany i dźwięczny; skrzyżowawszy nogi oparł się na lasce i stanął przed Joachimem w pełnej wdzięku pozycji.

## Satana

Wiek jego trudno było określić, musiał mieć ponad trzydzieści, a mniej niż czterdzieści lat, bo chociaż cała postać była młodzieńcza, to jednak włosy na skroniach były już przetykane srebrnymi nićmi i wyraźnie przerzedzone, a czoło podwyższały dwie wyłysiałe zatoki, wcinające się w skąpe włosy. Ubranie jego dalekie było od elegancji: miał na sobie szerokie, jasnożółtawe spodnie w kratę i zbyt długą, włochatą marynarkę z dwoma rzędami guzików i z bardzo szerokimi klapami; sztywny kołnierzyk, z przodu okrągło wygięty, miał brzegi wystrzępione od częstego prania, krawat był wyświecony, a mankietów w ogóle nie nosił — Hans Castorp zauważył to po rękawach, obejmujących miękko przeguby dłoni. Pomimo to zdawał sobie sprawę, że ma przed sobą wytwornego pana; inteligentny wyraz twarzy, swobodna i piękna postawa nie pozostawiały żadnej wątpliwości. Ale ta mieszanina wdzięku i zaniedbania, czarne oczy i podkrecone wąsy przypominały Hansowi Castorpowi cudzoziemskich muzykantów, którzy w czasie Bożego Narodzenia obchodzili podwórza jego rodzinnego miasta i, wznosząc w górę aksamitne oczy, wyciągali miękkie kapelusze, ażeby z okien wrzucano do nich dziesięciofenigówki. „Kataryniarz!” — pomyślał. Toteż nie zdziwił się wcale, kiedy usłyszał nazwisko, które wymówił Joachim, powstając z ławki i z lekkim zakłopotaniem przedstawiając:

— Mój kuzyn Castorp — pan Settembrini.

Hans Castorp podniósł się również, a w twarzy miał jeszcze ślady poprzedniej

wesołości. Włoch w grzecznych słowach poprosił, aby sobie nie przeszkadzali, zmusił ich, aby usiedli z powrotem, a sam w miłej pozie stał nadal przed nimi. Uśmiechał się patrząc na kuzynów, a szczególnie na Hansa Castorpa; z lekka ironiczne opuszczenie jednego kącika ust, tam gdzie bujny wąs pięknym łukiem wyginał się ku górze, miało jakieś specjalne działanie, w pewnym stopniu zmuszało do trzymania uwagi w napięciu i do jasności myśli i natychmiast wytrzeźwiło roześmianego Hansa Castorpa, tak że zaczął wstydzić się swego nastroju.

— Panowie są w dobrych humorach — słusznie, całkiem słusznie. Śliczny poranek! Niebo jest niebieskie, słońce się śmieje — i lekkim, zręcznym ruchem wzniosł małą, żółtawą dłoń ku niebu, rzucając tam jednocześnie skośne, wesołe spojrzenie. — Można by rzeczywiście zapomnieć, gdzie się znajdujemy.

Mówił bez obcego akcentu i tylko po starannym kształtowaniu dźwięków można było poznać w nim cudzoziemca. Wargi jego wymawiały słowa z pewnym zadowoleniem. Przyjemnie było go słuchać.

— Czy miał pan dobrą podróż? — zwrócił się do Hansa Castorpa... — Czy już panu ogłoszono wyrok? To znaczy: czy odbyła się już ponura ceremonia pierwszego badania lekarskiego? — Tutaj powinien był przerwać i poczekać, jeśli mu zależało na odpowiedzi, bo Hans Castorp właśnie chciał się odezwać. Ale obcy ciągnął dalej: — Czy przeszła łagodnie? Z pana wesołości — urwał na chwilę, a grymas jego ust stał się wyraźniejszy — można by wysnuć najrozmaitsze wnioski. Ile miesięcy naznaczyli panu nasi mrukliwi sędziowie, Minos i Radamantys? — Słowa te zabrzmiały jakoś szczególnie zabawnie w jego ustach. — Czy mam zgadywać? Sześć? Czy może od razu dziewięć? Skąpi tutaj nie są.

Hans Castorp śmiał się zdziwiony, starając się sobie szybko przypomnieć, kto to byli Minos i Radamantys.

— Ależ nie, pan jest w błędzie, panie Septem...

— Settembrini — poprawił Włoch, wymawiając nazwisko wyraźnie i z wdziękiem i przy tym z humorem kłaniając się.

— Panie Settembrini — przepraszam. Nie, pan się myli, bynajmniej nie jestem chory. Przyjechałem tylko z wizytą do mojego kuzyna Ziemssena na przeciąg kilku tygodni, a przy tej sposobności chciałbym trochę odpocząć.

— Masz tobie, to pan do nas nie należy? Pan jest zdrow, pan jest tutaj tylko hospitantem, jak Odyseusz w państwie cieni? Jakaż to śmiałość schodzić w te głębie, gdzie tylko umarli błędzą bez celu.

— W głębie, proszę pana? Tutaj muszę zaproponować! Wzniósłem się przecież do was na wysokość 5 000 stóp.

— Tak się panu tylko zdawało! Daję słowo, że to było złudzenie — rzekł Włoch wykonując stanowczy ruch ręką. — Jesteśmy istotami, które pograżyły się bardzo głęboko, czy nieprawda, poruczniku? — zwrócił się do Joachima, któremu ten tytuł niemałą sprawił przyjemność; ale Ziemssen starał się to ukryć i odpowiedział w zamyśleniu:

— Myśmy tu rzeczywiście trochę zgłupieli. Ale nadejdzie czas, że przyjdziemy znowu do siebie.

— Tak, pan na pewno; pan jest przyzwoitym człowiekiem — powiedział Settembrini. — Tak, tak, tak — powtarzał, miękko wymawiając ten wyraz i mlaskając językiem o podniebienie. — No, no, no — mówił dalej zwracając się do Hansa Castorpa i przyglądając mu się tak uważnie, że oczy jego przybrały jakiś błędny i nieruchomy wyraz. Otrząsnąwszy się, prawił po chwili dalej:

— A więc zupełnie dobrowolnie wdrapuje się pan tutaj do nas biedaków i chce pan przez pewien czas łaskawie nam towarzyszyć. To bardzo pięknie z pana strony. A jaki termin wyznaczył pan sobie? Przepraszam za moją ciekawość, ale chciałbym bardzo usłyszeć, ileż to człowiek wyznacza sobie czasu, jeżeli los jego zależy od niego samego, a nie od Radamantysa.

— Trzy tygodnie — odpowiedział Hans Castorp niedbale, z odcieniem pewnej próżności, bo widział, że mu zazdroszczą.

— O Dio, trzy tygodnie! Słyszał pan, poruczniku? Czy to nie jest poniekąd impertynencją powiedzieć: przyjeżdżam na trzy tygodnie i potem wracam? My tutaj, mój panie, czasu nie mierzymy na tygodnie, jeżeli mi wolno pana pouczyć. Najmniejszą jednostką czasu jest dla nas miesiąc. Szafujemy tu hojnie czasem — to jest przywilej cieni; mamy jeszcze i inne przywileje, a wszystkie tego samego gatunku. Czy mogę zapytać, jaki zawód ma pan tam na dole, albo raczej: do jakiego pan się przygotowuje? Widzi pan, że dajemy folgę naszej ciekawości, bo ciekawość jest także jednym z naszych przywilejów.

— Proszę bardzo — odparł Hans Castorp i krótko opowiedział o sobie.

— Konstruktor okrętów! Ależ to wspaniałe! — zawołał Settembrini. — Niech pan będzie przekonany, że uważam to za wspaniałe, chociaż moje własne upodobania idą w innym kierunku.

— Pan Settembrini jest literatem — objaśnił Joachim trochę zażenowany. — Napisał do pism niemieckich wspomnienie o Carduccim, wiesz, Carducci — i zmie-

szał się jeszcze bardziej, bo kuzyn patrzył na niego zdziwiony, jak gdyby chciał powiedzieć: Cóż ty wiesz o Carduccim? Przypuszczam, że nie więcej ode mnie.

— To prawda — rzekł Włoch skinąwszy głową. — Miałem zaszczyt poinformować ziomków pana o życiu tego wielkiego poety i wolnomyśliciela, z chwilą gdy się ono skończyło. Znałem go osobiście. Mogę się nazwać jego uczniem. W Bolonii siedziałem u jego stóp i jemu zawdzięczam swoje wykształcenie i swój zmysł humoru. Ale mówiliśmy przed chwilą o panu. Konstruktor okrętów! Czy pan wie, że pan wciąż rośnie w moich oczach? Stał się pan nagle przedstawicielem całego świata pracy i praktycznego geniuszu!

— Ależ, proszę pana, właściwie jestem studentem i rozpoczynam dopiero.

— Tak, każdy początek jest trudny. I w ogóle każda praca, która na to miano zasługuje, jest trudna — prawda?

— Ależ tak, do diabła — powiedział Hans Castorp i widać było, że mówi to z serca.

— Nawet diabła przyzywa pan na świadka — rzekł Settembrini wznosząc brwi do góry — wcielonego szatana. A wie pan, że mój mistrz napisał hymn do niego?

— Przepraszam — odezwał się Hans Castorp — hymn na cześć diabła?

— Tak, na jego cześć. W mojej ojczyźnie przy różnych uroczystościach śpiewają go czasami. O salute, o Satana, o Ribellione, o forza vindice della Ragione...<sup>\*</sup> Cudowna pieśń. Ale to nie jest diabeł, którego pan miał na myśli, przeciwnie, ten żyje z pracą w najlepszej przyjaźni. Tamten, którego pan przyzywał i który nienawidzi pracy, bo jej się boi, jest zapewne tym innym, o którym mówią, że nie należy mu podawać nawet małego palca...

To wszystko robiło na poczciwym Hansie Castorpie jakieś dziwne wrażenie. Po włosku nie rozumiał, a reszta także była trochę niesamowita. Cała przemowa przypominała kazanie niedzielne, chociaż była wypowiedziana lekkim, żartobliwym i gawędziarskim tonem. Spojrzał na kuzyna, który wbił oczy w ziemię, a potem rzekł.

— Pan mnie zrozumiał zanadto dosłownie, proszę pana. Ten diabeł miał być tylko figurą retoryczną, zapewniam pana!

— Ktoś przecież musi być inteligentnym — powiedział Settembrini patrząc melancholijnie gdzieś w przestrzeń. Po chwili ożywił się znowu i zręcznie wracając do poprzedniego tematu ciągnął dalej:

— Bądź co bądź mogę z pana słów wnosić, że pan wybrał sobie zawód zarówno

---

\* O salute... (wł.) — O zbawienie, o Szatanie, o Buncie, o potęgu mścicielska Rozumu.

trudny, jak godny szacunku. Mój Boże, jestem przecież humanistą, homo humanus, i nie rozumiem się na tych pomysłowych wynalazkach, chociaż jestem dla pana z całym respektem. Ale rozumiem doskonale, że teoretyczna strona pana pracy wymaga jasnej i przenikliwej myśli, a praktyka — wiele dzielności, czyż nie tak?

— Owszem, ma pan najzupełniejszą rację — odpowiedział Hans Castorp, nieświadomie starając się być bardziej wymownym. — Wymagania dnia dzisiejszego są olbrzymie, lepiej sobie wcale nie uprzytamniać, jak są wielkie, bo można by stracić odwagę. Tak, to nie żarty. A jeżeli nie należy się do najsilniejszych... Przyjechałem tu tylko z wizytą, ale nie jestem wyjątkowo silnej konstytucji i skłamałbym utrzymując, że ciężka praca bardzo mi służy. Przeciwnie, muszę przyznać, że mnie wyczerpuje. Najlepiej czuję się wtedy, kiedy nic nie robię.

— Na przykład teraz?

— Teraz? Ach, teraz czuję się tutaj w górze jeszcze obco — jestem trochę oszołomiony, pan to rozumie?

— Ach... oszołomiony.

— Tak, źle spałem tej nocy, a na dobitkę pierwsze śniadanie było zanadto obfite... Jestem przyzwyczajony do porządných śniadań, ale dzisiejsze było dla mnie, zdaje się, zbyt suto, too rich, jak mówią Anglicy. Jednym słowem, czuję się jakoś niewyraźnie i nawet, niech pan sobie wyobrazi, nie smakowało mi cygaro! To mi się prawie nigdy nie zdarza, chyba że jestem poważnie chory — a dzisiaj rano miało zupełnie smak skóry. Musiałem je odrzucić. Nie miało sensu, żebym się zmuszał. Czy pan pali, jeżeli wolno zapytać? Nie? W takim razie nie może pan sobie wyobrazić, co to za przykrość i rozczarowanie dla kogoś, kto od wczesnej młodości palił tak chętnie jak ja...

— Nie mam w tej dziedzinie żadnego doświadczenia — odparł Settembrini. — Jestem jednak pod tym względem w dobrym towarzystwie. Wiele szlachetnych i trzeźwych osobistości unikało tytoniu. Carducci także go nie używał. Ale nasz Radamantys zrozumie pana dobrze. On także hołduje pańskiemu nałogowi.

— Ależ — nałogowi, proszę pana...

— Dlaczego nie? Rzeczy należy bez obawy nazywać po imieniu, to dodaje życiu mocy i polotu. Ja także mam swoje nałogi.

— A więc radca Behrens jest znawcą cygar? Nadzwyczajnie miły człowiek.

— Tak pan sądzi? A więc już go pan poznał?

— Tak, zanim wyszliśmy z domu. To było coś w rodzaju konsultacji. Ale, wie pan, sine pecunia. Od razu zauważył, że jestem trochę anemiczny, i radził mi,

żebym prowadził tutaj ten sam tryb życia co mój kuzyn, a i mierzył sobie temperaturę tak jak on i dużo leżał na balkonie.

— Czyżby? — zawołał Settembrini... — Wspaniale — wołał odrzucając głowę w tył i śmiejąc się głośno. — Jak to jest w operze waszego mistrza? „Jam ptasznik biedny, dopiero z lasa przychodzę wesoły, hopsa sasa!”\* To bardzo zabawne — a czy pan zastosuje się do jego rad? Ma się rozumieć, jakżeby inaczej. To wcielony diabeł, ten Radamantys! I rzeczywiście, zawsze jest wesoły, chociaż czasami ta wesołość jest nieco wymuszona. On jest skłonny do melancholii. Jego nałóg nie wychodzi mu na dobre. Zresztą inaczej nie byłby nałogiem — tytoń przyprawia go o melancholię, toteż nasza zacna siostra przełożona trzyma jego zapasy w zamknięciu i wydaje mu codziennie niewielką porcję. Zdarza się podobno, że Behrens okrada ją czasem, i to przyprawia go o melancholię. Jednym słowem to człowiek niezrównoważony... Zna pan już także naszą siostrę przełożoną? Nie? A to szkoda! Bardzo źle pan robi, jeśli się pan nie stara jej poznać. Pochodzi ze słynnego rodu von Mylendonk, i różni się tym od medycejskiej Wenery, że w miejscu, gdzie bogini ma piersi, ona nosi krzyż...

— Cha, cha, to doskonale! — śmiał się Hans Castorp.

— A na imię ma Adriatica.

— Jeszcze i to? — zawołał Hans Castorp... — No wie pan — to jest szczególnie! Von Mylendonk, a do tego Adriatica. To brzmi tak, jak gdyby już dawno nie żyła. To przypomina wprost średniowiecze.

— Tutaj, szanowny panie — odparł Settembrini — spotka pan wiele rzeczy, które robią wrażenie czegoś średniowiecznego, jak to pan raczył nazwać. Jestem przekonany, że jedynie i wyłącznie artystyczne poczucie stylu kazało Radamantysowi uczynić to wykopalisko zarządczynią tego przybytku grozy. O, on jest artystą, nie wie pan? Maluje techniką olejną — cóż, to przecież wolno każdemu... Pani Adriatica opowiada to każdemu, kto tylko chce jej słuchać, a innym nadto, że w połowie XIII stulecia jedna z pań Mylendonk była ksienią klasztoru w Bonn nad Renem. Ona sama musiała niedługo potem ujrzeć światło dzienne...

— Cha, cha, cha! Ale z pana kpiarz.

— Kpiarz? Pan chce powiedzieć: złośliwiec. Tak, jestem trochę złośliwy, ale na nieszczęście muszę swoją złośliwość marnować na takie błażostki. Przypuszczam, że pan nie jest wrogiem złośliwości, inżynierze? Według mnie jest to najskuteczniejsza broń rozsądku przeciwko mocom mroków i brzydoty. Złośliwość to duch

---

\* Jam ptasznik biedny... — cyt. z libretta do opery Mozarta „Zaczarowany flet”, w przekładzie z roku 1792.

krytyki, a krytyka rodzi postęp i uświadomienie. — I bez przejścia zaczął mówić o Petrarce, którego nazwał „ojcem czasów nowożytnych”.

— No, ale musimy iść werandować — powiedział Joachim rozsądnie.

Przez cały czas swojej przemowy Settembrini nie przestawał gestykulować; teraz wskazał na Joachima i rzekł:

— Nasz oficer spieszy się na służbę. Chodźmy, idziemy tą samą drogą — „w prawo niech idzie, kto dąży do państwa cienia mrocznego”. O, Wergiliuszu, Wergiliuszu! Panowie, on jest niedościgniony. Wierzę w postęp, to prawda, ale Wergiliusz miewa określenia, na jakie nie stać żadnego z poetów współczesnych.

Ruszyli w kierunku domu; Settembrini deklamował po drodze łacińskie wiersze wymawiając je z włoska, ale kiedy mijali jakąś młodą panienkę, widocznie autochtonkę i bynajmniej nie ładną, przerwał — i z uśmiechami godnymi lowelasa zaczął nucić: — Tss, tss, aj, aj, aj — la, la, la! Ach, mój śliczny robaczku; czy chcesz być moją? „Patrzcie, jak namiętym blaskiem płonie jej spojrzenie” — cytował Bóg wie kogo i co i posłał ręką całusa zakłopotanym plecami dziewczyny.

Cóż to za lekkoduch, pomyślał Hans Castorp i pozostał przy swoim zdaniu, kiedy Settembrini, po swej frywolnej zaczepce, znowu zaczął obmawiać bliźnich. Przyczepił się szczególnie do radcy Behrensa, wyśmiewał jego olbrzymie nogi i ironizował na temat tytułu, który Behrens otrzymał podobno od jakiegoś księcia, chorego na gruźlicę mózgu. Jeszcze dzisiaj opowiadają sobie w okolicy o skandalicznym trybie życia tego księcia, ale Radamantys umiał przymrużyć jedno oko, nawet oboje oczu, jak przystało na prawdziwego radcę dworu. A czy panowie wiedzą, że to on właśnie wynalazł letni sezon? Tak, tak, on, a nie kto inny, tę zasługę trzeba mu przyznać. Dawniej tylko najwierniejsi z wiernych wytrzymywali tu latem, ale „nasz humorysta”, dzięki niezależności i bystrości swego umysłu, doszedł do wniosku, że ten fatalny stan rzeczy jest jedynie wynikiem przesądu. Wystąpił więc z teorią, że letnia kuracja, przynajmniej jeśli chodzi o je go zakład, nie tylko nie jest mniej wskazana, ale przeciwnie, bardzo skuteczna, a nawet niezbędna. Twierdzenie to potrafił rozpowszechnić, pisał na ten temat popularne artykuły i umieszczał je w prasie. Od tego czasu zakład prosperuje latem tak samo jak zimą. — Geniusz! — zawołał Settembrini. — In-tu-i-cja! — I zaczął nicować po kolei wszystkie inne miejscowe zakłady, wychwalając zjadliwie praktyczny zmysł ich właścicieli. — Jest tu taki pan profesor Kafka. Co roku, kiedy nadchodzi krytyczny okres topnienia śniegu i wielu pacjentów pragnie wyjechać, pan profesor musi w pilnych sprawach szybko wyjechać na tydzień i zawsze obiecuje po powrocie zwolnić swoich kuracjuszków, ale przebywa w podróży sześć tygodni, a ci nieszczęśni czekają, przy czym,

nawiasem mówiąc, rachunki ich rosną. Nawet do Fiume wzywają Kafkę, ale on nie jedzie, póki mu nie zapewnią pięciu tysięcy dobrych szwajcarskich franków, na czym schodzą jakieś dwa tygodnie, a na drugi dzień po przyjeździe naszego celeberrimo chory umiera. Co się tyczy doktora Salzmanna, to utrzymuje on, że profesor Kafka używa brudnych strzykawek i przyprawia chorych o infekcję mieszaną. Mówią również, że Kafka jeździ na gumach, żeby go jego zmarli nie słyszeli, a Kafka znowu twierdzi, że u Salzmanna zmuszają pacjentów do „rozkosznych darów winogrodu” w takich ilościach — naturalnie również w celu zaokrąglenia rachunków — że ci giną jak muchy, i bynajmniej nie na suchoty, ale na wątrobę, z powodu opilstwa...

I tak szło dalej, a Hans Castorp śmiał się serdecznie i dobrodusznie z tego nawału gotowych insynuacji. Sposób mówienia Settembriniego, wolny od naleciałości jakiegokolwiek narzecza, robił szczególnie miłe wrażenie dzięki swej czystości i poprawności. Słowa brzmiały u niego lapidarnie, czysto i świeżo, lubował się w inteligentnych i zjadliwie dobranych zwrotach, a nawet w gramatycznych odstępstwach i językowych wariantach. To jego upodobanie udzielało się słuchaczom i wywoływało nastrój wesołości, Włoch zaś miał dar tak jasnego myślenia i tyle przytomności umysłu, że ani razu nie zawiodła go jego swada.

— Pan tak ucieszenie opowiada, proszę pana — rzekł Hans Castorp — tak żywo, nie wiem doprawdy, jak by to określić.

— Plastiknie, co? — odpowiedział Włoch wachlując się chusteczką, aczkolwiek było dość chłodno. — O ten wyraz chodzi panu, prawda? Mam plastyczny sposób opowiadania, to pan chciał powiedzieć. Ale uwaga, panowie! — zawołał nagle. — Co widzę! Tam oto kroczą nasi sędziowie piekielni! Co za widok!

Minęli już zakręt. Nie wiadomo, czy to dzięki wymowie Settembriniego, czy wskutek spadzistości terenu, czy też może dlatego, że oddalili się od zakładu o wiele mniej, niż to się wydawało Hansowi Castorpowi — droga bowiem wydaje się znacznie dłuższa, gdy się ją raz pierwszy przebywa — dość że wrócili zdumiewająco prędko. Settembrini nie mylił się: na tyłach sanatorium, wzdłuż budynku, szybkim krokiem szli obaj lekarze — na przodzie, wiosłując rękami, spieszył radca w białym chałacie i z grubym karkiem, a w ślad za nim, w czarnym fartuchu, dr Krokowski, tym bardziej nadęty, że zwyczaj kliniczny nakazywał mu przy takich służbowych okazjach chodzić za szefem.

— A, Krokowski! — zawołał Settembrini. — Chodzi tu sobie, a zna wszystkie tajemnice naszych pań. Proszę tylko zwrócić uwagę na symbolikę jego ubrania: odziewa się czarno, żeby zaznaczyć, że noc jest właściwą dziedziną jego studiów.



Człowiek ten ma w głowie tylko jedną jedyną myśl, a ta jest sprośna. Inżynierze, to dziwne, żeśmy jeszcze o nim nie rozmawiali! Pan go już przecież zna?

Hans Castorp potwierdził.

— No i co? Zaczynam przypuszczać, że i on się panu spodobał.

— Sam dobrze nie wiem, proszę pana. Zetknąłem się z nim tylko przelotnie, a przy tym nie jestem zbyt pochopny do wydawania sądów o ludziach. Patrząc na nich i myśląc: „A więc taki jesteś? No, dobrze”.

— To nie ma sensu — odrzekł Settembrini — należy sądzić. Po to natura dała panu oczy i rozum. Powiedział pan przedtem, że mówię złośliwości, ale jeżeli tak jest, to czynię to nie bez pewnych zamiarów pedagogicznych. My, humaniści, wszyscy mamy żyłkę pedagogiczną. Tak, moi panowie, historyczna łączność humanizmu z pedagogiką dowodzi ich związku psychologicznego. Nie należy odbierać humaniście prawa wychowywania — nie można mu tego odebrać, bo w nim tylko żyje tradycja o godności i piękności człowieka. On to zajął ongi miejsce duchownego, który w czasach ciemnoty i nienawiści ośmielał się być przywódcą młodzieży. Historia nie stworzyła dotąd innego typu wychowawcy: może pan mnie nazwać wstecznikiem, ale w zasadzie, in abstracto, proszę mnie dobrze rozumieć, jestem stanowczo zwolennikiem gimnazjum humanistycznego.

Jeszcze w windzie rozwijał swoje poglądy i zamilkł dopiero wtedy, kiedy kuzyni na drugim piętrze wyszli na korytarz. On sam jechał na trzecie, gdzie, jak poinformował Castorpa Joachim, zajmował mały pokoik od podwórza.

— Widocznie nie ma pieniędzy? — zapytał Hans Castorp, idąc za Joachimem.

Pokój kuzyna urządzony był zupełnie jak jego własny.

— Tak — powiedział Joachim — pieniędzy nie ma albo najwyżej tyle, ile potrzeba tutaj na pokrycie najkonieczniejszych wydatków. Jego ojciec był już także literatem, a zdaje mi się, że i dziadek również.

— No, więc to zrozumiałe — rzekł Hans Castorp — a czy on jest poważnie chory?

— O ile wiem, nie jest to choroba niebezpieczna, ale uporczywa. On to ma już od lat, raz nawet wyjechał, ale szybko musiał powrócić.

— Biedak! Zwłaszcza że tak bardzo chce pracować. Jest przy tym nadzwyczajnie rozmowny i tak łatwo przechodzi z tematu na temat. Z tą panią był zresztą trochę bezczelny, czułem się nawet przez chwilę zażenowany. Ale to, co mówił potem o godności ludzkiej, brzmiało doskonale, zupełnie jak przemówienie na jakiejś uroczystości. Czy często z nim się spotykasz?

## Bystrość umysłu

Ale Joachim z trudnością już tylko i niewyraźnie mógł odpowiedzieć. Z czerwonego, skórzanego futerału, wyłożonego wewnątrz aksamitem, wyjął był krótki termometr i włożył do ust jego dolny koniec, napełniony rtęcią. Wsunął go z lewej strony pod język, tak że szklany instrument sterczał mu z ust ukośnie w górę. Mierzając temperaturę zmienił obuwie i włożył kurtkę, skrojoną na wzór bluzy wojskowej dawnego typu, wziął ze stołu drukowaną tabelkę wraz z ołówkiem oraz książkę: rosyjską gramatykę, bo uczył się tu rosyjskiego, ażeby, jak utrzymywał, mieć z tego korzyść na służbie. Tak uzbrojony wszedł na balkon i położył się na leżaku, narzucając sobie na nogi koc z wielbłądziej sierści.

Właściwie było to prawie zbyteczne. W ciągu ostatniego kwadransa chmury przerzedziły się i spoza nich wyjrzało słońce, tak gorące i jasne, że chroniąc się przed nim Joachim rozpiął nad głową biały płócienny parasol, przymocowany do poręczy leżaka i za pomocą pomysłowego mechanizmu nastawiany zależnie od położenia słońca. Hans Castorp pochwalił to urządzenie. Czekał na wynik mierzenia rozglądając się wokoło, obejrzał też worek na futrze, leżący w kącie loggii (Joachim używał go, kiedy było zimno) i, wsparty łokciami o barierę, spoglądał w dół, gdzie we wspólnej leżalni w ogrodzie spoczywało wielu pacjentów, rozmawiając, czytając i pisząc. Widziało się stąd zresztą tylko jej część, pięć czy sześć leżaków.

— Jak długo to trwa właściwie? — zapytał Hans Castorp i zwrócił się do kuzyna.

Joachim podniósł w górę siedem palców.

— Ależ siedem minut już chyba minęło!

Joachim potrząsnął głową. Po chwili wyjął z ust termometr, obejrzał go i rzekł:

— Tak, jeżeli się zwraca nań uwagę, czas płynie bardzo powoli. Mierzę sobie temperaturę cztery razy dziennie i bardzo lubię to zajęcie, bo spostrzega się przy tym, czym właściwie jest minuta, a tym bardziej całych siedem minut; cóż dziwnego, że siedem dni tygodnia wydają się tutaj wiecznością.

— Mówisz „właściwie”. „Właściwie” powiedzieć nie można — odparł Hans Castorp. Siedział bokiem na barierze, a białka jego oczu pokryte były siecią czerwonych żyłek. — Czasu w ogóle nie ma „właściwie”. Jeżeli się komuś dłuży, płynie wtedy powoli, jeżeli przeciwnie, to upływa prędko, ale przecież nikt nie wie, z jaką szybkością biegnie w rzeczywistości. — Hans Castorp nie zwykł był filozofować, a jednak pociągało go to.

Joachim zaprzeczył:

— Jak to! Czas przecież mierzymy. Mamy zegary i kalendarz, i miesiąc, który upłynął, upłynął tak samo dla ciebie, jak i dla nas wszystkich.

— A więc uważaj — powiedział Hans Castorp i nawet podniósł do góry palec wskazujący. — Minuta trwa według ciebie tak długo, jak ci się to wydaje, kiedy sobie mierzysz temperaturę?

— Minuta trwa tak długo... jest czasem, którego potrzebuje wskazówka sekundnika, żeby dokonać całego swego obrotu.

— Ależ ona potrzebuje właśnie raz krótszego, a kiedy indziej dłuższego czasu — z naszego punktu widzenia! I rzeczywiście... to znaczy, w rzeczywistości — powtórzył Hans Castorp i tak mocno przycisnął palec wskazujący do nosa, że go zupełnie przekrzywił — jest to ruch, ruch przestrzenny, prawda? Zaraz, czekaj! Czas mierzymy zatem przestrzenią, ale to jest tak samo, jak gdybyśmy przestrzeń chcieli mierzyć czasem, co robią przecież tylko ludzie zupełnie niewykształceni. Z Hamburga do Davos jest dwadzieścia osiem godzin — no tak, kolejną; ale ile będzie na piechotę? A w myśli? mniej niż sekunda!

— Słuchaj no — rzekł Joachim — co ci jest właściwie? Zdaje mi się, że pobyt tu u nas ci nie służy.

— Cicho bądź! Czuję, że myślę dziś szczególnie bystro. Czym jest właściwie czas? — zapytał Hans Castorp i przegiął tak silnie swój nos, że koniec zbiełał i cała krew zeń uciekła. — Czy możesz mi na to odpowiedzieć? Przestrzeń spostrzegamy przecież za pomocą naszych organów zmysłowych, za pomocą wzroku i dotyku. No, dobrze. Ale co właściwie jest naszym organem czasu? Czy możesz mi go wymienić? Widzisz, tu zapędziłem cię w kozi róg. Ale jakżeż możemy chcieć mierzyć coś, o czym, ściśle mówiąc, nic nie wiemy, czego żadnej, absolutnie żadnej cechy nie znamy! Mówimy: czas upływa. Pięknie, niech sobie upływa, ale żeby móc go mierzyć... Zaraz! Ażeby być wymierzalnym, musiałby przecie płynąć j e d - n o s t a j n i e , a gdzie jest napisane, że tak właśnie się dzieje? Dla naszej świadomości na pewno tak nie jest, a przyjmujemy to tylko gwoli ładu i nasze miary to przecież tylko konwencja... Pozwól mi...

— Dobrze — rzekł Joachim — w takim razie jest też tylko konwencją, że mam tu na termometrze o cztery kreski za dużo! Ale przez te pięć kresek muszę się tutaj mordować i nie mogę pełnić służby. To jest obrzydliwe!

— Masz 37,5?

— Teraz już znowu spada. — I Joachim wpisał cyfrę do swojej tabelki. —

Wczoraj, wskutek twojego przyjazdu, miałem prawie 38. Wszyscy, do których przyjeżdżają goście, mają podwyższoną temperaturę. A jednak to jest dobrodziejstwo.

— Pójdę sobie już — rzekł Hans Castorp. — Mnóstwo myśli o czasie chodzi mi jeszcze po głowie — cały kompleks, mogę powiedzieć. Nie chcę cię jednak teraz tym męczyć, i tak masz za wiele kresek. Zapamiętam wszystko i później będziemy mogli powrócić do tego, może po drugim śniadaniu. Zawołaj mnie, kiedy będzie czas na śniadanie, a teraz także pójdę się położyć, to przecież, chwała Bogu, nie boli. — Tak mówiąc, przeszedł między barierą a szklaną przegrodą do swojej loggii, gdzie również stał leżak i stolik; z pokoju, w którym zrobiono już wzorowy porządek, wziął sobie *Ocean steamships* oraz swój ładny miękki pled w ciemnoczerwonej i zielonej kostkę i wyciągnął się.

Wkrótce i on musiał rozpiąć parasol, bo w czasie leżenia słońce stawało się nieznośne. Hans Castorp z przyjemnością zauważył od razu, że leżało się nadzwyczaj wygodnie, nigdy w życiu nie widział jeszcze tak doskonałego leżaka. Szkielet jego o trochę staromodnym kształcie — co jednak było zamierzone, a nie przypadkowe, bo mebel wyglądał na nowy — wykonany był z politurowanego drzewa barwy czerwobrunatnej, a materac, pokryty miękkim kretonem, składał się z trzech wysokich poduszek i sięgał od nóg aż powyżej pleców. Poza tym pod głową przymocowany był za pomocą sznura wałek w haftowanej płócienną poszewce, który nie był ani za twardy, ani za miękki i miał jakieś wyjątkowo kojące działanie. Hans Castorp oparł jedną rękę o szeroką, gładką poręcz i leżał z przymrużonymi oczami, nie zajmując się wcale swoimi *Ocean steamships*. Surowy i nagi, ale jasno oświetlony krajobraz widziany przez łuki loggii, wyglądał jak obraz w ramie. Hans Castorp przyglądał mu się w zamyśleniu. Nagle coś sobie przypomniał i odezwał się głośno:

— To była karlica, ta, co nam rano podawała.

— Psst! — syknął Joachim. — Ciszej. Tak, karlica, więc cóż z tego?

— Nic, tylko jeszcze nie mówiliśmy o tym.

I marzył dalej. Kiedy się położył, była dziesiąta. Od tego czasu przeszła godzina. Była to zwykła godzina, niedługa i niekrótka. Nagle w ogrodzie i w domu rozległy się dźwięki gongu, najpierw daleko, potem bliżej, potem znowu dalej.

— Śniadanie — rzekł Joachim i słysząc było, że wstaje. Hans Castorp podniósł się także i wszedł do pokoju, żeby się trochę ogarnąć. Kuzyni spotkali się na korytarzu i razem zeszli na dół. Hans Castorp odezwał się:

— Wiesz, odpocząłem znakomicie. Co to są za leżaki? Jeżeli można je tutaj

dostać, to zabiorę sobie jeden do Hamburga; czułem się na nim jak w niebie. A może Behrens kazał je zrobić według własnych swych wskazówek?

Joachim nie umiał na to odpowiedzieć. Zdjęli palta i weszli razem po raz drugi do jadalni, gdzie całe towarzystwo posilało się już na dobre.

W sali było biało od mleka: przy każdym nakryciu stała pełna, prawie półlitrowa szklanka.

— Nie — rzekł Hans Castorp siadając na swoim miejscu między szwaczką a Angielką i rozkładając z rezygnacją na kolanach serwetę, chociaż czuł się jeszcze bardzo syty po pierwszym śniadaniu. — Nie, na Boga, mleka w ogóle pić nie mogę, a już wcale nie teraz. Czy nie ma przypadkiem portera? — zapytał grzecznie karcicy. Niestety, portera nie było. Ale obiecała podać mu piwo kulmbacheńskie i rzeczywiście natychmiast je przyniosła. Było gęste, czarne, z brązową pianą i doskonale zastępowało porter. Hans Castorp pił chciwie z wysokiej półlitrowej szklanki. Jadł do tego zimne mięso na grzankach. Znowu podawano kaszę owsianą, a na stole stało dużo masła i owoców. Hans Castorp spojrzał tylko na to wszystko, bo nie był w stanie jeść. Przyglądał się również kuracjuszom; nie byli już dla niego zwartym tłumem i odróżniał poszczególne osoby.

Stół jego był szczelnie obsadzony, z wyjątkiem jednego miejsca naprzeciw niego, po wąskiej stronie stołu; powiedziano mu, że jest to miejsce doktora. Bo o ile im czas pozwalał, doktorzy brali udział w ogólnych posiłkach, siadając przy coraz to innym stole: przy każdym było jedno takie miejsce dla nich zarezerwowane. Teraz nie było żadnego z nich obu; mówiono, że są zajęci przy operacji. Znowu ukazał się ów młody człowiek z wąsami, opuścił głowę na piersi i usiadł na swym miejscu, z zatroskaną i zamyśloną miną. Znowu była tu owa jasna, szczupła blondynka i jadła łyżką jogurt, jak gdyby nic innego jeść nie mogła. Obok niej siedziała tym razem jakaś mała i ruchliwa starsza pani; mówiła coś po rosyjsku do milczącego młodzieńca, który smutno na nią spoglądał i odpowiadał tylko skinieniem głowy, przybierając wyraz twarzy człowieka, który ma w ustach coś niesmacznego. Naprzeciwko Hansa Castorpa po drugiej stronie starszej pani siedziała młoda ładna dziewczyna z kwitnącą cerą i wysokimi piersiami, z kasztanowatymi, ładnie sfalowanymi włosami, okrągłymi, piwnymi, dziecinnymi oczami i z niewielkim rubinem na palcu. Dużo się śmiała i mówiła również tylko po rosyjsku. Hans Castorp usłyszał, że na imię było jej Marusia. Zauważył też, że Joachim miał poważny wyraz twarzy i spuszczał oczy, kiedy się śmiała i mówiła.

Przez boczne drzwi wszedł Settembrini i podkręcając wąsa zmierzał ku swojemu miejscu przy stole stojącym pod kątem do stołu Hansa Castorpa. Gdy usiadł, sąsie-

dzi jego wybuchnęli głośnym śmiechem: prawdopodobnie powiedział coś złośliwego. Hans Castorp rozpoznał również członków „Stowarzyszenia Jednego Płuca”. Hermina Kleefeld ze swymi głupimi oczami zdążyła do stołu umieszczonego przed drzwiami na werandę i ukloniła się młodzieńcowi z wywiniętymi wargami, który przedtem tak nieprzystojnie podniósł swoją kurtkę. Błada jak z kości słoniowej panna Levi siedziała obok tłustej pani Iltis z wątrobianymi plamami na twarzy, w gronie obcych osób przy stole, który stał w poprzek pokoju, na prawo od Hansa Castorpa.

— Widzisz, to są twoi sąsiedzi — szepnął Joachim nachylając się do swego kuzyna... Rosyjskie małżeństwo przechodziło właśnie tuż koło Hansa Castorpa w kierunku ostatniego stołu na prawo, „gorszego stołu rosyjskiego”, przy którym już jakaś rodzina z brzydkim chłopcem pochłaniała całe góry kaszy. Mąż był szczupły, jego policzki były ziemiste i zapadłe. Miał na sobie brązową skózaną kurtkę, a na nogach niezgrabne filcowe buciki zapinane na klamry. Małżonka jego, również niska i drobna, w kapeluszu z powiewającymi piórami, szła obok niego drobnymi kroczkami w juchtowych bucikach na wysokich obcasach. Brudne boa z ptasich piór owijało jej szyję. Hans Castorp przyglądał im się z obcą sobie bezwzględnością, która jemu samemu wydała się brutalna; ale właśnie ta brutalność sprawiała mu pewną nieoczekiwaną przyjemność. Patrzył na nich tępym i jednocześnie zaczepnym spojrzeniem. W tej samej chwili z trzaskiem i brzękiem zamknęły się za kimś drzwi; ale Hans Castorp nie wstrząsnął się, jak przy pierwszym śniadaniu, tylko lekko się skrzywił, a kiedy chciał zwrócić głowę w tę stronę, stwierdził, że przychodzi mu to z trudem i że nie warto się męczyć. Tak więc i tym razem nie dowiedział się, kto tak niedbale obchodzi się z drzwiami.

Pochodziło to stąd, że piwo, które zwykle z lekka go tylko otumaniało, dzisiaj zupełnie go oszołomiło i sparaliżowało — tak jak gdyby go kto silnie uderzył po głowie. Powieki ciążyły mu jak ołów, a język nie mógł sprostać myślom, kiedy młody Castorp chciał być grzecznym i rozmową zabawiać siedzącą obok niego Angielkę. Trudno mu nawet było odwrócić spojrzenie, a na domiar złego wypieki na twarzy paliły go równie mocno jak wczoraj; wydawało mu się, że ma spuchnięte policzki, oddychał z trudem, serce biło mu głucho, niby owinięty w jakąś tkaninę młotek, a jeżeli skutkiem tego wszystkiego nie bardzo cierpiał, to tylko dlatego, że czuł się jak gdyby po lekkiej dawce chloroformu. Zaledwie jak przez sen spostrzegł, że dr Krokowski przecież jeszcze zdążył przyjść na śniadanie i usiadł przy jego stole, chociaż doktor raz po raz uważnie mu się przyglądał, rozmawiając jednocześnie po rosyjsku z paniami po swojej prawej ręce — przy czym młode panienki, mianowicie kwitnąca Marusia, jak również wychudzona amatorka jogurtu, pokornie

i wstydliwie spuszczały oczy. Zresztą Hans Castorp zachowywał się — rzecz jasna — zupełnie przyzwoicie, milczał, ponieważ język odmawiał mu posłuszeństwa, a nożem i widelcem manipulował z pewną nawet elegancją. Skoro zaś kuzyn skinął na niego i podniósł się z miejsca, wstał również, nie patrząc ukłonił się współbiesiadnikom i pewnym krokiem wyszedł za Joachimem.

— Kiedy znowu idziemy werandować? — zapytał, gdy wyszli z domu. — Widzę, że nie ma tutaj nic przyjemniejszego. Chciałbym się już znowu wyciągnąć na swoim świetnym leżaku. Czy idziemy na daleką przechadzkę?

## **O jedno słowo za wiele**

Nie — odrzekł Joachim — nie wolno mi chodzić daleko. O tej porze, o ile mam czas, schodzę trochę na dół przez Davos-Wieś do Uzdrowiska. Oglądam sklepy, ludzi, kupuję, czego mi potrzeba. Przed obiadem leżymy tu jeszcze godzinę, a potem znowu do czwartej — bądź o to spokojny.

Szli w blasku słońca w dół drogą wjazdową, przeszli ponad strumieniem, przecięli wąski tor kolejowy, mając przed oczami kolosy gór, z prawej strony zamykające dolinę: „Schiahorn”, „Zielone Wieże” i „Dorfberg”, jak objaśniał Joachim. Na pewnej wyniosłości widać było cmentarz należący do Davos-Wsi, który Joachim wskazał mu końcem laski. Wkrótce znaleźli się na głównej drodze, biegnącej na wysokości jednego piętra ponad dnem doliny, wzdłuż zbocza opadającego tarasami.

Chociaż miejscowość nazywała się Davos-Wieś, o wsi właściwie nie mogło być mowy, pozostała z niej tylko nazwa. Uzdrowisko pochłonęło ją całkowicie, rozbudowując się stale w kierunku doliny — tak że ta część całego osiedla, która się nazywała Wsią, przechodziła niepostrzeżenie w Davos-Uzdrowisko. Po obu stronach drogi stały hotele i pensjonaty, wszystkie z licznymi krytymi werandami, balkonami i leżalniami, a również małe domki prywatne, w których można było wynajmować pokoje. Tu i ówdzie widać było nowe budowle, w niektórych miejscach droga była nie zabudowana i otwierał się widok na zielone łąki doliny...

Hans Castorp zatęsknił za tym, co stanowiło dlań jeden z uroków życia, i znowu zapalił cygaro; tym razem, prawdopodobnie dzięki działaniu wypitego przed chwilą piwa, ku swemu wielkiemu zadowoleniu zdołał pochwycić coś niecoś z upragnionego aromatu; co prawda, udawało mu się to w słabym stopniu i nie za każdym pociągnięciem — trzeba było pewnego wysiłku nerwów, aby zdobyć jakie takie zadowolenie, bo ohydny smak skóry nadal wybijał się na pierwszy plan. Nie chcąc

złożyć broni walczył przez chwilę o przyjemność, która bądź mu się wymykała, bądź też z daleka ukazywała szyderczo i w sposób mglisty; wreszcie, zmęczony swą niemocą, z obrzydzeniem odrzucił cygaro. Pomimo fatalnego samopoczucia uważał za swój obowiązek bawić kuzyna rozmową i w tym celu starał się przypomnieć sobie doskonale uwagi, które miał zamiar poprzednio wygłosić o czasie. Ale okazało się, że cały „kompleks” bez reszty wypadł mu z pamięci i nie mógł znaleźć w głowie ani jednej myśli dotyczącej czasu. Zaczął za to mówić o rzeczach cielesnych i to jakoś dziwnie.

— Kiedy sobie drugi raz mierzysz? — zapytał. — Po obiedzie? Tak, to jest słuszne, bo organizm pracuje wtedy najintensywniej, więc to musi wystąpić na jaw. Mówiąc, że i ja mam sobie mierzyć temperaturę, Behrens chyba żartował — przecież Settembrini śmiał się z tego do rozpuku, bo to zupełnie nie miałoby sensu. Zresztą nie mam nawet termometru z sobą.

— To jest najmniejsza przeszkoda — powiedział Joachim. — Mógłbyś tu sobie kupić. Tutaj prawie w każdym sklepie można dostać termometr.

— Ależ po co? Werandować to co innego, to mogę przy sposobności, ale mierzyc temperaturę byłoby dla hospitanta za wiele. To już pozostawiam wam tutaj w górze. Gdybym tylko mógł wiedzieć — ciągnął Hans Castorp, ruchem zakochanego przyciskając obie ręce do serca — dlaczego mam ciągle bicie serca; to mnie tak niepokoi, muszę wciąż o tym myśleć. Serce gwałtownie bije zawsze wtedy, kiedy czeka kogoś jakaś wielka radość albo kiedy człowiek się lęka, słowem, przy jakichś wzruszeniach. Ale jeżeli serce bije komuś samo z siebie, bez żadnego powodu i sensu i, że tak powiem, na własną rękę, jest wtedy w tym coś niesamowitego; staraj się mnie zrozumieć — to tak jak gdyby ciało kroczyło swoimi własnymi drogami, zupełnie niezależnie od duszy, podobnie jak ciało umarłego; i ono przecież nie jest naprawdę martwe — nic podobnego nie istnieje — ale żyje nadal bardzo intensywnie, i to na własną rękę: rosną mu jeszcze włosy i paznokcie, a i poza tym pod względem fizykalnym i chemicznym panuje w nim, jak słyszałem, bardzo żywy ruch.

— Cóż to za wyrażenie — rzekł Joachim, strofując. Była to poniekąd może zemsta za napomnienie, które otrzymał dzisiaj rano z powodu „dzwoneczków janczarskich”.

— Ale tak przecie jest naprawdę! To jest bardzo żywy ruch! Dlaczego cię to razi? — spytał Hans Castorp. — Zresztą wspomniałem o tym mimochodem. Chciałem tylko powiedzieć, że jest w tym coś niesamowitego i męczącego, kiedy ciało żyje na własną rękę niezależnie od duszy, i robi się ważne, jak przy takim nieumoty-



wowanym biciu serca. Po prostu szuka się jakiegoś powodu, jakiegoś wzruszenia, które mogłoby to wywołać, jakiegoś uczucia radości czy lęku, które mogłoby, że tak powiem, usprawiedliwić ten stan — tak przynajmniej ja to odczuwam, mówię tylko o sobie.

— Tak, tak — rzekł Joachim z westchnieniem — podobnie jest przy gorączce, wtedy w ciele również panuje bardzo żywy ruch, by użyć twojego wyrażenia, i może być, że mimo woli doszukujemy się wtedy jakiegoś wzruszenia, które by nadało choć odrobinę sensu temu żywemu ruchowi... Ale mówimy o takich przykrych rzeczach — rzekł drżącym głosem i nagle urwał. Hans Castorp wzruszył tylko ramionami, i to zupełnie tak samo, jak to czynił wczoraj wieczór Joachim.

Szli przez chwilę w milczeniu. Po chwili Joachim zapytał:

— Jak ci się podobają tutejsi goście, ci przy naszym stole?

— Mój Boże — odparł Hans Castorp, robiąc przy tym badawczą i obojętną minę — nie są chyba bardzo zajmujący. Wydaje mi się, że przy innych stołach są bardziej interesujący. Ale może to tylko złudzenie. Pani Stöhr powinna sobie umyć włosy, ma takie tłuste. A ta Mazurka, czy jak jej tam, wydaje mi się trochę głupia. Ciągłe chichoce i przy tym zatyka sobie usta chustką do nosa.

Joachima rozśmieszyło to przekręcenie imienia.

— Mazurka — to doskonałe! — zawołał. — Nazywa się Marusia, jeśli nie masz nic przeciwko temu — to jest tyle co Maria. Tak, ona jest naprawdę za mało opanowana, a ma wszelkie powody po temu, żeby zachowywać się z umiarem, bo jest poważnie chora.

— Nie widać tego po niej — powiedział Hans Castorp. — Wygląda świetnie, a szczególnie trudno uwierzyć, że jest piersiowo chora. — To mówiąc, spojrział porozumiewawczo na kuzyna, ale spostrzegł, że opalona twarz Joachima miała jakiś wygląd plamisty, jak zwykle opalone twarze, kiedy krew z nich odpływa; usta jego wykrzywił przy tym żalosny grymas, który przeraził Hansa Castorpa i skłonił do natychmiastowej zmiany tematu; zaczął więc dopytywać się o inne osoby, starając się wymazać z pamięci Marusię i wyraz twarzy Joachima, co mu się zresztą w zupełności udało.

Angielka, która piła odwar z głogu, nazywała się miss Robinson. „Szwaczka” nie była wcale szwaczką, lecz nauczycielką państwowej szkoły średniej dla dziewcząt w Królewcu, i to było powodem jej poprawnego sposobu wysławiania się. Nazywała się panna Engelhart. Co do ruchliwej starszej pani, to Joachim, chociaż od dawna mieszkał tutaj na górze, nie znał jej nazwiska. W każdym razie była cio-

teczną babką amatorki jogurtu, której stale towarzyszyła w sanatorium. Ale najciężej chorym przy ich stole był dr Blumenkohl, Leon Blumenkohl z Odessy — ów młodzieniec z wąsami, zatroskany i zamknięty w sobie. Przebywał już tu od lat...

Szli teraz miejskim chodnikiem — była to główna ulica miejscowości, do której zjeżdżało się towarzystwo o charakterze niewątpliwie międzynarodowym. Spotykali przechadzających się kuracjuszków, przeważanie młodych ludzi, eleganckich panów w sportowych ubraniach i bez kapeluszy, panie w białych spódniczkach i również z odkrytymi głowami. Słyszało się język rosyjski i angielski. Po obu stronach ciągnęły się rzędem ładne wystawy sklepowe i Hans Castorp, którego ciekawość walczyła ze znużeniem, zmuszał się do patrzenia, zatrzymał się nawet dłuższą chwilę przed magazynem mód męskich i stwierdził, że wystawa jest na wysokim poziomie.

Potem doszli do rotundy z krytą galerią, w której grała orkiestra. Był to Kurhauz. Na kilku kortach grano w tenisa. Długonodzy, wygoleni młodzieńcy w doskonale zaprasowanych flanelowych spodniach, na gumowych podszewkach i z odwiniętymi rękawami, grali z opalonymi i biało ubranymi pannami, które przeżyły się w biegu, ażeby wysoko w powietrzu odbić białą jak kreda piłkę. Nad dobrze utrzymanymi placami unosił się tuman drobniotkiego kurzu. Kuzyni usiedli na jednej z wolnych ławek, ażeby przyglądać się grze i krytykować.

— Nie grywasz tu zupełnie? — spytał Hans Castorp.

— Nie wolno mi — odparł Joachim. — My musimy leżeć, wiecznie leżeć... Settembrini powiada, że żyjemy w pozycji poziomej, że uprawiamy poziome rzemiosło\* — to jeden z jego kiepskich dowcipów. Ci, którzy tu grają, są zdrowi albo też czynią to wbrew zakazowi. Zresztą nie grają przecież poważnie, raczej dla włożenia kostiumu... A co się tyczy zakazów, to jest więcej rzeczy zabronionych, które się tutaj uprawia, np. poker, a w niektórych hotelach nawet petits chevaux\*\* — u nas za to wyrzucają, bo to ma być najszkodliwsze, ale niektórzy wymykają się po wieczornej kontroli i grają. Ów książę, od którego Behrens otrzymał swój tytuł, podobno robił to zawsze.

Hans Castorp ledwie mógł słuchać. Usta miał otwarte, bo trudno mu było oddychać przez nos, chociaż nie miał kataru. Doznawał niejasnego uczucia przykrości, że rytm jego serca, walącego jak młotem, nie zgadzał się z rytmem muzyki. I wśród tego poczucia wewnętrznego nieładu i sprzeczności zmorzyła go senność, ale Joachim wstał i przypomniał, że trzeba wracać.

---

\* ...poziome rzemiosło — chodzi tu o prostytutkę.

\*\* Petits chevaux (franc.) — koniki, gra hazardowa.

W milczeniu zmierzali ku domowi. Hans Castorp potknął się kilka razy na równej drodze i uśmiechał się żałośnie z tego powodu. Kulawy służący zawiózł ich windą na górę. Z krótkim „do widzenia” rozstali się przed numerem trzydziestym czwartym. Hans Castorp przeszedł przez pokój na werandę i, tak jak stał, runął na leżak. Nie zmieniając nawet przypadkowo obranej pozycji pograżył się w półsen, czując wciąż przy tym przykre i niespokojne bicie serca.

## **Naturalnie, kobieta!**

Jak długo spał, nie wiedział. Kiedy nadszedł właściwy czas, zadźwięczał gong, ale nie wzywał jeszcze do jedzenia, napominał tylko, żeby się przygotować; a ponieważ Hans Castorp o tym wiedział, więc leżał dalej, póki dźwięk metaliczny nie zabrzmiał po raz wtóry i nie ucichł. Kiedy Joachim przyszedł po niego, Hans Castorp chciał się przebrać, ale Joachim już na to nie pozwolił. Nienawidził niepunktualności i gardził nią. Czy można dojść do czegoś w życiu i wyzdrowieć, ażeby móc służyć w wojsku — tak mówił — jeżeli nie ma się nawet dość siły woli, aby nie spóźnić się na obiad. Naturalnie, miał rację, i Hans Castorp mógł tylko zauważyć, że nie jest przecie chory, natomiast w najwyższym stopniu śpiący. Umył prędko tylko ręce i po raz trzeci tego dnia zeszli do sali jadalnej.

Goście wchodzili przez oba wejścia, a nawet z drugiej strony, przez drzwi od werandy, które teraz były otwarte; wkrótce zajęli wszystkie miejsca przy siedmiu stołach, tak jak gdyby wcale nie byli wstawali; takie przynajmniej wrażenie odniósł Hans Castorp — wrażenie, ma się rozumieć, całkiem bezpodstawne i niedorzeczne, któremu jednak w swym odurzeniu nie umiał się przez chwilę oprzeć, a które sprawiało mu nawet pewną przyjemność; w każdym razie kilkakrotnie w ciągu obiadu starał się je przywołać z powrotem i za każdym razem złudzenie było zupełne. Ruchliwa starsza pani wygadywała coś nadal, niewyraźnie jak zwykle, w siedzącego po drugiej stronie stołu doktora Blumenkohla, który słuchał z miną zatroskaną. Jej szczupła siostrzenica jadła wreszcie coś innego niż jogurt, mianowicie gęstą zupę crème d'orge\*, roznoszoną na talerzach przez kelnerki; ale po kilku łyżkach odsunęła talerz, nie tykając reszty. Ładna Marusia tłumiała swój chichot, wtykając do ust chusteczkę, z której rozchodził się pomarańczowy zapach. Miss Robinson czytała te same, okrągłym pismem skreślone listy, które czytała już dzisiaj rano. Widocznie nie umiała ani słowa po niemiecku i nie chciała się nauczyć. Joachim,

---

\* Crème d'orge (franc.) — kleik jęczmienny.

jako grzeczny kawaler, powiedział jej po angielsku coś o pogodzie, ale ona, żując, coś tylko odburknęła i znowu pograżyła się w milczeniu. Co się tyczy pani Stöhr w szkockiej bluzce wełnianej, to była dzisiaj przed południem badana i opowiadała o tym, niekulturalnie się krygując i wyszczerzając zajęcze zęby. Z prawej strony u góry, skarżyła się, ma jeszcze szmery, a poza tym pod lewą łopatką dźwięk jest jeszcze bardzo skrócony, więc „stary” powiedział, że jeszcze pięć miesięcy musi tu zostać.

Tak była nieogłodzona, że radcę dworu Behrensa nazywała „starym”. Poza tym oburzała się, że „stary” nie siedzi dzisiaj przy jej stole. Z „tourné” wynikałoby (miała na myśli prawdopodobnie „turnus”), że dzisiaj jest kolej na jej stół, a tymczasem „stary” znowu usiadł przy sąsiednim stole z lewej strony (radca Behrens siedział tam rzeczywiście, splótnszy przed talerzem swoje wielkie dłonie). Ale jest to zupełnie zrozumiałe, mówiła, bo tam jest miejsce tej grubej pani Salomon z Brukseli, która nawet w powszedni dzień dekoltuje się do obiadu, a „staremu” widocznie to się podoba, chociaż ona, pani Stöhr, nie pojmuje tego, bo przecie przy każdym badaniu „stary” widzi tyle z pani Salomon, ile tylko chce. Potem, z wielkim podnieceniem, opowiadała szeptem, że wczoraj wieczorem na ogólnej leżalni, mianowicie tej, która się znajduje na dachu, nagle zgaszono światło, i naturalnie w celach, które nazywała „zupełnie przejrzystymi”. „Stary” miał to zauważyć i krzyczał tak, że słychać było w całym zakładzie. Sprawcy znowu, naturalnie, nie znaleziono, chociaż nie potrzeba przecie skończyć uniwersytetu, żeby odgadnąć, iż zrobił to kapitan Miklosich z Bukaresztu, któremu w ogóle w towarzystwie pań nigdy nie jest dosyć ciemno; jest to człowiek bez żadnego wykształcenia i nic mu nie pomaga, że chodzi w gorsecie, bo jest to po prostu dzikie zwierzę, tak, prawdziwe dzikie zwierzę — powtórzyła pani Stöhr stłumionym głosem, a na jej czole i górnej wardze wystąpiły kropelki potu. Całe Davos wie przecie, jaki stosunek łączy z nim panią konsulową Wurmbrand z Wiednia — tutaj nie można już mówić o jakimś s e k r e t n y m stosunku. Bo nie dość, że codziennie ten kapitan przychodzi do pokoju pani konsulowej, kiedy ta jeszcze leży w łóżku, i jest obecny przy całutkiej jej porannej toalecie, ale w zeszły wtorek opuścił pokój Wurmbrand dopiero o świcie, o godzinie czwartej rano — złapała go na tym pielęgniarka młodego Franza z numeru dziewiętnastego, któremu przed kilku dniami nie zdołano zrobić sztucznej odmy, i tak się zawstydzila, że omyliła się w numerze drzwi i znalazła się nagle w pokoju prokuratora Paravanta z Dortmundu... Wreszcie pani Stöhr wygłosiła dłuższą przemowę o „kosmicznym zakładzie”, w którym na dole, w Davos-Wsi, kupuje wodę do ust. Joachim nieruchomo wpatrywał się w swój talerz.

Obiad był równie obfity, jak świetnie przyrządzony. Wliczając weń pożywną

zupełnie, składał się z nie mniej niż sześciu dań. Po rybie było garnirowane mięso, potem bukiet jarzyn, pieczony drób, legumina, smakiem swym nie ustępująca tej, którą Hans Castorp jadł wczoraj na kolację, wreszcie ser i owoce. Każdy półmisek obnoszono dwa razy i nie na próżno. Nakładano sobie na talerze i pochłaniano olbrzymie ilości — wilczy apetyt panował w tej sali, dziki głód, którego widok byłby może przyjemny, gdyby jednocześnie nie sprawiał jakiegoś niesamowitego, a nawet odpychającego wrażenia. Nie tylko ci weselsi, ci, co beztrząsco gawędzili i obrzucali się nawzajem kulkami z chleba, wykazywali zdolności w tym kierunku, ale i tamci, spokojni i smutni, którzy w przerwach między daniami opierali głowę na rękę i patrzyli ponuro przed siebie. Jakiś niedorostek, siedzący przy stole po lewej stronie, sądząc z wieku uczeń gimnazjalny, ze zbyt krótkimi rękawami i w grubych okrągłych okularach, wszystko, co nakładał sobie na talerz, przede wszystkim drobniutko krajał i mieszał w jedną papkę; potem pochylał się nad nią i pochłaniał ją, sięgając od czasu do czasu serwetką pod okulary, ażeby otrzeć sobie oczy — nie wiadomo, co tam było do otarcia: pot czy łzy. Podczas obiadu zdarzyły się dwa wypadki, które zwróciły na siebie uwagę Hansa Castorpa, o ile pozwalało mu na to jego samopoczucie. Przede wszystkim — było to przy rybie — znowu trzasnęły oszklone drzwi. Hans Castorp drgnął i w przystępie złości powiedział sobie, że tym razem musi koniecznie przyłapać sprawcę. Nie tylko pomyślał to, ale nawet powiedział to sobie nieznacznymi ruchami warg — tak ważna była dla niego ta sprawa. „Muszę się dowiedzieć!” — szepnął z przesadną pasją, tak że nawet miss Robinson i nauczycielka spojrzały na niego zdziwione. Odwrócił się przy tym całym ciałem na lewo i wytrzeszczył przekrwione oczy.

Przez jadalnię szła jakaś pani, raczej młoda dziewczyna, średniego wzrostu, w białym swetrze i kolorowej spódnicy, z rudawoblond warkoczami, okalającymi po prostu głowę. Hans Castorp dojrzał niewiele z jej profilu, prawie nic. Szła cicho, bez szmeru — co dziwnie się nie zgadzało z jej hałaśliwym wejściem — szła jakby skradając się, z lekka wyciągnąwszy głowę, i zmierzała do ostatniego stołu, na lewo, ustawionego pod kątem prostym do drzwi, które prowadziły na werandę; był to tzw. „lepszy stół rosyjski”; trzymała przy tym jedną rękę w kieszeni obcisłego swetra, drugą podniosła do góry, ażeby poprawić sobie włosy. Hans Castorp spojrzał na tę rękę — specjalne znaczenie przywiązywał zawsze do rąk i ilekroć poznawał kogoś nowego, szczególną uwagę zwracał przede wszystkim na tę część ciała. Ręka, która poprawiała włosy, nie była tak wypielegnowana i delikatna jak ręce pań należących do sfery towarzyskiej młodego Hansa Castorpa. Dość szeroka, o zbyt krótkich palcach, miała w sobie coś prymitywnego i dziecinnego, coś z ręki uczenicy; paznokcie jej na pewno nie znały manicure, były, również jak u uczennicy,

byle jak obcięte nożyczkami, a skórka na bokach, jakby trochę postrzępiona, świadczyła prawie o małym nałogu obgryzania paznokci. Hans Castorp domyślił się raczej tego wszystkiego, niż dojrzał wyraźnie — odległość była przecież zbyt wielka. Skinieniem głowy przywitała towarzystwo przy stole i usiadłszy po jego wewnętrznej stronie tyłem do sali, obok dra Krokowskiego, który tam rezydował, odwróciła głowę i przez ramię przelotnie obejrzała publiczność, wciąż jeszcze trzymając rękę przy włosach. Hans Castorp zdołał wtedy zauważyć, że miała szerokie kości policzkowe i wąskie oczy... Niejasne wspomnienie czegoś i kogoś odezwało się w nim na krótką chwilę...

„Naturalnie, kobieta!” — pomyślał Hans Castorp i znowu wyszeptał te słowa tak głośno, że nauczycielka, panna Engelhart, zrozumiała je. Chuda starsza panna uśmiechnęła się, wzruszona.

— To jest Madame Chauchat — rzekła. — Jest tak nonszalancka. Zachwycająca kobieta. — Wypieki na twarzy panny Engelhart wzmocniły się o jeden ton, co zresztą zdarzało się, ilekroć zaczynała coś mówić.

— Francuzka? — zapytał surowo Hans Castorp.

— Nie, Rosjanka — odpowiedziała panna Engelhart. — Może mąż jej jest Francuzem lub francuskiego pochodzenia. Nie wiem tego na pewno.

— Czy to ten tam? — spytał Hans Castorp, ciągle jeszcze rozdrażniony, i wskazał na pana z obwisłymi ramionami, siedzącego przy lepszym stole rosyjskim.

— O nie, jej męża tu nie ma — odpowiedziała nauczycielka. — Nie było go tu jeszcze i nikt go tu nie zna.

— Mogłaby przyzwoicie drzwi zamykać! — powiedział Hans Castorp. — Zawsze tak nimi trzaska. To przecie nie jest sposób.

A ponieważ nauczycielka przyjęła tę naganę z pokornym uśmiechem, jakby sama była tu winna, nie było więcej mowy o Madame Chauchat.

Drugie zdarzenie polegało na tym, że dr Blumenkohl na chwilę opuścił salę — nic więcej. Nagle twarz jego sposepniała jeszcze bardziej, spojrzenie przybrało wyraz bardziej zatroskany, niż zwykle, po chwili skromnym ruchem odsunął krzesło i wyszedł. Przy tej sposobności w pełnym świetle ukazał się brak kultury pani Stöhr, bo prawdopodobnie jedynie ordynarne zadowolenie, że jest mniej chora niż Blumenkohl, podyktowało jej na wpół współczujący, na wpół szyderczy komentarz: „Biedak, patrzy już na księżą oborę. Już znowu musi się naradzać z niebieskim

Henrykiem<sup>\*</sup>”. Bez najmniejszego wysiłku, z tępą ignorancją wypowiedziała to groteskowe określenie „niebieski Henryk”; Hans Castorp zdrętwiał z przerażenia, a zarazem miał ochotę śmiać się, kiedy to usłyszał. Dr Blumenkohl powrócił zresztą po kilku minutach i, równie skromnie jak wyszedł, zajął z powrotem swoje miejsce przy stole i zaczął jeść dalej. Podobnie jak inni, jadł bardzo wiele, nakładając sobie zawsze dwa razy na talerz, w milczeniu i z zatroskanym obliczem.

Obiad się skończył. Dzięki zręcznej usłudze — karlica uwijała się przy tym najszybciej — trwał tylko dobrą godzinę. Hans Castorp, ciężko dysząc i sam dobrze nie wiedząc, jak się znalazł na górze, leżał znowu na swoim doskonałym leżaku, bo werandowanie po obiedzie, aż do podwieczorku, było nawet najważniejsze i należało go ściśle przestrzegać. Drzemał z bijącym sercem, oddychając przez usta; leżał pomiędzy ściankami z matowego szkła, które go oddzielały z jednej strony od Joachima, a z drugiej — od rosyjskiego małżeństwa. Kiedy użył swej chusteczki, zaczerwieniła się od krwi, ale nie miał dosyć siły, żeby się nad tym zastanowić, chociaż z natury lękał się o siebie i był skłonny do lekkiej hipochondrii. Zapalił sobie znowu „Marię Mancini”, i tym razem wypalił ją do końca, nie zwracając uwagi na to, jaki ma smak. Czując zawrót głowy, nieswój i senny, rozmyślał, co za dziwne rzeczy dzieją się z nim tutaj w górze. Dwa lub trzy razy wstrząsnął nim wewnętrzny śmiech, kiedy sobie przypomniał okropne określenie, jakiego użyła przy stole niewykształcona pani Stöhr.

## **Pan Albin**

Na dole w ogrodzie powiewała fantazyjna chorągiew z laską Eskulapa. Niebo zaciągnęło się znowu równomiernie chmurami, promienie słoneczne skryły się i nagle powiało niegościnnym chłodem. Ogólna leżalnia była pełna ludzi; dolatywały z niej rozmowy i chichoty.

— Błagam pana, panie Albinie, niech pan odłoży nóż albo niech go pan schowa do kieszeni, bo może się zdarzyć nieszczęście — skarżył się jakiś wysoki, drżący głos kobiety. A potem:

— Ależ na miłość Boga, drogi panie Albinie, niech pan oszczędza nasze nerwy i usunie sprzed naszych oczu to mordercze narzędzie! — wtrąciła się inna pani. Na

---

\* ...z niebieskim Henrykiem — aluzja do powieści Gottfrieda Kellera „Zielony Henryk”. Przekreślonym tytułem tej powieści nazywa pani Stöhr kieszonkową spluwaczkę, używaną przez chorych w sanatorium.

co młody blondyn, który z papierosem w ustach siedział na pierwszym leżaku z brzegu, odpowiedział zuchwałym tonem: — Ani mi się śni. Panie pozwolą mi chyba pobawić się trochę moim nożem! Tak, ten nóż jest wyjątkowo ostry, kupiłem go w Kalkucie od pewnego ślepego czarownika... Czarownik połykał ten nóż, a jego pomocnik wykopywał go natychmiast z ziemi w odległości pięćdziesięciu kroków... Czy chce pani zobaczyć? Jest o wiele ostrzejszy niż brzytwa. Wystarczy lekko dotknąć ostrza, a wchodzi w ciało jak w masło. Zaraz pani pokażę... — i pan Albin wstał z krzesła. Podniósł się krzyk i pisk. — Nie, pokażę państwu lepiej mój rewolwer! — rzekł pan Albin. — To będzie bardziej interesujące. Przeklęte narzędzie. Wali z taką siłą. Zaraz go przyniosę z mego pokoju.

— Panie Albinie, drogi panie Albinie, niech pan tego nie robi! — podniósł się krzyk, ale pan Albin opuszczał już leżalnię, aby się udać do swojego pokoju. Był to człowiek bardzo jeszcze młody, niedbały, z różową twarzą dziecka i niedużymi baczkami przy uszach.

— Panie Albinie — wołała za nim jakaś pani — niech pan lepiej przyniesie swoje palto i włoży je, niech pan to zrobi dla mnie. Sześć tygodni leżał pan na zapaleniu płuc, a siedzi pan tutaj bez palta i nawet bez pledu i pali pan papierosy. To jest kuszenie Pana Boga, słowo honoru daję!

Ale on zaśmiał się szyderczo i już po kilku minutach powrócił z rewolwerem. Pisk, jeszcze głupszy niż poprzednio, podniósł się na leżalni i słychać było, jak ludzie, chcąc zeskoczyć z leżaków, płaczą się w swoich derkach i upadają.

— Proszę tylko zobaczyć, jakie to małe i błyszczące — powiedział pan Albin — ale jeżeli tutaj nacisnę, to chwyci... — Nowy pisk. — Jest naturalnie nabity ostrymi nabojami — ciągnął pan Albin. — W tym bębnie, który za każdym strzałem robi część obrotu, siedzi sześć nabołów. Zresztą przechowuję go nie dla żartów — rzekł, spostrzegłszy, że wrażenie powoli słabnie; schował rewolwer do wewnętrznej kieszeni marynarki, usiadł znowu na leżaku, założywszy nogę na nogę, i zapalił nowego papierosa. — Stanowczo nie dla żartów — powtórzył i zacisnął wargi.

— A po co, w jakim celu? — spytało kilka głosów, w których zabrzmiała obawa i niepokój. — To straszne! — zawołał ktoś nagle. Pan Albin skinął głową.

— Widzę, że państwo zaczynają rozumieć — rzekł. — Rzeczywiście mam go w tym celu — ciągnął dalej jakby nigdy nic, pomimo przebytego zapalenia płuc wdychając i wypuszczając wielkie kłęby dymu. — Trzymam go w pogotowiu, aż do dnia, w którym będę miał dosyć tego całego bałaganu i kiedy będę miał honor najniższej się pożegnać. To wcale nietrudno... Przystudiowałem tę sprawę i wiem już doskonale, w co należy wypalić. (Przy słowie „wypalić” ktoś głośno krzyknął).



Serce nie wchodzi tu w grę... Niewygodnie jest w nie mierzyć... wolę też od razu stracić przytomność, a osiągnę to aplikując sobie tak piękną i malutką rzecz, to obce ciało, o tutaj, w ten interesujący organ... — I pan Albin wskazał palcem na swoją krótko ostrzyżoną blond głowę. — Należy przyłożyć w ten sposób — pan Albin wyjął znowu z kieszeni swój niklowany rewolwer i parę razy stuknął sobie lufą w skroń. — Tutaj, powyżej tętnicy... Nawet bez lustra jest to prosta sprawa...

Teraz wybuchnął zbiorowy błagalny protest, w który wmieszało się czyjeś głośne łkanie.

— Panie Albinie, panie Albinie, niech pan odejmie rewolwer od skroni, na to nie można patrzeć! Pan jest jeszcze młody, pan wyzdrowieje, pan powróci do życia i będzie się pan cieszył powszechną życzliwością. Słowo honoru daję! Ale niech pan włoży palto, niech pan się położy i przykryje, niech pan nie zaniedbuje kuracji! Niech pan nie odpędza masażysty, kiedy przychodzi pana natrzeć spirytusem. Niech pan przestanie palić, panie Albinie — błagamy pana o pana życie, o pańskie młode, cenne życie!

Ale pan Albin był nieubłagany.

— Nie, nie, zostawcie mnie w spokoju, już dobrze, bardzo dziękuję. Jeszcze nigdy żadnej kobiecie niczego nie odmówiłem, ale przecież to nonsens przeciwstawić się losowi. Jestem już tutaj trzeci rok... Mam dosyć i przestaję brać udział w tej zabawie — czy można brać mi to za złe? Jestem nieuleczalnie chory — tak jak panie mnie tu widzą, nieuleczalnie chory. Tylko ze względu na honor zakładu i ze wstydu radca dworu ukrywa to jeszcze trochę przede mną. Dajcież mi więc trochę swobody — bo cóż mi więcej pozostaje! To jest tak, jak w gimnazjum, kiedy uczeń dowiaduje się, że zostaje na drugi rok: nie jest już pytany i nie ma nic do roboty. Doszedłem wreszcie do błogiego stanu, nic już nie potrzebuję robić, machnięto na mnie ręką i śmieję się z tego wszystkiego. Czy mogę służyć czekoladą? Proszę, niech państwo biorą! O nie, nie zabraknie mi, mam mnóstwo czekolady w pokoju: osiem bombonierek, pięć tabliczek Gala-Peter i cztery funty Lindta — wszystko to dostałem od tutejszych pań, kiedy miałem zapalenie płuc...

Nagle odezwał się jakiś gruby głos, nakazujący ciszę. Pan Albin zaśmiał się krótko — śmiechem niespokojnym i urywanym. W leżalni zrobiło się cicho, tak cicho, jak gdyby nagle wszystkich sen ogarnął albo duch jakiś przeleciał nad głowami; dziwnie pobrzmiwało jeszcze w milczeniu echo wypowiedzianych uprzednio słów. Hans Castorp nasłuchiwał jeszcze, aż ostatnie głosy umilkły, i chociaż zdawało mu się, że pan Albin zapewne jest zwyczajnym durniem, nie potrafił jednak obronić się przed lekkim uczuciem zazdrości. Szczególnie uderzyło go porów-

nianie zaczerpnięte z życia szkolnego, bo sam musiał powtarzać piątą klasę i pamiętał dobrze ówczesny, trochę przykry, ale jednocześnie zabawny stan beztroskiego zaniedbania, w jakim znajdował się podczas ostatniego kwartału, kiedy wycofał się z wyścigu i mógł się do woli śmiać „z tego wszystkiego”. Trudno jest sprecyzować jego uczucia w tej chwili, bo były niejasne i poplątane. Wydawało mu się, że honor ma wprawdzie swoje dobre strony, ale że ma je także hańba, a nawet, że dobre strony hańby są nieograniczone. I kiedy próbował wczuć się w stan pana Albina i dokładnie wyobrazić sobie, jak to jest, gdy ostatecznie przestają człowieka krępować wszystkie wymagania honoru i można bez reszty korzystać z nie ograniczonych niczym dodatnich stron hańby, odczuł nagle tak nieokiełznaną rozkosz, że ogarnęło go przerażenie, a serce jego przez pewien czas biło jeszcze gwałtowniej.

## **Szatan robi niegodne propozycje**

Później stracił przytomność. Kiedy obudziła go rozmowa tocząca się za lewą przegrodą, na jego zegarku było wpół do czwartej. Dr Krokowski, który o tej porze bez rady Behrensa obchodził chorych, rozmawiał po rosyjsku ze źle wychowanym rosyjskim małżeństwem, pytał, jak się zdawało, o zdrowie męża i kazał sobie podać jego tabelkę temperatury. Potem jednak kontynuował swoje wizyty nie wzdłuż balkonu, lecz okrążył korytarzem pokój Hansa Castorpa i wszedł przez drzwi do pokoju, w którym mieszkał Joachim. Hansa Castorpa dotknął nieco fakt, że w ten sposób zatoczono łuk dokoła niego, pozostawiając go po swej lewej ręce; co prawda, nie miał bynajmniej ochoty do rozmowy w cztery oczy z drem Krokowskim. No tak, on był właśnie zdrowy i nie liczył się tu wcale, bo tutaj w górze, myślał sobie, ten, kto ma honor być zdrowym, nie wchodzi wcale w rachubę i nikt się o niego nie troszczy; ale ten zwyczaj gniewał trochę młodego Castorpa.

Dr Krokowski zabawił u Joachima dwie lub trzy minuty, po czym poszedł dalej, już wzdłuż balkonu. Joachim zawołał na Hansa Castorpa, że można już wstawać i przygotowywać się do podwieczorku. — Dobrze — odrzekł i podniósł się z łóżka. Ale na skutek długiego leżenia czuł zawrót głowy, a półsen nie pokrzepił go bynajmniej i wywołał znowu przykre wypieki na policzkach, chociaż jednocześnie czuł lekkie dreszcze — może leżąc był niedostatecznie przykryty.

Umył sobie oczy i ręce, przycesał włosy, doprowadził do porządku ubranie i jednocześnie z Joachimem wyszedł na korytarz.

— Czyś słyszał, co mówił ten pan Albin? — zapytał, kiedy schodzili ze schodów...

— Ma się rozumieć — odpowiedział Joachim. — Należałoby go wziąć w karby. Przeszkadza tu w poobiednim odpoczynku i tak denerwuje panie, że o całe tygodnie cofa je w kuracji. To jest poważny brak subordynacji, ale nie znajdzie się nikt, kto by go zadenuncjował. A zresztą, dla większości takie gadanie stanowi przecież pożądaną rozrywkę.

— Czy uważasz za możliwe — zapytał Hans Castorp — aby on brał na serio tę swoją, jak ją nazywa, „prostą sprawę” i aby chciał zaaplikować sobie to „obce ciało”?

— Ach, owszem — odpowiedział Joachim. — Całkiem niemożliwe to nie jest. Tutaj w górze zdarzają się takie rzeczy. Na dwa miesiące przed moim przyjazdem pewien student powiesił się tu w lesie po generalnym badaniu. Podczas pierwszych dni mojego pobytu dużo jeszcze o tym mówiono.

Hans Castorp ziewnął, wzburzony, i oświadczył:

— Wiesz, dobrze się tutaj u was nie czuję; tego nie mogę powiedzieć. Zdaje mi się, że nie będę mógł pozostać, że będę musiał wyjechać, czy wzięłbyś mi to za złe?

— Wyjechać! Co ci na myśl przychodzi! — zawołał Joachim. — To nonsens — przecież dopiero przyjechałeś. Pierwszy dzień nie jest miarodajny!

— Ach, Boże, czy to ciągle jeszcze pierwszy dzień? Mam wrażenie, że jestem tu w górze od bardzo dawna.

— Tylko nie zaczynaj znowu mędrkować na temat czasu! — powiedział Joachim. — Dzisiaj rano zupełnie zawróciłeś mi w głowie.

— Bądź spokojny — odparł Hans Castorp — już nie pamiętam tego całego kompleksu, a poza tym nie mogę już tak jasno myśleć jak poprzednio... A więc teraz będzie herbata.

— Tak, a potem pójdziemy na spacer jak dziś rano, znowu do tej samej ławki.

— Dobrze, ale mam nadzieję, że nie spotkamy już Settembriniego. Uprzedzam cię z góry, że nie mogę już dzisiaj brać udziału w żadnej uczonej rozmowie.

W jadalni podawano wszelkie napoje, jakie tylko mogły wchodzić w grę o tej porze. Miss Robinson piła znowu krwistoczerwony odwar z głogu, a amatorka jogurtu jadła go łyżką. Poza tym było mleko, herbata, kawa, czekolada, a nawet rosół, i wszyscy goście, choć po sutym obiedzie spędzili dwie godziny w pozycji leżącej, z zapalem smarowali sobie masłem wielkie kawałki ciasta z rodzynkami.

Hans Castorp kazał sobie podać herbatę i maczał w niej sucharki. Spróbował również marmolady. Dokładnie obejrzał ciasto z rodzynkami, ale dosłownie wzdrygnął się cały na myśl o zjedzeniu choćby małego kawałka. I znowu, już po raz czwarty, siedział na swoim miejscu w jadalni ze sklepionym sufitem, malowanym w naiwne desenie. Trochę później, o godzinie siódmej, znalazł się tam po raz piąty, podczas kolacji. W czasie pomiędzy tymi posiłkami był na krótkiej przechadzce i doszedł do ławki pod skałą przy rynnie z wodą. O tej porze spacerowało po tej drodze wielu pacjentów, tak że kuzyni często musieli się kłaniać. Potem znowu weradowali przez półtorej godziny; czas ten minął szybko i pozbawiony był wszelkiej treści. Podczas leżenia Hans Castorp miał silne dreszcze.

Do kolacji przebrał się starannie; siedząc pomiędzy miss Robinson i nauczycielką, jadł zupę jarzynową, pieczone i smażone mięso z garniturem, dwa kawałki tortu, który zawierał wszystko: ciasto makaronikowe, krem maślany, czekoladę, marmoladę i marcypan, wreszcie zakończył doskonałym serem i pumperniklem. Znowu kazał sobie podać butelkę kulmbachera, ale wypiwszy pół szklanki, poczuł, że powinien położyć się do łóżka. W głowie szumiało mu, powieki ciążyły jak ołów, serce biło jak młotem, a na domiar złego wmówił w siebie, że śliczna Marusia, która, pochylona do przodu, kryła twarz w ręce ozdobionej małym rubinem, śmieje się właśnie z niego, chociaż tak usilnie starał się nie dać do tego najmniejszego powodu. Jakby z wielkiej odległości słyszał, jak pani Stöhr opowiadała czy twierdziła coś takiego, co mu się wydawało zupełną bzdurą i budziło w nim niepewność i wątpliwość, czy aby dobrze słyszy, czy też może wynurzenia pani Stöhr przekształcają się w jego głowie w nedorzeczności. Twierdziła mianowicie, że umie przyrządzać dwadzieścia osiem rodzajów różnych sosów do ryb; ma odwagę zaręczyć, że tak jest, chociaż jej własny mąż ostrzegał ją, by o tym nie mówiła. „Nie gadaj o tym! — miał jej powiedzieć — bo nikt ci nie uwierzy, a jeżeli nawet uwierzy, to cię na pewno wyśmieje”. A jednak pragnie dzisiaj raz wreszcie powiedzieć i otwarcie oznajmić, że w istocie umie robić dwadzieścia osiem różnych sosów do ryb. Biednemu Hansowi Castorpowi wydawało się to czymś tak strasliwym, że przeląkł się, potarł ręką czoło i zupełnie zapomniał dogryźć do końca i połknąć kawałek pumpernika z chesterem, który właśnie miał w ustach. Żuł go jeszcze, kiedy już wstawano od stołu.

Wyszli wprost do hallu przez oszklone drzwi po lewej stronie, te fatalne drzwi, które zawsze trzaskały. Prawie wszyscy goście obrali tę drogę, bo okazało się, że o tej godzinie, po kolacji, odbywa się w hallu i przyległych salonach coś w rodzaju towarzyskiego zebrania. Goście podzielili się na małe grupy i, stojąc, rozmawiali. Niektórzy zasiedli do gry przy dwóch obitych zielonym suknem rozkładanych stoli-

kach; przy jednym grano w domino, przy drugim w bridża; byli tu wyłącznie młodzi ludzie, między innymi pan Albin i Hermina Kleefeld. W pierwszym salonie znajdowało się też kilka interesujących zabawek optycznych: stereoskop, przez którego soczewki widać było ustawione wewnątrz fotografie, na przykład weneckiego gondoliera, w sztywnej i martwej postawie; następnie kalejdoskop w kształcie małej lunety; kiedy się przykładano oko do jego soczewek i lekko obracało ręką pierścień umieszczony na końcu, ukazywały się coraz to inne cudowne arabeski i gwiazdy. Wreszcie stroboskop, do którego wstawiało się wstęgę kinematograficznego filmu, a potem, obracając go i patrząc przez szpary, oglądało się młynarza walczącego wręcz z kominiarzem, nauczyciela wymierzającego karę chłosty uczniowi, fikającego linoskoczka i parę wieśniaków, wykonujących jakiś wiejski taniec. Hans Castorp, z rękami zziębniętymi, wspartymi na kolanach, przez dłuższy czas zabawił się każdym z tych przyrządów. Stał również przez chwilę przy bridżu, gdzie nieuleczalnie chory pan Albin z obwisłymi kącikami ust i z niedbałymi ruchami światowca manewrował kartami. W rogu pokoju siedział dr Krokowski, żywo i serdecznie rozmawiając z półkolem pań, wśród których była pani Stöhr, pani Iltis i panna Levi.

Goście należący do lepszego stołu rosyjskiego zebrali się w sąsiednim saloniku, odgrodzonym tylko portierami od pokoju, gdzie grano. Oprócz Madame Chauchat siedzieli tam: jakiś chuderlawy blondyn z brodą, z wklęsłą klatką piersiową i wytrzeszczonymi oczami; młoda, ciemna brunetka, o oryginalnym i humorystycznym typie, ze złotymi kolczykami i rozwichrzonymi włosami; następnie dr Blumenkohl, który dołączył się do tego towarzystwa, i jeszcze dwóch młodych ludzi o obwisłych ramionach. Madame Chauchat miała na sobie niebieską suknię z białym koronkowym kołnierzem. Siedziała w centralnym punkcie całej grupy, na kanapie, przy okrągłym stoliku pod tylną ścianą pokoju, z twarzą zwróconą ku pokojowi gry. Hans Castorp, patrząc krytycznie na tę źle wychowaną kobietę, myślał sobie w duchu: jest coś takiego, co ona mi przypomina, ale nie wiem, co by to być mogło... Jakiś wysoki, mniej więcej trzydziestoletni pan, z przerzedzonymi włosami na głowie, trzy razy z rzędu przegrał na krótkim brązowym fortepianie marsz weselny ze „Snu nocy letniej”; a kiedy panie go o to poprosiły, zaczął grać ten melodyjny utwór po raz czwarty, każdej z nich po kolei zaglądając głęboko w oczy.

— Czy wolno zapytać pana o zdrowie, inżynierze? — zapytał Settembrini, który z rękami w kieszeniach spodni kręcił się wśród gości, i podszedł do Hansa Castorpa... Wciąż jeszcze miał na sobie szarą, włochatą marynarkę oraz jasne spodnie w kratę. Uśmiechał się, znowu widok delikatnie ironicznego wyrazu ust pod czarnymi łukami wąsów podzielał jakby otrzeźwiająco na Hansa Castorpa.

Zresztą patrzył na Włocha z miną dosyć głupią, ze zwiotczalymi wargami i przekrwionymi oczyma.

— A, to pan — rzekł. — Od razu poznałem, to pana spotkaliśmy dzisiaj rano na górze przy ławce... przy rynnice z wodą. Czy pan da wiarę — ciągnął, choć zdawał sobie sprawę, że nie powinien tego mówić — że w pierwszej chwili zrobił pan na mnie wrażenie katarzyniarza?... Naturalnie, to było zupełnie od rzeczy — dodał, widząc, że spojrzenie Settembriniego przybrało wyraz chłodny i badawczy — straszliwy nonsens jednym słowem! Nie mogę teraz pojąć nawet, w jaki sposób...

— Niech pan się uspokoi, to nic nie szkodzi — odparł po chwili Settembrini, który czas jakiś milcząco obserwował Hansa Castorpa. — A jak pan spędził dzień, swój pierwszy dzień w tym miejscu rozrywkowym?

— Dziękuję bardzo. Zupełnie przepisowo — odparł Hans Castorp. — Przeważnie w pozycji poziomej, jak to pan podobno lubi nazywać.

Settembrini uśmiechnął się.

— Być może, że kiedyś tak powiedziałem — rzekł. — Czy czas się panu nie dłużył?

— I dłużył, i zarazem mknął szybko, jak się komu podoba — odpowiedział Hans Castorp. — To czasem trudno odróżnić, wie pan. Nie nudziłem się bynajmniej — przecież tu u was panuje bardzo żywy ruch. Widzi się i słyszy tu tyle nowych i dziwnych rzeczy... Ale z drugiej strony wydaje mi się, że jestem tutaj nie jeden tylko dzień, ale już od dłuższego czasu — tak jak gdybym stał się tutaj już mądrzejszy i starszy.

— Mądrzejszy także? — zapytał Settembrini i podniósł brwi w górę. — Za pozwoleniem: ile lat ma pan właściwie?

Ale cóż to znowu? Hans Castorp nie wiedział? Nie wiedział w owej chwili, ile ma lat, chociaż czynił gwałtowne, a nawet rozpaczliwe wysiłki, żeby sobie przypomnieć. Dla zyskania na czasie kazał sobie powtórzyć pytanie, a potem rzekł:

— ...Ja... ile mam lat? Naturalnie, mam dwadzieścia trzy, niezadługo skończę dwadzieścia cztery. Przepraszam pana, jestem zmęczony! Choć zmęczenie zupełnie jeszcze nie jest właściwym określeniem tego, co czuję. Czy zna pan ten stan, kiedy ktoś ma jakiś sen i wie, że to jest sen, i chce się obudzić, a nie może? Zupełnie tak samo czuję się teraz. Na pewno mam gorączkę, inaczej w ogóle nie mogę sobie tego wytłumaczyć. Czy pan da wiarę, że aż po kolana marzną mi stopy! Jeżeli wolno tak się wyrazić, bo kolana nie należą już przecie do stóp — przepraszam pana, zupełnie nie wiem, co się ze mną dzieje, i nic dziwnego, bo jeśli z samego rana gwizdnięto

na kogoś tą... tą sztuczną odmą, a potem musi słuchać, i to w pozycji poziomej, gadania pana Albina. Niech pan sobie wyobrazi: ciągle mi się wydaje, że nie mogę dowierzać swoim pięciu zmysłom, i muszę powiedzieć, że mi się to daje we znaki jeszcze bardziej niż wypieki na twarzy i zimne nogi. Niech pan mi powie otwarcie: czy pan to uważa za możliwe, że pani Stöhr umie przyrządzać dwadzieścia osiem sosów do ryb? Nie chodzi mi o to, czy naprawdę umie je robić — uważam to za wykluczone — chciałbym tylko wiedzieć, czy ona rzeczywiście twierdziła to przy stole, czy też mi się tylko, tak wydawało.

Settembrini spojrzał na niego. Wydawało się, że nie słucha. Jego oczy znowu zapatrzyły się, przybrały tępy i nieruchomy wyraz. — Tak, tak, no, no, no — powiedział szyderczo i w zamyśleniu, miękko wymawiając wyrazy, jak dzisiaj rano.

— Powiedział pan: dwadzieścia cztery? — zapytał po chwili...

— Nie, dwadzieścia osiem! — odparł Hans Castorp. — Dwadzieścia osiem sosów do ryb! Nie sosów w ogóle, ale specjalnych sosów do ryb. To jest właśnie niesłychane.

— Inżynierze! — rzekł Settembrini tonem gniewnym i mentorskim. — Niechże się pan opanuje i nie opowiada mi tych bezwstydných nonsensów! Nic o tym nie wiem i nic nie chcę wiedzieć. Dwudziesty czwarty rok? Hm... niech pan mi pozwoli na jeszcze jedno pytanie albo lepiej niech mi wolno będzie zrobić panu pewną nie wiążącą propozycję, jeśli pan woli. Zdaje się, że pobyt tutaj panu nie służy; jeżeli się nie mylę, czuje się pan u nas źle zarówno na ciele, jak i na duszy — jakby to więc było, gdyby pan zrezygnował ze starzenia się tutaj, jednym słowem, gdyby pan jeszcze dzisiaj w nocy spakował swoje manatki i jutro rano wyjechał stąd pośpiesznym pociągami?

— Pan sądzi, że powinienem wyjechać? — zapytał Hans Castorp. — Przecież dopiero co przyjechałem! No nie, przecież pierwsze dni nie są miarodajne!

Mówiąc to spojrzał przypadkiem do sąsiedniego pokoju i zobaczył panią Chauchat, jej wąskie oczy i szerokie kości policzkowe. Na miłość boską, pomyślał, co i kogo ona mi przypomina? Ale pomimo pewnego wysiłku nie znalazł w swej zmęczonej głowie odpowiedzi.

— Ma się rozumieć, nie jest mi tak całkiem łatwo zaaklimatyzować się tutaj u was w górze — ciągnął dalej — to było do przewidzenia; ale tak zaraz dać za wygraną tylko dlatego, że przez pierwszych kilka dni będę może miał wypieki i będzie mi nieswojo, nie, musiałbym się wstydzić i samemu sobie wydałbym się wprost tchórzem. Poza tym byłoby to wbrew wszelkiemu rozsądkowi — no, niech pan sam powie...

Mówił teraz bardzo dobitnie, wzruszając w podnieceniu ramionami; zdawało się, że chce nakłonić Włocha, by całkiem formalnie cofnął swą propozycję.

— Schylam głowę przed rozsądkiem — odparł Settembrini. — Schylam ją również przed odwagą. Pan ma poniekąd słuszość i trudno byłoby przeciwstawić jego zdaniu jakieś słuszne argumenty. Rzeczywiście, sam widziałem interesujące wypadki aklimatyzacji. Była tu w zeszłym roku panna Kneifer. Otylia Kneifer, z bardzo dobrej rodziny, córka wyższego urzędnika państwowego. Była tu chyba przez półtora roku i tak przywykła do tutejszego życia, że kiedy wyzdrowiała — bo i to się zdarza czasami, że ludzie wracają u nas do zdrowia — za żadną cenę nie chciała stąd wyjechać. Błagała radcę Behrensa, żeby pozwolił jej jeszcze pozostać; mówiła, że nie może i nie chce wracać do domu, że dom jej jest tutaj, że tutaj jest szczęśliwa. Ale był wówczas taki napływ gości, że pokój jej był niezbędnie potrzebny, więc błagania na nic się nie przydały i nastawano na to, ażeby, jako zdrowa, opuściła zakład. Otylia dostała wtedy wysokiej gorączki i wykres jej wciąż wzrastał; udało się ją jednak zdemaskować, każąc jej mierzyć temperaturę nie zwykłym termometrem, ale tak zwaną „niemową”. Jest to, proszę pana, termometr bez cyfr, a lekarz odczytuje zeń stan rtęci przykładając skalę i sam potem rysuje krzywą temperatury. Okazało się, że Otylia ma 36,9. Wykąpała się wtedy w jeziorze; było to na początku maja, nocą bywały jeszcze przymrozki, ale woda w jeziorze nie była zamrznięta, miała kilka stopni powyżej zera. Siedziała w wodzie dosyć długo, bo koniecznie chciała nabawić się czegoś — a skutek? Jak była, tak też pozostała zdrowa. Wyjechała więc pełna rozpaczy, nie słuchając perswazyj rodziców. „Cóż ja tam na dole będę robiła?” — pytała raz po raz. „Tu jest moja ojczyzna!” — Nie wiem, co się z nią później stało... Ale zdaje mi się, że pan mnie nie słucha, inżynierze? Jeżeli się nie mylę, z trudem trzyma się pan na nogach. Poruczniku — zwrócił się do wchodzącego Joachima — niech pan zabierze kuzyna i zaprowadzi go do łóżka! Ma wprawdzie wiele rozsądku i odwagi, ale dzisiaj wieczorem jest bardzo osłabiony.

— Nie, doprawdy wszystko zrozumiałem! — zapewniał Hans Castorp. — „Niemowa” jest to więc tylko słupek rtęci, bez cyfr — widzi pan, że wszystko doskonale pojąłem! — Udał się jednak na górę, w towarzystwie Joachima i wielu innych pacjentów, bo zebranie towarzyskie na dzisiaj było skończone i rozchodzono się na balkony i do leżalni, aby odbyć jeszcze wieczorne werandowanie. Hans Castorp udał się wraz z Joachimem do jego pokoju. Podłoga korytarza, pokryta kokosowym chodnikiem, falowała mu z lekka pod nogami, ale nie sprawiało mu to zbytnej przykrości. Rozparł się w wielkim fotelu Joachima, pokrytym materiałem w kwiatki — podobny fotel stał i w jego pokoju — i zapalił sobie cygaro „Maria Mancini”.



Miało smak kleju, węgla i jeszcze różnych innych rzeczy, nie miało tylko swego właściwego smaku; nie przestał jednak palić, przyglądając się jednocześnie, jak Joachim wybierał się na werandowanie: włożył swoją domową kurtkę, skrojoną na wzór dawnego typu bluzy wojskowej, na nią jakieś stare palto, po czym z lampką ze stolika nocnego i czytanką rosyjską wyszedł na balkon; załączył lampę, z termometrem w ustach położył się na leżaku i ze zdumiewającą zręcznością zaczął owijać się dwoma wielkimi kocami wielbłądzimi, które były na nim rozpostarte. Z prawdziwym podziwem przyglądał się Hans Castorp, jak zgrabnie kuzyn to robi. Zawinał się najpierw z lewej strony, aż po same pachy, potem przykrył sobie nogi, a wreszcie zarzucił na siebie z prawej strony oba koce; przemienił się w ten sposób w równy i gładki pakiet, z którego wystawały tylko głowa, ramiona i ręce.

— Robisz to naprawdę świetnie — powiedział Hans Castorp.

— To rzecz wprawy — odparł Joachim, przytrzymując zębami termometr. — I ty się tego nauczysz. Jutro musimy koniecznie kupić dla ciebie parę koców. Tam na dole przydadzą ci się na pewno, a tu u nas są nieodzowne, tym bardziej że nie masz worka na futrze.

— Ale przecie nocą nie będę leżał na balkonie — powiedział Hans Castorp. — Z góry ci mówię, że tego robić nie będę, wydawałoby mi się to już zbyt dziwne. Wszystko ma swoje granice. A w jakiś sposób muszę ostatecznie przecież także zaakcentować, że przyjechałem do was na górę tylko w odwiedziny. Posiedzę tu jeszcze trochę i wypalę swoje cygaro. Ma okropny smak, ale wiem, że jest dobre, i muszę się tym na dziś zadowolić. Jest teraz dziewiąta — a nawet nie ma jeszcze dziewiątej. Ale o wpół do dziesiątej będzie można mniej więcej normalnie położyć się do łóżka.

Wstrząsnął nim dreszcz — najpierw jeden, a potem dalsze w małych odstępach czasu. Hans Castorp zerwał się i podbiegł do wiszącego na ścianie termometru, jak gdyby chciał schwycić go in flagranti. W pokoju było dziewięć stopni Réaumura. Dotknął rur kaloryfera — były martwe i zimne. Zamruczał coś nieskładnie w tym sensie, że wprawdzie jest sierpień, ale że to jednak hańba, iż tutaj nie palą, bo rozstrzygnąć o tym powinna nie nazwa bieżącego miesiąca, lecz temperatura, a ta jest tak niska, że marznie się tu jak pies. Ale twarz mu pałała. Usiadł, wstał jeszcze raz i poprosił, by wolno mu było użyć kołdry Joachima; siedząc w fotelu, rozpostarł ją sobie na kolanach i w tej pozycji, rozgorączkowany i wstrząsany dreszczami, męczył się nad wstrętnym cygarem. Ogarnęło go poczucie wielkiej niedoli; wydawało mu się, że jeszcze nigdy w życiu nie było mu tak źle. — To przecież nieszczęście! — wymamrotał. Ale nagle opanowało go na chwilę uczucie przeciwne: szcze-

gólnie intensywnej radości i nadziei, więc czekał, czy jeszcze powróci. Nie powróciło jednak, zostało tylko nieszczęście. Wstał więc, rzucił kołdrę Joachima na łóżko, przez zaciśnięte usta mruknął coś jakby „Dobranoc” i „Tylko nie zamarznij”, i „Zajdziesz chyba po mnie na śniadanie”, po czym chwiejnym krokiem udał się przez korytarz do swojego pokoju.

Podczas rozbierania się nucił jakąś piosenkę, ale nie było mu wesoło. Automatyycznie wykonywał wszystkie drobne zabiegi i kulturalne obowiązki nocnej toalety, nalał trochę różowego eliksiru do zębów z podróżnej flaszki do szklanki i dyskretnie wypłukał gardło, umył ręce delikatnym mydłem o fiołkowym zapachu i włożył długą batystową koszulę nocną z wyhaftowanymi na kieszonce na piersiach literami H. C. Potem położył się, zgasił światło i złożył swą pałającą, pełną zamętu głowę na śmiertelnej poduszce zmarłej Amerykanki.

Oczekiwał na pewno, że zaśnie natychmiast, ale okazało się, że było to tylko złudzenie. Powieki, które poprzednio kleiły mu się do snu, teraz same podnosiły się, drgając niespokojnie, ilekroć zamykał oczy. Nie była to jego zwykła godzina spania — powiedział sobie — poza tym w ciągu dnia za dużo leżał. W dodatku trzepano gdzieś dywan — co było mało prawdopodobne i istotnie niezgodne z prawdą; rozumiał, że jest to bicie jego serca, które słyszy poza sobą, gdzieś daleko na łące, całkiem tak, jak gdyby trzepano na dworze dywan trzciniową trzepaczką.

W pokoju nie było jeszcze zupełnie ciemno, przez otwarte drzwi balkonowe wpadał blask nocnych lampek, palących się w loggiach Joachima i małżeństwa, które należało do gorszego stołu rosyjskiego. Leżąc na wznak i walcząc z drgającymi powiekami, Hans Castorp przypomniał sobie pewne wrażenie z ubiegłego dnia, a raczej spostrzeżenie, o którym wówczas lęk i poczucie delikatności kazały mu natychmiast zapomnieć. Był to wyraz twarzy Joachima, kiedy mówił o Marusi i o cechach jej powierzchowności — ów dziwnie żaloszny grymas ust, bladeść i plamy, jakie wystąpiły na jego opalone policzki. Hans Castorp zrozumiał i pojął, co to miało znaczyć, zrozumiał i pojął w sposób dla siebie nowy i wnikliwy, i tak intymny, że trzciniowa trzepaczka na dworze podwoiła nagle szybkość i siłę uderzeń, zagłuszając prawie dźwięki serenady z uzdrowiska Davos — bo znowu był tam koncert w hotelu; tony symetrycznie zbudowanej, trywialnej melodii operetkowej dochodziły przez mrok i Hans Castorp zaczął ją szeptem gwizdać (bo można szeptem gwizdać), rytmicznie poruszając pod pierzyną zziębniętymi stopami.

To był, naturalnie, najlepszy sposób na to, żeby nie zasnąć. Hans Castorp nie miał też zresztą żadnej ochoty do snu. Od chwili kiedy zmieszanie Joachima ukazało mu się tak wyraziście w tym nowym świetle, świat wydawał mu się inny niż

dotychczas i odezwało się w nim znowu owo uczucie intensywnej radości i nadziei. Poza tym czekał jeszcze na coś, sam dobrze nie wiedząc, na co. Kiedy jednak usłyszał, że sąsiedzi z prawej i lewej strony skończyli werandowanie, aby poziomą pozycję z balkonu zamienić na taką samą w pokoju, pomyślał, że tym razem barbarzyńskie małżeństwo będzie się zachowywało przyzwoicie. „Mogę zasnąć spokojnie — powiedział sobie. — Tym razem będą się na pewno zachowywali przyzwoicie!” Ale stało się inaczej, a Hans Castorp był właściwie na to przygotowany i, prawdę powiedziawszy, zdziwiłby się nawet, gdyby zachowywali się przyzwoicie. To, co usłyszał, sprawiło jednak, że, zdumiony, raz po raz wołał do siebie w myśli: „Niesłychane! Okropność! Kto by mógł coś podobnego uważać za możliwe?” — Jednocześnie nie przestawał gwizdać do taktu trywialnej melodii operetkowej, której dźwięki uporczywie docierały do niego.

Nareszcie zapadł w drzemkę. Ale jednocześnie nawiedziły go dziwaczne sny, jeszcze dziwniejsze niż nocy poprzedniej, więc często budził się z lękiem lub jakby ścigając jakiś niezwykły obraz. Śniło mu się, że radca Behrens, z krzywymi nogami i sztywno zwisającymi rękami, spaceruje po ścieżkach ogrodu, dostrajając swoje długie i monotonne kroki do dźwięków marsza dolatujących z daleka. W pewnej chwili radca dworu zatrzymał się przed Castorpem, który spostrzegł, że Behrens ma na nosie okulary o grubych, okrągłych szklach, i usłyszał jakieś niedorzeczne słowa. „Naturalnie, cywil” — mówił Behrens i, nie prosząc o pozwolenie, odchylił młodemu Castorpowi dolną powiekę środkowym i wskazującym palcem swojej wielkiej ręki. — „Szanowny cywil, zauważyłem to od razu, ale nie bez pewnego talentu do wzmożonego spalania ogólnego! Nie skąpiłbym mu latek, tych szybko mijających latek służby u nas na górze! No, hopla, panowie, jazda na przechadzkę!” — wołał, po czym włożył sobie do ust oba olbrzymie wskazujące palce i gwizdnął tak przejmująco, że z różnych stron przyfrunęły przez powietrze zmniejszone postacie nauczycielki i panny Robinson i usiadły mu na prawym i lewym ramieniu tak, jak siedziały przy stole po prawej i lewej ręce Hansa Castorpa. Potem radca dworu zaczął się oddalać skaczącymi kroczkami, sięgając serwetką pod okulary, aby sobie wytrzeć oczy — nie wiadomo, co tam było do otarcia: pot czy łzy.

Nagle sen przeniósł go na podwórze szkolne, gdzie przez tyle lat spędzał przerwy między lekcjami. Madame Chauchat była tam również i poprosił ją o pożyczenie ołówka. Podała mu do połowy wypisany już, czerwono polakierowany ołówek w srebrnej pochewce, a kiedy powiedziała miłym i trochę zachrypniętym głosem, aby po lekcji koniecznie go zwrócił, kiedy spojrzała nań swoimi wąskimi, szaroniebieskozielonymi oczami znad szerokich kości policzkowych — gwałtownie ocknął się ze snu, bo nareszcie uświadomił sobie i koniecznie chciał utrwalić w pamięci, co

i kogo mu Madame Chauchat właściwie przypomina. Pośpiesznie zabezpieczył sobie to odkrycie na jutro, bo poczuł, że sen i senne marzenia opanowują go znowu. Po chwili musiał szukać schronienia przed drem Krokowskim, który go ścigał, ażeby zająć się analizą jego duszy, a Hans Castorp czuł przed tym straszliwy, niczym nie uzasadniony lęk. Uciekał przed doktorem, z trudem przeciskając się pomiędzy barierą balkonu a szklanymi przegrodami, z narażeniem życia skoczył do ogrodu, w panicznym strachu starał się wdrapać nawet na czerwonawobrunatne drzewce chorągwi — i nagle zbudził się obłany potem w chwili, kiedy prześladowca złapał go za nogawkę spodni.

Kiedy po pewnej chwili uspokoił się nieco i sen zmorzył go znowu, okoliczności, w których się znajdował, ukształtowały się w sposób następujący. Napierał ramieniem na Settembriniego i starał się zepchnąć go z miejsca — a Włoch stał i uśmiechał się subtelnie, sucho i szyderczo pod pięknym łukiem czarnych wąsów; ten właśnie uśmiech obrażał Hansa Castorpa. „Pan przeszkadza! — zawołał głośno. — Niech pan się stąd wynosi! Pan jest tylko kataryniarzem i przeszkadza pan tutaj!” — Ale Settembrini nie ustępował, a Hans Castorp namyślał się, co by tu należało zrobić, kiedy zupełnie niespodzianie wpadła mu na myśl odpowiedź na pytanie, czym jest właściwie czas: niczym innym jak tylko „niemową”, słupkiem rてci bez skali — dla tych, którzy chcą oszukiwać. Zbudziwszy się postanowił podzielić się nazajutrz tym odkryciem z kuzynem.

Cała noc przeszła mu na podobnych przygodach i odkryciach, a występowali w nich również w sposób niejasny Hermina Kleefeld, pan Albin i kapitan Miklosich, który unosił w paszczy panią Stöhr i został przebity włócznią przez prokuratora Paravanta. A jeden sen przyśnił się Hansowi Castorpowi tej nocy dwa razy, i to za każdym razem zupełnie jednakowo — po raz drugi już nad ranem. Siedział w jadalni zastawionej siedmioma stołami, gdy nagle oszklone drzwi zatrzasnęły się z wielkim hałasem i do pokoju weszła Madame Chauchat w białym swetrze, jedną rękę trzymając w kieszeni, a drugą poprawiając włosy. Zamiast jednak skierować się do lepszego stołu rosyjskiego, ta źle wychowana kobieta podeszła cicho do Hansa Castorpa i podała mu rękę do pocałowania — ale nie grzbiet dłoni, tylko jej wewnętrzną stronę; Hans Castorp ucałował tę rękę, tę niewypielegnowaną, zbyt szeroką rękę o krótkich palcach i postrzępionej skórce dokoła paznokci. Przeszyło go znowu od stóp do głów uczucie nieokiełznanej rozkoszy, jak wtedy, kiedy próbował wczuć się w stan człowieka, którego przestały krępować wymagania honoru i który może bez reszty korzystać z niczym nie ograniczonych stron dodatnich hańby. Odczuł to teraz we śnie po raz wtóry, ale bez porównania silniej.

## Rozdział czwarty

### Niezbędne zakupy

Czy wasze lato już się skończyło? — zapytał ironicznie Hans Castorp Joachima trzeciego dnia swego pobytu.

Pogoda była okropna.

Drugi dzień spędzony tutaj na górze przez hospitanta był piękny i zupełnie letni. Ponad ostrymi wierzchołkami świerków widniała ciemnoniebieska kopuła nieba, cała miejscowość na dnie doliny kąpała się w gorącym blasku słońca, a dzwonki krów, szczypiących na zboczach gór ciepłą trawkę, napełniały powietrze wesołym dźwiękiem. Już do pierwszego śniadania panie zeszły w lekkich bluzkach, niektóre nawet z ażurowymi rękawami, w czym zresztą nie wszystkie korzystnie wyglądały — pani Stöhr na przykład było z tym bardzo nieładnie, bo miała zbyt zwiotczałe ramiona; powiewne szaty nie dla niej były stworzone. Także panowie z sanatorium na różne sposoby starali się przystosować do pięknej pogody. Pojawiły się kurtki alpakowe i płócienne ubrania, a Joachim Ziemssen włożył granatową marynarkę i białe flanelowe spodnie, co nadawało jego postaci zupełnie wojskowy wygląd. Settembrini zaś oświadczył kilkakrotnie, że ma zamiar zmienić ubranie. — Do diabła! — rzekł, gdy po obiedzie udał się z kuzynami na przechadzkę do Davos-Wsi — ale słońce pali dzisiaj! Widzę, że będę musiał włożyć coś lżejszego. — Ale pomimo tych wynurzeń przez cały dzień widziano go we włochatej marynarce z szerokimi klapami i w spodniach w kratę — prawdopodobnie była to cała jego garderoba.

Na trzeci dzień jednak pogoda zmieniła się tak dalece, jak gdyby cały porządek natury wywrócony został na nice. Hans Castorp nie wierzył własnym oczom. Po obiedzie, kiedy już wszyscy około dwudziestu minut leżeli na balkonach, słońce nagle się skryło, ohydne ciemnobrunatne chmury wypełzły spoza południowo-wschodniego grzbietu, i przez dolinę wionął wiatr zimny, ścinający krew w żyłach, jak gdyby przybywał z jakichś nieznanych, odległych i mroźnych okolic; temperatura spadła raptownie i cały wygląd przyrody zmienił się nie do poznania.

— Śnieg — odezwał się głos Joachima za szklanym przepierzeniem.

— Co to ma znaczyć „śnieg”? — spytał Hans Castorp. — Nie chcesz chyba powiedzieć, że będzie sypał śnieg?

— O! Na pewno — odparł Joachim. — My dobrze znamy ten wiatr; kiedy się zrywa, zawsze sprowadza sannę.

— Nonsens! — zawołał Hans Castorp. — Jeżeli się nie mylę, mamy teraz początek sierpnia.

Ale Joachim miał rację, znał widać tutejsze stosunki. Nie upłynęło kilka minut, a rozległy się grzmoty i sychnął gęsty śnieg; powstała taka zadymka, że wszystko zdawało się ginać w kłębach białej pary, a zabudowań w dolinie prawie zupełnie nie można było dostrzec.

Przez całe popołudnie padał śnieg. Uruchomiono centralne ogrzewanie. Joachim położył się na balkonie, w swoim worku na futrze, nie przerywając spełniania obowiązków kuracjusza, Hans Castorp natomiast schronił się do pokoju, przysunął krzesło do ciepłych rur radiatora i, kiwając, głową, spoglądał na owo szaleństwo za szybami. Nazajutrz rano śnieg już nie padał, ale chociaż termometr zewnętrzny wskazywał kilka stopni ciepła, ziemię pokrywała gruba na stopę powłoka śniegu — tak że Hans Castorp ku wielkiemu swemu zdziwieniu znalazł się nagle pośród zimowego krajobrazu. Sanatorium już nie ogrzewano i w pokojach było sześć stopni powyżej zera.

— Czy wasze lato już się skończyło?... — z gorzką ironią zapytał Hans Castorp kuzyna.

— Tego nie można powiedzieć — odparł rzeczowo Joachim. — Przy boskiej pomocy będziemy mieli jeszcze piękne letnie dni, nawet we wrześniu jest to jeszcze możliwe. Ale rzecz w tym, że pory roku nie różnią się tutaj tak bardzo między sobą, mieszają się i niezupełnie trzymają się kalendarza. Zimą słońce piecze czasami tak silnie, że człowiek się poci i trzeba podczas spaceru zdejmować marynarkę, a latem, no, sam widzisz najlepiej, jak tu nieraz bywa latem. Najgorzej jest ze śniegiem, śnieg nie trzyma się żadnego porządku. Sypie w styczniu, ale nie o wiele mniej w maju, a i w sierpniu, jak się sam przekonałeś, mamy także śnieżyce. Można powiedzieć ogólnie, że nie ma tu miesiąca bez śniegu; jest to twierdzenie, które można podtrzymywać. Słowem, bywają tutaj dni zimowe, letnie, wiosenne i jesienne, ale prawdziwych pór roku właściwie nie ma u nas w górze.

— Ładnie tu wszystko jest pomieszane — powiedział Hans Castorp.

W kaloszach i palcie zimowym udał się z kuzynem do Davos, aby kupić sobie koce do werandowania, bo jasne było, że przy tej pogodzie jego pled nie może mu

wystarczyć. Namyslał się nawet przez chwilę, czy nie powinien nabyć worka na futrze, ale na to się nie zdecydował, a nawet przeraziła go ta myśl.

— Nie, nie — rzekł. — wystarczą koce! Mogą mi się przydać później na dole. Zresztą, koce można mieć wszędzie, nie ma w tym nic dziwnego ani niepokojącego, ale taki worek na futrze jest czymś zupełnie specjalnym — postaraj się mnie zrozumieć; gdybym go kupił, mnie samemu wydawałoby się, że mam już tutaj osiąść na dobre, że jestem jednym z was... Słowem, chcę po prostu powiedzieć, że absolutnie nie opłaca się kupować worka futrzanego na przeciąg kilku tygodni.

Joachim był tego samego zdania. Weszli więc do eleganckiego i bogato zaopatrzonego sklepu w angielskiej dzielnicy i kupili dwa koce z sierści wielbłądziej, takie same, jakie miał Joachim: bardzo szerokie i długie, barwy naturalnej, niezmiernie miłe w dotknięciu. Kazali natychmiast odesłać je do Międzynarodowego Sanatorium „Berghof”, pokój 34. Hans Castorp chciał zaraz po obiedzie zrobić z nich użytek.

Działo się to, rzecz jasna, po drugim śniadaniu, bo porządek dnia nie pozwalał o innej porze schodzić na dół. Mżył teraz deszcz, i śnieg na ulicach przemienił się w lodową papkę, pryskającą pod krokami. W powrotnej drodze dogonili Settembriniego, który pod parasolem, ale z gołą głową, zmierzał również do sanatorium. Włoch miał dzisiaj żółtą cerę i był w wyraźnie elegijnym nastroju. W dźwięcznych i pięknie brzmiących słowach skarżył się na mróz i na wilgoć, które dawały mu się bardzo we znaki. Gdyby chociaż palili, ale ci nikczemni władcy tutejsi przestają palić, gdy tylko nie ma już śniegu — tępa reguła, urągająca wszelkiemu rozsądkowi!

Na uwagę Hansa Castorpa, że niska temperatura w pokojach należy zapewne do zasad kuracji — idzie o hartowanie pacjentów, Settembrini odpowiedział gwałtownym szyderstwem. Ach tak, zasady kuracji, wzniosłe i niewzruszalne zasady kuracji! Ton, którym Hans Castorp o nich mówi, jest rzeczywiście słuszny, jest nabożny i wiernopoddańczy. Ale rzecz dziwna — dziwna zresztą w sensie bardzo dodatnim — że największym poszanowaniem cieszą się tutaj te właśnie zasady, które idą w parze z ekonomicznymi interesami miejscowych władców, inne natomiast, nie posiadające tej cechy, traktuje się mniej rygorystycznie. Kuzyni roześmieli się głośno, a Settembriniego wspomnienie ciepła, do którego tęsknił, naprowadziło na opowiadanie o zmarłym ojcu.

— Ojciec mój — powiedział zatopiony we wspomnieniach — był człowiekiem bardzo subtelnym, o wielkiej wrażliwości cielesnej i duchowej. Ach, jak lubił zimą swój mały, ciepły pokoik, w którym pracował: kochał go z całego serca; palił się

w nim mały, do czerwoności rozgrzewający się piecyk, i temperatura musiała wynosić co najmniej dwadzieścia stopni Réaumura. Kiedy podczas dni dżdżystych lub ostrego wiatru północnego wchodziło się z sieni do tej pracowni, ciepło jak miękki płaszcz otulało członki i łzy napływały do oczu. Gabinet był zapchany książkami i rękopisami, wśród których znajdowały się rzeczy bardzo cenne. Wśród tych skarbów ducha ojciec mój, w szlafroku z granatowej flaneli, stał przed wąskim pulpitem i pracował nad literaturą. Był mały i drobny, o głowę niższy jeszcze ode mnie — proszę sobie tylko wyobrazić! Ale na skronie spadały mu wielkie pukle siwych włosów, a nos miał długi i wąski... cóż za romanista był z niego, panowie! Jeden z najwybitniejszych swojego czasu, wspaniały znawca naszego języka, najlepszy stylistą łaciński... uomo letterato według wymagań Boccaccia. Ze wszystkich stron zjeżdżali się do niego uczeni, jeden z Happarandy, inny z Krakowa; przyjeżdżali do Padwy, naszego rodzinnego miasta, aby mu złożyć swe uszanowanie, a on przyjmował ich przyjaźnie, lecz z godnością. Był również wybitnym poetą, w wolnych chwilach piszącym opowiadania wytworną prozą tokańską, był mistrzem idioma gentile — rzekł Settembrini, z największą rozkoszą wymawiając słowa ojczystego języka i podkreślając je ruchami głowy. — Ogródek swój urządził na wzór Wergiliusza — ciągnął dalej — a wszystko, co mówił, było zdrowe i piękne. Ale w pokoju jego musiało być ciepło, bardzo ciepło, bo inaczej drżał z zimna, a nawet płakał ze złości, że każe mu się marznąć. Teraz wyobraźcie sobie, panowie — panie inżynierze i panie poruczniku — jak ja, nieodrodny syn swego ojca, muszę cierpieć w tej przeklętej i barbarzyńskiej miejscowości, gdzie ciało latem drży z zimna, a poniżające wrażenia torturują wciąż duszę. Ach, jakżeż to ciężko! Co za typy nas otaczają! Radca dworu, błazen i szatan w jednej osobie... A Krokowski — Settembrini udawał, że z trudem wymawia to obce nazwisko — Krokowski, ten bezwstydnym spowiednik, który mnie nienawidzi, bo moja ludzka godność zabrania mi poddawać się jego kleszom zapędom... A przy moim stole... W jakim to towarzystwie zmuszony jestem jadać! Z prawej strony siedzi jakiś piwowar z Halle — nazywa się Magnus, z wąsami jak dwie wiązki siana. „Niech mi pan nie zawraca głowy literaturą! — odezwał się do mnie. — Cóż ona nam daje? Piękne charaktery! Na co mi się zdadzą piękne charaktery? Pięknych charakterów prawie nigdy nie spotyka się w życiu, a ja jestem człowiekiem praktycznym.” Oto pojęcie, jakie ten człowiek wytworzył sobie o literaturze. Piękne charaktery... O Matko Przenajświętsza! Naprzeciw niego siedzi jego żona i traci białko, popadając w coraz większe otępienie. To żalosne brudy...

Nie porozumiewając się między sobą, Joachim i Hans Castorp byli jednego zdania o tym sposobie mówienia. Wydawał im się zgorzkniały i niemile podburzający,



ale zarazem bardzo ciekawy, a nawet pouczający dzięki swej śmiałej i ostrej agresywności. Hans Castorp śmiał się dobrodusznie z owych „wiązek siana” i z „pięknych charakterów”, a raczej z zabawnej rozpacz, którą słychać było w słowach Settembriniego. Po chwili powiedział:

— Ach, Boże, w takim zakładzie towarzystwo jest niewątpliwie trochę mieszanane. Sąsiadów przy sobie nie można wybierać, do czego by to doszło. Przy naszym stole też siedzi taka dama... pani Stöhr — pan ją pewnie zna. Trzeba powiedzieć, że jest straszliwie niewykształcona, i czasem, kiedy gada, nie wiadomo zupełnie, gdzie podziąć oczy. Skarży się przy tym bardzo na swoją temperaturę i na „okłapnięcie” — a rzeczywiście nie jest to prawdopodobnie lekki przypadek. Jakież to dziwne — chora i głupia — nie wiem, czy się dobrze wyrażam, ale wydaje mi się bardzo dziwnym, jeżeli ktoś jest głupi, a przy tym chory; gdy się te dwie cechy spotykają, to jest to chyba najsmutniejsza rzecz w świecie. Zupełnie nie wiadomo, jak się do tego ustosunkować, bo wobec chorego chciałoby się przecież zachować powagę i okazywać mu szacunek; czyż nie? Choroba jest przecież poniekąd czymś godnym szacunku, jeżeli można tak powiedzieć. Ale jeżeli dołącza się do niej głupota wraz z tym „fomulusem”, „kosmicznym zakładem” i tym podobnymi powiedzonkami, to już rzeczywiście nie wiadomo, czy należy się śmiać, czy płakać; jest to dylemat dla uczucia ludzkiego, i tak żałosny, że nie umiem tego wypowiedzieć. Wydaje mi się, że to się nie zgadza, że nie licuje jedno z drugim — nie jest się przyzwyczajonym wyobrażać sobie te dwie rzeczy naraz. Sądzi się na ogół, że człowiek głupi musi być zdrowy i normalny i że choroba musi czynić człowieka mądrym, subtelnym i niezwykłym. Tak nam się zwykle wydaje. Może nie? Może powiedziałem więcej, niż potrafiłbym uzasadnić — zakończył. — Mówiłem o tym tylko dlatego, że tak się przypadkiem zgadało... — I zmieszał się zupełnie.

Joachim był także trochę zażenowany, a Settembrini milczał, podniósłszy brwi do góry, grzecznie na pozór wyczekując końca wynurzeń Hansa Castorpa; ale w rzeczywistości czyhał tylko na chwilę, kiedy ten do reszty stracił koncept, po czym zabrał głos:

— Sapristi, inżynierze, zdradza pan talenty filozoficzne, jakich się po nim bynajmniej nie spodziewałem! Zgodnie ze swą teorią musiałby pan być mniej zdrowy, niż pan udaje, bo na pewno jest pan bardzo inteligentny. Niech pan mi jednak pozwoli zaznaczyć, że nie zgadzam się z jego wywodami, że nawet zajmuję wobec nich wręcz wrogie stanowisko. W kwestiach teoretycznych jestem nieubłągany i wolę, żeby mnie nazwano pedantem, niż żebym miał nie zakwestionować

poglądów, które, jak wygłoszone przed chwilą przez pana, koniecznie powinny spotkać się z opozycją...

— Ależ, proszę pana...

— Pan pozwoli... Wiem, co pan chce powiedzieć, chce pan powiedzieć, że nie myślał tego tak serio, że poglądów, które pan wypowiedział, nie podziela pan bez zastrzeżeń, lecz je skądś podchwycił, jako jedne z możliwych, unoszących się niejako w powietrzu, aby spróbować ich bronić w sposób nieobowiązujący. To odpowiada pańskiemu wiekowi, jest pan jeszcze daleki od męskiej stanowczości, a tymczasem próbuje pan swych sił, obierając coraz to inne punkty widzenia. Placet experiri\* — powiedział, literę „c” słowa „placet” wymawiając miękko, z włoska, jak „cz”. — To słuszna zasada. Dziwi mnie tylko to, że pana eksperyment poszedł w tym właśnie kierunku. Nie przypuszczam, żeby to był przypadek. Obawiam się, że ma pan pewne skłonności, które się mogą ustalić jako składowa część jego charakteru, jeżeli się ich w zarodku nie stłumi. Dlatego też poczuwam się do obowiązku skorygowania pańskich poglądów. Twierdzi pan, że choroba połączona z głupotą jest zjawiskiem najżałośniejszym na ziemi. Owszem, zgadzam się z tym, ja także wolę inteligentnego chorego niż głupca, który ma suchoty. Muszę jednak zaprotestować, jeżeli pan uważa połączenie choroby z głupotą za pewien błąd w stylu, za jakąś aberrację niezawodnego smaku natury i za dylemat dla uczucia ludzkiego, jak to pan określił. Nie mogę się zgodzić, że choroba jest czymś tak wytwornym i — jak pan powiedział — godnym szacunku, że nie powinna iść w parze z głupotą. To jest również pana wyrażenie. A ja twierdzę, że nie! Choroba nie jest bynajmniej wytworna ani godna szacunku — takie zapatrywanie jest już samo chorobą albo do niej prowadzi. Może najpewniej obrzydę je panu, jeśli powiem, że jest ono stare i bardzo brzydkie. Pochodzi z tych wieków przesądnej skruchy, kiedy idea człowieczeństwa odartego z godności wyrodziła się w karykaturę, z tych wieków lęku, kiedy harmonia i zdrowie uważane były za wytwór diabła, a ułomność starczyła za glejt prosto do nieba. Rozsądek i uświadomienie odeгнаły jednak cienie spowijające duszę ludzkości — ale jeszcze niezupełnie, i dzisiaj jeszcze trwa walka pomiędzy nimi; a walce tej na imię praca, praca na ziemi i dla ziemi, dla honoru i dobrobytu ludzkości. Codziennie na nowo hartowane w walce, te dwie potęgi wyzwolą wreszcie człowieka i poprowadzą go drogą postępu i cywilizacji ku coraz jaśniejszemu i czystszyemu światłu.

„Masz tobie — pomyślał Hans Castorp, zbity z tropu i zawstydzony — przecież to istna aria operowa! Czymże ją wywołałem? Zresztą wydaje mi się nieco zbyt

---

\* Placet experiri (łac.) — miło jest próbować.

sucha. I dlaczego on ciągle mówi o pracy... Ciągle do niej powraca, chociaż praca jest tutaj nie na miejscu”.

— Bardzo pięknie — rzekł. — Słucha się pana z wielką przyjemnością. Zdaje mi się, że nie można... że nie można tego plastycznie wyrazić.

— Chęć powrotu — zaczął znowu Settembrini, unosząc parasol nad głową jakiegoś przechodnia — powrotu do poglądów owych mrocznych wieków cierpienia — jest chorobą — niech mi pan wierzy, inżynierze, jest dokładnie zbadaną chorobą, dla której wiedza stworzyła różne nazwy: jedna pochodzi z nauki o pięknie i o duszy, a druga z polityki — są to terminy szkolne, które nie zawierają nic nowego i bez których może się pan z łatwością obejść. W sferze ducha wszystko łączy się z sobą i jedno z drugiego wypływa, nie wolno podać diabłu małego palca, by nie pochwylił całej ręki, a nawet całego człowieka... Z drugiej zaś strony zdrowe zasady są zawsze źródłem zdrowia, i tylko zdrowia, niezależnie od tego, którą z nich postawimy na czele. Tak więc choroba, niech pan to sobie zapamięta, bynajmniej nie jest niczym wytwornym ani tak godnym szacunku, żeby nie mogła iść w parze z głupotą, jest raczej poniżeniem — bolesnym i wrogim wszelkiej idei poniżeniem człowieka; można ją tu i ówdzie otaczać opieką i troszczyć się o nią, ale żywić dla niej cześć w duchu jest zboczeniem — niech pan to zapamięta! — jest zboczeniem i początkiem wszelkich dalszych zboczeń duchowych. Pan wspomniał o tamtej kobiecie — nie pamiętam jej nazwiska i rezygnuję z niego — ach, tak, pani Stöhr, dziękuję — otóż nie ona, nie ta śmieszna kobieta stawia, jak mi się wydaje, uczucia ludzkie przed dylematem. Chora i głupia — mój Boże, to dno nędzy; sprawa jest prosta, można tylko litować się i wzruszyć ramionami. Dylemat, tragizm zaczyna się tam, gdzie natura jest dosyć okrutna, aby zmać harmonię osobowości — albo zgoła od początku ją uniemożliwić — łącząc ducha szlachetnego i spragnionego życia z ciałem niezdolnym do życia. Czy pan zna Leopardiego? A pan, poruczniku? Był to nieszczęśliwy poeta włoski, garbaty, chorowity człowiek z duszą wielką i piękną, złamaną jednak przez nędzne ciało i ściągniętą na niziny ironii. Posłuchajcie, jak straszliwie ta dusza się skarży!

I Settembrini zaczął deklamować po włosku, pieszcząc każdą zgłoskę, poruszając głową, od czasu do czasu przyzymkając oczy i nie troszcząc się o to, że jego towarzysze nic a nic nie rozumieją. Widocznie sam doznawał przyjemności przypominając sobie i recytując piękne słowa i zaznajamiając z ich dźwiękiem słuchaczy. Skończył wreszcie i rzekł:

— Ale panowie nie rozumieją, słuchają mnie, nie pojmując bolesnego znaczenia tych wierszy. Kaleka Leopardi, moi panowie, proszę się w to w całej pełni wczuć,

musiał przede wszystkim wyrzec się miłości kobiety i skutkiem tego niezdolny był do walki z tym, że marnieje jego dusza. Zbladł mu blask sławy i cnoty, natura wydała mu się złą — zresztą ona jest zła, głupia i zła, przyznaję mu zupełną rację — i zwątpił — strach powiedzieć — zwątpił o postępie i o nauce! Tutaj ma pan tragizm, inżynierze, tutaj ma pan swój dylemat dla uczucia ludzkiego — a nie u tamtej kobiety — nie chcę obciążać swej pamięci jej nazwiskiem... Niech mi pan nie wspomina o „uduchowieniu” wywołanym przez chorobę — na miłość Boga, niech pan tego nie czyni! Dusza bez ciała jest czymś tak nieludzkim i strasznym, jak ciało bez duszy. Pierwsza z tych rzeczy jest zresztą rzadkim wyjątkiem, a druga — regułą. Z reguły ciało jest tym pierwiastkiem, który przerasta drugi, zagarnia dla siebie wszystko, co ważne, całą żywotność, i emancypuje się w najohydniejszy sposób. Człowiek, który żyje życiem chorego, jest tylko ciałem, i to jest właśnie przeciwne naturze ludzkiej i poniżające — w większości przypadków jest nie lepszy od trupa...

— To zabawne — odezwał się nagle Joachim, pochylając się, aby spojrzeć na Hansa Castorpa, bo Settembrini szedł pomiędzy kuzynami. — Powiedziałaś przecież także niedawno coś zupełnie podobnego.

— Tak? — spytał Hans Castorp. — Być może, że coś podobnego także już przemknęło mi przez głowę.

Settembrini milczał przez dłuższą chwilę, potem odezwał się:

— Tym lepiej, moi panowie. Tym lepiej, jeżeli tak jest. Nie miałem zamiaru wykładania tu jakiejś oryginalnej filozofii — to nie jest mój fach. Jeżeli nasz inżynier zrobił już ze swej strony jakąś uwagę zgodną z moimi wywodami, jeszcze bardziej utwierdza mnie w przypuszczeniu, że jest dyletantem, który jak często zdolna młodzież, próbuje na razie różnych możliwych punktów widzenia. Zdolny młodzieniec nie jest bynajmniej niezapisaną kartą, jest raczej kartą, na której sympatycznym atramentem wypisane są już wszystkie dobre i złe rzeczy. Zadaniem wychowawcy jest właśnie stanowczo rozwinąć rzeczy dobre, a dzięki umiejętnie wywieranemu wpływowi usunąć wszelkie błędy, które chcą się ujawnić. Panowie robili zakupy? — zapytał już innym, lżejszym tonem...

— Nic wielkiego — odparł Hans Castorp — tylko...

— Kupiliśmy koce dla kuzyna — oświadczył obojętnie Joachim.

— Do werandowania... Przy tym nielitościwym zimnie. Mam przecież kilka tygodni żyć tutaj jak inni — zaśmiał się Hans Castorp spoglądając w ziemię.

— Ach, koce, werandowanie — rzekł Settembrini. — Tak, tak, tak. No, no, no...

Rzeczywiście. Placet experiri! — powtórzył wymawiając z włoska i pożegnał się, bo właśnie, witani przez kulawego szwajcara, weszli do sanatorium. Settembrini skręcił do sal ogólnych, ażeby, jak powiedział, przed jedzeniem przeczytać jeszcze gazety. Chciał widocznie darować sobie drugie werandowanie.

— Niech Pan Bóg broni! — powiedział Hans Castorp w windzie do Joachima. — On jest naprawdę pedagogiem — sam przecie powiedział niedawno, że ma taką żyłkę. Trzeba bardzo uważać, żeby nie powiedzieć przy nim ani o jedno słowo za wiele, bo zaraz zaczyna szczegółowo wyklądać swoje teorie; ale, co prawda, warto go posłuchać, gdy mówi; każde słowo wychodzi z jego ust tak okrągłe i apetyczne, że kiedy go słucham, przychodzą mi wciąż na myśl świeże bułeczki.

Joachim roześmiał się.

— Tego mu lepiej nie mów, bo byłby rozczarowany, gdyby się dowiedział, że jego teorie przywodzą ci na myśl bułeczki.

— Tak myślisz? Wcale nie jestem tego pewny. Wydaje mi się, że nie zależy mi tylko na treści teoryj, które głosi, może stawia ją na drugim miejscu, a przede wszystkim chodzi mu o sam proces mówienia, tworzenia słów, które skaczą i toczą się tak elastycznie jak piłki gumowe. Nie miałby zapewne nic przeciwko temu, że właśnie na to zwraca się uwagę. Oczywiście, ten piwowar Magnus gadał głupstwa o tych „pięknych charakterach”, ale Settembrini powinien był przecie wyjaśnić, o co właściwie chodzi w literaturze. Nie chciałem go o to pytać, ażeby się nie skompromitować, przecie nie znam się na tym i nigdy w życiu nie widziałem jeszcze żadnego pisarza. Skoro jednak nie chodzi o piękne charaktery, w takim razie najważniejsze są tu, widać, piękne słowa — takie przynajmniej odniosłem wrażenie z rozmowy z Settembrinim. Ale jakich on wyrażań używa... bez żadnej żenady mówi o cnocie — coś podobnego! Jeszcze nigdy w życiu nie wymówiłem tego słowa, a nawet w szkole virtus tłumaczyliśmy jako „dzielność”. Cały się wzdrygnąłem, gdy to usłyszałem. Poza tym denerwuje mnie trochę jego wymyślanie na mróz i na Behrensa, i na panią Magnus, że traci swoje białko, i krótko mówiąc — na wszystko. To urodzony opozycjonista, od razu zdałem sobie z tego sprawę. Drażni go wszystko, co istnieje, a muszę powiedzieć, że jest w tym coś niekulturalnego.

— Tak sądzisz — odparł po namyśle Joachim. — Ale jest w tym też pewna duma, która wcale nie sprawia wrażenia braku kultury, lecz wręcz przeciwnie; on jest przecie człowiekiem, który dba o siebie, a nawet o człowieka w ogóle. To właśnie podoba mi się u niego, to ma w sobie coś przyzwoitego.

— Masz rację — powiedział Hans Castorp. — Ma nawet w sobie coś surowego — nawet czasami aż przykro go słuchać, bo wydaje się, że się jest przez niego kon-

trolowanym — tak, to jest właściwe określenie. Czy uwierzysz, miałem wrażenie, że nie podoba mu się to, że kupiłem koce do werandowania, że ma coś przeciwko temu, że potępia to.

— Ależ nie — rzekł Joachim zdziwiony. — To by nie miało sensu. Nie mógłbym tego zrozumieć. — Mówiąc to, włożył termometr do ust i ze wszystkimi manatkami udał się na balkon, podczas gdy Hans Castorp zaczął natychmiast przebierać się do stołu — pozostawała jeszcze niecała godzina.

## **Dygresja o zmyśle czasu**

Gdy po obiedzie powrócili do siebie, paczka z kocami leżała już na krześle w pokoju Hansa Castorpa, który dzisiaj po raz pierwszy zrobił z nich użytek; doświadczony Joachim uczył go sztuki zawijania się, którą posiadali wszyscy tutaj w górze, a której każdy nowo przybyły musiał się zaraz nauczyć. Układało się koce na leżaku jeden na drugim w ten sposób, żeby spory ich kawał zwisał od strony nóg na podłogę. Potem kładło się samemu i zawijało, najpierw kocem wewnętrznym; naprzód z jednego boku wzdłuż aż po same pachy, potem od dołu na nogi, przy czym należało pochylić się w pozycji siedzącej i schwycić podwójnie złożony koniec koca; następnie zarzucało się koc z drugiego boku, przy czym trzeba było podwójny koniec koca, już przerzucony przez nogi, dokładnie dopasować, aby całość wypadła możliwie gładko i równo. Później wykonywało się zupełnie ten sam proceder z drugim kocem — manipulowanie nim było już trochę trudniejsze, i Hans Castorp, jako partacz i początkujący, to pochyłony, to znów wyprostowany, stękał niemało, próbując chwytów, których go uczono. Tylko nieliczni weterani — mówił Joachim — umieją za pomocą trzech pewnych ruchów zarzucić na siebie oba koce jednocześnie, ale jest to sztuka rzadka, która jest przedmiotem powszechnej zazdrości i wymaga nie tylko długoletnich ćwiczeń, ale także wrodzonego talentu. Hans Castorp śmiał się z tej uwagi, leżąc już wyciągnięty z obolałymi plecami, a Joachim nie rozumiał zrazu, co w tym śmiesznego, i spojrzał na niego niepewnym wzrokiem, ale później również się roześmiał. — Tak — odezwał się, podczas gdy Hans Castorp, na kształt nierozczłonkowanego walca, mając pod głową elastyczny walek i wyczerpany tą całą gimnastyką, leżał na leżaku — gdyby było nawet dwadzieścia stopni zimna, nic by ci się teraz nie stało. — Potem poszedł za oszklone przepierzenie, ażeby i samemu się owinąć.

Co do tych dwudziestu stopni zimna Hans Castorp miał pewne wątpliwości, bo

marzył wyraźnie i dreszcze wstrząsały nim raz po raz, podczas gdy przez drewniane luki patrzył w kapiącą, mżącą wilgoć na dworze, która w każdej chwili mogła przejść na nowo w śnieżycę. Swoją drogą to dziwne, że pomimo całą tę wilgoć miał policzki ciągle jeszcze tak rozpalone, jak gdyby siedział w nazbyt ogrzonym pokoju. Czuł się przy tym śmiesznie wyczerpany gimnastyką z kocami — rzeczywiście, podręcznik *Ocean steamships* drżał mu w ręku, ilekroć zabierał się do czytania. Tak nadzwyczajnie zdrów nie był przecież znowu — najwyraźniejsza anemia, powiedział radca Behrens — i zapewne dlatego marzył tak łatwo. Przykre uczucie było jednak zrównoważone niezmiernie wygodną pozycją, w jakiej się znajdował, przez usuwające się z analizy i prawie tajemnicze właściwości leżaka, które Hans Castorp już przy pierwszej próbie odczuł z najwyższym zadowoleniem i które się raz po raz w najpomyślniejszy sposób potwierdzały. Czy to leżało w jakości poduszek materaców, czy we właściwym nachyleniu oparcia, czy w odpowiedniej wysokości i szerokości poręczy, czy może tylko w celowej konsystencji wałka pod głowę — dość że spoczywającym członkom nie można było w ogóle zaofiarować nic bardziej dobroczynnego niż ten właśnie znakomity leżak. Tak więc zadowolenie wstąpiło w serce Hansa Castorpa, że ma przed sobą dwie puste i bezpieczne, zaciszne godziny, te najważniejsze godziny werandowania, uświęcone przez regulamin sanatorium; chociaż był tu gościem tylko, urządzenie to dogadzało mu najzupełniej. Bo był z natury cierpliwy, umiał długo czuć się dobrze bez żadnego zajęcia i, jak sobie przypominamy, lubił wolny czas, czas, którego żadna oszałamiająca praca nie wypiera ze świadomości, nie pochłania i nie płoszy. O czwartej był podwieczorek z ciastem i konfiturami, później trochę ruchu na świeżym powietrzu, następnie znów odpoczynek na leżaku, o siódmej kolacja; łączyły się z nią, jak w ogóle z każdym posiłkiem, pewne oczekiwania i pewne rzeczy godne widzenia, na które już z góry można się było cieszyć; potem rzut oka do stereoskopu, kalejdoskop i stroboskop... Hans Castorp miał już zupełnie uregulowany rozkład dnia, chociaż nie można było twierdzić, że się już — jak się to mówi — „wżył”.

W gruncie rzeczy jest coś dziwnego w tym „wzywaniu się” w nowym miejscu pobytu, w tym — choćby nawet mozolnym — przystosowaniu się i nabywaniu nowych przyzwyczajzeń, któremu człowiek poddaje się prawie wyłącznie dla samego procesu ich nabywania i z zupełnie określonym zamiarem zarzucenia ich i powrotu do poprzedniego stanu, skoro tylko zostaną osiągnięte lub przynajmniej niedługo potem. Wprowadza się to we właściwy bieg życia jako pauzę i interludium, a czyni się to dla „wypoczynku”, to znaczy: aby poddać gruntownej i regenerującej odmianie organizm, który był już o krok od rozpieszczenia, zgnuśnienia i otepienia w jednostajności niczym się od siebie nie różniących przeżyć. Ale na

czym polega to zgnuśnienie i otepienie, których źródłem jest zbyt długo trwająca monotonia powracających dni? To, co je wywołuje, nie jest właściwie fizycznym i umysłowym zużyciem i zmęczeniem na skutek wymagań życia, na to bowiem najlepszym lekarstwem byłby po prostu spokój; jest raczej czymś duchowym, jest przeżywaniem czasu — przeżywaniem, któremu przy stałej równomierności grozi zamarcie i które jest tak bliskie samemu poczuciu życia i tak z nim związane, że kiedy jedno z nich ulega osłabieniu, musi się to żałośnie odbić na drugim. O istocie nudy rozpowszechnione są różne błędne poglądy. Na ogół mniema się, że nowa i interesująca treść „zabija” czas, to znaczy skraca go, że monotonia natomiast i pustka opóźniają i powstrzymują jego bieg. Nie jest to bez zastrzeżeń słuszne. Pustka i monotonia mogą wprawdzie sprawić, że chwila i godzina rozciąga się i „dłuży”, ale sprawiają też, że długie i najdłuższe okresy czasu skracają się, a nawet ulatniają aż do zupełnej nicości. Na odwrót, treść interesująca i bogata jest wprawdzie w stanie godzinę, a nawet i dzień cały skrócić i uskrzydlić, ale jeśli idzie o większe okresy, nadaje biegowi czasu szerokość, wagę i solidność, tak że lata bogate w zdarzenia upływają znacznie wolniej niż owe ubogie, lekkie, które ulatują z wiatrem. To, co nazywa się nudą, „dłużeniem się” czasu, jest więc właściwie raczej chorobliwie prędkim „schodzeniem” czasu wskutek monotonii: przy nieprzerwanej jednostajności wielkie okresy czasu kurczą się w sposób, który napełnia serce śmiertelnym przerażeniem; jeżeli każdy dzień jest taki sam jak wszystkie, to wszystkie one są jak jeden dzień, i przy zupełnej jednostajności najdłuższe życie wydałoby się całkiem krótkie i uleciałoby niepostrzeżenie. Przyzwyczajenie jest jakby uśpieniem albo przynajmniej osłabieniem zmysłu czasu i jeżeli lata młodości upływają wolno, a życie późniejsze coraz szybciej przebiega i pędzi, to z pewnością polega to również na przyzwyczajeniu. Dobrze wiemy, że odzwyczajanie się i przyzwyczajanie do czegoś nowego jest jedynym środkiem, który utrzymuje nasze życie, odświeża nasz zmysł czasu — jedynym, dzięki któremu możemy odmłodzić, wzmocnić, zwolnić nasze przeżywania czasu i tym samym odnowić nasze poczucie życia w ogóle. To właśnie jest celem zmian miejsca i klimatu, podróży do miejscowości kąpielowych: odprężenie, które daje odmiana i epizod. Pierwsze dni na nowym miejscu pobytu mają rozmach młodości, to znaczy bieg szeroki i mocny — trwa to jakieś sześć do ośmiu dni. Potem, w miarę „wzywania się”, daje się zauważyć stopniowe skracanie się biegu czasu: kto jest przywiązany do życia albo, dokładniej powiedziawszy, kto chciałby nim być, może ze zgrozą zauważyć, jak dni znowu stają się lekkie i zaczynają się przemykać, a ostatni tydzień, mniej więcej czwarty, jest niesamowicie chyży i lotny. Zapewne, to odświeżenie zmysłu czasu działa jeszcze, kiedy interludium się skończyło, i daje się na nowo odczuwać po



powrocie do reguły: pierwsze dni po odmianie spędzone w domu wydają się znowu nowe, szerokie i młodzieńcze, ale nieliczne tylko; bo każdy wzywa się ponownie w regułę prędzej niż w jej zawieszenie, i jeżeli zmysł czasu jest już przez wiek osłabiony albo — co jest oznaką wrodzonego braku żywotności — nigdy nie był silnie rozwinięty, to bardzo szybko znowu omdlewa i już po dwudziestu czterech godzinach jest tak, jak gdyby się nigdy nie wyjeżdżało i jak gdyby podróż przysniła się tylko człowiekowi.

Te uwagi wplecione są tu tylko dlatego, że młody Hans Castorp miał coś podobnego na myśli, kiedy po kilku dniach odezwał się do kuzyna (patrzac nań przy tym przekrwionymi oczami): — Jakie to swoją drogą zabawne, że na nowym miejscu czas tak się dłuży z początku. To znaczy... Ma się rozumieć, nie ma mowy o tym, żebym się nudził, przeciwnie, mogę powiedzieć, że bawię się po królewsku. Ale kiedy spojrzę wstecz, a więc retrospektywnie, zrozum mnie dobrze, wydaje mi się, że jestem tu już Bóg wie jak długo; jak gdyby cała wieczność minęła od czasu, kiedy przyjechałem i nie od razu zrozumiałem, że już jestem na miejscu, a tyś jeszcze powiedział: „No, wysiadaj już!” — pamiętasz? To nie ma absolutnie nic wspólnego z mierzaniem i w ogóle z rozumem, to jest sprawa czysto uczuciowa. Naturalnie, byłoby niemądrze, gdybym powiedział: Wydaje mi się, że jestem tu już od dwóch miesięcy — to byłby przecież nonsens. Ale mogę właśnie tylko powiedzieć: Od dawna!

— Tak — odpowiedział Joachim z termometrem w ustach — ja także z tego korzystam, mam, odkąd tu jesteś, pewne oparcie w tobie. — A Hans Castorp roześmiał się, że Joachim powiedział to tak po prostu, bez bliższego wyjaśnienia.

## **Hans Castorp próbuje swych sił we francuskiej konwersacji**

Nie, nie wżył się tu jeszcze bynajmniej. Nie znał całej osobowości tutejszego życia, bo wiedzy tej nie mógł przecie zdobyć w ciągu tych kilku dni i, jak sobie mówił (i powiedział to także Joachimowi), nawet trzy tygodnie będą pod tym względem niewystarczające. Organizm jego również nie dostosował się do specjalnych warunków atmosferycznych, które „tutaj u tych w górze” panują, bo to dostosowywanie się przychodziło mu z trudem, z bardzo wielkim trudem, a nawet wydawało mu się, że nie robi żadnych pod tym względem postępów.

Normalny dzień był wyraźnie podzielony na części i starannie zorganizowany;

człowiek szybko włączał się w jego bieg i nabywał wprawy, skoro tylko poddał się jego trybowi; ale w ramach tygodnia i większych jednostek czasu bieg ten ulegał pewnym regularnym odchyleniom, które tylko stopniowo się objawiały, i czasem jedno z nich jeszcze nie nastąpiło, gdy inne zdążyło już powrócić. Hans Castorp spotykał też jeszcze na każdym kroku nowe dla siebie szczegóły dnia powszedniego i nowe twarze, uczył się dostrzegać szczegóły przelotnie przedtem poznanych rzeczy i z młodzieńczą chłonnością starał się przyswoić je sobie.

Na przykład te pękate naczynia o krótkich szyjkach, które stały na korytarzu przed niektórymi drzwiami i które Hans Castorp zauważył zaraz pierwszego wieczora, zawierały tlen — tak mu objaśnił Joachim na jego zapytanie. Zawierały czysty tlen, po sześć franków balon, i ten ożywiający gaz podawano konającym jako ostatnią podniechę dla podtrzymania ich sił; wdychali go przez rurkę. Bo za drzwiami, przed którymi ustawione były takie balony, leżeli konający albo skazani na śmierć, moribundi, jak się wyraził radca Behrens, kiedy Hans Castorp spotkał go raz na pierwszym piętrze; radca, w białym kitlu z sinymi policzkami, wiosłował przez korytarz i razem udali się schodami na górę.

— No, a pan, bezinteresowny obserwatorze — rzekł Behrens — co pan porabia? Czy zasłużyliśmy na łaskę w pańskich badawczych oczach? Zaszczyt to dla nas, zaszczyt. Tak, nasz letni sezon ma coś w sobie, nie jest do pogardzenia. Dużo trudu mnie kosztowało, żeby go nieco popchnąć. Szkoda jednak, że nie chce pan z nami spędzić zimy — słyszałem, że pan przyjechał tylko na osiem tygodni? Ach, tylko na trzy? Ależ to jak po ogień, nie warto się nawet rozpakowywać; ale jak pan uważa. Szkoda jednak, że nie chce pan z nami spędzić zimy, bo hotwolej\* — rzekł, w żartobliwy sposób niemożliwie wymawiając to słowo — międzynarodowa hotwolej zjeżdża się do uzdrowiska Davos właśnie dopiero na zimę; powinien pan ich zobaczyć, nauczyłby się pan czegoś. Można się tarzać ze śmiechu, patrząc, jak te chłopcy skaczą na swoich deskach. No a damy, Boże, co za damy! Barwne jak rajskie ptaki, mówię panu, i przeraźliwie szykowne... No, ale muszę do mego maribunda pod numer dwudziesty siódmy. Ostatnie stadium. Opuszcza scenę. Środkowymi drzwiami. Pięć tuzinów butli tlenu dostał ten łakomczuch wczoraj i dzisiaj, ale do południa pójdzie pewnie ad penates. No, drogi panie Reuter — powiedział wchodząc do pokoju — jakby to było, gdybyśmy jeszcze jednej ukrećili szyję... — Słowa jego umilkły za drzwiami, które zamknął za sobą; ale przez chwilę Hans Castorp widział w głębi pokoju na poduszce woskowo bladej profilu jakiegoś młodzieńca z rzadką bródką, który powoli zwrócił swoje wielkie źrenice w kierunku drzwi.

---

\* Hotwolej (z franc. — haute volée) — wyższe sfery.

Był to pierwszy umierający, jakiego Hans Castorp widział w swoim życiu, bo nie był przy śmierci swych rodziców ani swego dziadka. Jak dostojnie leżała na poduszce ta młodzieńcza głowa, z brodą sterczącą do góry! Jak wymowne było spojrzenie jego rozszerzonych oczu, gdy je powoli zwrócił w kierunku drzwi! Hans Castorp, cały jeszcze przejęty tym przelotnym widokiem, szedł dalej w kierunku schodów i niechętny spróbował zrobić tak wielkie, wymowne i powolne oczy, jak konający młodzieniec. Tymi właśnie oczami spojrzał na panią, która wyszła za nim z jakichś drzwi i minęła go na podeście schodów. Nie od razu poznał, że to była Madame Chauchat. Uśmiechnęła się lekko na widok miny, którą zrobił, poprawiła ręką warkocze w tyle głowy i bez szmeru, płynąc elastycznie z głową lekko w przód pochyłą, szła przed nim schodami na dół.

Podczas tych pierwszych kilku dni, a i dość długo potem, nie zawierał prawie żadnych znajomości. Porządek dnia na ogół nie sprzyjał temu, a Hans Castorp lubił przecież trzymać się w rezerwie; uważał się zresztą za gościa tu w górze i za „bezzinteresownego obserwatora”, jak się wyraził radca Behrens, i wystarczało mu zupełnie towarzystwo Joachima. Pielęgniarka jednak, spotkana na korytarzu, tak wyraźnie wyciągała za nimi szyję, że Joachim, który już wcześniej czasami z nią rozmawiał, zapoznał ją ze swym kuzynem. Miała wciąż sznureczek od binokli za uchem i mówiła tonem nie tylko afektowanym, ale wprost zgnębionym; przy bliższym poznaniu czyniła wrażenie, jak gdyby tortura nudy zmaciła jej umysł. Niezwykle trudno było uwolnić się od niej, bo okazywała chorobliwy lęk przed zakończeniem rozmowy, i gdy tylko młodzieńcy zabierali się do odejścia, przytrzymywała ich spiesznymi słowami, spojrzeniem i tak rozpaczliwym uśmiechem, że z litości jeszcze przy niej zostawali. Długo i szeroko opowiadała o swym ojczulku, który był prawnikiem, i o kuzynie lekarzu — widocznie, ażeby się w korzystnym świetle przedstawić i zaakcentować, że pochodzi z inteligencji. Co się tyczy jej chorego, który leży tam za drzwiami, jest on synem fabrykanta lalek z Koberga i nazywa się Fritz Rotbein; od niedawna rzuciło mu się na kiszki. Panowie mogą sobie wyobrazić, jak przykre to jest dla całego otoczenia; jest to przykre, zwłaszcza jeżeli się już pochodzi z rodziny z wykształceniem akademickim i posiada wrażliwość właściwą wyższym klasom społecznym. A najgorsze, że nie można go na chwilę zostawić samego... Niedawno, co panowie na to powiedzą, wyszła tylko, aby kupić sobie proszku do zębów, wraca i co widzi: chory siedzi w łóżku, zajada salami, kawał grubego razowego chleba i ogórek, a przed nim stoi kufel ciężkiego ciemnego piwa! Wszystkie te domowe smakołyki przysłała mu rodzina, żeby się pokrzepił. Naza jutrz był naturalnie bardziej podobny do trupa niż do żywego człowieka; sam przyśpiesza swój koniec. Będzie to jednak wyzwoleniem dla niego tylko, bo ona —

nazywa się, nawiasem mówiąc, siostra Berta, a właściwie Alfreda Schildknecht — pójdzie wtedy do innego chorego, w mniej lub więcej posuniętym stadium, do tego lub innego sanatorium. To jest perspektywa, która się jej w życiu otwiera — innej nie widzi przed sobą.

Hans Castorp rzekł na to, że jej zawód jest rzeczywiście ciężki, ale powinien, jego zdaniem, dawać zadowolenie wewnętrzne.

— Zapewne — odpowiedziała — daje zadowolenie wewnętrzne, ale niemniej jest bardzo ciężki.

— No więc życzymy panu Rotbeinowi wszystkiego najlepszego — i kuzyni chcieli się oddalić, ale wówczas uczepiła się ich niemal słowami i spojrzeniem i wysiłki jej, by młodych ludzi jeszcze trochę zatrzymać, były tak żalosne, że okrucieństwem byłoby nie zostać jeszcze przez chwilę.

— Śpi teraz! — rzekła. — Nie jestem mu potrzebna, więc na kilka krótkich chwil wyszłam na korytarz... — I zaczęła skarżyć się na radcę Behrensa i na ton, w jakim się do niej zwraca i który jest zanadto bezceremonialny, zważywszy jej dobre pochodzenie. O wiele wolała dra Krokowskiego, o którym mówiła, że jest uduchowiony. Potem powróciła znowu do ojczulka i kuzyna. Nic więcej nie mogła wycisnąć ze swego mózgu i na próżno starała się czymś jeszcze zatrzymać kuzynów, podniósłszy nagle głos niemal do krzyku, gdy chcieli odejść; wreszcie udało im się wymknąć i poszli. Przez chwilę, pochylona naprzód, pochłaniała ich spojrzeniem, jak gdyby oczami chciała ich przyciągnąć z powrotem. Potem westchnienie wyrwało się jej z piersi i powróciła do swego chorego.

Poza tym w tych dniach Hans Castorp zawarł znajomość tylko jeszcze z ową czarno ubraną, bladą Meksykanką, którą widział poprzednio w ogrodzie i którą nazywano Tous-les-deux. Zdarzyło się bowiem, że i on usłyszał z jej ust ponurą formułę, która stała się jej przezwiskiem, ale ponieważ był na to przygotowany, więc zachował się najzupełniej poprawnie i mógł być później z siebie zadowolony. Po pierwszym śniadaniu, wybierając się na przepisany spacer poranny, kuzyni spotkali ją przed głównym wejściem. Owinięta czarnym kaszmirowym szalem, chodziła tam i z powrotem długimi, niespokojnymi krokami, uginając się w kolanach: jej starzejąca się twarz o dużych, zgorzkniałych ustach odbijała szarą bladością od czarnego woalu, osłaniającego siwiejące włosy i związanego pod brodą. Joachim, jak zwykle bez kapelusza, skłonił się na powitanie, a ona odpowiedziała powolnym skinieniem głowy; kiedy podniosła oczy, bruzdy, przerzynające jej niskie czoło, pogłębiły się jeszcze bardziej. Spostrzegłszy nieznanego, zatrzymała się i poruszając lekko głową czekała, aż młodzieńcy się zbliżą, bo widocznie chciała się dowiedzieć, czy

nowo przybyły słyszał już o jej losie, i usłyszeć jego zdanie o tym. Joachim przedstawił jej kuzyna. Podała mu spod mantyli chudą, żółtawą, pokrytą siecią żyłek rękę, z pierścionkami na palcach. Nie spuszczała z niego oczu. Potem stało się, powiedziała:

— Tous les d é , monsieur — tous les d é , vous savez...

— Je le sais, madame — odrzekł Hans Castorp przytłumionym głosem. — Et je le regrette beaucoup\* .

Obwisłe worki pod jej czarnymi jak z dżetu oczami uderzały swą wielkością; Hans Castorp u nikogo jeszcze podobnych nie widział. Tchnęła jakąś delikatną, zwiędłą wonią. Spotkanie to wzbudziło w Hansie Castorpie nastrój łagodny i poważny.

— Merci — powiedziała charczącą wymową, która dziwnie nie harmonizowała z jej depresją; jeden kąt jej wielkich ust był tragicznie opuszczony w dół. Schowała rękę pod mantylę, skinęła głową i znowu rozpoczęła swoją wędrówkę. Idąc dalej, Hans Castorp odezwał się:

— Widzisz, nie zrobiło mi to żadnej różnicy, świetnie dałem sobie z nią radę. W ogóle umiem sobie całkiem dobrze dawać radę z takimi ludźmi. Zdaje mi się, że mam przyrodzony dar obchodzenia się z nimi — czyż nie? Sądzę nawet, że na ogół łatwiej dochodzę do ładu z ludźmi smutnymi niż z wesołymi. Bóg wie, na czym to polega, może na tym, że przecież jestem sierotą i że moi rodzice tak wcześnie mnie odumarli, ale jeżeli ktoś jest poważny i smutny i jeżeli śmierć wchodzi w grę, nie czuję się tym właściwie przytłoczony ani zakłopotany — przeciwnie, jestem wtedy w swoim żywiole, o wiele bardziej niż w atmosferze radości i ożywienia. Myślałem sobie niedawno, że głupotą jest ze strony tutejszych pań bać się śmierci i wszystkiego, co ma z nią związek, do tego stopnia, by musiano to ukrywać przed nimi i przynosić wiatyk w porze posiłków. Nie, pfe, to jest niedorzeczne! Powiedz, czy widok trumny jest ci przykry? Ja patrzę na nią chętnie. Według mnie nawet pusta trumna jest wprost ładnym sprzętem, ale jeżeli ktoś w niej leży, robi na mnie po prostu uroczyście wrażenie. Pogrzeby mają w sobie coś budującego i nieraz przychodziło mi na myśl, że jeżeli ktoś pragnie się podnieść na duchu, powinien iść na pogrzeb, a nie do kościoła. Ludzie są odświętnie i czarno ubrani, zdejmują kapelusze, patrzą na trumnę, są pełni powagi i nabożeństwa i nikt nie śmie robić głupich dowcipów, jak w życiu codziennym. Bardzo to lubię, kiedy raz wreszcie widzę ludzi tak nastrojonych. Zadawałem sobie czasem pytanie, czy nie powinienem był zostać

---

\* vous savez... Je le sais... (franc.) — wie pan... Wiem, proszę pani... I bardzo mi żal.

pastorem — myślę, że odpowiadałoby to poniekąd mojemu usposobieniu... Mam nadzieję, że mówiąc z tą panią, nie zrobiłem żadnego błędu we francuskim?

— Nie — odpowiedział Joachim. — Je le regrette beaucoup było zupełnie poprawne.

## **Politycznie podejrzana!**

Nadeszły regularne odmiany dnia normalnego: najpierw niedziela — i to niedziela z orkiestrą uzdrowską na tarasie. Niedziela taka przypadała co czternaście dni, zaznaczając w ten sposób koniec okresu dwutygodniowego. Przyjazd Hansa Castorpa przypadł na drugą połowę takiego okresu. Przyjechał we wtorek, był więc teraz piąty dzień jego pobytu. Po owej straszliwej pogodzie i nawrocie zimy dzień był wiosenny, łagodny; białe chmurki błyszczały na jasnobłękitnym niebie, a światło słoneczne kładło się na dolinę i zbocza gór, które przybrały znowu zwykłą barwę letniej zieleni, bo świeży śnieg skazany był z góry na szybkie zniknięcie.

Jasne było, że wszyscy starali się uczcić niedzielę i wyróżnić ją spośród innych dni; zarząd i goście pomagali sobie w tym usiłowaniu. Już do porannej herbaty podano placek posypany cukrem i przed każdym nakryciem stał flakonik z kilkoma kwiatami — dzikimi gwoździkami górskimi, a nawet różami alpejskimi, które panowie wkładali sobie do butonierek. (Prokurator Paravant z Dortmundu włożył nawet żakiet i wzorzystą kamizelkę.) Toalety pań były świąteczne i powiewne. Madame Chauchat zjawiła się w koronkowym porannym stroju domowym z rozciętymi rękawami; trzasnąwszy za sobą oszklonymi drzwiami, zwróciła się do sali i z wdziękiem zaprezentowała całemu towarzystwu, zanim skradającym się krokiem podeszła do swojego stołu. Wyglądała tak ślicznie, że siedząca obok Hansa Castorpa nauczycielka z Królewca nie posiadała się z zachwytem. Nawet małżeństwo rosyjskie, siedzące przy gorszym stole rosyjskim, złożyło hołd świętu: on włożył dziś zamiast zwykłej kurtki rodzaj krótkiego surduta, a filcowe buciki zamienił na skórzane obuwie; ona miała wprawdzie na sobie swoje brudne boa z piór, ale pod nim jedwabną zieloną bluzkę z kryzą... Hans Castorp na ich widok zmarszczył brwi i zaczerwienił się, co mu się tu dziwnie często zdarzało.

Zaraz po drugim śniadaniu na tarasie zabrzmiały dźwięki orkiestry, składającej się z najrozmaitszych instrumentów dętych, blaszanych i drewnianych, które, to żywo, to melancholijnie, grały prawie do samego obiadu. Werandowania podczas koncertu nie przestrzegano ściśle. Niektórzy z pacjentów rozkoszowali się wpraw-

dzie muzyką leżąc na swych balkonach, a i w leżalni ogrodowej kilka leżaków było zajętych — większość jednak zajęła miejsca przy małych, białych stolikach na krytej platformie, a co weselsi z towarzystwa, uważając zapewne siedzenie na krzesłach za zbyt dostojne, ugrupowali się na kamiennych schodach, prowadzących do ogrodu; nastrój ich był bardzo ożywiony. Znajdowali się tam młodociani pacjenci obojga płci, znani już Hansowi Castorpowi z nazwiska albo z widzenia. Spozregł wśród nich Herminę Kleefeld, a również pana Albina, który częstował wszystkich czekoladą z wielkiego pudła w kwiaty, ale sam nie jadł, tylko z ojcowskim wyrazem twarzy palił papierosy ze złotym ustnikiem; był tam także ów młodzieniec z wywinietymi wargami ze „Stowarzyszenia Jednego Płuca”, była szczupła i blada jak z kości słoniowej panna Levi; młodzieniec o szaroblond włosach, który nazywał się Rasmussen i ręce, luźno zwisające na kształt rybich płetw, trzymał na wysokości piersi; dalej pani Salomon z Amsterdamu; na jej opalonym karku bezustannie spoczywało zasepione spojrzenie jakiegoś wysokiego i łysawego pana — tego, co umiał grać wyjątki ze „Snu nocy letniej”, a teraz siedział za nią, obejmując rękami spiczaste kolana; była tam również pewna ruda Greczynka i jakaś inna panna, nie wiadomo skąd przybyła, z twarzą tapira; żarłoczny młodzian w okularach o grubych szklach i jeszcze jakiś piętnasto- lub szesnastoletni chłopiec z monoklem w oku, najwidoczniej skończony osioł, który kaszłąc podnosił do ust swój długi, szufelkę przypominający paznokieć małego palca, i jeszcze wiele innych osób.

Joachim opowiadał szeptem, że ten chłopiec z długim paznokciem był prawie zupełnie zdrowy, kiedy przyjechał; nie miał temperatury i tylko z ostrożności został wysłany do sanatorium przez swego ojca, lekarza. Radca dworu utrzymywał, że wystarczy mu trzymiesięczny pobyt, a teraz po trzech miesiącach ma 37,8 do 38 i jest dość poważnie chory. Ale też żyje tak nierozsądnie, że zasługuje na porządne lanie.

Kuzyni usiedli przy oddzielnym stoliku, w pewnym oddaleniu od reszty towarzystwa, bo Hans Castorp palił, popijając ciemne piwo, które sobie wyniósł z sali jadalnej. Od czasu do czasu cygaro sprawiało mu pewną przyjemność. Lekko oszłomiony piwem i muzyką, która jak zwykle tak i teraz sprawiała, że miał w półotwarte usta i na bok pochyloną głowę, zaczerwienionymi oczami przyglądał się bez troskiemu życiu dokoła. Świadomość tego, że w organizmie każdego z tych ludzi odbywa się trudny do powstrzymania rozkład i że większość z nich ma stale lekką gorączkę, nie przeszkadzała mu bynajmniej, ale przeciwnie, nadawała wszystkiemu tym wyraźniejsze piętno czegoś niezwykłego i w pewnej mierze duchowo podniecającego... Przy stoliczkach pito musującą sztuczną lemoniadę, a na schodach prowadzących do ogrodu fotografowano. Niektórzy wymieniali między sobą znaczki

pocztowe, a ruda Greczynka rysowała pana Rasmussena, ale nie chciała mu potem pokazać podobizny; odsłaniając wśród głośnego śmiechu duże, szeroko rozstawione zęby, wymykała mu się to w jedną, to w drugą stronę, tak że długo nie mógł wyrwać jej bloku. Hermina Kleefeld siedziała na stopniu z na wpół otwartymi oczami i zwinęta w rolkę gazetą wybijała takt muzyki, a pan Albin przypinał jej do bluzki bukiet polnych kwiatów; młodzieniec z wywiniętymi wargami siedział u stóp pani Salomon i rozmawiał z nią, wykręcając szyję, a łysawy pianista nie odrywał oczu od jej karku.

Zjawili się lekarze, radca Behrens w białym, a dr Krokowski w czarnym kitlu, i mieszała się z towarzystwem. Szli wzdłuż szeregu stoliczków, a radca prawie przy każdym umiał powiedzieć coś dowcipnego, toteż, jak spieniony nurt wody za statkiem, ciągnął się za nim ślad wesołego śmiechu. Potem zeszli do młodzieży; płeć piękna, krygując się i rzucając spojrzenia z ukosa, zebrała się natychmiast dokoła dra Krokowskiego, a radca, gwoli uczczenia niedzieli, stojąc na schodach, pokazywał panom pewną sztukę: oparł olbrzymią stopę na wyższym stopniu, rozwiązał sznurowadło, specjalnym chwytem złapał je jedną ręką i bez pomocy drugiej tak zręcznie potrafił skrzyżować je na haczykach, że wzbudził tym ogólny podziw i niejeden na próżno starał się go naśladować.

Później zjawił się na tarasie Settembrini; podpierając się laską, wyszedł ze stołowego pokoju, również dzisiaj w swej włochatej marynarce i żółtawych spodniach, z subtelnym, ożywionym i krytycznym wyrazem twarzy. Rozejrzał się wokoło i ze słowami: „A, bravo!” zbliżył się do stolika kuzynów, pytając grzecznie, czy wolno mu będzie się przysiąść.

— Piwo, tytoń i muzyka! — rzekł. — Jesteśmy więc w pańskiej ojczyźnie! Widzę, że ma pan zmysł dla ojczyznanego nastroju, inżynierze. Cieszy mnie, że jest pan w swoim żywiole. Niech i mnie będzie wolno uczestniczyć w tej pańskiej harmonii ducha!

Gdy tylko ukazał się Settembrini, Hans Castorp przybrał poważny wyraz twarzy, a teraz odezwał się:

— Ale, proszę pana, pan się spóźnił na koncert, pewnie się zaraz skończy. Czy pan nie lubi słuchać muzyki?

— Nie lubię jej słuchać na zawołanie! — odparł Settembrini. — I nie według kalendarza. Nie lubię muzyki pachnącej apteką i przydzielanej mi łaskawie ze względów zdrowotnych. Cenię wolność, a raczej tę resztę wolności i godności ludzkiej, jaka nam tu pozostała. Przy takich imprezach jestem tylko hospitantem, podobnie jak pan u nas w ogóle jest tylko hospitantem — przychodzę na kwadrans i idę



dalej własną drogą. Daje mi to złudzenie niezależności... Nie twierdzę bynajmniej, że jest to czymś więcej niż złudzeniem, ale ostatecznie, skoro znajduję w tym pewną satysfakcję...! Pański kuzyn odnosi się do tych rzeczy inaczej. Dla niego jest to służba. Prawda, poruczniku, że pan uważa te rzeczy za obowiązki służbowe? O tak, wiem, pan umie i w niewoli zachować dumę. To olśniewająca umiejętność, nie każdy w Europie posiada ją w tym stopniu. Muzyka? Pytał pan, czy uważam się za miłośnika muzyki? Otóż jeżeli pan mówi „miłośnik” (Hans Castorp nie przypominał sobie właściwie, żeby był użył tego słowa), to wyrażenie takie nie jest źle wybrane, ma w sobie odcień pieszczotliwej lekkomyślności. Więc dobrze, zgadzam się z tym. Tak, jestem miłośnikiem muzyki, przez co jednak bynajmniej nie chcę powiedzieć, że żywię dla niej szczególny szacunek — szacunek i umiłowanie, jakie mam dla słowa, które jest wyrazem myśli, narzędziem i lśniącym lemieszem postępu... Muzyka... jest czymś na pół artykułowanym, wątpliwym, nieodpowiedzialnym i obojętnym. Zarzuci mi pan pewnie, że i muzyka może być jasna. Ale i natura może nią przecież być; jasny może być strumyk — ale cóż nam z tego? To nie jest prawdziwa jasność, to jest jasność marzenia, nic nie mówiąca i do niczego nie zobowiązująca, jasność bez konsekwencji i niebezpieczna dlatego, że kusi nas, byśmy się nią zadowolili... Muzyka, jeśli przybierze gest wielkoduszności, potrafi rozplomienić nasze uczucia. Ale przecież chodzi o to, żeby rozum rozplomienić. Wydaje się na pozór, że ruch jest istotą muzyki, jednakże ja podejrzewam ją o kwietyzm. Niechaj mi wolno będzie wyrazić się krańcowo: mam polityczną niechęć do muzyki.

Hans Castorp nie mógł już dłużej wytrzymać. Uderzył się po kolanie i zawołał, że nic podobnego nie słyszał jeszcze w życiu!

— Niech się pan jednak nad tym zastanowi! — powiedział Settembrini z uśmiechem. — Muzyka jest nieoceniona jako środek budzenia zachwytu, jako moc porywająca wzwyż i naprzód, jeżeli umysł jest na jej działanie odpowiednio przygotowany. Ale musi poprzedzać ją literatura. Sama muzyka nie pchnie świata naprzód. Sama muzyka jest niebezpieczna, a dla pana, inżynierze, jest na pewno niebezpieczna. Wyczytałem to natychmiast z jego oblicza, gdy tutaj przyszedłem.

Hans Castorp śmiał się.

— Ach, nie powinien pan przyglądać się mojej twarzy. Nie uwierzy pan, jak bardzo dokucza mi tutejszy klimat. Przystosowanie się doń przychodzi mi trudniej, niż przypuszczałem.

— Obawiam się, że pan się łudzi.

— Nie, gdzież tam! To niewiarygodne, jak straszliwie jestem zmęczony i jak bardzo mnie twarz pali.

— Zdaje mi się jednak, że należy być wdzięcznym dyrekcji za koncerty — rzekł Joachim w zamyśleniu. — Pan Settembrini patrzy na nie z wyższego punktu widzenia, że tak powiem: jako literat, i nie chcę mu oponować. Jestem jednak zdania, że za trochę muzyki należy się tutaj wdzięczność. Nie jestem bynajmniej szczególnie muzykalny, a utwory, które tu grają, nie są wyjątkowo piękne — ani klasyczne, ani współczesne — mamy tu tylko zwykłą dętą orkiestrę. Ale jest to dla nas bardzo miła odmiana. Zapełnia nam całkowicie kilka godzin, to znaczy: najpierw je dzieli, a potem wypełnia każdą z osobna, tak że mają przecież jakąś treść, podczas gdy zwykle godziny, dni i tygodnie dłużą się tu w nieskończoność... Widzi pan, taki jeden skromny numer koncertu trwa może siedem minut, nieprawdaż, i te minuty stanowią całość dla siebie, mają początek i koniec, wyodrębniają się i do pewnego stopnia nie giną niepostrzeżone w ogólnej monotonii. Poza tym są podzielone na elementy jeszcze drobniejsze, na poszczególne części utworu, te zaś znowu na takty; tak więc ciągle coś się dzieje i każda chwila ma swój własny, uchwytny sens, podczas gdy zwykle... Nie wiem, czy się trafnie...

— Brawo! — zawołał Settembrini. — Brawo, poruczniku! Pan doskonale podkreślił niewątpliwy moment etyczny w istocie muzyki, to mianowicie, że czas nabiera życia, sensu i wartości dzięki szczególnym sposobom mierzenia go, które muzyka umożliwia. Muzyka budzi czas, budzi nas do najdoskonalszego odczuwania czasu, budzi... Na tym polega jej etyczne znaczenie. Sztuka jest etyczna, o ile umie budzić. Ale co wtedy, jeżeli czyni odwrotnie? Jeśli ogłusza, usypia, tłumi aktywność i postęp? Muzyka i to potrafi, miewa czasem działanie podobne jak opium i jego pochodne. Piekielne to działanie, moi panowie! Opium jest rodem z piekła, bo stwarza otepienie, bezwładność, zastój i niewolniczy bezruch. W muzyce jest coś, co nasuwa poważne obawy; obstaję przy tym, że ma dwuznaczny charakter. Nie posuwam się za daleko, twierdząc, że jest politycznie podejrzana.

Mówił jeszcze długo w ten sam sposób, a Hans Castorp słuchał, ale niezupełnie udawało mu się śledzić bieg myśli Włocha, po pierwsze wskutek zmęczenia, a także dlatego, że uwagę jego odwracała beztroska młodzież bawiąca się na schodach. Czy mu się tylko zdawało, czy było tak rzeczywiście? Panna z twarzą tapira przyszywała młodzieńcowi z monoklem guzik u dołu jego sportowych spodni, sięgających do kolan! Oddech jej był przy tym ciężki i astmatyczny, a młodzieniec pokaszliwał, przysłaniając usta palcem, którego paznokieć przypominał szufelkę. To prawda, że

byli chorzy oboje, ale ich zachowanie świadczyło jednak o dziwnych obyczajach panujących między młodzieżą tu w górze. Orkiestra grała polkę...

## Hippe

W ten sposób niedziela różniła się od innych dni. A popołudnie odznaczało się jeszcze tym, że goście udawali się grupami na przejażdżki: po podwieczorku kilka dwukonnych powozów wspięło się z trudem po serpentynie drogi aż na samą górę i zatrzymało się przed główną bramą, aby zabrać tych, co je zamówili, przeważnie Rosjan, a mianowicie rosyjskie panie.

— Rosjanie zawsze jeżdżą na spacer — odezwał się Joachim do Hansa Castorpa; stali razem przed portalem i dla rozrywki przyglądali się odjeżdżającym. — Pojadą teraz do Clavadell albo nad jezioro, albo do Flüelatal, albo do klasztoru, to mniej więcej są cele ich wycieczek. Jeżeli masz ochotę, możemy także kiedyś pojechać. Ale sądzę, że na razie dosyć masz do roboty z tym, żeby się wżyć tutaj, i nie potrzeba ci żadnych eskapad.

Hans Castorp zgodził się z tym. Z papierosem w ustach i rękami w kieszeniach spodni, przyglądał się, jak niska, żywa staruszka, Rosjanka, sadowiła się w jednym z powozów ze swoją szczupłą siostrzenicą i jeszcze dwiema paniami; były to: Marusia i Madame Chauchat, która miała na sobie lekki prochownik z patką z tyłu, ale była bez kapelusza. Usiadła obok staruszki w głębi powozu, podczas gdy obie młode panny usiadły naprzeciwko. Wszystkie cztery były w dobrych humorach i nie przestawały mówić swą miękka, jak gdyby bezkrotną mową. Śmiały się i żartowały z powodu pledu, którym się z trudem okryły, z powodu rosyjskich cukrów w drewnianej skrzynce wyłożonej watą i papierowymi koronkami; stara ciotka wzięła je z sobą na drogę i już teraz nimi częstowała... Hans Castorp specjalną uwagę zwracał na dochodzący go, trochę zachrypnięty głos pani Chauchat. Jak zwykle, kiedy spotykał tę niedbałą kobietę, narzuciło mu się znowu owo podobieństwo, którego musiał się przez pewien czas doszukiwać i które objawiło mu się we śnie... A śmiech Marusi, jej okrągłe, brązowe oczy, spoglądające dziecinnie spod chusteczki, którą zakrywała sobie usta, i jej wysokie piersi, wewnątrz podobno poważnie chore, przypomniały mu coś innego, wstrząsającego, co zauważył niedawno — więc ostrożnie i nie poruszając głową spojrzął z boku na Joachima. Nie, chwała Bogu, Joachim nie miał — jak wówczas — takich plam na twarzy, również wargi jego nie były teraz tak żałośnie wykrzywione. Ale patrzył na Marusię — i to

w pozycji i z wyrazem oczu, których żadną miarą nie można było nazwać wojskowymi; wyrażały raczej taki smutek i takie zapamiętanie, że musiało się je uważać za niewątpliwie cywilne. Wkrótce zresztą otrząsnął się i spojrzał szybko na Hansa Castorpa, tak że ten zaledwie zdążył odwrócić od niego oczy i skierować je gdzieś przed siebie. Czuł przy tym, jak serce mu bije bez powodu i na własną rękę, jak zwykle tutaj.

Reszta niedzieli nie przyniosła nic nadzwyczajnego, z wyjątkiem może posiłków, które, nie mogąc być obfitsze niż zwykle, odznaczały się przynajmniej większym wyrafinowaniem potraw. (Na obiad było chaud-froid z drobiu, przybrane rakami i połówkami wisien, do lodów podano pâtisserie w koszyczkach plecionych z karmelu, a potem świeże ananasy). Wieczorem, po wypiciu swego piwa, Hans Castorp czuł się bardziej znużony, zziębnięty i ociążały niż dni poprzednich; już koło dziewiątej powiedział kuzynowi dobranoc, spiesznie naciągnął pierzynę aż po sam podbródek i zasnął jak zabity.

Ale już dzień następny, a więc pierwszy poniedziałek, jaki nasz hospitant tu spędził, dostarczył nowej, regularnie co pewien czas powracającej odmiany w rozkładzie dnia; mianowicie jednego z odczytów, wygłaszanych przez dra Krokowskiego raz na dwa tygodnie w jadalni przed zgromadzonymi w komplecie mieszkańcami „Berghofu”, którzy byli pełnoletni, znali język niemiecki i nie patrzyli na księżą oborę. Była to, jak Hansowi mówił kuzyn, seria związanych z sobą prelekcji, kurs popularnonaukowy pod ogólnym tytułem: „Miłość jako potęga chorobotwórcza”. Pouczająca pogadanka odbywała się po drugim śniadaniu i, jak również powiedział Joachim, było niedopuszczalne, a w każdym razie bardzo niemile widziane, jeżeli nie brało się w tym udziału; dlatego też uchodziło za zdumiewającą zuchwałość, że Settembrini, chociaż lepiej niż ktokolwiek władał językiem niemieckim, nie tylko nie przychodził nigdy na odczyty, ale ponadto wypowiadał się o nich w najbardziej pogardliwej formie. Co do Hansa Castorpa, to natychmiast zdecydował się iść na odczyt, przede wszystkim przez uprzejmość, lecz także z nie ukrywanej ciekawości. Przedtem jednak przyszło mu na myśl coś zupełnie niewłaściwego i fałszywego: żeby na własną rękę zrobić dłuższy spacer, co mu wcale a wcale nie posłużyło.

— Posłuchaj no! — były jego pierwsze słowa, kiedy Joachim wszedł rano do jego pokoju. — Widzę, że tak dłużej ze mną być nie może. Mam już dosyć pozycji poziomej — przecie z tego krew ścina się w żyłach. Z tobą rzecz ma się, naturalnie, inaczej, ty jesteś pacjentem, ciebie nie chcę bynajmniej sprowadzać na manowce. Ale ja chcę zaraz po śniadaniu, jeżeli nie weźmiesz mi tego za złe, wybrać się na porządną przechadzkę, tak na parę godzin w świat, gdzie oczy poniosą. Wsunę do

kieszeni coś do przekąszenia na drugie śniadanie, to mi zapewni niezależność. Zobaczymy, czy nie będę zupełnie innym człowiekiem po powrocie do domu.

— Dobrze — odparł Joachim, widząc, że tamten poważnie traktuje swoje pragnienie i swój zamiar. — Ale radzę ci, nie przeholuj. Tutaj jest inaczej niż w domu. A poza tym wróć punktualnie na odczyt.

W rzeczywistości były jeszcze inne powody, poza fizycznymi, które wpłynęły na postanowienie młodego Hansa Castorpa. Zdawało mu się, że przyczyną jego rozpalonej głowy, niesmaku, który prawie ciągle czuł w ustach, i nieobliczalnego bicia serca były nie tyle trudności związane z zaaklimatyzowaniem się tutaj, ile takie rzeczy, jak zachowywanie się rosyjskiego małżeństwa w sąsiednim pokoju, gadanina chorej i głupiej pani Stöhr, miękki kaszel sportsmena, który co dzień słyszał na korytarzach, wynurzenia pana Albina, wrażenie, które wywarły na nim obyczaje chorej młodzieży, wyraz twarzy Joachima, kiedy przyglądał się Marusi, i wiele innych podobnych spostrzeżeń. Sądził, że dobrze będzie wyrwać się nareszcie z zaczarowanego koła sanatorium „Berghof”, głęboko odetchnąć świeżym powietrzem i zażyć do syta ruchu, ażeby później, kiedy będzie wieczorem zmęczony, wiedzieć przynajmniej, dlaczego. Tak więc, kiedy Joachim po śniadaniu wybrał się na swój przepisowy spacer do ławki nad rynną z wodą, odłączył się od niego, pełen przedsiębiorczości, i wywijając laską, puścił się w dół po szosie, szukając własnych dróg.

Był chłodny, pochmurny ranek — około wpół do dziewiątej. Zgodnie z powziętym postanowieniem Hans Castorp wdychał głęboko czyste ranne powietrze, tę świeżą i lekką atmosferę, którą wchłaniało się bez trudu, która była bez zapachu, bez wilgoci, bez treści, bez wspomnień... Przeszedł nad strumieniem, przeciął wąski tor kolejki, dostał się na szeroką, bezplanowo zabudowaną drogę, zboczył z niej wkrótce i wybrał polną ścieżkę, która tylko na krótkiej przestrzeni biegła równo, a potem skośnie i dosyć stromo wznosiła się w górę po prawym zboczu. Wspinanie się cieszyło Hansa Castorpa, pierś jego oddychała szeroko; rączką laski zsunął kapelusz z czoła, a kiedy, już z pewnej wysokości, obejrzał się i ujrzał w dali tafle jeziora, obok którego przejeżdżał w dniu swego przybycia, zaczął śpiewać.

Śpiewał melodie, które były mu znane, różne popularne i sentymentalne piosenki ze śpiewników korporantów i zrzeseń gimnastycznych, między innymi jedną, zawierającą następujące słowa:

Miłość i wino w pieśni chwał,  
Lecz przede wszystkim cnotę.

Z początku nucił ją cicho, a potem śpiewał głośno i ze wszystkich sił. Jego głos barytonowy był nikły, ale dzisiaj podobał mu się, i młody Castorp znajdował w śpiewaniu coraz większą przyjemność. Jeżeli zaczął za wysoko, przechodził w falset, ale i to podobało mu się. Jeżeli go pamięć zawodziła, dopomagał sobie, podkładając pod melodię bezsensowne zgłoski i słowa, które — zwyczajem artystów-śpiewaków — emitował w powietrze, modulując usta i ze wspaniałym podniebieniem „r”, w końcu zaś zarówno słowa, jak i melodie były już tylko wytworami jego własnej fantazji, a produkcje swe podkreślał nawet operowymi gestami. Ponieważ jednoczesne wchodzenie pod górę i śpiewanie jest rzeczą bardzo wyczerpującą, przeto zabrakło mu wkrótce tchu i stan ten pogarszał się coraz bardziej. Ale z pobudek idealnych, dla samego wzruszenia estetycznego starał się zwalczyć tę trudność i wśród częstych westchnień dał z siebie wszystko co mógł, aż wreszcie, z najwyższym wysiłkiem łapiąc oddech, oślepy, mając w oczach tylko różnokolorowe migotliwe ogniki, z rozdygotanym pulsem padł na ziemię pod grubą sosną — po tak podniosłym nastroju nagle wydany na pastwę głębokiego niezadowolenia i przygnębienia, graniczącego z rozpaczą.

Gdy, jako tako przyszedłszy do siebie nerwowo, podniósł się znowu, żeby kontynuować wycieczkę, czuł tak gwałtowne drżenie karku, że — już w tak młodym wieku — potrzasał głową zupełnie w ten sam sposób, jak to czynił niegdyś sędziwy Hans Lorenz Castorp. Wspomnienie zmarłego dziadka, wywołane tym nowym zjawiskiem, serdecznie go wzruszyło i, nie odczuwając żadnej przykrości z tego powodu, z upodobaniem starał się naśladować dostojny sposób, w jaki starzec usiłował opanować drżenie głowy, wpierając podbródek w kołnierz — sposób, który tak bardzo podobał się niegdyś chłopcu.

Piął się serpentynami coraz wyżej. Wabiły go dźwięki krowich dzwonek i udało mu się natrafić na stado; pasło się w pobliżu szałas, którego dach obciążony był kamieniami. Dwóch brodatych mężczyzn, z siekierami na ramionach szło naprzeciw niego, a kiedy byli już blisko, rozstali się. — A więc żegnaj. I dzięki ci! — powiedział jeden z nich do drugiego głębokim, gardłowym głosem, przełożył siekiere na drugie ramię i na przełaj, po trzeszczących gałązkach, zaczął schodzić pomiędzy świerkami w dolinę. Dziwnie zabrzmiało tutaj w samotności to: „A więc żegnaj. I dzięki ci!” I rozmarzyło Hansa Castorpa, odurzonego już wspinaniem się i śpiewaniem. Po cichu powtórzył te słowa, starając się przy tym naśladować gardłową, uroczyste nieporadną mowę górala, i poszedł jeszcze trochę ponad szałas, bo pragnął osiągnąć granicę drzew; ale spojrzawszy na zegarek, porzucił ten zamiar.

Skręcił teraz w lewo, w kierunku domu, i szedł ścieżką, z początku równą,

a potem biegnącą w dół. Ogarnął go wysokopienny las szpilkowy i, krocząc pomiędzy drzewami, zaczął nawet znowu trochę, co prawda ostrożnie, pośpiewywać, mimo że przy schodzeniu kolana drżały mu jeszcze bardziej niepokojąco niż przedtem. Ale kiedy wyszedł z lasu, przystanął, zaskoczony przepiękną scenerią, która otworzyła się przed nim — zacisznie zamkniętym krajobrazem o kojących, a zarazem wspaniałych zarysach.

Po prawej stronie płytkim kamienistym łożyskiem spadał w dół górski potok, spieniony wylewał się na tarasowate układające się bloki skalne i płynął dalej, już spokojniej, w stronę doliny, malowniczo spięty kładką o prymitywnie skleconych poręczach. Ziemia była niebieska od dzwonek, którymi obsypane były rosnące tu w wielkiej obfitości krzewy. Poważne świerki, równe i olbrzymiego wzrostu, stały samotnie lub w grupach na dnie wąwozu i na jego zboczach, a jeden z nich, ukośnie rosnąc na pochyłym brzegu dzikiego strumienia, krzywo i dziwacznie wrzynał się w obraz. Zaciszny szum wody wypełniał to piękne pustkowie. Hans Castorp spostrzegł ławkę na drugim brzegu strumienia.

Przeszedł przez kładkę i usiadł, aby rozkoszować się widokiem wodospadu, bryzgającej piany i przysłuchiwać się sielankowo gwarzącemu, monotonnemu, a jednak w treści swej zmiennemu szumowi; bo Hans Castorp lubił szumiące wody tak bardzo jak muzykę, a może nawet więcej. Ale zaledwie rozsiadł się wygodnie, nagle krew tak gwałtownie rzuciła mu się z nosa, że niezupełnie udało mu się uchronić ubranie od zaplamienia. Krwotok był raptowny, uporczywy, i Hans Castorp miał z nim chyba z pół godziny do czynienia, bo musiał ciągle biegać od ławki do potoku i z powrotem, aby przepłukiwać chusteczkę do nosa, wciągać wodę nozdrzami i znowu kłaść się na ławce na wznak, z wilgotną chustką na nosie. Tak leżał, aż wreszcie krew przestała uchodzić — leżał bez ruchu, ręce miał skrzyżowane pod głową, kolana podniesione, oczy zamknięte, uszy pełne szumu, i nie czuł się źle, raczej ukołysany był obfitym wpływem krwi i w stanie dziwnie osłabionej żywotności; bo po każdym wydechu długo nie czuł potrzeby wciągania na nowo powietrza, ale zmartwiały, spokojnie pozwalał sercu uderzyć wiele razy, zanim — po upływie pewnego czasu i leniwie, znowu płytko odetchnął.

I nagle poczuł się przeniesiony w tę dawno minioną sytuację, która była kanwą pewnego snu, osnutego na najświeższych wrażeniach, snu, który miał kilka dni temu...

Ale tak silnie, tak bez reszty, tak aż do zupełnego zaniku czasu i przestrzeni został porwany w owo tam i wtedy, że można by powiedzieć, iż tu na górze, na ławce nad wartkim potokiem spoczywa martwe ciało, podczas gdy właściwy Hans

Castorp znajduje się daleko, w odległym czasie i miejscu, i to w położeniu, przy całej swej prostocie, ryzykownym i oszałamiającym.

Miał lat trzynaście, był uczniem czwartej klasy, chłopcem w krótkich spodniach, i stał na dziedzińcu szkolnym rozmawiając z kolegą z innej klasy, mniej więcej swoim rówieśnikiem — a rozmowa ta, którą Hans Castorp rozpoczął dosyć samowolnie i która, mając specjalny i ściśle określony przedmiot, nie mogła trwać długo, mimo to cieszyła go w najwyższym stopniu. Było to na dziedzińcu, podczas pauzy pomiędzy przedostatnią a ostatnią godziną, pomiędzy lekcją historii a lekcją rysunków w klasie Hansa Castorpa. Dziedziniec, wyłożony czerwonym klinkierem, odgradzony był od ulicy murem, pokrytym gontami i zaopatrzonym w dwie bramy; uczniowie przechadzali się w szeregach tam i z powrotem, stali w grupkach, na wpół siedząc opierali się o szkliste występy murów budynku. W powietrzu unosił się gwar głosów. Nauczyciel, w miękkim kapeluszu, jadł bułkę z szynką, dozorując uczniów.

Chłopiec, z którym rozmawiał Hans Castorp, nazywał się Hippe, a na imię miał Przybysław. Było rzeczą godną uwagi, że imię to pisało się Pribisław, ale „r” w tym słowie należało wymawiać jak „rz”. Przybysław. To dziwaczne imię harmonizowało z jego powierzchownością, niezupełnie przeciętną, wyraźnie mającą w sobie coś obcego. Hippe, syn historyka i nauczyciela gimnazjalnego, a więc notoryczny prymus, rówieśnik niemal Hansa Castorpa, był już od niego o klasę wyżej; pochodził z Meklemburga i był najwidoczniej produktem dawnego skrzyżowania ras, domieszki krwi wendyjsko-słowiańskiej do krwi niemieckiej czy też odwrotnie. Był wprawdzie blondynem — włosy dokoła okrągłej czaszki miał krótko ostrzyżone, ale jego oczy, szaroniebieskie czy niebieskoszare — kolor ich był trochę nieokreślony i składał się z różnych odcieni, niby kolor dalekich gór — miały szczególny, wąski i właściwie trochę nawet skośny wykrój, a tuż pod nimi wystawały mocno rozwinięte kości policzkowe; ten kształt twarzy bynajmniej go nie szpecił, robił raczej miłe wrażenie, ale wystarczało, by koledzy nadali mu przydomek „Kirgiza”. Poza tym Hippe nosił już długie spodnie, a do nich niebieską bluzę, wysoko zapinaną i marszczoną na plecach; jej kołnierz nosił zwykle lekkie ślady łupieżu. Otóż sprawa miała się tak, że Hans Castorp dawno już zwrócił uwagę na tego Przybysława — jego właśnie wybrał z całego rojowiska znajomych i nieznanym na dziedzińcu szkolnym, nim się interesował, za nim wodził oczami; czyżby podziwiał go? W każdym razie przypatrywał mu się z wyjątkowym zainteresowaniem i już w drodze do szkoły cieszył się, że będzie go obserwował w gronie jego kolegów, że będzie widział, jak mówi i śmieje się, i że z daleka będzie odróżniał jego głos, który był przyjemnie matowy, przytłumiony i trochę zachrypnięty. Można przyjąć, że to



zainteresowanie nie miało dostatecznej podstawy, o ile nie zechciałoby się uważać za nią pogańskiego imienia, wzorowych postępów w nauce (które jednak na pewno nie mogły zaważyć) albo wreszcie kirgiskich oczu, umiejących niekiedy, przy pewnych spojrzeniach z ukosa, których celem nie było widzenie, topnieć jakoś i ciemnieć aż do mrocznych tonów nocy. W każdym razie Hans Castorp niewiele się troszczył o rozumowe uzasadnienie swych uczuć, a już wcale o to, jak należałoby je nazwać, gdyby się to okazało koniecznym. O przyjaźni wszak nie mogło być mowy, bo przecież „nie znał” zupełnie Hippego. Ale po pierwsze nie zachodziła żadna konieczność znalezienia nazwy, bo niemożliwością zgoła było, by rzecz ta stała się kiedykolwiek przedmiotem rozmowy — nie nadawała się do tego i nie potrzebowała tego. A po wtóre, nazwa jest o ile nie krytyką, to w każdym razie określeniem, to znaczy umieszczeniem w czymś znanym i zwyczajnym, a Hans Castorp żywił przecież nieświadome przekonanie, że dobro wewnętrzne, takie jak to, raz na zawsze powinno być zabezpieczone od podobnych określeń i sposobów umieszczenia.

Ale niezależnie od tego, jak były uzasadnione, dobrze czy źle, te uczucia, tak trudne do nazwania i do ujęcia w słowa, posiadały taką żywotność, że Hans Castorp nosił się z nimi w cichości już od roku prawie — mniej więcej od roku, bo trudno było dokładnie ustalić ich początek; świadczyło to co najmniej o wierności i stałości jego charakteru, zważywszy, jak ogromnym przeciągiem czasu jest rok w jego wieku. Niestety, wszystkie nazwy cech charakteru kryją w sobie stale jakąś ocenę moralną, bądź w sensie dodatnim, bądź w ujemnym, chociaż każda z tych cech ma zawsze dwie strony. „Wierność” Hansa Castorpa, którą zresztą bynajmniej się nie chełpił, polegała, mówiąc bez wartościowania, na pewnej ociężałości, powolności i bezwładności jego usposobienia, na pewnym wrodzonym konserwatyzmie, dzięki któremu uczucia przywiązania i stałości i oparte na nich stosunki z ludźmi wydawały mu się tym godniejsze, im dłużej trwały. Był nawet skłonny do wiary w wieczne trwanie stanów i nastrojów, które przeżywał; cenił je dlatego właśnie i nie zależało mu na odmianie.

Toteż żył się w głębi serca ze swoim cichym i dalekim stosunkiem do Przybysława Hippego i uważał to za coś w swoim życiu niezmiennego. Lubił wzruszenia, które się z tym wiązały, pytania, czy go dzisiaj spotka, czy Hippe przejdzie koło niego, czy może spojrzy na niego; lubił cichy, delikatny sposób, w jaki spełniały się jego pragnienia, lubił nawet rozczarowania, które przynosiła mu jego tajemnica, a z których największe było, gdy Przybysław był „nieobecny” — wtedy dziedziniec szkolny był pusty, dzień odarty z wszelkiego wdzięku, ale pozostawała nieustępliwa nadzieja.

Tak było przez rok, do chwili kiedy nadszedł ów awanturniczy punkt kulminacyjny; potem, dzięki stałości i wierności Hansa Castorpa, trwało to jeszcze jeden rok, aż wreszcie się skończyło; a skończyło się tak, że jak przedtem nie spostrzegał wciąż zacieśniających się więzów, które go łączyły z Przybysławem Hippe, tak teraz nie zdawał sobie sprawy z ich rozluźniania się i wreszcie ostatecznego zerwania. Zresztą Przybysław opuścił szkołę i miasto, ponieważ ojciec jego został przeniesiony, ale na to Hans Castorp prawie nie zwrócił uwagi; zapomniał o nim już przedtem. Można powiedzieć, że postać „Kirgiza” niepostrzeżenie wypłynęła z mgły i weszła w jego życie, nabierała coraz większej wyrazistości i uchwytności, aż nadeszła owa chwila największej bliskości i ucieleśniania, wtedy na szkolnym dziedzińcu; że przez czas pewien stała na pierwszym planie, a potem stopniowo znów zaczęła się oddalać i wreszcie rozplynęła się we mgle, bez bólu pożegnania.

A ów śmiały i awanturniczy incydent, owa sytuacja, w którą Hans Castorp teraz znowu został przeniesiony, owa rozmowa, rzeczywista rozmowa z Przybysławem Hippe, miała następujący przebieg. Była kolej na lekcję rysunków, gdy Hans Castorp spostrzegł nagle, że nie ma ołówka. Koledzy jego sami potrzebowali swoich ołówków, ale miał przecie w innych klasach znajomych, do których mógłby się zwrócić o ołówek. Najlepiej jednak znał Przybysława; Przybysław był mu — jak sądził — najbliższy, bo w cichości tak wiele miał już z nim do czynienia; i w radosnym porywie całej swojej istoty postanowił skorzystać z tej okazji — nazwał to okazją — i poprosił Przybysława o ołówek. Zaślepiiony niezwykłą jakąś beztróską, nie zdawał sobie sprawy albo po prostu nie kłopotał się o to, że będzie to właściwie niecodzienny kawał, bo przecie w rzeczywistości nie znał Hippego. Chwilę później stał naprawdę przed Przybysławem Hippe, wśród tłoku, na dziedzińcu wyłożonym klinkierem i odezwał się do niego:

— Przepraszam, czy możesz pożyczyć mi ołówka?

A Przybysław spojrział na niego swoimi kirgiskimi oczami znad wystających kości policzkowych i powiedział swym miłym, lekko zachrypniętym głosem, nie dziwiąc się wcale, a w każdym razie nie okazując zdziwienia:

— Chętnie. Ale po lekcji musisz mi go koniecznie oddać. — I wyjął z kieszeni swój posrebrzany crayon z obrączką, którą trzeba było pociągnąć w górę, ażeby z metalowej osłony wyrósł czerwono polakierowany ołówek. Objasniał koledze prosty mechanizm ołówka, a ich pochylone głowy zbliżyły się do siebie.

— Ale go nie złam! — dodał jeszcze.

Jakże on mógł tak myśleć? Jak gdyby Hans Castorp miał zamiar może nie zwrócić ołówka albo nawet z nim się niedbale obchodzić.

Potem spojrzeli na siebie z uśmiechem, a ponieważ wszystko było już powiedziane, odwrócili się najpierw bokiem do siebie, potem plecami i rozeszli się.

To było wszystko. Ale nigdy w życiu Hans Castorp nie był szczęśliwszy niż podczas tej godziny rysunków, kiedy rysował ołówkiem Przybysława Hippego, ciesząc się w dodatku myślą, że później wręczy go znowu właścicielowi, co w sposób niewymuszony i naturalny wynikało ze wszystkiego poprzedzającego. Odważył się nawet zaostrzyć trochę ołówek, posypały się czerwone ostrużyny, a trzy czy cztery z nich przechowywał później przez cały rok w wewnętrznej szufladzie swego pulpitu. Ktokolwiek by je tam znalazł, nie domyśliłby się, jak doniosłe jest ich znaczenie! Zwrócenie ołówka odbyło się zupełnie po prostu, co zresztą było po myśli Hansa Castorpa i z czego nawet był szczególnie dumny — bo przecież przez swoje wewnętrzne obcowanie z Przybysławem był rozpieszczony i mniej wrażliwy.

— Masz — rzekł. — Bardzo dziękuję.

Przybysław nie odezwał się wcale, tylko sprawdził pobieżnie mechanizm i schował swój crayon do kieszeni. Potem już nigdy z sobą nie rozmawiali, ale ten jeden raz, dzięki przedsiębiorczości Hansa Castorpa, jednak się to stało...

Otworzył nagle oczy, oszołomiony głębią swego zapamiętania. „Zdaje mi się, że coś mi się śniło! — pomyślał. — Ach, tak, to był Przybysław. Już dawno o nim nie myślałem. Gdzie się podziały te strużyny? Pulpit jest w domu wuja Tienappla, na strychu. Muszą być jeszcze w wewnętrznej szufladce z tyłu z lewej strony. Nigdy ich stamtąd nie wyjmowałem. Nawet tyle uwagi im nie poświęciłem, żeby je wyrzucić... To był zupełny Przybysław, jak żywy. Nigdy bym nie przypuszczał, że go jeszcze kiedyś tak wyraźnie zobaczę. Jaki on był dziwnie podobny do niej — do tej tu, z sanatorium! A więc dlatego tak się nią interesuję? A może też dlatego właśnie tak się nim interesowałem? Nonsens, zupełny nonsens! Zresztą, muszę już iść, a nawet jak najprędzej”. Ale nie ruszał się, tylko leżał dalej, rozmyślając i wspominając. Potem wstał. „A więc żegnaj. I dzięki ci!” — powiedział, uśmiechnął się i łzy napłynęły mu do oczu. Teraz już chciał puścić się w drogę, ale znów szybko usiadł, mając laskę i kapelusz w ręku, bo widocznie zauważył, że kolana odmawiają mu posłuszeństwa. „Hola — pomyślał — wydaje mi się, że to nie pójdzie tak gładko! A mam być punktualnie o jedenastej w jadalni na odczycie. Tutejsze spacerują, jak widzę, swoje piękne strony, ale i swoje niebezpieczeństwa; tak, tak, ale nie mogę przecież tutaj zostać. To tylko dlatego, że mnie leżenie trochę obezwładniło, ale się na pewno rozruszam.” I znów spróbował wstać, a że się mocno nateżył, więc jakoś mu się udało.

Bądź co bądź był to żalorny powrót po tak dumnym wymarszu. Musiał często

odpoczywać po drodze, bo czuł, jak mu nagle krew odpływa od głowy, jak zimny pot występuje mu na czoło i jak nierówne bicie serca zapiera mu oddech. Z trudem schodził w ten sposób serpentynami ku dolinie; ale kiedy wreszcie znalazł się na dole, w pobliżu Kurhauzu, doszedł do przekonania, że w żaden sposób nie uda mu się już przebyć o własnych siłach drogi dzielącej go jeszcze od sanatorium; a ponieważ nie było tramwaju, a i żadna dorożka jakoś się nie ukazywała, poprosił woźnicę, który z pustymi skrzyniami zjeżdżał na dół w stronę Davos-Wsi, ażeby pozwolił mu się przysiąść na wóz. Jechał tak, oparty o furmana, zwiesiwszy nogi z wozu, kołysząc się i kiwając w półśnie za każdym wstrząśnieniem pojazdu, budząc zdziwienie i współczucie u przechodniów; koło przejazdu kolejowego zszedł na ziemię, zapłacił, nie patrząc — za wiele czy też za mało — i na złamanie karku popędził drogą w dół.

— Dépêchez-vous, monsieur! — powiedział francuski portier.— La conférence de M. Krokowski vient de commencer.\* — Hans Castorp rzucił w szatni laskę i kapelusz i pośpiesznie, ale ostrożnie, z językiem między zębami, przecisnął się przez z lekka otwarte oszklone drzwi do jadalni, gdzie kuracjusze siedzieli na krzesłach ustawionych rzędami; pod prawą ścianą stał dr Krokowski, w tużurku, przed nakrytym stolikiem z karafką wody, i przemawiał...

## Analiza

Szczyściem w pobliżu drzwi znalazło się wolne miejsce narożne. Hans Castorp wśliznął się bokiem i zrobił minę, jak gdyby od początku tam siedział. Publiczność, z napiętą, świeżą jeszcze uwagą słuchająca dra Krokowskiego, prawie go nie zauważyła. I dobrze, że tak się stało, bo wyglądał okropnie. Był blady jak ściana, a ubranie miał zbroczone krwią. Mógł więc uchodzić za mordercę, który dopiero co dokonał zbrodni. Oczywiście pani, siedząca przed nim, odwróciła głowę, gdy zajmował miejsce, i obrzuciła go badawczym spojrzeniem wąskich oczu. Z pewnego rodzaju wzburzeniem poznał, że była to Madame Chauchat. Cóż u licha, czy nie zazna dzisiaj spokoju? Sądził, że odpocznie tu wreszcie i będzie mógł przyjść trochę do siebie, a tu nagle ta kobieta tuż pod nosem; może kiedy indziej ucieszyłby go ten przypadek, ale teraz tak był zmęczony i wyczerpany, cóż mogło mu z tego przyjść? Było to tylko nowe zadanie dla jego serca i, Bóg raczy wiedzieć, może w ciągu całego odczytu nie da mu spokoju. Spojrzała na niego zupełnie oczami

---

\* Dépêchez-vous... (franc.) — Proszę się pośpieszyć... Odczyt pana Krokowskiego właśnie się zaczął.

Przybysława, widziała jego twarz i plamy krwi na ubraniu — przyglądała mu się nawet dość bezwzględnie i natarczywie, co zresztą zgodne było z manierami kobiety, która trzaska drzwiami. Jakże źle się trzymała! Zupełnie inaczej niż kobiety, z którymi Hans Castorp stykał się w swojej sferze, a które siedziały wyprostowane i, zwracając głowę do sąsiada przy stole, rozmawiały z nim, zaledwie poruszając wargami. Pani Chauchat siedziała niedbale skulona, plecy miała okrągłe, ramiona zwisające ku przodowi, a głowę przechylała w ten sposób, że w wycięciu jej białej bluzki wyraźnie odznaczały się kręgi karku. Przybysław także trzymał głowę w ten sposób, ale on był wzorowym uczniem, żył zgodnie z nakazami honoru (choć nie to było powodem, dla którego Hans Castorp prosił go o pożyczenie ołówka) — podczas gdy nie ulegało wątpliwości, że niedbała postawa pani Chauchat, trzaskanie drzwiami, nietaktowne przyglądanie mu się — wszystko to było ściśle związane z jej chorobą, a nawet było wyrazem tego braku dyscypliny wewnętrznej i wprost bezgranicznych, chociaż niezbyt godnych szacunku korzyści, jakie niedawno wychwalał pan Albin...

Gdy Hans Castorp patrzył tak na przygarbione plecy pani Chauchat, myśli jego zaczęły się mącić, a wreszcie przestały już być myślami i przedzierzgnęły się w jakieś marzenia, w które jakby z daleka wpadał monotony baryton dra Krokowskiego z jego charakterystycznym miękkim „r”. Ale wkrótce zaczęła nań oddziaływać cisza panująca na sali i skupienie słuchaczy; ocknął się i rozejrzał wokoło... Obok niego siedział łysawy pianista; głowę odrzucił w tył i słuchał z otwartymi ustami i skrzyżowanymi na piersiach rękami. Nieco dalej siedziała nauczycielka, panna Engelhart, z pożądaniem w oczach i ciemnoczerwonymi wypiekami na obu policzkach. Inne panie, na które spojrzał Hans Castorp, miały również rozpalone twarze: pani Salomon, sąsiadująca z panem Albinem, i pani Magnus, żona piwowara, która traciła białko. Wyraz twarzy pani Stöhr, siedzącej bardziej w tyle, pełen był tak niekulturalnego rozmarzenia, że rozpacz ogarniała, kiedy się na nią patrzyło, a blada jak z kości słoniowej panna Levi, z przymkniętymi oczami i złożonymi na kolanach rękami, oparta wygodnie o poręcz krzesła, wyglądałaby zupełnie jak martwa, gdyby jej piersi nie falowały tak mocno i równo, że Hansowi Castorpowi przypominała się figura woskowa z ukrytym wewnątrz mechanizmem, którą widział kiedyś w panoptikum. Niektórzy z gości wzniesli do uszu dłonie zwinięte w trąbkę albo przynajmniej markowali ten gest, trzymając ręce trochę poniżej, jak gdyby ich nie donieśli do uszu i w pół ruchu nagle zastygli w skupieniu. Prokurator Paravant, silnie opalony i pozornie atletycznej budowy, nastawił nawet ucha, ażeby lepiej słyszeć, po czym dał się zawładnąć wymowie dra Krokowskiego.

O czymże mówił dr Krokowski? Jakie zagadnienia poruszał? Hans Castorp sku-

pił uwagę, aby się zorientować, co mu się nie od razu udało, bo nie słyszał początku, a potem, zajęty patrzeniem na zgarbione plecy pani Chauchat, stracił wątek. Chodziło o jakąś potęgę... o ową potęgę, słowem: o potęgę miłości. Ma się rozumieć! Ogólny tytuł cyklu odczytów wymieniał ten temat, a zresztą o czym by miał mówić dr Krokowski, skoro to właśnie było dziedziną jego badań. Dla kogoś, kto dotychczas słuchał tylko wykładów związanych z budową okrętów, na przykład o przekładniach i tym podobnych przedmiotach, dziwną było rzeczą słuchać nagle wykładu o miłości. Jakimi drogami dojść można było do tego, żeby w biały dzień omawiać z paniami i panami tak wstydlivy i dyskretny temat? Dr Krokowski łączył dwa różne sposoby wykładania, styl poetycki ze ściśle naukowym, mówił jednak tonem śpiewnym i wibrującym, co raziło trochę młodego Hansa Castorpa, chociaż to właśnie zapewne sprawiało, że panie miały tak rozpalone policzki, a panowie nastawiali uszu. Słowa „miłość” używał prelegent w sposób nieco chwiejny i nigdy nie było się pewnym jego właściwego sensu, czy ma ona oznaczać coś wzniosłego, czy też namiętność cielesną — przyprawiało to o lekkie wrażenie choroby morskiej. Nigdy w życiu nie słyszał jeszcze Hans Castorp tego słowa tak raz po raz wymawianego jak tu i dzisiaj, a kiedy się zastanowił, zdawało mu się, że on sam dotychczas jeszcze go nie wymawiał ani nie słyszał od innych. Może się mylił, ale bądź co bądź był zdania, że tak częste powtarzanie nie wychodzi temu słowu na dobre. Na odwrót, sam jego dźwięk zaczął mu sprawiać przykrość i budzić skojarzenie jakby z rozwodnionym mlekiem, z czymś niebieskawobiałym i lepkiem; wrażenie to jeszcze wzrastało przez porównanie z mocnymi określeniami miłości, którymi posługiwał się dr Krokowski. Jasne było bowiem, że zaczawszy jak on, można było sobie na wiele pozwolić, nie wypłaszając słuchaczy z audytorium. Prelegent nie zadowalał się wypowiedzianiem w pewnego rodzaju oszłamiającym rytmie rzeczy powszechnie wiadomych, ale zwykle pokrywanych milczeniem; burzył iluzje, składając hołd nieubłaganej prawdzie, nie pozostawiał nic z sentymentalnej wiary w godność starości i w anielską czystość dzieciństwa. Nawet do tużurka nosił zresztą koszulę z miękkim wykładanym kołnierzem, sandały i szare wełniane skarpetki, co nadawało mu wygląd bezkompromisowego idealisty, chociaż przejmowało poniekąd lękiem Hansa Castorpa. Dr Krokowski wykladał o przerażających formach, jakie czasami przybiera miłość, o osobliwych bolesnych i niesamowitych sposobach jej przejawiania się, o jej wszechmocy; od czasu do czasu czerpał przykłady i anegdoty, a nawet czytał wiersze z książek i papierów, rozłożonych przed nim na stole. Miłość, tak mówił, jest najchwiejniejszym i najbardziej na odchylenia narażonym ze wszystkich naturalnych popędów człowieka i ma nieprzepartą skłonność do zbroczeń i fatalnych perwersji. Nic w tym dziwnego, bo ten potężny bodziec

nie jest niczym prostym, lecz czymś z natury swej bardzo skomplikowanym i choć jako całość jest zupełnie normalny, to jednak składa się z samych perwersji. Ponieważ jednak, ciągnął dalej dr Krokowski, ponieważ z perwersyjnego charakteru składników słusznie nie chcemy wnosić o nieprawidłowym charakterze całości, jesteśmy więc nieuchronnie zmuszeni całą jej prawidłowość lub przynajmniej część tej prawidłowości przypisać również owym perwersyjnym składnikom. Jest to postulatem logiki i prelegent prosi słuchaczy, by o tym nie zapominali. Perwersyjne składniki łączą się często w prawidłową i pożyteczną całość pod wpływem wewnętrznych hamulców i drzemających w człowieku korygujących czynników, zgodnie z instynktownymi nakazami przyzwoitości i ładu wewnętrznego, które — można by niemal powiedzieć — są poniekąd mieszczańskiej natury. Ale wyniki tego wyrównawczego i ograniczającego działania, tego nierzadkiego i bądź co bądź bardzo szczęśliwego procesu, nie są przedmiotem (dr Krokowski dodał to z odcieniem pogardy) zainteresowania lekarza ani myśliciela. Zdarza się natomiast, że proces ten nie daje zadowalających wyników, nie może i nie powinien ich dać; a któż by śmiał twierdzić — pytał dr Krokowski — że nie jest to właśnie przypadek szlachetniejszy i bardziej wartościowy pod względem duchowym? W tym właśnie przypadku oba wspomniane rodzaje sił, zarówno pragnienie miłości, jak i owe przeciwne impulsy, a przede wszystkim wstyd i odraza, dochodzą do niezwykłego napięcia i roznamietnienia, przerastającego znacznie zwykłą miarę mieszczańską.

Ta walka, która się toczy w mrokach duszy, sprawia, że zbłąkane popędy nie mogą doznać uciszenia, zabezpieczenia i uobyczajnienia, które zapewniają życiu miłosnemu harmonię i zgodność z obowiązującymi przepisami. Jakież jest wynik zmagania się potęgi czystości z potęgą miłości — bo o takie właśnie zmaganie chodzi? Na pozór kończy się zwycięstwem czystości. Bojaźń, dobre wychowanie, cnotliwy wstręt, trwożna potrzeba czystości tłumią miłość i trzymają ją w mroku, dopuszczając do świadomości i otwartego działania najwyżej drobne ułamki jej niejasnych dążeń, z pominięciem głównego nurtu jej potęgi i różnorodności. To zwycięstwo czystości jest jednak pozornym tylko i pirrusowym zwycięstwem, bo nakazy miłości nie dają się spętać ni zgwałcić, a stłumiona miłość nie umiera, lecz żyje, w ciemności i w głębokim ukryciu dąży nadal do spełnienia się, kruszy więzy czystości i zjawia się znowu, choć zmieniona nie do poznania... Jakaż więc jest ta nowa postać i maska, pod którą powraca odepchnięta i stłumiona miłość? Dr Krokowski rzucił to pytanie i rozejrzał się po szeregach słuchaczy, jak gdyby naprawdę oczekiwał od nich odpowiedzi. Ale choć tyle już powiedział, musiał jeszcze i to sam powiedzieć. Nikt prócz niego nie znał odpowiedzi, ale widać było, że on zna ją na pewno. Ze swymi błyszczącymi oczami, woskowo bladej i z czarną brodą, w mni-

szych sandałach na szarych wełnianych skarpetkach, zdawał się sam być ucieleśnieniem zaciętej walki pomiędzy czystością a namiętnością. Tak przynajmniej zdawało się Hansowi Castorpowi, który jak wszyscy inni, z największym napięciem oczekiwał wyjaśnienia, jaką postać przybiera odepchnięta miłość. Panie wstrzymywały oddech. Prokurator Paravant jeszcze raz nastawił ucha, przygotowując się w ten sposób do rozstrzygającego momentu, a dr Krokowski powiedział: postać choroby! Symptomy choroby są zamaskowanymi przejawami miłości, a każda choroba jest przekształconą miłością.

A więc słuchacze znali już odpowiedź, chociaż, co prawda, nie wszyscy umieli ją w całości ocenić. Westchnienie przeszło przez salę. Prokurator Paravant przytakiwał głową z uznaniem, a dr Krokowski rozwijał dalej swoją tezę. Hans Castorp przechylił głowę na bok, aby namyślić się nad tym, co usłyszał, i stwierdzić, czy dobrze zrozumiał. Brak mu było wprawy w śledzeniu tego rodzaju wywodów, a poza tym bystrość jego myśli przytępiona była wskutek przykrego wypadku na spacerze, trudno mu więc było się skupić. Toteż rychło uwagę jego ściągnęły na siebie plecy, które miał przed oczami, i ręka, która podniosła się w górę i sięgnęła w tył, aby podtrzymać warkocze.

Było to trochę żenujące, mieć tę rękę tak blisko swoich oczu — chcąc nie chcąc trzeba się było jej przypatrywać, badać jej braki i ludzkie przywary, jak gdyby oglądało się ją przez szkło powiększające. Nie, nic nie było arystokratycznego w tej szerokiej ręce uczennicy, z białymi jak obciętymi paznokciami, nie miało się nawet pewności, czy końce palców są zupełnie czyste, a skórka koło paznokci miała na sobie niewątpliwe ślady obgryzania. Hans Castorp skrzywił się, ale nie odwrócił wzroku od ręki Madame Chauchat; mętnie i niewyraźnie przeszło mu przez myśl to, co dr Krokowski mówił o mieszczańskim oporze, na jaki natrafia miłość... Ramię było ładniejsze, to miękko ku tyłowi głowy wygięte ramię, prawie nie osłonięte, bo rękawy były z cieńszego materiału niż bluzka — z najlżejszej gazy, która zdawała się tylko opromieniać ramię i czyniła je zapewne piękniejszym, niż byłoby bez żadnej osłony. Było jednocześnie delikatne i pełne — i chłodne, tak przynajmniej można było domyślać się. W stosunku do tego ramienia nie mogło być mowy o żadnym mieszczańskim oporze.

Hans Castorp marzył, wpatrzony w ramię pani Chauchat. Jakżeż się te kobiety ubierają! Pokazują to i owo ze swego karku, ze swych piersi, opromieniają ramiona przezroczywą gazą... Tak czynią na całym świecie, aby budzić naszą tęsknotę, nasze pragnienie. Mój Boże, jak piękne jest życie! Piękne właśnie dzięki takim codziennym i prostym drobiazgom jak ten, że kobiety ubierają się kusząco; bo przecież jest



to zupełnie proste i tak ogólnie przyjęte i uznawane, że człowiek, nie zdając sobie z tego sprawy, akceptuje to nieświadomie i bez protestu. Ale, myślał Hans Castorp, należy zwracać na to uwagę, aby cieszyć się życiem, i uprzytomnić sobie, że ta w gruncie rzeczy niemal bajeczna instytucja darzy człowieka szczęściem. Rozumie się samo przez się, że tkwi w tym jakiś głębszy cel, dla którego wolno kobietom ubierać się bajecznie i w sposób uszczęśliwiający, nie wykraczając przeciwko przyzwoitości; chodzi tu o przyszłe pokolenie, o utrzymanie gatunku ludzkiego, naturalnie. Ale jeżeli kobietę toczy jakaś wewnętrzna choroba, tak że się wcale na matkę nie nadaje — co wtedy? Czy i wtedy ma sens, że nosi rękawy z przezroczystej gazy i chce zaciekawiać mężczyzn swym ciałem — swym chorym ciałem? To przecież nie ma żadnego sensu i powinno właściwie być uważane za nieprzystojne i zostać zabronione. Bo interesowanie się chorą kobietą jest ze strony mężczyzny na pewno nie mniej nierozsądne niż... no więc, niż dawne skryte uczucie Hansa Castorpa dla Przybysława Hippego. Głupie porównanie, przykre wspomnienie, ale wypłynęło samo, nie przywoływane przez niego. W tym miejscu zresztą przestał snuć wątek swych rozmyślań i marzeń, głównie dlatego, że znowu zaczął przysłuchiwać się drowi Krokowskiemu, który wyraźnie podniósł głos. Stał za stolikiem, z rozpostartymi ramionami i przechyloną na ramię głową, i naprawdę pomimo swego tużurka wyglądał prawie jak Pan Jezus na krzyżu!

Okazało się, że dr Krokowski kończył swój odczyt wielką propagandą metody analizy duszy i z otwartymi ramionami przywoływał wszystkich ku sobie. Pójdźcie do mnie wszyscy — mówił innymi słowami — którzyście utrudzeni i obciążeni. — I nie pozwalał wątpić nikomu, że uważa wszystkich za utrudzonych i obciążonych. Mówił o ukrytym cierpieniu, o wstydzie i smutku, o wyzwających skutkach analizy; unosił się nad prześwietlaniem sfery nieświadomości, tłumaczył, jak choroba może się znowu przekształcić w uczucie, które sobie uświadomiliśmy, zachęcał do ufności, obiecywał powrót do zdrowia. Potem opuścił ręce, wznosił głowę, zebrał druki, które mu służyły podczas wykładu, i przyciskając je lewą ręką, całkiem jak nauczyciel, do ramienia, dumnym krokiem opuścił salę.

Wszyscy powstali z miejsc, szurając krzesłami, i poczęli wychodzić przez te same drzwi, którymi wyszedł doktor. Wyglądało to tak, jak gdyby dążyli za nim koncentrycznie, ze wszystkich stron, z wahaniem, ale bezwolnie i w tępej jedno-myślności, jak gromada szczurów za swym łowcą. Hans Castorp stał wśród odchodzących, z ręką opartą na poręczy krzesła. „Jestem tutaj tylko z wizytą — pomyślał — jestem zdrowy i, dzięki Bogu, mnie to wszystko wcale nie dotyczy, a do następnego odczytu już mnie tu nie będzie.” Widział, jak wychodziła pani Chauchat, skradającym się krokiem, z pochyloną ku przodowi głową. Czy i ona poddaje się anali-

zie? — myślał i serce zabiło mu żywiej... Nie spostrzegł przy tym, że Joachim szedł doń pomiędzy krzesłami, i wzdrygnął się nerwowo, gdy usłyszał głos kuzyna:

— Przyszedłeś w ostatniej chwili — rzekł Joachim. — Czy byłeś daleko? Jak ci się spacer udał?

— O, było bardzo przyjemnie — odparł Hans Castorp. — Owszem, byłem dosyć daleko. Ale muszę przyznać, że ta przechadzka nie posłużyła mi tak, jak się spodziewałem. Może za wcześnie ją zaryzykowałem albo może w ogóle nie powinienem był tyle chodzić. Na razie tego nie powtórzę.

Joachim nie pytał, czy mu się podobał odczyt, i Hans Castorp również nie objawiał swego zdania w tej sprawie. I później, jak gdyby się umówili, ani jednym słowem nie wspomnieli o tym odczycie.

## **Wątpliwości i rozwiązania**

We wtorek minął tydzień, odkąd nasz bohater zamieszkał tutaj, u tych w górze. Kiedy wrócił z porannego spaceru, zastał w swoim pokoju rachunek, pierwszy tygodniowy rachunek, precyzyjnie sporządzony dokument kupiecki, zamknięty w zielonkawej kopercie. Koperta ozdobiona była rysunkiem (widniała na niej niezmiernie zachęcająca podobizna sanatorium), a po lewej stronie, w wąskiej kolumnie figurowały wyjątki z prospektu, m. in. rozstawnym drukiem wspomniane były tam również „zabiegi psychiczne według najnowszych metod”. Kaligraficznie wypisane pozycje wynosiły prawie dokładnie 180 franków: utrzymanie wraz z opieką lekarską kosztowało 12 franków dziennie; pokój — 8 franków; 20 franków wynosiło „wpisowe”, 10 franków dezynfekcja pokoju, a drobne dodatki, za pościel, piwo i wino podane do pierwszej kolacji, zaokrąślały sumę.

Hans Castorp, przeglądając w obecności Joachima rachunek, nie miał nic do zarzucenia. — Tak, z opieki lekarskiej właściwie nie korzystam, ale to jest moja prywatna sprawa; opieka jest wliczona do ceny pensjonatu i nie mogę wymagać, ażeby ją odliczano; zresztą nie dałoby się to zrobić. Na dezynfekcji zarabiają nieźle, bo nie mogli przecież zużyć H<sub>2</sub>CO aż za dziesięć franków, aby wykurzyć stąd Amerykankę. Ale na ogół muszę przyznać, że wobec tego, co tu człowiekowi dają, wszystko razem wydaje mi się raczej tanie niż drogie. — Tak więc udali się przed drugim śniadaniem do Zarządu, aby uregulować należność.

Zarząd znajdował się na parterze. Idąc sienią obok hallu, toalet i pokojów krendensowych, nie można było nie znaleźć drzwi, tym bardziej że widniała na nich

porcelanowa tabliczka z odpowiednim napisem. Hans Castorp z zaciekawieniem uzyskał tam pewien wgląd w agendy handlowego centrum zakładu. Było to prawdziwe małe biuro: typistka pisała na maszynie, trzech urzędników siedziało pochylonych nad pulpitami, a w przyległym pokoju za biurkiem, stojącym pośrodku, siedział poważny pan o wyglądzie szefa lub dyrektora i spoza okularów rzucał na klientów zimne i badawcze spojrzenia. Przy okienku przyjęto od nich pieniądze, wydano resztę i pokwitowano, a oni zachowywali się przy tym poważnie i skromnie, nieomal pokornie. Tak zwykle postępują młodzi Niemcy, wnosząc do każdego biura szacunek dla władzy i urzędu. Ale za drzwiami, w drodze na śniadanie, a i później w ciągu dnia rozmawiali trochę o administracyjnej stronie „Berghofu”, a Joachim, jako tutejszy i obznajmiony z panującymi stosunkami, odpowiadał na pytania kuzyna.

Radca Behrens nie był bynajmniej właścicielem zakładu, chociaż mogło się tak wydawać. Ponad nim i poza nim kryły się niewidoczne potęgi, manifestujące się właśnie do pewnego stopnia tylko za pośrednictwem biura: była tam rada nadzorcza i spółka akcyjna, do której pewno warto było należeć, bo jak zapewniał Joachim, pomimo wysokiego wynagrodzenia lekarzy i najliberalniejszych zasad gospodarczych, corocznie mogła rozdzielać soczystą dywidendę między swych członków. Radca nie był więc człowiekiem niezależnym, lecz tylko urzędnikiem, funkcjonariuszem, stojącym blisko kierujących potęg, oczywiście pierwszym i najwyższym; był duszą wszystkiego, wywierał decydujący wpływ na całą organizację, nie wyłączając intendenty, chociaż jako lekarz naczelny nie był obowiązany zajmować się handlową częścią instytucji. Pochodził z północno-zachodnich Niemiec i, jak było wiadomo, wbrew swoim pierwotnym zamiarom i planom życiowym objął przed laty to stanowisko. Przyjechał tutaj towarzysząc swojej żonie, której prochy od dawna spoczywały na cmentarzu w Davos-Wsi — tym malowniczym cmentarzu na zboczu gór po prawej stronie, blisko początku doliny. Była to pełna wdzięku kobieta, chociaż asteniczna i z nazbyt wielkimi oczami, jak można było wnosić z fotografii, rozrzuconych po całym służbowym mieszkaniu radcy Behrensa, a również z portretów olejnych, zdobiących tam ściany a malowanych jego ręką amatora. Po urodzeniu dwojga dzieci, córki i syna, jej wychudzone i wycieńczone gorączką ciało wciągnięto tutaj na górę, gdzie po upływie kilku miesięcy zmarła. Opowiadają, że Behrensa, który ubóstwiał swoją żonę, niezwykle boleśnie dotknął ten cios: popadł na pewien czas w melancholię, zdziwaczał i na ulicy zwracał na siebie uwagę gestykulacją, śmiechem i gadaniem do siebie. Nie wrócił już potem do swojego poprzedniego miejsca pobytu, ale pozostał tu w górze: z pewnością także dlatego, że nie chciał oddalić się od grobu żony; decydującym był jednak ten mniej sentymentalny

powód, że i jemu samemu coś niecoś się udzieliło i że, według jego własnego naukowego poglądu, Davos było dla niego *w s k a z a n e*. Osiadł więc tutaj jako jeden z lekarzy, a zarazem towarzyszy niedoli swych pacjentów; lecząc chorobę, na którą sami cierpią, nie zwalczają jej lekarze ze swobodną obiektywnością człowieka nie dotkniętego tym samym złem. Jest to szczególny, ale bynajmniej nie odosobniony wypadek, który na pewno ma swoje dobre strony, choć nasuwa też pewne wątpliwości. Koleżeństwo lekarza z pacjentem jest pożądanym zjawiskiem i trzeba się z tym zgodzić, że tylko człowiek cierpiący może być przewodnikiem i wybawcą cierpiących. Czy jednak jest możliwe, żeby ktoś panował duchowo nad potęgą, do której niewolników sam należy? Czy może wyswobadzać spod jej władzy ktoś, kto sam jej ulega? Chory lekarz będzie zawsze paradoksem dla prostego sposobu odczuwania, będzie zjawiskiem problematycznym. Bo doświadczenie raczej chyba mąci i przyćmiewa jego teoretyczną znajomość choroby, aniżeli ją wzbogaca i moralnie umacnia. Chory lekarz nie spogląda cierpieniu w oczy jako śmiały i bezstronny przeciwnik, a jego stanowisko nie jest całkiem jednoznaczne; i należy zapytać, naturalnie z zachowaniem wszelkiej wskazanej ostrożności, czy człowiekowi, który sam jest chory, może na uzdrowieniu lub chociażby na uchronieniu innych od choroby zależeć w ten sposób, w jaki zależy na tym zdrowemu...

Takim i podobnym wątpliwościom i rozważaniom dawał wyraz Hans Castorp gawędząc z Joachimem o „Berghofie” i jego naczelnym lekarzu, ale Joachim zauważył, że bynajmniej nie wiadomo, czy radca Behrens jest jeszcze do dziś dnia pacjentem, że prawdopodobnie jest już od dawna wyleczony. Dużo już czasu minęło, od kiedy zaczął tu praktykować, przez pewien czas na własną rękę, i szybko dał się poznać jako doskonały auskultator i specjalista od pneumotomii. Później został zaangażowany do „Berghofu”, do zakładu, w którym pozostaje od blisko dziesięciu lat. Mieszkanie jego znajduje się tam, z tyłu przy końcu północno-zachodniego skrzydła (w pobliżu mieszka dr Krokowski), a niewielkie gospodarstwo wdowca prowadzi mu owa starsza siostra, szlachcianka z pochodzenia, o której Settembrini wyrażał się tak szyderczo, a z którą Hans Castorp jak dotąd tylko przelotnie się zetknął. Poza tym radca dworu jest zupełnie osamotniony, bo syn jego studiuje na uniwersytetach niemieckich, a córka jest już zamężna: jej mąż jest adwokatem, mieszkają we francuskiej Szwajcarii. Młody Behrens odwiedza czasami ojca w ciągu wakacji; tak się już raz zdarzyło podczas pobytu Joachima. I Joachim dodał, że panie w sanatorium żyją wtedy w stanie wielkiego podniecenia, temperatury skaczą w górę, drobne zazdrostki wywołują kłótnie i spory na leżalniach, a w ambulatorium dra Krokowskiego panuje wielki natłok...

Asystent przyjmował w specjalnym pokoju, położonym w jasnych suterrenach

zakładu, obok wielkiego pokoju przyjęć, laboratorium, sali operacyjnej i gabinetu do prześwietlań. Mówi się tu „sutereny”, bo kamienne schody, którymi schodziło się do nich z parteru, rzeczywiście budziły przekonanie, że prowadzą do piwnicy — co jednak polegało całkowicie niemal na złudzeniu, bo po pierwsze, parter położony był dość wysoko, a, po drugie, sanatorium jest w całości zbudowane na pochyłym terenie, na zboczu góry; tak więc okna „suterren” wychodzą na ogród i dolinę: okoliczności te krzyżowały poniekąd działanie schodów i pozbawiały je właściwego im znaczenia; człowiek bowiem sądził, że po ich stopniach schodzi poniżej powierzchni ziemi, ale, będąc już na dole, ciągle jeszcze i znowu znajdował się na równi z jej powierzchnią lub tylko o kilka stóp poniżej. Hans Castorp doznał tak zabawnego wrażenia, schodząc pewnego popołudnia w te dolne regiony z Joachimem, który szedł się zważyć u kąpielowego. Panowała tam kliniczna czystość i jasność, wszystko było wylakierowane na biało, nie wyłączając drzwi, między innymi drzwi prowadzących do pokoju przyjęć dra Krokowskiego. Na drzwiach tych, do których schodziło się z korytarza po dwóch stopniach, widniał bilet wizytowy uczonego, przymocowany za pomocą pluskiewki. Wejście to położone było na prawo od schodów i Hans Castorp, gdy spacerując po korytarzu czekał na Joachima, miał je na oku. Zobaczył też, jak wyszła stamtąd pewna pani, drobna i wątła, z loczkami na czole i ze złotymi kolczykami w uszach; nie znał jeszcze nazwiska tej niedawno przybyłej kuracjuszki. Wchodząc na schody, pochylała się silnie ku przodowi, jedną ręką ujęła suknię, a drugą, zdobną w pierścionki, przyciskała do ust chusteczkę i błędnie spoglądała sponad niej wielkimi, wyblakłymi, przestraszonymi oczami. Spieszyła drobnymi kroczkami, szeleszcząc przy tym halką, ku schodom, potem nagle zatrzymała się w miejscu, jak gdyby namyślając się nad czymś, i znów pobiegła drobnymi kroczkami, by zniknąć w klatce schodowej, ciągle schylona i nie odejmując chusteczki od ust.

Kiedy wychodząc z pokoju dra Krokowskiego otworzyła drzwi, Hans Castorp zauważył, że poza nimi było znacznie ciemniej niż na białym korytarzu: widocznie tylko do tego progu sięgała kliniczna jasność tych dolnych pomieszczeń. W analitycznym gabinecie dra Krokowskiego panowało przyciemnione półświatło, głęboki mrok.

## **Rozmowy przy stole**

Hans Castorp czuł się w barwnej sali jadalnej trochę zażenowany z powodu lekkiego trzęsienia się głowy, które pozostało mu od czasu owego samowolnego spa-

ceru. Zwłaszcza przy stole podczas jedzenia głowa prawie zawsze zaczynała mu drżeć, jak niegdyś jego dziadkowi, i nie potrafił opanować ani ukryć tego. Walcząc z tym niedomaganiem, opierał podbródek o kołnierzyk, ale to nie na długo się udawało; starał się więc utrzymywać głowę w ciągłym ruchu, zwracając się do sąsiada to z prawej, to z lewej strony, albo też, podnosząc łyżkę do ust, przyciskał mocno lewą rękę do stołu, albo wreszcie w przerwach pomiędzy poszczególnymi potrawami opierał łokieć o stół, a głowę na dłoni, choć dobrze zdawał sobie sprawę, że takie zachowanie się jest prostackie i że można pozwolić sobie na nie od biedy jedynie w towarzystwie złożonym z ludzi chorych. To wszystko razem było niezmiernie przykre i obrzydziło mu nieomal posiłki, które poza tym cenił bardzo wysoko, ponieważ łączyły się z pewnym napięciem i dostarczały widoku pewnych osobliwości.

Rzecz jednak miała się tak — i Hans Castorp wiedział o tym również dobrze — że przyczyny tego żenującego zjawiska, z którym musiał walczyć, nie były natury wyłącznie cielesnej — że nie można go było wytłumaczyć jedynie działaniem tutajszego powietrza i trudnością zaaklimatyzowania się; zjawisko to było wyrazem jego wewnętrznego niepokoju, związanym bezpośrednio z owym napięciem i z owymi osobliwościami.

Madame Chauchat spóźniała się prawie zawsze do stołu. Dopóki nie nadeszła, Hans Castorp siedząc nie mógł utrzymać nóg w spokoju, bo wciąż czekał na trzaskanie oszklonych drzwi, które nieodmiennie towarzyszyło jej wejściu, i wiedział, że przejdzie go przy tym dreszcz i że krew odpłynie mu z twarzy, co się też zawsze zdarzało. Z początku odwracał gniewnie głowę, odprowadzał oczami źle wychowaną maruderkę aż do jej miejsca przy „lepszym stole rosyjskim” — i rzucał na nią półgłosem przez zęby jakieś wyzwisko, jako wyraz oburzenia i potępienia. Obecnie zaniechał już tego, ale pochylał głowę nisko nad talerzem i zagryzał wargi albo z rozmysłem i afektacją odwracał ją w przeciwną stronę. Miał bowiem uczucie, że nie wypada mu się już teraz gniewać, że nie ma do tego prawa, że nawet jest współwinni temu uchybieniu i poniekąd odpowiedzialny za nie przed innymi — słowem, wstydział się, ale byłoby nieścistością twierdzić, że wstydział się za panią Chauchat; wstydział się sam, osobiście przed towarzystwem, czego mógł sobie zresztą śmiało oszczędzić, bo nikt na sali nie troszczył się ani o brzydki zwyczaj pani Chauchat, ani o wstyd, jaki z tego powodu odczuwał Hans Castorp — nikt, z wyjątkiem może jednej panny Engelhart, nauczycielki, siedzącej po jego prawej ręce.

Ta niepozorna istota pojęła, że wrażliwość jej młodego sąsiada na trzaskanie drzwiami zrodziła pewien uczuciowy stosunek jego do Rosjanki, że — następnie —

skoro taki stosunek w ogóle istniał, nie było rzeczą ważną, jakiego był właściwie rodzaju, i wreszcie, że jego udana — a w braku wszelkiej wprawy i wszelkiego talentu aktorskiego źle udana — obojętność nie jest osłabieniem, lecz przeciwnie, wzmocnieniem, wyższą fazą napięcia uczuciowego. Bez pretensji i nadziei w odniesieniu do swej własnej osoby, panna Engelhart, pełna abnegacji, nie przestawała zachwycać się panią Chauchat i wychwalać jej przed Hansem Castorpem, a najdziwniejsze było w tym wszystkim, że Hans Castorp, choć nie od razu, ale po pewnym czasie zrozumiał jednak i dostrzegł, że gadanina ta zmierza do rozpalenia jego namiętności; budziło to w nim obrzydzenie, ale pomimo to chętnie pozwalał wpływać na siebie i uwodzić się.

— Trach! — mówiła starsza panna. — Oto ona. Nie potrzeba podnosić głowy, żeby się domyślić, kto tu wszedł teraz. Naturalnie, już tam przechodzi, a z jaką gracją — zupełnie jak kotka skradająca się do miski z mlekiem. Chciałabym zamienić się z panem na miejsce, żeby pan mógł tak wygodnie jak ja przyglądać się tej pani. Pojmuję doskonale, że pan nie może ciągle odwracać się za nią — Bóg wie, co by w końcu mogła sobie wyobrazać, gdyby to zauważyła... Teraz wita się ze swoimi rodakami... Niech pan jednak spojrzy, to tak rozkosznie przyglądać się jej. Kiedy się uśmiecha i rozmawia, jak w tej chwili, ma dołeczek w jednym policzku, ale nie zawsze, tylko wtedy, kiedy chce. To cudo, nie kobieta; rozpieszczone stworzenie i stąd płynie jej nonszalancja. Takich ludzi musi się kochać, czy się chce, czy nie chce, bo jeśli nawet drażni kogoś ich nonszalancja, to jest to tylko jeden powód więcej, żeby ich lubić. To tak przyjemnie złościć się, a jednak musieć kochać...

Tak szeptała nauczycielka, zakrywając sobie usta ręką, żeby nie być słyszaną przez innych, a wypieki na jej staropanieńskich policzkach świadczyły, że ma podwyższoną temperaturę; jej lubieżna paplanina przejmowała do szpiku kości biednego Hansa Castorpa. Pewien brak samodzielności w sądach stworzył w nim potrzebę usłyszenia od kogoś trzeciego, że Madame Chauchat jest zachwycającą kobietą, a poza tym młodzieniec pragnął, żeby ktoś z zewnątrz ośmielił go do żywienia uczuć, przeciwko którym powstawał energicznie jego rozsądek i jego sumienie.

Rozmowy te nie dawały zresztą żadnego rzeczowego wyniku, bo pomimo najlepszych chęci panna Engelhart nie umiała o pani Chauchat powiedzieć nic bliższego, nic więcej niż ktokolwiek inny w sanatorium. Nie знаła jej osobiście, nie mogła się nawet pochwalić wspólnymi znajomymi, a jedyną rzeczą, którą mogła zaimponować Hansowi Castorpowi, był fakt, że ona sama, panna Engelhart, pochodzi z Królewca, więc z miasta leżącego niedaleko granicy rosyjskiej, i że umie kilka

słów po rosyjsku. Były to niezbyt wielkie wartości, ale Hans Castorp gotów był dostrzec w nich coś w rodzaju dalekiej osobistej łączności z panią Chauchat.

— Nie nosi żadnych pierścionków — rzekł — nawet obrączki, jak widzę. Jakże to, przecie pani mi mówiła, że ma męża? — Nauczycielka zmieszała się, jak gdyby została na czymś przyłapana i musiała się tłumaczyć, bo tak bardzo odpowiedzialna za panią Chauchat czuła się przed Hansem Castorpem.

— Nie należy do tego przywiązywać takiej wagi — odparła. — Na pewno jest mężatką, to nie ulega żadnej wątpliwości. Nie dlatego nazywa się Madame, żeby nadać sobie powagi, jak to czynią zagraniczne panny, kiedy posuną się trochę w lata, bo my wszyscy tutaj wiemy, że rzeczywiście ma gdzieś w Rosji męża — to jest tu powszechnie wiadome. Jej panięskie nazwisko brzmi inaczej, jest to nazwisko rosyjskie, nie francuskie, kończy się na -anow czy ukow, już kiedyś wiedziałam, ale znowu zapomniałam; jeżeli pan chce, mogę się dowiedzieć; na pewno znajdą się tutaj tacy, którzy znają to nazwisko. Pierścionek? Tak, nie nosi żadnego pierścionka, ja także to zauważyłam. Mój Boże, może jej ręka wyglądałaby przy tym niekorzystnie, może zbyt szeroko, a może uważa noszenie obrączki — takiego gładkiego pierścienia — za zwyczaj drobnomieszczański... Brakowałoby jeszcze koszyczka na klucze... nie, na takie rzeczy ma chyba zbyt szeroką naturę. Znam te rosyjskie kobiety, one wszystkie mają w charakterze coś tak swobodnego i szerokiego. A poza tym taki pierścionek działa wprost odstrasza i otrzeźwiająco, bo jest przecie symbolem podległości, powiedziałabym, nadaje kobiecie jakichś cech mniszki, czyni z niej prawdziwy kwiatek *noli tangere*\*. Nie dziwi mnie wcale, że to nie jest po myśli pani Chauchat... Taka urocza kobieta, w rozkwicie młodości... Prawdopodobnie nie ma ochoty i nie widzi potrzeby, żeby każdemu panu, któremu podaje rękę, dać zaraz odczuć, że jest związana małżeństwem.

Wielki Boże, jak się ta nauczycielka zabierała do rzeczy! Hans Castorp patrzył na nią przerażony, ale odparowywała jego spojrzenie z jakimś dzikim zmieszaniem. Potem oboje milczeli przez chwilę, aby trochę odpocząć. Hans Castorp jadł i starał się ukryć drżenie głowy. Wreszcie odezwał się:

— A jej mąż? Czy wcale nie troszczy się o nią? Czy nigdy nie odwiedza jej tutaj na górze? Kim jest właściwie?

— Jest urzędnikiem, rosyjskim urzędnikiem administracyjnym w jakiejś bardzo odległej guberni, w Dagestanie; wie pan, to leży daleko na wschód od Kaukazu, tam jest odkomenderowany. Nie powiedziałam panu przecież, że nikt go tu jeszcze nie oglądał; a ona siedzi tu znowu już trzeci miesiąc.

---

\* *Noli tangere* (łac.) — „nie dotykaj”, nazwa kwiatu z rodziny balsaminowatych.



— Więc nie jest tutaj po raz pierwszy?

— O nie, już po raz trzeci. A w przerwach bawi znowu gdzie indziej, w podobnych zakładach. Rzecz ma się odwrotnie, bo to o n a j e g o odwiedza czasami, ale nieczęsto, raz do roku na pewien przeciąg czasu. Można powiedzieć, że oni żyją każde z osobna, a ona odwiedza go czasami.

— No tak, skoro jest chora...

— Na pewno jest chora. Ale jednak nie t a k . Jednakże nie tak bardzo chora, żeby musiała wprost stale żyć w sanatorium i rozłączona z mężem. To musi mieć jeszcze inne, głębsze powody — tak tutaj wszyscy przypuszczają. Może nie podoba jej się w Dagestanie, za Kaukazem, w tej odległej i dzikiej krainie, nie można by się temu dziwić. Ale trochę musi przecież być w tym i winy męża, że jej się u niego tak bardzo nie podoba. Nosi on wprawdzie nazwisko francuskie, ale jednak jest rosyjskim urzędnikiem, a to są bardzo nieokrzesani ludzie, może mi pan wierzyć. Widziałam kiedyś jednego z nich, miał takie czarniawe baczki i taki czerwony był na twarzy... Wszyscy biorą łapówki i bardzo lubią wódkę... Tylko dla przyzwoitości każą sobie podać coś do jedzenia, parę grzybków w marynacie albo kawałek jesiotra, i piją przy tym wprost niemiłosiernie. I to nazywają przekąską...

— Pani wszystko spycha na niego — powiedział Hans Castorp. — Nie wiemy jednak, czy to może nie jest jej wina, że źle żyją z sobą. Kiedy się jej przyglądam i temu jej brzydkiemu zwyczajowi trzaskania drzwiami... nie uważam jej za anioła; proszę mi tego nie brać za złe, ale nie mam do niej najmniejszego zaufania. Ale pani nie jest bezstronna, pani jest w najwyższym stopniu zaślepiona...

Hans Castorp grał czasem taką komedię. Z przebiegłością, która właściwie nie leżała w jego charakterze, udawał, że zachwyty panny Engelhart nad panią Chauchat nie miały na względzie celu, który, jak dobrze wiedział, właśnie miały, ale że były zjawiskiem zupełnie samoistnym i zabawnym, dzięki czemu Hans Castorp mógł z wyżyny swego obiektywnego stanowiska traktować rzecz z humorem i przekomarzać się trochę ze starszą panną. Nic przy tym nie ryzykował, bo miał pewność, że jego partnerka pozwoli na to zuchwałe odwrócenie i nie ośmieli się protestować.

— Dzień dobry! — mówił. — Jak pani spała? Mam nadzieję, że śniła pani o swej pięknej Mince? Ach, jak się pani zaraz czerwieni, kiedy tylko o niej wspomnieć! Pani jest w niej zakochana po uszy; niech już pani lepiej nie przeczy!

Nauczycielka, która się rzeczywiście zarumieniła i pochyliła niżej nad swoją filizanką, szepnęła lewym kącikiem ust:

— Ależ nie, gdzie tam! To brzydko z pana strony, że pan mnie wprowadza w takie zakłopotanie swoimi aluzjami. Już wszyscy zauważyli, że my się nią specjalnie interesujemy i że pan mówi rzeczy, od których muszę się rumienić...

Dziwną grę prowadzili ci dwoje. Oboje wiedzieli, że kłamią podwójnie, a nawet potrójnie, że Hans Castorp drażni nauczycielkę panią Chauchat tylko po to, żeby móc o niej mówić, ale jednocześnie znajdował jakieś niezdrowe i pośrednie zadowolenie w żartowaniu z tą podstarzałą panną, która ze swej strony zgadzała się na to: po pierwsze dlatego, że polubiła swoją rolę stręczycielki; po drugie dlatego, że chcąc się przypodobać młodemu człowiekowi, rzeczywiście zadurzyła się trochę w pani Chauchat; miała wreszcie swoją mizerną przyjemność w tym, że się z nią przekomarzał i wywoływał rumieńce na jej twarzy. Oboje wiedzieli to o sobie i o swoim partnerze i wiedzieli także, że każde z nich wiedziało to o sobie i o drugiej stronie, i wszystko to razem było bardzo powikłane i nieczyste. Ale chociaż Hans Castorp na ogół czuł wstręt do powikłanych i nieczystych sytuacji, a także w tym wypadku odczuwał ów wstręt, to jednak w dalszym ciągu nurzał się w tym mętnym żywiole, mówiąc sobie dla uspokojenia, że przyjechał przecież tutaj na górę tylko z wizytą i że wkrótce już stąd odjedzie. Ze sztuczną rzeczowością rozwodził się, przybierając minę znawcy, nad powierzchownością tej „nonszalanckiej” kobiety, stwierdzał, że z przodu wygląda znacznie młodziej i ładniej niż z profilu, że ma za szeroko rozstawione oczy i źle się trzyma, ale że za to ma śliczne, jakby toczone ramiona. Mówiąc to starał się opanować drżenie głowy, ale dobrze wiedział, że nauczycielka spostrzegła jego daremne wysiłki, a w dodatku zauważył z obrzydzeniem, że i jej również trzęsie się głowa. Panią Chauchat nazwał „piękną Minką” z czystego wyrachowania i przez niezwykłą u niego chytrość, bo dzięki temu mógł teraz dalej zadawać pytania.

— Mówię „Minka”, ale jak jej rzeczywiście na imię? Pani, będąc w niej zakochana, musi niewątpliwie znać jej imię.

Nauczycielka myślała przez chwilę.

— Zaraz, zaraz, wiem — odpowiedziała. — Na pewno je znałam. Czy nie nazywa się Tatiana? Nie, nie tak, i również nie Natasza. Natasza Chauchat? Nie, to brzmiało inaczej. Aha, już wiem! Nazywa się Awdotia. W każdym razie coś w tym rodzaju. Bo nie nazywa się na pewno ani Katieńka, ani Ninoczka. Naprawdę, zupełnie wypadło mi z pamięci, ale z łatwością mogę się dowiedzieć, jeżeli panu na tym zależy.

I rzeczywiście nazajutrz znała to imię. Powiedziała Hansowi Castorpowi pod-

czas obiadu, kiedy znowu trzasnęły oszklone drzwi. Pani Chauchat miała na imię Kławdia.

Hans Castorp nie od razu zrozumiał. Kazał sobie powtórzyć to imię i przesylabizować, zanim je zapamiętał. Potem wymówił je kilka razy, spoglądając jednocześnie przekrwionymi oczami na panią Chauchat, jak gdyby je do niej przymierzał.

— Kławdia — rzekł — tak jest, tak może się nazywać, to się zupełnie zgadza. — Nie ukrywał swojej radości z powodu tej intymnej wiadomości i teraz panią Chauchat nazywał tylko Kławdią. — Pani Kławdia kręci kulki z chleba; w tej chwili widziałem. To nie jest bardzo elegancko.

— To zależy od tego, kto to robi — odpowiedziała nauczycielka. — Kławdia może sobie na to pozwolić.

Tak, posiłki w sali jadalnej o siedmiu stołach były dla Hansa Castorpa wysoce interesujące. Żałował, kiedy któryś z nich dobiegał końca, ale pocieszał się tym, że już niedługo, za dwie lub dwie i pół godziny znowu tu będzie siedział, a kiedy już siedział, wydawało mu się, że wcale nie wstawał. Co było w przerwach? Nic. Niedaleki spacer do strumienia albo do dzielnicy angielskiej, krótki wypoczynek na leżaku. Nie były to istotne przerwy ani poważne przeszkody. Co innego, gdyby czekała go praca, jakieś kłopoty i troski, trudne do przewidzenia czy do zwalczania. W dobrze i mądrze uregulowanym życiu zakładu „Berghof” nic podobnego jednak nie groziło. Wstając od wspólnego stołu, Hans Castorp mógł się już cieszyć na następny posiłek — jeżeli w ogóle słowo „cieszyć się” odpowiadało temu stanowi psychicznemu, w jakim Hans Castorp oczekiwał następnego spotkania z chorą panią Kławdią Chauchat, jeżeli nie było ono zbyt lekkie, radosne, proste i powszednie. Być może, że czytelnik jest skłonny właśnie takie określenia, radosne i powszednie, uważać za stosowne i jedynie dopuszczalne w stosunku do Hansa Castorpa i jego życia wewnętrznego, zwracamy jednak uwagę na to, że jako młodzieniec, któremu nie brakło rozsądku ani sumienia, nie mógł po prostu „cieszyć się” na myśl, że zobaczy panią Chauchat i znajdzie się w jej bliskości, ponieważ wiemy to niewątpliwie i stwierdzamy, że gdyby mu to słowo podsunęto, odrzuciłby je ze wzruszeniem ramion.

Tak, do niektórych sposobów wyrażania się zaczął odnosić się pogardliwie — jest to szczególnie zasługujący na podkreślenie. Chodził z rozpalonymi policzkami i nucił sobie, nucił w myśli, bo odczuwał teraz potrzebę muzyki i odznaczał się dużą wrażliwością. Nucił melodię, którą usłyszał Bóg wie gdzie i kiedy, na jakimś zebraniu towarzyskim albo na koncercie dobroczynnym, śpiewaną niedużym sopranem. Teraz przypomniał sobie tę błahą piosenkę, zaczynającą się od słów:

Jak mnie dziwnie czasem wzrusza  
Jedno słowo twoje.

i właśnie chciał dodać następne wiersze:

I jak prędko wtedy bije  
Biedne serce moje!

ale nagle wzruszył ramionami i powiedział sobie: „śmieszne”; czuła piosenka wydała mu się niesmaczną i niedorzeczną i odepchnął ją od siebie — odepchnął z pewną dozą melancholii i surowości. Taka sentymentalna piosenka może podobać się i wystarczać jakiemuś młodzieńcowi, który tam na dole, legalnie, spokojnie i z widokami na przyszłość, „oddał swoje serce”, jak to się mówi, jakiejś zdrowej gąsce i teraz pławi się w swoich legalnych, rozsądnych uczuciach, mających widoki na przyszłość. Ale jemu i jego stosunkowi do Madame Chauchat — wyrazu „stosunek” używamy tu w jego własnym imieniu, uchylając się od wszelkiej odpowiedzialności — zupełnie nie odpowiadał ten wierszyk. Leżąc na swoim leżaku, pozwolił sobie na jego estetyczną ocenę, która streszczała się w słowie „niedorzeczność” i urwał w połowie, kręcąc nosem, chociaż nie potrafił niczym właściwym zastąpić tego wierszyka.

Ale jedna rzecz sprawiała mu tu przyjemność: leżeć na balkonie i przysłuchiwać się swojemu sercu, fizycznemu sercu, które szybko i głośno biło w otaczającej go ciszy — przepisowej ciszy, panującej w całym sanatorium w porze głównego werandowania i snu poobiedniego. To bicie serca wysuwało się teraz na pierwszy plan, jak prawie zawsze, odkąd znajdował się tutaj w górze; ale ostatnio Hans Castorp mniej się tym przejmował niż w pierwszych dniach pobytu. Nie można było już teraz powiedzieć, że biło na własną rękę, bez powodu i bez związku z jego duszą. Związek taki istniał i nietrudno było go stwierdzić; wzruszenie psychiczne łatwo tłumaczyło wzmożoną czynność fizyczną. Ilekroć Hans Castorp pomyślał o pani Chauchat — a myślał o niej — opanowywało go uczucie, jakie towarzyszy biciu serca.

## **Rosnący lęk. O obu dziadkach oraz o przejażdżce łódką na przelomie dnia i nocy**

Pogoda była, jak na złość, obrzydliwa — pod tym względem Hansowi Castorpowi nie udał się jego przelotny pobyt w tych stronach. Śniegu wprawdzie nie było, ale

całymi dniami padał deszcz, ciężki i szkaradny, gęste mgły zalegały dolinę i co pewien czas przeciągały burze z ciężko przewalającymi się grzmotami, burze śmiesznie niepotrzebne, bo i bez nich było tak zimno, że nawet w jadalni napalono.

— Szkoda — powiedział Joachim. — Myślałem, że uda się nam pojechać kiedyś ze śniadaniem w kieszeni na Schatzalp albo zrobić jakąś inną wycieczkę. Ale zdaje się, że nic z tego nie będzie. Mam nadzieję, że twój ostatni tydzień będzie pogodniejszy.

Ale Hans Castorp odpowiedział:

— Daj spokój, nie palę się do żadnych tego rodzaju przedsięwzięć, już raz mi się nie poszczęściło. Najlepiej wypoczywam, kiedy właśnie żyję tak bez żadnych projektów i bez jakiegokolwiek odmiany. Odmiany potrzebują ci, którzy tu pozostają przez lata, ale ja śmiało bez niej mogę tu przeżyć swoje trzy tygodnie.

I rzeczywiście, nie ruszając się z miejsca, miał czas dostatecznie wypełniony. Jeżeli żywił jakieś nadzieje, to tutaj, a nie na jakimś Schatzalp czekało go zarówno ich spełnienie, jak i rozczarowanie. Nie nuda gnębiła go; przeciwnie, zaczynał obawiać się, że za szybko nadejdzie termin jego wyjazdu. Upływał już drugi tydzień, niedługo miały się skończyć dwie trzecie jego pobytu, a wiedział, że z początkiem trzeciego tygodnia pozostanie już tylko myśl o pakowaniu. Owo odświeżenie się zmysłu czasu, które Hans Castorp na początku odczuwał, już dawno minęło; dni pędziły teraz jeden za drugim, pomimo że każdy oddzielnie ciągnął się w bezustannym i wciąż nowym oczekiwaniu i po brzegi wypełniony był cichymi, tajnymi przeżyciami. Tak, czas jest rzeczą przedziwną, trudno go zrozumieć do głębi!

Czyż trzeba bliżej określać te przeżycia wewnętrzne, które zarazem obciążały i uskrzydlały dni Hansa Castorpa? Każdy zna je dobrze, były to przeżycia w swej uczuciowej błahości aż nazbyt powszednie i nie miałyby innego przebiegu, nawet gdyby były rozsądniejsze i miały więcej widoków na przyszłość i gdyby można do nich stosować banalną piosenkę: „Jak mnie dziwnie czasem wzrusza...”

Niemożliwością było, żeby Madame Chauchat spostrzegła coś z tych nici, które przedły się od jednego ze stołów ku jej stołowi; a niepohamowanym pragnieniem Hansa Castorpa było, żeby je właśnie, a nawet możliwie wyraźnie spostrzegła. Wyrażenia „niepohamowane” używamy dlatego, że Hans Castorp zdawał sobie doskonale sprawę z bezsensowności sytuacji. Ale z kim dzieje się to, co działo się albo się dziać zaczynało z nim, ten chce, żeby druga osoba wiedziała o jego stanie, nawet gdy nie ma w tym żadnego sensu i ładu. Taki jest człowiek.

Pani Chauchat odwróciła się podczas jedzenia dwa albo trzy razy, czy to przypadkowo, czy też pod wpływem magnetycznego oddziaływania, i za każdym razem

spotykała skierowany na siebie wzrok Hansa Castorpa. Po raz czwarty obejrzała się już rozmyślnie i tym razem również ujrzała te oczy; gdy odwróciła się po raz piąty, nie przyłapała wprawdzie Hansa Castorpa na gorącym uczynku, bo w tej chwili nie był na posterunku, ale natychmiast odczuł na sobie jej spojrzenie i odpowiedział tak skwapliwie, że odwróciła się z uśmiechem. Uśmiech ten wzbudził w nim zachwyt i nieufność. Myli się, jeżeli uważa go za dziecko. Jego pragnienie subtelności było tak wielkie, że gdy za szóstym razem domyślił się, poczuł, miał wewnętrzną pewność, że pani Chauchat znów patrzy w jego stronę, udał, że z wielkim niesmakiem przygląda się pewnej damie o silnie krostowatym obliczu, która podeszła do jego stołu, aby porozmawiać ze starą ciotką; przez dwie lub trzy minuty z żelazną wolą wytrzymał jej spojrzenie i nie poddał się, póki nie miał zupełnej pewności, że kirgiskie oczy odwróciły się już od niego. Zagrał tę niezwykłą komedię, którą pani Chauchat nie tylko mogła, ale wyraźnie p o w i n n a była zrozumieć, aby jego wielka subtelność i opanowanie zastanowiły ją... A potem było tak. W przerwie między daniami pani Chauchat odwróciła się jakby od niechcienia i zaczęła rozglądać się po sali. Hans Castorp był właśnie na stanowisku i oczy ich się spotkały. Podczas gdy tak patrzą na siebie, chora — niepewnie, badawczo i ironicznie, Hans Castorp — ze wzrastającym napięciem (zacisnął nawet zęby, żeby wytrzymać jej spojrzenie) — nagle zsuwa się jej z kolan serwetka i już, już ma upaść na podłogę. Ona chwyta ją szybkim ruchem, ale i on podrywa się nagle i chce biec jej na oślep z pomocą, z odległości ośmiu metrów, poprzez dzielący ich stół, jak gdyby to była katastrofa, że serwetka spadnie na podłogę... Jednakże pani Chauchat udało się pochwycić ją jeszcze ponad kamienną podłogą. Ale pochylona, trzymając serwetkę za róg, z chmurną miną i widocznie zła z powodu tej głupiej małej paniki, której właśnie uległa i za którą, jak się zdaje, winiła Hansa Castorpa — jeszcze raz spogląda na niego, widzi, że gotuje się do skoku, widzi jego wysoko wzniesione brwi i odwraca się z uśmiechem.

Zdarzenie to napełniło Hansa Castorpa nieopisaną radością. Nie pozostało ono jednak bez następstw, bo przez następne dwa dni, a więc podczas dziesięciu posiłków, pani Chauchat w ogóle nie oglądała się poza siebie, a nawet wchodząc do sali jadalnej nie „prezentowała” się publiczności, jak to przecież było jej zwyczajem.

Był to ciężki cios. Ponieważ jednak pani Chauchat powstrzymywała się od tych ruchów niewątpliwie ze względu na Hansa Castorpa, więc bądź co bądź pewien stosunek, chociażby negatywny, został nawiązany, i to powinno było wystarczyć.

Przekonał się, że Joachim miał zupełną rację: bynajmniej niełatwo tu było zawrzeć znajomość, chyba tylko z sąsiadami przy stole. W ciągu tej jednej krótkiej

godziny po kolacji, kiedy odbywało się coś w rodzaju zebrania towarzyskiego, która kurczyła się jednak często do dwudziestu minut, Madame Chauchat siedziała wyłącznie w swoim towarzystwie; należał do niego ów pan z zapadłą klatką piersiową, owa zabawna pani z włosami jak z wełny, milczący dr Blumenkohl i młodzi ludzie z obwisłymi ramionami. Zbierali się oni w głębi małego salonu i zdawało się, że to miejsce jest stale zarezerwowane dla lepszego stołu rosyjskiego. Joachim śpieszył się wtedy zwykle na górę, aby, jak mówił, nie uronić nic z wieczornego werandowania; miał może i inne powody ku temu, również dietetycznej natury, ale nie wspominał o nich, a Hans Castorp tylko się ich domyślał i umiał je uszanować. Zarzuciliśmy Hansowi Castorpowi brak opanowania, ale dokądkolwiek zmierzały jego pragnienia, nie towarzyska znajomość z panią Chauchat była celem jego dążeń i w gruncie rzeczy akceptował przeszkody utrudniające zawarcie tej znajomości. To nieokreślone napięcie, które wytworzyło się pomiędzy nim a Rosjanką wskutek jego zachowania się i ciągłego patrzenia, było natury pozatowarzyskiej, do niczego nie zobowiązywało i nie powinno było do niczego zobowiązywać. Nie przeszkadzało ono bowiem Hansowi Castorpowi w zajmowaniu wyraźnie negatywnej postawy towarzyskiej: fakt, iż wzmożone bicie serca tłumaczył myślami o „Kławdii”, nie wystarczał bynajmniej, aby wnuka Hansa Lorenza Castorpa zachwiać w przekonaniu, że w rzeczywistości, to znaczy poza owym tajemnym kontaktem, może cośkolwiek mieć do czynienia z tą cudzoziemką, która pędziła życie w najrozmaitszych sanatoriach z dala od męża i bez obrączki na palcu, nie umiała się prosto trzymać, trzaskała drzwiami, kręciła kulki z chleba i na pewno obgryzała paznokcie. Czuł, że głęboka przepaść rozdziela ich egzystencje i że stosunków z tą kobietą nie potrafiłby obronić przed żadną kompetentną, jego zdaniem, krytyką. Hans Castorp był wprawdzie dość rozumny, by nie grzeszyć pychą osobistą, ale pycha innego rodzaju, ogólniejszej natury i skądinąd się wywodząca, malowała się przecież na jego czole i dokoła sennie spoglądających oczu i ona to była źródłem poczucia wyższości, którego ani nie mógł, ani nie chciał się wyzbyć w odniesieniu do całego sposobu bycia pani Chauchat. I, rzecz szczególna, to poczucie bezspornej wyższości wystąpiło w nim specjalnie wyraźnie, a może w ogóle po raz pierwszy, kiedy pewnego dnia usłyszał panią Chauchat mówiącą po niemiecku. Wychodząc z jadalni ujrzał przelotnie, jak trzymając ręce w kieszeniach swetra stała w sali z jakąś inną pacjentką, zapewne towarzyszką z werandy, i z trudem, ale i z wielkim wdziękiem rozmawiała po niemiecku. Hans Castorp odczuł nagle nie znaną mu dotychczas dumę, że to jego mowa ojczysta, ale zarazem skłonność, ażeby dumę tę poświęcić uczuciu zachwytu, które go ogarnęło na dźwięk jej łamanej, cudzoziemskiej wymowy. Słowem, Hans Castorp uważał swój cichy stosunek do niedbałej człon-

kini zespołu „tych tu w górze” za przelotną przygodę wakacyjną, która nie mogła liczyć na pobłażanie przed trybunałem rozumu, i to jego własnego rozumnego sumienia: głównie dlatego, że pani Chauchat była przecież chora, wycieńczona, miała gorączkę i robak toczył jej wnętrze. Była to okoliczność, która miała ścisły związek z całokształtem jej podejrzanego egzystencji i niemało się przyczyniała do jego ostrożności i poczucia dystansu... Nie, nie przychodziło mu nawet na myśl zawarcie rzeczywistej znajomości z panią Chauchat, a ta cała reszta, tak lub inaczej, na pewno przecież pójdzie w zapomnienie w ciągu pierwszych dziesięciu dni praktyki w firmie „Tunder & Wilms”. Na razie jednak rzeczy stały tak, że wzruszenia, oczekiwania, spełnienia i rozczarowania, wynikające z jego nikłych stosunków z chorą, zaczął uważać za istotną treść i prawdziwy sens swojego pobytu wypoczynkowego, żył tylko dla nich i od ich pomyślnego przebiegu zależał jego humor. Warunki, w których się tutaj żyło, nadzwyczajnie sprzyjały rozwojowi tych stanów psychicznych, bo porządek dnia kuracjuszy skupionych na tej ograniczonej przestrzeni był raz na zawsze ustalony i obowiązywał wszystkich. Chociaż pani Chauchat mieszkała na innym piętrze, mianowicie na pierwszym (a jak Hans Castorp słyszał od nauczycielki, werandowała w jednej ze wspólnych leżalni, a mianowicie w tej, która była na dachu i na której kapitan Miklosich zgasił niedawno światło), to jednak już dzięki pięciu wspólnym posiłkom dziennie, ale i poza tym na każdym kroku od rana do samego wieczora nadarzała, a nawet narzucała się sposobność spotkania. Wszystko to razem, a również i okoliczność, że żadne troski ani kłopoty nie zaciemniały horyzontu, budziło żywe zadowolenie w Hansie Castorpie, chociaż takie zamknięcie w ciasnej przestrzeni z owym pożądanym niedociągnięciem kryło w sobie zarazem coś przygniatającego.

Jednakże starał się nawet pomagać przypadkowi, obliczał i wysilał mózg, aby ułatwić drogę szczęściu. Ponieważ pani Chauchat z przyzwyczajenia spóźniała się zwykle do stołu, Hans Castorp również zaczął przychodzić za późno, licząc na to, że spotka ją po drodze. Guzdrał się przy ubieraniu, a kiedy Joachim zachodził po niego, mówił, że jeszcze nie jest gotowy, żeby na niego nie czekał, że za chwilę sam zejdzie; wiedziony instynktem swego stanu psychicznego czekał w pokoju aż do pewnej chwili, która wydawała mu się właściwa, a potem zbiegał na pierwsze piętro; tam jednak opuszczał klatkę schodową, którą dotychczas schodził, i przechodził korytarzem na drugie schody, znajdujące się w pobliżu drzwi nr 7, które dobrze znał już od dawna. Na korytarzu każdy krok — rzecz można — oznaczał szansę spotkania, bo w każdej chwili, jak to już nieraz bywało, mogły otworzyć się wiadome drzwi i z hałasem zatrzasnąć za panią Chauchat; ona sama bezszelestnie wymykała się z pokoju i bezszelestnie sunęła ku schodom... Potem szła przed nim, poprawiając



sobie ręką fryzurę, albo Hans Castorp szedł przed nią i czuł jej wzrok na swoich plecach; doznawał wtedy rwania we wszystkich członkach i mrówki chodziły mu po plecach, ale zgrywając się udawał, że jej nie zauważył i że żyje swym własnym, zupełnie niezależnym życiem. Trzymał więc ręce niedbale wsunięte w kieszenie marynarki i zupełnie bez powodu wzruszał ramionami albo gwałtownie chrząkał uderzając się przy tym pięścią w klatkę piersiową — a wszystko to dla okazania, że zachowuje się zupełnie swobodnie.

Dwa razy posunął to wyrafinowanie jeszcze dalej. Usiadłszy już przy stole, zaczął się nagle obmacywać obiema rękami, po czym, pozornie zdziwiony, rzekł ze złością: — Masz tobie, zapomniałem chustki do nosa! Muszę znowu wracać na górę. — I poszedł, aby on i „Kławdia” spotkali się, co było wszak czymś innym, czymś bardziej niebezpiecznym i podniecającym niż iść tylko za nią lub przed nią. Kiedy po raz pierwszy wykonał ten manewr, zmierzyła go wprawdzie oczami z pewnej odległości od stóp do głów, i to dosyć bezwzględnie i bez żenady, ale zrównawszy się z nim, odwróciła się i przeszła z obojętną twarzą, tak że rezultatu tego spotkania nie należało przeceniać. Jednak za drugim razem patrzyła na niego, i to nie tylko z daleka; przez cały czas patrzyła na niego; w ciągu całego spotkania mocno, a nawet trochę nachmurzona, spoglądała mu prosto w oczy, a przechodząc odwróciła nawet za nim głowę, co wstrząsnęło biednego Hansa Castorpa do szpiku kości. Nie należy go zresztą żałować, bo sam chciał tego i sam to wszystko zaaranżował. Wywarło to jednak na nim bardzo silne wrażenie, zarówno w czasie samego spotkania, jak zwłaszcza później; bo później dopiero uprzytomnił sobie wyraźnie, jak to wszystko było. Nigdy jeszcze nie widział z tak bliska i ze wszystkimi szczegółami twarzy pani Chauchat; mógł dokładnie rozróżnić krótkie włoski, które wysuwały się ze splotów jasnego, wpadającego w metalicznoczerwony odcień warkocza, owiniętego po prostu dokoła głowy, i tylko niewielka przestrzeń oddzielała jego twarz od jej twarzy, o dziwnej, ale dobrze już mu znanej budowie, która podobała mu się jak nic w świecie; była to budowa niezwykła i pełna charakteru (bo tylko temu, co nam obce, przypisujemy charakter), napiętnowana północną egzotycznością, tajemnicza i zniewalająca do jej zgłębienia, jako że jej znaki szczególne i proporcje niełatwe były do uchwycenia. Zasadniczą cechą tej twarzy były chyba wysoko umiejscowione kości policzkowe: one to sprawiały, że oczy, niezwykle płytko osadzone i niezwykle szeroko rozstawione, były nieco skośne, a jednocześnie pociągały za sobą miękką wklęsłość policzków; w stosunku do nich pełne wargi wydawały się lekko wywinięte. Ale najważniejsze były oczy, te wąskie i (zdaniem Hansa Castorpa) wprost czarodziejsko wykrojone kirgiskie oczy o szaroniebieskiej czy niebieskoszarej barwie dalekich gór, oczy umiające niekiedy, przy pew-

nych spojrzeniach z ukosa, których celem nie było widzenie, topnieć jakoś i ciemnieć aż do mrocznych tonów nocy, oczy Kławdii Chauchat, które spojrzały na niego zupełnie z bliska, bezwzględnie i trochę ponuro, oczy, ustawieniem swym, kolorem i wyrazem tak dziwnie i przerażająco podobne do oczu Przybysława Hippego! „Podobne” nie było trafnym określeniem — to były te same oczy, a także szerokość górnej części twarzy, wklęsnięty nos, wszystko aż do różowawej białości cery, do zdrowej barwy policzków, która u pani Chauchat tylko pozornie świadczyła o zdrowiu i, jak u wszystkich tu w górze, była tylko powierzchownym skutkiem werandowania na powietrzu — to wszystko razem było zupełnie takie samo jak u Przybysława; a i spojrzenie tamtego, kiedy mijali się na dziedzińcu szkolnym, było zupełnie takie samo jak jej spojrzenie.

To było wprost wstrząsające; Hans Castorp był zachwycony spotkaniem, ale jednocześnie doznawał jakby wzrastającej trwogi, uczucia tego samego rodzaju co przygnębienie, którym go napełniało zamknięcie w ciasnej przestrzeni z owym pożądanym niedociągnięciem sytuacji; także ta okoliczność, że od dawna zapomniany Przybysław zjawił się tutaj w górze w postaci pani Chauchat i że znowu spogląda na niego swymi kirgiskimi oczami, była jak zamknięcie w ciasnej przestrzeni z czymś koniecznym i nieuchronnym — nieuchronnym w sensie, który go uszczęśliwiał a zarazem przejmował lękiem. Był to stan budzący nadzieję, ale zarazem niesamowity, a nawet groźny, i młody Hans Castorp poczuł coś jakby konieczność pomocy z zewnątrz. W jego duszy zaczęły się odbywać jakieś nieokreślone i instynktowne odruchy, które można by uważać za oglądanie się poza siebie, za szukanie i przywoływanie pomocy, rady i oparcia; myślał po kolei o różnych osobach, które ewentualnie wchodziły w rachubę.

A więc przede wszystkim o Joachimie, poczciwym i nieskazitelnym Joachimie, którego oczy nabrały w ostatnich miesiącach tak smutnego wyrazu i który wrzusał teraz od czasu do czasu ramionami tak wzgardliwie i gwałtownie, jak nigdy dawniej — o Joachimie z „niebieskim Henrykiem” w kieszeni, jak pani Stöhr zwykła nazywać tę flaszeczkę (miała przy tym tak uparcie bezwstydną wyraz twarzy, że Hansa Castorpa za każdym razem ogarniało przerażenie)... Był więc zacny Joachim, który zanudzał i zameczał radcę Behrensa, żeby mu wolno było stąd wyjechać, bo chciał pełnić swoją utęsknioną służbę wojskową tam „na równinie” albo na „nizinie”, jak nazywano tutaj świat zdrowych, wymawiając te słowa z lekkim, ale wyraźnym odcieniem pogardy. Aby szybciej móc dojść do tego i nie tracić czasu, który tutaj tak rozrzutnie trwoniono, na razie odbywał z niezwykłą sumiennością „służbę kuracyjną”; czynił to bez wątpienia w celu jak najszybszego powrotu do zdrowia, ale również, jak się nieraz wydawało Hansowi Castorpowi, dla samej służby kuracyj-

nej, która ostatecznie była przecież także służbą, jak każda inna, a spełnianie obowiązku było zawsze spełnianiem obowiązku. Tak więc, kiedy się wieczorami towarzystwo łączyło, już po upływie kwadransa Joachim przynaglał swego kuzyna i śpieszył na leżak. Ta wojskowa punktualność wychodziła poniekąd na dobre cywilnie usposobionemu Hansowi Castorpowi, który chciałby był nieraz dłużej zabawić na dole ze względu na zajęty przez Rosjan salonik, co nie miałoby przecież żadnego sensu i pozbawione było wszelkich widoków. Ale pośpiech, z jakim Joachim chciał opuścić towarzystwo, miał jeszcze jeden, ukryty powód, dobrze znany Hansowi Castorpowi, odkąd zrozumiał, dlaczego opalona twarz Joachima, nagle blednąc, pokrywa się czasem dziwnymi plamami i dlaczego w pewnych chwilach bolesny grymas wykrzywia mu usta. Bo i Marusia, ta zawsze skłonna do śmiechu Marusia z małym rubinem na pięknym palcu, z pomarańczowym zapachem i z wysokimi piersiami, które toczył robak choroby, bywała też zwykle wieczorami na dole i Hans Castorp pojął, że okoliczność ta wyganiała Joachima, bo go zanadto, w straszliwy sposób przyciągała. Czy i Joachim doznawał uczucia „zamknięcia w ciasnej przestrzeni”, może w ciaśniejszej jeszcze i bardziej przygniatającej niż Hans Castorp, bo przecież Marusia, ze swoją pachnącą pomarańczami chusteczką, na domiar złego jeszcze pięć razy dziennie zasiadała z nimi do tego samego stołu? Bądź co bądź Joachim za wiele miał do roboty z samym sobą, aby jego istnienie mogło przynieść Hansowi Castorpowi jakąkolwiek pomoc wewnętrzną. Jego codzienna ucieczka od towarzystwa robiła wprawdzie na Hansie Castorpie wrażenie czegoś podyktowanego honorem, ale zarazem mocno niepokojącego, a chwilami wydawało mu się, że dobry przykład sumiennego przeprowadzania kuracji, który dawał mu Joachim, i cenne wskazówki, których mu nie szczędził, kryją w sobie pewne niebezpieczeństwo.

Hans Castorp był tu dopiero niecałe dwa tygodnie, ale wydawało mu się, że upłynęło już znacznie więcej czasu od chwili jego przyjazdu, a tutejszy porządek dnia, z taką skrupulatnością przestrzegany przez Joachima, zaczynał nabierać w jego oczach cech czegoś oczywiste i święcie niezłomnego, tak że sposób życia na nizinie, oglądany stąd z góry, wyglądał niemal dziwnie i opacznie. Potrafił już zręcznie manipulować dwoma kocami, za pomocą których w chłodne dni robił z siebie na leżaku równiuteńki pakiet, prawdziwą mumię, niewiele brakowało, żeby dorównywał Joachimowi w niezawodnej sprawności i sztuce przepisowego owijania się tymi kocami, i dziwił się prawie na myśl, że na dole, na równinie, nikt nie o takiej umiejętności i o tych sposobach nie słyszał. Tak, to było rzeczywiście dziwne — ale jednocześnie dziwił się Hans Castorp, że znajdzie w tym coś dziw-

nego, i ogarniał go znowu ów niepokój, zmuszający do wewnętrznego oglądania się za radą i pomocą.

Nasuwał mu się na myśl Behrens i rada, udzielona mu przez niego sine pecunia, aby żył tutaj całkiem tak jak pacjenci i nawet mierzył sobie temperaturę — a także Settembrini, który odrzucając głowę w tył, tak głośno śmiał się z tej rady, a potem zacytował jakiś ustęp z „Zaczarowanego fletu”. Tak, również o tych dwu pomyślał na próbę, ażeby przekonać się, czy mu to sprawi jakąś ulgę. Radca Behrens był przecież już siwy, mógłby być ojcem Hansa Castorpa, a poza tym był dyrektorem sanatorium i najwyższym autorytetem, a Hans Castorp odczuwał właśnie gwałtowną potrzebę ojcowskiego autorytetu. Jednakże nie udawało mu się, pomimo starań, myśleć o radcy dworu z ufnością dziecka. Behrens pochował tutaj swoją żonę, rozpacz sprawiła, że na pewien czas zdziwaczał, a potem pozostał tutaj, bo trzymał go grób zmarłej, a także dlatego, że i jemu udzieliła się choroba żony. Czy już mu to przeszło? Czy był już zdrowy i czy bez zastrzeżeń pragnął leczyć ludzi, aby prędko mogli powrócić na nizinę i pełnić służbę? Policzki jego były zawsze sine i właściwie wyglądał tak, jak gdyby miał podwyższoną temperaturę. Ale mogło się tak tylko wydawać, a przyczyną tego koloru cery mogło być tutejsze powietrze: Hans Castorp przecież także odczuwał tu ciągle suchy żar, nie mając przy tym gorączki, o ile mógł sądzić bez pomocy termometru. Chociaż kiedy się słuchało radcy Behrensa, można było czasami myśleć, że ma podwyższoną temperaturę; jego sposób mówienia nie był zupełnie normalny: był rubaszny, wesoły i miły, koleżeński, ale miał w sobie coś dziwnego, jakąś egzaltację, szczególnie jeżeli brało się pod uwagę jego sine policzki i łzawiące oczy, które wyglądały tak, jak gdyby ciągle jeszcze opłakiwał swoją żonę. Hans Castorp przypomniał sobie, co Settembrini mówił o „skłonności do melancholii” i o „nałogu” radcy i że nazwał go „człowiekiem niezrównoważonym”. Mogło to być złośliwością i błagą, ale Hans Castorp mimo to dochodził do wniosku, że myśl o radcy Behrensie bynajmniej go nie krzepi na duchu.

Więc pozostawał jeszcze sam Settembrini, wieczny opozycjonista, fanfaron i homo humanus, jak sam siebie nazywał, który namiętnymi słowy zabronił mu dopatrywać się w połączeniu choroby z głupotą — sprzeczności i dylematu dla uczucia ludzkiego. Jak to się z nim miała rzecz? I czy warto było myśleć o nim? Hans Castorp przypominał sobie, jak często subtelny i suchy uśmiezek Włocha, który ukazywał się pod pięknym łukiem wąsów, budzi jego niechęć w niezwykle żywych snach, wypełniających mu noc, tu w górze, jak go przeżywał kataryniarzem i próbował odpędzić, bo przeszkadza. Ale to było we śnie, a na jawie Hans Castorp był inny, mniej nieopanowany. Na jawie mogło być inaczej — może trzeba,

by spróbował zbliżyć się wewnątrz do tego tak dziwnego Włocha, z jego agresywnością i wieczną krytyką, chociaż była smętna i gadatliwa. On sam nazywał się przecież pedagogiem; widocznie chciał wywierać wpływ, a młody Hans Castorp odczuwał silną potrzebę poddania się czyjemuś wpływowi — z czego jednak nie wynikało, żeby miał spakować swój kufer i wyjechać przed określonym terminem, jak mu niedawno tamten zupełnie poważnie proponował.

Placet experiri — myślał, uśmiechając się do siebie, bo tyle umiał jeszcze łaciny, chociaż nie mógł nazwać siebie homo humanus. Tak więc zwrócił baczniejszą uwagę na Settembriniego i z zainteresowaniem, aczkolwiek nie bez krytycyzmu, przysłuchiwał się występom Włocha, kiedy go spotykał przypadkiem podczas przepisowych spacerów do ławki pod skałą albo do Uzdrowiska, a także i przy innych okolicznościach, kiedy na przykład Settembrini po skończonym posiłku pierwszy wstawał od stołu i w swoich spodniach w kratę i z wykałaczką w ustach szedł wolnym krokiem przez salę z siedmioma stołami, ażeby, wbrew wszelkim przepisom i zwyczajom, pobyć jeszcze chwilę przy stole obu kuzynów. Stał przy nich, skrzyżowawszy nogi, w pełnej wdzięku pozycji, i rozmawiał gestykułując wykałaczką. Czasami przysuwał sobie nawet krzesło, siadał na rogu pomiędzy Hansem Castorpem i nauczycielką albo pomiędzy nim i miss Robinson i przyglądał się, jak dziewięcioro współbiedniaków spożywa deser, z którego on sam, zdaje się, zrezygnował.

— Proszę o prawo wstępu do tego szlachetnego grona — mówił potrząsając ręce obu kuzynom i kłaniając się reszcie towarzystwa.

— Ten piwowar, który tam siedzi... że już nie wspomnę o zaiste straszliwym widoku pani piwowarowej, otóż ten pan Magnus wygłosił właśnie odczyt z dziedziny psychologii ludów. Czy chcecie państwo posłuchać? „Nasze ukochane Niemcy są wprawdzie tylko wielkimi koszarami, ale poza tym kryje się wiele dzielności i nie zamieniłbym naszej tężyzny na uprzejmość innych narodów. Na co zda mi się cała uprzejmość, jeżeli na każdym kroku spotykam, się z oszustwem?” I tak dalej w tym stylu. Jestem u kresu sił. A naprzeciwko mnie siedzi jakieś nieszczęsne stworzenie z cmentarnymi różami na policzkach, jakaś starsza panna z Siedmiogrodu, i bez przerwy opowiada o swoim „szwagrze”, o którym nikt nic nie wie i wiedzieć nie chce. Słowem, nie mogłem już dłużej wytrzymać i uciekłem.

— Z proporcem w dłoni rzucił się pan do ucieczki — rzekła pani Stöhr — to do pana podobne.

— Świetnie! — zawołał Settembrini. — Z proporcem! Widzę, że tutaj inny wiatr wieje — bez wątplenia dobrze trafiłem. A więc rzuciłem się do ucieczki... Ach, żeby

to umieć równie pięknie się wyrażać! Czy mogę zapytać panią o postępy w stanie jej zdrowia?

Okropne było, jak ta pani Stöhr się mizdrzyła. — Wielki Boże! — odparła — zawsze jedno i to samo, pan sam wie to przecież. Dwa kroki naprzód, trzy kroki w tył, a po pięciu miesiącach przychodzi stary i dokłada jeszcze pół roku. Ach, to są męki Tantalą. Pcha się, pcha się, już się człowiekowi zdaje, że jest na górze...

— O, to pięknie, że użycza pani trochę odmiany biednemu Tantalowi! Każe mu pani toczyć ów słynny głąz! To znaczy mieć naprawdę dobre serce! Ale podobno dziwne rzeczy dzieją się tu z panią, słyszymy o rozdwojeniach jaźni, o ciałach astralnych... Dotychczas nie wierzyłem w te zjawiska, ale to, co się z panią dzieje, dezorientuje mnie...

— Zdaje się, że pan chce bawić się moim kosztem?

— Bynajmniej! Nic podobnego! Niech pani uspokoi mnie przede wszystkim co do pewnych ciemnych stron swojej egzystencji, a później dopiero będziemy mogli mówić o bawieniu się. Wczoraj wieczorem pomiędzy wpół do dziesiątej a dziesiątą spaceruję trochę po ogrodzie, przebiegam przy tym wzrokiem balkony i spostrzegam, że na pani balkonie żarzy się w mroku lampka elektryczna: A więc pani werandowała jeszcze, zgodnie z obowiązkiem, przepisami i nakazami rozsądku. „Tam oto leży nasza piękna pacjentka — pomyślałem sobie — i skrupulatnie stosuje się do zaleceń, aby rychło mogła wrócić do domu w objęcia pana Stöhra.” — A przed niewielu minutami dowiedziałem się, że o tej samej godzinie widziano panią w cinematografo (pan Settembrini wymówił to słowo po włosku z akcentem na czwartej zgłosce), w cinematografo pod arkadami Kurhauzu, a potem jeszcze w cukierni, przy słodkim winie i jakichś baisers<sup>\*</sup>, a mianowicie...

Pani Stöhr kręciła się na krześle, chichotała w serwetkę, trącała łokciami Joachima i cichego doktora Blumenkohla, mrugała zalotnie i porozumiewawczo i na wszelkie możliwe sposoby okazywała bezdennie głupie zadowolenie z siebie. Miała zwyczaj zostawiać, w celu zmylenia nadzoru, zapaloną lampkę na swym balkonie i po kryjomu udawać się na zabawę do angielskiej dzielnicy. Mąż tymczasem oczekiwał jej w Cannstatt. Inni pacjenci, zresztą, uprawiali podobne praktyki.

— A mianowicie — ciągnął dalej Settembrini — w jakim to towarzystwie kosztowała pani tych baisers? W towarzystwie kapitana Miklosicha z Bukaresztu! Zapewniają mnie, że on nosi gorset, ale mój Boże, nie ma to tutaj żadnego znaczenia! Zaklinam panią, niech mi pani powie, gdzie pani była. Czy uległa pani rozdwojeniu jaźni? Widocznie pani zasnęła i, podczas gdy ziemską część pani istoty samot-

\* Baisers (franc.) — nazwa ciastek (bezy); dosł. pocałunki.

nie werandowała, jej część duchowa raczyła się towarzystwem kapitana Miklosicha i jego baisers...

Pani Stöhr wiła się i krygowała, jak gdyby ją łechtano.

— Nie wiadomo, czy nie lepiej by było, gdyby było odwrotnie: mianowicie, gdyby pani sama rozkoszowała się tymi baisers, a leżakowała na balkonie z kapitanem Miklosichem...

— Hi hi hi...

— Czy słyszeli państwo o onegdajszej historii? — spytał nagle Włoch. — Ktoś został stąd zabrany, porwał go diabeł czy właściwie jego własna matka, dama nadzwyczajnie energiczna — bardzo mi się spodobała. To był ten młody Schneermann, Antoni Schneermann, który siedział tam u góry stołu obok Mademoiselle Kleefeld — widzą państwo, jego miejsce jest puste. Jego miejsce zostanie niebawem zajęte, nie mam żadnych obaw co do tego, ale Antoniego uniosła na skrzydłach swych burza, i to tak nagle, że ani się obejrzał. Półtora roku siedział już tutaj ten szesnastolatek, i właśnie dołożono mu jeszcze pół roku. I co się dzieje? Nie wiem, kto Madame Schneermann szepnął słówko do ucha, bądź co bądź doszły ją wieści o hołdach, jakie jej synalek składa Bachusowi et ceteris. Bez meldowania zjawia się na widowni okazała matrona, o trzy głowy wyższa ode mnie, siwa i sroga, nic nie mówiąc wymierza panu Antoniemu kilka zamasztych policzków, chwyta go za kołnierz i sadza do wagonu. „Jeśli ma się zniszczyć — powiada — to może to zrobić i na dole.” I jazda do domu.

Wszyscy, którzy to opowiadanie słyszeli, śmiali się głośno, bo pan Settembrini mówił bardzo zabawnie. Okazało się, że znane mu są wszystkie najnowsze plotki, chociaż tak krytycznie i pogardliwie odnosił się do towarzyskiego współżycia gości tu w górze. Wiedział o wszystkim. Znał nazwiska, a nawet dosyć dokładnie sprawy życiowe nowo przybyłych; oznajmił, że temu a temu lub tej a tej zrobiono wczoraj resekcję żebra, i słyszał z najlepszego źródła, że od jesieni nie będzie się tu już przyjmowało chorych z temperaturą powyżej 38,5. Ostatniej nocy, jak opowiadał, piesek pani Capatsoulis z Mityleny usiadł na stoliku nocnym swej pani akurat na guziku elektrycznego sygnału świetlnego, co wywołało bieganinę i wielkie zamieszanie, zwłaszcza że zastano panią Capatsoulis nie samą, lecz w towarzystwie asesora Düstmunda z Friedrichshagen. Nawet dr Blumenkohl musiał uśmiechać się słuchając tej historii, śliczna Marusia po prostu dusiła się, ze swą pachnącą pomarańczami chusteczką przy ustach, a pani Stöhr krzyczała przeraźliwie, przyciskając sobie przy tym lewą pierś obiema rękami.

Ale Joachimowi i Hansowi Castorpowi opowiadał Lodovico Settembrini rów-

niez o sobie, o swym pochodzeniu. Zdarzało się to na spacerach albo w czasie wieczornego zebrania towarzyskiego, albo po skończonym obiedzie, kiedy większość pacjentów już opuściła jadalnię, ale trzech panowie pozostawali jeszcze chwilę na swoich miejscach, podczas gdy kelnerki sprzątały ze stołów, a Hans Castorp palił swoją „Marię Mancini”, której pikantny smak w trzecim tygodniu pobytu zaczął znowu sprawiać mu pewną przyjemność. Uważnie, ale z pewną dozą krytycyzmu, trochę zdziwiony, ale przejęty pragnieniem ulegania czyjemuś wpływowi, słuchał Hans Castorp opowiadań Włocha, które odkrywały przed nim niezwykle i dotychczas zupełnie nie znany mu świat.

Settembrini opowiadał o swoim dziadku; był on adwokatem w Mediolanie, a jednocześnie i przede wszystkim wielkim patriotą i czymś w rodzaju politycznego agitatora, mówcy i współpracownika pism; należał do opozycji, podobnie jak wnuk, ale uprawiał ją śmieiej i w większym stylu. Bo podczas gdy Lodovico musiał, jak sam zaznaczał z goryczą, spędzać swój żywot w Międzynarodowym Sanatorium „Berghof”, szydzić z niego i zakładać protest w imieniu pięknej i pełnej energii ludzkości, dziadek jego przyczyniał wiele kłopotu rządowi państw, spiskował przeciwko Austrii i Świętemu Przymierzu, które wówczas trzymały jego rozdrobnioną ojczyznę w ponurej niewoli, i był czynnym członkiem pewnych rozpowszechnionych we Włoszech tajnych stowarzyszeń — był karbonariuszem, oświadczył Settembrini przyciszonym głosem, jak gdyby jeszcze teraz niebezpiecznie było o tym wspominać. Dzięki tym opowiadaniom obaj słuchacze mieli o Giuseppe Settembrinim wyobrażenie jako o mrocznym, namiętnym i niepokój siejącym osobniku, jako o przywódcy buntowników i spiskowcu, i pomimo całego szacunku, jaki przez uprzejmość okazywali, niezupełnie udawało im się zamaskować pewną nieufność, niechęć, a nawet obrzydzenie, które odzwierciedlały się w wyrazie ich twarzy. Pewnie, że był to wyjątkowy stan rzeczy: to, o czym słyszeli, działo się dawno, przed stu prawie laty, to była już historia, a z historii, specjalnie starożytnej, teoretycznie znane im były wypadki rozpaczliwego dążenia do wolności i nieubłaganej nienawiści do tyranów, chociaż nigdy nie przypuszczali, że mogliby z nią zetknąć się tak blisko i prawie bezpośrednio. Z buntowniczą i konspiracyjną naturą tego protoplasty szła również, jak słyszeli, w parze gorąca miłość ojczyzny, którą pragnął widzieć wolną i zjednoczoną — co więcej, jego burzycielska działalność była owocem i godnym najwyższego uznania wynikiem obu tych jego cech i chociaż ta mieszanina rewolucyjności i patriotyzmu wydawała się dziwna obu kuzynom — bo zarówno jeden jak i drugi zwykli łączyć pojęcie miłości ojczyzny z zachowawczym zmysłem porządku — to jednak przyznać musieli w duchu, że w ówczesnym stanie



rzeczy bunt mógł być jednoznaczny z cnotą obywatelską, a lojalność — z zupełną obojętnością dla spraw publicznych.

Ale dziadek Settembrini był nie tylko włoskim patriotą, lecz nadto współobywatel i współbojownikiem wszystkich ludów pragnących wolności. Bo po pewnym nieudanym zamachu stanu w Turynie, zamachu, w którym uczestniczył słowem i czynem, kiedy z wielkim trudem udało mu się umknąć rąk siepaczy nasłanych przez księcia Metternicha, lata swojego wygnania poświęcił krwawej walce w Hiszpanii o konstytucję i w Grecji o niepodległość helleńskiego narodu. W Grecji właśnie przyszedł na świat ojciec Settembriniego i dlatego zapewne stał się tak wielkim humanistą i zamiłowanym badaczem klasycznej starożytności. Giuseppe Settembrini był żonaty z Niemką, którą poznał w Szwajcarii i która dzieliła z nim później wszystkie perypetie jego niespokojnego żywota. Po dziesięciu latach tułaczki pozwolono mu wrócić do kraju. Osiadł więc jako adwokat w Mediolanie, ale nie zaniechał nigdy działalności patriotycznej: słowem żywym i pisanym, wierszem i prozą wzywał swych ziomków do walki o wolność i do stworzenia powszechnej republiki, z zacięciem dyktatora redagował namiętnie antypaństwowe programy i jasnym, pięknym stylem proklamował zbratanie wyzwolonych ludów w celu ugruntowania ogólnej szczęśliwości.

Pewien szczegół, o którym wspominał wnuk Settembrini, wywarł silne wrażenie na młodym Hansie Castorpie: dziadek Giuseppe ukazywał się zawsze publiczności w czarnym ubraniu, bo, jak mawiał, nosił żałobę po swej włoskiej ojczyźnie, ginącej w cierpieniu i niewoli. Słyszając to Hans Castorp przypomniał sobie — jak mu się to już i przedtem parę razy nasunęło przez porównanie podczas opowiadań Settembriniego — swojego własnego dziadka, który również, odkąd go wnuk pamiętał, zawsze ubierał się czarno, ale z innych zasadniczo powodów; przypomniał mu się ów staromodny strój, za pomocą którego Hans Lorenz Castorp starał się swą właściwą naturę, przynależną do dawnych czasów, podkreślając zawsze jej odrębność, przystosować do terażniejszości, aż wreszcie przez wrota śmierci uroczyście powrócił do swej prawdziwej i jedynie dlań odpowiedniej postaci (z kryzą w kształcie talerza). Jakże niepodobni byli do siebie ci dwaj dziadkowie! Hans Castorp zamyślił się nad tym, z oczyma nieruchomo przed siebie patrzącymi i ostrożnie kiwając głową, co mogło być równie dobrze oznaką podziwu dla Giuseppe Settembriniego, jak zdziwienia i sprzeciwu. Powstrzymał się od potępiania tego, co było dlań obce, i ograniczył się do porównywania i stwierdzania faktów. Znów widział wąską głowę starego Hansa Lorenza, pochylającą się w zamyśleniu nad okrągłą chrzcielnicą ze złotawym wnętrzem, która, stojąc na jednym miejscu, przechodziła z rąk do rąk; znów słyszał wielokroć powtarzany przedrostek „pra”, ten dźwięk krótki

i poważny, przypominający mu miejsca, w których stąpa się pełnym trwożnej czci, podanym naprzód i kołyszącym się krokiem. I widział Giuseppe Settembriniego, jak z trójbarwną chorągwią w ręku, z wyciągniętą szablą i z czarnymi, przysięgłymi oczami, utkwionymi w niebo, kroczy na czele garstki bojowników za wolność, przeciwko falangom broniącym despotyzmu. Tak, obie strony mają swoje piękno i są godne poważania, myślał w duchu, zmuszając się tym bardziej do zajęcia godziwego stanowiska, że zdawał sobie sprawę ze swojego stronnego lub na pół stronnego stanowiska. Bo dziadek Settembrini walczył przecież o prawa polityczne, podczas gdy jego dziadkowi lub w każdym razie tegoż dziadka przodkom przysługiwały wszystkie prawa i dopiero w ciągu czterech wieków motłoch wydzierał im je gwałtem lub potęgą wymowy... I oto obaj ubierali się czarno, ten dziadek z Północy i tamten z Południa, i obaj w tym celu, aby stworzyć wyraźny dystans pomiędzy sobą a złą terażniejszością. Pierwszy czynił to jednak z pietyzmu dla przeszłości, składając w ten sposób hołd czasom minionym i śmierci, do których wewnętrznie należał; u drugiego, przeciwnie, było to wyrazem buntu i hołdem złożonym postępowi, który był wrogiem wszelkiego pietyzmu.

Tak, dumiał Hans Castorp, to były dwa różne światy albo strony świata; i kiedy słuchając opowieści Settembriniego, jak gdyby stał między nimi i spoglądał badawczo raz w jeden, raz w drugi, zdawało mu się, że już przeżywał kiedyś coś podobnego. Przypomnił sobie pewną samotną przejażdżkę łódką, którą przedsięwziął przed laty na jakimś holsztyńskim jeziorze, późnym latem, o zmroku. Była siódma godzina, słońce już zaszło, a księżyc, niemal w pełni, ukazał się na wschodzie, ponad brzegiem zarośniętym krzakami. Podczas gdy Hans Castorp wiosłował po cichej powierzchni wody, wytworzyła się na przeciąg jakichś dziesięciu minut konstelacja, która go dziwnie niepokoiła i usposabiała do marzeń. Na zachodzie był jeszcze jasny dzień, szkliste, trzeźwe, zdecydowane dzienne światło, ale kiedy odwrócił głowę, to patrzył w równie niewątpliwą, czarowną, wilgotnymi mgłami przetykaną noc księżycową. Niezwykłe to zjawisko minęło po upływie mniej więcej kwadransa, ale dopóki natura ostatecznie nie przechyliła się na stronę księżyca i nocy, olśniony i oczarowany blaskiem wzrok Hansa Castorpa wędrował raz po raz z jednego oświetlenia i krajobrazu do drugiego, od dnia do nocy i z powrotem — od nocy do dnia. To właśnie przypomniło mu się teraz.

Adwokat Settembrini, tak rozmyślał Hans Castorp, wskutek swojego trybu życia i rozległej działalności nie mógł być bardzo uczonym prawnikiem. Ale, jak zapewniał wnuk jego, od lat dziecińczych aż do samego zgonu kierował się zawsze ogólną zasadą prawa i Hans Castorp, chociaż w tych czasach miał mózg niezbyt sprawny i czuł wielką ociężałość po sześciu daniach sanatoryjnego obiadu, starał się pojąć,

co miał na myśli Settembrini, nazywając tę zasadę „źródłem wolności i postępu”. Przez postęp rozumiał Hans Castorp dotychczas coś w rodzaju rozwoju techniki dźwigarów w ciągu dziewiętnastego stulecia, przekonał się też, że Settembrini bynajmniej, podobnie jak i Hans Lorenz Castorp, nie lekceważy tych rzeczy. Włoch wyrażał się z głębokim szacunkiem o ojczyźnie swych obu słuchaczy, gdzie przecież wynaleziono proch, który zbroję feudalizmu przemienił w bezużyteczne rupiecie, a także prasę drukarską: ona to umożliwiła demokratyczne rozpowszechnienie idei — to znaczy: rozpowszechnienie idei demokratycznych. Pod tym względem chwalił więc Niemcy, o ile chodziło o przeszłość, chociaż palmę pierwszeństwa przyznawał własnemu krajowi, który, jak twierdził, pierwszy rozpostarł sztandar oświecenia, nauki, wolności, kiedy inne narody pogrążone były jeszcze w mroku przesądów i niewoli. Jeżeli jednak wysoko cenił — jak to zaznaczył już w czasie pierwszego spotkania z kuzynami koło ławki na stoku góry — technikę i komunikację, właściwą dziedzinę pracy Hansa Castorpa, to czynił to, jak się zdawało, nie z powodu wartości tych potęg samych przez się, ale ze względu na ich znaczenie dla moralnego rozwoju ludzkości, bo takie właśnie znaczenie skłonny był im przypisywać. Technika, mówił, coraz bardziej podporządkowuje sobie naturę, ujarzmia ją dzięki łączności, którą stwarza, budując sieć dróg i telegrafów, przewyższa różnice klimatów i jest najpewniejszym środkiem wzajemnego zbliżania ludów, pomaga im we wzajemnym poznawaniu się, wyrównuje dzielące je przepaści, burzy przesady i prowadzi do ogólnego zbratania. Ród ludzki wyszedł z mroku, lęku i nienawiści, ale kroczy promienną drogą naprzód i wzwyż do ostatecznego celu, jakim jest przyjaźń wewnętrzna, światłość, dobro i szczęście; a na tej drodze, powiedział Settembrini, technika jest najlepszym wehikułem. Ale tak perorując, jednym tchem łączył z sobą kategorie, o których Hans Castorp zwykł był dotychczas myśleć tylko jako o rzeczach bardzo od siebie odległych. Technika i moralność! — powiedział. Z kolei Włoch mówił o Zbawicielu chrześcijaństwa, który pierwszy objawił zasadę równości i zbratania, rozpowszechnioną później w znakomity sposób przez prasę drukarską i podniesioną w końcu do godności najwyższego prawa przez wielki przewrót państwowy we Francji. Nie wiadomo dlaczego, ale, bez wątpienia, wywody te wydawały się Hansowi Castorpowi mętne, chociaż ujęte były w tak jasne i dobitne słowa. Raz tylko, mówił Settembrini, raz jeden w życiu, w samym rozkwicie lat, czuł się jego dziadek zupełnie szczęśliwy: było to w czasie paryskiej rewolucji lipcowej. Głośno i publicznie wypowiedział wtedy zdanie, że ludzkość umieści kiedyś te trzy dni paryskie obok sześciu dni stworzenia świata. Słyszając to Hans Castorp uderzył ręką w stół, tak bardzo zdumiały go te słowa. Nie mogło pomieścić mu się w głowie, jak można te trzy letnie dni 1830 roku, które mieszkań-

com Paryża dały nową konstytucję, porównywać z tamtymi sześcioma dniami, w których Pan Bóg oddzielił wodę od ładu i stworzył wieczne światła niebieskie, kwiaty, drzewa, ptaki, ryby i wszelkie życie, i jeszcze później, w rozmowie w cztery oczy z Joachimem, dał dobitny wyraz swemu zdumieniu, a nawet oburzeniu.

Ale Hans Castorp pragnął przecież ulec czyjemuś wpływowi, w tym sensie, że jest rzeczą przyjemną próbowanie tego i owego; tak więc starał się powściągnąć protest przeciwko poglądom Settembriniego, wywołany w nim przez pietyzm i poczucie dobrego smaku, sądził bowiem, że to, co mu się wydaje grzechem, może być nazwane śmiałością, a to, co robiło na nim wrażenie złego smaku, mogło być wielkodusznością i szlachetnym uniesieniem, przynajmniej tam i w owym czasie: na przykład fakt, że dziadek Settembrini barykadę nazwał „tronem ludu” i oświadczył, że „pikę obywatela należy poświęcić na ołtarzu ludzkości”.

Hans Castorp wiedział, dlaczego przysłuchuje się panu Settembriniemu, niedokładnie wprawdzie, ale jednak zdawał sobie z tego sprawę. Poza tym, że był tu na wakacjach i czuł się beztroskim turystą i tylko hospitantem, który nie powinien bronić do siebie dostępu żadnym zewnętrznym wrażeniom, ale poddawać im się z pełną świadomością, że jutro albo pojutrze puści się znowu w drogę i powróci do dawnego ładu — poza tym zrodziło się w nim coś w rodzaju poczucia obowiązku, jakby jakiś nakaz sumienia, i to, aby już być zupełnie ściśłym, nakaz sumienia w pewnej mierze nieczystego; on to sprawiał, że Hans Castorp słuchał wywodów Włocha z nogą założoną na nogę i paląc swoje cygaro marki „Maria Mancini” albo też kiedy wracali w trójkę z angielskiej dzielnicy do sanatorium „Berghof”.

Według poglądów głoszonych przez Settembriniego dwie zasady walczą o świat: siła i prawo, tyrania i wolność, przesąd i wiedza, konserwatyzm i wieczny ferment postępu. Można by pierwszą z nich nazwać zasadą azjatycką, a drugą — europejską, bo Europa jest ojczyzną buntu, krytyki i burzycielstwa, wschodnia zaś część świata uosabia bezruch i beczynny spoczynek. Nie ma żadnych wątpliwości, która z tych dwóch zasad odniesie wreszcie zwycięstwo: zasada oświecenia i doskonalenia się zgodnie z nakazami rozumu. Bo człowieczeństwo w swym triumfalnym pochodzie porywa za sobą coraz więcej narodów, coraz więcej miejsc zdobywa w samej Europie i zaczyna przedzierać się do Azji. Ale daleko jeszcze do jego ostatecznego zwycięstwa i wiele szlachetnych wysiłków oczekuje tych, którzy są już oświeceni i przepojeni ideą, zanim wreszcie nadejdzie dzień, kiedy w gruzy rozpadną się monarchie i religie także w tych krajach europejskich, które w gruncie rzeczy nie przeżyły osiemnastego stulecia ani roku 1789.

Ale dzień ten nadejdzie, twierdził Settembrini i uśmiechał się nieznacznie pod

wąsem, jeśli nie przyjdzie na gołębach nóżkach, to przyleci w poszumie orlich skrzydeł — i zajaśnieje jako jutrzienka ogólnego zbratania ludów, pod znakiem rozumu, nauki i prawa. Przyniesie z sobą święte przymierze mieszczańskiej demokracji, świetlane przeciwieństwo owego po trzykroć haniebnego przymierza książąt i gabinetów, którego osobistym i śmiertelnym wrogiem był dziadek Giuseppe — jednym słowem, cały świat objęty zostanie powszechną republiką. Dla osiągnięcia tego ostatecznego celu należy jednak tę azjatycką niewolniczą zasadę zachowawczości ugodzić w sam środek i rdzeń jej oporu, mianowicie w Wiedeń. Trzeba pobić na głowę i zniszczyć Austrię, przede wszystkim, aby pomścić przeszłość, a następnie, aby utorować drogę panowaniu prawa i ogólnemu szczęściu na ziemi.

Ten ostatni zwrot i konkluzja pięknie brzmiących wywodów Settembriniego zupełnie już nie interesowały Hansa Castorpa, wyraźnie nie podobały mu się, a nawet wywierały na nim niemiłe wrażenie, jako osobiste i narodowe zacierzwienie — nie mówiąc już o Joachimie Ziemssenie: ten bowiem chmurzył się i odwracał głowę, przestając słuchać, ilekroć Włoch zaczynał z tej beczki, i przypominał, że czas na werandowanie, albo starał się zmienić temat rozmowy. Hans Castorp również wolał nie słuchać tych dygresji — widocznie leżały one poza granicą idei, którymi na próbę pragnął się przejąć, zgodnie z nakazem swojego sumienia; a nakaz ten był tak wyraźny, że on sam, Castorp, wzywał Settembriniego, by snuł przed nimi wątek swych myśli, kiedy Włoch przysiadł się do nich albo przyłączał na spacerach.

Poglądy te, ideały i dążenia były, jak twierdził Settembrini, tradycją rodzinną w jego domu. Bo dziad, ojciec i wnuk, wszyscy trzej, poświęcali im życie i wszystkie swoje siły, każdy z nich na swój sposób: ojciec nie mniej niż dziadek Giuseppe, chociaż nie był, jak tamten, agitorem politycznym i bojownikiem o wolność, ale cichym i subtelnym humanistą, spędzającym życie za swoim pulpitem. Ale czym właściwie jest humanizm? Humanizm to umiłowanie człowieka, nic więcej, ale tym samym jest to zarazem polityka i bunt przeciwko wszystkiemu, co kała i bezcześci ideę człowieczeństwa. Zarzucano humanizmowi, że zbyt wielką wagę przywiązuje do formy; ale pielęgnuje on piękną formę jedynie ze względu na ludzką godność, w wyraźnym przeciwieństwie do średniowiecza, które było pogrążone nie tylko w nienawiści do człowieka i w zabobonach, ale również w sromotnym braku formy. Humanizm od samego początku walczył o dobro ludzkości, o sprawy ziemskie, o wolność myślenia i radość życia i sądził słusznie, że niebo należy pozostawić wróblom. Prometeusz! On był pierwszym humanistą, był identyczny z owym szatanem, którego opiewa w swym hymnie Carducci... Ach, szkoda, że Joachim i Hans Castorp nie słyszeli, jak ten boloński wróg Kościoła grzmiał zjadliwie przeciwko

chrześcijańskiej czułościowości romantyków! Przeciwno świętym pieśniom Manzoniego! Przeciwno romanticismo i jego poezji cieniów i światła księżycowego, którą przyrównywał do „Luny, bladej mniszki niebios!” Per Bacco, jakaż to była rozkosz! I szkoda, że nie słyszeli, jak on, Carducci, wykładał Danta, jak czczył w nim obywatela wielkiego miasta, powstawał przeciw ascezie i zaprzeczeniu życia i przeciwstawiał im twórczą siłę, wstrząsającą posadami świata i otwierającą nowe horyzonty. Bo mianem Donna gentile e pietosa\* ochrzcił poeta nie chorowity i mistagogiczny cień Beatryczy, ale nazwał tak swoją żonę, która uosabia w poemacie zasadę ziemskiego poznania i praktyczną działalność życiową...

Hans Castorp usłyszał więc także i to i owo o Dancem, i to z najlepszego źródła; ze względu jednak na pewną skłonność do fanfaronady u interlokutora był ostrożny w przyjmowaniu wiadomości. W każdym bądź razie było rzeczą interesującą usłyszeć, że Dante był uświadomionym obywatelem wielkiego miasta. A dalej Settembrini opowiadał o sobie, że w nim złączyły się dążenia jego bezpośrednich przodków, zamiłowanie dziadka do polityki i humanistyczne tendencje ojca; został literatem, niezależnym pisarzem. Bo literatura jest tylko połączeniem polityki z humanizmem, połączeniem, które tym łatwiej dochodzi do skutku, że humanizm sam jest już polityką, a polityka humanizmem... W tym miejscu Hans Castorp skupił uwagę i starał się dobrze zrozumieć, bo miał nadzieję, że pojmie jasno całą ignorancję piwowara Magnusa i że dowie się, dlaczego literatura jest jednak czymś zupełnie innym niż „pięknymi charakterami”. Settembrini zapytał, czy słuchacze jego słyszeli już kiedyś o panu Brunetto Latini, notariuszu miejskim we Florencji około 1250 r., który napisał książkę o cnotach i występkach? Mistrzowi temu zawdzięczają Florentyńczycy swą ogładę, nauczył ich mówić i wskazał, jak powinni rządzić swą republiką zgodnie z wymaganiami polityki.

— O to właśnie chodzi, panowie! — zawołał Settembrini. — O to właśnie chodzi! — I mówił o „słowie”, o kulcie słowa, o krasomówstwie, które nazywał triumfem ludzkości. Bo słowem chlubi się rodzaj ludzki, i tylko ono czyni życie godnym człowieka. Nie tylko humanizm — ale humanitaryzm w ogóle, wszelka godność ludzka, poszanowanie człowieka i jego szacunek dla samego siebie są nierozdzielnie związane ze słowem, z literaturą — („Widzisz więc — rzekł później Hans Castorp do kuzyna — widzisz, że w literaturze chodzi o piękne słowa? Ja to od razu zauważyłem”) — a więc i polityka z nią jest związana albo raczej: polityka wypływa ze związku, z jedności humanitaryzmu i literatury, bo piękne słowo rodzi piękny czyn. — Przed dwustu laty mieliście w swoim kraju poetę, wspaniałego sta-

---

\* Donna gentile e pietosa (wł.) — pani szlachetna i miłosierna.

rego gawędziarza, który wielkie znaczenie przypisywał ładnemu charakterowi pisma, bo twierdził, że piękne pismo pociąga za sobą piękny styl. Powinien był posunąć się jeszcze trochę dalej i powiedzieć, że piękny styl prowadzi do pięknych czynów.

Pięknie pisać znaczy też prawie to samo co pięknie myśleć, a stąd już jeden tylko krok do pięknych czynów. Wszelka kultura duchowa i moralne doskonalenie się ma swój początek w duchu literatury, tym duchu godności ludzkiej, który jest zarazem duchem humanitaryzmu i polityki. Tak, wszystko to stanowi jedność, jest tą samą potęgą i tą samą ideą, i wszystko można objąć j e d n ą nazwą. Jak brzmi ta nazwa? Składa się ona z dobrze znanych zgłosek, których znaczenia i majestatu obaj kuzyni zapewne nigdy jeszcze dotychczas dokładnie nie pojęli — jest nią mianowicie: cywilizacja! I wymawiając to słowo, Settembrini wyciągnął do góry swą drobną, złotą rękę, jak gdyby wznosił toast. Hansowi Castorpowi wydawało się to wszystko godnym uwagi, choć nie obowiązującym i raczej dla próby, ale w każdym razie godnym uwagi, i oświadczył to Joachimowi Ziemssenowi, który jednak miał właśnie termometr w ustach, mógł więc tylko coś niewyraźnego bąknąć w odpowiedzi, a później tak był zajęty odczytywaniem cyfry i zapisywaniem jej na tabliczce, że nie mógł zająć stanowiska wobec poglądów Settembriniego. Hans Castorp chętnie, jak powiedzieliśmy, wchłaniał je w siebie i dla próby chętnie dawał im przystęp do swej duszy; wynika stąd przede wszystkim wyraźna wyższość człowieka czuwającego nad nedorzecznie śniącym — we śnie bowiem Hans Castorp już nieraz wymyślał Settembriniemu od kataryniarzy i starał się go odpędzić, bo mu się wydawało, że Włoch „tutaj przeszkadza”; na jawie jednak słuchał go uważnie i grzecznie i starał się lojalnie powściągać i zwalczać sprzeciwy, rodzące się w nim przeciwko poglądom i wykładom mentora. Bo nie można zaprzeczyć, że napotykały one w duszy Hansa Castorpa pewne opory: były między nimi takie, które tkwiły w nim z dawien dawna, zawsze i od urodzenia niejako, jak również nowe, powstałe specjalnie na gruncie jego obecnej sytuacji, pod wpływem częściowo pośrednich, częściowo ukrywanych przeżyć tu w górze.

Czymże właściwie jest człowiek i jak łatwo daje się oszukać jego sumienie! Jak dobrze potrafi nawet w głosie obowiązku dosłuchać się zezwolenia na namiętności! Hans Castorp słuchał Settembriniego z poczucia obowiązku i słuszności i z chęci osiągnięcia równowagi i poddawał przychylniej analizie jego poglądy na rozum, na ustrój republikański i na piękno stylu, gotowy poddać się jego wpływom. Uważał to jednak później za dowód szczególnej stałości charakteru, kiedy pozwalał myślom swym i marzeniom poruszać się w o d w r o t n y m kierunku, a nawet — żeby już otwarcie wypowiedzieć nasze podejrzenie lub nasze zdanie w tej sprawie — słuchał

Settembriniego jedynie w tym celu, aby uzyskać od swojego sumienia dyspensę, której początkowo nie chciało mu udzielić. Ale co takiego lub kto taki znajdował się po tej drugiej stronie, przeciwnej patriotyzmowi, godności ludzkiej i literaturze pięknej, po stronie, w którą Hans Castorp znów ośmielał się wysyłać swoje myśli i chęci? Znajdowała się tam... Kławdia Chauchat, z kirgiskimi oczami, w niedbalej postawie i toczona przez chorobę, i gdy Hans Castorp o niej myślał („myśleć” o kimś jest zresztą zbyt ściśle określonym wyrazem na oznaczenie sposobu jego wewnętrznego zwracania się ku niej), czuł się znowu jak wówczas, gdy płynął łódką po owym holsztyńskim jeziorze i od szklistej jasności dnia, panującej na zachodnim brzegu, zwracał oczarowany i olśniony blaskiem wzrok ku przetykanej mgłami księżycowej nocy we wschodniej stronie nieba.

## Termometr

Tydzień Hansa Castorpa trwał tutaj od wtorku do wtorku, bo przecież we wtorek przyjechał. Już przed kilku dniami uregulował swój drugi tygodniowy rachunek, skromny rachunek, wynoszący okrągło 160 franków, skromny, według jego opinii bynajmniej nie wygórowany, nie licząc nawet różnych nieocenionych stron jego pobytu, właśnie dlatego, że były nieocenione, i nie licząc również pewnych świadczeń, których wartość dałaby się obliczyć, jak na przykład orkiestry grającej w sanatorium raz na dwa tygodnie albo odczytów dra Krokowskiego; rachunek obejmował tylko utrzymanie, składające się z pięciu niezwykle obfitych posiłków dziennie, hotelową usługę i wygodne pomieszczenie.

— Wiesz, to niewiele, nawet tanio; nie możesz narzekać, że cię obdzierają tu w górze — rzekł hospitant do stałego gościa. — Wydajesz wobec tego okrągłe 650 franków miesięcznie na mieszkanie i życie, a i opieka lekarska jest już w to wliczona. Dobrze. Przypuśćmy, że wydajesz jeszcze trzydzieści franków miesięcznie na napiwki, jeżeli jesteś przyzwoitym gościem i chcesz widzieć dokoła siebie zadowolone twarze. A więc razem 680 franków. Dobrze. Zapewne mi powiesz, że dochodzą jeszcze inne koszty i opłaty. Wydaje się pieniądze i na napoje, i na kosmetykę, i na cygara, od czasu do czasu robi się wycieczkę, jakąś przejażdżkę powozem, jeśli chcesz, a trzeba coś niecoś liczyć również na krawca i szewca. Dobrze, a więc licząc to wszystko, przy najlepszych chęciach nie wydasz tu nawet tysiąca franków na miesiąc! Nawet ośmiuset marek, to znaczy niecałe 10 000 marek rocznie. Więcej pobyt tutaj na pewno nie kosztuje. I za to żyjesz.



— Znakomicie liczysz w pamięci — rzekł Joachim. — Zupełnie nie wiedziałem, że jesteś tak biegły w rachunkach. A najbardziej podoba mi się to, że od razu robisz kalkulację roczną; to dowodzi wielkiego gestu, widzę, żeś się już czegoś nauczył tu w górze. Zresztą, liczysz za dużo. Nie palę cygar, a poza tym mam nadzieję, że nie będę zmuszony do zamawiania sobie tutaj ubrań. Dziękuję pięknie!

— A więc nawet za dużo — odpowiedział Hans Castorp, trochę zmieszany. Ale jak się to stało, że wstawił do rachunku kuzyna cygara i nowe ubrania — bo co się tyczy szybkiego liczenia w pamięci, to polegało tylko na złudzeniu i przecenianiu wrodzonych zdolności. Jak we wszystkim bowiem, tak i w tym Hans Castorp był raczej powolny i flegmatyczny, a jego szybka orientacja w danym wypadku nie była spontaniczna, ale pochodziła stąd, że Hans Castorp był już przygotowany i rachunek miał już nawet zrobiony na piśmie. Pewnego wieczora mianowicie, podczas werandowania (bo idąc za przykładem kuracjuszy Hans Castorp przecież kładł się po kolacji na balkonie), pewna myśl poderwała go nagle z doskonałego leżaka, wszedł do pokoju, przyniósł sobie papier i ołówek i zajął się liczeniem. Doszedł do wniosku, że jego kuzyn albo raczej że się tutaj w ogóle wydaje na wszystko razem około 12 000 franków rocznie, i uprzytomnił sobie dla żartu, że jego sytuacja gospodarcza pozwala mu aż nadto na życie tutaj, bo wolno mu liczyć na dochód 18—19 000 franków rocznie.

A więc jego drugi tygodniowy rachunek został przed trzema dniami za pokwitowaniem i z podziękowaniem uregulowany, innymi słowy, Hans Castorp rozpoczął trzeci, i zgodnie ze swym zamiarem, ostatni tydzień swego pobytu tu w górze. W nadchodzącą niedzielę miał jeszcze wysłuchać koncertu, który odbywał się tu raz na dwa tygodnie, a w poniedziałek jeszcze jednego odczytu dra Krokowskiego, który również przemawiał raz na czternaście dni. Tak myślał sobie i powiedział to Joachimowi. A we wtorek lub środę miał stąd wyjechać i znowu zostawić kuzyna samego, biednego Joachima, któremu Radamantys przepisał jeszcze Bóg wie ile miesięcy pobytu i którego czarne oczy o łagodnym spojrzeniu przesłaniała mgła melancholii, ilekroć była mowa o szybko zbliżającym się odjeździe Hansa Castorpa. Wielki Boże, gdzież się podział ten czas wakacji! Uplłynął, wymknął się, uleciał — naprawdę, trudno było powiedzieć, jak. Ostatecznie było to dwadzieścia jeden całych dni, które mieli spędzić z sobą, długi szereg, z początku trudny do objęcia myślą. I nagle pozostało z tego wszystkiego tylko trzy czy cztery mizerne dni, nieduża resztką, dwukrotnie wprawdzie urozmaicona w sposób powyżej wspomniany, ale wypełniona już myślą o pakowaniu i rozłace. Trzy tygodnie były prawie niczym tu w górze — wszyscy mu to od razu powiedzieli. Settembrini mówił, że najmniejszą jednostką czasu jest tutaj miesiąc, a ponieważ pobyt Hansa Castorpa miał być

jeszcze krótszy, więc nie można było właściwie mówić o jego pobycie tutaj, raczej wpadł jak po ogień, wedle wyrażenia radcy Behrensa. Czy może wzmożone spalanie ogólne było przyczyną tego niezwykle szybkiego biegu czasu? Takie tempo mogło być korzystne dla Joachima ze względu na czekający go jeszcze pięćmiesięczny pobyt w „Berghofie”, jeżeli naturalnie skończy się na pięciu miesiącach. W ciągu tych trzech tygodni należało jednak zwracać baczniejszą uwagę na prąd czasu, tak jak się to czyni podczas mierzenia temperatury, kiedy przepisowe siedem minut urasta do rozmiarów niezmiernie długiego okresu. Hans Castorp współczuł serdecznie swemu kuzynowi, w którego oczach malował się żal z powodu bliskiej utraty towarzysza, tym bardziej gdy pomyślał, że ten nieszczęśnik pozostanie tutaj sam na stałe, podczas gdy on, Hans Castorp, będzie znowu wiódł żywot tam na dole i podejmie swą pracę na polu łączącej ludy techniki komunikacyjnej. Współczuł z nim tak bardzo, że nieraz ścisnęło mu się serce, tak bardzo, że chwilami poważnie wątpił, czy zdobędzie się na to, by wyjechać i porzucić kuzyna. Tak silnie więc czasem z nim współczuł, i to sprawiło, że coraz rzadziej sam z własnej inicjatywy mówił o odjeździe: Joachim był tym, który zaczynał na ten temat rozmowę; Hans Castorp natomiast, z wrodzonego taktu i delikatności, do ostatniej chwili starał się nie chcieć o tym myśleć.

— Miejmy przynajmniej nadzieję — odezwał się Joachim — że wypocząłeś u nas i że będziesz się lepiej czuł po powrocie do domu.

— Tak, wszystkich pozdrowię od ciebie — odpowiedział Hans Castorp — i powiem, że przyjedziesz najpóźniej za pięć miesięcy. Czy wypocząłem? Pytasz, czy wypocząłem w ciągu tych kilku dni? Zdaje się, że tak; przypuszczam, że nawet w tak krótkim czasie można przyjść do siebie, chociaż muszę powiedzieć, że doznałem tutaj tylu nowych wrażeń, nowych pod każdym względem, bardzo pobudzających, ale jednocześnie wyczerpujących zarówno fizycznie, jak i duchowo, że nie wydaje mi się jakobym się już z nimi uporał i tutaj zupełnie zaaklimatyzował, a to jest przecież koniecznym warunkiem wszelkiego wypoczynku. „Maria Mancini” smakuje mi od paru dni, chwała Bogu, jak dawniej. Od czasu do czasu znajduję jednak czerwone plamy na chusteczce do nosa, i do końca już nie pozbędę się chyba tych przeklętych wypieków na twarzy i głupiego bicia serca. Nie, o przystosowaniu się do klimatu nie może u mnie być mowy; co prawda, nie starczyło na to czasu. Należałoby tu dłużej posiedzieć, żeby zaaklimatyzować się zupełnie i uporać z nowymi wrażeniami, i wtedy dopiero mogłoby się zacząć wypoczywanie i odkładanie w organizmie białka. Szkoda. Mówię „szkoda”, bo stanowczo źle się stało, że nie wyznaczyłem sobie więcej czasu na urlop — a ostatecznie mógłbym był to zrobić. Przewiduję, że na dole przede wszystkim będę musiał odpocząć po tym odpo-

czynku i spać przez trzy tygodnie — tak czuję się czasami sfatygowany. A do tego ten wstrętny katar.

Bo wyglądało tak, jak gdyby Hans Castorp miał zjechać na dół z katarem pierwszej klasy. Przeziębził się prawdopodobnie podczas werandowania, a mianowicie, by raz jeszcze operować prawdopodobieństwem, podczas werandowania wieczornego; uprawiał je od tygodnia mniej więcej, nie zważając na zimno i, wilgoć, a zdawało się, że pogoda nie poprawi się chyba do samego jego odjazdu. Dowiedział się jednak, że taka pogoda nie uchodziła tutaj za złą. Pojęcie niepogody było w ogóle w tym środowisku nieznane, nie obawiano się złych warunków atmosferycznych i prawie nie liczone się z nimi; i Hans Castorp zaczął sobie tę obojętność przyswajać z młodzieńczą podatnością i gotowością przystosowywania się do poglądów i zwyczajów otoczenia. Jeżeli lało jak z cebra, to nie należało jeszcze wnosić, że skutkiem tego powietrze jest mniej suche. I chyba rzeczywiście tak było, bo twarz wciąż paliła, jak to bywa czasami w zanadto opalonym pokoju albo po wypiciu dużej ilości wina. Co zaś tyczyło się zimna, które silnie dawało się odczuwać, to znów nie miało zupełnie sensu chować się przed nim do pokoju, bo ponieważ nie było śniegu, kaloryfery były nieczynne i bynajmniej nie było przyjemniej siedzieć w pokoju niż leżeć na werandzie w zimowym palcie, owinięty według wszelkich prawideł sztuki dwoma kocami z sierści wielbłądziej. Przeciwnie, to ostatnie było bez porównania przyjemniejsze, była to najmiłsza pozycja życiowa, jakiej kiedykolwiek doświadczył; przekonania tego nie mógł zachwiać fakt, że jakiś literat i carbonaro nazwał ją złośliwie, z pewnym ukrytym i ubocznym znaczeniem, „poziomą” pozycją życiową. Najwięcej zadowolenia dawała mu ta pozycja właśnie wieczorami, kiedy obok na stoliku paliła się mała lampka elektryczna, a on leżał, ciepło otulony w koce, paląc swoje ulubione cygaro marki „Maria Mancini”, w którym znowu odnalazł smak. Marzył mu wprawdzie koniuszek nosa i sztywniały czerwone z zimna ręce, w których trzymał książkę, wciąż jeszcze *Ocean steamships* — ale rozkoszował się wszystkimi nieuchwytnymi zaletami sanatoryjnego leżaka i patrzył przez łuki w dolinę, pełną już to rzadko rozrzuconych, już to gęściej skupionych świateł, z której prawie co wieczór przynajmniej przez godzinę dolatywały dźwięki muzyki, mile przytłumione tony znanych melodii: fragmenty oper „Carmen”, „Trubadur” albo „Wolny strzelec”, harmonijne walce, marsze, w których takt Hans Castorp w podnieconym humorze poruszał głową, i wesołe mazurki. „Mazurka”? Przecież ona nazywała się właściwie Marusia, ta panna z małym rubinem na palcu. A w logii obok, za przegrodą z grubego szkła mlecznego, leżał Joachim i Hans Castorp zamieniał z nim od czasu do czasu jakieś słówko, po cichu i bacząc, aby nie przeszkadzać innym werandującym. Joachimowi było na jego balkonie tak samo

wygodnie, chociaż był niemuzykalny i nie znajdował przyjemności w wieczornych koncertach. A szkoda, bo zamiast słuchać muzyki czytał gramatykę rosyjską. Hans Castorp natomiast kładł *Ocean steamships* na kocu i z rozkoszą przysłuchiwał się muzyce, rozumiał przejrzystą głębię jej faktury, i jakaś specjalnie pomysłowa, charakterystyczna i nastrojowa melodia dawała mu tak silne zadowolenie wewnętrzne, że od czasu do czasu myśl o tym, jak Settembrini wyrażał się o muzyce, budziła w nim gwałtowną złość — tak na przykład powiedzenie, że muzyka jest politycznie podejrzana, które w gruncie rzeczy nie było lepsze od gadaniny dziadka Giuseppe o rewolucji lipcowej i o sześciu dniach stworzenia świata...

Rozkosze muzyczne były więc mniej dostępne dla Joachima, obca mu też była romantyczna przyjemność palenia; poza tym jednak leżał tak samo zacisznie w swojej loggii, jak Hans Castorp — zacisznie i spokojnie. Dzień był już skończony, tym razem wszystko było skończone i można było być pewnym, że dzisiaj nic się już nie stanie, że nie nastąpią żadne wstrząsy i że mięsień sercowy nie znajdzie się już wobec żadnych nowych zadań. Ale zarazem miało się pewność, że j u t r o znowu to wszystko powróci i powtórzy się od początku z prawdopodobieństwem, które wynikało z ciasnej przestrzeni i z regularnego rytmu sprzyjających okoliczności; ta podwójna pewność i poczucie bezpieczeństwa napawały Hansa Castorpa głębokim zadowoleniem i w połączeniu z muzyką, i z odzyskanym aromatem „Marii Mancini” sprawiały, że w czasie wieczornego werandowania czuł się prawdziwie szczęśliwy.

To wszystko razem jednak nie ochroniło naszego delikatnego nowicjusza i hospitanta od porządnego przeziębienia się podczas werandowania (lub może w jakichś innych okolicznościach). Silny katar nadciągał i uciskał już czoło, języczek w gardle był czerwony i obolały, a powietrze wydawało się zimne i nie dostawało się do płuc przewidzianym w tym celu naturalnym kanałem, ale przeciskało się z trudem jakąś inną drogą, wywołując ostry kaszel za każdym oddechem. Któregoś dnia, obudziwszy się rano, Hans Castorp zaczął mówić głuchym basem, jak po długim nadużywaniu alkoholu, i opowiadał, że tej nocy nie zmrzył oka, bo czuł tak dławiącą suchość w krtani, iż raz po raz musiał siadać na łóżku.

— Wiesz, że to przykrość — powiedział Joachim — a nawet zmartwienie. Trzeba ci wiedzieć, że przeziębienia nie są tu przyjęte, nie są reęsus, po prostu zaprzecza się im; wobec tak znacznej suchości powietrza oficjalnie nie występują one tutaj, i miałyby się z pyszna, kto chciałby się zwrócić do Behrensa z powodu przeziębienia. Z tobą, co prawda, rzecz ma się inaczej, ty masz ostatecznie prawo do przeziębienia. Byłoby dobrze, gdybyśmy mogli jakoś przeciwdziałać twojemu

katarowi — na nizinie są na to sposoby, ale wątpię, czy ktokolwiek w dostatecznej mierze zainteresuje się tutaj tym niedomaganiem. Lepiej tu nie chorować, bo nikogo to nic nie obchodzi. To jest stare tutejsze przykazanie, przekonasz się sam o tym w końcu. Kiedy tu przyjechałem, zastałem pewną panią, która przez cały tydzień trzymała się za ucho i jęczała z bólu; wreszcie Behrens obejrzał ucho i powiedział: „Może pani być zupełnie spokojna, to nie jest na tle gruźliczym!” I na tym się skończyło. Tak, trzeba się namyślić, co można zrobić! Wspomnę o tym jutro rano kąpielowemu, kiedy przyjdzie do mnie. Taka jest droga służbowa: on powie o tym dalej, i może coś ci poradzą.

Tak postanowił Joachim i droga służbowa spełniła swoje zadanie. Kiedy Hans Castorp wrócił w piątek z porannego spaceru, zastukano do jego pokoju i weszła panna von Mylendonk, czyli „siostra przełożona”, jak ją tutaj nazywano. Hans Castorp mógł więc z nią nareszcie zawrzeć osobistą znajomość, bo dotychczas widywał ją tylko z daleka, jak, widocznie bardzo zajęta pracą, opuszczała jeden pokój chorego, aby przeciąwszy korytarz, wejść do drugiego; czasami zjawiała się na chwilę w jadalni i rozlegał się wtedy jej skrzeczący głos. A teraz przysłała do niego samego, ściągnięta jego katarzem; zastukała twardo i krótko do drzwi i weszła, zanim zdążył wypowiedzieć „proszę”, a od progu cofnęła się jeszcze, żeby sprawdzić numer pokoju.

— Trzydzieści cztery — zarzegotała głośno. — Zgadza się, moje dziecko, on me dit, que vous avez pris froid. I hear, you have caught a cold. Wy, każetsja, prostudilis', słyszę, że pan się przeziębził? Po jakiemu mam z panem rozmawiać? Po niemiecku, już wiem. Ach, to przecież gość młodego Ziemssena, wiem już. Spieszę się do sali operacyjnej. Mamy tam takiego, który ma być zachloroformowany, a tymczasem objadł się sałatki z fasoli. Jak się tylko samej we wszystko nie wglądnie... A pan, moje dziecko, mówi, że się tutaj przeziębził?

Hans Castorp zdumiał się, słysząc tę paplaninę podstarzałej szlachcianki. Mówiąc, jak gdyby przechodziła do porządku nad swoimi własnymi słowami, okrągłymi, węzowymi ruchami zwracała niespokojnie głowę to tu, to tam, zadzierając nos do góry, jak to czynią drapieżne zwierzęta w klatce; jednocześnie poruszała rytmicznie w przegubie prawą ręką, pokrytą piegami, jak gdyby chciała powiedzieć: „Prędko, prędko! niech pan nie słucha tego, co mówię, ale niech pan sam mówi, żebym mogła już odejść!” Była to osoba lat około czterdziestu, niziutkiego wzrostu, niekształtna, ubrana w biały, przewiązany paskiem kliniczny fartuch, a na piersi jej widniał krzyżyk z granatów. Spod białego czepca wymykały się kosmyki rzadkich rudawych włosów; jasnoniebieskie oczy z zaczerwienionymi powiekami, z których

jedno zeszpecone było w dodatku dojrzewającym jęczmieniem, rzucały wkoło niepokojne spojrzenia; miała zadarty nos, żabie usta, a na domiar złego skrzywioną i wystającą dolną wargę, którą podczas mówienia poruszała jak szuflą. Pomimo to wszystko Hans Castorp przyglądał się jej z wrodzoną uprzejmością, skromnie, cierpliwie i ufnie.

— Cóż to za przeziębienie, hę? — spytała znowu starsza siostra, starając się przeszyć go na wylot oczami, co jej się jednak nie udało, bo uciekały jej w bok. — Nie lubimy takich przeziębień. Czy pan się często przeziębia? A pański kuzyn, czyż także się często tak nie przeziębiał? Ile pan ma lat? Dwadzieścia cztery? Ten wiek bywa skłonny. Więc pan tu przyjeżdża na górę i jest pan przeziębiony? Nam tutaj nie wolno mówić o „przeziębieniach”, moje drogie dziecko, to wszystko są bzdury z dołu. — (Słowo „bzdury” zabrzmiało w jej ustach jakoś wstrętne i dziwacznie, wydostając się z jej dolnej wargi jakby za pomocą szuflki.) — Pan ma wspaniałą katar dróg oddechowych, przyznaję, widać to od razu po pańskich oczach. — (I znowu spróbowała przeszyć go spojrzeniem, co jej się jednak niezupełnie powiodło.) — Ale katar nie pochodzi z zimna, lecz z infekcji, przeciwko której brak organizmowi odporności, i powstaje tylko pytanie, czy mamy tu do czynienia z infekcją niewinną, czy może mniej niewinną, a wszystko inne to bzdury. — (Znowu te straszliwe „bzdury”.) — Być może, że to coś zupełnie niewinnego — rzekła i spojrzała na niego swoim dojrzewającym jęczmieniem, sam nie wiedział jak. — Ma pan tutaj nieszkodliwy środek antyseptyczny. Może sprawi panu ulgę. — I z czarnej torby skórzanej, wiszącej u jej paska, wyjęła pudełeczko i położyła na stole. Był to formamint. — Zresztą wygląda pan na podnieconego, pewnie ma pan gorączkę. — I nie przestawała mu patrzeć prosto w oczy, chociaż wciąż nieco uciekającym w bok spojrzeniem.

— Czy mierzył pan sobie temperaturę?

Castorp zaprzeczył.

— Dlaczego? — zapytała wysunawszy pytająco swoją skrzywioną i wystającą dolną wargę... Milczał. Ten pocziwiec był jeszcze tak młody, zachowywał się jeszcze jak sztubak, który stoi w ławce, nic nie wie i milczy.

— Czy pan nigdy nie mierzy sobie temperatury?

— Owszem, proszę siostry. Kiedy mam gorączkę.

— Ależ, dziecko, trzeba wpierw zmierzyć, ażeby wiedzieć, czy się ma gorączkę. A teraz sądzi pan, że pan nie ma?

— Nie jestem pewien, proszę siostry; nie bardzo się w tym orientuję. Właściwie od samego przyjazdu tutaj jest mi gorąco i zimno jednocześnie.

— Aha! A gdzie jest pański termometr?

— Nie przywiozłem go, proszę siostry, bo przecież przyjechałem tu tylko z wizytą i jestem zdrowy.

— Bzdury! Czy pan mnie wezwał dlatego, że pan jest zdrowy?

— Nie — uśmiechnął się grzecznie Hans Castorp — ale dlatego, że się trochę...

— ...przeziębłem; takie przeziębienia widywaliśmy już tu w górze! — prze-  
rwała mu i zaczęła znowu grzebać w swojej torbie. Wyciągnęła z niej dwa podłużne futerały, czarny i czerwony, i położyła je również na stole. — Proszę! Ten kosztuje trzy franki pięćdziesiąt, a ten pięć franków. Ma się rozumieć, że lepszy jest ten za pięć. Jeżeli pan będzie się z nim należycie obchodził, starczy na całe życie.

Z uśmiechem wziął ze stołu czerwony futerałik i otworzył go. Ujrzał w nim termometr, lśniący jak klejnot; leżał w zagłębieniu z czerwonego aksamitu, doskonale dopasowanym do kształtu przyrządu. Całkowite stopnie były oznaczone czerwonymi, a dziesiętne czarnymi kresczkami. Cyfry były czerwone, a w dolnej zwężonej części błyszczała jak lustro rtęć. Słupek rtęci kończył się znacznie poniżej normalnego stopnia temperatury zwierzęcej.

Hans Castorp wiedział, co winien jest sobie i swojej reputacji.

— Biorę ten — rzekł nie otwierając nawet drugiego. — Ten za pięć franków. Czy mogę natychmiast...

— Zrobione! — zaskrzeczała siostra. — Nie należy oszczędzać na ważnych zakupach! Nie ma żadnego pośpiechu, wstawię to panu do rachunku. Niech no pan da, spuścimy najpierw rtęć do samego końca, o tak. — Wyjęła mu termometr z ręki, wstrząsnęła nim kilkakrotnie w powietrzu i w ten sposób zepchnęła słupek rtęci poniżej 35 stopni.

— Już sam się podniesie, już pójdzie do góry mercuriusz! — rzekła. — Niech pan weźmie swój nowy nabytek. Pan wie, jak się u nas z tym postępuje? Cztery razy dziennie na siedem minut pod szacowny język, a szanowne wargi trzymać dobrze zamknięte. Adieu, moje dziecko! Życzę pomyślnych wyników! — I wyszła z pokoju.

Hans Castorp, stojąc przy stole, uklonił się, a potem przez dłuższą chwilę patrzył na drzwi, za którymi znikła, i na instrument przez nią pozostawiony. „A więc to była siostra von Mylendonk — pomyślał. — Settembrini nie lubi jej i rzeczywiście ma ona swoje przykre strony. Ten jęczmień jest paskudny, zresztą zapewne ma go

przecież nie zawsze. Ale dlaczego mówi do mnie »dziecko«? To, dziwna poufałość. I ni stąd, ni zowąd sprzedała mi termometr. Zauważyłem, że miała ich kilka w torbie. Joachim powiedział mi, że tu wszędzie sprzedają termometry, we wszystkich sklepach, nawet tam, gdzie się tego można najmniej spodziewać. Ale nie musiałem się trudzić, sam wpadł mi w ręce”. Wyjął drobny przyrząd z futerału, obejrzał i zaniepokojony przeszedł z nim parę razy przez pokój. Serce biło mu szybko i mocno. Obejrzał się na otwarte drzwi od balkonu, potem zrobił krok w kierunku drzwi na korytarz, bo przyszła mu nagła chęć odwiedzenia Joachima, zatrzymał się jednak i znowu stanął przy stole, odchrząknawszy, aby wypróbować, czy jest zachrypnięty, przez co wywołał kaszel. „Tak, muszę zobaczyć, czy mam gorączkę z kataru” — rzekł i włożył termometr do ust, aby rtęć znajdowała się pod językiem. Termometr sterczał ukośnie w górę pomiędzy wargami, które szczelnie zacisnął, aby zahamować dopływ zewnętrznego powietrza. Potem spojrzął na zegarek, który nosił na ręce: było sześć minut po wpół do dziesiątej. I zaczął czekać, aż upłynie siedem minut.

„Ani jednej zbytecznej sekundy — myślał — i ani jednej za mało. Na mnie można polegać, nie trzeba mi dawać »niemowy«, jak tej Otylii Kneifer, o której opowiadał Settembrini”. I chodził po pokoju, przyciskając językiem termometr.

Czas upływał i dłużył się w nieskończoność. Kiedy spojrzął na zegarek, już w obawie, że przekroczy termin, okazało się, iż mierzy dopiero dwie i pół minuty. Robił tysiące rzeczy, brał różne przedmioty do ręki i odkładał z powrotem, wyszedł na balkon, nie ukazując się jednak Joachimowi, i przyglądając się krajobrazowi, tej górskiej dolinie, tak dobrze mu już znanej ze wszystkimi szczegółami: przed nim wznosiły się wierchy, granie i ściany skalne, z lewej strony grzbiet Brembühl z porastającymi jego stoki reglami opadał skośnie, niby kulisą, ku miasteczku; po prawej stronie formacje górskie, których nazwy były mu już również znane, i ściana Alteinu, zamykająca z jego punktu widzenia dolinę od południa; spoglądał w dół, na ścieżki i grządki w ogrodzie, na grotę skalną i jodłę; nastawił ucha na jakieś szepty dolatujące z ogólnej leżalni, po czym wrócił do pokoju, starając się poprawić termometr w ustach, wyciągnął rękę, aby w ten sposób zsunąć rękaw z zegarka, i przybliżył ją do twarzy. Z wysiłkiem, z trudem, mimo popychania i jakby przynaglania czasu, upłynęło zaledwie sześć minut. Ale ponieważ, stojąc teraz nieruchomo pośrodku pokoju, popadł w marzenia i puścił wodze myślom, przeto ostatnia minuta przemknęła się jakby na palcach, i nowy ruch ręki przekonał go, że niepostrzeżenie minęła; było nieco za późno, jedna trzecia ósmej minuty należała już do przeszłości. Hans Castorp pomyślał, że to nic nie szkodzi, że nie ma wpływu na wynik, szybkim ruchem wyrwał z ust termometr i spojrzął nań błędnym wzrokiem.



Nie od razu udało mu się odczytać temperaturę, bo blask rtęci łączył się z odbiciem światła od spłaszczonej rurki szklanej, i zdawało mu się już to, że słupek rtęci dochodzi do samej góry, już to znowu, że nie ma go wcale. Podnosił instrument do samych oczu, obracał na wszystkie strony i nic nie dostrzegał. Wreszcie natrafił na właściwą pozycję, obraz stał się wyraźny i Hans Castorp starał się nie stracić go z oczu i zgłębić znaczenie tego, co widzi. Rzeczywiście merkuriusz wydłużył się znacznie; słupek rtęci wznosił się dość wysoko i kończył się o kilka kresek powyżej granicy normalnej ciepłoty krwi. Hans Castorp miał 37,6.

Przed południem, pomiędzy dziesiątą a wpół do jedenastej, 37,6 — to było za dużo, to była „temperatura”, gorączka, jako skutek infekcji, na którą był nieodporny, i pozostawało pytanie, co to była za infekcja? 37,6 — więcej nie miał nawet Joachim, więcej nie miał tu nikt, kto nie był ciężko chory i nie leżał w łóżku jako skazany na śmierć, ani panna Kleefeld ze sztuczną odmą, ani... ani też Madame Chauchat. Naturalnie, u niego było to coś innego — zwykła gorączka z kataru, jak mówiono na równinie. Trudno było jednak teraz to odróżnić; Hans Castorp sądził, że mógł mieć już gorączkę, zanim się przeziębził, i musiał żałować, że nie zmierzył sobie temperatury zaraz po przyjeździe, jak to mu radził radca Behrens. Teraz okazało się, że rada ta była zupełnie rozsądna, a Settembrini niesłusznie śmiał się z niej tak ironicznie — ten Settembrini ze swoją republiką i pięknym stylem. Hans Castorp gardził republiką i pięknym stylem, wciąż badając termometr, aby dobrze wiedzieć, co wskazuje; miał znowu trudności z odczytaniem temperatury i dopiero obracając termometr na wszystkie strony, dostrzegł wyraźnie: 37,6 i to wcześniej przed południem!

Hans Castorp był wzburzony. Przeszedł się parę razy po pokoju, trzymając termometr poziomo w rękę, aby przez przypadkowe pionowe wstrząśnienia nie obniżyć rtęci, potem z wszelkimi ostrożnościami położył go na umywalni, wziął palto i koce i wyszedł na balkon. Usiadłszy na leżaku, wprawna ręką owinął się z dołu i z bolców kocami, naprzód jednym, potem drugim i położył się nieruchomo, oczekując pory drugiego śniadania i przyjścia Joachima. Czasami uśmiechał się, ale tak jakby do kogoś. Czasami pierś jego podnosiło drżące westchnienie i wtedy kaszel wyrywał się z jego zakatarzonej piersi.

Joachim, który o jedenastej, z uderzeniem gongu, zaszedł do niego, aby zejść razem z nim na śniadanie, zastał go jeszcze w pozycji leżącej.

— No więc? — zapytał zdziwiony, stając przy jego leżaku...

Hans Castorp milczał jeszcze przez chwilę i patrzył przed siebie; potem odezwał się:

— Chcesz usłyszeć nowinę? Mam trochę podwyższoną temperaturę.

— Co to ma znaczyć? — zapytał Joachim. — Czy czujesz, że masz gorączkę?

Hans Castorp znowu nie od razu odpowiedział, po chwili rzekł z wolna:

— Mój drogi, gorączkę czuję już od dawna, właściwie przez cały czas. Ale teraz nie chodzi o subiektywne odczuwanie, ale o obiektywne stwierdzenie. Właśnie mierzyłem sobie temperaturę.

— Mierzyłeś?! Czym?! — zawołał Joachim z przestraszeniem.

— Rozumie się, że termometrem — odparł Hans Castorp, ironicznie i trochę surowo. — Kupiłem od starszej siostry. Nie rozumiem, dlaczego ona ciągle mówi „moje dziecko”, uważam, że to jest nie na miejscu. Ale sprzedała mi w pośpiechu doskonały termometr, a jeżeli chcesz się przekonać, ile wskazuje, to zobacz, leży tam na umywalni. Bardzo nieznaczne podwyższenie.

Joachim odwrócił się na pięcie i wszedł do pokoju. Kiedy wrócił, rzekł z pewnym wahaniem:

— Tak, tu jest 37 i 5 ½ dziesiątych.

— To znaczy, że trochę opadło — odpowiedział szybko Hans Castorp. — Było trzydzieści siedem sześć.

— W każdym razie nie można tego nazwać nieznacznym podwyższeniem, bo zważ, że mierzyłeś przed południem — mówił Joachim. — To ładna historia — powiedział i stanął obok leżaka kuzyna w pozycji odpowiadającej tej „ładnej historii”, z rękami wspartymi na biodrach i z pochyloną głową. — Będziesz się musiał położyć.

Hans Castorp miał na to przygotowaną odpowiedź.

— Nie widzę powodu, dla którego miałbym z temperaturą 37,6 leżeć w łóżku, podczas gdy ty i wielu innych chodzicie z nią.

— Z nami jest inna sprawa — odpowiedział Joachim. — Twoja choroba jest ostra i niewinna. Masz gorączkę z kataru.

— Po pierwsze — odparł Hans Castorp, podzieliwszy swoją przemowę na „po pierwsze” i „po drugie” — nie pojmuję, dlaczego z gorączką niewinną — założmy, że taka w ogóle istnieje — należy leżeć w łóżku, a z inną można chodzić. A po drugie, tłumaczę ci przecież, że już przed kataru czułem gorączkę. Stoję na stanowisku — zakończył — że 37,6 równa się 37,6. Jeżeli wy możecie chodzić z taką temperaturą, to i ja mogę.

— Ależ ja po przyjeździe musiałem cztery tygodnie przeleżeć — powiedział

Joachim — i pozwolono mi wstać dopiero wtedy, kiedy się okazało, że pomimo leżenia w łóżku temperatura się utrzymuje.

Hans Castorp uśmiechnął się.

— No więc? — zapytał. — Myślałem, że u ciebie to było coś innego. Widzę, że wikłasz się w sprzeczności. Najpierw mówisz o różnicy, a potem znowu stawiasz na równi. To wszystko są bzdury...

Joachim odwrócił się gwałtownie, a kiedy znów spojrział na kuzyna, jego opalona twarz była jeszcze o ton ciemniejsza.

— Nie — rzekł — niczego nie stawiam na równi, to ty bałamucisz. Uważam tylko, że jesteś silnie przeziębiony, słyhać to w twoim głosie, i powinienes się koniecznie położyć, żebyś jak najszybciej wyzdrowiał, bo przecież na przyszły tydzień chcesz jechać! Jeżeli jednak nie chcesz — to znaczy, jeżeli nie chcesz się położyć, to rób, co chcesz. Nie myślę cię krępować. Bądź co bądź teraz musimy iść na śniadanie. Śpiesz się, bo już się spóźniliśmy.

— Dobrze, jazda! — zawołał Hans Castorp i odrzucił koce. Wszedł do pokoju, aby przygładzić sobie włosy, a jednocześnie obserwował z boku Joachima, który znowu wziął termometr do ręki. Potem zeszli w milczeniu na dół i zajęli swe miejsca w jadalni, gdzie, jak zwykle o tej porze, było białe od mleka.

Kiedy karlica przyniosła piwo, Hans Castorp rzekł jej z pełną powagi rezygnacją, że dzisiaj woli nie pić piwa, że w ogóle nic pić nie będzie, nie, dziękuje, co najwyżej jeden łyk wody. Wszyscy zwrócili na to uwagę. Jak to? Cóż to znaczy? Dlaczego nie piwo? — Hans Castorp oznajmił, że ma trochę podwyższoną temperaturę. 37,6. Nic straszego.

Wtedy zaczęli wygrażać mu palcami — jakoś bardzo dziwnie. Uśmiechali się szelmowsko, przechylali głowy, mrużyli jedno oko i wznosili wskazujące palce do wysokości ucha, jak gdyby ktoś, kto dotychczas udawał niewiniątko, dał nagle powód do wielce pikantnych posądzeń.

— Ale też z pana! — rzekła nauczycielka, grożąc mu z uśmiechem, i puszek na jej policzkach zaróżowił się. — Ładne historie słyszemy tutaj, nie ma co mówić. No, no, no!

— Ho, ho — powiedziała nagle pani Stöhr i pogroziła mu, przykładając do nosa swój krótki, czerwony paluch. — Nagle t e m p u s u pana gościa. Dobry z pana jegomość, zabawny pasażer. — Nawet stara ciotka z drugiego końca stołu, kiedy wieść do niej dotarła, pogroziła mu zartobliwie i chytrze; śliczna Marusia, która dotychczas prawie nie zwracała na niego uwagi, pochyliła się ku niemu, spojrziała

swymi okrągłymi brązowymi oczami i także pogroziła mu palcem, przyciskając do ust chusteczkę z pomarańczowym zapachem; dr Blumenkohl, któremu pani Stöhr opowiedziała, o co chodzi, również nie mógł się powstrzymać od powszechnego gestu, nie patrząc jednak przy tym w stronę Hansa Castorpa, i tylko miss Robinson pozostała zimna i nieczuła, jak zwykle. Joachim siedział ze skromnie spuszczonejmi oczami.

Hansowi Castorpowi schlebiało to, że się tak z nim przekomarzano, sądził jednak, że powinien skromnie zaprzeczyć.

— Nie, nie — powiedział — państwo się mylą, mój przypadek jest najniewinniejszy w świecie, mam katar. Przecież państwo widzą: oczy mi łzawią, krtań mam zaflegmioną, pół nocy kaszlę bez przerwy, bardzo niemiła choroba... — Ale nie przyjęto jego usprawiedliwień, śmiano się nadal i wymachując rękami, wołano:

— Tak, tak, gadanie, wymówki, gorączka z kataru, znamy się na tym! — A potem wszyscy naraz zażądali, żeby Hans Castorp natychmiast dał się zbadać. Wszystkich poruszyła ta wiadomość; pomiędzy wszystkich siedmiu stołów, przy tym stole drugie śniadanie upływało w najbardziej ożywionym nastroju. Szczególnie pani Stöhr z kryzą na szyi i z twarzą czerwoną i głupią, pocętkowaną licznymi skazami, była wprost dziko rozmowna i rozwodziła się nad przyjemnością kaszłania — tak, mówiła, jest w tym coś wielce zabawnego i przyjemnego, kiedy w głębi piersi odczuwa się coraz silniejsze łechtanie i kiedy skurcz sięgnąć musi tak głęboko, aby sprostać sile bodźca. Podobnie ma się rzecz z kichaniem: chęć kichnięcia wzmagą się najpierw gwałtownie, staje się nie do pokonania, z oszołomioną miną wykonuje się kilka wdechów i wydechów, po czym następuje rozkoszna kapitulacja i błogosławiony wybuch każe na chwilę zapomnieć o bożym świecie. A czasami kicha się po dwa lub trzy razy z rzędu. To rozkosze życia, które się ma za darmo; miło jest też na przykład na wiosnę drapać się w odmrożone miejsca, które łechcą tak słodko — drapać się namiętnie i z pewnym okrucieństwem, aż do krwi, z wściekłością i z rozkoszą, a jeżeli się wówczas spojrzy przypadkiem w lustro, dostrzeże się w nim twarz diabelsko wykrzywioną.

Niekulturalna pani Stöhr wdawała się w tak wstrętny sposób w tego rodzaju szczegóły przez cały ciąg krótkiego, ale obfitego posiłku. Wstawszy od stołu, obaj kuzyni udali się na drugą przedobiednią przechadzkę w dół do Uzdrowiska. Joachim był zamyślony, a Hans Castorp, dręczony katarem, stękał, chrząkał i kaszlał z głębi chorej piersi. W powrotnej drodze odezwał się Joachim.

— Chcę ci coś zaproponować. Dzisiaj jest piątek — na jutro po obiedzie przypada moja miesięczna wizyta lekarska; ale nie będzie to generalne badanie. Behrens

trochę mnie opuka i podyktuje Krokowskiemu kilka uwag. Mógłbyś pójść ze mną i poprosić, żeby za jednym zamachem i ciebie szybko zbadano. Przecież to nie ma sensu — gdybyś był w domu, wezwałbyś Heidekinda, a tutaj, gdzie mieszkasz pod jednym dachem z dwoma specjalistami, chodzisz po świecie, nie wiedząc, co ci właściwie jest, jak głęboko to w tobie tkwi i czy nie należałoby się położyć do łóżka.

— Dobrze — odpowiedział Hans Castorp. — Zrobię, jak chcesz. — Naturalnie, mogę dać się zbadać. A przy tym będzie dla mnie rzeczą interesującą asystować raz przy wizycie.

Tak więc umówili się; a kiedy doszli już do sanatorium, przypadek zrządził, że spotkali się z radcą Behrensem, mogli więc na miejscu przedstawić mu swoją prośbę.

Behrens wyszedł właśnie z bramy, długi, z grubym karkiem, w sztywnym kapeluszu zsuniętym na tył głowy i z cygarem w ustach. Jak zwykle miał sine policzki i załzawione oczy. Opuścił właśnie salę operacyjną i śpieszył na wizyty prywatne.

— Uszanowanie panom! — zawołał. — Ciągłe w kieracie? Musiało być pięknie na dole w eleganckim świecie! Wracam właśnie z nierównego pojedynku na nóż i piłkę kostną. Poważna operacja — resekcja żeber. Dawniej pięćdziesiąt procent operowanych zostawało przy tym na tutejszym stole. Teraz udaje się nam lepiej; ale jeszcze często zdarza się, że trzeba mortis causa przedwcześnie związać manatki. Ten dzisiaj nie psuł zabawy... trzymał się na razie bardzo dzielnie... Zabawna rzecz taka klatka piersiowa, która nią właściwie już nie jest. Miękkie to, brzydkie — lekkie przesunięcie pojęcia, że się tak wyrażę. No, a panowie? Jak szanowne zdróweczko? Przyjemnie tak we dwóch, co, Ziemssen, stary spryciarzu? Ale dlaczego właściwie pan płacze, panie turysto? — zwrócił się nagle do Hansa Castorpa. — Publicznie nie wolno u nas płakać. Taka reguła. Każdy mógłby przyjść i beczeć!

— To katar, panie radco — odparł Hans Castorp. — Nie wiem, jakim sposobem nabawiłem się potężnego kataru. Kaszlę także i czuję ciężar na piersiach.

— Tak? — rzekł Behrens. — Powinien pan się poradzić jakiegoś dobrego lekarza.

Obaj roześmieli się, a Joachim odpowiedział, stuknąwszy po żołniersku obcasami:

— Właśnie mamy ten zamiar. Jutro przypada moje badanie i chciałem zapytać, czy pan radca nie byłby łaskaw obejrzeć równocześnie mojego kuzyna. Chodzi o to, czy we wtorek będzie mógł wyjechać...

— Zet te! — odpowiedział Behrens. — Zet te zet pe! Zrobimy to z przyjemnością! Już dawno należało to uczynić. Jeśli ktoś jest już tutaj, powinien i temu się poddać. Ale, naturalnie, nie mogłem się narzucać. A więc jutro o drugiej, prosto od złobu...

— Mam także lekką gorączkę — dodał jeszcze Hans Castorp.

— Co pan mówi! — zawołał Behrens. — Pan myśli, że to dla mnie coś nowego? Nie mam oczu w głowie, czy co? — I wskazał swoim olbrzymim palcem na przekrwione, zażawione oczy z siecią niebieskich żyłek. — Ile pan ma?

Hans Castorp skromnie wymienił cyfrę.

— Przed południem? Hm, wcale nieźle. Jak na początek wykazuje pan niezgorsze zdolności. No, więc razem jutro o drugiej! Będę nad wyraz szczęśliwy. Przyjemnego trawienia! — Zginając nogi w kolanach i wiosłując rękami, puścił się drogą w dół; długa smuga dymu z cygara znaczyła ślad jego kroków.

— Widzisz, stało się według twego życzenia — rzekł Hans Castorp. — Lepiej nie mogło się zdarzyć, zapowiedziałem się już. Nie będzie on mógł wiele mi pomóc, przepisze mi może jakiś syrop lukrecjowy albo ziółka na kaszel, ale przecież jest przyjemnie mieć trochę pomocy lekarskiej w stanie, w jakim się znajduję obecnie. Tylko dlaczego wszystko, co on mówi, jest zawsze tak rubaszne! Z początku bawiło mnie to, ale teraz już mi się sprzykrzyło. Na przykład, życzenie przyjemnego trawienia — cóż to za sposób wyrażania się! Nie podoba mi się także, że on pali, niepokoi mnie to, bo wiem, że palenie nie służy mu i przyprawia go o melancholię. Settembrini powiedział, że jego wesołość jest wymuszona, a Settembrini to krytyk, ma niezawodny sąd o rzeczy, to trzeba mu przyznać. Powinienem może także dbać o samodzielność sądu, a nie brać wszystkiego tak, jak jest — on ma pod tym względem rację. Czasami jednak zaczyna się od osądzania, nagany i od słusznego gniewu, a potem nagle zjawia się coś zupełnie innego, nie mającego nic wspólnego z sądzeniem, i wtedy surowa ocena moralna pozostaje gdzieś w tyle, a republika i piękny styl budzą tylko niesmak...

Zaczął coś mruzczyć niewyraźnie i zdawało się, że sam dobrze nie wie, o co mu chodzi. Joachim spojrział nań tylko z boku i powiedział „do widzenia”, po czym każdy z nich udał się do swego pokoju i na swój balkon.

— Ile? — zapytał z cicha po chwili Joachim, chociaż nie widział, że Hans Castorp znowu mierzył sobie temperaturę. A ten odpowiedział obojętnym tonem:

— Nic nowego.

Rzeczywiście, zaraz po przyjsciu wziął z umywalni swój wytworny nowy naby-

tek, wstrząsając go pionowo strzepnął owe 37,6, których rola była już skończona, i udał się na balkon ze szklanym cygarem w ustach, jak stary bywalec. Ale na przekór zbyt daleko idącym przewidywaniom i chociaż trzymał termometr przez całe osiem minut, merkuriusz nie wzniósł się wyżej i wskazał znowu 37,6 — co było jednak gorączką, choć nie większą, niż miał przed południem. Po obiedzie błyszczący słupek podniósł się do 37,7, a wieczorem, kiedy pacjent czuł się już bardzo zmęczony wzruszeniami i niespodzianymi perypetiami dnia, pokazał 37,5. Następnego ranka tylko 37, a koło południa temperatura osiągnęła wczorajszą wysokość. Tak nadszedł główny posiłek i wybiła godzina naznaczonego rendez-vous.

Hans Castorp przypomniał sobie później, że podczas tego obiadu Madame Chauchat miała na sobie złotawożółty sweter z wielkimi guzikami i oblamowanymi kieszeniami, który, przynajmniej dla Hansa Castorpa, był nowy i w którym, po spóźnionym jak zwykle wejściu do sali, swoim dobrze Hansowi Castorpowi znanym zwyczajem zaprezentowała się współbiednikom. Potem prześliznęła się, jak to czyniła pięć razy dziennie, do swojego stołu, miękkim ruchem opuściła się na krzesło i gawędząc zabrała się do jedzenia. Hans Castorp uważniej niż dotychczas przyglądał się ruchom jej głowy, towarzyszącym rozmowie, i kierując wzrok na lepszy stół rosyjski, poprzez sylwetkę Settembriniego, który siedział przy końcu jednego z poprzecznie ustawionych stołów, na nowo zauważył okragłość jej karku i pochylenie pleców.

Pani Chauchat ani razu podczas jedzenia nie obejrzała się poza siebie. Nastąpiło to jednak po deserze, kiedy wielki zegar wahadłowy, stojący pod wąską ścianą jadalni, tam gdzie znajdował się również gorszy stół rosyjski, wybił godzinę drugą. Podczas gdy zegar wydzwaniał tę godzinę — raz, dwa — ku niepojętemu wzruszeniu Hansa Castorpa uroczą pacjentka powoli odwróciła głowę, a nawet trochę i górną część tułowia, i spojrzała przez ramię wyraźnie i jawnie w stronę jego stołu — i to nie w ogóle w stronę stołu, ale niedwuznacznie i zupełnie osobiście na niego. Dokoła zamkniętych ust i w jej wąsko wykrojonych oczach Przybysława igrał uśmiech, jak gdyby chciała zapytać: „A więc? Już czas. Czy idziesz?” (Bo gdy mówią tylko oczy, rozmowa toczy się przecież na „ty”, nawet wtedy, kiedy usta nie powiedziały jeszcze nawet „pan”). Hans Castorp zdumiony i zmieszany tym zdarzeniem, ledwie wierzył swym zmysłom, i na wpół przytomnie spojrzał prosto na panią Chauchat, a potem, wznosząc oczy, poprzez jej czoło i włosy w przestrzeń. Czyżby wiedziała, że na godzinę drugą miał zamówioną wizytę? Zupełnie tak wyglądało. A jednak było to prawie tak samo nieprawdopodobne, jak to, by wiedziała, że przed chwilą właśnie namyślał się, czyby nie dać znać Behrensowi przez Joachima, że jego przeziębienie już mija i że wizytę swoją uważa za zbyteczną. Pod wpływem

pytającego uśmiechu pani Chauchat zalety tego pomysłu znikły nagle. W następnej sekundzie Joachim położył już na stole zwiniętą serwetkę, dał mu znak oczami, skłonił się sąsiadom i skierował się ku wyjściu — a za nim poszedł Hans Castorp, krokiem pozornie pewnym, ale pełen wewnętrznego wahania; miał przy tym uczucie, że tamto spojrzenie i tamten uśmiech odprowadzają go aż do drzwi.

Od wczorajszego przedpołudnia rano nie rozmawiali już o tym, co ich dzisiaj czeka, i teraz też szli jakby w milczącym porozumieniu. Joachim śpieszył się. Było już po oznaczonej godzinie, a radca Behrens wymagał punktualności. Wyszedłszy z jadalni minęli parterowy korytarz z lokalem „Zarządu” i po lśniących schodach, wyłożonych woskowanym linoleum, zeszli do niższej kondygnacji. Joachim zastukał do drzwi, znajdujących się na wprost schodów, na których widniała tabliczka z napisem „Pokój ordynacyjny”.

— Pro-szę! — zawołał radca Behrens, silnie akcentując pierwszą zgłoskę. Stał w fartuchu pośrodku pokoju; w prawej ręce trzymał czarną słuchawkę i uderzał się nią po udzie.

— Tempo, tempo — rzekł i łzawiącymi oczami spojrzał na zegar ścienny. — Un poco più presto, Signori!\* Nie jesteśmy tutaj wyłącznie dla jaśnie wielmożnych panów.

Przy podwójnym biurku pod oknem siedział dr Krokowski, blady w swym czarnym fartuchu, z łokciami opartymi o blat; w prawej ręce trzymał pióro, lewą zanurzył w brodzie, a przed nim leżały papiery, prawdopodobnie historia choroby. Na wchodzących spojrzał tępym wzrokiem i miał przy tym wyraz twarzy człowieka, który jest obecny jedynie w charakterze asystenta.

— No, jakaż tam konduita? — zawołał radca Behrens w odpowiedzi na usprawiedliwianie się Joachima i wyjął mu z ręki wykres gorączki; podczas gdy przypatrywał się krzywej, pacjent pośpiesznie rozbierał się do połowy i wieszał ubranie na wieszaku, stojącym obok drzwi. O Hansa Castorpa nikt się nie troszczył. Przez chwilę stał przypatrując się, a później usiadł w staromodnym foteliku z frędzelkami zwieszającymi się z poręczy, obok małego stolika z karafką wody. Dokoła ścian stały szafy z grubymi tomami dzieł medycznych i fascykułami aktów. Z mebli był tu tylko obciążony białą ceratą szezlong, który można było podśrubować w górę lub opuścić w dół; poduszka tego szezlongu okryta była papierową serwetką.

— 7 dziesiątych, 9 dziesiątych, 8 dziesiątych — mówił Behrens, przerzucając karty tygodniowe, na których Joachim skrupulatnie zapisywał rezultaty pięciu codziennych pomiarów temperatury... — Wciąż jeszcze to oszołomienie, mój drogi.

\* Un poco più presto, Signori! (wł.) — Trochę szybciej, panowie!



Nie widzę poprawy w stosunku do tego, co było tu kiedyś („Tu kiedyś” — było przed czterema tygodniami). Jeszcze tkwią w panu te jady, jeszcze ciągle. No, to przecież nie da się zrobić z dnia na dzień; czarować i my nie umiemy.

Joachim przytakiwał i potrzasał gołymi ramionami, chociaż byłby mógł zauważyć, że przecież znajduje się tutaj nie od wczoraj.

— Co słyhać z kłuciem w okolicy prawej wnęki, gdzie ton był zaostrozony? Lepiej? No, niech się pan zbliży, trzeba będzie grzecznie do pana zapukać. — I rozpoczęła się auskultacja.

Radca Behrens rozstawił szeroko nogi, przechylił się w tył i trzymając słuchawkę pod pachą, pukał z początku u góry koło prawego barku Joachima, pukał olbrzymim środkowym palcem prawej ręki, poruszając ją w przegubie, podkładając lewą rękę pod ten naturalny młoteczek. Następnie zszedł w dół, poniżej łopatki, i opukiwał środkową i dolną partię pleców z boku, po czym Joachim, dobrze już wyszkolony, podniósł rękę, aby dać się opukać także pod pachą. Z kolei powtórzyło się to wszystko po lewej stronie. Skończywszy, Behrens zawołał: „Obrócić się!” i zabrał się do opukiwania piersi. Zaczął pod samą szyją obok obojczyków, opukał górną i dolną część piersi, najpierw z prawej, później z lewej strony. Kiedy napukał się do syta, przeszedł do wysłuchiwania, przykładając ucho do jednego końca słuchawki, a drugi jej koniec przyciskając kolejno do wszystkich miejsc, które przedtem opukiwał. Joachim musiał przy tym na przemian głęboko oddychać i sztucznie kaszleć, co go widocznie bardzo zmęczyło, bo się zadyszał i oczy zaszyły mu łzami. Radca Behrens wszystko, co tam wewnątrz wysłuchał, dyktował siedzącemu za biurkiem asystentowi w krótkich i umownie ustalonych słowach, tak że Hans Castorp mimo woli przypominał sobie ów dobrze znany proceder u krawca, kiedy to elegancko ubrany pan bierze klientowi miarę na ubranie, przykładając mu w tradycyjnej kolejności do tułowia i kończyn taśmę metrową, i pochylonemu nad stołem pomocnikowi dyktuje odczytane cyfry. „Krótki”, „skrócony” — dyktował radca Behrens. „Pęcherzykowy” — powiedział i powtórzył (to było widocznie pomyślne). „Szorstki” — powiedział i skrzywił się. „Bardzo szorstki”. „Szmer”. A dr Krokowski wszystko zapisywał, jak pomocnik krawca zapisuje liczby. Hans Castorp, zamysłony i z przechyloną w bok głową, przyglądał się torsowi Joachima, którego żebra (miał je jeszcze na szczęście) podczas głębokiego oddychania wznosiły się pod naprężoną skórą wysoko ponad jamę wciągniętego brzucha — temu smukłemu, brązowemu, smągłemu młodzieńczemu torsowi, porośniętemu ciemnymi włosami na mostku i mocnych zresztą rękach, z których jedna ozdobiona była złotą łańcuszkową bransoletką. To są ręce gimnastyka, myślał Hans Castorp. On zawsze chętnie

się gimnastykował, podczas gdy ja nie miałem do tego ochoty; u niego szło to w parze z zamiłowaniem do służby wojskowej. On zawsze przywiązywał znaczenie do zdrowia fizycznego, o wiele większe niż ja, a w każdym razie innego rodzaju; bo ja byłem zawsze cywilem i mnie chodziło głównie o ciepłą kąpiel, smaczne jedzenie i picie, a jemu o to, by sprostać wymaganiom i zadaniom męskości. A teraz w taki zupełnie inny sposób ciało stało się u niego czymś najważniejszym, usamodzieliło się i wystąpiło poniekąd na pierwszy plan, a mianowicie przez chorobę. Ma stany gorączkowe i nie może wyzdrowieć, chociaż tak bardzo chciałby być już znowu żołnierzem tam na nizinie. Zbudowany jest według wszelkich prawideł, istny Apollo Belwederski — z wyjątkiem włosów. Ale wewnątrz jest chory, a zewnątrz zbyt ciepły; bo choroba czyni człowieka czymś bardziej cielesnym, czyni go samym tylko ciałem... Pomyślawszy to, Hans Castorp przeraził się; oderwał wzrok od nagiego torsu Joachima i spojrzał na jego oczy, wielkie, czarne i łagodne oczy, które łzawiły od sztucznego oddychania i kaszlu i smutno patrzyły teraz poprzez obecnych gdzieś w przestrzeń. Tymczasem radca Behrens skończył badanie.

— No, jest dobrze, Ziemssen — powiedział. — Wszystko, o ile to możliwe, w porządku. Następnym razem (to znaczy za miesiąc) znowu pewno będzie wszędzie trochę lepiej.

— Jak długo, myśli pan radca, że...

— Pan mnie już znowu chce przynaglać? Przecież nie może pan w stanie takiego podniecenia ćwiczyć swych żołnierzy! Pół roku — powiedziałem ostatnio, więc ostatecznie niech pan się tego trzyma, ale proszę to uważać za minimum. Zresztą, nie jest panu tutaj źle, przecież pan nie będzie nieuprzejmy. Przecież to nie bagno ani syberyjska kopalnia. A może pan myśli, że właśnie coś w tym rodzaju? No dobrze, Ziemssen! Odejść! Kto tam ma jeszcze ochotę? — zawołał i spojrzał w górę. Wyciągnąwszy rękę, podał przy tym słuchawkę drowi Krokowskiemu, który wstał i odebrał ją, aby przeprowadzić u Joachima małe asystenckie badanie dodatkowe.

Hans Castorp również zerwał się z miejsca i utkwivszy wzrok w twarzy radcy Behrensa, który stał jakby zamyślony, z szeroko rozstawionymi nogami i otwartymi ustami, zaczął się pośpiesznie rozbierać. Gorączkował się i nie od razu udało mu się ściągnąć przez głowę kolorową koszulę z mankietami. A potem stanął przed Behrensem — biały, jasnowłosy i wąski w ramionach; był zbudowany o wiele bardziej po cywilnemu niż Joachim Ziemssen.

Ale radca dworu nie zważał na niego, wciąż jeszcze pograżony w myślach. Dr

Krokowski usiadł z powrotem i Joachim już się ubierał, kiedy Behrens zdecydował się wreszcie zauważyć osobnika, który „miał jeszcze ochotę...”

— Ach tak, więc teraz kolej na pana! — rzekł, olbrzymią ręką schwycił Hansa Castorpa za ramię, ustawił go przed sobą i bacznie mu się przyglądał. Nie w twarz mu patrzył, jak zwykle patrzy się na człowieka, ale na ciało; odwrócił go, tak jak się odwraca martwy przedmiot, i przypatrzył się jego plecom. — Hm! — powiedział. — Zobaczmy, jak pan się przedstawia. — I zaczął opukiwać jak poprzednio.

Opukiwał te same miejsca co przedtem u Joachima i często powracał do raz już zbadanych punktów. Przez czas dłuższy pukał na przemian, w celu porównania, u góry z lewej strony koło obojczyka i nieco niżej.

— Słyszysz pan? — zapytał dra Krokowskiego... I dr Krokowski, siedząc przy biurku w odległości pięciu kroków, skinął głową na znak, że słyszy: poważnie opuścił podbródek na piersi, aż końce przyciśniętej brody wygięły się ku górze.

— Oddychać głęboko! Kaszleć! — komenderował radca dworu, słuchając teraz za pomocą słuchawki; i Hans Castorp pracował ciężko przez osiem, a może dziesięć minut. Behrens badał go w milczeniu, to tu, to tam przykładając słuchawkę, specjalnie uważnie badając opukane poprzednio miejsca. Potem wsunął instrument pod pachę, skrzyżował ręce na plecach i utkwiał wzrok w podłogę, między siebie a Hansa Castorpa.

— Tak, Castorp — odezwał się, pierwszy raz nazywając młodzieńca po prostu nazwiskiem — praeter propter rzecz ma się tak, jak to zawsze przewidywałem. Podejrzewałem pana, teraz mogę to panu powiedzieć, od samego początku, kiedy spotkał mnie niezasłużony zaszczyt poznania się z panem. Już wtedy wiedziałem prawie na pewno, że pan, Castorp, w cichości jest jednym z naszych i że pan jeszcze dojdzie do wniosku, jak już niejedyn z tych, którzy przyjeżdżali tu dla przyjemności i zadzierali nosa, iż zrobiłby pan dobrze — i nie tylko „dobrze by pan zrobił”, proszę mnie należycie rozumieć — gdyby się pan zatrzymał u nas dłużej nie dla samego zaspokojenia bezinteresownej ciekawości.

Hans Castorp zbladł, a Joachim, który właśnie zapinał szelki, znieruchomiał i słuchał uważnie.

— Pan ma tu tak miłego, sympatycznego kuzyna — ciągnął radca dworu, wskazawszy ruchem głowy na Joachima i kołysząc się na końcach palców i obcasach — który prawdopodobnie już niezadługo będzie mógł powiedzieć, że był kiedyś chory; ale nawet kiedy to już nastąpi, zawsze będzie człowiekiem, który był jednak chory, ten pana kuzynek; a to a priori, jak powiada mędrzec — rzuca także na pana, mój drogi, pewne światło...

— On jest tylko moim przyrodnim kuzynem, panie radco.

— No, no, pan chyba nie ma zamiaru wypierać się swego kuzyna. Rodzony czy przyrodni, zawsze jednak macie wspólną krew. Z jakiej strony kuzyn?

— Ze strony matki. On jest synem przyrodniej...

— A mamusia pańska ma się dobrze?

— Nie żyje. Umarła, kiedy byłem jeszcze dzieckiem.

— O, a dlaczego?

— Na skrzep, panie radco.

— Skrzep? Ale to dawne dzieje. A ojciec pański?

— Ojciec umarł na zapalenie płuc — odpowiedział Hans Castorp — a dziadek także — dodał.

— Tak, i dziadek także? No, tyle o pańskich przodkach. A co się pana tyczy, to zapewne zawsze był pan niedokrwisty? Ale jest pan dość wytrzymały na fizyczne i umysłowe zmęczenie? Nie bardzo? I miewa pan bicia serca? Dopiero od niedawna? Dobrze. A poza tym ma pan oczywiście silną skłonność do katarów dróg oddechowych. Czy wie pan, że pan już przedtem był chory?

— Ja?

— Tak, mam na myśli pana we własnej jego osobie. Czy słyszy pan różnicę? — I radca Behrens zaczął pukać na przemian u góry z lewej strony koło obojczyka i nieco niżej.

— Tam dźwięk jest trochę bardziej przytłumiony niż tutaj — rzekł Hans Castorp.

— Doskonale. Pan powinien by zostać specjalistą. Mamy więc tutaj przytłumienie, a przytłumienia pochodzą z miejsc, gdzie już nastąpiło zwapnienie, zabliznienie, jeżeli pan woli. Pan jest już od dawna pacjentem, Castorp, ale nie chcemy nikomu brać za złe, że pan o tym nie wiedział. Wczesna diagnoza jest rzeczą trudną — szczególnie dla panów kolegów na równinie. Nie chcę przez to powiedzieć, że mamy bardziej wyrobiony słuch, chociaż i to dzięki specjalnej wprawie jest możliwe. Ale powietrze tutejsze, uważa pan, rozrzedzone i suche, pomaga nam w wysłuchiwaniu.

— Zapewne, naturalnie — rzekł Hans Castorp.

— Pięknie, Castorp. A teraz, mój chłopcze, niech pan słucha uważnie, bo wypowiem kilka złotych myśli. Gdyby chodziło jedynie o te stłumienia i blizny pańskiego organu Eola, a także o te zwapnienia, odesłałbym pana do jego larów i pena-

tów i nie zaprzętałbym sobie panem głowy — rozumie pan? Ale w tym stanie rzeczy i w połączeniu z ogólnym wynikiem badania, i ponieważ pan już tu jest — to nie warto panu wracać do domu, bo niedługo i tak by pan musiał do nas przyjechać.

Hans Castorp znowu poczuł, że krew mu napływa do serca, tak iż zaczęło walić jak młotem, a Joachim stał wciąż nieruchomo, z rękami przy tylnych guzikach i z oczami w dół spuszczoneymi.

— Bo oprócz przytłumionych dźwięków — rzekł radca Behrens — ma pan też szorstki ton tam z lewej strony u góry, który jest już prawie szmerem i pochodzi na pewno z nowego miejsca — nie chcę jeszcze mówić o ognisku rozmiękczenia, ale bądź co bądź jest to wilgotne miejsce, a jeżeli powróci pan, mój drogi, tam na dole do dawnego trybu życia, to straci pan jak nic cały płąt płuca.

Hans Castorp nie ruszał się. Kąty ust drgały mu dziwnie i wyraźnie było widać bicie jego serca o żebra. Spojrzał na Joachima, ale nie spotkał jego wzroku, a potem na twarz radcy Behrensa, z sinymi policzkami, z sinawoniebieskimi łzawiącymi oczami i z wąsikami, niesymetrycznie z jednej strony w górę uniesionym.

— Jako dowód obiektywny — ciągnął Behrens dalej — mamy tu jeszcze pańską temperaturę: 37,6 o dziesiątej rano, to zgadza się mniej więcej z akustycznymi spostrzeżeniami.

— Myślałem — rzekł Hans Castorp — że ta gorączka pochodzi z kataru.

— A katar? — zapytał radca... — Skąd pochodzi katar? Pozwoli pan, że panu coś opowiem, Castorp, i niech pan dobrze uważa; o ile wiem, rozporządza pan dostateczną ilością zwojów mózgowych. A więc myśli pan, że tutejsze powietrze jest skuteczne przeciwko chorobie? Tak jest w rzeczywistości. Jest ono jednak dobre i na chorobę, niech mnie pan zrozumie, ono zrazu jej sprzyja, bo rewolucjonizując cały organizm, doprowadza do wybuchu ukrytą chorobę; a takim właśnie wybuchem, proszę mi tego nie brać za złe, jest pański katar. Nie wiem, czy tam na równinie miał pan już gorączkę, ale tutaj na górze dostał pan jej z pewnością pierwszego dnia po przybyciu, a nie dopiero na skutek kataru — takie jest moje przekonanie.

— Tak — rzekł Hans Castorp — tak, i ja tak myślę.

— Pan zapewne od razu czuł się oszołomiony — ciągnął dalej radca Behrens. — To są jady rozpuszczalne, wytwarzane przez bakterie, i one to działają oszalamiająco na centralny układ nerwowy, rozumie pan, od tego właśnie dostaje się wypieków na twarzy. Przede wszystkim schowa się pan pod kołderkę, Castorp; musimy spróbować otrzeźwić pana przez kilkotygodniowe leżenie. Potem zobaczymy, co

dalej. Sporządzimy piękne zdjęcie pańskiego wnętrza — na pewno pana ubawi spojrzenie w głąb własnej osoby. Muszę jednak od razu panu powiedzieć, że takie wypadki jak pański nie mogą być wyleczone z dnia na dzień; nie ma tu cudownych uzdrowień ani reklamowych wyników. Już dawno pomyślałem sobie, że z pana będzie lepszy pacjent i że wykaże pan w chorowaniu więcej talentu niż ten nasz brygadier, który wciąż chce uciekać, kiedy tylko ma o parę kresek mniej. Jak gdyby słowo „leżeć” nie było tak samo dobrą komendą jak „stać”. Spoczywanie jest pierwszym obowiązkiem obywatela, a niecierpliwość przynosi jedynie szkodę. Niech mnie pan więc nie rozczaruje i nie zada kłamu mojej znajomości ludzi — wypraszam to sobie! A teraz marsz do remizy!

Tymi słowami radca Behrens zakończył rozmowę i usiadł przy biurku, ażeby jako człowiek niezmiernie zajęty przerwę pomiędzy dwiema wizytami wypełnić pracą pisemną. A doktor Krokowski podniósł się z miejsca, podszedł z przekrzywioną w bok głową do Hansa Castorpa i pokazując wśród brody w jędrnym uśmiechu swoje żółtawe zęby, położył jedną rękę na ramieniu młodzieńca, a drugą ręką uścisnął mu serdecznie prawicę.

## Rozdział piąty

### Zupa wieczności i nagle jasność

W tym miejscu nastąpi pewne osobliwe zjawisko i autor dobrze zrobi wyrażając z jego powodu zdziwienie, aby czytelnik nie dziwił mu się zbyt na własną rękę. Mianowicie, podczas gdy nasze sprawozdanie z pierwszych trzech tygodni pobytu Hansa Castorpa u tych tu w górze (z dwudziestu jeden dni w zenicie lata, do których, według wszelkich ludzkich przewidywań, miał się w ogóle ten pobyt ograniczyć) pochłonęło zgodnie z naszymi własnymi na wespół uświadomionymi oczekiwaniami tak wiele czasu i miejsca — to uporanie się z następnymi trzema tygodniami jego pobytu wymagać będzie zaledwie tylu wierszy, a nawet słów i chwil, ile te pierwsze zajęły stronic, arkuszy, godzin i dni pracy: przeczuwamy, że owe trzy tygodnie załatwimy i pogrzebiemy jak z biczem trzask.

To więc mogłoby wydać się dziwnym; a jednak jest to w porządku i zgadza się całkowicie z prawami opowiadania i słuchania. Bo jest w porządku i zgadza się z tymi prawami fakt, że czas tak samo urasta lub kurczy się w naszej świadomości, schodzi szybko lub dłuży się nam w tej samej mierze co młodemu Hansowi Castorpowi, bohaterowi niniejszego opowiadania, w tak nieoczekiwany sposób przygwożdżonemu przez los; i należy może w związku z tajemnicą czasu przygotować czytelnika na całkiem inne jeszcze cuda i zjawiska, które czekają nas w towarzystwie naszego bohatera. Na razie wystarczy jednak, jeśli każdy przypomni sobie, jak szybko mija szereg, a nawet „długi” szereg dni, spędzonych podczas choroby w łóżku: wciąż jest ten sam dzień, który się powtarza; ale ponieważ jest to ciągle ten sam dzień, więc właściwie wyraz „powtarzanie się” nie jest tu poprawnie użyty; należałoby raczej mówić o jednostajności, o wstrzymanym „teraz” lub o wieczności. Przynoszą ci zupę na obiad, tak jak ci ją przyniesiono wczoraj i przyniesie się jutro. I w tej chwili coś ci się przypomina — nie wiesz sam co i jak, dostajesz zawrotu głowy, gdy widzisz, jak przynoszą ci tę zupę; formy czasu zacierają ci się, zlewają się z sobą, i to, co ci się objawia jako prawdziwa forma bytu, jest bezwymiarową terażniejszością, w której wiecznie podają ci zupę. Ale z punktu widzenia wieczności byłoby rzeczą wysoce paradoksalną mówić o nudzie, a paradoksów chcemy się wystrzegać, szczególnie we współżyciu z naszym bohaterem.

A więc od sobotniego popołudnia Hans Castorp leżał w łóżku, ponieważ zarządził tak radca Behrens, najwyższy autorytet w świecie, w którym przebywamy. Leżał w swoim czystym, białym łóżku, śmiertelnym łożu Amerykanki i zapewne innych jeszcze osób; miał na sobie nocną koszulę z monogramem wyhaftowanym na kieszonce, ręce skrzyżował pod głową i patrzył pocziwymi, zamglo-nymi przez katar, niebieskimi oczami na sufit, myśląc o dziwnej sytuacji, w jakiej się znalazł. Nie należy przy tym przypuszczać, że oczy jego, gdyby nawet nie miał kataru, patrzyłyby prosto, jasno i niedwuznacznie przed siebie, bo bynajmniej nie takie były jego przeżycia wewnętrzne, pomimo całej jego prostolinijności: były one mętne, zawile, niewyraźne i połowicznie szczere, chwiejne. Gdy tak leżał, od czasu do czasu szalony, wydobywający się z głębi, triumfalny śmiech wewnętrzny wstrząsał jego piersią, a serce ustawało, rozpierane nie znaną mu dotychczas, potężną radością i nadzieją; to znów bladł nagle z lęku i niepokoju i jakby sumienie samo uderzało o jego żebra w szybkim, rozdygotanym rytmie serca.

Pierwszego dnia Joachim pozostawił go w spokoju i unikał wszelkich wyjaśnień. Po cichu wszedł parę razy do pokoju chorego, skinął głową i z grzeczności zapytał, czy czego nie potrzebuje. Zresztą tym łatwiej było mu zrozumieć i uszanować lęk Hansa Castorpa przed zasadniczymi rozmowami, że i sam go doznawał, a nawet, według swego mniemania, znajdował się w gorszej sytuacji niż kuzyn.

Ale w niedzielę przed południem, po powrocie z porannej przechadzki, którą teraz znowu, jak dawniej, musiał odbywać samotnie, postanowił nie zwlekać dłużej i omówić z kuzynem najkonieczniejsze nasuwające się obecnie sprawy. Stał przy jego łóżku i powiedział z westchnieniem:

— Tak, nie ma rady, trzeba coś przedsięwziąć. W domu oczekują cię przecież.

— Jeszcze nie — odrzekł Hans Castorp.

— No, ale już w najbliższych dniach, w środę albo czwartek.

— Ach — rzekł Hans Castorp — oni w ogóle nie oczekują mnie w jakimś określonym dniu. Mają co innego do roboty niż czekać na mnie i liczyć dni do mego powrotu. Kiedy przyjadę, to będę, a wuj Tienappel powie: „A więc już wróciłeś!”, a wuj James zapyta: „No, było przyjemnie?” A jeżeli nie przyjadę, dużo czasu upłynie, zanim to spostrzegą; możesz być pewny. Ma się rozumieć, że z biegiem czasu trzeba będzie ich zawiadomić...

— Możesz sobie wyobrazić — powiedział Joachim i westchnął znowu — jak przykra jest dla mnie ta sprawa! Co teraz będzie? Oczywiście, czuję się przecież poniekąd odpowiedzialny. Przyjeżdżasz tu na górę, by mnie odwiedzić, ja cię wprowadzam w nasze życie, i nagle ugrzązłeś tutaj, i nikt nie wie, kiedy będziesz mógł



się stąd wydostać i objąć swą posadę. Musisz zrozumieć, jak przykra jest dla mnie ta sprawa.

— Pozwól no! — odezwał się Hans Castorp, nie wysuwając rąk spod głowy. — Niepotrzebnie łamiesz sobie głowę! To wszystko nie ma sensu. Czy przyjechałem tu po to, aby ci złożyć wizytę? Także w tym celu; ale przecież ostatecznie przede wszystkim dla wypoczynku, zgodnie z zaleceniem Heidekinda. No, a teraz okazuje się właśnie, że bardziej potrzebuję kuracji, niż on i my wszyscy mogliśmy przypuszczać. Nie jestem przecież pierwszy, który przybył tutaj jak po ogień, a potem musiał zmienić plan. Pomyśl na przykład o młodszym synu pani Tous-les-deux, którego tu przecież jeszcze o wiele gorszy los spotkał — nie wiem, czy jeszcze żyje, może go już wywieziono podczas któregoś z posiłków. Choroba moja jest dla mnie pewną niespodzianką, muszę się dopiero przyzwyczaić do tego, że jestem tutaj pacjentem i naprawdę jednym z was, a nie tylko gościem, jak dotychczas. Chociaż właściwie mogłem się być tego spodziewać, bo tak szczególnie dobrze nigdy się przecież nie czułem, a kiedy pomyślę, jak młodo odumarli mnie rodzice, to skąd miałem właściwie wziąć to żelazne zdrowie! Dla nikogo z nas nie jest tajemnicą, że ty masz tam jakiś drobny feler, prawda, zresztą już prawie wyleczony, więc może też być, że jest to u nas rodzinne, przynajmniej Behrens wspomniał o tym. Bądź co bądź leżę tu już od wczoraj i zastanawiam się, co o tym właściwie zawsze myślałem i jaki był mój stosunek do tego wszystkiego, do życia, wiesz, i do wymagań, które ono stawia. Pewna powaga i pewna niechęć do mocnych i głośnych jego przejawów leżała zawsze w mojej naturze — mówiliśmy o tym niedawno — i czasami nawet miałem niemal ochotę zostać duchownym, bo czułem pociąg do rzeczy smutnych i budujących; taki czarny całun, wiesz, ze srebrnym krzyżem albo literami R. I. P... Requiescat in pace... te słowa są dla mnie o wiele piękniejsze i miłsze od hałaśliwego: „Niech żyje nam!”. To wszystko, sądzę, pochodzi stąd, że sam mam mały feler i że zawsze rozumiałem się na chorowaniu — teraz się to okazało. A jeżeli tak się mają rzeczy, powinienem być szczęśliwy, że przyjechałem tutaj na górę i kazałem się zbadać; nie powinieneś sobie robić z tego powodu najmniejszych wyrzutów. Bo przecież słyszałeś: gdybym dłużej prowadził tam na dole swój dawny tryb życia, to mógłbym jak nic stracić cały płat płuca.

— Tego nie można wiedzieć — powiedział Joachim. — W tym właśnie sęk, że tego zupełnie wiedzieć nie można! Podobno już dawniej miałeś miejsca, o które nikt się nie troszczył i które zagoiły się same z siebie, tak że masz teraz po tym tylko parę nic nie znaczących przytłumień. Może więc i z tą wilgotną plamką, którą podobno masz, stałoby się tak samo, gdybyś nie był przypadkiem do mnie przyjechał — tego nie można wiedzieć!

— Nie, wiedzieć nie można nic — odpowiedział Hans Castorp. — I dlatego nie ma się prawa przypuszczać zaraz najgorszego, na przykład co się tyczy pytania, jak długo potrwa moja tutejsza kuracja. Twierdzisz, że nie można przewidzieć, kiedy się stąd wydostanę i będę mógł zacząć pracę w dokach, ale ty oceniasz to pesymistycznie, a taka ocena jest przedwczesna, bo właśnie tego nie można wiedzieć. Behrens nie wymienił żadnego terminu, bo jest człowiekiem rozważnym i nie bawi się w prorocstwa. Przecież jeszcze nie prześwietlono mnie i nie sfotografowano, a to dopiero da nam jakieś obiektywne dane o istotnym stanie rzeczy i kto wie, czy się w ogóle okaże coś godnego uwagi; może już przedtem przestanę gorączkować! i pożegnam was. Jestem za tym, byśmy nie odkrywali kart przedwcześnie i tym w domu nie opowiadali od razu niestworzonych historii. Na razie wystarczy, jeżeli wkrótce napiszemy — mogę sam napisać wiecznym piórem, jeżeli się trochę uniosę na poduszkach — że jestem silnie przeziębiony, że mam gorączkę i leżę w łóżku i że na razie nie mogę jeszcze wyjechać. Zobaczymy później, co dalej.

— Dobrze — rzekł Joachim — możemy tymczasem tak zrobić, a z resztą jeszcze trochę poczekać.

— Z jaką resztą?

— Ale pomyślże troszkę! Przyjechałeś przecież tylko na trzy tygodnie z okretową walizką. Potrzeba ci bielizny, zimowych ubrań, więcej obuwia. No i wreszcie musisz sobie też sprowadzić pieniądze.

— J e ż e l i — powiedział Hans Castorp — j e ż e l i mi tego wszystkiego będzie potrzeba.

— Dobrze, zaczekajmy. Ale nie powinniśmy... nie — rzekł Joachim i wzburzony przeszedł się po pokoju — nie powinniśmy oddawać się złudzeniom! Jestem tutaj zbyt długo, żeby się w tym nie zorientować. Jeżeli Behrens mówi, że masz szorstki ton, prawie szmer... Ale naturalnie, możemy przecież czekać!

Na tym więc stanęło, a tymczasem nastąpiły powtarzające się regularnie co tydzień lub co dwa tygodnie odmiany normalnego dnia — nawet w obecnym swoim położeniu Hans Castorp mógł w nich brać udział, jeżeli nie bezpośredni, to dzięki relacjom Joachima, który go odwiedzał i na kwadransik siadał na brzegu jego łóżka.

Na tacy, na której w niedzielę podano mu śniadanie, stał flakonik z kwiatami i nie omieszkało przynieść mu świątecznego ciasta, które tego dnia podawano w jadalni. Potem ogród i taras ożywił się, zagrały trąbki i odezwały się nosowe dźwięki klarnetów; Joachim przyszedł do swego kuzyna słuchać koncertu, odbywającego się tutaj co drugą niedzielę; położył się na jego werandzie nie zamykając drzwi do pokoju. Hans Castorp, na pół siedząc w łóżku z przechyloną w bok głową

i z przymglonymi oczami, w skupieniu rozkoszował się dolatującymi go harmoniami; wzruszając w duchu ramionami przypominał sobie gadaninę Settembriniego o muzyce, jakoby „politycznie podejrzanej”.

Poza tym, jak powiedzieliśmy, kazał Joachimowi opowiadać sobie o wydarzeniach i imprezach ostatnich dni i wypytywał go, czy przy niedzieli widać było świąteczne toalety, koronkowe stroje poranne itp. (na koronkowe stroje było jednak za zimno); czy po obiedzie pojechał ktoś z kuracjuszy na spacer (istotnie przedsięwzięto parę wycieczek: „Stowarzyszenie Jednego Płuca” pojechało in corpore do Clavadell); a w poniedziałek, kiedy Joachim wysłuchawszy odczytu dra Krokowskiego przed południowym werandowaniem zaszedł do pokoju Hansa Castorpa, chory ciekaw był, o czym tego dnia mówił asystent. Joachim był małomówny, nie miał ochoty opowiadać o wykładzie — o poprzednim przecież kuzyni także nie rozmawiali. Ale Hans Castorp chciał koniecznie dowiedzieć się szczegółów. — Leżę tutaj i płacę pełną cenę — powiedział — więc chcę również mieć coś z tego, co tutaj dla nas urządzają. — Przypomniał mu się poniedziałek sprzed dwóch tygodni, jego spacer przedsięwzięty na własną rękę, który tak źle dla niego się skończył, i wyraził niedorzeczne przypuszczenie, że to właśnie ten spacer zrewolucjonizował jego organizm i doprowadził do wybuchu ukrytą chorobę. — Ale jakże tutaj lud mówi — zawołał — z taką godnością i tak uroczyście; brzmi to czasami jak poezja: „A więc żegnaj. I dzięki ci!” — powtórzył naśladowując wymowę drwala. — To usłyszałem w lesie i póki życia tego nie zapomnę. Takie słowa kojarzą się później z innymi wrażeniami lub wspomnieniami, wiesz, i do końca życia dźwięczą potem w uchu. Więc dr Krokowski znowu mówił o „miłości”? — spytał i skrzywił się wymawiając to słowo.

— Naturalnie — odparł Joachim. — O czymże miałby mówić? To już jest jego zwykły temat.

— A co takiego mówił dzisiaj o tym?

— Ach, nic nadzwyczajnego. Ostatnim razem przekonałeś się przecież, jak on się wyraża.

— Ale chyba powiedział coś nowego?

— Nic specjalnie nowego... To czym nas dziś uraczył, to czysta chemia — odpowiedział Joachim pokonując opór wewnętrzny. — Krokowski mówił, że odgrywa „przy tym” rolę raczej zatrucia, samozatrucia organizmu: pewna nie znana jeszcze, krążąca w ciele substancja ulega rozkładowi, a produkty tego rozkładu działają odurzająco na niektóre ośrodki rdzenia pacierzowego zupełnie tak samo, jak przy nało-

gowym wprowadzaniu w organizm obcych substancji trujących, morfiny lub kokainy.

— I od tego dostaje się wypieków na twarzy! — powiedział Hans Castorp. — No, no, to ciekawe. Czego też on nie wie, ten mądrala! Czekaj, czekaj, któregoś dnia odkryje jeszcze tę nieznaną substancję, krążącą w całym ciele, i będzie sam sporządzał rozpuszczalne jady, które działają oszalamiająco na ośrodki; tak więc będzie mógł odurzać ludzi w szczególny sposób. Może już kiedyś znano ten sposób. Kiedy się słucha Krokowskiego, można by myśleć, że w opowiadaniach o napojach miłosnych i tym podobnych legendarnych sprawach jest jakieś ziarno prawdy... Już odchodzisz?

— Tak — odparł Joachim — muszę jeszcze koniecznie trochę poleżeć. Od wczoraj moja krzywa temperatury podnosi się. Twoja sprawa zaszkodziła mi jednak trochę.

Tak przeszła niedziela i poniedziałek i przyszedł trzeci dzień pobytu Hansa Castorpa „w remizie”, wtorek, dzień, który się niczym nie odznaczał. Ale właśnie we wtorek Hans Castorp przyjechał był tu na górę, skończyły się więc trzy tygodnie jego pobytu i Hans Castorp postanowił jednak napisać list do domu i zawiadomić swoich wujów, na razie ogólnikowo, co się z nim dzieje. Podłożywszy sobie pierzynkę pod plecy, pisał na zakładowym papierze listowym, że wbrew pierwotnemu planowi pobyt jego w sanatorium musi się przeciągnąć. Wyjaśnił, że wskutek przeziębienia i gorączki leży w łóżku i że radca Behrens, prawdopodobnie z przesadnej sumienności, nie uważa choroby za zupełnie niewinną i łączy ją z jego, Hansa Castorpa, ogólną konstytucją. Skoro tylko się poznali, lekarz naczelny wyraził opinię, że Hans Castorp jest silnie anemiczny, i wszystko razem wzięwszy zdaje się, iż trzy tygodnie, które Hans Castorp przeznaczył na swój odpoczynek, nie mogą wystarczyć. Dalsze wiadomości nadeśle możliwie rychło. „Tak będzie dobrze — pomyślał Hans Castorp — nic nie ma zbytecznego, a w każdym razie zyskało się nieco na czasie”. List został oddany służącemu, który, pomijając okreśną drogę poprzez skrzynkę pocztową, zaniósł go wprost do najbliższego pociągu.

Nasz bohater był teraz przekonany, że wiele załatwił, i uspokojony, chociaż dręczony przez kaszel i odurzony katarem, żył z dnia na dzień w nastroju oczekiwania. Dni jego rozpadały się na krótkie odcinki, ale w swej zastygłej monotonii nie różniły się wcale między sobą, i właściwie był to ciągle jeden i ten sam dzień, ani zajmujący, ani nudny. Co rano, mocno zapukawszy do drzwi, wchodził kąpielowy, silny człowiek, nazwiskiem Turnherr, z odwiniętymi rękawami, żyłastymi rękami i gardłową, bardzo niewyraźną wymową. Nazywał Hansa Castorpa, jak zresztą

i innych pacjentów, numerem jego pokoju i nacierał go spirytusem. Wkrótce po jego odejściu zjawiał się Joachim, już zupełnie ubrany, mówił dzień dobry, zapytywał kuzyna, jaką miał temperaturę o siódmej rano, i oznajmiał, jaką miał sam. Podczas gdy Joachim jadł śniadanie na dole, Hans Castorp, z pierzynką pod plecami, czynił to samo z wielkim apetytem, jaki wytwarza nowa sytuacja życiowa. W czynności tej bynajmniej nie przeszkadzało mu obowiązkowe pośpieszne wtargnięcie obu lekarzy, którzy o tej porze, po przejściu przez jadalnię, szybko obchodzili pokoje obłożone chorych i skazanych na śmierć. Z ustami pełnymi konfitur Hans Castorp odpowiadał, że dobrze spał tej nocy, spoza filiżanki widział, jak radca Behrens, oparłszy dłonie o stół, pobieżnie przeglądał leżący tam wykres gorączki, i obojętnym tonem żegnał odchodzących. Później zapalał cygaro i znowu Joachim wchodził do jego pokoju, odbywszy poranną przechadzkę służbową, chociaż Hansowi Castorpowi wydawało się, że dopiero co odszedł. Rozmawiali o tym i o owym i czas do drugiego śniadania — Joachim wypełniał ten czas werandowaniem — był tak krótki, że nawet zupełnie pusta głowa lub człowiek ubogi duchem nie zdołałby się nudzić, a Hans Castorp mógł przecież żyć wrażeniami pierwszych trzech tygodni swego pobytu i zastanawiać się nad swoją obecną sytuacją i nad tym wszystkim, co mogło z niej wyniknąć. Rzadko więc sięgał do dwóch grubych roczników jednego z pism ilustrowanych, które przyniesiono mu z biblioteki sanatoryjnej i położono na nocnym stoliku.

Zupełnie to samo można powiedzieć o krótkiej godzince, którą Joachim spędzał na drugiej codziennej przechadzce do Davos-Uzdrowiska. Po powrocie zachodził znów do Hansa Castorpa i opowiadał o różnych rzeczach, które zauważył na spacerze, stał albo siadał na chwilę przy łóżku, a potem szedł na werandę, gdzie leżał do obiadu. A jak długo to trwało? Znowu tylko godzinę! Za ledwie Hans Castorp, podłożywszy ręce pod głowę i patrząc w sufit, puścił wodze swym myślom, już dźwięczał gong, wzywający tych, co nie leżeli w łóżkach ani nie byli skazani na śmierć, aby zeszli na główny posiłek.

Joachim oddalał się, a Hansowi Castorpowi przynoszono „zupę” — tak nazywano tu symbolicznie obiad, roznoszony chorym. Hans Castorp bowiem nie był na diecie dla chorych, bo i dlaczegóż miano by mu ją przepisać? Dieta — skromny wikt — bynajmniej nie były dla niego wskazane. Leżał tutaj i płacił pełną cenę, i to, co mu przynoszono, zawsze o tej samej, jakby wiecznie trwającej godzinie, nie było „zupą”, ale kompletnym obiadem z sześciu dań, bez pominięcia któregokolwiek z nich i ze wszystkimi dodatkami — obiadem obfitym w dni powszednie, a galowym, wykwintnym i wystawnym w niedzielę, przyrządzonym przez europejskiej miary kucharza w luksusowej kuchni „Berghofu”. Potrawy w apetycznych rondel-

kach z niklowanymi przykrywkami przynosiła mu jedna z usługujących, której zadaniem było roznoszenie posiłków do pokoi. Przysuwała do jego łóżka specjalnie skonstruowany stolik, jednonogi cud równowagi, i Hans Castorp zmiatał z niego jedzenie, jak synek krawca ze znanej bajki „Stoliczku, nakryj się”.

Zaledwie uporał się z jedzeniem, wracał także Joachim, a gdy odchodził na balkon i nad całym sanatorium zapadała cisza wielkiego werandowania, było już wpół do trzeciej. Może niezupełnie dokładnie, może dopiero kwadrans po drugiej. Ale wszędzie tam, gdzie obficie szafuje się czasem, jak na przykład w podróży podczas długiej jazdy koleją albo w ogóle w stanie beztreściwego wyczekiwania, gdy całe dążenie i życie sprowadza się tylko do spędzania i spychania czasu — takie nadliczbowe kwadransy, dołączające się do godzin, nie liczą się wcale, połyka się je jako coś dodatkowego. Piętnaście minut po drugiej, to już wpół do trzeciej, a nawet można powiedzieć, że — z pomocą bożą już trzecia, bo przecież mówi się już o trzeciej. Trzydzieści następnych minut uważa się z kolei za wstęp do pełnej godziny, trwającej od trzeciej do czwartej, a więc pomija się je w myśli: tak właśnie postępuje się w takich warunkach. W ten sposób cały przebieg poobiedniego werandowania sprowadzał się właściwie znowu do jednej godziny, która w dodatku była jak gdyby skrócona, przycięta i zakończona apostrofem. A tym apostrofem był dr Krokowski.

Tak, dr Krokowski nie obchodził już łukiem pokoju Hansa Castorpa podczas swych poobiednich wizyt, które składał bez radcy Behrensa. Hans Castorp także liczył się teraz, nie był już interwałem i rozziewem, ale pacjentem; zadawano mu pytania i nie omijano go, jak to się tak długo działo, ku jego skrytej, niezbyt wielkiej, ale co dzień na nowo powtarzającej się irytacji. Dr Krokowski po raz pierwszy ukazał się w jego pokoju w poniedziałek — mówimy „ukazał się”, bo jest to najodpowiedniejsze słowo na określenie dziwnego, a poniekąd nawet straszego wrażenia, przed którym Hans Castorp nie mógł się wówczas obronić. Leżał właśnie pogrążony w półśnie czy ćwierćśnie, kiedy, ocknąwszy się, z przerażeniem spostrzegł, że asystent jest w pokoju, chociaż nie wszedł przez drzwi, i zmierza ku niemu od strony balkonu. Bo droga jego nie wiodła przez korytarz, ale przez zewnętrzne loggie, i wszedł do pokoju przez otwarte drzwi balkonowe, jakby prosto z przestworza. Bądź co bądź, stał teraz u łóżka Hansa Castorpa, czarny i blady, barczysty i krępy, jako apostrof godziny. Pomiędzy włosami rozdwojonej brody ukazywały się w szerokim uśmiechu jego żółtawe zęby.

— Zdaje się, że pana ogromnie zaskoczyło moje zjawienie się — odezwał się łagodnym barytonem, z pewną afektacją przeciągając słowa; jego podniebienne „r”

brzmiało z cudzoziemska, było to jednak „r” wibrujące nie długo, lecz krótko, dzięki jednorazowemu uderzeniu języka o górną część przednich zębów. — Spełniam jedynie miły obowiązek, zachodząc teraz także do pana. Pański stosunek do nas wstąpił w nową fazę, przez noc z gością stał się pan kolegą... — (słowo „kolega” przstraszyło trochę Hansa Castorpa). — Któż by to pomyślał! — żartował po koleżeńsku dr Krokowski... — Któż to by pomyślał tego wieczora) kiedy po raz pierwszy miałem honor pana powitać i kiedy na mój błędny pogląd — wtedy był błędny — odpowiedział pan zapewnieniem, że jest pan zupełnie zdrowy. Zdaje mi się, że wyraziłem wówczas coś jakby powątpiewanie, ale zapewniam pana, że miałem coś innego na myśli! Nie chcę uchodzić za bardziej przenikliwego, niż jestem, nie myślałem wtedy o żadnym wilgotnym miejscu, mówiłem to w znaczeniu ogólniejszym, filozoficznym, dawałem wyraz wątpliwościom, czy ktokolwiek z ludzi może sobie przypisywać „zupełne zdrowie”. A nawet dziś jeszcze, nawet po wyniku badania, nie mogę, taki już jestem, zgodzić się z moim szefem i tej wilgotnej plamki — tu końcem palca dotknął lekko ramienia Hansa Castorpa — uważać za rzecz najważniejszą. Uważam ją raczej za objaw wtórny... Wszystko, co organiczne, jest zawsze wtórne...

Hans Castorp wzdrygnął się.

— ...Tak więc pański katar jest dla mnie zjawiskiem trzeciorzędnym — ciągnął dalej dr Krokowski lekkim tonem. — Jakież jest jego przebieg? Leżenie w łóżku z pewnością panu szybko pomoże. Jaką miał pan dzisiaj temperaturę? — I od tego czasu codzienne odwiedziny asystenta miały charakter niewinnych wizyt kontrolnych, który zachowały też w najbliższych dniach i tygodniach. Przychodził kwadrans przed czwartą, albo i trochę wcześniej, przez drzwi balkonowe, wesoło, po męsku witał chorego, zadawał najprostsze lekarskie pytania, czasami nawiązywał lekką, bardziej osobistą rozmowę, żartował po koleżeńsku — i jeżeli wszystko to było nawet trochę zastanawiające, to przecież człowiek przyzwyczaja się w końcu do rzeczy zastanawiających, o ile tylko nie przekraczają pewnych granic. Toteż Hans Castorp wkrótce nic nie miał przeciwko regularnemu zjawianiu się dra Krokowskiego, które stanowiło już część składową normalnego dnia i kończyło apostrofem główne werandowanie.

Była tedy czwartą, kiedy asystent wyszedł znowu na balkon — a więc późne popołudnie! Nagle, i zanim Hans Castorp zdążył się obejrzeć, było już późne popołudnie, które zresztą przechodziło bezzwłocznie w porę przedwieczorną; bo zanim na dole i w pokoju nr 34 wypito herbatę, dochodziła piąta, a kiedy Joachim powracał ze swej trzeciej służbowej przechadzki i zachodził do kuchni — prawie szósta

godzina, tak że czas werandowania przed kolacją, licząc okrągłutko, kurczył się znowu do jednej tylko godziny, a godzina to przeciwnik, którego bez trudności można było pokonać: pozostawały wszak myśli w głowie i cały orbis pictus\* na nocnym stoliku.

Joachim pożegnał się idąc na kolację. Przyniesiono jedzenie. Dolinę dawno okrył zmierzch, i podczas gdy Hans Castorp jadł, coraz bardziej ściemniało się w białym pokoju. Skończywszy siedział w łóżku, oparty o pierzynkę, przy „stoliczku, nakryj się”, z którego wszystko zmiótł, i patrzył na wciąż pogłębiający się zmrok, dzisiejszy zmrok, który trudno było odróżnić od wczorajszego, onegdajszego lub zmroku sprzed tygodnia. Był wieczór — a dopiero co było jeszcze rano. Rozkawałkowany i sztucznie skrócony dzień dosłownie prześliznął mu się pomiędzy palcami i rozpląnął w nicość. Hans Castorp był tym mile zdziwiony lub w każdym razie zastanawiało go to, bo lęku przed tym zjawiskiem wiek jego jeszcze nie znał. Miał wrażenie, jak gdyby nie na nowo, ale wciąż jeszcze patrzył w ten zmrok.

Upłynęło dziesięć albo dwanaście dni, odkąd Hans Castorp położył się do łóżka, kiedy pewnego dnia ktoś zastukał do jego drzwi o tej porze, to znaczy, zanim Joachim wrócił z kolacji i z zebrania towarzyskiego. Na pytające „proszę” Hansa Castorpa wszedł Lodovico Settembrini i jednocześnie oślepiająca jasność załała pokój. Bo gość, stojąc jeszcze w otwartych drzwiach, przekręcił wyłącznik górnego światła, które, odbite od białego sufitu i białych mebli, napełniło cały pokój drżącą poświatą.

Włoch był jedynym człowiekiem spomiędzy wszystkich kuracjuszy, o którego Hans Castorp wyraźnie i z wymienieniem nazwiska pytał Joachima. Joachim, ilekroć na przeciąg dziesięciu minut siadał na skraju łóżka swego kuzyna lub zatrzymywał się przy nim — a działo się to dziesięć razy dziennie — z własnej woli opowiadał kuzynowi o drobnych zdarzeniach i odchyleniach od zwykłego trybu życia w sanatorium, a pytania Hansa Castorpa, o ile je w ogóle stawiał, były zwykle ogólnikowe i nieosobowe. Ciekawość żyjącego w odosobnieniu chorego dotyczyła kwestii, czy może przyjechali jacyś nowi goście albo czy nie wyjechał ktoś, znany mu już z widzenia; zdawało się go cieszyć, że nikt dotychczas nie opuścił zakładu. Przyjechał jeden „nowy” młody człowiek, z zielonkawą cerą i zapadniętymi policzkami, i wyznaczono mu miejsce przy bladej jak z kości słoniowej pannie Levi i pani Iltis, zaraz na prawo od obu kuzynów. No, Hansowi Castorpowi nie śpieszyło się z ujrzaniem go na własne oczy. A więc nikt nie wyjechał? Joachim odrzekł krótko, że nie, i spuścił przy tym oczy. Na pytanie to Joachim musiał często dawać odpo-

---

\* Orbis pictus (łac.) — świat w obrazach.



wiedź, właściwie co drugi dzień, chociaż już kiedyś wreszcie, z pewnym zniecierpliwieniem w głosie, starał się raz na zawsze poinformować kuzyna, że, o ile wie, nikt nie zamierza wyjechać; tak łatwo nie można się stąd wydostać.

Owóz o Settembriniego Hans Castorp pytał wyraźniej i chciał wiedzieć, co on „o tym sądzi”. — O czym? — No, o tym, że leżę w łóżku i podobno jestem chory. — Settembrini rzeczywiście mówił o tym, ale bardzo krótko. Tego samego dnia, kiedy Hans Castorp zniknął, podszedł do Joachima z zapytaniem, gdzie się podział jego gość, przy czym najwidoczniej spodziewał się odpowiedzi, że Hans Castorp wyjechał. Na wyjaśnienia Joachima odparł dwoma tylko włoskimi słowami: najpierw rzekł „ecco”, a potem „poveretto”, co znaczy „otóż to” i „biedaczek”. Nie trzeba było umieć po włosku więcej niż obaj młodzieńcy, ażeby zrozumieć sens tych dwóch słów. — Dlaczego poveretto? — spytał Hans Castorp. — On przecież także siedzi tutaj razem ze swoją literaturą, składającą się z humanizmu i polityki, i mało może wpływać na bieg spraw ziemskich. Nie powinien mi tak protekcjonalnie współczuć, bo znajdę się na dole jeszcze zawsze wcześniej niż on.

Tak więc w jasno oświetlonym pokoju stał pan Settembrini; Hans Castorp, który wsparł się na łokciu i zwrócił głowę ku drzwiom, mrugając oczami poznał go, a poznawszy, oblał się rumieńcem. Settembrini miał na sobie, jak zwykle, grubą marynarkę z szerokimi wyłogami, trochę wystrzępiony wykładany kołnierzyk i spodnie w kratę. Ponieważ wracał od stołu, trzymał swoim zwyczajem w ustach drewnianą wykałaczkę. W kąciku ust, pod pięknym łukiem wąsów, igrał dobrze Hansowi Castorpowi znany, subtelny, trzeźwy i krytyczny uśmiech.

— Dobry wieczór inżynierowi! Czy wolno zajrzeć do pana? Jeżeli tak, to potrzebne jest światło, przepraszam, że się rządę — rzekł podnosząc energicznie swoją drobną rękę ku lampie na suficie. — Pan jest pogrążony w kontemplacji, naprawdę nie chciałbym przeszkadzać. Skłonność do rozmyślania jest w jego sytuacji zupełnie zrozumiała, a do pogawędki ma pan ostatecznie kuzyna. Pan widzi, że rozumiem doskonale, iż mogę być zbyt zbytecznym. Ale mieszka się tak blisko siebie, współczuje się drugiemu, jak człowiek człowiekowi, współczuje się rozumowo, współczuje uczuciowo... Już chyba od tygodnia nie widać pana. Kiedy zobaczyłem, że jego miejsce w refektarzu jest puste, sądziłem, doprawdy, że pan nas opuścił. Porucznik wyjaśnił mi, że jest inaczej, hm, może mniej dobrze... A więc co słyhać? Co pan porabia? Jak się pan czuje? Mam nadzieję, że nie jest pan bardzo przygnębiony!

— Ach, to pan Settembrini! Jakże uprzejmie z pańskiej strony! Cha, cha, „refektarz”! Od razu powiedział pan coś dowcipnego. Proszę, niech pan przysunie sobie

krzesło. Bynajmniej mi pan nie przeszkadza. Leżałem i dumałem sobie — dumałem, to nawet trochę za wiele powiedziane. Po prostu nie chciało mi się włączyć światła, byłem za leniwy. Bardzo dziękuję; subiektywnie czuję się tak dobrze jak zazwyczaj; katar mi już prawie przeszedł dzięki leżeniu w łóżku, ale wciąż słyszę, że ten katar jest zjawiskiem wtórnym. Temperatura jest jeszcze ciągle za wysoka, czasem 37,5, czasem 37,7, to się na razie jeszcze nie zmieniło.

— Czy mierzy pan regularnie?

— Tak, sześć razy na dzień, zupełnie tak samo jak państwo wszyscy tu w górze. Cha, cha, przepraszam, jeszcze się śmieję z tego, że pan nazwał naszą jadalnię „refektarzem”! Tak się przecież mówi w klasztorze, prawda? Rzeczywiście, jest tu coś z tego; wprawdzie nigdy jeszcze nie byłem w klasztorze, ale jakoś tak podobnie go sobie wyobrażam. A „regułę” umiem już na pamięć i ściśle stosuję się do niej.

— Jak pobożny braciszek. Można powiedzieć, że pan skończył nowicjat i złożył śluby zakonne. Winszuję serdecznie. Pan mówi już także „nasza jadalnia”! Zresztą, nie obrażając jego męskiej godności, przypomina mi pan raczej młodą mniszkę niż mnicha — taką dopiero co ostrzyżoną, niewinną oblubienicę Chrystusa, z wielkimi uduchowionymi oczami. Dawniej widywałem niekiedy takie owieczki i nigdy bez... bez pewnego sentymentu. Ach tak, tak, pański kuzyn opowiedział mi wszystko. W ostatniej chwili zatem kazał się pan jeszcze zbadać?

— Ponieważ miałem gorączkę. Proszę pana, przecież gdybym miał taki katar na równinie, wezwałbym naszego lekarza. A tutaj, gdzie się jest, że tak powiem, u źródła, gdzie się mieszka pod jednym dachem z dwoma specjalistami — byłoby przecież śmiesznie...

— Ależ naturalnie, naturalnie. A więc mierzył pan temperaturę, zanim mu kazano. Zresztą na samym wstępie radzono to panu. A czy na termometr naciągnęła pana panna Mylendonk?

— Naciągnęła? Kupiłem go od niej, ponieważ był mi potrzebny.

— Rozumiem. Nienaganna transakcja handlowa. A ile miesięcy przepisał panu szef?... Wielki Boże, przecież już raz pytałem pana o to! Przypomina pan sobie? Zaraz po jego przyjeździe. Pan odpowiedział wtedy tak śmiało...

— Ma się rozumieć, że jeszcze pamiętam. Wiele od tego czasu przeżyłem, ale to pamiętam jeszcze jak dzisiaj. Zaraz później mówił pan takie zabawne rzeczy i nazwał pan radcę Behrensa sędzią piekielnym... Radames... Nie, zaraz, jakoś inaczej...

— Radamantys? Być może, jakoś go tak nazwałem. Nie mogę pamiętać wszystkiego, co mi się nasuwa na język.

— Radamantys, tak, tak. Minos i Radamantys. Także o Carduccim opowiadał nam pan wówczas zaraz...

— Za pozwoleniem, drogi przyjacielu, Carducciemu dajmy lepiej spokój. To nazwisko brzmi teraz zbyt nieodpowiednio w pańskich ustach!

— No, dobrze — śmiał się Hans Castorp — ale dzięki panu wiele dowiedziałem się o nim. Tak, wtedy nie miałem jeszcze pojęcia i odpowiedziałem panu, że przyjechałem na trzy tygodnie. Tak wtedy myślałem. Właśnie na chwilę przedtem panna Kleefeld gwizdnęła do mnie na przywitanie swoją sztuczną odmą i to wytrąciło mnie trochę z równowagi. Ale już wtedy czułem się tak, jak gdybym miał gorączkę, bo tutejsze powietrze jest dobre nie tylko p r z e c i w chorobie, ale i n a chorobę, czasami doprowadza ją dopiero do wybuchu, a to jest przecież potrzebne do późniejszego wyleczenia.

— Ponętna hipoteza. Czy radca Behrens opowiedział panu o tej Niemce z Rosji, która mieszkała tutaj pięć miesięcy w zeszłym — nie, w zaprzeszłym roku? Nie opowiadał? Powinien był to uczynić! Niezmiernie miła pani. Niemka, urodzona w Rosji, zameżna i młoda matka. Przyjechała do nas ze Wschodu, była limfatyczna, anemiczna, zdaje się, że i poważniej chora. Była tu już miesiąc i wciąż się skarżyła, że czuje się źle. Cierpliwości! Upływa następny miesiąc, a ona wciąż utrzymuje, że nie ma się lepiej, ale coraz gorzej. Mówią jej, że tylko lekarz może wiedzieć, jak ona się ma, a jej samej wolno najwyżej mówić o tym, jak się c z u j e , a to nie jest ważne. Z jej płuc lekarze byli zadowoleni. A więc milczy, odbywa kurację i co tydzień traci na wadze. Na czwarty miesiąc zemdląła przy badaniu. Behrens powiedział, że to nic nie szkodzi i że z jej płuc jest zupełnie zadowolony. Kiedy jednak w piątym miesiącu nie mogła już chodzić, napisała o tym do swego męża na Wschód, i Behrens otrzymał od niego list. Na kopercie było wyraźnie napisane: „Osobiste” i „Pilne”, widziałem na własne oczy. Tak — rzekł Behrens przeczytawszy list i wzruszył ramionami — okazuje się, że ta pani najwidoczniej nie znosi tutejszego klimatu! — Niewiasta nie miała dość słów oburzenia. Powinien jej być to wcześniej powiedzieć! krzyczała, ona od początku to czuła, doprowadził ją do ruiny! — Miejmy nadzieję, że u boku męża na Wschodzie powróciła do zdrowia.

— Cudownie! Pan tak pięknie opowiada, panie Settembrini, każde z pańskich słów jest po prostu plastyczne. Kiedy przypominam sobie pańskie opowiadanie o tej młodej dziewczynie, która kąpała się w jeziorze i której dano później termometr bez podziałki, „niemowę”, śmieję się sam do siebie. Co też się zdarza! Człowiek nie

przestaje się uczyć. Mój własny przypadek jest zresztą jeszcze zupełnie niewyjaśniony. Pan radca utrzymuje, że znajduje u mnie coś niecoś: przede wszystkim są stare blizny po dawniejszym schorzeniu, o którym nic nie wiedziałem — sam je słyszałem przy opukiwaniu, a następnie można wysłuchać również świeże miejsce — cha, cha, „świeże”! — to zabawne określenie dla takiej rzeczy. Ale dotychczas mamy jedynie wrażenia słuchowe, a prawdziwie pewną diagnozę będziemy mieli dopiero, gdy wstanę, po prześwietleniu i sfotografowaniu. Wtedy będziemy wszystko pozytywnie wiedzieli.

— Tak pan sądzi? A czy pan wie, że klisza fotograficzna ma często plamy, które wyglądają jak jamy gruźlicze, podczas gdy są to tylko cienie, a tam, gdzie coś jest naprawdę, nie wykazuje niekiedy *n i c a n i c*. Madonna! Klisza fotograficzna! Był tu kiedyś pewien młody numizmatyk, który gorączkował; a ponieważ gorączkował, widziano wyraźnie kawerny na płycie fotograficznej. Utrzymywano nawet, że dają się wysłuchać! Leczone go na suchoty i wskutek tego umarł. Obdukcja wykazała, że płuca miał zupełnie zdrowe, a umarł na jakieś koki.

— No wie pan, pan zaraz mówi o obdukcji! Tak źle jeszcze chyba ze mną nie jest.

— Ależ z pana filut, inżynierze!

— A pan jest urodzonym krytykiem i sceptykiem, to trzeba panu przyznać. Pan nie wierzy nawet w naukę ścisłą! Czy pańska klisza wykazuje plamy?

— Tak, tu i ówdzie.

— Więc pan naprawdę nie jest zupełnie zdrowy?

— Niestety, jestem dość poważnie chory — odparł Settembrini i pochylił głowę. Zakaszłał i nastąpiła pauza. Hans Castorp przyglądał się milczącemu gościowi. Wydawało mu się, że te jego dwa bardzo proste pytania wszystko obaliły i zmusiły do milczenia nawet republikę i piękny styl. Ze swojej strony nie starał się o nawiązanie przerwanej rozmowy.

Po chwili Settembrini wyprostował się i uśmiech zjawiał się na jego twarzy.

— Niech pan mi teraz opowie, inżynierze — powiedział — jak jego rodzina przyjęła tę wiadomość?

— Jaką wiadomość? O opóźnieniu mego powrotu? Ach, moja rodzina, wie pan, moja rodzina składa się z trzech wujów; właściwie z jednego dziadka wujecznego i dwóch jego synów, których uważam raczej za kuzynów. Poza nimi nie mam rodziny, bardzo wczesnie straciłem oboje rodziców. Jak to przyjęli? Niewiele dotychczas wiedzą, nie więcej niż ja sam. Z początku, kiedy kazano mi się położyć

do łóżka, napisałem im, że jestem silnie przeziębiony i że nie mogę jechać. Ponieważ jednak ten stan się przeciąga skutkiem kataru, napisałem znowu wczoraj, że radca Behrens zwrócił uwagę na moje płuca i nalega, abym pozostał tutaj, dopóki sprawa się nie wyjaśni. Z pewnością nie bardzo się tym przejęli.

— A pańska posada? Pan wspominał kiedyś o pracy, którą właśnie zamierzał podjąć.

— Tak, jako wolontariusz. Prosiłem, żeby mnie na razie wytłumaczono w stoczni. Niech pan nie myśli, że będzie tam rozpacz z tego powodu. Mogą dowolnie długo obchodzić się bez wolontariusza.

— Doskonale! Z tego punktu widzenia wszystko jest więc w najlepszym porządku. Flegma na całej linii. Pańscy ziomkowie są w ogóle flegmatyczni, prawda? Ale i energiczni!

— O tak, energiczni także, bardzo energiczni — rzekł Hans Castorp. Zastanowił się nad charakterem swego otoczenia w domu i doszedł do wniosku, że jego rozmówca ma rację. — Tak, flegmatyczni i energiczni, tacy są rzeczywiście.

— Jeżeli pan tu dłużej zostanie — ciągnął dalej Settembrini — to uda się nam pewnie poznać jego wuja, tj. tego dziadka wujecznego. Bez wątpienia przyjedzie, aby zobaczyć, co się z panem dzieje.

— O nie! — zawołał Hans Castorp. — W żadnym razie! Nawet dziesięcioma końmi nie da się wciągnąć tutaj na górę! Mój wuj ma silną skłonność do apopleksji, wie pan, prawie zupełnie nie ma szyi. Nie, on potrzebuje przyzwoitego ciśnienia atmosferycznego, a gdyby tu przyjechał, mogłoby się gorzej z nim skończyć niż z tą damą ze Wschodu, o której pan opowiadał, mógłby tu dostać Bóg wie jakich przypadłości.

— A to szkoda. Skłonność do apopleksji? Na cóż zda się tu flegma i energia? Pański dziadek jest zapewne bogaty? I pan jest bogaty? Tam u was wszyscy są bogaci.

Hans Castorp uśmiechnął się, słysząc to literackie uogólnienie, a potem ze swej leżącej pozycji wylatywał znowu myślą w dal, ku ojczyźnie, z której został wyrwany. Przypomniiał sobie i próbował być bezstronny; oddalenie zachęcało go i czyniło zdolnym do tego. Po chwili odpowiedział: — Są tam ludzie bogaci, ale są i biedni, a wtedy jest źle. Nie jestem milionerem, ale mam byt zapewniony, jestem niezależny, mam z czego żyć. Ale nie mówmy o mnie. Gdyby pan powiedział: tam trzeba być bogatym — zgodziłbym się z panem. Bo przypuśćmy, że ktoś nie jest bogaty albo przestaje nim być. O, wtedy biada! Wtedy wszyscy pytają: „Ten? czyż

ten ma jeszcze pieniądze?”... Dosłownie tak i z takim właśnie wyrazem twarzy; często to słyszałem i dobrze sobie to zapamiętałem. Widocznie zawsze wydawało mi się to dziwne, chociaż miałem czas do tego przywyknąć, bo inaczej nie pamiętałbym tego tak dobrze. A jak pan sądzi? Nie, nie wydaje mi się, żeby na przykład panu, takiemu homo humanus, mogło się u nas podobać; nawet mnie, który przecież stamtąd pochodzę, rażą tam różne rzeczy, jak teraz widzę, chociaż mnie osobiście one nie dotyczą. Kto nie podaje do stołu najlepszych, najdroższych gatunków wina, do tego nikt w ogóle nie chodzi, a jego córki zostają starymi pannami. Tacy już są ludzie. Kiedy tak tu leżę i z oddali na to patrzę, rażą mnie te rzeczy. Jak pan się wyraził, flegmatyczni i...? I energiczni! Dobrze, ale cóż to znaczy? Innymi słowy: twardzi, zimni. A co znaczy: twardzi i zimni? To znaczy okrutni. Tak, tam na dole panuje okrutna, nieprzejednana atmosfera. Kiedy się tak leży i patrzy z oddali na to wszystko, prawdziwy lęk może ogarnąć człowieka.

Settembrini słuchał i potakiwał głową. Czynił to jeszcze, kiedy Hans Castorp na razie wyczerpał swoje uwagi krytyczne i przestał mówić. Potem westchnął i odezwał się:

— Nie chcę bynajmniej upiększać tych specjalnych form, które naturalne okrucieństwo życia przybiera w pańskim społeczeństwie. Zarzut okrucieństwa jest jednak zarzutem dość sentymentalnym. Tam na dole nie podniósłby go pan wcale, z obawy, aby sobie samemu nie wydać się śmiesznym. Słusznie pozostawiał go pan dawniej tym, co uciekają przed życiem. A to, że go pan teraz sam podnosi, świadczy o tym, iż się pan nieco odzwyczaił od swych normalnych warunków; nie chciałbym, by to odzwyczajanie się postępowało. Bo kto przywyknie do stawiania tego zarzutu, łatwo może zostać stracony dla tych form życiowych, w których się urodził. Czy pan wie, inżynierze, co to znaczy zostać straconym dla życia? Ja wiem to dobrze, widzę to tutaj codziennie. Najpóźniej po upływie pół roku młodzieniec, który tutaj przyjeżdża (a przyjeżdżają tutaj przeważnie młodzieńcy), nie myśli o niczym innym, jak tylko o flircie i swojej temperaturze. A najdalej po roku jest tak, że już nigdy nie będzie w stanie myśleć o niczym innym, bo każdą inną myśl uważa za „okrutną” lub, w każdym razie, za błędną. Pan lubi opowiadania, więc mogę panu służyć. Mogę panu opowiedzieć o pewnym synu i małżonku, który był tu jedenaście miesięcy i którego znałem. Zdaje mi się, że był trochę starszy niż pan, może nawet dobrze starszy. Na próbę wypuszczono go stąd i powrócił do domu, w objęcia swoich ukochanych; nie byli to wujowie, ale matka i żona. Całymi dniami leżał z termometrem w ustach i nic więcej go nie obchodziło. — Wy tego nie rozumiecie — mówił — do tego trzeba mieć za sobą pobyt w sanatorium, ażeby wiedzieć, jak postępować należy. Tutaj na dole brak podstawowych pojęć! — Skończyło się na

tym, że matka mu powiedziała: — Wracaj na górę. Nic już z ciebie nie da się zrobić. — I wrócił do sanatorium, do „ojczyzny” — bo wie pan przecież, że kto tutaj był, nazywa ten zakład swoją „ojczyzną”. Od swej młodej żony odsunął się całkowicie, bo brakowało jej „podstawowych pojęć”, i zrezygnowała. Cóż miała począć? Zrozumiała, że mąż jej znajdzie sobie w „ojczyźnie” towarzyszkę, która będzie miała wspólne z nim „podstawowe pojęcia”, i że z nią pozostanie.

Hans Castorp słuchał z roztargnieniem. Wciąż jeszcze patrzył w blask, rozlany po pokoju, jak w dal. Roześmiał się z pewnym opóźnieniem i powiedział:

— Mówił „ojczyzna”? To brzmi naprawdę trochę sentymentalnie, jak się pan wyraził. Tak, pan zna takich historii bez liku. Właśnie myślałem jeszcze o tym, cośmy mówili o surowości i okrucieństwie; w ciągu ostatnich dni już nieraz nawiedzały mnie podobne myśli. Widzi pan, trzeba być porządnie gruboskórnym, żeby bez reszty pogodzić się ze sposobem myślenia tych ludzi z nizin, z pytaniami w rodzaju: „Czyż ten ma jeszcze pieniądze?” i z minami, jakie przy tym robią. Chociaż nie jestem homo humanus, nigdy nie wydawało mi się to czymś zupełnie naturalnym — teraz widzę, że to mnie zawsze przykro uderzało. Może dlatego, że miałem już dawniej nieświadomą skłonność do chorowania — może dlatego brzmiało to dla mnie jakoś nienaturalnie. Przecież sam słyszałem te zablźnione miejsca, a teraz Behrens rzekomo odkrył u mnie jakąś nową drobnostkę. Zaskoczyło to mnie, to prawda, ale jednak w gruncie rzeczy nie bardzo się zdziwiłem. Nigdy właściwie nie byłem szczególnie mocny; a prócz tego moi rodzice umarli tak młodo — od dziecka, wie pan, jestem sierotą, bez ojca i matki...

Pan Settembrini wykonał głową, ramionami i rękami jednocześnie gest, który miał w wesoły i grzeczny sposób wyrażać pytanie: „No więc? Co dalej?”

— Pan jest pisarzem — mówił Hans Castorp — literatem; pan powinien przecież znać się na tym i zrozumieć, że nie można w tych okolicznościach być tak brutalnym i uważać za całkiem naturalne okrucieństwa ludzi, zwykłych ludzi, wie pan, którzy chodzą, śmieją się, zarabiają pieniądze i napychają sobie brzuchy... Nie wiem, czy się jasno...

Settembrini skłonił się. — Pan chce powiedzieć — rzekł — że wczesne i niejednokrotne zetknięcie się ze śmiercią wyrabia postawę uczuciową, która czyni człowieka wrażliwym i czułym na bezwzględność i surowość życia światowego, powiedzmy: na jego cynizm.

— Właśnie! — zawołał Hans Castorp szczerze zachwycony. — Pan to doskonale wyraził i postawił kropkę nad i. Ze śmiercią! Wiedziałem, że pan, jako literat...

Settembrini wyciągnął ku niemu rękę, przechyliwszy na bok głowę i zamknąw-

szy oczy — piękny i delikatny gest, który wyrażał prośbę, by mu Hans Castorp nie przerywał i słuchał dalej. Przez kilka sekund trwał w tej pozycji, nawet kiedy Hans Castorp już dawno zamilkł i nie bez pewnego zakłopotania oczekiwał tego, co miało teraz nastąpić. Wreszcie otworzył swoje czarne oczy — oczy kataryniarza — i odezwał się:

— Ale niech pan pozwoli, inżynierze, powiedzieć sobie i zechce to zapamiętać, że jedyny zdrowy, szlachetny i, chcę to wyraźnie zaznaczyć, jedyny religijny sposób patrzenia na śmierć, każe uważać ją za niezbędną składową część i święty warunek życia i nie oddzielać jej myślowo od życia, nie widzieć w niej jego przeciwieństwa i nie wygrywać jej ohydnie przeciwko niemu — bo to byłoby zaprzeczeniem zdrowego, szlachetnego, rozsądnego i religijnego poglądu. Starożytni zdobili sarkofagi symbolami życia i płodzenia, często nawet sprośnymi — świętość w religijności antycznej kojarzyła się często ze sprośnością. Ci ludzie umieli czcić śmierć. Śmierć jest godna czci jako kolebka życia, jako macierzyńskie łono odradzania się. Rozważana w oderwaniu od życia, staje się upiornym potworem — a nawet czymś jeszcze gorszym. Bo śmierć jako samoistna potęga duchowa jest bezecną potęgą; siła jej nieczystej atrakcji jest wprawdzie bardzo wielka, ale sympatyzowanie z tą potęgą jest bez wątpienia najokropniejszym zboczeniem ducha ludzkiego.

Pan Settembrini zamilkł. Zatrzymał się na tych ogólnikach, stanowiących niewątpliwie zakończenie jego wywodów. Mówił poważnie, nie po to, aby bawić rozmową, nie chciał dać słuchaczowi sposobności do dyskusji, ale dobiegając do końca, zniżył głos i postawił kropkę. Siedział z zamkniętymi ustami, dłonie splótł na kolanach, jedną nogę w spodniach w kratę założył na drugą i z lekka poruszał w powietrzu stopą, nie odrywając od niej oczu. Hans Castorp milczał więc również; siedząc w swej pierzynie zwrócił głowę ku ścianie i końcami palców bębnił lekko po pikowanej kołdrze. Czuł, że udzielono mu pouczenia, upomnienia, a nawet nagany, i w jego milczeniu było dużo dziecięcego uporu. Przerwa w rozmowie trwała dość długo.

Wreszcie pan Settembrini podniósł znowu głowę i rzekł z uśmiechem:

— Przypomina pan sobie zapewne, inżynierze, że już kiedyś prowadziliśmy podobną, a nawet tę samą rozmowę. Mówiliśmy wtedy — zdaje mi się, że było to na przechadzce — o chorobie i o głupocie, których połączenie uważał pan za paradoks, a to przez szacunek dla choroby. Szacunek ten nazwałem wtedy ponurą chimera, która ubliża myśli ludzkiej, a pan zdawał się, ku memu zadowoleniu, poświęcać nieco uwagi moim argumentom. Mówiliśmy także o neutralnym nastawieniu i niezdecydowaniu młodzieńczego wieku, o jego swobodzie wyboru i skłonności do



czynienia różnych prób myślowych, i o tym, że nie należy i nie potrzeba uważać takich prób za poważne i ostateczne akty wyboru. Czy zechce mi pan — i pan Settembrini pochylił się z uśmiechem, trzymając obie nogi przy sobie na podłodze, ścisnął złożone dłonie pomiędzy kolanami i z lekka na bok przekrzywił głowę — czy zechce mi pan i nadal — rzekł z pewnym wzruszeniem w głosie — pozwolić, żebym go wspomagał w jego ćwiczeniach i eksperymentach i żebym mógł skorygować czasami jakieś grożące błędne skryształizowanie się pańskich poglądów?

— Ależ ma się rozumieć! — Hans Castorp starał się szybko wyzbyć swego zakłopotania i przełamać upór, który mu kazał odwrócić głowę; przestał bębnić palcami po kołdrze i rzekł uprzejmie, choć nie bez zakłopotania, do gościa: — Bardzo pan łaskaw... Sam sobie zadaję pytanie... To znaczy, czy ja...

— Całkiem sine pecunia — zacytował pan Settembrini powstając. — Kto by się chciał okazać chciwym? — Obaj zaczęli się śmiać. Usłyszeli, jak otworzyły się zewnętrzne drzwi, i w tej samej chwili ktoś nacisnął klamkę wewnętrznych. To Joachim wracał z zebrania wieczornego w salonie. Ujrzawszy Włocha zaczerwienił się i on, podobnie jak przedtem Hans Castorp; ciemna opalenizna jego twarzy pogłębiła się o jeden ton.

— O, masz gościa — powiedział. — Jak to miło! Zatrzymano mnie na dole. Zmuszono mnie do partii bridża — oficjalnie nazywają to bridżem — rzekł kiwając głową — a tymczasem to było zupełnie coś innego. Wygrałem pięć marek...

— Żeby tylko nie pociągnęła cię ta nieczysta siła — odezwał się Hans Castorp. — Hm, hm, dzięki panu Settembriniemu spędziłem tu tak mile czas... co zresztą jest złym określeniem. Można by je zastosować do waszego fałszywego bridża, ale pan Settembrini wypełnił swój czas tak bogatą treścią... Przyzwoity człowiek powinien dołożyć wszelkich starań, ażeby się stąd wydostać, skoro już fałszywy bridż odchodzi wśród was. Ażebym jednak częściej mógł słyszeć pana Settembriniego i korzystać z jego pomocy i rozmowy, chciałbym prawie mieć długo jeszcze gorączkę i siedzieć tu z wami... W końcu trzeba mi będzie jeszcze dać „niemowę”, abym nie oszukiwał.

— Powtarzam, inżynierze, że filut z pana — odezwał się Włoch, po czym pożegnał się w najuprzejmiejszy sposób. Pozostawszy sam z kuzynem, Hans Castorp westchnął.

— Ależ to jest pedagog! — powiedział... — Humanistyczny pedagog, to trzeba mu przyznać. Wciąż człowieka poprawia i koryguje, to w formie opowiadań, to w formie abstrakcyjnej. A przy tym mówi się z nim na tematy — nigdy bym nie pomyślał, że potrafię o tym wszystkim rozmawiać, a chociażby nawet to rozumieć.

Gdybym go zresztą był spotkał na równinie, tobym go też rzeczywiście nie rozumiał — dodał.

O tej porze Joachim bawił u niego niedługo. Poświęcał mu pół godziny lub trzy kwadranse ze swego wieczornego werandowania. Czasem grywali w szachy na jednonogim stoliku — Joachim przynosił je z dołu. Później brał wszystkie manatki i szedł z termometrem w ustach na balkon, a i Hans Castorp mierzył sobie po raz ostatni temperaturę, podczas gdy dźwięki lekkiej muzyki, z mniejszej lub większej odległości, wpadały ze spowitej ciemnością doliny do pokoju. O godzinie dziesiątej kończyło się werandowanie; słyhać było, jak ruszał się Joachim; słyhać było małżeństwo, które należało do gorszego stołu rosyjskiego... I Hans Castorp obracał się na bok w oczekiwaniu snu.

Noc była trudniejszą częścią doby, bo Hans Castorp budził się często i nieraz leżał tak całymi godzinami, ponieważ niewłaściwa temperatura krwi spędzała mu sen z powiek albo też dlatego, że jego obecny, całkowicie poziomy tryb życia wpływał ujemnie na chęć i zdolność do spania. Godziny drzemania były za to wypełnione najrozmaitszymi, często zmieniającymi się i nader żywymi marzeniami, które mógł snuć dalej, nawet na jawie. I jeżeli podział i rozbitcie dnia na krótkie okresy skracały ten dzień, to jednostajna monotonia nocy miała to samo działanie. A gdy wstawał poranek, przyjemnie było śledzić stopniowe rozjaśnianie się i wyłanianie pokoju, wydobywanie się z mroku różnych przedmiotów i patrzeć, jak za oknem zapala się dzień nieznacznie tłącą lub wesołą światłością, i nagle nadchodziła znowu chwila, kiedy mocne stukanie kąpielowego oznajmiało, że dzień wkroczył już w swe prawa.

Hans Castorp nie zabrał z sobą na wycieczkę kalendarza, toteż niekiedy nie orientował się teraz w dacie. Od czasu do czasu informował się u kuzyna, ale i on nie zawsze umiał mu dać dokładną odpowiedź. Bądź co bądź, za drogowskazy mogły służyć niedziele, szczególnie te z koncertami, przypadające raz na dwa tygodnie; Hans Castorp przeżył tutaj już dwie takie niedziele, i to było przynajmniej pewne, że wrzesień był już dość znacznie, mniej więcej do połowy posunięty. Na dworze zimno i niepogoda, panująca w pierwszych dniach choroby Hansa Castorpa, ustąpiły miejsca gorącym letnim dniom, niezliczonym takim dniom, długiemu ich szeregowi. Joachim, ubrany w białe spodnie, zjawiał się co rano w pokoju kuzyna, który nie mógł pohamować szczerego żalu swej duszy i swych młodych mięśni z powodu niemożności korzystania z tak pięknej pogody. Raz nawet powiedział z cicha, że to „hańba”, ale zaraz potem dodał dla własnego uspokojenia, że nawet gdyby był wolny, nie mógłby o wiele więcej korzystać z owej pogody, bo jak już

stwierdził, zbyt ni ruch nie wychodzi mu tu na dobre. A otwarte na oścież drzwi balkonowe pozwalały mu bądź co bądź rozkoszować się promieniami słońca.

Lecz kiedy jego uwięzienie w łóżku miało się już ku końcowi, pogoda znowu się zmieniła. W ciągu jednej nocy dolina zasnęła się mokrą zadymką i suche tchnienie radiatora rozeszło się po pokoju. Tak było też podczas rannej wizyty lekarzy tego dnia, kiedy Hans Castorp przypomniał radcy Behrensowi, że leży już trzy tygodnie, i prosił o pozwolenie wstania.

— Cóż u licha, już pan jest gotów? — powiedział Behrens. — Niech no pan pokaże, rzeczywiście, zgadza się. Boże, jak człowiek się starzeje. Niewiele się zmieniło u pana w ciągu tego czasu. Co, wczoraj było normalnie? Aha, z wyjątkiem temperatury o szóstej po obiedzie. No, Castorp, więc nie będę już dłużej taki nieubłagany i wrócę pana społeczności ludzkiej. Niech pan sobie wstanie i buja, człowieku! Naturalnie w miarę i w dozwolonych granicach. W najbliższej przyszłości zrobimy portret pańskiego wnętrza. Zapisać! — rzekł do dra Krokowskiego i przez ramię wskazał swym wielkim kciukiem Hansa Castorpa, patrząc na bladego asystenta przekrwionymi, łzawiącymi, niebieskimi oczami...

Hans Castorp opuścił „remizę”.

Z postawionym kołnierzem płaszcza i w kaloszach towarzyszył po raz pierwszy znowu kuzynowi podczas spaceru, znowu do ławki nad strumieniem i z powrotem. Zapytał po drodze, jak też długo kazałby mu leżeć radca dworu, gdyby mu sam nie był zwrócił uwagi, żeznaczony czas już się skończył. A Joachim, patrząc niepewnym wzrokiem i otworzywszy usta jakby do beznadziejnego „ach”, ręką wykonał w powietrzu ruch oznaczający coś, co się nie daje przewidzieć.

### **„Mój Boże, ja widzę”**

Po tygodniu siostra von Mylendonk wezwała Hansa Castorpa do laboratorium rentgenowskiego. Nie upominał się o to. W „Berghofie” dużo było roboty i zapewne lekarze i personel bardzo byli zajęci. W ostatnich dniach przybyli nowi goście: dwóch rosyjskich studentów z bujnymi włosami i w zapiętych po szyję czarnych bluzach, spoza których nie było widać ani rąbka koszuli; holenderskie małżeństwo, któremu wyznaczono miejsce przy stole Settembriniego; jakiś garbaty Meksykanin, przerażający towarzystwo przy stole nagłymi, straszliwymi atakami duszności — żelaznymi chwytami palców czepiał się przy tym swoich sąsiadów, wszystko jedno kobiet czy mężczyzn, obejmował ich żelaznym uściskiem swych długich rąk jak

kleszczami; napastowani stawiali mu opór i wzywali pomocy, wciągani w ten sposób w sferę lęku. Jednym słowem, jadalnia była wypełniona prawie do ostatniego miejsca, chociaż sezon zimowy rozpoczynał się dopiero w październiku. A stan zdrowia Hansa Castorpa, nasilenie jego choroby nie pozwalało mu rościć sobie pretensji do szczególnej uwagi sąsiadów. Pani Stöhr, pomimo całej głupoty i braku wykształcenia, była z pewnością o wiele bardziej chora niż on, nie mówiąc już o doktorze Blumenkohlu. Jedynie człowiek zupełnie pozbawiony poczucia dystansu i hierarchii — a w sanatorium poczucie to było silnie rozwinięte — nie zachowywałby na miejscu Hansa Castorpa skromnej postawy. Lekko chorzy nie mieli w „Berghofie” wielkiego znaczenia; przekonał się o tym nieraz, przysłuchując się rozmowom. W myśl obowiązujących tu kryteriów mówiono o nich z lekceważeniem, spoglądano na nich z góry, a czynili to nie tylko ci, co byli poważnie i bardzo poważnie chorzy, ale również sami „lekką” chorzy: w ten sposób, choć sami siebie traktowali lekceważąco, ratowali jednak lepsze mniemanie o sobie dzięki temu, że i do siebie przykładali sanatoryjną miarę. Tacy są ludzie. „Ach, ten! — mógł być ktoś z nich powiedzieć o innym chorym — temu właściwie nic nie jest, nie wiadomo, czy w ogóle ma prawo siedzieć tutaj. Nie ma ani jednej kawerny...” Taki duch panował w zakładzie, był to swoistego rodzaju duch arystokratyczny i Hans Castorp schylał przed nim głowę z wrodzonego poszanowania prawa i ładu wszelkiego rodzaju. Mówi się: co kraj, to obyczaj... Ludzie dowodzą wielkiego braku kultury wyśmiewając zwyczaje i wierzenia ludów, których kraje zwiedzają, a nie dostrzegając wielu cennych zalet. Nawet Joachim cieszył się szacunkiem i względami Hansa Castorpa; nie dlatego, że Joachim bawił tu dłużej i był jego doradcą i przewodnikiem po tej krainie, ale właśnie dlatego, że należał do cięższych przypadków. W tym stanie rzeczy łatwo zrozumieć, że każdy starał się przedstawić swoją chorobę jako poważną, nawet ją wyolbrzymiać, aby móc należeć do arystokracji lub przynajmniej zbliżyć się do niej. Także Hans Castorp, zapytany przy stole o temperaturę, podawał o kilka kresek więcej, niż miał w rzeczywistości, i schlebiał mu, gdy grożono mu palcem, jak komuś, kogo się uważa za cichą wodę. Ale mimo to, że sobie dodawał, pozostawał właściwie zawsze na niskim szczeblu hierarchii sanatoryjnej; toteż cierpliwość i skromność były dla niego najbardziej wskazaną postawą.

Rozpoczął znowu swój dawny żywot z trzech pierwszych tygodni pobytu, ten dobrze mu znany, jednostajny i dokładnie uregulowany żywot u boku Joachima, i od razu, od pierwszego dnia, poszło mu jak po maśle, jak gdyby tego trybu życia wcale nie był przerywał. I rzeczywiście przerwa ta była bez znaczenia; uświadomił sobie to, skoro tylko po raz pierwszy zasiadł znowu przy ogólnym stole. Wprawdzie

Joachim, który przykładał szczególną wagę do podkreślania tego rodzaju momentów, postarał się o to, żeby kilka kwiatków zdobiło miejsce ozdowieńca, ale powitanie go przez współbiesiadników było nie bardzo uroczyste i niewiele różniło się od sposobu, w jaki go witano dawniej po trzygodzinnej, a nie trzytygodniowej rozłące. Powodem tego była nie tyle obojętność dla jego prostolinijnej i miłej osoby i nie tyle okoliczność, że ci wszyscy ludzie zanadto przejęci byli sobą, to znaczy swymi wielce interesującymi organizmami, ile raczej fakt, że zupełnie nie uświadamiali sobie tej przerwy. Hans Castorp z łatwością przejął się tym nastrojem, bo i on sam siedział na swoim miejscu w końcu stołu pomiędzy nauczycielką a miss Robinson zupełnie tak, jak gdyby dopiero wczoraj siedział tu po raz ostatni.

Jeżeli nawet najbliżsi sąsiedzi przy stole nie przejmowali się zbyt tym, że Hans Castorp znajduje się znowu w ich gronie, to czyż mogło to zrobić wrażenie w dalszych częściach sali? Tam literalnie nikt nie zauważył tego, z wyjątkiem jednego tylko Settembriniego, który po jedzeniu podszedł do Hansa Castorpa z żartobliwym i przyjaznym powitaniem. Hans Castorp zauważył jeszcze jeden wyjątek — mniejsza o to, czy słusznie. Był pewien, że Kławdia Chauchat spostrzegła jego ponowne zjawienie się — skoro tylko weszła, jak zwykle za późno, do sali jadalnej i trzasnęła drzwiami, skierowała na niego swe wąskie oczy, które napotkały jego spojrzenie, i usiadłszy, z uśmiechem obejrzała się raz jeszcze na niego: z uśmiechem, jak przed trzema tygodniami, kiedy miał udać się na badanie. Zrobiła to tak jawnie i nie licząc się z niczym, ani z nim samym, ani z resztą gości, że Hans Castorp nie wiedział, czy go to ma uradować, czy też raczej gniewać, jako oznaka lekceważenia. Bądź co bądź, serce jego ścisnęło się pod wpływem tych spojrzeń, które w tak potworny dla niego i oszałamiający sposób przechodziły do porządku dziennego nad okolicznością, że Kławdia Chauchat i on właściwie wcale się nie znają — ścisnęło się prawie boleśnie już wtedy, kiedy trzasnęły oszklone drzwi wejściowe, bo chwili tej wyczekiwał z zapartym tchem.

Należy dodać, że wewnętrzny stosunek Hansa Castorpa do pacjentki należącej do lepszego stołu rosyjskiego, zainteresowanie się jego zmysłów i skromnego ducha tą niewielką, miękko skradającą się postacią z kirgiskimi oczami, jednym słowem jego zakochanie (niech będzie użyte to słowo, chociaż jest właściwie słowem „z dołu”, z równiny, i mogłoby wzbudzić przekonanie, że może tu znaleźć jakieś zastosowanie piosenka „Jak mnie dziwnie czasem wzrusza...”) — zrobiło znaczne postępy podczas jego odosobnienia w pokoju. Jej obraz zjawiał mu się, kiedy obudzony się wcześniej, patrzył w stopniowo wyłaniający się pokój albo wieczorami w gęstniejący mrok (widział ją niezwykle wyraźnie w owej również chwili, kiedy Settembrini wchodząc do niego nagle zapalił lampę, i dlatego właśnie zaczerwienił

się, ujrawszy humanistę); myślał o jej ustach, kościach policzkowych, oczach, których kolor, kształt i osadzenie wryły mu się w duszę, o jej pochyłonych plecach, sposobie trzymania głowy, o kręgu szyjnym, widocznym w wycięciu jej bluzki, o ramionach, opromienionych pajęczocienką gazą — myślał o tym wszystkim w ciągu kolejnych godzin, na które rozpadał się dzień. A jeżeli przemilczeliśmy dotychczas, że myśli te sprawiły, iż godziny owe tak niepostrzeżenie i bezboleśnie mijały; to stało się to dlatego, iż bierzemy żywy udział w niepokoju sumienia, który mieszał się z przerażającą błogością tych obrazów i zjaw. Łączyła się ona z obawą i wzburzeniem, z nadzieją, wybiegającą w nieokreśloność, bezkres i awanturniczość, z radością i bezimiennym lękiem, który niekiedy tak niespodziewanie ścisnął serce młodzieńca — serce we właściwym i cielesnym znaczeniu — że jedną ręką przyciskał ten organ, a drugą podnosił do czoła, osłaniając nią sobie oczy, i szeptał:

— Mój Boże!

Bo za tym czołem roily się myśli i półmyśli, które właściwie dopiero użyczały tym obrazom i zjawom ich nazbyt wielkiej słodyczy i tyczyły się niedbałości pani Chauchat i jej nieliczenia się z niczym, jej choroby, która kładła nacisk na jej ciało i podkreślała je, ucieleśniała jej istotę, a która, według orzeczenia lekarza, miała być odtąd jego, Hansa Castorpa, udziałem. Pojmował w głębi swego mózgu tę awanturniczą swobodę, z jaką Madame Chauchat, uśmiechając się i oglądając za siebie, przechodziła do porządku nad okolicznością, że się towarzysko nie znają, jak gdyby nie byli w ogóle istotami towarzyskimi i jak gdyby nawet nie było potrzebne, żeby z sobą r o z m a w i a l i ... i to właśnie napełniało go strachem: takim samym, jaki odczuwał wtedy, gdy w pokoju przyjęć podniósł szukający wzrok z obnażonego torsu Joachima do jego oczu — z tą różnicą, że wówczas współczucie i troska były przyczyną jego lęku, a tutaj wchodziły w grę zupełnie inne sprawy.

Tak więc życie „Berghofu”, to miłe i dokładnie unormowane życie na wąskiej przestrzeni, szło znowu swym utartym torem — Hans Castorp, czekając na podobną swego wnętrza, nadal dzielił je z poczciwym Joachimem, godzina za godziną czyniąc to samo co tamten; i to sąsiedztwo było dla młodzieńca korzystne. Bo chociaż było to tylko koleżeństwo w chorobie, to jednak było w nim wiele z żołnierskiej godności: godności, która, nie zdając sobie z tego sprawy, już prawie zadowalała się służbą kuracyjną; i służba ta stawała się surogatem spełniania obowiązków na nizinie i jakby podrzuconym zawodem. Hans Castorp nie był tak głupi, żeby tego wyraźnie nie widzieć, zdawał sobie jednak dobrze sprawę, że owo sąsiedztwo działa hamująco i powstrzymujące na jego usposobienie cywila — możliwe nawet, że to sąsiedztwo; przykład Joachima i jego opieka nad Hanssem Castorpem były tym, co

wstrzymywało młodzieńca od pewnych poczynań i nieopatrznych przedsięwzięć. Bo widział dobrze, ile cierpiał biedny Joachim z powodu pewnej co dzień ogarniającej go atmosfery pomarańczowego zapachu, za którą kryły się okrągłe, brązowe oczy, drobny rubin, niezupełnie usprawiedliwiona ochota do śmiechu i piersi na zewnątrz tak ładnie zarysowane. Rozsądek i uczciwość, które kazały Joachimowi unikać tej atmosfery i uciekać od niej, silnie wzruszały Hansa Castorpa, dodawały mu siły i pewnej dyscypliny wewnętrznej i nie pozwalały mu, jeżeli tak się można wyrazić, „pożyczyć ołówka” od wąskookiej Rosjanki — do czego, jak pouczało doświadczenie, bez trzymającego w korbach sąsiedztwa z pewnością byłby gotów.

Joachim nigdy nie wspominał o tej śmieszce Marusi, a więc i Hans Castorp nie mógł z nim mówić o Kławdii Chauchat. Starał się powetować to sobie, prowadząc ukradkiem rozmowy z nauczycielką, siedzącą przy stole po prawej stronie; przekomarzał się ze starą panną na temat jej słabości dla gibkiej chorej, tak że panna Engelhart oblewała się rumieńcem, a on tymczasem walczył z drzeniem szyi, naśladowując pełen godności sposób, w jaki stary Castorp trzymał głowę. Wyciągał też z nauczycielki ważne dla siebie wiadomości, tyczące się osoby pani Chauchat, jej pochodzenia, męża, wieku, rodzaju jej choroby. Chciał wiedzieć, czy ma dzieci... Ależ nie, nie ma. Cóż by taka kobieta jak ona miała robić z dziećmi? Prawdopodobnie jest jej surowo zabronione mieć dzieci — a ponadto: cóż by to były za dzieci? Hans Castorp musiał się zgodzić z tym poglądem. Poza tym, jak przypuszczał z wielką rzeczowością, było już na to za późno. Czasami, z profilu, rysy pani Chauchat wydawały mu się już trochę zaostrome. Czy przekroczyła już trzydziestkę? Panna Engelhart żywo zaprzeczyła. Kławdia, trzydzieści lat? W najgorszym razie ma dwadzieścia osiem. A co się tyczy profilu, to zabrania Hansowi Castorpowi mówić coś podobnego. Kławdia ma profil młodzieńczy, miękki i słodki, chociaż naturalnie interesujący, nie jak profil pierwszej lepszej gęsi. A za karę panna Engelhart dodała natychmiast, że wie, iż panią Chauchat często odwiedza pewien pan, jej rodak, który przychodzi z Uzdrowiska: przyjmuje go po obiedzie w swoim pokoju.

To było dobrze wycelowane. Hans Castorp zmienił się na twarzy, chociaż usiłował zapanować nad sobą, a zwroty, którymi starał się reagować na to odkrycie, zbudowane na modłę „Co też pani...” albo „Patrzcie no”, brzmiały nienaturalnie. Nie umiając, jak to zrazu pragnął, udawać, że lekko traktuje istnienie tego rodaka, drżącymi wargami powracał ciągle do tego tematu. Czy to człowiek młody? Nauczycielka odpowiedziała, że, o ile słyszała, jest młody i przystojny; bo sama go nie widziała. Czy chory? — Co najwyżej lekko chory! — Hans Castorp powiedział szczerzo, że ma nadzieję, iż ma na sobie więcej bielizny niż jego ziomkowie należący do gorszego stołu rosyjskiego — za co panna Engelhart, wciąż jeszcze, by ukarać

młodzieńca, gotowa była ręczyć. Wtedy przyznał, że należy bliżej się sprawą tą zająć, i poważnie zlecił panie Engelhart, aby zbadała, co tu właściwie robi ten rodak składający wizyty. Zamiast jednak zdobyć co do tego jakieś wiadomości, po kilku dniach wiedziała coś zupełnie nowego.

Wiedziała, że ktoś Kławdię Chauchat maluje, portretuje, i spytała Hansa Castorpa, czy także wie o tym. Jeżeli nie wie, to może jednak być tego zupełnie pewien, bo ona ma tę wiadomość z najpewniejszego źródła. Od dłuższego czasu pozuje tutaj w zakładzie komuś do portretu — a komu? Radcy Behrensowi! Panu radcy dworu, którego prawie codziennie odwiedza w tym celu w jego prywatnym mieszkaniu.

Nowina ta wywarła na Hansie Castorpie wrażenie jeszcze większe niż poprzednia. Nie przestawał z przekąsem dowcipkować na ten temat. No cóż, przecież wiadomo, że pan radca maluje olejne obrazy — to przecież nie jest zabronione i wolno każdemu. A więc w samotnym ustroniu pana radcy? Miejmy nadzieję, że przynajmniej panna von Mylendonk jest obecna na tych seansach. O, ta na pewno nie ma czasu. — Behrens nie powinien mieć więcej czasu niż starsza siostra — powiedział surowo Hans Castorp. Ale chociaż w ten sposób powiedział coś jakby definitywnego w tej kwestii, był daleki od porzucenia jej i wciąż wypytywał o bliższe i dalsze szczegóły: o obraz i jego format, czy to ma być tylko głowa, czy postać do kolan; i w jakiej porze odbywają się seanse; ale panna Engelhart i tutaj nie mogła służyć wyczerpującymi odpowiedziami i musiała go pocieszać, że zasięgnie dalszych informacji.

Po otrzymaniu tej wiadomości Hans Castorp miał 37,7. Bardziej niż wizyty, które pani Chauchat przyjmowała, bolały i niepokoiły go te, które składała.

Życie prywatne pani Chauchat, jako takie, samo w sobie i niezależnie od swojej treści, zaczęło już od pewnego czasu budzić w nim niepokój i ból, jak bardzo więc musiały się oba te uczucia pogłębić, kiedy do uszu jego doszły tak dwuznaczne słowa! Wprawdzie na ogół było możliwe, że stosunki owego Rosjanina z panią Chauchat były zupełnie poprawne i niewinne, ale Hans Castorp był od pewnego czasu skłonny uważać poprawność i niewinność za bzdury. Nie mógł też przezwyciężyć się i wyzbyć podejrzenia, że poza portretowaniem wąskookiej młodej kobiety, o skradającym się kroku, przez rubasznie się wyrażającego wdowca, kryje się coś innego. Dobry gust, który okazał radca dworu w wyborze modelu, zanadto był zgodny z jego własnym gustem, by Hans Castorp mógł tu wierzyć w poprawność, a wyobrażenie Behrensa, jego sinych policzków i łzawiących oczu z czerwonymi żyłkami, nie przyczyniało się do umocnienia takiej wiary.



Pewne spostrzeżenie, które uczynił w tych dniach przypadkowo i na własną rękę, podziało na niego inaczej, choć i ono było potwierdzeniem jego dobrego gustu. Przy poprzecznym stole pani Salomon i żarłocznego ucznia w okularach, na lewo od stołu obu kuzynów, obok bocznych drzwi, siedział pewien chory z Mannheimu, jak słyszał Hans Castorp, człowiek może trzydziestoletni, z przerzedzonymi włosami i popsutymi zębami, mówiący powoli i jakby z wahaniem — ten sam, który czasem wieczorami grywał na pianinie, a mianowicie najczęściej marsz weselny ze „Snu nocy letniej”. Mówiono, że jest bardzo pobożny, co nie było, jak to łatwo zrozumieć, rzadkim wypadkiem u tych w górze. Podobno co niedziela chodził na mszę do kościoła w Uzdrowisku, a na werandzie czytywał nabożne książki, zdobne w rysunek kielicha albo gałązek palmowych na okładce. Człowiek ten, jak zauważył pewnego razu Hans Castorp, kierował swój wzrok w to samo miejsce, które ściągało na siebie oczy Hansa Castorpa, kierował go i zatrzymywał na giętkiej postaci pani Chauchat, i to w sposób lękliwy i uporczywie jak pies. Hans Castorp spostrzegłszy to pewnego razu musiał się wciąż na nowo o tym przekonywać. Widział, jak stawał wieczorami w bawialni pośród gości i patrzył z posępnym zapamiętaniem na tę uroczą, choć przez chorobę toczoną kobietę, rozmawiającą tam w małym salonie, na kanapce, z Tamarą — tak nazywała się ta humorystyczna panna o wełnistych włosach — z drem Blumenkohlem i z owym siedzącym przy jej stole panem o zapadniętych piersiach i obwisłych ramionach; widział, jak się niekiedy odwracał, wałęsał się wśród gości i znowu patrzył tam przez ramię, przesuwając w bok gałki oczu i żałośnie unosząc górną wargę. Widział, jak bladł i nie podnosił głowy, w końcu jednak przecież ją podnosił i patrzył chciwie, kiedy trzaskały drzwi i pani Chauchat sunęła ku swemu miejscu. I nieraz widział, jak, biedak, stawał po jedzeniu pomiędzy drzwiami wyjściowymi a lepszym stołem rosyjskim, ażeby pani Chauchat, która nie zwracała na niego uwagi, musiała przejść tuż obok niego, i jak z bezpośredniej bliskości pożerał ją wtedy oczami bezdennie smutnymi.

I to więc odkrycie bardzo obeszło młodego Hansa Castorpa, chociaż pożałowania godne gapienie się mannheimczyka nie mogło zaniepokoić go w równej mierze, jak prywatne obcowanie Kławdii Chauchat z radcą Behrensem, człowiekiem tak znacznie przewyższającym go jako osobowość i pod względem wieku, i pozycji życiowej. Kławdia zupełnie nie troszczyła się o mannheimczyka. Hans Castorp, uczulony wewnętrznie na tę sprawę, z pewnością byłby to zauważył, gdyby tak było, a więc nie cierń zazdrości ranił w tym wypadku tak okrutnie jego duszę. Ale doświadczał wszystkich uczuć, których doświadcza upojenie i namiętność, kiedy spotyka w świecie zewnętrznym swe własne odbicie; jest to dziwna mieszanina wstrętu i poczucia solidarności. Niemożliwością jest wszystko zgłębić i zanalizo-

wać, jeżeli chcemy ruszyć z miejsca. Cokolwiek jednak obserwowanie mannheimczyka rodziło w duszy biednego Hansa Castorpa, w każdym razie było to ponad jego siły.

Tak minął tydzień, po którego upływie Hans Castorp miał być prześwietlony. Nie wiedział sam, że już minął, a kiedy pewnego razu podczas pierwszego śniadania starsza siostra (znowu miała jęczmień na oku; w żaden sposób nie mógł to być ten sam, widocznie więc to niewinne, ale szpecące ją cierpienie było organiczne) poleciła mu udać się po obiedzie do laboratorium, zrozumiał, że tydzień się skończył. Hans Castorp miał stawić się razem z kuzynem na pół godziny przed podwieczorkiem; bo i Joachimowi miano przy tej sposobności zrobić zdjęcie —poprzednie musiało już być przestarzałe.

Tak więc skrócili dzisiaj główne werandowanie o trzydzieści minut; punktualnie o wpół do czwartej zeszli po kamiennych schodach do rzekomych piwnic i usiedli w małej poczekalni oddzielającej pokój przyjęć od laboratorium rentgenologicznego. Joachim, którego nic nowego nie czekało, był zupełnie spokojny, a Hans Castorp w nastroju gorączkowego oczekiwania, ponieważ nikt dotychczas nie przypatrywał się wewnętrznemu życiu jego organizmu. Nie byli sami: kiedy weszli, siedziało tam już kilku pacjentów, z podartymi zeszytami ilustrowanych pism na kolanach, i czekało swej kolei: olbrzymi młody Szwed, który jadał przy stole Settembriego i o którym mówiono, że kiedy przyjechał w kwietniu, był tak chory, iż prawie nie chciano go przyjąć; ale teraz przybyło mu osiemdziesiąt funtów, i miał już jako zupełny ozdrowieniec opuścić sanatorium; następnie pewna pani z gorszego stołu rosyjskiego, matka, niezmiernie wątła, z jeszcze wątlejszym, długonosym i brzydkim chłopcem, któremu na imię było Sasza. Te osoby czekały więc dłużej niż obaj kuzyni; widocznie miały wezwanie na wcześniejszą godzinę; ale musiało coś opóźnić się obok w sąsiednim pokoju, gdzie prześwietlano; wróżyło to zimną herbatę.

W laboratorium pracowano. Słysząc było głos radcy dworu, wydającego polecenia. O wpół do czwartej, a może jeszcze trochę później, drzwi otworzyły się — otworzył je asystent techniczny, zatrudniony tutaj na dole, i wpuszczono najpierw olbrzymiego Szweda-szczęściarza; poprzednik jego wyszedł, widać innymi drzwiami. Teraz wszystko potoczyło się raźniej. Już po dziesięciu minutach słysząc było na korytarzu kroki oddalającego się skandynawskiego ozdowieńca, tej chodzącej reklamy sanatorium i uzdrowiska, a jednocześnie wpuszczono Rosjanę z jej synkiem Saszą. Znowu, jak już wtedy, kiedy Szwed wchodził do laboratorium, Hans Castorp zauważył, że panuje tam półmrok, a właściwie sztuczne półświatło — zupełnie tak samo, jak po drugiej stronie w analitycznym gabinecie dra Krokow-

skiego. Okna były zasłonięte, światło dzienne nie dochodziło zupełnie, paliło się tylko kilka lamp elektrycznych. Ale w chwili kiedy Sasza z matką, odprowadzeni spojrzeniem Hansa Castorpa, weszli do laboratorium, otworzyły się drzwi od korytarza i do poczekalni weszła następna pacjentka — za wcześniej wobec istniejącego opóźnienia — a była nią Madame Chauchat.

Tak, w małym pokoiku ukazała się nagle Kławdia Chauchat. Kiedy Hans Castorp poznał ją, otworzył szeroko oczy i poczuł, że krew ucieka mu z twarzy, a dolna szczęka drętwieje, tak że zaledwie powstrzymał odruch rozchylania się ust. Wejście Kławdii było tak nieoczekiwane, takie jakieś ni stąd, ni zowąd — po prostu znalazła się nagle w małym pokoju wraz z obydwojema kuzynami, chociaż przed chwilą zupełnie jej tam nie było. Joachim szybko spojrzał na Hansa Castorpa i nie tylko spuścił w dół oczy, ale wziął nawet znowu ze stołu pismo ilustrowane, które już przedtem tam odłożył, i ukrył za nim twarz. Hans Castorp nie miał tyle siły, żeby pójść za jego przykładem. Zbladł na chwilę, po czym znowu silnie się zaczerwienił, a serce biło mu jak młotem.

Pani Chauchat usiadła przy drzwiach do laboratorium w małym okrągłym foteliku z krótkimi, jakby szczątkowymi poręczami, oparła się głęboko, lekko założyła nogę na nogę i spoglądała w przestrzeń; świadomość tego, że jest obserwowana, sprawiła, iż jej oczy Przybysława, nerwowo odchylone w bok od kierunku patrzenia, cokolwiek zezowały. Miała na sobie biały sweter i granatową spódniczkę; na kolanach trzymała książkę, prawdopodobnie wypożyczoną z biblioteki, i lekko postukiwała stopą opartą o podłogę.

Już po upływie półtorej minuty zmieniła pozycję, obejrzała się dokoła, wstała z taką miną, jak gdyby nie wiedziała, co począć i dokąd się zwrócić — i zaczęła mówić. Zapytała o coś, a pytanie swoje skierowała do Joachima, chociaż był na pozór zatopiony w czytaniu gazety, a Hans Castorp siedział nic nie robiąc; usta jej formowały słowa, a z białej szyi wydobywał się głos: był to ów głos niezbyt głęboki, nieco ostry i przyjemnie zachrypnięty, który Hans Castorp już znał od dawna, a raz już nawet słyszał z bezpośredniej bliskości: wówczas kiedy głos ten odezwał się wprost do niego: „Chętnie. Ale po lekcji musisz mi go koniecznie oddać”. Wtedy jednak słowa były płynniej wypowiedziane i jakieś pewniejsze; teraz wlokły się i urywały, jak gdyby osoba wymawiająca je nie miała do nich prawa i tylko je sobie wypożyczała; Hans Castorp nieraz już słyszał ją tak mówiącą i zawsze doznawał przy tym uczucia wyższości, ale jednocześnie i pokornego zachwytu. Pani Chauchat spytała, jedną rękę trzymając w kieszeni wełnianego swetra, a drugą poprawiając sobie włosy na tyle głowy:

— Przepraszam, na którą godzinę jest pan zamówiony?

A Joachim, rzuciwszy szybko okiem na swego kuzyna, odparł stuknąwszy obcasami w pozycji siedzącej:

— Na wpół do czwartej.

Mówiła dalej:

— A ja na trzy kwadransy na czwartą. Co to się stało? Już dochodzi czwarta. Przed chwilą wszedł tam ktoś jeszcze, prawda?

— Tak, dwie osoby — odrzekł Joachim. — Czekały przed nami. Widocznie jakieś spóźnienie. Zdaje się, że wszystko zostało przesunięte o pół godziny.

— To przykre! — powiedziała, nerwowo dotykając swych włosów.

— Raczej tak — odpowiedział Joachim. — My także czekamy już prawie pół godziny.

Tak rozmawiali z sobą, a Hans Castorp słyszał wszystko jak przez sen. To, że Joachim rozmawiał z panią Chauchat, było prawie tak, jak gdyby on sam z nią rozmawiał — chociaż, co prawda, było to coś zupełnie innego. Słowa „raczej tak” obraziły Hansa Castorpa, wydawały mu się zuchwale i co najmniej dziwnie obojętne, zważywszy, w jakich okolicznościach zostały wypowiedziane. Ale Joachimowi wolno było ostatecznie tak mówić — w ogóle wolno mu było z nią mówić, a może nawet chełpił się przed Hansem Castorpem tym zuchwałym „raczej tak”, podobnie jak on sam zgrywał się wówczas przed Joachimem i przed Settembrinim, kiedy na pytanie, jak długo ma zamiar tu zostać, odpowiedział „trzy tygodnie”. Chociaż zasłaniał się gazetą, zwróciła się jednak do Joachima — zapewne dlatego, że był tu już od dawna i że lepiej znała go z widzenia — ale również i z tego powodu, że łączyły ich zwykle ludzkie stosunki, że możliwy był między nimi artykułowany sposób wyrażania się, a nie było nic z dzikości, głębi, lęku i tajemnicy. Gdyby czekał tutaj wraz z nimi ktoś z brązowymi oczami, z rubinowym pierścieniem i zapachem pomarańcz, wtedy jego, Hansa Castorpa, rzeczą byłoby prowadzić rozmowę i powiedzieć „raczej tak”, bo w stosunku do tego kogoś był czysty i niezależny. „Zapewne, raczej przykre, proszę pani!” — tak powiedziałaby jej, a może nawet energicznym ruchem wyciągnęłaby z kieszeni chustkę, ażeby wytrzeć sobie nos. „Proszę mieć trochę cierpliwości. My jesteśmy w nie lepszym położeniu.”

A Joachima dziwiłaby wtedy jego pewność siebie — chociaż zapewne nie życzyłby sobie być na jego miejscu. Nie, w tym stanie rzeczy Hans Castorp także nie zazdrościł Joachimowi, chociaż to on rozmawiał z panią Chauchat. Godził się na

to, że się zwróciła do niego; w ten sposób dała do zrozumienia, że liczy się z okolicznościami i że jest ich zupełnie świadoma... Serce waliło mu jak młotem.

Pani Chauchat, potraktowana w ten pełen umiaru sposób przez Joachima — w sposobie tym Hans Castorp dopatrywał się śladów wrogiego nastawienia kuzyna względem towarzyszki niedoli i nastawienie to, pomimo całego wzburzenia, wydało mu się zabawne — spróbowała przejść się po pokoju, ale ponieważ poczekalnia była na to za mała, wzięła także ze stołu numer jakiegoś ilustrowanego pisma i powróciła z nim na fotelik ze szczątkowymi poręczami. Hans Castorp siedział na miejscu i wpatrywał się w nią, naprężając wzorem dziadka mięśnie szyi, co go istotnie w śmieszny sposób upodabniało do staruszka. Ponieważ pani Chauchat znowu założyła nogę na nogę, kolano jej, a nawet cała linia wysmukłej nogi wyraźnie rysowała się pod granatowym materiałem spódnicy. Była średniego tylko wzrostu, w oczach Hansa Castorpa bardzo miłego i odpowiedniego, ale nogi miała stosunkowo długie i nie była szeroka w biodrach. Nie opierała się głęboko, ale siedziała pochylona naprzód, skrzyżowane ręce oparła o udo przerzuconej nogi; siedziała z pochylonymi plecami i opadającymi ramionami, tak że kręgi karku wyraźnie się odznaczały i pod przylegającym swetrem nawet kręgosłup był niemal widoczny; piersi, nie tak wysokie i bujne jak u Marusi, lecz drobne i dziewczęce, z obu stron ściśnięte były ramionami. Hans Castorp przypomniał sobie nagle, że i ona czeka tutaj na prześwietlenie. Pan radca malował ją; za pomocą oleju i farb odtwarzał na płótnie jej zewnętrzny wygląd. Ale teraz, w półmroku, skieruje na nią promienie, które odsłonią przed nim wnętrze jej ciała. Myśląc a tym Hans Castorp odwrócił w bok głowę z wyrazem godnego zasepienia, dyskrecji i obyczajności: wydawało mu się, że sam przed sobą powinien przybrać ten wyraz twarzy wobec obrazu, jaki nasunęła mu w tej chwili fantazja.

Niedługo pozostali w pokoju we troje. Widocznie prędko załatwiono się tam w środku z Saszą i jego matką i śpieszono się, by wyrównać stratę czasu. Technik w białym fartuchu otworzył znów drzwi, Joachim rzucił na stół ilustrowane czasopiśmo i powstał z miejsca, a Hans Castorp, co prawda nie bez wewnętrznego wahania, ruszył za nim ku drzwiom. Budziły się w nim rycerskie wątpliwości, zastanawiał się, czy nie należałoby jednak w sposób ogólnie przyjęty przemówić do pani Chauchat i zaofiarować jej pierwszeństwa, w miarę możliwości uczynić to może nawet po francusku, i gorączkowo zaczął szukać odpowiednich słów i układać zdania. Ale nie wiedział, czy takie rycerskie grzeczności są tutaj uświęcone zwyczajem, czy też raczej rzeczywista kolejność nie jest dużo ważniejsza od rycerskości. Joachim wiedział to zapewne, ale ponieważ nie miał zamiaru ustąpić czekającej damie, chociaż Hans Castorp spojrzał na niego niespokojnie i znacząco, więc i on podążył za nim,

przechodząc koło pani Chauchat, która na chwilę tylko podniosła schyloną głowę, i wszedł przez drzwi do laboratorium.

Zanadto był oszołomiony tym, co pozostawił za sobą, tymi przeżyciami ostatnich dziesięciu minut, żeby wszedłszy do laboratorium mógł od razu wewnętrznie się przestawić. Nie widział nic, a właściwie tylko ogólne zarysy, wyłaniające się z półmroku. Słyszał jeszcze przyjemnie matowy głos pani Chauchat, którym powiedziała: „Co to się stało... przed chwilą wszedł tam ktoś jeszcze... To przykre...”, i dźwięk tego głosu wywoływał rozkoszny dreszcz wzdłuż jego pleców. Widział, jak pod wełnianą spódniczką rysowało się jej kolano, widział kręgi szyjne, występujące na pochylonym karku spod krótkich rudawoblond włosów, które w tym miejscu wymykały się swobodnie ze splotów warkocza — i znów przebiegł go ów dreszcz. Widział radcę Behrensa, stojącego tyłem do wchodzących, przed szafą czy jakimiś wmurowanymi półkami, i oglądającego ciemną kliszę, którą w wyciągniętej ręce trzymał pod mdłe światło padające z sufitu. Minęli go i przeszli w głąb pokoju, a po drodze wyprzedził ich technik, który już czynił przygotowania do badania. W powietrzu unosił się dziwny zapach, atmosferę wypełniał jakby zastarzały ozon. Ścianka, wysuwająca się spomiędzy dwóch okien, zawieszonych czarnymi zasłonami, dzieliła pokój na dwie nierówne części. Można było odróżnić przyrządy fizykalne, szkła dęte, tablice rozdzielcze, sterczące w górę instrumenty miernicze; dalej skrzynię podobną do kamery fotograficznej i umieszczoną na stojaku na kółkach, szereg szklanych przezrocz, wpuszczonych w ścianę — trudno było rozstrzygnąć, czy jest się w pracowni fotografa, w ciemni, czy w warsztacie wynalazcy albo technicznym laboratorium czarnoksiężnika.

Joachim natychmiast zaczął rozbierać się do połowy. Pomocnik, młody, krępy i rumiany tubylec, kazał Hansowi Castorpowi zrobić to samo. To idzie prędko, zaraz będzie kolej na niego... Podczas gdy Hans Castorp zdejmował kamizelkę, Behrens wyszedł z mniejszej części pokoju, w której stał dotychczas, i ukazał się w obszernej.

— Halo! — zawołał. — Oto nasi Dioskurowie! Castorp i Polluks. Zwracam uwagę: jęczeć nie wolno! Czekajcie, zaraz przejrzymy tu was obu. Zdaje mi się, Castorp, że pan lęka się otworzyć przed nami swoje wnętrze? Niech pan będzie spokojny; wygląda zupełnie estetycznie. Czy widział pan już moją prywatną galerię? — I pociągnął Hansa Castorpa za ramię przed rząd czarnych szkieł, poza którymi zapalił światło elektryczne. Wówczas rozjaśniły się — wystąpiły na nich obrazy. Hans Castorp ujrzał członki ludzkie: ręce, nogi, rzepki kolanowe, podudzia i uda, ramiona i części miednicy. Ale okrągłe kształty tych ułamków żywego ciała ludz-

kiego były tylko schematyczne i miały niewyraźne kontury; jak mgła, jak błada poświata niepewnie otaczały swoje jasno, precyzyjnie i ostro występujące jądro — szkielet.

— Bardzo ciekawe — rzekł Hans Castorp.

— Ma się rozumieć, że ciekawe! — odpowiedział radca dworu. — Pożyteczna lekcja pogładowa dla młodych ludzi. Anatomia świetlna, rozumie pan, triumf ostatniej doby. To jest ramię kobiece, poznaje pan to po jego wdzięku. Tym właśnie one obejmują nas w czasie miłosnej igraszki, rozumie pan. — I zaczął śmiać się, wykrzywiając przy tym wargę z przyszczyżonym wąsikiem, która uniosła się niesymetrycznie w górę. Obrazy zagasty. Hans Castorp odwrócił się w tę stronę, gdzie przygotowywano prześwietlanie Joachima.

Działo się to przed ową ścianką, poza którą stał zrazu radca Behrens. Joachim usiadł na czymś w rodzaju szewskiego zydlu, przed deską, do której przycisnął pierś i którą nadto objął obiema rękami; pomocnik poprawiał jego pozycję ugniatającymi ruchami, wysunął mu barki trochę bardziej naprzód i masował plecy. Potem udał się poza kamerę, ażeby, nachyliwszy się i rozkraczywszy nogi, jak pierwszy lepszy fotograf, dokładnie przyjrzeć się obiektowi; uznał, że wszystko w porządku, i odstaąpiwszy w bok kazał Joachimowi głęboko wciągnąć powietrze i zatrzymać je w płucach do ukończenia zabiegu. Zaokrąglone plecy Joachima wydeły się i tak pozostały. W tym momencie pomocnik wykonał na tablicy rozdzielczej odpowiedni ruch. Na przeciąg dwóch sekund rozpełtały się straszliwe siły, potrzebne do tego, aby promienie mogły przeniknąć materię: prądy o napięciu tysięcy wolt — stu tysięcy, jak sobie przypomniał Hans Castorp. Zaledwie opanowane dla spełnienia celu, usiłowały bocznymi drogami wyładować się wśród huku przypominającego wystrzały. Przyrząd mierniczy otoczony był trzeszczącym błękitem. Długie błyskawice z trzaskiem przelatowały wzdłuż ściany. Ukazało się gdzieś czerwone światełko, jak oko groźnie i nieruchomo spoglądające w ciemność, a za plecami Joachima zielono zabłysła jakaś ampułka. Potem wszystko ucichło; zjawiska świetlne znikły i Joachim z głębokim westchnieniem wypuścił z płuc powietrze. Było po wszystkim.

— Następny delikwent! — zawołał Behrens i trącił łokciem Hansa Castorpa. — Tylko proszę nie zasłaniać się zmęczeniem! Dostanie pan odbitkę. Będzie pan mógł jeszcze swoim dzieciom i wnukom pokazywać na ekranie tajemnice swego wnętrza!

Joachim odszedł na bok; technik zmienił kliszę. Radca Behrens osobiście pouczał nowicjusza, jak ma usiąść i zachowywać się. — Objąć! — rzekł. — Objąć deskę! Może pan sobie zresztą wyobrazić co innego na jej miejscu! A dobrze przy-

ciskać piersi, jakby z tym były połączone rozkoszne wrażenia. Tak, dobrze. Wciągnąć powietrze! Teraz spokojnie! — komenderował. — Proszę o miły wyraz twarzy! — Hans Castorp czekał, mrugając oczami, z płucami pełnymi powietrza. Z tyłu, za nim, rozpętała się burza, trzeszczała, trzaskała, huczała i wreszcie się uciszyła. Obiektyw zajrzał mu do środka.

Hans Castorp podniósł się; był zmieszany i oszołomiony tym, co się z nim stało, chociaż przecież przeszycia promieniami nie odczuł zupełnie. — Bardzo grzecznie — powiedział radca dworu. — A teraz sami zajrzemy. — Joachim, wyszkolony już, przeszedł do przedniej części pokoju, bliżej drzwi, i zatrzymał się przy stojaku, mając za plecami imponujący rozmiarami przyrząd, opatrzony w połowie wysokości szklaną kulą, do połowy napełnioną wodą, i łączący się z rurą; przed nim, na wysokości piersi, wisiał na blokach ekran, wprawiony w ramę. Po lewej ręce Joachima, na środku tablicy rozdzielczej, widniała czerwona lampka. Radca dworu zapalił ją, siedząc okrakiem na stołku przed ekranem. Górna lampa zgasła i scenę rozświetlały jedynie rubinowe promienie. Wtedy mistrz szybkim ruchem ręki wyłączył i to ostatnie światło; głęboki mrok zapanował w laboratorium.

— Przed wszystkim oczy muszą przywyknąć — odezwał się w ciemności radca dworu. — Najpierw muszą się nam rozszerzyć źrenice, jak kotom, żebyśmy mogli zobaczyć to, co chcemy. Pan chyba rozumie, że bez przygotowania, naszymi zwykłymi dziennymi oczami nie możemy tego dobrze zobaczyć. Trzeba do tego zapamiętać o jasnym dniu i jego wesołych obrazach.

— Naturalnie — odparł Hans Castorp, stojąc za plecami radcy Behrensa. Zamknął oczy, bo dokoła panowała tak głęboka noc, że było wszystko jedno, czy oczy miało się otwarte, czy zamknięte. — Najpierw trzeba sobie oczy przemyć ciemnością, żeby potem móc widzieć to wszystko — to jasne. Uważam to nawet za zupełnie słuszne, żebyśmy przedtem nieco się skupili, jakby w cichej modlitwie. Stoję sobie z zamkniętymi oczami i jest mi przyjemnie, senność mnie ogarnia. Ale co tu tak pachnie?

— Tlen — odparł radca dworu. — To, co pan czuje w powietrzu, jest oxygenium... Rozumie pan, atmosferyczny produkt burzy w pokoju... Oczy do góry! — rzekł. — Teraz rozpoczynamy zaklęcia.

Hans Castorp spiesznie usłuchał rozkazu.

Słychać było, jak przełożono jakąś dźwignię. Jakiś motor ruszył i rozpędzał się z coraz wyższym gwizdem, aż został za pomocą nowego chwytu zmuszony do jednostajnego tempa. Podłoga drżała miarowo. Pionowe, podłużne, czerwone światełko z cichą groźbą patrzyło w mrok. Gdzieś zatrzeszczała jakaś błyskawica.



I z wolna, jak rozjaśniające się mleczną poświatą okno, wystąpił z ciemności blady czworokąt fluoryzującego ekranu, przed którym na szewskim zydlu siedział okra-kiem radca Behrens; rozstawił szeroko kolana, wsparł na nich pięści i przytknął swój zadarty nos prawie do samej szyby, ukazującej wewnątrz organizmu ludzkiego.

— Czy widzisz, młodzieńcze? — zapytał.

Hans Castorp przechylił się przez jego ramię, ale jeszcze raz podniósł głowę i zwrócił się w stronę, gdzie należało domyślać się oczu Joachima, spoglądających zapewne łagodnie i smutno, jak wtedy, podczas badania.

— Pozwolisz chyba? — zapytał.

— Ależ proszę — odpowiedział uprzejmie Joachim z ciemności. I podczas gdy podłoga drżała, a rozpięte moce trzaskały i huczały, Hans Castorp pochylony patrzył przez bladą szybę w pusty szkielet Joachima: Mostek wraz z kręgosłupem dawał na ekranie ciemną, chrząstkowatą kolumnę. Rusztowanie przednich odcinków żeber poprzecinane było bledszymi cieniami odcinków tylnych. Po obu stro-nach widniały wygięte łuki obojczyków, a w otoczeniu miękkiego półcienia ciała ostro i wyraźnie rysowały się kości barkowe i początek przedramienia. Obszar płucny był jasny, ale można było rozróżnić jakieś żyłkowanie, ciemne plamy i czar-niawe zygzaki.

— Jasny obraz — odezwał się radca dworu. — Oto elegancka szczupłość, woj-skowa młodzieńczość. Miewałem tutaj tłuściochów zgoła nieprzeniknionych; nie prawie nie można było rozpoznać. Trzeba by dopiero odkryć promienie przecho-dzące przez taką warstwę tłuszczu... Ale tu mamy czystą robotę. Czy widzi pan przeponę? — spytał i wskazał palcem na ciemny łuk, to wznoszący się, to opada-jący u dołu ekranu. — Czy widzi pan te garby, te wzniesienia po lewej stronie? To jest zapalenie opłucnej, które pański kuzyn miał w piętnastym roku życia. Głęboko oddychać! — komenderował. — Głębiej! Przecież mówię, głęboko! — I przepona Joachima podniosła się drżąc, jak można najwyżej do góry, w górnej części płuc rozjaśniło się, ale radca Behrens jeszcze nie był zadowolony. — Niedostatecznie! — powiedział. — Czy widzi pan te gruczoły wętkowe? Czy widzi pan zrosty? Czy widzi pan tu te kawerny? Stąd właśnie pochodzą jady, które go odurzają. — Ale uwaga Hansa Castorpa pochłonięta była czymś w kształcie worka, czymś nieforem-nym i zwierzęcym, widocznym jako ciemne miejsce poza środkową kolumną, znaj-dującym się z punktu widzenia obserwatora przeważnie po prawej stronie — czymś, co się regularnie rozszerzało i znowu kurczyło, mniej więcej na podobieństwo pły-nącej meduzy.

— Czy widzi pan jego serce? — spytał radca Behrens, podnosząc znowu olbrzy-

mią rękę i wskazując palcem na pulsujący twór... Wielki Boże, to, co widział Hans Castorp, było sercem, zycznym sercem Joachima!

— Widzę twoje serce! — powiedział stłumionym głosem.

— Ależ proszę — odrzekł znowu Joachim, i pewnie tam wyżej, w ciemności, uśmiechnął się uprzejmie. Ale pan radca kazał im milczeć i nie rozczulać się. Studiował plamy i linie, czarne zygzaki we wnętrzu klatki piersiowej, a jego współobserwator również patrzył z napięciem na upiorną postać i kościotrup Joachima, na ten nagi szkielet i przerażające swą chudością memento. W nabożnym skupieniu, opanowany uczuciem lęku, powtarzał kilkakrotnie: — Tak, tak, widzę. Mój Boże, ja widzę! — Słyszał kiedyś o pewnej dawno zmarłej krewnej ze strony Tienapplów — była ona podobno obdarzona czy obarczona straszliwym darem, który znosiła z pokorą, a który polegał na tym, że ludzi mających niebawem umrzeć widziała jako szkielety. Tak teraz Hans Castorp widział poczciwego Joachima, co prawda z pomocą i dzięki całej aparaturze fizykalno-optycznej; nie miało to więc żadnego znaczenia i wszystko było w zupełnym porządku, tym bardziej że wyraźnie poprosił Joachima o pozwolenie. Jednakże pojawił nagle całą melancholię losu owej ciotki-wizjonerki. Mocno poruszony tym, co widział — a właściwie tym, że to widział — czuł, jak sumienie jego poczęły niepokoić tajemne wątpliwości, czy to wszystko nie jest jakąś nieczystą sprawą — wątpliwości, czy wolno mu się temu tak przypatrywać w trzeszczącym i hucznym mroku i przeszła go przyjemność, towarzysząca zwykle niedyskrecji, mieszając się w jego piersi z rozczuleniem i uczuciem pietyzmu.

Ale po upływie kilku minut sam stał pod pręgierzem, a burza szalała dokoła niego! Joachim, którego ciało już znowu było zamknięte, ubierał się tymczasem. Radca dworu znowu patrzył przez mleczną szybę, tym razem do wnętrza Hansa Castorpa, a z jego półgłosnych wynurzeń, urywanych przekleństw i niedomówień można było wnosić, że rezultat badania odpowiadał jego oczekiwaniom. Potem był tak uprzejmy, że pozwolił pacjentowi, który bardzo o to prosił, przeświecić sobie rękę. I Hans Castorp ujrzał widok, którego powinien był oczekiwać, który jednak nie jest właściwie człowiekowi sądzony; toteż nigdy dotychczas nie myślał, że kiedyś ujrzy to, na co patrzył: patrzył w swój własny grób. Działanie światła wyprzedziło późniejszy proces gnicia, ciało, które miał na sobie, zostało jakby rozpuszczone, zniszczone, rozwiane w leciutką mgiełkę, a ostał się tylko misternie utończony szkielet jego prawej ręki; dokoła pierwszego członu serdecznego palca widniał otaczający go luźno czarny sygnet, odziedziczony po dziadku: jeden z twardych przedmiotów tej ziemi, którym się zdobi ciało, przeznaczone do rozplynięcia się

pod nim, tak że, oswobodzony, dostaje się na inne ciało, które z kolei może go znowu przez chwilę ponosić. Oglądał teraz dobrze sobie znaną część swego ciała oczami owej damy z rodziny Tienapplów, przesywającymi na wskroś, jasnowidzącymi oczami, i po raz pierwszy w życiu zrozumiał, że umrze. Zrobił przy tym minę jak przy słuchaniu muzyki — dość głupią, senną i nabożną, przechylił głowę na ramię i na wpół otworzył usta.

— Upierne, co? Tak, nie da się zaprzeczyć, że jest w tym odcień upiorności — powiedział radca Behrens.

Teraz zatrzymał szalejące moce. Podłoga przestała drżeć, znikły świetlne zjawiska, magiczne okno spowilo się znowu ciemnością. Zapłonęło górne światło. Podczas gdy Hans Castorp ubierał się pośpiesznie, Behrens zdawał młodym ludziom sprawę z tego, co spostrzegł, licząc się naturalnie z tym, że, jako laicy, nie wszystko mogą zrozumieć. W szczególności co się tyczy Hansa Castorpa, metoda optyczna potwierdziła wnioski badania akustycznego w stopniu, jakiego tylko mógł wymagać honor nauki. Widać było zarówno stare miejsca, jak i nowe, a „pasma” ciągnęły się od oskrzeli dosyć głęboko do płuc — „pasma z gruźkami”. Hans Castorp sam będzie mógł to zobaczyć na diapozytywie, który, jak już o tym była mowa, wkrótce dostanie. A teraz spokój, cierpliwość, męska postawa, mierzyć temperaturę, odżywiać się, werandować, czekać i popijać herbatę. Behrens odwrócił się od nich. Wyszli. Hans Castorp, idąc za Joachimem, spojrzął przez ramię. Technik otworzył drzwi i pani Chauchat weszła do laboratorium.

## **Wolność**

Jakże to właściwie przedstawiało się młodemu Hansowi Castorpowi? Czyż tak, jak gdyby siedem tygodni, które istotnie i niewątpliwie spędził tu w górze, były zaledwie siedmioma dniami? Czy też, przeciwnie, zdawało mu się, iż przebywa tu znacznie dłużej, niżli było to w samej rzeczy? Sam siebie zapytywał o to, zarówno w duchu, jak i zwracając się do Joachima, nie mógł jednak dojść do żadnego wniosku. Zachodziło chyba jedno i drugie: kiedy spoglądał wstecz, spędzony tutaj czas wydawał mu się zarówno nienaturalnie krótki, jak i nienaturalnie długi; nie mógł tylko wyrobić sobie zdania, jak rzecz miała się naprawdę (zakłada się tu, iż czas jest w ogóle czymś istniejącym i że wolno łączyć z nim pojęcie rzeczywistości).

Tak czy owak, wrzesień dobiegał końca, każdego dnia mógł się zacząć październik. Hansowi Castorpowi nietrudno było to wyliczyć, a poza tym naprowadzały go

na to zasłyszane tu i ówdzie rozmowy współpacjentów. — Wiecie, panowie, że za pięć dni już znowu będzie pierwszy? — słyszał, jak mówiła Hermina Kleefeld do dwóch młodych panów ze swego towarzystwa, studenta Rasmussena i owego pacjenta o wywiniętych wargach, który nazywał się Gänser. Mieszkańcy „Berghofu” stali wtedy po głównym posiłku wśród zapachu potraw pomiędzy stolami i gawędząc odwlekali chwilę udania się na leżaki. — Pierwszy października, widziałam to w Zarządzie na kalendarzu. Już drugi raz spędzam ten dzień w naszym miejscu rozrywek. Ślicznie, już po lecie, o ile ono w ogóle było; zawiedliśmy się na nim, jak na całym życiu, całkowicie i zupełnie. — Westchnienie wydobyło się z jej jedyne go płuca i potrząsając głową wzniosła do sufitu zamglone głupotą oczy. — No, Rasmussen! — powiedziała potem i uderzyła kolegę w obwisłe ramię. — Niech pan zrobi jakiś kawał! — Umiem tylko kilka — odparł Rasmussen i zwiesił ręce, jak płetwy, na wysokości piersi — ale nie udają mi się, jestem zawsze taki zmęczony! — Żaden pies nie chciałby — powiedział Gänser zacisnąwszy zęby — już dłużej żyć w ten lub w podobny sposób. — I śmiali się, wzruszając ramionami.

Ale także Settembrini, z wykałaczką w ustach, stał w pobliżu i wychodząc powiedział do Hansa Castorpa:

— Niech pan im nie wierzy, inżynierze, niech pan im nie wierzy nigdy, kiedy narzekają! To czynią tu wszyscy bez wyjątku, aczkolwiek czują się aż nadto u siebie w domu. Prowadzą próżniacze życie i roszczą sobie pretensje do współczucia, sądzą, że mają prawo do goryczy, do ironii, do cynizmu! „W naszym miejscu rozrywek!” Czy może nie jest to miejsce rozrywek? Pozwalam sobie twierdzić, że jest, i to w najbardziej podejrzanym znaczeniu tego słowa! Zawiodła się — powiada ta kobieta — w tym miejscu rozrywek na życiu. Ale niech no jej pan pozwoli odjechać na równinę, a jej tryb życia tam na dole nie pozostawi żadnej wątpliwości, że usiłuje jak najszybciej znów dostać się na górę. Ach tak, ironia! Niech pan się wystrzeżga tutejszej ironii, inżynierze! Niech pan się w ogóle strzeże tej duchowej postawy! Gdzie nie jest ona zwyczajnym i klasycznym środkiem retorycznym, każdej chwili zrozumiałym dla zdrowego rozsądku, tam staje się rozwiązłością, przeszkodą dla cywilizacji, zdrożnym kokietowaniem zastoju, bezduszności, występku. A że atmosfera, w której żyjemy, widocznie bardzo sprzyja plenieniu się tej bagiennej rośliny, więc wolno mi żywić nadzieję lub raczej muszę obawiać się, że pan mnie rozumie.

Rzeczywiście słowa Włocha należały do rzędu tych, które jeszcze przed siedmioma tygodniami, na nizinie, byłyby dla Hansa Castorpa jedynie pustym dźwiękiem; ale pobyt tu w górze uczynił jego umysł wrażliwym na ich znaczenie: wrażli-

wym w znaczeniu intelektualnego rozumienia, a także, nie bez zastrzeżeń, w znaczeniu sympatii, co, być może, jest jeszcze ważniejsze. Gdyż chociaż w głębi swej duszy był rad, że Settembrini także i teraz, pomimo wszystko, co się wydarzyło, dalej przemawia do niego w ten sposób, nadal go poucza, ostrzega i usiłuje nań wpłynąć, jego zdolność rozumienia osiągnęła już taki stopień, że do słów Włocha odnosił się krytycznie i odmawiał im, poniekąd przynajmniej, swej aprobaty. „Patrzcie no — myślał — on mówi o ironii zupełnie tak jak o muzyce; tego tylko brakuje, by ją nazwał »politycznie podejrzaną« — mianowicie z chwilą kiedy przestaje być »zwyczajnym i klasycznym środkiem pedagogicznym«. Ale ironia taka, która »każdej chwili jest zrozumiała«, cóż by to była za ironia, pytam się na miły Bóg, jeśli już i ja mam coś do powiedzenia? Byłaby oschłością i bakalarstwem!” — Oto niewdzięczność kształcącej się młodości! Pozwala się obdarowywać, a potem przygania podarunkowi.

Wszelako ujmowanie sprzeciwu w słowa byłoby dlań czymś zbyt awanturnicznym. Ograniczył swoje zarzuty do tego, co pan Settembrini powiedział o Herminie Kleefeld; wydawało mu się to niesprawiedliwym albo z pewnych określonych powodów pragnął, aby mu się takim wydawało.

— Ależ ta panna jest chora! — powiedział. — Jest rzeczywiście i naprawdę ciężko chora i ma wszelki powód do rozpacz! Czegóż pan właściwie chce od niej?

— Choroba i rozpacz — powiedział Settembrini — są często także tylko formami rozwiązłości.

„A Leopardi — pomyślał Hans Castorp — który wyraźnie zważył nawet o wiedzy i postępie? A on sam, ów pan bakalarz? On przecież jest także chory i wciąż na nowo przyjeżdża na górę, i Carducci niewielką miałby z niego pociechę”. — Głośno zaś powiedział:

— Pan jest dobry sobie! Ta dziewczyna może każdego dnia zacząć gryźć ziemię, i to nazywa pan rozwiązłością! Tu już musi się pan jaśniej wypowiedzieć. Gdyby mi pan powiedział: choroba bywa niekiedy skutkiem rozwiązłości, mogłoby to uchodzić za słuszne...

— Niewątpliwie mogłoby — wtrącił Settembrini. — Na Boga, czy byłbyś pan zadowolony, gdybym ograniczył się do tego?

— Albo gdyby pan powiedział: choroba musi niekiedy służyć rozwiązłości za pretekst, z tym także mógłbym się zgodzić.

— Grazie tanto!

— Ale choroba jako forma rozwiąłości? Znaczy to: taka, która nie wynika z rozwiąłości, ale sama nią jest? To przecież jest paradoksalne!

— Och, proszę bardzo, inżynierze, proszę mi tylko czegoś podobnego nie imputować! Ja gardzę paradoksami, nienawidzę ich! To wszystko, co zauważyłem o ironii, odnosi się także do paradoksu, to wszystko i niejedno jeszcze ponadto! Paradoks jest trującym kwiatem kwietyzmu, błyskotliwością gnijącego ducha, najgorszą ze wszystkich rozwiąłością! Poza tym stwierdzam, że znowu pan bierze w obronę chorobę...

— Nie, to, co pan mówi, zajmuje mnie. To przypomina mi niejedno, co dr Krokowski wywodzi w swoje poniedziałki. On także głosi, że choroba organiczna jest objawieniem wtórnym.

— To niezupełnie czysty idealizm.

— Co pan ma przeciwko niemu?

— Właśnie to.

— Czy pan nie lubi analizy?

— Nie zawsze. Bardzo nie lubię i bardzo lubię, na przemian raz jedno, raz drugie, inżynierze.

— Jak mam to rozumieć?

— Analiza jest dobra jako narzędzie uświadomienia i cywilizacji, dobra, o ile podważa głupie poglądy, rozprasza przyrodzone przesady i podkopuje autorytet, dobra, innymi słowy, kiedy uwalnia, wysubtelnia, ucłowiecza i pozwala niewolnikom dojrzewać do wolności. Jest zła, bardzo zła, ponieważ paraliżuje działanie, niezdolna do kształtowania życia, tłumi je już w zarodku. Analiza może być wielce nieapetyczną rzeczą, nieapetyczną jak śmierć, z którą jednakże — jak się zdaje — jest chyba właściwie związana — spokrewnioną z grobem i osławioną jego antonią...

„Dobrze ryknąłeś, lwie”<sup>\*</sup> — Hans Castorp nie mógł powstrzymać tej myśli, jak zazwyczaj, kiedy pan Settembrini wypowiadał poglądy pedagogiczne. Ale powiedział tylko: — Uprawialiśmy niedawno anatomię świetlną w naszej parterowej piwnicy. Behrens tak to nazwał, kiedy nas prześwietlał.

— Ach, także i ten etap ma pan już za sobą. No i co?

— Widziałem szkielet swojej ręki — powiedział Hans Castorp, usiłując odtwo-

---

\* Dobrze ryknąłeś, lwie — cytat ze „Snu nocy letniej” Szekspira.

rzyć wrażenia, jakich doznał w owej chwili. — Czy pan także kazał sobie kiedy pokazać swój szkielet?

— Nie, nie interesuję się nim zupełnie. A rezultat lekarski?

— Widział pasma, pasma z gruźlkami.

— A to wcielony diabeł!

— Tak nazwał pan już raz radcę Behrensa. Co pan przez to rozumie?

— Mogę pana zapewnić, że nazywam go tak po dojrzałym namyśle.

— Nie, pan jest stanowczo niesprawiedliwy! Przyznaję, że ten człowiek ma swoje słabostki. Jego sposób mówienia i mnie na dalszą metę razi; jest czasem trochę nieopanowany, ale przecież spotkał go tak ciężki cios, że stracił tutaj żonę. Jaki to jednak zasłużony i, zważywszy wszystko, godny szacunku człowiek, dobroczyńca cierpiącej ludzkości! Niedawno spotkałem go wracającego z operacji, resekcji żebra, w której chodziło o śmierć i życie. Wywarło to na mnie wielkie wrażenie, gdym widział, jak wraca tak od swej ciężkiej, pożytecznej pracy, na której tak dobrze się zna. Był jeszcze cały zgrzany i w nagrodę zapalił sobie cygaro. Zazdrościłem mu.

— To było pięknie z pańskiej strony. Ale wymiar pańskiej kary?

— Nie oznaczył dokładnie terminu.

— Także nieźle. Położmy się zatem, inżynierze, zajmijmy nasze pozycje.

Pożegnali się pod numerem 34.

— A teraz wchodzi pan na swój dach, prawda? Jest chyba weselej leżeć w towarzystwie niżli samemu. Czy się pan dobrze bawi? Czy to interesujący ludzie, z którymi odbywa pan kurację?

— Ach, to są sami Partowie i Scytowie.

— Pan ma na myśli Rosjan?

— I Rosjanki — powiedział Settembrini i kąty ust ściągnęły mu się w uśmiechu.

— Do widzenia, inżynierze!

Te słowa miały ukryte znaczenie, z całą pewnością. Hans Castorp wszedł zmieszany do swego pokoju. Czyżby Settembrini wiedział, co się z nim dzieje? Prawdopodobnie tropił go ze względów pedagogicznych i śledził drogi, którymi szły jego oczy. Hans Castorp był zły na Włocha, a także na siebie samego, gdyż przez własne nieopanowanie sprowokował ten docinek. Przygotowując przybory do pisania, aby wziąć je z sobą na werandę — bo nie dało się już dłużej zwlekać i trzeba było napisać list do domu, trzeci list — nie przestawał się irytować, mruczał to i owo pod

adresem tego fanfaronu i rezonera, który miesza się do rzeczy nic go nie obchodzących, a sam, nucąc, zaczepia dziewczęta na ulicy — i nie czuł się już wcale usposobiony do pisania, aluzje tego kataryniarza odebrały mu po prostu całą ochotę. Ale tak czy inaczej, musiał mieć odzież zimową, pieniądze, bieliznę, obuwie, krótko mówiąc, wszystko, co byłby zabrał z sobą, gdyby był wiedział, że przyjeżdża nie na trzy tygodnie w pełni lata, tylko... tylko na czas jeszcze nie oznaczony, który jednak w każdym razie zagarnie szmat zimy, a nawet, tak już tu w górze odnosimy się do kwestii czasu — zapewne całą zimę. O tym właśnie należało, przynajmniej jako o możliwości, donieść do Hamburga. Chodziło o to, aby tym razem powiedzieć całą prawdę, przed tamtymi na dole jasno sprawę postawić i ani przed sobą, ani przed nimi niczego dłużej nie ukrywać...

W tym sensie pisał zatem, stosując technikę, którą kilkakrotnie zaobserwował u Joachima: na leżaku, piórem wiecznym, z teczką podróżną na wysoko wzniesionych kolanach. Pisał na zakładowym papierze listowym, którego zapas znajdował się w szufladzie stołu, do Jamesa Tienappla, najbliższego mu spomiędzy trzech wujów, i prosił go o powiadomienie konsula. Pisał o przykrym wydarzeniu, o obawach, które się sprawdziły, o stwierdzonej przez lekarzy konieczności spędzenia tutaj w górze części, a może całej zimy — przypadki bowiem takie jak jego bywają często bardziej uporczywe od tych, które zapowiadają się gorzej, a należy przecież energicznie wziąć się do leczenia i raz na zawsze zapobiec złemu. Z tego punktu widzenia sądzi, uważa to za szczęście i za pomyślny zbieg okoliczności, iż przypadkiem przyjechał na górę i że nakłoniono go do zasięgnięcia porady lekarskiej: gdyż inaczej zły stan jego zdrowia przez dłuższy jeszcze zapewne czas nie wyszedłby na jaw, a później, być może, dowiedziałby się o tym w sposób o wiele dotkliwszy. Co się tyczy przypuszczalnego trwania kuracji, nie powinni się dziwić, że prawdopodobnie będzie musiał zmarnować zimę i chyba nie wcześniej uda mu się powrócić na równinę niż Joachimowi. Pojęcia czasu są tutaj inne niż te, które obowiązują zwykle w kąpieliskach i miejscach kuracyjnych; miesiąc jest, jeśli tak rzec wolno, najmniejszą jednostką czasu i sam przez się nie odgrywa żadnej roli...

Chłodno było, pisał w palcie, owinięty kocem, z zaczerwienionymi rękami. Niekiedy odrywał wzrok od papieru, który pokrywał rozsądnymi i przekonującymi zdaniem, i spoglądał w głąb znanego, ledwie już dostrzegalnego krajobrazu, w tę podłużną dolinę ze szklistoblady dzisiaj spiętrzeniem szczytów u ujścia, z jasnymi domkami na dnie; tu i ówdzie rozjaśniał ją promień słońca i oświetlał częściowo zjeżone lasem, częściowo pokryte łąkami zbocza, z których dolatywały dzwonki trzód. Pisał ze wzrastającą swobodą i nie pojmował już, jak mógł się lękać tego listu. Pisząc pojął sam, iż nie może być nic oczywistszego od jego argumentów i że



w domu spotkają się one, rzecz prosta, z najzupełniejszym zrozumieniem. Młodzieniec z jego sfery i w jego położeniu materialnym czynił coś dla siebie, skoro to okazało się wskazane, korzystał z możliwości istniejących specjalnie dla takich jak on. To było w porządku. Gdyby wrócił do domu i zdał sprawę ze wszystkiego — odesłano by go z powrotem. Prosił o przysłanie różnych potrzebnych mu rzeczy; także o regularne przekazywanie niezbędnej gotówki prosił pod koniec listu; 800 markami miesięcznie uda się wszystko pokryć.

Podpisał. To więc było załatwione. Ten trzeci list do domu był obszerny, przygotowywał już z góry domowników — nie wedle tamtejszych pojęć o czasie, lecz wedle tych, które panują tu na górze; umacniał w o l n o ś ć Hansa Castorpa. To był wyraz, którego użył, nie wyraźnie, nie w ten sposób, by ukształtował chociażby w myśli jego zgłoski, ale wyczuwał jego najobszerniejszy sens, jak się był nauczył podczas pobytu tutaj, sens, który niewiele miał wspólnego ze znaczeniem nadawanym owemu wyrazowi przez Settembriniego — i znana mu już fala trwogi i podniecenia przeszła przez niego, wprawiając mu pierś w drżenie.

Przy pisaniu krew uderzała mu do głowy, a twarz pałała. Wziął termometr ze stolika i zmierzył temperaturę, jak gdyby chodziło o to, aby skorzystać z jakiejś okazji. Rtęć podniosła się do 37,8.

„Otóż to!” — pomyślał Hans Castorp. I dodał postscriptum: „List jednakże mnie zmęczył. Mam temperaturę 37,8. Widzę, że będę musiał na razie zachowywać się bardzo spokojnie. Musicie wybaczyć, jeśli będę rzadko pisywał.” Potem leżał i wznosił rękę ku niebu, wnętrzem dłoni na zewnątrz, tak jak ją trzymał za ekranem w gabinecie rentgenologicznym. Ale światło nieba nie zmieniało żywego jej kształtu, nawet ciemniejszą jeszcze i mniej przejrzystą czyniła ją ta jasność i tylko najbardziej zewnętrzne zarysy przeświecone były na czerwono. Była to żywa ręka, którą zwykł był oglądać, dbać o jej czystość i używać jej — nie owo obce rusztowanie, które dojrzał był na ekranie — analityczna przestrzeń, którą oglądał wtedy otwartą, zamknęła się na nowo.

## **Kaprysy Merkuriusza**

Październik się rozpoczął, jak zwykły rozpoczynać się nowe miesiące — jest to sam przez się zupełnie skromny i bezszelestny początek, bez żadnych znaków ognistych; a więc właściwie zakrada się cicho, co z łatwością uchodzi uwagi, nie przestrzegającej należycie ładu. Czas nie ma w rzeczywistości żadnej cenzury, łoskotu burz ani

dźwięcznych fanfar na początku nowego miesiąca lub roku, a nawet na początku nowego stulecia; to my tylko, ludzie, strzelamy i dzwoniemy.

W przypadku Hansa Castorpa pierwszy dzień października ani na jotę nie różnił się od ostatniego dnia września; był równie zimny i przykry jak tamten, podobnie zresztą jak dni następne. Podczas werandowania nie można się było obejść bez palta zimowego i obu koców z wielbłądziej sierści, nie tylko wieczorem, ale i za dnia; ręce, w których trzymał książkę, były wilgotne i sztywne, chociaż policzki pały suchym żarem, a Joachim miał już ochotę korzystać z worka na futrze; zrezygnował z tego dlatego tylko, aby się przedwcześnie nie wydelikacać.

Ale po kilku dniach, już między początkiem a połową miesiąca, wszystko uległo zmianie i spóźnione lato wtargnęło w zdumiewającej wspaniałości. Nie bez powodu wychwalano tutejszy październik; z jakie dwa i pół tygodnia trwał przepych nieba nad górami i doliną, każdy dzień przewyższał poprzedni czystością błękitu, a słońce grzało z tak bezpośrednią siłą, iż skłaniało każdego kto żyw do ponownego wydobycia najlżejszej odzieży letniej, poniechanych już sukien batystowych i płóciennych spodni; nawet wielki parasol z płótna żaglowego, bez rączki, przytwierdzany do poręczy leżaka za pomocą specjalnego pomysłowego urządzenia, kółeczka z dziurkami, dawał w godzinach południowych niedostateczną ochronę przed skwarem słonecznym.

— To świetnie, że jestem jeszcze tutaj — powiedział Hans Castorp do kuzyna. — Taką straszną mieliśmy już pogodę — jest całkiem tak, jak gdyby zima była już za nami, a teraz nadchodził piękny czas. — Miał rację. Niewiele oznak wskazywało na właściwy stan rzeczy, a i te nie rzucały się w oczy. Jeśli pominąć kilka klonów, które, zasadzone na dole w Uzdrowisku, ledwo wegetowały i od dawna, zniechęcone, pozbyły się liści, nie było tu drzew liściastych, których stan wycisnęłyby na krajobrazie piętno pory roku; jesienny wygląd miała tylko obojnacza olcha alpejska o miękkich igłach, które zmienia jak liście. Poza tym szata drzewna okolicy była wiecznie zielonym lasem iglastym, czy to w górę wystrzelającym, czy karłowatym, odpornym na zimę, która nie jest tu jak gdzie indziej ograniczona do pewnych miesięcy i rozkłada swe śnieżyce na cały rok; tylko rdzawoczerwony ton ponad lasem, o różnym stopniu nasycenia, wskazywał, mimo letni żar nieba, na zbliżający się koniec roku. Co prawda, były jeszcze polne kwiaty, które miały swoją wymowę. Znikły już storczyki polne i orliki, które zdobiły jeszcze zbocza, gdy tu przybył, a dzikich goździków już się nie widziało. Zostały tylko gencjany, zimowity o krótkich łodyżkach, i one to świadczyły o niejakej wewnętrznej świeżości powierzchni tylko nagrzanego powietrza, o chłodzie, który człowieka werandującego,

zewnątrznie niemal osmalonego, przeniknąć mógł nagle aż do szpiku kości, jak dreszcz podczas gorączki.

Hans Castorp zatem nie przestrzegał wewnątrznie owego porządku, który jest podstawą rachuby czasu i pozwala nadzorować jego upływ i jednostki jego oddzielać, liczyć i mianować. Nie zauważył cichego początku dzisiejszego miesiąca, docierało doń tylko to, co spostrzegał zmysłowo — ów żar słońca i mroźna, ukryta w nim świeżość, wrażenie, które w tym natężeniu było dlań nowe i pobudziło go do kulinarnego porównania: przypominało mu, zgodnie z wyrażeniem, którym posłużył się wobec Joachima, omelette en surprise, z lodami pod gorącą pianą z białka. Wypowiadał nieraz coś podobnego, wypowiadał szybko, płynnie i w podnieceniu, jak mówi człowiek, który, choć rozpalony, odczuwa jednak dreszcze. Często jednak bywał także milczący, aby nie rzec: zamknięty w sobie; gdyż uwaga jego zwrócona była wprawdzie na zewnątrz, ale na jeden tylko punkt; wszystko inne, ludzie jak i rzeczy, gubiło się we mgle powstałej w mózgu Hansa Castorpa, którą radca dworu Behrens i dr Krokowski określiliby bez wątpienia jako wytwór rozpuszczalnych jądów; tak też określał to Hans Castorp sam wobec siebie, jakkolwiek zrozumienie tego faktu nie dało mu możliwości ani nawet w najslabszym choćby stopniu nie wzbudziło w nim chęci wyzbycia się tego upojenia.

Jest to bowiem upojenie, któremu zależy na samym sobie i któremu nic nie wydaje się bardziej niepożądanym i odrażającym niżli otrzeźwienie; upojenie, które zwycięsko stawia czoło naporowi tłumiących je wrażeń i broni im dostępu pragnąc ostać się nienaruszonym. Hans Castorp wiedział i sam wypowiedział się przedtem na ten temat, że pani Chauchat nie wygląda korzystnie z profilu, nieco ostro, niezupełnie już młodo. Rezultat? Unikał oglądania jej z profilu, dosłownie zamykał oczy, gdy przypadkiem z daleka lub z bliska ukazywała mu się w ten sposób, bolało go to. Czemu? Jego rozsądek winien był radośnie powitać tę sposobność i okazać swe znaczenie. Ale czegoż można się domagać... Zbladł z zachwyty, gdy Kławdia w te jasne dni znów kiedyś przyszła na drugie śniadanie w białym koronkowym stroju porannym, który wkładała przy pięknej pogodzie i który czynił ją tak niezwykle ponętą — gdy zjawiała się w nim z opóźnieniem i trzaskając drzwiami i gdy uśmiechnięta, lekko wzniosłszy ramiona, odwróciła się ku sali, by się zaprezentować. Ale był zachwycony nie tylko tym, że wyglądała tak ładnie, lecz i tym, że tak było w ogóle, gdyż wzmacniało to w jego głowie słodką mgłę, upojenie, co samo siebie pragnęło i chciało być usprawiedliwionym i podsycanym.

Człowiek o sposobie myślenia Lodovica Settembriniego, mając wydać opinię o takim braku dobrej woli, mógłby mówić po prostu o rozwiązłości, o „jednej

z form rozwiążności”. Hans Castorp wspominał niekiedy te literackie poglądy, które Włoch wygłosił był na temat „choroby i rozpaczy”, a które uważał za niezrozumiałe lub udawał, że je za takie uważa. Patrzył na Kłwędzię Chauchat, na pochylenie jej pleców, na jej naprzód wysuniętą głowę, dostrzegał, jak stale przychodzi do stołu z wielkim opóźnieniem, bez powodu i wytłumaczenia, jedynie przez brak porządku i dyscypliny wewnętrznej, widział, jak skutkiem tego samego właśnie zasadniczego braku wchodząc lub wychodząc zawsze trzaska drzwiami, jak kręci kulki z chleba, a niekiedy obgryza z boku paznokcie, i świtało w nim bezsłowne przecucie, że jeśli jest chora, a była zapewne beznadziejnie niemal chora, skoro tak długo już i często musiała przebywać tu w górze — to choroba jej całkowicie lub przynajmniej w znacznej mierze jest natury moralnej i jest rzeczywiście, jak orzekł Settembrini, najzupełniej i całkowicie identyczna z jej nonszalancją, nie zaś przyczyną lub wynikiem tej nonszalancji. Przypominał sobie także wzgardliwy gest humanisty, kiedy mówił o „Partach i Scytach”, z którymi musi werandować, gest naturalnego, nie wymagającego motywów i bezpośredniego lekceważenia i pogardy, który Hans Castorp doskonale rozumiał; to zrozumienie datowało się od czasów, kiedy, trzymając się sam bardzo prosto przy stole, z głębi serca nienawidził trzaskania drzwiami i kiedy nie odczuwał żadnej chęci obgryzania paznokci (już choćby dlatego, że zamiast tego miał swoją „Marię Mancini”), gorszył się wielce brakiem wychowania pani Chauchat i nie potrafił wyzbyć się poczucia wyższości, kiedy słyszał, jak wąskooka cudzoziemka próbuje swych sił w jego mowie ojczystej.

Takim to nastrojom oddał się niemal zupełnie Hans Castorp z racji swego wewnętrznego położenia i raczej Włoch go irytował, gdyż on to w swej pyszałkowatości mówił o „Partach i Scytach” — chociaż przecież nie przyjrzał się nawet osobom jadającym przy gorszym stole rosyjskim, gdzie zasiadali studenci o zbyt gęstym uwłosieniu i niewidocznej bieliźnie, bezustannie rozprawiający w swym zupełnie obcym języku, poza którym pewno żadnego innego nie znali, a którego bezkostny charakter przypominał klatkę piersiową pozbawioną żeber, o jakiej niedawno mówił radca Behrens. Było rzeczą naturalną, iż obyczaje tych ludzi mogły wywołać w humaniście żywe poczucie dystansu. Jedli nożem i w sposób nieopisany zanieczyszczali toaletę. Settembrini utrzymywał, iż jeden z członków tego towarzystwa, pewien medyk z wyższych lat, wykazał całkowitą nieznajomość łaciny, nie wiedział na przykład, co to jest vacuum, a zgodnie z tym, czego Hans Castorp codziennie sam doświadczał, pani Stöhr najprawdopodobniej nie kłamała twierdząc przy stole, że małżeństwo spod numeru 32, leżąc razem w łóżku, przyjmuje z rana kąpielowego, który przychodzi wykonać nacieranie.

Jeżeli to wszystko było prawdą, to właśnie rzucająca się w oczy różnica między

„lepszym” a „gorszym” stołem rosyjskim była czymś istotnym i Hans Castorp zapewniał sam siebie, iż może co najwyżej wzruszyć ramionami na to, co mówi jakiś tam zadzierający nos i trzeźwy — szczególnie trzeźwy, chociaż także odurzony gorączką — propagator republiki i pięknego stylu, który oba towarzystwa przy tych stołach obejmuje wspólną nazwą Partów i Scytów. Co przez to należało rozumieć, młody Hans Castorp pojmował doskonale, przecież począł się także orientować w związkach zachodzących między chorobą pani Chaucha a jej „non-szalancją”. Ale rzecz miała się tak, jak on sam któregoś dnia wyraził się wobec Joachima: rozpoczyna się od irytacji i poczucia dystansu, ale nagle „coś innego wchodzi w paradę”, co „nic nie ma wspólnego z krytyką”, i surowość moralna idzie w odstawkę, a pedagogicznym wpływom o charakterze republikańskim i krasomówczym staje się człowiek raczej niedostępny. Ale cóż to jest, zapytujemy pewnie także po myśli Lodovica Settembriniego, cóż to tak zagadkowego wchodzi tymczasem w paradę, paraliżuje i zawiesza sąd człowieka, ograbia go z prawa krytyki, albo raczej skłania go do zrzeczenia się tego prawa z bezsensownym zachwytem? Nie zapytujemy o nazwę tej okoliczności (gdyż nazwę tę zna każdy), pytamy o jej istotę moralną — i nie oczekujemy, wyznając szczerze, zbyt dobrze uzasadnionej odpowiedzi. W przypadku Hansa Castorpa istota owa do tego stopnia dowiodła swej siły, iż nie tylko odebrała mu zdolność sądenia, ale rozpoczął nawet ze swej strony eksperymenty nad tą formą życia, która go pozbawiła owej zdolności. Próbował, jak to jest, kiedy przy stole siedzi się zgarbionym, z pochylonymi plecami, i przekonał się, że stanowi to znaczną ulgę dla mięśni miednicy. Próbował następnie nie zadawać sobie trudu zamykania drzwi, przez które przechodził, ale zatrząskiwał je; i to także okazało się zarówno wygodnym, jak właściwym: było wyrazem tego samego nastawienia co owo wzruszenie ramion, którym Joachim powitał go w swoim czasie zaraz na stacji kolejowej, a z którym odtąd tak często spotykał się u tych tu w górze.

Mówiąc po prostu, nasz podróżnik był tedy zakochany po uszy w Kławdii Chaucha; raz jeszcze używamy tego słowa w nadziei, iż w dostatecznej mierze zapobiegliśmy nieporozumieniu, jakie by ono mogło wywołać. Uczucie, stanowiące istotę jego zakochania, nie było podobne do serdecznej i rzewnej tęsknoty, wyrażającej się w owej piosence. Raczej była to dość ryzykowna i nieprzytulna odmiana tego oamienia, przemieszana z dreszczem i żarem, jak samopoczucie człowieka gorączkującego albo jak dzień październikowy w górach; a tym, czego brakowało, była właśnie owa miła część środkowa, która by spajała krańcowe składniki tego uczucia. Z bezpośredniością, która kazała blednąć młodzieńcowi i wykrzywiała rysy jego twarzy, odnosiło się ono z jednej strony do kolana pani Chaucha i do linii jej nogi, do jej pleców, do kręgow jej karku i górnej części ramion, które ścisnęły drobną

pierś — słowem do jej ciała, do tego niedbałego ciała, które choroba akcentowała, niesłuchanie podkreślała i raz jeszcze ciałem czyniła. A z drugiej strony omamienie Hansa Castorpa było czymś nadzwyczaj lotnym i rozciąglonym, myślą, nie, snem, pełnym lęku i bezgranicznie wabiącym snem młodzieńca, któremu na pewne określone, chociaż bezwiednie postawione pytania odpowiadało tylko głuche milczenie. Podobnie jak każdy, rościmy sobie pretensje do żywienia pewnych prywatnych myśli w czasie rozwijającego się tu opowiadania i wyrażamy przypuszczenie, że Hans Castorp nie byłby przekroczył terminu, zakreślonego pierwotnie jego pobytowi u tych w górze, nawet nie do momentu osiągniętego obecnie, gdyby prosta jego dusza otrzymała choć w pewnej mierze zadowalające wyjaśnienie sensu i celu życiowego mozołu.

Zresztą zakochanie przyprawiało go o wszystkie cierpienia i dawało mu wszystkie radości, jakie stan ten wszędzie i we wszystkich okolicznościach pociąga za sobą. Cierpienia — przeszywające na wskroś, zawierające pierwiastek poniżenia, jak wszelki ból, i stanowiące taki wstrząs systemu nerwowego, iż tamują oddech i dorosłemu mężczyźnie wycisnąć potrafią z oczu gorzkie łzy. Aby oddać sprawiedliwość także radościom — było ich niemało i choć powstawały z niepozornych przyczyn, nie mniej były przenikliwe od cierpień. Niemal każda chwila dnia mogła je wywołać. Na przykład: u wejścia do sali jadalnej Hans Castorp spostrzega za sobą przedmiot swych snów. Wynik jest z góry wiadomy i zupełnie pospolity, ale wewnątrz zachwycający, znów aż do łez. Oczy ich spotykają się z bliska, jego oczy z jej szarzielonymi, których z lekka azjatycki wykrój i oprawa oczarowują go do głębi. Traci przytomność, ale i bez przytomności usuwa się na bok, aby przepuścić ją pierwszą przez drzwi. Z połowicznym uśmiechem i półgłosnym merci pani Chauchat korzysta z jego uprzejmości, nie wykraczającej poza zwykłe dobre wychowanie, mija go i przechodzi przez drzwi; Hans Castorp stoi przez chwilę w powiewie jej przesuwającej się postaci, pijany szczęściem z powodu tego spotkania i dlatego, że jedno słowo z jej ust, mianowicie owo merci, skierowane było bezpośrednio i wyłącznie do niego. Idzie za nią, zatacza się na prawo do swego stołu i kiedy opada na krzesło, spostrzega, że po tamtej stronie „Kławdia”, także zajmując miejsce, ogląda się za nim, z wyrazem zamyślenia nad spotkaniem u drzwi, jak mu się wydaje. O niewiarogodna przygodo! O radości, triumfie, o bezgraniczne wesele! Nie, tego fantastycznego upojenia nie dałoby Hansowi Castorpowi spojrzenie pierwszej lepszej zdrowej gąski, której tam na dole, na równinie, w sposób dozwolony, spokojny i pełen widoków na przyszłość, „ofiarowałby serce swoje” w duchu owej piosenki. Z gorączkowym ożywieniem wita nauczycielkę, która widziała wszystko i oblała się rumieńcem — następnie przypuszcza szturm do miss Robin-

son za pomocą tak niedorzecznej konwersacji angielskiej, iż panna ta, nie obeznana z ekstazą, cofa się nawet i mierzy go pełnym obawy spojrzeniem.

Innym razem promienie jasno zachodzącego słońca padają podczas kolacji na lepszy stół rosyjski. Zaciągnięto zasłony u drzwi werandy i okien, ale w jakimś tam miejscu tworzy się szczelina, przedostaje się przez nią czerwony promień, chłodny, ale oślepiający, i pada akurat na głowę pani Chauchat, która rozmawiając ze swym rodakiem o zapadłej piersi, siedzącym na prawo od niej, musi się zasłaniać ręką. Jest to przykrość, ale niezbyt wielka; nikt nie zwraca na to uwagi, sama dotknięta nią osoba nie zdaje sobie zapewne sprawy z tej niedogodności. Ale Hans Castorp spostrzega to poprzez salę — i przygląda się temu przez chwilę. Sprawdza stan rzeczy, śledzi drogę promienia, stwierdza punkt jego wtargnięcia. Jest to łukowe okno tam z tyłu po prawej stronie, w kącie pomiędzy drzwiami na werandę a gorszym stołem rosyjskim, daleko od miejsca pani Chauchat i niemal równie daleko od miejsca Hansa Castorpa. I oto powziął decyzję. Wstaje bez słowa, przechodzi z serwetą w rękę na ukos między stołami przez salę, zaciąga starannie kremowe zasłony, przekonuje się spojrzeniem przez ramię, że blask wieczoru nie dociera już do pani Chauchat — i udaje się, przybierając wielce obojętną minę, w drogę powrotną. Uprzejmy młodzieniec, który spełnia to, co trzeba, skoro nikomu innemu nie wpadło na myśl tego uczynić. Nikt prawie nie zauważył jego interwencji, ale pani Chauchat natychmiast odczuła ulgę i obejrzała się; pozostała w tej postawie, póki Hans Castorp nie dotarł z powrotem do swego miejsca i siadając nie spojrzał w jej stronę, po czym z przyjaźnie zdziwionym uśmiechem podziękowała, to znaczy: głowę raczej wysunęła nieco, niżeli nią skinęła. Odpowiedział ukłonem. Serce jego znieruchomiało, zdawało się w ogóle nie bić. Dopiero później, kiedy wszystko minęło, poczęło tłuc jak młotem, i wtedy dopiero spostrzegł, że Joachim nie odrywa oczu od swego talerza; potem zaś uświadomił sobie, że pani Stöhr szturchnęła w bok Blumenkohla i wszędzie, u własnego stołu jak i u innych, z tłumionym uśmiechem szukała porozumiewawczych spojrzeń...

Opisujemy rzeczy codzienne, ale codzienność staje się osobliwa, kiedy wyrasta na osobliwym podłożu. Wydarzały się napięcia i dobroczynne odprężenia między nimi — albo, jeśli nie między nimi (gdyż w jakim stopniu dotyczyło to pani Chauchat, wolimy pozostawić nie rozstrzygniętym), to w każdym razie dla wyobraźni i uczuć Hansa Castorpa. Po obiedzie w piękne te dni udawała się zwykle większość kuracjuszków na werandę, położoną przed salą jadalną, aby podzieliwszy się na grupy spędzić kwadransik na słońcu. Odbywało się to i wyglądało tak, jak podczas odbywających się co dwa tygodnie niedzielnych koncertów dętej orkiestry. Młodzież, najzupełniej beczynna i nadmiernie nasycona potrawami mięsnymi oraz sło-

dyczami — wszyscy lekko gorączkujący — gawędziła, przekomarzała się, strzelała oczami. Pani Salomon z Amsterdamu siadywała przy balustradzie — z jednej strony atakowana ostro kolanami Gänsersa o wywiniętych wargach, a z drugiej przez szwedzkiego olbrzyma, który, aczkolwiek zupełnie już zdrowy, przedłużał swój pobyt, aby nieco wypocząć po kuracji. Pani Iltis zdawała się być wdową, gdyż od niedawna cieszyła się towarzystwem „narzeczonego” o wyglądzie zresztą zarówno melancholijnym, jak i niepozornym, którego obecność nie przeszkadzała jej przyjmować jednocześnie hołdów kapitana Miklosicha, mężczyzny o haczykowatym nosie, uczernionym wąsie, wyniosłej piersi i oczach miotających groźby. Były tam damy rozmaitej narodowości, wśród nich kilka nowo przybyłych, które pojawiły się dopiero w październiku, a których nazwisk Hans Castorp jeszcze nie znał, przemieszane z kawalerami w rodzaju pana Albina. Byli też siedemnastoletni chłopcy z monoklami; pewien młody Holender w okularach, o różowej twarzy, który z maniakalną namiętnością zajmował się wymianą znaczków pocztowych; wypomadowani Grecy o oczach migdałowego kształtu, skłonni do naruszania dobrych manier przy stole; dwaj nierozłączni strojnisi, zwani Maks i Moryc, którzy mieli opinię wielkich lampartów... Garbaty Meksykanin, któremu nieznamość reprezentowanych tutaj języków nadawała pozory głuchego, nie przestawał dokonywać zdjęć fotograficznych, wlokąc swój statyw z pocieszoną żwawością z jednego punktu tarasu na drugi. Także radca dworu pojawiał się niekiedy, aby popisać się sztuką ze sznurowadłami. A gdzieś tam przemykał się samotnie nabożny mannheimczyk: jego bezdennie smutne oczy skrycie błędziły pewnymi drogami, budząc odrazę Hansa Castorpa.

Aby tedy za pomocą tego lub innego przykładu nawiązać do owych „napięć i odprężeń”, Hans Castorp w jednej z podobnych sytuacji siedział np. na lakierowanym fotelu ogrodowym pod ścianą domu, pochłonięty ożywioną rozmową z Joachimem, którego mimo jego oporu zmusił do wyjścia; przy balustradzie stała pani Chauchat, paląc papierosa z towarzyszami swymi z sali jadalnej. Mówił umyślnie dla niej, aby go słyszała. Była plecami odwrócona do niego... Jak widać, mamy teraz na oku określony wypadek. Rozmowa z kuzynem nie wystarczała jego afektowanemu gadulstwu; rozmyślnie tedy zawarł pewną znajomość — jaką to? Znajomość z Herminą Kleefeld: jakby od niechcienia zwrócił się do niej, przedstawił się jej i, przedstawivszy także Joachima, przysunął jej lakierowane krzeselko, aby w większym towarzystwie lepiej móc zabłysnąć. Czy wie, pytał, jak piekielnego napędziła mu strachu, kiedy się pierwszy raz spotkali, wówczas na porannej przechadzce? Tak, to jego wówczas tak uprzejmie przywitała gwizdaniem! A cel swój osiągnęła, to wyznaje dobrowolnie, dostał jakby pałką w łeb; niech zapyta kuzyna.



Cha, cha, pogwizdywać sztuczną odmą i trwożyć tym Bogu ducha winnych przechodniów! Uważa to za niecną grę, nie waha się określić tego otwarcie i w słusznym gniewie jako grzeszne nadużycie... I kiedy Joachim, świadomy swej roli statysty, siedział wlepiwszy wzrok w ziemię, a także samą pannę Kleefeld na skutek nie widzących i umykających spojrzeń Hansa Castorpa stopniowo ogarniało upokarzające uczucie, iż służy tylko jako środek do celu, Hans Castorp puszył się i mizdrzył, cyzelował zwroty i głosowi swemu starał się nadać piękne brzmienie, aż istotnie uzyskał to, że pani Chauchat odwróciła się, by popatrzeć na osobnika, który w sposób tak jaskrawy rozprawia, i spojrzała mu w oczy. Trwało to jedną chwilę, gdyż wydarzyło się tak, że oczy jej, oczy Przybysława, szybko ześliznęły się z postaci Hansa Castorpa, siedzącego z założonymi nogami, i zatrzymały się na chwilę na jego żółtym trzewiku, z wyrazem tak rozmyślnej obojętności, iż robiło to wrażenie pogardy, wyraźnej pogardy — po czym cofnęły się znów, flegmatycznie i może z uśmiechem na dnie.

Bardzo, bardzo nieszczęśliwy wypadek! Hans Castorp przez chwilę jeszcze gadał dalej gorączkowo; po czym, gdy uświadomił sobie z całą wyrazistością to spojrzenie skierowane na jego trzewik, zamilkł niemal w połowie zdania i pograżył się w rozpacz. Panna Kleefeld, znudzona i dotknięta, odeszła. Joachim rzekł głosem nie pozbawionym rozdrażnienia, iż teraz mogą już chyba iść werandować. I ktoś złamany odpowiedział mu pobladłymi ustami, iż owszem, mogą.

Hans Castorp dwa dni cierpiał okrutnie z powodu tego wypadku, albowiem przez ten czas nie wydarzyło się nic, co by było balsamem na jego palącą ranę. Dlaczego takie spojrzenie? Dlaczego na miłość Boską tak nim gardzi, dlaczego? Czyżby uważała go za zdrowego dudka z dołu, którego umysł zdolny jest pojmować tylko rzeczy poprawne i obojętne? Za niewiniątko z równiny, pospolitego — by tak rzec — młodzieńca, który chodzi sobie po bożym świecie i śmieje się, brzuch sobie napycha, i robi pieniądze — za prymusa życiowego, który rozumie się jeno na nudnych korzyściach honoru? Czyż był przelotnym hospitantem, przybyłym na trzy tygodnie, niegodnym jej sfery, czyż nie wyzwolił się z terminu dzięki „wilgotnej plamce” — czyż nie był włączony w szeregi i przynależny do nich, nie był jednym z „nas tu w górze”, z przydziałem co najmniej na dwa miesiące, i czyż merkuriusz jego już wczoraj wieczór nie podniósł się do 37,8?... Ale to właśnie, to dopełniało czary jego cierpień! Merkuriusz przestał się podnosić! Straszliwe przygnębienie owych dni spowodowało ochłodzenie, otrzeźwienie i odprężenie w organizmie Hansa Castorpa, które ku gorzkiemu jego wstydomu ujawniało się w bardzo niskich, ledwie ponadnormalnych wzniesieniach temperatury, i z rozpaczą stwierdzał, że

jego zgryzota i udreka nie miały innego skutku prócz tego, iż coraz bardziej oddalały go od właściwej istoty Kławdii.

Trzeci dzień przyniósł czułe wyzwolenie, przyniósł je z samego rana. Był wspaniały jesienny poranek, słoneczny i świeży, powlekający łąki szarosrebrnym nalołem. Słońce i malejący księżyc stały jednocześnie prawie równie wysoko na czystym niebie. Obaj kuzyni wstali wcześniej niż zazwyczaj, aby celem uczczenia pięknego dnia przedłużyć ranną przechadzkę nieco poza przepisane granice, trochę dalej zagłębić się ścieżką leśną, przy której stała ławka obok rynny z wodą. Joachim, którego wykres temperatury wykazywał właśnie także pomyślny spadek, oświadczył się za tym odstępstwem od reguły, po którym spodziewał się odświeżenia, a Hans Castorp nie sprzeciwiał mu się. — Jesteśmy przecież ozdowieńcami — powiedział — wolnymi od gorączki i jadów, jakby już dojrzałymi do powrotu na równinę. Czemuż nie mielibyśmy pobrykać jak źrebaki. — Wędrowali zatem z gołymi głowami — Hans Castorp bowiem, od czasu kiedy wyzwolił się z terminu, zastosował się bez szemrania do panującego tu zwyczaju chodzenia bez kapelusza, chociaż z początku zwalczał ten zwyczaj, kierując się swą znajomością dobrych form i obowiązujących przepisów — i podpierali się laskami. Lecz nie przebyli jeszcze wznoszącego się w górę odcinka czerwonej drogi i dotarli dopiero do tego mniej więcej punktu, w którym pneumatyczna czereda spotkała się wówczas z nowo przybyłym — kiedy w pewnej odległości ujrzeli wolno wspinającą się panią Chauchat, panią Chauchat w bieli, w białym swetrze, w białej flanelowej spódnicy, a nawet w białych bucikach, z rudawymi włosami, rozświetlonymi porannym słońcem. Mówiąc ściślej: rozpoznał ją Hans Castorp; Joachim zwrócił na nią uwagę dopiero na skutek niemiłego uczucia szarpania w boku — uczucia, wywołanego przez przyspieszony krok, którym nagle zaczął go popędzać jego towarzysz, zwolniejszy uprzednio nagle tempa, a nawet prawie zatrzymawszy się w miejscu. Takie gwałtowne poganianie wydało się Joachimowi wyjątkowo przykre, drażniło go; jego oddech stał się szybki i urywany; zaczął pokaszliwać. Ale świadomy celu Hans Castorp, którego narządy zdawały się pracować wspaniale, nie bardzo się o to troszczył; a gdy kuzyn jego zrozumiał, co się stało, zmarszczył tylko milcząco brwi i dotrzymał kroku Hansowi Castorpowi, który przecież nie mógł samotnie go wyprzedzać.

Piękny ranek ożywił młodego Hansa Castorpa. Podczas okresu depresji wyczęły niepostrzeżenie jego siły duchowe i żywił teraz niezbitą pewnością, iż nadeszła chwila, kiedy zdjęta zostanie zeń ciężąca na nim klątwa. Przyspieszał więc kroku, wlokąc za sobą dyszącego i także z innych powodów opierającego się Joachima, a przed zakrętem drogi, w miejscu gdzie przestała się wznosić i prowadziła dalej na

prawo wzdłuż zalesionego wzgórza, prawie zrównali się z panią Chauchat. Tu Hans Castorp znów zwolnił kroku, aby w chwili urzeczywistnienia swego zamiaru nie wyglądać niekorzystnie, na skutek dopiero co dokonanego wysiłku. I oto za zakrętem drogi, pomiędzy przepaścią a ścianą góry, wśród rdzawo zabarwionych sosen, przez których gałęzie przelatywało światło słoneczne, stała się i wydarzyła rzecz cudowna. Hans Castorp, idący na lewo od Joachima, męskim krokiem wyminął uroczą pacjentkę i, w chwili kiedy znajdował się po jej prawej ręce, powitał ją z u s z a n o w a n i e m (dlaczego właśnie: z uszanowaniem) skłaniając głowę bez kapelusza i powiedział półgłosem „dzień dobry”. Na powitanie to uzyskał od niej odpowiedź: wcale nie zdziwiona, podziękowała przyjaznym skinieniem i powiedziała w jego języku i z uśmiechem w oczach „dzień dobry”. Wszystko to było czymś innym, czymś uszczęśliwiającym i zasadniczo innym niż spojrzenie na jego trzewik, był to traf szczęśliwy i obrót sprawy ku dobremu i najlepszemu, coś zupełnie bezprzykładnego i niemal przekraczającego zdolność pojmowania; było to wyzwolenie.

Oślepiiony nierozsądną radością, w posiadaniu ukłonu, słowa, uśmiechu, jak gdyby mu skrzydła u ramion wyrosły, śpieszył Hans Castorp naprzód u boku zlekceważonego Joachima, który milcząc odwrócił spojrzenie i spoglądał na urwisty stok. Tak, w oczach Joachima był to pomysł dość swawolny, a może nawet coś w rodzaju zdrady i podstępu. Hans Castorp wiedział o tym doskonale. Nie było to tak, jak gdyby kogoś najzupełniej obcego poprosić o ołówek — byłoby raczej prawie nieokrzesaniem przejść sztywno i bez ukłonu koło damy, z którą od miesięcy żyło się pod jednym dachem; i czyż nawet niedawno w poczekalni Kławdia nie nawiązała z nimi rozmowy? Oto dlaczego Joachim musiał milczeć. Lecz Hans Castorp pojmował oczywiście, dlaczego jeszcze poza tym zacny Joachim milczał i szedł z odwróconą głową, podczas gdy on sam tak bez miary i łobuzersko był uszczęśliwiony tym, co zrobił. Nie mógłby być szczęśliwszym ktoś, kto na równinie w sposób dozwolony, z widokami na przyszłość i w gruncie rzeczy ku swemu zadowoleniu „ofiarował swe serce” jakiejś zdrowej gąsce, i to z wielkim powodzeniem — nie, nawet równie szczęśliwy nie mógłby być, jak był Hans Castorp z powodu tej drobnostki, którą w dobrej godzinie udało mu się zdobyć i sobie zapewnić... Dlatego po chwili z całej siły trzepnął kuzyna w ramię i rzekł:

— Halo, słuchaj no, co się z tobą dzieje? Taka cudna pogoda! Zejdziemy potem do Kurhauzu, tam będzie pewnie muzyka, pomyśl sobie! Może zagrają „Dar twój, ta wiązka kwiatów mała, w więzieniu mnie nie opuszczała” z „Carmen”. Cóż to za mucha cię ukąsiła?

— Nic podobnego — odparł Joachim. — Ale jesteś tak rozpalony — obawiam się, że już po spadku twojej temperatury.

Istotnie było po nim. Pod wpływem ukłonu, który Hans Castorp wymienił z Kławdią Chauchat, ustąpiło zawstydzające obniżenie napięcia w jego organizmie i, ściśle rzecz biorąc, świadomość tego właśnie sprawiała mu satysfakcję. Tak jest, Joachim miał słuszność: merkuriusz podnosił się znów! Gdy po przechadzce Hans Castorp zasięgnął jego zdania, słupek rtęci podniósł się do trzydziestu ośmiu stopni.

## Encyklopedia

Chociaż pewne aluzje pana Settembriniego złościły Hansa Castorpa, to jednak nie dziwił im się i nie miał prawa oskarżać humanisty o zbyt ni zapał do tropienia. Nawet ślepy musiałby dostrzec, jak się z nim rzecz ma: on sam nie starał się wcale tego ukrywać, pewna wielkoduszność i piękna prostota nie pozwalały mu taić uczucia, czym bądź co bądź — i to na swoją korzyść, jeśli ktoś chce — różnił się od łysawego, zakochanego i jakby skradającego się mannheimczyka. Przypominamy i powtarzamy, że psychicznemu stanowi, w jakim się znajdował, z reguły właściwy jest pęd do uzewnętrzniania się, dążenie do zwierzeń i wynurzeń, ślepe wpatwienie się w siebie samego i chęć zapełnienia sobą świata; nas, trzeźwych, uderza to tym bardziej, im mniej w takiej postawie jest sensu, zdrowego rozsądku i szans powodzenia. Trudno powiedzieć, w jaki właściwie sposób tacy ludzie zaczynają się zdradzać; cokolwiek zrobią, czegokolwiek zaniechają — wszystko ich zdradza, szczególnie w towarzystwie ludzi, o których ktoś obiektywnie myślący wyraził się, że dwie tylko rzeczy mają na uwadze, a mianowicie po pierwsze temperaturę; a po drugie — znowu temperaturę, to znaczy na przykład pytanie, z kim pociesza się pani konsulowa Wurmbrand z Wiednia, opuszczona przez płoche go kapitana Miklosicha: czy z wyleczonym już zupełnie szwedzkim drągalem, czy z prokuratorem Paravantem z Dortmundu, czy wreszcie z obydwoma równocześnie. Bo było rzeczą zupełnie pewną i ogólnie wiadomą, że więzy, łączące przedtem przez kilka miesięcy prokuratora z panią Salomon z Amsterdamu, uległy rozluźnieniu za obopólną zgodą, i pani Salomon, idąc za nakazem swojego wieku, zwróciła się w stronę młodszych roczników i wzięła pod swoje skrzydła opiekuńcze młodzieńca o wywiniętych wargach od stołu panny Kleefeld; o tym wypadku orzekła pani Stöhr pewnego rodzaju kancelaryjnym stylem, ale i z pewną dozą obrazowości, że pani Salomon „załączyła się” do młodego człowieka. Tak więc prokurator mógł teraz postą-

pić, jak chciał: albo bić się ze Szwedem o panią konsulową, albo żyć z nim w zgodzie.

Te więc wypadki, które między gośćmi „Berghofu”, a szczególnie między gorączkującą młodzieżą, były na porządku dziennym i w których wielką rolę odgrywały przebiegające wzdłuż murów balkony (pomiędzy szklanymi przepierzeniami a balustradą), te właśnie wypadki zaprzętały tutaj umysły. Stanowiły one zasadniczą część składową tutejszej atmosfery, chociaż, prawdę mówiąc, właściwy stan rzeczy należałoby wyrazić jeszcze inaczej. Hans Castorp miał bowiem dziwne wrażenie, że na tych tak ważnych rzeczach, którym na całym świecie żartobliwie lub na serio przypisuje się wielkie znaczenie, spoczywał tutaj akcent tak mocny, a przez to tak nowy, że samo zjawisko ukazywało się skutkiem tego w świetle jeżeli nie wprost strasznym, to w każdym razie uderzającym swoją niezwykłością. Wypowiadając te słowa, zmieniamy wyraz twarzy i zwracamy uwagę, że jeżeli dotychczas mówiliśmy kiedyś o stosunkach tego rodzaju tonem żartobliwym i lekkim, działo się to z tych samych tajnych powodów, dla których czyni się tak zwykle; nie dowodzi to bynajmniej jeszcze, że rzeczy te w istocie swojej są lekkie lub zabawne, a w sferze, w której się znajdujemy, byłoby to słuszne w mniejszym jeszcze stopniu niż gdzie indziej. Hans Castorp sądził dawniej, że nie gorzej od innych rozumie się na tych zjawiskach, tak chętnie obieranych za cel dowcipów, i mógł nawet mieć rację. Teraz przekonał się jednak, że tam na nizinie w zupełnie niedostatecznej mierze znał się na tych sprawach, a nawet że żył w naiwnej nieświadomości; tutaj natomiast jego osobiste doświadczenia, których charakter próbowaliśmy już nieraz zaznaczyć przed czytelnikiem i które w pewnych chwilach wywoływały u niego okrzyk „O Boże!”, pomogły mu do spostrzeżenia oraz zrozumienia akcentu wzmacniającego ową siłę niesłychaną, awanturniczą i bezimienną — akcentu, który tu w górze kładli na tych sprawach wszyscy i każdy z osobna. Nie twierdzimy, że nie dowcipkowano tu również na te tematy. Ale maniera ta miała wyraźniejszy niż na dole charakter czegoś nieodpowiedniego, czegoś, co każe zgrzytać zębami i zapiera oddech, co czyni z niej tylko przejrzysty płaszczyk dla ukrywającego się poza nią albo raczej nie dającego się ukryć tragizmu. Hans Castorp przypomniał sobie, jak opalone policzki Joachima zbladły i pokryły się plamami, kiedy po raz pierwszy i jedyny wspomniał o fizycznej stronie osobowości Marusi, w niewinnie żartobliwy sposób znany mu z nizin. Przypomniał sobie także zimną bladość, która pokryła jego własną twarz, kiedy uwolnił panią Chauchat od padającego na nią wieczornego światła, i że często przedtem i potem spostrzegał podobne zjawisko na wielu innych obliczach: zwykle na dwóch jednocześnie, na przykład na twarzy pani Salomon i młodego Gänslera, kiedy zaczynało się między nimi to, co pani Stöhr określała

w tak swoisty sposób. Przypomniawszy sobie, powiedzmy, to wszystko i rozumiał, że w tych warunkach nie tylko byłoby bardzo trudno się nie „zdradzić”, ale że nawet nie warto się o to starać. Innymi słowy: jeśli Hans Castorp mało zadawał sobie trudu, żeby trzymać swoje uczucia na wodzy i ukrywać ich stan, nie płynęło to wyłącznie ze szczerości i otwartości jego charakteru, ale pochodziło również stąd, że zachęcała go do tego panująca w „Berghofie” atmosfera.

Niełatwo tu było zawierać znajomości. Joachim uprzedził o tym Hansa Castorpa zaraz na początku; trudność ta wynikała przede wszystkim stąd, że obaj kuzyni stanowili w towarzystwie kuracjuszków odrębną, że tak powiem, partię i miniaturową grupę, a poza tym stąd, że żołnierskim duchem przepojony Joachim myślał tylko o szybkim wyzdrowieniu i zasadniczo nie był skłonny do bliższego kontaktu i współżycia z towarzyszami niedoli; gdyby jednak nie ta trudność, Hans Castorp miałby i zdobyłby sobie znacznie więcej okazji do otwartego i niepohamowanego manifestowania swoich uczuć. Bądź co bądź Joachim złapał go raz wieczorem na tym, jak stojąc w towarzystwie czterech osób: Herminy Kleefeld, jej obu sąsiadów od stołu, Gänsera i Rasmussena, oraz owego młodzieńca z monoklem i paznokciem w kształcie szufelki i z nienaturalnie błyszczącymi oczami improwizował z ożywieniem na temat oryginalnej i dziwnej budowy twarzy pani Chauchat, podczas gdy jego słuchacze spoglądali na siebie porozumiewawczo, trącali się i chichotali.

Dla Joachima było to bardzo przykre; ale sprawca tej wesołości nie wstydził się bynajmniej, że obnaża tak stan swojej duszy, a nawet zdawało mu się, iż odsłaniając w ten sposób swe uczucia i zwracając na nie uwagę, zapewnia im należyte znaczenie. Pewny powszechnego zrozumienia dla swego stanu, godził się przy tym na złośliwość towarzyszącą temu zrozumieniu. Nie tylko od jego stołu, ale powoli i od innych, sąsiednich stołów obserwowano z lubością, jak blednie i czerwieni się, kiedy po rozpoczęciu posiłku oszklone drzwi zapadają się z trzaskiem, i sprawiało mu to nawet przyjemność, bo sądził, że jego otumanienie, zwracając na siebie uwagę, znajduje z zewnątrz pewne uznanie i potwierdzenie, które mogą jego sprawę pchnąć naprzód i które wzmagają jego nieokreślone i nierozsądne nadzieje; czuł się w takich chwilach nawet szczęśliwy.

Doszło do tego, że ludzie jak gdyby wprost zbierali się, ażeby przypatrywać się zaślepiotom. Zdarzało się to na przykład po jedzeniu na tarasie albo w niedzielę po południu przed lożą portiera, kiedy kuracjusze odbierali tam swoją pocztę, której tego dnia nie roznoszono po pokojach. Wiele osób wiedziało, że znajduje się tam srodze odurzony i oszołomiony młodzieniec, który daje wszystko po sobie poznać, więc stawała tam na przykład pani Stöhr, panna Engelhart, panna Kleefeld ze swoją

przyjaciółką o twarzy tapira, nieuleczalny pan Albin, młody człowiek z paznokciem i jeszcze ten i ów spośród pacjentów — stali tam z sarkastycznie opuszczonymi kątami ust, prychnący przez nos, i przyglądali się, jak z nieprzytomnym i namiętym uśmiechem, z wypiekami na twarzy, które poczuł zaraz pierwszego wieczora po przybyciu tutaj, i z owym blaskiem w oczach, który wzniecił w nich jeszcze kaszel sportmena, uporczywie patrzył w wiadomym kierunku...

Właściwie było to bardzo ładnie ze strony pana Settembriniego, że wśród takich okoliczności podchodził do Hansa Castorpa, aby wciągnąć go w rozmowę i zapytać o zdrowie; ale należy wątpić, czy Hans Castorp umiał należycie ocenić to postępowanie, dowodzące życzliwości i braku przesądów. Było to, na przykład, w niedzielne popołudnie w przedsionku. Goście tłoczyli się przy łożu portiera i wyciągali ręce po listy. Także Joachim stał tam w pierwszym szeregu. Jego kuzyn pozostał w tyle i, będąc w nastroju powyżej opisanym, starał się złowić spojrzenie Kławdii Chauchat, która w towarzystwie swych sąsiadów od stołu stała w pobliżu, czekając, aż zmniejszy się natłok przy łożu. Była to godzina, w której mieszkańcy sanatorium mieszały się z sobą, godzina okazji, ukochana i utęskniona z tego powodu przez młodego Hansa Castorpa. Przed tygodniem zetknął się bardzo blisko z panią Chauchat przy okienku portiera, tak że nawet potrafiła go lekko i odwróciwszy przelotnie głowę, powiedziała pardon, na co on, dzięki jakiejś gorączkowej przytomności umysłu, zdołał ku swej wielkiej radości odpowiedzieć:

— Pas de quoi, madame!\*

Co za uśmiech losu, myślał, że w każde niedzielne popołudnie niechybnie odbywa się w przedsionku rozdzielanie poczty! Można powiedzieć, że cały tydzień schodził mu na wyczekiwaniu tej godziny, a czekać znaczy: wybiegać naprzód, znaczy: czas i terażniejszość odczuwać nie jako dar, lecz tylko jako przeszkodę, zaprzeczać ich wartości, niweczyć je i w duchu przeskakiwać. Mówi się, że czekającemu czas się dłuży. Ale zarazem, a nawet właściwie, rzecz ma się odwrotnie, bo oczekiwanie pochłania całe okresy czasu, których się jako takich nie przeżywa i nie wyzyskuje. Można powiedzieć, że ten, kto tylko czeka, podobny jest do żarłoka, którego narządy trawienia w olbrzymich ilościach przepuszczają potrawy, nie spożytkowując wcale ich wartości odżywczych. Można by pójść jeszcze dalej i powiedzieć: jak nie strawiony pokarm nie wzmacnia człowieka, tak i czas zużyty na oczekiwanie nie czyni go starszym. Co prawda, czyste oczekiwanie, bez żadnej domieszki, w praktyce się nie zdarza.

A więc tydzień znowu został pochłonięty i nadeszło popołudnie niedzielne z roz-

---

\* Pas de quoi, madame! (franc.). — Nie ma za co, proszę pani!

działem poczty — tak jak gdyby to było jeszcze to samo, sprzed siedmiu dni. Stwarzało w sposób niezwykle podniecający jedną okazję po drugiej, co chwila kryło w sobie i dawało możliwość nawiązania z panią Chauchat stosunków towarzyskich — możliwość, która ścisnęła i popędzała serce Hansa Castorpa, nie przyoblekając jednak szat rzeczywistości. Stały temu na przeszkodzie hamulce natury częściowo żołnierskiej, a częściowo cywilnej; były one mianowicie w związku bądź z obecnością zacnego Joachima, bądź z własnym honorem i obowiązkowością Hansa Castorpa, a wynikały również z poczucia, że stosunki towarzyskie z Kławdią Chauchat, które wymagają zachowywania przyjętych form, mówienia „pani”, ukłonów, a być może rozmawiania po francusku — były w ogóle niepotrzebne, niepożądane, i nie o to tutaj chodziło... Stał i patrzył na nią, jak śmiała się i rozmawiała, zupełnie tak samo jak niegdyś Przybysław Hippe śmiał się rozmawiając na dziedzińcu szkolnym: usta jej otwierały się przy tym dosyć szeroko, a jej skośne, szarozielone oczy zwężyły się w szparki ponad wystającymi kośćmi policzkowymi. Nie było to bynajmniej „piękne”, ale było takie, jakie było, a zakochani są niezdolni w równej mierze do rozumnej oceny estetycznej, jak i do wydawania sądów etycznych.

— Pan także czeka na jakieś papiery, inżynierze?

Tak mógł zagadnąć jeden tylko człowiek — ktoś, kto przeszkadza. Hans Castorp wzdrygnął się i odwrócił do pana Settembriniego, który stał przed nim z uśmiechem. Był to ten sam subtelny i humanistyczny uśmiech, którym kiedyś przy ławce nad strumieniem po raz pierwszy przywitał nowego przybysza, i jak wtedy tak i teraz Hans Castorp doznał na jego widok uczucia wstydu. Ale chociaż we śnie nieraz starał się odpędzić „kataryniarza”, bo „tutaj przeszkadza”, to jednak na jawie człowiek jest lepszy niż we śnie, i Hans Castorp poczuł nie tylko wstyd i otrzeźwienie, ale jednocześnie i pewną wdzięczność, bo zrozumiał, że trzeba mu tego uśmiechu. Odrzekł:

— Mój Boże, gdzież by na papiery! Nie jestem przecież żadnym ambasadorem! Może przyszła jakaś pocztówka do którego z nas. Mój kuzyn dowiaduje się właśnie.

— Mnie wręczył już ten kulawy diabeł, tam z przodu, moją skromną pocztę — powiedział Settembrini i wskazał na kieszeń swej nieodłącznej włochatej marynarki. — Ciekawe rzeczy, nie przeczę, rzeczy o literackim i społecznym znaczeniu. Chodzi o dzieło encyklopedyczne, wydawane przez pewną instytucję, która zaszczyliła mnie humanitarną propozycją współpracy... Jednym słowem, o piękną pracę. — Pan Settembrini zrobił pauzę. — A jak pańskie sprawy? — zapytał. — Co słyhać u pana? Jak dalece, na przykład, przystosował się pan już do tutejszego kli-



matu? Bo ostatecznie nie jest pan u nas tak dawnym gościem, żeby to pytanie przestało być aktualne.

— Dziękuję panu, ciągle jeszcze mam z tym trudności. I możliwe, że będzie już tak aż do ostatniego dnia. Kuzyn mój powiedział mi zaraz po moim przyjeździe, że niektórzy w ogóle nie mogą się tutaj zaaklimatyzować. Ale można się przyzwyczać do tego, że się nie można przyzwyczać.

— Skomplikowany proces — żartował Włoch — oryginalny sposób wżycia się. Naturalnie, młodzież jest zdolna do wszystkiego. Nie przyzwyczajają się, ale zapuszczają korzenie.

— Ostatecznie nie jesteśmy tutaj w syberyjskiej kopalni.

— Nie. O, pan preferuje wschodnie porównania. To zupełnie zrozumiałe. Azja pochłania nas. Gdziekolwiek spojrzeć: tatarskie fizjonomie. — I pan Settembrini dyskretnie obejrzał się za siebie. — Dżingis-chan — rzekł. — Świecące ślepia wilka stepowego, śnieg i wódka, nahajka, Szlisselburg i chrześcijaństwo. Należałoby tutaj w przedsionku ustawić ołtarz Pallas Ateny, jako symbol obrony. Niech pan spojrzy, tam na przedzie stoi sobie taki Iwan Iwanowicz, bez bielizny, i kłóci się z prokuratorem Paravantem. Każdy z nich chce wyprzedzić drugiego, aby odebrać swoje listy. Nie wiem, który z nich ma rację, ale na mój rozum bogini chroni raczej prokuratora. Wprawdzie jest osłem, ale zna przynajmniej łacinę.

Hans Castorp śmiał się — czego nigdy nie czynił Settembrini. Nie można było wcale wyobrazić go sobie serdecznie się śmiejącego; nie posuwał się nigdy poza delikatne i suche ściągnięcie kącików ust. Patrzył na śmiejącego się młodzieńca, a potem zapytał:

— Czy pan ma już swój diapozytyw?

— Owszem, mam już! — odparł Hans Castorp z ważną miną. — Od niedawna. Oto on.

I sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

— O, pan nosi go w portfelu jak jakąś legitymację, paszport albo kartę członkowską. Doskonale. Niech no pan pokaże! — I pan Settembrini spojrział pod światło na małą szklaną płytkę w ramce z czarnego papieru, trzymając ją między wielkim i wskazującym palcem lewej ręki — ruchem często tutaj na górze używanym. Twarz jego, z czarnymi migdałowymi oczami, skrzywiła się trochę w czasie oglądania ponurego zdjęcia — nie wiadomo, czy tylko aby umożliwić mu dokładniejsze widzenie, czy też z jakiegoś innego powodu.

— Tak, tak — odezwał się po chwili. — Ma pan tu swoją legitymację, dziękuję

bardzo. — I zwrócił płytkę jej właścicielowi, podając mu ją bokiem, przez ramię poniekąd, i nie patrząc na niego.

— Czy widział pan te pasma? — zapytał Hans Castorp. — A gruzełki?

— Pan wie — odpowiedział powoli Settembrini — co ja sędzę o wartości tych produktów. Pan wie również, że te plamy i cienie tam wewnątrz są po największej części normalne. Widziałem już setki fotografii, wyglądających mniej więcej tak jak pańska, a które pozostawiały patrzącemu pewną swobodę osądzania, czy rzeczywiście stanowią „legitymację”! Mówię jako laik, ale bądź co bądź laik długoletni.

— Czy pana własna legitymacja wygląda gorzej?

— Tak, trochę gorzej. Zresztą wiem na pewno, że nasi panowie i władcy także nie opierają swojej diagnozy wyłącznie na tej zabawce. A więc ma pan zamiar u nas prezimować?

— Ach, mój Boże... Zaczynam przyzwyczajać się do myśli, że zjadę na dół dopiero z kuzynem.

— To znaczy, że pan przyzwyczaja się do tego, że pan nie... Pan sformułował to bardzo dowcipnie. Przypuszczam, że pan już otrzymał swoje rzeczy, ciepłe ubranie, solidne obuwie?

— Wszystko. Wszystko w najlepszym porządku, proszę pana. Zawiadomiłem krewnych i nasza gospodyni przysłała mi wszystko pośpiesznym frachtem. Jestem dobrze zaopatrzony.

— To mnie uspokaja. Ale, prawda, musi pan mieć worek, futrzany worek — jak mogliśmy o tym zapomnieć?! To późne lato jest zdradliwe; lada godzina może przyjść ostra zima. Pan spędzi tutaj najzimniejsze miesiące...

— Tak, tak, worek do werandowania — powiedział Hans Castorp — należy do tutejszego ekwipunku. Przychodziło mi już przez myśl, że w najbliższych dniach będziemy musieli, mój kuzyn i ja, zejść do Uzdrowiska i kupić taki worek. Później nie będzie już nigdy w życiu potrzebny, ale ostatecznie na cztery do sześciu miesięcy warto go nabyć.

— Warto, warto, inżynierze! — powiedział cicho Settembrini podchodząc bliżej do młodego człowieka. — A wie pan, że aż strach bierze, jak pan szafuje tymi miesiącami. Strach, bo to jest nienaturalne i obce jego naturze, a pochodzi jedynie z pojętności, właściwej pańskiemu wiekowi. Ach, ta nadmierna pojętność młodości! Ona jest rozpaczą wychowawców, bo przede wszystkim każe im chłonać to, co złe. Młody człowieku, niech pan nie mówi rzeczy, które tu niejako unoszą się w powietrzu, ale niech pan wygłasza zdania zgodne ze swymi europejskimi formami życia!

Tutaj jest przede wszystkim dużo Azji w powietrzu — nie darmo aż się roi od typów z moskiewskiej Mongolii! Ci ludzie — i pan Settembrini wskazał ruchem brody przez ramię za siebie — niech się pan nie nastawia wewnątrznie według nich, niech pan się nie zaraża ich sposobem myślenia, ale niech im pan raczej przeciwstawi swoją własną, swoją w y ż s z ą istotę, i niech pan uważa za święte to, co dla pana, syna Zachodu, boskiego Zachodu — dla syna cywilizacji, z natury i z pochodzenia jest święte, na przykład czas! Ta rozrzutność, ten barbarzyński szeroki gest w zużywaniu czasu jest w stylu azjatyckim — i to jest zapewne powodem, dlaczego tutaj tak się podoba dzieciom Wschodu. Czy pan nigdy nie zauważył, że jeżeli Rosjanin mówi: „cztery godziny” — jest to nie więcej, niż jeżeli ktoś z nas powie: „jedna”? Nasuwa się myśl, że nonszalancja tych ludzi w stosunku do czasu pozostaje w związku z dzikim bezmiarem ich kraju. Gdzie jest dużo przestrzeni, jest też wiele czasu — mówi się przecież, że oni są narodem, który ma czas i może czekać. My, Europejczycy, nie możemy. Mamy tak samo mało czasu, jak mało miejsca jest na naszym szlachetnym i misternie rozczłonkowanym kontynencie; musimy ekonomicznie gospodarować jednym i drugim i umieć wysnuwać z nich korzyści, korzyści, inżynierze! Niech pan pomyśli, na przykład, o naszych wielkich miastach, tych ośrodkach i ogniskach cywilizacji, tych kotłach, w których powstają i mieszkają się idee! W tym samym stosunku, w jakim drożeje tam ziemia i staje się niemożliwością trwonienie przestrzeni, w tym samym stosunku, niech pan zwróci na to uwagę, także czas staje się tam droższy. Carpe diem! To słowa poety, który był mieszkańcem wielkiego miasta. Czas jest darem bogów, danym człowiekowi, aby z niego korzystał — korzystał, inżynierze, służąc postępowi ludzkości.

Słowa te, jakkolwiek na pewno sprawiły trudności jego śródziemnomorskiemu językowi, wypowiedział pan Settembrini wyraźnie, dźwięcznie i, rzecz można, plastycznie. Hans Castorp odpowiedział krótkim, sztywnym i nieśmiałym ukłonem ucznia otrzymującego należną mu reprimendę. Bo cóż miał odpowiedzieć? To *privatissimum*<sup>\*</sup>, wygłoszone dla niego poufnie i prawie szeptem przez pana Settembriniego, odwróconego tyłem do pozostałych gości, miało charakter tak ściśle rzeczowy i mało towarzyski, tak bardzo odbiegało od swobodnej rozmowy, że byłoby nietaktem reagować na nie, chociażby wyrażając uznanie. Nauczycielowi nie odpowiada się: „Pięknie pan to powiedział”. Hans Castorp czynił to wprawdzie przedtem kilkakrotnie, chcąc poniekąd utrzymać się na równym poziomie towarzyskim, ale też humanista nigdy dotychczas nie przemawiał doń tak zdecydowanie mentorskim

---

\* *Privatissimum* (łac.) — w nauczaniu uniwersyteckim wykład lub ćwiczenia, przeznaczone dla ograniczonej liczby osób.

tonem. Nie pozostawało nic innego, jak tylko przełknąć kazanie — i Hans Castorp milczał, przytłoczony jak student tym nawałem morałów.

Zresztą widać było po panu Settembrinim, że chociaż już zamilkł, myśli swe snuje dalej. Wciąż jeszcze stał tuż przed Hansem Castorpem, tak że ten musiał nawet przechylić się nieco w tył, a jego czarne, głęboko zamyślane oczy uparcie wpatrywały się w twarz młodzieńca.

— Pan cierpi, inżynierze! — mówił dalej. — Pan cierpi jak człowiek zbłąkany — któż nie poznałby tego po panu? Ale pana ustosunkowanie się do cierpienia powinno również mieć charakter europejski — a nie zabarwienie Wschodu, nieodpartego i skłonnego do chorób Wschodu, który tak wydatnie przyczynia się do wielkiej frekwencji w tej miejscowości... Współczucie i bezgraniczna cierpliwość — oto postawa Wschodu wobec cierpienia. Ale nam, ale panu tak nie wolno!... Mówiliśmy o mojej korespondencji... Niechże pan spojrzy... Albo jeszcze lepiej, niech pan pójdzie ze mną. Poczynię przed panem pewne zwierzenia, które... Chodźmy! — I odwróciwszy się, pociągnął za sobą Hansa Castorpa z przedsionka do najbliższego z salonów ogólnych, w tej chwili zupełnie pustego; była to czytelnia i pokój do pisania, o jasnym, sklepionym suficie i dębowej boazerii; pod ścianami szafy z książkami, pośrodku otoczony krzesłami stół, pokryty gazetami na kijach, a pod łukami nisz okiennych biurczka z przyborami do pisania. Pan Settembrini podszedł do jednego z okien, a Hans Castorp za nim, nie zamykając drzwi.

— Papiery te — odezwał się Włoch, wyciągając pośpiesznie z workowatej kieszeni swojej włochatej marynarki dużą, już otwartą kopertę i wydobywając przed oczami Hansa Castorpa zawarte w niej różne druki i pisma odręczne — papiery te mają francuski nagłówek: „Międzynarodowa Liga Organizacji Postępu”. Przysłano mi je z Lugano, gdzie znajduje się ekspozytura Ligi. Pyta mnie pan, jakie są w niej punkty wyjścia i cele? Odpowiem panu w paru słowach. „Liga Organizacji Postępu” wyprowadza z teorii ewolucji Darwina pogląd filozoficzny, że najistotniejszym i naturalnym powołaniem człowieka jest jego doskonalenie się. Wysnuwa stąd dalej wniosek, że jest obowiązkiem każdego, kto chce iść za swym naturalnym powołaniem, przyczyniać się swą współpracą do postępu ludzkości. Wielu jest takich, co poszło za tym hasłem; Liga ma licznych członków we Francji, Włoszech, w Hiszpanii, Turcji, a nawet w Niemczech. Ja także mam zaszczyt figurować w wykazie członków. Opracowano program reformy w wielkim stylu, oparty na zasadach naukowych i obejmujący wszystkie możliwe dzisiaj sposoby doskonalenia organizmu ludzkiego. Studiuje się zagadnienia zdrowia naszej rasy, bada się wszelkie metody zwalczania degeneracji, która jest bez wątpienia pożałowania godnym

zjawiskiem towarzyszącym wzrostowi uprzemysłowienia. Liga zakłada dalej uniwersytety ludowe, pracuje nad przewycięzeniem walki klas za pomocą wszystkich zmierzających do tego celu ulepszeń społecznych, a wreszcie pragnie położyć kres walce narodów, wojnie, dzięki rozwojowi prawa międzynarodowego. Pan widzi, że cele Ligi są szlachetne i rozległe. O jej żywotności świadczy spora liczba czasopism międzynarodowych — miesięczników, wychodzących w trzech lub czterech językach światowych i przynoszących ciekawe informacje o pochodzie postępu wśród ludów cywilizowanych. W różnych państwach powstały oddziały miejscowe, które przez urządzenie wieczorów dyskusyjnych i niedzielnych zebrań mają budzić zrozumienie dla ideału postępu ludzkości. A przede wszystkim stara się Liga wspomagać postępowe partie polityczne wszystkich krajów przez dostarczanie im odpowiedniego materiału... Pan słucha, inżynierze?

— Ależ tak! — odrzekł Hans Castorp pośpiesznie i skwapliwie. Wymawiając te słowa miał uczucie człowieka, który się pośliznął, ale któremu udało się jeszcze szczęśliwie utrzymać na nogach.

Pan Settembrini wydawał się zadowolony:

— Przypuszczam, że to są dla pana rewelacje?

— Tak, muszę przyznać, że po raz pierwszy słyszę o tych... o tych usiłowaniach.

— Gdybyż pan był wcześniej — zawołał cicho Settembrini — gdybyż pan był wcześniej już o nich posłyszał! Ale może jeszcze nie za późno dowiaduje się pan o tym. A więc, te druki... Pan chce wiedzieć, o czym w nich mowa... Niech pan słucha dalej! Na wiosnę odbyło się w Barcelonie walne zgromadzenie Ligi — pan wie, że to miasto może szczycić się wyjątkowym stosunkiem do postępowych idei politycznych. Kongres trwał przez tydzień, pełno było bankietów i uroczystości. Mój Boże, chciałem pojechać, gorąco pragnąłem wziąć udział w obradach. Ale ten łotr, radca dworu, zabronił mi i groził śmiercią — i, co pan powie, bałem się śmierci i nie pojechałem. Może pan sobie wyobrazić, że byłem w rozpacz z powodu figla, który mi wyplatało moje zdrowie. Nie ma nic bardziej bolesnego, niż kiedy fizyczna, zwierzęca część naszego organizmu nie pozwala nam służyć rozumowi. Tym bardziej cieszę się tym pismem przysłanym mi przez biuro Ligi w Lugano... Jest pan ciekawy treści? Wierzę, wierzę! Ale najpierw kilka króciutkich informacji... „Liga Organizacji Postępu” — zważywszy, że zadanie jej polega na zapewnieniu szczęścia całej ludzkości, innymi słowy: na stopniowym zwalczaniu i wreszcie na zupełnym wytępieniu ludzkiego cierpienia za pomocą celowej pracy społecznej — zważywszy dalej, że to najszczytniejsze zadanie może być rozwiązane tylko za pomocą naukowej socjologii, której ostatecznym celem jest doskonałe

państwo — zważywszy to wszystko, Liga uchwaliła w Barcelonie wydanie wielotomowego dzieła, pod tytułem „Socjologia cierpienia”; będzie to wyczerpujące i systematyczne opracowanie cierpień ludzkich według wszystkich ich klas i rodzajów. Pan mi zarzuci: na cóż zdadzą się klasy, rodzaje, systemy! A ja panu odpowiem: uporządkowanie i rozejście się w materiale jest początkiem jego opanowania, a prawdziwie strasznym wrogiem jest wróg nieznany. Trzeba wywieść rodzaj ludzki z prymitywnego stadium lęku i biernej tępoty i wprowadzić go w fazę świadomego celu działania. Trzeba go uświadomić, że można zapobiec skutkom, jeśli się dość wcześnie pozna i opanowuje przyczyny, i że prawie wszystkie cierpienia jednostki są chorobami organizmu społecznego. Dobrze! To więc jest zamierzeniem „Patologii socjologicznej”. Dzieło to, składające się mniej więcej z dwudziestu tomów formatu encyklopedii, opisze i podda analizie wszystkie przypadki cierpień ludzkich, jakie, tylko dadzą się pomyśleć, od najbardziej osobistych i intymnych aż do wielkich konfliktów zbiorowych, do cierpień wyrastających z walki klas i międzynarodowych zatargów; krótko mówiąc, dotrze do pierwiastków chemicznych, których związki i mieszaniny składają się na wszystkie cierpienia ludzkie; a ponieważ wytyczną całego dzieła ma być godność i szczęście ludzkości, przeto wskaże ono w każdym wypadku środki i sposoby usunięcia przyczyn cierpienia. Powołani fachowcy ze świata nauki europejskiej, lekarze, socjologowie i psychologowie, podzielą między siebie opracowanie tej encyklopedii cierpienia, a główne biuro redakcyjne w Lugano będzie zbiornikiem, do którego spływać będą artykuły. Pan pyta mnie wzrokiem, jaka rola ma mnie przy tym wszystkim przypaść w udziale? Niech mi pan pozwoli dokończyć! I literatura piękna będzie w tym dziele uwzględniona, o ile przedmiotem jej jest cierpienie ludzkie. Dlatego też przewidziany jest osobny tom, który ku pokrzepieniu i pouczeniu cierpiących ma zawierać wykaz i krótką analizę wszystkich wybitnych utworów literatury powszechnej zajmującej się poszczególnymi konfliktami. Oto zadanie, które niniejszy list powierza pańskiemu najniższemu słudze.

— Co pan mówi, naprawdę?! Niech mi wolno będzie serdecznie panu powinszować! To przecież jest wspaniałe zadanie i, moim zdaniem, jak stworzone dla pana. Nie dziwię się bynajmniej, że Liga pomyślała o panu. A jak musi pana cieszyć świadomość, że może pan być pomocny w tępieniu cierpienia ludzkiego!

— To duża praca — rzekł pan Settembrini zamyślając się — wymagająca szerokich horyzontów i wielkiego odczytania. Tym bardziej — ciągnął dalej, podczas gdy wzrok jego jak gdyby gubił się w gąszczach tej pracy — tym bardziej że literatura prawie z reguły obiera sobie za temat cierpienie, i nawet drugo- i trzeciorzędne jej arcydzieła zajmują się poniekąd tym przedmiotem. Mniejsza o to — albo może tym

lepiej! Jakkolwiek zadanie to jest olbrzymie, to jednak jest ono tego rodzaju, że od biedy nawet w tym przeklętym miejscu mogę nad nim pracować, chociaż mam nadzieję, że nie będę zmuszony doprowadzić go tutaj do końca. Ale o obowiązkach — ciągnął Settembrini, znowu podchodząc bliżej do Hansa Castorpa i zniżając głos prawie do szeptu — o obowiązkach, które na pana, inżynierze, nałożyła natura, nie można tego samego powiedzieć. Oto, dokąd zmierzałem, co chciałem panu uprzytomnić. Pan wie, jak bardzo podziwiam jego zawód, ale ponieważ jest to zawód praktyczny, nie teoretyczny, to może pan go, w przeciwieństwie do mnie, wykonywać tylko pomiędzy ludźmi, tam na dole. Tylko na nizinie może pan być Europejczykiem, na swój sposób zwalczać czynnie cierpienie, pracować dla postępu, nie tracić czasu. Opowiedziałem panu o powierzonych mi pracy tylko po to, ażeby mu przypomnieć, ażeby go przywołać do porządku, ażeby sprostować jego pojęcia, które prawdopodobnie pod wpływem warunków atmosferycznych zaczynają się mącić. Żądam od pana: niech pan polega na sobie! Niech pan będzie dumny i niech pan unika tego bagna, tej wyspy Kirke, na której nie może pan bezkarnie mieszkać, bo jest pan na to za mało Odyseuszem. Pan będzie chodził na czworakach, pan już opuszcza się na przednie kończyny, a niezadługo zacznie pan chrząkać — niech pan się ma na baczności! Te półgłosem wygłaszane napomnienia humanista podkreślał dobitnymi ruchami głowy. Potem umilkł spuściwszy oczy i ściągnąwszy brwi. Niepodobieństwem było odpowiedzieć mu żartobliwie i wymijająco, jak to przedtem zwykle czynił Hans Castorp i co teraz przez chwilę rozważał jako możliwość. I on także stał ze spuszczoneymi powiekami. Potem podniósł ramiona i zapytał równie cicho:

— Więc co ja mam zrobić?

— To, co panu powiedziałem!

— To znaczy: odjechać?

Pan Settembrini milczał.

— Czy pan chce powiedzieć, że powinienem pojechać do domu?

— Radziłem to panu zaraz pierwszego wieczora, inżynierze.

— Tak, i wtedy mogłem to uczynić, choć uważałem, że nie ma sensu tak zaraz dawać za wygraną dlatego tylko, że tutejsze powietrze daje mi się trochę we znaki. Ale przecież od tego czasu sytuacja uległa zmianie. Podałem się badaniu lekarskiemu, po którym radca Behrens powiedział mi bez ogródek, że nie warto odjeżdżać, bo niezadługo musiałbym i tak tu powrócić, a gdybym tam na dole podjął dawny tryb życia, to mógłbym jak nic stracić cały płat płuca.

— Wiem, teraz ma pan w kieszeni swoją legitymację.

— Pan mówi o tym z taką ironią... naturalnie z właściwą ironią, która nie może być źle zrozumiana i jest tylko zwyczajnym i klasycznym środkiem krasomówczym — widzi pan, pamiętam jego słowa. Ale czy może pan wziąć to na swoją odpowiedzialność, by mimo tej fotografii, mimo rezultatu prześwietlenia i diagnozy radcy Behrensa doradzać mi powrót do domu?

Pan Settembrini wahał się przez chwilę. Potem wyprostował się, podniósł spuszczone powieki, mocne spojrzenie swoich czarnych oczu skierował na Hansa Castorpa i odparł z pewną teatralną i na efekt obliczoną intonacją:

— Tak, inżynierze, gotów jestem wziąć to na swoją odpowiedzialność.

Ale i Hans Castorp wyprostował się teraz. Zsunąwszy obcasy, patrzył prosto w twarz Settembriniemu. Tym razem była to walka. Hans Castorp był pewny siebie. Wpływy, dosięgające go z pobliza, umacniały go. Tu miał przed sobą pedagoga, a tam na dworze była owa wąskooka kobieta. Nawet nie przeprosił za to, co powiedział; nie dodał: „Niech mi pan tego nie weźmie za złe”.

Odrzekł:

— W takim razie jest pan ostrożniejszy w stosunku do siebie samego niż do innych ludzi! Pan nie zlekceważył zakazu lekarza, nie pojechał pan na zjazd postępowców do Barcelony, pan bał się śmierci i pozostał tutaj.

Słowa te zachwiały do pewnego stopnia pozą pana Settembriniego. Uśmiechnął się nie bez trudu i odezwał się:

— Umiem cenić ciętą odpowiedź, chociaż pańska logika trąci sofisteryą. Mierzi mnie ten wstręt, a tak częsty tutaj wyścig i nie chcę w nim brać udziału, inaczej odpowiedzialnym panu, że jestem o wiele bardziej chory niż pan — niestety, rzeczywiście tak bardzo chory, że niezupełnie szczerze i z pewną dozą oszukiwania siebie samego oddaję się nadziei, iż kiedykolwiek będę mógł opuścić tę miejscowość i powrócić do życia na dole. Z chwilą kiedy żywienie tej nadziei okaże się czymś zgoła niewłaściwym, opuszczę ten zakład i na koniec moich dni poszukam sobie jakiegoś prywatnego mieszkania gdzieś w dolinie. Smutne to będzie, ale ponieważ praca moja obraca się w najbardziej oderwanej i umysłowej sferze, nic mi nie przeszkodzi aż do ostatniego tchnienia służyć sprawie ludzkości i stawiać czoło duchowi choroby. Zwróciłem już panu uwagę na różnicę zachodzącą pod tym względem między nami. Pan nie jest człowiekiem, który potrafiłby zachować tutaj najlepszą część swej istoty, spostrzegłem to podczas naszego pierwszego spotkania. Pan mi zarzuca, że nie pojechałem do Barcelony. Usłuchałem zakazu, ażeby nie



ulec przedwczesnej zagładzie. Ale uczyniłem to ze stanowczym zastrzeżeniem, z najdumniejszym i najboleśniejszym protestem mego ducha przeciwko dyktatowi mego nędznego ciała. Czy i w panu budzi się ten protest, kiedy pan poddaje się przepisom tutejszej władzy — czy nie jest pan raczej posłuszny, chętnie posłuszny swojemu ciału i jego złym skłonnościom...

— Cóż pan ma przeciwko ciału? — przerwał porywczo Hans Castorp i spojrzał na Włocha szeroko otwartymi niebieskimi oczami, których białka poprzerzynane były czerwonymi żyłkami. Jego szalona odwaga przyprawiała go o zawrót głowy, i można było to poznać po nim. „O czymże ja mówię? — pomyślał. — To się staje potworne. Ale skoro podjąłem walkę z nim, nie zostawię mu, póki się da, ostatniego słowa. Oczywiście, będzie je miał, ale to nic nie szkodzi, zawsze odniosę z tego jakąś korzyść. Będę go drażnił.” — I uzupełnił swój zarzut:

— Pan przecież jest humanistą? Więc jak pan może mówić źle o ciele?

Tym razem uśmiech Settembriniego był niewymuszony i pewny siebie.

— „Co pan ma przeciwko analizie?” — zacytował, przechylając głowę. — „Czy pan nie lubi analizy?” — Zawsze pan znajdzie mnie gotowym do uzasadniania mych twierdzeń — rzekł z ukłonem i opuścił przy tym rękę ruchem jakby salutującym — szczególnie jeżeli pańskie zarzuty będą inteligentne. Pan paruje nie bez elegancji. Humanista — ma się rozumieć, że nim jestem. Nigdy nie przyłapie mnie pan na skłonnościach do ascezy. Uznaję, cenię i kocham cielesność tak samo, jak uznaję, cenię i kocham formę, piękno, wolność, radość i używanie — jak jestem obrońcą świadomości, interesów życia przeciw sentymentalnej przed nim ucieczce — obrońcą klasycyzmu przeciw romantyzmowi. Sądzę, że moje stanowisko jest jednoznaczne. Istnieje jednak pewna siła, pewna zasada, dla której żywię największe uznanie, najwyższy szacunek i najgłębszą miłość, a tą siłą, tą zasadą jest duch. Jakkolwiek nie znoszę wygrywania przeciwko ciału owego podejrzanego, mdłego wytworu wyobraźni i księżycowego upióra, któremu nadaje się miano duszy, to jednak kiedy chodzi o antytezę ciała i ducha, ciało stanowi pierwiastek szatański, bo ciało jest naturą, a natura — powtarzam: w ramach swego przeciwieństwa do ducha, do rozumu, jest zła, mistyczna i zła. „Pan jest humanistą!” Owszem, jestem nim bezsprzecznie, bo jestem przyjacielem człowieka, jak nim był Prometeusz, miłośnik ludzkości i tego, co w niej szlachetne. Ale ta szlachetność jest cechą ducha, rozumu, i dlatego całkiem daremnie będzie pan wysuwał zarzut chrześcijańskiego obskurantyzmu...

Hans Castorp zaprzeczył.

— ...Całkiem daremnie — obstawał przy swoim Settembrini — będzie pan pod-

nosił ten zarzut, jeżeli kiedyś szlachetna duma humanizmu nauczy ludzi, że poniżeniem i urąganiem jest uzależnianie ducha od strony cielesnej, od natury. Czy wie pan, że wielki Plotyn miał się kiedyś wyrazić, iż wstydi się, że posiada ciało? — zapytał Settembrini i tak poważnie domagał się odpowiedzi, że Hans Castorp musiał wyznać, iż słyszy o tym po raz pierwszy.

— Porfiriusz przekazał nam te słowa. Absurdalne, jeżeli pan chce. Ale absurdalność jest wyrazem szlachetności ducha i nie ma właściwie nic żałośniejszego niż zarzut absurdalności tam, gdzie duch wbrew naturze dąży do utrzymania swej godności i nie chce się jej wyrzec... Czy słyszał pan o trzęsieniu ziemi w Lizbonie?

— Nie — trzęsienie ziemi? Nie czytuję tu gazet...

— Pan mnie źle rozumie. Nawiasem mówiąc, szkoda, że pan nie czytuje tu dzienników, ale to jest charakterystyczne dla tej miejscowości. Otóż pan mnie źle rozumie; katastrofa, o której mówię, nie jest aktualna, zdarzyła się mniej więcej sto pięćdziesiąt lat temu...

— Ach tak! Niech pan zaczeka — prawda! Czytałem, że Goethe w Weimarze powiedział wtedy w nocy, w swojej sypialni, do służącego...

— Ach, nie o tym chciałem mówić — przerwał mu Settembrini, przymknąwszy oczy i machając w powietrzu swoją drobną, opaloną dłonią. — Poza tym pomieszał pan kataklizmy. Pan myśli o trzęsieniu ziemi w Mesynie, a ja mówię o trzęsieniu, które nawiedziło Lizbonę w 1755 roku.

— Przepraszam pana.

— Tak więc, Wolter oburzał się na to.

— To znaczy...jak? Oburzał się?

— Tak jest, powstawał przeciwko temu. Nie godził się na ten brutalny fakt i na fatum, nie chciał przed nimi kapitulować. W imię ducha i rozumu zaprotestował przeciwko temu skandalicznemu wybrykowi natury, który zburzył trzy ćwierci kwitnącego miasta i pociągnął za sobą tysiące ofiar w ludziach... Pan jest zdumiony? Pan się uśmiecha? Niechże pan się dziwi, ale co się tyczy uśmiechu, to pozwalam sobie zabronić go panu! Stanowisko Woltera było stanowiskiem prawdziwego potomka owych Galów, którzy wypuszczali strzały przeciw niebu... Widzi pan, inżynierze, tu ma pan przykład wrogości ducha wobec natury, jego dumnej nieufności wobec niej, tu widzi pan, jak się broni swego prawa do krytykowania natury i jej złej, przeciwnej rozumowi potęgi... Bo ona jest potęgą, a trzeba być niewolnikiem, aby się poddawać potędze, godzić się na nią... chcę powiedzieć: wewnątrz na nią się godzić. Ale ma pan tu też to stanowisko humanistyczne, które nie wikła

się w żadne sprzeczności i nie popada z powrotem w hipokryzję chrześcijaństwa, kiedy ma odwagę widzieć w ciele element zły i antagonistyczny. Sprzeczność, jaką pan pozornie dostrzega, jest w gruncie rzeczy zawsze jedna i ta sama. „Co pan ma przeciwko analizie?” Nic... jeżeli ma służyć pouczeniu, wyzwalanemu i postępowi. Wszystko... jeżeli trąci wstrętnym, grobowym posmakiem rozkładu. Z ciałem ma się rzecz nie inaczej. Należy je szanować i bronić go, kiedy chodzi o jego emancypację i piękno, o wolność zmysłów, o szczęście, o rozkosz. Ale trzeba nim gardzić, jeżeli przeciwstawia się dążeniu do światła jako pierwiastek ciężkości i bezwładności, odwracać się od niego ze wstrętem, jeżeli reprezentuje zasadę choroby i śmierci, jeżeli jest przepojone duchem przewrotności, duchem zgnilizny, rozpusty i hańby...

Stojąc tuż obok Hansa Castorpa, Settembrini wypowiedział ostatnie słowa głosem prawie bezdźwięcznym i bardzo szybko, śpieszył się, aby dokończyć. Odsiecz dla Hansa Castorpa zbliżała się: do czytelnicy wszedł Joachim z dwiema kartkami pocztowymi w rękę; literat zamilkł, a zręczność, z jaką rysy jego twarzy przyjęły nagle wyraz towarzyskiej lekkości, nie pozostała bez wrażenia na jego uczniu — jeżeli można tak nazwać Hansa Castorpa.

— A, jest pan, poruczniku! Pan pewnie szuka kuzyna — niech mi pan wybaczy! Wdaliśmy się tu w rozmowę, a zdaje mi się, że nawet trochę poróżniliśmy się. Pański kuzyn niezłe rozumuje, umie być nawet niebezpiecznym przeciwnikiem w dyskusji, o ile mu na tym zależy.

## **Humaniora**

Hans Castorp i Joachim Ziemssen, w białych spodniach i granatowych marynarkach, siedzieli po obiedzie w ogrodzie. Był to jeszcze jeden z tych wychwalanych dni październikowych, gorący i lekki, uroczysty i cierpki zarazem, z ciemnym jak na południu szafirem nieba nad doliną, w której głębi jaśniały jeszcze świeżą zielenią pastwiska, poprzerzynane drogami i usiane domkami. Na zjeżonych lasem zboczach dzwięczały dzwonki pasących się krów. Metaliczne, czyste, muzycznie naiwne tony unosiły się w cichym, rzadkim, przejrzystym powietrzu i pogłębiały uroczysty nastrój panujący na wyżynach.

Obaj kuzyni siedzieli na skraju ogrodu na ławce przed półkolem młodych jodeł. Miejsce to leżało na północno-zachodnim krańcu ogrodzonego, o pięćdziesiąt

metrów nad doliną wznoszącego się płaskowzgórza, na którym stało sanatorium „Berghof”.

Milczeli. Hans Castorp palił. W duchu złościł się na Joachima za to, że nie chciał po obiedzie zostać w towarzystwie na tarasie i pociągnął go wbrew jego woli i chęci w ciszę ogrodu, przed rozpoczęciem poobiedniego werandowania. Joachim postąpił jak tyran. Nie byli jednak braćmi syjamskimi, mogli rozłączyć się, jeżeli skłonności ciągnęły ich w różne strony: przecież Hans Castorp nie siedział tutaj po to, by dotrzymać towarzystwa Joachimowi, lecz sam był pacjentem. Tak, dąsał się, ale mógł to wytrzymać dzięki swojej „Marii Mancini”. Z rękami w kieszeniach marynarki, wyciągnąwszy daleko przed siebie nogi w brązowych bucikach, palił długie, szare, matowe cygaro; trzymał je nie w kąciку ust, lecz w pośrodku warg, tak że nieco zwisało w dół; znajdowało się dopiero w pierwszym stadium palenia, to znaczy, że ani razu nie strząsnął jeszcze popiołu z jego tępego końca. Po sutym posiłku rozkoszował się aromatem, który znów w całej pełni odczuwał.

Jeżeli skądinąd zaaklimatyzowanie się jego polegało na przyzwyczajeniu się do tego, że nie może się przyzwyczać — to jednak co się tyczy chemizmu jego żołądka oraz unerwienia jego zbyt suchych i skłonnych do krwawienia błon śluzowych — nastąpiło wreszcie zupełne przystosowanie: niepostrzeżenie, tak że nie mógł śledzić tego procesu, wróciło po upływie sześćdziesięciu pięciu czy siedemdziesięciu dni całkowite zadowolenie fizyczne, które znajdował w owym wysokiej jakości środku podniecającym i roślinnym narkotyku. Cieszył się tą odzyskaną zdolnością, a moralna satysfakcja potęgowała rozkosz fizyczną. Przez czas leżenia w łóżku obchodził się oszczędnie z zapasem dwustu sztuk, które przywiózł z sobą; pozostała mu więc jeszcze pewna ilość. Mimo to napisał do panny Schalleen, prosząc o przysłanie mu wraz z bielizną i zimowymi rzeczami pięciuset sztuk ulubionego bremeńskiego towaru, aby się zaopatrzyć na dłuższy czas. Były to pięknie lakierowane skrzyneczki, na których wśród bogatych złocen widniał globus, rozmaite medale i budynek wystawowy z powiewającymi na dachu chorągwiemi.

Gdy tak siedzieli milcząc, nadszedł nagle z głębi ogrodu radca Behrens. Brał tego dnia udział w ogólnym obiedzie, i przy stole pani Salomon można było zobaczyć, jak splatał przed talerzem swe olbrzymie dłonie. Potem zapewne był na tarasie, nawiązywał rozmowy na tematy osobiste i prawdopodobnie pokazywał sztukę ze sznurowadłami od bucików komuś, kto jej jeszcze nie znał. Teraz wolnym krokiem zbliżał się wysypaną żwirem aleją, bez lekarskiego chałata, w zakiecie w drobną kratkę, w sztywnym kapeluszu zsuniętym na tył głowy; i on również trzymał w ustach cygaro, bardzo ciemne, i ciągnął z niego wielkie kłęby białawego

dymu. Głowa Behrensa, jego twarz o sinych, pałających policzkach, perkatym nosie, wilgotnych niebieskich oczach i uniesionym w górę wąsiku, wydawała się drobna w stosunku do wysokiej, lekko pochylonej, jakby uginającej się postaci i do olbrzymich rozmiarów jego rąk i nóg. Był zdenerwowany i wyraźnie drgnął na widok obu młodych ludzi. Zdawało się nawet, że zmieszał się, gdy wypadło mu przystanąć. Jednakże przywitał się z nimi jak zwykle swobodnie i nie bez zwyczajnych swoich zwrotów, w rodzaju: „Patrz tam, patrz — Tymoteuszu”...<sup>\*</sup> Życzył im pomyślnej przemiany materii i nie pozwolił wstać, gdy uprzejmie chcieli się zerwać z ławki.

— Dajcie spokój, dajcie spokój, panowie! Tylko bez ceremonii względem mnie, prostego człowieka! Mnie się nic nie należy, zwłaszcza że obaj jesteście moimi pacjentami. Nie trzeba, nie trzeba! Dobrze jest tak, jak jest! — I stanął przed nimi z cygarem między wskazującym i środkowym palcem swej olbrzymiej prawicy.

— Jak panu smakuje ten zwitek ziała, Castorp? Proszę mi go pokazać, jestem znawcą i miłośnikiem cygar. Popiół jest piękny; cóż to za brunatna piękność?

— „Maria Mancini”, Postre de Banquett z Bremy, panie radco. Kosztuje bardzo niewiele, nic prawie, dziewiętnaście fenigów, ale ma aromat, jaki się rzadko zdarza u cygar w tej cenie. Sumatra-Havana, najdelikatniejsze listki, jak pan widzi. Przyzwyczałem się do niej bardzo. Jest to półpełna pikantna mieszanina, ale nie szczypie w język. Można długo zostawiać popiół, toteż strząsam go najwyżej dwa razy. Ma ona, rozumie się, swoje humorki, ale kontrola przy fabrykacji musi być bardzo staranna, bo można w zupełności polegać na właściwościach „Marii”; spala się bardzo równomiernie. Czy wolno pana poczęstować?

— Dziękuję, możemy się raz zamienić? — I wyjęli swoje cygarnice.

— Rasowe — powiedział radca dworu, podając cygaro swojej marki. — Posiada temperament, soczystość i moc — to „St. Felix-Brasil”; wie pan? Zawsze tylko takie mi smakowały. Umie niezawodnie odpędzać troski, piecze jak wódka, zwłaszcza ku końcowi ma w sobie coś ognistego! Zalecam jednak pewną wstrzeźliwość w obcowaniu, nie można zapalać jednego od drugiego, bo to przechodzi siły mężczyzny. Ale wolę raz dziennie taki porządny kąsek niż przez cały dzień tylko parę wodną...

Kręcili w palcach i oglądali ze znawstwem zamienione podarki, których wysmukłe ciała ze skośnymi, równo przebiegającymi żebrami zwiniętych, tu i ówdzie lekko odstających liści, z żyłkami, które zdawały się pulsować, z drobnymi nierów-

---

<sup>\*</sup> Patrz tam, patrz — Tymoteuszu — cytata z wiersza Schillera pt. „Die Kraniche des Ibykus” (Żurawie Ibikusa).

nościami skóry, z grą światła na płaszczyznach i krawędziach, miały w sobie coś z żywej, organicznej istoty. Hans Castorp dał wyraz tej myśli: — Takie cygaro żyje! Po prostu oddycha! Pewnego razu w domu wpadło mi na myśl schować „Marię Mancini” do szczelnie zamkniętego blaszanego pudełka, aby ją uchronić od wilgoci. Czy pan uwierzy, że umarła! Zginęła, umarła w przeciągu tygodnia. Znalazłem w pudełku wyschnięte zwłoki.

I zaczęli obaj rozwódzić się nad tym, jak najlepiej przechowywać cygara, zwłaszcza importowane. Doktor lubił importowane i byłby najchętniej palił tylko mocne hawańskie. Niestety, nie znosi ich, i kiedy raz w towarzystwie wypalił dwa małe „Henry Clays”, o mało go do grobu nie wpędziły. — Palę je sobie bez troski przy czarnej kawie — opowiadał radca Behrens — jedno po drugim. Ale gdy je skończyłem, czuję nagle, że mi jest jakoś dziwnie! Tak dziwnie, jak jeszcze nigdy w życiu! Okazuje się, że dostać się do domu to niełatwe zadanie, a kiedy się tam znalazłem, to dopiero zdaję sobie sprawę, że coś niesamowitego się ze mną dzieje: nogi jak lód, wie pan, zimny pot na całym ciele, twarz — biała jak chusta, serce — w stanie okropnym, puls to nitkowaty, ledwie wyczuwalny, to znów pędzi na łeb, na szyję, na złamanie karku, rozumie pan, a w mózgu zamęt... Byłem pewny, że galopuję na tamten świat... Mówię „galopuję”, bo wyraz ten nasunął mi się wówczas i dobrze maluje mój ówczesny stan. Właściwie było mi wtedy i miło, i uroczyście zarazem, chociaż szalenie się bałem — właściwie zamieniłem się cały w strach... Ale strach i uroczyście nastrój nie wyłączają się, o tym wie każdy. Smarkacz, który po raz pierwszy ma posiąść dziewczynę, także odczuwa strach, i ona również, a przy tym oboje rozpływają się z rozkoszy. No! I ja wówczas czułem, że się rozpływam, że z falującą piersią galopuję na tamten świat. Ale panna Mylendonk swymi zabiegami wyciągnęła mnie z tych oparów; kompresy z lodu, nacierania szczotką, zastrzyk kamfory uratowały mnie dla ludzkości.

Hans Castorp, siedząc w charakterze pacjenta, z miną świadczącą o odbywającej się w nim pracy umysłowej, patrzył na Behrensa, którego niebieskie i wypukłe oczy podczas opowiadania napełniły się łzami. Nagle zapytał:

— Wszak pan maluje czasem, panie radco?

Doktor udał zdumienie, cofając się w tył.

— No, no! Młodzieńcze! Co też pan wygaduje?

— Przepraszam, ale coś takiego słyszałem kiedyś mimochodem i teraz sobie to przypomniałem.

— No, to nie będę się zapierał. Tak, tak, wszyscy mamy swoje słabości. Coś takiego przytrafiło mi się... Anch'io sono pittore\*, jak mówił ów Hiszpan.

— Pejzaże? — spytał Hans Castorp krótko i jakby protekcjonalnie. Okoliczności wywołały ten jego ton.

— Wszystko, co pan chce — odpowiedział radca z miną na poły zmieszaną, na poły dumną. — Pejzaże, zwierzęta, martwe natury... Prawdziwy mężczyzna niczego w ogóle się nie ulęknie.

— Ale nie portrety?

— Owszem i portret mi się nieraz przytrafił. Czy pan chce u mnie swoją podobiznę zamówić?

— Cha! Cha! nie! Ale byłby pan radca bardzo uprzejmy, gdyby zechciał nam przy sposobności pokazać swoje obrazy.

Joachim, popatrzawszy ze zdumieniem na kuzyna, zapewnił spiesznie radcę Behrensa, że byłoby to nader uprzejmie z jego strony.

Behrens był zachwycony, prośba Castorpa schlebiała mu w najwyższym stopniu; zarumienił się nawet z radości i zdawało się, że łzy popłyną mu tym razem z oczu.

— Ależ z miłą chęcią! — zawołał — ależ z największą przyjemnością! Może zaraz, jeżeli panowie sobie życzą? Proszę, proszę ze mną, zrobię panom kawę po turecku w mojej budzie! — I wziął obu młodych ludzi pod ramiona, podniósł ich z ławki, i uwieszony między nimi poprowadził ich ścieżką wysypaną żwirem ku swemu mieszkaniu, które znajdowało się, jak o tym wiedzieli, w pobliskim, północno-zachodnim skrzydle sanatorium.

— Ja sam dawniej od czasu do czasu próbowałem malarstwa — odezwał się Hans Castorp.

— Rzeczywiście? i to poważnie? olejnymi farbami?

— Ach, nie! udało mi się co najwyżej namalować czasem akwarelkę... jakiś okręcik, kawałek morza, ot takie sobie dzieciństwa. Ale lubię bardzo oglądać obrazy i dlatego pozwoliłem sobie...

To wyjaśnienie uspokoiło poniekąd Joachima i było dlań wyjaśnieniem zastanawiającej ciekawości kuzyna i bardziej też dla niego niżli dla radcy Behrensa wspominał Hans Castorp o swoich artystycznych zapędach. Stanęli u celu. Nie było tu wspaniałego portalu z latarniami po obu stronach jak na froncie; kilka zaokrąglo-

---

\* Anch'io sono pittore (wł.) — Ja także jestem malarzem — słowa malarza włoskiego Correggia (1494—1534) na widok Rafaelowskiej „Św. Cecylii”.

nych schodków wiodło do dębowych drzwi wejściowych, które radca Behrens otworzył kluczem, wybranym z okazałego pęku; ręka jego lekko drżała — był widocznie zdenerwowany. Weszli do przedsionka urządzonego jak szatnia, gdzie pan radca powiesił na kołku swój sztywny kapelusz. Wewnątrz, po obu stronach małego korytarza, odgrodzonego od głównej części budynku za pomocą szklanych drzwi, znajdowały się drzwi prowadzące do niewielkiego prywatnego mieszkania. Pan radca Behrens zawołał służącą, wydał jej polecenia, a potem wprowadził swych gości przez drzwi na prawo, zapraszając ich jowialnymi i uprzejmymi słowami.

Kilka pokoiów w amfiladzie, umeblowanych po mieszczańsku, banalnie, oddzielonych od siebie nie drzwiami, lecz portierami, znajdowało się od frontu; okna ich wychodziły na dolinę: „staroniemiecki” pokój stołowy, gabinet a zarazem bawialny, z miękkimi dywanami, biblioteką, kanapą i biurkiem, nad którym wisiała studencka czapka i para skrzyżowanych szpad, i wreszcie pokój do palenia, urządzonego po „turecku”. Wszędzie wisiały obrazy malowane przez radcę Behrensa, na które wnet skierowały się oczy wchodzących gości, gotowych do uprzejmego wyrażenia podziwu. Widziało się tu przede wszystkim kilka olejnych portretów zmarłej małżonki doktora — i fotografię jej na biurku. Była to powiewnie ubrana, nieco zagadkowa blondynka, z rękami lekko splecionymi na lewym ramieniu — i to nie mocno splecionymi, lecz tylko tak, że palce lekko zachodziły na siebie; oczy jej spoglądały bądź w niebo, bądź kryły się pod długimi i wywiniętymi rzęsami, nie patrzyły jednak nigdy wprost na widza. Poza tym uwzględnione były przeważnie motywy górskie, góry w śniegu, i w zieleni świerków, góry w oparach wyżynnych, i znowu góry, których twarde i ostre kontury pod wpływem Segantiniego wrzynały się ostro w ciemnoniebieskie niebo. Były tam dalej szalasy, krowy ze zwisającym podgardlem, stojące lub leżące na słonecznych łąkach, oskubane kurczę, którego wykręcona szyja zwieszała się pośród jarzyn ze stołu, kwiaty, typy góralskie i inne jeszcze obrazy — wszystko malowane ze swobodnym dyletantyzmem, śmiałymi plamami farb, które często wyglądały jakby wyciśnięte bezpośrednio z tuby na płótno i które chyba długo musiały schnąć; mimo dużych błędów robiło to czasem wrażenie.

Oglądając obrazy, jak w jakiejś galerii, młodzieńcy szli wzdłuż ścian, a gospodarz postępował za nimi, objaśniając od czasu do czasu motyw obrazu, przeważnie jednak w milczeniu, z dumnym zakłopotaniem artysty wodził wraz z obcymi wzrokiem po swych dziełach. Portret Kławdii Chauchat wisiał w bawialnym pokoju, na ścianie pomiędzy oknami. Już wchodząc, odkrył go Hans Castorp szybkim spojrzeniem, aczkolwiek podobieństwo było bardzo nikłe. Umyślnie omijał to miejsce: zatrzymywał swych towarzyszy w jadalni, gdzie udawał, że podziwia zielony pejzaż doliny Sertig z niebieskawymi lodowcami w głębi, skręcił potem z własnej inicja-



tywy do tureckiego gabinetu, który, rozwodząc się w pochwałach, również szczegółowo zwiedził, obejrzał następnie w pokoju bawialnym ścianę przy drzwiach wejściowych, wzywając od czasu do czasu Joachima, by dał wyraz swemu uznaniu; wreszcie obrócił się i rzekł ze zdziwieniem — z umiarkowanym zdziwieniem:

— To przecież jakaś znajoma twarz?

— Poznaje ją pan? — zainteresował się Behrens.

— Zdaje mi się, chyba się nie mylę. To ta pani siedząca przy lepszym stole rosyjskim, o francuskim nazwisku...

— W samej rzeczy, pani Chauchat. Cieszę się, że pan dostrzega podobieństwo.

— Do złudzenia — kłamał Hans Castorp, a słowa te podyktowała mu nie tyle obłuda, ile raczej świadomość, że gdyby wszystko szło normalnym torem, nie powinien był właściwie wcale poznać, kto do obrazu pozował; tak właśnie rzecz się miała z Joachimem, który nigdy sam nie domyśliłby się tego, z tym poczciwym oszukanym Joachimem, któremu nagle zabłysło światło prawdy, prawdziwe jej światło, po owym fałszywym, którego snop rzucił przedtem na sprawę jego kuzyn. — Ach, tak — powiedział po cichu i zaczął również przypatrywać się obrazowi. Hans Castorp umiał znaleźć sobie odszkodowanie za ich nieobecność pośród towarzystwa na werandzie!

Był to portret trochę mniej niż naturalnej wielkości, ograniczony do popiersia. Dama, widziana nieco z profilu, była wydekoltowana, a piersi jej i ramiona spowijał gazowy woal. Obraz ujęty był w szeroką czarną ramę, skośnie opadającą ku wnętrzu i zdobioną od strony płótna złotą listwą.

Pani Chauchat wyglądała na portrecie o dziesięć lat starszej niż w rzeczywistości, jak to bywa na dyletanckich portretach, kiedy usiłują być charakterystyczne. Twarz była zanadto czerwona, nos silnie zniekształcony, włosy zupełnie niepodobne, koloru słomy, usta skrzywione; szczególny urok tej twarzy nie był podpatrzony albo może nie był wydobyty ani uchwycony skutkiem zbytniego podkreślenia tych momentów, z których płynął — całość po prostu sfuszerowana i w znikomym tylko stopniu podobna do modelu. Ale Hans Castorp nie zaprzętał sobie zbytnio głowy podobieństwem; stosunek tego płótna do osoby pani Chauchat był dla niego wystarczająco bliski, portret miał wyobrazić panią Chauchat, ona sama pozowała w tym mieszkaniu i to mu wystarczało. Powtarzał wzruszony:

— Jak żywa!

— Niech pan tego nie mówi! — bronił się radca Behrens — to był niemały kawał roboty; nie wmawiam sobie wcale, że mi się udało, chociaż mieliśmy ze dwa-

dzieńcia seansów! Jak to można dojść do ładu z tak cholerną twarzą? Zdawałoby się, że jest łatwa do uchwycenia z tymi swoimi hiperborejskimi kośćmi policzkowymi i oczami jak szpary w pękającym cieście drożdżowym! Tak, tak, jest coś w tym! Jeżeli się zwraca uwagę na szczegóły, zatracą się całość. Prawdziwy rebus! Czy zna ją pan? Może nie należałoby jej malować z natury, ale z pamięci. Ale czy pan ją zna?

— Tak, nie, przelotnie, jak się tutaj zna ludzi...

— No, co do mnie, to znam ją raczej od strony wnętrza, podskórnie, rozumie pan? Znam jej ciśnienie krwi, napięcie tkanek i obieg limfy — to jest mi niezłe znane, z pewnych powodów. Jej zewnętrzna strona natomiast nastęrcza większe trudności. Czy pan widział już kiedy, jak ona chodzi? Wyraz twarzy odpowiada jej skradającemu się krokowi. Niech pan weźmie na przykład jej oczy — nie mówię o barwie, która też właściwie jest zdradliwa, ale mam na myśli oprawę, wykrój. Pan powie, że powieki jej są skośne, ale to się tylko panu wydaje. Pan się myli, bo chodzi tu o fałd nakątny, epicanthus, to znaczy pewną odmianę, jaką się u niektórych ras spotyka, a która polega na tym, że fałd skóry, przechodzący u tych ludzi z płaskiego siodełka nosowego na powiekę, opada na wewnętrzny kącik oka. Pociągnij pan ten fałd w górę, ponad nasadę nosa, a będzie pan miał oko jak u każdego z nas. Jest to pewnego rodzaju pikantna mistyfikacja, zresztą niezbyt zaszczytna, bo, prawdę powiedziawszy, wskazuje na pewne atawistyczne zahamowanie rozwojowe.

— Więc to tak się rzecz ma — powiedział Hans Castorp — nie wiedziałem o tym, a od dawna już zaciekało mnie, na czym polega charakterystyczny wyraz takich oczu.

— Złudzenie! Iluzja! — podkreślił raz jeszcze radca Behrens.— Jeżeli narysujesz je pan po prostu jako skośne szpary, to jesteś zgubiony. Musi pan tę skośność uzyskać w ten sam sposób, w jaki ją natura tworzyła, musi pan uprawiać, że tak powiem, złudzenie w złudzeniu, a do tego trzeba, aby pan wiedział, co to jest fałd nakątny, czyli epicanthus. Zresztą wiedzieć nigdy nie zawadzi. Niech pan przypatrzy się tej skórze, tej cielesnej powłoce. Czy to jest dostatecznie naoczne, czy też nie bardzo? Jak pan sądzi?

— Nadzwyczajnie — odparł Hans Castorp — jest z nadzwyczajną naocznością oddane. Zdaje mi się, że jeszcze nigdy nie widziałem tak świetnie namalowanej skóry. Widzi się wprost pory. — I brzegiem ręki przesunął lekko po dekolcie, który intensywną białością odcinał się od przesadnie różowej twarzy, jak to bywa z częścią ciała nie wystawioną na działanie światła. Podkreślało to, celowo czy przypadkiem, wrażenie nagości, co było w każdym razie dość płaskim efektem.

Mimo to pochwała Hansa Castorpa była uzasadniona. Matowo połyskująca białość tego delikatnego, ale nie chudego biustu, który ginał w draperii bladoniebieskiej gazy, była bardzo prawdziwa; widocznie malowano ją z zapalem i, abstrahując od pewnego przesłodzenia, artysta potrafił jej nadać piętno jakby naukowej realności i drobiazgowej dokładności. Posłużył się chropowatością płótna, ażeby spoza pokładu białej farby czyniła wrażenie rzeczywistej nierówności skóry, zwłaszcza w okolicach lekko wystających obojczyków. Nie uszła jego uwagi plamka wątrobianiana na lewo od miejsca, gdzie pierś się dzieli, a pomiędzy wypukłościami zdawała się przeświecać delikatna, bladoniebieska siatka naczyń krwionośnych. Miało się wrażenie, że pod spojrzeniem widza ledwie dostrzegalny zmysłowy dreszcz przebiega tę nagość, i — co jest powiedzeniem nieco śmiałym — można sobie było wyobrazić, że czuje się perspirację, niewidoczny opar tego żyjącego organizmu, i że gdyby czyjeś usta do niego przywarły, nie poczułyby zapachu farby i pokostu, lecz zapach żywego ludzkiego ciała. Mówiąc to wszystko, zdajemy tylko sprawę z wrażeń Hansa Castorpa. Ale chociaż jego gotowość do odbierania tego rodzaju wrażeń była szczególnie silna, to jednak należy rzeczowo stwierdzić, że dekolt pani Chauchat był bezwzględnie najlepszym malarskim osiągnięciem pośród obrazów zebranych w tym pokoju.

Radca Behrens, z rękami w kieszeniach, wznosił się na palcach i opadał na pięty kołyszając się w ten sposób przyglądał się wraz z gośćmi swojej robocie.

— Cieszy mnie, panie kolego — rzekł — cieszy mnie, że pan to uchwycił. Dobrze to jest i wcale nie szkodzi, kiedy się wie coś więcej, niż widać na naskórku, i można namalować także i to, co niewidoczne dla oka. Innymi słowy, dobrze jest, jeżeli się nie pozostaje do natury w stosunku li tylko lirycznym, powiedzmy, ale jest się ubocznie np. lekarzem, fizjologiem, anatomem, i wie się coś niecoś o tym, co się znajduje pod spodem. To może się przydać, niech pan mówi, co pan chce, to jest pewnym plusem. Ta oto powłoka ciała dowodzi prawdziwej wiedzy, może to pan sprawdzić za pomocą mikroskopu. Tu widzi pan nie tylko żywe i zrogowaciałe części naskórka, ale może się też pan domyślać skóry właściwej, z jej gruczołami łojowymi i potowymi, naczyniami krwionośnymi, brodawkami, a głębiej jeszcze warstwy tłuszczowej, podściółki... rozumie pan, która za pomocą wielkiej ilości komórek tłuszczowych wytwarza owe rozkoszne formy kobiecego ciała. To, co się wie i o czym się myśli, to wyraża się także, to spływa w palce, i to właśnie daje odpowiednią naoczność.

Hans Castorp zapalił się niesłychanie do tej rozmowy; czoło jego zaróżowiło się, oczy błyszczały — nie wiedział, co ma odpowiedzieć, bo zbyt wiele miał do

powiedzenia. Przede wszystkim chciał zdjąć obraz z niedostatecznie oświetlonej ściany między oknami i przenieść go na lepsze miejsce, po wtóre pragnął koniecznie nawiązać do wywodów radcy Behrensa o naturze skóry, które go niesłychanie interesowały, wreszcie sam miał ochotę wypowiedzieć pewien swój własny, ogólny i filozoficzny pogląd, który mu również w najwyższym stopniu leżał na sercu. Zbliżając już ręce do portretu, by go zdjąć, zaczął spieszenie mówić:

— Tak! tak! słusznie! to bardzo ważne. Chciałbym powiedzieć... To znaczy, pan radca wyraził się: „nie w stosunku li tylko lirycznym”; byłoby dobrze, żeby oprócz lirycznego — tak pan, zdaje się, mówił — oprócz artystycznego stosunku do natury, zachodził jeszcze jakiś inny stosunek, by sprawę, krótko mówiąc, ujmowano z innego jeszcze punktu widzenia, na przykład z lekarskiego? To jest nadzwyczaj trafne! Ale przepraszam, panie radco, ja sądzę, że jest to dlatego tak niezwykle słuszne, iż tu właściwie nie chodzi wcale o różne stosunki ani o rozmaite punkty widzenia, ale w gruncie rzeczy zawsze o jedno i to samo, tylko o różne odmiany, różne, że tak powiem, odcienie, więc różne, że tak powiem, warianty tego samego zainteresowania; artystyczne podejście jest tylko jego częścią albo jednym ze sposobów wyrażenia go, jeśli tak wolno powiedzieć. Tak, przepraszam pana, postawię portret gdzie indziej, tu nie ma absolutnie żadnego światła, pan zobaczy, postawię go przy kanapie, czy też tu nie będzie zupełnie inaczej... Cóż to chciałem powiedzieć? Czymże to zajmuje się wiedza lekarska? Oczywiście, nie rozumiem się na tym, ale wszak zajmuje się człowiekiem. A prawo, prawodawstwo i sądownictwo? Także człowiekiem. A lingwistyka, z którą przecież przeważnie złączony jest zawód pedagogiczny? A teologia i duszpasterstwo? Wszystko to zajmuje się człowiekiem, wszystko to są tylko odmiany jednego i tego samego ważnego... i głównego zainteresowania człowiekiem. To są, jednym słowem, humanistyczne zawody, a jeżeli chce się je studiować, trzeba jako podstawy uczyć się przede wszystkim starożytnych języków, nieprawdaż, ze względu na formalne wykształcenie, jak się to utrzymuje. Pan się zapewne dziwi, że tak mówię, ja jestem przecież tylko realistą, technikiem. Ale w ostatnich czasach, leżąc w łóżku, myślałem znowu o tym wszystkim; to doskonałe, to doskonałe urządzenie świata, że każdej odmianie humanistycznego zawodu dajemy jako podstawę element formalny — ideę formy, pięknej formy, rozumie pan... to wprowadza do tych przedmiotów coś szlachetnego i zbytecznego, coś, co ma związek z uczuciem... z dwornością. Zainteresowanie staje się czymś w rodzaju miłosnych zalotów... To znaczy... najprawdopodobniej wyrażam się nie stosownie, ale widać tu, jak łączą się z sobą pierwiastek duchowy i piękno, które właściwie zawsze już stanowiły jedność — innymi słowy: nauka i sztuka, i dlatego zajęcie artysty należy bezsprzecznie do tej samej grupy — stanowi poniekąd piątą

fakultet — jest niczym innym jak tylko zawodem humanistycznym, odmianą humanistycznego zainteresowania. Bo jego najważniejszym tematem jest przecież znowu także człowiek, wszak pan temu nie przeczy? Malowałem tylko okręty i wodę, gdy w młodości mej chwyciłem za pędzel i farby, ale najbardziej pociągającym rodzajem malarstwa jest stanowczo, moim zdaniem, portret, bo jego bezpośrednim przedmiotem jest człowiek, dlatego zaraz pytałem pana, panie radco, czy pan i w tym kierunku nie próbował swych sił? Czy nie byłoby dużo lepiej powiesić go tutaj?...

Obaj, zarówno Behrens, jak i Joachim, patrzyli na niego, czy nie wstydzi się tego wszystkiego, co tu właśnie zaimprovizował. Ale Hans Castorp za bardzo był przejęty, aby czuć się zmieszanym. Trzymał obraz przy ścianie nad kanapą i czekał na odpowiedź, czy w tym miejscu światło nie jest daleko lepsze. W tej samej chwili służąca przyniosła na tacy gorącą wodę, maszynkę spirytusową i filizanki do czarnej kawy. Radca Behrens skierował ją do gabinetu i powiedział:

— W takim razie powinien pan właściwie interesować się nie tyle malarstwem, ile przede wszystkim rzeźbą... Słusznie, tutaj ma, rozumie się, więcej światła. Jeżeli pan sądzi, że zniesie go tyle... Plastyką, myślę, bo ona w sposób najczystszy i najbardziej wyłączny zajmuje się na ogół człowiekiem. Ale, panowie, woda nam wykipi...

— Plastyka jest najprawdziwszą sztuką — rzekł Hans Castorp; przechodząc do sąsiedniego pokoju zapomniał powiesić obraz albo go postawić, wziął go z sobą i niósł przy sobie do drugiego pokoju. — Zapewne, taka grecka Wenus lub taki atleta, tam pierwiastek humanistyczny występuje najwyraźniej, to jest w gruncie rzeczy najprawdziwsza, najbardziej humanistyczna odmiana sztuki, jeśli się nad tym zastanowić.

— Hm, co się tyczy małej Chauchat — zauważył radca Behrens — to jest ona raczej tematem dla malarza; Fidiasz czy ten drugi, z żydowską końcówką nazwiska\*, kręciliby nosem nad rodzajem jej fizjonomii... Co pan robi, gdzie pan ciągnie ten kawał mięsa?

— Przepraszam, oprę to tymczasem tutaj o nogę mego krzesła, chwilowo stoi tu zupełnie dobrze. Greccy plastycy nie przywiązywali jednak wielkiej wagi do głowy, szło im głównie o ciało, może to było dla nich najbardziej humanistycznym przedmiotem... Więc kobieca plastyka to tłuszcz?

— Tak, to tłuszcz — powiedział kategorycznie radca Behrens, który otworzył tymczasem ścienną szafę i wyjął z niej przyrządy do naparzania kawy: turecki młynek w kształcie walca, ronderek do gotowania o długiej rączce, podwójne naczynie

\* Mowa o Praksytelesie, rzeźbiarzu ateńskim, ur. ok. r. 390 p. n. e.

na cukier i zmieloną kawę — wszystko z mosiądzu. — Palmityna, stearyna, oleina — powiedział i wsypał trochę kawy z blaszanej puszkii do młynka, którego korbkę zaczął kręcić. — Jak widzicie, moi panowie, robię wszystko sam, to smakuje o wiele lepiej. A czy pan myślał, że to ambrozja?

— Nie, sam o tym wiedziałem. Tylko dziwnie, gdy się to tak słyszy — powiedział Hans Castorp.

Siedzieli w kącie pokoju pomiędzy drzwiami a oknem, przy bambusowym stoliku z mosiężnym blatem o wschodnich ornamentach; na stoliku stały przyrządy do kawy i utensylia do palenia. Joachim usiadł obok Behrensa na otomanie, suto wyłożonej jedwabnymi poduszkami, a Hans Castorp w klubowym fotelu na kółkach, o który oparł portret pani Chauchat. Pod stopami mieli barwny dywan. Radca Behrens wsypał łyżeczką kawę i cukier do naczynia o długiej ręczce, nalał w nie wody i zagotował na spirytusowym płomieniu. Zapieniły się brunatno pękate filiżaneczki i kawa po skosztowaniu okazała się zarówno mocna, jak słodka.

— Pańska, zresztą, również — rzekł radca Behrens — pańska plastyka, jeżeli można się tak wyrazić, jest naturalnie również tłuszczem, aczkolwiek w mniejszym stopniu niż u kobiet. Tłuszcz stanowi u nas przeciętnie tylko dwudziestą część wagi ciała, u kobiet szesnastą. Bez tej podskórnej tkanki bylibyśmy tylko pomarszczonymi grzybami. Zanika ona z wiekiem, a wtedy powstają nieestetyczne zmarszczki. Najgrubszy i najtłuszciejczy jest ten podkład na kobiecych piersiach i na brzuchu, na udach, słowem wszędzie tam, gdzie znajduje się coś niecoś dla serca i dla ręki. Także na stopach jest tłusty i łaskotliwy.

Hans Castorp obracał w ręku młynek o kształcie walca. Był on, zarówno jak i reszta zastawy, raczej indyjskiego albo perskiego niż tureckiego pochodzenia: wskazywał na to styl wyrytych w mosiądzu motywów, których powierzchnie błyszczą na matowym tle. Hans Castorp przypatrywał się ornamentyce, ale nie natychmiast pojął jej treść. Gdy zrozumiał, niespodzianie się zarumienił.

— Tak, to przyrząd odpowiedni dla samotnych panów — powiedział Behrens. — Dlatego trzymam go w zamknięciu, wie pan, aby moja kuchta oczu sobie nie wypatrzyła. Panu to szkody nie przyniesie. Otrzymałem go kiedyś od pacjentki, od pewnej egipskiej księżniczki, która tu roczek okrążyła bawiła. Widzi pan, ten wzór stale się powtarza. Zabawne, co?

— Tak, to ciekawe! — odpowiedział Hans Castorp. — Nie, na mnie to, naturalnie, nie robi wrażenia. Można tę rzecz wziąć nawet ze strony poważnej i uroczystej, jeśli się chce, chociaż w takim razie niezupełnie jest ona na miejscu na przyrządzie do gotowania kawy! Podobno przecież starożytni umieszczali czasem tego rodzaju

rysunki na trumnach. Sprośność i świętość były dla nich poniekąd jednym i tym samym.

— No, co się tyczy egipskiej księżniczki, to, zdaje mi się — rzekł Behrens — że skłaniała się raczej ku pierwszej z nich. Mam zresztą jeszcze, też od niej, doskonałe papierosy, coś specjalnie dobrego, z którymi wyjeżdżam tylko przy nadzwyczajnych okazjach. — I wyjął ze ściennej szafy jaskrawo pomalowane pudełko, aby poczęstować gości. Joachim podziękował stuknięciem obcasów. Hans Castorp wziął i zapalił niezwykle dużego i grubego papierosa z wyciśniętym na wierzchu złotym sfinksem. Był rzeczywiście wyśmienity.

— Proszę, niech pan nam jeszcze opowie coś o skórze — poprosił — jeżeli chce pan być tak uprzejmy, panie radco! — Znowu uniósł portret pani Chauchat, postawił go sobie na kolanie i rozparty na fotelu przypatrywał mu się z papierosem w ustach. — Niekoniecznie o tkance tłuszczowej, to już wiemy, ale o ludzkiej skórze w ogólności, o tej skórze, którą pan tak świetnie umie malować.

— O skórze? Czyż pana zajmuje fizjologia?

— Bardzo! Zawsze mnie to w najwyższym stopniu zajmowało. Interesowałem się zawsze żywo ludzkim ciałem i nieraz zapytywałem siebie, czy nie powinienem być zostać lekarzem. Zdaje mi się, że w pewnym sensie nie byłbym zrobił źle! Bo kogo zajmuje ciało, tego zajmuje również i choroba, nawet specjalnie go ona zajmuje; czyż nie tak? Zresztą, co tam o tym mówić; mogłem i czym innym przecież zostać, na przykład duchownym!

— Czyżby?

— Ależ tak! miałem już takie chwile, w których zdawało mi się, że jako duchowny byłbym naprawdę w swoim żywiole.

— Dlaczego więc został pan inżynierem?

— Przypadkiem. Wpłynęły na to różne zewnętrzne okoliczności.

— A więc o skórze? Cóż mam panu opowiedzieć o tym narzędziu zmysłowym. To jest pański zewnętrzny mózg, rozumie pan? Ontogenetycznie jest zupełnie tego samego pochodzenia, co ten aparat tu w pańskiej czasce, przeznaczony dla tak zwanych organów zmysłowych wyższego rzędu. Trzeba panu wiedzieć, że centralny układ nerwowy jest tylko lekkim przeobrażeniem zewnętrznej warstwy skóry, i u niższych zwierząt w ogóle jeszcze nie istnieje różnica pomiędzy centralnym a obwodowym układem nerwowym; zwierzęta te czują zapachy i smaki za pomocą skóry, niech pan sobie wyobrazi, jedynym ich narządem zmysłowym jest skóra. To musi być całkiem przyjemne, jeśli się w to wczuć. Natomiast u tak zróżnicowanych

istot, jak pan i ja, ambicja skóry ogranicza się do łaskotliwości, jest ona już tylko narządem ochronnym i ostrzegawczym, ale piekielnie czujnym, jeżeli coś zagraża ciału. Wysuwa w dodatku poza siebie jakby macki, mianowicie włosy, które porastają ciało; składają się one jedynie ze zrogowaciałych komórek skóry i ostrzegają o zbliżającym się niebezpieczeństwie, zanim jeszcze sama skóra zostanie dotknięta. Między nami mówiąc, jest nawet możliwe, że ochronna i ostrzegawcza czynność skóry ogranicza się wyłącznie do zjawisk cielesnych... Czy pan wie, w jaki sposób pan rumieni się i blednie?

— Niedokładnie.

— No, zupełnie dokładnie, prawdę powiedziawszy, i my nie wiemy, przynajmniej co się tyczy rumieńca wstydu. Rzecz nie jest zupełnie wyjaśniona, bo dotąd nie zdołaliśmy przy naczyniach odkryć mięśni rozszerzających, wprawianych w ruch przez nerwy naczyniowo-ruchowe. W jaki sposób kogutowi nabrzmiewa grzebień albo skąd się biorą podobne przereklamowane zjawiska, które można by jeszcze przytoczyć, to jest dotychczas, że tak powiem, tajemnicą, zwłaszcza że chodzi tu o wpływy psychiczne. Przypuszczamy, że w mózgu znajdują się jakieś połączenia kory mózgowej z ośrodkiem naczyniowym. Przy pewnych bodźcach, na przykład gdy pan jest mocno zawstydzony, dzięki tym właśnie połączeniom nerwy naczyniowe na twarzy zaczynają swoją grę, naczynia krwionośne rozszerzają się i wypełniają, czerwieni się pan jak indyk, krew uderza panu do głowy i nie widzi pan na oczy. W innych znowu przypadkach (kto wie, co panu grozi, może coś niebezpiecznie pięknego) naczynia krwionośne kurczą się, skóra staje się blada, zimna i zapada się, wzruszenie sprawia, że wygląda pan jak trup, ołowiane obwódki podkrążają pańskie oczy, nos pana bieleje i zaostrza się. Serce za to pod wpływem nerwu współczulnego bije jak młotem.

— Ach! więc to tak — rzekł Hans Castorp.

— Mniej więcej. To są reakcje, rozumie pan. Ponieważ wszystkie reakcje i odruchy mają już z góry, od samego początku, jakiś cel, więc my, fizjologowie, skłonni jesteśmy przypuszczać, że i te objawy towarzyszące afektom są właściwie celowymi środkami ochronnymi, obronnymi odruchami ciała jak na przykład gęsia skórka. Czy pan wie, w jaki sposób dostaje pan gęsiej skórki?

— Także niezbyt dokładnie.

— To znowu polega na działaniu gruczołów łojowych skóry, które wydzielają smar skórny, pewną zawierającą białko, tłustawą wydzielinę, wie pan, niezbyt, co prawda, apetyczną, ale czyni ona skórę elastyczną, zapobiega jej pękaniu i sprawia, że jest miła w dotknięciu. Trudno sobie wyobrazić, jaka w dotknięciu byłaby skóra



ludzka bez tego cholesterynowego smaru. Te skórne gruczoły łojowe posiadają maleńkie organiczne mięśnie, dzięki którym się wyprostowują, a gdy to się dzieje, odczuwa pan to, co ów chłopiec, na którego księżniczka wylała, wiadro z kiełbiami, i skóra pańska robi się jak tarka, a przy silnym podrażnieniu nawet torebki włosowe napinają się — włosy jeżą się panu na głowie i włoski na ciele, jak u jezatki, kiedy się broni, i może pan śmiało powiedzieć, że poznał pan, co to jest dreszcz strachu.

— O! nieraz tego doświadczyłem — powiedział Hans Castorp. — Nawet dość łatwo ulegam dreszczom przy najrozmaitszych okolicznościach. Dziwi mnie tylko, że owe gruczoły wyprostowują się z powodu tak różnorodnych przyczyn. Dostaje się gęziej skórki od zgrzytu żelaza po szkłe, dostaje się jej nagle także, gdy się słucha szczególnie pięknej muzyki, a nawet zdarzyło mi się dostawać raz po raz gęziej skórki podczas konfirmacji, gdy przyjmowałem komunię świętą, te sensacje nie chciały wtedy wcale ustać. Przecież to bardzo dziwne, że tak rozmaite przyczyny wprawiają w ruch te drobniutkie mięśnie!

— Tak — powiedział Behrens — podnieta jest podnieta, a rodzaj podniety absolutnie ciała nie obchodzi; gruczoły łojowe prostują się bez względu na to, czy bodźcem są kiełbie, czy też komunია święta.

— Panie radco — rzekł Hans Castorp, przypatrując się obrazowi na swych kolanach — chciałbym jeszcze powrócić do pewnej kwestii. Mówił pan poprzednio o wewnętrznych procesach, o ruchu limfy i tym podobnych rzeczach... Jak ta sprawa wygląda? Chętnie bym posłuchał czegoś jeszcze o ruchu limfy na przykład, jeśli by pan radca chciał być tak uprzejmy. Bardzo mnie to zaciekawia.

— Wierzę, wierzę — odparł Behrens — bo limfa jest w całej kuchni organizmu substancją najsubtelniejszą, najbardziej intymną, najdelikatniejszą. Pan się tego widocznie domyśla i dlatego pan pyta o to. Mówi się zawsze o krwi i jej tajemnicach, nazywa się ją szczególnym sokiem. Ale dopiero limfa to sok nad soki, to esencja, wie pan, to mleko krwi, najrozkoszniejsza ciecz, która zresztą po spożyciu tłustego pokarmu wygląda rzeczywiście jak mleko. — Wymownie i obrazowo zaczął opisywać, jak krew, ten sok odżywczy, purpurowy, powstający dzięki oddychaniu i trawieniu, nasycony gazami, obciążony produktami spalania, jak ta ciekła mieszanina tłuszczu, białka, żelaza, cukru i soli, o temperaturze trzydziestu ośmiu stopni, którą pompa sercowa pędzi przez naczynia krwionośne, podtrzymuje w całym ciele przemianę materii, ciepło zwierzęce, jednym słowem — to nasze kochane życie. Krew jednak nie dociera bezpośrednio do komórek, lecz pod wpływem ciśnienia, pod jakim się znajduje, przesącza przez ścianki naczyń pewien ekstrakt, pewien sok mleczny, i wtłacza go w tkanki, tak że dociera wszędzie, jako ciecz tkankowa

wypełnia każdą szczelinę i rozciąga, i napręża elastyczną tkankę komórkową. Na tym polega napięcie tkanek, turgor, który sprawia, że limfa, obmywająca miłośnie komórkę, gdy już nastąpiła wzajemna wymiana materii, znowu zostaje wtłoczona do naczyń limfatycznych, vasa lymphatica, i spływa znowu do krwi. Ilość limfy w ten sposób przepływającej wynosi półtora litra dziennie.

Opisał następnie cały skomplikowany układ naczyń chłonnych, opowiedział o przewodach mlecznych w piersi, które zbierają limfę z nóg, brzucha, piersi, z jednej ręki i jednej połowy głowy, wyłożył układ subtelnych filtrów organizmu, tzw. gruczołów limfatycznych, znajdujących się w wielu miejscach naczyń limfatycznych, a przeważnie w okolicach szyi, pod pachami, pod kolanami, w stawach łokciowych i innych podobnych intymnych a delikatnych miejscach ciała ludzkiego. — Zdarza się, że owe gruczoły chłonne nabrzmiewają, to był właśnie nasz punkt wyjścia — wyjaśniał dalej Behrens — i tworzą się wówczas tu i ówdzie zgrubienia, np. pod kolanami i w stawach łokciowych, tu i ówdzie guzy jak przy puchlinie wodnej, a to ma zawsze swą przyczynę, choć nie zawsze piękną. W niektórych wypadkach musi się tu myśleć o tuberkulicznym zaczopowaniu naczyń limfatycznych.

Hans Castorp milczał. — Tak — powiedział z cicha po chwili — tak, mogłem być z pewnością zostać lekarzem... Przewody mleczne... limfa nóg... To mnie bardzo zajmuje. Czymże jest ciało? — wybuchnął nagle gwałtownie — czym jest organizm ludzki? Z czego się składa? Proszę, proszę nam to dziś po południu powiedzieć, panie radco! Proszę nam to raz na zawsze i dokładnie powiedzieć, abyśmy wiedzieli!

— Z wody — odpowiedział Behrens. — Więc i chemia organiczna pana zajmuje? Ciało ludzkie składa się po największej części z wody, z niczego gorszego ani niczego lepszego; nie ma powodu się przejmować. Substancja sucha stanowi zaledwie dwadzieścia pięć procent, a dwadzieścia procent z tego — to zwykłe białko kurze, proteiny, jeżeli pragnie się pan wytworniej wyrazić, z małą właściwie tylko jeszcze domieszką tłuszczu i soli. Oto wszystko!

— Ale białko kurze? Cóż to jest takiego?

— Rozmaitego rodzaju pierwiastki: węgiel, wodór, azot, tlen, siarka; zdarza się i fosfor. Ależ pańska żądza wiedzy jest nienasycona! Niektóre białka są również połączone z węglowodanami, to jest z cukrem gronowym i krochmalem. Na starość mięso staje się łykowate, gdyż ilość kolagenu wzrasta w tkance łącznej, kleju, wie pan, który jest najważniejszą częścią składową kości i chrząstek. Cóż panu mam jeszcze powiedzieć? W plazmie mięśni znajduje się pewne białko, miozynogen, które ścina się we włókniak i wywołuje stężenie pośmiertne.

— Ach tak! Steżenie pośmiertne — powiedział Hans Castorp z ożywieniem. — Bardzo dobrze, bardzo dobrze. A potem przychodzi ogólny rozkład, anatomia grobu.

— No, tak! Rozumie się. Pięknie się pan zresztą wyraził. W dalszym ciągu proces ten staje się przewlekły. Człowiek rozpływa się, jeśli można tak powiedzieć. Niech pan sobie wyobrazi! Taka ilość wody! A te inne składniki są po śmierci mało trwałe i wskutek gnicia rozkładają się na związki prostsze, nieorganiczne.

— Gnicie, rozkład — powiedział Hans Castorp. — Wszak to jest spalanie, łączenie się z tlenem, o ile wiem.

— Najzupełniej słusznie. Utlenianie.

— A życie?

— Także, także, młodzieńcze! Także łączenie się z tlenem. Życie to także po prostu spalanie się białka komórek — stąd pochodzi to miłe ciepło zwierzęce, którego ma się nieraz zbyt wiele. Taak, taak... życie to śmierć — nie ma co wiele upiększać — *une destruction organique*, jak to kiedyś pewien Francuz określił z wrodzoną sobie niefrasobliwością. Życie także tym pachnie! A jeżeli wydaje się nam inaczej, to sąd nasz nie jest bezstronny.

— A jeżeli życie nas interesuje — powiedział Hans Castorp — to właściwie interesuje nas śmierć. Czy nie tak?

— No! Pewna różnica zachodzi tu jednakże. Życie polega na tym, że mimo ciągłej zmiany zostaje zachowana ta sama forma.

— A po co zachowywać formę? — zapytał Hans Castorp.

— Po co? Ależ panie, to, co pan tu mówi, nie jest ani trochę humanistyczne.

— Forma to bujda.

— Pan jest dzisiaj w niezwykle przedsiębiorczym usposobieniu, powiedziałbym: w awanturniczym. Ale muszę teraz przerwać, staję się melancholijny — dodał radca i zakrył oczy swą olbrzymią ręką. — Widzicie, panowie, tak to mnie napada! Dopiero co piłem z panami kawę i smakowała mi, i nagle nachodzi mnie coś takiego, że staję się melancholijny. Panowie muszą mi to już wybaczyć. Wizyta panów była dla mnie czymś wyjątkowym i sprawiła mi dużą przyjemność...

Obaj kuzyni zerwali się. Mówili, że robią sobie wyrzuty, iż pana radcę tak długo... Ale on zapewniał ich, że nic nie szkodzi. Hans Castorp odniósł pośpiesznie portret pani Chauchat do sąsiedniego pokoju i powiesił go na dawnym miejscu. Do swych pokoiw dostali się tym razem nie przez ogród. Behrens pokazał im drogę

przez gmach, zaprowadziwszy ich do szklanych drzwi łączących obie części korytarza. W tej chwili przygnębienia kark jego wydawał się jeszcze grubszy, i doktor mrugał wilgotnymi oczami, a jego wąsik, krzywy wskutek jednostronnego uniesienia wargi, nabrał żalostnego wyglądu. Gdy szli przez korytarze i schody, Hans Castorp odezwał się:

— Przyznaj, że miałem szczęśliwą myśl.

— W każdym razie było to pewne urozmaicenie — odpowiedział Joachim. — A przy tej okazji nagadaliście się obaj o różnych sprawach — to trzeba powiedzieć. Dla mnie było tego nawet trochę za dużo! Najwyższy czas, abyśmy przed herbatą odbyli jeszcze obowiązkowe werandowanie, chociażby tylko przez dwadzieścia minut. Jesteś dzisiaj w takim jakimś awanturnicznym nastroju, że moja gorliwość w werandowaniu może ci się wydawać bujda! Dla ciebie, ostatecznie, nie jest to takie ważne jak dla mnie.

## **Dociekania**

I tak nadeszło to, co musiało nadejść, a czego niedawno jeszcze Hans Castorp nie spodziewał się tu zobaczyć: wtargnęła zima, o której Hans Castorp do niedawna nawet nie przypuszczał, że może jej tu dożyć. Joachim znał ją już — poprzednia trwała jeszcze w całej pełni, kiedy przybył tutaj — ale Hans Castorp trochę się jej obawiał, chociaż czuł się na jej przyjście jak najstaranniej zaopatrzone. Kuzyn usiłował go uspokoić.

— Nie powinieneś sobie wyobrażać, że będzie zbyt sroga — powiedział — wprost podbiegunowa. Z powodu suchości powietrza i braku wiatrów nie bardzo odczuwa się tu zimno... Jeżeli należycie się owinąć, można pozostawać na balkonie aż do późnej nocy, nie marznąć zupełnie. Sprawia to owa zmiana temperatury na granicy mgieł: powyżej tej granicy jest znowu cieplej; ta rzecz nie była dawniej tak dokładnie znana. Zimno jest raczej, kiedy pada deszcz. Ale ty masz przecież worek do leżenia, a troszkę palą tu także, kiedy mróz przycisnie. — Nie mogło być mowy, zresztą, o jakimś gwałtownym zaskoczeniu, zima zbliżała się łagodnie, na razie mało się różniła od niejednego z dni, które zdarzały się już w pełni lata. Przez parę dni dał południowy wiatr, słońce dopiekało, dolina wydawała się skrócona i zwężona, blisko i wyraziście występowały zamykające ją kulisy Alp. Potem nadciągnęły chmury, przedarły się od Piz Michel i Tinzenhornu ku północnemu wschodowi, a dolina pociemniała. Następnie spadł ulewny deszcz. Później deszcz zmęt-

niał, stał się białawoszary, domieszał się doń śnieg, wreszcie był to już tylko śnieg; dolina wypełniała się zawieją, a ponieważ trwało to dostatecznie długo, a tymczasem także temperatura znacznie się obniżyła, przeto śnieg nie mógł całkowicie stopnieć; był mokry, ale utrzymywał się. Od cienkiej, wilgotnej, przeświecającej miejscami białej szaty doliny ostro odcinała się czarna szorstkość igliwia na stokach; w sali jadalnej rury rozgrzały się leciutko. Było to na początku listopada, koła Zadzusek, i nie było nowością. Także w sierpniu bywało już podobnie, i z dawna odwykli mieszkańcy „Berghofu” od uważania śniegu za przywilej zimy. Stale i w każdą pogodę, chociażby tylko z daleka, miano go przed oczami, gdyż zawsze resztki jego i ślady przebłyskiwały w szczelinach i żłebach skalistego łańcucha Rätikonu, który wyrastał jakby u wrót doliny, a najdalsze majestatyczne szczyty przesyłały zawsze śnieżne pozdrowienia z południa. Ale teraz utrwaliło się jedno i drugie: opady śnieżne i obniżenie się temperatury. Niebo, bladoszare i niskie, wisiało nad doliną, rozsypywało się w płatki śniegu, które opadały bezszelestnie i nieustannie, w nadmiernej i lekko niepokojącej obfitości, i z godziny na godzinę stawało się zimniej. Pewnego ranka Hans Castorp miał w swoim pokoju siedem stopni ciepła, a nazajutrz już tylko pięć. Chwycił mróz, umiarkowany, ale stały. Przedtem bywały przy-mrozki tylko nocą, teraz mróz nie ustępował i za dnia, srożył się od rana do wieczora, a jednocześnie z krótkimi przerwami trwała śnieżyca już czwarty, piąty, siódmy dzień. Śnieg gromadził się teraz w ogromnych ilościach, stawał się po prostu kłopotliwy. Na przepisowej drodze do ławki koło strumienia, a także na szosie prowadzącej w dół, ku dolinie, przekopano ścieżki dla pieszych; lecz były tak wąskie, że niepodobna było wyminąć się na nich; spotkawszy się, trzeba było ustępować w bok na wał śnieżny, w który zapadało się aż po kolana. Walec kamienny do ugniatania śniegu, ciągniony przez konia, którego człowiek prowadził za uzdę, toczył się przez cały dzień w dole po ulicach Uzdrowiska, a specjalny wehikuł na płozach, żółty i kształtem przypominający starofrankoński dyliżans, z pługiem śnieżnym, rozgarniał białe zwały na obie strony, kursując między dzielnicą Kurhauzu a Davos-Wsią, północną częścią osady. Mieszkańcy tego świata, zacieśnionego, wysokiego i odosobnionego świata tych tu w górze, pojawiali się teraz w grubych futrach i opatuleni. Nie było tu ani jednego pala czy żerdzi bez białego czepca, zniknęły stopnie schodów wiodących ku portalowi „Berghofu” i przemieniły się w równię pochyłą; ciężkie poduszki o humorystycznych kształtach zwisały zewsząd z gałęzi sosen, tu i ówdzie cała ich masa ześlizgiwała się, rozpylała i przepływała między pniami, niby obłok czy biała mgła. Dookoła spoczywały ośnieżone góry, szorstkie u podnóża, z miękko przykrytymi różnokształtnymi wierzchołkami, wystrzelającymi ponad strefę drzew. Było ciemno, słońce wyzierało już tylko jako

blady odbłask spoza zasnutych mgłami przestworzy. Ale śnieg lśnił odbitym i łagodnym światłem, mleczną jasnością, która pięknie uwydatniała świat i ludzi, chociaż spod białych lub kolorowych czapek włóczkowych wyzierały czerwone nosy.

W sali jadalnej, przy siedmiu stołach, głównym przedmiotem rozmowy był początek zimy, najważniejszej w tych okolicach pory roku. Przybyło jakoby wielu turystów i sportowców i zaludniło hotele Davos-Wsi i Uzdrowiska. Grubość śniegu oceniano na sześćdziesiąt centymetrów, a jego rodzaj był pono idealny dla narciarzy. Robota wre na torze saneczkowym, który na północno-zachodnim zboczu, po tamtej stronie, opada od Schatzalp ku dolinie; w najbliższych już dniach będzie go można oddać do użytku, o ile ciepły wiatr z południa nie pokrzyżuje planów. Cieszą się na ruch i życie, które wniosą tu ludzie zdrowi, ci z dołu, na zabawy sportowe i wyścigi, którym zamierzano się przyglądać nawet wbrew zakazowi, zaniebując się w kuracji i wymykając z werandowania. Pojawiło się coś nowego, jak słyszał Hans Castorp, wynalazek z północy, skikjöring, wyścigi, w których uczestników stojących na nartach ciągnąć mają konie. Będzie się wymykało z leżami, aby to oglądać. — Była już także mowa o Bożym Narodzeniu.

O Bożym Narodzeniu! Nie, o tym Hans Castorp jeszcze nie myślał. Mógł sobie mówić i pisać od niechcienia, iż na mocy lekarskiego orzeczenia będzie musiał tutaj spędzić zimę wraz z Joachimem. Ale to pociągało za sobą, jak się teraz okazywało, konieczność spędzenia tutaj świąt Bożego Narodzenia, a było w tym bez wątpienia coś zatrważającego, już choćby dlatego, jakkolwiek nie wyłącznie dlatego, że świąt tych nigdy nie spędzał poza domem, lecz zawsze na łonie rodziny. A więc, w imię Boże, trzeba się było teraz z tym pogodzić. Przecież nie był już dzieckiem, także Joachim nie zdawał się tą okolicznością zbyt przejmować, raczej pogodził się z nią bez czułościowości — bo gdzież już i w jakich warunkach nie obchodzono na świecie Bożego Narodzenia!

Mimo wszystko mówienie o Bożym Narodzeniu przed pierwszą niedzielą adwentową wydawało mu się nieco przedwczesne; dobre sześć tygodni trzeba było jeszcze czekać na te święta. Przeskakiwano jednak przez ten czas i pochłaniano go w sali jadalnej — praktykowany tu sposób postępowania, który Hans Castorp na własną rękę nauczył się już przecież rozumieć, choć nie przywykł jeszcze do stosowania go w tak śmiałym stylu jak dawniejsi, bardziej od niego zasiedzieli tu kuracjusze. Takie etapy jak Święta Bożego Narodzenia zdawały się im stosownymi punktami oparcia i jakby przyrządami gimnastycznymi, które pozwalały im przeskakiwać, niby zwinną wołtyżerką, przez puste okresy czasu. Wszyscy mieli

gorączkę, ich przemiana materii była spotęgowana, ich życie cielesne wzmożone i przyśpieszone — z tym może ostatecznie pozostawało w związku, iż tak prędko i masowo konsumowali czas. Nie zdziwiłby się, gdyby uważali, iż Boże Narodzenie mają już za sobą, i gdyby od razu mówili o Nowym Roku i zapustach. Ale tak lekomyślnie i niestatecznie nie postępowano bynajmniej w sali jadalnej „Berghofu”. Zatrzymywano się przy Bożym Narodzeniu, które dawało powód do niejednej troski i do łamania sobie głowy. Naradzano się nad wspólnym prezentem, który zgodnie z istniejącą tradycją wręczyć miano w Wilię naczelnemu lekarzowi, radcy dworu Behrensowi, i w tym celu zainicjowano ogólną składkę. Poprzedniego roku podarowano mu kufer podróżny, jak informowali ci, którzy byli tu już dłużej niż rok. Tym razem była mowa o nowym stole operacyjnym, o sztalugach malarskich, o płaszczu futrzanym, o bujającym fotelu, o stetoskopie z kości słoniowej jakoś specjalnie inkrustowanej, a Settembrini, gdy go zapytano, zalecił podarowanie dzieła o charakterze encyklopedycznym, przygotowanego rzekomo do druku, a noszącego tytuł „Socjologia cierpienia”; wszelako propozycję jego poparł tylko pewien księgarz, który od niedawna siedział przy stole panny Kleefeld. Zgody nie udało się dotąd osiągnąć. Porozumienie z rosyjskimi gośćmi nastęczało trudności. Wśród gości podpisujących listę składkową nastąpił rozłam. Rosjanie oświadczyli, iż na własną rękę pragną obdarzyć Behrensa. Pani Stöhr zdradzała całymi dniami najwyższy niepokój z powodu pewnej kwoty, dziesięciu franków mianowicie, które w czasie zbiórki wyłożyła lekkomyślnie za panią Iltis, a które ta „zapomniała” jej zwrócić. „Zapomniała” o tym — intonacje, jakie pani Stöhr nadawała temu słowu, były wielokrotnie stopniowane i wszystkie miały świadczyć o najgłębszej niewierze w brak pamięci, urągający, jak się zdawało, wszelkim aluzjom i subtelnym sposobom przypominania, których pani Stöhr — jak zapewniała — nie szczędziła. Pani Stöhr rezygnowała kilkakrotnie i oświadczała, iż dług ten daruje pani Iltis. — Płacę więc za siebie i za nią — mówiła — dobrze, ale nie ja powinnam się wstydzić! — Lecz wreszcie znalazła wyjście, o którym ku ogólnej wesołości poinformowała towarzystwo przy stole: tych dziesięć franków kazała wypłacić sobie przez Zarząd i wstawić do rachunku pani Iltis, dzięki czemu opieszala dłużniczka przecież została wywiedziona w pole i tę przynajmniej sprawę załatwiono.

Śnieg przestał padać. Niebo rozjaśniło się, częściowo; spoza sinawych, rozstępujących się chmur wyzierało słońce nadając krajobrazowi niebieskawy odcień. Potem roz pogodziło się całkowicie. Panował przezroczysty mróz, czysty, niewzruszony przepych zimy w połowie listopada, a panorama spod łuków balkonu — przyprószone lasy, miękko wypełnione wąwozy, biała, skąpana w słońcu dolina pod niebiesko połyskującą kopułą nieba — była wspaniała. A pod wieczór, kiedy ukazywała

się okrągła niemal tarcza księżyca, przedziwny czas spływał na świat. Jak okiem sięgnąć drżały wokół krystalicznie skrzące się diamentowe błyski. W ostrej bieli i czerni stały lasy. Dalej od księżyca, na ciemniejącym firmamencie migotały gwiazdy. Ostre, wyraźne i intensywne cienie, które zdawały się bardziej rzeczywiste niż rzeczy same, padały od domostw, drzew i słupów telegraficznych na połyskliwą płaszczyznę. W kilka godzin po zachodzie słońca brał mróz siedmio- lub ośmiostopniowy. W lodową czystość zaklęty był świat, codzienny jego brud znikł i zakrzepł, pogrążony niby we śnie w okowach fantastycznego czaru śmierci.

Hans Castorp aż do późnej nocy pozostawał na swym balkonie ponad zimową, urzeczoną doliną (znacznie dłużej od Joachima, który o dziesiątej lub w każdym razie niewiele później udawał się na spoczynek). Doskonały jego leżak, przykryty trzema materacowymi poduszkami i zaopatrzony w wałek pod głowę, przysunięty był do drewnianej poręczy, na której leżała gruba warstwa śniegu; obok, na białym stolicku płonęła elektryczna lampa, a koło stosu książek stała szklanka tłustego mleka wieczornego; koło dziewiątej jeszcze przynoszono je do pokoju wszystkim mieszkańcom „Berghofu”, a Hans Castorp dodawał do niego łyk koniaku, by je uczynić smaczniejszym. Zastosował już wszelkie, jakimi tylko rozporządzał, środki ochronne przeciwko zimnu, cały skomplikowany aparat. Aż powyżej piersi tkwił w zapinanym na guziki worku futrzanym, który nabył zawczasu w odpowiednim magazynie Uzdrowiska, a wokół worka owinał przepisowo oba koce z sierści wielbłądziej. Ponadto wdział na zimowe ubranie swą kurtkę futrzaną, na głowę wełnianą czapkę, na nogach miał filcowe obuwie, a na rękach grubo watowane rękawiczki, które wszakże nie potrafiły zapobiec kostnieniu palców.

Do północy i dłużej (kiedy to para gorszych Rosjan od dawna już opuściła sąsiedni balkon), zatrzymywał go też poza pokojem niezawodnie czar nocy zimowej, zwłaszcza iż od godziny jedenastej wplatała się weń muzyka dolatująca aż tu z doliny, z bliska i z daleka — głównie jednak bezwład i podniecenie, jedno i drugie równocześnie: mianowicie bezwład i wzdrygające się przed ruchem znużenie ciała oraz niezmordowana ruchliwość ducha, pochłoniętego pewnymi nowymi i wielce interesującymi studiami, jakie zaprzętały w tym okresie młodzieńca. Zmiany pogody dawały mu się we znaki, mróz wyczerpywał i podkopywał jego organizm. Jadał wiele, korzystał z obfitych posiłków „Berghofu”, gdzie po garniowanym rosbefie następowały pieczone gęsi; spożywał to wszystko z tym nienormalnym apetytem, który był tutaj w ogóle, a w zimie, jak się okazywało, bardziej jeszcze niż w lecie, na porządku dziennym. Jednocześnie odczuwał teraz silną potrzebę snu, tak iż za dnia i w księżycowe wieczory zasypiał często nad książkami, które wertował (a które wyszczególnimy poniżej), aby po krótkim wyłączeniu świadomości konty-



nuować swe dociekania. Ożywione rozmowy — a skłaniał się tutaj bardziej niż niegdyś w dolinie do szybkiego, niepohamowanego, a nawet ryzykownego gadania — ożywione rozmowy z Joachimem podczas ich służbowych przechadzek po śniegu wyczerpywały go wielce; nawiedzały go zawroty głowy i dreszcze, uczucia odurzenia i upojenia, a głowa jego płonęła. Wykres jego temperatury wzniósł się od czasu nastania zimy, a radca dworu Behrens przebąkiwał coś o zastrzykach, które zwykł był stosować przy uporczywie trwającej podniesionej temperaturze, a którym dwie trzecie gości, nie wyłączając Joachima, regularnie musiało się poddawać. W pewnym związku zaś ze wzmożonym wytwarzaniem się ciepła — myślał Hans Castorp — pozostawało z pewnością owo podniecenie i ruchliwość umysłowa, które ze swej strony przykuwały go do leżaka w roziskrzoną od mrozu noc. Takie wyjaśnienie podsuwała mu pochłaniająca go lektura.

Niem mało czytano w leżalniach i na oddzielnych balkonach Międzynarodowego Sanatorium „Berghof” — uprawiali to zwłaszcza początkujący i krótkoterminowi; ci bowiem, co przebywali tu od wielu miesięcy lub tym bardziej lat, nauczyli się od dawna spędzać czas także bez pomocy rozrywek i zajęć umysłowych i umieli zabijać go mocą wewnętrznego wirtuozostwa, a uciekanie się w tym celu do książek nazywali nawet nieudolnością i partactwem. Ostatecznie, niechby już jedna jakaś książka leżała na kolanach lub na stoliczku, pod ręką — wystarcza to całkowicie, aby czuć się zaopatrzonym. Biblioteka zakładowa, wielojęzyczna i obfitująca w dzieła ilustrowane, rozszerzony zbiór lekkiej lektury, pochodzący z pewnej poczekalni dentystycznej, oddana była pacjentom do dyspozycji. Wypożyczano sobie nawzajem powieści z czytelni Uzdrowiska. Od czasu do czasu pojawiała się książka lub broszura, którą sobie wrywano, po którą także ci, którzy już nie czytali, wyciągali ręce z udanym tylko spokojem. W chwili, do której doszliśmy, z ręki do ręki przechodziła nędznie wydana broszurka, którą dostarczył pan Albin, a która nosiła tytuł *Sztuka uwodzenia*. Była ona dosłownym tłumaczeniem z francuskiego, zachowała nawet składnię tego języka, dzięki czemu wykład zyskał wiele na dobrym tonie i pikantnej elegancji — a rozwijała filozofię miłości i rozkoszy cielesnej w duchu światowej i pogańskiej radości życia. Pani Stöhr przeczytała tę broszurę jedna z pierwszych i uznała jej lekturę za „upajającą”. Pani Magnus, ta sama, która traciła białko, podzielała jej zdanie bez zastrzeżeń. Jej mąż, piwowar, niejedną, jak twierdził, wyniósł korzyść z tej książeczki, żałował jednak, iż pani Magnus zapoznała się z nią, gdyż tego rodzaju rzeczy „rozpieszczają” kobiety i wpajają im nieskromne pojęcia. Orzeczenie to niemało wzmogło popyt na książkę. Pomiędzy dwiema damami z ogrodowej leżalni, przybyłymi w październiku, panią Redisch, małżonką polskiego przemysłowca, a niejaką panią Hessenfeld, wdową

z Berlina, z których każda utrzymywała, iż ona pierwsza zastrzegła sobie lekturę *Sztuki uwodzenia*, doszło po obiedzie do bardziej niż niestosownej, a nawet wręcz gwałtownej sceny, której Hans Castorp wysłuchać musiał ze swego balkonu; skończyło się na histerycznych spazmach jednej z dwu dam — mogła nią być pani Redisch, ale równie dobrze pani Hessenfeld — i odstawieniu rozjuszzonej kuracjuszki do jej pokoju. Młodzież wcześniej zawładnęła traktatem niż dojrzałe roczniki. Niekiedy zagłębiała się weń wspólnie po kolacji, w różnych pokojach. Hans Castorp zauważył, jak chłopak z paznokciem o kształcie szufelki wręczył go świeżo przybyłej, niezbyt poważnie chorej jasnej blondynce, Franeczce Oberdank, młodziutkiej panience z dobrego domu, którą matka dopiero co przywiozła była na górę.

Istniały, być może, wyjątki, może byli tacy, którzy godziny obowiązującego leżenia wypełniali jakimś poważnym umysłowym zajęciem, jakimiś choć w pewnej mierze celowymi studiami, już choćby dlatego, aby w ten sposób zachować łączność z życiem na równinie lub aby przydać czasowi nieco wagi i głębi, iżby nie był on tylko czystym czasem i niczym poza tym. Być może, poza panem Settembrinim, z jego usiłowaniami wyplenienia cierpień, oraz poza zacnym Joachimem, z jego rosyjskimi podręcznikami, ten i ów starał się o to — jeśli nie spośród gości z sali jadalnej, co w samej rzeczy było nieprawdopodobne, to może właśnie spośród obłożnie chorych i skazanych na śmierć — Hans Castorp gotów był w to wierzyć. Co się tyczy jego samego, ponieważ *Ocean steamships* przestały go interesować, polecił przesłać sobie z domu tu na górę wraz z ekwipunkiem na zimę także kilka odnoszących się do jego zawodu książek naukowych z zakresu inżynierii oraz techniki budowania okrętów. Dzieła te jednakże leżały zaniedbane, ustępując miejsca innym książkom, zupełnie odmiennego rodzaju i charakteru, których tematem zainteresował się młody Hans Castorp. Były to podręczniki anatomii, fizjologii i biologii, pisane w różnych językach, po niemiecku, francusku i angielsku; przesłał mu je pewnego dnia miejscowy księgarz, najwidoczniej dlatego, że je u niego zamówił, i to na własną rękę, w sekrecie, przy sposobności pewnej przechadzki, którą odbył na dół, do Uzdrowiska, bez kuzyna (Joachimowi wyznaczono właśnie zastrzyk czy też ważenie). Nie bez, zdziwienia książki te ujrzał Joachim w ręku Hansa Castorpa. Były one drogie, jak bywają dzieła naukowe; ceny uwidocznione były jeszcze na zewnętrznej stronie okładek oraz na obwolutach. Zapytał, czemu kuzyn, skoro już zależało mu na przeczytaniu czegoś podobnego, nie pożyczył ich sobie od radcy Behrensa, który literaturę tę posiada z pewnością w należywym wyborze. Lecz Hans Castorp odrzekł, iż pragnie je mieć na własność: całkiem inaczej bowiem się czyta, kiedy się książkę samemu posiada; lubi zresztą czytać z ołówkiem w ręku i zakre-

ślać. Całymi godzinami dochodził Joachima z sąsiedniego balkonu szelest rozcinanych kartek.

Tomy były ciężkie, nieporęczne; Hans Castorp leżąc opierał je dolnym brzegiem o pierś, o żołądek. Gniotły go, ale nie zwracał na to uwagi; z na wpół otwartymi ustami, z góry do dołu wodził wzrokiem pouczonych stronicach, prawie niepotrzebnie oświetlonych czerwonym blaskiem lampki osłoniętej abażurem, gdyż i tak byłyby od biedy czytelne w silnym świetle księżycy — wodził oczyma, aż podbródek opadał mu na piersi: pozycja, w której czytający, zanim wzniosł twarz ku następnej stronie, pozostawał przez chwilę zamyślony, drzemał lub pogrążał się w półśnie. Wnikał głęboko, czytał, podczas gdy księżyc posuwał się swym odmierzoną szlakiem ponad krystalicznie iskrzącą się wysokogórską doliną — czytał o zorganizowanej materii, o właściwościach protoplazmy, o wrażliwej substancji trwającej w dziwnym zawieszeniu między stawianiem się a rozkładem oraz o kształtowaniu się jej z zaczątkowych, ale wciąż istniejących form zasadniczych, czytał z olbrzymim zainteresowaniem o życiu i jego świętej a nieczystej tajemnicy.

Czymże jest życie? Tego nie wiadomo. Jest świadome siebie, niewątpliwie, skoro tylko staje się życiem, ale nie wie, czym jest. Świadomość, jako wrażliwość na podniety, budzi się, z pewnością, w pewnej mierze już na najniższych, najbardziej zaczątkowych szczeblach pojawienia się życia; niepodobna jednak umiejscowić pierwszego wystąpienia świadomych procesów w jakimkolwiek punkcie jego ogólnych lub osobniczych dziejów, niepodobna uwarunkować świadomości obecnością systemu nerwowego. Najniższe formy zwierzęce nie mają nie tylko mózgu, ale nawet systemu nerwowego, a jednak nikt nie ośmieliłby się odmówić im zdolności odczuwania bodźców. Ponadto można znieczulić życie, samo życie, a nie tylko specjalne narządy pobudliwości, które ono wytwarza, nie tylko nerwy. Można zawiesić na pewien czas pobudliwość każdej życiem obdarzonej substancji, zarówno w państwie roślinnym, jak w zwierzęcym, można usypiać jajniki i plemniki za pomocą chloroformu, wodnika chloralu lub morfiny. Świadomość własnego istnienia jest więc po prostu funkcją materii zorganizowanej do życia, a spotęgowana nieco funkcja ta zwraca się przeciw własnemu swemu podmiotowi, staje się usiłowaniem zgłębienia i wyjaśnienia zjawiska, które sama wytwarza, pełnym nadziei a zarazem beznadziejnym dążeniem życia do poznania samego siebie, zatopieniem się natury w siebie samą — usiłowaniem i dążeniem ostatecznie przecież daremnym, gdyż natura nie zdoła rozplątać się w poznaniu ani życie całkowicie samo siebie podpartzyć.

Czymże więc jest życie? Nikt tego nie wiedział. Nikt nie znał tego punktu,

w którym powstaje i rozpala się. Nie ma nic nie zbadanego lub choćby źle zbadanego w dziedzinie życia, od tego punktu począwszy; ale życie samo wydaje się czymś nie do zbadania. Jeżeli można o tym cokolwiek powiedzieć, to chyba to, że struktura jego jest widocznie tak skomplikowana, iż w świecie nieożywionym nie napotyka się nic, co by ją w przybliżeniu choćby przypominało. Różnica pomiędzy amebą a zwierzęciem kręgowym jest nieznaczna, nieistotna w porównaniu z różnicą, jaka istnieje między najprostszym zjawiskiem życia a ową naturą, która nie zasługuje nawet na miano martwej, gdyż jest nieorganiczna. Śmierć bowiem jest tylko logicznym zaprzeczeniem życia, między życiem natomiast a nieożywioną naturą zieje przepaść, ponad którą na próżno usiłuje się przerzucić pomost. Mozolono się, aby zapełnić ją za pomocą teoryj, które pochłania, nie tracąc nic na głębi ani na rozwartości. Aby znaleźć ogniwo pośrednie, musiano sięgnąć do niedorzecznej supozycji, iż istnieje substancja życiowa pozbawiona struktury, iż istnieją niezorganizowane organizmy, które w roztworze białka same z siebie zawiązują się, jak kryształy w roztworze macierzystym — kiedy przecież w rzeczywistości różnicowanie organiczne jest zarówno wstępnym warunkiem, jak i objawem wszelkiego życia i kiedy niepodobna wymienić żadnego stworzenia, które by istnienia swego nie zawdzięczało spłodzeniu przez rodziców. Wyłowienie prairi z największych głębin morza, powitane z fanfarami triumfu, zakończyło się fiaskiem. Okazało się, że osady kredowe wzięto za protoplazmę. Aby nie być jednak zmuszonym do zatrzymania się przed cudem — gdyż życie powstające spontanicznie z tych samych pierwiastków, w które się potem, analogicznie do procesów zachodzących w materii nieorganicznej, rozpada, byłoby cudem — było się niemniej zniewolonym do uwierzenia w prarództwo, to znaczy w powstanie świata organicznego z nieorganicznego, co zresztą także byłoby cudem. I tak nie przestawano wynajdować stopni pośrednich i przejść, przyjmowano istnienie organizmów niżej stojących niżli wszystkie znane, których poprzednikami były z kolei jeszcze pierwotniejsze próby przyrody w dziedzinie życia, praorganizmy, których nikt nigdy nie ujrzy, gdyż znajdują się one poniżej progu mikroskopowej dostrzegalności, i przed których hipotetycznym powstaniem musiała się dokonać synteza związków białkowych...

Czymże tedy jest życie? Jest ciepłem, wytworem cieplnym czegoś, co utrzymuje formę, choć samo jej nie ma, jest gorączką materii towarzyszącą procesowi bezustannego rozkładu i odradzania się drobin białka, tak skomplikowanych i tak kunsztownie skonstruowanych, że aż nietrwałych i nie dających się utrzymać. Jest istnieniem tego, co właściwie nie może istnieć, co w słodkiej męce chwieje się tylko między bytem a niebytem podczas zawikłanego i gorączkowego procesu rozpadu i wiecznego stawania się. Nie jest materialne, i nie jest z ducha. Jest czymś pośred-

nim, jest zjawiskiem uwarunkowanym przez materię, niby tęcza na wodospadzie, niby płomień. Ale choć niematerialne, jest zmysłowe, aż do rozkoszy i obrzydzenia, jest bezwstydem materii, która uzyskała wrażliwość na samą siebie i na bodźce z zewnątrz, jest wyuzdaną formą istnienia. Jest sekretnie wyczuwalną ruchliwością w dziewiczym chłodzie wszechbytu, lubieżnie skrytym niechlujstwem przyswajania i wydalania, tchnieniem wydzielającym na zewnątrz dwutlenek węgla i cuchnące substancje utajonego pochodzenia i nieznannej jakości. Jest w przyrodzone prawa powstawania ujętym bujaniem, rozwojem i przyjmowaniem kształtów przez coś napęczniałego, co składa się z wody, białka, soli i tłuszczów; zwie się je mięsem, a staje się ono formą, pięknem — a przy tym samą istotą zmysłowości i żądy. Gdyż forma i piękno nie są formą i pięknem ducha, jak w dziełach poezji i muzyki, ani formą i pięknem neutralnej materii, która przejęła się duchem i uzmysławia go w sposób niewinny w dziełach sztuk plastycznych. Są formą i pięknem zrodzonym i ukształtowanym przez substancję, w niewiadomy sposób do rozkoszy budzoną, organiczną substancję, gnijącą i trwającą materię, przez cuchnące mięso...

Młodemu Hansowi Castorpowi, który ponad skrzącą się doliną spoczywał w swym własnym ciepłe cielesnym, chronionym przez futro i wełnę, ukazywał się w mroźnej nocy, rozświetlonej blaskiem martwego ciała niebieskiego, obraz życia. Zwidziało mu się, kędyś w przestrzeni, dalekie, a jednak zmysłom uchwytne, mięsiste ciało, matowobiaławe, parujące, kleiste, pokryte skórą w całej nieczystości i ułomności jej istoty, z plamami, brodawkami, zażółceniami, pęknięciami i miejscami ziarnistymi i łuszczącymi się, z delikatnymi smugami i skrętami szczątkowego meszku. Odcinając się od zimnego nieożywionego świata, we mgle swych oparów, gnuśnie, z głową uwieńczoną czymś chłodnym, zrogowaciałym, ubarwionym, co było wytworem jego skóry, splatało dłonie na karku i spod przymkniętych powiek spoglądało na niego oczami, którym pewna anomalia w ukształtowaniu skóry powiek nadawała pozór skośnych, z wpółrozwartymi, nieco wywiniętymi wargami — spoczywając na jednej nodze, tak iż kość biodrowa silnie się uwydatniała, podczas gdy stopa luźno ustawionej nogi opierała się na koniuszkach palców, a jej kolano, lekko w bok wygięte, przywarło do wewnętrznej strony tamtej, dźwigającej cały ciężar, nogi. Stało tak, obrócone powabnie w uśmiechu, z lśniącymi łokciami wysuniętymi ku przodowi, w parzystej symetrii swych członków, swych znamion cielesnych. Ostro woniejącej ciemności pach odpowiadał w mitycznym trójkącie mrok łona, podobnie jak oczom odpowiadał czerwony nabłonek otwartych ust, czerwonemu kwiatowi piersi — prostopadle wzdłuż rozciągnięty pępek. Pod wpływem impulsów ze strony narządu centralnego i wychodzących z rdzenia nerwów ruchowych poruszał się brzuch i klatka piersiowa, jama opłucnej i otrzewnej

wydymała się i kurczyła, tchnienie ogrzane i zwilżone przez błony śluzowe dróg oddechowych, nasycone wydaliniami, wypływało spomiędzy warg związawszy uprzednio w płucach swój tlen z hemoglobina krwi, aby umożliwić oddychanie wewnętrzne. Hans Castorp pojmował bowiem, iż to żywe ciało z tajemniczą harmonią swych członków, odżywianych przez krew, oplecionych rozgałęzieniami nerwów, żył, tętnic — członków przepojonych limfą, z wewnętrznym rusztowaniem wydrążonych, tłustym szpikiem wypełnionych kości, kości płaskich kręgowych, w które substancja podporowa, tkanka galaretowata, zakrzepła dzięki solom wapniowym i substancjom kleistym, aby dźwignąć owo ciało wzwyż; ciało z torebkami i oślizłymi od smarów jamami, więzadłami i chrząstkami stawów, z więcej niż dwustu mięśniami, z centralnie umieszczonymi narządami odżywiania się, oddychania, przejmowania i wysyłania bodźców, z powłokami ochronnymi, jamami surowiczymi, z obficie wydzielającymi gruczołami, z aparatem rur i szczelin swego zawiłego, otworami na zewnątrz uchodzącego wnętrza — pojmował, iż to „ja” jest jednostką życiową wysokiego rzędu, bynajmniej już nie z rodzaju owych najprostszych tworów, które całą powierzchnią swego ciała oddychają, odżywiają się, a nawet myślą; iż składa się z niezliczonego mnóstwa takich maleńkich układów, które powstały z jednego jedyne, powieliły się dzięki wciąż powtarzającemu się podziałowi, zorganizowały się w przeróżne związki, objęły różne funkcje, wykształciły się celowo i wydały z siebie formy, które były warunkiem oraz następstwem ich wzrastania.

Ciało, które mu się majaczyło, ta istota indywidualna i żywe „ja”, jest zatem olbrzymią wielością oddychających i odżywiających się osobników, które, na skutek organicznego zaszeregowania i celowej specjalizacji, w tak znacznym stopniu utraciły byt indywidualny, swobodę i życiową bezpośredniość, tak bardzo przeobraziły się w elementy anatomiczne, iż działanie niektórych z nich ogranicza się wyłącznie do wrażliwości na światło, dźwięk, dotyk, ciepło, a inne mogą jeszcze tylko zmieniać swój kształt przez skurcz lub wytwarzać soki trawienne; inne znów wydoskonalone są jednostronnie i zdolne wyłącznie do obrony i ochrony, do przesyłania soków lub rozmnażania się.

Istnieją rozluźnienia tej wielkości organicznej zjednoczonej w skomplikowanym osobniku, wypadki, w których wielka liczba indywiduów niższego rzędu zespolona jest w jedność życiową wyższego rzędu w sposób luźny tylko i wątpliwy. Studiujący zastanawiał się nad zjawiskiem kolonii komórek, dowiadywał się o istnieniu półorganizmów, glonów, których poszczególne komórki, otulone tylko powłoką galaretowatą, często znajdują się z dala od siebie, stanowiąc bądź co bądź twory wielokomórkowe, które jednak, zapytane o zdanie, nie potrafiłyby orzec, czy mają

być uznane za kolonię jednokomórkowych osobników, czy też za jedną istotę złożoną, i w odpowiedzi swej wahałyby się dziwnie między słowami: „ja” i „my”. Przyroda ukazuje tutaj stan pośredni między społecznie wysoko rozwiniętym zespoleniem niezliczonej ilości pierwotnych osobników w tkanki i narządy nadrzędnej indywidualności — a swobodną indywidualną egzystencją tych najprostszych twórców: wielokomórkowy organizm jest tylko pewną formą zewnętrzną cyklicznie zamykającego się procesu, w którym rozgrywa się życie, a który przebiega od jednego aktu płodzenia do drugiego. Akt zapłodnienia, zespolenie się płciowe dwóch komórek, jest początkiem każdego złożonego z wielości osobnika, podobnie jak jest początkiem każdego łańcucha pokoleń indywidualnie żyjących istot elementarnych i prowadzi znowu do siebie samego. Działanie bowiem tego aktu trwa przez wiele generacji, którym, dzięki wciąż powtarzającemu się podziałowi, nie jest on potrzebny do rozmnażania się, aż znowu nadchodzi chwila, kiedy bezpłciowo spłodzeni potomkowie odczuwają potrzebę ponownej kopulacji, i krąg się zamyka. Tu więc życie, wynikłe z zespolenia się jąder dwóch komórek rodzicielskich, jest współżyciem wielu bezpłciowo powstałych pokoleń komórek; ich wzrastanie jest ich mnożeniem się, a krąg płodzenia jest zamknięty, kiedy komórki płciowe, przeznaczone do specjalnego celu rozmnażania się, powstają w nim na nowo i znajdują drogę do wzniecającego życie połączenia się.

Z wielkim tomem embriologii, wspartym na piersi, śledził nasz młody poszukiwacz przygód rozwój organizmu, począwszy od tej chwili, w której plemnik, jeden z wielu, i to ten najpierwszy, poganiający się biczykowatymi ruchami swego odwłoku, koniuszkiem głowy uderza i wwierca się w galaretowatą powłokę jaja, którą protoplazma otoczki jaja ku niemu wypukła. Niepodobna wymyślić takiego dziwolągu i cudactwa, którym natura wzgardziłaby w swej dążności do urozmaicenia tego stałego procesu. Istnieją zwierzęta, u których samczyk pasożytuje w trzewiach samiczki. Istnieją inne, u których ramię zapładniającego sięga przez przełyk do wnętrza zapładnianej, by tam złożyć nasienie, po czym, odgryzione i wyplute, samodzielnie umyka na palcach, ku dezorientacji wiedzy, która sądziła przez czas dłuższy, iż winna je pod uczoną grecko-łacińską nazwą uważać za samodzielną istotę. Hans Castorp przysłuchiwał się kłótniom szkół uczonych: owistów i animalistów; pierwsi z nich utrzymywali, że jajo jest skończoną w sobie małą żabą, psem albo człowiekiem, a nasienie tylko pobudza jego wzrastanie, podczas gdy drudzy upatrywali w plemniku, posiadającym głowę, ramiona i nogi, uformowanego już przed właściwym istnieniem osobnika, któremu jajo służy tylko jako podłoże jego rozwoju; aż wreszcie zgodzono się na przyznanie jednakowo ważnej roli zarówno komórce jajowej, jak i nasiennej, które obie powstały z nie dających się

pierwotnie rozróżnić komórek rozrodczych. Widział, jak jednokomórkowy organizm zapłodnionego jaja przeobraża się stopniowo w wielokomórkowy, bruzdkując i dzieląc się; widział, jak ciała komórek spajają się w blaszkę przyszłej błony śluzowej, jak pęcherz zarodkowy wpukla się do wnętrza i tworzy jakby kubek oraz pustą przestrzeń, które rozpoczynają funkcję przyjmowania pokarmu i trawienia. To był zawiązek jelita, prazwierzę, gastrula, podstawowa forma wszelkiego zwierzęcego życia, praforma piękna tkwiącego w ciele. Jej oba listki nabłonkowe, wewnętrzny i zewnętrzny, skórno-zmysłowy i jelitowo-gruczołowy, okazały się narządami pierwotnymi, z których przez wpuklanie i wypuklanie się powstają gruczoły, tkanki, narządy zmysłowe, kończyny. Pasma zewnętrznego listka zarodkowego grubieje, fałduje się w rowek, zamyka się w cewę nerwową i staje się kręgosłupem, mózgiem. I, podobnie jak galareta płodowa, przeobraża się w tkankę łączną, włóknistą, w chrząstki, dzięki temu, że galaretowate komórki zamiast mucyny wydzielając zaczynają kleistą substancję. Widział też, jak gdzieś tam komórki tkanki łącznej poczynają z opływających je soków wysysać sole wapniowe oraz tłuszcze i przemieniać się w kość. Embrion ludzki kulił się, zwinięty w sobie, ogoniasty, nie różniący się niczym od zarodka świni, z olbrzymią szypułą brzuszną i niekształtnymi kikutami kończyn, z maską twarzy pochyloną na wzdęty kałdun, a jego rozwój wydawał się nauce, operującej niepochlebny i posępny pojęciem prawdy, pośpiesznym powtórzeniem zoologicznych dziejów gatunku. Przez czas jakiś posiadał ów embrion kieszonki skrzelowe, jak drapieżna raja. Sądzono, że wolno lub trzeba wnosić z okresów rozwoju, przez które przechodzi, o mało ludzkim wyglądzie, jaki przedstawiał dojrzały człowiek w czasach przedhistorycznych. Skóra jego wyposażona być miała w drgające mięśnie, w celu obrony przed owadami, i gęsto owłosiona, rozmiary błony śluzowej nosa były potężne, a odstające uszy — ruchome; brały one żywy udział w mimice i posiadały większą zdolność chwytania głosu niżli obecnie. W owym czasie oczy jego, chronione przez trzecią powiekę, znajdowały się po bokach głowy, z wyjątkiem trzeciego oka, którego szczątkiem jest gruczoł zwany szyszynką, a które mogło ogarniać górne przestwory. Człowiek ten posiadał poza tym bardzo długi przewód pokarmowy, wielką ilość zębów trzonowych i szczególną konstrukcję krtani, umożliwiającą mu wycie; jego męskie gruczoły płciowe ukryte były we wnętrzu jamy brzusznej.

Anatomia odzierała ze skóry i preparowała dla naszego badacza członki ciała ludzkiego, ukazywała mu jego powierzchowne oraz głęboko ukryte mięśnie, ścięgna i więzadła ud, stóp, a zwłaszcza ramion i przedramion, uczyła go ich łacińskich nazw, którymi medycyna, owa przepojona duchem humanistycznym nauka, w sposób wytworny i elegancki ponazywała je i rozróżniła. W ten sposób przeniknął aż



do szkieletu, a jego struktura odsłoniła nowe punkty widzenia, które ukazywały jedność wszystkiego, co ludzkie, i zespolenie wszystkich dyscyplin w tej jedności. Gdy tutaj w najdziwniejszy sposób przypominał się Castorpowi jego właściwy — czy też rzecz trzeba: uprzedni zawód, ów stopień naukowy, który wymieniał, gdy przybywszy tu na górę, przedstawiał się nowym znajomym (panu drowi Krokowskiemu, panu Settembriniemu). Aby wyuczyć się czegoś — było właściwie dość obojętne, czego — nauczył się po rozmaitych wszechnicach tego i owego o statyce, o elastycznych podporach, o obciążeniu i o konstrukcji jako pożytecznym wyzyskaniu mechanicznego materiału. Dziecinne byłoby zapewne mniemanie, iż nauki technologiczne, reguły mechaniki znajdują zastosowanie w przyrodzie organicznej, ale w równej mierze niepodobna było stwierdzić, iż zostały z niej wyprowadzone. Przyroda powtarzała je po prostu i potwierdzała. Zasada wydrążonego walca do tego stopnia panowała w budowie kości długich, iż minimum stałej substancji zaspokajało prawa statyki. Ciało — jak wyuczył się Hans Castorp — które spojone jest wyłącznie z drążków i wiązań nadającego się do tego celu materiału, aby stawić opór ciągnieniu i ciśnieniu, może znieść to samo obciążenie co ciało masywne z tej samej substancji. To samo zjawisko występuje przy powstawaniu pustych kości; w miarę zawiązywania się substancji litej na ich powierzchni, wewnętrzne części, stając się z punktu widzenia mechaniki bezużyteczne, przeobrażają się w tkankę tłuszczową, w żółty szpik. Kość udowa jest dźwignią, a w jej konstrukcji przyroda organiczna wykonała — przez kierunek, jaki nadała beleczkom kostnym — z największą precyzją te same krzywe ciągnięć i ciśnień, które Hans Castorp musiałby wykreślić, gdyby miał w sposób poprawny przedstawić graficznie przyrząd spełniający tak trudne zadanie. Stwierdzał to z zadowoleniem, bo czuł, iż do uda, czy też do organicznej przyrody w ogóle, pozostaje teraz już w trojakim stosunku: lirycznym, medycznym oraz technicznym — tak bardzo przejmował się tym Hans Castorp; a te trzy stosunki, jak sądził, są w człowieku zespolone w jedno, są odmianami jednej i tej samej dojmującej potrzeby, są fakultetami nauki o człowieku...

Mimo to wszystko, działanie protoplazmy pozostaje zupełnie niewytłumaczone, zrozumienie siebie samego jest czymś niedostępnym dla życia. Większość biochemicznych procesów nie tylko jest nieznaną, lecz z samej ich istoty wynika, iż muszą pozostać nie zbadane. O budowie, o składnikach jednostki życiowej, zwanej „komórką”, nauka nie wie nic prawie. Na cóż się zda wyliczać składniki martwego mięśnia? Mięśnia żyjącego niepodobna badać chemicznie; już te zmiany, które wywołuje stężenie pośmiertne, starczą, by wszelkie eksperymentowanie uczynić bezprzedmiotowym. Nikt nie rozumie, na czym polega przemiana materii ani co jest

istotą czynności nerwowych. Jakim to właściwościami zawdzięczają ciała spożywane swój smak? Na czym polega różnorodność sposobów, w jakie substancje wonne pobudzają pewne narządy zmysłowe? Na czym w ogóle polega samo wydawanie woni? Specyficzny odór zwierząt i ludzi powstaje dzięki parowaniu substancji, których nikt nie potrafiłby nazwać. Skład chemiczny wydalinę zwanej potem nie jest wyjaśniony w sposób wystarczający. Gruczoły wydzielające go wytwarzają aromaty, które wśród ssaków odgrywają bez wątpienia poważną rolę, ale których znaczenie u człowieka jest nieznane. Fizjologiczna funkcja niezawodnie ważnych części ciała jest okryta ciemnością. Można pominąć ślepą kishkę, która jest tajemnicą; u królika jest ona stale wypełniona papkowatą treścią, o której nie można orzec, w jaki sposób mogłaby wydostać się na zewnątrz lub odnowić się. Ale jakże przedstawia się sprawa z białą i szarą substancją mózgu, jak ze wzgórkami wzrokowym, który łączy się z nerwem ocznym, i z szarymi jądrami „mostu”? Substancja mózgu i rdzenia kręgowego ulega tak szybko rozkładowi, iż trzeba wyrzec się nadziei, by zdołano kiedykolwiek zgłębić jej budowę. Co zawieszka czynności kory mózgowej podczas zasypiania? Co staje na przeszkodzie samotrawieniu się żołądka, które w samej rzeczy następuje niekiedy po śmierci? Odpowiadano: życie, specjalna odporność żyjącej protoplazmy — i udawano, jakoby się nie dostrzegało mistycyzmu tego wyjaśnienia. Teoria tak codziennego zjawiska jak gorączka jest pełna sprzeczności. Wzmoczona przemiana materii ma za sobą pociągać zwiększoną produkcję ciepła. Ale czemu nie wzmaga się wobec tego kompensacyjnie, jak w innych wypadkach, wydalanie ciepła? Czy sparaliżowanie sekrecji potu polega na stanach skurczowych skóry? Ale dają się one stwierdzić tylko podczas dreszczy w gorączce, gdyż poza tym skóra jest raczej gorąca. „Nakłucie cieplne” każe szukać przyczyn zarówno wzmoczonej przemiany, jak i właściwości skóry w centralnym układzie nerwowym, ale nie umiając określić, na czym one polegają, nauka zadowalała się nadaniem im miana nienormalnych.

Cóż jednak znaczy cała ta niewiedza w porównaniu z bezradnością, z jaką staje się przed zjawiskami takimi jak pamięć lub owa głębiej sięgająca i bardziej zdumiewająca pamięć, która się nazywa dziedziczeniem cech nabytych. Niepodobna sobie nawet wyobrazić mechanistycznego wyjaśnienia tego rodzaju czynności substancji komórkowej. Komórka nasienna, która przenosi na jajo nieprzeliczone i skomplikowane właściwości gatunku i osobnicze cechy ojca, widoczna jest tylko pod mikroskopem, i nawet najsilniejsze powiększenie nie wystarcza, by ukazać ją inaczej niż ciało jednorodne i pozwolić stwierdzić jej pochodzenie; u wszystkich bowiem zwierząt wygląda tak samo. Fakty te zmuszają do przypuszczenia, że nie inaczej ma się sprawa z komórką niż z ciałem wyższego rzędu przez nią kształtowanym; że więc

i ona jest już wysoce złożonym organizmem, który z kolei sam znowu składa się z żywych ciał, z indywidualnych jednostek życiowych. Postępuje się tedy od rzekomo najmniejszego ku jeszcze mniejszemu, z konieczności rozkłada się to, co pierwotne, na jeszcze drobniejsze elementy. Rzecz niewątpliwa, iż podobnie jak państwo zwierzęce składa się z różnych odmian zwierząt, a organizm zwierzęcy i ludzki z całego zwierzęcego państwa odmian komórkowych, tak też społeczeństwo komórki składa się z nowego i różnorodnego państwa zwierzęcego pierwotnych jednostek życiowych, których wielkość leży głęboko poniżej progu widzialności mikroskopowej; wzrastają one samorzutnie — samorzutnie z punktu widzenia prawa, iż każda może zrodzić tylko podobną sobie — rozmnażają się i, w myśl zasady podziału pracy, wspólnie służą wyższemu z kolei porządkowi życia.

Są to geny, bioblasty, biofory — Hans Castorp rad był w mroźną noc poznać je po imieniu. Podniecenie kazało mu tylko pytać, jak by też miała się sprawa z ich elementarnością pod jeszcze doskonalszym mikroskopem. Skoro wytwarzają życie, muszą być zorganizowane, gdyż życie polega na organizacji; ale jeśli są zorganizowane, nie mogą być pierwotne, gdyż organizm nie jest pierwotny: jest złożony. Są jednostkami życiowymi niższego rzędu aniżeli życiowa jednostka komórki, którą organicznie tworzą. Ale jeśli istotnie tak się rzecz ma, muszą być same „zbudowane”, chociaż są małe ponad wszelkie pojęcie, i to „zbudowane” organicznie, jako składniki pewnego układu życiowego; gdyż pojęcie jednostki życiowej jest identyczne z pojęciem składania się z jednostek życiowych mniejszych, niższego rzędu, to znaczy uporządkowanych dla celów wyższego życia. Dopóki podział daje w wyniku organiczne jednostki, które posiadają właściwości życiowe, a mianowicie zdolność asymilowania, wzrastania i rozmnażania się, niepodobna ustanowić dlań granic. Dopóki mowa o jednostkach życiowych, można tylko bezprawnie mówić o jednostkach pierwotnych, gdyż pojęciu jednostki towarzyszy ad infinitum pojęcie kształtującej jednostki niższego rzędu, a życie pierwotne, zatem coś, co jest już życiem, ale jest jeszcze pierwotne — nie istnieje.

Ale mimo logicznej niemożliwości istnienia, coś podobnego musi ostatecznie w jakiś sposób być rzeczywiste, gdyż koncepcja pranarodzin, to znaczy: powstania życia z czegoś nieżyjącego, nie daje się przecież odeprzeć, a owa przepaść, którą nadmiernie usiłowano zapełnić w zewnętrznej przyrodzie, mianowicie przepaść między przyrodą ożywioną a martwą, musi jednak pozwolić się w jakiś sposób zapełnić lub wyrównać w obrębie przyrody organicznej. Kiedyś przecież podział doprowadzić musi do „jednostek”, które złożone, ale jeszcze nie zorganizowane, pośredniczyłyby między życiem a nieżyciem, do ugrupowania drobin tworzącego przejście między żywym organizmem a czystą chemią. Atoli dotarłszy do chemicz-

nej drobiny znaleziono się oto w pobliżu otchłani, która rozwiera się o wiele bardziej tajemniczo niż otchłań między przyrodą organiczną a nieorganiczną: w pobliżu przepaści między tym, co materialne, a tym, co niematerialne. Drobiną bowiem złożoną jest przecież z atomów, a rozmiary atomu w przybliżeniu nawet nie są dość duże, by można go było nazwać choćby tylko niezmiernie małym. Jest on do tego stopnia mały, jest tak drobnym, wczesnym i przejściowym skupieniem niematerialności, tego, co jeszcze nie jest materią, ale jest już podobne do materii, słowem, do energii, iż winien być pomyślany jako ledwo już albo zaledwie jeszcze materialny, raczej jako środek i punkt graniczny między tym, co materialne, a tym, co niematerialne. Narzuca się tu zagadnienie innych pranarodzin, znacznie bardziej zagadkowych i fantastyczniejszych jeszcze od organicznych: pranarodzin materii z tego, co niematerialne. W samej rzeczy przepaść między materią a niematerią domaga się równią gwałtownie, nawet gwałtowniej jeszcze wypełnienia aniżeli tamta między organiczną a nieorganiczną przyrodą. Musi istnieć jakowaś chemia niematerialności, jakieś związki niematerialne, z których materia bierze swój początek, podobnie jak organizmy powstają ze związków nieorganicznych; praorganizmami i monerami\* materii są zapewne atomy — materialne z istoty swej, ale zarazem jeszcze niematerialne. Ale kiedy dociera się do tego, co „nawet nie jest już małe”, wówczas miara wymyka się z rąk; „nawet już nie małe” znaczy już tyleż, co „beźmiernie wielkie”; a droga wiodąca ku atomowi okazała się bez przesady w najwyższym stopniu niebezpieczną. Gdy w chwili, w której dokonuje się ostatecznego podziału i rozdrobnienia materii, odkrywa się nagle przed oczyma wszechświat astronomiczny!

Atom jest układem kosmicznym naładowanym energią, w którym ciała planetarne wirują zaciekle wokół jakiegoś ciała centralnego podobnego słońcu i przez którego przestrzeń, wypełnioną eterem, pędzą z szybkością lat świetlnych komety, wtłaczane siłą ciała centralnego w swe ekscentryczne orbity. Nie jest to tylko porównaniem, podobnie jak nie jest nim nazwanie ciała tworów wielokomórkowych „państwem komórek”. Miasto, państwo, wedle zasady podziału pracy uporządkowana społeczność jest nie tylko czymś, co daje się przyrównać do życia organicznego, lecz czymś, co je powtarza. Tak to powtarza się w najgłębszym wnętrzu natury, w najdalszym odzwierciedleniu, makrokosmiczny świat gwiazd, których roje, gromady, grupy, figury, blade od poświaty księżycowej, unosiły się nad roziskrzoną mrozem doliną, nad głową owiniętego w koce adepta wiedzy. Czyż nie wolno było myśleć, iż pewne planety słonecznego układu atomu — tych rojów

---

\* Monery — istoty żyjące pozbawione jądra, pojęcie wprowadzone do biologii przez E. Haeckla (1834—1919).

i całych dróg mlecznych systemów słonecznych, tworzących materię — iż to lub owo ciało planetarne tego wewnętrznego wszechświata znajduje się w stanie podobnym do tego, który uczynił ziemię siedliskiem życia? Dla młodego adepta wiedzy o nieco odurzonych ośrodkach nerwowych i o „nienormalnych” właściwościach skóry, któremu przecież nie brakło już pewnego doświadczenia na gruncie tego, co niedozwolone, było to nie tylko sensownym, ale nawet aż do natarczywości narzucającym się, w najwyższej mierze przekonującym pomysłem, nie pozbawionym logicznego charakteru prawdziwości. „Małość” gwiazdzistych ciał wewnętrznego świata byłaby zarzutem wielce nierzeczowym, skoro przecież miara tego, co wielkie i małe, wymknęła się z rąk — jeśli nie wcześniej, to wtedy, kiedy objawił się kosmiczny charakter „najmniejszych” części materii, a pojęcia tego, co zewnętrzne i co wewnętrzne, utraciły z czasem również swe niewzruszone podstawy. Świat atomu jest czymś zewnętrznym, podobnie jak najprawdopodobniej glob ziemski, który zamieszkujemy, rozpatrywany z punktu widzenia organicznego, jest czymś głęboko wewnętrznym. Czyż marzycielska śmiałość pewnego badacza nie mówiła o „zwierzętach Drogi Mlecznej” — o kosmicznych potworach, których ciało, kończyny i mózg składają się z systemów słonecznych? Ale jeśli w istocie było tak, jak myślał Hans Castorp, wówczas w chwili kiedy przypuszczano, iż dotarło się do końca, wszystko rozpoczynało się od początku! Wtedy, być może, we wnętrzu i na najgłębszym dnie swej istoty znajdował się jeszcze raz, jeszcze sto razy, on sam, młody Hans Castorp, ciepło otulony, leżący na balkonie z widokiem na rozjaśnioną księżycem, mroźną noc wysokogórską i, ze skostniałymi palcami i płonącymi policzkami, trawiony chęcią zgłębienia zagadnień medycyny i humanistyki, dociekał tajników życia cielesnego.

Anatomia patologiczna, której jeden z tomów trzymał nieco z boku w czerwonym blasku lampki stołowej, pouczała go za pomocą bogato ilustrowanego tekstu o istocie pasożytniczych zespołów komórkowych i guzów zakaźnych. Są to rodzaje tkanek — i to niepoahamowane w rozwoju rodzaje tkanek — powstające przez wtargnięcie obcych komórek do organizmu, który okazał się podatny do ich przyjęcia i rozwojowi ich zapewniał w jakiś sposób — raczej powiedzieć należy: w jakiś rozwiązywały sposób — korzystne warunki. Można pominąć to, iż pasożyt pozbawia żywienia otaczającą go tkankę, ale skutek przemiany materii, właściwej każdej komórce, wytwarza związki organiczne, które dla goszczących go komórek okazują się zadziwiająco jadowite, nieuchronnie niszczące. Kiedy udało się z niektórych mikroorganizmów wydzielić toksyny i otrzymać je w stanie stężenia, okazało się, w jak zdumiewająco niewielkich dawkach substancje te, które należą po prostu do rzędu związków białkowych, wprowadzone w obieg krwi zwierzęcia wywołują naj-

groźniejsze objawy zatrucia i prowadzą do nieuniknionej zagłady. Zewnętrznym objawem tego procesu jest bujanie tkanek, patologiczne obrzmienie, jako reakcja komórek na podrażnienie wywołane przez zagnieżdżone wśród nich mikroby. Tworzą one guzki wielkości prosa, złożone z komórek podobnych do komórek błony śluzowej, między którymi albo w których gnieźdzą się mikroby; niektóre z nich są wyjątkowo obficie zaopatrzone w protoplazmę, a przy tym olbrzymie i wypełnione licznymi jądrami. Ale ta zabawa bardzo szybko prowadzi do ruiny, gdyż oto jądra tych spotworniałych komórek poczynają kurczyć się i rozpadać, a protoplazma ich zanikać wskutek krzepnięcia. Podrażnienie ciałem obcym obejmuje stopniowo dalsze części okolicznych tkanek; procesy zapalne rozszerzają się na sąsiednie naczynia; zjawiają się białe ciała krwi, zwabione przez miejsce niedoli; zanikanie na skutek tężenia nie ustaje; a tymczasem rozpuszczalne jady bakteryjne od dawna już odurzyły ośrodki nerwowe, wysoka gorączka trawi organizm, który niejako z falującą pierśią zdąża ku swemu rozkładowi.

Tyle mówiła patologia, nauka o chorobie, o akcencie bólu postawionym nad ciałem, który wszakże, jako podkreślenie, co cielesne, jest zarazem akcentem rozkoszy; choroba jest wyuzdaną formą życia. A życie ze swej strony? Czyż może jest tylko zakaźną chorobą materii — podobnie jak to, co wolno było nazwać pranarodzinami materii, było może tylko chorobą pierwiastka niematerialnego, jego wybudzeniem pod wpływem jakiejś podniety? Pierwszego kroku w stronę zła, ku rozkoszy i ku śmierci należy niezawodnie dopatrywać się tam, gdzie, wywołane bodźcem nieznannej infiltracji, odbyło się owo pierwsze skupienie pierwiastka duchowego, owo patologicznie intensywne bujanie jego tkanki, które na wpół radośnie, na wpół się broniąc, stworzyło najwcześniejszy, przedwstępny szczebel substancjalności, przejście tego, co niematerialne, w coś materialnego. To był grzech pierworodny. Drugie pranarodziny, zrodzenie się organiczności z tego, co nieorganiczne, były już tylko fatalnym spotęgowaniem pierwiastka cielesnego do świadomości, podobnie jak odurzająca choroba organizmu jest spotęgowaniem i nieobyczajnym, nadmiernym zaakcentowaniem jego cielesności: życie jest tylko dalszym konsekwentnym krokiem na awanturnicznym szlaku ducha, który się zbezczescił, jest odruchowym rumieńcem wstydu, jakiego doznaje materia, obudzona z niewrażliwości i gotowa na przyjęcie budzącego ją bodźca...

Stos książek piętrzył się na stoliku z lampką, jedna leżała na podłodze obok leżaka, na macie balkonu; a ta, którą Hans Castorp ostatnio studiował, spoczywała na jego brzuchu i przygniatała go utrudniając oddech; ale jego kora mózgowa nie wydała nakazu odpowiednim mięśniom, by ją usunęły. Przeczytał stronicę aż do samego dołu, podbródek jego wsparł się o pierś, powieki opadły mu na prosto-

duszne niebieskie oczy. Widział przed sobą obraz życia, kwitnącą budowę jego członków, jego piękność zaklętą w ciało. Rozplotła ręce założone na karku, a jej rozwarte ramiona, na których wewnętrznej powierzchni, zwłaszcza pod delikatną skórą stawu łokciowego, niebieskawo rysowały się naczynia, oba rozgałęzienia wielkich żył — ramiona te pełne były niewysłowionej słodyczy. Pochyliła się, pochyliła ku niemu, nad nim, czuł woń jej ciała, czuł krótkie uderzenia jej serca. Gorąca tkliwość oplótła mu gardło, i gdy omdlewając z rozkoszy i lęku kładł dłonie na jej ramiona, w miejsce gdzie jędrna skóra opinająca mięsień trójgłowy była upajająco chłodna — uczuł na wargach wilgoć jej ssącego pocałunku.

## Taniec szkieletów

Wkrótce po świętach Bożego Narodzenia umarł sportsmen. Ale przedtem były jeszcze właśnie te oba albo, wliczając Wigilię, te trzy uroczyste dni świąteczne, których Hans Castorp oczekiwał z pewnym lękiem i sceptycyzmem, jak też one tutaj będą wyglądały. A nadeszły i minęły jako zwykłe dni powszednie, z rankiem, południem i wieczorem, i z pierwszą lepszą, przeciętną pogodą (była lekka odwilż); były to dni, jakich wiele, zewnątrz tylko nieco urozmaicone i wyróżniające się spośród innych; w ciągu odmierzonego im czasu poruszyły umysły i serca ludzkie i, pozostawiwszy za sobą osad niecodziennych wrażeń, stały się niedawną, a potem dalszą przeszłością...

Syn radcy dworu, imieniem Knut, przyjechał do ojca na wakacje i zamieszkał u niego w bocznym skrzydle budynku. Był to przystojny młodzieniec, jednakże o grubawym już karku. Wyczuwało się w atmosferze obecność młodego Behrensa: panie objawiały ochotę do śmiechu i strojenia się i pewną drażliwość, w rozmowach wspominały o spotkaniach z nim w ogrodzie, w lesie albo w okolicy Kurhauzu. Zresztą Knut sam miał gości: kilku jego kolegów uniwersyteckich, sześciu lub siedmiu studentów, przyjechało do Davos i zamieszkało w Uzdrowisku, ale jadali u radcy dworu i razem ze swym towarzyszem włóczyli się gromadą po okolicy. Hans Castorp unikał tych młodych ludzi i wraz z Joachimem schodził im z drogi, gdy groziło spotkanie. Był jednym z tych, co mieszkają tu w górze, więc przepaść dzieliła go od tych rozśpiewanych włóczęgów wymachujących laskami — nie chciał o nich nic słyszeć ani wiedzieć. Poza tym wydawało mu się, że większość z nich pochodzi z północnych Niemiec; mogli pomiędzy nimi znajdować się jego ziomkowie, a Hans Castorp czuł trwogę przed swymi ziomkami i często z niechęcią myślał o tym, że jacyś hamburczycy mogą zamieszkać w „Berghofie”, tym bardziej

że Behrens mówił, iż to miasto dostarcza sanatorium licznego kontyngentu pacjentów. Może byli tu jacyś wśród ciężko chorych i skazanych na śmierć, których się jednak nie widywało. Pojawił się tylko pewien kupiec z zapadniętymi policzkami, który siedział od kilku tygodni przy stole pani Iltis i podobno przybył z Cuxhaven. Widząc go Hans Castorp cieszył się, że poza współbiednikami trudno tu było wejść z kimś w bliższy kontakt, a zarazem miła była mu świadomość, że jego ojczyście strony są tak rozległe i tak silnie towarzysko zróżnicowane. Nieszkodliwa obecność tego kupca w znacznym stopniu łagodziła jego obawy związane z ewentualnym spotkaniem jakichś mieszkańców Hamburga tu w górze.

Zbliżała się więc Wigilia Bożego Narodzenia; pewnego dnia była już tuż za drzwiami, a następnego stała się teraźniejszością... Kiedy Hans Castorp dziwił się, że już mówi się o świętach, brakowało do nich jeszcze więcej niż sześciu tygodni: więc, biorąc rzecz rachunkowo, jeszcze tyle czasu, ile Hans Castorp miał początkowo zamiar tutaj spędzić i ile spędził w łóżku będąc chorym. Wtedy był to olbrzymi przeciąg czasu, szczególnie, jak się Hansowi Castorpowi później wydawało, pierwsza jego połowa, podczas gdy rachunkowo równy mu okres miał teraz znaczenie niewielkie, prawie żadne; przyznawał więc rację swoim współbiednikom, którzy sobie ten okres tak lekceważyli. Sześć tygodni — a więc nawet nie tyle, ile jest dni w jednym tygodniu: ale czymże to było wobec dalszego pytania, czym właściwie jest tydzień, taki mały cykl od poniedziałku do niedzieli i znowu poniedziałek? Należało tylko zastanowić się nad wartością i znaczeniem kolejnych mniejszych jednostek czasu, aby zrozumieć, że z sumowania ich niewiele wypadnie, że skutkiem tego właśnie działania będzie przecież poza tym także bardzo znaczne skrócenie, zatarcie, ściągnięcie się i zaniknięcie. Czym jest jeden dzień, począwszy na przykład od chwili, kiedy zasiada się do obiadu, aż do powtórzenia się tego momentu po dwudziestu czterech godzinach? Niczym — chociaż to jednak były całe dwadzieścia cztery godziny. Ale czym z kolei jest jedna godzina, spędzona na przykład na werandowaniu, na spacerze albo przy jedzeniu — co już prawie w zupełności wyczerpuje możliwości spędzenia tej jednostki czasu? Znowu niczym. A sumowanie nicości z natury rzeczy nie jest czynnością poważną. Najpoważniej przedstawia się sprawa, kiedy się schodzi do najniższych jednostek, i te siedem razy sześćdziesiąt sekund, w ciągu których trzeba trzymać termometr w ustach, aby potem wyrysować dalszy ciąg wykresu, są dziwnie nieustępliwe i pełne znaczenia; rozciągają się w małą nieskończoność, a w szybkim mknieniu wielkiego czasu stanowią poważne skrzepy...

Święta nieznacznie tylko zdołały zamącić porządek dnia mieszkańców „Berg-hofu”. Wismukłą choinkę ustawiono już na kilka dni przedtem pod prawą wąską



ścianą jadalni, obok gorszego stołu rosyjskiego. Jej woń, docierająca czasem poprzez ciepłe wyziewy obfitych dań do nozdrzy biesiadujących, wywoływała coś jakby zadumę w oczach niektórych osób siedzących przy siedmiu stołach. Dwudziestego czwartego grudnia podczas kolacji drzewko ukazało się w ozdobnej szacie ze złotych i srebrnych włosów, szklanych kul, złożonych szyszek, jabłuszek zawieszonych w siatkach i z mnóstwa łąkoci, a kolorowe świeczki woskowe paliły się w czasie jedzenia i później. Mówiono, że i w pokojach obłożnie chorych jaśnieją drzewka; każdy ma swoje własne. A już od kilku dni napływało bardzo wiele paczek pocztowych. Joachim Ziemssen i Hans Castorp także otrzymali przesyłki z dalekiej i nizinnej ojczyzny, starannie owinięte podarunki, które rozłożyli sobie w pokojach: wymyślne części garderoby, krawaty, eleganckie przedmioty ze skóry i niklu, a również dużo świątecznego ciasta, orzechów, jabłek i macypanu. Wszystkie te zapasy obaj kuzyni oglądali pytającym wzrokiem, zastanawiając się nad tym, czy też znajdą tu kiedykolwiek odpowiednią porę na korzystanie z nich. Hans Castorp wiedział, że panna Schalleen układała jego paczkę i że to ona, po uprzednim porozumieniu się z wujami, kupowała prezenty. Do przesyłki dołączony był list od Jamesa Tienappla, pisany na grubym prywatnym papierze listowym, ale na maszynie. Wuj przesyłał życzenia wesołych świąt i szybkiego powrotu do zdrowia, od siebie oraz w imieniu swego ojca, i przezornie załączał jednocześnie aktualne już wkrótce powinszowania noworoczne, co zresztą uczynił i Hans Castorp, kiedy leżąc pisał zawczasu przed świętami do konsula Tienappla, składając mu zarazem swój raport kliniczny.

Choinka w jadalni paliła się, trzeszczała, pachniała i podtrzymywała w umysłach i sercach poczucie uroczystości chwili. Ubrano się odświętnie, panowie byli w strojach wizytowych, panie miały na sobie klejnoty, przysłane zapewne przez kochających mężów z krajów leżących na równinie. Także Kławdia Chauchat zamieniła swój codzienny wełniany sweterek na suknię wieczorową, która jednak miała w sobie coś samowolnego albo raczej narodowego: był to jasny haftowany kostium z paskiem, o ludowym charakterze rosyjskim czy też raczej bałkańskim, może bułgarskim, upstrzony złotymi cekinami; bogato opadające fałdy przydawały jej postaci niezwyklej pełni i miękkości, harmonizującej z tym, co Settembrini nazwał jej „tatarską fizjonomią”, a zwłaszcza „ślepiami wilka stepowego”. Przy lepszym stole rosyjskim było bardzo wesoło; tam wystrzeliła pierwsza butelka szampana, który pito później przy wszystkich niemal stołach. Przy stole obu kuzynów pierwszą butelkę zamówiła stara ciotka dla swej siostrzenicy i dla Marusi i częstowała wszystkich. Menu było wyszukane; na zakończenie podano ciastka z serem i cukierki, potem zaś kawę i likiery; od czasu do czasu jakaś płonąca gałązka cho-

inki wywoływała, zanim ugaszono ogień, przesadną i przeraźliwą panikę. Settembrini, ubrany jak zawsze, przysiadł się przy końcu świątecznej kolacji do stołu kuzynów, trzymając w zębach jak zwykle wykałaczkę; przekomarzał się z panią Stöhr, a potem powiedział coś niecoś o synu cieśli i rabbim całej ludzkości, którego dzień narodzin właśnie symbolicznie obchodzono. Czy żył naprawdę — nie jest pewne. Ale narodziła się wówczas i rozpoczęła swój zwycięski bieg, trwający do dnia dzisiejszego, idea wartości każdej jednostkowej duszy a zarazem idea równości, jednym słowem indywidualistyczna demokracja. Na cześć tych idei wznosi kielich, który mu podsunęto. Pani Stöhr nazwała jego sposób wyrażania się „dwuznacznym i bez serca”. Na znak protestu wstała od stołu, a i reszta gości poszła za jej przykładem, bo właśnie zaczęto udawać się do salonów. Zebranie towarzyskie tego wieczora było bardzo ożywione i miało szczególną treść, ponieważ rozpoczęło się od wręczenia podarunków panu radcy, który wraz z panną Mylendonk przyszedł na pół godzinki. Rzecz rozegrała się w saloniku z optycznymi zabawkami. Rosjanie ofiarowali, jako odrębny podarunek, wielki, srebrny, okrągły talerz z monogramem Behrensa pośrodku: kompletna bezużyteczność tego prezentu rzucała się w oczy. Na szeszlengu, ufundowanym przez pozostałych gości, można było przynajmniej leżeć, chociaż brakowało jeszcze narzuty i poduszki i przykryty był zwyczajną chustką. Ale oparcie pod głową można było przesuwac, i Behrens wyciągnął się na szeszlengu, aby wypróbować, czy jest wygodny; trzymał przy tym pod pachą swój bezużyteczny talerz, zamknął oczy i zaczął chrapać i sapać jak lokomotywa, utrzymując, że jest Fafnirem\*, który dzierży swój skarb. Radość była ogólna. Również pani Chauchat śmiała się serdecznie z tego przedstawienia mrużąc oczy i otwierając usta; Hans Castorp stwierdził, że i Przybysław Hippe, kiedy się śmiał, robił jedno i drugie zupełnie tak samo.

Natychmiast po odejściu naczelnego lekarza zajęto miejsca przy stołach do gry. Rosjanie, jak zwykle, zajęli mały salonik. Niektórzy stanęli przy choince, patrzyli, jak ogarki świeczek dogasają w metalowych oprawkach, i łasowali zawieszona smakołyki. Przy stołach, już nakrytych do pierwszego śniadania, siedziały poszczególne osoby, z dala od siebie, w różnych pozach, oddzielone od siebie milczeniem.

Pierwszy dzień Bożego Narodzenia był wilgotny i mglisty. Behrens utrzymywał, że znajdują się w chmurach, bo mgły nie zdarzają się tu w górze. Ale czy to chmury, czy mgły były jej przyczyną — w każdym razie wilgoć dawała się we znaki. Śnieg pokrywający ziemię tajał na powierzchni, stawał się porowaty i lepki. Twarz i ręce

---

\* Fafnir — smok zabity wedle legend starogermańskich przez Siguarda (Zygfrйда).

marzły podczas werandowania o wiele bardziej niż w czasie słonecznej mroźnej pogody.

Dzień ten wyróżnił się spośród innych wieczorną muzyką, prawdziwym koncertem, z rzędami krzeseł i drukowanymi programami. Był to wieczór pieśni, urządzony specjalnie dla mieszkańców „Berghofu”. Śpiewała pewna zawodowa śpiewaczka, osiadła i udzielająca lekcji w tej miejscowości. Poniżej wycięcia jej sukni balowej widniały z boku dwa medale, ręce miała jak kije, a głos tak szczególnie bezdźwięczny, że przy słuchaniu nasuwały się smutne refleksje na temat przyczyn, dla których zamieszkała tu w górze. Śpiewała:

Miłość swą noszę  
wszędzie ze sobą.

Pianista, który jej akompaniował, był także tubylcem... Pani Chauchat siedziała w pierwszym rzędzie, skorzystała jednak z pauzy, żeby się wymknąć, tak że Hans Castorp mógł od tej chwili spokojnie przysłuchiwać się muzyce (bądź co bądź to muzyka) odczytując sobie podczas słuchania śpiewu teksty wydrukowane w programie. Przez chwilę siedział koło niego Settembrini, ale zniknął również, powiedziawszy coś bardzo dobitnego i plastycznego o przytłumionym bel canto miejscowej śpiewaczki oraz wyraziwszy z ironią zadowolenie, że i dzisiaj wieczorem można spędzić czas tak po domowemu i w swoim kółeczku. Prawdę mówiąc, Hans Castorp odczuł ulgę, kiedy odeszło tych dwoje, wąskooka Rosjanka i pedagog, i mógł swobodnie słuchać śpiewu. W ogóle uważał, że dobrze jest, iż na całym świecie, i nawet w najbardziej wyjątkowych warunkach, prawdopodobnie i w czasie wypraw polarnych, ludzie uprawiają muzykę.

Drugi dzień Bożego Narodzenia nie różnił się od zwykłej niedzieli, a nawet od dnia powszedniego niczym więcej poza leciutką świadomością jego obecności. A kiedy minął, było już po świętach albo, można rzec z równą słusnością, przed nowymi świętami, które miały nadejść po upływie roku: dwunastu miesięcy brakowało do chwili, kiedy cykl znowu zostanie zamknięty — raptem o siedem miesięcy więcej, niż Hans Castorp już tutaj przesiedział.

Ale zaraz po tegorocznych świętach, jeszcze przed Nowym Rokiem, zmarł właśnie sportsmen. Kuzyni dowiedzieli się o tym od Alfredy Schildknecht, zwanej siostrą Bertą, pielęgniarce biednego Fritza Rotbeina, która na korytarzu podzieliła się z nimi tą sekretną wiadomością. Hans Castorp wypadkiem tym bardzo się przejął, po części dlatego, że pewne przejawy życia sportsmena należały do najwcześniejszych jego wrażeń tu w górze — do tych wrażeń, które pierwsze, jak mu się zda-

wało, wywołały u niego wypieki na twarzy, utrzymujące się odtąd bez przerwy aż do chwili obecnej.— a po części z przyczyn natury moralnej albo lepiej: duchowej. Długo zatrzymywał Joachima, kiedy rozmawiali z pielęgniarką, niezmiernie i aż krępująco wdzięczną, że raz wreszcie może się wygadać i z kimś podzielić myślami. To cud prawdziwy, mówiła, że sportsmen doczekał jeszcze świąt. Od dawna jego wytrzymałość była zadziwiająca, ale jest zupełnie nie do pojęcia, czym właściwie pod koniec oddychał. Prawda, że od wielu dni podtrzymywały go jedynie wielkie ilości tlenu: przez jeden tylko dzień wczorajszy skonsumował czterdzieści balonów, po sześć franków sztuka. Panowie mogą sobie wyliczyć, ile to wszystko kosztowało, a trzeba wiedzieć, że jego żona, na której rękach wyzionął potem ducha, pozostała zupełnie bez środków do życia. Joachimowi nie podobała się ta kosztowna metoda. Po co w wypadku beznadziejnym męczyć jeszcze pacjenta i tak znacznym nakładem sztucznie utrzymywać go przy życiu? Zmarłemu nie można brać za złe, że bez namysłu zużywał tyle drogiego życiodajnego gazu, bo działał pod przymusem. Lekarze powinni byli jednak być rozsądniejsi i w imię Boże pozwolić mu iść jego nieuniknioną drogą, zupełnie niezależnie od jego warunków finansowych, a tym bardziej z ich uwzględnieniem. Żyjącym także coś się należy — i tak dalej. Hans Castorp gorąco zaprotestował. Zarzucał kuzynowi, że mówi już prawie tak jak Settembrini, bez szacunku i pietyzmu dla cierpienia. Przecież sportsmen, ostatecznie, umarł, więc nie ma tu miejsca na żarty, to jedyny sposób dowiedzenia, że sprawę traktuje się poważnie, a zmarłemu należy się szacunek i wszelkie objawy czci, od tego Hans Castorp nie odstąpi. Ma przy tym nadzieję, że Behrens w ostatniej chwili nie krzyczał na sportsmena i nie urągał mu bezceremonialnie. Panna Schildknecht odrzekła, że nie było do tego powodu. Wprawdzie sportsmen uczynił jeszcze małą i bezsensowną próbę wymknięcia się i chciał wyskoczyć z łóżka, ale wystarczyło zwrócić mu delikatnie uwagę na bezcelowość takiego postępowania, aby raz na zawsze dał spokój.

Hans Castorp obejrzał zmarłego. Zrobił to umyślnie i na przekór panującemu tutaj systemowi zatajania, bo gardził egoistyczną, strusią polityką innych, i pragnął czynnie przeciwko niej zaprotestować. Przy stole chciał ogólną rozmowę sprowadzić na ten zgon, ale spotkał się z jednomyślnym i zapamiętałym oporem, który go zawstydził i wzburzył. Pani Stöhr stała się po prostu grubiańska. Jak śmie poruszać taki temat, spytała, i w ogóle gdzie on się wychował? Tutejsze przepisy chronią starannie pacjentów od stykania się z podobnymi wypadkami, a tu nagle jakiś żółto-dziób na cały głos o tym rozprawia, i to przy pieczeniu, a w dodatku w obecności dra Blumenkohla, który też każdego dnia może spodziewać się śmierci. (To ostatnie — zasłaniając usta ręką). Jeżeli coś podobnego jeszcze raz się powtórzy, będzie

musiała poskarżyć się. Wtedy właśnie zląany Hans Castorp powziął decyzję i oznajmił, że co się jego tyczy, to właśnie chce zmarłemu sąsiadowi oddać ostatnią posługę przez odwiedzenie zwłok i chwilę skupienia u łoża śmierci. Udało mu się nawet skłonić Joachima, aby uczynił to samo.

Za pośrednictwem siostry Alfredy uzyskali wstęp do pokoju, w którym nastąpiła śmierć, położonego na pierwszym piętrze, pod ich pokojami. Przyjęła ich wdowa, niska, rozczochrana blondynka, na której znać było nieprzespane noce; przyciskała do ust chusteczkę, nos miała zaczerwieniony, a ponieważ w pokoju było zimno, podniosła kołnierz angielskiego palta, które miała na sobie. Radiator był zakręcony, a drzwi od balkonu otwarte. Młodzieńcy powiedzieli przytłumionym głosem co należało i, zaproszeni bolesnym skinieniem ręki, skierowali się ku łóżku. Szli pełnym trwożnej czci, podanym naprzód i kołyszącym się krokiem, nie stąpając na obcasach, a potem stanęli przy łóżku, patrząc na zmarłego, każdy po swojemu: Joachim sztywno, z wojskowym półukłonem, a Hans Castorp swobodnie, ze skrzyżowanymi w zamyśleniu rękami na piersiach i w bok przechyloną głową, z miną podobną do tej, z jaką zwykle słuchał muzyki. Głowa sportsmena leżała wysoko na poduszkach, a przez to całe ciało, poza lekkim wzniesieniem stóp w końcu łóżka pod kołdrą, ciało, ta wydłużona konstrukcja i wielokrotne źródło życia, sprawiało wrażenie tym bardziej płaskiego, płaskiego niemal jak deska. Wiązanka kwiatów leżała w okolicy kolan, a wystająca z niej gałązka palmowa dotykała wielkich, żółtych, kościstych dłoni, splecionych na zapadniętej piersi. Żółta i koścista była również twarz wraz z łysą czaszką, garbatym nosem, ostrymi kośćmi policzkowymi i krzaczastymi rudoblond wąsami, których grubość zdawała się jeszcze pogłębiać szare i zarośnięte jamy policzków. Oczy były w sposób nienaturalnie szczelny zakryte powiekami — nie zamknęły się, lecz powieki ich ktoś zacisnął, pomyślał Hans Castorp: nazywa się to ostatnią posługą, chociaż czyni się to bardziej ze względu na pozostałych niż na umarłych. Powinno się to też robić zaraz, natychmiast po śmierci, bo kiedy proces powstawania miozyny postąpi już w mięśniach, będzie za późno, i nieboszczyk będzie leżał z szeroko otwartymi oczami; o złudzeniu snu nie będzie już wtedy mogło być mowy.

Hans Castorp, pod wieloma względami w swoim żywiole, stał w skupieniu u wezłowania zmarłego, wykazując jednak znajomość rzeczy i otrzaskanie. „Wygląda, jakby spał” — rzekł z litości, chociaż dostrzegało się poważne różnice. Potem taktownie przyciszonym głosem rozpoczął rozmowę z wdową po sportsmanie, dowiadywał się o przebieg choroby jej męża, o jego ostatnie dni i chwile oraz o mające nastąpić przewiezienie zwłok do Karyntii, okazując w ten sposób zarówno współczucie, jak znawstwo w dziedzinie lekarskiej i obyczajowo-rytualnej. Wdowa,

łkając od czasu do czasu, odpowiadała mu swym z austriacka przeciągającym zgłoski i nosowym akcentem i wyrażała zdziwienie, że młodzi ludzie skłonni są do takiego zainteresowania cudzym nieszczęściem. Hans Castorp tłumaczył, że przecież oni obaj także są chorzy i że on sam poza tym już we wczesnych latach dzieciństwa nieraz stał u łóża śmierci swoich najbliższych; powiedział, że jest sierotą bez ojca i matki i że od dawna już jest, jeśli można tak się wyrazić, za pan brat ze śmiercią. Wdowa spytała, Jaki zawód obrał sobie Hans Castorp. Odparł, że „był” technikiem. — Był? — Był — w tym znaczeniu, że przecież teraz choroba i Bóg wie jak długi pobyt tutaj przeszkodziły mu w studiach; oznacza to poważną przerwę, a może nawet — któż to wie — punkt zwrotny w jego życiu. (Joachim spojrział na niego badawczo i z przerażeniem.) — A pański kuzyn? — Ten chce na dole zostać żołnierzem, jest kandydatem na oficera. — O — rzekła wdowa — rzemiosło wojenne jest również zawodem wymagającym powagi; żołnierz musi być przygotowany na możliwość bliskiego kontaktu ze śmiercią i powinien zawniczyć się do jej widoku. — Żegnając młodzieńców wyrażała swą wdzięczność, pełna uprzejmego opanowania, które wobec jej ciężkiego położenia a zwłaszcza pozostawionego przez małżonka wysokiego rachunku za tlen, nie mogło nie wzbudzić szacunku. Obaj kuzyni powrócili na drugie piętro. Hans Castorp był bardzo zadowolony z wizyty, przeżyte wrażenia wzbudziły w nim zainteresowanie problemami duchowymi.

— *Requiescat in pace* — powiedział. — *Sit tibi terra levis. Requiem aeternam dona ei, Domine*\* Widzisz, kiedy chodzi o śmierć i kiedy mówi się do umarłych lub o nich, wtedy znowu łacina wstępuje w swoje prawa; to jest w takich wypadkach oficjalny język i zaraz widać, że śmierć jest czymś szczególnym i wyjątkowym. Ale nie z humanistycznej kurtuazji mówi się na cześć śmierci po łacinie, to nie jest szkolna łacina, rozumiesz, ale język o zupełnie innym, można nawet powiedzieć, przeciwnym charakterze. Jest to łacina rytualna, dialekt mnichów, średniowiecze, coś jakby głuchy, monotony, podziemny śpiew — Settembrini nie byłby nim zachwycony; to nie jest dla humanistów, republikanów i takich jak on pedagogów, to dobre dla innego kierunku duchowego, dla tego drugiego, który także istnieje. Sądzę, że trzeba zdać sobie sprawę z różnych kierunków albo, jak słuszniej należałoby powiedzieć, nastrojów umysłu — istnieje kierunek pietyzmu i kierunek niezależny. Oba mają swoje dobre strony, ale niezależnemu, który reprezentuje Settembrini, muszę zarzucić to, że jego przedstawiciele myślą, iż wzięli całkowicie godność ludzką w arendę, a to jest przesada. W tym drugim kierunku jest również, choć

---

\* *Sit tibi...* (łac.) — Niechaj ci ziemia lekką będzie. Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie.

w pewien specjalny sposób, wiele miejsca dla ludzkiej godności; a także dla wysokiej przyzwoitości, właściwej postawy i istotnie dobrych form; czyni on nawet pod tym względem więcej niż kierunek niezależny, chociaż ma głównie na oku słabość i ułomność człowieka, a myśl o śmierci i zagładzie odgrywa w nim nader ważną rolę. Czyś był kiedy w teatrze na „Don Karlosie” i czy widziałeś, jak wygląda dwór hiszpański, kiedy wchodzi król Filip, cały czarno ubrany, z orderem Podwiązki i ze Złotym Runem, zdejmując kapelusz, wyglądający już prawie tak samo jak nasze meloniki — właściwie podnosi go w górę i mówi: „Przykryjcie głowy, grandowie”, czy coś w tym rodzaju? Jest w tym duża ceremonialność, nie ma mowy o jakimkolwiek zaniedbaniu lub rozluźnieniu obyczajów, przeciwnie, bo nawet królowa odzywa się: „W mojej Francji jednak było inaczej”; ma się rozumieć, dla niej jest to zanadto wyrachowane i kłopotliwe, wołałaby więcej serdeczności, więcej ludzkiej prostoty. Ale co właściwie znaczy: „ludzki”? Ludzkie jest wszystko: hiszpańska bogobojność i uroczysta pokora, i surowe przestrzeganie dystansu są według mnie bardzo dostojną formą ludzkości, a z drugiej strony można słowem „ludzkie” określić każde opuszczenie się i zaniedbanie — chyba przyznajesz mi rację?

— Co do tego zgadzam się z tobą — odrzekł Joachim. — Zaniedbywania i opuszczania się i ja naturalnie również nie znoszę. Musi być dyscyplina.

— Tak, ty to mówisz jako wojskowy, i przyznaję, że w wojsku znają się na takich rzeczach. Ta wdowa miała rację mówiąc o waszym zawodzie, że ma w sobie dużo powagi, bo zawsze musicie być przygotowani na to, iż w razie czego zetkniecie się ze śmiercią. Macie obcisłe i schludne mundury ze sztywnymi kołnierzami, i to wam nadaje przyzwoity wygląd. A poza tym uznajecie hierarchię i subordynację i w ceremonialny sposób oddajecie sobie honory; to jest w duchu hiszpańskim, jest z ducha pietyzmu, i w gruncie rzeczy podoba mi się to. Wśród nas, cywilów, powinno być więcej z tego ducha; powinien by się on objawiać w naszych obyczajach i w naszym sposobie zachowywania się; to bym wolał, uważałbym to za słuszne. Według mnie życie i świat są tego rodzaju, że wszyscy powinni by ubierać się czarno, mieć krochmalone kryzy zamiast waszych kołnierzy i, pamiętając o śmierci, nadawać wzajemnym swym stosunkom charakter poważny, dyskretny i formalny — to by mi odpowiadało, to uważałbym za słuszne. Widzisz, to także jest błędem ze strony Settembriniego i jeszcze jednym zarozumiałstwem — bardzo dobrze, że w toku rozmowy poruszyłem ten temat. On sądzi, że nie tylko godność ludzką ma w arendzie, ale i moralność — dzięki swojej „praktycznej pracy życiowej” i swemu niedzielnemu święceniu postępu (jak gdyby właśnie w niedzielę nie miało się o czym myśleć, tylko o postępie), a również dzięki owemu systematycznemu tępieniu cierpienia, o czym ty zresztą nic nie wiesz, ale mnie o tym opowia-

dał, by mnie pouczyć: pragnie systematycznie tępić cierpienie za pomocą pewnej encyklopedii. A jeśli to właśnie wydaje mi się niemoralnym — to co? Jemu, naturalnie, nie mówię tego, bo mnie przecież na śmierć zagada swoim plastycznym sposobem wyrażania się i powie: „Ostrzegam pana, inżynierze!” Ale wolno mieć o tym wszystkim swoje własne zdanie: Sire, daj nam wolność myślenia\*. Chcę ci coś powiedzieć — zakończył. (Weszli właśnie do pokoju Joachima, i Joachim przygotowywał się do werandowania). — Powiem ci, co sobie postanowiłem. Mieszkamy tutaj tuż obok konających i największego cierpienia i męki, nie tylko jednak udajemy, że to nic nikogo nie obchodzi, ale jeszcze w dodatku oszczędzają nas i chronią, abyśmy broń Boże z tym wszystkim się nie zetknęli i nic z tego nie zobaczyli; sportsmena wyniosą teraz także znowu po kryjomu, podczas gdy będziemy siedzieli przy podwieczorku albo przy śniadaniu. Uważam to za niemoralne. Ta pani Stöhr była przecież wściekła, kiedy tylko wspomniałem o tym zgonie; to już jest zbyt głupie, ale jeżeli nawet jest tak niewykształcona i mówi, że „Cichuteńko, ma piosenko, mknij ku niebu przez okienko”\*\* jest z „Tannhäusera”, jak się jej to niedawno wydarzyło przy stole, to jednak mogłaby mimo to być trochę moralniejszą w swoich uczuciach, a inni także. Owóż postanowiłem sobie, że będę w przyszłości trochę bardziej zajmował się tutejszymi ciężko chorymi i skazanymi na śmierć, to mi dobrze zrobi — już ta nasza wizyta zrobiła mi poniekąd dobrze. Ten biedny Reuter wówczas z numeru dwudziestego piątego, którego widziałem raz przez drzwi w pierwszych dniach mojego pobytu, pewno już dawno odszedł ad penates i został po kryjomu wyniesiony — już wtedy miał tak nienaturalnie wielkie oczy. Ale są za to inni, zakład jest przepełniony, wciąż przybywają nowi, a siostra Alfreda albo panna von Mylendonk, albo i sam Behrens z pewnością pomogą nam w nawiązaniu tej lub owej znajomości; to się da łatwo przeprowadzić. Przypuśćmy, że jakiś kandydat na tamten świat ma urodziny, i że my się o tym dowiadujemy — można przecież uzyskać taką informację. A więc posyłamy mu — jemu albo jej, zależnie od wypadku — doniczkę kwiatów do pokoju; uprzejmość ze strony dwóch kolegów, bez wymienienia nazwisk — i serdeczne życzenia powrotu do zdrowia — wyrażenie „powrót do zdrowia” jest zawsze aktem grzeczności i na miejscu. Naturalnie powiedzą temu pacjentowi, kto mu to przysłał, i on albo ona każe nam, ze względu na swe osłabienie, grzecznie przez drzwi podziękować, a może zaprosi nas na chwileczkę do pokoju, a my zamienimy z nim jeszcze kilka serdecznych słów, zanim

---

\* Sire, daj nam... — w „Don Karlosie” Schillera słowa markiza Pozy, zwrócone do króla Filipa.

\*\* Cichuteńko, ma piosenko... — aria Agaty z opery Webera „Wolny strzelec”.



wyzionie ducha. Tak sobie to wyobrażam. Zgadzasz się? Ja w każdym razie postanowiłem to sobie.

Joachim miał też niewiele do zarzucenia tym zamiarom. — To jest sprzeczne z tutejszymi przepisami — rzekł — przekraczasz je poniekąd w ten sposób. Ale myślę, że wyjątkowo, kiedy sobie tego tak życzysz, Behrens da ci chyba pozwolenie. Możesz przecież powołać się przy tym na swoje medyczne zainteresowania.

— Tak, między innymi także na to — powiedział Hans Castorp, bo rzeczywiście motywy, z których zrodziło się jego pragnienie, były powikłane. Protest przeciwko panoszącemu się tutaj egoizmowi był tylko jednym z nich, a w parze z nim szła głęboka potrzeba poważnego traktowania i uszanowania choroby i śmierci; Hans Castorp miał nadzieję, że przez zbliżenie się do ciężko chorych i umierających potrzeba ta dozna zaspokojenia i pogłębienia, co będzie przeciwwagą licznych urazów, na które co krok, każdego dnia i każdej chwili była wystawiona i które ku niemałemu jego zmartwieniu stanowiły potwierdzenie niektórych poglądów Settembriego. Przykładów było aż nadto wiele; gdyby zapytano o to Hansa Castorpa, wspomniałby zapewne przede wszystkim o tych osobach, które, prawdę powiedziawszy, w ogóle nie były chore, ale przebywały w „Berghofie” zupełnie dobrowolnie, oficjalnie pod pretekstem lekkiego schorzenia, ale faktycznie dla przyjemności tylko i dlatego, że odpowiadał im sanatoryjny tryb życia; do tych osób należała wspomniana już przelotnie pani Hessenfeld, wdowa, kobieta o wielkim temperamencie, która namiętnie lubiła zakłady: zakładała się z panami, zakładała się przy każdej sposobności i o wszystko; zakładała się, jaka będzie pogoda, jakie potrawy podadzą, jak wypadnie generalne badanie lekarskie i ile komu przydadzą miesiące, kto zwycięży w zawodach sportowych na bobslejach, saneczkach, nartach albo na ślizgawce, jaki przebieg będą miały nawiązujące się flirty wśród gości — i przy stu innych, często niezmiernie błahych okazjach; zakładała się o czekoladki, szampana i kawior, którymi później raczono się w restauracji, o pieniądze, bilety do kina, nawet o to, że ktoś kogoś pocałuje lub będzie przez kogoś pocałowany; ta jej namiętność wniosła wiele napięcia i życia do sali jadalnej, tylko że Hans Castorp nie mógł brać tych spraw zbyt serio, a sama jej obecność uwłaczała, jak sądził, powadze tego przybytku cierpienia.

Bo wewnętrzne jego dążenia szły właśnie w kierunku zachowania i obrony tej powagi, jakkolwiek po półrocznym już prawie pobycie pośród tych tu w górze niełatwo mu to przychodziło. Jego spostrzeżenia dotyczące ich sposobu życia, obyczajów i poglądów nie bardzo sprzyjały owym dążeniom. Bo byli tam owi dwaj szczupli modnisie, jeden siedemnastoletni, a drugi o rok starszy, zwani „Maks i Moryc”,

których wymykanie się wieczorami na pokera albo na libacje w damskim towarzystwie dawało wiele tematu do plotek. Niedawno, mniej więcej w tydzień po Nowym Roku (bo stwierdzić należy, że podczas naszego opowiadania czas niepowstrzymanie płynie dalej swym cichym biegiem), rozeszła się podczas śniadania wiadomość, że kąpielowy znalazł ich rano leżących w łózkach, w pogniecionych wieczorowych ubraniach. Nawet Hans Castorp śmiał się; ale jeżeli fakt ten kazał mu się wstydić jego dobrej woli, to jednak był niczym wobec sprawy adwokata Einhufa z Jüterbogu, człowieka już czterdziestoletniego, ze spiczastą bródką i obrośniętymi czarnym włosiem rękami, który od pewnego czasu zajmował miejsce ulezonego Szweda przy stole Settembriniego. Pan ten nie tylko co noc wracał pijany do domu, ale niedawno w ogóle nie wrócił, natomiast znaleziono go na łące. Miał reputację niebezpiecznego uwodziciela, a pani Stöhr mogłaby nawet palcem wskazać pewną młodą damę — na nizinie zresztą zaręczoną — którą widziano, jak o pewnej godzinie wychodziła z pokoju Einhufa, okryta tylko futrem, pod którym miała mieć tylko reformy. Było to skandaliczne — nie tylko z punktu widzenia moralności w ogóle, ale skandaliczne dla Hansa Castorpa i osobiście go obrażające, wobec jego obecnych duchowych dążeń. Ponadto nie mógł myśleć o osobie adwokata nie wspominając przy tym Franeczki Oberdank, tej gładko uczesanej panienci, którą kilka tygodni temu przywiozła na górę jej matka, poważna prowincjonalna matrona. Po swoim przyjeździe i po pierwszym zbadaniu dziewczyna uchodziła za lekko chorą. Ale czy zachowywała się nie tak jak należało, czy właśnie w jej przypadku tutejsze powietrze na początku sprzyjało raczej rozwojowi choroby zamiast jej przeciwdziałać, czy może mała została wplątana w jakieś intrygi i narażono ją na zdenerwowanie, które jej zaszkodziło — dość że w cztery tygodnie po przyjeździe, wracając z ponownej wizyty lekarskiej, weszła rozpromieniona do jadalni i podrzucając w górę swą torebkę wykrzyknęła uradowanym głosem: „Hura, muszę tu zostać rok!!” — co wywołało w całej sali wybuch homerycznego śmiechu. Ale w dwa tygodnie później rozeszła się pogłoska, że adwokat Einhuf zachował się wobec Franeczki Oberdank jak łajdak. Musimy zaznaczyć, że za wyrażenie to my ponosimy odpowiedzialność lub co najwyżej Hans Castorp, bo tym, którzy rozpowszechniali tę wiadomość, incydent ów nie wydawał się bynajmniej czymś tak niezwykłym, żeby mógł wywołać tak mocne słowa. Wzruszając ramionami dawali też do zrozumienia, że przecież do tych rzeczy trzeba zawsze dwóch osób i że prawdopodobnie nic się nie stało wbrew woli i życzeniu jednej ze stron. Przynajmniej takie stanowisko i taką postawę moralną zajęła pani Stöhr wobec całej tej sprawy.

Karolina Stöhr była okropna. Jeżeli coś przeszkadzało Hansowi Castorpowi w jego uczciwych zamierzeniach, to właśnie osoba pani Stöhr i jej charakter.

Wystarczyłyby już same dowody ignorancji, jakie nieustannie składała. Mówiła „agonija”, nasłonecznienie nazywała „insolwencją” i wygadywała wierutne bzdury o zjawiskach astronomicznych wywołujących zaćmienie słońca. Utrzymywała, że olbrzymie masy śniegu, utrudniające tu zimą egzystencję, to prawdziwa „katalepsja”; a pewnego dnia wprowadziła pana Settembriniego w długotrwałe osłupienie, mówiąc, że właśnie pożyczyła sobie z biblioteki zakładowej i czyta obecnie książkę, która by go pewno interesowała, mianowicie: „Benedetto Conelli w tłumaczeniu Schillera”!\* Lubiła wyrażenia wytarte, niesmaczne i w złym guście modne, które działały na nerwy, jak na przykład: „To inna para kaloszy”, „Jeszcze raz, póki czas”. A ponieważ słowo „bycze”, które w ustach młodych dowcipniaków przez długi czas zastępowało określenia „świetne” lub „doskonałe”, straciło już moc, sprostyowało się i przestarzało — rzuciła się na coś najnowszego, mianowicie na słówko „morowe” i wszystko, serio lub ironicznie, nazywała „morowym”: tor saneczkowy, leguminę i temperaturę własnego ciała, co było już zupełnie obrzydliwe. Należy dodać do tego i jej plotkarstwo, które nie miało żadnych granic. Nie było jeszcze najgorsze, kiedy wtajemniczała wszystkich, że pani Salomon włożyła dzisiaj najwytworniejszą koronkową bieliznę, bo jest zamówiona do badania i chce kokietować obu lekarzy eleganckim dessous; była w tym pewna doza słuszności: Hans Castorp już sam zauważył, że procedura badania, niezależnie od wyników, sprawia paniom wielką przyjemność i że wybierając się do gabinetu stroją się zalotnie. Ale cóż powiedzieć o jej zapewnieniach, że pani Redisch z Poznania, u której podejrzewano gruźlicę kręgosłupa, musi co tydzień przez dziesięć minut maszerować nagusienka po pokoju, tam i z powrotem, przed radcą Behrensem? Twierdzenie to było niemal równie nieprawdopodobne jak gorszące, ale pani Stöhr upierała się przy nim i zaklinała się na wszystkie świętości, że tak jest w istocie — chociaż trudno było pojąć, jakim sposobem, jeśli chodziło o podobne rzeczy, ta nieszczęśnica znajdowała tyle energii, żarliwości i uporu, podczas gdy załatwianie własnych, najważniejszych spraw wydawało jej się trudnością nie do przewyciężenia. Bo od czasu do czasu nawiedzały ją ataki tchórzliwego i płacznego niepokoju z powodu jej rzekomo wzrastającego „okłapnięcia” albo wznoszenia się wykresu temperatury. Zjawiała się wtedy z płaczem w jadalni, ze strumieniami łez płynącymi po chropowatych i czerwonych policzkach, i skarżyła się w chusteczkę do nosa, że Behrens chce ją wpakować do łóżka, ale ona pragnęłaby wiedzieć, co on powiedział poza jej plecami, co jej właściwie jest, jaki jest jej stan zdrowia i że w ogóle chce prawdzie spojrzeć w oczy! Ku swemu przerażeniu spostrzegła pewnego dnia, że leżąc

---

\* Chodzi o autobiografię Benwenuta Celliniego, złotnika i rzeźbiarza włoskiego (1500—1571), którą na język niemiecki przełożył Goethe.

w łóżku ma nogi skierowane w kierunku bramy zakładu, i to odkrycie przyprawiło ją prawie o konwulsje. Nie od razu zrozumiano jej wściekłość i przestach, szczególnie Hans Castorp nieprędko domyślił się, o co tu chodzi. No, więc? Jak to? Dlaczego łóżko nie ma stać tak, jak stoi? — Ależ na miłość Boską, czy on naprawdę nie może pojąć! „Nogami naprzód...!” Narobiła rozpaczliwego hałasu i natychmiast musiano łóżko przestawić, chociaż odtąd, leżąc, miała światło w oczy, co przeszkadzało jej w spaniu.

To wszystko razem było niepoważne i nie odpowiadało duchowym potrzebom Hansa Castorpa. Straszny wypadek, który wydarzył się w tych czasach przy stole, wywarł na młodzieńcu specjalnie silne wrażenie. Okazało się mianowicie, podczas gdy goście w najlepsze zajadali, że pan Popow, nauczyciel, pacjent jeszcze dość nowy, chudy i cichy człowiek, któremu wyznaczono miejsce, podobnie jak jego również chudej i cichej narzeczonej, przy lepszym stole rosyjskim, jest epileptykiem. Dostał nagle silnego ataku, i z owym krzykiem, którego demoniczny i nie-ludzki charakter już nieraz był opisywany, runął z krzesła na ziemię, wymachując dokoła siebie straszliwie pokurczonymi rękami i nogami. Sytuację skomplikował jeszcze fakt, że podawano właśnie rybę, obawiano się więc, że Popow może udławić się ością. Zamieszanie było nie do opisania. Większość pań: panie Salomon, Redisch, Hessenfeld, Magnus, Iltis czy jak się tam nazywały, z panią Stöhr na czele, doznawały najrozmaitszych przypadłości, tak że niektóre z nich zachowywały się prawie tak samo jak pan Popow. Krzyki ich głośno rozbrzmiewały w sali. Widziało się tylko zaciśnięte powieki, szeroko otwarte usta i powykręcane ciała. Jedna tylko z nich dała pierwszeństwo cichutkiemu omdleniu. Zaczęto się dławić, bo wszystkich zaskoczył ten wypadek podczas żucia i połykania. Część towarzystwa zaczęła uciekać, którądy tylko się dało, nawet przez drzwi prowadzące na werandę, chociaż na dworze było zimno i mokro.

Zajście to, poza całą swą okropnością, miało jeszcze w sobie coś szczególnie odpychającego, a to wskutek pewnych nasuwających się skojarzeń z ostatnim odczytem dra Krokowskiego. Ów analityk, wykładając o miłości jako potędze chorobotwórczej, mówił właśnie ostatnim razem o padaczce, i cierpienie to, które w czasach przedanalitycznych ludzkość uważała bądź na przemian za święte, a nawet prorocze nawiedzenie, bądź za diabelskie opętanie, w na pół poetyckich, na pół niemilosierne naukowych słowach przedstawił jako równoważnik miłości i spazm miłosny mózgu; jednym słowem, opisał epilepsję w tak podejrzany sposób, że scena, zaimprovizowana przez pana Popowa, ta żywa ilustracja wykładu, musiała na słuchaczach doktora zrobić wrażenie wyuzdanego objawienia i tajemniczego skandalu; ucieczka pań była więc poniekąd jednocześnie zamaskowanym

wyrazem pewnej wstydlivosti. Sam radca był wtedy obecny na sali i przy pomocy panny Mylendonk oraz kilku młodych i silnych kuracjuszy wyniósł z sali sinego, zeszywniałego, pokręconego i nieprzytomnego epileptyka, któremu z ust lała się piana. Długo jeszcze widziano, jak w hallu krzątała się starsza siostra i część personelu około nieprzytomnego, którego następnie wyniesiono na noszach. Ale wkrótce potem ujrzano, jak cichutki pan Popow, w dobrym humorze, w towarzystwie również cichej i zadowolonej narzeczonej kończył swój obiad przy lepszym stole rosyjskim jak gdyby nigdy nic!

Hans Castorp był przy tym wypadku obecny i przez cały czas objawiał pełne szacunku przerażenie, ale w gruncie rzeczy nawet to wydawało mu się niepoważne — Bóg z nim! Oczywiście, Popow mógł udławić się ością, ale przecież w rzeczywistości nie udławił się, musiał więc w czasie ataku bezprzytomnego szału i spazmu rozkoszy jednak po kryjomu troszeczkę uważać. A teraz siedział sobie wesoły, kończył posiłek i robił taką minę, jak gdyby nigdy nie był się zachował jak nieokiełzany żołdak albo rozwścieczony pijak, i z pewnością tego nawet nie pamiętał. Także jego wygląd zewnętrzny nie był wcale tego rodzaju, żeby wzmacniał pietyzm Hansa Castorpa dla cierpienia, lecz raczej pogłębiał wrażenie rozwiązłości i braku powagi, które Hans Castorp ku wielkiemu swemu niezadowoleniu odbierał tutaj na każdym kroku i przed którym chciał się bronić, interesując się, wbrew panującym tu zwyczajom, ciężko chorymi i skazanymi na śmierć.

Na piętrze obu kuzynów, niedaleko od ich pokojów, leżała bardzo młoda dziewczyna, Leila Gerngross, która według relacji siostry Alfredy była bliska śmierci. W ciągu dziesięciu dni miała cztery gwałtowne krwotoki i jej rodzice przyjechali do sanatorium, żeby ją ile możności żywą jeszcze zabrać do domu. Ale to okazało się niemożliwym. Radca Behrens oświadczył, że biedna mała Leila nie zniesie drogi. Miała szesnaście lub siedemnaście lat. Hans Castorp sądził, że znalazł teraz dogodną okazję urzeczywistnienia swoich projektów i może przesłać chorej doniczkę kwiatów z życzeniami rychłego powrotu do zdrowia. Wprawdzie Leila Gerngross nie obchodziła w tym czasie urodzin i, o ile można było przewidzieć, nigdy już ich nie miała obchodzić, ponieważ, jak się Hans Castorp dowiedział, przypadały dopiero na wiosnę; ale fakt ten, jego zdaniem, nie powinien być stanąć na przeszkodzie takiemu miłosiernemu aktowi hołdu. Podczas jednej z południowych przechadzek w okolicę Kurhauzu wstąpił z kuzynem do kwaciarni, gdzie chciwie wciągał w płuca zapach wilgotnej ziemi, zmieszany z wonią kwiatów. Kupił doniczkę z ładną hortensją i kazał ją posłać anonimowo młodziutkiej konającej, z biletem, na którym widniały tylko słowa: „Od dwóch sąsiadów, z najserdeczniejszymi życzeniami szybkiego wyzdrowienia”. Czynił to wszystko z radością,

przyjemnie oszołomiony zapachem kwiatów i łagodnym ciepłem sklepu, które po wejściu z mrozu panującego na dworze wyciskało mu łzy z oczu. Czuł przyspieszone bicie serca i zdawało mu się, że jego skromne przedsięwzięcie, któremu w skrytości przypisywał symboliczne znaczenie, jest niezwykle śmiałe, awanturnicze i zarazem bardzo celowe.

Leila Gerngross nie miała prywatnej pielęgniarki, lecz pozostawała pod bezpośrednią opieką panny von Mylendonk i lekarzy; ale siostra Alfreda często ją odwiedzała i ona to poinformowała młodzieńców o wrażeniu, jakie wywołała ich uprzejmość. Młoda dziewczyna, której stan był beznadziejny, po dziecięcemu ucieszyła się tą uprzejmością obcych jej ludzi. Kwiat stał przy jej łóżku, pieściła go spojrzeniem i rękami, pilnowała, żeby go podlewać, a nawet podczas najgorszych ataków kaszlu nie spuszczała zeń umęczonego wzroku. Rodzice jej, pan Gerngross, major w stanie spoczynku, i jego żona, byli również wzruszeni i uradowani, a ponieważ nikogo tutaj nie znali i nie mogli domyślić się, kim byli ofiarodawcy, więc panna Schildknecht, jak sama wyznała, nie mogła powstrzymać się od zdradzenia tajemnicy i wymieniła nazwiska obu kuzynów. Powiedziała im, że cała rodzina pragnie ich poznać i osobiście im podziękować; tak więc na trzeci dzień Hans Castorp i Joachim, wprowadzeni przez pielęgniarkę, weszli na palcach do pokoju chorej Leili.

Konająca była prześlicznym jasnowłosym stworzeniem, z oczami koloru niezapominajek; mimo znacznego upływu krwi i mimo to, że oddychała już tylko za pomocą znikomych resztek czynnej jeszcze tkanki płucnej, wyglądała właściwie nieźle, choć bardzo delikatnie. Podziękowała i rozmawiała trochę bezdźwięcznym, ale miłym głosem. Lekki rumieniec wystąpił na jej twarzy i już z niej nie schodził. Hans Castorp objaśniając jej i rodzicom motywy swego uczynku tak, jak tego oczekiwano, i poniekąd się usprawiedliwiając, był wzruszony, mówił cicho i okazywał pełen delikatności szacunek. Niewiele brakowało — w każdym razie nie brakło mu wewnętrznego impulsu do tego — a byłby ukląkł przed łóżkiem na jedno kolano; długo trzymał w swej dłoni rączkę Leili, chociaż ta rozpalona rączka była nie tylko wilgotna, ale zupełnie mokra, bo dziewczyna pociła się nadmiernie. Organizm jej wydelał wciąż tyle wody, że już dawno musiałby być wyschnąć i ściągnąć się, gdyby chciwe pochłanianie wielkiej ilości lemoniady, która stała w karafce na nocnym stoliku, nie równoważyło poniekąd tej straty. Rodzice, chociaż głęboko strapieni, uprzejmie podtrzymywali tę krótką rozmowę za pomocą różnych konwencjonalnych sposobów i rozpytywali obu kuzynów o ich prywatne stosunki. Major był barczystym mężczyzną, olbrzymem, o niskim czole i sterczących wąsach; jego organiczny brak winy w odniesieniu do chorobliwej konstytucji córeczki — uderzał

na pierwszy rzut oka. Winę ponosiła tutaj najwidoczniej jego żona, drobna osóbką o typie wybitnie tuberkulicznym, której sumienie zdawało się też być obciążone z powodu tego posagu. Mianowicie kiedy po dziesięciu minutach Leila zaczęła okazywać zmęczenie albo raczej nadmierne podniecenie (rumieńce na twarzy stały się żywsze, a oczy barwy niezapominajek błyszczały niepokojąco), i obaj kuzyni, przynaglani spojrzeniami siostry Alfredy, zaczęli się żegnać, pani Gerngross odprowadziła ich na korytarz i poczęła się gwałtownie oskarżać, co dziwnie głęboko poruszyło Hansa Castorpa. To przez nią, to wszystko przez nią — zapewniała skruszona — biedne dziecko mogło to odziedziczyć tylko po niej, jej mąż nie ponosi tu żadnej winy, w najmniejszej mierze nie przyczynił się do tego. Ale i ona, może twierdzić to z całą pewnością, tylko przelotnie cierpiała na tę chorobę, w słabym tylko stopniu, i to bardzo krótko, jako młoda dziewczyna. Potem przeszło to zupełnie, bez śladu, jak ją zapewniano, kiedy chciała wyjść za mąż; a tak bardzo tego pragnęła — wyjść za mąż i żyć! Zupełnie wyleczona i zdrowa wstąpiła w związek małżeński ze swym mężem, zdrowym i silnym mężczyzną, który nigdy nic wspólnego nie miał z tego rodzaju chorobą. Ale pomimo całą swoją moc i czystość nie zdołał przeszkodzić nieszczęściu. Bo u dziecka te straszne, pogrzebane i zapomniane rzeczy wyszły znowu na jaw, zabijają je i biedactwo nie może się z nimi uporać, ona natomiast, matka, przeżyła to bez szwanku i dożyła wieku, w którym już choroba ta nie jest niebezpieczna; nieszczęśliwe, kochane maleństwo umiera, lekarze nie robią już żadnej nadziei, a ona sama, mając taką przeszłość, jest wszystkiemu winna.

Obaj młodzieńcy starali się ją pocieszyć i przebąkiwali coś o szczęśliwym zwrocie w chorobie. Ale pani majorowa tylko załkała i jeszcze raz im podziękowała za wszystko, za hortensję i za to, że ich wizyta ucieszyła i trochę rozerwała dziecko. Ta nieszczęsna istota leży tam sama wśród cierpień, podczas gdy inne młode dziewczęta cieszą się życiem i tańczą z ładnymi młodymi panami; a choroba przecież nie zabija ochoty do tego. Wnieśli w jej życie trochę słońca, mój Boże, może to już ostatnie jego promienie. Ta hortensja zastąpiła jej powodzenie na balu, a rozmowa z dwoma przystojnymi kawalerami — mały niewinny flircik. Nie uszło to uwagi matki.

Te ostatnie słowa przykro dotknęły Hansa Castorpa, tym bardziej że słowo „flirt” wymówiła pani majorowa błędnie, to znaczy nie z angielska, ale z wyraźnym „i”, co go niezmiernie zirytowało. Nie był też wcale przystojnym kawalerem, ale odwiedził małą Leilę w zamiarach lekarsko-duchownych i aby zaprotestować przeciwko panoszącemu się tu w górze egoizmowi. Słowem, zakończenie całej sprawy zepsuło mu humor, przynajmniej co się tyczy wynurzeń pani majorowej. Poza tym jednak był bardzo ożywiony i pod wrażeniem realizacji swego przedsięwzięcia.

Dwa momenty zwłaszcza utkwily mu w duszy i w zmyslach: ciepły zapach ziemi w kwiaciarni i wilgotne dotknięcie rączki Leili. A ponieważ początek był już zrobiony, więc tego samego dnia umówił się z siostrą Alfredą, że odwiedzi pozostającego pod jej opieką Fritza Rotbeina; chory ten nudził się straszliwie, podobnie jak jego prywatna pielęgniarka, chociaż jeśli wszelkie oznaki nie myliły, niewiele już chwil pozostawało mu do życia.

Nic nie pomogło pocziwemu Joachimowi: i w tym musiał brać udział. Rozpęd Hansa Castorpa i jego samarytańska przedsiębiorczość były silniejsze niż niechęć kuzyna; toteż Joachim mógł tylko milczeć i spuszczać oczy, bo nie potrafiłby uzasadnić tej niechęci nie okazując braku uczuć chrześcijańskich. Hans Castorp wyraźnie to widział i wyzyskiwał dla swych celów. Rozumiał też doskonale żołnierskie podłoże tej niechęci. Ale cóż, kiedy sam czuł się ożywiony i uszczęśliwiony tego rodzaju przedsięwzięciami i wydawały mu się one pożyteczne. Nie mógł więc zwracać uwagi na cichy opór Joachima. Zastanawiał się wraz z nim nad pytaniem, czy i młodemu Fritzowi Rotbeinowi można przysłać lub przynieść kwiaty, pomimo że ten kandydat na tamten świat jest płci męskiej. Miał wielką ochotę to zrobić, uważał, że kwiaty są w tej sytuacji na miejscu; poprzedni pomysł z hortensją, liliową i nadzwyczaj kształtną, bardzo mu się spodobał; zdecydował wreszcie, że płec Fritza Rotbeina została zniwelowana przez to, iż jest on już u kresu życia, i że wcale nie jest konieczne, by otrzymywał kwiaty tylko w dniu swych urodzin, bo konający i tak powinni być stale traktowani jak solenizanci. Tak sobie obmyśliwszy, po raz drugi wstąpił z kuzynem w ciepłą atmosferę kwiaciarni, w której unosił się zapach ziemi, i wszedł do pokoju pana Rotbeina ze świeżo zroszoną i pachnącą wiązką róż, goździków i lewkonii, wprowadzony przez Alfredę Schildknecht, która zameldowała gości.

Ciężko chory młodzieniec, zaledwie dwudziestoletni, ale już trochę łysy i siwawy, woskowo blady i zupełnie wyniszczony, z wielkimi rękami, wielkim nosem i wielkimi uszami, był do łez wzruszony słowami pociechy i rozrywką, którą zawdzięczał obu kuzynom. Witając się i biorąc do ręki wiązkę kwiatów, zapłakał z wycieńczenia, ale zaraz nawiązał do bukietu i zaczął mówić szeptem prawie o europejskim handlu kwiatami i jego wciąż jeszcze wzrastającym tempie rozwoju, o wielkim eksporcie produktów ogrodowych z Nizy i z Cannes, o wagonowych ładunkach i przesyłkach pocztowych, rozchodzących się z tych miejscowości codziennie we wszystkie strony świata, na rynki zbytu en gros w Paryżu i Berlinie, i o zaopatrywaniu Rosji. Był bowiem kupcem, i w tym kierunku zdążyły jego zainteresowania, póki był jeszcze zdolny do życia. Ojciec jego, fabrykant lalek w Koburgu, wysłał go na studia do Anglii i tam młodzieniec, jak opowiadał szep-



tem, zachorował. Jego gorączkę jednak uważano początkowo za tyfoidalną i stosownie do tego leczono: trzymano go na diecie składającej się wyłącznie z wodnistych zupek, wskutek czego doszedł do stanu, w jakim znajduje się obecnie. Tu w gorze wolno mu było jeść, więc korzystał z tego: siedział w łóżku i w pocie czoła próbował się posilać. Było jednak za późno, bo kiszki były niestety także zaatakowane; na próżno przesyłano mu z domu ozór i wędzonego węgorka: niczego już nie znosił. Właśnie ojciec jego został telegraficznie wezwany przez Behrensa i jest już w drodze. Bo mają teraz dokonać na nim decydującego zabiegu resekcji żeber; chcą na wszelki wypadek spróbować tej metody, chociaż nadzieje są znikome. Rotbein szeptem mówił o tym bardzo rzeczowo, traktując nawet sprawę operacji wyłącznie jako interes — póki żyć będzie, pod innym kątem widzenia nie będzie patrzył na rzeczy. Koszty, szeptał dalej, wliczając znieczulenie rdzeniowe, mają wynosić tysiąc franków, bo chodzi prawie o całą klatkę piersiową, o sześć do ośmiu żeber, i wyłania się pytanie, czy ta inwestycja może się jakoś opłacić. Behrens namawia do tego, ale jego interes jest przecież niewątpliwy, podczas gdy interes chorego wydaje się bardzo wątpliwy, i wcale nie wiadomo, czy nie mądrzej byłoby spokojnie umrzeć, nie myśląc o wycięciu żeber.

Trudno mu było radzić. Kuzyni wyrazili przekonanie, że przy tej kalkulacji należałoby uwzględnić wybitne chirurgiczne zdolności radcy Behrensa. Zgodzono się na to, żeby decyzję pozostawić staremu Rotbeinowi. Przy pożegnaniu młody Fritz znowu trochę popłakał, a chociaż było to skutkiem jego wyczerpania, to jednak łzy, które wylał, stanowiły dziwny kontrast z suchą rzeczowością jego sposobu myślenia i wyrażania się. Prosił, żeby go jeszcze kiedyś odwiedzili, a oni skwapliwie mu to przyrzekli, ale już nie zdołali dotrzymać obietnicy. Fabrykant lalek przyjechał bowiem tego samego dnia wieczorem, i zaraz nazajutrz przystąpiono do operacji, po której młody Fritz Rotbein nie mógł już przyjmować gości. A w dwa dni później Hans Castorp i Joachim ujrzeni przechodząc przez korytarz, jak robiono generalne porządki w jego pokoju. Siostra Alfreda zapakowała swój kuferek i opuściła sanatorium „Berghof”, bo została pilnie wezwana do innego zakładu, do jakiegoś kandydata na tamten świat; wzdychając, ze swym nieodłącznym sznureczkiem od binokli za uchem, udała się do niego: była to jedyna perspektywa, jaką życie przed nią otwierało.

„Opuszczony”, zwolniony pokój, w którym wszystkie meble spiętrzone były w stosy i w którym przy otwartych podwójnych drzwiach robiono gruntowne porządki, przedstawiał, kiedy się go mijało, idąc do sali jadalnej lub udając się na przechadzkę, widok wiele mówiący, ale zarazem tak zwykły, że mało kto już się nad nim zastanawiał, szczególnie jeżeli samemu zajęło się w swoim czasie w podobny

sposób „zwolniony” i posprzątaną pokój i urządziło w nim po domowemu. Czasami było rzeczą wiadomą, kto mieszkał przedtem w takim numerze, a wtedy nastęczał się temat do rozmyślań: tak było teraz, tak było i w tydzień później, kiedy Hans Castorp przechodząc zauważył, że i pokój małej Gerngross znajduje się w podobnym stanie. W tym ostatnim przypadku umysł jego nie mógł na pierwszy rzut oka zrozumieć panującej wewnątrz krzątaniny. Stał zamysłony i zaskoczony i przyglądał się jej, gdy nagle na korytarzu ukazał się radca Behrens.

— Stoję tu i widzę, że robi się gruntowne porządki — odezwał się Hans Castorp. — Dzień dobry panu radcy. Mała Leila...

— Taak — odpowiedział Behrens i wzruszył ramionami. Po chwili, potrzebnej do podkreślenia wymowy tego gestu, ciągnął dalej:

— Pan zdążył przecież jeszcze przed trzecim dzwonkiem umizgać się do niej według wszelkich prawideł? Podoba mi się, że pan, będąc sam jeszcze względnie rzeński, opiekuje się nieco moimi ptaszkami, które siedzą w klatkach i świstają płucami. To pięknie świadczy o panu — no, no, niech pan pozwoli oddać sobie tę sprawiedliwość, że to bardzo pięknie świadczy o pańskim charakterze. Czy chce pan, żebym czasami tu i ówdzie pana wprowadził? Mam tutaj wiele takich zamkniętych czyżyków — więc jeżeli pana interesują... Teraz na przykład wpadam na chwileczkę do mojej „przepełnionej”! Chce pan iść ze mną? Przedstawię pana po prostu jako współczującego towarzysza niedoli.

Hans Castorp odparł, że pan radca wyjął mu to z ust i że zaproponował mu to właśnie, o co sam chciał prosić. Z wdzięcznością skorzysta z pozwolenia i będzie panu radcy towarzyszył. Ale kto jest ta „przepełniona” i jak należy rozumieć to przezwisko?

— Dosłownie — powiedział Behrens. — Zupełnie dosłownie i nie metaforycznie. Niech ona sama panu to objaśni. — Po chwili byli już na progu pokoju „przepełnionej”. Radca dworu natychmiast wtargnął do środka przez podwójne drzwi, a swemu towarzyszowi kazał zaczekać. Trochę zduszony i przerywany, ale serdeczny i wesoły śmiech i głos doszedł z pokoju do uszu Hansa Castorpa, gdy wszedł tam Behrens. Ale i współczującego towarzysza niedoli powitał ten sam śmiech, kiedy po kilku minutach pozwolono mu wejść i Behrens przedstawił go leżącej w łóżku blondynce, która niebieskimi oczami ciekawie przypatrywała się gościowi. Leżała, na pół siedząc, wysoko wsparta na poduszkach, niespokojnie poruszając się i wciąż śmiejąc się wysokim, srebrzystym śmiechem, co chwila tracąc oddech, podniecona i podrażniona, jak się zdawało, dusznościami. Śmiała się też ze sposobu, w jaki radca przedstawił jej gościa, a potem kilka razy wołała za

odchodzącym doktorem „adieu”, „bardzo dziękuję” i „do widzenia”, wyciągała doń rękę, wzdychała, śmiała się perlistymi pasażami, przyciskała rękami pierś wznoszącą się pod batystową koszulą, i nie mogła nóg utrzymać w spokoju. Nazywała się pani Zimmermann.

Hans Castorp znalazł ją trochę z widzenia. Przez kilka tygodni siedziała przy stole pani Salomon i ucznia-obżartucha i zawsze dużo się śmiała. Potem nagle znikła i Hans Castorp nie myślał już o niej. Sądził, że wyjechała, o ile w ogóle zastanawiał się nad jej nieobecnością. A teraz odnalazł ją tutaj, jako „przepełnioną”, i oczekiwał wyjaśnień.

— Cha, cha, cha — śmiała się cieniutko, a pierś jej falowała. — Strasznie śmieszny człowiek ten Behrens, bajecznie śmieszny i zabawny człowiek. Można się śmiać do rozpuku. Niechże pan siada, panie Kasten, panie Karsten, czy jak się pan tam nazywa, pan ma takie śmieszne nazwisko, cha, cha, hi, hi, niech się pan nie gniewa! Niech pan usiądzie na krześle, tam, w moich nogach, ale pan pozwoli, że będę nimi wierzgała, nie mogę cha...a — westchnęła pełną piersią i śmiała się dalej — nie mogę się powstrzymać.

Była prawie ładna, miała regularne, trochę zbyt uwydatnione, choć miłe rysy twarzy i mały podwójny podbródek. Ale wargi były sine, a i koniuszek nosa miał tę samą barwę, prawdopodobnie z braku powietrza. Sympatycznie szczupłe ręce, które korzystnie wyglądały w koronkowych manszetach nocnej koszuli, nie mogły, podobnie jak nogi, uleżeć spokojnie. Szyję miała dziewczęcą, a po obu jej stronach, nad cieniutkimi obojczykami, widniały „solniczki”; również i piersi, które skutkiem śmiechu i braku tchu wznosiły się szybko i z wysiłkiem pod koszulą wydawały się delikatne i młode. Hans Castorp postanowił, że i jej przyśle albo przyniesie piękne kwiaty, pochodzące z eksportowych zakładów ogrodniczych Nizy i Cannes, zroszone wodą i pachnące. Z lekkim zakłopotaniem starał się przystosować do niespokojnej i wymuszonej wesołości pani Zimmermann.

— A więc odwiedza pan tutaj ciężko chorych? — spytała. — Jak to zabawnie i miło z pańskiej strony, cha, cha, cha, cha! Ale wie pan, ja wcale nie jestem ciężko chora, a właściwie do niedawna nie byłam, wcale nie... Dopiero niedawno ta historia... Niech pan sam powie, czy coś komiczniejszego już się panu w życiu... — I z trudem łapiąc oddech, pośród ciągłych chichotów i treli, opowiedziała, co jej się wydarzyło.

Przyjechała tutaj jako lekko chora — ale bądź co bądź chora, bo inaczej nie byłaby w ogóle przyjeżdżała, może nawet nie tak zupełnie lekko, ale raczej lekko niż ciężko. Sztuczna odma, ta nowa jeszcze, ale już bardzo chętnie stosowana zdo-

bycz techniki chirurgicznej, i w jej wypadku okazała się nadzwyczaj skuteczna. Zabieg udał się znakomicie, stan zdrowia i samopoczucie chorej poprawiały się wyraźnie, a mąż jej — bo była zameżna, chociaż bezdzietna — miał już za trzy, cztery miesiące oczekiwać jej powrotu. Wówczas przyszło jej na myśl pojechać raz dla rozrywki do Zurychu — innego powodu nie było, chciała się tylko zabawić. Bawiła się świetnie, ale w czasie pobytu w mieście spostrzegła, że musi na nowo dać się nadać, poszła więc do jednego z tamtejszych lekarzy. Bardzo miły, śmieszny, młody człowiek, cha, cha, cha — cha, cha, cha, — ale co się zdarzyło? Ten pan przepełnił ją! Trudno o inne określenie, to słowo najlepiej odpowiada rzeczywistości. Chciał za dobrze, a widocznie nie znał się na tym dostatecznie, dość że powróciła do sanatorium przepełniona, to jest z przypadłościami sercowymi i brakiem tchu. A Behrens — cha, cha, hi, hi — grzmiał strasznie i natychmiast wpakował ją do łóżka. Bo teraz jest już ciężko chora, chociaż właściwie nie tak poważnie, ale sfuszerowano ją z kretesem, spaskudzono — cha, cha, cha — co za mina, dlaczego pan robi taką komiczną minę? I wskazując palcem na Hansa Castorpa, tak bardzo śmiała się z jego miny, że nawet czoło jej posiniało. Najkomicniejszy, jak zapewniała, był Behrens z całą swoją wściekłością i gburowatością, i na samą myśl o tym już z góry, gdy tylko zauważyła, że jest przepełniona, pękała ze śmiechu. „Pani znajduje się w bezwzględny niebezpieczeństwie życia” — ryknął na nią bez ogródek i owijania w bawełnę, niedźwiedź taki, cha, cha, cha, hi, hi, hi — niech pan się nie gniewa.

Nie wiadomo było, dlaczego śmiała się tak serdecznie z oświadczenia radcy Behrensa — czy wskutek jego „gburowatości” i dlatego, że mu nie wierzyła, czy też mimo to, że mu wierzyła; bo przecież musiała mu wierzyć, a tylko sama treść sprawy, to jest niebezpieczeństwo zagrażające jej życiu, wydawała jej się tak strasznie śmieszna. Hans Castorp sądził, że to drugie przypuszczenie jest słuszne i że pani Zimmermann śmieje się tak perliście i serdecznie tylko wskutek swej dziecięcej lekomyślności i ograniczoności swego ptasiego mózgu. Bardzo mu się to też nie podobało; mimo to posłał tej śmieszce kwiaty, ale również i jej nie zobaczył już nigdy. Przez kilka następnych dni żyła tylko tlenem, a potem rzeczywiście skoła na rękach telegraficznie wezwanego małżonka. Skończona gęś — jak się wyraził radca Behrens, który poinformował Hansa Castorpa o tym wypadku.

Już przedtem jednak pełen przedsiębiorczości i współczucia Hans Castorp nawiązał przy pomocy radcy dworu i pielęgniarek stosunki z innymi ciężko chorymi, a Joachim musiał w tym uczestniczyć. Kuzyn zaciągnął go do syna pani Tousel-deux, tego drugiego, który był jeszcze przy życiu, bo po pierwszym już dawno posprzątano i wykadzono za pomocą H<sub>2</sub>CO. Następnie do małego Teddy, który przy

jechał tu niedawno z zakładu wychowawczego pod nazwą „Fridericianum”, skąd go odesłano, bo przypadek jego był zbyt ciężki. I jeszcze do pewnego niemiecko-rosyjskiego urzędnika ubezpieczeniowego, dobrodusznego cierpiętnika, który nazywał się Anton Karłowicz Ferge. I do nieszczęsnej, a przy tym tak zalotnej pani van Malinckrodt, która także, jak wszyscy wyżej wymienieni, dostała kwiaty i którą, nawet w obecności Joachima Hans Castorp nieraz karmił kleikiem... Wkrótce poczęli obaj kuzyni uchodzić za samarytan i braci miłosierdzia. Settembrini zagadnął też raz Hansa Castorpa w tym duchu.

— Do licha, inżynierze! Dziwne rzeczy opowiadają o panu. Przerzucił się pan na miłosierdzie? Szuka pan usprawiedliwienia w dobrych uczynkach?

— Nie ma o czym mówić, proszę pana. Nie warto nawet o tym wspominać. Kuzyn i ja...

— Ale niechże pan nie miesza w to kuzyna! Mówią o was obu, chodzi tu jednak tylko o pana, to jest pewne. Porucznik to natura wprawdzie godna szacunku, ale prosta i nie obciążona żadnymi myślowymi komplikacjami, które mogłyby w kłopot wprawić wychowawcę. Nie wmówi mi pan, że inicjatywa od kuzyna wychodzi. Pan jest wybitniejszy, ale i bardziej zagrożony od niego. Pan jest, że się tak wyrażę, wiecznym dla życia strapieniem, bezustannie trzeba się o pana troszczyć. Zresztą pozwolił mi pan opiekować się sobą.

— Zapewne. Raz na zawsze. To bardzo uprzejmie z pańskiej strony. A „wieczne strapienie” bardzo mi się podoba! Co za różne pomysły przychodzą zaraz literatowi do głowy! Nie wiem, czy mam być dumny z tego tytułu, ale muszę przyznać, że brzmi pięknie. Tak, a więc ja troszczę się trochę o „dzieci śmierci”, pan pewnie to miał na myśli. Od czasu do czasu, gdy mam wolną chwilę, tak mimochodem — kuracji przez to przecież nie zaniedbuję — odwiedzam ciężko chorych, rozumie pan, takich, co nie siedzą tu dla przyjemności prowadząc rozwiązły tryb życia, takich, co umierają.

— Ale wszak jest napisane: „Niech umarli grzebią umarłe swoje” — rzekł Włoch.

Hans Castorp podniósł ramiona: jego wyraz twarzy dawał do zrozumienia, że napisane jest niejedno, bądź to, bądź owo, tak że trudno jest wybrać to, co jest słuszne, i stosować się do tego. Naturalnie, można się było spodziewać po kataryniarzu, że wynajdzie jakiś niepożądany punkt widzenia. Ale chociaż Hans Castorp był zawsze gotów wysłuchać Settembriniego, w sposób nie wiążący uznawać jego nauki za godne uwagi i dla próby poddawać się jego pedagogicznemu wpływowi, to jednak był daleki od tego, żeby dla jakichś wychowawczych punktów widzenia zre-

zygnować z zamiarów, które mu wciąż w jakiś nieokreślony sposób wydawały się pożyteczne i bardzo doniosłe. I nie przeszkadzała mu w tym ani pani Gerngross, ze swoim „małym niewinnym flircikiem”, ani trzeźwość biednego Rotbeina, ani głupawy chichot przepełnionej pani Zimmermann.

Syn pani Tous-les-deux nazywał się Lauro. Otrzymał „od dwóch współczujących sąsiadów, z serdecznymi życzeniami wyzdrowienia”, kwiaty, fiołki nicejskie o zapachu ziemi, a ponieważ anonimowość była już czystą formą i każdy wiedział, od kogo pochodzą te upominki, więc pani Tous-les-deux, czarna i blada matrona meksykańska, sama zagadnęła na korytarzu obu kuzynów, dziękując im w swej charczącej wymowie. Pełnym smutku gestem zaprosiła ich do pokoju, aby syn jej, *son seul et dernier fils qui allait mourir aussi*\* — mógł im osobiście podziękować. Natychmiast poszli za nią. Okazało się, że Lauro jest niezwykle pięknym młodzieńcem z pałającymi oczami, orlim nosem o drgających nozdrzach i prześlicznymi wargami, ocienionymi czarnym wąsikiem — ale zachowywał się tak pretensjonalnie i dramatycznie, że goście, Hans Castorp rzeczywiście nie mniej od Joachima, byli radzi, kiedy drzwi od pokoju chorego znowu się za nimi zamknęły. Tous-les-deux, z wielkimi workami pod oczami, czarnymi jak z dżetu, w czarnym kaszmirowym szalu i z czarnym węzłem woalu pod brodą, z żałośnie opuszczonym jednym kątem swych ogromnych ust, chodziła wzdłuż i wszerz po pokoju, uginając się w kolanach i marszcząc swe niskie czoło; od czasu do czasu zbliżała się do siedzących koło łóżka młodych ludzi, aby powtórzyć jak papuga swoje tragiczne: „Tous les dé, vous comprenez, m e s s i é s ... Premièrement l’un et maintenant l’autre”\*\*. Piękny Lauro deklamował, również po francusku, zgrzytliwie, hałaśliwie, nieznośnie patetyczne słowa. Zapewniał, że pragnie umrzeć jak bohater, *comme héros, à l’espagnol*\*\*\*, za przykładem swego brata, *de même que son fier jeune frère*\*\*\*\* Fernando, który umarł również jak hiszpański bohater; gestykulował, rozrywał na szyi koszulę, aby wystawić żółtą pierś na dotknięcie śmierci, i zakłamywał się dopóty, aż atak kaszlu, który wywołał mu na usta rzadką, różową pianę, zdławił jego rodomontady i sprawił, że goście na palcach opuścili pokój.

Nie rozmawiali potem o wizycie u Laura, a także po cichu, każdy dla siebie, wstrzymywali się od sądu o jego zachowaniu. Lepiej podobało im się u pana Antona Karłowicza Fergego z Petersburga. Chory ten, o długich, dobrodusznym wąsach

\* ...son seul et dernier fils... (franc.) — jej jedyny i ostatni syn, który również miał umrzeć.

\*\* Tous les dé... (w nie wolnej od błędów francuszczyźnie) — Obaj, panowie rozumieją... Naprzód jeden, a teraz drugi.

\*\*\* ...comme héros, à l’espagnol (franc.) — jak bohater, po hiszpańsku.

\*\*\*\* ...de même que... (franc.) — tak samo jak jego dumny młodszy brat.

i wystającej grdyce, mającej w sobie również coś dobrodusznego, leżał w łóżku i z trudem, powoli przychodził do siebie po nieudanej próbie odmy sztucznej, która o mały włos nie przyprawiła go o natychmiastową śmierć. Doznał przy tym gwałtownego wstrząsu opłucnowego, który zdarza się czasami przy tym modnym zabiegu. Ale u niego wstrząs ten przybrał wyjątkowo niebezpieczną formę, z zupełnie wyraźną zapaścią i długotrwałym omdleniem — słowem, stan był tak ciężki, że musiano przerwać operację i na razie ją odłożyć.

Dobroduszne szare oczy pana Fergego rozszerzały się, a policzki okrywały bledością, ilekroć zaczynał opowiadać o tym przejściu, które musiało zrobić na nim straszne wrażenie. — Bez narkozy, proszę panów. No dobrze, my podobno nie możemy jej wytrzymać, jest w tym wypadku niedozwolona, pojmujemy to i godzimy się z tym, jako rozsądni ludzie. Ale miejscowe znieczulenie nie sięga głęboko, moi panowie, znieczuliła tylko zewnętrzną warstwę ciała, i czuje się, kiedy człowieka otwierają, właściwie tylko ucisk i jakieś jakby miażdżenie. Leżę sobie z zasłoniętą twarzą, żeby nic nie widzieć, asystent trzyma mnie za prawą rękę, a starsza siostra za lewą. Jest mi tak, jak gdyby mnie ściskano i miażdżono; mnie, to znaczy ciało, rozcięte i przytrzymane za pomocą klamerek. Ale nagle słyszę, jak radca Behrens mówi: „Taak!”, i w tej samej chwili, proszę panów, zaczyna jakimś tępym narzędziem — ono musi być tępe, żeby nie za prędko przekłuło — obmacywać mi opłucną: szuka odpowiedniego miejsca do przekłucia i wpuszczenia gazu. I podczas kiedy tak jeździ narzędziem po mojej opłucnej — moi panowie! moi panowie! nagle przestałem istnieć, już było po mnie, stało się coś takiego, czego nie potrafię opisać. Opłucnej, proszę panów, nie należy, nie powinno się dotykać, ona nie chce i nie znosi żadnego dotknięcia, opłucna to tabu; osłania ją ciało, izoluje i czyni niedostępną raz na zawsze. A teraz radca Behrens ją odsłonił i obmacywał. Wtedy, proszę panów, zrobiło mi się słabo. Straszne, straszne, proszę panów, nigdy bym nie pomyślał, że takie po stokroć wstrętne i podłe uczucie może się komuś przytrafić na ziemi i w ogóle gdziekolwiek oprócz piekła! Zapadłem w omdlenie, w trzy omdlenia naraz, jedno zielone, drugie brązowe, trzecie fioletowe. Poza tym śmierdziało mi coś w tym omdleniu, ten wstrząs rzucił mi się na nos, proszę panów, okropnie śmierdziało siarkowodorem, tak chyba musi śmierdzieć w piekle, a przy tym wszystkim, przychodząc do siebie, słyszałem, jak się śmieję; śmiałem się, ale nie po ludzku, tylko najnieprzyzwoitszym i najwstrętniejszym śmiechem, jaki w ogóle w życiu zdarzyło mi się słyszeć. Bo obmacywanie opłucnej, proszę panów, robi wrażenie, jak gdyby ktoś łechtał w najpaskudniejszy, najwyuzdańszy i najbardziej nieludzki sposób. Tak, nie inaczej, wygląda to przeklęte cierpienie i ta hańba, i to jest właśnie ów wstrząs opłucnowy, od którego was Boże broń!

Często i nie inaczej jak z bladym strachem powracał pan Anton Karłowicz Ferge do tego „łajdackiego” przeżycia i niemało się obawiał, że ono się raz jeszcze powtórzy. Zresztą od samego początku robił wrażenie człowieka prostego, dla którego wszelkie „wyżyny” są niedostępne i od którego umysłowości i uczucia nie należy wiele oczekiwać, jak też i on sam od nikogo wiele nie wymagał. Po obustronnym zaakceptowaniu takiego stanowiska, opowiadał dość interesująco o swym dawnym życiu, z którego choroba wytrąciła go, życiu agenta pewnego towarzystwa ubezpieczeń od ognia: z Petersburga odbywał dalekie podróże wzdłuż i wszerz całej Rosji, zwiedzał ubezpieczone fabryki i starał się stwierdzić, które z nich popadły w trudności finansowe, bo statystyka wykazuje, że najczęściej pożarów zdarza się właśnie w słabo prosperujących przedsiębiorstwach. Dlatego też wysyłano go, aby pod tym lub innym pozorem wysondował miejscowe stosunki i zdawał swemu bankowi relację; w ten sposób można było zawczasu zapobiec dotkliwym stratom, przez wzmoczoną reasekurację albo podział premii. Mówił o podróżach w zimie po rozległym państwie, opowiadał, jak jechał nocą w trzaskający mróz, leżąc w sankach okryty baranicą, i jak nieraz, budząc się, spostrzegał oczy wilków błyszczące ponad śniegiem jak gwiazdy. Woził z sobą w skrzyni zamrożone prowianty, kapuśniak i bułkę, a na stacjach, gdzie zmieniano konie, stawiał je przed zjedzeniem na ogniu, żeby odtajały; bułka przy tym nabierała tej samej świeżości, jaką miała pierwszego dnia. Gorzej było z nastaniem odwilży; wtedy zupa, którą w stanie stałym wziął z sobą, rozpływała się i wyciekała.

Tak opowiadał pan Ferge, a od czasu do czasu wzdychał i mówił, że to wszystko jest bardzo piękne, ale żeby tylko nie musiano powtórnie próbować u niego sztucznej odmy. Nie było to nic wyższego, o czym rozprawiał, ale realne życie, i można go było słuchać z zainteresowaniem. Zwłaszcza Hans Castorp uważał za korzystne dowiedzieć się czegoś o państwie rosyjskim i o tamtejszym trybie życia, o samowarach, pierogach, Kozakach i drewnianych cerkwiach z taką ilością cebulastych kopuł, że wyglądały jak kolonie grzybów. Prosił, żeby mu pan Ferge opowiadał również o tamtejszych ludziach, o ich północnej, a więc w oczach Hansa Castorpa tym niezwyklejszej egzotyce, o azjatyckich domieszkach w ich krwi, o wystających kościach policzkowych, fińsko-mongolskiej oprawie oczu — i słuchał z wielkim antropologicznym zainteresowaniem. Kazał powiedzieć sobie kilka zdań po rosyjsku — szybko, niewyraźnie, niezwykle obco i jakby bezkrotnie brzmiał ten wschodni język pod dobrodusznym wąsem pana Fergego, wydobywając się z jego dobrodusznie wystającej grdyki — i Hansa Castorpa cieszyło to (taka już jest młodość), tym bardziej że przecież obracał się w dziedzinie zabronionej mu ze względów pedagogicznych.



Kuzyni wpadali często na kwadransik do Antona Karłowicza Fergego. Odwiedzali też małego Teddy z „Fridericianum”, eleganckiego, jasnowłosego, czternastoletniego chłopca, wymuskanego, ubranego w białą jedwabną szamerowaną pidżamę; siedziała przy nim prywatna pielęgniarka. Był bogatym sierotą, jak sam opowiadał. Czekał na poważną operację, a mianowicie na usunięcie nadpsutych miejsc, czego miano spróbować, podnosił się czasami na godzinkę z łóżka, jeżeli właśnie czuł się trochę lepiej, i w swym ładnym sportowym ubraniu schodził do towarzystwa. Panie chętnie z nim żartowały, a on przysłuchiwał się ich rozmowom, na przykład kiedy mówiono o adwokacie Einhufie, o pannie w reformach lub o Franczce Oberdank. Potem kładł się znowu. Tak żył sobie wytwornie mały Teddy i robił wrażenie, że niczego innego nie oczekuje od życia, jak właśnie zawsze tylko tego.

Ale pod numerem pięćdziesiątym leżała pani von Mallinckrodt, imieniem Natalia, z czarnymi oczami i złotymi kolczykami w kształcie kół w uszach, kokietka, strojnisia, a zarazem kobiecy Łazarz i Hiob; Bóg zesłał na nią wszelkiego rodzaju dolegliwości. Organizm jej zdawał się być przepelniony truciznami, tak że nawiedzały ją na przemian i jednocześnie wszystkie możliwe choroby. Bardzo zaatakowana była jej skóra, w dużej części pokryta okropnie swędzącą, tu i ówdzie mokrą egzemą, występującą również przy samych ustach, co sprawiało trudności przy karmieniu jej. Jedno po drugim trapiły panią von Mallinckrodt wewnętrzne zapalenia: opłucnej, nerek, płuc, okostnych, a nawet mózgu, tak że traciła przytomność; osłabienie zaś serca, spowodowane gorączką i bólami, wywoływało stany lęku i sprawiało, że nie mogła swobodnie przełknąć jedzenia, które zatrzymywało się jej w przełyku. Słowem, kobieta ta była w okropnym stanie, a w dodatku zupełnie sama na świecie. Porzuciła męża i dzieci dla innego mężczyzny, zupełnego jeszcze młodzika, a potem opuszczona została przez kochanka, jak sama opowiedziała Hansowi Castorpowi i Joachimowi. Teraz jest bezdomna, chociaż nie bez środków do życia, bo mąż przysyła jej pieniądze. Korzysta bez dumy, która byłaby tu nie na miejscu, z jego przyzwoitości czy też jego wciąż jeszcze trwającej miłości; nie traktuje samej siebie zbyt poważnie, uważa się za lekkomyślną i grzeszną kobietkę i z tego założenia wychodząc znosi swoje hiobowe męki zadziwiająco cierpliwie i wytrwale; żywiołowa odporność jej rasowej kobiecości triumfowała nad niedolą jej smagłego ciała i nawet z białego gazowego bandażu, który z jakiegoś niemiłego powodu opasywał jej głowę, potrafiła uczynić coś w rodzaju ozdoby. Wciąż zmieniała klejnoty, rozpoczynając dzień od koralu, a kończąc go perłami. Bardzo uradowana kwiatami otrzymanymi od Hansa Castorpa, któremu przypisywała raczej rycerskie niż miłosierne pobudki, poprosiła obu młodych ludzi do siebie na herbatę.

Piła ją leżąc w łóżku, z filiżanki z dzióbkiem, a wszystkie jej palce, nie wyłączając wielkich, pokryte były aż do stawów opalami, ametystami i szmaragdami. Potrząsając złotymi kolczykami opowiedziała im zaraz, jakie były jej dzieje: mówiła o porządnym, ale nudnym mężu, o również porządnym i nudnym dzieciach, bardzo podobnych do ojca, których nigdy nie umiała naprawdę pokochać, i o tym młodym chłopcu, z którym uciekła, i nad którego poetyczną miłością się unosiła. Krewni jego oderwali go jednak od niej podstępem i przemocą, a ponadto mały brzydził się zapewne jej chorobą, której różne formy wtedy właśnie wybuchły z wielką gwałtownością. Czy może i panowie się brzydzą, spytała z kokieteryą, i jej rasowa kobiecość zatriumfowała nad egzemą, pokrywającą połowę jej twarzy.

Hans Castorp myślał z obrzydzeniem o małym, który brzydził się, i dał temu wyraz wzruszając ramionami. Dla niego samego zniewieściałość poetycznego młodzika była bodźcem przeciwnym, toteż składając często wizyty pani von Mallinckrodt, wykonywał przy niej różne drobne posługi, nie wymagające fachowego wykształcenia; karmił ją ostrożnie kleikiem, gdy go jej właśnie przynoszono na obiad, przytykał jej do ust filiżankę z dzióbkiem, kiedy kęs jakiś utknął jej w gardle, albo pomagał jej zmieniać pozycję w łóżku; bo do wszystkich jej cierpień dołączała się jeszcze rana po operacji, utrudniająca leżenie. Wprawiał się w tych zabiegach, wpadając do niej na chwilę, kiedy wracał z sali jadalnej albo ze spaceru; mówił wtedy Joachimowi, żeby sobie nie przeszkadzał, że chce tylko szybko wpaść na małą kontrolę do numeru pięćdziesiątego. Czuł przy tym szczęście wyrastania ponad siebie samego, radość wynikającą z poczucia pożyteczności i ukrytego doniosłego znaczenia swoich poczynań. Równocześnie cieszył się po szelmowsku z czysto chrześcijańskiego charakteru tych uczynków, w istocie tak pełnych pietyzmu, dobroczynnych i godnych pochwały, że nic nie można im było zarzucić ani z żołnierskiego, ani z humanistyczno-pedagogicznego punktu widzenia.

O Karen Karstedt nie było jeszcze mowy, a jednak Hans Castorp i Joachim nawet specjalnie się nią zajmowali. Należała do prywatnych pacjentów radcy Behrensa, nie mieszkających w sanatorium „Berghof”, i doktor polecił ją miłosierdziu kuzynów. Przebywała tu od czterech lat, nie miała majątku i była zależna od krewnych, ludzi bez serca, którzy już raz, ponieważ i tak była stracona, zabrali ją stąd i tylko na skutek interwencji radcy Behrensa znowu tutaj wysłali. Mieszkała we Wsi, w tanim pensjonacie. Była to wążka dziewczyna, lat dziewiętnastu, miała gładkie, wysmarowane pomadą włosy, a oczy jej starały się nieśmiało ukryć jakiś blask, odpowiadający hektycznym wypiekom na twarzy. Głos jej był charakterystycznie ochryply, ale przyjemny. Kaszłała prawie bez przerwy, a końce wszystkich jej pal-

ców były pozaklejane plastrami, bo potworzyły się na nich ranki na skutek zakażenia.

Tej więc dziewczynie poświęcali obaj młodzieńcy wyjątkową uwagę; prosił ich o to Behrens, jako że już mieli tak dobre serca. Zaczęło się od kwiatów, potem nastąpiła wizyta, w czasie której siedzieli wszyscy razem na małym balkoniku biednej Karen w Davos-Wsi, a potem we troje przedsięwzięli to i owo: poszli na zawody łyżwiarskie, przyglądali się wyścigom na bobslejach. Bo sezon sportów zimowych w Davos był już u zenitu, rozpoczął się tydzień uroczystości, widowiska następowały jedno po drugim, owe zabawy i przedstawienia, którymi obaj kuzyni interesowali się dotychczas tylko przelotnie i okolicznościowo. Joachim był wrogiem wszelkich rozrywek tu w górze. Wszak nie po to tu siedział — w ogóle nie siedział tutaj po to, by żyć i być zadowolonym z pobytu, urozmaicając go sobie i uprzyjemniając, ale jedynie i wyłącznie w tym celu, ażeby możliwie szybko pozbyć się toczącego go robaka i móc powrócić na dół do służby, prawdziwej służby, a nie służby „kuracyjnej”, która jest tylko surogatem, ale której mimo to nie chciał w niczym uchybić. Nie wolno mu było brać czynnego udziału w zabawach zimowych, a nie miał też ochoty być gapiem. Co się zaś tyczy Hansa Castorpa, to zbyt ściśle, w znaczeniu zbyt ciasnym i intymnym, związany był z tymi tu w górze, aby interesować się poczynaniami ludzi, którzy w dolinie tutejszej widzą boisko sportowe.

Miłosierne współczucie dla biednej panny Karstedt spowodowało jednak wyłom w tych zapatrywaniach, a Joachim nie mógł się temu przeciwstawić, nie narażając się jednocześnie na zarzut braku chrześcijańskich uczuć. Kiedyś wstąpili po chorą do jej uboższego mieszkania we Wsi i zaprowadzili ją w mroźny, słoneczny dzień zimowy do dzielnicy angielskiej, tak nazywanej od wznoszącego się w niej Hotel d'Angleterre. Szli pomiędzy luksusowymi sklepami głównej ulicy, po której z brzękiem dzwonek sunęły sanki i spacerowali bogaci próżniacy i darmozjadzi, zebrani z całego świata, a zamieszkali w Kurhauzie i innych wielkich hotelach; szli z odkrytymi głowami, w modnych ubraniach sportowych uszytych z wytwornych i drogich materiałów, z twarzami opalonymi przez zimowe słońce i promieniowanie śniegu. Zdążali w dół, ku położonej w głębi doliny w pobliżu Kurhauzu ślizgawce, która latem, przemieniona w łąkę, służyła jako boisko do gry w piłkę nożną. Słychać było muzykę: na estradzie drewnianego pawilonu u wejścia na czworoboczną ślizgawkę grała orkiestra; z oddali wyzierały śnieżne góry na ciemnoniebieskim tle. Kupili bilety, przedarli się przez tłum publiczności otaczającej powierzchnię lodu z trzech stron, wzdłuż których amfiteatralnie wznosiły się ławki, znaleźli sobie wygodne miejsca i zaczęli się przyglądać. Zawodnicy, kuso odziani, w czarnych trykotach

i szamerowanych kurtkach obszytych futrem, kołysali się na lodzie, unosili się w powietrzu, wykonywali skomplikowane figury, skakali i wirowali. Para wirtuozów, pani i pan, zawodowcy nie uczestniczący w zawodach, wykonywali jakąś figurę, którą tylko oni na całym świecie wykonać umieli; rozpęтали burzę oklasków i tusze orkiestry. Sześciu młodzieńców różnej narodowości ubiegało się o nagrodę za najszybszy bieg; pędzili pochyleni, z rękami założonymi na plecach, niektórzy z chusteczką przy ustach. Przebiegli tak sześć razy dokoła toru. Muzyka mieszała się z dźwiękiem dzwonka. Od czasu do czasu tłum wznosił okrzyki i klaskał.

Zbiorowisko ludzkie, w którym znaleźli się nasi chorzy, obaj kuzynowie i ich protegowana, było wielce różnorodne. Anglicy z białymi zębami i w szkockich czepkach rozmawiali po francusku z silnie wyperfumowanymi paniami, od stóp do głów ubranymi w kolorową wełnę, a niekiedy i w spodnie. Amerykanie o małych głowach z przylegającymi włosami, i z fajkami w ustach, odziani byli w futra, wywrócone włosem do góry. Wszędzie widać było brodatych i eleganckich Rosjan, których wygląd trącił barbarzyńskim bogactwem, Holendrów o typie malajskich mieszkańców, Niemców i Szwajcarów, a również mnóstwo osób nieokreślonego pochodzenia, mówiących po francusku, przybyłych z Bałkanów czy też ze Wschodu — tłum ludzi dość podejrzanych, dla których Hans Castorp miał pewną słabość, ale którzy, jako indywidua dwuznaczne i bez określonego charakteru, nie wzbudzali sympatii w Joachimie. Dzieci stawały tu i tam do różnych zabawnych konkursów: podskakiwały na lodzie mając na jednej nodze nartę a na drugiej łyżwę albo też chłopcy popychali przed sobą wielkie szufle, w których sadowiły się dziewczynki. Inne dzieci biegały z płonącymi świecami, przy czym zwycięzcą zostawał ten, kto z nie zgaszonym płomieniem dotarł do celu, albo musiały w biegu brać przeszkody czy też za pomocą cynowych łyżek wrzucać kartofle do ustawionych polewaczek. Świat elegancki pokładał się ze śmiechu. Pokazywano sobie najbogatsze, najślawniejsze i najładniejsze dzieci, córeczkę jakiegoś holenderskiego multimilionera, syna jakiegoś pruskiego księcia oraz dwunastoletniego chłopca, nazywającego się jak jedno ze znanych win szampańskich. Biedna panna Karen cieszyła się również nie przestając przy tym kaszleć. Z radości klaskała w ręce z popękanymi palcami. Tak bardzo była wdzięczna.

Zaprowadzili ją także na wyścigi bobslejowe: było to niedaleko zarówno od „Berghofu”, jak i od mieszkania panny Karen Karstedt, bo tor, idący z Schatzalp, kończył się we Wsi pomiędzy domami, położonymi na zachodnim zboczu doliny. W tym miejscu znajdował się posterunek sędziego, którego zawiadamiano telefonicznie o starcie każdego z płaskich pojazdów pędzących po metalicznie lśniących krzywiznach toru, pomiędzy śnieżnymi barierami, ściętymi w lód. Na bobslejach

siedzieli panowie i panie w białych wełnianych kostiumach, przyozdobieni szarfami o barwach wszystkich narodowości. Saneczki zjeżdżały jedne po drugich w dużych odstępach czasu. Widać było czerwone, pełne napięcia twarze, smagane śniegiem. Upadki, koziółkujące sanki, z których załoga wypadła, doznawały utrwalenia dzięki aparatom fotograficznym widzów. I tutaj grała orkiestra. Publiczność siedziała na małych trybunach albo tłoczyła się na ścieżce dla pieszych wzdłuż toru, oczyszczonej ze śniegu. Na drewnianych mostkach przerzuconych nad torem, spod których od czasu do czasu wypadał rozpędzony bobslej biorący udział w zawodach, było również pełno ludzi. Zwłoki z sanatorium na górze odbywały tę samą drogę, w pędzie przesuwały się pod mostkami, brały wszystkie zakręty i dążyły w dolinę, w dolinę — pomyślał Hans Castorp i nawet coś o tym napomknął.

Nawet do bioskopu w Uzdrowisku zaprowadzili młodzi ludzie pewnego popołudnia pannę Karen Karstedt, bo tak bardzo lubiła rozrywki. W dusznej atmosferze, która ich wszystkich troje bardzo niemile uderzyła (bo byli przyzwyczajeni tylko do powietrza najczystsze), która utrudniała oddychanie i przyprawiała ich o lekki zawrót głowy, skrzyło się szybkie, urywane, drobno posiekane życie, skaczące, drgające i niespokojne: wtórowała mu niewielka muzyczka, ilustrująca słyszalnymi aktualnie taktami bieg minionych zjawisk, przesuwających się na ekranie przed ich zmęczonymi oczami. Mimo bardzo ograniczonych środków przebiegała wszystkie rejestry uroczystej powagi i pompy, namiętności, dzikości i lubieżnej zmysłowości. Wyświetlano jakiś wstrząsający film erotyczny i kryminalny, rozgrywający się w milczeniu na dworze wschodniego despoty; przed oczyma ich przelatywały sceny pełne przepychu i nagich ciał, pełne rozpasanych chuci tyrana i religijnego szału służalczości, pełne okrucieństwa, żądzy, śmiertelnej rozkoszy i niezapomnianej naoczności, kiedy na przykład pokazywano na ekranie muskulaturę ramion kata. Jednym słowem, film zrodzony był z intuicyjnego wyczucia skrytych pragnień widowni, złożonej z przedstawicieli międzynarodowej cywilizacji. Settembrini, jako człowiek o wytrwałym sądzie, zapewne ostro skrytykowałby ten film, nie zgadzający się z humanistycznymi dążeniami; umiałby z klasyczną ironią potępić nadużywanie techniki w celu tworzenia obrazów poniewierających godność człowieka; tak myślał sobie Hans Castorp i szeptał też coś o tym Joachimowi. Pani Stöhr natomiast, która również była obecna i siedziała niedaleko od naszej trójki, zdawała się rozplýwać z zachwytu, jej czerwoną, nieinteligentną twarz wykrzywił grymas rozkoszy.

Zresztą, podobne uczucia malowały się na wszystkich twarzach. Kiedy jednak zniknął ostatni drgający obraz jakiegoś aktu, kiedy jaśniało znów światło, a tło dopiero co oglądanych wydarzeń ukazywało się publiczności jako pusty ekran, nie

mogły nawet zrywać się oklaski. Nie było nikogo, komu można by dziękować aplauzem, kogo można by wywołać w nagrodę za jego artystyczną kreację. Aktorzy, zebrani kiedyś dla realizacji filmu, dawno już rozproszyli się na cztery strony świata; oglądano tylko cienie ich, miliony poszczególnych zdjęć i króciutkich utrwaleń, na które fotografując je, rozbito ich ruchy, ażeby później dowolnie często rozwijać je w szybkim tempie przed oczami ludzi, nadając im na nowo cechę czasowości. Niemiłe było wrażenie, które wywierał tłum, milczący po przeżytym złudzeniu i jakby pozbawiony nerwów. Ręce widzów spoczywały bezczynnie przed nicością. Przecierano oczy, patrzono tępo przed siebie, wstydzono się światła — wszyscy pragnęli powrotu ciemności, aby znowu patrzeć, aby rzeczy, które odbyły się w swoim czasie, oglądać przeniesione w nowy czas i ożywione przez dźwięki muzyki.

Despota ginął pod nożem, jego otwarte usta wydały ryk, którego się nie słyszało. Potem wyświetlano obrazy z całego świata: prezydenta Republiki Francuskiej, w cylindrze i z wielką wstęgą Legii Honorowej, siedzącego w powozie i odpowiadającego na jakąś mowę powitalną; wicekróla Indii na weselu pewnego radcy; niemieckiego następcę tronu na dziedzińcu koszar w Poczdamie. Można było też przyrzec się życiu i zajęciom krajowców w jakiejś wsi w Nowej Meklemburgii, walce kogutów na Borneo, nagim dzikusom grającym na piszczałkach, polowaniu na dzikie słonie, jakiejś ceremonii na syjamskim dworze królewskim, ulicy domów publicznych w Japonii, gdzie za drewnianymi kratami siedziały gejsze. Oglądano okutanych Samojedów, powożących saniami zaprzężonymi w renifery i mknących przez śnieżne pustynie północnej Azji; rosyjskich pielgrzymów modlących się w Hebronie; karę chłosty wykonywaną na jakimś perskim delikwencie. Było się świadkiem tych scen; przestrzeń była unicestwiona, czas cofnięty, a przeszłość i dal — zamienione w mknącą, zwodniczą, owianą dźwiękami muzyki terażniejszość i bliskość. Na ekranie zjawiała się nagle naturalnej wielkości młoda kobieta marokańska z na wpół odkrytą, pełną piersią, w jedwabnej pasiastej szacie, obwieszona łańcuchami, klamrami i pierścieniami. Miała szerokie nozdrza, oczy pełne zwierzęcego życia, całą twarz w ruchu; śmiała się ukazując białe zęby; jedną ręką, której paznokcie połyskiwały jaśniej niż ciało, przysłaniała oczy, a drugą przesyłała ukłony publiczności. Z pewnym zmieszaniem wlepiano oczy w pełne czaru zjawisko, które zdawało się widzieć, a nie widziało, które nie czuło na sobie spojrzeń i którego śmiech oraz ruchy nie odnosiły się do terażniejszości, lecz do czegoś, co było kędyś daleko i dawno, tak że nie miałoby sensu na nie odpowiadać. To zabarwiał, jak zaznaczyliśmy, uczucie zadowolenia pewną przymieszką bezsilności. Potem zjawisko znikło. Jasność zalała pusty ekran, na którym ukazał się wyraz

„koniec”, cykl obrazów był zamknięty i publiczność w milczeniu opuszczała teatr, podczas gdy z zewnątrz napływały świeże tłumy, pragnące przypatrywać się ponownemu wyświetlaniu filmu.

Pani Stöhr, która się do nich przyłączyła, namówiła ich, aby wstąpili jeszcze do kawiarni w Kurhauzie. Biedna Karen bardzo się ucieszyła i aż ręce złożyła z wdzięczności. I tu grała muzyka. Nieliczną, w czerwone fraki ubraną orkiestrą dyrygował jakiś Czech czy też Węgier, który w pewnej od niej odległości stał wśród tańczących par i, ogniście podrygując, wygrywał z temperamentem swą partię pierwszego skrzypka. Przy stolikach tętniło światowe życie. Podawano wyszukane napoje. Obaj kuzyni zamówili dla siebie i swej pupilki oranżadę, pragnęli się ochłodzić, bo było gorąco i duszno, pani Stöhr zaś kazała sobie przynieść słodką wódkę. O tej godzinie, mówiła, ruch jest jeszcze niewielki. Dopiero w późniejszych, wieczornych godzinach tańce bardzo się ożywiają; biorą w nich tłumny udział pacjenci z różnych sanatoriów, a także swobodnie żyjący mieszkańcy hoteli i Kurhauzu. Niejedna ciężko chora przestąpiła tu, tańcząc, próg wieczności i po wychyleniu ostatniego kielicha rozkoszy uległa ostatniemu krwotokowi in dulci júbilo. Ignorancja pani Stöhr zniekształciła niewiarygodnie te wyrazy: pierwszy z nich, który wymawiała dolce, zaczerpnęła zapewne z włoskiego słownika muzycznego swego małżonka, drugi zaś brzmiał jak „jubileusz” czy coś podobnego, tak że obaj kuzyni, usłyszawszy tę łacinę, równocześnie schylili się nad szklankami i chwycili za słomki. Pani Stöhr jednak nie wyprowadziło to zupełnie z równowagi. Przeciwnie, wyszczerzając swoje zajęcze zęby, starała się za pomocą aluzji i przycinków dowiedzieć się, jaki zachodzi stosunek pomiędzy trojgiem młodych ludzi; w stosunku tym jasna była dla niej tylko rola biednej Karen, której przy jej lekkim — jak mówiła pani Stöhr — trybie życia dogadza to zapewne, że opiekują się nią dwaj tak wytworni kawalerowie. Mniej jasną wydała jej się ta sprawa ze względu na obu kuzynów. Pomimo swej głupoty i prostactwa doszła jednak dzięki kobiecej intuicji do pewnego wniosku, co prawda połowicznego i pospolitego. Zrozumiała mianowicie i dawała temu wyraz za pomocą przycinków, że właściwym kawalerem był w tym wypadku Hans Castorp, Joachim zaś asystował mu tylko, i że Hans Castorp, którego skłonność do pani Chauchat była jej znana, zajmuje się niepozorną panną Karstedt tylko z braku tamtej — do pani Chauchat widocznie nie umiał się zbliżyć. Wniosek ten, godny pani Stöhr, płytki i niedostatecznie umotywowany, świadczył o intuicji bardzo pospolitej, toteż Hans Castorp odpowiedział na jej płaskie i żartobliwe przytyki znużonym i pogardliwym spojrzeniem. Bez wątplenia, towarzystwo biednej Karen było dla niego czymś w rodzaju zastępczego środka pomocniczego o nieokreślonej skuteczności, podobnie jak w ogóle wszystkie jego miłosierne

poczynania. Ale zarazem były one przecież także celem same w sobie, owe cnotliwe poczynania i zadowolenie, które odczuwał, kiedy karmił kleikiem schorowaną panią Mallinckrodt, kiedy słuchał opowiadań pana Fergego o piekielnym wstrząsie opłucnowym albo widział biedną Karen, jak klaszcze z radości i wdzięczności w ręce o palcach pokrytych plastrami — choć było zadowoleniem tylko w znaczeniu przenośnym i względnym, miało w sobie jednak coś z bezpośredniości i czytelności. Owiane było duchem kultury wręcz przeciwnej duchowi, który reprezentował z pedagogicznych motywów pan Settembrini, ale zasługiwało, jak sądził młody Hans Castorp, na to, by zastosować do niego maksymę placet experiri.

Domek, w którym mieszkała Karen Karstedt, leżał niedaleko od strumyka i od toru kolejowego, przy drodze prowadzącej do Davos-Wsi, tak że obaj kuzyni pragnąc, by im towarzyszyła na ich służbowym spacerze po śniadaniu, łatwo mogli po nią wstąpić. Idąc tak w kierunku Wsi, aby dostać się na główną promenadę, mieli przed sobą mały Schiahorn, potem na prawo trzy turnie zwane Zielonymi Wieżami, obecnie jednak również okryte oślepiająco białym śniegiem, a jeszcze bardziej na prawo kopułę góry Dorfberg. Mniej więcej na czwartej części wysokości jej ściany znajdował się cmentarz, cmentarz Wsi, okolony murem, skąd roztaczał się zapewne piękny widok, przypuszczalnie na jezioro, i z tego powodu mógł kiedyś stanowić cel spaceru. Toteż udali się tam wszyscy troje pewnego pięknego przedpołudnia — a wszystkie dni były teraz piękne: bezwietrzne i słoneczne, z ciemnym błękitem nieba, gorące i mroźne zarazem, i lśniące od białości. Obaj kuzyni, jeden z twarzą koloru cegły, drugi opalony na brązowo, szli w samych ubraniach, bo pod palącymi promieniami słońca płaszcze obciążałyby ich zbyt; młody Ziemssen w ubraniu sportowym, w śniegowcach, Hans Castorp również w śniegowcach, ale w długich spodniach — nie przywiązywał bowiem dość wielkiej wagi do spraw ciała, aby włożyć krótkie. Była to pierwsza połowa lutego nowego roku. Tak, cyfra roku zmieniła się od czasu, gdy Hans Castorp tu przybył; pisano obecnie cyfrę inną, następną. Olbrzymia wskazówka wszechświatowego zegara posunęła się o jedno miejsce; co prawda, nie jedna z największych wskazówek, pozwalających odczytać np. tysiąclecia — nieliczni spośród żyjących doczekają jeszcze tej zmiany — nie była to wskazówka odmierzająca stulecia albo tylko dziesiątki lat. Bynajmniej. Posunęła się tylko wskazówka rejestrująca lata, chociaż od przybycia tutaj Hansa Castorpa nie minął jeszcze rok, lecz dopiero niewiele więcej niż pół roku. Teraz wskazówka ta stoi w miejscu i stać będzie tak — jak wskazówki pewnych wielkich zegarów, posuwających się tylko co pięć minut — aż do chwili, gdy drgnie na nowo. Zanim jednak ten moment nastąpi, wskazówka miesięcy musi posunąć się jeszcze dziesięć razy, to jest kilka razy więcej, niż posunęła się od chwili przybycia Hansa Castorpa



tu na górę — lutego Hans Castorp już nie liczył, bo miesiąc rozpoczęty uważał za miniony, podobnie jak banknot rozmieniony na drobne — za już wydany.

A więc poszli także raz wszyscy troje na cmentarz leżący na górze Dorfberg — musimy jeszcze i ten spacer opisać dla ścisłości opowiadania. Inicjatywa wyszła od Hansa Castorpa; Joachim, który początkowo miał pewne skrupuły ze względu na stan biednej Karen, zgodził się wreszcie i przyznał, że byłoby bezcelowe bawić się z nią w chowanego i zgodnie z poglądami tchórzliwej pani Stöhr chronić ją trwożnie od wszystkiego, co by przypominało exitus. Karen Karstedt nie była jeszcze w tym ostatnim stadium, kiedy chory się łądzi; wiedziała doskonale, jaki jest jej stan i co oznacza martwica na końcach jej palców. Wiedziała również, że jej nieczuli krewni nie zechcą nawet słyszeć o luksusie transportowania jej do ojczyzny; rozumiała więc, że po swym zgonie będzie musiała tam na górze zająć małe, skromne miejsce. Krótko mówiąc, można było uważać, że ten cel wycieczki jest dla niej bardziej stosowny pod względem moralnym niż niejeden inny, na przykład tor saneczkowy lub kino; było to zresztą nic innego jak tylko akt koleżeńskiej grzeczności, wizyta złożona tym tam na wzniesieniu — jeżeli naturalnie nie uważało się cmentarza za osobliwość i za obojętny cel spaceru.

Szli powoli gęsiego, bo oczyszczona ze śniegu ścieżka inaczej iść nie pozwalała, pozostawili za sobą i pod sobą ostatnie, najwyżej na stoku położone wille, i wspinając się ku górze, mieli przed oczami dobrze im znany krajobraz w przepyszej zimowej szacie, w perspektywie nieco przesunięty i nieco rozszerzony: otwierał się na północny wschód, ku wejściu do doliny. Oczom ich ukazał się oczekiwany widok na ocienione lasami, zamarznięte i pokryte śniegiem jezioro; poza nim, w miejscu, gdzie jak gdyby stykały się skośne zbocza gór, piętrzyły się na tle błękitnego nieba nowe zaśnieżone wierzchołki. Patrzyli na roztaczający się widok stojąc w śniegu u kamiennej bramy prowadzącej na cmentarz, po czym przeszli przez żelazną furtkę, wprawioną w bramę i tylko z lekka przymkniętą.

I tu ścieżki były oczyszczone ze śniegu; mijali groby otoczone żelaznymi kratami i przykryte grubą warstwą śniegu, te pięknie i równo usypane mogiły i widniejące na nich krzyże z kamienia lub metalu oraz małe pomniki, ozdobione medalionami i napisami. Nie było tu jednak żywej duszy. Niczym nie zakłócony spokój tego pustkowiecia uderzył ich swą głębią i nieokreśloną tajemniczością; mały, kamienny aniołek czy jakaś figurka dziecka, z nieco przekrzywioną czapą śnieżną na główce i palcem na ustach, stała między krzakami i była jakby geniuszem tego zakątka, duchem milczenia — milczenia, które się odczuwało jako wyraźne przeciwieństwo głośnej rozmowy, a więc jako zamilknięcie, nie pozbawione jednak treści ani zna-

czenia. Dla obu mężczyzn byłaby to okazja do zdjęcia kapeluszy, gdyby je mieli; ale szli przecież z gołymi głowami — Hans Castorp także — więc tylko pełni trwożnej czci, z lekka się pochylając, postępowali gęsiego, jakby skłaniając się na prawo i na lewo, za Karen Karstedt, która ich prowadziła.

Cmentarz miał kształt nieregularny, ciągnął się najpierw w kształcie wąskiego prostokąta ku południowi, a potem dzielił się na dwie części, również prostokątne. Najwidoczniej kilkakrotnie trzeba go było powiększać i przyłączać doń nowe tereny. Pomimo to cała przestrzeń ogrodzona była już znowu zajęta, zarówno jej partie wzdłuż muru położone, jak i mniej uprzywilejowane, leżące pośrodku — tak że trudno było sobie wyobrazić, gdzie by się tu jeszcze dla kogoś znalazło pomieszczenie. Obcy przybysze przez dłuższy czas stąpali dyskretnie po wąskich ścieżkach i przejściach pomiędzy pomnikami, przystając od czasu do czasu, aby przeczytać nazwisko oraz datę urodzenia i śmierci. Pomniki i krzyże były bez pretensji — nie świadczyły o zbytnich staraniach. Co do napisów, to były to nazwiska ze wszystkich krańców świata — angielskie, rosyjskie lub w ogóle słowiańskie, także niemieckie, portugalskie i różne inne jeszcze; daty zaś miały jedną subtelną cechę: rozpiętość ich była uderzająco mała, różnica między rokiem urodzenia a rokiem śmierci wynosiła przeważnie niewiele więcej nad dwadzieścia lat — leżała tu więc sama młodość, która nigdzie jeszcze nie zapuściła korzeni i z różnych stron świata zjechała tutaj, aby ostatecznie przybrać poziomą pozycję. Mniej więcej w środku cmentarza, w miejscu gdzie najgęściej stłoczyły się mogiły, było małe, płaskie miejsce, długości ludzkiego ciała — było równe i puste, a po obu jego stronach znajdowały się dwa groby z zawieszonymi na pomnikach metalowymi wieńcami. Troje wędrowców mimo woli przystanąło. Stali tak, panna Karen trochę przed swymi towarzyszami, i czytali czule napisy na kamieniach: Hans Castorp niedbale, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, z na wpół otwartymi ustami i sennymi oczyma, młody Ziemssen nie tylko wyprostowany, ale nawet nieco w tył przechylony. Obaj równocześnie, w przystępie ciekawości, spojrzeli z boku ukradkiem na wyraz twarzy panny Karen Karstedt. Poczuli to jednak i stała zawstydzona i skromna, z głową nieco przechyloną ku przodowi, i uśmiechała się wymuszonym uśmiechem, ścignawszy usta i szybko mrugając oczami.

## Noc Walpurgi \*

Siedem miesięcy upływało w najbliższych dniach od przyjazdu młodego Hansa Castorpa; pięć dźwigał na grzbiecie Joachim w chwili przybycia kuzyna, dwanaście zatem się skończyło, a więc roczek — okrągły rok — okrągły w znaczeniu astronomicznym, od chwili gdy go tu odstawiła mała, mocna lokomotywa; w tym czasie ziemia obróciła się dokoła słońca i znalazła się w tym samym punkcie co wówczas. Był to czas karnawału. Ostatki zbliżały się i Hans Castorp dowiadywał się u Joachima, który siedział tu od roku, jak się to tutaj odbywa.

— Wspaniale — odpowiedział Settembrini, którego obaj kuzyni znowu spotkali podczas przedobiedniego spaceru. — Przepięknie — odpowiedział. — **Wesoło tu jakby w Praterze\*\***, zobaczy pan, inżynierze! Tu krecim się w **taneczny zwrot, świetni kawalerowie** — wydymając policzki kpił złośliwie i szyderczo, zgrabnie gestykulując rękami, głową i ramionami. — Czego pan chce? Przecież i w *maison de santé* odbywają się czasem bale wariatów i idiotów, jak czytałem — dlaczegoż by więc tutaj nie miały się odbywać? Program obejmuje najróżniejsze *danses macabres*, jak się pan zapewne domyśla. Niestety, pewna część zeszłorocznych uczestników zabawy tym razem nie będzie mogła się ukazać, bo zabawa kończy się już o 9.30...

— Jak to... Ach, to doskonale! — śmiał się Hans Castorp. — Ależ figlarz z pana! O wpół do dziesiątej! Słyszałeś, Joachimie? Za wcześnie mianowicie, aby „pewna część” zeszłorocznych uczestników mogła wziąć udział w zabawie, chociażby przez godzinę. Cha! cha! to niesamowite. To ta część właśnie, która tymczasem pożegnała się z „mięsem” raz na zawsze. Czy rozumiesz tę grę słów? W każdym razie jestem ciekaw! — powiedział. — Uważam za słuszne, że tak tu święta obchodzimy i w powszechnie przyjęty sposób zaznaczamy etapy naszego pobytu, a więc jakby karby, aby uniknąć monotonii niczym nie różniących się od siebie dni, która byłaby zbyt dziwna. Przeżyliśmy w pełni świadomości Boże Narodzenie, potem był Nowy Rok, a teraz nadchodzą zapusty. Później będzie Palmowa Niedziela (a czy można tu dostać obarzanki?), Wielki Tydzień, Wielkanoc i w sześć tygodni później Zielone Świątki, a zaraz potem najdłuższy dzień w roku — przesilenie letnie — rozumie pan, i znów zbliżać się zaczniemy ku jesieni...

---

\* Noc Walpurgi — tak lud niemiecki nazywa noc z 30 kwietnia na 1 maja, poprzedzającą dzień św. Walpurgi, opatki klasztoru w Heidenheim, zm. w roku 779. Według podań ludowych nocy tej odbywa się na górze Blocksberg — podobnie jak w polskich legendach na Łysej Górze — sabat czarownic i złych duchów. „Noc Walpurgi” to tytuł jednej z części „Fausta” Goethego.

\*\* Wesoło tu jakby w Praterze — cytata z „Fausta”, podobnie jak wszystkie dalsze cytaty zawarte w tym rozdziale, wyodrębnione w tekście, w przekładzie Władysława Kościelskiego.

— Dość! Dość! Dość! — zawołał Settembrini, wznosząc twarz ku niebu i przyciskając dłońmi skronie. — Niech pan zamilknie! Zabraniam panu w ten sposób popuszczać sobie cugli!

— Ależ przepraszam, mówię właśnie przeciwnie... Zresztą Behrens w końcu zdecyduje się zapewne na te zastrzyki, które mają dla mnie być odtrutką, bo mam wciąż trzydzieści siedem i cztery — pięć — sześć, a nawet siedem. To nie chce się zmienić! Jestem i pozostanę widocznie „wiecznym strapieniem”! Zresztą nie jestem skazany na długi pobyt tutaj; Radamantys nigdy mi nic określonego nie zamruczał, ale mówi, że nie miałyby sensu przerywać przedwcześnie leczenia, skoro przecież już tak długo jestem tu w górze i, że tak powiem, tyle czasu zainwestowałem. I na co zdałoby się, gdyby mi nawet jakiś termin wymienił? Nie miałyby to wielkiego znaczenia, bo gdyby powiedział na przykład pół roczku, byłoby to na pewno za krótko i trzeba by się przygotować na dłużej. Tak było z moim kuzynem: miał być gotów z początkiem tego miesiąca — gotów, to znaczy wyleczony, a tymczasem ostatnim razem Behrens dołożył mu jeszcze cztery miesiące aż do zupełnego wyleczenia — więc co się ma z tego? Wtedy więc będziemy właśnie mieli przesilenie letnie, jak to już powiedziałem bez żadnego zamiaru rozgniewania pana, i znowu zbliżać się będziemy ku zimie. Ale na razie mamy oczywiście dopiero ostatki; sły-  
szy pan przecież, iż, zdaniem moim, jest to bardzo dobrze, że odrabiamy wszystko kolejno, jak należy, tak jak jest w kalendarzu. Pani Stöhr powiedziała, że w łoży portiera można kupić trąbki dziecinne?

Było tak rzeczywiście: w ostatni wtorek już od samego rana, przy pierwszym śniadaniu, sły-  
chać było w sali jadalnej dźwięki różnych zabawnych instrumentów muzycznych, to grzechoczące, to dęte; podczas obiadu od stołu Gänsera, Rasmusena i panny Kleefeld fruwały serpentyny, a kilka osób, na przykład Marusia z okrągłymi oczyma, włożyło na głowę papierowe czapki, które również można było nabyć u kulawego portiera. Wieczorem zaś rozwinęła się w salonie i pokojach ogólnych zabawa świąteczna, której przebieg...

Na razie tylko nam wiadomo, do czego doprowadziła ta zabawa karnawałowa dzięki przedsiębiorczości Hansa Castorpa. Ale nie damy się bynajmniej porwać ani wyprowadzić ze stanu rozwagi przez nasze wiadomości, nie przyśpieszymy ani na jotę biegu wypadków, oddając czasowi należne mu honory, a nawet będziemy bieg ten powściągali, bo podzielamy cnotliwą nieśmiałość młodego Hansa Castorpa, która tak długo wstrzymywała rozwój owych wydarzeń.

Całe towarzystwo udało się po południu do Uzdrowiska, aby przypatrzeć się zapustnemu ruchowi ulicznemu. Spotykano po drodze maski, pierrotów i arlekinów

z grzechotkami; wywiązywała się walka na confetti pomiędzy pieszą publicznością a zamaskowanymi również pasażerami udekorowanych i rozbrzmiewających dzwo-  
neczkami sanek.

Wieczorem w wielkiej sali jadalnej wokół siedmiu stołów zebrano się na kolację w nastroju już bardzo karnawałowym, z zamiarem podtrzymywania nastroju ulicy w zamkniętym gronie. Papierowe czapki, grzechotki i gwizdawki portiera miały wielkie powodzenie, a prokurator Paravant dał początek dalszemu przebieraniu się: włożył na siebie damskie kimono, przypiął do głowy fałszywy warkocz (który — jak powszechnie i głośno zapewniano — był własnością pani konsulowej Wurmbrand) i zakreślił żelazkiem swe wąsy ku dołowi — co nadało mu wygląd prawdziwego Chińczyka. Zarząd sanatorium nie pozostał w tyle. Każdy z siedmiu stołów ozdobiony był barwnym papierowym lampionem w kształcie księżyca, oświetlonym od wnętrza świecą; na widok tej iluminacji Settembrini wszedłszy do sali i mijając stół Hansa Castorpa zacytował słowa poety:

Czy widzisz ogień ten wspaniały?  
Tam klub wesoły zawiązali.

Wypowiedział to z lekkim i subtelnym uśmiechem i zdążył dalej do swego stołu, gdzie przywitano go gradem małych pocisków napęcznionych pachnącym płynem. Kuleczki te, o cieniutkich ściankach, dochodząc do celu pękały i oblewały ofiarę perfumami.

Słowem, świąteczny humor był od początku bardzo wyraźny. Rozlegały się wybuchy śmiechu, serpentyny zwieszające się z żyrandoli powiewały w powietrzu, w sosie pieczeni pływało confetti, a wkrótce ukazała się karlica z pierwszą butelką szampana w kubelku z lodem; zaczęto mieszać burgunda z szampanem, do czego sygnał dał adwokat Einhuf, a kiedy ku końcowi kolacji pogaszono nawet światła u sufitu i sala oświetlona tylko barwnymi lampionami pogrążyła się w półmroku przypominającym „włoskie noce”, karnawałowy nastrój dosięgnął szczytu. Przy stole Hansa Castorpa podobała się bardzo napisana przez Settembriniego kartka, którą przesłał za pośrednictwem najbliższej niego siedzącej Marusi, przystrojonej w dżokejską czapeczkę z zielonej bibułki. Na kartce napisał ołówkiem:

A gdy wraz z błędnym ognikiem się błądzi,  
Lecz zważcie! szal dziś górą rządzi,  
Niejedno czasem się przydarza.

Dr Blumenkohl, który miał się znowu bardzo źle, wymamrotał coś ze swym zwyczajnym dziwnym grymasem twarzy czy też raczej ust; ze słów tych można

było wywnioskować, co to są za wiersze. Hans Castorp ze swej strony uważał, że powinien na wiersz odpowiedzieć, znaleźć jakąś żartobliwą replikę, która oczywiście mogła tylko dość nieciekawie wypaść; szukał więc ołówka po swych kieszeniach, ale go nie znalazł; nie mógł mu go też dać Joachim ani nauczycielka. Wówczas oczy jego z siecią czerwonych żyłek zwróciły się o pomoc ku Wschodowi, ku lewemu tylnemu kątowni sali, i widać było, jak przelotna jego chęć wyrodziła się nagle w tak daleko idące asocjacje, że zbladł i zapomniał zupełnie o swym pierwotnym zamiarze.

Zresztą były ku temu i inne powody. Pani Chauchat, siedząca tam w głębi, ubrała się specjalnie na tę noc karnawałową; miała na sobie nową suknię; w każdym razie taką, w jakiej Hans Castorp jeszcze jej nie widział. Była to suknia z lekkiego, ciemnego, prawie czarnego jedwabiu, mieniąca się nieco odcieniem złotobrazowym, z okrągłym, małym jak dla młodej dziewczyny wycięciem, które odsłaniało tylko szyję i część obojczyków, a z tyłu, przy lekkim pochyleniu głowy, kręgi karku pod luźno opadającymi włosami. Ramiona jednak były zupełnie obnażone: były to ramiona delikatne, chociaż dość pełne, chłodne w dotknięciu, jak przynajmniej można było domyślać się, a tak niezwykle białe, tak wstrząsająco odcinały się od ciemnego jedwabiu sukni, że Hans Castorp przymknąwszy oczy wyszeptał „Mój Boże!”. Tego fasonu sukni jeszcze nigdy nie widział. Znał balowe toalety, strojne i uroczyse, o znacznie większych dekoltach, ale były to wycięcia przepisowe i w przybliżeniu nawet nie wywierały tak sensacyjnego wrażenia.

Przede wszystkim błędnym okazało się poprzednie przypuszczenie biednego Hansa Castorpa, że kuszący powab, bezrozumny powab tych ramion, które poznał był już poprzez cienką gazę, z chwilą kiedy nie będą już, jak to nazywał, „opromienione” gazą, okaże się może mniej silny. Omyłka! Nieszczęsne złudzenie!

Pełna, jaskrawa, oślepiająca nagość tych wspaniałych członków zatrutego chorobą organizmu była o wiele silniej wstrząsającym niż tamto opromienienie zjawiskiem, na które nie było innej odpowiedzi, jak tylko pochylenie głowy i bezgłośnie powtarzane słowa „Mój Boże!”

Nieco później pojawiła się inna jeszcze kartka z następującym wierszem:

Wokoło towarzystwa kwiat!  
Z panienek każda róża,  
A z kawalerów każdy chwyt!  
Najlepszą przyszłość wróżą.

— Brawo! Brawo! — wołano. Siedziano już przy czarnej kawie, którą podawano w brunatnych kamiennych dzbanuszkach, ewentualnie też przy likierach,

które chętnie spijała na przykład pani Stöhr, kochająca się w słodkich napojach wysokowych. Towarzystwo zaczęło się rozpraszać, krążyć. Odwiedzano się wzajemnie, zmieniano miejsca przy stołach. Część towarzystwa przeniosła się już do salonów, inni pozostali w jadalni przy kieliszku mieszanego wina. Settembrini, z filiżaneczką czarnej kawy w ręce i wykałaczką w ustach, zjawił się teraz osobiście u stołu Hansa Castorpa i zajął miejsce na rogu, w charakterze hospitanta, pomiędzy nim a nauczycielką.

— Góry Harc — powiedział. — Okolica Schierke i Elend\*. Czy za wiele panu obiecywałem, inżynierze? Ot, co się zowie targowisko! Ale niech pan zaczeka, nasza pomysłowość nie wyczerpuje się jeszcze tak szybko, nie jesteśmy jeszcze u szczytu, nie mówiąc o tym, że do końca daleko! Będzie jeszcze więcej masek, jak słyhać. Niektóre osoby znikły, co daje pole do różnych domysłów, zobaczy pan.

Rzeczywiście ukazały się nowe kostiumy: panie po męsku, operetkowe i nieprawdopodobne z powodu obfitych kształtów, z brodami namalowanymi osmalonym korkiem; panowie, przeciwnie, w damskich toaletach, potykający się o długie spódnice, jak na przykład student Rasmussen, który w czarnej dżetowej sukni, z dekoltem pełnym pryszczu, zawzięcie wachlował sobie papierowym wachlarzem twarz, a nawet plecy. Ukazał się też kulawy żebrak, wsparty na kuli. Ktoś znowu sporządził sobie z białych kalesonów i damskiego filcowego kapelusza strój pierota, przypudrował mocno twarz, tak że oczy patrzyły nienaturalnie, a usta jaskrawo pomalował czerwoną kredką do warg. Był to ów chłopiec o paznokciu jak szufelka. Grek od gorszego stołu rosyjskiego, odznaczający się pięknymi nogami, przebrał się za granda hiszpańskiego czy też za księcia z bajki i dumnie kroczył w trykotowych kalesonach koloru lila, krótkim płaszczyku, papierowej kryzie i ze szpadą u pasa. Kostiumy te zaimprovizowano widać w pośpiechu, zaraz po kolacji. Pani Stöhr nie mogła już dłużej wytrzymać na swoim miejscu. Znikła nagle, a wkrótce ukazała się jako posługaczka, z zakasaną spódnicą, z podwiniętymi rękawami, zawiązanymi pod brodą wstążkami papierowego czepka, z wiadrem w ręce i zbrojna w szczotkę; nie zważając na siedzących gości wzięła się do szorowania podłogi pod stołami.

Stara Baubo\*\* też, jak może.

wyrecytował na jej widok Settembrini i dodał jeszcze rymujący się wiersz\*\*\* wyraż-

---

\* Góry Harc... — umiejscowienie „Nocy Walpurgi” w „Fauście”.

\*\* Baubo — wg mitologii greckiej rozpustna piastunka bogini Demeter.

\*\*\* Brzmi on: „Jedzie sobie na maciorze”.

nie i plastycznie. Usłyszała to, nazwała go „włoskim kogutem”, krzyknęła, aby swoje „sprośne kawałki” zachował dla siebie, mówiła mu przy tym „ty”, korzystając ze swobody maskaradowej, która już podczas kolacji wszechwładnie zapanowała. Właśnie chciał jej odpowiedzieć, gdy przeszkodził mu nowy wybuch śmiechu i hałas, który dochodził z hallu i zwrócił powszechną uwagę.

Na czele tłumu gości wychodzących z salonów pojawiły się dwie cudaczne figury, które widocznie teraz dopiero ukończyły swoje kostiumy. Jedna z nich miała na sobie czarny habit pielęgniarki, od góry do dołu obszyty poprzecznymi białymi plisami: krótsze ułożone były gęsto jedna pod drugą, między dłuższymi odstępy były rzadsze; wszystko to razem przypominało podziałkę termometru. Maską trzymała wskazujący palec na swych bladych ustach, a w drugiej ręce tabelkę z wykresem gorączki. Druga maska była cała ubrana na niebiesko: usta i brwi pomalowane na niebiesko, twarz i nawet szyję miała również niebieską, a niebieską wełnianą czapkę nasuniętą na ucho. Figura ta miała na sobie ubranie czy też pokrowiec z jednej sztuki lśniącego płótna — w kostkach ściągnięty był tasiemkami, a w środku wypchany tak, że tworzył okrągły brzuch. Poznano panią Iltis i pana Albina. Oboje mieli na piersiach tablice z napisami: „Niemowa” i „Niebieski Henryk”. Chwiejnym krokiem przesuwali się oboje dokoła sali.

Widowisko to wywołało huczne oklaski, rozległy się okrzyki. Pani Stöhr, ze szcztką pod pachą, z rękami na kolanach, śmiała się ordynarnie i ponad wszelką miarę, wpadając w rolę posługaczki. Tylko Settembrini pozostał obojętny. Usta jego pod pięknym łukiem wąsa zacisnęły się, gdy spojrzał przelotnie na obie przyjęte z takim entuzjazmem maski.

Pomiędzy gośćmi, którzy postępując w orszaku „Niemowy” i „Niebieskiego Henryka” wyszli z salonów, znajdowała się też Kławdia Chauchat. Przesuwała się w swej nowej sukni obok stołu Hansa Castorpa i szła na ukos do stołu młodego Gänsera i panny Kleefeld, w towarzystwie kędzierzawej Tamary i Bułygina, swego sąsiada o zapadniętej klatce piersiowej, ubranego we frak. Przystanąwszy przy stole, założyła ręce na plecy i śmiejąc się wąskimi szparami oczu rozmawiała z ożywieniem, podczas gdy jej towarzysze poszli dalej za alegorycznymi upiorami i wraz z nimi opuścili salę. Pani Chauchat przystroiła się także w karnawałową czapkę; nie była to nawet kupiona czapka, ale sporządzona ze zwykłego białego papieru złożonego w trójkąt, jak to się robi dla dzieci. Włożyła ją w poprzek i było jej w tym prześlicznie. Ciemnobrązowa suknia jedwabna o złotawym połysku sięgała jej tylko do kostek, spódnica miała fason nieco bufiasty. O ramionach nic tu już nie powiemy. Były nagie aż po barki.



— Miarkuj dokładnie, kto ona... — usłyszał Hans Castorp, jak gdyby z daleka, głos Settembriniego. Wiódł za nią oczami, gdy w chwilę później szła ku szklanym drzwiom i wreszcie znikła w sali. — To Lilith.

— Kto? — zapytał Hans Castorp. Literat ucieszył się i rzekł:

— Adama pierwsza żona, miej się na straży...

Oprócz nich obu siedział jeszcze przy stole tylko dr Blumenkohl, na jednym z dalszych miejsc. Joachim i reszta współbiesiadników przeniosła się już do salonów ogólnych.

Hans Castorp powiedział:

— Jesteś dziś pełen poezji i cytaty. Cóż to znów za Lilli? Czyżby Adam był dwa razy żonaty? Nie miałem pojęcia...

— Tak chce hebrajska legenda. Ta Lilith stała się nocnym upiorem niebezpiecznym dla młodzieńców, zwłaszcza wskutek swych pięknych włosów.

— Ej, do diabła! Upiór z pięknymi włosami! Nie lubisz takich rzeczy, prawda? Więc przychodzisz i załączasz, że tak powiem, elektryczne światło, aby młodzieńców sprowadzić z błędnej drogi. Czyż nie? — rzekł jakby fantazjując Hans Castorp. Wypił tego wieczora dużo mieszanego wina.

— Inżynierze, proszę dać temu spokój! — zawołał Settembrini rozkazującym tonem i ściągnawszy brwi. — Proszę, niech się pan zwraca do mnie w zwykłej formie, przyjętej w cywilizowanych krajach Zachodu, to znaczy przez „pan”. Wcale nie jest panu do twarzy z tym, w czym pan tu próbuje swych sił.

— Ależ jak to! Wszak mamy karnawał. Dzisiaj wieczorem jest to powszechnie przyjęte...

— Tak, bo tkwi w tym pewien nieprzystojny powab. Mówienie „ty” do ludzi obcych, a więc takich, do których należy mówić „pan”, jest objawem wstrętnej dzikości, igraniem ze stosunkami pierwotnymi, obrzydliwym igraniem, którego nie znoszę, bo zwraca się w gruncie rzeczy przeciwko cywilizacji i dojrzałemu człowieczeństwu — zwraca się bezczelnie i bezwstydnie! Ja panu także nie powiedziałem „ty” — proszę sobie tego nie wmawiać! Cytowałem tylko fragment jednego z arcydzieł pańskiej literatury narodowej. Mówiłem więc w sposób poetycki...

— Ja również! Ja też mówię poniekąd w sposób poetycki — bo chwila wydaje mi się po temu odpowiednia, dlatego tak mówię. Wcale nie utrzymuję, że wydaje mi się rzeczą całkiem naturalną i łatwą mówić „ty”, przeciwnie, to wymaga pewnego wysiłku, przewyciężenia się z mej strony, muszę się do pewnego stopnia zmusić, aby to zrobić, ale czynię to chętnie, z radością i z serca...

— Z serca?

— Tak, z serca, możesz mi wierzyć. Już od tak dawna jesteśmy tu razem — siedem miesięcy, jeżeli policzysz. Może to niewiele w naszych warunkach, tu w górze, ale przecież jest to szmat czasu w pojęciach panujących na dole, o ile sobie przypominam. Otóż przeżyliśmy ten czas wspólnie, bo życie obu nas tu przywiodło; widywaliśmy się prawie codziennie i prowadziliśmy często rozmowy na różne tematy, częściowo o rzeczach, których na dole nie byłbym w ogóle zrozumiał. Tu natomiast dobrze je rozumiem. Tutaj wydały mi się bardzo ważne i bliskie, tak że zawsze gdyśmy dyskutowali, zajmowały mnie w najwyższym stopniu. Albo raczej, gdy ty wyjaśniałeś mi te sprawy, jako homo humanus; gdyż ja, przy swym dotychczasowym braku doświadczenia, nie miałem, naturalnie, wiele do powiedzenia i zawsze mogłem tylko uważać za niezwykle godne słyszenia to, co mówiłeś. Dzięki tobie tylu rzeczy się dowiedziałem, tyle zrozumiałem... To, coś mówił o Carduccim, to jeszcze najmniej ważne, ale na przykład to, w jaki sposób republika jest związana z pięknym stylem albo czas z postępem ludzkości, to, że gdyby czas nie istniał, nie byłoby i postępu, a świat wyglądałby jak stojąca woda lub cuchnąca kałuża... Cóż wiedziałbym o tym wszystkim, gdyby nie ty? Nazywam cię po prostu „ty” i poza tym nie tytułuję cię, wybac, ponieważ nie wiedziałbym — jak; nie potrafię tego. Siedzisz tu oto przede mną, a ja mówię ci po prostu „ty”, i to wystarcza. Nie jesteś dla mnie jakimś tam człowiekiem o pewnym nazwisku, ale jesteś dla mnie symbolem, panie Settembrini, przedstawicielem czegoś — tutaj i u mojego boku, tym jesteś — podkreślił Hans Castorp i uderzył dłonią w obrus. — I dlatego chcę ci wreszcie podziękować — mówił dalej i przysunął swój kieliszek z mieszaniną szampana i burgunda do filiżaneczki pana Settembriniego, by trącić się z nim. — Chcę ci podziękować, żeś przez te siedem miesięcy tak uprzejmie się mną zajmował, mną, niedowarzoną smarkaczką, na którego zważyło się tyle wrażeń; żeś był mi pomocą w ćwiczeniach i eksperymentach, że starałeś się wpływać na mnie, pouczać mnie zupełnie sine pecunia to opowiadaniem, to wykładami o formie abstrakcyjnej. Czuję wyraźnie, że nadeszła odpowiednia chwila, aby ci za to wszystko podziękować i prosić o przebaczenie, jeżeli byłem złym uczniem, „wiecznym dla życia strapieniem”, jak mnie nazwałeś. Ta nazwa mnie bardzo wzruszyła i ile razy ją sobie przypomnę, wzrusza mnie na nowo. Wiecznym strapieniem byłem także dla ciebie, i dla twej żyłki pedagogicznej, o której mówiłeś ze mną zaraz pierwszego dnia. Naturalnie — to jeszcze jeden związek, który przede mną odsłoniłeś, związek między humanizmem a pedagogiką. Na pewno przypomnę sobie z czasem i inne. Przebac mi więc i nie myśl o mnie źle! Piję na twoją intencję, za twoje zdrowie! Wychyłam kielich na cześć twoich literackich wysiłków skierowanych ku wytepie-

niu ludzkiego cierpienia! — zakończył i pochyliwszy się w tył, wypił kilkoma wielkimi haustami mieszane wino. Potem wstał. — A teraz chodźmy do reszty towarzystwa.

— Słuchaj pan, inżynierze, co panu do głowy strzeliło? — spytał Włoch, z oczami pełnymi zdumienia, i wstał również od stołu. — To brzmi jak pożegnanie...

— Ależ nie, dlaczego pożegnanie? — powiedział Hans Castorp wymijająco; wymijający — dosłownie, w znaczeniu fizycznym — był również ruch kolisty, który wykonał górną częścią swego ciała, tak że musiał chwycić się nauczycielki, panny Engelhart, która właśnie po nich przyszła.

Zawiadomiła ich, że w pokoju muzycznym radca Behrens własnoręcznie rozdziela karnawałowy poncz, zafundowany przez zarząd sanatorium, jeżeli panowie chcą jeszcze zdobyć po szklaneczce, mówiła, niech się spieszą! Poszli więc.

Rzeczywiście, otoczony gośćmi, którzy wyciągali do niego małe szklanki z uszkami, stał radca Behrens przy okrągłym biało nakrytym stole w środku pokoju i chochlą czerpał z wazy buchający parą napój. I on z powodu karnawału ożywił nieco swój zwykły strój: miał na sobie jak co dzień lekarski kitel, bo praca w zakładzie nigdy nie ustawała, ale na głowę włożył szkarłatny, prawdziwy turecki fez z czarnym kwastem, który mu dyndał nad uchem; to połączenie stanowiło dla niego dostateczny kostium i wystarczyło, aby jego i skądinąd charakterystyczną postać uczynić bardziej jeszcze niezwykłą i zabawną. Długi biały kitel wydłużał jeszcze figurę pana radcy, a gdyby abstrahować w myśli od pochylenia głowy i całą postać wyprostować, to wydałby się po prostu nadnaturalnej wielkości olbrzymem o małej, jaskrawo przybranej i niezwyklej głowie. Przynajmniej młodemu Hansowi Castorpowi twarz ta nigdy jeszcze nie wydała się tak dziwaczną jak dziś, w tej błazeńskiej czapce: ta płaska twarz z zadartym nosem i z sinymi, rozpalonymi policzkami, w której pod jasnymi brwiami wzbierały łzami niebieskie oczy, a nad łukowato zakreślonymi, wykrzywionymi ustami sterczały uniesione z jednej strony w górę blond wąsiki. Odwracając się od kłębów pary buchającej z wazy, nalewał w nadstawione łukiem szklanki brązowy, rumem przyprawiony słodki poncz, bez przerwy przy tym perorując swoim zabawnym żargonem, tak że raz po raz wybuchały wokoło stołu salwy śmiechu.

— P a n U r i a n \* nam przoduje — wyjaśnił po cichu Settembrini, z lekkim ruchem ręki w kierunku radcy dworu, po czym pociągnięto go w stronę Hansa Castorpa. Dr Krokowski był także obecny. Niski, krępy, jędrny w zarzuconym na

---

\* Pan Urian — ludowa nazwa diabła.

ramiona czarnym satynowym kitlu, który wyglądał jak domino, trzymał swoją szklanę na wysokości oczu i wesoło rozmawiał z grupą masek poprzebieranych w stroje odmiennych płci. Zabrzmiała muzyka. Pacjentka z twarzą tapira grała na skrzypcach, przy akompaniamencie mannheimczyka, Largo Händla, a potem sonatę Griega, o charakterze narodowym i salonowym. Oklaskiwano ich życzliwie, nawet przy dwóch rozstawionych stolikach, gdzie w maskach i bez masek grano w bridża. Obok grających stały butelki w kubelkach napełnionych lodem. Wszystkie drzwi były otwarte, w hallu również było pełno gości. Dokoła stołu z wazą ponczu stała grupa osób i przypatrywała się radcy Behrensowi, który pokazywał jakąś sztukę.

Polegała ona na tym, że stojąc, zamknawszy oczy, pochylony nad stołem, z podniesioną w górę głową, aby wszyscy mogli widzieć, że oczy ma naprawdę zamknięte, rysował ołówkiem na odwrotnej stronie biletu wizytowego jakąś figurę. Były to kontury świnki, którą jego olbrzymia ręka narysowała z profilu, bez współudziału oczu. Rysunek był nieco uproszczony, raczej idealny niż realistyczny, ale bądź co bądź były to niewątpliwie kontury świnki z profilu, narysowane w tak niezwykle utrudnionych warunkach. Była to naprawdę nie byle jaka sztuka i udała mu się doskonale. Szpara oczka znajdowała się mniej więcej tam, gdzie być powinna, trochę za blisko ryjka, ale mniej więcej na swoim miejscu; podobnie było ze spiczastym uchem na głowie, z nóżkami zwisającymi u okrągłego brzucha; a przedłużona linia grzbietu pięknie, jako ogonek, zakreślała się w kółko. Wołano z różnych stron „ach!”, i wiele osób porwanych ambicją cisnęło się do stołu, aby naśladować mistrza. Ale niewiele było takich, które by potrafiły z otwartymi oczami narysować świnkę, a cóż dopiero z zamkniętymi! Co za potworki wychodziły spod ich ołówków! Pomiedzy członkami nie było najmniejszego związku. Oczko wypadło poza głowę, nóżki znajdowały się w brzuchu, którego kontury były linią krzywą nie zamkniętą, a ogonek związał się w kółko gdzieś na boku, tworząc samoistną arabską, nie związaną organicznie ze zniekształconym zarysem reszty ciała. Pękano ze śmiechu. Przybywali nowi ochotnicy. Nawet przy stolikach bridżowych zainteresowano się tą zabawą, i grający, z kartami w ręku ułożonymi w wachlarz, zbliżali się ciekawie do stołu. Widzowie kołem stojący patrzyli pilnie na oczy tego, który właśnie próbował swych sił, czy przypadkiem nie mruga, czego się niektórzy w poczuciu swej nieudolności dopuszczali; chichotano i parszano na widok błędów, jakie popełniał rysujący na oślepie, i podnoszono radosne krzyki, gdy stworzywszy oczy spoglądał w końcu na swe absurdalne dzieło. Zbytek ufności we własne siły pobudzał każdego do próby. Bilet wizytowy, chociaż dość duży, szybko pokrył się z obydwu stron rysunkami, tak że nieudane figury zachodziły jedna na drugą. Radca Behrens poświęcił więc jeszcze jeden bilet, wydobywszy go ze swego portfela, a proku-

rator Paravant po dłuższym namyśle postanowił narysować świnkę jedną nieprzerwaną linią, ale skutek był taki, że jego niepowodzenie przewyższyło wszystkie poprzednie: ornament stworzony przez niego nie tylko nie przedstawiał świnki, ale nie wykazywał najmniejszego podobieństwa do niczego na świecie. Wśród ogólnego poruszenia posypały się powinszowania i burzliwe wybuchy śmiechu! Przy-niesiono z sali jadalnej karty ze spisem potraw, tak że więcej osób, pań i panów, mogło jednocześnie rysować; wszyscy współzawodnicy mieli swoich widzów i kontrolerów, a każdy z nich był znowu pretendentem do ołówka, którym się właśnie posługiwano. Ołówków było tylko trzy — wrywano je sobie z rąk. Były one własnością gości. Radca Behrens, zainicjowawszy tę zabawę i widząc, że jest w pełnym toku, znikł wraz ze swym towarzyszem.

Hans Castorp, stojąc w tłumie za Joachimem, przypatrywał się rysującym, oparł łokieć na ramieniu kuzyna, podparł podbródek wszystkimi pięcioma palcami, a drugą ręką wziął się pod bok. Dużo mówił i śmiał się. Chciał także rysować, wyrażał głośno to życzenie i dostał wreszcie ołówek, króciutki i prawie zupełnie wypisany; zaledwie można go było ująć pomiędzy wielki a wskazujący palec. Wymyślał z tego powodu, wznosząc do góry twarz z zamkniętymi oczami, wymyślał głośno i klął niezdatność ołówka, rysując jednocześnie nieopanowanymi ruchami jakieś idiotyczne straszidło, z którym w zapędzie zjechał z kartonu na obrus. — To się nie liczy — wołał wśród wybuchów śmiechu, na który zasłużył — jakże można czymś takim... do diabła z tym! — i wrzucił ołówek, który był sprawcą złego, do wazy z ponczem. — Kto ma porządny ołówek? Kto mi pożyczycy? Muszę jeszcze raz spróbować! Ołówka! Ołówka! Kto ma jeszcze ołówek? — wołał na wszystkie strony, z lewym łokciem jeszcze opartym o stół, potrząsając drugą ręką podniesioną do góry. Nie dostał. Wtedy obrócił się i wszedł do sąsiedniego pokoju nie przestając wołać. Szedł prosto ku Kławdii Chauchat, która, jak wiedział, stała niedaleko portiery u drzwi prowadzących do małego salonu, skąd z uśmiechem na ustach obserwowała zabawę przy stole z ponczem.

Usłyszał za sobą wołanie, dźwięczne cudzoziemskie wyrazy:

— Eh! Ingegnere! Aspetti! Che cosa fa! Ingegnere! Un po' di ragione, sa! Ma è matto questo ragazzo!\* — Ale zagłuszył te okrzyki swoim własnym głosem, wobec czego pan Settembrini, z ręką wzniesioną nad głowę, ruchem ogólnie w jego ojczyźnie przyjętym, który niełatwo na słowa przetłumaczyć i któremu towarzyszyło przeciągłe „Ech!”, opuścił karnawałowe towarzystwo. A Hans Castorp stał już

---

\* Eh! Ingegnere... (wł.) — Ech! Inżynierze! Proszę zaczekać! Co pan robi! Inżynierze! Trochę rozsądku! Ależ ten chłopiec to szaleniec.

na podwórzu wyłożonym klinkierem i patrząc z bliska w niebieskoszarozielone skośne oczy z fałdami nakątnymi, spoglądające sponad wystających kości policzkowych powiedział:

— Czy t y przypadkiem nie masz ołówka?

Był śmiertelnie blady; tak blady jak wtedy, kiedy krwią zbroczony przyszedł na odczyt ze swego samotnego spaceru. Nerwy naczyniowe jego twarzy zostały wprawione w ruch, krew odpłynęła z tego młodego oblicza, a skóra na nim, blada i zimna zapadła się, nos się zaostrzył, obwódki wokoło oczu nabrały barwy ołowianej jak u trupa. Serce Hansa Castorpa pod działaniem nerwu sympatycznego biło jak młotem, tak że o regularnym oddychaniu mowy być nie mogło, ciałem zaś młodzieńca wstrząsały dreszcze, pod wpływem czynności gruczołów łojowych skóry, które się wyprężyły wraz z torebkami włosowymi.

Kobieta w papierowym kapeluszu mierzyła go wzrokiem od stóp do głowy, z uśmiechem, w którym nie było ani cienia litości lub zaniepokojenia na widok okropnej zmiany w jego wyglądzie. Płeć ta nie zna w ogóle takiej litości ani takiego niepokoju wobec grozy namiętności — żywiołu, najwidoczniej lepiej jej znanego niż mężczyźnie, dla którego z natury jest on obcy. Spotykając mężczyznę na terenie tego żywiołu, nie wita go kobieta nigdy bez szyderstwa i złośliwej radości. Zresztą Hans Castorp podziękowałby zapewne pięknie za litość i troskliwość.

— Ja? — zapytała pacjentka o nagich ramionach, w odpowiedzi na wyraz „ty”... — Być może. — W jej uśmiechu i głosie było jednakże coś z podniecenia, jakie się zjawia, gdy po długiej milczącej znajomości padają pierwsze słowa — z chytrego podniecenia obejmującego skrycie w tej chwili wszystko, co było już dawniej.

— Jesteś bardzo ambitny... bardzo... gorliwy — drwiła dalej egzotycznym akcentem, wymawiając z cudzoziemską literę „r” swym miłym, zawoalowanym, lekko zachrypniętym głosem, i błędnie akcentując słowa, co brzmiało już całkiem obco. Mówiąc to, grzebała w swej skórzanej torebce i wyciągnęła spod chusteczki do nosa, którą najpierw wyjęła, małeńki, srebrny crayon, cienki i kruchy, taki sobie drobiazg galanteryjny, niezbyt zdatny do poważniejszego użytku. Tamten, poprzedni ołówek, był daleko solidniejszy.

— Voilà — rzekła i pokazała mu go, trzymając za ostry koniec wielkim i wskazującym palcem, i z lekka nim wywijając.

Podawała mu go, a jednocześnie przytrzymała, tak że brał go nie odbierając, to znaczy: trzymał rękę na wysokości ołówka, tuż przy nim, z palcami gotowymi do ujęcia go, ale nie chwycił, go, lecz patrzył ze swych ołowianych oczodołów na prze-

mian na przedmiot i na tatarską twarz Kławdii. Jego bezkrwiste wargi były otwarte, i tak zostały; nie posługując się nimi przy mówieniu, rzekł:

— Widzisz, wiedziałem przecież, że będziesz miała ołówek.

— Prenez garde, il est un peu fragile — rzekła. — C'est à visser, tu sais.\*

Głowy ich pochylili się ku sobie, a ona pokazywała mu nieskomplikowany mechanizm ołówka, polegający na tym, że po odkręceniu śrubki wypadał cieniutki jak igła, zapewne bardzo twardy i nie nadający się do pisania sztyfcik grafitowy. Stali blisko siebie. Ponieważ był w ubraniu wizytowym, miał tego wieczora sztywny kołnierzyk i mógł na nim oprzeć swój podbródek.

— Mały, ale za to twój — powiedział patrząc na ołówek, z czołem przy jej czole; usta jego były przy tym nieruchome, tak że opuścił głoskę „m”.

— O! jesteś także dowcipny — odpowiedziała zaśmiawszy się krótko. Wyprostowała się i oddała mu wreszcie ołówek. (Zresztą, czyż mogła być mowa o jakimkolwiek dowcipie, gdy przecież najwidoczniej nie było ani jednej kropli krwi w jego głowie.) — No więc idź, spiesz się, rysuj, rysuj dobrze, pokaż, co umiesz — mówiła żartobliwie, jak gdyby odpędzając go od siebie.

— Nie, ty jeszcze nie rysowałaś, więc ty musisz teraz rysować — powiedział, opuszczając „m” w słowie „musisz” i odstał krok w tył, jak gdyby ją chciał pociągnąć za sobą.

— Ja? — powiedziała po raz drugi, ze zdziwieniem, którego źródłem było coś innego jeszcze oprócz jego wezwania. Lekko zmieszana i uśmiechnięta stała jeszcze w miejscu, ale po chwili uległa jego magnetyzującemu ruchowi wstecz i zrobiła kilka kroków w kierunku stołu z ponczem.

Okazało się jednak, że zabawa tam była już na ukończeniu. Ktoś jeszcze rysował, ale nie było już wokół niego ciekawych. Porozrzucane kartki pokryte były niezdatnymi rysunkami; każdy dowiódł swej nieudolności i stół niemal opustoszał, zwłaszcza że rozpoczął się już ruch w innym kierunku. Gdy się przekonano, że lekarze odeszli, zaczęto nagle domagać się tańców. Już odsuwano stół i stawiano warty u drzwi gabinetu do pisania i pokoju muzycznego, z poleceniem, aby dały znak ostrzegawczy w razie, gdyby ukazał się ponownie „stary”, Krokowski albo starsza siostra. Pewien młody Słowianin uderzył z przejęciem w klawisze małego pianina z orzechowego drzewa, i pierwsze pary poczęły wirować pośrodku nieregularnego koła, utworzonego przez fotele i krzesła, które zajęli widzowie.

Hans Castorp ruchem ręki pożegnał odsuwany stół, jak gdyby mówił „Bądź

---

\* Prenez garde... (franc.) — Proszę uważać, jest dość delikatny. Można go wykręcać, wiesz.

zdrów!” a podbródkiem wskazał na wolne miejsca, które zauważył w saloniku w ustronnym kącie przy portierze. Nie mówił nic, może dlatego, że muzyka była zbyt głośna. Przysunął dla pani Chauchat pluszowy fotel, z oparciem ujętym w drewnianą ramę, na miejsce, które przedtem pantomimicznie wskazał, a dla siebie trzeszczący i skrzypiący trzcinyowy fotel z zaokrąglonymi poręczami. Usiadł na nim, pochylony ku niej, z ramionami opartymi na poręczach, z ołówkiem w ręku, z nogami daleko wsuniętymi pod fotel. Ona zaś przybrała pozycję niemal leżącą w pluszowym fotelu, wskutek czego kolana jej były nieco za wysoko wzniesione; ale pomimo to założyła jedno na drugie i bujała w powietrzu nogą, której kostka ponad brzegiem czarnego lakierowanego pantofelka obciągnięta była również czarnym jedwabiem pończochy. Przed nimi siedzieli inni ludzie; wstawali, aby tańczyć, a ich miejsca zajmowali ci, co już byli zmęczeni. Zmieniali się bezustannie.

— Masz nową suknię — rzekł Hans Castorp, aby móc się jej przyglądać; i usłyszał odpowiedź:

— Nową? Znasz moje toalety?

— Czy nie mam racji?

— Owszem. Dałam ją sobie niedawno zrobić u Lukačka we Wsi. On szyje dla wielu pań tutaj na górze. Podoba ci się?

— Bardzo — odpowiedział obejmując ją raz jeszcze spojrzeniem i spuścił oczy. — Czy chciałabyś zatańczyć? — dodał.

— A ty, czy chciałbyś? — odpowiedziała z uśmiechem i podniósłszy brwi.

— Chciałbym, gdybyś miała ochotę.

— Spodziewałam się po tobie więcej rozsądku — odpowiedziała, a ponieważ zaśmiał się lekceważąco, dodała:

— Twój kuzyn już poszedł.

— Tak, to mój kuzyn — powiedział niepotrzebnie — ja też przedtem widziałem, że odszedł; zapewne już się położył.

— C'est un jeune homme très étroit, très honnête, très allemand.\*

— Étroit? Honnête? — powtórzył. — Lepiej rozumiem po francusku, niż mówię. Chcesz powiedzieć, że jest pedantem. Czy uważasz nas Niemców za pedantów — nous autres Allemands?

— Nous causons de votre cousin. Mais c'est vrai, jeteście trochę bourgeois. Vous aimez l'ordre mieux que la liberté, toute l'Europe le sait.

---

\* Przekład całego dialogu między Castorpem i Kławdią patrz str. 347.



— Aimer... aimer... Qu'est-ce que c'est! Ça manque de définition, ce mot-là. Co jeden kocha, to drugi ma, comme nous disons proverbialement — twierdził Hans Castorp. — Nieraz w ostatnich czasach — ciągnął dalej — myślałem o wolności. To znaczy, często słyszałem ten wyraz, więc później zastanawiałem się nad nim. Je te le dirai en français, co myślałem. Ce que toute l'Europe nomme la liberté, est peut-être une chose assez pédante et assez bourgeoise en comparaison de notre besoin d'ordre — c'est ça!

— Tiens! C'est amusant. C'est ton cousin à qui tu penses en disant des choses étranges comme ça?

— Nie, c'est vraiment une bonne âme, prosta, nie obciążona niczym natura, tu sais. Mais il n'est pas bourgeois, il est militaire.

— Nie obciążona niczym? — powtórzyła z trudem... — Tu veux dire: une nature tout à fait ferme, sûre d'elle-même? Mais il est sérieusement malade, ton pauvre cousin.

— Kto to powiedział?

— Tutaj wiemy wszystko o sobie.

— Czy powiedział ci to radca Behrens?

— Peut-être en me faisant voir ses tableaux.

— C'est-à-dire, en faisant ton portrait!

— Pourquoi pas. Tu l'as trouvé réussi, mon portrait?

— Mais oui, extrêmement. Behrens a très exactement rendu ta peau, oh vraiment très fidèlement. J'aimerais beaucoup être portraitiste, moi aussi, pour avoir l'occasion d'étudier ta peau comme lui.

— Parlez allemand, s'il vous plaît!

— Och! czynię to nawet wtedy, gdy mówię po francusku. C'est une sorte d'étude artistique et médicale — en un mot: il s'agit des lettres humaines, tu comprends. A teraz czy nie chciałabyś zatańczyć?

— Ależ nie, to dzieciństwo. En cachette des médecins. Aussitôt que Behrens reviendra, tout le monde va se précipiter sur les chaises. Ce sera fort ridicule.

— Taki masz przed nim respekt?

— Przed kim? — zapytała krótko, z cudzoziemskim akcentem.

— Przed Behrensem.

— Mais va donc avec ton Behrens! Zresztą za ciasno tu do tańca. Et puis sur le tapis... Popatrzmy lepiej, jak inni tańczą.

— Owszem, dobrze — zgodził się blady, zamyślony, niebieskimi oczyma swego dziadka patrząc siedząc przy niej na podrygujących zamaskowanych pacjentów w salonie i dalej w czytelni. Podskakiwała tu „Niemowa” z „Niebieskim Henrykiem”, a pani Salomon przebrana za mężczyznę, we fraku i białej kamizelce, z silnie zaokrąglonym sztywnym gorsem koszuli, z monoklem i wymalowanym wąsikiem, tańczyła w małych lakierkach z wysokimi obcasami, nienaturalnie wyzierających spod męskich czarnych spodni — tańczyła z pierrotem, którego krwiste wargi jaskrawo odbijały od białej upudrowanej twarzy, a oczy podobne były do oczu królika-albinosa. Grek o pięknych nogach, w lila trykotach i krótkim płaszczyku, trzymał w objęciach wydekoltowanego i połyskującego ciemnym blaskiem Rasmusena; pan prokurator w kimonie, pani konsulowa Wurmbrand i młody Gänser tańczyli nawet w trójkę, objawszy się ramionami; a co się tyczy pani Stöhr, to tańczyła ze swoją szczotką, którą przyciskała do serca i głaskała po szczecinie, jak gdyby to były włosy sterczące na ludzkiej głowie.

— Owszem, popatrzmy — powtórzył machinalnie Hans Castorp. Rozmawiali po cichu, wśród dźwięków fortepianu. — Będziemy tu siedzieli i patrzyli jak we śnie. Bo dla mnie, musisz wiedzieć, jest jak sen, że tu razem siedzimy — comme un rêve singulièrement profond, car il faut dormir très profondément pour rêver comme cela... Je veux dire: c'est un rêve bien connu, rêvé de tout temps, long, éternel, oui, être assis près de toi comme à présent, voilà l'éternité.

— Poète! — powiedziała. — Bourgeois, humaniste et poète — voilà l'Allemand au complet, comme il faut!

— Je crains, que nous ne soyons pas du tout et nullement comme il faut — odpowiedział. — Sous aucun égard. Nous sommes peut-être des wicczne strapienia, tout simplement.

— Joli mot. Dis-moi donc... Il n'aurait pas été fort difficile de rêver ce rêvelà plus tôt. C'est un peu tard que monsieur se résoud à adresser la parole à son humble servante.

— Pourquoi des paroles? — powiedział. — Pourquoi parler? Parler, discourir, c'est une chose bien républicaine; je le concède. Mais je doute que ce soit poétique au même degré. Un de nos pensionnaires, qui est un peu devenu mon ami, M. Settembrini...

— Il vient de te lancer quelques paroles.

— Eh bien, c'est un grand parleur sans doute, il aime même beaucoup à réciter de beaux vers — mais est-ce un poète, cet homme-là?

— Je regrette sincèrement de n'avoir jamais eu le plaisir de faire la connaissance de ce chevalier.

— Je le crois bien.

— Ah! Tu le crois.

— Comment? C'était une phrase tout à fait indifférente, ce que j'ai dit là. Moi, tu le remarques bien, je ne parle guère le français. Pourtant, avec toi je préfère cette langue à la mienne, car pour moi parler français, c'est parler sans parler, en quelque manière — sans responsabilité, ou comme nous parlons en rêve. Tu comprends?

— A peu près.

— Ça suffit... Parler — ciągnął dalej Hans Castorp — pauvre affaire! Dans l'éternité, on ne parle point. Dans l'éternité, tu sais, on fait comme en dessinant un petit cochon: on penche la tête en arrière et on ferme les yeux.

— Pas mal, ça! Tu es chez toi dans l'éternité, sans aucun doute, tu la connais à fond. Il faut avouer que tu es un petit rêveur assez curieux.

— Et puis — powiedział Hans Castorp — si je t'avais parlé plus tôt, il m'aurait fallu te dire „vous”!

— Eh bien, est-ce que tu as l'intention de me tutoyer pour toujours?

— Mais oui. Je t'ai tutoyée de tout temps et je te tutoierai éternellement.

— C'est un peu fort, par exemple. En tout cas tu n'auras pas trop longtemps l'occasion de me dire „tu”. Je vais partir.

Trzeba było pewnego czasu, aby słowo to dotarło do jego świadomości. Potem drgnął i powiódł dokoła siebie nieprzytomnymi oczyma, jak człowiek nagle zbudzony z głębokiego snu. Rozmowa ich toczyła się powoli, ponieważ Hans Castorp z pewnym wysiłkiem i jakby z wahaniem mówił po francusku. Dźwięki fortepianu, na krótko zamarłe, zabrzmiały na nowo, tym razem pod palcami mannheimczyka, który zastąpił młodego Słowianina i rozłożył nuty na pulpicie. Panna Engelhart siedziała przy nim i obracała kartki. Towarzystwo przerzedziło się. Większa ilość uczestników przybrała już widocznie pozycję poziomą. Przed nimi nie było nikogo. W czytelnicy grano w karty.

— Co robisz? — zapytał osłupiały Hans Castorp..

— Wyjeżdżam — powtórzyła z uśmiechem udając, że ją dziwi jego osłupienie.

— To niemożliwe — powiedział — to tylko żart.

— Wcale nie; mówię zupełnie poważnie. Jadę.

— Kiedy?

— Ależ jutro. Après dîner.

Coś w nim nagle gwałtownie runęło. Zapytał:

— Dokąd?

— Bardzo daleko.

— Do Dagestanu? ’

— Tu n’es pas mal instruit. Peut-être, pour le moment...

— Czy jesteś wyleczona?

— Quant à ça... non. Ale Behrens jest zdania, że na razie pobyt tutaj już mi dużo nie da. C’est pourquoi je vais risquer un petit changement d’air.

— A więc powrócisz!

— To jeszcze pytanie. A przede wszystkim nie wiadomo kiedy. Quant à moi, tu sais, j’aime la liberté avant tout et notamment celle de choisir mon domicile. Tu ne comprends guère ce que c’est: être obsédé d’indépendance. C’est de ma race, peut-être.

— Et ton mari au Daghestan te l’accorde — ta liberté?

— C’est la maladie qui me la rend. Me voilà à cet endroit pour la troisième fois. J’ai passé un an ici, cette fois. Possible que je revienne. Mais alors tu seras bien loin depuis longtemps.

— Tak sądzisz, Kławdio?

— Mon prénom aussi! Vraiment, tu les prends bien au sérieux les coutumes du carnaval!

— Czyżbyś wiedziała, jaki jest właściwie stan mojego zdrowia?

— Oui — non — comme on sait ces choses ici. Tu as une petite tache humide là-dedans et un peu de fièvre, n’est-ce pas?

— Trente-sept et huit ou neuf l’après-midi — powiedział Hans Castorp. — A ty?

— Oh, mon cas, tu sais, c’est un peu plus compliqué... pas tout à fait simple.

— Il y a quelque chose dans cette branche de lettres humaines dite la médecine — powiedział Hans Castorp — qu’on appelle bouchement tuberculeux des vases de lymphe.

— Ach! Tu as mouchardé, mon cher, on le voit bien.

— Et toi... Przepraszam! Pozwól mi zadać sobie teraz po niemiecku jedno ważne pytanie: kiedy wstałem wtedy od stołu i udałem się na badanie, sześć miesięcy temu... Wtedy odwróciłaś się, by na mnie spojrzeć, pamiętasz?

— Quelle question! Il y a six mois!

— Czy wiedziałaś, dokąd idę?

— Certes, c'était tout à fait par hasard...

— Wiedziałaś o tym od Behrensa?

— Toujours ce Behrens!

— Oh! il a représenté ta peau d'une façon tellement exacte... D'ailleurs, c'est un veuf aux joues ardentes et qui possède un service à café très remarquable... Je crois bien qu'il connaît ton corps non seulement comme médecin, mais aussi comme adepte d'une autre discipline de lettres humaines.

— Tu as décidément raison de dire que tu parles en rêve, mon ami.

— Soit... Laisse-moi rêver de nouveau après m'avoir réveillé si cruellement par cette cloche d'alarme de ton départ. Sept mois sous tes yeux. Et à présent, où en réalité j'ai fait ta connaissance, tu me parles de départ!

— Je te répète, que nous aurions pu causer plus tôt,

— Czy chciałaś tego?

— Moi? Tu ne m'échapperas pas, mon petit. Il s'agit de tes intérêts, à toi. Est-ce que tu étais trop timide pour t'approcher d'une femme à qui tu parles en rêve maintenant, ou est-ce qu'il y avait quelqu'un qui t'en a empêché?

— Je te l'ai dit. Je ne voulais pas te dire „vous”.

— Farceur. Réponds donc — ce monsieur beau-parleur, cet Italien-là, qui a quitté la soirée — qu'est-ce qu'il t'a lancé tantôt?

— Je n'en ai entendu absolument rien. Je me soucie très peu de ce monsieur, quand mes yeux te voient. Mais tu oublies... il n'aurait pas été ci facile du tout de faire ta connaissance dans le monde. Il y avait encore mon cousin avec qui j'étais lié et qui incline très peu à s'amuser ici: il ne pense à rien qu'à son retour dans les plaines, pour se faire soldat.

— Pauvre diable. Il est, en effet, plus malade qu'il ne sait. Ton ami italien du reste ne va pas trop bien non plus...

— Il le dit lui-même. Mais mon cousin... Est-ce vrai? Tu m'effraies.

— Fort possible qu'il aille mourir, s'il essaye d'être soldat dans les plaines.

— Qu'il va mourir. La mort. Terrible mot, n'est-ce pas? Mais c'est étrange, il ne m'impressionne pas tellement aujourd'hui, ce mot. C'était une façon de parler bien conventionnelle, lorsque je disais „Tu m'effraies”. L'idée de la mort ne m'effraie pas. Elle me laisse tranquille. Je n'ai pas pitié — ni de mon bon Joachim ni de moi-même, en entendant qu'il va peut-être mourir. Si c'est vrai, son état ressemble beaucoup au mien et je ne le trouve pas particulièrement imposant. Il est moribond, et moi, je suis amou-reux, eh bien! — Tu as parlé à mon cousin à l'atelier de photographie intime, dans l'antichambre, tu te souviens.

— Je me souviens un peu.

— Donc ce jour-là Behrens a fait ton portrait transparent!

— Mais oui.

— Mon Dieu! Et l'as-tu sur toi?

— Non, je l'ai dans ma chambre.

— Ah, dans ta chambre. Quant au mien, je l'ai toujours dans mon portefeuille. Veux-tu que je te le fasse voir?

— Mille remerciements. Ma curiosité n'est pas invincible. Ce sera un aspect très innocent.

— Moi, j'ai vu ton portrait extérieur. J'aimerais beaucoup mieux voir ton portrait intérieur, qui est enfermé dans ta chambre... Laisse-moi demander autre chose! Parfois un monsieur russe qui loge en ville vient te voir. Qui est-ce? Dans quel but vient-il cet homme?

— Tu es joliment fort en espionnage, je l'avoue. Eh bien, je réponds. Oui, c'est un compatriote souffrant, un ami. J'ai fait sa connaissance à une autre station balnéaire, il y a quelques années déjà. Nos relations? Les voilà: nous prenons notre ensemble, nous fumons deux ou trois papiros, et nous bavardons, nous philosophons, nous parlons de l'homme, de Dieu, de la vie, de la morale, de mille choses. Voilà mon compte rendu. Es-tu satisfait?

— De la morale aussi! Et qu'est-ce que vous avez trouvés en fait de morale, par exemple?

— La morale? Cela t'intéresse? Eh bien, il nous semble, qu'il faudrait chercher la morale non dans la vertu, c'est à dire dans la raison, la discipline, les bonnes moeurs, l'honnêteté — mais plutôt dans le contraire, je veux dire: dans le péché, en s'abandonnant au danger, à ce qui est nuisible, à ce qui nous consume. Il nous semble qu'il est plus moral de se perdre et même de se laisser dépérir que de se conserver. Les grands moralistes n'étaient point des vertueux, mais des aventuriers dans

le mal, des vicieux, de grands pécheurs qui nous enseignent à nous incliner chrétiennement devant la misère. Tout ça doit te déplaire beaucoup, n'est-ce pas?

Milczał. Siedział wciąż tak jak z początku, z nogami skrzyżowanymi pod trzeszczącym fotelem, z ołówkiem w rękę i pochylony ku leżącej pani Chauchat w papierowym, spiczastym kapeluszu na głowie, niebieskimi oczami Hansa Lorenza Castorpa patrzył spod oka na pokój, który już opustoszał. Goście rozpierzchli się. Fortepian stojący w przeciwnym kącie dźwięczał jeszcze z cicha urywanymi tonami, które wydobywał jedną ręką chory mannheimczyk; obok niego siedziała nauczycielka i przerzucała kartki nut leżących na jej kolanach. Kiedy zamilkła rozmowa między Hansem Castorpem i Klawdią Chauchat, pianista przestał zupełnie grać i opuścił na kolana rękę, którą uderzał w klawisze, a panna Engelhart nadal patrzyła w nuty. Cztery ostatnie osoby spośród uczestników nocy karnawałowej siedziały nieruchomo. Cisza trwała przez kilka minut. Głowy siedzącej przy pianinie pary powoli schylały się pod jej działaniem coraz niżej: głowa mannheimczyka ku klawiaturze, a panny Engelhart ku nutom na kolanach. Wreszcie oboje jednocześnie, jak gdyby za tajnym porozumieniem, podnieśli się ostrożnie i cicho, na palcach, umyślnie starając się nie patrzeć na nie opuszczony jeszcze tamten kąt pokoju, z głowami wtulonymi w ramiona i sztywnie opuszczonymi rękami, oddalili się przez czytelną.

— Tout le monde se retire — powiedziała pani Chauchat. — C'était les derniers; il se fait tard. Eh bien, la fête de carnaval est finie. — I podniosła obie ręce, aby zdjąć papierowy kapelusz ze swych rudawych włosów, które, splecione w warkocz, na kształt wieńca otaczały jej głowę. — Vous connaissez les conséquences, monsieur.

Ale Hans Castorp potrząsnął przecząco głową, nie otwierając oczu i nie zmieniając pozycji. Odpowiedział:

— Jamais, Clawdia. Jamais je dirai „vous”, jamais de la vie, ni de la mort, jeśli można się tak wyrazić — a powinno się móc. — Cette forme de s'adresser à une personne, qui est celle de l'Occident cultivé et de la civilisation humanitaire, me semble fort bourgeoise et pédante. Pourquoi, au fond, de la forme? La forme, c'est la pédanterie elle-même! Tout ce que vous avez fixé à l'égard de la morale, toi et ton compatriote souffrant — tu veux sérieusement que ça me surprenne? Pour quel sot me prends-tu? Dis donc, qu'est-ce que tu penses de moi?

— C'est un sujet qui ne donne pas beaucoup à penser. Tu es un petit bonhomme convenable, de bonne famille, d'une tenue appétissante, disciple docile de ses précepteurs et qui retournera bientôt dans les plaines, pour oublier complètement

qu'il a jamais parlé en rêve ici et pour aider à rendre son pays grand et puissant par son travail honnête sur le chantier. Voilà ta photographie intime, faite sans appareil. Tu la trouves exacte, j'espère?

— Il y manque quelques détails que Behrens y a trouvés.

— Ah, les médecins en trouvent toujours, ils s'y connaissent...

— Tu parles comme M. Settembrini. Et ma fièvre. D'où vient-elle?

— Allons donc, c'est un incident sans conséquence qui passera vite.

— Non, Clawdia, tu sais bien que ce que tu dis là, n'est pas vrai, et tu le dis sans conviction, j'en suis sûr. La fièvre de mon corps et le battement de mon coeur harassé et le frissonnement de mes membres, c'est le contraire d'un incident, car ce n'est rien d'autre — i blada jego twarz z drżącymi ustami pochyliła się bardziej ku jej twarzy — rien d'autre que mon amour pour toi, oui, cet amour qui m'a saisi à l'instant, où mes yeux t'ont vue, ou, plutôt, que j'ai reconnu, quand je t'ai reconnue, toi — et c'était lui, évidemment, qui m'a mené à cet endroit...

— Quelle folie!

— Oh, l'amour n'est rien, s'il n'est pas de la folie, une chose insensée, défendue et une aventure dans le mal. Autrement c'est une banalité agréable, bonne pour en faire de petites chansons paisibles dans les plaines. Mais quant à ce que je t'ai reconnue et que j'ai reconnu mon amour pour toi — oui, c'est vrai, je t'ai déjà connue, anciennement, toi et tes yeux merveilleusement obliques et ta bouche et ta voix, avec laquelle tu parles — une fois déjà, lorsque j'étais collégien, je t'ai demandé ton crayon, pour faire enfin ta connaissance mondaine, parce que je t'aimais irraisonnablement, et c'est de là, sans doute, c'est de mon ancien amour pour toi, que ces marques me restent que Behrens a trouvées dans mon corps, et qui indiquent que jadis aussi j'étais malade...

Zęby mu szczykały. Mając tak, wyciągnął jedną nogę spod trzeszczącego fotela i posunąwszy ją naprzód, drugim kolaniem dotknął podłogi, tak że klęczał obok niej z głową schyloną i drżąc na całym ciele. — Je t'aime — bełkotał — je t'ai aimée de tout temps, car tu es le Toi de ma vie, mon rêve, mon sort, mon envie, mon éternel désir...

— Allons, allons! — powiedziała. — Si tes précepteurs te voyaient...

Ale on z wyrazem rozpaczki potrząsnął głową i, pochyliwszy twarz nad dywanem, odpowiedział:

— Je m'en ficherais, je me fiche de tous ces Carducci et de la République éloquente et du progrès humain dans le temps, car je t'aime!



Lekko pogładziła jego włosy krótko ostrzyżone nad karkiem.

— Petit bourgeois! — powiedziała. — Joli bourgeois à la petite tache humide. Est-ce vrai que tu m'aimes tant.

Uszczęśliwiony jej dotknięciem, klęcząc już teraz na obu kolanach, mówił dalej, z głową w tył odrzuconą i zamkniętymi oczami:

— On, l'amour, tu sais... Le corps, l'amour, la mort, ces trois ne font qu'un. Car le corps, c'est la maladie et la volupté, et c'est lui qui fait la mort, oui, ils sont charnels tous deux, l'amour et la mort, et voilà leur terreur et leur grande magie! Mais la mort, tu comprends, c'est d'une part chose mal famée, impudente qui fait rougir de honte; et d'autre part c'est une puissance très majestueuse — beaucoup plus haute que la vie riante gagnant de la vie riante gagnant de la monnaie et farcissant sa panse — beaucoup plus vénérable que le progrès qui bavarde par les temps — parce qu'elle est l'histoire et la noblesse et la piété et l'éternel et le sacré qui nous fait tirer le chapeau et marcher sur la pointe des pieds... Or, de même, le corps, lui aussi, et l'amour du corps, sont une affaire indécente et fâcheuse, et le corps rougit et pâlit à sa surface par frayeur et honte de lui-même. Mais aussi il est une grande gloire adorable, image miraculeuse du ventre, et le sexe obscur entre les cuisses! forme de la beauté et l'amour pour lui, pour le corps humain, c'est de même un intérêt extrêmement humanitaire et une puissance plus éducative que toute la pédagogie du monde!... Oh, enchantante beauté organique qui ne se compose ni de teinture à l'huile ni de pierre, mais de matière vivante et corruptible, pleine du secret fébrile de la vie et de la pourriture! Regarde la symétrie merveilleuse de l'édifice humain, les épaules et les hanches et les mamelons fleurissants de part et d'autre sur la poitrine, et les côtes arrangées par paires, et le nombril au milieu dans la mollesse du ventre, et le sexe obscur entre les cuisses! Regarde les omoplates se remuer sous la peau soyeuse du dos, et l'échine qui descend vers la luxuriance double et fraîche des fesses, et les grandes branches des vases et des nerfs qui passent du tronc aux rameaux par les aisselles, et comme la structure des bras correspond à celle des jambes. Oh, les douces régions de la jointure intérieure du coude et du jarret avec leur abondance de délicatesses organiques sous leurs coussins de chair! Quelle fête immense de les caresser, ces endroits délicieux du corps humain! Fête à mourir sans plainte après! Oui, mon Dieu, laisse-moi sentir l'odeur de la peau de ta rotule, sous laquelle l'ingénieuse capsule articulaire secrète son huile glissante! Laisse-moi toucher dévotement de ma bouche l'Arteria femoralis qui bat au front de ta cuisse et qui se divise plus bas en les deux artères du tibia! Laisse-moi ressentir l'exhalation de tes

pores et tâter ton duvet, image humaine d'eau d'albumine, destinée pour l'anatomie du tombeau, et laisse-moi périr mes lèvres aux tiennes!

Nie otworzył oczu, kiedy przestał mówić; pozostał, jak był, z odrzuconą głową, z rękami wyciągniętymi przed siebie, trzymając wciąż srebrny ołówek, drżąc i chwiejąc się na kolanach. Ona odezwała się:

— Tu es en effet un galant qui sait solliciter d'une manière, profonde, à l'allemande.

I włożyła mu na głowę papierowy kapelusz.

— Adieu, mon prince Carnaval! Vous aurez une mauvaise ligne de fièvre ce soir, je vous le prédis.

To mówiąc, ześliznęła się z krzesła, przesunęła się po dywanie w kierunku drzwi, ale zawahała się w progu; na wpół odwrócona w tył, wzniosła jedno z obnażonych ramion i wsparła rękę na zawiasie. Powiedziała cicho:

— N'oubliez pas de me rendre mon crayon.

I wyszła.

C'est un jeune homme très étroit... —

— To młodzieniec bardzo skrupulatny, bardzo uczciwy, prawdziwy Niemiec.

— Skrupulatny? Uczciwy? — powtórzył. — Lepiej rozumiem po francusku, niż mówię. Chcesz powiedzieć, że jest pedantem. Czy uważasz nas Niemców za pedantów? — nas Niemców?

— Mówimy o pańskim kuzynie. Ale to prawda, jesteście trochę mieszczańscy. Kochacie porządek bardziej niż wolność, cała Europa wie o tym.

— Kochać... kochać... Co to znaczy? Nie ma definicji tego słowa. Co jeden kocha, to drugi ma, jak mówi nasze przysłowie — twierdził Hans Castorp. — Nieraz w ostatnich czasach — ciągnął dalej — myślałem o wolności. To znaczy, często słyszałem ten wyraz, więc później zastanawiałem się nad nim. Powiem ci po francusku, co myślałem. To, co cała Europa nazywa wolnością, jest może rzeczą dość pedantyczną i dość mieszczańską w porównaniu z naszą potrzebą porządku — tak!

— Proszę! To zabawne. Czy myślisz o swoim kuzynie mówiąc takie dziwne rzeczy?

— Nie, to naprawdę dobra dusza, prosta, nie obciążona niczym natura, wiesz. Ale on nie jest mieszczański, to duch wojskowy.

— Nie obciążona niczym? — powtórzyła z trudem... — Chcesz powiedzieć: natura niezłomna, pewna siebie? Ale ten twój biedny kuzyn jest poważnie chory.

— Kto to powiedział?

— Tutaj wiemy wszystko o sobie.

— Czy wiedziałas, dokąd idę?

— Być może — kiedy pokazywał mi swoje obrazy.

— To znaczy, kiedy cię portretował!

— Czemu nie. Uważasz, że mój portret jest udany?

— Ależ owszem, niezwykle. Behrens odtworzył twoją skórę z wielką dokładnością, tak, naprawdę bardzo wiernie. Chciałbym bardzo być również portrecistą, aby mieć sposobność studiowania twojej skóry tak jak on.

— Proszę, niech pan mówi po niemiecku.

— Och! czynię to nawet wtedy, gdy mówię po francusku. Jest to rodzaj studium z dziedziny sztuki i medycyny — słowem, chodzi tu o nauki humanistyczne, rozumiesz. A teraz, czy nie chciałabyś zatańczyć?

— Ależ nie, to dzieciństwo. W tajemnicy przed lekarzami. Gdy tylko Behrens wróci, wszyscy prędko usiądą na krzesłach. To będzie bardzo komiczne.

— Taki masz przed nim respekt?

— Przed kim? — zapytała krótko z cudzoziemskim akcentem.

— Przed Behrensem.

— Dajże spokój z tym twoim Behrensem! Zresztą za ciasno tu do tańca. A ponadto na dywanie... Popatrzmy lepiej, jak inni tańczą.

— Owszem, dobrze — zgodził się blady, zamyślony, niebieskimi oczami swego dziadka patrzył, siedząc przy niej, na podrygujących zamaskowanych pacjentów w salonie i dalej w czytelnicy. Podskakiwała tu „Niemowa” z „Niebieskim Henrykiem”, a pani Salomon przebrana za mężczyznę, we fraku i białej kamizelce, z silnie zaokrąglonym sztywnym gorsem koszuli, z monoklem i wymalowanym wąsikiem, tańczyła w małych lakierkach z wysokimi obcasami, nienaturalnie wycierających spod męskich czarnych spodni — tańczyła z pierrotem, którego krwiste wargi jaskrawo odbijały od białej upudrowanej twarzy, a oczy podobne były do oczu królika-albinosa. Grek o pięknych nogach, w lila trykotach i krótkim płaszczyku, trzymał w objęciach wydekoltowanego i połyskującego ciemnym blaskiem Rasmussena; pan prokurator w kimonie, pani konsuLOWA Wurmbrand i młody Gänser tańczyli nawet we trójkę, objąwszy się ramionami; a co się tyczy pani Stöhr, to tańczyła ze swoją szczotką, którą przyciskała do serca i głaskała po szczecinie, jak gdyby to były włosy sterczące na ludzkiej głowie.

— Owszem, popatrzmy — powtórzył machinalnie Hans Castorp. Rozmawiali po cichu, wśród dźwięków fortepianu. — Będziemy tu siedzieli i patrzyli jak we śnie. Bo dla mnie, musisz wiedzieć, jest jak sen, że tu razem siedzimy — jak sen niezwykle głęboki, bo trzeba bardzo głęboko spać, aby tak śnić... A właściwie: jest to sen dobrze mi znany, który śnię od niepamiętnych czasów, dawny, odwieczny, tak — siedzieć przy tobie tak jak teraz, oto wieczność.

— Poeto! — powiedziała. — Mieszczanin, humanista i poeta — oto cały Niemiec, jak należy!

— Obawiam się, że wcale a wcale nie jesteśmy jak należy — odpowiedział. — Pod żadnym względem. Jesteśmy może po prostu wieczne strapienia.

— To ładnie powiedziane. Powiedzże mi... Można było bez wielkich trudności śnić ten sen wcześniej. Nieco późno łaskawy pan decyduje się przemówić do swej unizonej służki.

— Przemówić, po co? — powiedział. — Po co mówić? Mówić, rozprawiać — to rzecz bardzo republikańska, przyznaję. Ale wątpię, czy równie poetyczna. Jeden z bawiących tu gości, z którym się nieco zaprzyjaźniłem, pan Settembrini...

— Przed chwilą wołał coś za tobą.

— Otóż ten człowiek umie niewątpliwie pięknie mówić, lubi nawet bardzo recytować piękne wiersze — ale czyż jest poetą?

— Żałuję niezmiernie, że nigdy nie miałam przyjemności poznać tego kawalera.

— Wierzę ci.

— Ach! Wierzysz.

— Co? To, co teraz powiedziałem, nie ma żadnego znaczenia. Jak widzisz, w ogóle nie umiem po francusku. Ale w rozmowie z tobą przenoszę ten język nad swój ojczysty, gdyż dla mnie mówić po francusku to poniekąd mówić nie mówiąc — bez odpowiedzialności lub też tak, jak mówimy we śnie. Rozumiesz?

— Prawie.

— To wystarczy... Mówić — ciągnął dalej Hans Castorp — to żałosna sprawa! W wieczności wcale się nie mówi. W wieczności, wiesz, robi się to samo, co przy rysowaniu świnki: odchyła się głowę w tył i przyryka się oczy.

— To wcale nieźle! Czujesz się w wieczności jak u siebie w domu, niewątpliwie, znasz ją do głębi. Trzeba przyznać, że jesteś dość interesującym małym marzycielem.

— A zresztą — powiedział Hans Castorp — gdybym był z tobą wcześniej rozmawiał, musiałbym mówić ci „pani”!

— Jak to, czyżbyś miał zamiar mówić mi już zawsze „ty”?

— Ależ tak. Zawsze mówiłem ci „ty” i będą tak mówił po wszystkie czasy.

— No, tego to już trochę za dużo. W każdym razie nie będziesz miał zbyt długo sposobności mówienia mi „ty”. Wyjeżdżam.

Trzeba było pewnego czasu, aby słowo to dotarło do jego świadomości. Potem drgnął i powiódł dokoła siebie nieprzytomnymi oczyma, jak człowiek nagle zbudzony z głębokiego snu. Rozmowa ich toczyła się powoli, ponieważ Hans Castorp z pewnym wysiłkiem i jakby z wahaniem mówił po francusku. Dźwięki fortepianu, na krótko zamarłe, zabrzmiały na nowo, tym razem pod palcami mannheimczyka, który zastąpił młodego Słowianina i rozłożył nuty na pulpicie. Panna Engelhart siedziała przy nim i obracała kartki. Towarzystwo przerzedziło się. Większa ilość uczestników przybrała już widocznie pozycję poziomą. Przed nimi nie było nikogo. W czytelnym grono w karty.

— Co robisz? — zapytał osłupiały Hans Castorp.

— Wyjeżdżam — powtórzyła z uśmiechem, udając, że ją dziwi jego osłupienie.

— To niemożliwe — powiedział — to tylko żart.

— Wcale nie; mówię zupełnie poważnie. Jadę.

— Kiedy?

— Ależ jutro. Po obiedzie.

Coś w nim gwałtownie runęło. Zapytał:

— Dokąd?

— Bardzo daleko.

— Do Dagestanu?

— Jesteś nieźle poinformowany. Może, na razie...

— Czyż jesteś wyleczona?

— Co to, to nie. Ale Behrens jest zdania, że na razie pobyt tutaj już mi dużo nie da. Dlatego odważę się na małą zmianę powietrza.

— A więc powrócisz?

— To jeszcze pytanie. A przede wszystkim nie wiadomo, kiedy. Co do mnie, widzisz, kocham wolność ponad wszystko w świecie, a zwłaszcza swobodę wybierania sobie miejsca pobytu. Nie wyobrażasz sobie, co to znaczy być opętanym pragnieniem niezależności. Jest to może właściwością mojej rasy.

— A twój mąż w Dagestanie pozwala ci na tę wolność?

— Moja choroba mi ją zwraca. Jestem tu już po raz trzeci. Tym razem spędziłam tu cały rok. Możliwe, że wrócę. Ale ciebie wtedy już dawno tu nie będzie.

— Tak sądzisz, Kławdio?

— Także moje imię! Doprawdy — bierzesz zwyczajnie karnawałowe bardzo na serio!

— Czyżbyś wiedziała, jaki jest właściwie stan mojego zdrowia?

— Tak i nie — tak jak się te rzeczy tutaj wie. Masz małą wilgotną plamkę w środku i trochę gorączki, prawda?

— Trzydzieści siedem i osiem lub dziewięć po południu — powiedział Hans Castorp. — A ty?

— Ach, mój przypadek, widzisz, jest trochę bardziej skomplikowany... nie całkiem prosty.

— Istnieje coś takiego w tej gałęzi nauk humanistycznych, która się zwie medycyną — powiedział Hans Castorp — co nosi nazwę gruźliczego zaczopowania naczyń limfatycznych.

— Ach, najwyraźniej zabawieś się w szpiega, mój drogi.

— A ty... Przepraszam! Pozwól mi zadać sobie teraz po niemiecku jedno ważne pytanie: kiedy wstałem wtedy od stołu i udałem się na badanie, sześć miesięcy temu... Wtedy odwróciłaś się, by na mnie spojrzeć, pamiętasz?

— Co za pytanie! Sześć miesięcy temu!

— Czy powiedział ci to radca Behrens?

— Owszem, całkiem przypadkowo...

— Wiedziałaś o tym od Behrensa?

— Wciąż ten Behrens!

— Ach! On odtworzył twoją skórę w sposób tak ścisły... Zresztą jest to wdowiec o pałających policzkach i posiada niezwykle serwis do kawy... Jestem przekonany, że zna twoje ciało nie tylko jako lekarz, lecz także jako adept innej gałęzi nauk humanistycznych.

— Masz stanowczo słuszość twierdząc, że mówisz we śnie, mój przyjacielu.

— Dobrze... Pozwól mi znowu śnić, zbudziwszy mnie tak okrutnie alarmującą wieścią o twoim wyjeździe. Siedem miesięcy w pobliżu ciebie... a teraz, kiedy rzeczywiście cię poznałem, mówisz mi o wyjeździe!

— Powtarzam ci, że mogliśmy rozmawiać z sobą wcześniej.

— Czy chciałaś tego?

— Ja? Nie wykręcisz się sianem, mój mały. Chodzi o twoje sprawy. Czy byłeś zbyt nieśmiały, aby zbliżyć się do kobiety, do której mówisz teraz we śnie, czy też ktoś ci w tym przeszkadzał?

— Powiedziałem ci już. Nie chciałem do ciebie mówić „pani”.

— Wolne żarty. Powiedźże, co ten pan, który tak pięknie mówi, ten Włoch, który opuścił zabawę, co on takiego wołał za tobą przed chwilą?

— Nie słyszałem ani słowa. Nie dbam o tego pana, kiedy oczy moje widzą ciebie. Ale zapominasz... nie byłoby rzeczą wcale tak łatwą nawiązać z tobą stosunki towarzyskie. Był przecież mój kuzyn, z którym byłem wciąż razem i który niewielką ma ochotę bawić się tutaj: myśli tylko o powrocie na równinę, aby wstąpić do wojska.

— Biedaczek. Jest w rzeczywistości bardziej chory, niż przypuszcza. Zresztą twój włoski przyjaciel jest też w nie najlepszym stanie.

— Sam o tym mówi. Ale mój kuzyn... Czy naprawdę? Przerażasz mnie.

— Może nawet umrzeć, jeśli spróbuje wstąpić do wojska tam na dole.

— Może umrzeć. To straszne słowo, prawda? Ale dziwna rzecz, to słowo nie robi na mnie

dzisiaj takiego wrażenia. Było to czysto konwencjonalne powiedzenie, te moje słowa: „Przerażasz mnie”. Myśl o śmierci mnie nie przeraża. Myślę o niej ze spokojem. Nie lituję się ani nad poczciwym Joachimem, ani nad sobą samym, słysząc, że może umrzeć. Jeśli tak jest istotnie, stan jego jest bardzo podobny do mojego i nie widzę w nim nic szczególnie imponującego. On jest skazany na śmierć, a ja jestem zakochany, no cóż! — Rozmawiałaś z moim kuzynem w gabinecie rentgenologicznym, w poczekalni, pamiętasz.

— Przypominam sobie coś niecoś.

— A więc tego dnia Behrens sporządził twój przezroczysty portret!

— No tak.

— Boże! Czy masz go przy sobie?

— Nie, mam go w swoim pokoju.

— Ach, w twoim pokoju. Ja mam swoje zdjęcie zawsze w portfelu. Czy mam ci je pokazać?

— Bardzo dziękuję. Ciekawość moja nie jest niepoohamowana. Będzie to widok bardzo niewinny.

— Co do mnie, widziałem twój portret zewnętrzny. Wolałbym zobaczyć twój portret wewnętrzny, który jest w twoim pokoju... Ale pozwól, że cię o coś innego zapytam! Przychodzi do ciebie czasem pewien Rosjanin, który mieszka w mieście. Kto to jest? W jakim celu ten człowiek przychodzi?

— Masz wybitny talent szpiegowski, przyznaję. A więc, odpowiadam. Tak jest, to chory rodak, mój bliski znajomy. Poznałam go w innym uzdrowisku, już przed kilku laty. Nasze stosunki? Otóż pijemy razem herbatę, wypalamy dwa lub trzy papierosy i gawędzimy, filozofujemy, mówimy o człowieku, o Bogu, o życiu, o moralności — o tysiącu spraw. Oto moje sprawozdanie. Czy ci to wystarcza?

— Także o moralności! A do jakich wniosków doszliście w dziedzinie moralności, na przykład?

— Moralność? To cię interesuje? Otóż zdaje nam się, że należałoby szukać moralności nie w cnocie, to znaczy nie w rozumie, w dyscyplinie, obyczajności, w uczciwości, lecz raczej w ich przeciwieństwie, to znaczy: w grzechu, nie stroniąc od niebezpieczeństwa, od tego, co szkodliwe, co nas trawi. Wydaje nam się, że jest rzeczą moralniejszą zgubić się samemu, a nawet dopuścić do zupełnej swej zagłady, niż zbytnio troszczyć się o siebie. Wielcy moralności nie byli wcale ludźmi cnotliwymi, lecz śmiałkami, którzy nie cofali się przed złem, ludźmi występnyymi, wielkimi grzesznikami, którzy nas uczą chrześcijańskiej pokory wobec zła. To wszystko bardzo ci się pewnie nie podoba, prawda?

Milczał. Siedział wciąż tak jak z początku, z nogami skrzyżowanymi pod trzeszczącym fotelom, z ołówkiem w rękę i pochylony ku leżącej pani Chauchat w papierowym, spiczastym kapeluszu na głowie, niebieskimi oczami Hansa Lorenza Castorpa patrzył spod oka na pokój, który już opustoszał. Goście rozpięchli się. Fortepian stojący w przeciwległym kącie dźwięczał jeszcze z cicha urywanymi tonami, które wydobywał jedną ręką chory mannheimczyk; obok niego siedziała nauczycielka i przerzucała kartki nut leżących na jej kolanach. Kiedy zamilkła rozmowa między Hansem Castorpem i Kławdią Chauchat, pianista przestał zupełnie grać i opuścił na kolana rękę, którą uderzał w klawisze, a panna Engelhart nadal patrzyła w nuty. Cztery ostatnie osoby spośród uczestników nocy karnawałowej siedziały nieruchomo. Cisza trwała przez kilka

minut. Głowy siedzącej przy pianinie pary powoli schylały się pod jej działaniem coraz niżej: głowa mannheimczyka ku klawiaturze, a panny Engelhart ku nutom na kolanach. Wreszcie oboje jednocześnie, jak gdyby za tajnym porozumieniem, podnieśli się ostrożnie i cicho, na palcach, umyślnie starając się nie patrzeć na nie opuszczony jeszcze tamten kąć pokoju, z głowami wtulonymi w ramiona i sztywnie opuszczonymi rękami, oddalili się przez czytelnię.

— Wszyscy odchodzą — powiedziała pani Chauchat. — Ci państwo byli ostatni; późno się robi. A zatem, zabawa karnawałowa się skończyła. — I podniosła obie ręce, by zdjąć papierowy kapelusz ze swych rudawych włosów, które, splecione w warkocz, na kształt wieńca otaczały jej głowę. — Następstwa są panu znane.

Ale Hans Castorp przecząco potrząsnął głową, nie otwierając oczu i nie zmieniając pozycji. Odpowiedział:

— Nigdy, Kławdio. Nigdy nie powiem ci „pani”, nigdy w życiu i nigdy w śmierci, jeśli można się tak wyrazić — a powinno się móc. — Ten sposób zwracania się do innych osób, sposób przyjęty przez kulturalny Zachód i cywilizowaną ludzkość, wydaje mi się bardzo mieszczański i pedantyczny. Po co, w gruncie rzeczy, jest forma? Forma to tylko pedanteria! Czyż wszystko, do czegoście doszli w dziedzinie moralności, ty i twój chory rodak, naprawdę miało mnie zaskoczyć? Czy uważasz mnie za głupca? Powiedz, co właściwie myślisz o mnie?

— Jest to temat, który niewiele daje do myślenia. Jesteś sobie poczciwym, dobrze ułożonym młodym człowiekiem z dobrej rodziny, o ujmującej powierzchowności, jesteś pojętym uczniem swoich nauczycieli, który niebawem wróci na równinę, gdzie zupełnie zapomni, że kiedykolwiek mówił tutaj we śnie, i gdzie uczciwą pracą w stoczni będzie się przyczyniał do wielkości i potęgi swojej ojczyzny. Oto twoja wewnętrzna fotografia, zrobiona bez aparatu. Mam nadzieję, że uważasz ją za wierną?

— Brak w niej kilku szczegółów, które znalazł Behrens.

— Ach, lekarze zawsze je znajdują, znają się na tym...

— Mówisz jak pan Settembrini. A moja gorączka? Skąd ona pochodzi?

— Dajże spokój z tym twoim Behrensem! Zresztą za szybko minie.

— Nie, Kławdio, wiesz dobrze, że to, co tu mówisz, nie jest prawdą, i mówisz to bez przekonania, jestem tego pewien. Gorączka mego ciała i bicie mego znękanego serca, i drżenie moich członków — wszystko to jest przeciwieństwem incydentu, bo jest niczym innym — i blada jego twarz z drżącymi ustami pochyliła się bardziej ku jej twarzy — niczym innym tylko moją miłością do ciebie, tak, tą miłością, która mnie ogarnęła w chwili, kiedy me oczy ciebie ujrzały, a raczej miłością, którą w sobie odnalazłem, kiedy odnalazłem ciebie — i ona to niewątpliwie zawiodła mnie tutaj...

— Co za szaleństwo!

— Ach, miłość jest niczym, jeśli nie jest szaleństwem, jeśli nie jest absurdem, zakazanym owocem i przygodą w krainie zła. W przeciwnym razie jest czymś przyjemnym i banalnym, jest odpowiednim tematem do spokojnych piosenek na równinie. Ale co się tyczy tego, że cię odnalazłem i że odnalazłem swoją miłość do ciebie — tak, to prawda, znałem cię już przedtem, dawno, ciebie i twoje oczy, przedziwnie skośne, i twoje usta, i głos, którym mówisz — już kiedyś przedtem, byłem jeszcze w gimnazjum, poprosiłem cię o ołówek, aby wreszcie nawiązać z tobą stosunki towarzyskie, bo kochałem cię bezrozumną miłością, i po tym, niewątpliwie, po mojej daw-



nej miłości do ciebie, zostały mi te ślady, które Behrens odkrył w moim ciele i które dowodzą, że i ongi byłem chory...

Zęby mu szczękały. Mając tak, wyciągnął jedną nogę spod trzeszczącego fotela i, posuwając ją naprzód, drugim kolaniem dotknął podłogi, tak że klęczał obok niej z głową schyloną i drżąc na całym ciele. — Kocham cię — bełkotał — kochałem cię od samego początku, boś ty jest owym „Ty” mojego życia, moim snem, moim przeznaczeniem, moim pragnieniem, moją nigdy nie sytą żądzą...

— Dajże spokój! — powiedziała. — Gdyby twoi nauczyciele cię widzieli...

Ale on z wyrazem rozpaczki potrząsnął głową i, pochyliwszy twarz nad dywanem, odpowiedział:

— Gwizdnąłbym na nich, gwizdę na wszystkich tych Carduccich i na wymowną Republikę, i na postęp ludzkości w czasie, bo cię kocham!

Lekko gładziła jego włosy krótko ostrzyżone nad karkiem.

— Ty mieszczańskie dziecko! — powiedziała. — Ładniutki mieszczaninie z wilgotną plamką. Czy rzeczywiście tak bardzo mnie kochasz?

Uszczęśliwiony jej dotknięciem, klęcząc już teraz na obu kolanach, mówił dalej, z głową w tył odrzuconą i zamkniętymi oczami:

— Ach, miłość, widzisz... ciało, miłość, śmierć — te trzy rzeczy stanowią jedno. Bo ciało to choroba i rozkosz i ono jest źródłem śmierci, tak, i miłość, i śmierć, jedna i druga, są natury cieleśnej, i stąd ich groza i wielka ich magia! Ale śmierć, rozumiesz, jest z jednej strony czymś, co ma złą reputację, czymś bezwstydnym, co każe rumienić się ze wstydu; a z drugiej strony to potęga bardzo uroczysta i bardzo majestatyczna — dużo wyższa aniżeli życie, które się śmieje, robi pieniądze i napycha sobie brzuch — o wiele bardziej czcigodna niż wiecznie rozgadany postęp — ponieważ jest ona historią i wiecznością, jest czymś szlachetnym i złożonym, czymś świętym, co każe nam zdejmować kapelusz i chodzić na palcach... Otóż tak samo ciało, ono także, i miłość ciała są rzeczą nieprzyzwoitą i przykrą i ciało rumieni się i blednie ze strachu, ze wstydu przed sobą samym. Ale jest ono też czymś chlubnym i godnym uwielbienia, jest cudownym obrazem życia organicznego, jest świętym cudem formy i piękności, a miłość ku niemu, ku ciału ludzkiemu, jest również czymś niezmiernie ważnym dla spraw ludzkich i potęgą o większym znaczeniu wychowawczym aniżeli cała pedagogia świata!... Ach, zachwycające piękno organiczne, którego tworzywem nie jest farba olejna ani kamień, ale żywa i zniszczeniu podległa materia, pełna gorączkowej tajemnicy życia i rozkładu! Patrz na cudowną symetrię w konstrukcji ciała ludzkiego, na barki i biodra, na pierś zakwitającą z obu stron sutkami, na żebra, parami ułożone, i na pępek pośrodku, w miękkości brzucha, na płeć ukrytą w cieniu ud! Patrz na ruchy łopatek pod jedwabistą skórą pleców, na kość pacierzową, zstępującą ku chłodnej wybujałości obu pośladków, i na wielkie konary naczyń i nerwów, które od pnia ku rozgałęzieniom swym biegną przez pachy, i jak budowa ramion odpowiada budowie nóg. Ach, urocza okolica wewnętrznego zgięcia łokcia i kolana, pełna subtelności organicznych, okrytych miękkością ciała! Co za rozkosz niewymowna pieścić te czarowne miejsca ciała ludzkiego! Rozkosz, której raz doznać — i umrzeć bez skargi! Tak, na Boga, pozwól mi wchłaniać woń skóry pod twoimi kolanami, gdzie kunsztowna torebka stawowa wydziela swą śliską maź! Pozwól, by usta moje dotknęły ze czcią na przedniej części uda twojej Arteria femoralis, która dzieli się niżej na dwie tętnice goleni. Pozwól mi upajać się

wyziewami twoich porów i dotykać twego meszku, istota ludzka z wody i białka, której przeznaczeniem jest anatomia grobu, i pozwól mi zginąć z ustami na twoich ustach.

Nie otworzył oczu, kiedy przestał mówić; pozostał, jak był, z odrzuconą głową, z rękami wyciągniętymi przed siebie, trzymając wciąż srebrny ołówek, drżąc i chwiejąc się na kolanach. Ona odezwała się:

— Rzeczywiście, twoje oświadczenia miłosne są gruntowne, iście niemieckie. I włożyła mu na głowę papierowy kapelusz.

— Zegnaj, mój książę Karnawału! Będzie pan miał dziś wieczór zły wykres gorączki, przepowiadam to panu.

To mówiąc, ześliznęła się z krzesła, przesunęła się po dywanie w kierunku drzwi, ale zawałała się w progu; na wpół odwrócona w tył, wzniosła jedno z obnażonych ramion i wsparła rękę na zawiasie. Powiedziała cicho:

— A proszę nie zapomnieć o zwrocie mego ołówka.

I wyszła.

## Spis treści

Słowo wstępne.....	2
<b>ROZDZIAŁ PIERWSZY</b>	
Przyjazd.....	4
Nr 34.....	11
W restauracji.....	15
<b>ROZDZIAŁ DRUGI</b>	
O chrzcielnicy i o dziadku w dwojakiej postaci.....	21
O pobycie u Tienapłów i obliczu duchowym Hansa Castorpa.....	30
<b>ROZDZIAŁ TRZECI</b>	
Godne zasepienie się.....	39
Śniadanie.....	41
Przekomarzanie się. Wiatyk. Zmałona wesołość.....	48
Satana.....	57
Bystrość umysłu.....	66
O jedno słowo za wiele.....	71
Naturalnie, kobieta!.....	75
Pan Albin.....	79
Szatan robi niegodne propozycje.....	82
<b>ROZDZIAŁ CZWARTY</b>	
Niezbędne zakupy.....	93
Dygresja o zmyśle czasu.....	102
Hans Castorp próbuje swych sił we francuskiej konwersacji.....	105
Politycznie podejrzana!.....	110
Hippe.....	115
Analiza.....	124
Wątpliwości i rozwiązania.....	130
Rozmowy przy stole.....	133
Rosnący lęk. O obu dziadkach oraz o przejazdźce łódką na przełomie dnia i nocy.....	140
Termometr.....	160
<b>ROZDZIAŁ PIĄTY</b>	
Zupa wieczności i nagła jasność.....	183
„Mój Boże, ja widzę”.....	203
Wolność.....	219
Kaprysy Merkuriusza.....	225
Encyklopedia.....	236
Humaniora.....	251
Dociekania.....	268
Taniec szkieletów.....	287
Noc Walpurgi.....	323

***Tomasz Mann***

# **Czarodziejska góra**

Tom 2

**Przełożył  
Józef Kramsztyk**

**Posłowie napisał  
Marek Wydmuch**

**Czytelnik 1982  
(*ji14*)**

# Rozdział szósty

## Zmiany

Czym jest czas? Tajemnicą — bo jest nierealny, a wszechpotężny. Jest warunkiem zjawiskowego świata, jest ruchem zespolonym i przemieszonym z istnieniem realnych ciał w przestrzeni i z ich ruchem. A czy nie byłoby czasu, gdyby nie było ruchu? I ruchu, gdyby nie było czasu? Pytania i pytania! Czy czas jest funkcją przestrzeni? Czy też odwrotnie? Czy raczej są z sobą identyczne? Za wiele już pytań! Czas jest czynny, ma takie właściwości jak czasowniki. Ma „poczesny” udział w tworzeniu. Ale czego? Zmiany! Co jest teraz, nie było wówczas, co jest tu, nie jest tam, bo między nimi leży ruch. Ale skoro ruch, którym się mierzy czas, jest okrężny, w sobie samym zamknięty, to można by i czas, i wszelką zmianę równie dobrze nazwać spokojem i bezruchem — to bowiem, co było wówczas, powtarza się nieustannie w tym, co jest teraz, a to, co jest tam — w tym, co jest tu. A że ponadto skończonego czasu i ograniczonej przestrzeni niepodobna sobie wyobrazić — nie pomogą najbardziej rozpaczliwe wysiłki — więc ostatecznie zaczęto sobie przedstawiać czas i przestrzeń jako wieczne i nieskończone, zapewne w przekonaniu, że jeśli i w ten sposób nie można ich sobie wyobrazić dobrze, to przynajmniej można nieco lepiej. Czy jednakże uznanie wieczności i nieskończoności nie jest unicestwieniem przez logikę i rachunek wszystkiego, co ograniczone, skończone, względne, czy nie jest sprowadzeniem tego do zera? Czy rzeczy mogłyby w wieczności następować jedne po drugich, a w nieskończoności występować jedne obok drugich? Z tymi założeniami, że istnieje wieczność i nieskończoność, założeniami przyjmowanymi z musu, jakże da się pogodzić istnienie we wszechświecie odległości, ruchu, zmiany lub choćby tylko ograniczonych ciał? To pytania, których mimo wszystko nie da się uniknąć.

Hans Castorp stawiał te i tym podobne pytania — mózg jego zaraz po przybyciu w te strony okazał się skłonny do takiej niedyskrecji i zrzędzenia; niedobry a potężny, później utracony popęd jakby specjalnie wyostrzył pod tym względem jego umysł i dodał mu zuchwałości w stawianiu takich pytań. Stawiał je zarówno

sobie samemu, jak i pocziwemu Joachimowi, a także zasypanej od niepamiętnych czasów śniegiem dolinie, choć znikąd nie mógł się tu spodziewać czegoś w rodzaju odpowiedzi — trudno nawet powiedzieć, skąd najmniej należało się jej spodziewać. Sobie stawiał tylko pytania, bo odpowiedzi na nie nie miał. A u Joachima nie znajdował dla swych pytań żadnej sympatii, bo ten, jak to Hans Castorp pewnego wieczoru zauważył po francusku, myślał jedynie o tym, aby tam na nizinach być żołnierzem, i toczył o to zażartą walkę w nadziei, że to nastąpi, nadziei, która to zbliżała się, to znów zwodniczo kryła w oddali, ostatnio zaś okazywał skłonność do zakończenia tej walki przez zamach. Tak, ten cierpliwy, pocziwy, lojalny Joachim, znający tylko służbistość i dyscyplinę, ulegał napadom buntu przeciw „skali Gaffky’ego”, temu systemowi badania, który na dole, w laboratorium, czyli w „laborze”, jak się zwykle mówiło, stosowano do ustalania i określania stopnia zarażenia pacjenta bakcydami: czy analiza wykazuje odosobnione zarazki, czy też wykazuje je masowo i w niezliczonej ilości — to określała wysokość cyfry Gaffky’ego, a właśnie o nią chodziło. Albowiem w sposób zupełnie nieomylny określała szansę wyzdrowienia, na jaką można było liczyć; można też było na jej podstawie ustalić ilość miesięcy czy lat, którą pacjent będzie musiał tu jeszcze pozostać: wahało się to pomiędzy półroczną krótką wizytą a wyrokiem „dożywotnio”, który zresztą mógł oznaczać bardzo niewielką ilość czasu. Na tę to skalę Gaffky’ego oburzał się Joachim, otwarcie odmawiał wiary w jej autorytet, a właściwie niezupełnie otwarcie, bo nie wobec przełożonych, natomiast wobec kuzyna i nawet w rozmowach przy stole. — Mam już tego dość, nie pozwolę robić z siebie głupca — mówił głośno i krew napływała do jego ciemno opalonej twarzy. — Przed dwoma tygodniami miałem na Gaffkym nr 2, a więc bagatelę, najlepsze widoki, a dziś nr 9, po prostu zagęszczenie zarazków i o nizinach nie ma już mowy. Diabli wiedzą, jak to z człowiekiem jest, doprawdy nie można już wytrzymać. Tam w górze na Schatzalp leży pewien człowiek, grecki chłop, przysłałi go z Arkadii, jakiś pośrednik go przysłał — wypadek beznadziejny, ma przebieg galopujący, każdego dnia może oczekiwać końca, a chory nigdy w życiu nie miał zarazków w płwocinie. Za to ten gruby belgijski kapitan, który wyjechał wyleczony — gdy tu przyjechałem, miał Gaffky’ego nr 10, roilo się u niego od zarazków, a przy tym miał tylko zupełnie małą kawernę. Niech diabli biorą Gaffky’ego. Skończę z tym, jadę do domu, choćby to miała być dla mnie śmierć! — Tak mówił Joachim i wszyscy byli boleśnie dotknięci widząc tego delikatnego i solidnego młodego człowieka w takim podnieceniu. A wobec groźby Joachima, że wszystko rzuci i odjedzie w niziny, Hans Castorp nie mógł nie myśleć o tym, co od kogoś trzeciego usłyszał po francusku. Jednakże milczał; bo czyż miał kuzynowi dawać siebie i swoją cierpliwość za przykład, jak to czyniła

pani Stöhr, która go napominała, by zaniechał bluźnierczego oporu, by poddał się pokornie i brał przykład z sumiennosci, z jaką ona, Karolina, tu wytrzymuje i nie bez wysiłku woli wyrzeka się pełnienia obowiązków pani domu w Cannstatt, aby za to kiedyś powrócić tam do męża jako całkowicie i gruntownie wyleczona małżonka! Nie, tego Hans Castorp jednakże nie chciał; zwłaszcza że od karnawału sumienie jego wobec Joachima nie było czyste, mówiło mu, że w tym, o czym milczeli, a o czym Joachim niewątpliwie wiedział, musiał on odczuwać jakby zdradę, dezerccję, niewierność, a to ze względu na parę okrągłych brązowych oczu, na mało usprawiedliwioną gotowość do śmiechu i na zapach pomarańczy, rzeczy, na których działanie co dzień pięciokrotnie był wystawiony, ale wobec których surowo i przyzwoicie oczy spuszczał na talerz... Tak, w milczącym oporze, jaki Joachim przeciwstawił jego spekulacjom i koncepcjom dotyczącym „czasu”, Hans Castorp wyczuwał coś z wojskowej obyczajności, będącej wyrzutem dla jego sumienia.

Co się zaś tyczy doliny, tej grubo śniegiem pokrytej zimowej doliny, do której ze swego znakomitego leżaka Hans Castorp również kierował swe nadzmysłowe pytania, to jej wierchy i turnie, zarysy jej ścian i brązowo-zielono-czerwonawe lasy stały milcząc wśród czasu, objęte cicho przepływającym czasem ziemskim, lśniąc w głębokim błękicie nieba lub mgłą spowite, to czerwono się żarząc na szczytach w odchodzącym słońcu, to znów skrząc się twardo jak diament w czarze nocy bezksiężycowej — jednakże zawsze w śniegu, od sześciu miesięcy, tak tu trudnych do objęcia myślą, a które jednak przemknęły w mgnieniu oka. Wszyscy goście oświadczyli, że na śnieg nie mogą już patrzeć, że wzbudza w nich obrzydzenie, już lato zaspokoilo pod tym względem ich potrzeby, ale teraz te codzienne masy śniegu, kupy śniegu, nawisy śniegu — to już przekracza siły ludzkie, jest zabójcze dla umysłu i serca. I nakładali kolorowe okulary, zielone, żółte, czerwone, nakładali je zapewne i dlatego, by oszczędzać oczy, jednakże więcej jeszcze z potrzeby serca.

Dolina i góry pod śniegiem już od sześciu miesięcy? Od siedmiu! Czas idzie naprzód, podczas gdy opowiadamy — n a s z czas, który poświęcamy temu opowiadaniu, ale także dawno miniony czas Hansa Castorpa i towarzyszy jego losu, tam w górze, w śniegu; idzie naprzód i sprowadza zmiany. Wszystko było już na najlepszej drodze do spełnienia się, jak to w zapusty w powrotnej drodze z Uzdrowiska Hans Castorp zapowiadał zapalczywymi słowy, wprowadzając tym w gniew pana Settembriniego: wprawdzie przesilenie dnia z nocą jeszcze nie było bliskie, ale Wielkanoc przeszła już przez białą dolinę, kwiecień miał się ku końcowi, otworzyła się perspektywa na Zielone Świąta, niebawem obudzi się wiosna i stopnieje śnieg, nie cały wprawdzie, bo na szczytach od południa, w rozpadlinach skalnych Rhätikonu od północy zostanie jeszcze pewna jego ilość, nie mówiąc o śniegu, który we

wszystkich miesiącach letnich spadnie wprawdzie, ale się nie utrzyma; mimo wszystko przełom roku już nastąpił i na najbliższy czas niewątpliwie zapowiadał decydujące przemiany, bo od owej nocy karnawałowej, gdy Hans Castorp pożyczył był od pani Chauchat ołówek, który jej potem zwrócił, a w zamian otrzymał, tak jak chciał, coś innego, ów pamiątkowy upominek, który nosił w kieszeni, od nocy owej upłynęło już sześć tygodni — a więc dwa razy więcej, niż Hans Castorp pierwotnie miał zamiar tu w górze pozostać.

Istotnie upłynęło sześć tygodni od wieczoru, w którym Hans Castorp poznał się z Kławdią Chauchat i powrócił do swego pokoju znacznie później niż służbisty Joachim do swojego; sześć tygodni od następnego dnia, w którym nastąpił wyjazd pani Chauchat, jej t y m c z a s o w y wyjazd do Dagestanu, daleko na wschód za Kaukazem. Że był to wyjazd tymczasowy, wyjazd tylko na ten raz, że pani Chauchat zamierza wrócić, że nie wiadomo kiedy, ale prędzej czy później na pewno będzie chciała czy nawet musiała wrócić, co do tego Hans Castorp miał zapewnienie bezpośrednie i ustne, złożone nie w podanym tu obcojęzycznym dialogu, lecz później, w okresie, który z naszej strony przepuściliśmy bez słów, w którym przerwaliśmy uwarunkowany czasem bieg naszego opowiadania i oddaliśmy głos tylko jemu, czystemu czasowi. W każdym razie młody człowiek otrzymał te zapewnienia i pocieszające obietnice, zanim jeszcze powrócił pod nr 34; w następnym bowiem dniu nie zamienił już ani słowa z panią Chauchat, a tylko ją dwa razy z daleka widział: raz przy obiedzie, gdy w niebieskiej sukiennej spódnicy i białym swetrze, trzasnąwszy oszklonymi drzwiami i wśliznąwszy się z wdziękiem, raz jeszcze siadła do stołu; Hansowi Castorpowi serce biło wtedy w gardle i gdyby nie pilnowała go czujnie panna Engelhart, byłby twarz zakrył rękoma; po raz drugi zaś widział ją po południu o trzeciej godzinie podczas jej odjazdu, przy którym właściwie nie był obecny, ale któremu się przyglądał z okna na korytarzu, wychodzącego na podjazd.

Wydarzenie to miało przebieg taki, jaki Hans Castorp podczas swego pobytu nieraz już tu oglądał: sanki czy powóz zatrzymywały się przed podjazdem, woźnica i posługacz przymocowywali kufry, a zaprzyjaźnieni goście sanatoryjni zbierali się przy drzwiach wejściowych dla pożegnania tego, kto — wyleczony lub nie wyleczony — wyjeżdżał z powrotem w niziny, aby tam żyć lub umrzeć; byli nawet tacy, co przerywali swoją robotę dla użycia wrażeń, jakie zapowiadał wyjazd; zjawiał się pan w tużurku z zarządu sanatorium, niekiedy nawet lekarze, i w końcu wychodził odjeżdżający, przeważnie z promieniejącym obliczem, na chwilę bardzo ożywiony spotykając go przygodą, łaskawie się kłaniając tym, co ciekawie stali dokoła i którzy pozostawali, gdy on odjeżdżał... Tym razem wyjeżdżającą była pani Chauchat: wyszła uśmiechając się, z naręczem kwiatów, w długim płaszczu podróżnym



z szorstkiego materiału, obszytym futrem, i w wielkim kapeluszu, a towarzyszył jej pan Bułygin, jej wkleśły rodak, który odbywał z nią część drogi. Ona również wydawała się radośnie podniecona, tak samo jak wszyscy wyjeżdżający, ze względu na samą zmianę trybu życia, niezależnie od tego, czy wyjeżdżali za zgodą lekarzy, czy też, doprowadzeni do rozpacz, przerywali pobyt na własną odpowiedzialność i z nieczystym sumieniem. Jej policzki były zaczerwienione, mówiła bez przerwy, zapewne po rosyjsku, podczas gdy okrywano jej kolana futrem... Stawili się nie tylko jej rodacy i sąsiedzi przy stole, ale także liczni inni goście, dr Krokowski, śmiejąc się jędrnie, ukazywał wśród brody swe żółte zęby; przybyło jeszcze więcej kwiatów, stara ciotka ofiarowała „konfekty”, jak zwykła była z rosyjska nazywać marmoladki; stała też opodal nauczycielka, a w pewnej odległości, rozglądając się ponuro — mannheimczyk; jego bolesne oczy prześliznęły się po domu, gdzie w korytarzowym oknie zauważyły Hansa Castorpa, i posepnie zatrzymały się na nim... Radca dworu Behrens nie pokazał się; widocznie już poprzednio w sposób bardziej prywatny pożegnał się był z odjeżdżającą... Po czym wśród pożegnań i okrzyków konie ruszyły, a szarpnięcie sanek sprawiło, że pani Chauchat opadła na poduszki i wtedy jej skośne oczy jeszcze raz z uśmiechem przebiegły po fasadzie „Berghofu” i przez ułamek sekundy zatrzymały się na twarzy Hansa Castorpa... Wrócił blady do swego pokoju, do swej loggii, aby z niej raz jeszcze zobaczyć sanki, które dźwięcząc dzwonkami ześlizgiwały się w dół drogi wjazdowej ku Wsi, potem rzucił się na fotel, z kieszeni na piersi wyjął pamiątkowy upominek, fant; tym razem nie były to brązowawo-czerwone wiórki, lecz szklana płytką w cienkiej ramce, którą trzeba było trzymać pod światło, by cośkolwiek w niej rozpoznać — a wtedy ukazywał się wewnętrzny portret Kławdii, bez twarzy wprawdzie, z cienkimi kośćmi i wszystkimi organami klatki piersiowej, otoczonymi blado i upiornie miękkimi kształtami jej ciała...

Jakże często płytkę tę oglądał i do ust przyciskał w ciągu czasu, który odtąd upłynął, pociągając za sobą tyle przemian! Przyzwyczał się na przykład do życia tu w górze, choć Kławdia była nieobecna i przestrzennie daleka — przyzwyczał się nawet szybciej, niż należałoby przypuszczać; tutejszy czas był właśnie tego rodzaju i tak zorganizowany, że przyzwyczajano się choćby tylko do tego, iż się nie przyzwyczajano. Nie było już brzęczącego trzasku drzwi, słyszanego na początku pięciu niezwykle obfitych posiłków, i nie można go było oczekiwać; gdzie indziej, w niesłychanej odległości, pani Chauchat trzaskała drzwiami — był to przejaw jej osobowości, który z jej istnieniem, jej chorobą w podobny sposób był zespolony i złączony jak czas z ciałami w przestrzeni; może właśnie to było jej chorobą i nic więcej... Ale jeśli była niewidzialna i nieobecna, to jednocześnie dla Hansa Castorpa

była niewidzialna, a obecna — była dlań duchem tego miejsca, genius loci; w nie-dobrej, występnie słodkiej godzinie, z którą nie licowała żadna pogodna piosenka z nizin, poczuł on go i posiadał, i wewnętrzną jego sylwetkę nosił na swym od dziewięciu miesięcy tak bardzo zajęтым sercu.

W ciągu owej godziny jego drgające usta w obcej i własnej mowie wyjąkały na wpół nieświadome, na wpół stłumione występne propozycje, oferty, szalone pomysły i zamiary, które słusznie zostały odrzucone — a więc: że duchowi będzie towarzyszyć poprzez Kaukaz, że pojedzie za nim, że będzie go oczekiwał w miejscu, które kaprys ducha wybierze sobie jako następną siedzibę, i że się z nim już nigdy nie rozstanie, a poza tym jeszcze inne nieodpowiedzialne rzeczy. Z tej godziny wewnętrznej przygody prostoduszny młody człowiek wyniósł jedynie ów fant w postaci cienia i tę do prawdopodobieństwa zbliżającą się możliwość, że pani Chauchat prędzej czy później powróci tu na czwarty pobyt, gdy każe tak jej choroba, zwalnijająca ją od wszelkich więzów. Ale kiedykolwiek to nastąpi, wcześniej czy później, Hansa Castorpa — jak to było powtórzone przy pożegnaniu — na pewno „wtedy już dawno tu nie będzie”; proroctwo to ze swą lekceważącą intencją byłoby jeszcze trudniejsze do zniesienia, gdyby nie pamięć o tym, że pewne rzeczy są przepowiadane nie po to, by nastąpiły, lecz właśnie, by nie nastąpiły, proroctwo ma służyć za zaklęcie. Prorocy tego rodzaju urągając przyszłości mówią jej, jaką będzie, by się wstydziła być taką naprawdę. A gdy ów duch w ciągu przytoczonej tu rozmowy a także kiedy indziej nazywał Hansa Castorpa joli bourgeois au petit endroit humide, co było niejako przetłumaczeniem powiedzenia Settembriniego o „wiecznym strapieniu”, to pozostawało pytanie, który to składnik mieszaniny stanowiącej istotę młodzieńca okaże się silniejszy, bourgeois czy ten drugi... A duch nie liczył się również z tym, że przecież sam wielokrotnie odchodził i wracał i że także Hans Castorp w odpowiedniej chwili będzie mógł wrócić, choć co prawda tylko po to tu jeszcze w ogóle pozostawał, aby nie potrzebował wracać: był to wyraźnie sens jego pobytu, podobnie jak pobytu tylu innych...

Jedno szydercze proroctwo karnawałowego wieczoru spełniło się rzeczywiście: Hans Castorp miał zły, pełen ostrych załamania wykres gorączki, który uroczyście sobie wyrysował: krzywa wzrastała w nim, a po pewnym obniżeniu się przebiegała jakby płaskowzgórzem lekko sfalowanym, utrzymując się wciąż ponad dawniejszym poziomem. Była to zwyżka temperatury, której wysokość i uporczywość, wedle słów radcy Behrensa, nie zgadzała się z wynikiem badania. — Jest pan jednak bardziej zatruty, przyjacielu, niżby się można było po panu spodziewać — powiedział. — No, spróbujemy zastrzyków! To panu dobrze zrobi. Za trzy, cztery miesiące będzie pan zdrow jak ryba, jeśli wszystko pójdzie tak, jak niżej podpisany

przypuszcza. — I na skutek tego Hans Castorp dwa razy w tygodniu, w środy i soboty, zaraz po rannej przechadzce, miał się stawiać na dole w „laborze” na zastrzyki.

Obaj lekarze wykonywali kolejno ten zabieg, to jeden, to drugi, ale radca dworu wykonywał go z wirtuozyją, z rozmachem, naciskając tłok równocześnie z ukłuciem. Zresztą, nie troszczył się o to, gdzie kłuł, tak że ból nieraz był diabelny i miejsce ukłucia jeszcze długo piekło. Ponadto zastrzyk mocno działał na cały organizm, wstrząsał systemem nerwowym niczym gwałtowny wyczyn sportowy, świadczyło to o jego sile objawiającej się także w tym, że na razie temperatura nawet się podnosiła: radca dworu tak to przepowiedział i tak się też stale działo, zjawisko było przewidziane i nic mu nie można było zarzucić. Gdy już wreszcie przyszła na pacjenta kolej, zabieg odbywał się szybko; w mgnieniu oka miało się już antytoksynę pod skórą uda czy ramienia. Parę jednak razy, gdy radca Behrens był w dobrym usposobieniu i nie odurzony tytoniem, z okazji zastrzyku dochodziło do krótkiej z nim rozmowy, którą Hans Castorp w taki mniej więcej sposób umiał poprowadzić:

— Chętnie nadal wspominam nasz miły podwieczorek u pana, panie radco, w zeszłym roku, jesienią, kiedy się to tak przypadkiem złożyło. Właśnie wczoraj, czy może trochę dawniej, przypomniałem memu kuzynowi...

— Gaffky siedem — mówił radca dworu. — To ostatni wynik. Młodzieniec chce i znów nie chce pozbyć się swego jadu. A przy tym nigdy jeszcze mnie tak nie męczył, jak ostatnio, że chce jechać i pobrzękiwać szabelką, ach, ten dzieciak. Krzyczy mi gwałtu o te swoje pięć kwartalików, jakby to były eony. Chce jechać, tak czy inaczej — czy i panu to mówi? Powinien mu pan przemówić do sumienia od siebie, ale z naciskiem!... Zgubi się człowieczysko, jeśli przedwcześnie zacznie łykać waszą miłą mgłę, tu z prawej w górze. Taki buńczuczny wojak niekoniecznie ma dużo oleju w głowie, ale pan jako człowiek solidniejszy, cywil, społecznie wyrobiony, powinien mu dać reprimendę, zanim zacznie robić głupstwa.

— Robię to, panie radco — powiedział na to Hans Castorp nie przestając kierować rozmową. — Robię to nieraz, gdy o tym przebąkuje, i myślę, że nabierze rozumu. Ale przykłady, jakie się ma przed oczami, nie zawsze są najlepsze, z tym jest bieda. Ciągłe ktoś odjeżdża w równiny, własnowolnie i bez należytego upoważnienia, ale robi się z tego powodu uroczystość, jakby to był legalny wyjazd — i to zwodzi słabsze charaktery. Na przykład, niedawno... kto to niedawno jeszcze odjechał? Jedną z pań z lepszego rosyjskiego stołu, pani Chauchat. Do Dagestanu, jak opowiadano. No Dagestan, nie znam tamtejszego klimatu, ostatecznie mniej jest

niekorzystny niż ten na północy nad wodą. Jednakże w naszym pojęciu to nizina, choć może jest to kraj górzysty z geograficznego punktu widzenia, nie znam się tak bardzo na tym. Jak tam żyć, gdy się nie jest wyleczonym, a brak podstawowych pojęć i nikt nie zna naszej organizacji, i co tam robić z leżeniem i mierzeniem? Zresztą, ona i tak tu wróci, powiedziała mi to kiedyś przy okazji — skądżeśmy to o niej zaczęli mówić? Ach, tak, wtedy spotkaliśmy pana w ogrodzie, jeśli pan, panie radco, sobie to przypomina, to znaczy pan nas spotkał, bo siedzieliśmy na ławce, pamiętam jeszcze na której, mógłbym ją panu dokładnie określić, siedzieliśmy na niej i paliliśmy. A raczej, ja paliłem, bo przecież mój kuzyn, rzecz dziwna, nie pali. Pan akurat też palił i poczęstowaliśmy się wzajemnie cygarami, jak to sobie właśnie przypominam — pańskie brazylijskie nadzwyczaj mi smakowały, ale myślę, że trzeba się z nimi tak ostrożnie obchodzić jak z młodymi końmi, bo może się przydarzyć, jak panu wtedy po tych dwóch małych importach, kiedy to pan myślał, że z falującą piersią galopuje na tamten świat. Ponieważ się to dobrze skończyło, więc można się z tego śmiać. A ostatnio znów obstalowałem sobie z Bremy parę setek „Marii Mancini”, bardzo jestem przywiązany do tej marki, ze wszech miar ją lubię. Tylko cło i porto podrażają je dotkliwie, a jeśli mi pan w przyszłości doda jeszcze jakichś nowych kosztownych zabiegów, panie radco, to ostatecznie nawrócę się na jakieś tutejsze zielsko — w oknach sklepowych widzi się zupełnie ładne. A potem pozwolił nam pan obejrzeć swe obrazy, jak dziś pamiętam, była to największa przyjemność, byłem po prostu zdziwiony, co pan olejnymi farbami odważa się robić, ja bym się nie odważył. Wtedy widzieliśmy też portret pani Chauchat z jej pierwszorzędnie namalowaną skórą — mogę powiedzieć, że byłem zachwycony. Nie znałem jeszcze wtedy modela, jedynie z widzenia, z nazwiska. Potem, na krótko przed jej obecnym odjazdem, poznałem ją też osobiście.

— Co pan mówi — odrzekł radca, tak samo (jeśli wolno cofnąć się wstecz) jak wówczas, gdy Hans Castorp przed pierwszym badaniem zakomunikował mu, że ma zresztą także trochę temperatury. I więcej nie powiedział już nic.

— A tak, poznałem ją — powiedział Hans Castorp. — Jak wiemy z doświadczenia, nie jest wcale tak łatwo tu w górze robić znajomości, ale między panią Chauchat i mną to się w ostatniej chwili jednak jakoś ułożyło i doszło do tego, żeśmy przez rozmowy... — Hans Castorp wciągnął powietrze przez zęby. Właśnie dostał zastrzyk. — Eff! — syknął odwracając się. — Musiał pan przypadkiem trafić w bardzo ważny nerw, panie radco. O tak, tak, boli piekielnie. Dziękuję, trochę masażu pomaga... Przez nasze rozmowy zbliżyliśmy się nieco do siebie.

— Tak? No i co? — powiedział radca. Pytał kiwając głową, z wyrazem kogoś,

kto oczekuje bardzo pochlebnej odpowiedzi i już w pytanie wkłada od siebie potwierdzenie oczekiwanej pochwały.

— Przypuszczam, że moja francuszczyzna trochę kulała — rzekł Hans Castorp wymijająco. — Ale ostatecznie, skąd mam mieć wprawę. Jednak we właściwej chwili przychodzi coś do głowy, i w ten sposób porozumieć się można wcale nieźle.

— Pewnie, no i co? — powtórzył radca swe wyzwanie. I od siebie dodał: — Pięknie, prawda?

Hans Castorp zapinając kołnierzyk stał z rozstawionymi nogami i łokciami, z twarzą zwróconą ku sufitowi.

— Ostatecznie nie jest to nic nowego — powiedział. — W miejscowości kuracyjnej mieszkają dwie osoby czy też rodziny tygodniami pod jednym dachem, ale trzymają się z dala od siebie. Pewnego dnia zawierają znajomość, szczerze sobie nawzajem przypadają do gustu — a jednocześnie okazuje się, że jedna strona zbiera się do wyjazdu. Wyobrażam sobie, że takie ubolewania godne rzeczy zdarzają się nieraz. A chciałoby się przynajmniej zachować kontakt, miewać o sobie wiadomości, wymieniać listy. Ale pani Chauchat...

— Taak, a ona tego pewnie nie chce — zaśmiał się radca dobrodusznie.

— Nie, nie chciała o tym słyszeć. A do pana czy nie pisuje czasami stamtąd, gdzie przebywa?

— E, Boże zachowaj — odpowiedział Behrens. — Jej to ani w głowie. Najpierw, przez lenistwo, a potem, jakżeby miała pisać? Po rosyjsku nie czytam — kaleczę język, kiedy koniecznie trzeba, ale przeczytać nie umiem ani słowa. Pan przecież także nie. No, po francusku czy po nowo-górnoniemiecku miauczy kotka w przemyły sposób, ale pisać — to by ją wprawiło w najwyższe zakłopotanie. Ortografia, drogi przyjacielu! Nie, co do tego to musimy się pocieszyć, młodzieńcze. Ona przecież zawsze od czasu do czasu tu wraca. To rzecz techniki i temperamentu, jak powiedziałem. Jeden wyjeżdża raz po raz i musi potem raz po raz wracać, a inny od razu zostaje tak długo, że nie potrzebuje już nigdy wracać. Jeśli pański kuzyn teraz wyjedzie, to niech mu pan powie, że łatwo się może zdarzyć, iż pan doczeka się jego uroczystego powrotu.

— Ale, panie radco, jak długo myśli pan, że ja...

— Że pan? Że on! Że nie będzie mógł zostać na dole tyle czasu, ile był tu w górze. Tak jest, jeśli pan chce wiedzieć, co szczerze myślę, i to panu polecam powiedzieć mu, jeśli pan zechce być tak uprzejmy.

W podobny zapewne sposób przebiegała taka rozmowa prowadzona przez

Hansa Castorpa chytrze, jednakże z wynikiem znikomym, a nawet dwuznacznym. Bo na pytanie, ile czasu trzeba pozostać, aby doczekać się powrotu tego, kto wyjechał przedwcześnie, dawała odpowiedź dwuznaczną, a o tej, która wyjechała, nie mówiła właściwie nic. Hans Castorp nie będzie mieć żadnych o niej wiadomości, póki ich dzielić będzie tajemnica przestrzeni i czasu, ona nie będzie do niego pisywać, a także i on nie będzie miał sposobności do pisania... Zresztą, jeśli się nad tym dobrze zastanowić, dlaczego miałyby być inaczej? Czyż to nie był mieszczański i pedantyczny pomysł, że muszą do siebie pisywać, podczas gdy przedtem nie uważał za konieczne ani za pożądane, aby z sobą rozmawiali? I czy rzeczywiście on z nią „rozmawiał” — w tym sensie, w jakim ten wyraz rozumie kulturalny Zachód — wówczas, w ów wieczór karnawałowy? Czy też raczej mówił przez sen, obcym językiem i w niezbyt cywilizowany sposób? W takim razie po co pisać, na papierze listowym czy na kartkach pocztowych, jakie czasem do domu na równiny wysyłał, aby zawiadomić o wahaniach zdrowia i wynikach badań? Czy Kławdia nie miała racji, uważając się za zwolnioną od korespondencji z racji wolności, jaką jej dawała choroba? Rozmawiać, korespondować — to naprawdę zajęcie dla humanistów-republikanów, dla takich jak pan Brunetto Latini, autor książki o cnotach i wadach, któremu Florentyńczycy zawdzięczają swą ogładę i który nauczył ich mówienia i sztuki kierowania rzeczapośrednio, zgodnego z zasadami polityki...

Skierowało to myśli Hansa Castorpa na Lodovica Settembriniego i zaczerwienił się tak samo jak wówczas, gdy do pokoju, w którym leżał chory, pisarz wszedł niespodziewanie i zapalił nagle światło. Do pana Settembriniego mógł być również kierować swe pytania dotyczące nadzmysłowych zagadek, jednakże traktując je tylko jako wyzwanie i narzekanie, nie zaś w oczekiwaniu, że od humanisty, którego zabiegi skierowane były na ziemskie sprawy życiowe, otrzyma na nie odpowiedź. Wszakże od owego karnawałowego wieczoru i gwałtownego opuszczenia salonu muzycznego przez pana Settembriniego wytworzył się między Hansem Castorpem a Włochem chłód, pochodzący u jednego z nieczystego sumienia, u drugiego z głębokiego niezadowolenia wychowawcy; a chłód ten sprawiał, że się wzajem unikali i tygodniami nie zamieniali ani słowa. Czy Hans Castorp był jeszcze w oczach pana Settembriniego „wiecznym strapieniem”? Nie, w oczach jego, jako tego, który moralności szukał w rozsądku i cnotie, był człowiekiem straconym... A Hans Castorp zacinał się wobec pana Settembriniego, ściągał brwi i wydymał wargi, ilekroć czarne, błyszczące spojrzenie tamtego spoczęło na nim z milczącym wyrzutem. To zacięcie minęło jednak niezwłocznie, skoro tylko literat po paru tygodniach znów doń przemówił, choć uczynił to jedynie mimochodem i w formie aluzji mitologicznych, zrozumiałych tylko dla ludzi o zachodnim wykształceniu. Było to po

obiedzie; spotkali się w oszklonych drzwiach, które przestały już trzaskać. Wyprzedzając młodego człowieka i z wyraźnym zamiarem, by niezwłocznie go opuścić, Settembrini rzekł:

— No cóż, inżynierze, jakże smakował granat\*?

Hans Castorp uśmiechnął się, ucieszony i zmieszany.

— To znaczy... O czym pan mówi? Granat? Przecież granatów nie było? Ja nigdy w życiu... Chociaż tak, raz piłem sok z granatu z wodą sodową. Miał słodkawego smaku.

Włoch, który go tymczasem już wyminął, odwrócił głowę i mówił akcentując każde słowo:

— Bogowie i śmiertelnicy odwiedzali niekiedy państwo cieniów i znajdowali drogę powrotną. Ale mieszkańcy podziemi wiedzą, że kto skosztuje owoców ich królestwa, należy już do nich.

I poszedł dalej, w swoich odwiecznych jasnych spodniach w kratę, zostawiwszy za sobą Hansa Castorpa, którego powinny były „przewiercić” słowa tak pełne znaczenia i które poniekąd istotnie to uczyniły, choć go zarazem rozgniewały i rozweseliły tą swą pretensją. I mruczał do siebie:

— Latini, Carducci, zawracanie głowy, zostaw mnie w spokoju.

Jednakże był szczęśliwy i podniecony tym pierwszym zawiązaniem rozmowy, gdyż mimo swą zdobycz, mimo ów makabryczny upominek, noszony na sercu, miał sympatię do pana Settembriniego, zależało mu na jego osobie i myślał, że tamten mógłby całkowicie i na zawsze go odtrącić i przestać się nim zajmować, byłaby dla jego duszy cięższa i straszniejsza niż uczucie chłopca, na którego w szkole machnięto ręką i który korzysta z dodatnich stron swej hańby, jak to było z panem Albinem... Jednakże nie śmiał jeszcze sam zwracać się do swego mentora, ten zaś znów tygodniami nie zbliżał się do swego przysparzającego mu tyle trosk wychowanka.

Zmieniło się to dopiero wówczas, gdy fale czasu, toczące się w wiecznie jednostajnym rytmie, przyniosły Wielkanoc, obchodzoną w „Berghofie” równie pieczołowicie jak wszystkie etapy i zmiany, przerywające nierozczłonkowaną jednostajność. Każdy przy pierwszym śniadaniu znalazł przy swym nakryciu pęczek fiołków, przy drugim otrzymał pisanekę, a przy obiedzie odświętna zastawa była ozdobiona zajaczkami z cukru i czekolady.

— Czy odbywał pan, tenente\*\*, podróże morskie albo pan, inżynierze? — pytał

---

\* Granat był w starożytności symbolem miłości.

\*\* Tenente (wł.) — porucznik.

pan Settembrini, gdy w hallu po jedzeniu, z wykałaczką w ręce podszedł do stolika kuzynów... Jak większość gości skracali sobie oni dzisiaj obowiązek głównego werandowania o kwadrans, zasiadłszy do kawy z koniakiem. — Te zajaczkę, te pisanki przypominają mi życie na wielkim parowcu wśród pustego od tygodni horyzontu, wśród słonej pustyni, w warunkach, o których okropności jedynie idealne wygody pozwalają powierzchownie zapomnieć, a w głębszych regionach umysłu świadomość tej okropności nurtuje jak utajony dreszcz... I tutaj panuje ten sam duch, w którym na pokładzie takiej arki obchodzi się z pietyzmem te same uroczystości co na terra ferma\*. Jest w tym myśl o zaświatach, sentymentalne wspomnienie kalendarza... Na lądzie byłaby dziś Wielkanoc, wszak prawda? Na lądzie obchodzi się dziś urodziny króla — i my to też robimy w miarę możliwości, my też jesteśmy ludźmi... Czyż nie tak?

Kuzyni przyznali mu rację. Rzeczywiście, tak jest. Hans Castorp, wzruszony tym, że się doń zwrócono, i podniecony przez wyrzuty sumienia, chwalił przemówienie w najgórnijszych słowach, że jest dowcipne, doskonałe, literackie, i ze wszystkich sił potakiwał panu Settembriniemu. Rzeczywiście, tylko powierzchownie — pan Settembrini tak plastycznie to wyraził — komfort pozwala na transatlantyku zapomnieć, w jak ryzykownej sytuacji znajdują się na nim ludzie, a jeśli mu to wolno dodać od siebie, ten doskonały komfort ma w sobie coś frywolnego i prowokacyjnego, co starożytni nazywali hybris (cytował nawet starożytnych, aby wyrzeć korzystne wrażenie), krótko mówiąc, jest czymś występny. Z drugiej strony jednak luksus statków implikuje („implikuje!”) wielki triumf ludzkiego ducha i ludzkiej godności — bo skoro wynosi on zbytek i komfort aż na słone piany i śmiało je na nich utrzymuje, to znaczy, że kielzna żywioły, te dzikie potęgi, to zaś implikuje zwycięstwo cywilizacji ludzkiej nad chaosem, jeśli wolno mu na własną rękę użyć tego wyrażenia...

Pan Settembrini słuchał go uważnie, ze skrzyżowanymi nogami, a także i rękami, wytwornie przy tym muskając wykałaczką wygięte w łuk wąsy.

— Godne to uwagi — rzekł — że człowiek nie może cośkolwiek obszerniej wypowiedzieć się w sprawach ogólniejszej natury, nie zdradzając się całkowicie, nie wkładając niechęć w tę wypowiedź całej swej jaźni, nie wyrażając jakoś w przenośni głównego tematu i pierwotnego zagadnienia swego życia. Tak się też to teraz panu wydarzyło, inżynierze. To, co pan powiedział, wyszło naprawdę z samego dna jego osobowości, a nawet wyraziło poetycko chwilowy stan tej osobowości: jest to wciąż jeszcze stan eksperymentu...

---

\* Terra ferma (wł.) — ląd.



— Placet experiri! — rzekł Hans Castorp kiwając głową, śmiejąc się i z włoska wymawiając „c”.

— Sicuro — jeśli jest to czcigodna namiętność poznawania świata, a nie rozwiązła zabawa. Mówił pan o hybris, używał pan tego wyrażenia. Ale hybris rozumu przeciw ciemnym mocom jest najwyższym człowieczeństwem i jeśli wywoła zemstę zazdrosnych bóstw, jeśli per esempio owa luksusowa arka zachwieje się i pograży w głębinie, to jest to koniec honorowy. Czyn Prometeusza to była też hybris, a jego męka na skale scytyjskiej jest dla nas najświętszym męczeństwem. Ale jakże to rzecz ma się z tą drugą hybris, gdy ktoś ginie eksperymentując rozwiązań z potęgami bezrozumnymi i wrogimi ludzkości? Czy w tym jest honor? Czy może być honor? Si o no\*?

Hans Castorp mieszał łyżeczką w filizance, choć nic już w niej nie było.

— Inżynierze, inżynierze — rzekł Włoch skinąwszy głową i utkwivszy w przestrzeń swe zamyślane czarne oczy — czy nie lękasz się pan orkanu drugiego kolistka piekielnego\*\*, porywającego tych, którzy grzeszyli cielesnie i rozum poświęcili dla rozkoszy? Gran Dio, gdy sobie wyobrażam, jak ten podmuch będzie panem miotać, głową w górę, to znów w dół, to nie chce mi się żyć ze zmartwienia...

Śmieli się, zadowoleni, że żartuje i mówi poetycznie. Ale Settembrini dodał:

— Pamięta pan, inżynierze, jak owego karnawałowego wieczoru przy winie już się pan ze mną poniekąd pożegnał, tak, zdarzyło się coś w tym rodzaju. A teraz kolej na mnie. Otóż, moi panowie, chcę się pożegnać z wami. Opuszczam sanatorium.

Obaj zdziwili się bardzo.

— To niemożliwe! To tylko żart — wołał Hans Castorp, tymi samymi słowy co kiedyś w innych okolicznościach. Był teraz prawie równie przerażony jak wówczas. Tymczasem jednak Settembrini powiedział:

— Bynajmniej. Jest tak, jak panom mówię. Zresztą wiadomość ta nie powinna być dla nich niespodzianką. Zapowiedziałem panom, że w chwili, w której zawiedzie mnie nadzieja, iż stanę się znów człowiekiem pracy, jestem zdecydowany zwinąć namioty i gdzieś tu w pobliżu na stałe się urządzić. Cóż panowie chcecie — chwila ta nadeszła. Nie wyzdrowieję, to jest pewne. Mogę z biedą żyć, ale tylko tu. Wyrok, ostateczny wyrok brzmi: dożywotnio — radca Behrens oznajmił mi go

---

\* Si o no? (wł.) — tak czy nie?

\*\* ...koliska piekielnego — aluzja do Piekła w „Boskiej Komedii” Dantego, które podzielone było na dziewięć kręgów.

z właściwym sobie humorem. Więc dobrze, wyciągam stąd konsekwencje. Mieszkanie jest już wynajęte i właśnie zamierzam przenieść do niego mój niewielki ziemski dobytek i mój warsztat literacki. To nawet niedaleko stąd, we Wsi, będziemy się spotykać, na pewno nie stracę panów z oczu, ale jako domownik mam zaszczyt się z nimi pożegnać.

Takie było oświadczenie Settembriniego w wielkanocną niedzielę. Kuzynów bardzo ono podnieciło. Długo jeszcze i wielokrotnie mówili z nim o jego postanowieniu: o tym, że *privatim* będzie mógł kurację dalej prowadzić, że zabierze i będzie kontynuować podjętą przez się rozległą encyklopedyczną pracę, ów przegląd arcydzieł światowej literatury z punktu widzenia konfliktów, które stwarza cierpienie, i ich usunięcia; mówili wreszcie o tym, że zamieszka w domu pewnego kupca korzennego. Pan Settembrini opowiadał, że kupiec korzenny górne piętro swej posiadłości wynajął pewnemu Czechowi, krawcowi damskiemu, który przyjmuje sublokatorów...

Rozmowy te należały teraz już do przeszłości. Czas, posuwając się naprzód, dokonał niejednej zmiany. Settembrini rzeczywiście nie mieszkał już w międzynarodowym sanatorium „Berghof”, lecz od paru tygodni u krawca damskiego Lukačka. Jego wyprawka nie była zwykłym odjazdem sankami, lecz widziano go, jak wywijając laską wychodził pieszo, w krótkim żółtym paltocie, obszytym częściowo futrem przy kołnierzu i mankietach, w towarzystwie człowieka, który na taczkach transportował literacki i ziemski bagaż ręczny pisarza — i jak przed wyjściem pod portalem uszczypnął jeszcze dwoma palcami w policzek jedną z kelnerek... Kwiecień, jak się rzekło, w znacznej części, w trzech czwartych pogrążył się już w cień przeszłości; co prawda zima była jeszcze w pełni, w pokojach bywało z rana niepełne sześć stopni, a na dworze mróz dziewięciostopniowy, atrament zostawiony w loggii zamarzał przez noc w bryłę lodu, w kawałek węgla. Ale wiosna zbliżała się, każdy to wiedział; w ciągu dnia, gdy świeciło słońce, jej lekką, bardzo jeszcze delikatną zapowiedź czuło się w powietrzu; okres topnienia śniegu był już bliski, a w związku z nim nieustannie dokonywały się w „Berghofie” zmiany, których nie mógł zatrzymać nawet autorytet, nawet żywe słowo radcy, aczkolwiek w pokoju i w sali, przy każdym badaniu, każdej wizycie, każdym posiłku zwalczał on przesąd tak rozpowszechniony w stosunku do okresu topnienia śniegów.

Czy ma do czynienia z amatorami sportów zimowych — zapytywał — czy też z chorymi, z pacjentami? Po co im, na miłość boską, śnieg, zamarznięty śnieg? Topnienie śniegu ma być nieodpowiednim czasem? Właśnie jest najodpowiedniejszym! Można dowieść, że w całej dolinie jest stosunkowo w tym czasie mniej takich, co

muszą leżeć, niż w jakiegokolwiek innej porze roku! Wszędzie na świecie warunki klimatyczne dla chorych na płuca są w tym okresie gorsze niż właśnie tu! Kto ma iskierkę rozsądku, ten powinien tu wytrwać i wyzyskać hartujące działanie tutejszego klimatu. Potem stanie się odporny na wszystko, zabezpieczony przed wszystkimi klimatami świata, z zastrzeżeniem, że poczeka do zupełnego wyzdrowienia, i tak dalej. Ale radca mógł sobie mówić, co chciał — uprzedzenie wobec topnienia śniegu tkwiło głęboko w umysłach i uzdrowisko opróżniało się; być może, że to zbliżająca się wiosna hałasowała ludziom we krwi i czyniła, że zasiedziali kuracjusze stawali się niespokojni i żądni odmiany — dość że w „Berghofie” „dzikie” i „nielegalne” wyjazdy mnożyły się w niepokojący sposób. Na przykład pani Salomon z Amsterdamu, pomimo przyjemności, jaką jej sprawiały badania lekarskie i związane z nimi demonstrowanie najcieńszej koronkowej bielizny, wyjechała w sposób najzupełniej dziki i fałszywy, bez jakiegokolwiek pozwolenia i nie dlatego, że było jej lepiej, lecz że właśnie było jej coraz gorzej. Początek jej pobytu tu w górze ginął w mroku przeszłości wyprzedzającej znacznie przyjazd Hansa Castorpa; przybyła więcej niż rok temu z zupełnie lekkim niedomaganiem, na które miała przepisane trzy miesiące kuracji. Po czterech miesiącach miała być „na pewno za cztery tygodnie zdrowa”, ale po sześciu nie było już mowy o wyzdrowieniu: mówiono, że powinna pozostać jeszcze przynajmniej cztery miesiące. Nie inaczej działo się i potem, ale że nie było to ani włoskie bagno, ani syberyjska kopalnia, więc pani Salomon została i pokazywała dalej swe najpiękniejsze dessous. Gdy wszakże po ostatnim badaniu w obliczu topnienia śniegów otrzymała nowy pięćmiesięczny dodatek, a to na skutek świstów w lewym szczycie i niezaprzeczenie złych szmerów pod lewą łopatką, cierpliwość jej się wyczerpała i z protestami i złorzeczeniami na Wieś i Uzdrowisko, na ich sławetne powietrze, na międzynarodowy zakład leczniczy „Berghof” i na lekarzy wyjechała do domu, do wietrznego i zalanego wodą Amsterdamu. Czy było to mądre postępowanie? Radca Behrens podnosił ramiona i ręce i hałaśliwie opuszczał je na biodra. Najpóźniej jesienią pani Salomon będzie tu z powrotem — ale wtedy już na zawsze. Czy zapowiedzi jego się sprawdzą? Będziemy się mogli o tym przekonać, my, którzy jeszcze na dłuższy czas jesteśmy związani z tym miejscem rozrywek. Jednakże sprawa pani Salomon nie była bynajmniej odosobniona. Czas przynosił zmiany — robił to co prawda zawsze, ale zazwyczaj bardziej stopniowo, nie w tak uderzający sposób jak teraz. Sala jadalna ukazywała luki przy wszystkich siedmiu stołach, zarówno przy lepszym rosyjskim, jak i przy gorszym, przy stołach stojących wzdłuż i w poprzek. O frekwencji w sanatorium nie dawało to jednak właściwego wyobrażenia; przyjazdy zdarzały się jak zawsze; pokoje zapewne były zajęte, ale przez gości znajdujących się w stadium

końcowym choroby, które ograniczało swobodę ich ruchów. Z sali jadalnej, jak się rzekło, zniknął ten czy ów dzięki pozostającej mu jeszcze swobodzie, a niektórzy znikali nawet w głębię i pustkę, jak dr Blumenkohl, który zakończył życie. Twarz jego coraz bardziej nabierała takiego wyrazu, jak gdyby miał coś niesmacznego w ustach; potem długo musiał leżeć w łóżku i wreszcie umarł; nikt nie umiałby dokładnie powiedzieć, kiedy. Sprawa została potraktowana ze zwykłą w sanatorium oględnością i dyskrecją. Powstała luka. Pani Stöhr siedziała przy tej luce i odczuwała lęk przed nią. Dlatego przeniosła się i zajęła miejsce po drugiej stronie młodego Ziemssena, dawne miejsce miss Robinson, zwolnionej po wyleczeniu, a naprzeciw nauczycielki, która siedziała po lewej stronie Hansa Castorpa i nie opuszczała swego miejsca. Siedziała ona obecnie zupełnie sama po tej stronie stołu, pozostałe trzy miejsca były wolne. Student Rasmussen, co dzień głupszy i słabszy, musiał położyć się do łóżka i uchodził za skazanego na śmierć, a stara ciotka z siostrzenicą i Marusią o wysokich piersiach udały się w podróż — mówimy „udały się w podróż”, jak mówili wszyscy, bo ich bliski powrót nie ulegał wątpliwości. Jesienią będą tu znowu — czy można to było uważać za całkowity odjazd? Letnie przesilenie dnia z nocą będzie już bliskie, jak tylko miną Zielone Świąta, a te są już za pasem; skoro zaś tylko przyjdzie najdłuższy dzień, to potem szybkim już krokiem pójdzie ku zimie — dość że, właściwie mówiąc, ciotka i Marusia już jakby były z powrotem, i to całe szczęście, bo śmieszka Marusia bynajmniej nie jest wyleczona i wolna od zarazków; nauczycielka miała pewne informacje o tuberkulicznych wrzodach, które ta ciemnooka Marusia jakoby miała na swym obfitym łonie i które wielokrotnie trzeba było operować. Gdy nauczycielka o tym mówiła, Hans Castorp szybko spojrzał na Joachima; ten pochylił nad talerzem twarz, na której wystąpiły plamy.

Dziarska ciotka wydała dla swych współbiedniaków, a więc dla obu kuzynów, nauczycielki i pani Stöhr pożegnalną kolację, wystawne przyjęcie z kawiozem, szampanem, likierami, podczas którego Joachim przeważnie zachowywał milczenie, mówił tak niewiele i tak bezdźwięcznym głosem, że aż ciotka w swej życzliwości dodawała mu odwagi i nawet mówiła mu „ty”, wbrew temu, co przyjęte w cywilizowanym świecie. — To nic, ojczulku — mówiła doń — nic sobie z tego nie rób, tylko pij, jedz i rozmawiaj, wrócimy niebawem. Wszyscy jedzmy, pijmy i gawędźmy, zgryzotę pozostawmy zgryzotom. Bóg da, że jesień przyjdzie, zanim zdążymy o niej pomyśleć — powiedz sam, czy jest się czego martwić! — Następnego zaś ranka porozdawała na pamiątkę różnobarwne pudło z „konfektami”, porozdawała je prawie wszystkim sąsiadom z sali jadalnej, i potem z obu swymi pannami na jakiś czas wyjechała.

A co działo się z Joachimem? Czy doznał wyzwolenia i ulgi, czy też dusza jego cierpiała w obliczu opustoszałej drugiej strony stołu? Czy jego niezwykła i buntownicza niecierpliwość, jego groźba, że odjedzie „dzikim sposobem”, jeśli go dalej będą za nos wodzić, miała związek z wyjazdem Marusi? Czy raczej fakt, iż na razie jednak nie wyjechał, lecz chętnie słuchał pochwały topnienia śniegów, wygłaszanej przez radcę, nie tłumaczył się tym innym faktem, że Marusia o wysokim łonie nie wyjechała na dobre, lecz jedynie wyjechała w podróż i powróci, ledwie minie pięć najmniejszych jednostek tutejszego czasu? Ach, wszystko to było jednocześnie prawdą, i to w równym stopniu; Hans Castorp był tego pewien, choć nigdy o tej sprawie z Joachimem nie mówił. Od tego bowiem powstrzymywał się stanowczo, tak samo jak znów Joachim unikał nazwiska pewnej innej osoby, która również na jakiś czas wyjechała.

Tymczasem zaś przy stole Settembriniego, na miejscu Włocha — któż siedział tam od niedawna, w towarzystwie holenderskich gości, których apetyt był tak olbrzymi, że każdy z nich na początku codziennej kolacji, złożonej z pięciu dań, kazał sobie jeszcze przed zupą podawać trzy jajka sadzone? Teraz siedział tam Anton Karłowicz Ferge, który doznał piekielnego wypadku wstrząsu opłucnowego. Tak, pan Ferge opuścił łóżko i nawet bez sztucznej odmy stan jego na tyle się poprawił, że większą część dnia spędzał ubrany i w ruchu, i że ze swymi dobrodusznymi nastrzępionymi wąsami i swą wielką krtanią, równie dobrodusznie robiącą wrażenie, brał już udział w posiłkach. Kuzyni nieraz gawędzili z nim w sali i w hallu, a niekiedy także, jeśli się tak złożyło, odbywali wspólnie obowiązkowe przechadzki, pełni sympatii dla dobrodusznego męczennika, oświadczającego, że wszelkie wyżyny są dlań niedostępne, ale który po tym zastrzeżeniu w nie mniej miły sposób, podczas gdy we mgle brnęli przez roztopiony śnieg, opowiadał o fabrykacji kaloszy w dalekich krajach państwa rosyjskiego, w Samarze czy Gruzji.

Bo drogami rzeczywiście ledwie można było chodzić, były zupełnie rozmoknięte, a nad nimi kłębiły się mgły. Radca mówił, że nie są to mgły, lecz chmury; ale, wedle Hansa Castorpa, były to tylko słowne wybiegi. Wiosna toczyła ciężką walkę, ciągnącą się miesiącami, aż do czerwca, wśród setek nawrotów do najgorszej zimy. Już w marcu, gdy słońce świeciło, na balkonie i na leżaku mimo najlżejszego ubrania i mimo parasolki trudno było z gorąca wytrzymać i niektóre panie zachowywały się już jak w lecie, od pierwszego śniadania występując w muślinach. Było to poniekąd usprawiedliwione klimatem panującym tu w górze, który sprzyjał zamieszaniu, bo obalał meteorologiczną kolejność pór roku; niemniej w postępowaniu tych pań była krótkowzroczność i brak wyobraźni, ograniczenie istot żyjących chwilą, które niezdolne są pomyśleć, że może być znów inaczej niż jest, przede

wszystkim zaś żądza odmiany i nie licząca się z czasem niecierpliwość: w kalendarzu był marzec, a zatem wiosna, prawie lato, więc wyciągały z kufrów muślinowe suknie, by się w nich pokazać, zanim przyjdzie jesień. A ta się już poniekąd okazywała. W kwietniu nadeszły ponure wilgotno-zimne dni, długotrwałe deszcze przechodziły w śnieg, w wirujący świeży śnieg. W loggii kostniały palce, oba koce z wielbłądziej sierści na nowo stały się potrzebne, mało brakło, a trzeba by sięgnąć do worka na futrze, zarząd zdecydował się znów palić i wszyscy się skarżyli, że zawiedli się na wiosnie. Pod koniec miesiąca wszystko było pokryte grubym śniegiem, ale potem przyszedł wiatr halny, przewidziany, przeczuty przez doświadczonych i wrażliwych gości: pani Stöhr, blada jak z kości słoniowej panna Levi, a także wdowa pani Hessenfeld czuły go zgodnie, nim jeszcze od południa pokazała się pierwsza chmurka na szczycie granitowej skały. Pani Hessenfeld zaczęła zaraz objawiać skłonność do spazmów, panna Levi położyła się do łóżka, a pani Stöhr szczerząc krnąbrnie swe zajęcze zęby zapowiadała co chwila z zabobonnym lękiem, że dostanie krwotoku; bo mówiono, że wiatr halny przyspiesza go i wywołuje. Zapanało nieprawdopodobne ciepło, kaloryfery ostygły, zostawiano na noc otwarte drzwi na balkon i pomimo to stwierdzano nazajutrz jedenaście stopni w pokoju; śnieg topniał gwałtownie, nabierał wyglądu lodu, stawał się porowaty i podziurawiony, a tam, gdzie leżał w większej ilości, kurczył się, zdawało się, że się chowa pod ziemię. Wszędzie się coś sączyło i szemrało, w lesie kapało z drzew, topniały śniegi po obu stronach oczyszczonych dróg, malały w oczach blade dywany na łąkach, choć masy śniegu zbyt były wielkie, aby mogły prędko zniknąć. Ukazywały się dziwne zjawiska, niespodzianki wiosenne na drogach, bajkowe, nigdy nie widziane. Bliżej rozpościerały się łąki, w głębi sterczał stożek Schwarzhornu, jeszcze cały w śniegu, opodal po prawej lodowiec Scaletta, również głęboko zasypany śniegiem, pod śniegiem była też dolina ze swą szopą na siano, choć tu pokrywa śnieżna była cienka i rzadka, przerywana na wzniesieniach; a wszędzie poprzetykana suchą trawą. Wędrowcy twierdzili, że ten rodzaj zaśnieżenia jest nieprawidłowy — w dali, pod leśnymi stokami było gęstsze, ale z bliska, przed oczami przyglądających się, sucha jeszcze jak w zimie i bezbarwna trawa była śniegiem już tylko nakrapiana, cętkowana, jakby ukwiecona... Przyglądali się z bliska, schylali się pełni zadziwienia — to nie był śnieg, lecz kwiaty śnieżne, śnieg kwietny, kielichy na krótkich łodygach, białe i białoniebieskawe, to były krokusy, zaprawdę, milionami wyrosłe z sączącej wodę łąki, tak gęste, że łatwo je można było uważać za śnieg, w który też dalej niepostrzeżenie przechodziły.

Śmieli się ze swej omyłki, śmieli z radości wobec cudu dokonującego się w ich oczach, widząc, jak uroczo, trwożliwie, naśladowniczo przystosowuje się życie

organiczne, gdy pojawia się znowu po raz pierwszy. Zrywali, oglądali i badali delikatne twory o kształcie kielichów, zdobili nimi swe butonierki, zanosili je do domu, wstawiali je w swych pokojach do wody, bo nieorganiczne stężenie doliny trwało długo — długo, mimo że było urozmaicone.

Tymczasem śnieg kwiatów pokryty został przez śnieg prawdziwy, a tak samo stało się z błękitnymi urdzikami, żółtymi i czerwonymi pierwiosnkami, które pojawiły się w ślad za krokusami. Jakże trudno było wiośnie wydostać się z oków i przemoc tutejszą zimę. Była odrzucana dziesięciokrotnie, zanim mogła się tu w górze utwalić — zdawało się, że ponownie wdziera się zimą z białą zawieruchą, lodowatym wiatrem i uruchomieniem kaloryferów. W początku maja (bo tymczasem nastąpił już maj, podczas gdyśmy opowiadali o śnieżnych kwiatach), w początku maja było po prostu męką napisać w loggii kartkę pocztową na niziny, palce bolały jak od ostrej listopadowej wilgoci; a te nieliczne drzewa liściaste, które rosły w okolicy, były tak suche, jak to na równinach bywa w styczniu. Deszcz padał całymi dniami, lał przez tydzień i gdyby nie własności tutejszych leżaków, które godziły z werandowaniem, byłoby ze wszech miar ciężko wśród kłębiących się chmur, z wilgotną, zeszywniałą twarzą tyle godzin wytrzymać leżąc na powietrzu. Jednakże w gruncie rzeczy był to deszcz wiosenny i w miarę jak padał, coraz bardziej ujawniał swą wiosenność. Stopił cały prawie śnieg: znikła biel, jedynie tu i ówdzie pozostała brudna szarość lodu i łąki zaczęły już teraz naprawdę zielenieć.

Co za dobrodziejstwo dla oka, ta zieleń łąk po nieskończonej bieli, która delikatnością i wdzięczną miękkością jeszcze znacznie przewyższała zieleń młodej trawy. To modrzewie wypuściły młode pęki igieł. Hans Castorp rzadko mógł się na obowiązkowych spacerach od tego powstrzymać, by ich ręką nie popieścić i by nie pogłaskać nimi swej twarzy, tak nieodparty był urok ich miękkości i świeżości. — Miałoby się ochotę zostać botanikiem — mówił do swego towarzysza — nabiera się naprawdę do tego chęci, z uciechy wobec przebudzenia się natury po takiej zimie jak ta u nas w górze! To gencja, człowieku, to, co widzisz na stoku, a ta tu — to jakaś odmiana żółtych fiołków, której nie znam. Ale to są jaskry, u nas na dole nie wyglądają one też inaczej, z rodziny Ranunculaceae, pełne, jak widzę, szczególnie urocza roślina, zresztą dwupłciowa, widzisz tu moc naczyń pyłkowych, a tu wiele zalążków owocowych, androeceum i gynoecium, jeśli się nie mylę. Koniecznie trzeba sobie sprawić parę botanicznych kobył, aby się lepiej poinformować o tej dziedzinie życia i wiedzy. Jakżeż barwnie robi się na świecie!

— W czerwcu będzie jeszcze lepiej — mówił Joachim. — Wtedy przyjdzie to

sławne tutejsze kwitnienie łąk. Ale nie sądzę, bym się tu tego doczekał. A ty pewnie pod wpływem Krokowskiego chcesz studiować botanikę?

Krokowski? Skądże mu przyszedł do głowy? Ach tak, stąd, że dr Krokowski ostatnio w jednym ze swych wykładów występował jako botanik. Byłby w błędzie ten, kto by przypuszczał, iż wywołane przez czas zmiany skłoniły dra Krokowskiego do zaprzestania odczytów. Wygłaszał je co dwa tygodnie w tużurku, choć już nie w sandałach, które nosił tylko w lecie, a więc wkrótce znów nosić będzie — co drugi poniedziałek w sali jadalnej, tak samo jak w jednym z pierwszych dni pobytu Hansa Castorpa, gdy ten zjawił się na odczycie za późno i cały umazany krwią. W ciągu trzech kwartałów analityk mówił o miłości i chorobie — nigdy dużo na raz, w niewielkich dawkach, w półgodzinnych czy trzechkwadransowych pogawędkach roztaczał skarby swej wiedzy i myśli, a czynił to tak, że każdy miał wrażenie, iż nigdy nie przerwie i będzie mówić bez końca. Był to rodzaj „tysiąca i jednej nocy” powtarzanych co pół miesiąca, snujących za każdym razem dowolny ciąg dalszy, a zdolnych, jak bajki Szecherezady, ciekawego księcia uspokoić i od gwałtów powstrzymać. W swej bezbrzeżności temat dra Krokowskiego przypominał owo przedsięwzięcie, w którym współpracował Settembrini, mianowicie *Encyklopedia cierpienia*; a jakie możliwości temat ten w sobie zawierał, widać stąd, że prelegent ostatnio mówił nawet o botanice, dokładniej: o grzybach... Zresztą tym razem zmienił on może cośkolwiek swój przedmiot, mówił raczej o miłości i śmierci, co dawało mu powód do rozważań po części subtelnie poetyckich, a po części nieubłagane naukowych. W tym związku uczony — przemawiający wschodnio przeciągającym akcentem i wymawiający „r” za pomocą jednorazowego uderzenia języka o zęby — doszedł do botaniki, to znaczy do grzybów — tych bujnych i fantastycznych zjawisk życia organicznego, z natury swej mięsistych, zbliżonych do zwierząt, zawierających wytwory zwierzęcej przemiany materii, białko i glikogen, a więc czynniki siły zwierzęcej. Dr Krokowski mówił o pewnym grzybie, który od czasów starożytnych zyskał sławę dla swego kształtu i dla przypisywanych mu sił, mianowicie o smardzu, którego łacińska nazwa obejmuje przymiotnik *impudicus*, którego kształt przywodzi na myśl miłość, a zapach — śmierć. Bo, rzecz uderzająca, *impudicus* wydaje zapach trupi, gdy z jego kapelusza, podobnego do dzwonu, skapuje pokrywający go zasobny w zarodniki śluz. Wśród laików grzyb ten po dziś dzień uchodzi za środek erotycznie podniecający.

Tego już było za wiele ze względu na damy, jak zauważył prokurator Paravant, który, podtrzymywany na duchu propagandą radcy, pozostał tu na okres topnienia śniegów. Ale także pani Stöhr, która również dawała dowody silnego charakteru i opierała się pokusom dzikiego odjazdu, oświadczyła przy stole, że dr Krokowski



był dziś obskurny ze swym klasycznym grzybem. Hansa Castorpa zaś zdziwiło, że Joachim robił aluzję do dra Krokowskiego i jego botaniki: bo właściwie o analityku nie mówili z sobą tak samo, jak nie mówili o Kławdii Chauchat i o Marusi — nie wspominali o nim, jego osobę i działalność najchętniej pomijali milczeniem. Tymczasem teraz Joachim wspomniał o asystencie — a uczynił to tonem, w którym dźwięczał zły humor, jak zresztą już jego uwaga, że nie zamierza odczekiwać pełnego kwitnięcia łąk, dowodziła złego humoru. Widać było, że poczciwy Joachim bliski jest utraty równowagi. Głos jego z rozdrażnienia załamywał się przy mówieniu, nie był już tym samym człowiekiem co dawniej, łagodnym i rozsądnym. Czy cierpiał z powodu braku zapachu pomarańcz? Czy też te istne dziwy z cyframi Gaffky'ego doprowadzały go do rozpacz? A może rozdrażnienie jego pochodziło stąd, że nie mógł się zdecydować, czy ma doczekać tu jesieni, czy też „fałszywie” wyjechać?

W rzeczywistości coś jeszcze innego wywoływało to podrażnienie w drżącym głosie Joachima i było przyczyną, że o wykładzie botanicznym wspomniał w tonie bez mała szyderczym. O tym czymś Hans Castorp nie wiedział, czy raczej nie wiedział, iż Joachim o tym wie, sam bowiem będąc zbiegiem i wiecznym dla życia i pedagogiki strapieniem, wiedział o tym aż nazbyt dobrze. Rzecz w tym, że Joachim wykrył podstępny swego kuzyna, złapał go znienacka na zdradzie, podobnej znów do tej, jaką popełnił w ostatni wtorek karnawału, a to sprzeniewierzenie się pogarszała jeszcze pewność, iż Hans Castorp popełnia je stale.

W wiecznie jednostajnym rytmie upływał czas, normalne dni miały wprawdzie urozmaicony, ale ustalony, niezmienny porządek, tak że można je było pozamieniać i poplątać z sobą; dni były identyczne jak niewzruszona wieczność, tak iż trudno było pojąć, jak w ogóle może dochodzić do przemian; a do tego niezmiennego codziennego porządku, jak każdy pamięta, należało, że dr Krokowski obchodził między wpół do czwartej a czwartą pokoje, ściśle mówiąc balkony, przechodząc od leżaka do leżaka. Ileż razy odnowił się normalny dzień „Berghofu” od owego czasu, gdy Hans Castorp irytował się w swej poziomej pozycji, że asystent okrążył go i nie wziął wcale pod uwagę! Dawno już z ówczesnego gościa stał się kolegą — dr Krokowski zwracając się doń podczas swych wizyt kontrolnych często go nawet nazywał „Kamerad”; dźwięk „r” w tym wyrazie wydobywał egzotycznie za pomocą jednorazowego uderzenia języka o przód podniebienia; z tym wojskowym wyrazem było mu bardzo nie do twarzy, jak to orzekł Hans Castorp, mówiąc z Joachimem, choć niezłe odpowiadał jego mocnemu po męsku wesołemu sposobowi bycia, pobudzającemu do niczym nie zmaconego zaufania, ale z tym sposobem bycia kłóciła się znów jego czarniawa bladość — a tkwiło w nim zawsze coś budzącego obawę.

— No cóż, kolego, jak się panu powodzi? — mówił dr Krokowski, oszczędzając od rosyjskiej pary i zbliżając się do posłania Hansa Castorpa, który ze złożonymi na piersi rękami uśmiechał się co dzień na nowo, boleśnie i uprzejmie, słysząc ten obrzydliwy zwrot, i wpatrywał się w żółte zęby doktora, ukazujące się w jego czarnej brodzie. — Czy dobrze pan wypoczął? Zapewne tak — ciągnął dalej dr Krokowski. — Krzywa opada? a dziś się podnosi? Nie, to nic nie znaczy, do wesela wszystko będzie w porządku. Pozdrawiam pana. — Iz tymi słowami, które również szkaradnie brzmiały w jego ustach, bo je wymawiał: „pozddawiam pana” — szedł już dalej, do Joachima — był to wszak tylko obchód chorych, krótki rzut oka, mający przekonać, czy wszystko jest w porządku, i nic więcej.

Niekiedy co prawda dr Krokowski zatrzymywał się dłużej, jego szeroka postać stawała opodal leżącego, uśmiechał się po męsku i gawędził z kolegą o tym i o tamtym, o pogodzie, o wyjazdach i przyjazdach, o nastroju pacjenta, jego dobrym i złym humorze, nawet o jego sprawach osobistych, jego pochodzeniu i widokach na przyszłość, aż wreszcie mówił „pozddawiam pana” i szedł dalej; a Hans Castorp, ręce dla odmiany zakładając pod głowę, odpowiadał z uśmiechem na to wszystko, choć przenikało go uczucie obrzydliwości; tak, zapewne, jednakże mu odpowiadał. Rozmawiali przyciszonym głosem — a choć szklane ściany niezupełnie oddzielały jedną loggię od drugiej, Joachim nie mógł słyszeć rozmowy, nie robił zresztą najmniejszego pod tym względem wysiłku. Słyszał, jak kuzyn jego wstawał z leżaka i wchodził z drem Krokowskim do pokoju, zapewne aby mu pokazać swój wykres temperatury, i rozmowa musiała się jeszcze ciągnąć przez dobrą chwilę, sądząc z opóźnienia, z jakim asystent od strony pokoju wchodził do Joachima.

O czym mówili koledzy? Joachim nie pytał; ale gdyby ktoś z nas, nie biorąc zeń przykładu, postawił to pytanie, to można by mu powiedzieć, że niemało jest tematów i podniet dla wymieniających swe myśli mężczyzn i kolegów, których podstawowe poglądy noszą piętno idealizmu, a z których jeden w trakcie rozwoju doszedł do pojmowania materii jako pierwotnego grzechu ducha, jako jego wybijania pod wpływem jakiejś podniety, a drugi, jako lekarz, dowodził pochodnego charakteru chorób organicznych. Niejedno mogli sobie powiedzieć o materii jako niegodnym zwyrodnieniu niematerialnego bytu, o życiu jako o bezwstydzie materii, o chorobie jako wyuzdanej postaci życia! W nawiązaniu do bieżących wykładów mogła być mowa o miłości jako potędze chorobotwórczej, o nadzmysłowej istocie znamion, o „starych” i „świeżych” miejscach, rozpuszczalnych jadach i napojach miłosnych, o prześwietleniu podświadomości, o błogosławieństwie analizy duszy, o wstecznej przemianie symptomów — są to jedynie propozycje i domysły na

wypadek, gdyby zostało postawione pytanie, co dr Krokowski i Hans Castorp mieli sobie do powiedzenia!

Zresztą nie mówili już teraz z sobą, należało to do przeszłości, było tak tylko przez krótki czas, przez parę tygodni; ostatnio dr Krokowski znowu nie zatrzymywał się przy tym pacjencie dłużej niż przy wszystkich innych. „No cóż, kolego” i „pozddawiam pana” — do tego zazwyczaj znów się przeważnie ograniczała wizyta. Natomiast Joachim zrobił inne odkrycie, to, w którym dopatrywał się zdrady ze strony Hansa Castorpa; a zrobił je zupełnie nieумыślnie, bo był po wojskowemu niepodejrzliwy i nie myślał o szpiegowaniu, tego można być pewnym. Po prostu pewnej środy został odwołany z rannego werandowania i wezwany do podziemi, aby go kąpielowy zważył, i wtedy — zobaczył. Szedł na dół schodami, tymi czyściutko wyłożonymi linoleum schodami, z których widać było gabinet lekarski, a po jego obu stronach pokoje do prześwietlania, jeden do organicznego, drugi zaś do psychicznego, leżący za rogiem, o stopień niżej, z biletem dra Krokowskiego na drzwiach. Ale w połowie schodów Joachim się zatrzymał, bo właśnie Hans Castorp po zastrzyku opuszczał gabinet lekarski. Wyszedłszy z drzwi zamknął je obu rękami i nie rozglądając się, skierował się na prawo ku drugim, na których przybity był pluskiewkami bilet wizytowy; do drzwi tych dotarł niewielu, podanymi naprzód, bezgłośnie się kołyszącymi krokami. Zastukał, po czym nachylił się, przytknął ucho do stukającego palca. Gdy zaś barytonowe „proszę” z egzotycznie dźwięcznym „r” i połączoną samogłoską nosową odezwało się z wewnątrz, Joachim widział, jak jego kuzyn znikł w półmroku analitycznej jaskini dra Krokowskiego.

## **Jeszcze ktoś**

Dni były długie, najdłuższe, mówiąc rzeczowo i biorąc pod uwagę ilość słonecznych godzin; bo jeśli chodzi o szybkość, z jaką uciekały, każdy z osobna i wszystkie razem, to ich astronomiczne trwanie nie miało na nią żadnego wpływu. Wiosenne zrównanie dnia z nocą minęło już prawie trzy miesiące temu i nadeszło letnie przesilenie dnia z nocą. Ale rok naturalny ociągając się nadażał tu w górze za kalendarzem: dopiero teraz, dopiero w tych dniach nastąpiła ostatecznie wiosna, wiosna jeszcze bez ociężałości lata, aromatyczna, o przejrzystym i lekkim powietrzu, ze srebrnie promieniejącym błękitem nieba i dziecięco barwnym kwieciami łąk.

Hans Castorp znajdował na zboczach te same znów kwiaty, które niegdyś

Joachim uprzejmie wstawił mu był do pokoju na powitanie: krwawniki i dzwonki. Był to dlań znak, że rok dobiegał końca. Z młodych szmaragdowych traw na stokach gór i łąkach jakże różne wykwitły formy życia organicznego, bądź gwiazdy, kielichy, dzwony, bądź nieregularne twory, a wszystkie wypełniały słoneczne powietrze swym suchym aromatem: smółki i dzikie bratki w ogromnych ilościach, kaczeńce, stokrotki, pierwiosnki w żółtym i czerwonym kolorze, o których Hans Castorp sądził, że są o wiele piękniejsze niż te wszystkie, które widywał na nizinach, jeśli tam w ogóle zwracał na nie uwagę; a rosły tu także urdziki z dzwonekami o długich rzęsach, niebieskie, purpurowe i różowe, jakby pochylające się w ukłonie, specjalność tych regionów.

Rwał te wszystkie śliczności, niósł bukiety do domu, poważnie nastrojony, niósł je nie tyle dla ozdobienia pokoju, ile dla ściśle naukowego ich opracowania, jakie sobie zamierzył. Podręczny aparat florystyczny został nabyty, zarys ogólnej botaniki, wygodna mała łopatka do wykopywania roślin, herbarium, mocne szkło powiększające, i młody człowiek operował tym wszystkim w swej loggii, już znów ubrany po letniemu, w jednym z tych ubrań, które swego czasu przywiózł był z sobą — jeszcze jeden objaw zakończenia się rocznego okresu.

Świeże kwiaty stały w kilku szklankach porozstawiane na meblach w głębi pokoju, na stoliku z lampą przy doskonałym leżaku. Kwiaty, na wpół zwiędłe, już nieświeże, ale jeszcze nie uschłe, zalegały parapet balkonu, leżały rozrzucone na podłodze loggii, podczas gdy inne, porządnie rozłożone między bibułami wypijającymi ich wilgoć, leżały przygniecione kamieniami, aby Hans Castorp mógł potem za pomocą nagumowanych skrawków papieru wklejać wysuszone preparaty do swego albumu. Leżał podciągnąwszy wysoko kolana i założywszy jedno na drugie, a rozwarty i odwrócony podręcznik grzbietem swym tworzył jakby daszek na jego piersi; krążek grubo szlifowanego szkła powiększającego trzymał między swymi dobronudnymi niebieskimi oczami a kwiatem, którego koronę odciął częściowo scyzorykiem, aby móc lepiej studiować jej dno; korona pod soczewką rozrastała się w dziwaczny mięsisty twór. Woreczki pyłkowe osypywały końce pylników swym żółtym pyłkiem, z załączni sterczała zakończona znamieniem szyjka słupka, a gdy się ją przecinało, to można było oglądać delikatny kanalik, przez który w cukrzystej wydzielinie ziarnka pyłku i łagiewki pyłkowe przedostawały się do wnętrza załączni. Hans Castorp liczył, sprawdzał, porównywał; badał budowę i rozmieszczenie działek i płatków, jak też męskie i żeńskie organy płciowe, pilnował zgodności tego, co widział, zarówno ze schematycznymi jak i z robionymi z natury rycinami, sprawdzał z zadowoleniem słuszność naukowych teorii w budowie znanych sobie roślin, a wreszcie te, dla których nie znał nazw, usiłował przynajmniej umieścić wedle Lin-

neusza w odpowiedniej gromadzie, klasie, rzedzie, rodzinie, rodzaju i gatunku. Że zaś miał wiele czasu, robił pewne postępy w systematyce botanicznej na podstawie morfologii porównawczej. Pod zasuszoną rośliną w herbarium wpisywał kaligraficznie łacińską nazwę, jaką jej humanistyczna nauka z galanterią nadała, dopisywał wyróżniające ją cechy i pokazywał poczciwemu Joachimowi, który patrzył na to ze zdziwieniem.

Wieczorem przyglądał się gwiazdom. Opanowało go zainteresowanie rokiem, który kończy się w tym samym punkcie, w którym się zaczął; opanowało go, choć dwadzieścia kilka obiegów słońca spędził już na ziemi i nigdy się o takie sprawy nie troszczył. Gdyśmy mimo woli posługiwali się takimi wyrażeniami jak „wiosenne zrównanie dnia z nocą”, to było to w jego duchu i już w związku z tym, co go teraz przejmowało. Bo takiego rodzaju terminami lubił od niedawna sypać i wiedzą w tym zakresie wprowadzał swego kuzyna w zdumienie.

— Słońce już teraz niezadługo wejdzie w znak Raka — tak mniej więcej chętnie zaczynał na spacerach. — Czy zdajesz sobie z tego sprawę? To pierwszy letni znak zodiaku, czy rozumiesz? Przez znak Lwa i Panny dojdzie do punktu jesieni, do zrównania dnia z nocą, w końcu września, gdy znów Słońce znajdzie się na równiku niebieskim jak ostatnio w marcu, gdy weszło w znak Barana.

— Tegom nie zauważył — mówił Joachim mruklawie. — O czym ty tak biegle rozprawiasz? Baran? Zodiak?

— Tak, rzeczywiście, zodiak. Prastare znaki niebieskie, Skorpion, Łucznik, Koziorożec, Wodnik i jak się tam one wszystkie nazywają, jakże można się tym nie interesować! Jest ich dwanaście, tyle przynajmniej wiesz, trzy na każdą porę roku, wstępujące i zstępujące, krąg gwiazdozbiorów, przez które Słońce przechodzi — to według mnie wspaniałe! Wyobraź sobie, że w egipskiej świątyni znaleziono je wymalowane na plafonie — w dodatku w świątyni Afrodyty niedaleko od Teb. Chaldecyzcy też już je znali — Chaldecyzcy, proszę ciebie, ten stary lud czarodziei, arabsko-semicki, uczony w astrologii i wróżbiarstwie. Oni studiowali już krąg niebieski, w którym obracają się planety, i podzielili go na dwanaście znaków gwiazdnych, dodekatemoria, tych samych, które doszły do nas. To wspaniałe. To ludzkość!

— Mówisz „ludzkość” — jak Settembrini.

— Tak jak on albo nieco inaczej. Trzeba ją brać taką, jaka jest, ale już w tym jest wspaniałość. Dużo i z sympatią myślę o Chaldecyzkach, gdy tak leżę i patrzę na te planety, które oni już znali, bo wszystkich jednakże nie znali, choć byli tak mądry.

Ale tych, których nie znali, ja też nie mogę dojrzeć, Uran został odkryty za pomocą teleskopu dopiero niedawno, przed stu dwudziestu laty.

— Niedawno?

— Pozwól, że nazwę to „niedawno” w porównaniu z trzema tysiącami lat od owych czasów. Ale gdy tak leżę i oglądam sobie planety, to te trzy tysiące lat stają się dla mnie też „niedawno” i poufale jak o bliskich istotach myślę o Chaldejczykach, którzy je również widzieli i po swojemu ujmowali — i to jest ludzkość.

— No, dobrze, masz wspaniałe pomysły.

— Nazywasz je „wspaniałymi”, a ja intymnymi — niech każdy je nazywa jak chce. Ale gdy Słońce wejdzie w znak Wagi, mniej więcej za trzy miesiące, to dni będą o tyle krótsze, że się z nocami wyrównają, a potem skracać się będą dalej, aż do Bożego Narodzenia, to przecie wiesz. Ale, proszę cię, pomyśl sobie, że gdy Słońce przechodzi przez znaki zimowe, przez Koziorożca, Wodnika i Ryby, następuje znów przyrost dnia. Bo wtedy przychodzi znów punkt wiosenny, po raz trzystysięczny od Chaldejczyków, i dni rosna dalej, aż się zaczyna lato.

— Oczywiście.

— Nie, to jest sowizdrzalstwo! W zimie dni rosna, a gdy 21 czerwca przychodzi dzień najdłuższy, początek lata, to wtedy właśnie zaczyna się schodzenie w dół, dni stają się znowu krótsze i idzie ku zimie. Mówisz, że to „oczywiste”, ale gdy się przestanie to traktować jako oczywiste, to człowieka opanowuje lęk i niepokój, kurczowo chciałby się czegośkolwiek uchwycić. To jakby świat był urządony przez sowizdrzała, że z początkiem zimy właściwie zaczyna się wiosna, a z początkiem lata właściwie jest jesień... Jakby ktoś za nos wodził, dokoła wabił ku czemuś, co jest punktem zwrotnym... zwrotnym w kole. Boć koło składa się z samych nierozciągłych punktów zwrotnych, krzywizny zmierzyć nie można, nie ma stałego kierunku, i wieczność nie jest „naprzód, naprzód”, lecz „karuzela, karuzela”.

— Przestań!

— Święto sobótki! — mówił Hans Castorp. — Letnie przesilenie dnia z nocą! Ognie na górach i tańce w wielkim kręgu dookoła buchającego płomienia. Nigdy tego nie widział, ale słyszę, że tak jest u ludzi pierwotnych, tak świętują oni pierwszą noc lata, od której zaczyna się jesień, południe i szczyt roku, od którego schodzi on w dół — tańczą, wirując wydają radosne okrzyki, głośno się radują. Czemu się tak radują ci pierwotni ludzie, czy możesz to zrozumieć? Czemu się tak swawolnie weselą? Dlatego, że odtąd schodzi się w ciemność, czy też raczej dlatego, że dotąd szło się w górę, aż doszło do punktu zwrotnego, na którym utrzymać się niepo-

dobna, aż przyszedł środek lata, najwyższy punkt, a z nim smutek wśród swawoli? Mówię o tym słowami, jakie mi akurat przychodzą do głowy. Jest to melancholijna swawola i swawolna melancholia, która każe ludziom pierwotnym wykrzykiwać radośnie, gdy tańcząc dokoła ogniska robią to z pozytywnej rozpacz, jeśli chcesz, na cześć sowizdrzalstwa, jakie rządzi kołem i wiecznością nie mającą stałego kierunku i w której wszystko powraca na nowo.

— Nie mów „jeśli chcesz” — mruzczał Joachim — proszę cię, we mnie tego nie wmawiaj. Rzeczywiście, bardzo daleko sięgają te sprawy, o których myślisz wieczorami, leżąc.

— Tak, nie zaprzeczam, że ty pożyteczniej czas spędzasz zajmując się rosyjską gramatyką. Człowieku, na pewno niedługo będziesz płynnie mówić po rosyjsku i wielką będziesz mieć z tego korzyść, jak wojna wybuchnie, od czego niech Bóg zachowa.

— Zachowa? Mówisz jak cywil. Wojna jest konieczna. Bez wojny świat by prędko zgnił, jak to Moltke powiedział.

— Tak, świat ma taką skłonność. Co do tego mogę się z tobą zgodzić — dodał Hans Castorp i chciał znów wracać do Chaldejczyków, którzy również wojnę prowadzili i zdobyli Babilon, choć byli Semitami, a więc prawie Żydami — tymczasem jednak obaj jednocześnie zauważyli, że dwaj panowie, idący przed nimi, obrócili głowy: zasłyszana rozmowa pociągnęła ich uwagę i przerwała ich własną rozmowę.

Działo się to na głównej drodze, między Kurhauzem a hotelem Belweder, w czasie powrotu do Davos-Wsi. Dolina przywdziała szatę odświętną, delikatne, jasne i wesołe barwy. Powietrze było rozkoszne. Symfonia pogodnych zapachów płynących z kwiatów łąkowych wypełniała czystą, suchą, przesyconą jasnym słońcem atmosferę.

Dostrzegli Lodovica Settembriniego w towarzystwie kogoś nieznanego; jednakże wydawało się, że on ich nie poznaje czy też nie życzy sobie spotkania z nimi, gdyż odwrócił szybko głowę i gestykulując pograżył się z powrotem w dyskusję ze swym towarzyszem, a nawet usiłował przy tym przyśpieszyć kroku. Gdy wszakże kuzyni, znalazłszy się na prawo od niego, powitali go wesołym ukłonem, udawał zdziwionego i przyjemnie zaskoczonego, wołając „Sapristi” i „do diaska”, ale teraz znów usiłował pozostać w tyle, a tamtych przepuścić przodem, czego ci jednak nie zrozumieli czy raczej nie zauważyli, bo nie widzieli w tym żadnego sensu. Przeciwnie, szczerze ucieszeni, że po dłuższym niewidzeniu znów go spotykają, zatrzymali się przy nim i ściskali jego dłoń, pytając o zdrowie, i w uprzejmym oczekiwaniu spoglądali ku jego towarzyszowi. W ten sposób zmusili go do tego, czego by najwy-

rażniej wolał był nie zrobić, ale co im wydawało się rzeczą najnaturalniejszą i najbardziej spodziewaną w świecie: mianowicie do zapoznania ich z nieznanym; nastąpiło to istotnie, podczas gdy szli naprzód i na wół przystawali; nastąpiło w ten sposób, że Settembrini ruchami rąk, które miały tych panów zbliżyć, i przemawiając do nich wesoło, zapoznał ich z sobą i sprawił, że sobie podali ręce.

Okazało się, że nieznanemu, będący zapewne w wieku Settembriniego, mieszkał w tym samym co on domu: był drugim sublokatorom krawca damskiego Lukačka, i o ile młodzi ludzie zrozumieli, nazywał się Naphta. Był to człowiek mały i szczupły, wygolony i o tak ostrej, jakby gryzącej brzydocie, że prawie zdziwiła obu kuzynów. Wszystko było w nim ostre: zakrzywiony nos, który panował nad twarzą, wąskie i zaciśnięte usta, a także grubo szlifowane szkła w lekkiej oprawie, które nosił na swych jasnoszarych oczach, ostre było nawet milczenie, które zachowywał i z którego było widać, że mowa jego będzie ostra i logiczna. Jak należało, nie miał na sobie kapelusza ani płaszcza — był przy tym bardzo dobrze ubrany, jego flanelowe ubranie, granatowe w białe paski, miało dobry i w miarę modny krój, jak to skonstatowali obaj kuzyni, badający go wzrokiem światowców, a spojrzenie ich spotkało się ze strony małego Naphty z takim samym, tylko szybszym i ostrzejszym spojrzeniem, ześlizgującym się po ich osobach. Gdyby Lodovico Settembrini nie umiał swej wystrzępionej kurtki i spodni w kratę nosić z takim wdziękiem i z taką godnością, to jego aparycja musiałaby niekorzystnie odbijać od wytwornego towarzystwa. Ale nie odbijała, także i dlatego, że owe w kratkę były świeżo wyprasowane, tak iż na pierwszy rzut oka mogły uchodzić prawie za nowe; było to niewątpliwie dzieło jego gospodarza, jak sobie mimochodem pomyśleli młodzi ludzie. Jeśli zaś szpetny Naphta dobrym gatunkiem i elegancją ubrania bliższy był kuzynom niż współlokatorowi, to jednak tworzył z nim jedną grupę nie tylko ze względu na wiek, który ich obu dzielił od młodzieńców, ale także na coś, co najprędzej by można sprowadzić do odmiennej cery obu par, bo u jednych była ona opalona i ciemna, u drugich blada: twarz Joachima w ciągu zimy bardziej jeszcze nabrała barwy brązu, a twarz Hansa Castorpa pałała jak czerwona róża pod jego jasnymi włosami, italskiej natomiast bladości pana Settembriniego, szlachetnie zresztą wyglądającej przy czarnym wąsie, nie przemogły nawet promienie słoneczne, a jego towarzysz, choć blondyn — włosy jego miały zresztą odcień popielaty, były metalicznie bezbarwne, a nosił je gładko szesane znad cofniętego czoła na tył głowy — miał również matowobiałą cerę, właściwą rasom o ciemnych włosach. Dwaj spośród czterech, mianowicie Hans Castorp i Settembrini, mieli laski; Joachim z wojskowych względów laski nie używał, a Naphta po przedstawieniu się niezwłocznie założył z powrotem ręce na plecy. Ręce te, podobnie jak i stopy, były małe i deli-



katne, odpowiednio zresztą do całej jego postaci. Był zaziębiony i pokaszliwał w jakiś nieskuteczny sposób, ale to nie zwracało uwagi.

Pewne zmieszanie i niezadowolenie, jakie objawił zobaczywszy młodych ludzi, Settembrini niezwłocznie elegancko przewyciężył. Okazał jak najlepszy humor i zapoznał tych panów wśród żartów — Naphtę na przykład nazwał „Princeps scholasticorum”<sup>\*</sup>. Wesołość, powiedział, „ma swój wspaniały dwór w pałacach mej piersi”, jak się wyraził Aretino, a jest to zasługa wiosny, którą pan Settembrini sobie chwali. Panowie wiedzą, że do tego świata tu w górze ma on niejeden żal w sercu, tyle razy się już z tego zwierzał. Jednakże cześć wysokogórskiej wiośnie! — zdolna jest przynajmniej częściowo pogodzić go ze wszystkimi okropnościami tych regionów. Nie wnosi zamieszania i nie podnieca jak wiosna na równinie. Nie ma tu na dnie wrzenia! Nie ma wilgotnych zapachów, dusznych wyziewów! Jest tylko jasność, suchość, wesołość, cierpki wdzięk. Odpowiada to jego sercu, jest wspaniałe.

Szli w nieregularnym szeregu, wszyscy czterej obok siebie, o ile to było możliwe; lecz już to Settembrini będący na prawym skrzydle musiał schodzić na jezdnię, gdy mijali idących w odwrotnym kierunku, już to rozluźniał się chwilowo ich front, gdy w tyle pozostawali Naphta, idący z lewej, lub Hans Castorp zajmujący miejsce między humanistą a swym kuzynem. Naphta śmiał się krótko, głosem zmienionym przez katar i przypominającym przy mówieniu dźwięk pękniętego talerza, gdy weń uderzył. Wskazując głową w bok na Włocha, rzekł, powoli akcentując słowa:

— Słuchajcie, co mówi wolterianin, racjonalista. Chwali przyrodę, bo nawet gdy jest ku temu najlepsza okazja, nie odurza nas mistycznymi oparami, lecz zachowuje klasyczną suchość. Jakże to jest wilgoć po łacinie?

— Humor — zawołał Settembrini przez lewe ramię — humor naszego profesora w ujmowaniu przyrody polega na tym, iż podobnie jak Katarzyna Sieneńska, myśli on o ranach Chrystusa, gdy widzi czerwone pierwiosnki.

Naphta odrzekł:

— Byłby w tym raczej dowcip niż humor. Ale gdybym tak robił, to bądź co bądź wnosiłbym ducha do przyrody. A jej tego potrzeba.

— Przyroda — rzekł Settembrini ściszywszy głos i patrząc już niezupełnie przez ramię, lecz w dół — pańskiego ducha wcale nie potrzebuje. Sama jest duchem.

---

\* Princeps scholasticorum (łac.) — najznakomitszy spośród nauczycieli. Może też znaczyć: najznakomitszy ze scholastyków.

— Czy nie znudził się panu jego monizm?

— Ach, więc pan przyznaje, że to żądza przyjemności każe mu dzielić świat na dwie wrogie części, rozrywać Boga i przyrodę.

— Zaciekawia mnie, że pan żądzą przyjemności nazywa to, co mam na myśli, gdy mówię „pasja” i „duch”.

— I pomyśleć sobie, że pan, który tak wielkich słów używa dla frywolnych potrzeb, nazywa mnie czasem retorem.

— Pan obstaje przy tym, że duch znaczy tyle co frywolność. Ale cóż on temu winien, że ma dualistyczną naturę. Dualizm, antyteza jest czynnikiem pobudzającym, namiętym, dialektycznym, pomysłowym. Widzieć świat rozszczepiony na wrogie sobie moce, oto duch. Wszelki monizm jest nudny. Solet Aristoteles quaerere pugnam\*.

— Arystoteles? On realność ogólnych idei przeniósł na jednostki. Był panteistą.

— To fałsz. Niech pan jednostkom przypisze substancjalność, niech istotę rzeczy przeniesie z ogółów na zjawiska jednostkowe, jak to czynili Tomasz i Bonawentura, jako arystotelicy, a zerwie pan jedność świata z najwyższą ideą, świat stanie się pozaboski, a Bóg transcendentny. To klasyczne średniowiecze, mój panie.

— Klasyczne średniowiecze — ależ to wyborne zestawienie słów.

— Przepraszam, ale używam pojęcia klasyczności wszędzie tam, gdzie jest ono na miejscu, to znaczy, ilekroć jakaś idea dosięga swego szczytu. Antyk nie zawsze był klasyczny. Stwierdzam u pana niechęć do zmienności kategorii, do absolutu. Pan nie uznaje też absolutnego ducha. Pan chciałby ducha rozumieć jako demokratyczny postęp.

— Wierzę, że co do tego jesteśmy zgodni, iż duch, nawet najbardziej absolutny, nigdy nie jest obrońcą reakcji.

— Jednakże jest zawsze obrońcą wolności.

— Jednakże? Wolność polega na zasadzie miłości bliźniego, a nie na nihilizmie i nienawiści.

— Których wyraźnie pan się boi.

Settembrini wznosił rękę nad głowę. Utarczka skończyła się. Joachim ze zdziwieniem spoglądał to na jednego, to na drugiego, podczas gdy Hans Castorp z podniesionymi brwiami patrzył na ziemię. Naphta przemawiał ostro i apodyktycznie, choć był tym, który bronił pełniejszej wolności. W szczególności nie miły był spo-

---

\* Solet Aristoteles quaerere pugnam (łac.) — Arystoteles zwykł szukać walki.

sób, w jaki odcinał się mówiąc „to fałsz” — przy zgłosce „sz” wysuwał wtedy wargi, a potem je zaciskał. Settembrini odpowiadał mu po części wesoło i wiele miłego ciepła wkładał w swe słowa, choćby wtedy, gdy nawoływał do jedności w pewnych zasadniczych przekonaniach. Teraz, po zamilknięciu Naphty, domyślając się, że obaj kuzyni potrzebują komentarzy do tej rozmowy, zaczął im dawać objaśnienia, dotyczące nieznanego. Naphta nie przeszkadzał mu w tych objaśnieniach, nie troszcząc się o to, co tamten mówi. Settembrini opowiadał o swym towarzyszu, że jest profesorem języków starożytnych w najwyższych klasach Fridericianum, przy czym na włoską modłę wynosił jak najwyżej pozycję tego, kogo przedstawiał. Mówił, że losy profesora są podobne do jego własnych. Stan zdrowia spowodził go w góry przed pięciu laty, a gdy okazało się, że musi pozostać tu dłużej, opuścił sanatorium i zamieszkał prywatnie u Lukačka, krawca damskiego. Tego tak wybitnego latynistę, wychowanka jednej ze szkół zakonnych, jak się w nieokreślony sposób wyraził, gimnazjum miejscowe słusznie postarało się pozyskać na docenta, który stał się jego ozdobą... Słowem, Settembrini niemało wychwalał brzydkiego Naphtę, choć przecież przed chwilą miał z nim coś w rodzaju abstrakcyjnego sporu i choć ich wymiana zdań, bardzo do sporu podobna, miała się za chwilę ciągnąć dalej.

Settembrini przeszedł teraz do czego innego: zaczął, dawać panu Naphcie wyjaśnienia o kuzynach, przy czym wyszło na jaw, że mu już dawniej o nich opowiadał. Oto jest ów młody inżynier — mówił — co przyjechał na trzy tygodnie, a u którego radca Behrens znalazł wilgotne miejsce, a oto nadzieja pruskiej organizacji wojskowej, podporucznik Ziemssen. Mówił o Joachimie, że się zbuntował, i o jego planach wyjazdu, po czym dodał, iż obraziłoby się inżyniera, zaprzeczając, że i jego ta sama niecierpliwość ciągnie do pracy.

Naphta się skrzywił. Powiedział: — Panowie mają wymownego opiekuna. Nie ośmieliłbym się wątpić, że trafnie oddał ich myśli i pragnienia. Praca, praca — ach, pewien jestem, że on zaraz zrobi ze mnie wroga ludzkości, jakiegoś inimicus humanae naturae\*, gdy się ośmielę wspomnieć czasy, w których jego fanfara bynajmniej nie znalazłaby zwykłego aplauzu, w których właśnie przeciwieństwo jego ideału cenione było bez porównania wyżej. Taki Bernard z Clairvaux głosił hierarchię doskonałości, o jakiej się panu Lodovico nawet nie śniło. Chcą panowie wiedzieć, jaką? Najniższym jej szczeblem jest „młyn”, drugim „pole”, a trzecim i najwyższym — niech pan słucha, Settembrini! — jest „łóże spoczynku”. Młyn jest symbolem życia światowego — symbol nieźle wybrany. Pole oznacza duszę światowego

---

\* Inimicus humanae naturae (łac.) — wróg natury ludzkiej.

człowieka, która ulega wpływowi kaznodziei i duszpasterza. Ten szczebel stoi już wyżej. Ale na łożu...

— Dość! Wiemy już! — zawołał Settembrini. — Moi panowie, teraz będzie wam przedstawiał cel i użytek gnuśnego łoża rozpusty.

— Nie wiedziałem, że pan jest tak skromny, Lodovico. Ale gdy się widzi, jak pan mruga na dziewczynki... Gdzież pańska pogańska szczerłość? Otóż łoże jest miejscem obcowania kochającego z ukochanym i służy jako symbol kontemplacyjnego oderwania się od świata i stworzenia, w celu obcowania z Bogiem.

— Puh, andate, andate — bronił się Włoch prawie ze łzami. Powstał śmiech. Ale potem Settembrini ciągnął dalej z godnością:

— Ach nie, ja jestem Europejczykiem, człowiekiem Zachodu. A pańska hierarchia to czysty Wschód. Wschód brzydzi się działaniem. Lao-Tse uczył, że beczynność jest pożyteczniejsza od czegokolwiek, co istnieje między niebem a ziemią. Gdy wszyscy ludzie zaniechają działania, zapanuje doskonały spokój i szczęście na ziemi. Oto pańskie obcowanie.

— Co też pan mówi? A zachodnia mistyka? A kwietyzm, za którego wyznawcę można uważać Fénelona? Kwietyzm uczył, że wszelkie działanie jest błędem, bo chcieć być czynnym to chcieć obrazić Boga, który sam jeden chce działać. Cytuję tezy Molinosa. Wydaje się, że zdolność osiągnięcia zbawienia w spokoju jest właściwa całej ludzkości.

Tu wmieszał się Hans Castorp. Z odwagą właściwą prostaczkom zabrał głos i mówił zapatrzonej w przestrzeń: — Kontemplacyjność, odosobnienie: w tym coś jest, z tym można się zgodzić. Żyjemy tu w górze w niemałym odosobnieniu, temu nie można zaprzeczyć. Z wysokości pięciu tysięcy stóp, leżąc na naszych wygodnych fotelach, patrzymy na świat i stworzenie i snujemy nasze myśli. Gdy się nad tym zastanawiam i jeśli mam prawdę powiedzieć, to łóżko — mam na myśli leżak, rozumieją panowie — w dziesięć miesięcy dało mi więcej korzyści i nasunęło więcej myśli niż młyn, w jakim żyłem na równinie w ciągu wszystkich minionych lat, temu niepodobna zaprzeczyć.

Settembrini patrzył nań smętnie połyskującymi czarnymi oczami. — Inżynierze — powiedział z naciskiem — inżynierze! — Wziął Hansa Castorpa za ramię i zatrzymał go cośkolwiek w tyle, jakby chciał za plecami tamtych o czymś go przekonać.

— Ileż razy panu mówiłem, że człowiek powinien wiedzieć, kim jest, i myśleć tak, jak mu przystoi. Rzeczą człowieka zachodniego, mimo wszystkie inne nieraz

wysuwane propozycje, jest rozum, analiza, czyn i postęp — a nie próżniacze legowisko mnicha.

Naphta słuchał tych słów. Zwracając się w tył rzekł:

— Mnicha! Mnichom zawdzięcza się kulturę Europy! Zawdzięcza się im, że Niemcy, Francja i Włochy nie są pokryte dziewiczym lasem i bagnami, lecz rodzą zboże, owoce i wino! Mnisi, mój panie, dobrze pracowali...

— Ebbé, no więc!

— Przepraszam. Praca zakonników ani nie była celem sama dla siebie, to znaczy środkiem odurzającym, ani też sens jej nie leżał w tym, by służyć światu i uzyskać materialne korzyści. Była czysto ascetycznym ćwiczeniem, narzędziem pokuty, lekarstwem. Broniła przed ciałem, służyła zabiciu zmysłowości. Miała więc — niech pan pozwoli, że to stwierdzę — całkowicie aspołeczny charakter. Była niezmaconym religijnym egoizmem.

— Jestem panu bardzo zobowiązany za to pouczenie i cieszę się widząc, że błogosławieństwo pracy iść się nawet wbrew woli człowieka.

— Tak, wbrew jego zamierzeniom. Zauważamy tu coś tak doniosłego jak różnica między tym, co pożyteczne, a tym, co ludzkie.

— Co do mnie, to przede wszystkim zauważam z niechęcią, że pan znów rozdwa świat.

— Przykro mi, że zasłużyłem sobie na pańskie niezadowolenie, ale należy rzeczy oddzielać i porządkować i ideę Homo Dei chronić przed nieczystymi składnikami. Wy, Włosi, wynaleźliście kantory wymiany i banki; niech Bóg wam to wybaczy. Ale Anglicy wynaleźli socjologię gospodarczą, a tego duch ludzki nigdy im nie przebaczy.

— Ach, duch ludzkości ożywia także wielkich myślicieli spośród ekonomistów tej wyspy! Pan chciał coś powiedzieć, inżynierze?

Hans Castorp zaprzeczył, jednakże zaczął mówić, a zarówno Naphta, jak Settembrini słuchali go z pewnym napięciem:

— Powinien więc pan, panie profesorze, mieć upodobanie do zawodu mego kuzyna i rozumieć niecierpliwość, z jaką on chce doń wracać... Co do mnie, to jestem w każdym calu cywilem, kuzyn mój nieraz mi to wyrzuca. Nawet nie odsługiwałem powinności wojskowej i zdecydowanie jestem dzieckiem pokoju; niejednokrotnie myślałem sobie, że doskonale mogłem być zostać duchownym — niech pan zapyta mego kuzyna, nieraz mówiłem mu coś w tym rodzaju. Ale gdy pomnę swe osobiste skłonności — ściśle biorąc, może ich nawet nie potrzebuję całkowicie

pomijać — to mam wiele zrozumienia i skłonności do stanu żołnierskiego. Jest w nim coś diabelnie poważnego, coś „ascetycznego”, jeśli pan woli — pan był poprzednio łaskaw użyć tego wyrazu. Żołnierz zawsze musi się z tym liczyć, że będzie mieć do czynienia ze śmiercią, z którą ostatecznie także i stan duchowny ma do czynienia — bo z czymże innym. Stąd jest w stanie żołnierskim pewna bien-séance, hierarchia, posłuch i hiszpańskie pojmowanie honoru, jeśli mi wolno tak powiedzieć, i jest dość obojętne, czy ktoś nosi sztywny kołnierz munduru, czy też nakrochmaloną kryzę, wynik jest ten sam, mianowicie „ascetyzm”, jak się pan poprzednio tak znakomicie wyraził... Nie wiem, czy mi się udaje, abym panom bieg mej myśli...

— Owszem, owszem — rzekł Naphta i spojrzął na Settembriniego, który kręcił łaską i patrzył w niebo.

— Dlatego sędzę po tym wszystkim, co pan powiedział — ciągnął dalej Hans Castorp — że upodobania mego kuzyna Ziemssena muszą mu być sympatyczne. Nie myślę o „tronie i ołtarzu” i innych takich połączeniach pojęć, za pomocą których niektórzy ludzie, wynoszący ponad wszystko ład czy nawet po prostu dobrze myślący, usprawiedliwiają niekiedy łączność tych dwóch rzeczy. Ale mam na myśli to, że praca stanu żołnierskiego, to znaczy służba — bo w tym wypadku mówi się o służbie — bezwzględnie nie jest spełniana dla zysku i z „socjologią gospodarczą”, jak się pan wyraził, nie ma nic wspólnego; stąd to pochodzi, że Anglicy mają tak niewielu żołnierzy, paru na Indie, a paru w domu od parady...

— Może już pan dalej nie mówić, inżynierze — przerwał mu Settembrini. — Egzystencja żołnierska — nie chcę przez to ubliżyć naszemu porucznikowi — jest duchowo bezproblematiczna, gdyż jest czysto formalna, sama przez się nie posiada żadnej treści; zasadniczym typem żołnierza jest żołnierz zaciężny, którego można było pozyskać dla takiej i dla innej sprawy — krótko mówiąc, istnieli żołnierze hiszpańskiej przeciwreformacji, żołnierze wojsk rewolucyjnych, napoleońscy, garybaldcy, istnieją też i pruscy żołnierze. Mogę o żołnierzu mówić wtedy dopiero, gdy wiem, z a c o się bije!

— Że się bije — odparł Naphta — to jest bądź co bądź niewątpliwą cechą tego stanu, musimy to przyznać. Cecha ta może nie wystarcza, by stan ten uczynić w pańskim rozumieniu „duchowo problematycznym”, ale wprowadza go do sfery, do której mieszczańska afirmacja życia nie ma dostępu.

— Mieszczańska afirmacja życia, jak ją pan raczy nazywać — odparł Settembrini przodem warg, podczas gdy kąciki jego ust pod podkreconymi wąsami rozciągnęły się sztywno, a szyja w bardzo szczególny sposób skośnie i przerywanymi

ruchami wysuwała się z kołnierzyka — będzie zawsze gotowa wystąpić w obronie idei rozumu i moralności oraz właściwego ich wpływu na młode, wahające się dusze.

Nastało milczenie. Młodzi ludzie spoglądali zmieszani na siebie. Po paru krokach Settembrini, którego głowa i szyja wróciły tymczasem do naturalnej pozycji, rzekł:

— Niech panów to nie dziwi, ten pan i ja kłócimy się często, ale czynimy to po przyjacielsku i pozostajemy zgodni w niejednej rzeczy.

Słowa te przyniosły ulgę. Były oświadczeniem rycerskim i ludzkim ze strony pana Settembriniego. Ale Joachim, również pełen dobrej woli, mając chęć na dalszą spokojną rozmowę, rzekł jednak, jakby pod naciskiem i przymusem i jak gdyby działał wbrew swej woli:

— Tak się złożyło wypadkiem, że mój kuzyn i ja mówiliśmy właśnie o wojnie, gdyśmy szli za panami.

— Słyszałem — odrzekł Naphta. — Usłyszałem ten wyraz i obejrzałem się. Czy panowie politykowali? Czy rozważali sytuację ogólną?

— O, nie — zaśmiał się Hans Castorp. — Skądże by? Mojemu kuzynowi zawód jego po prostu nie pozwala zajmować się polityką, a ja dobrowolnie z tego rezygnuję, nic się na tym nie znam. Odkąd tu jestem, nie miałem gazety w rękę...

Settembrini oświadczył, jak już kiedyś poprzednio, że jest to godne potępienia. Od razu okazał się jak najlepiej poinformowany o sprawach polityki światowej, a ocenił ją dodatnio, bo bieg wydarzeń uważał za korzystny dla cywilizacji. Ogólna atmosfera europejska, mówił, jest wypełniona myślą o pokoju i planami rozbrojenia. Idea demokratyczna czyni postępy. Oświadczył, że posiada poufne informacje o tym, iż ruch młodoturecki właśnie kończy przygotowania do przewrotu. Turcja jako państwo narodowe i konstytucyjne — co za triumf ludzkości!

— Wprowadzenie liberalizmu do islamu — drwił Naphta. — Doskonale! Oświecony fanatyzm — bardzo dobrze. Zresztą, to dotyczy pana — zwrócił się do Joachima. — Gdy Abdul Hamid upadnie, będzie to koniec naszych wpływów w Turcji, Anglia narzuci się jako protektor... Stosunki i informacje naszego Settembriniego powinni panowie brać na serio — rzekł zwracając się do obu kuzynów, a i to powiedzenie brzmiało impertynencko, bo zdawało się zakładać, że pana Settembriniego na serio nie biorą. — Na sprawach narodowo-rewolucyjnych zna się naprawdę. W jego domu utrzymuje się dobre stosunki z angielskim Komitetem dla Bałkanów. Ale co będzie z układem rewelskim, jeśli się pańskim postępowym Tur-

kom poszcześci? Edward VII nie otworzy już Dardaneli dla Rosjan, a jeśli Austria mimo to porwie się do aktywnej polityki bałkańskiej, to...

— Ach, z tym pańskim katastrofizmem! — bronił się Settembrini. — Mikołaj kocha pokój. Zawdzięczamy mu konferencje haskie, które są pierwszorzędnymi faktami moralnymi.

— Et, to wszystko tylko dlatego, że po swym małym niepowodzeniu na wschodzie Rosja musiała pozwolić sobie na trochę odpoczynku!

— Pfe, mój panie. Nie powinien pan szydzić z tęsknoty do udoskonalenia społecznego, jaką odczuwa ludzkość. Naród, który by przeciwdziałał tym jej dążeniom, bez wątpienia naraziłby się na wyłączenie go ze wspólnoty narodów.

— Na cóż byłaby polityka, jeśli nie na to, by dawać sobie wzajemnie sposobność do kompromitacji moralnej!

— To pan hołduje pangermanizmowi?

Naphta wzruszył swymi niezupełnie równymi ramionami. Nie dość że był w ogóle brzydki, ale ponadto był jakiś krzywy. Nie raczył odpowiedzieć. Settembrini wyrokował dalej:

— W każdym razie to, co pan mówi, jest cyniczne. W wielkodusznych wysiłkach demokracji, aby stać się siłą międzynarodową, chce pan widzieć tylko polityczny podstęp...

— Czyżby pan chciał, bym w tym widział idealizm czy wręcz religijność? Są to ostatnie, słabe drgnienia reszty instynktu samozachowawczego, jaki pozostał skazanemu na zagładę systemowi świata. Katastrofa powinna i musi przyjść, przyjdzie zewsząd i na wszelki sposób. Niech pan weźmie brytyjską sztukę rządzenia. Anglia musi zabezpieczyć sobie szaniec indyjski, i to jest usprawiedliwione. Ale jakie pociąga to za sobą skutki? Edward wie równie dobrze jak pan i ja, że władcy z Petersburga muszą wziąć odwet za Mandżurię i skierować rewolucję w inne łożysko; jest im to równie potrzebne jak chleb powszedni. Niemniej stara się — zapewne nie może inaczej! — skierować ekspansję rosyjską na Europę, budzi uśpioną rywalizację Petersburga i Wiednia.

— Ach, Wiedeń! Pan troszczy się o tę zawadę świata zapewne dlatego, że w spróchniałym imperium, którego jest on stolicą, poznaje pan mumię Świętego Rzymskiego Państwa Niemieckiego Narodu!

— A pan, jak widzę, jest rusofilem, zapewne przez sympatię humanisty dla ceza-ro-papizmu.



— Mój panie, demokracja nawet po Kremlu może się więcej spodziewać niż po wiedeńskim Burgu — i jest to hańbą dla kraju Lutra i Goethego...

— Poza tym jest to prawdopodobnie objawem głupoty. Ale i ta głupota jest narzędziem fatum.

— Niech pan da pokój z fatum! Jeśli tylko rozum ludzki więcej chce siebie niż fatum, to sam staje się fatum!

— Chce się zawsze tylko własnego losu. Kapitalistyczna Europa chce swojego.

— Wierzy się w przyjscie wojny, jeśli się nie ma do niej dostatecznego obrzydzenia!

— Pańskie obrzydzenie nie ma podstawy logicznej, jeśli go pan nie odczuwa już wobec samego państwa.

— Państwo narodowe stanowi zasadę doczesności, którą pan chciałby przypisać diabłu. Ale niech pan tylko narody uwolni i zrówna, niech pan małe i słabe chroni od ucisku, wprowadzi sprawiedliwość, da państwom narodowe granice...

— Granicę na Brennerze, znam to. Likwidacja Austrii. Nie wiem tylko, jak pan chce to zrobić bez wojny!

— A ja chciałbym naprawdę wiedzieć, kiedy to ja potępiłem wojnę narodową.

— Słyszę przecież.

— Nie, tu muszę panu Settembriniemu przyznać rację — wmieszał, się Hans Castorp w dysputę, którą śledził idąc z przechyloną głową i patrząc na tego, kto z kolei zabierał głos. — Mój kuzyn i ja nieraz mieliśmy zaszczyt rozmawiać z nim o tych i o podobnych rzeczach, ściślej mówiąc, myśmy naturalnie słuchali, a on rozwijał swe poglądy i wszystko objaśniał. Mogę tedy potwierdzić, a i mój kuzyn na pewno sobie to przypomina, że pan Settembrini niejedyn raz z największym zapałem mówił o zasadzie ruchu i buntu, i naprawy świata, która sama w sobie nie jest znów tak bardzo pokojową zasadą, tak mi się wydaje, a potrzebne będą jeszcze wielkie wysiłki, zanim ona wszędzie zwycięży i zanim powstanie szczęśliwa powszechna rzeczpospolita. To były jego słowa, tylko naturalnie były znacznie plastyczniejsze i bardziej literackie niż moje, to rozumie się samo przez się. Ale wiem dokładnie i dosłownie zapamiętałem, bo jako zawzięty cywil po prostu się tym przestraszyłem, gdy powiedział, że dzień ten przyjsć musi, a jeśli nie przyniesie go gołąb, to przyniosą go skrzydła orle (to właśnie te orle skrzydła mnie przeraziły, o ile pamiętam). A Wiedeń będzie pobity na głowę, jeśli się zechce utorować drogę szczęściu. Nie można więc powiedzieć, że pan Settembrini wojnę potępił bez zastrzeżeń. Czyż nie mam racji, proszę pana?

— Mniej więcej — odrzekł krótko Włoch, z odwróconą głową, wywijając laską.

— Niedobrze — zaśmiał się brzydko Naphta. — Oto własny pański uczeń dał świadectwo pańskim wojowniczym skłonnościom. Assument pennas ut aquilae...\*

— Sam Wolter uznawał wojnę w obronie cywilizacji i Fryderykowi II zalecał wojnę przeciw Turkom.

— A ten tymczasem zawarł z nimi sojusz, he, he. A potem ta powszechna republika! Nie zamierzam się dowiadywać, co się stanie z zasadą ruchu i buntu, gdy się ustali szczęście i zjednoczenie wszystkich. W tym momencie bunt byłby już przestępstwem...

— Pan wie bardzo dobrze, a również wiedzą to ci młodzi panowie, że chodzi o postęp ludzkości, pojęty jako nieskończony.

— Ale wszelki ruch jest okrężny — powiedział Hans Castorp. — Zarówno w przestrzeni, jak i w czasie, jak o tym poucza prawo zachowania masy i prawo periodyczności zjawisk. Mój kuzyn i ja przed chwilą mówiliśmy o tym. A przy ruchu po zamkniętym torze, w którym nie ma stałego kierunku, czyż może być mowa o postępie? Gdy wieczorem leżę i spoglądam na zodiak, to znaczy na jego połowę, która jest widoczna, i potem myślę o starych mądrych ludach...

— Nie powinien pan filozofować i marzyć, inżynierze — przerwał mu Settembrini — lecz zdecydowanie zaufać instynktowi swoich lat i swojej rasy, a te muszą pana przynaglać do czynu. A także pańskie przyrodnicze wykształcenie powinno go przywiązywać do idei postępu. Pan widzi, jak w niezmiernych okresach czasu życie rozwija się i wznosi od wymoczków do człowieka, i nie może pan wątpić, że przed człowiekiem stoją jeszcze nieskończone możliwości doskonalenia się. Ale jeśli się pan będzie upierać przy matematyce, to pański ruch okrężny będzie go wieść od doskonałości do doskonałości i będzie pana pokrzepiać pogląd naszego osiemnastego wieku, że człowiek był pierwotnie dobry, szczęśliwy i doskonały, a zepsuły go i zniekształciły tylko błędy społeczne, i że na drodze krytycznej pracy nad strukturą społeczeństwa znów powinien się stać i stanie dobrym, szczęśliwym, doskonałym.

— Pan Settembrini zapomina dodać — przerwał mu Naphta — że idylla Rousseau jest racjonalistycznym spartaczeniem kościelnej doktryny o pierwotnej bezpaństwowości i bezgrzeszności człowieka, o tym, że początkowo żył bezpośrednio z Bogiem i był dzieckiem bożym i że do tego stanu ma powrócić. A odnowienie Państwa Bożego, po rozpadnięciu się wszystkich form ziemskich, leży tam, gdzie

---

\* Assument pennas ut aquilae (łac.) — Przywdzieją skrzydła jak orły.

ziemia styka się z niebem, świat zmysłowy z nadzmysłowym; zbawienie jest transcendentne, a co się tyczy pańskiej kapitalistycznej powszechnej republiki, drogi doktorze, to bardzo jest dziwne, że w związku z nią mówi pan o instynkcie. Instynkty są całkowicie po stronie narodowości i sam Bóg zaszczerpił człowiekowi instynkt przyrodzony, który sprawił, że narody pooddziały się od siebie, tworząc różne państwa. Wojna...

— Wojna — zawołał Settembrini — nawet wojna, mój panie, musiała już służyć postępowi, temu pan nie zaprzeczy, jeśli przypomni sobie niektóre wydarzenia z ukochanej przez się epoki, mam na myśli wyprawy krzyżowe! Te wojny o cywilizację w najszcześniejszy sposób sprzyjały zbliżeniu narodów w ich stosunkach gospodarczych i handlowo-politycznych i połączyły ludzkość zachodnią pod znakiem jednej idei.

— Jest pan bardzo wyrozumiały dla idei. Tym przeto uprzejmiej pozwolę sobie skorygować pańską opinię i powiem, że wojny krzyżowe i wzmożony przez nie ruch bynajmniej nie przyczyniły się do usunięcia różnic między narodami; przeciwnie, pobudziły narody do przeciwstawienia się sobie i przyczyniły się do wytworzenia idei państwa narodowego.

— Bardzo słusznie, jeśli chodzi o stosunek narodów do kleru. Tak! Wtedy zaczęło się umacniać poczucie honoru państwa i narodu, skierowane przeciw hierarchicznym uroszczeniom...

— Przy tym to, co pan nazywa hierarchicznymi uroszczeniami, nie jest niczym innym, tylko ideą zjednoczenia się ludzi pod znakiem ducha!

— Znamy tego ducha i dziękujemy zań.

— Jasne jest, że pan ze swą manią narodowościową niechętnie patrzy na kosmopolityzm Kościoła, służący przewyżczeniu świata. Chciałbym tylko wiedzieć, jak pan chce z tym pogodzić swą niechęć do wojny. Pański w duchu starożytnym utrzymany kult państwa z konieczności czyni z pana obrońcę prawa pozytywnego, a jako taki...

— Mówimy o prawie? W prawie międzynarodowym, mój panie, żywa jest koncepcja prawa natury i ogólnoludzkiego rozumu...

— Ba, pańskie prawo międzynarodowe nie jest znów niczym innym, tylko *ius divinum*\* spartaczonym w stylu Rousseau, które nie ma nic wspólnego ani z naturą, ani z rozumem, lecz polega na objawieniu...

— Nie spierajmy się o wyrazy, profesorze! Nie mam nic przeciw temu, by pan

---

\* *Ius divinum* (łac.) — prawo boże.

nazywał *ius divinum* to, co czczę jako prawo natury i prawo narodów. Istotne jest to, że ponad pozytywnym prawem państw narodowych wznosi się prawo wyższe i powszechne, które umożliwia wyrównanie spornych interesów przez sądy rozjemcze.

— Przez sądy rozjemcze! Nie mogę słuchać tych wyrazów. Cywilny sąd rozjemczy ma rozstrzygać o zagadnieniach życia, ujawnić wolę bożą i wyprzedzać drogi historii! No dobrze, tyle o gołębiu. A gdzież orle skrzydła?

— Burżuazyjna kultura...

— Ach, ta nie wie, czego chce! Wrzeszczą, że należy przeciwdziałać zmniejszaniu się liczby urodzeń, domagają się obniżenia kosztów wychowywania dzieci i przygotowywania się do zawodu. A jednocześnie ludzie duszą się w tłoku, we wszystkich zawodach przepełnienie i walka o kawałek chleba staje się tak straszliwa, że wszystkie wojny przeszłości bledną przy niej. Wolne posady i miasta-ogrody! Poprawa rasy! Ale po cóż ją poprawiać, jeśli cywilizacja i postęp chcą, by nigdy już nie było wojny? Wojna byłaby środkiem przeciw wszystkiemu i na wszystko. Na poprawienie rasy i nawet przeciw zmniejszaniu się liczby urodzeń.

— Pan żartuje. To już nie jest poważne. Nasza rozmowa urywa się, ale we właściwej chwili. Jesteśmy u celu — rzekł Settembrini i laską wskazał kuzynom na domek za parkanem, u którego furtki się zatrzymali. Leżał on na skraju Wsi, przy ulicy, od której oddzielał go tylko wąski ogródek; był to skromny domek. Dzikie wino, wyrastając z obnażonych korzeni, oplatało drzwi wejściowe i wyciągało zgięte, do muru przywarte ramię ku parterowemu oknu po prawej, które było wystawowym oknem sklepiku. Settembrini objaśnił, że parter należy do kupca, że mieszkanie Naphty znajduje się na piętrze przy pracowni krawieckiej, a on sam mieszka w mansardzie. Ma tam zaciszny pokój do pracy.

Z nieoczekiwaną uprzejmością Naphta dał wyraz nadziei, że spotkanie to da początek dalszym. — Niechże panowie nas odwiedzą — rzekł. — Powiedziałbym: niech panowie mnie odwiedzą, gdyby dr Settembrini nie miał dawniejszych praw do ich przyjaźni. Niech panowie przyjdą, kiedykolwiek zechcą, ilekroć mieć będą chęć na małe colloquium. Cenię wymianę myśli z młodzieżą i może posiadam pewną tradycję pedagogiczną... Jeśli nasz Mistrz Łoży (tu wskazał na Settembriniego) chce kompetencje i powołanie pedagogiczne uważać wyłącznie za rzecz mieszczańskiego humanizmu, to trzeba mu zaprzeczyć. Więc do widzenia, zobaczymy się niedługo.

Settembrini robił trudności. Twierdził, że zachodzą one rzeczywiście. Dni, które podporucznik ma tu jeszcze w górach spędzić, są policzone, a inżynier będzie chciał

kurację swą prowadzić ze zdwojoną gorliwością, aby wkrótce po nim podążyć na równinę.

Młodzi ludzie potakiwali kolejno jednemu i drugiemu. Zaproszenie Naphty przyjęli z ukłonami, a zaraz w następnej chwili uznali, że wątpliwości Settembriniego są całkowicie uzasadnione. Więc cała sprawa pozostawała otwarta.

— Jak to on go nazwał? — pytał Joachim, gdy serpentyną szli pod górę do „Berghofu”.

— Ja usłyszałem „Mistrz Łoży” — rzekł Hans Castorp — i właśnie o tym myślę. To jakiś dowcip, oni jakoś dziwacznie nazywają jeden drugiego. Settembrini nazwał Naphtę princeps scholasticorum — to też nieźle. Scholastycy to byli wszak średniowieczni uczeni w Piśmie, dogmatyczni filozofowie, jeśli wolisz. Hm. O średniowieczu mowa była wielokrotnie — to przypomniało mi, jak Settembrini zaraz pierwszego dnia powiedział, że tu u nas w górze niejedno robi wrażenie czegoś średniowiecznego; zgadało się wtedy o tym z okazji Adriatyki von Mylendonk, z powodu jej imienia. Jakże ci się podobał?

— Ten mały? Nie podobał mi się. Choć mówił czasem rzeczy, które mi odpowiadały. Oczywiście, sądy rozjemcze to czysta obłuda. Ale on sam nie bardzo mi się podobał, może ktoś mówić dużo dobrego, ale co mi z tego, jeśli on sam jest podejrzanym typem. A jest podejrzany, temu nie zaprzeczysz. Już sama historia z „miejscem obcowania” stanowczo brzmiała niedobrze. A przy tym ma nos żydowski, przyjrzyj mu się! Takie mizerne figury mają zawsze tylko Semici. Czy zamierzasz na serio odwiedzać tego człowieka?

— Oczywiście, że go odwiedzimy! — oświadczył Hans Castorp. — Mizerna figura — to tylko wojskowy przez ciebie mówi. Chaldejczycy mieli takie same nosy, a diablo dobrze robili swoje, nie tylko w naukach tajemnych. Naphta ma w sobie coś z tej wiedzy tajemnej, on mnie bardzo interesuje. Nie chcę twierdzić, że go dziś od razu rozgryzłem, ale może się nam to uda, jeśli się częściej z nim będziemy spotykać, a wcale nie uważam za wykluczone, że w ogóle się czegoś przy tej okazji nauczymy.

— Ach, człowieku, stajesz się tu w górze coraz mądrzejszy, z twoją biologią i botaniką, i twymi niemożliwymi „punktami zwrotnymi”. A od pierwszego dnia zaprzętałeś sobie głowę „czasem”. A przecież jesteśmy tu po to, żebyśmy byli zdrowsi, a nie mądrzejsi — zdrowsi i zupełnie zdrowi, aby nareszcie mogli nas wypuścić na wolność i jako wyleczonych odprawić na niziny!

„W górach mieszka wolność” — zaśpiewał niefrasobliwie Hans Castorp. — Ale powiedz mi najpierw, co to jest wolność! — rzekł potem, przestawszy śpiewać. —

Naphta i Settembrini przecież spierali się przedtem o to i nie doszli do porozumienia. „Wolność to jest zasada miłości do ludzi” — powiedział Settembrini, i to brzmi w duchu jego przodka karbonariusza. Ale choć ten karbonariusz był odważny i choć jest nim sam Settembrini...

— Tak, zrobił się niemiły, gdyśmy zaczęli mówić o osobistej odwadze.

— ...to jednak myślę, że boi się niektórych rzeczy, których mały Naphta się nie boi, rozumiesz, a także, że jego wolność i odwaga to raczej bujda. Czy myślisz, że miałby dość odwagi *de se perdre ou même de se laisser dépérir*?\*

— Cóż znowu, zaczynasz mówić po francusku?

— Tylko tak sobie... Atmosfera jest tu przecież taka międzynarodowa. Nie wiem, komu by się to bardziej powinno podobać: Settembriniemu ze względu na powszechną republikę czy też Naphcie z jego hierarchią i kosmopolis. Uważałem bardzo, jak widzisz, jednakże nie wszystko dokładnie zrozumiałem, przeciwnie, wydawało mi się, że w tym, co mówili, dużo było bałamuctwa.

— To tak zawsze. Zawsze się przekonasz, że z mówienia i wypowiedania opinii wychodzi tylko bałamuctwo. Mówię ci, w ogóle nie chodzi o to, jakie kto ma opinie, ale o to, czy ktoś jest porządnym chłopem. Najlepiej jest nie mieć żadnej opinii, a tylko wykonywać swą służbę.

— Tak, możesz to mówić jako zaciężny żołnierz, i istota czysto formalna, którą jesteś. Ze mną to co innego, ja jestem cywil, jestem do pewnego stopnia odpowiedzialny. I mnie to wzburza, gdy widzę takie bałamuctwo; jeden głosi międzynarodową powszechną republikę i zasadniczo potępia wojnę, a zarazem jest tak prześląknięty patriotyzmem, że *partout*\*\* domaga się granicy na Brennerze i za nią chce prowadzić wojnę w imię cywilizacji — a drugi ma państwo za dzieło szatana i rozprawia o powszechnym zjednoczeniu, a w następnym momencie staje w obronie praw naturalnego instynktu i wyśmiewa się z kongresów pokojowych. Mówisz wprawdzie, że nie powinniśmy stawać się tu mądrzejsi, tylko zdrowsi. Ale przecież powinno to dać się połączyć, człowieku — jeśli temu nie wierzysz, rozdwasz świat, a to jest zawsze wielkim błędem, ja ci to mówię.

---

\* ...*de se perdre ou...* (franc.) — ...aby samemu się zatracić lub pozwolić, by go zniszczono.

\*\* *Partout* w jęz. franc. znaczy: wszędzie, w niem. używany w sensie: za wszelką cenę.

## O Państwie Bożym i złym zbawieniu

Hans Castorp w swej loggii określał roślinę, która teraz, gdy rozpoczęło się astronomiczne lato i dni zmalały, krzewiła się w wielu miejscach: orlik, czyli aquilegia z rodziny Ranunculaceae, krzew o wysokiej łodydze, z niebieskimi, fiołkowymi, a także czerwonobrazowymi kwiatami, z dużymi liśćmi podobnymi do kapuścianych. Rosła w różnych miejscach, ale duże jej skupiska znajdowały się zwłaszcza w tym zacisznym miejscu, gdzie ją przed rokiem po raz pierwszy zobaczył: w odosobnionym lesistym wąwozie, pełnym szmerów dzikiego strumienia, z kładką i ławeczką, do którego go wówczas doprowadził jego przedwczesny i niefortunny spacer i dokąd później czasami zachodził.

Nie było nawet do tego miejsca daleko, byle nie być tak przedsiębiorczym jak on wówczas. Od końca toru saneczkowego we Wsi idąc w górę można było w dwadzieścia minut dojść do tego malowniczego zakątka drogą leśną, której drewniane mosty przecinały tor bobslejowy z Schatzalp, byle nie zbaczać z drogi, nie wyśpiewywać arii operowych, a potem nie być zmuszonym odpoczywać po wysiłku. I gdy Joachim zajęty był swymi służbowymi obowiązkami, badaniami, rentgenem, próbami krwi, zastrzykami i ważeniem się, Hans Castorp nieraz przy pogodzie, po drugim śniadaniu, niekiedy nawet po pierwszym, a również w godzinach między podwieczorkiem a kolacją odwiedzał swe ulubione miejsce, siadał tam, gdzie kiedyś dostał potężnego krwotoku z nosa, i pochyliwszy na ukos głowę słuchał szumu potoku, przyglądał się zamkniętemu dokoła krajobrazowi i tym masom orlików, które oto znów na swym miejscu kwitły.

Czy po to tylko przychodził? Nie. Siadał tam, bo chciał być sam i dokonywać przeglądu wrażeń i przygód tylu miesięcy, chciał je przemyśleć. Było ich wiele i różnorodnych, przy tym niełatwych do uporządkowania, bo splątanych i przechodzących jedne w drugie, tak iż rzeczy namacalne zaledwie można było oddzielić od tych, co były tylko pomyślane, wymarzone, wyobrażone. Ale wszystkie były przygodami, i to w takim stopniu, że serce jego, które tu od początku było i zostało niespokojne, zatrzymywało się i biło jak młotem, gdy o nich myślał. A może w miejscu, gdzie niegdyś w chwili osłabienia Przybysław Hippe ukazał mu się jak żywy, wystarczyło pomyśleć, że orliki kwitną tu nie wciąż jeszcze, ale już na nowo, i że z „trzech tygodni” niedługo będzie cały rok, aby jego niespokojne serce napełniło się gwałtownym lękiem?

Krew mu już teraz z nosa nie szła, gdy siadywał na swej ławce nad dzikim potokiem; to już minęło. Przystosowanie się do klimatu, o którym Joachim mówił mu od

razu, że jest trudne, i które się też trudnym okazało, robiło jednak u niego postępy; po jedenastu miesiącach należało je uważać za zakończone, niewiele więcej można było już oczekiwać. Procesy chemiczne jego żołądka uregulowały się i uporządkowały. „Maria Mancini” znowu mu smakowała, nerwy jego wyschniętych błon śluzowych odzyskały wrażliwość na woń tych cygar, wartych zaiste swej ceny, a które on, jak dawniej, ilekroć zapas był bliski wyczerpania, z rodzajem pietyzmu sprowadzał z Bremy, choć okna wystawowe w międzynarodowym uzdrowisku pełne były nęcącego towaru. Bo czyż nie było to rodzajem węzła między niziną, dawną jego ojczyzną, a nim, który tę ojczyznę opuścił? Czy nie podtrzymywało i nie zachowywało skuteczniej jego dawnych związków niż te karty pocztowe, które od czasu do czasu wysyłał do wujów, a które stawały się tym rzadsze, im lepiej, przesiąkając tutejszymi pojęciami, uczył się korzystać ze swego czasu? Były to przeważnie karty z widokami, i to dla uprzyjemnienia korespondencji z ładnymi widokami; przedstawiały dolinę pod śniegiem albo też w letniej szacie, a do pisania zostawiały tyle tylko miejsca, ile było potrzeba, aby — jak się to należy rodzinie — podać ostatnie orzeczenie lekarskie, wynik miesięcznego czy też generalnego badania, pisał w nich tedy, że zarówno akustycznie jak optycznie zaznacza się wyraźna poprawa, że jednakże nie jest jeszcze wolny od zakażenia i ma lekką temperaturę, pochodzącą z niewielkich zmian, które na razie jeszcze pozostały, ale które niewątpliwie znikną całkowicie, jeśli tylko będzie cierpliwy; potem w żadnym już razie nie będzie potrzebował tu wracać. Mógł być pewien, że nikt tam od niego nie wymagał i nie oczekiwał obszerniejszych epistolarnych wyczynów; zwracał się do sfery ludzi pozbawionych skłonności humanistyczno-krasomówczych, i odpowiedzi, jakie otrzymywał, były równie mało wylewne. Przychodziły zwykle wraz z pieniędzmi, przysyłanymi z domu, procentami od odziedziczonego po ojcu majątku; wymiana tych pieniędzy na monetę tutejszą była tak korzystna, że nigdy nie bywały wyczerpane w chwili, gdy przychodziła nowa przesyłka; listy z domu składały się z niewielu linijek, pisanych na maszynie a podpisanych przez Jamesa Tienappla, do których pozdrowienia i życzenia powrotu do zdrowia dołączał dziadek, a niekiedy też — żeglujący po morzach Piotr.

Zastrzyki — tak donosił Hans Castorp do domu — radca kazał ostatnio przerwać. Nie służyły młodemu pacjentowi, wywoływały bóle głowy, brak apetytu, spadek wagi i zmęczenie, a „temperaturę” najpierw podbiły, później zaś jej nie obniżyły. Pałała ona nadal jako suchy żar na jego różowej twarzy i była przestrogą, że dla tego dziecka równiny z jej wilgotną meteorologią przystosowanie się do gór polega jednak głównie na przyzwyczajeniu się do tego, iż się do nich nie przyzwyczajają; zresztą nie przyzwyczał się nawet sam Radamantys ze swymi wiecznie



sinymi policzkami. „Niektórzy nigdy się nie przyzwyczajają” — jak to Joachim od razu na początku powiedział, i zdawało się, że tak właśnie było z Hansem Castorpem. Drżenie karku, które mu wkrótce po przybyciu zaczęło dokuczać, również nie ustało, lecz wracało nieuchronnie przy chodzeniu, mówieniu, a nawet pojawiało się tu w górze, w błękitnie kwitnym ustroniu, w którym rozmyślał nad splotem swych przygód; i ostatecznie pełen godności gest Hansa Lorenza Castorpa podtrzymującego podbródek stał się niemal jego stałym przyzwyczajeniem i jemu samemu przypominał „vatermörder” starca, które były zastępczą formą jego kryzy, bladą, okrągłą chrzcielnicę, a także pobożny dźwięk „prapra...” oraz wszystko, co się z tym łączyło i co skłaniało go do rozmyślań nad splotem wydarzeń, jakie przyniosło mu życie.

Przybysław Hippe nie ukazywał mu się już we własnej osobie, jak przed jedenastu miesiącami. Przystosowanie się Hansa Castorpa do klimatu było skończone, nie miał już przywidzeń, ciało jego nie pozostawało bez ruchu na ławce, podczas gdy duch przebywał w dalekiej teraźniejszości — przypadłości te minęły bez śladu. Wyraziste i żywe ich wspomnienie utrzymywało się w normalnych, zdrowych granicach, a gdy powracało, Hans Castorp wyciągał z pugilaresu przechowywany w nim szklany upominek, zapakowany w kopertę: płytkę, która, jeśli się ją trzymało równoległe z ziemią, była czarna, lustrzana i nieprzejrzysta, ale podniesiona pod światło, rozjaśniała się i ukazywała rzeczy ludzkie: przezroczysty obraz ludzkiego ciała, żebra, kształt serca, łuk przepony brzusznej i miechy płuc, a ponadto obojczyki i kości górnego ramienia, a wszystko to objęte niby bladymi oparami — owym mięsem, którego Hans Castorp podczas zapustów tak nierozsądnie zakosztował. Czyż można się dziwić, że jego niespokojne serce to zatrzymywało się, to uderzało gwałtownie, gdy oglądał upominek, a potem „wszystko” kolejno przemyślał, usiadłszy wygodnie na grubo ciosanej ławce, skrzyżowawszy ramiona i pochyliwszy głowę wśród szmeru potoku i błękitu kwitających orlików?

Kształt ludzki, ten najdoskonalszy twór życia organicznego, stawał przed nim jak w ową mroźną gwiazdzistą noc uczonych dociekań, a z jego wewnętrznym obrazem kojarzyły się młodemu Hansowi Castorpowi różnorodne pytania i rozróżnienia, którymi pocziwy Joachim nie chciał się zajmować, nie uważając tego za swój obowiązek, ale za które Hans Castorp jako człowiek cywilny zaczął się czuć odpowiedzialny; tam na nizinach on również spraw tych nie zauważał i nie byłby zapewne nigdy zauważył, co innego tutaj, gdzie żyło się w kontemplacyjnym odosobnieniu i z wysokości pięciu tysięcy stóp patrzyło na świat i stworzenie, snując swe myśli, a przy tym miało się we krwi rozpuszczalne jady, potęgujące w ciele napięcie i jako suchy żar płonące na twarzy. W związku z owym wewnętrznym obrazem myślał

o Settembrinim, pedagogu-kataryniarzu, którego ojciec przyszedł na świat w Helladzie i który miłość dla najdoskonalszego tworu sprowadzał do polityki, buntu i krasomówstwa i złożył swą pikę obywatelską na ołtarzu ludzkości; myślał też o kole-dze Krokowskim i eksperymentach, które ten od pewnego czasu w zaciemnionym pokoju z nim robił, zastanawiał się nad podwójną naturą analizy, nad tym, jak służy ona działaniu i postępowi, a ile ma wspólnego z grobem i jego osławioną anatomią. Wywoływał w pamięci obu dziadków, buntownika i legitymistę, którzy obaj, choć z różnych względów, ubierali się czarno, porównywał ich, przeciwstawiał i ważył ich zasługi. Wreszcie zabierał się do rozważania tych rozległych tematów, jak kształt a wolność, duch a ciało, honor i hańba, czas i wieczność — a wtedy ulegał krótkiemu, ale gwałtownemu zawrotowi głowy na myśl, że orliki znów kwitną i że rok się zamknął.

Używał szczególnego wyrazu dla oznaczenia odpowiedzialnej pracy umysłowej, jaką wykonywał samotnie w swym malowniczym zakątku: nazywał ją „królowaniem”, stosując wyraz zapamiętany jeszcze z zabaw dzieciństwa, jakby chciał oznaczyć rozrywkę ulubioną, ale wywołującą lęk, zawrót głowy, niepokoje serca i nadmiernie potęgującą wypieki na policzkach. A gdy związany z tymi rozmyślaniami wysiłek zmuszał go do podtrzymywania dłonią podbródka, uważał, że to w porządku, bo taka postawa odpowiadała dostojeństwu, jakiego mu wewnątrz uży-czyło „królowanie”, wobec stojącego przed jego myślą najdoskonalszego tworu.

Brzydki Naphta nazwał twór ten Homo Dei, gdy go bronił przed angielską socjologią. Cóż w tym dziwnego, że w swym poczuciu odpowiedzialności cywila i przy swej potrzebie „królowania” chciał wraz z Joachimem odwiedzić małego człowieka? Settembrini patrzył na to niechętnie, a Hans Castorp był dość przebiegły i subtelny, by niechęć tę zauważyć. Już pierwsze spotkanie było humaniście nie-miłe, wyraźnie chciał mu przeszkodzić i młodych ludzi, a w szczególności jego — tak mówił sobie chytry utrapieniec — ochronić ze względów pedagogicznych przed Naphta, aczkolwiek on sam osobiście z nim przestawał i dysputował. Tacy już są wychowawcy. Sami pozwalają sobie na rzeczy interesujące, twierdząc, iż do nich „dorośli”, młodzieży zaś rzeczy takich wzbraniają i domagają się, aby czuła, iż do nich jeszcze nie „dorosła”. Całe szczęście, że kataryniarz nie miał na serio prawa Hansowi Castorpowi czegokolwiek zabraniać i nawet nie próbował tego czynić. Przysparzający tyle strapienia wychowanek, zaparłszy się swej subtelności i udając niewinność, mógł bez przeszkody skorzystać uprzejmie z zaproszenia małego Naphty — i w niewiele dni po pierwszym spotkaniu, w niedzielne popołudnie, po głównym werandowaniu wybrał się doń wraz z Joachimem, który chętnie czy nie-chętnie, ale się doń przyłączył.

Z „Berghofu” było tylko kilka minut drogi w dół do domku z drzwiami obrośniętymi winem. Weszli, pozostawiając po prawej wejście do sklepu, i wąskimi, brązowo pomalowanymi schodami wspięli się na piętro do drzwi, na których obok dzwonka widniał tylko szyldzik Lukačka, damskiego krawca. Otworzył im wyrostek ubrany w coś w rodzaju liberii, w kurtce w paski i kamaszach, krótko wystrzyżony, z czerwonymi policzkami. Zapytali go o profesora Naphtę, a że nie mieli z sobą biletów wizytowych, wyuczyli go swych nazwisk i poszedł, by je panu Naphcie — tytułu żadnego nie używał — powtórzyć. Drzwi naprzeciw były otwarte i ukazywały pracownię krawiecką, w której Lukaček, nie bacząc na święto, szył siedząc na stole ze skrzyżowanymi nogami. Był blady i łysy, spod ogromnego opadającego nosa po obu stronach ust zwisały z kwaśnym wyrazem czarne wąsy.

— Dzień dobry! — rzekł mu Hans Castorp.

— Witam — odparł krawiec w narzeczu szwajcarskim, które nie harmonizowało ani z jego nazwiskiem, ani z wyglądem i brzmiało jakoś fałszywie i dziwnie.

— Pan taki pracowity? — ciągnął dalej Hans Castorp, kiwając mu głową... — Przecież dziś niedziela!

— Pilna robota — odrzekł Lukaček krótko i szył dalej.

— Pewnie coś ładnego — domyślał się Hans Castorp — w czym zaraz ktoś wystąpi na wieczorze tanecznym czy czymś w tym rodzaju...?

Krawiec nie odpowiadał przez chwilę na pytanie, odgryzł nitkę i nawłókł nową. Potem dopiero skinął głową.

— Śliczne pewno będzie! — Hans Castorp pytał jeszcze. — Zrobi pan do tego rękawy?

— Tak, rękawy, bo to dla jakiejś starszej osoby — odpowiedział Lukaček wyraźnie czeskim akcentem. Powrót małego służącego przerwał wszakże tę przez drzwi prowadzoną rozmowę.

Oznajmił on, że pan Naphta prosi, i o parę kroków na prawo otworzył przed młodymi ludźmi drzwi, podnosząc jednocześnie zwisającą na nich portierę. Wchodzących powitał Naphta, w pantoflach z kokardami, stojąc na zielonym dywanie o barwie mchu. Obaj kuzyni byli zaskoczeni zbytkiem dwuokiennego gabinetu, do którego weszli, a nawet byli olśnieni; albowiem ubóstwo domku, schodów, nędznego korytarza nie pozwalało oczekiwać nic podobnego, a przez kontrast elegancja urządzenia Naphty wydawała się jak z bajki, choć samo przez się nic ono w sobie właściwie bajecznego nie miało, a w innych warunkach nie miałyby go też w oczach Hansa Castorpa i Joachima Ziemssena. Niemniej, było wykwintne i nawet

świetne, a poza biurkiem i szafami bibliotecznymi nie miało właściwie cech męskiego gabinetu. Było w nim na to zbyt dużo jedwabiu, czerwonego jak wino, purpurowego jedwabiu, z którego były zrobione portiery, zasłaniające liche drzwi, oraz lambrekiny na oknach, a także obicie mebli; garnitur ich stał naprzeciw drugich drzwi, pod węższą ścianą, w całości prawie zakrytą gobelinem. Były to barokowe fotele z miękkimi poręczami, ustawione dookoła okrągłego, metalem okutego stołu, za którym stała kanapa w tym samym stylu, zasłana poduszkami z jedwabnego pluszu. Szafy biblieczne zajmowały ściany między obu drzwiami; podobnie jak biurko czy raczej sekretarzyk z tamburem, umieszczony między oknami, były z mahoni; miały drzwi szklane, za którymi rozpięty był zielony jedwab. W rogu zaś pokoju, z lewej od grupy mebli, na czerwono udrapowanym postumencie stała polichromowana rzeźba w drzewie, wzruszająca i przerażająca, Pieta, prymitywna a wyrazista aż do groteskowości: Matka Boska, w czepcu, ze ściągniętymi brwiami, z otwartymi, od jęku wykrzywionymi ustami, a na jej kolanach martwe ciało Chrystusa, ciało o nieudolnych proporcjach, o wyjaskrawionej a nieumiejętnej anatomii, z opuszczoną głową w cierniowej koronie, z twarzą i kończynami krwią poplamionymi i zbroczonymi, z grubymi gronami skrzepłej krwi z rany u boku i na przebitych gwoździach dłoniach i stopach. Rzeźba ta dawała jedwabnemu pokojowi szczególny akcent. Także tapety, widoczne powyżej szaf i między oknami, wyraźnie zawdzięczał pokój swemu lokatorowi: ich podłużne paski miały ten sam odcień zieleni co miękki dywan, rozłożony na czerwonym suknie wyściełającym pokój. Jedyne dla upiększenia niskiego sufitu niewiele było można zrobić. Był nagi i popękany. Jednakże zwiślał zeń mały wenecki żyrandol. Okna były zasłonięte kremowymi storami, sięgającymi aż do ziemi.

— Oto stawiliśmy się na colloquium — rzekł Hans Castorp patrząc więcej na pobożną a przeraźliwą rzeźbę niż na mieszkańca zadziwiającego pokoju, który wyraził swe uznanie, że kuzyni dotrzyмали słowa. Wskazywał im swą małą ręką jedwabne siedzenia, ale Hans Castorp poszedł prosto, jak oczarowany, ku drewnianej grupie i stał przed nią z rękami na biodrach i z głową na bok pochyloną.

— Jaką piękną rzecz pan tu ma! — rzekł cicho. — To jest znakomite. Rzadko się widuje takie cierpienie. To stara robota naturalnie?

— Czternasty wiek — odrzekł Naphta. — Zapewne nadreńska robota. Robi na panu wrażenie?

— Olbrzymie! — rzekł Hans Castorp. — Nie może go nie robić. Nigdy nie myślał, że coś może być tak brzydkie — niech mi pan wybaczy i — zarazem tak piękne.

— Dzieła, które są tworem i wyrazem duszy — odparł Naphta — są zawsze brzydkie w swym pięknie i piękne w swej brzydocie, tak jest z reguły. Chodzi bowiem o piękno duchowe, nie o cielesne, które jest bezwzględnie głupie i które jest też abstrakcją — dodał. — Piękno ciała jest abstrakcyjne. Jedynie piękno wewnętrzne, piękno religijnego wyrazu jest czymś rzeczywistym.

— To słuszne rozróżnienie, za które trzeba panu być wdzięcznym — powiedział Hans Castorp. — Czternasty? — upewnił się. — Tysiąc trzysta kilkadziesiąt? Tak, to typowe średniowiecze; do pewnego stopnia odpowiada to temu o nim wyobrażeniu, które sobie ostatnio wyrobiłem. Właściwie nie miałem o nim pojęcia, jestem przecie człowiekiem technicznego postępu, jeśli w ogóle moja opinia ma być brana pod uwagę. Ale tu w górze na różne sposoby zbliżyłem się do idei średniowiecza. Gospodarczej socjologii jeszcze wówczas nie było. Jak mógł się nazywać artysta?

Naphta wzruszył ramionami.

— Czyż to ważne? — powiedział. — Nie należy o to pytać, bo i wówczas, gdy rzeźba powstała, o to nie pytano. Jej autorem nie był jakiś indywidualny monsieur. Jest ona bezimiennym i wspólnym dziełem. Jest to zresztą średniowiecze bardzo zaawansowane, gotyk. *Signum mortificationis*\*. Nie ma w niej już nic z tego oszczędzania widza i upiększania, jakie jeszcze epoka romańska uważała za konieczne przy przedstawianiu Ukrzyżowanego, nie ma tu ani korony królewskiej, ani majestatycznego triumfu nad światem i nad męczeńską śmiercią. Wszystko tu bez ogródek mówi o cierpieniu i słabości ciała. Dopiero smak gotycki jest właściwie pesymistyczny i ascetyczny. Pan pewnie nie zna rozprawy Innocentego III „*De miseria humanae conditionis*”\*\* — bardzo to dowcipna pozycja literacka. Pochodzi z końca XII wieku, ale dopiero ta oto sztuka jest jej ilustracją.

— Panie profesorze — rzekł Hans Castorp westchnąwszy — z tego, co pan mówi, interesuje mnie każde słowo. *Signum mortificationis* powiada pan? To sobie zapamiętałem. A przedtem mówił pan coś o tym, co „bezimienne i wspólne” — zdaje się, że nad tym też warto się zastanowić. Niestety, słusznie pan przypuszcza, że nie znam pisma tego papieża — bo domyślam się, że Innocenty III był papieżem. Czy dobrze zrozumiałem, iż jest ascetyczne a dowcipne? Przyznaję, że nigdy nie myślałem, że to może iść w parze, ale gdy się nad tym zastanawiam, to widzę, naturalnie, że rozprawa o nędzy ludzkiej daje niejedną okazję, by robić dowcipy kosztem ciała. Czy można mieć tę rozprawę? Znam łacinę na tyle, że przy pewnym wysiłku może mógłbym ją czytać.

---

\* *Signum mortificationis* (łac.) — wizerunek męki.

\*\* *De miseria humanae conditionis* (łac.) — o nędzy losu ludzkiego

— Mam tę książkę — odpowiedział Naphta, wskazując głową ku szafom. — Może pan nią rozporządzać. Ale może siądziemy? Z kanapy Pieta będzie też widoczna. Właśnie podają nam podwieczorek...

Mały służący przyniósł herbatę, a do niej ładny, srebrem okuty koszyczek z pokrajanym sękaczem. Ale któż to szybkim krokiem, wołając „Tam do licha!” i „Accidenti!” i śmiejąc się, wbiegł za nim przez otwarte drzwi? Był to pan Settembrini mieszkający o piętro wyżej, a który przyszedł, by przyłączyć się do towarzystwa. Przez swe okienko, rzekł, zobaczył, jak idą kuzyni, i spiesznie skończył rozpoczętą stronicę swej encyklopedycznej pracy, by również przyjść w odwiedziny. Było to zupełnie naturalne, że przyszedł. Uprawniała go do tego dawna znajomość z mieszkańcami „Berghofu” jak też stosunki z Naphtą, które mimo głęboką różnicę zdań były najwyraźniej bardzo ożywione — gospodarz powitał go też swobodnie i bez zdziwienia, jak się wita kogoś należącego do grona zebranych osób. Mimo to przyjście jego wywołało w Hansie Castorpie wrażenie wyraźnie dwoiste. Po pierwsze, zdawało mu się, że pan Settembrini zjawił się po to, by jego i Joachima, a przede wszystkim jego, nie zostawić sam na sam z małym, brzydkim Naphtą, lecz by swą obecnością wytworzyć pedagogiczną przeciwwagę; po wtóre zaś, było wyraźne, iż nie miał nic przeciw temu, a nawet chętnie korzystał ze sposobności, aby na jakiś czas swą mansardę zamienić na wytwornie jedwabny pokój Naphty i aby zjeść ładnie podany podwieczorek: pocierał swe żółtawe, koło małych palców czarno owłosione dłonie, zanim sięgnął do koszyczka, i z wyraźną, głośno też wyrażaną satysfakcją zaczął jeść sękacz, przez którego cienkie kawałki przebiegały żyłki czekolady.

Pieta była w dalszym ciągu tematem rozmowy, bo Hans Castorp wzrokiem ani słowami nie mógł się od niej oderwać, zwrócił się też do pana Settembriniego, jakby chcąc go wciągnąć w krytyczny kontakt z dziełem sztuki; ale niechęć humanisty do tej ozdoby pokoju czytało się w wyrazie twarzy, z jakim się od niej odwrócił; siadł był bowiem tyłem do niej. Zbyt uprzejmy, aby powiedzieć wszystko, co myślał, ograniczył się do wypomnienia błędów, jakie rzeźba miała w proporcjach i budowie ciał, a także jej niezgodności z naturą, zaznaczając przy tym, że usterki te wcale go nie rozczulają, bo wynikają nie z nieumiejętności, która jest naturalna w tak wczesnej epoce, lecz ze złej woli, z zasadniczo nieprzyjaznej postawy — a Naphta złośliwie mu potakiwał. O technicznej nieudolności nie może tu istotnie bynajmniej być mowy. W rzeźbie tej jest świadome wyemancypowanie się ducha spod władzy przyrody, religijna pogarda dla niej, głoszona bez najmniejszej pokory. Gdy wszakże Settembrini oświadczył, że zaniedbanie przyrody i studiów nad nią prowadzi ludzkość na bezdroża i gdy w wielkich słowach zaczął gromić absurdalną

bezkształtność średniowiecza i wszystkich epok, które je naśladowały, wynosząc natomiast dziedzictwo grecko-rzymskie, klasycyzm, formę, piękno, rozum, rozkochaną w przyrodzie potęgę ducha — wtedy Hans Castorp wmieszał się w rozmowę, pytając, co w takim razie myśleć o Plotynie; który — jak wiadomo — wstydził się swego ciała, lub o Wolterze, który w imieniu rozumu buntował się przeciw oburzającemu trzęsieniu ziemi w Lizbonie? Że to absurd? Istotnie było to absurdem, on jednakże sądzi, że jeśli się dobrze zastanowić, to rzeczy absurdalne można uznać z punktu widzenia duchowego za godne czci; absurdalna wrogość sztuki gotyckiej dla przyrody była ostatecznie równie godna czci jak postawa Plotyna i Woltera, gdyż była wyrazem tego samego wyzwolenia się spod fatalności i faktyczności, tej samej dumnej niepodległości, nie chcącej abdykować przed tak bezmyślną siłą jak natura...

Naphta parsknął śmiechem, który tak bardzo przypominał wiadomy talerz, a skończył się kaszlem. Settembrini rzekł dostojnie:

— Krzywdzi pan naszego gospodarza, robiąc takie dowcipy, i okazuje pan brak wdzięczności za tak smaczne ciasto. Czy jest pan w ogóle zdolny do wdzięczności? Rozumiem przez wdzięczność robienie dobrego użytku z otrzymanych darów...

A widząc, że się Hans Castorp zawstydził, dodał pełen uprzejmości:

— Wiem, że filut z pana, inżynierze. Przekomarza się pan po przyjacielsku z tym, co dobre, ale nie należy stąd wnosić, że pan tego nie lubi. Pan oczywiście wie, że opór ducha przeciw naturze wtedy jedynie zasługuje na cześć, gdy ma na celu godność i piękno człowieka, nie zaś gdy chce mu godność odebrać i chce go poniżyć czy choćby tylko prowadzi do poniżenia go. Pan wie również, jakie nie-ludzkie okrucieństwo, jaka drapieżna nietolerancja były wykwitem epoki, której to dzieło tu poza mną zawdzięcza swe istnienie. Wystarczy, jeśli panu przypomnę ohydny typ inkwizytora, choćby krwawą postać Konrada z Marburga i jego niecną kleszą zajadłość wobec wszystkiego, co opierało się panowaniu świata nadprzyrodzonego. Pan jest na pewno daleki od tego, by miecz i stos uznać za narzędzia miłości bliźniego...

— Natomiast miłości tej służyła maszyna — zauważył Naphta — za pomocą której Konwent oczyszczał świat ze złych obywateli. Wszelkie kary kościelne, nawet stosy, nawet ekskomunika były ustanowione, aby duszę ratować od wiecznego potępienia, czego nie można powiedzieć o niszczycielskiej żądzy jakobinów. Pozwalam sobie zauważyć, że wszelka sprawiedliwość, operująca torturą i krwią, i jeśli nie wypływa z wiary w życie pozagrobowe, jest bydlęcą nedorzecznnością. A jeśli chodzi o odbieranie człowiekowi godności, to dzieje jego są dokładnie te

same co dzieje mieszczańskiego ducha. Odrodzenie, Oświecenie, nauki przyrodnicze, nauki ekonomiczne nie pominęły nic, ale to nic, co mogło przyczynić się do poniżenia człowieka, zaczynając od astronomii, która z ośrodka świata, z dostojnej sceny, gdzie Bóg i szatan walczyli o upragnioną władzę nad stworzeniem, uczyniła obojętną małą planetę i na razie zniweczyła wspaniałą pozycję kosmiczną człowieka, na której, nawiasem mówiąc, opierała się astrologia.

— Na razie? — Wyraz twarzy pana Settembriniego, gdy tak pytał i czyhał na odpowiedź, miał sam coś z sądzącego kacerzy inkwizytora, oczekującego, że badany na pewno zapłacze się w swych zeznaniach.

— W samej rzeczy. Na parę stuleci — potwierdził Naphta chłodno. — I pod tym również względem, jeśli wszystko nie myli, czeka nas rehabilitacja scholastyki, jest ona już w toku, Kopernik będzie pobity przez Ptolemeusza. Teza heliocentryzmu natrafia powoli w umysłach na opór, który zapewne doprowadzi do celu. Nauka okaże się filozoficznie zniewolona do tego, by Ziemi przywrócić wszystkie te dostojności, które dogmat kościelny chciał jej zapewnić.

— Co? co? opór w umysłach? filozoficznie zniewolona? Cóż to za woluntaryzm przemawia przez pana? A nieuprzedzone badanie? A czyste poznanie? A prawda, mój panie? Jest ona z wolnością najściślej związana, a jej męczennicy, z których chce pan zrobić wrogów Ziemi, są tej planety ozdobą po wszystkie wieki.

Pan Settembrini w imponujący sposób zadawał swe pytania. Siedział wyprostowany i wygłaszał dostojne słowa, które z łoskotem waliły się na małego pana Naphtę, a w końcu podnosił głos tak potężnie, że się wręcz słyszało jego pewność, iż odpowiedzią przeciwnika będzie mogło być jedynie zawstydzone milczenie. Mówiąc trzymał między palcami kawałek sękacza, ale teraz położył go z powrotem na talerz, bo rzuciwszy takie pytanie, nie chciał już jeść.

Naphta odpowiedział z niemiłym spokojem:

— Drogi przyjacielu, nie istnieje nic takiego jak czyste poznanie. Kościelna teoria poznania, która da się streścić w zdaniu Augustyna: „Wierzę, abym mógł poznać”, jest niezaprzeczenie słuszna. Wiara jest narzędziem poznania, intelekt ma charakter wtórny. Pańska nieuprzedzona nauka jest mitem. Zawsze jest w nauce jakaś wiara, jakiś pogląd na świat, jakaś idea, krótko mówiąc, jakaś wola — a rzeczą rozumu jest wolę tę zanalizować i wykazać. Wszystko i zawsze zmierza tu ku jednemu: ku „quod erat demonstrandum”<sup>\*</sup>. Samo pojęcie dowodu, psychologicznie biorąc, zawiera zdecydowanie woluntarystyczny składnik. Wielcy scholastycy XII i XIII wieku byli co do tego zgodni, że dla filozofii nie może być prawdą to, co jest

---

\* Quod erat demonstrandum (łac.) — co należało udowodnić.



falszem dla teologii. Nie mówmy o teologii, jeśli pan nie chce, ale ludzkość, która nie uznaje, że w przyrodoznawstwie nie może być prawdą, co dla filozofii jest fałszem, nie jest ludzkością. Argumentacja świętego officium przeciw Galileuszowi dowodziła, że tezy jego są filozoficznie niedorzeczne. Trafniejszej argumentacji nie ma.

— Ejże, ejże, argumenty naszego biednego wielkiego Galileusza okazały się mocniejsze! Nie, mówmy poważnie, professore! Niech mi pan wobec obu tych uważnie słuchających młodych ludzi odpowie na pytanie: czy wierzy pan w jedną prawdę, w obiektywną, naukową prawdę, do której dążyć jest najwyższym prawem wszelkiej moralności, której triumfy nad autorytetem stanowią pełne chwały dzieje ludzkiego ducha?

Hans Castorp i Joachim odwrócili głowy od Settembriniego ku Naphcie, pierwszy szybciej od drugiego. Naphta odpowiedział:

— Triumfy takie nie są możliwe, bo autorytet to nic innego jak tylko człowiek, jak jego potrzeby, jego godność, jego zbawienie — więc między nim a prawdą nie może być rozbieżności. Są jednym i tym samym.

— Prawda byłaby w takim razie...

— Prawdą jest to, co służy człowiekowi. W nim skupia się przyroda, w całej przyrodzie on jeden jest stworzony, a cała przyroda jedynie dla niego. On jest miarą rzeczy, a zbawienie jego stanowi kryterium prawdy. Poznanie teoretyczne, bez praktycznego związku z ideą zbawienia człowieka, jest tak dalece mało interesujące, że nie można go uważać za prawdziwe, a nawet nie należy na nie pozwalać. Wieki chrześcijańskie były całkowicie co do tego zgodne, że przyrodoznawstwo jest z ludzkiego punktu widzenia mało ważne. Laktancjusz, którego Konstantyn Wielki wybrał na nauczyciela swego syna, pytał wręcz, jakiego młodzieniec dozna szczęścia, dowiedziawszy się, skąd wypływa Nil i co fizycy plotą o niebie. Niech pan spróbuje mu na to odpowiedzieć! Jeśli filozofii Platńskiej dawano pierwszeństwo przed wszelką inną, to dlatego, że zajmowała się nie poznaniem przyrody, lecz poznaniem Boga. Mogę pana zapewnić, że ludzkość jest na drodze powrotu do tego punktu widzenia i do przejrzenia, iż zadaniem prawdziwej nauki nie jest uganianie się za bezbożnymi wiadomościami, lecz zasadnicze odrzucenie tego, co szkodliwe czy choćby tylko ideowo błahę, a więc krótko mówiąc, trzymanie się instynktu, wiary, wyboru. To dziecinne sądzić, że Kościół bronił ciemności przeciw światłu. Po trzykroć słusznie za karygodne uznał dążenie do poznania rzekomo „nieuprzedzonego”, to znaczy takiego, które pomija potrzeby duchowe i sprawy zbawienia;

tym, co w ciemności wtrąciło człowieka i coraz głębiej wtrącać go tam będzie, jest właśnie to „nieuprzedzone”, afilezoficzne przyrodoznawstwo.

— Głosi pan pragmatyzm — odparł Settembrini — a wystarczy go zastosować do polityki, by zobaczyć całą jego zgubność: więc dobre, prawdziwe i sprawiedliwe jest to, co służy państwu. Jego zbawienie, jego godność, jego potęga stanowią kryterium moralności. Pięknie! Przez to otwiera się na rozcież wrota każdej zbrodni, a ludzka prawda, indywidualna sprawiedliwość, demokracja — niech same pilnują swoich spraw...

— Zaleciłbym nieco logiki — odparł Naphta. — Albo Ptolemeusz i scholastyka mają rację i świat jest skończony w czasie i przestrzeni. W takim razie Bóstwo jest transcendentne, przeciwieństwo Boga i świata pozostaje w mocy, a i człowiek również jest dwoisty w swym istnieniu: zagadnieniem jego duszy jest antagonizm pierwiastków zmysłowych i nadzmysłowych, a sprawy społeczne są na dalekim drugim planie. Jedynie taki indywidualizm mogę uważać za konsekwentny. Albo też jest przeciwnie — pańscy renesansowi astronomowie znaleźli prawdę, i kosmos jest nieskończony. W takim razie nie ma świata nadzmysłowego, nie ma dualizmu, zaświaty zostały wchłonięte przez doczesny świat, upadło przeciwieństwo Boga i przyrody; a że w takim razie osobowość ludzka przestaje być terenem zmagania się wrogich zasad, lecz jest harmonijna i jednolita, więc cały wewnętrzny konflikt człowieka toczy się wyłącznie między osobistymi a powszechnymi interesami, i cele państwa stają się w duchu całkowicie pogańskim prawem moralności. Albo jedno, albo drugie.

— Protestuję — zawołał Settembrini wyciągając rękę z filiżanką herbaty w stronę gospodarza. — Protestuję przeciw podsuwaniu mi poglądu, że nowoczesne państwo jest szatańską niewolą jednostki. Protestuję po raz trzeci, mianowicie przeciw złośliwej alternatywie prusactwa i gotyckiej reakcji, którą nam pan chce narzucić! Sens demokracji nie polega na niczym innym jak tylko na indywidualistycznej korekturze wszelkiego absolutyzmu państwowego. Prawda i sprawiedliwość są klejnotami koronnymi indywidualnej moralności; w wypadku konfliktu z interesami państwowymi mogą nawet mieć formy wrogości wobec państwa, naprawdę jednak mają zawsze na oku wyższe, powiedzmy nawet: nadziemskie dobro państwa. Odrodzenie początkiem ubóstwiania państwa! Cóż za przewrotna logika! Zdobyczą — mówię to kładąc nacisk na etymologię wyrazu, zdobyczą Odrodzenia i Oświecenia, mój panie, jest osobowość ludzka, prawo człowieka, wolność!

Słuchacze odetchnęli, bo z zapartym tchem słuchali wielkiej repliki pana Settembriniego. Hans Castorp nie mógł się powstrzymać od uderzenia, co prawda

powściągliwego, ręką w stół. — Wspaniale! — powiedział między zębami, a nawet Joachim okazywał wielkie zadowolenie, choć dostało się też prusactwu. Potem jednak zwrócili się obaj ku odpartemu interlokutorowi, a Hans Castorp uczynił to z takim zapalem, że aż łokieć oparł o stół, a brodę o dłoń, mniej więcej tak jak wówczas przy rysowaniu świnek; i z napięciem patrzył z bliska w twarz panu Naphcie.

Ten siedział milczący i srogi, z chudymi rękami na kolanach. I powiedział:

— Usiłowałem wprowadzić logikę do naszej rozmowy, a pan mi odpowiada wspaniałymi tyradami. Że Odrodzenie wydało na świat wszystko, co się nazywa liberalizmem, indywidualizmem, duchem humanistycznym i obywatelskim, o tym ja też cośkolwiek wiedziałem, ale pański „nacisk na etymologię” nie rozczula mnie, bo „wojujący”, heroiczny okres pańskich ideałów dawno minął, ideały te są martwe, a w każdym razie gonią resztkami, a ci, co z nimi skończą, stoją już u progu. Pan nazywa siebie, jeśli się nie mylę, rewolucjonistą. Ale jeśli pan myśli, że owocem przyszłych rewolucji będzie wolność, to jest pan w błędzie. Hasło wolności w ciągu pięciu wieków dopełniło się i przeżyło. Pedagogika, dziś jeszcze podająca siebie za córę Oświecenia i w krytyce, wyzwoleniu i pielęgnowaniu jaźni, w rozbiciu bezwzględnie ustalonych form życia dopatrująca się środka wychowawczego — taka pedagogika może mieć chwilowe powodzenie, jakie przypada w udziale retoryce, ale dla znajdującego się na rzeczy reakcyjność jej nie ulega żadnej wątpliwości. Wszelkie organizacje naprawdę wychowawcze od niepamiętnych czasów wiedziały, o co w pedagogice może jedynie chodzić: mianowicie o bezwzględny rozkaz, żelazną konieczność, o dyscyplinę, ofiarę, samozaparcie, o zadanie gwałtu indywidualności. Poza tym jest to niezrozumienie młodzieży, pochodzące z braku miłości do niej, jeśli ktoś przypuszcza, że znajduje ona rozkosz w wolności. Jej najgłębszą rozkoszą jest posłuszeństwo.

Joachim wyprostował się. Hans Castorp zaczerwienił się. Pan Settembrini w podnieceniu kręcił swój piękny wąs.

— Nie! — ciągnął dalej Naphta. — To nie wyzwolenie i rozwój jednostki stanowią tajemnicę i nakaz naszych czasów. Tym, czego one potrzebują, czego pragną, tym, co stwarzają, jest — terror.

Ostatnie słowo wymówił ciszej niż poprzednie i bez żadnego gestu: tylko szkła jego okularów zaświeciły na krótko. Wszyscy trzej słuchacze drgnęli, nawet Settembrini, który jednak prędko opanował się i uśmiechnął.

— A czy można by się dowiedzieć — zapytał — kto i co — pan widzi, zamieni-

łem się cały w pytanie, a nawet nie wiem, jak mam pytać — kto czy co ma być narzędziem tego — niechętnie powtarzam to słowo — tego terroru?

Naphta siedział cichy, surowy, z błyskami w oczach. Rzekł:

— Jestem do usług. Nie myślę się chyba, przypuszczając, że zgodnie przyjmujemy jakiś idealny pierwotny stan ludzkości nie znającej państwa ni przymusu, stan bezpośredniego synostwa Bożego, bez panów i sług, bez prawa i kary, bez krzywd, bez związków cielesnych, bez różnic klasowych, pracy, własności, w którym natomiast panowała równość, braterstwo, doskonałość moralna.

— Bardzo dobrze. Jestem tego samego zdania — oświadczył Settembrini. — Z wyjątkiem związków cielesnych, które oczywiście musiały mieć miejsce, bo człowiek jest najbardziej rozwiniętym kręgowcem i nie może inaczej niż inne stworzenia...

— Jak pan chce. Stwierdzam naszą zasadniczą zgodę, jeśli chodzi o pierwotny rajski stan ludzkości, nie znającej wymiaru sprawiedliwości i pozostającej w bezpośrednim związku z Bogiem, stan utracony przez grzech pierworodny. Myślę, że jeszcze kawałek drogi możemy iść razem, bo pański obraz sprowadzamy do umowy społecznej, która liczyła się z istnieniem grzechu i została zawarta dla obrony przed krzywdą i w której widzimy źródło przemocy panujących.

— Benissimo! — zawołał Settembrini. — Umowa społeczna... — toż to Oświecenie, toż to Rousseau. Nie myślałem...

— Przepraszam. Tu rozchodzą się nasze drogi. Z faktu, że wszelka władza i rządy pierwotne należały do ludu, który swe uprawnienia prawodawcze i całą swą władzę przekazał państwu, księciu, z faktu tego pańska szkoła wywodzi rewolucyjne prawa ludu wobec królestwa. Natomiast my...

„My? — myślał Castorp w napięciu... — Któż to jest »my«? Muszę koniecznie zapytać Settembriniego, kogo miał Naphta na myśli mówiąc »my«?”

— My zaś — mówił Naphta — choć może nie jesteśmy usposobieni mniej rewolucyjnie od pana, wyprowadzaliśmy stąd zawsze przede wszystkim prymat Kościoła przed świeckim państwem. Bo gdyby nawet państwo nie miało swej nieboskiej natury wypisanej na czole, to wystarczyłoby wskazać na ten fakt historyczny, że powstało z woli ludu, a nie, jak Kościół, z ustanowienia Bożego, by wykazać, że jest wytworem jeśli nie zła, to w każdym razie potrzeby i grzesznej niedoskonałości.

— Państwo, mój panie...

— Wiem, co pan myśli o państwie narodowym: „Nad wszystkim góruje miłość

ojczyzny i bezgraniczna żądza sławy”. To Wergiliusz. Korygujecie go przez odrobinę liberalnego indywidualizmu, i oto jest demokracja; ale waszego zasadniczego stosunku do państwa nic to nie zmienia, że duszą jego jest pieniądz, to panu najwyraźniej nie przeszkadza. A może chce pan temu zaprzeczyć? Starożytność była kapitalistyczna, bo pełna uwielbienia dla państwa. Średniowiecze chrześcijańskie przejrzało immanentny kapitalizm świeckiego państwa. „Pieniądz będzie cesarzem” — to prorocstwo z XI wieku. Czyż zaprzeczy pan, że to się dosłownie spełniło i że na tej drodze opanowanie życia przez szatana zostało całkowicie osiągnięte?

— Drogi przyjacielu, pan ma głos. Z niecierpliwością czekam, aby poznać tego wielkiego Nieznajomego, który ma być narzędziem grozy.

— Ciekawość ryzykowna, jak na rzecznika klasy społecznej będącej narzędziem tej wolności, która zgubiła świat. Z pańskiej repliki mogę ostatecznie zrezygnować, bo polityczna ideologia mieszczaństwa jest mi znana. Celem jej jest demokratyczne imperium, upowszechnienie zasady narodowego państwa, celem jej jest państwo powszechne. A cesarz tego imperium? Znamy go. Pańska utopia jest szkaradna — jednakże w tym punkcie znów się poniekąd spotykamy. Bo pańska kapitalistyczna powszechna republika ma w sobie coś transcendentnego, tak jest rzeczywiście, państwo obejmujące cały świat jest transcendencją świeckiego państwa; i wspólna jest nam wiara, że doskonałość pierwotnego stanu ludzkości powinna mieć swój odpowiednik w leżącym gdzieś na horyzoncie doskonałym jej stanie końcowym. Od dni Grzegorza Wielkiego, założyciela Państwa Bożego, Kościół stawiał sobie za zadanie oddać człowieka z powrotem pod kierownictwo Boże. W roszczeniu papieża o władzę nie chodziło o nią samą, jego dyktatura miała charakter zastępczy, była środkiem i drogą do zbawienia, formą przejściową od państwa pogańskiego do królestwa niebieskiego. Tym tu adeptom mówił pan o krwawych czynach Kościoła, o jego karzącej nietolerancji — bardzo nieroztropnie, bo gorliwość religijna nie może oczywiście być pacyfistyczna, a Grzegorz powiedział te słowa: „Przeklęty niech będzie człowiek, którego miecz cofnie się przed krwią”. Że władza jest zła, to wiemy. Ale dualizm dobra i zła, tamtego i tego świata, ducha i władzy, musi — jeśli królestwo Boże ma przyjść — tymczasowo być przewyżczony przez zasadę łączącą ascezę z władzą. To mam na myśli, gdy mówię o konieczności terroru.

— Ale kto, kto będzie jego narzędziem?

— Nie wie pan? Czyżby pan mimo swój manczesteryzm nie zauważył istnienia takiej nauki społecznej, która jest dla ludzi przewyżczeniem ekonomizmu, a której zasady i cele są dokładnie te same co chrześcijańskiego Państwa Bożego? Ojcowie Kościoła mówili, że „moje” i „twoje” są zgubnymi wyrazami, a własność prywatna

jest przywłaszczeniem i kradzieżą. Potępili posiadanie dóbr, bo wedle boskiego prawa natury ziemia jest dla wszystkich ludzi, a przeto owoce swe wydaje dla wspólnego użytku wszystkich. Nauczali, że tylko chciwość, ten skutek grzechu pierwotnego, domaga się posiadania i doprowadziła do własności prywatnej. Byli usposobieni dość na to życzliwie dla ludzi i dość niechętnie dla handlarstwa, by wszelką w ogóle działalność gospodarczą uważać za szkodliwą dla zbawienia, to znaczy dla ludzkości. Nienawidzili pieniądza i interesów pieniężnych, a kapitalistyczne bogactwo nazywali paliwem ognia piekielnego. Podstawowe prawo ekonomii, że cena jest wynikiem stosunku podaży i popytu, traktowali z serdeczną pogardą, a korzystanie z koniunktury potępiali jako cyniczne wyzyskiwanie przymusowej sytuacji bliźniego. Ale w oczach ich coś innego było wyzyskiem jeszcze występniejszym: mianowicie wyzyskiwanie czasu, gdy ktoś za nic, tylko za samo przebieganie czasu każe sobie płacić premię, to jest procent, i powszechnego boskiego urzędnika, jakim jest czas, nadużywa w ten sposób dla korzyści jednego, a szkody drugiego.

— Benissimo! — zawołał Hans Castorp, posługując się w zapale formułą, jakiej pan Settembrini używał dla oświadczenia swej zgody. — Czas... powszechne boskie urządzenie... To bardzo ważne!...

— Istotnie — ciągnął Naphta dalej — te prawdziwie ludzkie duchy uważały myśl o samoczynnym mnożeniu się pieniądza za wstrętną, wszelkie operacje procentowe i spekulacje podciągały pod pojęcie lichwy. Ludzie ci twierdzili, że każdy bogacz jest złodziejem bądź spadkobiercą złodzieja. Poszli dalej. Uważali, jak Tomasz z Akwinu, handel w, ogóle, operacje czysto kupieckie, kupowanie i sprzedawanie z doliczaniem zysku, choć bez obrobienia, ulepszenia dóbr gospodarczych — za haniebne zajęcie. Pracy samej przez się nie byli skłonni cenić bardzo wysoko, jest bowiem sprawą moralną, a nie religijną, dokonywaną w służbie życia, a nie Boga. Ale jeśli ma już chodzić o życie i sprawy ekonomiczne, to domagali się, aby produktywność tego, co się robi, była warunkiem zysków i miarą uznania. Godnym szacunku był dla nich rolnik, rzemieślnik, ale nie kupiec i nie przemysłowiec. Chcieli bowiem, by produkcja kierowała się potrzebą, brzydzili się masową produkcją. Otóż — wszystkie te ekonomiczne zasady i sprawdziany po wiekach zapomnienia zmartwychwstają w nowoczesnym ruchu komunistycznym. Zgodność jest tu całkowita; ten sam sens ma nawet domaganie się władzy przez międzynarodową pracę wbrew międzynarodowemu handlarstwu i spekulacji, przez proletariat świata, który dziś idee ludzkości i Państwa Bożego przeciwstawia burżuazyjno-kapitalistycznej zgniliznie. W dyktaturze proletariatu, której politycznie i gospodarczo domagają się nasze czasy, bez której nie ma dla nich zbawienia, nie chodzi o pano-

wanie dla niego samego i na wieki, lecz o czasowe usunięcie przeciwieństwa między duchem a władzą, przewyciężenie go pod znakiem krzyża, o przewyciężenie świata za pomocą panowania nad światem; ma ona znaczenie przejścia, transcencji, znaczenie państwowości. Proletariat podjął dzieło Grzegorza, ma jego entuzjazm dla praw boskich i tak samo jak on nie będzie mógł ręki cofnąć przed krwią. Zadaniem jego jest wzbudzenie grozy dla zbawienia świata i dla osiągnięcia tego, co było celem Zbawiciela; bezpaństwowego i bezklasowego synostwa bożego.

Taka była bojowa mowa Naphty. Małe grono zamilkło. Młodzi ludzie spoglądali na pana Settembriniego. To on musiał zdecydować, jaka ma być reakcja. Powiedział tak:

— Zdumiewające. Rzeczywiście, przyznaję, że jestem wstrząśnięty, tego nie byłbym oczekiwał. Roma locuta. I to jak, i to jak się Rzym wypowiedział. Przed naszymi oczami wykonał hieratyczne salto mortale — jeśli to ma być sprzeczność, contradictio in adjecto, to on ją „czasowo usunął”, och, tak! Powtarzam: to jest zdumiewające. Czy myśli pan, profesorze, że można tu wysuwać zarzuty, zarzuty dotyczące jedynie konsekwencji wywodów? Poprzednio usiłował nam pan wytłumaczyć chrześcijański indywidualizm oparty na dualizmie Boga i świata i dowieść jego wyższości nad wszelką politycznie uwarunkowaną moralnością. A w parę minut potem głosi pan socjalizm, doprowadzając go aż do dyktatury i grozy. Jakże to jedno z drugim się godzi?

— Przeciwieństwa — odrzekł Naphta — można z sensem łączyć z sobą. Bez sensu są tylko rzeczy połowiczne i mierne. Indywidualizm, jak to już sobie pozwoliłem zaznaczyć, jest połowicznością, ustępstwem. Koryguje on pańską państwową moralność przez odrobinę chrześcijaństwa, przez odrobinę „praw jednostki” i tak zwanej wolności, i to już wszystko. Natomiast indywidualizm wychodzący z kosmicznej, astrologicznej doniosłości jednostkowej duszy, nie społeczny, lecz religijny, przeżywający rzeczy ludzkie nie jako zmaganie się jaźni i społeczeństwa, lecz jaźni i Boga, ciała i ducha — taki prawdziwy indywidualizm daje się doskonale pogodzić z najbardziej zwartą społecznością...

— Jest bezimienny i wspólny — powiedział Hans Castorp.

Settembrini spojrział nań wielkimi oczyma.

— Niech pan milczy, inżynierze! — rozkazał z surowością, którą należało położyć na karb zdenerwowania i napięcia. — Niech pan się uczy, ale sam niczego nie wymyśla! — Mamy odpowiedź — rzekł, zwróciwszy się znów do Naphty. — Nie wielka z niej dla mnie pociecha, ale zawsze ją mamy. Spójrzmy w oczy konsekwencjom... Chrześcijański komunizm wraz z przemysłem neguje technikę,

maszynę, postęp. A razem z tym, co pan nazywa handlarstwem, wraz z pieniądzem i interesami pieniężnymi, z tym wszystkim, co starożytność znacznie wyżej stawiała od rolnictwa i rzemiosła, neguje zarazem wolność. Bo jest jasne, bije w oczy, że przez to wszelkie prywatne i publiczne stosunki zostają, jak w średniowieczu, związane z ziemią; związana zostaje nawet — niełatwo mi powiedzieć — osobowość człowieka. Skoro ziemia tylko może go wyżywić, to tylko ona daje mu wolność. Rzemieślnicy i chłopi, choćby się ich szanowało — skoro ziemi nie posiadają, są poddanymi tego, kto ją posiada. I rzeczywiście, aż do późnego średniowiecza masa ludności nawet w miastach składała się z pańszczyźnianych poddanych. W ciągu rozmowy powiedział pan to i owo o godności ludzkiej. A jednocześnie broni pan takiej moralności gospodarczej, która pociąga za sobą brak wolności i brak godności jednostki ludzkiej.

— O godności i braku godności — odparł Naphta — byłoby wiele do powiedzenia. Na razie byłbym rad, gdyby pan w związku z tym zechciał wolność traktować nie jako piękny gest, lecz jako zagadnienie. Stwierdza pan, że chrześcijańska moralność gospodarcza przy całym swym pięknie i swej ludzkości wytwarza niewolę. Ja zaś stwierdzam, że sprawa wolności czy sprawa miast, jak można konkretniej powiedzieć, jakkolwiek jest sprawą w najwyższym stopniu moralną, to historycznie jest związana z nieludzkim zwyrodnieniem moralności gospodarczej, ze wszystkimi okropnościami nowożytnego handlarstwa i spekulacji, z szatańskim panowaniem pieniądza i interesów.

— Muszę się domagać, aby pan nie ukrywał się poza wątpliwościami i antynomiami, lecz jasno i niedwuznacznie zrobił akces do najczarniejszej reakcji.

— Pierwszym krokiem do prawdziwej ludzkości i wolności byłoby pozbycie się drżenia i strachu przed pojęciem „reakcja”.

— Dość już tego — oświadczył pan Settembrini lekko drżącym głosem, odsunął od siebie filiżankę i talerz, które zresztą były puste, i powstał z jedwabistej kanapy. — Dość już na dziś, dość na jeden dzień, jak mi się zdaje. Profesorze, dziękujemy za smaczne przyjęcie i za bardzo interesującą rozmowę. Moich przyjaciół z „Berg-hofu” wzywa kuracja, a chciałbym, zanim pójdą, pokazać im swoją celę na górze. Proszę panów. Addio, Padre!

Teraz wręcz nazwał Naphtę „Padre”! Hans Castorp zauważył to z podniesionymi ze zdziwienia brwiami. Nikt nie zaprotestował przeciw temu, że Settembrini dał hasło do odejścia, że się rozporządził kuzynami i nawet się nie spytał, czy Naphta chciałby im towarzyszyć. Młodzi ludzie pożegnali się, dziękując, i zostali zachęcani do ponownej wizyty. Wyszli z Włochem, ale przedtem Hans Castorp zabrał poży-



czoną mu książkę „De miseria humanae conditionis”, w zbutwiałej tekturowej oprawie. Lukaček z kwaśnym wyrazem twarzy siedział w dalszym ciągu na stole i szył suknię z długimi rękawami dla starszej kobiety, podczas gdy oni przechodzili koło jego otwartych drzwi, aby dostać się do drabiniastych schodów, wiodących na poddasze. Nie było to, ściśle mówiąc, oddzielne piętro. Był to po prostu strych z odsłoniętym belkowaniem i gontami, z atmosferą spichrza w lecie i zapachem rozgrzanego drzewa. Ale na strychu tym mieściły się dwie izby, zajmowane przez republikańskiego kapitalistę, służyły subtelnemu współpracownikowi „Socjologii cierpienia” jako pracownia i sypialnia. Wesoło pokazywał je młodym przyjaciołom, nazywając swe pomieszczenie odosobnionym i przytulnym, tak aby poddać im właściwe wyrazy, którymi by je mogli pochwalić — co też oni zgodnie uczynili. Obaj orzekli, że jest urocze, odosobnione i przytulne, tak jak on to powiedział. Rzucili okiem na pokój sypialny, mansardę, gdzie przed wąskim i krótkim łóżkiem leżał zszywany z kawałków dywanik, i zaraz skierowali się do pracowni, równie skąpo umeblowanej, w której jednak panował porządek tak wielki, że aż mrozący. Niezgrabne i staromodne krzesła, w liczbie czterech, z wyplatanymi siedzeniami, były ustawione symetrycznie po obu stronach drzwi, i nawet kanapa była przysunięta do ściany, tak iż okrągły, zielono nakryty stół stał samotnie pośrodku pokoju, na nim zaś ku ozdobie czy ku pokrzepieniu, ale w każdym razie w trzeźwych zamiarach, stała karafka wody z nasadzoną na jej szyjkę szklanką. Na małej półce wspierały się wzajem skośnie pochylone książki, oprawne i broszurowane, a przy otwartym okienku stał na wysokich nogach lekki składany pulpit, przed którym leżał kawałek filcu, nie większy, niż to było potrzebne, aby móc na nim stanąć. Hans Castorp stanął tam przez chwilę, jakby na próbę — na tym miejscu, gdzie pracował pan Settembrini, gdzie dla celów encyklopedycznych rozważał literaturę piękną ze stanowiska cierpienia ludzkiego: oparł łokcie o pochyłą deskę i orzekł, że się tu stoi z poczuciem odosobnienia i przytulności. I myślał sobie, że tak mógł kiedyś stać w Padwie przed swym pulpitem ojciec Lodovico, z długim i cienkim nosem — i dowiedział się, że tego pulpitu, przed którym stoi, rzeczywiście zmarły uczony używał do pracy, a tak samo słomiane krzesła, stół, nawet karafka na wodę były jego własnością — co więcej nawet: słomiane krzesła należały już do dziadka-karbonariusza, w Mediolanie zdobyły jego kancelarię adwokacką. Sprawiało to wielkie wrażenie. Krzesła nabrały w oczach młodych ludzi fizjonomii jakby politycznie agitatorskiej, i Joachim, który nic nie przeczuwając siedział na jednym z nich z założonymi nogami, wstał teraz, podejrzliwie obejrzał krzesło i już na nim nie siadał. A Hans Castorp, stojąc przy pulpicie Settembriniego seniora, rozmyślał, jak to syn jego usiłuje politykę dziada zespolić z humanizmem ojca w literaturę piękną. Po

jego usiłuje politykę dziada zespolić z humanizmem ojca w I

Część drogi milczeli, ale milczenie ich zajęte było Naphtą, a Hansowi Castorpowi nie było spieszo: był pewien, że pan Settembrini zacznie mówić o swym współlokatorze, że nawet po to z nimi wyszedł. Nie omylił się. Tamten odetchnął, jakby dla wzięcia rozpędu, po czym zaczął:

— Moi panowie — chciałbym was przestrzec.

Ponieważ zrobił pauzę, Hans Castorp zapytał naturalnie z fałszywym zdziwieniem: — Przed czym? — Mógłby być zapytać przynajmniej: „Przed kim?”, jednakże wyraził się nieosobowo, aby okazać swą niewinność, choć nawet Joachim wiedział dokładnie, o co chodziło.

— Przed osobistością, której gośćmi byliśmy przed chwilą — odrzekł Settembrini — a z którą zapoznałem panów wbrew chęci i zamiarom. Panowie wiecie, przypadek tak chciał, nie mogłem inaczej, jednakże ponoszę za to odpowiedzialność, ciężką odpowiedzialność. Jest mym obowiązkiem przynajmniej wskazać panom ze względu na ich młode lata na duchowe niebezpieczeństwo, na jakie naraża obcowanie z tym człowiekiem; a poza tym chciałem prosić, aby ich stosunki z nim nie przekraczały rozsądnych granic. Formą jego jest logika, lecz istotą zamęt.

No, rzeczywiście, mówił Hans Castorp, z Naphtą może niezupełnie jest wszystko w porządku; to, co mówił, brzmiało niekiedy cośkolwiek dziwnie: wyglądało wręcz, jakby sądził naprawdę, że Słońce krąży dokoła Ziemi. Ale ostatecznie, jakżeż im, kuzynom, miało wpaść na myśl, że nie jest wskazane nawiązywać stosunki towarzyskie z jego, Settembriniego, przyjacielem? Niech sam powie: przez niego Naphtę poznali, w jago towarzystwie go spotkali, chodzi z nim na spacer, zachodzi doń bezceremonialnie na podwieczorek, dowodzi to...

— Zapewne, inżynierze, zapewne. — Głos pana Settembriniego był cichy i zrezygnowany, ale jednak lekko drżący. — Można mi tak odpowiedzieć, i dlatego mi pan tak odpowiada. Dobrze, jestem gotów się usprawiedliwić. Mieszkam z tym panem pod jednym dachem, spotkania są nieuniknione, jedno słowo pociąga za sobą drugie, zawiera się znajomość. Pan Naphta jest człowiekiem z głową — to rzadka rzecz. Jest naturą dyskursywną — ja również. Niech kto chce mnie potępi, ale korzystam z możliwości, by z przeciwnikiem bądź co bądź równym skrzyżować ostrze idei. Nie mam tu zupełnie nikogo... Krótko mówiąc, prawdą jest, że chodzę do niego, a on do mnie, i że przechadzamy się razem. Toczmy spory. Toczmy spory na śmierć i życie, prawie codziennie, ale przyznaję, że obcość i wrogość jego myśli jest dla mnie jeszcze dodatkowym bodźcem, aby się z nim widywać. Potrzebuję tarcia. Przekonania stają się martwe, gdy nie mają sposobności do walki —

buje tarcia. Przekonania stają się martwe, gdy nie mają sposobności do walki — moje zaś są dostatecznie umocnione. Czyżby panowie mogli to twierdzić o sobie — pan, poruczniku, albo także i pan, inżynierze? Panowie nie macie broni przeciw myślowym mirażom i grozi wam niebezpieczeństwo, że pod wpływem tego na wpół fanatycznego, na wpół złośliwego kręactwa poniesiecie szkodę na umyśle i duszy.

Tak, tak, mówił Hans Castorp, to zapewne prawda, że obaj z kuzynem są z natury swej w mniejszym czy większym stopniu zagrożeni. Do nich obu stosuje się ta historia z wiecznym strapieniem: on to rozumie. Ale przeciw temu można by przytoczyć Petrarę i jego hasło, pan Settembrini wie przecież, o co chodzi; a w każdym razie warto posłuchać wywodów Naphty: trzeba mu oddać sprawiedliwość, że było doskonałe, co mówił o czasie komunistycznym, za którego upływ nie powinien nikt otrzymywać premii. Poza tym bardzo interesujące były pewne rzeczy o pedagogice, o których on, Hans Castorp, bez Naphty nigdy by się pewnie nie był dowiedział...

Pan Settembrini zacisnął usta, więc Hans Castorp dodał pospiesznie, że on naturalnie nie staje po żadnej stronie i nie zajmuje żadnego stanowiska, a tylko godne usłyszenia wydaje mu się to, co Naphta mówił o rozkoszy, jaką młodość znajduje w posłuszeństwie.

— Niechże mi pan jedno wytłumaczy — ciągnął dalej. — Ten pan Naphta — mówię „ten pan”, aby zaznaczyć, że moja sympatia dla niego nie jest bez zastrzeżeń, lecz przeciwnie, zachowuję wobec niego największą wewnętrzną rezerwę...

— I słusznie! — zawołał Settembrini z wdzięcznością.

— Otóż mówił on wiele przeciw pieniądzwowi, przeciw duszy państwa, jak się wyrażał, przeciw własności, dlatego że jest kradzieżą, krótko mówiąc, przeciw kapitalistycznemu bogactwu, o którym, jak mi się zdaje, powiedział, że jest paliwem piekielnego ognia — tak się raz, jeśli się nie mylę, mniej więcej wyraził — i na wszystkie tony zachwalał średniowieczny zakaz pobierania procentów... A tymczasem on sam... — Niech mi pan wybaczy, ale on musi jednak... Bo to jest nadzwyczajna niespodzianka, gdy się do niego wchodzi. Wszystkie te jedwabie...

— Ach, tak — z uśmiechem mówił Settembrini — to charakterystyczny rodzaj smaku.

— ...te piękne stare meble — wspominał dalej Hans Castorp — Pieta z czternaściego wieku... wenecki żyrandol... hajduczek w liberii... a także w bród czekoladowego sękacza... Widać, że osobiście on...

— Pan Naphta — rzekł Settembrini — osobiście tak samo nie jest kapitalistą jak ja.

— Ale co? — pytał Hans Castorp. — Jest jakieś „ale” w tym, co pan mówi.

— Oni tam nikomu nie pozwolą znosić niedostatku, kto do nich należy.

— „Oni tam”, któż to jest taki?

— Ci ojcowie.

— Ojcowie? ojcowie?

— Ależ, inżynierze, mówię o jezuitach.

Nastąpiła przerwa. Kuzyni byli w najwyższym stopniu zaskoczeni. Hans Castorp zawołał:

— Cóż, u diabła — czyżby ten człowiek był jezuitą?

— Zgadł pan — powiedział dyskretnie pan Settembrini.

— Nie, nigdy bym w życiu... Któż by się mógł domyślić? To dlatego tytułował go pan Padre?

— Z lekka tylko przesadzałem przez grzeczność — odparł Settembrini. — Pan Naphta nie jest ojcem. Choroba temu winna, że na razie tak wysoko nie zaszedł. Jednakże odbył nowicjat i złożył pierwsze śluby. Choroba zmusiła go do przerywania studiów teologicznych. Potem jeszcze przez parę lat był czynny w jednym z zakładów zakonnych jako prefekt, to znaczy jako nadzorca, preceptor, guwerner młodych wychowanków. Odpowiadało to jego pedagogicznym skłonnościom. Może się i tutaj im dalej oddawać, ile że uczy łaciny we Fridericianum. Jest tu od pięciu lat. Nie jest pewne, czy i kiedy będzie mógł stąd wyruszyć. Ale do zakonu należy, a choćby jeszcze luźniej był z nim związany, to i tak niczego by mu nie zabrakło. Mówiłem panom, że osobiście jest ubogi, to znaczy nic nie posiada. Naturalnie taki jest przepis. Ale zakon rozporządza niezmiernymi bogactwami i dba o swoich, jak panowie widzieli.

— Do pioruna! — mruzczał Hans Castorp. — Nie wiedziałem i nie przychodziło mi na myśl, że coś podobnego naprawdę istnieje! Jezuita. Ach, tak!... Ale niech mi pan jedno powie: jeśli go stamtąd tak dobrze zabezpieczają i zaopatrują — to czemuż, na miłość boską, tak mieszka... Ja oczywiście nie mam nic przeciw pańskiemu mieszkaniu, u pana jest uroczo tam u Lukačka, w takim przyjemnym odosobnieniu i tak zacisznie. Ale chodzi mi o to: jeśli Naphta tak we wszystko opływa, że się już tak pospolicie wyrażę, dlaczegoż nie weźmie innego mieszkania, bardziej okazałego, z porządnym wejściem i obszernymi pokojami, w eleganckim domu? Jest w tym po prostu coś niejasnego i podejrzanego, jak on się tam w tej dziurze ze wszystkimi swymi jedwabiami...

Settembrini wzruszył ramionami.

— Muszą to być jakieś względy taktu i smaku — rzekł — które go do tego skłaniają. Przypuszczam, że to uspokaja jego antykapitalistyczne sumienie, iż zamieszkuje ubogie pokoje, a wynagradza sobie to sposobem, w jaki je zamieszkuje. Także dyskrecja odgrywa tu zapewne rolę. Nie kłuje się tym ludzi w oczy, jak dobrze kogo diabeł tylnymi drzwiami zaopatruje. Pokazuje się bardzo niepozorną fasadę, a za nią roztacza się jedwabny księżowski smak...

— Bardzo szczególne! — powiedział Hans Castorp. — Dla mnie to jest zupełnie nowe i, muszę przyznać, po prostu ekscytujące. Nie, naprawdę, proszę pana, winni jesteśmy panu wdzięczność za tę znajomość. Niech pan będzie pewien, że jeszcze nieraz chętnie tam pójdziemy i odwiedzimy go. Takie stosunki rozszerzają horyzont w nieoczekiwanym stopniu i pokazują świat, o którego istnieniu nie miało się najmniejszego wyobrażenia. Prawdziwy jezuita, jak się należy! A gdy mówię „jak się należy”, tylko ogólnikowo formułuję, co mi chodzi po głowie i co jednak jeszcze muszę powiedzieć. Zapytuję: czy rzeczywiście jest on jak się należy? Wiem, co pan myśli, że w ogóle nie jest jak się należy ktoś, kogo diabeł tylnymi drzwiami zaopatruje. Ale to, o co mi chodzi, sprowadza się do takiego pytania: Czy jest on jak się należy j a k o j e z u i t a — to mi chodzi po głowie. Mówił takie rzeczy, pan wie, co mam na myśli — o nowoczesnym komunizmie, o proletariacie, który szuka Boga i nie powinien cofać się przed krwią — krótko mówiąc, takie rzeczy, że już nic o nich nie powiem, ale pański dziadek ze swą kopią obywatela był wobec tego jak baranek, niech pan wybaczy, że tak mówię. Czy to tak można? Czy ma to aprobatę jego przełożonych? Czy się zgadza z nauką Rzymu, dla której zakon ten, o ile mi wiadomo, intryguje po całym świecie? Czy to nie jest stanowisko — jak to się mówi? — heretyckie, odstępcze, niepoprawne? Zastanawiam się nad tym w związku z Naphtą i chętnie bym usłyszał, co pan myśli.

Settembrini uśmiechnął się.

— To jest bardzo proste. Pan Naphta jest istotnie przede wszystkim jezuitą, jest nim naprawdę i całkowicie. Po drugie jednak jest człowiekiem inteligentnym — inaczej nie poszukiwałam jego towarzystwa — i jako taki dąży do nowych kombinacji, zastosowań, nawiązań, aktualnych odmian. Widział pan, jak sam byłem zaskoczony jego teoriami. Jeszcze nigdy nie mówił tak otwarcie. Obecność panów była dlań wyraźnie bodźcem i wyzyskałam ją, by go podniecić i skłonić do wypowiedzenia jego w pewnym sensie ostatniego słowa. Brzmiało aż nazbyt zabawnie, aż nazbyt odrażająco...

— Tak, tak; ale dlaczego nie został ojcem? Wiek miałby ku temu odpowiedni.

— Mówiłem panu, że to choroba mu na razie w tym przeszkodziła.

— Dobrze, ale czy pan tego tak nie rozumie: jeśli jest, po pierwsze, jezuitą, a po wtóre, człowiekiem pełnym inteligencji i pomysłów — to czy ten drugi, dodatkowy czynnik nie jest związany z chorobą?

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Nie, nie, proszę pana. Chodzi mi tylko o to: ma wilgotne miejsce w płucach i dlatego nie został ojcem. Ale jego pomysły i tak by mu w tym przeszkodziły i o tyle — pomysły i owo miejsce łączą się w pewnym stopniu z sobą. On też jest na swój sposób wiecznym strapieniem dla życia, joli jésuite ze swoją petite tache humide\*.

Doszli do sanatorium. Przed rozstaniem jeszcze się nieco zatrzymali na tarasie, tworząc małą grupę, a paru pacjentów wałęsających się u wejścia przyglądało się rozmawiającym. Pan Settembrini powiedział:

— Aby to raz jeszcze powtórzyć, młodzi przyjaciele, przestrzegam was. Nie mogę panom zabronić podtrzymywania raz zawartej znajomości, jeśli ciekawość ich do tego skłania. Ale w takim razie uzbrójcie serce i rozum w nieufność, niech wam nie zabraknie krytycznego oporu. Scharakteryzuję panom tego człowieka jednym słowem. To jest rozpustnik.

Kuzyni skrzywili się. Potem Hans Castorp zapytał:

— To jest... kto taki? Niechże pan pozwoli, przecież to zakonnik. Musiał złożyć, o ile mi wiadomo, pewne śluby, a poza tym jest taki mizerny i wątyl...

— Głupstwa pan mówi, inżynierze — odrzekł pan Settembrini. — Z mizernością nie ma to nic do czynienia, a jeśli chodzi o śluby, to są na to zastrzeżenia. Nazwałem go w ten sposób w szerszym i bardziej uduchowionym sensie, dla którego mogłem do pewnego stopnia oczekiwać u pana zrozumienia. Może pan sobie jeszcze przypomina, jak go kiedyś odwiedziłem w jego pokoju — dawno, strasznie dawno temu — pan wówczas, jako nowo przyjęty pacjent, leżał w łóżku...

— Ależ naturalnie! Wszedł pan po ciemku i zaświecił, pamiętam jak dziś..

— Dobrze więc, gawędząc wtedy doszliśmy, jak to się dzięki Bogu niejednokrotnie zdarza, do wyższych spraw. Zdaje mi się nawet, że mówiliśmy o śmierci i życiu, o tym, że śmierć jest dostojna, bo związana z życiem, ale staje się potworna, gdy w odrażający sposób zaczyna się ją traktować jako samoistną zasadę. Moi panowie! — ciągnął dalej Settembrini, przysunąwszy się blisko do obu młodych ludzi, wyciągając ku nim, niby widelec, palce środkowe lewej ręki, jakby chcąc

---

\* Joli jésuite... (franc.) — ładny jezuita ze swoją małą wilgotną plamką.

skupić ich uwagę, a ostrzegawczo podnosząc wskazujący palec prawej... — Wbijcie sobie, panowie, w pamięć, że duch jest suwerenny, że wola jego jest wolna i że on stanowi decydujący czynnik moralnego świata. Jeśli jednak dualistycznie usamodzielnia on śmierć, to powoduje, że śmierć rzeczywiście i faktycznie, actu, panowie mnie rozumieją, staje się odrębną, a życiu przeciwstawną potęgą, antagonistyczną zasadą, wielką uwodzicielką, a królestwo jej staje się królestwem rozpusty. Panowie mnie pytają, dlaczego rozpusty? Odpowiadam im: bo rozpuszcza i wyzwala, bo jest wyzwoleniem, ale nie wyzwoleniem od zła, lecz złym wyzwoleniem. Rozpuszcza, rozluźnia obyczaje i moralność, wyzwala od dyscypliny i godności, uwalnia od nich — dla rozpusty. Jeśli panów ostrzegam przed człowiekiem, z którym ich niechętnie zapoznałem, jeśli ich wzywam, by w obcowaniu i rozmowach z nim swe serce po trzykroć opasali krytyką, to dlatego, że wszystkie jego myśli są rozpustne, pozostają bowiem pod ochroną śmierci — potęgi najbardziej rozwiązłej, jak to panu wtedy powiedziałem, inżynierze — pamiętam dobrze to moje wyrażenie, zachowuję zawsze w pamięci mocne i trafne powiedzenia, do których trafiła mi się okazja — potęgi skierowanej przeciw cywilizacji, postępowi, pracy i życiu: bronić młode dusze przed jej cuchnącym tchnieniem jest pierwszym obowiązkiem wychowawcy.

Nie można było mówić lepiej niż pan Settembrini ani jaśniej i potoczniej. Hans Castorp i Joachim Ziemssen podziękowali mu serdecznie za wszystko, co usłyszeli, pożegnali się i skierowali ku portalowi „Berghofu”; pan Settembrini natomiast powrócił do swego pulpitu humanisty, minąwszy położoną o piętro niżej jedwabną celę Naphty.

Była to pierwsza wizyta kuzynów u Naphty, której przebieg tutaj utrwaliliśmy. Później były jeszcze dwie czy trzy, jedna nawet w nieobecności pana Settembriniego; one również dostarczały młodemu Hansowi Castorpowi materiału do rozmyślań, gdy najdoskonalszy twór, zwany Homo Dei, stał przed jego wzrokiem wewnętrznym, on zaś siedział w błękitnie kwitnącym zakątku swej samotności i „królował”.

## **Wściekłość i jeszcze coś bardzo przykrego**

Tak nadszedł sierpień i w pierwszych jego dniach szczęśliwie przemknęła pierwsza rocznica przyjazdu naszego bohatera. Dobrze, że minęła, bo młody Hans Castorp oczekiwał jej z pewną przykrością. Tak bywało zwykle. Dzień przyjazdu nie był

lubiany; o pierwszej i dalszych jego rocznicach nie pamiętano, i podczas gdy zresztą nie pomijano żadnej okazji do obchodów i brzęku kielichów, podczas gdy ogólne i wielkie akcenty w rytmie i tętnie roku uzupełniano jeszcze możliwie największą ilością prywatnych i nadzwyczajnych, obchodząc w restauracji, wśród ucztowania i strzelania korków, urodziny, generalne badania lekarskie, zapowiadające się dzikie i legalne wyjazdy i tym podobne okazje — to tę rocznicę każdy obchodził tylko milczeniem, usiłował prześliznąć się przez nią, a nawet rzeczywiście o niej zapominał, mając prawo przypuszczać, że i inni nie bardzo o niej pamiętają. Owszem, dbano o rozczłonkowanie czasu, obserwowano kalendarz, kolejność wydarzeń, zewnętrzne ich nawroty. Jednakże tylko początkujący i ci, co przybyli tu na krótko, mierzyli i obliczali czas w ten sposób — czas zespolony tu w górze z przestrzenią, a więc indywidualny i osobisty; zasiedziali natomiast cenili to, co niezmierzone, i niepostrzeżenie wieczne, cenili dni zawsze takie same, a każdy przypuszczał, że inni mają te same pragnienia, które on żywi. Powiedzieć komuś, że dziś właśnie jest trzecia rocznica jego przyjazdu, byłoby uważane za niezręczne i brutalne — i takie rzeczy się nie zdarzały. Nawet pani Stöhr, cokolwiek można jej było zarzucić, pod tym względem miała dość taktu i ogłady i nigdy by się nie stała winna takiego uchybienia. Do jej choroby i stanu gorączkowego dołączał się jeszcze wielki brak wykształcenia, zapewne. Niedawno mówiła przy stole o „afektacji” swych szczytów, a gdy rozmowa zesła na sprawy historyczne, oświadczyła, że daty historyczne są niezaprzeczenie jej „pierścieniem Polikratesa”, co spowodowało osłupienie wszystkich siedzących opodal. Ale żeby miała w lutym młodemu Ziemsenowi przypomnieć jego jubileusz, to było nie do pomyślenia, choć prawdopodobnie o tym jubileuszu myślała. Bo jej nieszczęsna głowa była pełna zbędnych dat i rzeczy, a lubiła zajmować się cudzymi sprawami; jednakże obyczajność trzymała ją na wodzy.

Tak też w dniu Hansa Castorpa usiłowała raz przy posiłku mrugać znacząco, gdy on jednak na znak ten odpowiedział obojętnym wyrazem twarzy, wycofała się spiesznie. Również Joachim milczał wobec kuzyna, choć pamiętał niewątpliwie o dniu, w którym przyszedł na stację Davos-Wieś po swego, gościa. Ale Joachim — już z natury niezbyt skłonny do mówienia, w przeciwieństwie do Hansa Castorpa, przynajmniej takiego, jakim się stał tu w górze, a tym bardziej w przeciwieństwie do znajomych humanistów i krętaczy — stał się ostatnio milczący w szczególny i uderzający sposób, mówił tylko monosylabami, lecz na twarzy jego widać było, że go coś nurtuje. Jasne było, że ze stacją „Wieś” łączyły się dlań inne wyobrażenia niż tylko przyjazdu i witania... Prowadził żywą korespondencję z równiną. Dojrzywały w nim postanowienia. Przygotowania, jakie czynił, zbliżały się już do końca.



Lipiec był ciepły i pogodny. Ale wraz z początkiem nowego miesiąca przyszła niepogoda, dni ponure i wilgotne, śnieg z deszczem, potem zdecydowana śnieżycą, i z wyjątkiem poszczególnych promiennych letnich dni tak już było poprzez koniec miesiąca aż do września. Z początku pokoje zachowywały jeszcze ciepło z minionego letniego okresu; bywało w nich po dziesięć stopni i uchodziło to za coś przyjemnego. Ale szybko robiło się coraz zimniej i cieszą się, że śnieg pokrył dolinę, bo samo zimno nie byłoby poskutkowało, dopiero widok śniegu skłonił zarząd do palenia, najpierw w jadalni, potem także w pokojach; i gdy po obowiązkowym werandowaniu i wydobyciu się z dwu koców wchodziło się z loggii do pokoju, to wilgotnymi a zgrabiałymi rękoma można było dotykać rur kaloryferu, które znów ożywały; jednakże ich suchy podmuch tylko jeszcze powiększał palenie policzków.

Czy była to zima? Zmysły nie mogły się pozbyć tego wrażenia i chorzy głośno skarżyli się, że „lato ich oszukało”, choć to oni właśnie dzięki naturalnym i sztucznym okolicznościom sami siebie oszukali, wewnątrz i zewnątrz, rozrzutnym zużywaniem czasu. Rozsądek wiedział, że jeszcze przyjdą piękne jesienne dni; może nawet przyjdą całymi seriami i w takim cieple i przepychu, że bez przesady będzie je można nazywać latem, byle tylko puścić w niepamięć niższy bieg słońca i jego wcześniejsze zachody. Jednakże widok zimowego krajobrazu działał na umysły silniej niż takie pocieszanie się. Pacjenci stali przed zamkniętymi drzwiami na balkonie i z obrzydzeniem patrzyli na zawieruchę — właśnie Joachim tak stał i mówił przytłumionym głosem:

— I znów ma się to zacząć?

Hans Castorp odrzekł z głębi pokoju:

— Byłoby to troszkę za wcześnie, to nie może być jeszcze ostateczne, ale rzeczywiście wygląda obrzydliwie, jak gdyby miało tak już być na dobre. Jeśli zima polega na ciemności, śniegu, zimnie i nagranych kaloryferach, to jest znów zima, nie da się temu zaprzeczyć. A jeśli się pomyśli, że jeszcze niedawno była zima i że ledwie minęło topnienie śniegów — przynajmniej tak się nam, prawda, wydaje, że wiosna dopiero co była — może to człowieka chwilami mierzić, przyznaję. Groźne to dla ludzkiej radości życia — pozwól, że wyjaśnię ci, jak to rozumiem. Rozumiem to tak, że normalnie świat jest w ten sposób urządony, iż odpowiada ludzkim potrzebom i przyczynia się do radości życia — musisz to przyznać. Nie idę tak daleko, bym twierdził, że porządek natury, a więc na przykład wielkość ziemi, czas, jaki zużywa na obroty dokoła swej osi i dokoła słońca, kolejność pór dnia i roku, kosmiczny rytm, jeśli chcesz — że wszystko to jest dostosowane do naszych potrzeb; byłoby to twierdzenie bezczelne i prostackie, byłaby to teleologia, jak by

powiedział myśliciel. Ale rzecz ma się po prostu tak, że nasze potrzeby są, Bogu dzięki, z powszechnymi, podstawowymi faktami natury w harmonii — mówię „Bogu dzięki”, bo jest rzeczywiście za co dziękować Bogu; na równinach, gdy przychodzi lato czy zima, to poprzednie lato czy zima już tak dawno minęły, że lato i zimę odczuwamy jako coś nowego i chętnie witamy, i na tym właśnie polega radość życia. A tu u nas w górze ten porządek i harmonia są zakłócone, najpierw dlatego, że nie ma tu właściwie prawdziwych pór roku, jak to sam kiedyś zauważyłeś, lecz tylko letnie i zimowe dni *pêle-mêle* z sobą pomieszane, a poza tym, że to w ogóle nie jest czas, to, co nam tu upływa, tak iż nowa zima, gdy przychodzi, nie jest wcale nowa, lecz dalej stara — i tym tłumaczy się to nieprzyjemne uczucie, z jakim patrzysz na szybę.

— Bardzo dziękuję — rzekł Joachim. — A teraz, kiedy te rzeczy wyjaśniłeś, jak mi się zdaje, tak zadowolony, że ci nawet one same zaczynają odpowiadać, chociaż... Nie! — powiedział Joachim. — Dość! — powiedział. — To jest świństwo. To wszystko jest niesłychanym, wstrętnym świństwem, i jeśli ty ze swej strony... ale ja... — I szybkim krokiem wyszedł z pokoju, gniewnie zamknął za sobą drzwi, i o ile wszystkie poszlaki nie mylą, w jego pięknych łagodnych oczach stanęły łzy.

Tamten pozostał, zmieszany. Pewnych decyzji kuzyna nie brał na serio, dopóki wyładowywały się w głośnych oświadczeniach. Ale teraz, gdy ukazały się w jego wyrazie twarzy i gdy zachował się tak jak przed chwilą, Hans Castorp przeraził się, bo pojął, że ten wojskowy jest człowiekiem, który przejdzie do czynów, przeraził się tak bardzo, że aż pobladł, za obu, za siebie i za tamtego. *Fort possible qu'il aille mourir\** — myślał, a że była to wiadomość z trzeciej ręki, więc poza wszystkim miała jeszcze w sobie udrękę dawnego a wciąż żywego podejrzenia. A jednocześnie myślał: „Czyż to możliwe, że mnie tu samego zostawi, mnie, który przecież po to tylko przyjechałem, aby go odwiedzić?! — i dodawał: — Byłoby to tak szalone i straszne, że czuję, jak mi się na samą tę myśl zimno robi i serce mi kołacze, bo jeśli sam tu w górze zostanę, a zostanie sam, gdy on wyjedzie, mój wyjazd jest w ogóle wykluczony, to wtedy — teraz serce mi zupełnie zamiera — to wtedy byłoby to już raz na zawsze, bo sam nigdy nie znajdę drogi na równinę...”

Takie były przerażające myśli Hansa Castorpa. Ale już tego samego popołudnia miał uzyskać pewność, jak sprawy stoją... Joachim zdecydował się, kości zostały rzucone, decyzja powzięta.

Po podwieczorku zeszli do jasnej sutereny na miesięczne badanie. Był to początek września. Wchodząc do suchego, nagrzanego gabinetu lekarskiego zastali dra

---

\* *Fort possible qu'il aille mourir* (franc.) — Bardzo możliwe, że on umrze.

Krokowskiego jak zwykle przy biurku, gdy tymczasem radca dworu, z siną twarzą, ze skrzyżowanymi rękoma stał oparty o ścianę, w rękę trzymając słuchawkę, którą uderzał się po ramieniu. Ziewał patrząc w sufit. — Dzień dobry, dzieci! — rzekł zmęczonym głosem i nie przestawał objawiać złego humoru, melancholii, ogólnego zniechęcenia. Prawdopodobnie były tu skutki palenia. Ale irytacja jego miała też rzeczowe powody, o których kuzyni już słyszeli, wewnętrzne sprawy zakładu z dobrze znanej dziedziny: młoda dziewczyna, nazwiskiem Ammy Nölting, która tu przybyła po raz pierwszy jesienią przed dwoma laty, a w sierpniu została po dziewięciu miesiącach zwolniona jako zdrowa, powróciła już we wrześniu, bo się w domu „nie czuła dobrze”, potem w lutym była zwrócona równinom, jako że nie stwierdzono u niej najmniejszych szmerów, jednakże od połowy lipca znów zajęła swe miejsce przy stole pani Iltis — ta Ammy została o pierwszej w nocy przychwycona w swym pokoju z pacjentem nazwiskiem Polypraxios, tym samym Grekiem, który podczas zapustów wzbudził słuszny zachwyt pięknym kształtem swych nóg, młodym chemikiem, którego ojciec miał fabrykę farb w Pireusie; przychwyciła ją opanowana zazdrością przyjaciółka, która do jej pokoju dostała się tą samą drogą co Polypraxios, mianowicie przez balkony, a porwana bólem i złością z powodu tego, co ujrzała, podniosła wrzask, wszystkich poruszyła, uderzyła w wielki dzwon. Behrens zmuszony był odprawić wszystkich troje, atenczyka, pannę Nölting i jej przyjaciółkę, w której namiętność okazała się silniejszą od honoru — i oto teraz omawiał tę wstrętą sprawę ze swym asystentem, u którego zresztą leczyły się prywatnie zarówno Ammy, jak i zdrajczyni. Jeszcze podczas badania kuzynów rozwodził się nad tą sprawą tonem pełnym smutku i rezygnacji; był bowiem tak wielkim mistrzem auskultacji, że mógł jednocześnie osłuchiwać wnętrze człowieka, mówić o czymś innym, i to, co wybadał, dyktować asystentowi.

— Tak, tak, gentlemen, przekłeta to libido! — mówił. — Panowie naturalnie znajdują jeszcze w tej rzeczy przyjemność, panom to może odpowiadać — pęcherzykowy — ale dla kierownika zakładu, który ma tego po uszy, to niech mi panowie — głuchy opuk — niech mi wierzą. Cóż, nie moja to wina, że gruźlica łączy się ze szczególną pożądlivością — ton nieco szorstki. — To nie ja to tak urządziłem, ale zanim się człowiek spostrzeże, wychodzi na stręczyciela. Skrócony, tu pod lewą łopatką. — Mamy analizę, mamy dyskusje i co to pomaga. Im bardziej pozwala się tej hałastrze, aby się wypowiedziała, tym staje się lubieźniejsza. Jestem zwolennikiem matematyki. — Tu jest lepiej, nie ma żadnych szmerów. — Zajmowanie się matematyką, powiadam, jest najlepszym lekarstwem na pożądlivość. Prokurator Paravant, któremu to bardzo dawało się we znaki, wziął się do niej, zajmuje się teraz kwadraturą koła i odczuwa znaczną ulgę. Ale większość jest na to za głupia

i za leniwa, pożał się Boże. — Pęcherzykowy. — Widzą panowie, ja wiem dobrze, że młodzież łatwo się tu łajdaczy i marnieje i dawniej usiłowałem czasem występować przeciw deboszowaniu. Ale potem zdarzało mi się, że jakiś brat czy narzeczony prosto w oczy mnie pytał, co mnie to właściwie obchodzi. Od tego czasu jestem już tylko lekarzem — lekkie rzeżenie z prawej w górze.

Skończył z Joachimem? Włożył słuchawkę do kieszeni kitla i olbrzymią lewą ręką tarł sobie oczy, jak to zwykle czynił, gdy „oklapł” i stawał się melancholijny. Na pół mechanicznie i raz po raz ziewając z depresji, mówił po swojemu:

— No, Ziemssen, tylko dobrej być myśli. Jeszcze nie wszystko jest dokładnie tak, jak w podręczniku fizjologii, jeszcze tu i ówdzie nie jest w porządku, z Gaffkym jeszcze pan swych spraw całkowicie nie uporządkował, nawet się pan od poprzedniego razu podniósł na skali o jeden numer — tym razem jest sześć, ale nie ma powodu do rozpacz. Jak pan tu przybył, to był bardziej chory, to mogę panu na piśmie poświadczyć, i jeśli pan jeszcze pięć, sześć miesięcy, pan wie, że dawniej mówiono „miesięców”, a nie miesięcy? To właściwie brzmiało pełniej. Postanowiłem sobie, że będę mówił tylko „miesięców”.

— Panie radco — zaczął Joachim... Z obnażoną górną połową ciała stał jak na baczność, z piersią podaną naprzód, ze zsuniętymi obcasami, a na twarzy jego wystąpiły plamy, jak wówczas, gdy Hans Castorp przy pewnej okazji po raz pierwszy zauważył, że tak bledną ludzie mocno opaleni.

— Jeżeli pan — mówił Behrens dalej, nie zważając na rozpęd, jaki tamten wziął — jeszcze tu przez pół roczku w przybliżeniu odbędzie tę pokojową służbę, to już ma pan wygraną sprawę, może pan choćby zdobywać Konstantynopol.

Trudno wiedzieć, co by w swym posepnym usposobieniu gadał był dalej za głupstwa, gdyby wobec zdecydowanej postawy Joachima i jego oczywistej chęci mówienia, i to odważnego mówienia, nie stracił wątku.

— Panie radco — rzekł młody człowiek — chciałem zameldować posłusznie, że postanowiłem wyjechać.

— Co? chce pan być komiwojazerem? Myślałem, że później, po wyzdrowieniu, chciał pan iść do wojska?

— Nie, panie radco, muszę wyjechać teraz, za tydzień.

— Niechże pan powie, czy ja dobrze słyszę? Pan składa broń i chce uciekać? Czy pan wie, że to dezercja?

— Nie, nie jestem tego zdania, panie radco. Muszę już wracać do pułku,

— Mimo iż mówię, że pana za pół roku na pewno będę mógł zwolnić, ale że przed pół rokiem zwolnić nie mogę?

Postawa Joachima stawała się coraz bardziej służbowa. Wciągnął brzuch i powiedział krótko i dobitnie:

— Jestem tu przeszło półtora roku, panie radco. Nie mogę już dłużej czekać. Pan radca mówił początkowo: kwartał. Potem moja kuracja przedłużała się co kwartał czy co półrocze, a wciąż jeszcze nie jestem zdrow.

— Czy to moja wina?

— Nie, panie radco. Ale nie mogę już dłużej czekać. Jeśli nie mam się spóźnić do swych obowiązków, to nie mogę wyczekiwać tu w górze, aż zupełnie wyzdrowieję. Czas mi jechać w dół. Potrzeba mi jeszcze nieco czasu na ekwipunek i inne przygotowania.

— Czy pan działa w porozumieniu z rodziną?

— Moja matka zgadza się. Wszystko jest załatwione. Pierwszego października wstępuję jako podchorąży do siedemdziesiątego szóstego pułku.

— Bez względu na to, co może grozić? — pytał Behrens i patrzył nań nabiegłymi krwią oczami...

— Wedle rozkazu, panie radco — odpowiedział Joachim drżącymi wargami.

— No, niech tak będzie, Ziemssen. — Radca zmienił wyraz twarzy, zmiękł i zaniechał oporu. — Niech będzie, Ziemssen. Ruszaj pan, jedź pan z Bogiem. Widzę, że pan wie, czego chce, że bierze całą sprawę na siebie i rzeczywiście, jest to pańska sprawa, a nie moja, z chwilą gdy pan ją bierze na siebie. Człowiek na sobie jedynie może polegać. Wyjeżdża pan bez gwarancji, za nic nie odpowiadam. Ale nie przeczę, że i tak może być całkiem dobrze. Pański zawód wykonuje się przecież na powietrzu. Bardzo być może, że to panu dobrze zrobi i że się pan wyliże.

— Tak jest, panie radco.

— No, a pan, młodzieńcze z cywila? Pan chce pewnie z nim razem?

To Hans Castorp miał teraz odpowiedzieć. Stał równie blady jak przed rokiem przy owym badaniu, które spowodowało jego przyjęcie do sanatorium, stał na tym samym miejscu co wówczas — i znów widać było wyraźnie, jak serce pulsuje między jego żebrami. Powiedział:

— Chciałbym to uzależnić od pańskiej opinii, panie radco.

— Mojej opinii. Pięknie! — Pociągnął go za rękę ku sobie, osłuchał go i opukał. Nic nie dyktował. Poszło dość szybko. Skończywszy rzekł:

— Może pan jechać.

Hans Castorp wyjąkał:

— To znaczy... jakże? Czy jestem zdrów?

— Tak, jest pan zdrów. O tym miejscu po lewej w górze nie warto już mówić. Pańska temperatura nie ma z tym nic wspólnego. Skąd się bierze, nie umiem panu powiedzieć. Przypuszczam, że jest bez znaczenia. Co do mnie, to może pan jechać.

— Ale... panie radco... pan tego w tej chwili nie mówi całkiem na serio?

— Nie na serio? Dlaczego? A co pan myśli? Co pan sobie w ogóle myśli o mnie, chciałbym wiedzieć? Za kogo mnie pan ma? Za właściciela t a k i e g o domu?!

Był to przystęp wściekłości. Sina twarz radcy stała się fiołkowa od przyływu gorącej krwi, jednostronne uniesienie wargi pod wąsikiem wzmogło się tak silnie, że odsłoniło górne zęby z jednego boku; Behrens wysunął głowę naprzód jak byk, a oczy nabiegły mu łzami.

— To sobie wypraszam! — krzyczał. — Przede wszystkim nie jestem w ogóle właścicielem. Jestem tu urzędnikiem. Jestem lekarzem. Jestem t y l k o lekarzem, rozumie pan? Nie jestem stręczycielem! Nie jestem żaden Signor Amoroso z Toledo w pięknym Neapolu, chyba pan rozumie?! Jestem w służbie cierpiącej ludzkości! A jeżeli panowie wyrobili sobie inny pogląd na moją osobę, to możecie obaj iść do diabła, na marne, na psy, zupełnie jak sobie chcecie. Szczęśliwej drogi!

Długimi i szerokimi krokami skierował się ku drzwiom wiodącym do przed-sionka ciemni i, przeszedłszy przez nie, zatrzasnął je za sobą.

Szukając pomocy, patrzyli kuzyni na dra Krokowskiego, który wszakże był pogrążony i zagrzebany w swych papierach. Ubrali się pospiesznie. Na schodach Hans Castorp powiedział:

— To było straszne. Czyś go widział już w takim stanie?

— Nie, takim go jeszcze nie widziałem. Ale szefowie miewają takie napady. Jedyne słuszne w takim wypadku jest zachować się jak najpoprawniej i czekać, kiedy napad przejdzie. Był naturalnie podrażniony historią z Polypraxiosem i Ammy Nölting. Ale czyś zauważył — ciągnął Joachim dalej i widać było, że radość z tego, iż przeforsował swą sprawę, wzrastała w nim i zapierała mu oddech — czyś widział, że się zrobił jak baranek i skapitulował, widząc, że mówię na serio? Trzeba tylko pokazać fason i nie dawać się. Więc mam poniekąd pozwolenie

— sam powiedział, że się prawdopodobnie wyliżę — za tydzień wyjedziemy... za trzy tygodnie będę w pułku — poprawił się, tak aby Hans Castorp nie wchodził w grę i aby radosne oświadczenie ograniczyć do własnej osoby.

Hans Castorp milczał. Nic nie powiedział o „pozwoleniu”, jakie otrzymał Joachim, ani też o własnym, o którym niewątpliwie niejedno byłoby do powiedzenia. Ubrał się do werandowania, włożył termometr do ust, krótkimi a pewnymi chwytami, po mistrzowsku, wedle uświęconej praktyki, o której na równinach nikt nie ma pojęcia, owinał się obu kocami z wielbłądziej sierści i leżał bez ruchu, jak symetryczny wałek, na swym znakomitym leżaku, w zimnej wilgoci wczesnojesiennego popołudnia.

Chmury deszczowe zwisały nisko, fantazyjna flaga była opuszczona, resztki śniegu leżały na mokrych gałęziach jodły. Z dolnej leżalni, skąd niegdyś po raz pierwszy głos pana Albina dotarł do jego ucha, dochodziła doń cicha rozmowa, podczas gdy werandował, a palce i twarz sztywniały mu szybko od zimna i wilgoci. Był do tego przyzwyczajony i tutejszemu trybowi życia, poza którym już od dawna innego nie mógł sobie wyobrazić, wdzięczny był za to, iż dawał dobroczynną możliwość leżenia w odosobnieniu i przemyślenia wszystkiego.

Było postanowione, że Joachim wyjedzie. Radamantys puścił go — nie rite\*, nie jako zdrowego, niemniej dał swą połowiczną zgodę wobec jego stanowczości. Jechać będzie ku nizinom, koleją wąskotorową do Landquart, do Romanshorn, potem przez wielkie niezgłębione jezioro, które w poemacie jeździec przebył konno\*\*, i dalej przez całe Niemcy aż do domu. Będzie tam żyć w nizinnym świecie wśród ludzi nie mających pojęcia, jak żyć należy, nic nie wiedzących o termometrze, o sztuce owijania się kocem, o worku na futrze, o trzykrotnym spacerze, o... Trudno było powiedzieć, trudno wyliczyć wszystkie rzeczy, o których oni tam w dole nic nie wiedzieli, jednakże myśl o tym, że Joachim, który tu spędził więcej niż półtora roku, mógłby przebywać wśród tych nieuświadomionych, myśl ta, dotycząca Joachima, a tylko pośrednio i jakby na próbę jego samego, tak go oszołomiła, że zamknął oczy i odpędzał ją ręką. „Niemożliwe, niemożliwe” — szeptał.

A skoro było niemożliwe, to czy zostanie on tu sam i będzie bez Joachima żyć dalej? Tak! jak długo? Póki go Behrens nie puści jako wyleczonego, i to na serio, a nie tak jak dziś. Ale, po pierwsze, był to termin, co do którego można było jedynie, jak to kiedyś uczynił Joachim, gestem skierowanym w powietrze zaznaczyć, iż

---

\* Rite (łac.) — prawidłowo.

\*\* ...w poemacie jeździec przebył konno — aluzja do ballady poety niemieckiego Gustawa Schwaba (1792—1850) pt. „Jeździec i Jezioro Bodeńskie” („Der Reiter und der Bodensee”).

jest nie do przewidzenia, a po wtóre: czy to, co niemożliwe, stanie się wówczas bardziej możliwe? Raczej przeciwnie. A trzeba lojalnie przyznać, że teraz, gdy niemożliwość nie była jeszcze tak zupełna, jak będzie później, podawano mu z okazji dzielnego wyjazdu Joachima dłoń, ofiarowywano pomoc i przewodnictwo w drodze w niziny, której sam z siebie już przenigdy nie odnajdzie. Gdyby to doszło do humanistycznego pedagoga, jakżeby on nalegał, by Hans Castorp dłoń tę pochwycił i poddał się temu przewodnictwu. Ale pan Settembrini reprezentował rzeczy i siły godne uwagi, jednakże nie jedyne, nie bezwzględne; a tak samo sprawa miała się z Joachimem. Był żołnierzem, tak. Odjeżdżał — w tym samym prawie momencie, w którym Marusia o wysokich piersiach miała wrócić (wiadomo, że wróci na pierwszego października), a tymczasem jemu, cywilowi Hansowi Castorpowi, odjazd wydawał się — właściwie a skrótowo mówiąc: dlatego — niemożliwy, że musiał czekać na Kławdię Chauchat, o której powrocie nie było jeszcze ani słyhu. „Nie jestem tego zdania” — powiedział Joachim, gdy Radamantys oskarżył go o dezercję, co w stosunku do Joachima było tylko niemądrym gadaniem rozżalonego radcy. Ale dla niego, dla cywila, rzeczy miały się jednak inaczej. Dla niego (tak, to bez wątpienia tak było! Właśnie, aby tę zasadniczą myśl wysnuć ze swych uczuć, położył się tu dziś w tym zimnie i wilgoci!) — dla niego byłaby to rzeczywiście dezercja, gdyby skorzystał ze sposobności i dokonał dzikiego czy półdzikiego odjazdu w niziny, dezercja wobec tych rozległych odpowiedzialności, które dlań tu wyrastają w obliczu najdoskonalszego tworu, zwanego Homo Dei, byłaby to zdrada wobec ciężkich a podniecających, przerastających jego naturalne siły obowiązków „królowania”, które ciążyły na nim tu w loggii i w błękitnie kwitnącym zakątku, stanowiąc przy tym dziwnie uszczęśliwiającą przygodę.

Wyrwał z ust termometr, tak gwałtownie, jak mu się to tylko raz jeden zdarzyło: mianowicie po pierwszym użyciu go, gdy starsza siostra sprzedała mu ten subtelny przyrząd. I patrzył nań z tą samą pożądlivością co wówczas. Rtęć podniosła się mocno, wskazywała trzydzieści siedem i osiem, prawie dziewięć.

Hans Castorp zrzucił z siebie okrycia, zerwał się i szybkim krokiem wszedł do pokoju, doszedł do drzwi na korytarz, zawrócił. Potem, położywszy się znowu, zawołał cicho na Joachima i zapytał o jego krzywą.

— Przestałem mierzyć — odpowiedział tamten.

— A ja mam t e m p u s — rzekł Hans Castorp, przekręcając na wzór pani Stöhr wyraz analogicznie do „szampus”, na co Joachim za szklaną ścianą zachował milczenie.

Także i później nic nie powiedział, ani tego dnia, ani następnych; nie próbował



słowa wybadać planów i postanowień kuzyna, które wobec bliskiego terminu same przez się musiały wyjść na jaw: przez działanie lub zaniechanie działania. I uczyniły to rzeczywiście, a mianowicie przez zaniechanie. Hans Castorp jak gdyby trzymał się zasad kwietyzmu, twierdzącego, że działać znaczy obrażać Boga, który sam jeden chce to robić. W każdym razie aktywność jego w dniach tych ograniczyła się do wizyty u Behrensa i rozmowy z nim, o której Joachim wiedział i której przebieg i wyniki mógł z góry dokładnie przewidzieć. Kuzyn jego oświadczył, że do poprzednich wielokrotnych upomnień radcy — iż należy się gruntownie wyleczyć, aby nie potrzebować znów tu wracać — pozwala sobie więcej przykładać wagi niż do popędliwych słów, powiedzianych w chwili niechęci: ma 37,8 i nie może się uważać za prawidłowo zwolnionego; jeśli więc niedawne oświadczenie radcy nie miało być zrozumiane jako wydalenie, a on nie sądzi, aby dał powód do takiego kroku, to w takim razie po spokojnej rozwadze i w świadomym przeciwieństwie do Joachima Ziemssena, zdecydował się tu jeszcze pozostać i doczekać się całkowitego wyleczenia. Na co radca odpowiedział prawie dosłownie tak: „Bon, pięknie!” i „Nie trzeba mieć mi tego za złe”, a także: „Tak mówi rozsądny chłop”, i wreszcie: że od razu widział, iż Hans Castorp ma więcej talentu do tego, aby być pacjentem, niż tamten dezertor i rębajło. I tak dalej.

Taki musiał być, wedle mniej lub więcej dokładnego obliczenia Joachima, przebieg rozmowy, więc też nic nie rzekł a tylko stwierdził w milczeniu, że Hans Castorp nie przyłączył się do jego przygotowań do odjazdu. Ileż miał poczciwy Joachim z sobą samym do roboty! Naprawdę nie mógł się już troszczyć o losy kuzyna i o jego pozostanie w górach. Można sobie wyobrazić, że burza szalała w jego piersi. Dobrze, że już nie mierzył temperatury, że stłukł swój termometr, rzekomo upuściwszy go na ziemię: wyniki mierzenia mogłyby wprowadzić w błąd w takim stanie podniecenia, w jakim znajdował się Joachim, z twarzą ciemno pałającą, to znów bładą z radości i napięcia. Nie mógł już wyleżeć: cały dzień chodził tam i z powrotem po pokoju, jak to Hans Castorp słyszał w tych czterech porach dnia, kiedy wszyscy w „Berghofie” przybierali pozycję poziomą. Półtora roku! A teraz z powrotem w niziny, do domu, do pułku, choćby tylko z połowicznym pozwoleniem! Niemała to była rzecz. Hans Castorp czuł to słysząc chodzącego niespokojnie kuzyna. Osiemnaście miesięcy, pełny cykl roku, a potem jeszcze jego połowę przebył tu w górze, wżył się głęboko, wjechał w koleinę tutejszego porządku, w ten nienaruszalny tryb życia, wypróbował go we wszystkich porach w ciągu siedemkroć siedemdziesięciu dni — a teraz do domu, na obczyznę, do nie-uświadomionych ludzi. Jakież trudności mogą tam grozić jego aklimatyzacji! I czyż można się dziwić, że wielkie podniecenie Joachima składało się nie z samej tylko

radości, lecz że po pokoju gnał go także niepokój i ból pożegnania z tym, do czego głęboko przywykł. Nie mówiąc już o Marusi.

Jednakże przeważała radość. Wypełniła serce i usta poczciwego Joachima; mówił o sobie, nie troszcząc się o przyszłość kuzyna. Mówił o tym, jak wszystko będzie nowe i odświeżone, życie, on sam, czas — każdy dzień, każda godzina. Powróci do solidnego czasu, do powoli przepływających, pełną wagę mających lat młodości. Mówił o swej matce, przyrodniej ciotce Hansa Castorpa, mającej równie łagodne czarne oczy jak Joachim, a której ten nie widział przez cały czas, jaki spędził w górach, bo podobnie jak on wstrzymywana z miesiąca na miesiąc, z półrocza na półrocze nie zdecydowała się nigdy na odwiedzenie syna. Z uśmiechem pełnym upojenia mówił o przysiędze wojskowej, którą już niebawem będzie składał: składa się ją uroczyście wobec sztandaru, na sam sztandar się przysięga. — Jakże? — pytał Hans Castorp. — Czy na serio, na drzewce? na strzępek sukna? — Tak, istotnie; a w artylerii na działo, jako na symbol. — To romantyczne obyczaje, twierdził cywil, można powiedzieć, że sentymentalne i fanatyczne; a Joachim potakiwał mu, dumny i uszczęśliwiony.

Przygotowania pochłaniały go całkowicie, wyrównał w zarządzie swój ostatni rachunek, a już na wiele dni przed terminem, jaki sobie sam wyznaczył, rozpoczął pakowanie. Zapakował ubrania letnie i zimowe, a worek na futrze i koce z sierści wielbłądziej kazał służącemu zaszyć w płótno; może je kiedyś będzie mógł zużytkować na manewrach. Zaczął się żegnać. Złożył pożegnalną wizytę u Naphty i Settembriniego — sam, bo kuzyn z nim tam nie poszedł, a później nie zapytał, co Settembrini myślał i mówił o tym, że Joachim teraz wyjeżdża, i o tym, że Hans Castorp nie wyjeżdża: czy mówił „tak, tak”, czy „no, no”, czy jedno i drugie, czy też „poverretto” — to już było dlań obojętne.

Potem nadeszła wilia wyjazdu, kiedy Joachim po raz ostatni spełnił wszystkie czynności, posiłki, werandowanie, spacer i żegnał się z lekarzami i starszą siostrą. Wreszcie nastał sam ten ranek: na śniadanie przyszedł Joachim z rozpalonymi oczyma i zimnymi rękami, bo całą noc nie spał, nic też prawie nie wziął do ust, a gdy karlica zameldowała, że kufry są już załadowane, zerwał się z krzesła, aby się pożegnać z towarzyszami od stołu. Pani Stöhr uroniła przy pożegnaniu łzy, łatwe i puste łzy osoby bez kultury, a zaraz potem za plecami Joachima robiła do nauczycielki niemądre miny, potrząsała głową i wykręcała rękę, niezmiernie ordynarnie wyrażając swe niedowierzanie, czy Joachim ma prawo do wyjazdu i czy jest zdrow. Hans Castorp widział to w chwili, gdy już stojąc dopijał swej filiżanki, aby niezwłocznie podążyć za kuzynem. Pozostawało jeszcze rozdać napiwki i przyjąć

w przedśionku urzędowe pożegnanie przedstawiciela zarządu. Jak zwykle, aby przyjrzeć się odjazdowi, zgromadzili się pacjenci; panie: Iltis ze „steryletem” i blada jak z kości słoniowej Levi, rozwiązyły Popow z narzeczoną. Powiewali chustkami, gdy odjeżdżał powóz z hamulcem na tylnym kole. Joachim otrzymał różę. Miał na głowie kapelusz. Hans Castorp był z odkrytą głową.

Powietrze było wspaniałe, pierwszy poranek słoneczny po długiej niepogodzie. Schiahorn, Zielone Wieże, kopuła Dorfbergu trwały niezmiennie, niby godła na tle błękitu, ściągając na się oczy Joachima. Może szkoda, mówił Hans Castorp, że właśnie na jego odjazd zrobiło się tak pięknie. Jest w tym złośliwość, bo niegościnne ostatnie wrażenie ułatwia wszelkie rozstanie. Na co odpowiedział Joachim, że nie potrzebuje ułatwienia i że to świetny czas na ćwiczenia, przyda mu się to tam na dole. Poza tym mówili mało. Tak się ułożyły ich osobiste stosunki i stosunki między nimi, że na prawdę nic nie mieli sobie do powiedzenia. A przy tym mieli przed sobą kulawca, który jechał na koźle przy woźnicy.

Siedząc wysoko na twardych poduszkach trzęsącego kabrioletu minęli strumień i wąski tor i jechali nieregularnie zabudowaną ulicą, biegnącą równolegle z szynami kolejowymi, aż zatrzymali się na wybrukowanym placu przed budynkiem stacyjnym wsi, niewiele lepszym od szopy. Hans Castorp poznał wszystko z przerażeniem. Od chwili gdy przed trzynastu miesiącami przybył tu o zapadającym mroku, nie widział już stacji. — To tu przecie przyjechałem — powiedział bez potrzeby, a Joachim odrzekł tylko: — A tak — i zapłacił woźnicy.

Ruchliwy kulawiec wszystko załatwił: bilety, bagaż. Stali obok siebie na peronie, przy miniaturowym pociągu, obok małego, szaro wyściełanego przedziału, w którym Joachim założył miejsce płaszczem, zwiniętym w rulon, pledem i różami. — No, teraz czas, żebyś złożył swą romantyczną przysięgę — powiedział Hans Castorp, a Joachim odrzekł: — Zrobi się. — Cóż jeszcze? Przekazali sobie wzajem jeszcze ostatnie pozdrowienia, dla tych tam w dole i dla tych tu w górze. A potem Hans Castorp już tylko rysował laską na asfalcie. Gdy dano sygnał do odjazdu, wzdrygnął się i spojrzał na Joachima, a ten na niego. Podali sobie ręce. Hans Castorp uśmiechnął się niewyraźnie; smutne oczy tamtego były poważne i natarczywe. — H a n s — rzekł; wszechmogący Boże, czy się zdarzyło kiedy w świecie coś równie bolesnego? Zwracał się do Hansa Castorpa po imieniu! Nie mówił mu ani „ty”, ani „człowieku”, jak to zawsze robili, ale na przekór ich powściągliwym obyczajom i w sposób tak nieprzyjemnie przesadny odezwał się doń po imieniu! — Hans — rzekł i z naciskiem i lękiem uściśnił dłoń kuzyna, który nie mógł nie zauważyć, że niewyspanemu, rozgorączkowanemu czekającą go podróżą, wstrzą-

śniętemu Joachimowi kark drżał tak samo jak jemu podczas „królowania” — Hans — mówił z naciskiem — wracaj prędko! — Po czym wskoczył na stopień. Drzwi zatrzaśnięto, rozległ się gwizdek, wagony uderzyły o siebie, mały parowóz ruszył, pociąg potoczył się. Odjeżdżający powiewał przez okno kapeluszem, pozostający ręką. Z rozdartym sercem stał jeszcze długo, sam. Po czym powoli poszedł tą samą drogą, którą go niegdyś prowadził Joachim.

## **Odparty atak**

Koło poruszyło się. Wskazówka posunęła się naprzód, storczyki i orliki przekwitły, a tak samo dzikie gwoźdźniki. Ciemnoniebieskie gwiazdy gencjany, zimowity, blade i trujące, znów się ukazały w wilgotnej trawie, lasy poczerwieniały. Minęło jesienne zrównanie dnia z nocą, na horyzoncie pokazały się Zaduszki, a bardziej wyrobionym w zużywaniu czasu zapewne ukazał się już i adwent, najkrótszy dzień i święta Bożego Narodzenia. Tymczasem jednak szły piękne dni październikowe — w rodzaju tego, w którym kuzyni oglądali kiedyś obrazy radcy.

Od wyjazdu Joachima Hans Castorp nie siedział już przy stole pani Stöhr, tym, od którego odszedł zmarły dr Blumenkohl, a przy którym Marusia swą nieuzasadnioną wesołość tłumiła w chusteczce o pomarańczowym zapachu. Siedzieli tam teraz nowi goście, całkowicie obcy. Naszemu przyjacielowi zaś, który z drugiego roku pobytu przebył już oto dwa i pół miesiąca, zarząd wyznaczył inne miejsce, przy stole sąsiednim, stojącym ukośnie do tamtego, bliżej lewych drzwi na werandę, między jego dawniejszym a lepszym stołem rosyjskim, krótko mówiąc, przy stole Settembriniego. Tak, właśnie na miejscu osieroconym przez humanistę siedział teraz Hans Castorp, znów na końcu stołu naprzeciw doktorskiego miejsca, które przy każdym z siedmiu stołów było zarezerwowane dla radcy i jego famulusa.

W górze stołu, na lewo od doktorskiego prezydialnego miejsca siedział przykucnąwszy na wielu poduszkach garbaty fotograf-amator z Meksyku, odseparowany od innych przez swój język, co nadawało mu wyraz twarzy człowieka głuchego; obok niego miała swe miejsce starsza panna z Siedmiogrodu, która, jak się Settembrini skarżał, domagała się, aby się wszyscy interesowali jej szwagrem, choć nikt nie o nim nie wiedział ani wiedzieć nie chciał. W określonych godzinach widywało się ją, jak założywszy w poprzek pleców laskę z rączką z tulskiego srebra, którą się też posługiwała przy obowiązkowych spacerach, stała przy balustradzie swego balkonu

i swe płaskie jak deska piersi rozdymała w higienicznych głębokich oddechach. Naprzeciw niej siedział jakiś Czech, którego nazywano panem Waclawem, nikt bowiem nie umiał wymówić jego nazwiska. Pan Settembrini czasem dawniej usiłował wykrztusić zawily szereg spółgłosek, z których nazwisko to się składało — niewątpliwie nie z rzetelną intencją, lecz, po to, by na tle tego dzikiego gąszczu dźwięków okazać z humorem swą wytworną niezaradność. Czech, choć spasiony jak borsuk i nawet w tutejszym zespole wyróżniający się swym zdumiewającym apetytem, od czterech lat zapewniał, że umrze. Podczas wieczornych zebrań towarzyskich wybrzdąkiwał niekiedy na ustrojonej wstążkami mandolinie pieśni swego kraju i opowiadał o swych plantacjach buraków cukrowych, w których zatrudnia same tylko ładne dziewczęta. Bliżej Hansa Castorpa siedzieli po obu stronach stołu państwo Magnusowie, para małżeńska piwowarów z Halle. Atmosfera melancholii otaczała tę parę, tracili bowiem oboje ważne składniki przemiany materii, pan Magnus cukier, a pani Magnusowa białko. Umysłowość ich, zwłaszcza bladej pani Magnusowej, była zupełnie beznadziejna; pustka psychiczna emanowała z niej jak wyziew piwniczny, i wyraźniej jeszcze niż u niekulturalnej pani Stöhr występowało u niej połączenie choroby i głupoty, którym gorszył się Hans Castorp, ganiony za to przez pana Settembriniego. Pan Magnus był żywszego umysłu i rozmowniejszy, jednakże w tym tylko zakresie, który niegdyś niecierpliwił literata Settembriniego. Poza tym był porywczy i nieraz ścierał się z panem Waclawem z politycznych i innych powodów. Rozgoryczały go bowiem narodowe aspiracje Czecha, który w dodatku był zwolennikiem antyalkoholizmu i z potępieniem moralnym odzywał się o sposobie zarobkowania piwowara; ten z rozpaloną twarzą bronił tezy, że trunek, z którym interesy jego były tak ściśle związane, jest z punktu widzenia zdrowotnego bez zarzutu. Dawniej w podobnych okazjach pan Settembrini dzięki swemu humorowi działał pojednawczo; Hans Castorp zaś znalazłszy się na jego miejscu ani nie czuł się na to dość zręcznym, ni też nie mógł liczyć na dość autorytetu, by go w tym zastąpić. Z dwoma jedynie towarzyszami od stołu łączyły go bardziej osobiste stosunki: jednym był A. K. Ferge z Petersburga, jego sąsiad po lewej; ten dobroduszny cierpiętnik spod krzaczastych rudawych wąsów opowiadał o fabrykacji kaloszy i dalekich stronach, o kole podbiegunowym i wiecznej zimie na Przylądku Północnym; Hans Castorp odbywał z nim nawet niekiedy spacer. Drugim, który, ilekroć się dało, przyłączał się do nich na trzeciego, a który miał swe miejsce przy górnym końcu stołu naprzeciw garbatego Meksykanina, był ów mieszkaniec Mannheimu, o rzadkich włosach i zepsutych zębach, nazwiskiem Wehsal, Ferdynand Wehsal, kupiec z zawodu, ten sam, którego oczy zmacone pożądaniem wpatrywały się

zawsze we wdzięczną postać pani Chauchat i który od owej nocy karnawałowej zabiegał o przyjaźń Hansa Castorpa.

Czynił to z uporem i pokorą, z oddaniem człowieka niżej stojącego, które tamten odczuwał jako wstrętne, bo pojmował jego złożony sens, ale które usiłował mimo to traktować po ludzku. Patrzył nań spokojnie, bo wiedział, że lekkie ściągnięcie brwi wystarcza, by zgniebić i przerazić wrażliwego nieszczęśnika, znosił służalczą naturę Wehsala, korzystającego z każdej sposobności, by się przed nim płaszczyć i by się doń przymilać, pozwalał mu nawet niekiedy na spacerach nosić swój płaszcz — tamten niósł go wtedy na ramieniu z pewnym nabożeństwem — znosił także mętne jego rozmowy. Wehsal zawzięcie stawiał pytanie np. takie, czy jeśli ktoś kocha kobietę, a ona o niego nie dba, czy ma to sens, by jej swą miłość wyznawał, tę b e z n a d z i e j n ą miłość — i pytał, co panowie o tym sądzą. On ze swej strony jest jak najbardziej za tym, sądzi, iż jest w takim wyznaniu niezmiernie szczęście. Choćby bowiem akt wyznania wywoływał odrazę i krył poniżenie samego siebie, to jednak na chwilę wytwarza pełne zbliżenie z pożądaną istotą, robi z niej powiernicę wyznającego, wciąga ją w żywioł własnej jego namiętności, a jeśli nawet przychodzi potem koniec wszystkiego, to jednak ta wieczna utrata nie jest zbyt wysoką zapłatą za desperacką rozkosz jednej chwili; bo wyznanie jest aktem gwałtu, a im większy jest opór i odraza, na jakie natrafia, tym jest rozkoszniejsze. — W tym momencie Hans Castorp sposepniał, co spłoszyło Wehsala, ale mniej ze względu na surowość moralną naszego bohatera niż na obecność dobrodusznego Fergego, dla którego, jak to sam często podkreślał, niedostępne były wszelkie wyżyny i trudniejsze sprawy. A co do naszego bohatera, to nigdy nie usiłujemy przedstawić go lepszym, niż był w rzeczywistości, powiemy więc, że gdy pewnego wieczoru w cztery oczy biedny Wehsal, blady z namiętności, nalegał nań, aby mu się na miłość boską zwierzył z przeżyć i doświadczeń pobalowych owej zapustnej nocy, Hans Castorp z łagodną dobrocią spełnił jego życzenie — ale niech czytelnik wierzy, że w tej dyskretniej scenie nie było ani śladu niskiej frywolności. Mamy jednakże swe racje, by ani czytelnika, ani siebie nie wciągać do tej sceny, dodamy więc tylko, że odtąd Wehsal płaszcz uprzejmego Hansa Castorpa nosił z podwójnym oddaniem.

Tyle o nowym towarzystwie Hansa Castorpa przy stole. Miejsce po prawej było wolne, a tylko przejściowo, przez kilka dni było zajęte: przez takiego samego hospitantę, jakim on sam był niegdyś, mianowicie przez przybyłego w odwiedzinach krewnego, gościa z równin, i jakby się chciało rzec, posła stamtąd — jednym słowem, przez wuja Hansa, Jamesa Tienappla.

Było w tym coś z dziwnej przygody, że nagle siedział obok niego przedstawiciel

i wysłannik stron rodzinnych, noszący jeszcze w tkaninie swego angielskiego garnituru atmosferę rzeczy starych i minionych, dawniejszego życia, głęboko pogrzebanego „wyższego świata”. Ale musiało to przyjść. Już od dawna Hans Castorp liczył się w cichości z takim wtargnięciem tu równin i nawet trafnie przewidział osobę, której rzeczywiście wywiad został powierzony; zresztą nie było to trudne; Piotr bowiem, żeglujący po morzach, zaledwie mógł tu w grę wchodzić, a co do dziadka Tienappla, to było wiadomo, że żadne siły ludzkie nie ściągnęłyby go w te strony, których ciśnienie atmosferyczne mogło dlań być niebezpieczne. Nie, to jedynie James mógł zostać wysłany przez rodzinę, aby zobaczyć, co się dzieje z zaginionym; więc też już przedtem go tu oczekiwano. Odkąd jednak Joachim powrócił sam jeden i do kół rodzinnych doszła wieść o tutejszym stanie rzeczy, przyszedł czas na atak, jeśli nie było nań już nawet za późno, i Hans Castorp nie był ani trochę zdziwiony, gdy w niespełna dwa tygodnie po wyjeździe Joachima portier wręczył mu telegram, który otworzył z trafnym przeczuciem: James Tienappel zapowiadał przyjazd w najbliższym czasie. Miał w Szwajcarii coś do załatwienia i zdecydował się na okolicznościową wycieczkę w góry do Hansa. Można go było oczekiwać pojutrze.

„Dobrze — myślał Hans Castorp. — Pięknie — myślał. A nawet dodał coś w rodzaju: — Proszę bardzo!” — „Gdybyś wiedział” — mówił w myślach do nadjeżdżającego. Jednym słowem, przyjął zawiadomienie z wielkim spokojem, przekazał je zresztą radcy Behrensowi i zarządowi, kazał przygotować pokój — pokój Joachima był jeszcze wolny — i w dwa dni potem, o tej samej porze, o której tu przybył, wieczorem koło ósmej, gdy już było ciemno, tym samym twardym wehikułem, w którym odprowadził Joachima, wybrał się na stację „Wieś” po wysłańca równin, chcącego tu zrobić porządek.

Opalony na czerwono, bez kapelusza i bez płaszcza stał na skraju peronu, gdy wtoczył się miniaturowy pociąg; stał przed oknem swego kuzyna wzywając go, żeby wysiadł, bo już zajechał. Konsul Tienappel — był właściwie wicekonsulem, z powodzeniem odciążając starego ojca także w pełnieniu tego honorowego obowiązku — był zmarznięty i otulał się w zimowy płaszcz, bo wieczór październikowy był rzeczywiście dotkliwie chłodny, do mrozu brakowało niewiele, a czuć było, że nad ranem będzie mróz; wysiadł z przedziału, zdziwiony i wesoły, co objawił w formie trochę nikłej, ale bardzo kulturalnej, właściwej wytwornym panom z północno-zachodnich Niemiec; przywitał się z siostrzeńcem, podkreślając swe zadowolenie z powodu jego znakomitego wyglądu: dzięki kulawcowi zwolniony od kłopotów z bagażem, wdrapał się wraz z Hansem Castorpem na wysokie i twarde siedzenie pojazdu. Jechali pod bogato ugwieżdżonym niebem, a Hans Castorp,

z głową podaną w tył, z wzniesionym wskazującym palcem, wyjaśniał swemu kuzynowi-wujowi górne strefy, słowem i gestem ujmował iskrzące się gwiazdozbiory, nazywał planety po imieniu — podczas gdy tamten, zajęty bardziej osobą swego towarzysza niż kosmosem, mówił sobie, że wprawdzie ostatecznie można teraz tutaj zaraz mówić właśnie o gwiazdach, że nie jest to wręcz objawem pomieszania zmysłów, że jednak naturalniejsze byłyby niektóre inne tematy. Odkądże zna się on tak na niebie, pytał Hansa Castorpa, który mu odrzekł, że jest to zdobycz wieczornego werandowania wiosną, latem, jesienią i zimą. Jak to? Czy w nocy leży na balkonie? — Ależ tak. I konsul też to będzie robił. Nie będzie mieć wyboru.

— Zapewne, rozumie się — rzekł James Tienappel, uprzedzający i cośkolwiek zastraszonego. Wychowanek jego ojca mówił spokojnie i monotonicznie. Bez kapelusza i płaszcza siedział przy nim w bliskim mrozu chłodzie jesiennego wieczoru. — Czy ty nie marzniesz? — pytał go James, sam bowiem trząsł się pod grubym sukniem płaszcza, a mówił spiesząc się i zarazem utykając, bo zęby jego okazywały skłonność do szczekania. — My nie marzniemy — odrzekł Hans Castorp spokojnie i krótko.

Konsul patrzył nań z boku i nie mógł się napatrzeć. Hans Castorp nie zapytał o krewnych i znajomych w domu. Pozdrowienia stamtąd, które James mu przekazał, także i od Joachima, będącego już w pułku i promieniejącego szczęściem i dumą, przyjął spokojnie i z podziękowaniem, ale się już dalej w sprawy rodzinne nie zapuszczał. Zaniepokojony czymś nieokreślonym, co do czego nie mógł zdać sobie sprawy, czy ma źródło w siostrzeńcu, czy też w nim samym, w fizycznym samopoczuciu, jakie się ma w podróży, James rozglądał się, niewiele jednak mógł dojrzeć w krajobrazie górskiej doliny; wciągnął głęboko powietrze, a wydychając je oświadczył, że jest wspaniałe. Niewątpliwie, odpowiedział tamten, nie darmo ma światową sławę. Działa ono silnie. Wprawdzie przyspiesza proces ogólnego spalania, jednakże organizm odkłada przy tym białko. Może leczyć choroby, które człowiek w sobie nosi w zarodku, ale na razie je nasila, przez to, że w ogóle pobudza organizm i doprowadza zarodki choroby, jeśli tak rzecz można, do uroczystego wybuchu. — Jakiś to powiedział: uroczystego? — Tak jest. Czyż nie zauważył, że wybuch choroby ma w sobie coś uroczystego, jest dla ciała rodzajem zabawy. — Zapewne, rozumie się — spieszenie powiedział wuj, nie panując nad dolną szczęką, po czym oznajmił, że może pozostać osiem dni, to znaczy tydzień, więc siedem dni, może nawet tylko sześć. Dzięki kuracji, która się przedłużyła ponad wszelkie oczekiwanie, Hans Castorp wygląda zdrowo i mocno, więc przypuszcza, że z nim od razu pojedzie do domu.



— No, no, tylko nie zaraz tak gwałtownie — rzekł Hans Castorp. Wuj James mówi tak jak ludzie z dołu. Niech się tu najpierw trochę u nas rozejrzy i wżyje w nasze stosunki, a zmieni na pewno swe poglądy. Chodzi o całkowite wyleczenie się, ta całkowitość jest istotna. A Behrens ostatnio mruknął jeszcze coś o pół roku. W tym miejscu wuj zwrócił się doń mówiąc mu „chłopcze” i zapytał, czy nie zwariował. — Czyś ty zupełnie zwariował? — zapytał. Jego wakacje trwają już pięć kwartałów, a teraz ma być jeszcze pół roku! Na miłość boską, tyle czasu się przecież nie ma! — Tu Hans Castorp spokojnie i krótko zaśmiał się do gwiazd. Czasu! Jeśli o to chodzi, o ludzki czas, to James będzie musiał zrewidować swe z dołu przywiezione pojęcia, zanim tu w górze będzie mógł o tym mówić. — James Tienappel zapowiedział, że już jutro w interesie Hansa porozmawia na serio z panem radcą. — Zrób to — rzekł Hans Castorp — on ci się spodoba, ciekawy charakter, rubaszny i zarazem melancholijny. — Potem wskazał na światła z sanatorium Schatzalp i mimochodem opowiedział o zwłokach, które się sprowadza na dół torem bobslejowym.

Panowie zjedli razem kolację w restauracji „Berghofu”, przedtem zaś Hans Castorp zaprowadził gościa do pokoju Joachima, aby się tam nieco odświeżył. Pokój został wydezynfekowany za pomocą  $H_2CO$  równie gruntownie, jak gdyby to nie był dziki odjazd, lecz coś zupełnie innego, nie exodus\*, lecz exitus\*\*. A gdy wuj zapytał o sens tych wyrazów, siostrzeniec powiedział, że „to żargon”, że „to taki sposób wyrażania się”. — Joachim zdezerterował — zdezerterował pod sztandar, zdarza się i to. Ale spieszmy się, abyś jeszcze dostał coś ciepłego do jedzenia! — I oto siedzieli naprzeciw siebie, na podwyższeniu, w przyjemnie ogrzanej restauracji. Karlica obsługiwała ich żwawo, a James obstałował butelkę burgunda, którą podano leżącą w koszyku. Tręcili się i łagodne ciepło rozeszło się po ich organizmach. Młodszy mówił o życiu tu w górze wśród zmiany pór roku, o tym, co się widuje w tutejszej jadalni, o sztucznej odmie, której istotę wyjaśnił, powołując się na wypadek pocziwego Fergego, i rozwodził się nad okropnością wstrząsu opłucnowego, wspominał też o trzech barwnych omdleniach, w które pan Ferge miał popaść, o halucynacjach powonieniowych, które przy wstrząsie odegrały pewną rolę, i o śmiechu, jakim wybuchnął przychodząc do siebie. Wziął na siebie cały trud rozmowy. James zaś dużo jadł i pił, jak to czynił zwykle; jazda i zmiana powietrza zaostrzyły mu jeszcze apetyt. Jednakże chwilami przerywał jedzenie — i siedział z ustami pełnymi potrawy, którą zapominał gryźć, z nożem i widelcem szeroko rozstawionymi i znieruchomiałymi nad talerzem, i patrzył na Hansa Castorpa, jakby nie

---

\* Exodus (łac.) — wyjście.

\*\* Exitus (łac.) — zgon.

wiedząc, że patrzy, a tamten niewiele na to zwracał uwagi. Na skroniach konsula Tienappla, zarośniętych rzadkimi blond włosami, wystąpiły nabrzmiałe żyły.

O sprawach domowych nie było mowy, ani o rodzinnych, ani o miejskich, ani o interesach, ani o firmie „Tunder & Wilms”, stoczni, fabryce maszyn i odlewni, która wciąż jeszcze oczekiwała młodego praktykanta, co jednak nie było bynajmniej jej jedynym zajęciem, i to tak dalece, że można by zapytać, czy w ogóle go jeszcze oczekiwała. James Tienappel poruszył wprawdzie wszystkie te tematy podczas jazdy końmi i później, jednakże upadły i leżały martwe, odtrącone spokojną, zdecydowaną, niewymuszoną obojętnością Hansa Castorpa, zdawały się nie docierać doń i nie imać się go, co przypominało też jego niewrażliwość na zimno jesienno-wieczoru i jego powiedzenie „My nie marzniemy”; to było zapewne przyczyną, dlaczego wuj tak uparcie mu się chwilami przypatrywał. Rozmowa dotyczyła też siostry przełożonej, lekarzy, odczytów dra Krokowskiego — tak się składało, że James będzie na jednym z nich, jeśli zostanie przez tydzień. Któż to powiedział siostrzeńcowi, że jego wuj ma chęć iść na odczyt? Nikt. On sam to przyjął jako rzecz zdecydowaną z takim spokojem i stanowczością, że tamtemu myśl przeciwna wydała się nienaturalną i mówił: „Zapewne, rozumie się”, chcąc uprzeczyć podejrzenie, jakoby przez chwilę projektował coś niemożliwego. Działo się to pod wpływem tej samej siły nieokreślonej, ale zniewalającej, która podświadomie zmuszała pana Tienappla do przyglądania się kuzynowi, teraz już zresztą z otwartymi ustami, bo przez nos nie mógł oddychać, choć nie sądził, by miał katar. Słuchał, jak jego krewny mówi o chorobie, budzącej tu powszechnie zawodowe zainteresowanie, i o skłonności do niej, o własnym wypadku Hansa Castorpa, niegroźnym, ale przewlekłym, o podrażnionych przez bakcyle tkankach rozgałęzień tchawicy i pęcherzyków płucnych, o rozwoju tuberkułów i wytwarzaniu się rozpuszczalnych jądów, rozpadaniu się komórek i procesie serowacenia, co do którego jest kwestią, czy zwapnienie i łącznotkankowe zbliznowacenie hamuje go i leczy, czy też właśnie wytwarza większe ogniska rozmiękania, wyżera jamy gruźlicze i niszczy cały narząd. Słuchał o gwałtownie przyśpieszonej, galopującej postaci tego procesu, która w parę miesięcy, a nawet tygodni prowadzi do zgonu, słuchał o pneumotomii, którą radca wykonuje po mistrzowsku, o resekcji płuc, która jutro czy w najbliższych dniach ma być wykonana na niedawno przybyłej, ciężko chorej, czarującej niegdyś Szkotce, złożonej przez zgorzel płuc, gangraena pulmonum, na skutek której szerzy się w jej organizmie czarniawo-zielona zaraza; słuchał o tym, że całymi dniami wdycha ona rozpylony roztwór kwasu karbolowego, aby z odrazy do samej siebie nie postradać zmysłów — i nagle stało się, że konsul w sposób dla niego samego zupełnie nieoczekiwany i ku swemu największemu zawstydzeniu —

wybuchnął. Zaczął się śmiać, parskając, choć co prawda zaraz się opamiętał i opowiadał, zakaszlał się i starał się wszelkimi sposobami zatuszować bezsensowne swe zachowanie; ku swemu uspokojeniu, kryjącemu w sobie zresztą nowy niepokój, stwierdził przy tym, że Hans Castorp, choć tego, co zaszło, nie mógł nie zauważyć, wcale się tym jednak nie przejął, przeciwnie, przeszedł nad tym do porządku tak dalece, że nie mogło to być taktem, względnością, uprzejmością, lecz tylko czystą obojętnością, niewrażliwością, niesamowitą wyrozumiałością człowieka, który dawno przestał się dziwić takim rzeczom. Konsul zaś — dlatego że chciał swój wybuch wesołości ująć w formę sensu i rozsądku czy też w jakimś innym związku — dość że wszczął nagle rozmowę w stylu męskim i klubowym i z nabrzmiałymi żyłami zaczął opowiadać o pewnej „szansonetce”, karczemnej śpiewaczce, zupełnie szalonej dziewczusze, produkującej się teraz w St. Pauli\* i pełnymi temperamentu ponętami, które odmalował kuzynowi, nie dającej spokoju panom w ojczyściej rzeczypospolitej. Język mu się cośkolwiek plątał przy tych opowiadaniach, jednakże nie potrzebował się tym przejmować, bo wyrozumiałość jego vis à vis i jego niezdolność dziwienia się czemukolwiek rozciągała się wyraźnie i na to zjawisko. W końcu wzrastające zmęczenie podróżą opanowało konsula do tego stopnia, że już około wpół do jedenastej zaproponował zakończenie rozmowy i nie był zbyt uszczęśliwiony, gdy w hallu doszło jeszcze do spotkania z wielokrotnie już przez nich wspomnianym drem Krokowskim, który z gazetą w ręku siedział przy drzwiach salonu i z którym siostrzeniec go zapoznał. Na rubasznie jowialne słowa doktora nie umiał wiele więcej odpowiedzieć niż „Zapewne, rozumie się” i był zadowolony, gdy wreszcie siostrzeniec odszedł ze zdezynfekowanego pokoju Joachima przez balkon do siebie, zapowiadając, że przyjdzie jutro koło ósmej, by go zaprowadzić na śniadanie; wtedy dopiero z papierosem, jaki zwykł był palić na dobranoc, mógł się wreszcie położyć do łóżka kuzyna, który zdezerterował pod sztandar. Był o włos od spowodowania pożaru, bo dwukrotnie z żarzącym się papierosem w ustach zapadał w sen.

James Tienappel, którego Hans Castorp nazywał na przemian wujem Jamesem i po prostu Jamesem, był długonogim panem koło czterdziestki, ubranym w angielskie materiały i cienką bieliznę, z przerzedzonymi włosami kanarkowej barwy, z blisko siebie osadzonymi, niebieskimi oczami, ze słomianym, przyciętym i na wpół wygolonym wąsikiem i najstaranniej utrzymanymi rękami. Choć od kilku lat był już mężem i ojcem, pozostał jednak w obszernej willi starego konsula na Harvesthuder Weg; ożeniony z osobą ze swego towarzystwa, równie kulturalną i wydelikaczną, mówiącą równie cicho, szybko, ostro i uprzejmie jak on, w domu zachowy-

---

\* St. Pauli — hamburska dzielnica rozrywkowa.

wał się jak energiczny, rozważny i przy całej elegancji chłodny i rzeczowy człowiek interesu, natomiast w innym otoczeniu, w podróży, na przykład na południu kraju, przybierał jakiś nadmiernie uprzedzający sposób bycia, jakąś pospieszną gotowość usuwania się z uprzejmości w cień, co zresztą bynajmniej nie było oznaką niewiary we własną kulturę, lecz, przeciwnie, przekonania o jej wartości, połączonego z chęcią wyjścia poza swój arystokratyzm i nieobjawiania, że dziwią go formy życia, które w rzeczywistości miał za niemożliwe. „Naturalnie, oczywiście, rozumie się!” — mówił spieszenie, aby nikt nie pomyślał, że jest wprawdzie wytworny, ale ograniczony. Przyjechał tu z określoną misją, mianowicie z poleceniem i zamiarem, aby zrobić porządek i młodego, opieszalego krewnego „odmrozić” — jak sobie mówił w myśli, i dostarczyć do domu; miał jednakże świadomość, że działa na obcym gruncie — od pierwszej chwili bowiem odczuł, że jest gościem w świecie i środowisku, które pod względem zwartości i pewności siebie nie tylko mu nie ustępuje, lecz go nawet przewyższa; a przez to jego sprężystość w załatwianiu spraw praktycznych weszła od razu w ostry konflikt z jego dobrym wychowaniem; bo pewność siebie goszczącej go sfery okazała się prawdziwie przygniatająca.

To właśnie przewidział był Hans Castorp, gdy na telegram konsula odpowiedział w duszy niedbałym „Proszę bardzo!”; nie należy jednak przypuszczać, że siłę charakteru swego otoczenia świadomie wyzyskiwał przeciw swemu wujowi. Na to był sam od dawna już zanadto częścią tego otoczenia, i nie on posługiwał się tym otoczeniem przeciw napastnikowi, lecz odwrotnie, więc też wszystko odbyło się w najnaturalniejszy, najprostszy sposób, począwszy od chwili, gdy pierwsze przeczucie beznadziejności jego przedsięwzięcia owładnęło konsula w zetknięciu się z siostrzeńcem, aż do zakończenia, wobec którego Hans Castorp nie mógł się nie uśmiechać melancholijnie.

Pierwszego ranka po śniadaniu i zaznajomieniu się z elitą współbiesiadników dowiedział się Tienappel od radcy Behrensa, który, długi i barwny, w towarzystwie bladego asystenta wszedł wiosłując rękami do sali i ze swym retorycznym rannym pytaniem „Dobrze się spało?” przebiegł ją pospieszenie, dowiedział się nie tylko, że miał bajeczny pomysł, chcąc dotrzymać towarzystwa osamotnionemu neveu\*, ale także, że to, co zrobił, jest jak najbardziej w jego własnym interesie, bo najwyraźniej jest bardzo anemiczny. — Anemiczny, on, Tienappel? — I jeszcze jak! — rzekł Behrens i wskazującym palcem odchylił mu dolną powiekę. — W wysokim stopniu! — rzekł. Pan wuj postąpi bardzo sprytnie, jeśli się tu na parę tygodni wyciągnie wygodnie na balkonie i w ogóle we wszystkim będzie brał przykład z sio-

---

\* Neveu (franc.) — siostrzeniec.

strzeńca. Przy jego stanie najmądrzej jest przez jakiś czas zachowywać się tak, jak przy lekkiej tuberculosis pulmonum, od której zresztą nikt nie jest wolny. — Oczywiście, rozumie się! — powiedział konsul szybko i potem przez chwilę jeszcze z gorliwie i uprzejmie otwartymi ustami patrzył na gruby kark odchodzącego, podczas gdy siostrzeniec stał przy nim niedbale i z bezczelną miną. Potem przedsięwzięli spacer do ławki koło rynny, a następnie James Tienappel odbył swe pierwsze werandowanie wedle wskazówek Hansa Castorpa, który do jego pledu dodał mu jeszcze koc z wielbłądziej sierści, gdyż jemu samemu przy pięknej jesiennej pogodzie jeden najzupełniej wystarczał; wyłożył mu też skrupulatnie, chwyt po chwycie, tradycyjną sztukę owijania się w koce; a nawet jeszcze po wygładzeniu ich i zrobieniu z konsula mumii rozrzucił wszystko z powrotem, aby tamten na własną rękę powtórzył całą ustaloną procedurę, uciekając się tylko w razie potrzeby do jego pomocy; pouczył go też, jak płócienny parasol przymocować do krzesła i zwrócić do słońca.

Konsul dowcipkował. Jeszcze go nie opuścił duch równin i robił żarty z tego, czego się tu nauczył, jak już poprzednio żartował sobie ze ściśle odmierzonego spaceru odbywanego po śniadaniu. Jednakże zobaczywszy, że siostrzeniec reaguje na te żarty spokojnym uśmiechem, nie objawiającym żadnego zrozumienia, a za to odzwierciedlającym całą zwartość i pewność siebie tego kręgu obyczajów, poczuł strach, zląkł się, czy mu wystarczy energii, i spiesznie postanowił decydującą rozmowę z radcą w sprawie siostrzeńca odbyć jak najprędzej, tego samego popołudnia, póki jeszcze nie utracił własnej osobowości i sił przywiezionych z nizin; czuł bowiem, że znikają, że duch tego miejsca zawarł z jego dobrym wychowaniem niebezpieczne przeciw nim przymierze.

Poza tym czuł, że zupełnie zbędne było zalecenie radcy, by ze względu na anemię prowadził tryb życia chorych; tryb taki wynikał tu bowiem sam z siebie, żaden inny nie był do pomyślenia — a tylko dobrze wychowanemu Tienapplowi trudno było od początku rozstrzygnąć, czy polegało to na złudzeniu wywołanym przez spokój Hansa Castorpa i jego pewność siebie, czy też rzeczywiście i bezwarunkowo nic innego nie można było zrobić ani pomyśleć. Nic nie było naturalniejsze ponad to, że po pierwszym werandowaniu następowało obfite drugie śniadanie, z którego w oczywisty sposób wynikał spacer do Uzdrowiska — a potem Hans Castorp znów zawijał swego wuja. Zawijał go — wyraz jest odpowiedni. I w słońcu jesiennym, na fotelu, którego wygodna konstrukcja była bezsporna i godna uznania, kazał mu leżeć, podobnie jak sam leżał, do chwili kiedy przejmujący gong wezwał na obiad w gronie pacjentów, obiad pierwszorzędny, elegancki i tak obfity, że następujące po nim wielkie werandowanie stawało się nie zewnętrznym zwyczajem, lecz

wewnętrzna koniecznością, wykonywaną z głębi przekonania. I tak działo się dalej do obfitej kolacji i zebrania towarzyskiego w salonie, w którym rozstawione były zabawki optyczne; taki układ dnia narzucał się z łagodną konsekwencją i nie można było przeciwstawić mu żadnych wspomnień ani mu nic zarzucić, nawet gdyby krytyczne zdolności konsula nie były umniejszone przez stan, którego nie nazwałby wprawdzie wprost złym samopoczuciem, ale który w niemiły sposób składał się ze zmęczenia i podniecenia przy jednoczesnych uczuciach rozgrzania i zziębnięcia.

Dla uzyskania rozmowy z radcą dworu Behrensem, której konsul z niepokojem pragnął, użyto drogi urzędowej. Hans Castorp zgłosił wniosek kąpielowemu, a ten przekazał go dalej starszej siostrze, z którą konsul Tienappel zawarł przy tej sposobności osobliwą znajomość: ukazała się na balkonie, zastała go tam leżącego i dziwacznym zachowaniem się wystawiła na próbę dobre wychowanie bezradnej, walcowato zawiniętej istoty. Oświadczyła, że szanowny pan musi, jeśli łaska, zdobyć się na parodniową cierpliwość, radca jest bowiem zajęty — operacje, ogólne badania, cierpiąca ludzkość ma wedle zasad chrześcijańskich pierwszeństwo, a skoro jest rzekomo zdrów, to musi się do tego przyzwyczać, że nie ma tu numeru jeden, lecz musi stanąć w tyle i czekać. Inna rzecz, jeśliby chciał być zbadany, co by jej, Adriatyki, zresztą nie zdziwiło, niechże jej spojrzy w oczy, jego oczy są trochę mętne i niepewne, i gdy tak leżąc patrzy na nią, to wygląda to tak, jak gdyby i z nim nie wszystko było całkiem w porządku, nie wszystko było *c z y s t e*, niech ją dobrze zrozumie. A czy we wniosku jego chodzi o badanie, czy też o prywatną rozmowę? — O tę ostatnią, rozumie się, że o rozmowę prywatną! — zapewnił leżący. W takim razie niech czeka, aż zostanie zawiadomiony. Na prywatne rozmowy radca dworu rzadko ma czas.

Krótko mówiąc, wszystko poszło inaczej, niż James myślał, a rozmowa ze starszą siostrą zadała poważny cios jego równowadze. Zbyt był kulturalny, by siostrzeńcowi, który niewzruszonym spokojem objawiał swą solidarność z tym, co się tu działo, mógł niegrzecznie powiedzieć, jak okropną wydała mu się ta baba; więc tylko ostrożnie do niego zapukał, by się upewnić, że starsza siostra jest chyba bardzo oryginalną niewiastą — co mu Hans Castorp, spojrzawszy przelotnie z namysłem w powietrze, częściowo potwierdził, odpowiadając pytaniem, czy ta Mylendonk sprzedała mu termometr. — Nie, mnie? Czy to jej dział? — odrzekł wuj... A najgorsze było to, że z wyrazu twarzy siostrzeńca wynikało wyraźnie, iż nie byłby się dziwił, gdyby to, o co pytał, było się rzeczywiście stało. „My nie marz niemy” — czytało się w tym wyrazie twarzy. Ale konsul marzył, było mu ciągle zimno, choć głowę miał gorącą, i myślał sobie, że gdyby starsza siostra była mu rzeczywiście zaproponowała termometr, to odpowiedziałby odmownie, ale że taka

odpowiedź ostatecznie nie byłaby słuszna, bo cudzego termometru, na przykład siostrzeńca, jako człowiek cywilizowany nie mógł przecież używać.

Tak przeszło kilka dni, cztery czy pięć. Życie wysłańca biegło po szynach, po tych, które mu położono, i zdawało się nie do pomyślenia, żeby mogło biec poza nimi. Konsul miał za sobą pewne przeżycia, odniósł pewne wrażenia — nie będziemy ich już śledzić. Pewnego dnia w pokoju Hansa Castorpa znalazł czarną szklaną płytkę stojącą na miniaturowej rzeźbionej sztaludze na komodzie obok innych osobistych rzeczy, którymi właściciel przybrał swój czyściutki pokój: podniesiona pod światło, okazała się fotograficznym negatywem. — Cóż to takiego? — zapytał oglądając ją wuj. Było o co pytać! Portret był bowiem bez głowy, był szkieletem ludzkiego tułowia w mglistych otokach ciała, a można było tylko rozpoznać, że był to tors kobiety. — To? pamiątka — odrzekł Hans Castorp. Na to wuj powiedział: — Pardon! — podobiznę postawił z powrotem na sztaludze i prędko się oddalił. Może to służyć za przykład przeżyć i wrażeń z tych czterech czy pięciu dni. Wziął też udział w pewnej conférence dra Krokowskiego, gdyż było nie do pomyślenia, aby można było nie pójść. A co się tyczy owej prywatnej rozmowy z radcą Behrensem, o którą zabiegał, to życzeniu jego na szósty wreszcie dzień stało się zadość. Został wezwany i zszedł do podziemia, postanowiwszy, że z tym człowiekiem rozmówi się poważnie o swym siostrzeńcu i o marnowanym przezeń czasie.

Wróciwszy zapytał cichszym już głosem:

— Słyszałeś coś podobnego?

Okazało się jednak, że Hans Castorp już na pewno coś podobnego słyszał i że z tego powodu nie zrobiło mu się zimno, więc urwał swą relację, i gdy go siostrzeniec bez większego zresztą zainteresowania zapytał, odpowiedział jedynie: — Och, nic, nic — a tylko od tej pory nabrał nowego nawyku: mianowicie ze zmarszczonymi brwiami i zaciśniętymi ustami spoglądał spod oka gdzieś w górę, a potem gwałtownym ruchem potrząsał głową i patrzył tak samo, ale w przeciwnym kierunku... Czy rozmowa z Behrensem miała inny przebieg, niż to konsul przypuszczał? Czy mowa była nie tylko a Hansie Castorpie, ale później i o nim samym, Jamesie Tienaplu, tak że przestała być rozmową prywatną? Z jego zachowania się można było to wnosić. Okazywał bardzo dobry humor, mówił dużo, śmiał się bez powodu i siostrzeńca uderzył pięścią w pachwinę, wykrzykując: — Halo, stary! — A raz po raz miewał owo szczególne spojrzenie, biegnące to w jednym, to znów nagle w przeciwnym kierunku. Ale oczy jego zwracały się także w kierunku bardziej określonym, zarówno przy stole, jak na obowiązkowych spacerach i wieczornych zebraniach towarzyskich.

Konsul początkowo nie zwracał szczególnej uwagi na niejaką panią Redisch, żonę polskiego przemysłowca, siedzącą przy stole chwilowo nieobecnej pani Salomon i żarłocznego ucznia w okrągłych okularach: bo też była to tylko jedna z wielu werandujących dam, krępa i pełna brunetka, nie pierwszej młodości, zaczynająca już siwieć, ale z wdzięcznym podwójnym podbródkiem i żywymi piwnymi oczami. Nie było mowy, aby pod względem kultury mogła się tam w równinie mierzyć z panią konsulową Tienappel. Jednakże w sobotni wieczór, po kolacji, w hallu konsul dzięki dekolowanej sukni z pajetkami, jaką miała na sobie, zrobił odkrycie, że pani Redisch posiada matowobiałe, mocno ściśnięte, prawdziwie kobiece piersi, których przedział widać było dość głęboko, i odkrycie to wstrząsnęło do głębi duszy i zachwyciło dojrzałego i dystyngowanego mężczyznę, jak gdyby to było coś nowego, nieoczekiwanego i niesłychanego. Starał się poznać i poznał panią Redisch, rozmawiał z nią długo, najpierw stojąc, potem siedząc, i poszedł spać podśpiewując. Następnego dnia pani Redisch nie miała już na sobie czarnej sukni z pajetkami i była zapięta pod szyję, ale konsul wiedział co wiedział i został swemu wrażeniu wierny. Usiłował ją spotkać na obowiązkowych spacerach i rozmawiał z nią, idąc obok niej, zwrócony ku niej i nachylony w jakiś szczególny sposób, nalegająco i uwodzicielsko; przepijał do niej przy stole, co ona przyjmowała, odsłaniając w uśmiechu złote korony, które błyszczały na kilku jej zębach; a w rozmowie z siostrzeńcem nazwał ją wprost „boską kobietą”, po czym znów zaczął podśpiewywać. Wszystko to Hans Castorp znosił ze spokojną wyrozumiałością, z wyrazem twarzy mówiącym, że tak być musi. Ale nie mogło to wzmocnić autorytetu starszego kuzyna i nie harmonizowało z misją konsula. Posiłek ten, podczas którego konsul, podnosząc kieliszek, pozdrowił panią Redisch, i to dwukrotnie: przy potrawce z ryby i przy sorbecie, radca Behrens spożywał przy stole Hansa Castorpa i jego gościa — przysiadł się przecież kolejno do każdego z siedmiu stołów i przy każdym było dlań zarezerwowane nakrycie po wąskiej stronie stołu, u góry. Złożywszy olbrzymie ręce przed talerzem, siedział ze swym uniesionym w górę wąsikiem między panem Wehsalem a meksykańskim garbusem, z którym rozmawiał po hiszpańsku — znał bowiem wszystkie języki, nawet turecki i węgierski — i przyglądał się niebieskimi, wilgotnymi, krwią nabiegłymi oczami, jak konsul Tienappel kieliszkiem bordeaux przesyłał pani Redisch pozdrowienie. Potem podczas posiłku radca wygłosił mały odczyt, pobudzony ku temu przez Jamesa, który znienacka z drugiego końca stołu postawił mu pytanie, jak to jest, kiedy człowiek gnije. Bo przecież radca studiował ciało, jest to niewątpliwie jego dziedzina, jest w swoim rodzaju władcą ciała, jeśli się tak można wyrazić, więc niechże opowie, jak to się dzieje, gdy się ciało rozkłada!



— Przede wszystkim pęka panu brzuch — odrzekł radca, rozłożywszy łokcie i pochyliwszy się nad splecionymi rękami. — Leży pan na swoich wiórach i trocinach, a gazy, rozumie pan, wydymają go, nadymają tak, jak to niegrzeczne chłopaki robią z żabami wdmuchując w nie powietrze — w końcu jest pan po prostu jak balon, a potem opona brzuszna nie wytrzymuje takiego napięcia i pęka. Paf! Lżej się panu robi, jest jak z Judaszem Iskariotą, kiedy spadł z gałęzi. Wnętrznosci wylewają się panu z brzucha. Taak, potem mógłby pan właściwie brać znów udział w życiu towarzyskim. Gdyby pan dostał urlop, to mógłby odwiedzić pozostałą po sobie rodzinę, nie budząc odrazy. To się nazywa przestać cuchnąć. I byle się potem wydość na powietrze, to się znów pięknie wygląda, jak ci obywatele z Palermo wiszący w katakumbach kapucynów przed Porta Nuova. Wiszą tam wyschnięci i elegancy i cieszą się powszechnym poważaniem. Chodzi tylko o to, żeby przestać cuchnąć.

— Rozumie się — odrzekł konsul. — Dziękuję uprzejmie. — I następnego dnia już go nie było.

Odjechał, pierwszym pociągami zjechał w dół, w równiny — oczywiście, uporządkowawszy uprzednio swe sprawy, nikt przecież nie sądzi, że mogło być inaczej. Zapłacił rachunek, złożył honorarium za przeprowadzone badanie, w zupełnej tajemnicy, słówka nie szepnąwszy kuzynowi, zapakował obie swe walizy — stało się to zapewne wieczorem lub rankiem, kiedy wszyscy byli jeszcze pogrążeni we śnie — i gdy Hans Castorp w porze pierwszego śniadania wszedł do pokoju wuja, pokój był już opróżniony.

Podpierając się pod boki stał i powtarzał: „No, no”. W owej to chwili zrodził się na jego twarzy melancholijny uśmiech. — Ach, tak — rzekł, kiwając głową. Oto ktoś dał drapakę. Na łeb, na szyję, w milczeniu i pośpiechu, jak gdyby chcąc uchwycić chwilę stanowczości i chwili tej broń Boże nie przepuścić, powrzucał swe rzeczy do waliz i uciekł: sam, a nie we dwóch, nie spełniwszy zaszczytnej misji, ale szczęśliwy, że przynajmniej sam uszedł, zacny zbieg pod sztandar równiny, wuj James. No, szczęśliwej drogi!

Hans Castorp nie dał po sobie poznać, że nic nie wiedział o zamierzonym wyjeździe krewnego, a w szczególności nie dał tego poznać kulawemu, który konsula odwiózł na dworzec. Znad Jeziora Bodeńskiego otrzymał kartkę tej treści, że James dostał depezę wzywającą go niezwłocznie w interesach na równiny. Nie chciał zaś niepokoić siostrzeńca. — Konwencjonalne kłamstwo. — „Przyjemnego dalszego pobytu!” Czy były to kpiny? Jeśli tak, to bardzo wymuszone, Hans Castorp wiedział dobrze, że wuj nie był skłonny do kpin ani do żartów, gdy zdecydował się na ucieczkę; blady strach go obleciał, gdy mocą wyobraźni zdał sobie sprawę, że teraz,

po tygodniowym pobycie tu w górze, powróciwszy w równiny, będzie przez jakiś czas uważał za rzecz niesłuszną, nienaturalną i niedozwoloną, iż po śniadaniu nie wybierze się na służbowy spacer, a potem — otulony rytualnie kocami — nie będzie leżeć na powietrzu, lecz zamiast tego pójdzie do swego kantoru. Ta przerażająca świadomość była bezpośrednią przyczyną jego ucieczki.

Tak zakończyła się próba równiny, aby odzyskać Hansa Castorpa. Młody człowiek zdawał sobie z tego sprawę, że — przewidziane przezeń — zupełne niepowodzenie tej próby mieć będzie decydujące znaczenie w jego stosunkach z ludźmi z równiny. Oni zareagują na nie tylko wzruszeniem ramion i definitywnym zrzeczeniem się wszelkich pretensji, a on uzyska zupełną wolność; myśl o niej nie wprawiała już serca jego w drżenie.

## **Operationes spirituales**

Leon Naphta pochodził z małej miejscowości w pobliżu granicy Galicji i Wołynia. Ojciec jego, o którym odzywał się z szacunkiem, niewątpliwie w poczuciu, że sam na tyle już odszedł od swego pierwotnego świata, iż może go sądzić z życzliwością, ojciec jego był tam szochetem, rzezakiem. Zawód ten różnił się niezmiernie od zawodu chrześcijańskiego rzeźnika, który był rzemieślnikiem i kupcem. Natomiast ojciec Leona był osobą urzędową, i to duchowną. Przeegzaminowany przez rabina w swym zbożnym kunszcie i upęnomocniony przezeń do zabijania odpowiedniego bydła wedle praw Mojżesza, zgodnie z przepisami Talmudu, Elias Naphta, którego niebieskie oczy, wedle opisu syna, promieniały, blaskiem gwiazd, pełen skupionego uduchowienia, nabrał sam pewnych cech kapłańskich, uroczystych, przypominających, że w zamierzonych czasach ubój był istotnie rzeczą kapłana. Leon, czyli Lejb, jak go w dzieciństwie nazywano, mógł się przypatrywać, jak na podwórzu ojciec, z pomocą olbrzymiego parobka, młodego atletycznego Żyda, przy którym wąły Elias ze swą okrągłą blond brodą wydawał się jeszcze delikatniejszy i drobniejszy, wykonywał swój rytualny urząd, jak wobec związanego i zakneblowanego, ale nie ogłuszonego zwierzęcia wymachiwał swym wielkim rzezackim nożem i zadawał mu głębokie cięcia w okolicy kręgu szyjnego, podczas gdy parobek chwycił tryskającą i parującą krew w szybko wypełniające się naczynia: widowisko to Leon ogarniał tym spojrzeniem dziecięcym, które poprzez powłokę zmysłową sięga do istoty rzeczy, a które w szczególnym stopniu mógł posiadać syn Eliasza o pro-

miennych oczach. Wiedział, że rzeźnicy-chrześcijanie, zanim zabiją zwierzę, obowiązani są odebrać mu świadomość przez uderzenie pałąką czy siekierą i że przepis ten ma zapobiegać męczeniu zwierząt i okrucieństwu, a tymczasem jego ojciec, choć o tyle delikatniejszy i mędrszy od tamtych prostaków, a przy tym posiadający jak żaden z nich oczy promieniejące blaskiem gwiazd, postępował zgodnie z prawem, zarzynając nie ogłuszone stworzenie i wypuszczając z niego krew, póki nie padło. Mały Lejb czuł, że metoda tych prostackich gojów ma swe źródło w gnuśnej, świeckiej dobroduszości i że świętość nie doznaje w niej w tym stopniu czci, jak w uroczystym braku litości, objawiającym się w sposobie postępowania ojca. Toteż wyobrazenie pobożności sprzęgło mu się z wyobrażeniem okrucieństwa, tak jak widok i zapach tryskającej krwi zespolił się w jego wyobraźni z ideą świętości i uduchowienia. Wiedział bowiem, że swój krwawy zawód ojciec wybrał nie z brutalnego upodobania, jakie mogli w nim znajdować silni fizycznie parobcy chrześcijańscy, a nawet jego własny sługa, ale uczynił to dla względów natury duchowej, wbrew swemu wątłemu ustrojowi cielesnemu, zgodnie zaś ze swymi promiennymi oczami.

W rzeczywistości Eliasza Naphta był człowiekiem skłonny do rozmyślań i subtelnych dociekań, był nie tylko badaczem Tory, ale też krytykiem Pisma, na temat którego dyskutował i nieraz spierał się z rabinem. W całej okolicy, i to nie tylko u współwyznawców, uchodził za coś wyjątkowego, za kogoś, kto wie więcej od innych — po części w rzeczach pobożnych, po części jednak także w rzeczach niezupełnie bezpiecznych, a w każdym razie nie idących zwykłym torem. Było w nim jakieś sekciarskie wyłamywanie się z ustalonych reguł, coś z pomazańca, baal-szema czy cadyka, czyli cudotwórcy, zwłaszcza że rzeczywiście krwią i zamawianiem wyleczył raz pewną kobietę ze złośliwych wyrzutów, a innym razem jakiegoś chłopca z kurczów. Ale właśnie ten nimb niesamowitej pobożności, w której zapach krwi związany z jego zawodem odgrywał pewną rolę, stał się jego zgubą. Bo przy rozruchach ludowych, wśród szału i paniki, wywołanej nie wyjaśnioną śmiercią dwojga chrześcijańskich dzieci, Eliasza został zamordowany w straszny sposób: znaleziono go ukrzyżowanego na drzwiach jego płonącego domu. Wówczas żona jego, suchotnica, choć obłożnie chora, i wszystkie dzieci — Lejb i jego cztery siostry — uciekli z kraju, krzycząc i biadając, z podniesionymi rękami.

Po klęsce tej rodzina, dzięki zapobiegliwości Eliasza niezupełnie zresztą pozbawiona środków, znalazła przytułek w jednym z miasteczek Przedarulanii: pani Naphta znalazła tam zajęcie w przędzalni bawełny i pracowała, o ile i póki siły jej na to pozwalały, starsze zaś dzieci uczęszczały do szkoły ludowej. Pokarm duchowy, udzielany w tym zakładzie, mógł wystarczać usposobieniu i potrzebom

rodzeństwa Leona, ale bynajmniej nie jemu, najstarszemu z dzieci. Po matce odziedziczył zarodki choroby płuc, po ojcu jednak nie tylko drobną budowę ciała, ale też niezwykłą inteligencję, zalety umysłu, do których wcześniej przyłączyły się dumne instynkty, wyższe ambicje, nurtująca tęsknota za wytworniejszymi formami egzystencji i namiętne dążenie do wyjścia poza sferę, z której pochodził. Jako chłopiec czternasto- i piętnastoletni dzięki książkom, które umiał zdobywać, rozwijał i karmił poza szkołą swój umysł w sposób niesystematyczny i niecierpliwy. Myślał i mówił rzeczy, wobec których jego wiecznie cherlająca matka przekrzywiwszy głowę wciągała ją między ramiona i wznosiła w górę swe zniszczone ręce. Osobą swą i wypowiedziami zainteresował podczas lekcji religii miejscowego rabiną, człowieka pobożnego i uczonego, który zaczął go uczyć prywatnie i potrzeby formalne jego umysłu zaspokajał nauką hebrajskiego i języków klasycznych, a potrzeby logiczne — nauczaniem matematyki. Dobry ten człowiek nie doczekał się za to wdzięczności, a z czasem okazywało się coraz bardziej, że żmiję wyhodował na swym łonie. Stosunki ułożyły się tak, jak niegdyś między Eliaszem Naphta a jego rabinem: nie znosili się wzajem. Między nauczycielem a uczniem dochodziło do tarć natury religijnej i filozoficznej, które się stale wzmagały, a niechętnie usposobienie młodego Leona, jego skłonność do krytykowania i podawania wszystkiego w wątpliwość, jego duch sprzeciwu, cięta dialektyka, coraz bardziej dawały się we znaki uczonemu w Piśmie. Przy tym subtelny a skłonny do podważania wszystkiego umysł Leona nabrał piętna rewolucyjnego: znajomość z synem socjaldemokratycznego członka rady państwa i z samym tym przywódcą mas skierowała jego myśl na drogi polityczne, a jego namiętność logiczną na tory krytyki społecznej; miewał przemowy, od których poczciwemu i lojalnemu talmudyście włosy stawały dęba i które ostateczny cios zadały porozumieniu między nauczycielem a uczniem. Krótko mówiąc, doszło do tego, iż zerwał z Naphta i raz na zawsze zamknął przed nim drzwi swego domu. Stało się to w tym samym czasie, kiedy umierała matka Leona, Rachelą Naphta.

Ale wówczas, bezpośrednio po śmierci matki, Leon zawarł znajomość z ojcem Unterpertingerem. Jako szesnastoletni chłopiec siedział samotnie na ławce w parku na wzgórzu zwanym Margaretenkopf, na zachód od miasteczka, nad brzegiem Illu, skąd roztaczał się daleki i pogodny widok na dolinę Renu — siedział pogrążony w posepnych i gorzkich myślach o swym losie, o swej przyszłości, gdy oto przechadzający się tam jeden z nauczycieli prowadzonego przez jezuitów pensjonatu „Gwiazda Zaranna” zajął obok niego miejsce, położył przy sobie kapelusz, pod sutanną nogę założył na nogę, a poczytawszy trochę z brewiarza, nawiązał rozmowę, która rozwinęła się żywo, a miała zadecydować o losie Leona. Jezuita, czło-

wiek o dużej znajomości świata i dużej oglądzie, pedagog z zamiłowania, znawca ludzi i łowca dusz, zainteresował się od razu pierwszymi zdaniem, szyderczymi a jasno artykułowanymi, którymi biedny Żydek odpowiedział na jego pytania. Z odpowiedzi tych promieniował umysł ostry a udreżony, a wnikając głębiej jezuita odnalazł w nich także wiedzę i złośliwą wytworność myśli, które wobec obszarpanego wyglądu młodego człowieka były zupełnie nieoczekiwane. Mówili o Marksie, którego „Kapitał” Leon Naphta studiował w popularnym wydaniu, a od niego przeszli do Hegla, którego czy o którym czytał również tyle, ile trzeba było, by mógł powiedzieć o nim rzeczy godne uwagi. Z właściwej sobie skłonności do paradoksów czy też z uprzejmości — nazwał Hegla myślicielem „katolickim”, a na wypowiedziane z uśmiechem pytanie ojca, jak by to można uzasadnić, bo przecież Hegel, jako pruski filozof państwa, właściwie i naprawdę musi uchodzić za protestanta, odrzekł, że właśnie wyrażenie „filozof państwa” potwierdza słuszność jego twierdzenia o katolickości Hegla w sensie religijnym, choć oczywiście nie w kościelno-dogmatycznym. A l b o w i e m (ten spójnik Naphta specjalnie lubił; nabierał on w jego ustach czegoś triumfująco-nieubłaganego, a oczy jego błyskały za okularami, ilekroć mógł go użyć), albowiem pojęcie polityczności jest psychologicznie sprzęgnięte z pojęciem katolicyzmu, tworzą one jedną kategorię, obejmującą wszystko, co obiektywne, czynne, co ma zdolność urzeczywistniania i oddziaływania na zewnętrzny świat. Tej kategorii przeciwstawia się pietystyczna, z mistyki wyrosła sfera protestantyzmu. Polityczno-pedagogiczna istota katolicyzmu ujawnia się w jezuityzmie; sztukę rządzenia i wychowywania zakon ten zawsze miał za swoją domenę. I wymienił jeszcze Goethego, który choć wyrosły w pietyzmie i niewątpliwie protestant, miał też wybitnie katolickie oblicze, a to dzięki swemu obiektywizmowi i swej teorii działania. Bronił on spowiedzi i jako wychowawca był prawie jezuitą.

Naphta mówił to wszystko bądź dlatego, że w to wierzył, bądź że uważał za dowcipne, bądź żeby przypodobać się słuchaczowi; jako biedak, zmuszony był pochlebiać i dobrze obliczać, czym może sobie zaszkodzić, a czym pomóc. Ksiądz mniej zwracał uwagi na to, czy było prawdą to, co słyszał, a więcej na bystrość umysłu, która się w tym objawiała; rozmowa potoczyła się dalej i niebawem jezuita dowiedział się o osobistym położeniu Leona, a na koniec zaprosił chłopca, by go odwiedził w Pedagogium.

Dzięki temu mógł Naphta wstąpić w progi uczelni „Stella Matutina”, której atmosfera, na wysokim poziomie naukowym i towarzyskim, od dawna już podniecała jego wyobraźnię i budziła tęsknotę. Co więcej: ten obrót rzeczy dał mu nowego nauczyciela i opiekuna, mającego więcej od poprzedniego danych, by cenić i rozwi-

jać jego naturę, mistrza chłodnego wprowadzie z usposobienia, ale dobrego dzięki znajomości świata, a należącego do sfery, do której Naphta najusilniej pragnął się dostać. Jak wielu inteligentnych Żydów, Naphta był z instynktu jednocześnie rewolucjonistą i arystokratą; był socjalistą, a jednocześnie marzył o tym, by mieć udział w wytwornych, ekskluzywnych i rygorystycznych formach życia. Pierwszym jego doświadczeniem wobec katolickiego teologa było — wypowiedziane co prawda analitycznie i porównawczo — wyznanie miłości do Kościoła katolickiego, odczuwanego przezeń jako potęga dostojna i uduchowiona, to znaczy antymaterialna, zwrócona przeciw rzeczywistości, przeciw światu, a więc jako potęga rewolucyjna. I hołd ten był szczery, pochodził z samego jądra jego istoty; albowiem, jak to sam wywodził, żydostwo dzięki temu, że jest nastawione na sprawy ziemskie i rzeczowe, że ma skłonność do socjalizmu i uduchowionej polityki, jest sferze katolickiej daleko bliższe, bardziej jej pokrewne, aniżeli protestantyzm ze swą kontemplacyjnością i mistyczną subiektywnością — dlatego też przejście żyda na łono Kościoła katolickiego wymaga daleko mniej duchowego przewyciężenia się niż przejście protestanta.

Poróżniony z pasterzem swej pierwotnej gminy religijnej, osierocony i opuszczony, a jednocześnie żądny czystszej atmosfery życiowej i takich form istnienia, do jakich jego zdolności dawały mu prawo, Naphta, który już dawno osiągnął potrzebny do tego ustawowo wiek, był nie tylko gotów do zmiany wyznania, ale pragnął jej tak niecierpliwie, że jego „odkrywca” nie potrzebował robić żadnego wysiłku, aby tę duszę czy raczej tę niezwykłą głowę zdobyć dla swej religii. Dzięki ojcu Leon jeszcze przed przyjęciem chrztu znalazł w „Stelli” tymczasowy przytułek, zaopatrzenie cielesne i duchowe. Przeniósł się tam, z największym spokojem, z obojętnością duchowego artysty, pozostawiwszy swe młodsze rodzeństwo opiece społecznej i takiemu losowi, jaki się należy istotom mniej uzdolnionym.

Obszar zajmowany przez zakład wychowawczy był równie rozległy jak jego zabudowania, mieszczące około czterystu wychowanków. Całość obejmowała lasy i pastwiska, pół tuzina placów sportowych, budynki gospodarcze, obory na setki krów. Instytut był jednocześnie pensjonatem, wzorowym gospodarstwem, akademią sportową, szkołą uczonych i świątynią muz. Wciąż bowiem urządzano w nim przedstawienia teatralne i koncerty. Życie było tu pańsko-klasztorne. Swą dyscypliną i elegancją, dyskretną wesołością, swym uduchowieniem, dbałością o wszystkie potrzeby, ścisłym przestrzeganiem urozmaiconego rozkładu dnia odpowiadało ono najgłębszym instynktom Leona. Był nad wszelką miarę szczęśliwy. Znakomite posiłki podawano mu w obszernym refektarzu, podczas nich — tak samo jak na korytarzach zakładu — obowiązywało milczenie, a tylko młody prefekt, siedząc pośród-

ku refektarza na wysokiej katedrze, zabawiał jedzących czytaniem na głos. Leon uczył się z żarliwą gorliwością, a mimo słabych płuc robił, co mógł, by po południu wyróżniać się też w grach i sportach. Pobożność, z jaką codziennie słuchał porannej mszy, a w niedzielę uroczystego nabożeństwa, nie mogła nie cieszyć ojców-pedagogów. Nie mniej zadowalały ich jego maniery. W świąteczne popołudnie, po ciastkach i winie, w popielatozielonym mundurze, z wysokim kołnierzykiem, z lampasami na spodniach i w czapce wojskowego fasonu szedł w szeregu na spacer.

Wdzięcznością i zachwytem napełniała go dyskrekcja, z jaką traktowane było jego pochodzenie, jego chrystianizm świeżej daty i w ogóle jego sprawy osobiste. Zdawało się, że nikt nie wie, iż jest w zakładzie trzymany bezpłatnie. Obowiązujący regulamin odwracał uwagę jego kolegów od faktu, że nie miał oparcia rodzinnego ani ojczyzny. Otrzymywanie paczek z żywnością i łakociami było zabronione; a jeśli jednak przychodziły, to były dzielone między wszystkich i Leon również otrzymywał swą część. Dzięki kosmopolitycznemu charakterowi zakładu nie raził jego typ rasowy. Egzotyczni młodzi ludzie, Portugalczycy z Południowej Ameryki, wyglądali bardziej na Żydów niż on — więc też zatracalo się to pojęcie. Etiopski książe o kędzierzawej głowie, przyjęty jednocześnie z Naphtą, miał wytworny wprawdzie, ale wręcz murzyński typ.

Będąc w retoryce Leon objawił chęć studiowania teologii, aby jeśli zostanie uznany za godnego — mógł kiedyś wstąpić do zakonu. Skutkiem tego było, że z „drugiego pensjonatu”, w którym koszty były mniejsze, ale też poziom utrzymania niższy, przeniesiony został do „pierwszego”. Teraz przy stole usługiwali mu lokaje, a sypialnia jego sąsiadowała z pokojami śląskiego hrabiego Harbuval und Chamaré z jednej strony, a margrabiego di Rangoni-Santacroce z Modeny z drugiej. Szkoły ukończył świetnie i zgodnie ze swym postanowieniem zamienił życie wychowanka Pedagogium na życie w domu nowicjackim, w sąsiedniej miejscowości Tisis; było to życie oddane usłudze, pokorze, milczeniu, uległości i ćwiczeniom religijnym, w których odnajdował duchowe rozkosze, odpowiadające wczesnym ideom fanatycznym.

Tymczasem jednak ucierpiało jego zdrowie — nie tyle bezpośrednio przez surowość nowicjatu, w którym nie brakło rekreacji, ile z przyczyn wewnętrznych. Bo praktyki wychowawcze, których był przedmiotem, swą mądrością i subtelnością odpowiadały jego osobistym dyspozycjom i jeszcze je potęgowały. Przy ćwiczeniach duchowych, na których spędzał swe dni i część nocy, przy wszystkich tych roztrząsaniach sumienia, rozmyślaniach, medytacjach, zaplątywał się z zajadłą namiętnością w tysiące trudności, sprzeczności, spornych spraw. Doprowadzał do

rozpaczy swego kierownika duchowego — choć budził też w nim największe nadzieje — bo mu swymi dialektycznymi zapytaniami i swym brakiem prostoty co dzień zatruwał życie. „Ad haec quid tu?”\* — pytał błyskając szklami swych okularów. I przyciśniętemu do muru ojcu nie pozostawało nic innego, jak nawoływać go do modlitwy, aby odzyskał spokój duszy — „ut in aliquem gradum quietis in anima perveniat”\*\*. Ale znów „spokój” ten, jeśli przychodził, polegał na całkowitym odepnięciu życia osobistego, na zredukowaniu go do roli narzędzia jedynie, na cmentarnej jakby ciszy duchowej, której niepokojące cechy zewnętrzne brat Naphta mógł studiować na niejednych zapadłych policzkach w swym otoczeniu, a którą sam mógłby osiągnąć chyba kosztem całkowitej ruiny cielesnej.

Było to dowodem wysokiego duchowego poziomu jego przełożonych, że wszystkie te jego skrupuły i trudności nie zaszkodziły dobrej opinii, jaką o nim miano. Sam ojciec prowincjał wezwał go do siebie po dwuletnim nowicjacie, odbył z nim rozmowę i wyraził zgodę na przyjęcie go do zakonu; i młody scholastyk uzyskał cztery niższe święcenia, mianowicie furtiana, ministranta, lektora i egzorcysty, a także złożył „zwykłe” śluby i przez to już definitywnie wszedł do Towarzystwa; wyjechał wówczas do kolegium w holenderskim Falkenburgu, aby tam kontynuować studia teologiczne.

Miał wtedy lat dwadzieścia; po trzech latach, na skutek niebezpiecznego dlań klimatu i wysiłków psychicznych, odziedziczona choroba uczyniła takie postępy, że musiał zaniechać dalszego tam pobytu, bo zagrażał jego życiu. Krwotok, jakiemu uległ, zaalarmował zwierzchników; przez szereg tygodni był między życiem a śmiercią i, ledwie wyleczony, odesłany został tam, skąd przybył. W tym samym zakładzie wychowawczym, w którym przeszedł szkoły, otrzymał stanowisko prefekta, nadzorcy alumnów, i nauczyciela przedmiotów humanistycznych i filozofii. Zajęcie takie odpowiadało regulaminowi, ale było w zwyczaju, że po niewielu latach wracało się do kolegium, aby w nim uczyć się dalej i ukończyć siedmioletnie studium teologii. Natomiast bratu Naphcie było to wzbronione. Zapadał dalej na zdrowiu; lekarz i przełożeni byli zdania, że tylko służba tam na miejscu, w zdrowym powietrzu, zajęcia wychowawcze i gospodarcze są dlań na razie odpowiednie. Otrzymał wprawdzie pierwsze wyższe święcenia i uzyskał prawo śpiewania epistoły w niedzielę podczas sumy, prawo, z którego zresztą nie korzystał, bo po pierwsze był całkowicie niemuzyczny, a następnie dlatego, że chorobliwie załamujący się jego głos mało się nadawał do śpiewu. Doszedł wszakże tylko do subdiakonatu, na

---

\* Ad haec quid tu? (łac.) — Co ty na to?

\*\* Ut in aliquem gradum quietis in anima perveniat (łac.) — aby osiągnął pewien stopień spokoju duszy.



diakona nie został już wyświęcony, a tym bardziej na księdza; a że krwotoki, się powtarzały i gorączka nie ustępowała, przyjechał więc na koszt zakonu tu w górę, na dłuższą kurację; ciągnęła się ona już szósty rok, a właściwie przestała być kuracją, stała się kategorię wymaganiem życia, które kazało mu przebywać w rozrzedzonym górskim powietrzu; pobyt tu uprzyjemniał sobie tylko nauczając po trosze łaciny w gimnazjum dla chorych...

Tego wszystkiego i dalszych jeszcze szczegółów dowiedział się Hans Castorp od samego Naphty w rozmowach, które z nim prowadził, gdy go odwiedzał w jego jedwabnej celi, sam czy też w towarzystwie Fergego i Wehsala, których tam wprowadził, albo na spacerach, ilekroć go spotkał i z nim razem wracał do Wsi. Dowiedział się tych rzeczy przy różnych okazjach, fragmentarycznie albo też w postaci zwartego opowiadania; sam uważał je za bardzo osobliwe, a nawet domagał się tego od Fergego i Wehsala, którzy je rzeczywiście również za osobliwe uważali: pierwszy z zastrzeżeniem, że wszelkie wyżyny są dla niego niedostępne (to, co przeżył przy wstrząsie opłucnowym, było jedyną rzeczą, która go wyniosła ponad elementarne ludzkie sprawy), drugi zaś z wyraźnym zadowoleniem z powodu pomyślnej kariery istoty niegdyś uciśnionej, kariery, która zresztą, ponieważ nie ma cudów na świecie, już jak gdyby uległa zahamowaniu i załamała się przez wspólną im wszystkim chorobę.

Hans Castorp ze swej strony ubolewał nad tym zastojem i z dumą i troską myślał o szlachetnym Joachimie, który bohaterskim wysiłkiem wyrwał się z oplątującej go jak sieć wymowy Radamantysa i uciekł pod swój sztandar; Hans Castorp wyobrażał go sobie, jak kurczowo się tego sztandaru uchwycił i przysięga mu wierność wzniesionymi trzema palcami prawicy. Tak samo ślubował i Naphta, on także przyjęty został pod sztandar, jak się sam wyraził, wyjaśniając Hansowi Castorpowi istotę swego zakonu. A chociaż przez swe odchylenia i kombinacje był on wyraźnie mniej wierny swemu sztandarowi niż Joachim swojemu — jednakże Hans Castorp, sam przesiąknięty duchem cywilnym i pokojowym, słuchając tego byłego czy przyszłego jezuitę, utrwał się tylko w przekonaniu, że tym obu powinien się wzajem podobać ich stan i powołanie, powinni rozumieć ich pokrewieństwo. Były to bowiem stany wojskowe, jeden tak samo jak drugi, i to w niejednym znaczeniu, bo zarówno ze względu na cechującą oba stany „ascezę”, jak i na panującą w nich hierarchię, posłuszeństwo i hiszpańskie pojmowanie honoru. Zwłaszcza to ostatnie było niezmiernie silne w zakonie jezuitów, który wszak wywodził się z Hiszpanii, a którego regulamin ćwiczeń duchownych — poniekąd odpowiednik regulaminu,

jaki później pruski Fryderyk wydał dla swej piechoty — był pierwotnie zredagowany w języku hiszpańskim, co sprawiało, że Naphta, czy to opowiadając, czy udzielając pouczeń, częstokroć posługiwał się hiszpańskim. Mówił tedy o dos banderas, czyli o dwóch sztandarach, pod którymi skupiają się do wielkiej wojny dwie armie, armia piekła i armia duchowna: druga z nich pod Jerozolimą, gdzie wszystkimi dobrymi dowodzi Chrystus, ich capitán general, a pierwsza na równinach Babilonu, gdzie Lucyfer występuje jako caudillo, czyli herszt...

Czyż zakład „Gwiazda Zaranna” nie był prawdziwą szkołą kadetów, której wychowankowie, podzieleni na „dywizje”, byli ćwiczeni w kapłańsko-wojskowej bienséance i stanowili, jeśli tak rzecz można, połączenie „krochmalonego kołnierzyka” z „hiszpańską kryzą”? Idea honoru i żądza odznaczenia się, która tak wielką rolę odgrywała w zawodzie Joachima, jakże wyraźnie występuje — tak myślał sobie Hans Castorp — również i w tym, w którym Naphta, niestety, z powodu choroby nie zaszedł daleko! Słuchając go miało się wrażenie, że Zakon składa się z samych ambitnych oficerów, opanowanych tą jedną tylko myślą, aby się odznaczyć w służbie (Insignes esse, nazywało się to po łacinie). Opierając się na nauce i regulaminie twórcy zakonu i jego pierwszego generała, Hiszpana Loyoli, czynili oni więcej, spełniali świetniej swą służbę niż ludzie kierujący się jedynie zdrowym rozsądkiem. Przeciwnie, pracę swą wykonywali ex supererogatione, ponad obowiązek, albowiem przeciwstawiali ją nie tylko buntowi ciała (rebellioni carnis), co robi każdy człowiek o przeciętnym zdrowym rozsądku, ale także tym skłonnościom zmysłowym, egoistycznym i światowym, które są normalnie dozwolone. Bo występować bojowo przeciw wrogowi, agere contra, więc działać zaczepnie, znaczy więcej i jest zaszczytniejsze, aniżeli się tylko bronić (resistere). Wroga osłabić i złać! Tak było powiedziane w instrukcji służby polowej, a jej autor, Hiszpan Loyola, był tu znów całkowicie jednomyślny z capitán general Joachima, z Prusakim Fryderykiem i z jego zasadą strategiczną: „Atakować! atakować!”, „Siedzieć wrogowi na karku!” „Attaquez donc toujours!”\*

Przede wszystkim jednak wspólny był obu światom, światu Naphty i Joachima, stosunek do krwi i pewnik, że nie należy się przed nią cofać: w tym szczególnie zgodne były z sobą oba światy, zakony, stany, i dla kogoś, kto wyrósł w atmosferze pokoju, ze wszech miar pouczające były opowiadania Naphty o wojowniczych typach mnichów średniowiecznych, uprawiających ascezę aż do ostateczności, ale zarazem pełnych duchownej żądzy władzy i gotowych nie żałować krwi dla ustanowienia Państwa Bożego i panowania sił nadprzyrodzonych; jego opowiadania o bit-

---

\*Attaquez donc toujours! (franc.) — Atakujcież bezustannie!

nych templariuszach, dla których śmierć w walce z niewiernymi była większą zasługą niż śmierć w łóżku i którzy sądzą, że w imię Chrystusa być zabitym czy zabijać nie jest przestępstwem, lecz największą chwałą. Dobrze było, gdy Settembrini był nieobecny przy tych przemówieniach! Bo jeśli był obecny, to odgrywał rolę zakłócającego spokój kataryniarza, powtarzając wciąż swą piosenkę o pokoju — choć przecież j e d n e j wojny bynajmniej nie potępiał, mianowicie narodowej i cywilizacyjnej wojny z Wiedniem, a tę jego namiętność i słabość Naphta znów traktował z szyderstwem i pogardą. Gdy Włoch rozpromieniał się takimi uczuciami, on przeciwstawiał im chrześcijański kosmopolityzm, twierdził, że każdy kraj jest ojczyzną, a zarazem nie jest nią żaden, i twardo powtarzał powiedzenia generała zakonu nazwiskiem Nickel, że miłość ojczyzny jest „zarazą i najpewniejszą śmiercią miłości chrześcijańskiej”.

Rozumie się, że to asceza kazała Naphcie miłość ojczyzny nazywać zarazą — bo czegoż nie obejmował on tą nazwą, czegoż nie przeciwstawiał ascezie i Państwu Bożemu! Nie tylko przywiązanie do rodziny i rodzinnego kraju, ale także do zdrowia i do życia: z nich to robił humaniście zarzuty, gdy ten wygrywał swą piosenkę o pokoju i szczęściu; wypominał mu kłótliwie miłość cielesną, amor carnalis, i zamiłowanie do wygod cielesnych, commodorum corporis, przykładanie zaś najmniejszej nawet wagi do życia i zdrowia nazywał mu prosto w oczy mieszczańską bezbożnością.

Pewnego dnia, blisko już Bożego Narodzenia, podczas spaceru wśród śniegu do Uzdrowiska i z powrotem, z takiej różnicy zdań wywiązało się wielkie colloquium o zdrowiu i chorobie, w którym wszyscy wzięli udział: Settembrini, Naphta, Hans Castorp, Ferge i Wehsal, wszyscy w stanie podgorączkowym i bliscy drżenia, wszyscy odurzeni i zarazem podnieceni chodzeniem i mówieniem w wysokogórskim mrozie: jedni brali w tej dyskusji udział bardziej czynny, jak Naphta i Settembrini, inni zaś raczej bierny i tylko krótkimi wątpliwościami uzupełniali rozmowę, jednakże wszyscy dyskutowali z takim przejęciem i zapałem, że raz po raz z rozragnienia przystawali i tworzyli grupę ludzi zaaferowanych, gestykulujących, mówiących jeden przez drugiego, tamując przejście i nie troszcząc się o obcych przechodniów, którzy musieli ich okrążyć i którzy również się zatrzymywali, nadstawiali uszu i ze zdziwieniem przysłuchiwali się ich namiętnym wywodom.

Właściwie dyskusja zaczęła się od Karen Karstedt, biednej Karen, z rankami na końcach palców, która niedawno zmarła. Hans Castorp nic nie wiedział o nagłych postępach jej choroby i zgonie; inaczej byłby chętnie wziął po koleżeńsku udział w pogrzebie — zwłaszcza że miał nietajone upodobanie do pogrzebów w ogóle.

Jednakże lokalna dyskrekcja sprawiła, że za późno dowiedział się o odejściu Karen, gdy ta zajęła już definitywnie poziomą pozycję w ogrodzie z amorkiem przykrytym krzywą czapą śnieżną. Requiem aeternam... wspomnieniu jej poświęcił parę życzliwych słów, które skłoniły pana Settembriniego do drwin z jego charytatywnej działalności, z odwiedzania przezeń Leili Gerngross, handlowo myślącego Rotbeina, przepełnionej pani Zimmermann, chełpliwego syna Tous-les-deux, udręczonej Natalii von Mallinckrodt, a potem jeszcze rozwodził się nad kosztownymi kwiatami, za pomocą których inżynier objawiał swe oddanie temu beznadziejnemu i śmiesznemu rodzajowi ludzi. Hans Castorp zwrócił na to uwagę, iż ci, którzy korzystali z jego uprzejmości, z tymczasowym wyjątkiem pani von Mallinckrodt i małego Teddy, całkiem na serio pomarli, na co Settembrini zapytał, czy się przez to stali bardziej godnymi szacunku. Ale przecież istnieje coś, odparł Hans Castorp, co by można nazwać chrześcijańskim poszanowaniem niedoli ludzkiej. Zanim jeszcze Settembrini zdążył go za to skarcić, Naphta zaczął mówić o znanej ze średniowiecza pobożnej przesadzie w czynieniu miłosierdzia, o zdumiewających wypadkach fanatyizmu i ekstazy przy pielęgnowaniu chorych; córki królewskie całowały cuchnące rany trędowatych, umyślnie się od nich zarażały i wtedy wrzody swe nazywały różami, piły wodę, którą obmywały ropiejące rany, i potem twierdziły, iż nigdy im nic bardziej nie smakowało.

Settembrini udawał, że mu się zbiera na wymioty. Przewracają się w nim flaki, mówił, nie tyle z powodu tego, co jest fizycznie wstrętne w tych obrazach i wyobrażeniach, ile z powodu potwornego obłędu, jaki wychodzi na jaw w takim pojmowaniu czynnej miłości bliźniego. Wyprostował się i odzyskał swą pogodną powagę dopiero wtedy, gdy zaczął mówić o nowocześnie postępowych formach humanitarnej opieki społecznej, o zwycięskim zwalczaniu epidemii i owym okropnościami przeciwstawił higienę, reformę społeczną i zdobycze nauki lekarskiej. Rzeczy te, szanowane w burżuazyjnym środowisku, odparł Naphta, niewiele by jednak pomogły w tamtych stuleciach; nie byłyby wtedy pomogły ani jednemu, ani drugiemu: ani chorym i cierpiącym, ani też zdrowym i szczęśliwym, którzy, jeśli byli dobroczyńni, to nie tyle z miłosierdzia, ile dla zbawienia własnej duszy. Skuteczne reformy społeczne byłyby jednym odebrały najważniejszy sposób zadośćuczynienia za grzechy, a drugim — ich świętość. Toteż trwałe utrzymywanie nędzy i choroby było w interesie obu stron, i pogląd ten pozostaje w mocy, póki jest w mocy czysto religijny punkt widzenia.

Jest to brudny punkt widzenia, oświadczył Settembrini, i pogląd tak niemądry, że zwalczanie go jest prawie poniżej jego godności. Bo idea „świętości”, a także to, co inżynier pod cudzym wpływem powiedział o „chrześcijańskim poszanowaniu

niedoli”, jest szachrajstwem, polega na złudzeniu, na błędnym odczuciu, na grubej psychologicznej pomyłce. Zdrowy ma dla chorego współczucie, które egzaltuje do tego stopnia, że przekształca je w cześć dla chorego, dlatego że nie wie, jak by sam zniósł podobne cierpienie; współczucie takie jest w wysokim stopniu przesadzone, choremu się wcale nie należy i jest wynikiem błędu w myśleniu i wyobrażeniu, pochodzącego stąd, że zdrowy podsuwa choremu swój własny sposób przeżywania i wyobraża sobie rzecz tak, jak gdyby chory był zdrowym, mającym znosić cierpienia chorego — co jest całkowicie błędne. Bo chory jest właśnie chorym i ma usposobienie i sposób przeżywania właściwy choremu; choroba tak już usposabia swego wybrańca, aby mogli nawzajem z sobą dojść do ładu — występują wówczas zjawiska zmniejszonej wrażliwości, zaniku funkcyj, błogosławione narkozy, duchowe i moralne środki, jakimi natura rozporządza, aby chory mógł się przystosować i doznać ulgi — a tymczasem człowiek zdrowy naiwnie przestaje liczyć się z tym wszystkim. Najlepszym przykładem jest tu w górze cała ta banda chorych na płuca, jej lekkomyślność, głupota, rozwiązłość i brak szczerzej woli odzyskania zdrowia. Krótko mówiąc, niech tylko zdrowy, ze współczucia czczący chorych, sam przestanie być zdrowym i zachoruje, to przekona się, że chorowanie jest rzeczywiście stanem swoistym, jednakże wcale nie zaszczytnym, i że on brał je o wiele za poważnie.

Tu uniósł się Anton Karłowicz Ferge i zaczął bronić wstrząsu opłucnowego przed zniesławieniem i lekceważeniem. Co? Jak? Zanadto na serio bierze się jego wstrząs? Bardzo za to dziękuje i wyprasza to sobie! Jego wielka grdyka i dobroduszne wąsy poruszały się w górę i w dół i wypraszały sobie wszelkie lekceważenie tego, co wówczas przeżył. Jest tylko zwykłym sobie człowiekiem, agentem od ubezpieczeń, wszelkie wyżyny są dlań niedostępne — i nawet już ta rozmowa przekracza znacznie jego widnokreśli. Ale jeśli pan Settembrini chce na przykład także wstrząs opłucnowy podciągać pod to, co mówił — to piekielne łaskotanie, zapach siarki i te trzy barwne omdlenia — to on to sobie wyprasza i dziękuje najuprzejmiej. Bo nie było wówczas ani śladu żadnego zmniejszenia wrażliwości, nie było błogosławionych narkoz ani złudzeń wyobraźni, to, co przeżył, było największym i najjaśniejszym łajdactwem pod słońcem, i kto tego nie doświadczył tak jak on, ten o tej podłej rzeczy w ogóle nie może...

— Aj, aj, aj! — powiedział Settembrini. Kollaps pana Fergego staje się coraz wspanialszy, w miarę jak czas upływa, nosi on go prawie jak święci glorię dokoła głowy. On, Settembrini, mało ma szacunku dla chorych, domagających się, aby ich podziwiać. Sam jest chory, i to poważnie; ale jest skłonny, i wcale nie z afektacji, raczej się tego wstydzić. Zresztą jego wywody są bezosobiste, filozoficzne, a to, co

zauważył o przeżyciach ludzi zdrowych i chorych, ma mocne podstawy, niechże panowie przypomną sobie choroby umysłowe, na przykład halucynacje. Gdyby którykolwiek z towarzyszących mu teraz panów, na przykład inżynier lub pan Wehsal, dziś wieczór o zmroku w kącie pokoju ujrzał swego zmarłego ojca, który by nań patrzył i doń przemawiał, to byłoby to dla każdego z nich czymś po prostu przeraźliwym, byłoby przeżyciem wstrząsającym i obłądnym, pod wpływem którego zwątpiłby w swe zmysły i rozum, opuściłby niezwłocznie pokój i poddał się kuracji u neurologa. Czyż nie? Ale cały dowcip polega na tym, że się to panom nie może zdarzyć, bo są umysłowo zdrowi. Gdyby się jednak zdarzyło, to byłiby nie zdrowi, lecz chorzy, i nie reagowaliby tak jak zdrowi, to znaczy przerażeniem i ucieczką, lecz przyjęliby zjawę, jak gdyby była czymś naturalnym, i wdaliby się z nią w konwersację, jak to właśnie robią ci, co miewają halucynacje; a przypuszczenie, że halucynacja wywołuje w nich zdrowe przerażenie, jest właśnie tym błędem wyobraźni, który się przytrafia niechorym.

Pan Settembrini bardzo zabawnie i plastycznie mówił o ojcu w kącie pokoju. Wszyscy musieli się śmiać, nawet Ferge, choć był dotknięty lekceważeniem jego piekielnej przygody. Humanista zaś skorzystał z wesołości, jaką wzbudził, by przedstawić i uzasadnić twierdzenie, że nie należy żywić szacunku dla tych, co podlegają halucynacjom, i dla żadnych w ogóle pazzi\*: ludzie ci, mówił, w niedopuszczalny sposób pozwalają sobie na wiele rzeczy, a nieraz od nich tylko zależy, by opanowali swe szaleństwo, jak to obserwował odwiedzając przygodnie domy wariatów. Bo gdy na progu ukazuje się lekarz lub ktoś obcy, wtedy chory, podlegający halucynacji, przestaje wykrzywiać twarz, mówić i wymachiwać rękami i zachowuje się przyzwoicie, póki wie, że mu się przyglądają, potem zaś znów sobie na to wszystko pozwala. Niewątpliwie bowiem w wielu wypadkach pomieszenie zmysłów jest pozwalaniem sobie, ucieczką przed wielkim zmartwieniem, środkiem ochronnym słabych natur przed nazbyt dla nich ciężkimi ciosami losu, których przy zdrowych zmysłach nie mogliby — jak sądzą — znieść. Tu jednak może każdy — by tak rzec — wkroczyć i on, Settembrini, przywiódł już, częściowo przynajmniej, niejednego pomyłonego do zdrowych zmysłów, a przywiódł go samym tylko spojrzaniem, przeciwstawiając bredniom chorego postawę nieubłaganego rozsądku.

Naphta śmiał się szyderczo, gdy tymczasem Hans Castorp zapewniał, że gotów panu Settembriniemu wierzyć na słowo. Gdy sobie wyobrazi, jak się to on pod wąsem uśmiechał i niezłomną logiką przygważdżał owego nienormalnego nieszczęśnika, to rozumie, że tamten musiał się opanować i oddać cześć jasnemu myśleniu,

---

\* Pazzi (wł.) — wariaci.

choć naturalnie odczuwał pojawienie się pana Settembriniego jako niepożądaną przeszkodę... Ale Naphta również bywał w zakładach dla obłąkanych i przypominał sobie, jak w „niespokojnym pawilonie” jednego z nich oglądał sceny, wobec których rozumne spojrzenie i wychowawcze działanie pana Settembriniego nic by nie pomogło; były to dantejskie sceny, groteskowe obrazy grozy i męki: rozebrani do naga szaleńcy, trzymani nieustannie w kąpielu, we wszystkich pozach lęku i osłupienia ze zgrozy, jedni głośno biadali, inni z podniesionymi ramionami i rozwartymi ustami wybuchali śmiechem, w którym zmieszane były wszystkie składniki piekła...

— Aha — rzekł pan Ferge i pozwolił sobie przypomnieć własny śmiech, jakim wybuchnął wówczas przychodząc do siebie.

Krótko więc mówiąc, niezłomna pedagogika pana Settembriniego mogłaby się schować przed tym, co się widzi w „niespokojnym pawilonie”, dreszcz religijnej czci jest w stosunku do tego bardziej ludzką reakcją niż to zadzierające nosa moralizowanie w imię rozumu, które nasz najświatlejszy rycerz słońca i wikariusz Salomona raczył tu stosować wobec obłądu.

Hans Castorp nie zdążył zastanowić się nad tytułami, jakimi Naphta obdarzył znów pana Settembriniego. Pomyślał sobie, że wyjaśni to przy pierwszej okazji. Na razie jednak tocząca się rozmowa pochłaniała w całości jego uwagę; Naphta bowiem w cięty sposób przedstawił ogólne tendencje, jakie skłoniły humanistę do wywyższania zdrowia a zniesławiania i poniżania choroby — ale zaznaczył też, że w takim stanowisku objawia się godne uwagi i bez mała godne uznania samozaparcie, bo przecież pan Settembrini sam jest chory. Jego postawa pełna godności, niemniej jednak fałszywa, jest wynikiem jego kultu ciała, który byłby usprawiedliwiony jedynie w razie, gdyby ciało znajdowało się w swym pierwotnym, od Boga się wywodzącym stanie, nie zaś w stanie poniżenia, in statu degradationis. Bo choć zostało stworzone jako nieśmiertelne, to jednak natura jego uległa zepsuciu na skutek grzechu pierworodnego, doznało ono skażenia i stało się czymś obrzydliwym, stało się więzieniem i karą dla duszy, czymś mogącym wzbudzać jedynie uczucie wstydu i zmieszania, pudoris et confusionis sensum, jak to mówił św. Ignacy.

— Uczuciu temu — zawołał Hans Castorp — dał przecież wyraz także humanista Plotyn. — Ale pan Settembrini, wyrzuciwszy rękę ponad głowę, wezwał go, by nie mieszał z sobą różnych punktów widzenia i aby się zachowywał raczej biernie.

Tymczasem Naphta wyprowadzał cześć, oddawaną niedoli ciała w średniowieczu chrześcijańskim, stąd, że dla względów religijnych patrzyło ono z aprobatą na cierpienie fizyczne. Bo ropiejące wrzody ciała stawiają przed oczy nie tylko jego upadek, ale także odpowiadają jadowitemu zepsuciu duszy, i to w sposób budujący

i budzący duchowe zadośćuczynienie — podczas gdy rozkwit ciała zwodzi tylko i obraża sumienie, więc też w najwyższym stopniu słusznie chciano się go wyprzeć, schylając czoło przed ułomnościami. Quis me liberabit de corpore mortis hujus? Któż mnie wybawi z ciała tej śmierci? Był to głos ducha, który na wieki był głosem prawdziwej ludzkości.

Nie, to był głos nocy, wedle pana Settembriniego, który z przejęciem wypowiedział swój pogląd — był to głos świata, któremu nie wzeszło jeszcze słońce rozumu i humanitaryzmu. Tak, choć jego cielesna istota jest zatruta, to duch jego pozostał dostatecznie zdrow i dostatecznie wolny od zarazy, aby klerykalnemu Naphcie skutecznie stawiać czoło w rzeczach ciała, a dworować sobie z duszy. Zapędził się aż tak, że sławił ciało ludzkie jako prawdziwą świątynię Boga, wobec czego Naphtha oświadczył, iż jest ono jedynie zasłoną między nami a wiecznością, co znów sprawiło, że Settembrini zabronił mu używania wyrazu „ludzkość” — i tak dalej.

Ze zdrętwiałymi od mrozu twarzami, z gołymi głowami, stąpali w śniegowcach po twardo skrzypiącym, popiołem posypanym śniegu, którego pokrywa narosła nad chodnikiem, to znów brnęli przez sypkie masy śniegu na jezdni, płużąc je nogami. Settembrini w kurtce zimowej, której kołnierz bobrowy i wyłogi rękawów były tak wytarte, że wyglądały jak parszywe, którą on jednak umiał nosić z elegancją, a Naphtha w czarnym płaszczu po kostki, wysoko zapiętym, na futrze, ale nie zdradzającym tego na zewnątrz, spierali się o te zasady jak o sprawy najbardziej osobiste, przy czym zdarzało się często, że zwracali się nie do siebie, lecz do Hansa Castorpa, któremu jeden po drugim wykladał i przedstawiał swoje stanowisko, jedynie głową czy wielkim palcem wskazując przeciwnika. Mieli go między sobą, on zaś zwracając głowę to w jedną, to w drugą stronę, potakiwał bądź jednemu, bądź drugiemu, bądź znów zatrzymując się i pochylając skośnie górną część ciała i gestykulując ręką w podbitej futrem rękawicze z kozłej skóry wypowiadał swoje, oczywiście bardzo nieudolne poglądy, podczas gdy Ferge i Wehsal to krążyli dokoła nich trzech, przed nimi lub za nimi, to znów posuwali się w jednym z nimi szeregu, póki go ruch uliczny znowu nie załamał.

Wtrącane w dyskusje uwagi sprawiły, że przeskoczyła na bardziej realne tematy i w szybkim tempie a przy wzrastającym udziale wszystkich objęła zagadnienia krematoriów, kary cielesnej, tortur i kary śmierci. Kwestię chłosty podniósł Ferdynand Wehsal, a z tematem tym, jak zauważył Hans Castorp, było mu do twarzy. Nie zdziwiło nikogo, że pan Settembrini w przejrzystych słowach, powołując się na godność ludzką, wypowiedział się przeciw tej wstrętnej metodzie w pedagogice, a tym bardziej w wymiarze sprawiedliwości; nie zdziwił również, ale jednak zaskoczył swą



ponurą bezczelnością Naphta, przemawiając za używaniem kija. Według niego nie miało tu sensu bajdurzyć o godności ludzkiej, bo prawdziwa nasza godność tkwi nie w ciele, lecz w duchu; a że dusza ludzka nazbyt jest skłonna rozkosze życiowe czerpać z ciała, przeto cierpienie, jakie się ciału zadaje, jest godnym polecenia sposobem, aby obrzydzić rozkosz cielesną i wpędzić ją niejako z powrotem z ciała do ducha, bo przez to może duch znów obejmie nad człowiekiem władzę. Uważanie chłosty za karę szczególnie hańbiącą jest zarzutem bardzo niemądrym. Konrad z Marburga, spowiednik św. Elżbiety, wychłostał ją do krwi, i przez to, jak mówi legenda, „dusza jej została porwana aż do trzeciego chóru”, a i ona sama obija różgą pewną biedną starszą kobietę, zbyt ospałą, aby iść do spowiedzi. Czyżby ktokolwiek poważał się na serio za barbarzyńskie i nieludzkie uważać samobiczowanie, jakiemu dla wzmocnienia sobie ducha poddawali się członkowie niektórych zakonów i sekt oraz w ogóle osoby głęboko religijne? Przekonanie, iż ustawowe zniesienie bicia w krajach o wysokiej rzekomo kulturze stanowi rzeczywisty postęp, jest przez to jeszcze bardziej komiczne, że jest tak niewzruszone.

No, twierdził Hans Castorp, można się bezwarunkowo na to zgodzić, że jeśli się przeciwstawia ciało i ducha, to zła, szatańska zasada jest ucieleśniona przez ciało... ha, ha, ucieleśniona... o ile ciało naturalnie jest naturą — naturalnie naturą to też się nieźle udało! — a natura w przeciwieństwie do ducha i rozumu jest zdecydowanie zła, zła mistycznie, jak można by powiedzieć, jeśliby się chciało — korzystając ze swego wykształcenia i wiedzy — pozwolić sobie na ryzykowne wyrażenie. Jeśli przyjmie się ten punkt widzenia, to jest już prostą konsekwencją odpowiednio traktować ciało, mianowicie dla utrzymania go w dyscyplinie dostarczać mu środków, które by — jeśliby się znów chciało wyrazić ryzykownie — można nazwać mistycznie złymi. Jeśli pan Settembrini, wówczas gdy mu słabość ciała nie pozwoliła jechać na kongres postępowców w Barcelonie, miał u boku jakąś świętą Elżbietę, to może...

Śmiano się, a że humanista bliski był wybuchnięcia gniewem, Hans Castorp jął szybko opowiadać o razach, jakie sam niegdyś był dostał: w jego gimnazjum w niższych klasach kara taka była jeszcze stosowana, były tam szpicruty, a choć ze względu na jego pozycję towarzyską nie dotknął go żaden z nauczycieli, to jednak pewien silniejszy kolega, ordynarny drażal, obił go raz giętym kijem po udach i po łydkach, osłoniętych tylko pończochami; bolało haniebnie, nikczemnie, nie do zapomnienia, po prostu mistycznie, sromotnie zanosił się od przerywanego łkania i łzy mu trysnęły ze złości i niecnego bólu (słowo „ból” brzmiało po niemiecku jak nazwisko Wehsala, więc go za swe powiedzenie przeprosił). Hans Castorp czytał

później, że w więzieniach najzatatwardzialsii mordercy po otrzymaniu kary cielesnej płaczą jak dzieci.

Podczas gdy pan Settembrini zakrył twarz obu rękami w bardzo zniszczonych skórzanych rękawiczkach, Naphta ze spokojem męża stanu zapytał, jak się ma poskramiać niepoprawnych przestępców, jeśli nie za pomocą kajdan i kijów, które zresztą odpowiadają stylowi więzień i są w nich na miejscu; humanitarne więzienie jest estetycznym półśrodkiem, kompromisem, a pan Settembrini, choć posiada sztukę krasomówczą, wcale się w gruncie rzeczy na pięknie nie rozumie. Co się zaś jeszcze tyczy pedagogiki, to, wedle Naphty, pojęcie godności ludzkiej u tych, co by chcieli całkowicie wyeliminować cielesne środki wychowawcze, ma swe korzenie w liberalnym indywidualizmie z okresu mieszczańskiego humanitaryzmu, w oświeconym absolutyzmie jednostki, który jest już bliski wymarcia i ma ustąpić miejsca dojrzewającym już, mniej zniewieściałym ideom społecznym, ideom spójności i nacisku, przymusu i posłuszeństwa, które nie mogą się obejść bez świętego okrucieństwa i które też na karanie bezdusznego ciała każą patrzeć innymi oczami.

— Dlatego mówi się o bezdusznym posłuszeństwie — zadrwił Settembrini; a Naphta dorzucił, że skoro Bóg jako karę za grzechy skazał nasze ciało na straszną hańbę rozkładu, to ostatecznie nie jest obrazą majestatu, jeśli to samo ciało dostanie raz baty — i od razu zaczęto mówić o paleniu zwłok.

Settembrini oświadczył się za ich paleniem. W ten sposób zapobiega się owej hańbie rozkładu, rzekł wesoło. Względny na celowość a także motywy ideowe każą ludzkości szukać środków zaradczych. I oświadczył, że bierze udział w przygotowaniach do międzynarodowego kongresu w sprawie palenia zwłok, który prawdopodobnie zbierze się w Szwecji. Projektuje się wystawę wzorowego krematorium, urządzonego zgodnie ze wszystkimi dotychczasowymi doświadczeniami, a także hali z urnami, i można się spodziewać, że wystawa stanie się dla spraw tych potężnym bodźcem i zachętą. Jakże zacofanym i przestarzałym sposobem jest grzebanie zwłok — wobec nowoczesnych warunków życia. Rozrastanie się miast! A wypieranie na ich peryferie tak zwanych cmentarzy, które zajmują tyle przestrzeni! a ceny terenów! a uprozaicznienie pogrzebów wobec konieczności posługiwania się nowoczesnymi środkami lokomocji! Pan Settembrini umiał o wszystkich tych rzeczach mówić trzeźwo a trafnie. Kpił z postaci złamanego wdowca, codziennie odbywającego pielgrzymkę do grobu drogiej zmarłej, aby tam na miejscu wieść z nią rozmowy. Taki miłośnik sielanki musi mieć zadziwiający nadmiar najcenniejszego dobra życiowego, jakim jest czas — zresztą nieustanny ruch na nowoczesnych cmentarzach centralnych na pewno obrzydziłby mu błogość, jakiej tam atawistycz-

nie doznaje. Zniszczenie ciała w żarze ognia — jakaż to czysta, higieniczna, pełna godności, a nawet wręcz heroiczna koncepcja w porównaniu z tą, która pozostawia ciało własnemu rozkładowi i asymilacji przez niższe organizmy! Nowy sposób postępowania liczy się też bardziej z uczuciem, z ludzką potrzebą przetrwania. W ogniu bowiem ulegają zniszczeniu te składniki ciała, które z natury swej są zmienne i już za życia ulegają przemianie materii; natomiast te, które proces ten najmniej dotyka, które prawie bez zmiany towarzyszą człowiekowi w ciągu jego dojrzałej egzystencji, te są zarazem najmniej palne, tworzą mianowicie popiół, i gdy pozostali przy życiu zbierają popioły zmarłego, to zbierają to, co w nim było nieprzemijające.

— Ślicznie — rzekł Naphta — to jest bardzo a bardzo miłe. Nieprzemijające części człowieka, czyli — popiół.

Ach, naturalnie. Naphta chciałby utrzymać ludzkość na jej irracjonalnym stanowisku wobec faktów biologicznych; stoi on na pierwotnym religijnym szczeblu, na którym śmierć jest czymś przerażającym, osnutym tajemniczą grozą, która nie pozwala wzrokiem jasnego rozumu patrzeć na to zjawisko. Co za barbarzyństwo! Lęk przed śmiercią pochodzi z okresów najniższej kultury, gdy ludzie umierali z reguły śmiercią gwałtowną, i zgroza, jaka w tym istotnie tkwiła, na długo skojarzyła się w uczuciach ludzkich z myślą o śmierci. Natomiast później dzięki rozwojowi nauki lekarskiej i zwiększeniu bezpieczeństwa osobistego śmierć naturalna stopniowo stawała się normą, i dla współczesnego człowieka pracy myśl o wiecznym spoczynku po odpowiednim zużyciu sił nie jest już rzeczą straszną, lecz, przeciwnie — normalną i pożądaną. Nie, śmierć nie ma w sobie ani grozy, ani tajemniczości, jest jednoznacznym, rozumnym, fizjologicznie koniecznym i pożądanym zjawiskiem, i dłuższe niż należy zastanawianie się nad nią byłoby okradaniem życia. Dlatego też projektuje się, aby do owego wzorowego krematorium i do hali urn, a więc do „hali śmierci”, dobudować „halę życia”, w której architektura, malarstwo, rzeźba, muzyka i poezja wspólnie pracowałyby nad tym, aby umysł żyjących oderwać od myśli o śmierci, od tępej żałoby, od beczynnej skargi i aby go skierować ku dobrom życia...

— I to czym prędzej! — drwił Naphta. — Byle nie za długo oddawał posługę zmarłym, byle nie szedł za daleko w rozmyślaniu nad tak prostym faktem, bez którego, co prawda, nie byłoby w ogóle ani architektury, ani malarstwa, ani rzeźby, ani muzyki, ani poezji.

— Dezerteruje pod sztandar — rzekł Hans Castorp marzycielsko.

— Niezrozumiałość pańskiego powiedzenia, inżynierze — odpowiedział mu

Settembrini — pozwala się domyślać, iż jest godne potępienia. Przeżycie śmierci musi być ostatecznie przeżyciem życia, inaczej jest tylko widmem.

— Czy w „hali życia” będą umieszczone nieprzyzwoite symbole, jak na niektórych starożytnych sarkofagach? — pytał poważnie Hans Castorp.

— W każdym razie będzie tam tłusty pokarm dla zmysłów — stwierdził Naphta. — Klasycystyczny smak uczyni, że w marmurze i farbie olejnej błyszczyć będzie ciało, grzeszne ciało, wyrwane gniciu. I nie może to dziwić, bo wszak z tkliwości nie chciano ciała tego nawet chłostać...

Tu wmieszał się Wehsal poruszając temat tortur; było mu z nim do twarzy. Stosowanie tortur przy przesłuchiowaniu — co panowie sądzą o tym? On, Ferdynand, w swoich podróżach za interesami chętnie korzystał z okazji, by w ośrodkach starej kultury zwiedzać owe tajemnicą okryte miejsca, w których niegdyś uprawiano ten sposób badania sumień. Dzięki temu poznał on katownie Norymbergi, Ratyzbony i chcąc rozszerzyć swe wykształcenie rozejrzał się tam dokładniej. Istotnie, pragnąc dobra duszy, bardzo niedelikatnie obchodzono się tam z ciałem i czyniono to na różne pomysłowe sposoby. A nawet krzyków nie bywało. Gruszkę wciskano w otwarte usta, słynną gruszkę, która już sama przez się nie była przysmakiem... i od razu zapanowywała cisza, choć robiło się dalej swoje...

— Porcheria — mruknął Settembrini.

Ferge oświadczył, że gruszka i robienie po cichu swojego to ohyda. Ale czegoś ohydniejszego niż obmacywanie opłucnej nawet wówczas nikt nie zdołał wymyślić.

Robiono to dla jego zdrowia!

Zatwardziałość duszy i obrażona sprawiedliwość są jednak usprawiedliwieniem dla przejściowego braku współczucia. Po wtóre, tortury były wynikiem jedynie racjonalnego postępu.

Naphta nie jest chyba przy zdrowych zmysłach.

Owszem, jest dostatecznie. Pan Settembrini jest pięknoduchem, i najwyraźniej w danej chwili nie uświadamia sobie historii postępowania sądowego w średniowieczu. W samej rzeczy dokonała się w niej stopniowa racjonalizacja, mianowicie w ten sposób, że na podstawie racjonalnych rozważań Bóg usuwany był stopniowo z wymiaru sprawiedliwości. Wyrzeczono się sądów Bożych, bo nie można było nie zauważyć, że zwycięża silniejszy, nawet gdy nie ma słuszności. Właśnie ludzie w rodzaju pana Settembriniego, wątpiący i krytykujący, zauważyli to i dzięki temu miejsce starego naiwnego przewodu sądowego zajęła inkwizycja, która już nie liczyła na to, że Bóg sam wkroczy w obronie prawdy, lecz zmierzała ku temu, by od

samego oskarżonego uzyskać wyznanie prawdy. Nikt nie powinien być skazany, kto się do winy nie przyzna — jak to można dziś jeszcze zauważyć wśród ludu; głęboko zakorzeniony instykt powiada, że choćby łańcuch dowodów był całkowicie zamknięty, to jednak wyrok jest odczuwany jako nieprawny, jeśli oskarżony nie przyznał się do winy. Jak to osiągnąć? Jak uzyskać prawdę opartą na czymś więcej niż na poszlakach i podejrzeniach? Jak człowiekowi, który ją ukrywa, który jej odmawia, zajrzeć do serca, do mózgu? Ponieważ duch ma złą wolę, to nie pozostawało nic innego jak tylko zwrócić się do ciała, do którego łatwiejszy jest dostęp. Tortura jako środek wydobycia niezbędnego przyznania się do winy była nakazem rozumu. Ale tym, który domagał się procesów z przyznaniem się do winy i który je wprowadził, był pan Settembrini, on więc jest inicjatorem tortur.

Humanista prosił pozostałych panów, aby temu nie wierzyli. To diabelskie żarty. Gdyby wszystko się odbyło tak, jak poucza pan Naphta, gdyby rzeczywiście rozum był wynalazcą okropności, dowodziłoby to tylko, jak bardzo potrzebuje on podpory i oświecenia i jak niesłusznie wyznawcy instyktu naturalnego obawiają się, że może być kiedyś nadmiar rozumu na ziemi. Przedmówca jest jednak niezawodnie w błędzie. Owe okropności spotykane w wymiarze sprawiedliwości chociażby dlatego nie mogą obciążyć rozumu, że wyrosły z wiary w piekło. Proszę się tylko rozejrzeć po muzeach i katowniach: te szczypce, obcęgi, śruby i piły powstały najwyraźniej z dziecięcą otumanioną wyobraźnią, ze złośliwej chęci naśladowania tego, co na tamtym świecie dzieje się w miejscach kary wiekuiestej. A przy tym ludzie ci działali w przekonaniu, że przychodzą złoczyńcy z pomocą. Przyjmowali, że jego biedna dusza mocuje się z sobą, chcąc przyznać się do winy, a tylko ciało jako zasada zła przeciwstawia się tym jej lepszym chęciom. Sądzieli wręcz, że mu wyrządzą przysługę, łamiąc torturą jego ciało. Ascetyczne szaleństwo...

Czy podlegali mu także dawni Rzymianie?

Rzymianie? Ma chère!

Bo oni także znali tortury jako sposób prowadzenia procesu.

Jest w tym trudność logiczna... Chcąc się jej pozbyć Hans Castorp poruszył zagadnienie kary śmierci, jak gdyby to była jego rzecz kierować taką rozmową. Tortury zostały zniesione, mówił, chociaż sędziowie śledczy mają nadal swoje sposoby, aby skruszyć oskarżonego. Natomiast kara śmierci wydaje się nieśmiertelna, nie do uniknięcia. Stosują ją najbardziej cywilizowane narody. Z deportacją Francuzi porobili jak najgorsze doświadczenia. Po prostu nie wiadomo, co by w praktyce należało robić z niektórymi podobnymi do ludzi istotami, jeśli się nie chciało ich skracać o głowę.

Nie są to „istoty podobne do ludzi” — pouczał go pan Settembrini — są ludźmi jak on, inżynier, i jak sam mówiący — tylko mają słabą wolę i są ofiarami wadliwego społeczeństwa. I opowiedział o zbrodniarzu, wielokrotnym mordercy, należą-cym do tego typu, który prokuratorzy zwykli w swych przemówieniach określać jako „zezwierzęcony”, jako „bestię w ludzkim ciele”. Człowiek ten pokrył ściany swej celi wierszami. I nie były to wcale złe wiersze — były znacznie lepsze od tych, które może kiedyś komponowali prokuratorzy.

— Rzuca to szczególne światło na sztukę — odparł Naphta. — Ale poza tym nie ma w tym nic godnego uwagi.

Hans Castorp oczekiwał, że pan Naphta będzie za utrzymaniem egzekucji. Naphta, rzekł, jest tak samo rewolucjonistą jak pan Settembrini, ale w sensie zachowawczym, jest rewolucjonistą w imię konserwatyzmu.

Świat, mówił uśmiechając się i pewny siebie pan Settembrini, przejdzie do porządku nad rewolucją antyhumanistycznej reakcji. Pan Naphta woli już rzucać podejrzenia na sztukę aniżeli przyznać, że nawet najniegodziwszego uświęca ona tak, iż czyni zeń człowieka. Takim fanatyzmem nie pozyska się szukającej światła młodzieży. Właśnie powstała międzynarodowa Liga, stawiająca sobie za cel zniesienie kary śmierci we wszystkich kulturalnych krajach. Pan Settembrini ma zaszczyt do niej należeć. Miejsce jej pierwszego kongresu będzie dopiero wyznaczone, ale ludzkość może być spokojna, że mówcy których się wówczas usłyszy, uzbroją się w nie lada argumenty! I sam przytoczył argumenty, między innymi ten, że zachodzi zawsze możliwość popełnienia omyłki sądowej, wydania błędnego wyroku śmierci, a także, że nigdy nie należy tracić nadziei na poprawę; zacytował nawet słowa „Mojąć jest pomsta”<sup>\*</sup> i pouczał, że państwo, jeśli ma na oku uszlachetnianie, a nie przemoc, nie powinno złem odpłacać za zło; w końcu odrzucił pojęcie „kary”, potępiwszy poprzednio ze stanowiska naukowego determinizmu także pojęcie „winy”.

Potem jednak „szukająca światła młodzież” musiała patrzeć na to, jak Naphta argumentom tym, jednemu za drugim, ukrecał łeb. Drwił z lęku przed krwią u tego przyjaciela ludzkości i z jego kultu życia, twierdził, że takie poszanowanie życia jednostek cechuje jedynie najpłytsze mieszczańskie, tchórzem podszyte okresy historii, ale niech się choć trochę wzmogą namiętności i niech się pojawi jakakolwiek idea, wyrastająca ponad ideę „bezpieczeństwa”, niech więc w grę wejdzie cokolwiek bądź ponadosobowego, ponadindywidualnego — a jest to jedyny stan godny człowieka, a więc w głębszym znaczeniu jedyny stan normalny — zawsze wtedy życie jednostki nie tylko bez wahania będzie poświęcone wyższej myśli, ale

---

\* Pismo święte, Księgi Mojżeszowe V, 32, 35. Przekład Wujka.

same jednostki będą je narażały dobrowolnie i bez zastrzeżeń. Filantropia pana opo-  
nenta, rzekł, pracuje nad tym, by życiu odebrać wszystkie cięższe i poważne  
akcenty; razem z determinizmem tak zwanej nauki zmierza do skastrowania życia.  
Ale naprawdę — determinizm nie tylko nie znosi pojęcia winy, lecz dodaje mu jesz-  
cze wagi i grozy. Dobrze sobie. Może jeszcze zażąda, aby nieszczęsna ofiara społec-  
zeństwa na serio poczuwała się do winy i z przekonaniem szła na ścięcie.

Nie inaczej. Przestępca jest swą winą przesiąknięty jakby sam z siebie. Jest  
bowiem taki, jaki jest, nie może i nie chce być innym, i na tym właśnie polega jego  
wina. Rozprawiając dalej, pan Naphta przesunął winę i zasługę, ze sfery empirycz-  
nej w metafizyczną. W działaniu, w czynie, mówił, istotnie panuje zdeterminowa-  
nie, nie ma w nim wolności, natomiast jest ona w bycie. Człowiek jest taki, jakim  
chciał być i jakim aż do swej zagłady nie przestanie chcieć być: jeśli „nad życie”  
pragnął mordować, to płacąc życiem, nie płaci ceny zbyt wysokiej. Niech umiera,  
bo pokutuje za najgłębszą rozkosz.

— Za najgłębszą rozkosz?

— Za najgłębszą.

Zacisnęli usta. Hans Castorp zakaszłał. Wehsal wykrzywił szczękę. Pan Ferge  
westchnął. Settembrini zauważył subtelnym tonem:

— Widać, że można rzecz tak uogólnić, iż daje się jej zabarwienie osobiste. Dla  
pana byłoby rozkoszą zabijać?

— To nie pańska sprawa! A gdyby tak było, to śmiałybym się w twarz humanitar-  
nej głupocie, gotowej żywić mnie potem aż do mej naturalnej śmierci. Nie ma  
sensu, aby morderca miał żyć dłużej od zamordowanego. Sami w cztery oczy sprzę-  
gli się tajemnicą, podobnie jak w tylko jednej jeszcze innej, pokrewnej okoliczności  
zwykły to czynić dwie istoty, jedna bierna, a druga czynna. Tajemnica ta połączyła  
ich na zawsze. Należą już do siebie.

Settembrini oświadczył chłodno, że brak mu organu dla takiego mistycyzmu  
śmierci i mordu i że brak ten wcale mu nie dolega. Nic nie może zarzucić religijnym  
talentom pana Naphty, górują one niewątpliwie nad jego własnymi, ale stwierdza,  
że mu ich nie zazdrości. Nieprzezwyjęzona potrzeba czystości trzyma go z dala od  
tej sfery, w której panuje szacunek dla niedoli, o jakim eksperymentująca młodzież  
poprzednio mówiła, szacunek oczywiście, nie tylko cielesny, ale także duchowy.  
W sferze tej cnota, rozum i zdrowie są przedmiotem pogardy, a występkom i choro-  
bie oddaje się niezwykłą cześć.

Naphta potwierdził, że cnota i zdrowie istotnie nie są stanem, w którym by znaj-

dowała wyraz religijność. Wiele się zyska, rzekł, jeśli zostanie wyjaśnione, że religia nie ma w ogóle nic wspólnego z rozumem i moralnością. Albowiem, dodał, nie ma nic wspólnego z życiem. Życie opiera się na warunkach i zasadach, które należą po części do teorii poznania, a po części do dziedziny moralnej. Pierwsze — to czas, przestrzeń, przyczynowość, drugie — moralność i rozum. Wszystkie te rzeczy są obce i obojętne, a nawet wrogie religijności, stanowią bowiem istotę życia i tak zwanego zdrowia, a więc największego filisterstwa i mieszczaństwa; rzecz można, że świat religijny jest ich absolutnym i absolutnie genialnym przeciwieństwem. Zresztą on, Naphta, nie chce całkowicie zaprzeczać, że i w sferze życia może się pojawić geniusz. Istnieje mieszczańskie pojmowanie życia, niewątpliwie monumentalne w swej poczciwości, filisterski majestat, dla którego można nawet mieć szacunek, pamiętając wszakże, że gdy tak z godnością stoi na rozkraczonych nogach, z rękami na plecach i wysuniętą naprzód pierś, jest wcieloną bezbożnością.

Hans Castorp podniósł wskazujący palec tak, jak się to robi w szkole. I oświadczył, że nie chciałby urazić żadnej ze stron, ale wszak mowa tu o postępie, o ludzkim postępie, a więc poniekąd o polityce, o wymownej republice i cywilizacji wykształconego Zachodu — otóż on sądzi, że różnica czy, jeśli pan Naphta koniecznie chce, przeciwieństwo życia i religijności daje się sprowadzić do przeciwieństwa czasu i wieczności. Postęp bowiem zachodzi jedynie w czasie; a nie ma go w wieczności, w której nie ma też ani polityki, ani krasomówstwa. W niej składa się, rzecz by można, głowę na łonie bożym i zamyka się oczy. I to jest różnica między religią a moralnością, mętnie wyrażona.

Naiwność jego sposobu wyrażania się, rzekł Settembrini, budzi mniej zastrzeżeń, niż jego lęk, aby kogoś nie urazić, i jego skłonność do robienia ustępstw diabłu.

No, o diable dyskutowali już niegdyś, pan Settembrini i on, Hans Castorp: O Satana, o ribellione! Któremuż to właściwie diabłu robił ustępstwa! Temu od buntu, pracy i krytyki, czy tamtemu drugiemu? Sytuacja jest niebezpieczna, jeden diabeł z prawej, drugi z lewej, jakże z tego, do diabła, wybrnąć!

Stan rzeczy, rzekł Naphta, jaki pan Settembrini chciałby widzieć, nie jest w taki sposób trafnie wyrażony. Dla jego obrazu świata jest istotnie, że z Boga i diabła robi się różne osoby czy zasady, a „życie”, zresztą całkowicie na modłę średnio-wieczną, umieszcza się między nimi jako przedmiot ich walki. W rzeczywistości zaś są tym samym i łącznie przeciwstawiają się życiu, jego mieszczańskości, etyce, rozumowi i cnocie — jako zasada religijna, którą wspólnie reprezentują.

— Jakaż to wstrętna gmatwanina — che guazzabuglio proprio stomachevole! —



zawołał Settembrini. Dobro i zło, świętość i przestępstwo, wszystko pogmatwane! Nie ma w tym trafego sądu! Ani woli! Ani zdolności potępienia tego, co niecne. Czy aby pan Naphta wie, czemu zaprzecza, gdy w obliczu młodzieży miesza z sobą Boga i diabła i w imię tej wstrętnej dwujedni odrzuca zasadę moralną! Odrzuca w a r t o ś ć , odrzuca wszelkie wartościowanie! Tylko z obrzydzeniem można o tym mówić. A więc dobrze, nie ma dobra ani zła, jest tylko moralnie nieuporządkowany wszechbyty! Nie ma też jednostki z jej krytycyzmem i godnością, a jest tylko wspólnota, wszystko pochłaniająca i wyrównująca i mistyczne rozplynięcie się w niej. Jednostka zaś...

Paradne, że pan Settembrini ma znów siebie za indywidualistę. Aby nim być, trzeba jednak znać różnicę między moralnością a szczęściem, a ta jest zupełnie obca panu iluminatowi i moniście. Tam gdzie się idiotycznie traktuje życie, jako cel sam w sobie i nie pyta o jego dalej sięgający sens i cel, panuje etyka gatunku i społeczności, moralność kręgowca, ale nie indywidualizm; ten jest w swoim żywiole jedynie w dziedzinie religijnej i mistycznej, w tak zwanym „moralnie nieuporządkowanym wszechbycie”. Czymże ona jest i ku czemu zmierza, ta moralność pana Settembriniego! Jest sprzęgnięta z życiem, a więc służy jedynie pożytkowi, natomiast w pożałowania godnym stopniu brak jej heroizmu. Zmierza do tego, aby dzięki niej człowiek doszedł do podeszłego wieku, osiągnął szczęście, zdobył majątek i zachował zdrowie, kropka i koniec. Ta filisterska ideologia rozsądku i pracy jest dla niego etyką. Jeśli o niego, Naphtę, chodzi, to pozwala sobie powtórzyć, że uważa ją za niezbędne życiowe mieszczaństwo.

Settembrini prosił o umiarkowanie, ale jego własny głos był namiętny i podniecony, gdy stwierdzał, iż jest to nieznośne, że pan Naphta mówi wciąż o „życiowym mieszczaństwie” w tonie, Bóg raczy wiedzieć dlaczego, arystokratycznie pogardliwym, jak gdyby przeciwieństwo — a wiadomo, co jest przeciwieństwem życia — miało być czymś dostojniejszym.

Nowe hasła i slogany! Teraz znów dostojność i arystokracja! Hans Castorp, rozgorączkowany i wyczerpany mrozem i roztrząsanymi zagadnieniami, nie zdając sobie sprawy, czy w podnieceniu swym nie wyraża się w sposób niezrozumiały lub zbyt śmiały, wyznał niepewnymi wargami, że zawsze wyobrażał sobie śmierć w hiszpańskiej nakrochmalonej kryzie, a w każdym razie w rodzaju munduru z „vatermörderami”, a natomiast życie w zwykłym, nowoczesnym małym kołnierzyku... Ale sam się przeraził swych słów, tchnących nierealnym marzycielstwem i towarzysko niewłaściwym, i zapewnił, że nie to chciał powiedzieć. Ale czyż nie jest tak, że pewnych ludzi niepodobna przedstawić sobie jako umarłych, a to dla-

tego, że są nazbyt pospolici? Innymi słowy: do tego stopnia robią wrażenie dzielnych życiowo, iż wydaje się, że nie mogliby umrzeć, że nie są godni majestatu śmierci.

Pan Settembrini wyraził nadzieję, że się nie myli przypuszczając, iż Hans Castorp po to tylko wszystko to mówi, aby wywołać sprzeciw. Młody człowiek może nań liczyć, iż zawsze gotów będzie służyć mu duchową pomocą dla odparcia takich zaczepek. „Dzielni życiowo” powiada on? I używa tego wyrażenia w pogardliwym sensie? „Godni życia”! Niech tym wyrażeniem zastąpi tamto, a pojęcia ułożą mu się w prawdziwy i piękny porządek. Pojęcie „godny życia” na drodze najłatwiejszego i najpoprawniejszego kojarzenia prowadzi do pojęcia „godny miłości”, które tak ściśle jest z nim związane, że, rzecz można, to tylko, co godne życia, jest też naprawdę godne miłości. A to, co godne życia i co godne miłości, razem wzięte, stanowi to, co się zwie dostojnym.

Hans Castorp uważał wywody te za pełne uroku i ze wszech miar godne wysłuchania. Oświadczył, że pan Settembrini całkowicie go pozyskał dla swej tak plastycznej teorii. Można by, co prawda, różne rzeczy przeciw niej powiedzieć, na przykład, że choroba jest wyższą formą życia i przez to ma w sobie coś uroczystego. Ale cokolwiek by się rzekło, jest pewne, że choroba potęguje w człowieku czynnik cielesny, że odwraca go niejako całkowicie i cofa w kierunku ciała, a przez to odbiera mu i niweczy jego godność, bo degraduje go niejako do samego tylko ciała. Choroba jest więc czymś nieludzkim.

Choroba jest rzeczą jak najbardziej ludzką, odparł natychmiast Naphta, bo być człowiekiem, to znaczy być chorym. W samej rzeczy człowiek z istoty swej jest chory. Właśnie choroba robi go człowiekiem — a wszyscy ci, co usiłują go uzdrowić, co chcą go skłonić do pogodzenia się z naturą, do „powrotu do natury” (choć on naprawdę nigdy do niej nie należał), wszyscy ci prorocy regeneracji organizmu, żywienia się surówkami, przebywania na powietrzu, używania kąpieli słonecznych, wszystkie te odmiany Rousseau prowadzą tylko do odczłowieczenia i zezwierzęcenia... Ludzkość? Dostojność? Człowiek jest w najwyższym stopniu oderwany od natury i czuje, że jest jej przeciwieństwem; od pozostałego życia organicznego wyodrębnia go duch. Więc też w duchu, w chorobie leży jego godność i dostojność; jednym słowem, jest on tym bardziej człowiekiem, im bardziej jest chory; i geniusz choroby jest czymś bardziej ludzkim niż geniusz zdrowia. Jest zadziwiające, że ktoś, kto udaje przyjaciela ludzi, zamyka oczy na te podstawowe prawdy ludzkości. Pan Settembrini wciąż opowiada o postępie. Ale czyż postępu, o ile coś podobnego istnieje, nie zawdzięczamy jedynie chorobie, to znaczy: geniuszowi ludzkiemu, nie

będącemu niczym innym, jak tylko chorobą? Czyż to zdrowi po wsze czasy nie żyli zdobycami chorych! Bywali ludzie, co świadomie i dobrowolnie poddawali się chorobie i obłędowi, aby dać ludzkości wiedzę, która by służyła jej zdrowiu; ale wiedzę tę zdobył obłęd, a tylko jej posiadanie i eksploatacja po owej heroicznej ofierze już nie wymagały choroby i obłędu. To jest prawdziwa śmierć na krzyżu...

Aha, myślał Hans Castorp, nie jesteś poprawnym jezuitą z tymi swoimi kombinacjami i tłumaczeniem śmierci na krzyżu! Teraz jest jasne, dlaczego nie zostałeś ojcem, joli jésuite à la petite tache humide! Teraz zarycz ty, lwie! zwrócił się w duchu do pana Settembriniego. A ten rzeczywiście „zaryczał” oświadczając, że wszystko, co Naphta powiedział, jest sypaniem piasku w oczy, krętactwem, wprowadzaniem zamętu do świata. — Niech pan powtórzy — wołał do swego oponenta. — Z całą odpowiedzialnością, jaka na panu ciąży jako na wychowawcy, niech pan powtórzy wobec tej łaknącej wiedzy młodzieży, że duch jest chorobą! Akurat pan w ten sposób zdobędzie młodzież dla ducha i doda jej wiary w niego! Przedstawiać chorobę i śmierć jako rzeczy dostojne, a zdrowie i życie jako niecne — to najpewniejszy sposób, aby zniechęcić wychowanka do życia w służbie ludzkości! Davvero, è criminoso! — i po rycersku wystąpił w obronie szlachetności zdrowia i życia; są one szlachetne z natury i nie potrzebują się obawiać ducha. — Kształt — rzekł, a na to Naphta odparł patetycznie: — Logos! — Tamten nie chciał słyszeć o Logosie i rzekł: — Rozum! — a zwolennik Logosu wystąpił w obronie „namiętności”. Nie bardzo to było jasne. Jeden mówił „Rzeczywistość”, a drugi „Jaźń”! W końcu była nawet mowa o „sztuce” z jednej strony, a „krytyce” z drugiej, a poza tym wciąż o „naturze” i „duchu”, i o tym, co z nich dostojniejsze, o „problemie arystokracji”. Ale nie było w tej dyskusji ładu i nie rozjaśniła niczego, choćby z wynikiem dwolistym i wojującym. Bo nie tylko nie było zgody, ale nie było też konsekwencji, dyskutujący byli w niezgodzie nie tylko z oponentami, ale też sami z sobą. Settembrini wielokrotnie wiwatował słowami na cześć „krytyki”, choć wynosił też dostojność jej przeciwieństwa, którym miała być „sztuka”; i podczas gdy Naphta występował jako obrońca „naturalnego instynktu” przeciw Settembriniemu i jego poprzedniej tezie, że natura jest „bezmyślną siłą”, jest prostym factum i matum, wobec którego rozum i duma ludzka nie powinny rezygnować — to Włoch stanął z kolei po stronie ducha i „choroby”, twierdząc, że jedynie tam jest szlachetność i ludzkość; a wtedy znów Naphta wystąpił jako obrońca natury i szlachetności tkwiącej w zdrowiu, nie pamiętając już o potrzebie emancypacji człowieka.

Tak samo zaplątała się sprawa „rzeczywistości” i „jaźni” i tu nawet zamieszanie, zresztą w osnowie swej wciąż to samo, było jeszcze bardziej beznadziejne i doprowadziło literalnie do tego, że już nikt nie wiedział, kto właściwie jest za lojalnością,

a kto za wolnością. Naphta w ostrych słowach zabronił Settembriniemu uważać siebie samego za „indywidualistę”, skoro zaprzecza przeciwieństwu Boga i natury, a zagadnienie człowieka, jego konflikt wewnętrzny, rozumie jedynie jako konflikt między interesami osobistymi a powszechnymi; w konsekwencji tego stanowiska musi się on ślepo trzymać związanej z życiem mieszczańskiej etyki, która traktuje życie jako cel sam w sobie, pozbawiona jest heroizmu i dąży tylko do korzyści, a prawo moralne utożsamia, z celem państwa; natomiast on, Naphta, który wie, że wewnętrzny problem człowieka polega na zmaganiu się czynników zmysłowych i nadzmysłowych, reprezentuje prawdziwy, mistyczny indywidualizm i naprawdę głosi wolność i prymat podmiotu.

Jeśli tak jest rzeczywiście — tak rozmyślał Hans Castorp — to jakże jest z „beziemnością i wspólnością”, aby dla przykładu podnieść choć j e d n ą sprzeczność? A także jak z tymi tak ważnymi rzeczami, o których mówił w rozmowie z ojcem Unterpertingerem o „katolickości” w Hegłowskiej filozofii państwa, o wewnętrznym związku łączącym pojęcia „polityczności” i „katolickości” i o tym, że razem stanowią one kategorię obiektywności? Czyż polityka i wychowanie nie były zawsze szczególnym polem działania zakonu Naphty? I jeszcze jakie wychowanie! Pan Settembrini był niewątpliwie gorliwym pedagogiem, gorliwym aż do natręctwa; ale jeśli chodzi o rzeczowość, o ascetyczne ignorowanie jaźni, to zasady jego nie mogły się równać z zasadami Naphty. Bezwzględny rozkaz! Żelazny rygor! Zadawanie gwałtu! Posłuszeństwo! Terror! Mogło to też zasługiwać na szacunek, ale nie liczyło się z godnością krytycznej jednostki. Był to regulamin ćwiczebny pruskiego Fryderyka i hiszpańskiego Loyoli, pobożny i tak surowy, że nie cofał się przed rozlewem krwi, ale pozostawało jedno pytanie; jak mógł Naphta głosić krwawą bezwzględność, jeśli, jak sam przyznawał, nie wierzył w czyste poznanie, w nieuprzedzone badanie, krótko mówiąc, w prawdę, w obiektywną, naukową prawdę, do której dążenie było dla Lodovica Settembriniego najwyższym prawem ludzkiej moralności. Był to dowód zbożności i surowości Settembriniego, dowodem natomiast nadmiernej swobody i rozwiązłości Naphty było, że prawdę sprowadzał do człowieka i upatrywał ją w tym, co człowiekowi przynosi korzyść. Czyż nie było mieszczańskim stosunkiem do życia i filisterskim kultem użyteczności uzależnianie do tego stopnia prawdy od ludzkiej korzyści? Nie było w tym żelaznej rzeczowości, natomiast więcej wolności i subiektywności, niż to Leon Naphta przyznawał — choć co prawda było to „polityką” — tak samo jak dydaktyczna teza pana Settembriniego, że wolność jest prawem miłości do człowieka, także była na swój sposób „polityką”. Oczywiście, wiązał on przez to wolność, podobnie jak Naphta prawdę: wiązał

ją z człowiekiem. Było w tym niewątpliwie więcej lojalności niż wolności, a określenia takie mogły doprowadzić do zatarcia różnicy, jaka między nimi zachodzi.

Ach, ten pan Settembrini! Nie darmo był literatem, to znaczy: wnukiem polityka i synem humanisty. Wielkodusznie zajmował się krytyką i piękną emancypacją i podśpiewując zaczepiał dziewczęta na ulicy, podczas gdy bystry mały Naphta związany był surowymi ślubami. A jednak wolnomyślicielstwo czyniło go bez mała rozpustnikiem, a tamten, przeciwnie: mógł uchodzić za maniaka cnoty. Pan Settembrini odczuwał lęk przed „absolutnym duchem” i chciałby ducha za wszelką cenę związać z demokratycznym postępem; oburzał go religijny libertynizm wojowniczego Naphty, mieszającego Boga i diabła, świętość i zbrodnię, genialność i chorobę, i nie uznającego ani wartościowania, ani rozumnego sądu, ani woli. Któż więc był właściwie obrońcą wolności, a kto pobożności? co jest właściwym stanem i pozycją człowieka: zagubienie się we wszystko pochłaniającej i wyrównującej wspólnoty, mającej w sobie zarówno coś z rozpusty, jak z ascezy, czy też postawa „krytycznego podmiotu”, w której znów zderza się fanfaronada z mieszczańskim rygoryzmem moralnym? Różne zasady i aspekty wchodzą sobie nieustannie w drogę, pełno tu wewnętrznych sprzeczności, i człowiekowi odczuwającemu cywilną odpowiedzialność niezwykle ciężko jest nie tylko wybrać między przeciwieństwami, ale je nawet, niby preparaty, wyodrębnić i odróżnić, tak że bierze go pokusa, aby na łeb, na szyję rzucić się w „moralnie nieuporządkowany wszechbył” Naphty. Wszystkie pojęcia pokrzyżowały się i poplątały, nastąpiło wielkie zamieszanie i, jak się Hansowi Castorpowi zdawało, zaciążyło ono na duszach sprzeczących się i zwiększyło ich rozjątrzenie w sporze.

Doszli razem aż do „Berghofu”, po czym ci trzej, którzy tam mieszkali, pozostałych odprowadzili z powrotem aż do ich domku i tam długo jeszcze stali na śniegu, podczas gdy Naphta i Settembrini spierali się z sobą; spierali się, jak to Hans Castorp dobrze rozumiał, w celach pedagogicznych, aby oddziaływać na szukającą światła młodzież. Dla pana Fergego były to rzeczy o wiele za wzniosłe, jak to wielokrotnie zaznaczał, a Wehsal okazywał już mniej zainteresowania, odkąd nie było mowy o biciu i torturach. Hans Castorp ze spuszczoną głową grzebał laską w śniegu i zastanawiał się nad wielkim pomieszaniem pojęć.

Wreszcie się rozstali. Niepodobna było stać tak wiecznie, a tego rodzaju dyskusja nie wyczerpałaby się nigdy. Trzej mieszkańcy „Berghofu” powrócili do siebie, a obaj rywalizujący z sobą wychowawcy musieli wejść razem do domku, jeden, aby powrócić do swej jedwabnej celi, drugi — do izdebki humanisty z pulpitem i karafką wody. A Hans Castorp wszedł do swej loggii, mając uszy pełne zamętu

i szczęku obu armii, które pod dos banderas idąc spod Jeruzalem i Babilonu zde-  
rzyły się w zamieszaniu i zgiełku bitwy.

## Śnieg

Pięć razy dziennie siedem stołów dawało jednogłośnie wyraz niezadowoleniu z powodu pogody panującej tej zimy. Sądono, że bardzo niedostatecznie spełnia ona swe obowiązki zimy wysokogórskiej i że meteorologicznych środków leczniczych, które wsławiły tę okolicę, nie dostarcza bynajmniej w tej mierze, w jakiej zapowiadał je prospekt, do jakiej przywykli dawniejsi pacjenci i w jakiej wyobrażali je sobie nowi przybysze. Należało stwierdzić ogromny niedobór słońca, promienio-  
wania słonecznego, tego doniosłego czynnika zdrowotnego, którego brak opóźniał wyzdrowienie. A cokolwiek pan Settembrini myślał o szczerości, z jaką wysokogórscy goście starali się wyzdrowieć i powrócić z „ojczyzny” na równiny, to jednak dopominali się swych praw, chcieli użyć za swoje pieniądze — za te, które za nich wpłacali rodzice czy małżonkowie; więc też szemrali w rozmowach prowadzonych przy stole, w windzie i w hallu. Toteż naczelne kierownictwo zakładu, świadome swych zobowiązań, starało się o wynagrodzenie powstałych szkód. Nabyto nowy aparat do „sztucznego słońca górskiego”, bo dwa już posiadane nie pokrywały zapotrzebowania tych, którzy za pomocą elektryczności chcieli się opalić na brązo-  
wizo: młodym pannom i mężatkom było z opalenizną do twarzy, a mężczyznom, mimo że pędzili życie w pozycji poziomej, dawała ona wygląd wspaniale sportowy i zdobywczy. Tak, wygląd ten wydawał rzeczywiście owoce; kobiety, choć w pełni świadome techniczno-kosmetycznego pochodzenia tej męskości, były dość niemądre czy dość zgłodniałe, dość pożądały omamienia zmysłów, aby upajać się złudzeniem i po kobiecemu mu się oddawać.

— Mój Boże — mówiła wieczorem w hallu pani Schönfeld z Berlina, płomien-  
nowłosa i płomiennooka, do pewnego kawalera o długich nogach i zapadłej piersi, który na bilecie wizytowym podawał się jako „Aviateur diplômé et enseigne de la marine allemande”\*, miał odnę, poza tym do obiadu wkładał smoking, a zdejmował go wieczorem, twierdząc, że taki jest przepis w marynarce — mój Boże! — mówiła, patrząc pożądliwie na enseigne’a — jakże cudownie opaliło go górskie słońce! Ten

---

\* Aviateur diplômé et enseigne de la marine allemande (franc.) — Dyplomowany pilot i podporucznik marynarki niemieckiej.

szatan wygląda, jak gdyby polował na orły! — Poczekaj, rusalko — szeptał jej w windzie do ucha tak, że dostawała gęziej skórki. — Zapłacisz ty mi za twe zabójcze spojrzenia! — I poprzez balkony, wymijając szklane przegrody, szatan i łowca orłów znalazł drogę do rusalki....

Jednakże daleko było do tego, aby sztuczne słońce górskie odczuwano rzeczywiście jako ekwiwalent prawdziwego światła słonecznego, które w tym roku zawiodło. Dwa lub trzy dni niezmaćcenie słoneczne w ciągu miesiąca, świecące głębokim aksamitnym błękitem spoza białych szczytów, lśniące diamentami i rozkosznie grzejące karki i twarze ludzkie, wyłaniały się w szczególnie cudowny sposób z szarej mgły i opony chmur. Ale dwu czy trzech takich dni w ciągu tygodni było za mało dla serca ludzi, których los usprawiedliwiał to, że na pocieszenie domagali się szczególnych praw i w głębi duszy dumni byli ze swego paktu z losem, dającego im, w zamian za radości i troski ludzi z nizin, życie mało aktywne, ale za to całkowicie pomyślne, łatwe, przyjemne i tak beztrudne, że zatrzymujące czas w jego biegu. Niewiele to pomagało, gdy radca zwracał uwagę, że nawet w tych warunkach klimatycznych pobyt w „Berghofie” mało przypomina życie na zesłaniu lub w kopalniach syberyjskich, i wskazywał na korzyści, jakie daje tutejsze powietrze, cienkie i lekkie niemal jak eter wypełniający wszechświat, bez ziemskich przymieszek, dobrych i złych, i nawet przy bezsłonecznej pogodzie wolne od nizinnych oparów i wyziewów. Twarze posepniały, słyhać było protesty i groźby dzikiego wyjazdu, które nawet niekiedy spełniano, mimo tak odstrasających przykładów jak niedawny smętny powrót pani Salomon: wypadek jej, choć uporczywy, nie był ciężki, ale przez jej samowolne przebywanie w wilgotnym i wietrznym Amsterdamie nabrał charakteru dożywotniego...

Zamiast słońca był śnieg, masy śniegu, tak kolosalne ilości śniegu, jakich Hans Castorp nigdy w życiu nie widział. Nie brak go było zaiste i poprzedniej zimy, ale to było jeszcze nic w porównaniu z obecną. Było to coś potwornego, przekraczało wszelką miarę i dawało świadomość niezwykłości i ekscentryczności tych okolic. Śnieg padał dzień po dniu, w dzień i w nocy, raz bywał drobny, kiedy indziej przechodził w zawieję, ale padał wciąż. Nieliczne drogi, którymi można było jeszcze chodzić, robiły wrażenie wąwozów z wyższymi od człowieka ścianami śnieżnymi po obu stronach. Ich alabastrowe płaszczyzny lśniły krystalicznie, przyjemnie było na nie patrzeć i goście używali ich do pisania i rysowania, do komunikowania sobie wszelkich wiadomości, żartów i przytyków. A między tymi ścianami grunt się — mimo szuflowania — podnosił, jak to się okazywało w miejscach sypkich i w dziurach, w które noga nagle się zapadała, głęboko, nieraz aż po kolana: trzeba było bardzo uważać, żeby niebacznie nie złamać nogi. Ławki znikły zasypane przez śnieg,

czasem tylko kawałek poręczy sterczał z ich białego grobu. Niżej, w Davos, poziom ulic tak się zmienił, że parterowe sklepy stały się piwnicami, do których z chodnika schodziło się po wykutych w śniegu stopniach.

A na leżące masy śnieg padał dalej, dzień po dniu; opadał cicho przy umiarkowanym mrozie, przy dziesięciu, piętnastu stopniach, których się jednak nie odczuwało, mogło się wydawać, że jest ich pięć czy dwa, bo bezwietrzna sucha pogoda odbierała im ostrość. Rankami było bardzo ciemno, jadano śniadanie przy sztucznym świetle świeczników w sali o wesołych szablonowych deseniach na żebrach sklepienia. Na dworze była posępna nicość, świat w szarobiałej wacie cisnącej się do szyb, gęsto zasnutych dymiącym śniegiem i wilgotną mgłą. Góry były niewidoczne, z najbliższego iglastego lasu dopiero po pewnym czasie można było cośkolwiek rozpoznać, obładowane drzewa ginęły szybko w kurzawie, od czasu do czasu jakiś świerk pozbywał się nadmiernego ciężaru, otrząsał rozpyloną biel w otaczającą szarość. O dziesiątej nad górą pojawiała się słońce, jak lekko oświetlony dym, aby mdłe, upiorne życie, nikły blask zmysłowości, wprowadzić w pusty, nierozpoznawalny krajobraz. Ale wszystko rozplýwało się w widmowo miękkich zarysach i bladych barwach, brakło w tym jakiegokolwiek linii, za którą by oko mogło podążyć. Kontury szczytów tajały, roztopiały się w mgłę, w dym. Płaszczyzny śnieżne w słabym blasku, wyrastające jedna ponad drugą, wiodły wzrok w próżnię. Przed ścianą skalną unosiła się tylko, nie zmieniając kształtu, jakby oświetlona chmura, długa, podobna do dymu.

Koło południa słońce, na wpół przebijając się przez mgłę, starało się ją rozpuścić w błękicie. Jego usiłowanie dalekie było od powodzenia; jednakże przeblýsk błękitu można było na chwilę uchwycić, i ta odrobina światła starczyła, by dziwacznie przez śnieżną swą przygodę zniekształcona okolica rozblýsła diamentami. Zwyczajnie śnieg przestawał o tej porze padać, jak gdyby po to, by można się było rozejrzeć w tym, co zrobił; temu samemu celowi zdawały się również służyć nieliczne dni słoneczne, kiedy ustawała zawieja i bezpośredni żar nieba usiłował roztopić cudownie czystą powierzchnię zasp świeżego śniegu. Świat przedstawiał widok bajkowy, dziecięcy i śmieszny. Grube, miękkie, jakby świeżo wstrząśnięte poduszki okryły gałęzie drzew, a na ziemi ukazały się garby, pod którymi kryła się kosodrzewina i występy skalne; wszystko w krajobrazie przykucnęło, zapadło się, zamaskowało i wytworzyło jakby świat gnomów, na który zabawnie było patrzeć i który wyglądał jak ilustracje do bajek. Ale jeśli pierwszy plan sceny, po którym z trudem tylko można się było poruszać, robił wrażenie jakby fantazji i żartu, to wyglądające spoza niego tło — spiętrzone posągi zaśnieżonych Alp — budziło uczucia wzniosłe i święte.



Po południu między drugą a czwartą Hans Castorp zwykł był leżeć w swej loggii, dobrze owinięty, z głową opartą o wezglowie, ani zbyt stromo, ani zbyt płasko ustawione, swego znakomitego leżaka i spoglądał ponad wyścieloną śniegiem balustradę na las i góry. Zielonoczarny, przywalony śniegiem las jodłowy wznosił się na stokach, a ziemia między drzewami była od śniegu miękka jak poduszka. Powyżej wyrastały góry skaliste, szarobiałe, ze swymi niezmiernymi płaszczyznami śniegu, przerywanymi tylko przez poszczególne ciemniejsze występy skalne i delikatnie parujące grzbiety gór. Śnieg cicho sypał. Wszystko rozplątywało się coraz bardziej. Oczy utkwione w watą wypełnioną nicość kleiły się łatwo. Lekki dreszcz towarzyszył chwili zasypiania, ale potem przychodził w tym lodowatym zimnie sen, ponad który nie było czystsze, bo do tego snu bez snów nie miało dostępu podświadome poczucie brzemienia życia, bo w tym czystym, wolnym od wyziewów powietrza oddychanie nie było trudniejsze niż nieoddychanie zmarłych. Gdy Hans Castorp się budził, góry znikły już zupełnie w śnieżnej kurzawie, a tylko ich fragmenty, jakiś szczyt, jakiś występ skalny, pojawiały się na przemian na niewiele chwil, aby znów zginąć za zasłoną mgły. Ta bezgłośna gra duchów była ze wszechmiar interesująca. Trzeba było bacznie uważać, aby tę fantasmagorię zasłon podpatrzyć w jej tajnych przemianach. Wśród oparów ukazywała się dzika i olbrzymia grupa skał, której ani szczytu, ani podnóża nie było widać. Ale jeśli się ją na minutę spuściło z oczu, znikala...

Potem przyszły nawałnice śniegu uniemożliwiające przebywanie w loggii, bo masy bieli, miecione zawieruchą, pokrywały podłogę i sprzęty grubą warstwą. Tak, burze też były możliwe w zacisznej górskiej dolinie. Całą atmosferę obejmowało wzburzenie, a ruch płatków śnieżnych tak ją wypełniał, że już o krok nic nie można było dojrzeć. Porywy wiatru tak silne, że tamujące oddech, wprawiały śnieżycę w dziki ruch skośny lub wirujący od dołu w górę, od dna doliny w przestworza, mąciły ją w szalonym tańcu — nie była to już śnieżycą, lecz chaos białego mroku, bezład daleko odbiegający od zwykłych w tej okolicy zjawisk. Mogła się rozeznąć w nich jedynie zięba alpejska, która nagle pojawiła się całymi stadami.

A jednak Hans Castorp lubił życie w śniegu. Wydawało mu się pod wieloma względami podobne do życia na morskim wybrzeżu: podstawowa monotonia krajozbrazu była wspólna obu regionom: śnieg, ten głęboki, pulchny, nieskazitelny, sypki śnieg odgrywał tu tę samą rolę co tam w dole żółtobiały piasek; równie czyste było zetknięcie z nimi; suchą od mrozu biel strząsało się z trzewików i odzieży tak samo jak tam bezpylne sproszkowane kamienie i muszle z dna morskiego, również nie zostawiające po sobie śladu; a maszerowanie po śniegu było równie mozolne jak po nadmorskich wydmach; chyba że powierzchnia śniegu stopniała już od słońca

i nocą zamarzła, wtedy szło się po nim lżej i przyjemniej niż po posadzkach, równie lekko i przyjemnie jak po gładkim, twardym, wyflukanym, uginającym się piasku nad samym brzegiem morza.

W tym roku z powodu opadów śnieżnych i zalegających zasp wszyscy z wyjątkiem narciarzy mieli ograniczoną swobodę ruchów na powietrzu. Pługi śnieżne pracowały; ale z trudem mogły jako tako uwolnić od zasp najbardziej używane szlaki i główną ulicę Uzdrowiska. Na tych nielicznych dostępnych drogach, szybko uchożdzących w niedostępne tereny, roilo się od zdrowych i chorych, od ludzi miejscowych i międzynarodowych gości hotelowych, pieszych potraćali panowie i panie jadący na saneczkach, w tył pochyleni, z wyciągniętymi nogami, wznosząc ostrzegawcze okrzyki, których ton wskazywał, jak bardzo są przeświadczeni o doniosłości tego, co robią; pochylając się w tył i naprzód i wywracając koziołki pędzili na swych dziecinnych saneczkach po zboczach, aby zjechawszy w dół, wciągać swą modną zabawkę z powrotem na górę.

Tych spacerów miał Hans Castorp już teraz więcej niż dosyć. Żywił dwa pragnienia: silniejszym z nich było pozostać sam na sam ze swymi myślami i sprawami swego królowania, i temu loggia czyniła zadość; przynajmniej powierzchownie. Drugim pragnieniem, związanym z tamtym, było wejść w ściślejszy, a swobodniejszy kontakt ze śnieżną pustynią gór, która budziła w nim szczególne zainteresowanie. Ale pragnienie to było nie do spełnienia dla nie wyekwipowanego odpowiednio piechura. Zaraz bowiem utknąłby po szyję w tym żywiole, gdyby spróbował wyjść poza bliski wszędy koniec przekopanych ścieżek.

Postanowił tedy pewnego dnia w czasie tej drugiej zimy, spędzanej tu w górze, kupić narty i nauczyć się posługiwać nimi w takim stopniu, w jakim mu to dla jego celów było potrzebne. Nie był sportowcem; dla braku zainteresowania sprawami fizycznymi nigdy nim nie był i nie udawał, że nim jest, jak to czynili niektórzy goście „Berghofu”, którzy stosując się do miejscowych nastrojów i mody ubierali się fircykowato, zwłaszcza kobiety; na przykład Hermina Kleefeld, która choć z powodu trudności w oddychaniu miała sine wargi i koniuszek nosa, chętnie przychodziła na obiad w wełnianych spodniach i w tym stroju po jedzeniu rozpierała się w hallu w koszykowym fotelu, rozstawiwszy kolana i zachowując się prostacko i prowokująco. Gdyby Hans Castorp zwrócił się do radcy o zgodę na swój szalony zamiar, byłby niewątpliwie otrzymał odpowiedź odmowną. Ludziom tu w górze przebywającym, w „Berghofie” tak samo jak we wszystkich innych podobnych zakładach, sporty były bezwzględnie zabronione; bo i tak powietrze, choć na pozór łatwo wdychane, stawiało mięśniowi sercowemu niemałe wymagania, a co się tyczy

osobiście Hansa Castorpa, to jego inteligentne powiedzenie: „przyzwyczajam się do tego, że się nie przyzwyczajam”, zachowało swą moc i w dalszym ciągu miał skłonność do gorączkowania, którą Radamantys przypisywał jakiemuś, wilgotnemu miejscu w płucach. Inaczej nie byłby tu w górze. Jego pragnienie było zatem sprzeczne z jego stanem i niewłaściwe. Ale należało go dobrze zrozumieć. Nie miał ambicji dorównywania fircykom uprawiającym sporty dla szyku, którzy, gdyby takie padło hasło, z nie mniejszym zapałem oddawaliby się grze w karty w dusznym pokoju. Czuł się związany z inną społecznością, bardziej zwartą niż ten ludek turystów, spojona szerszym i nowszym punktem widzenia. Poczucie godności, każące mu odgraniczać się od innych, oraz poczucie pewnej odpowiedzialności, jakie posiadał, mówiły mu, że nie jest jego rzeczą harcować jak tamci po górach i tarzać się po śniegu jak głupiec. Nie chodziło mu o żadne eskapady. Zamierzenia jego były umiarkowane, i na to, co sobie planował, mógł mu Radamantys śmiało pozwolić. Ponieważ jednak ze względu na regulamin zakładu musiałby mu zabronić, Hans Castorp postanowił działać poza jego plecami.

Przy okazji powiedział panu Settembriniemu o swych zamierzeniach. Pan Settembrini byłby go uściskał z radości. Ależ tak, naturalnie tak, inżynierze, na miłość boską, niech pan to zrobi! Niech pan nikogo nie pyta i robi to! Pański anioł stróż mu to podszeptał! Niech pan to zrobi zaraz, zanim go ta zdrowa chęć opuści! Idę z panem, pójdziemy razem do sklepu i tam od razu kupimy wspólnie ten błogosławiony sprzęt! Nawet w góry bym panu towarzyszył i tam bym z panem pojechał, w skrzydlatym obuwiu, jak Mercurio, ale mi nie wolno... Ach, nie wolno! A nawet, gdyby o to tylko chodziło, tobym jednak pojechał — ale nie mogę, jestem straconym człowiekiem... Natomiast pan... Panu to wcale nie zaszkodzi, jeśli tylko pan będzie rozsądny i nie będzie przesadzać. Co tam, choćby nawet trochę zaszkodziło, to zawsze jeszcze trzeba by powiedzieć, że to pański anioł stróż... Już nic więcej nie chcę mówić. Co za znakomity projekt! Że też pan po dwóch latach tu spędzonych jest jeszcze zdolny do takiego pomysłu! ach, nie, pan ma dobry grunt, nie ma powodu zwątpić w pana. Brawo, brawo! Zrobi pan kawał swemu księciu ciemności tam w górze, kupi pan sobie narty, każe je przysłać do mnie albo do Lukačka, albo do sklepikarza na dole w naszym domku. Stamtąd będzie je pan zabierał, żeby się na nich ćwiczyć i pomknąć na nich.

Tak się też stało. Pod okiem pana Settembriniego, który odgrywał krytyka i znawcę, choć o sporcie nie miał pojęcia, Hans Castorp w specjalnym magazynie przy głównej ulicy nabył parę eleganckich nart, wylakierowanych na jasnobrazowy kolor, z dobrego jesionowego drzewa, z doskonałymi rzemieniami, na przedzie zaostrzonych i wygiętych, kupił do tego jeszcze kijki narciarskie z żelaznymi gro-

tami i kolistymi talerzykami i nie odmówił sobie tej przyjemności, by to wszystko samemu zabrać i na ramieniu zanieść aż do mieszkania Settembriniego; tam prędko się ułożył ze sklepikarzem, że będzie u niego codziennie zostawiał ten sprzęt. Dzięki częstemu przyglądaniu się jeździe na nartach znał sposób ich używania, więc też mógł z dala od zgiełku placów ćwiczebnych, na prawie nie zadrzewionym zboczcu, niedaleko za „Berghofem” codziennie partaczyć na własną rękę. Od czasu do czasu pan Settembrini przyglądał mu się z pewnej odległości, podpierając się laską, z wdzięcznie skrzyżowanymi nogami, i wołał „brawo” na widok czynionych postępów. I dopiero po pewnym czasie zdarzyło się, że zjeżdżając jakiegoś dnia wyszflowanym zakosem ku Wsi dla złożenia tam nart u sklepikarza, Hans Castorp natknął się na radcę. Behrens go nie poznał, choć było to w biały dzień i początkujący narciarz o mało że na niego nie wpadł. Otoczony obłokiem dymu ze swego cygara, radca podążył ciężkimi krokami dalej.

Hans Castorp przekonał się, że się szybko nabywa sprawności, której się wewnątrz potrzebuje. Nie rościł sobie pretensji do wirtuozji. A tego, czego potrzebował, nauczył się w parę dni, nie zgrzawszy się ani nie zadyszawszy. Usiłował trzymać nogi ładnie obok siebie i zostawiać za sobą równoległe ślady, wypróbował, jak przy zjeżdżaniu nadawać kierunek za pomocą kijka; przeszkody, małe wzniesienia terenu nauczył się brać z rozpędu, z podniesionymi rękami, wznosząc się i opadając, jak okręt na wzburzonym morzu; po dwudziestu razach już się nie przewracał, gdy w pełnym biegu hamował telemarkiem, wysunawszy jedną nogę naprzód, a drugą zgiąwszy w kolanie. Stopniowo rozszerzał zakres swych ćwiczeń. Pewnego dnia pan Settembrini ujrzał go, jak zniknął w białawej mgle; krzyknął mu przez złożone dłonie ostrzeżenie i, zadowolony jako pedagog, poszedł do domu.

Pięknie było zimą w górach — nie było to piękno miękkie i łagodne, lecz podobne dzikiemu pięknu Morza Północnego przy silnym wietrze zachodnim; wprawdzie bez huku grzmotów, w śmiertelnej ciszy, ale budziło pokrewne uczucie głębokiej czci. Długie, giętkie podeszwy niosły Hansa Castorpa w różnych kierunkach: wzdłuż lewego stoku ku Clavadel albo na prawo obok Frauenkirch i Glaris, spoza których we mgle groźnie majaczył mroczny masyw Amselfluh; także i do doliny Dischmy albo w górę za „Berghof”, w kierunku na lesisty Seehorn, z którego tylko śnieżny szczyt wynurzał się ponad granicę lasów, i do lasu Drusatscha, za którym widniała blada sylweta zaśnieżonego łańcucha Rhätikonu. Kolejką linową dawał się wraz ze swymi nartami wieźć stromo na Schatzalp i tam sunął spokojnie po lśniących pochyłościach sypkiego śniegu, na wysokości dwu tysięcy metrów, skąd przy jasnej pogodzie roztaczał się daleki, wzniosły widok na krajobraz jego przygód.

Cieszył się swym osiągnięciem, które mu otwierało dziedziny niedostępne, nie natrafiając prawie na przeszkody. Pozwalało mu otoczyć się upragnioną samotnością, i to możliwie najgłębszą, dającą sercu przeżycia człowiekowi zupełnie obce i krytyczne. Po jednej stronie opadało w śnieżny tuman zarosłe jodłami urwisko, a po drugiej wyrastała ściana skalna z olbrzymimi, cyklopicznymi, sklepieniami i spiętrzonymi masami śnieżnymi, tworzącymi pieczary i kopulaste wzniesienia. Gdy zatrzymywał się i stał bez ruchu, aby samego siebie nie słyszeć, panowała cisza bezwzględna i doskonała; bezdźwięczność jakby z przytłumienia wata się rodząca, nieznana, nigdy nie słyszana, nigdzie nie spotykana. Żadnego tchnienia wiatru, choćby najlżej dotykającego drzew, żadnego szumu ani głosu. Hans Castorp stał i wsłuchiwał się w tę praciszę podpierając się swym kijkiem, z głową sklonioną na ramię, z otwartymi ustami; a śnieg cicho i nieustannie sypał dalej, opadając spokojnie i bezgłośnie.

Nie, ten świat ze swym bezbrzeżnym milczeniem nie był gościnnie; przyjmował tego, kto weń wchodził, na jego własny rachunek i ryzyko; właściwie nie przyjmował, lecz tylko znosił jego wtargnięcie, jego obecność, i to w sposób, który za nic nie ręczył i nic nie obiecywał, wzbudzał uczucie czegoś groźnego i żywiołowego, nawet nie wrogiego, lecz raczej śmiertelnie obojętnego. Dziecko cywilizacji, zawsze dalekie i obce dzikiej przyrodzie, jest na jej wielkość daleko wrażliwsze niż własne, nie skażone cywilizacją dziecko przyrody, które, od urodzenia mając z nią do czynienia, żyje z nią w trzeźwej poufałości. Ono nie zna tego religijnego lęku, z którym tamto, z podniesionymi brwiami, staje przed nią i który określa jego stosunek uczuciowy do niej jako nieustające pobożne wzruszenie i trwożne podniecenie. Hans Castorp, w kurtce z wielbłądziej sierści, z długimi rękawami, w owijaczach, stojąc na swych zbytkownych nartach, wydał się sobie samemu bardzo zuchwały, gdy tak podsłuchiwał praciszę, śmiertelnie, bezgłośnie pustkę zimową; a gdy w powrotnej drodze ukazały się znów spoza zasłon pierwsze ludzkie siedziby, doznawał uczucia ulgi, które uświadamiało mu jego poprzedni stan i pouczało, że w ciągu owych godzin umysł jego był opanowany tajnym, a świętym lękiem. Niegdyś stał na Sylcie, w białych spodniach, pewny siebie, elegancki i wzbudzający szacunek, stał na brzegu potężnego wzburzonego morza jak przed klatką lwa, za której kratą bestia otwiera głębię paszczęki z przerażającymi kłami; później kąpał się, podczas gdy strażnik na wybrzeżu trąbił ostrzegając tych, co zuchwale usiłowali wyjść poza pierwszą linię fal, podejść pod zbliżającą się, burzę; jeszcze ostatni odprysk opadającego bałwanu uderzył go po karku, jak łapa zwierza. Od tej chwili znał to szczęście i upojenie, jakie daje lekkie miłosne zetknięcie z potęgami, których pełny uścisk byłby unicestwieniem. Ale nie odczuwał jeszcze chęci spotęgowania tego

entuzjastycznego kontaktu ze śmiertcionołą przyrodą tak, by stanąć wobec groźnego pełnego uścisku; nie pragnął, jako słaba, choć przez cywilizację nie najgorzej uzbrojona ludzka istota, zdobyć się na odwagę i zapuścić tak daleko w grozę lub przynajmniej dopóty przed nią nie uciekać, aż kontakt dojdzie do punktu krytycznego, kiedy nie będzie go już można utrzymać w dowolnych granicach, kiedy będzie chodzić już nie o bryzgi piany i lekkie uderzenia łapy, lecz o falę, paszczękę, morze.

Jednym słowem: Hans Castorp okazywał tu w górze odwagę, jeśli odwagą wobec żywiołów jest nie tępa trzeźwość w stosunku do nich, lecz świadome oddanie się i lęk śmiertelny, choć przewyciężany pod wpływem sympatii. Sympatii? Tak Hans Castorp odczuwał w swej wąskiej piersi cywilizowanego człowieka sympatię dla żywiołów; a zachodził związek między tą sympatią a nowym poczuciem godności, jakie się w nim odezwało na widok saneczkującego się ludku i powiedziało mu, że bardziej dlań odpowiednia i pożądana jest samotność głębsza, większa, mniej po hotelowemu wygodna niż ta, której doznawał w loggii swego pokoju. Patrząc stamtąd na wysoko kłębiące się mgły, na taniec śnieżnej zawieruchy, w głębi duszy wstydział się, że na rzeczy te gapi się, odgradzony od nich puklerzem komfortu. To z tego powodu, a nie ze sportowego snobizmu i nie wrodzonego upodobania do czynności fizycznych, nauczył się jazdy na nartach. Choć nie czuł się bezpieczny wśród ogromu i śmiertelnej, śnieżnej ciszy gór — skądże on, dziecko cywilizacji, miałby się tam czuć bezpiecznie? — to jednak tu w górze od dawna już duch jego i umysł zakosztował rzeczy niebezpiecznych. Kolokwium z Naphtą i Settembrinim również nie należało do rzeczy najbezpieczniejszych, ono również wiodło na bezdroża i w niebezpieczeństwa; i jeśli można było mówić o sympatii Hansa Castorpa do wielkiej puszczy zimowej, to dlatego, że mimo swój zbożny lęk widział w niej odpowiednie szranki dla swych zapasów myślowych, właściwe miejsce dla kogoś, kto nosi w sobie, choć nie wie, jak to się stało, brzemie „królowania”, spraw dotyczących stanu i pozycji człowieka bożego. Homo Dei.

Nie było tu nikogo, kto by trąbił ostrzegając śmiazków przed niebezpieczeństwem, co najwyżej uczynił to pan Settembrini, gdy na znikającego wśród śniegów Hansa Castorpa wołał przyłożywszy dłonie do ust. Ale Hans Castorp, przepełniony uczuciem odwagi i sympatii, posuwał się naprzód, nie zważając na dochodzące go z tyłu wołanie — nie inaczej niż owej karnawałowej nocy, gdy wołano za nim: „Eh, Ingegnere, un po di ragione, sa!” Ach, ty szatański pedagogu z twoją ragione i ribellione, myślał. Zresztą, lubię cię. Jesteś, co prawda, fanfaronem i kataryniarzem, ale masz dobre zamiary, lepsze od ostrego małego jezuitę i terrorystę, i wolę ciebie niż tego hiszpańskiego pacholka od torturowania i bicia, z jego błyskającymi okula-

rami, choć ma on prawie zawsze rację, gdy się spieracie z sobą... gdy dla celów wychowawczych wydzieracie sobie wzajem moją biedną duszę, jak to Bóg i diabeł robili w średniowieczu z człowiekiem...

Z zaśnieżonymi nogami wspinał się na chybił trafił na blade wyżyny, które niby rozpostarte płachty wznosiły się tarasami jedne ponad drugimi, coraz wyżej, nie wiadomo dokąd: zdawało się, że nigdzie nie prowadzą; ich górne regiony rozpląwały się w niebie równie mglistobiałym jak one i zaczynającym się nie wiadomo gdzie; nie widać było żadnego szczytu, żadnej grani; Hans Castorp posuwał się ku mglistej nicości; świat, który zostawił za sobą, zamieszкана przez ludzi dolina też się niebawem zamknęła i zniknęła z oczu, żaden już dźwięk z niej nie przenikał. Jego samotność, jego zagubienie, zanim sobie zdał z tego sprawę, stały się tak głębokie, jak tylko mógł tego pragnąć, tak głębokie, że wywoływały lęk, który jest pierwszym warunkiem odwagi. *Praeterit figura hujus mundi*\* — rzekł do samego siebie w łacinie, mało mającej w sobie humanistycznego ducha — powiedzenie to pochodziło od Naphty. Zatrzymał się i rozejrzał. Nic i nigdzie nie było widać, poza poszczególnymi bardzo małymi płatkami śniegu, które z bieli wyżyn spływały na biel terenu; cisza dokoła była przeraźliwie nic nie mówiąca. Podczas gdy wzrok jego załamywał się o oślepiającą go białą próżnię, czuł, jak porusza się w nim serce, jak bije przy wspinaniu się w górę — serce, ów mięsień, którego zwierzęcy kształt i ruch podpatrzył niegdyś, w sposób może występny, wśród trzaskających błyskawic w celi do prześwietlania. I opanował go rodzaj rozczulenia, prosta a nabożna sympatia do własnego serca, do bijącego ludzkiego serca, tak samotnego ze swym pytaniem i swą zagadką wśród tej mroźnej pustki.

Posunął się dalej, wyżej, wyżej, ku niebu. Niekiedy wtykał górny koniec swego kijka narciarskiego w śnieg i potem wyciągając go przyglądał się, jak się z głębi ukazywało niebieskie światło. Bawiło go i mógł stać długo, wywołując wciąż na nowo to drobne optyczne zjawisko. Było to szczególnie delikatne światło, górskie i głębinowe, zielonkawoniebieskie, jak lód przejrzyste, a zarazem cieniste, tajemniczo pociągające. Przypomniało mu światło i barwę pewnych oczu, fatalnych skośnych oczu, które pan Settembrini ze swego humanistycznego stanowiska pogardliwie nazywał „tatarskimi oczami” lub „świeącymi ślepiami stepowego wilka” — dawno ujranych i nieuchronnie znowu odnalezionych oczu Hippego i Kławdii Chauchat. — Dobrze — powiedział półgłosem w bezdźwięcznej ciszy — ale go nie złam. — *Il est à visser, tu sais.* — I w duchu słyszał dobiegające go z tyłu, przyjemnie brzmiące nawoływania do rozsądku.

---

\* *Praeterit figura hujus mundi* (łac.) — Przemija postać tego świata.

Po prawej z boku w pewnej odległości majaczył las. Kierował się tam, aby mieć jakiś ziemski cel przed sobą, miast białawej transcendencji, i zsunął się nagle po pochyłości, której przedtem nie zauważył. Zbyt był oślepiiony, aby widzieć, jakie jest ukształtowanie terenu. Nie widział nic. Wszystko rozpływało się przed jego oczami. Zupełnie nieoczekiwanie natknął się na przeszkody. Poddał się spadkowi, nie rozróżniając oczami stopnia jego nachylenia.

Las, który go pociągnął, leżał po drugiej stronie wąwozu, w który niespodziewanie wjechał. Jego dno, sypkim śniegiem pokryte, opadało w stronę gór, jak to zauważył posunąwszy się nieznacznie w tym kierunku. Schodziło w dół, a boczne upłazy podnosiły się; sfałdowany teren zdawał się parowem prowadzić do wnętrza góry. Potem znów dzioby jego nart ustawiły się ku górze, teren podniósł się, wkrótce nie było już ścian bocznych, wznoszących się w górę. Sunął po bezdrożach, mając znów przed sobą otwartą halę górską, a za nią niebo.

Teraz ujrzał iglasty las za sobą i pod sobą, skierował się ku niemu, i szybko zjeżdżając, dotarł do śniegiem obładowanych jodeł, w klin uszeregowanych, ostatnich drzew lasu, wrzynających się w bezdrzewną przestrzeń. Wypoczywając pod ich gałęziami wypalił papierosa, wciąż jeszcze z uczuciem ucisku, napięcia i niepokoju, płynącym z tej nazbyt głębokiej ciszy i awanturkowej samotności; ale zarazem był pełen dumy, że tę samotność zdobył, i pełen odwagi w poczuciu, że ma prawo przebywać w takim otoczeniu.

Było to po południu, koło trzeciej. Wyszedł wkrótce po obiedzie, aby uciec z części głównego werandowania i z podwieczorku, a powrócić przed zmrokiem. Napęniało go rozkoszne uczucie na myśl, że ma przed sobą parę godzin wędrówki wśród takiej swobody i wspaniałości. Miał trochę czekolady w kieszeni bryczesów i buteleczkę porto w kieszeni kurtki.

Słońce było tak zasnuwane mgłą, że trudno było rozeznaczyć, gdzie się znajduje. Z tyłu u wylotu doliny, gdzie się załamywał niewidoczny teraz łańcuch gór, chmury i mgły były ciemniejsze i robiły wrażenie, że się przybliżają. Wydawało się, że spadnie śnieg, więcej śniegu, jak gdyby po niedawnej porządnej zawierusze więcej go jeszcze było potrzeba. I rzeczywiście, małe bezgłośne płatki zaczęły obficie padać na halę.

Hans Castorp wychylił się, aby parę płatków spadło na rękaw; chciał je obejrzeć oczami znawcy, jakim jest badacz-amator. Wydawały się bezkształtnymi kłaczkami, ale niejedną raz podobne im miewał pod dobrą lupą i wiedział; że składają się z małych kosztowności, klejnotów, gwiazd orderowych, agraf brylantowych, tak misternych i precyzyjnych, iż najwytrawniejszy jubiler nie umiałby sporządzić



bogatszych i bardziej wymyślnych. Ta lekka biel, sypka jak puder, która masami leżała na lesie, pokrywała roztaczające się przed nim przestrzenie i po której niosły go narty, przypominała piasek morski z jego stron rodzinnych, a jednak była odeń bardzo różna: wszak składała się nie z ziarenek kamienia, lecz z milionów cząstek wody, które ścięły się w umiarową różnorodność kryształów, cząstek nieorganicznej substancji, która nawet żywą plazmę, ciało roślin i człowieka czyniła płynną. A wśród tych milionów czarodziejskich gwiazdek, w ich niewidocznej, dla oka ludzkiego niepoznawalnej, tajnej, miniaturowej wspaniałości, nie było jednej podobnej do drugiej; panowała tu nieskończona pomysłowość w modyfikowaniu i najsubtelniejszym kształtowaniu wciąż jednego i tego samego schematu, równobocznego i równokątnego sześcioboku, a każdy z tych zimnych tworów był bezwzględnie proporcjonalny i lodowato regularny, i to właśnie było w nich niesamowite, nieorganiczne, wrogie wobec życia; były nazbyt regularne, substancja ukształtowana do życia nigdy takiej regularności nie osiąga, życie wzdraga się przed ścisłą prawidłowością, odczuwa ją jako zabójczą, jako tajemnicę śmierci. I Hansowi Castorpowi zdawało się, że rozumie, dlaczego budowniczowie świątyń w prawiękach umyślnie, a po kryjomu wprowadzali w swych porządkach architektonicznych drobne odchylenia od symetrii.

Odbił się i poczłapał na swych płozach dalej; zjechał brzegiem lasu po grubo śniegiem pokrytym upłazie w mgławicę i potem sunął dalej, na przemian to wznosząc się pod górę, to zsuwając w dół, bez celu i bez wysiłku krążąc po martwych terenach, pustych i falistych. Suchą swą roślinnością, ciemno sterczącymi kępami kosodrzewiny i łagodnymi wzniesieniami na skraju horyzontu uderzająco przypominały one krajobraz wydm nadmorskich. Hans Castorp zatrzymał się i pokiwał z zadowoleniem głową, sycąc oczy tym podobieństwem. Odczuwał palenie twarzy, skłonność do drżenia ciała, do szczególnej kombinacji podniecenia i zmęczenia, jak w podchmieleniu; jednakże chętnie znosił to wszystko, bo przypomniało mu to pokrewne, również pobudzające, a zarazem usypiające działanie powietrza morskiego. Z zadowoleniem odczuwał swą uskrzydloną niezależność, swobodę swej wędrówki. Nie miał przed sobą drogi, z którą byłby związany, ani też nie miał drogi za sobą, która by go zaprowadziła z powrotem tam, skąd przybył. Z początku mijał tyki i wkopane kije, ślady na śniegu, ale umyślnie się szybko spod ich opieki wyzwolił, bo przypomniały mu owego strażnika z trąbką i nie odpowiadały jego wewnętrznemu stosunkowi do wielkiej puszczy zimowej.

Zaśnieżone skałki, między którymi przesuwiał się to w prawo, to w lewo, przechodziły w skośno opadające zbocze, dalej ciągnęła się równina, a jeszcze dalej wysokie góry, których miękko wyścielone wąwozy i przełęcze wabiły złudną

dostępnością. Tak, dale i wyżyny, i wciąż nowe otwierające się samotnie wabiły Hansa Castorpa tak silnie, że narażając się na spóźnienie, spieszył coraz głębiej w dzikie milczenie, w świat grozy, nic dobrego nie wróżący; nie baczył też na to, że jego napięcie i rozedrganie wewnętrzne przeradzało się w rzeczywisty strach wobec przedwcześnie ciemniejącego nieba, które szarą zasłoną zapadało nad okolicą. Strach ten uświadomił mu, że dotąd w głębi duszy raczej pragnął utracić orientację i zapomnieć, w której stronie leży dolina i osiedle — i w pełni mu się to udało. Zresztą mógł sobie powiedzieć, że jeśli niezwłocznie zawróci i będzie stale zjeżdżać w dół, to do doliny, choć może daleko od „Berghofu”, dotrze szybko — zbyt szybko; bo w takim razie wróci za wcześnie, nie wyzyska swego czasu; choć co prawda, jeśli nie zawróci, a zaskoczy go śnieżna zawierucha, to drogi do domu na razie w ogóle nie odnajdzie. Jednakże ociągał się, nie chcąc z tego powodu uciekać przedwcześnie, mimo że strach, prawdziwy strach przed żywiołami, ścisnął go za gardło. Właściwie nie postępował jak sportowiec: bo ten w walkę z żywiołami wdaje się tylko, o ile wie, że nad nimi panuje, jest bowiem przezorny, jest stroną mędrszą, gotową w razie potrzeby ustąpić. To, co się działo w duszy Castorpa, można było określić tylko jednym słowem: wyzwanie. I choć słowo to zawiera w sobie tyle nagany, nawet jeśli — lub zwłaszcza jeśli — odpowiadające mu występne uczucie związane jest z rzeczywistym strachem, to jednak trochę ludzkiego zastanowienia pozwala zrozumieć, że na dnie duszy młodzieńca czy mężczyzny, który latami żył tak jak ten, zbiera się coś lub — jak by to Hans Castorp po inżyniersku powiedział — następuje „akumulacja” czegoś, co wreszcie pewnego dnia musi się wyładować jako żywiołowe „niech tam” czy „niech się dzieje co chce”, pełne gorzkiej niecierpliwości — krótko mówiąc, jako wyzwanie i wyzbycie się mądrej przeczności. Posuwał się więc dalej na swych długich pantoflach, ześliźnął się ze zbocza i sunął przez następną halę; na niej w pewnej odległości stał domek drewniany, szopa na siano czy schronisko z umocnionym kamieniami dachem, pod górą, której grzbiet nastroszony był jodłami, a za którą piętrzyły się mglisto szczyty wielkiej wysokości. Przed nim była stroma ściana, porośła rozproszonymi grupami drzew; ale kierując się w bok ku prawej, niewiele się tylko wznosząc, można ją było obejść i przekonać się, co jest dalej. Hans Castorp podążył tą drogą odkrywcy, zjechawszy przedtem z pola, na którym stał pasterski szałas, w dość głęboki, na lewo opadający żleb.

Zaczął właśnie wspinać się na nowo, gdy, jak należało oczekiwać, rozpętała się w najlepsze śnieżnica i zawierucha — krótko mówiąc, burza śnieżna, od dawna grożąca, jeśli można mówić, że „grożą”, o ślepych i nieświadomych żywiołach, które nie tylko nie mają zamiaru nas zniszczyć, co jeszcze byłoby mniej straszne, lecz

którym jest przeraźliwie obojętne, jeśli to przy okazji uczynią. „Halo! — pomyślał Hans Castorp, gdy poprzez zawieję uderzył weń pierwszy gwałtowny pęd wichru. — Przejmuje aż do szpiku kości.” Wiatr był rzeczywiście wściekły; straszego zimna, około 20° poniżej zera, nie odczuwało się czy nawet odczuwało się je jako łagodne, póki suche powietrze było spokojne i nieruchome, ale gdy je poderwał wiatr, zdawało się, że noże wrzynają się w ciało; gdy zaś za pierwszym porywem wiatru poszły inne, siedem futer by nie starczyło, aby ustrzec kości od mrożącego śmiertelnego lęku; a Hans Castorp miał na sobie nie siedem futer, lecz tylko wełnianą kurtkę, która mu kiedy indziej całkowicie wystarczała, a nawet przy odrobinie słońca wydawała się zbyt ciepła. Wiatr dał z boku i z tyłu, więc nie należało odwracać się i wystawiać nań od przodu; a że do tej refleksji przyłączyła się jeszcze przekora i że w głębi duszy słyszał zdecydowane „Niech tam”, więc szalony chłopak spieszył wciąż dalej; mijał stojące tu samotne jodły, aby wydostać się poza wznoszącą się przed nim górę.

Nie była to zresztą przyjemność, bo nic nie było widać wobec wirowania płatków śnieżnych; zdawało się, że nie odpadają, lecz wirując wypełniają całą przestrzeń. Od lodowatych porywów wiatru uszy dotkliwie bolały i piekły, kończyny traciły władzę, ręce zgrabiałały tak, iż już nie miał poczucia, czy w nich trzyma jeszcze kijek. Śnieg sypał mu się z tyłu za kołnierz i spływając topniał na plecach, kładł mu się na ramiona, pokrywał prawy bok; Hans Castorp miał uczucie, że zamarza i staje się bałwanem śnieżnym, trzymającym sztywno swój kij; a wszystko to działo się w stosunkowo korzystnych warunkach: niech się odwróci, a będzie gorzej; powrót do domu stał się ciężkim zadaniem — jednakże nie powinien się już z nim ociągać.

Zatrzymał się więc. Gniewnie wzruszył ramionami i odwrócił narty. Wichor od razu zaparł mu oddech, i niewygodnej procedurze odwracania nart musiał poddać się ponownie, by zaczerpnąć powietrza i w lepszej kondycji stawić czoło obojętnemu wrogowi. Spuściwszy głowę i ostrożnie regulując oddech zdołał ruszyć w odwrotnym kierunku; mimo że przewidywał najgorsze, przeraził się widząc, jak wielkie trudności sprawia mu posuwanie się naprzód, zwłaszcza dlatego, że był oślepiiony i bez tchu. Co chwila musiał stawać, najpierw po to, by zasłaniając się od burzy chwytać powietrze, a następnie dlatego, że posuwając się ze spuszczoną głową i spoglądając tylko ukradkiem w górę nie widział nic w białym mroku, a musiał się strzec, by nie najechać na drzewo lub nie wywrócić się na przeszkodzie. Płatki śnieżne masami padały mu na twarz i topniały na niej, tak że zupełnie zeszywniała. Dostawały mu się do ust i rozplływały się w nich ze słabym wodnistym smakiem; nalatywały na zamykające się kurczowo powieki, zasypywały mu

oczy i uniemożliwiały patrzenie, które zresztą byłoby bezużyteczne, bo wobec gęstego zasnucia pola widzenia i oślepiającej bieli zmysł wzroku prawie zupełnie przestawał działać. Zmuszając się do patrzenia widział tylko nicość, białą wirującą nicość. I tylko niekiedy widniały w niej upiorne cienie zjawiskowego świata: krzak kosodrzewiny, grupa świerków, niewyraźne kontury szopy, obok której niedawno przechodził.

Minał ją i przez halę, na której stała, szukał powrotnej drogi. Ale drogi nie było; utrzymanie choć w przybliżeniu kierunku w stronę domu i doliny mogło być raczej rzeczą szczęścia niż rozsądku, bo widział wprawdzie swą rękę przed oczami, ale już nawet końców nart nie widział; a gdyby nawet widział, to jeszcze wiele innych rzeczy przeszkadzałoby mu w posuwaniu się naprzód: twarz zasypywał mu śnieg, przeciwny wiatr uniemożliwiał wdychanie i wydychanie powietrza i zmuszał do odwracania się co chwila dla nabrania tchu; w tych warunkach nawet ktoś silniejszy od Hansa Castorpa niełatwo dałby sobie radę; musiał się więc zatrzymywać, chwytając powietrze mrużąc oczy, ocierać wodę z rzęs, strzepywać pancerz śniegu z piersi — i czuł, że nierozsądnie jest myśleć o tym, by w takich warunkach poruszać się jeszcze naprzód.

Jednakże poruszał się naprzód czy raczej posuwał się dalej. Ale czy było to posuwanie się celowe, we właściwym kierunku i czy nie byłoby mniejszym błędem pozostać tam, gdzie był (co jednak także nie wydawało się możliwe), to budziło wątpliwości; w teorii prawdopodobieństwo przemawiało nawet przeciw temu, a w praktyce Hansowi Castorpowi wydało się niebawem, że coś z terenem jest nie w porządku: jakby miał pod nogami nie ten, co należy, nie płaską halę, do której dotarł wznosząc się z mozołem ze żlebu, a przez którą przede wszystkim powinien był przejść. Płaszczyzna była jakby zbyt krótka i już znowu wznosiła się w górę. Najwidoczniej burza, nadciągająca od południowego zachodu, od wylotu doliny, pracząc zaciekłe, zepchnęła go w bok. Mylił się tedy, sądząc, że się posuwa naprzód, i to od dłuższego czasu. Na oślepa, wśród wirującej białej nocy wdzierał się tylko głębiej w obojętną a groźną przestrzeń.

— Nie, coś podobnego — powiedział przez zęby i zatrzymał się. Nie wyraził się z większym patosem, choć przez chwilę zdawało mu się, jak gdyby lodowata ręka sięgała mu do serca, aż zadrgało i biło szybkimi uderzeniami o żebra, tak samo jak wówczas, gdy Radamantys odkrył w jego płucach wilgotne miejsce. Rozumiał bowiem, że nie ma prawa do wielkich słów i gestów, bo to on wyzywał żywioły i trudności swej sytuacji musi teraz brać na własny rachunek. — Nieźle — powiedział i czuł, że rysy i wyraz jego twarzy nie słuchały już jego duszy i nic już oddać

nie były w stanie, ani strachu i gniewu, ani pogardy, albowiem zupełnie zeszywniały. — Co teraz? Tędy skośnie w dół, i dalej kierując się węchem, wciąż dokładnie pod wiatr. Co prawda, łatwiej to powiedzieć niż zrobić — mówił sobie dysząc i zacinając się — jednakże — mówił rzeczywiście półgłosem, ruszając dalej — coś trzeba robić, nie mogę się i czekać, bo wtedy śnieg pokryje mnie swymi prawidłowymi sześciokątami i gdy Settembrini przyjdzie z trąbką mnie szukać, to znajdzie mnie już przykucniętego, ze szklanymi oczami i z krzywą czapą śnieżną na głowie... — Zauważył, że mówi do siebie, i to w jakiś osobliwy sposób. Postanowił, że już nie będzie tego robić, jednakże niebawem znów mówił półgłosem, ale wyraźnie, choć wargi jego tak zdrętwiały, że już się nimi nie posługiwał i mówił bez tych spółgłosek, do których wymawiania potrzeba było warg; przypomniało mu to pewną sytuację z dawniejszego jego życia, w której działało się podobnie. — Milcz i staraj się ująć cało — powiedział sobie i dodał: — Zdaje mi się, że gadasz bez sensu i niezupełnie dobrze masz w głowie. To w pewnym sensie jest źle.

Że jest źle, jeśli chodzi o wydostanie się stąd, to stwierdzał obiektywnie jego kontrolujący rozum jakby ktoś obcy, nie biorący w tym wszystkim udziału, ale troszczący się o niego. Sam był najbardziej skłonny poddać się tej niejasności, która go opanowywała w miarę, jak rosło zmęczenie; zauważył tę skłonność i zaczął zastanawiać się nad nią. — Oto doznaję przeżyć właściwych komuś, kogo w górach zaskoczyła burza i kto już nie może odnaleźć drogi do domu — myślał pracowicie i dysząc wypowiadał fragmenty swych myśli, wyrażając się przy tym dyskretnie i unikając jaskrawości. — Kto później kiedyś o tym usłyszy, będzie sobie przeżycia te wyobrażał jako okropne, nie pomnąc, że choroba — a moja sytuacja jest poniekąd chorobą — tak już oddziaływała na chorego, iż chory i ona mogą nawzajem z sobą dojść do ładu. Występują wówczas zjawiska zmniejszonej wrażliwości, błogosławione narkozy, środki, którymi rozporządza natura, aby chory mógł doznać ulgi, tak jest... Należy jednak z nimi walczyć, mają bowiem podwójne oblicze; można je różnie oceniać, zależnie od punktu widzenia. Są one dobrotliwe i są dobrodziejstwem, o ile się nie ma wrócić do domu, ale są złośliwe i należy je z całej siły zwalczać, jeśli jest jeszcze w ogóle mowa o powrocie. A ja ani myślę, w tym moim gwałtownie bijącym sercu ani myślę dać się tu pokryć idiotycznie regularną krystalometrią...

Naprawdę był już bardzo wyczerpany i poczynające się zamroczenie zmysłów zwalczał w sposób niejasny i gorączkowy. I nie przeląkł się tak, jakby normalnie powinien się być przeląkł, zauważywszy, że znów zboczył z równej drogi: tym razem w innym kierunku, mianowicie tam, gdzie hala opadała w dół. Zjeżdżał bowiem skośnie pod wiatr i choć nie powinien był tego robić, było to na razie najdogodniejsze. „Już dobrze — myślał. — Niżej poprawię znów kierunek”. Tak też zrobił czy

też myślał, że tak robi, a może nawet tego nie myślał lub, co najgorsze, zaczynało mu już być obojętne, czy robi tak, czy nie robi. Tak działały dwuznaczne luki w świadomości, które tylko od niechcienia zwalczał. W połączeniu zmęczenia i podniecenia, dobrze znanym i często doznawanym przez gościa tych stron, który aklimatyzując się przyzwyczajał się do tego, że się nie przyzwyczaja, tak bardzo się wzmożyły obydwie składniki, że już nie mogło być mowy o jakiejś rozsądnej reakcji na owe luki świadomości. Odurzony i zataczając się, drżał z upojenia i podniecenia bardzo podobnie, jak po rozmowach z Naphtą i Settembrinim, tylko jeszcze nieporównanie silniej. Dzięki temu mógł swą bierność w zwalczaniu narkotycznych luk świadomości upiększać pijanymi reminiscencjami z tych rozmów; z pogardą i oburzeniem myślał o tym, że może zostać zasypany regularnymi sześciokątami, a jednocześnie coś mamrotał pod nosem, z sensem czy bez sensu, że jeśli opiera się utracie przytomności, to jedynie z poczucia obowiązku, a to jest tylko etyka, a więc nędzne mieszczaństwo życiowe i bezbożne filisterstwo. Pragnienie i pokusa, aby się położyć i wypocząć, wślizgiwały się do jego umysłu w takiej postaci: że jest tu podobnie jak podczas burzy piaszczystej na pustyni, wtedy zaś Arabowie rzucają się twarzą na ziemię, zarzuciwszy burnus na głowę. Jedynie okoliczność, że nie miał burnusa, a wełnianej kurtki niepodobna zarzucić na głowę, przemawiała przeciw takiemu zachowaniu się, choć przecież nie był dzieckiem i z niejednego opowiadania dość dokładnie wiedział, jak się zamarza na śmierć.

Po dość szybkim zjeździe i przebyciu kawałka płaskiego terenu Hans Castorp znalazł się znów na drodze idącej stromo w górę. Nie dowodziło to jeszcze, że zblądził, bo droga do doliny powinna była też częściowo prowadzić pod górę, co się zaś tyczy wiatru, to widocznie jakiś kaprys odwrócił jego kierunek, bo Hans Castorp miał go teraz od tyłu i mówił sobie, że jest to okoliczność — sama przez się — pomyślna. Poza tym — czy to zginała go zawierucha, czy też na ciało jego działała siła przyciągająca mrocznej, zawieją przysłoniętej, miękkiej białej pochyłości, że się ku niej pochylał? Żebyż się temu przyciąganiu poddać — chodziło jedynie o przytulenie się — pokusa była wielka, taka jaką opisują w książkach, traktując ją jako typowo niebezpieczną, co jej wcale nie odbierało siły ni żywotności. Rościła sobie swe indywidualne prawa, nie dawała się podporządkować ani utożsamiać z tym, co powszechnie znane, była potrzebą jedyną w swoim rodzaju i nie dającą się z niczym w swej natarczywości porównać, a zarazem nie było można zaprzeczyć, iż jest czymś podszeptem, że inicjatywa pochodzi tu od kogoś w hiszpańskiej czerni ze śnieżnobiałą, karbowaną kryzą w kształcie talerza; z jego wyobrażeniem łączyły się myśli posępne, jezuickie, wrogie człowiekowi, kult tortur i kar cielesnych,

budzących odrazę pana Settembriniego, ale wobec których on sam wydawał się śmieszny ze swą katarynką i swoją ragione...

Jednakże Hans Castorp trzymał się dobrze i nie poddawał się pokusie, aby się położyć. Choć nie widział nic, jednakże walczył i ruszył z miejsca — celowo czy nie, ale zrobił swoje i ruszył się, na przekór więzom, którymi zawierucha śnieżna coraz dotkliwiej pętała jego członki. Ponieważ musiał się wspinać zbyt stromo, więc nie bardzo zdając sobie nawet z tego sprawę, skierował się w bok i przez chwilę posuwał się wzdłuż skośnej pochyłości. Trzeba było wysiłku, by rozewrzeć skurczone powieki i rozejrzeć się, a wypróbowana bezskuteczność tego wysiłku mało doń zachęcała. Niemniej niekiedy mógł zobaczyć coś niecoś: skupienia świerków, strumień lub rów, którego czerń między nawisami śniegu odcinała się od reszty terenu; gdy dla odmiany znów zjeżdżał z góry, a wiatr siekł go w oczy, zauważył w pewnej odległości cień ludzkiej budowli, unoszący się w powietrzu, podobny do miotanych wiatrem zasłon.

Upragniony, pocieszający widok! Więc jednak wbrew wszystkim przeciwnościom osiągnął to, że ukazały się już nawet ludzkie budowle, na znak, że zamieszkała dolina jest blisko. Może są tam ludzie, może będzie można do nich wstąpić, pod dachem przeczekać bezpiecznie aż do końca niepogody, a w razie potrzeby, gdyby tymczasem zapadł wieczorny zmrok, znaleźć towarzysza i przewodnika. Kierował się ku temu chimerycznemu, często w ciemnościach zawiei niknącemu czemuś, ale aby doń dojść, miał jeszcze przed sobą męczące wspinanie się pod wiatr. A gdy doszedł, przekonał się z oburzeniem, zdumieniem, przerażeniem i zawrotem głowy, że jest to znajomy mu już szałas, szopa z dachem obciążonym kamieniami, do której po tylu najrzetelniejszych wysiłkach, określonymi drogami dotarł z powrotem.

Niech to diabli biorą! Ze zdrętwiałych warg Hansa Castorpa sypnęły się ciężkie przekleństwa, nie zawierające tylko dźwięków wargowych. Dla zorientowania się pobrał dokoła szałas i stwierdził, że dotarł doń od tyłu; a więc przez dobrą, jak obliczał, godzinę robił najniepotrzebniejsze i najniedorzeczniejsze wysiłki. Ale tak się zawsze dzieje, tak jest to opisywane w książkach; człowiek krąży dookoła, wysila się pragnąc ratunku, którego obraz ma w sercu, a robi tylko jakiś wielki niemądry łuk, który wraca do punktu wyjściowego, niczym zwodniczy bieg roku kalendarzowego. W ten sposób dzieje się, że człowiek chodzi w kółko i nie znajduje drogi do domu. Hans Castorp rozpoznał to opisywane często zjawisko z pewnym zadowoleniem, ale i z przerażeniem; uderzył się po biodrze, zły i zdumiony, że w jego szczególnym, indywidualnym, terażniejszym wypadku powszechna zasada sprawdza się tak dokładnie.

Samotna szopa była niedostępna, drzwi były zamknięte, nie można się było dostać do środka. Jednakże Hans Castorp zdecydował, że pozostanie tu na razie, bo wystający dach dawał złudzenie pewnej gościnności, a sam szalas swą zwróconą ku górom ścianą, pod którą Hans Castorp się schronił, rzeczywiście osłaniał cośkolwiek przed zawieruchą, jeśli się było oprzeć ramieniem o jego ścianę z bali drewnianych, bo na to, by się oprzeć plecami, nie pozwalały długie narty. Stał pochylony w bok, kijek narciarski zatknął w śnieg, ręce włożył w kieszenie, podniósł kołnierz wełnianej kurtki, a wystającej nogi użył jako drugiej podpory. Zamknął oczy, a głowę, w której czuł zamęt, oparł o bale ściany, i tylko raz po raz rzucał okiem poprzez ciasną dolinę na daleką górską ścianę, wyłaniającą się niekiedy ze mgły.

Pozycja jego była względnie wygodna. „W ostateczności mogę tak stać przez całą noc — myślał — zmieniając tylko od czasu do czasu nogę, przestawiając się na drugą stronę i naturalnie poruszając się trochę, bo to jest niezbędne. Choć na zewnątrz jestem skostniały, ale mam wewnątrz dość ciepła zebranego podczas ruchu, wycieczka nie była więc całkowicie bezużyteczna, choć się zgubiłem i błądziłem od szalasu do szalasu... »Zgubiłem się« — cóż to znów za wyrażenie? Nie jest używane ani przyjęte w takim wypadku jak mój, określam go całkiem niewłaściwie tym wyrażeniem, bo mi się mąci w głowie; a jednak wydaje mi się, że jest to wyraz poniekąd odpowiedni... Dobrze, że to wszystko wytrzymuję, bo ta bezsensowna historia ze śniegiem może trwać do jutra rana, a choćby trwała tylko do zmroku, to i tak byłoby niedobrze, bo wśród nocy niebezpieczeństwo zgubienia się i krążenia w kółko jest równie wielkie jak przy zawierusze... A pewnie już wieczór, koło szóstej — tyle czasu zmarnowałem gubiąc się. Któraż to godzina?» — Spojrzał na zegarek, który zgrabiałymi, nic nie czującymi palcami niełatwo było wydostać z ubrania: złoty zegarek z kopertą i monogramem żywo tykał, spełniając swój obowiązek w tym odludziu tak samo, jak serce Hansa Castorpa, wzruszające ludzkie serce, które biło dalej w organicznym cieple jego piersi...

Było wpół do piątej. Do diabła, to prawie ta sama godzina, o której zaczęła się burza. Czyż możliwe, że jego błądzenie trwało zaledwie kwadrans? „Czas mi się dłuży — myślał. — Widzę, że nudną rzeczą jest gubić się. Ale to pewne, że ściemni się o piątą czy o wpół do szóstej. Czy zawierucha ustanie przedtem dość wcześnie, abym dalej się nie gubił? Teraz dobrze by było łyknąć trochę porto, by się wzmocnić”.

Wziął z sobą ten trunek dyletantów jedynie dlatego, że w „Berghofie” miano go na składzie w płaskich flaszkach dla jadących na wycieczki, oczywiście nie dla tych, co w niedozwolony sposób przy śniegu i mrozie zbłądzili w górach i w takich



jak on okolicznościach oczekują nocy. Gdyby umysł jego działał sprawniej, musiałby sobie powiedzieć, że jeśli chodzi o powrót do domu, to nie mogło być napoju mniej odpowiedniego; i powiedział to sobie po paru łykach, które od razu miały taki skutek jak kulmbacher wypity pierwszego wieczoru spędzonego tu w górze: nieopanowanym mówieniem o sosach do ryb i innych takich rzeczach uraził wówczas pana Settembriniego, pana Lodovica, pedagoga, który nawet folgujących sobie szaleńców przywołuje wzrokiem swym do rozumu; jego dźwięczną trąbkę słyszał teraz w przestworzach jako znak, że wymowny wychowawca zbliża się szybkim marszem, aby przysparzającego mu tyle zgryzoty wychowanka, owo wieczne dla życia strapienie, uwolnić z szalonego położenia i zaprowadzić do domu... Wszystko to oczywiście nie miało sensu, a pochodziło tylko z kulmbachera, którego napił się przez omyłkę. Bo najpierw, pan Settembrini nie miał trąbki, miał jedynie katarynkę opartą szczudłem o bruk i grającą płynnie, podczas gdy on ogarniał domy dookoła swym spojrzeniem humanisty, a po wtóre, nie wiedział nic o tym, co się tu działo, bo już nie mieszkał w sanatorium „Berghof”, lecz u krawca damskiego, Lukačka, w mansardzie z karafką wody, nad jedwabną celą Naphty; poza tym, nie miał ani prawa, ani możliwości wkraczania w tym wypadku, tak samo jak niegdyś podczas nocy karnawałowej, gdy Hans Castorp znajdował się w równie szalonym i niepożądanym położeniu oddawszy chorej Kławdii Chauchat son crayon, jej ołówek, ołówek Przybysława Hippego... Jak to zresztą jest z „położeniem”? Aby się znajdować w jakimś położeniu, musiałby leżeć, a nie stać, jeśli wyraz ma mieć swój właściwy i porządnny, a nie tylko przenośny sens. Poziome położenie należało się jemu, który od lat przebywał tu w górze. Czyż nie był przyzwyczajony do leżenia na powietrzu, przy śniegu i na mrozie, nocą tak samo jak dniem? Już się więc zabierał do tego, aby się położyć, gdy przeszła go, chwyciła jakby za kołnierz i utrzymała na nogach myśl: że niemądre jego rozważania o „położeniu” trzeba także położyć wyłącznie na karb kulmbachera, że mają swe źródło w bezosobowej chęci leżenia i spania, w książkach opisywanej jako typowo niebezpieczna, a mamiącej go sofizmatami i grą słów.

„Był to fałszywy krok — przyznał, — Nie trzeba było pić porta, po tych kilku łykach mam niemożliwie ciężką głowę, ciężar spada mi także na piersi. Myśli mi się płaczą i robię niemądre dowcipy; nie mogę im ufać, nie tylko tym, co mi pierwsze przychodzą do głowy, ale także tym drugim, w których pierwsze poddaję krytyce: to moje nieszczęście. Son crayon! To znaczy w tym wypadku jej crayon, a nie jego, a mówi się son, bo crayon jest rodzaju męskiego, reszta to dowcipki. Że też ja w ogóle o takich rzeczach myślę! Tymczasem daleko pilniejszą sprawą jest to, że moja lewa noga, na której się opieram, uderzająco przypomina szczudło u katarynki

Settembriniego, które on popycha przed sobą na bruku kolanem, zbliżając się do okna i podstawiając aksamitny kapelusz, aby dziewczę z góry weń coś wrzuciło. A przy tym jakaś bezosobista siła ciągnie mnie formalnie rękami, żebym się położył na śniegu. Na to tylko ruch może pomóc. Muszę się ruszać, za karę za kulmbachera i aby rozprostować nogę, która jest jak drewno.”

Odepchnął się ramieniem. Ale ledwie odsunął się od szopy i zrobił krok naprzód, wicher podciął go jak kosą i rzucił pod osłonę ściany. Najwyraźniej miejsce to było mu sądzone i musiał się z tym na razie pogodzić, natomiast mógł się dla odmiany oprzeć na lewym ramieniu, a podeprzeć prawą nogą, wykonawszy przedtem kilka niezdarnych ruchów lewą, aby odcierpła. „Przy takiej pogodzie nie wychodzi się z domu — myślał sobie. — Dobra jest umiarkowana odmiana, ale nie żąda nowości i nie puszczanie się w zawody z wiatrem. Stój spokojnie i ostatecznie spuść głowę, skoro taka ciężka. Ściana jest dobra; te bale wypromieniowują trochę ciepła, jeśli tu może być mowa o ciepłe, trochę dyskretne ciepła drzewa, choć może jest to tylko sprawa nastroju, subiektywne odczucie... Ach, ileż drzew! Jakaż żywa atmosfera życia! Jakże pachnie!...”

Pod nim leżał park; stał na balkonie, pod którym roztaczał się rozległy, bujny, zieleniejący park, pełen liściastych drzew: wiązów, platanów, buków, klonów, brzoź, o subtelnych odcieniach pełnego, świeżego, lśniącego listowia i lekko szumiących wierzchołkami. Powietrze było rozkoszne, wilgotne, balsamiczne od oddechu drzew. Przeszła ciepła, świetlista ulewa. Aż po samo niebo przestrzeń wypełniona była błyszczącymi strugami deszczu. Jakże pięknie! O, technienie stron rodzinnych, zapach i bujność dawno niewidzianych równin! Zewsząd rozbrzmiewały głosy ptaków, delikatne, serdeczne, słodkie kwilenie, świergotanie, gruchanie, śpiew, łkanie, choć nie było widać ani jednego stworzenia. Hans Castorp uśmiechnął się i z wdzięcznością zaczerpnął tchu. A tymczasem wszystko wydawało się jeszcze piękniejsze. Z boku nad krajobrazem rozpiął się łuk tęczy, pełny i wyraźny, najczystszy cud, wilgotnie błyszczący wszystkimi swymi barwami, nasyconymi jak olejne i spływającymi w gęstą, lśniąca zieleń. Było to jak muzyka, jak czyste dźwięki lutni zmieszane z fletem i skrzypcami. Zwłaszcza błękit i fiolet spływały cudownie. Wszystko w nich w czarodziejski sposób roztapiało się, przekształcało, rozwijało wciąż na nowo i coraz piękniej. Było to tak jak przed laty, kiedy Hans Castorp miał możliwość usłyszenia śpiewaka światowej sławy, włoskiego tenora, z którego krtani władcza sztuka spływała jak łaska na serce ludzkie. Wziął on wysoki ton, który od początku był piękny. Ale stopniowo namiętny i dźwięczny głos otwierał się, nabrzmiewał, rozjaśniał się, rozpromieniał. Zdawało się, że zasłony, których poprzednio nikt nie zauważył, opadają jedna za drugą, wreszcie opadła

i ostatnia odsłaniając, jak się wydawało, najpotężniejsze i najczystsze światło, potem jeszcze jedna, najostatniejsza, i jeszcze jakaś nieprawdopodobna, ze wszystkich ostatnia, wyzwalająca tyle blasku i tyle wspaniałości, że aż łzy wycisnęła i z tłumy wyrwały się stłumione głosy zachwytu, brzmiące niemal jak protest i sprzeciw, a jego samego, Hansa Castorpa, chwyciło łkanie. Tak samo było teraz, w tym jego krajobrazie, który przemieniał się, otwierał, coraz bardziej promieniał. Błękity płynęły... Opadła błyszcząca zasłona deszczu — i ukazało się morze; morze, morze południowe, o głębokiej ciemnoniebieskiej barwie, lśniące srebrnymi światłami, cudowna zatoka, po jednej stronie otwarta i zamglona, w połowie otoczona łańcuchami błękitnych gór, bledniejących w oddali, usiana wyspami, na których rosły palmy lub błyszczały małe białe domki wśród cyprysowych gajów. Ale dość, cóż za niczym nie zasłużona, promieniejąca światłem błogość przejrzystego nieba i słonecznej świeżości wód! Hans Castorp nigdy tego nie widział, nie widział nic podobnego. W wakacyjnych podróżach ledwie zawadził o południe — morze znał tylko surowe i blade i był doń przywiązany ociężałym, dziecięcym uczuciem, natomiast do Morza Śródziemnego, do Neapolu, Sycylii czy Grecji nigdy nie dotarł. A jednak p r z y p o m n i a ł sobie to, co teraz widział. Tak, rzecz szczególna, cieszyło go właśnie rozpoznawanie czegoś znanego. „Ach, tak, to jest tak naprawdę!” — wołało w nim coś, jak gdyby to szczęście błękitne i słoneczne, które roztaczało się przed nim, nosił od dawna w sercu, tając je przed samym sobą: a to „od dawna” było rozległe, nieskończenie rozległe, jak owo otwierające się tam na lewo morze, ku któremu niebo pochylało się w delikatnych fiołkowych barwach.

Horyzont był wysoko i dal zdawała się rosnąć, bo Hans patrzył na zatokę z góry, z pewnej wysokości. Otaczały ją góry — podgórze, poszyte gęstym lasem, schodzącym w morze — ciągnęły się od środka krajobrazu półkolem aż do miejsca, gdzie siedział, i dalej jeszcze. Siedział na skalistym wybrzeżu, na ogrzanych słońcem kamiennych stopniach, a u jego stóp kamieniste, mchami i krzewami porośłe wybrzeże opadało skalnymi schodami aż do brzegu morza, gdzie piargi tworzyły wśród sitowia niebieszczące się zatoki, małe przystanie, zalewy. A cała ta słoneczna przestrzeń, te nadbrzeżne wzniesienia, te uśmiechnięte zagłębienia skalne, a także samo morze aż do wysp, po którym pływały łodzie — wszystko to było wzdłuż i wszerz zaludnione: poruszali się tu wszędzie lub spoczywali ludzie, dzieci słońca i morza, rozumna, pogodna, piękna i młodzieńcza ludzkość, na którą miło było patrzeć — serce Hansa Castorpa otwierało się na jej widok szeroko, tak szeroko, że aż boleśnie, i z miłością.

Młodzieńcy harcowali na koniach lub biegli z ręką na uździe obok rżących, kłusujących, potrząsających grzywą rumaków, ścigali je długimi cugłami, gdy stawały

dęba, lub na oklep, pobudzając nagimi piętami, zaganiali je do morza; mięśnie ich pleców grały w słońcu pod złotobrazową skórą, a okrzyki, jakie zamieniali między sobą i jakimi poganiali zwierzęta, brzmiały z niewiadomego powodu czarownie. Nad jedną z zatok, odzwierciedlającą brzeg jak górskie jezioro i głęboko wrzynającą się w ląd, tańczyły dziewczęta. Jedna, o szczególnie uroczych, wysoko na głowie upiętych włosach, siedziała i grała na fujarce; gest rąk delikatnie zaokrąglął jej białe smukłe plecy; wzrok jej wybiegał ponad przebierające palce ku towarzyszkom, które w długich i szerokich szatach posuwały się tanecznym krokiem, bądź same, uśmiechając się i rozpościerając ramiona, bądź też parami, oparłszy skroń o skroń; a za grającą na fujarce inne znów siostry siedziały lub stały objawszy się ramionami i przypatrując się rozmawiały cicho. Opodał chłopcy ćwiczyli się w strzelaniu z łuku. Był to przemiły i uszczęśliwiający widok — patrzeć, jak starsi chłopcy uczyli niewprawnych jeszcze, długowłosych malców napinania cięciwy, jak celowali razem z nimi, a potem — śmiejąc się — podtrzymywali ich, gdy ci zataczali się po wypuszczeniu strzały, która wybiegała ze świstem. Inni łowili ryby na wędkę. Leżąc na brzuchu na nadbrzeżnych płytach skalnych, kołyszając jedną nogą, trzymali sznurek zarzucony w morze, a jednocześnie spokojnie gawędzili z sąsiadem, zwróciwszy ku niemu głowę; ten zaś pochylając się w bok i wyciągając się, zarzucał daleko swą przynętę. Inni znów, popychając, posuwając i podpierając łódź o wysokiej burcie z masztem i reją, spychali ją w morze. Dzieci bawiły się między falochronami, krzycząc radośnie. Młoda leżąca kobieta jedną ręką przytrzymywała na piersi swą kwiecistą szatę, podczas gdy drugą wyciągała po owoc z liśćmi, a młodzieniec o wąskich biodrach, stojący obok niej, podawał go jej i jednocześnie żartobliwie go jej wzbraniał. Inni odpoczywali w zagłębieniach skalnych, stali nad brzegiem, ze skrzyżowanymi na karku rękami, nie mogąc się zdecydować na wejście do kąpieli, palcami u nóg próbując jeszcze ciepłoty wody. Pary spacerowały po wybrzeżu, chłopiec poufale prowadzący dziewczynę pochylał usta do jej ucha. Kudłate kozy skakały po skałach, z płyty na płytę, strzeżone przez pasterza, który stał na wzniesieniu, w małym kapeluszu, o podwiniętym z tyłu rondzie, na ciemnych kędziorach, z jedną ręką na biodrze, a drugą opartą o długi kij. „Ależ to wszystko jest urocze! — zachwycił się Hans Castorp z całego serca. — Jakież radosne i zniewalające! Jakżeż oni wszyscy są ładni, zdrowi, mądrzy i szczęśliwi! Tak, nie tylko piękni kształtem, lecz zarazem mądrzy i pełni wewnętrznego powabu. Najwięcej mnie w nich wzrusza i pociąga ich duch i usposobienie, które, że tak powiem, stanowi ich istotę i nadaje charakter ich współżyciu!” Miał na myśli ogromną wzajemną życzliwość i równą dla wszystkich uprzejmość tych słonecznych ludzi, a zarazem pod uśmiechem skrywany szacunek, jaki dla siebie żywili na

skutek łączącej ich więzi duchowej i ideowej i jaki okazywali sobie na każdym kroku. A miał także na myśli ich godność, a nawet surowość, jednakże zespoloną z wesołością; objawiała się w ich postępowaniu jako nieuchwytny wpływ pogodnej powagi i rozsądnej zbożności, a zarazem pewnej ceremonialności. Tam oto, na okrągłym, mchem porośłym kamieniu, w brązowej szacie, opuszczonej z jednego ramienia, siedziała młoda matka i karmiła dziecko. A każdy, kto przechodził, pozdrawiał ją w sposób szczególny, w którym zespolone było wszystko, co w zachowaniu się tych ludzi było tak wymownie przemilczane: chłopcy, patrząc na obraz macierzyństwa, lekko, szybko, formalnie krzyżowali ręce na piersi i z uśmiechem skłaniali głowę, a dziewczęta przyklękały tylko z lekka, jak się w kościele lekko skłaniają pobożni przechodząc przed wielkim ołtarzem. Ale przy tym żywo, wesoło i serdecznie pozdrawiały ją ruchem głowy — i to połączenie dbałego o formy szacunku z pogodną przyjaźnią wywoływało zachwyty Hansa Castorpa — zwłaszcza że przyłączał się jeszcze do tego widok łagodności, z jaką matka, odrywając oczy od swego robaczka, któremu ułatwiała ssanie naciskając pierś wskazującym palcem, spoglądała w górę i tym, co okazywali jej cześć, dziękowała uśmiechem. Nie mógł się na to wszystko napatrzeć, a zarazem pytał sam siebie z lękiem, czy mu patrzeć wolno, czy podpatrywanie tego słonecznego i kulturalnego szczęścia przez niego, który w nim nie bierze udziału i który samemu sobie wydawał się tak nieszlachetny, brzydki, trywialnie ubrany, czy nie jest czymś wysoce karygodnym.

Wydawało mu się to niewątpliwe. Tuż pod miejscem, gdzie siedział, stał piękny chłopiec, o bujnych włosach, szesanych na bok, wznoszących się nad czołem i opadających na skroń, z rękami skrzyżowanymi na piersi; trzymał się z dala od towarzyszy, nie smutny ani hardy, ale obojętny. Ten spostrzegł obcego widza, podniósł ku niemu wzrok, powiódł oczami od niego do scen na wybrzeżu, podpatrując tego, który podpatrywał. Aż nagle zaczął patrzeć poza niego, w dal, i z jego pięknej, surowo wyrzeźbionej, a na wpół dziecinnej twarzy znikł ów wszystkim im wspólny uśmiech uprzejmości, braterstwa i zrozumienia — i choć brwi jego się nie zasepiły, na obliczu jego odmalowała się powaga jakby kamienna, bez wyrazu, niezgłębiona, śmiertelnie zamknięta, tak że ledwie uspokojonego Hansa Castorpa napełnił lęk, bo niejasno zdał sobie sprawę z sensu tej powagi.

Spojrzał i on wstecz... Piętrzyły się za nim potężne kolumny, bez cokołów, wzniesione z cylindrycznych bloków, między którymi porastał mech: były to kolumny portyku świątyni, a on siedział na jej w pośrodku otwartych schodach. Wstał z ciężkim sercem, zszedł bokiem ze schodów i wszedł przez głęboką bramę na wybrukowaną kamiennymi płytami ulicę, która go niebawem doprowadziła do nowych Propylei. Przeszedłszy przez nie znalazł się teraz przed świątynią, potężną,

szarozieloną ze zwietrzenia, ze stromymi schodami tworzącymi jej cokół; szeroki fronton wsparty był na kapitelach kolumn potężnych, prawie krępych, zwięzających się ku górze, z których wystawały w bok poszczególne żłobkowane okrągłe bloki. Z trudem, pomagając sobie rękami i wzdychając, bo coraz ciężej było mu na sercu, Hans Castorp wdrapał się po wysokich stopniach i znalazł się w lesie kolumn. Był to las głęboki, i jak wśród pni bukowego lasu nad bladym morzem błędził po nim unikając z rozmysłem wejścia w środek. Ale wszedł tam wreszcie i wtedy w miejscu, gdzie rozstępowały się kolumny, stanął przed grupą posagową, przed dwiema kamiennymi figurami kobiet, matki i córki, jak się zdawało; jedna, siedząca, starsza, dostojniejsza, mająca w sobie coś łagodnego i boskiego, ale z bolesnym wyrazem brwi nad bezgwiezdnymi, pustymi oczodołami, była w fałdzistej tunice i wierzchniej szacie, z welonem na fryzowanych włosach, uczesanych tak, jak przystało na matronę, macierzyńskim uściskiem obejmowała drugą, o okrągłym dziewczęcym obliczu, która stała ze splecionymi ramionami i rękoma kryjąc je pod wierzchnią szatą.

Gdy się przyglądał posagowi, serce Castorpa z niejasnych powodów stało się jeszcze cięższe, pełne trwogi i przeczuc. Ledwie się odważył, a jednak musiał obejść posąg i przejść przez podwójną za nim kolumnadę: przed sobą miał teraz otwarte metalowe drzwi do wnętrza świątyni. Nieszczęsny zdrętwiał i ugięły się pod nim kolana na widok tego, co w blasku pochodni z przerażeniem tam ujrzał. Dwie siwe kobiety, półnagie, z rozczochranymi włosami, ze zwisającymi piersiami czarownic i długimi jak palce cyckami wśród przejmującej ciszy rozrywały rękami nad misą małe dziecko — Hans Castorp ujrzał jego delikatne blond włosy umazane krwią — połykały je kawałkami, tak że aż kruche kostki trzeszczały w ich ustach, a krew spływała z ich wstrętnych warg. Lodowate przerażenie obezwładniło Hansa Castorpa. Chciał zakryć oczy rękoma i nie mógł. Chciał uciekać i nie mógł. Już go spostrzegły wśród swego ohydneho procederu, wygrażały mu krwawymi pięściami i wymyślały bezgłośnie, ale grubiańsko i plugawo, i to w ludowym narzeczu stron rodzinnych Hansa Castorpa. Zrobiło mu się niedobrze, jak nigdy jeszcze. W rozpaczy chciał się porwać z miejsca — i padł na plecy opodal kolumny — i tak jak padł, wciąż jeszcze ze wstrętnym ujadającym szeptem w uszach i owładnięty zimnym przerażeniem, ocknął się przy swym szalasiu w śniegu, leżąc na jednym ramieniu, z głową na ziemi, z nartami na wyprostowanych nogach.

Nie było to jednak właściwe i prawdziwe przebudzenie; mrugał tylko oczami, z ulgą, że się pozbył rozjuszonych kobiet, ale nie był pewien i nie dbał o to, czy leży oparty o kolumnę świątyni, czy też o szopę; do pewnego stopnia dalej śnił, snując już nie obrazy, lecz myśli, jednak nie mniej śmiałe i splątane.

„Jednakże zdawałem sobie sprawę, że to był sen — chodziło mu po głowie. — Czarowny i straszny sen. W gruncie rzeczy miałem świadomość przez cały czas, wszystko sam uroiłem, ten park liściasty, to czarowne wilgotne powietrze, i wszystko potem, zarówno to, co piękne, jak to, co okropne, wiedziałem z góry. Jakże to możliwe, żeby z taką świadomością coś takiego sobie uroić i doznawać szczęścia i przerażenia? Skąd przyszła mi do głowy piękna zatoka na wyspie, a potem okrąg świątynny, ku któremu wskazały mi drogę oczy owej sympatycznej postaci stojącej na uboczu? Wydaje mi się, że sny czerpie się nie tylko z zasobów własnej duszy, że śni się bezimiennie i wspólnie, choć każdy na własny sposób. Wielka dusza, której jesteś tylko częścią, śni przez ciebie i na twój sposób o rzeczach, o których tajemnie śni zawsze: o swej młodości i nadziei, o swym szczęściu i pokoju i o swej — krwawej uczcie. Oto leżę przy swej kolumnie i czuję jeszcze w sobie resztę mego snu, mrozący strach przed krwawą ucztą, a także serdeczną radość z tego, com widział poprzednio, ze szczęścia i zbożnej kultury białej ludzkości. Twierdę, że mi się to należy, że mam poręczone prawo leżeć tu i o tych rzeczach śnić. Wiele się od ludzi przebywających tu w górze dowiedziałem o dezercji i rozumie. Z Naphtą i Settembrinim zgubiłem się w tych niebezpiecznych górach. Wiem wszystko o człowieku. Poznałem jego ciało i krew, chorej Kławdii oddałem ołówek Przybysława Hippego. Ale kto poznaje ciało i życie, ten poznaje też śmierć. Tylko że to nie wszystko — raczej tylko początek, jeśli to brać pedagogicznie. Trzeba to uzupełnić drugą połową, przeciwieństwem tamtej. Bo wszelkie zainteresowanie śmiercią i chorobą jest wyrazem zainteresowania życiem. Dowodem tego jest humanistyczny fakultet medyczny, który tak uprzejmie przemawia po łacinie do życia i jego choroby, ale jest tylko odcieniem jednej wielkiej i pilnej sprawy, którą sobie oto z całą życzliwością nazywam po imieniu: sprawy wiecznego dla życia strapienia, to jest człowieka, jego stanu i pozycji... Niemało się na nim znam, dużom się nauczył od ludzi tu w górze, wysoko się wzniosłem ponad równinę, tak że mi nieszczęsnemu bez mała tchu zabrakło; jednakże teraz, od stóp mej kolumny ogarniam to wszystko spojrzeniem... Śnił mi się stan człowieka i jego uprzejma, rozsądna i szanowna społeczność, poza którą w świątyni odbywa się ohydna krwawa uczta. Czy ci słoneczni ludzie nie dlatego byli uprzejmi i czarujący, że pamiętali o tej ohydzie? Wyciągnęliby z niej w ten sposób konsekwencję subtelną i pełną galanterii! Staję po ich stronie, a nie po stronie Naphty — zresztą także nie Settembriniego, obaj są gadułami. Jeden jest lubieżny i złośliwy, a drugi gra wciąż na tej swojej trąbce rozumu i wyobraża sobie, że otrzeźwi nawet szaleńców; to jest niesmaczne. Jest to filisterstwo i czysta etyka bez religii, co do tego nie może być wątpliwości. Ale nie myślę się też wypowiadać za małym Naphtą i jego religią, tym

guazzabuglio\* Boga i diabła, dobra i zła, które zmierza do tego, aby jednostka na łeb, na szyję rzuciła się w odmęty i mistycznie zagubiła w powszechnym bycie. Ach, ci dwaj pedagogzy; ich spór i ich antagonizmy są same też tylko guazzabuglio, są bezładnym zgiełkiem bitwy, który nie ogłuszy nikogo, kto ma choć trochę swobody w myśleniu i trochę pobożności w sercu. A to ich zagadnienie arystokratyzmu! Ta ich dostojność! Śmierć czy życie, choroba i zdrowie, duch i przyroda: czyż to są przeciwieństwa? Zapytuję: czyż to są zagadnienia? Nie, to nie są żadne zagadnienia, a tak samo nie jest nim pytanie, gdzie jest więcej dostojności. Ucieczka w śmierć dokonywa się w ramach życia, bez niej nie byłoby życia; a między nimi jest miejsce, które zajmuje Homo Dei, pośrodku między ucieczką a rozumem; także państwo jego jest pośrodku między mistyczną wspólnotą a wietrzną samoistnością. Widzę to spod swojej kolumny. Zajmując to miejsce powinien on z galanterią, uprzejmością i szacunkiem obcować z samym sobą — bo tylko on sam jest dostojny, nie zaś przeciwieństwa. Człowiek jest panem przeciwieństw, dzięki niemu istnieją, a więc jest od nich dostojniejszy. Dostojniejszy od śmierci, zbyt dostojny dla niej, bo głowa jego jest wolna. Dostojniejszy od życia, zbyt dostojny dla niego, bo serce jego jest pobożne. Otom ułożył poemat, wyśniony poemat o człowieku. Będę o tym myślał, będę dobry. Nie dam śmierci panować nad moimi myślami! Bo na tym polega dobroć i miłość ludzka, na niczym innym. Śmierć jest wielką potęgą. Odkrywamy przed nią głowę i zbliżamy się do niej na palcach. Ma na sobie dostojną kryzę przeszłości, a my sami ubieramy się na jej cześć poważnie i czarno. Rozum niemądrze wygląda wobec śmierci, bo jest jedynie cnotą, śmierć natomiast jest wolnością, ucieczką, bezkształtem i rozkoszą. Mój sen mówi mi, że rozkoszą, a nie miłością. Śmierć i miłość: nie rymują się z sobą, byłby to niesmaczny i fałszywy rym! Miłość przeciwstawia się śmierci, ona jedna, nie rozum; i jest mocniejsza od śmierci. Ona jedna, nie rozum, budzi dobre myśli. Wszelka forma pochodzi również jedynie z miłości i dobroci: forma i kultura rozumnego i przyjaznego społeczeństwa, harmonijnego królestwa ludzkiego, pamiętającego w cichości o krwawej uczcie. O, to jest wyraźny sen i tak należy królować! Będę o tym myślał. Zachowam w sercu wierność dla śmierci, jednakże będę pamiętał, że wierność dla śmierci i przeszłości jest jedynie złościwością, ponurą lubieżnością i wrogością wobec człowieka, jeśli zyskuje decydujący wpływ na nasze myślenie i królowanie. Człowiek w imię dobroci i miłości nie powinien dać śmierci panować nad swoimi myślami. Iz tym się budzę... Bo doprowadziłem sen do końca i do celu. Dawno już byłem w poszukiwaniu tego hasła: w miejscu, gdzie mi się ukazywał Hippe, w mojej loggii i wszędzie. To poszukiwanie zapędziło

---

\* Guazzabuglio (wł.) — mieszanina.



mnie w śnieżne góry. I teraz mam to hasło. Sen mój poddał mi je tak wyraźnie, że znam je już raz na zawsze. Zachwyciło mnie w najwyższym stopniu i rozgrzało. Serce moje bije mocno i wie, dlaczego. Bije nie tylko z przyczyn cielesnych, nie tylko tak, jak trupowi rosną jeszcze paznokcie; bije po ludzku i słuszenie, w poczuciu szczęścia. Moje wyśnione hasło jest napojem, lepszym niż porto czy ale, płynie przez moje żyły, jak miłość i życie, tak że aż zrywam się ze snu i marzeń sennych, o których naturalnie dobrze wiem, że są niebezpieczne dla mego młodego życia... Wstawaj, wstawaj! Otwórz oczy! To twoje członki, twoje nogi tu w śniegu! Zbierz się w sobie i wstawaj! Patrz — już pogoda!”

Niezmiernie ciężko było wyzwolić się z więzów, które go skrepowały i chciały zatrzymać; ale rozpęd, na który umiał się zdobyć, był silniejszy. Hans Castorp rzucił się na łokieć, mężnie podciągnął kolana, poderwał się, podparł, podźwignął. Ubił nartami śnieg, bił się ramionami po bokach, potrząsał barkami, spoglądając przy tym z podnieceniem i wysiłkiem na wszystkie strony i w górę na niebo, gdzie między wolno ciągnącymi, cienkimi jak woale, szaroniebieskimi chmurami ukazał się blady błękit, a potem zjawił się wąski sierp księżyca. Lekki zmierzch. Nie ma burzy, nie ma śnieżycy. Ściana góry, której grzbiet zjeżony był jodłami, ukazała się po tamtej stronie w całości, jasna i spokojna. Cienie sięgały do jej połowy, a górna część była skąpana w najdelikatniejszym różowym świetle. Cóż się tu działo i co się stało ze światem? Czy to ranek? I czy całą noc przeleżał w śniegu, nie zamarznąwszy tak, jak to opisują książki? Żadna z kończyn mu nie zmartwiała i żadna nie zła-mała się z trzaskiem, gdy tupał, otrząsał się i bił po bokach, a robił to wszystko energicznie, myśląc jednocześnie o swej sytuacji. Uszy, końce palców i palce u nóg skostniały mu; jednakże nie więcej, niż mu się to nieraz zdarzało podczas nocnego werandowania w zimie. Udało mu się dogrzebać do zegarka. Szedł. Nie stanął, jak w te wieczory, kiedy zapominał go nakręcić. Jeszcze nie było na nim piątej, jeszcze nawet do piątej było daleko. Brakowało dwunastu, trzynastu minut. Zdumiewające! Czyż to możliwe, że tylko dziesięć minut lub niewiele więcej przeleżał tu w śniegu i przez ten czas przeżył tyle obrazów uszczęśliwiających i przerażających i tyle ryzykownych myśli, a okropne sześcio kąty rozplýwały się równie szybko jak napa-dały? Z punktu widzenia powrotu do domu miał niezwykle szczęście. Bo dwukrot-nie jego senne marzenia wzięły taki obrót, że zerwał się z ożywieniem: raz z przera-żenia, a raz z radości. Widać, że życie życzliwie się odniosło do swego zabłąkanego utrapieńca...

Ale jakkolwiek jest, czy to już ranek, czy jeszcze popołudnie (na pewno jest jeszcze popołudnie, wczesny wieczór): w każdym razie ani warunki zewnętrzne, ani jego stan własny nie stały na przeszkodzie, by jak najspieszniej wracał do domu,

i Hans Castorp to uczynił — w wielkim stylu, jakby linią powietrzną zjechał w dolinę, a gdy tam dotarł, świeciły się już lampy, choć reszta jasności dnia, odbitej na śniegu, dostatecznie mu oświetliła drogę. Zjechał z Brehmenbühl, skrajem regli, i wpół do szóstej był w Davos-Wsi, gdzie swój sprzęt zostawił u sklepikarza, odpoczął w mansardowej celi pana Settembriniego i zdał mu sprawę z tego, jak się dał zaskoczyć burzy śnieżnej. Humanista był bardzo przerażony. Wznosił rękę nad głowę, tęgo kłął na tak niebezpieczną lekkomyślność i z miejsca zapalił syczącą maszynkę spirytusową, aby porządnie wyczerpanemu gościowi zrobić kawy; choć była mocna, nie zapobiegła temu, by Hans Castorp, siedząc jeszcze u niego na krześle, nie zapadł w sen.

W godzinę później powitała go wysoce cywilizowana atmosfera „Berghofu”. Kolację jadł z potężnym apetytem. Zaczynało mu się już zacierać w świadomości to, co przemarzył. I już tego samego wieczoru nie bardzo rozumiał to, co przemyślał.

### **Po żołniersku i mężnie\***

Hans Castorp miewał stale krótkie wiadomości od swego kuzyna. Najpierw dobre i butne, potem mniej pomyślne, a wreszcie takie, które starały się z lekka upiększyć coś prawdziwie smutnego. Szereg kart pocztowych zaczął się od wesołej wiadomości o wstąpieniu Joachima do służby i o romantycznej ceremonii, podczas której — jak się Hans Castorp wyraził w odpowiedzi — ślubował ubóstwo, czystość i posłuszeństwo. Dalszy ciąg również był wesoły: donosił o radośnie przez się witanych etapach łatwej, uprzywilejowanej kariery, którą torowało jego namiętne umiłowanie sprawy i sympatie przełożonych. Ponieważ Joachim studiował przedtem przez parę semestrów, więc został zwolniony od uczęszczania do szkoły wojskowej i służenia jako chorąży. Na Nowy Rok został podoficerem i przysłał swą fotografię, na której miał już naszywki. Każdy z jego lakonicznych raportów był pełen zachwyty dla hierarchii, do której się dostał, tak surowej na punkcie honoru, tak spoistej jak żelazo, a jednak z humorem traktującej ludzkie sprawy. Cytował anegdoty o romantycznie skomplikowanym stosunku, jaki miał doń jego sierżant, opryskliwy i fanatyczny żołnierz; traktował go mianowicie jako swego omylnego młodego podwładnego, który jednak niebawem będzie jego przełożonym, a już i teraz bywa w kasynie ofi-

---

\* Po żołniersku i mężnie — ostatnie słowa umierającego Walentyna w „Fauście” Goethego.

cerskim. Było to zabawne i dziwaczne. W późniejszych listach Joachim pisał o dopuszczeniu do egzaminu oficerskiego. A w początku kwietnia został podporucznikiem.

Widać było, że nie ma szczęśliwszego odeń człowieka, że nie ma takiego, którego natura i pragnienie znalazłyby bardziej odpowiadającą im postać życia. Z pewnym zawstydzeniem, ale i rozkoszą opowiadał, jak to po raz pierwszy w przepychu swej nowej godności przechodził koło ratusza i odsalutował wartownikowi, który dla oddania mu czci stanął na baczność. Pisał o drobnych przykrościach i satysfakcjach, jakie przynosi służba, o wspaniałym a przyjemnym koleżeństwie, o przebiegłości i wierności swego ordynansa, o komicznych incydentach przy musztrze i odprawach instruktorskich, o rewiach i bankietach koleżeńskich. Przy okazji była też mowa o sprawach towarzyskich, wizytach, obiadach, balach. A o zdrowiu nie było wcale mowy.

Nie było aż do lata. Potem natomiast pisał, że leży w łóżku, że niestety musiał zameldować o swej chorobie: gorączka kataralna, sprawa paru dni. W początku czerwca znów pełnił służbę, ale w połowie miesiąca „oklapł”, gorzko skarżył się na swój „pech”, a przebijał przez jego słowa lęk, że może nie być na swym stanowisku z początkiem sierpnia, podczas wielkich manewrów, na które się z całego serca cieszył. Głupstwo, w lipcu był zdrów jak ryba. Był nim przez szereg tygodni, aż okazała się potrzeba badania lekarskiego z powodu przekłętych wahań temperatury; od badania tego miało wiele zależeć. O jego wyniku Hans Castorp długo nic nie wiedział, aż wreszcie dowiedział się, ale nie z listu Joachima — czy to nie był w stanie pisać, czy też się zawstydził — lecz z depeszy jego matki, pani Ziemssen. Zawiadamiiała, że lekarze nakazali Joachimowi parotygodniowy urlop. Wskazane góry, pożądany natychmiastowy wyjazd; prośba o zamówienie dwóch pokoi. Odpowiedź zapłacona. Podpis: Ciotka Luiza.

Był koniec lipca, gdy Hans Castorp w swej loggii przebiegł oczyma tę depeszę, a potem ją przeczytał uważnie i czytał wciąż na nowo. Pokiwał powoli nie tylko głową, ale całą górną połową ciała i rzekł przez zęby: — Tak, tak, tak! No, no! no! Joachim wraca! — Doznał nagłej radości, ale zaraz zamilkł i myślał: „Hm, hm, doniosłe nowiny. Można by uważać za miłą niespodziankę. Do diabła, prędko to poszło — już dojrzał do powrotu do «ojczyzny!» Matka przyjeżdża razem z nim (powiedział „matka”, a nie „ciotka Luiza”; utracił zmysł dla pokrewieństwa i stosunków rodzinnych; stały mu się obce) — to moment obciążający. I to właśnie przed manewrami, do których tak się pocziwiec palił! Hm, hm, jest w tym dobra porcja nikczemności i szyderstwa, fakt przemawiający przeciw idealizmowi. Ciało

triumfuje, dąży do czego innego niż dusza, a i bierze nad nią górę — ku kompromitacji egzaltowanych ludzi, którzy nauczają, że podlega ono duszy. Widocznie nie wiedzą, co mówią, bo gdyby pogląd ich w wypadku takim jak ten był słuszny, rzucałby wątpliwe światło na duszę. Sapiienti sat\*, wiem, co mówię. Mnie właśnie chodzi o to, czy należy przeciwstawiać duszę i ciało, czy raczej są z sobą związane i grają wspólnie ukartowaną grę — egzaltowanym ludziom, na szczęście dla nich, nie przychodzi to wcale do głowy. Kochany Joachimie, któż by chciał obrażać ciebie i twoją nadmierną gorliwość! Zamiary twoje są uczciwe, ale zapytuję, czym jest uczciwość, jeśli ciało i dusza są z sobą związane. Czyż to możliwe, żeś nie mógł zapomnieć pewnych świeżych zapachów, wysokich piersi i śmiechu bez powodu, które czekają na ciebie przy stole pani Stöhr?... Joachim wraca! — myślał znów przejęty radością. — Wraca w złym stanie, to oczywista, ale będziemy znów razem, nie będę tu tak dłużej żyć na własną rękę. To dobrze. Nie wszystko będzie tak jak poprzednio; jego pokój jest przecież zajęty: Mistress Macdonald kaszle tam bezdźwięcznie, jak to ona, i ma naturalnie fotografię swego synka koło siebie na stoliku, a może nawet w rękę. Ale jest to końcowe stadium, i jeśli pokój nie jest jeszcze zamówiony, to... Tymczasowo będzie można mieć inny. O ile wiem, numer 28 jest wolny. Zaraz pójdę do Zarządu, a zwłaszcza do Behrensa. Co za nowina — smutna z jednej, a świetna z drugiej strony, a w każdym razie nie byle jaka nowina! Chciałbym tylko poczekać na «pozddawiającego» kolegę, który powinien zaraz nadejść, bo jest, jak widzę, wpół do czwartej. Chcę go zapytać, czy i w tym wypadku jest zdania, że czynnik cielesny należy uważać za wtórny”.

Jeszcze przed podwieczorkiem udał się do biura Zarządu. Pokój, który miał na myśli, na tym samym korytarzu co jego, był do wzięcia. Także i dla pani Ziemssen znajdzie się pomieszczenie. Pospieszył do Behrensa. Zastał go w „laborze”, trzymającego w jednym ręku cygaro, a w drugim próbówkę, której treść miała dziwną barwę.

— Czy pan wie, panie radco... — zaczął Hans Castorp.

— Tak, wiem, że nie ma końca irytacji — odrzekł specjalista od pneumotomii...

— To Rosenheim z Utrechtu — rzekł, wskazując cygarem na próbówkę. — Gaffky dziesięć. I oto przychodzi dyrektor Schmitz, krzyczy gwałtu i skarży się, że Rosenheim pluł na promenadzie, mając Gaffky’ego dziesięć. I że mam go skarcić. Ale jak go skarcę, to dostanie nerwowego ataku, bo jest niemożliwie drażliwy, a wraz z rodziną zajmuje trzy pokoje. Nie mogę go za drzwi wyrzucić, bo miałbym

---

\* Sapiienti sat (łac.) — Mądrej głowie dość dwie słowie.

z generalną dyрекcją do czynienia. Widzi pan, w jakie konflikty się człowiek co chwila dostaje, choćby najchętniej szedł swą drogą cicho i niepokalanie.

— Głupia historia — rzekł Hans Castorp ze znajomością rzeczy człowieka zaufanego i zasiedziałego. — Znam tych panów. Schmitz jest kolosalnie poprawny i gorliwy, a Rosenheim bardzo niechlujny. Ale może niesnaski powstają między nimi na innej jeszcze płaszczyźnie niż higieniczna, tak mi się wydaje. Obaj, Schmitz i Rosenheim, są zaprzyjaźnieni z donią Perez z Barcelony, która siedzi przy stole panny Kleefeld, w gruncie rzeczy pewnie o to chodzi. Ja bym radził, żeby zakaz taki w ogólnej formie przypomnieć, a poza tym zamknąć na to oczy.

— Naturalnie, że zamykam. Dostaję już blefarospazmu od ciągłego zamykania oczu. Co pana tu sprowadza?

I Hans Castorp wystąpił ze swą smutną, a skądinąd świetną nowiną.

Nie żeby radca był zdziwiony. Nie byłby nim w żadnym razie, ale w szczególności dlatego, że Hans Castorp, pytany czy nie pytany, informował go stale o zdrowiu Joachima, a w maju sygnalizował już jego stan obłożny.

— Aha — rzekł Behrens. — No więc. A com panu mówił? Co jemu i panu mówiłem dosłownie nie dziesięć, ale sto razy? Teraz ma pan. Przez trzy kwartały robił co chciał i miał swój raj. Ale raj bez zupełnego wyleczenia nie jest błogosławieństwem — ten zbieg nie chciał wierzyć staremu Behrensowi. A trzeba zawsze wierzyć staremu Behrensowi, inaczej źle się na tym wychodzi i za późno dochodzi się do rozumu. Został podporucznikiem, to jest w porządku. Ale co ma z tego? Bóg patrzy w serca, a nie na rangi i stanowiska, stoimy przed nim w całej naszej nagości, generał tak samo jak prosty żołnierz... — Wpadł w swe zwykłe niemądre gadanie, tarł oczy olbrzymią dłonią, trzymając cygaro między palcami, i wreszcie powiedział, żeby mu się Hans Castorp już teraz nie naprzykrzał. Jakaś dziura dla Ziemssena pewnie się znajdzie, a jak przyjedzie, kuzyn powinien go niezwłocznie zapakować do łóżka. Co się jego, Behrensa, tyczy, to nie ma do nikogo pretensji, po ojcowsku otwiera swe ramiona i gotów jest zabić cielca dla marnotrawnego syna.

Hans Castorp zadepeszował. Opowiadał na prawo i lewo, że kuzyn jego wraca, i wszyscy, którzy znali Joachima, byli zmartwieni i ucieszeni, a jedno i drugie szczerze, bo swą czystą, rycerską naturą Joachim zyskał powszechną sympatię, a choć tego nie mówiono, niejednen myślał sobie i odczuwał, że był on najlepszy ze wszystkich tu w górze. Nie mamy nikogo specjalnego na myśli, ale wydaje się nam, iż ten i ów doznawał satysfakcji, że Joachim ze stanu żołnierskiego musiał powrócić do poziomego trybu życia, że ten człowiek pełen zalet znów będzie należeć do tutejszego grona. Pani Stöhr, rzecz jasna, zareagowała zaraz po swoim; to, czego się

dowiedziała, utwierdziło ją w pospolitych wątpliwościach, jakie wyrażała przy odjeździe Joachima w niziny, i nie omieszkała się tym szczycić. „Kiepsko, kiepsko” — mówiła. Poznała się na tym od razu, że sprawa jest kiepska, i tylko ma nadzieję, że Ziemssen przez swój upór nie zrobił jej superkiepską („superkiepską”, powiedziała w swej niezmierzonej pospolitości). Czyż znacznie lepiej — aby zostać przy temacie — nie postępuje ona, która choć ma również swe żywotne sprawy na równie, mianowicie męża i dwoje dzieci w Cannstatt, umie jednak panować nad sobą... Późniejszych wiadomości od Joachima i pani Ziemssen już nie było. Hans Castorp do końca nie znał dnia ani godziny ich przyjazdu; z tego powodu nikt ich nie witał na dworcu, ale w trzy dni po wysłaniu przez Hansa depeszy po prostu się zjawili i podporucznik Joachim, podniecony i roześmiany, ukazał się przy służbowym legowisku swego kuzyna.

Było to po rozpoczęciu wieczornego werandowania. Przyjechali tym samym pociągiem, co Hans Castorp przed laty, lata te nie okazały się ani krótkie, ani długie, lecz beczasowe, niezmiernie wypełnione przeżyciami, a zarazem jakieś żadne i nijakie. Nawet pora roku była dokładnie ta sama: pierwsze dni sierpnia. Joachim, jak się rzekło, radośnie, tak, na razie niewątpliwie radośnie podniecony, wszedł do Hansa Castorpa, czy raczej wyszedł z jego pokoju, prędko go przeszedłszy, na balkon i szybko oddychając witał się ze śmiechem, przytłumionymi i urywanymi słowami. Odbył z powrotem daleką podróż, przez różne kraje, przez jezioro podobne do morza, a potem po wąskich ścieżkach wysoko, wysoko w górę, i oto stał tu znów, jak gdyby nie był nigdy wyjeżdżał, witany okrzykami kuzyna, który na wół zerwał się z poziomej pozycji. Wyglądał na twarzy dobrze, czy to z powodu życia na powietrzu, jakie prowadził, czy też dlatego, że był zgrzany z podróży. Wprost z drogi, nie wszedłszy nawet do swego pokoju, podczas gdy matka jego zajęta była swą toaletą, pobiegł pod nr 34, aby powitać towarzysza dni minionych, które znów oto stały się terażniejszością. Za dziesięć minut chcieli iść na kolację, naturalnie do restauracji. Hans Castorp będzie mógł zjeść jeszcze coś z nimi albo napić się wina. I Joachim zaciągnął go naprzeciwko pod nr 28, gdzie się wszystko odbyło tak jak kiedyś, po przybyciu Hansa, tylko odwrotnie: teraz Joachim, gorączkowo rozprawiając, mył sobie ręce w lśniącej miednicy, a Hans Castorp mu się przyglądał, zdziwiony i po trosze zawiedziony, że widzi kuzyna po cywilnemu. Przecież wcale na nim nie znać jego wojskowej kariery. Wyobrażał go sobie zawsze jako oficera, w mundurze, a tu stoi przed nim w popielatym ubraniu, jak każdy inny. Ach nie, mundur zostawił jak należy, w domu. Hans Castorp musi wiedzieć, że z mundurem sprawa nie jest tak prosta. Nie do każdego lokalu chodzi się w mundurze. — Ach, tak. Dziękuję posłusznie — powiedział Hans Castorp. Ale Joachim jakby nie uświa-

damiał sobie, że jego powiedzenie może mieć obraźliwy sens, i wypytywał się o wszystkich i wszystko w „Berghofie”, nie tylko bez cienia wyniosłości, ale z przejęciem człowieka, który powrócił do swoich. Po czym w drzwiach łączących pokoje ukazała się pani Ziemssen i powitała siostrzeńca w sposób, jaki niektórzy ludzie stosują w takich okolicznościach, mianowicie zachowując się, jak gdyby była radośnie zaskoczona tym, że go tu widzi — zresztą ten radosny wyraz był melancholijnie przytłumiony znużeniem i milczącą troską, dotyczącą oczywiście Joachima. Po czym udali się na dół.

Luiza Ziemssen miała te same piękne czarne i łagodne oczy co Joachim. Włosy również czarne, ale już mocno siwiejące, utrzymywała w niezmiennym układzie prawie niewidzialną siatką, co harmonizowało z jej sposobem bycia: rozważnym, uprzejmym, opanowanym i skupionym; mimo wyraźną prostotę jej ducha nadawał on jej jakąś sympatyczną godność. Było jasne, i Hans Castorp się temu nie dziwił, że nie rozumiała i poniekąd gorszyła się wesołością Joachima, jego szybkim oddechem, jego spiesznią mową, bo wszystko to musiało odbiegać od jego zachowania się w domu i w podróży i rzeczywiście nie odpowiadało sytuacji, w jakiej się znajdował. Obecny przyjazd uważała za smutny i sądziła, że odpowiednio do tego powinna się zachowywać. Nie mogła zrozumieć uczuć Joachima, wzburzonych uczuć, jakich doznawał przy powrocie, a które na razie w chwili upojenia wzięły górę nad wszystkim, co się im przeciwstawiało, spotęgowane jeszcze przez ponowne oddychanie „naszym” tutejszym górskim powietrzem, nieporównanie lekkim, nieważkim a podniecającym. „Mój biedny chłopak” — myślała, a jednocześnie widziała, jak biedny chłopak oddawał się wraz ze swym kuzynem swawolnej wesołości, jak odświeżał setki wspomnień, stawiał setki pytań i zanosił się od śmiechu, słuchając odpowiedzi. Parokrotnie mówiła „Ależ, dzieci!” — A to, co powiedziała w końcu, miało brzmieć radośnie, ale dało wyraz zdziwieniu i do pewnego stopnia brzmiało jak nagana. — Joachimie, dawno cię już naprawdę nie widziałam w takim usposobieniu. Widać, musieliśmy aż tu przyjechać, abyś był znów taki jak w dniu twego awansu. — Położyło to oczywiście kres wesołości Joachima i wywołało zmianę jego nastroju; opamiętał się, zamilkł, nie jadł już wcale deseru, mimo że podano świetny suflet czekoladowy z kremem (natomiast Hans Castorp jadł za niego, choć od przeobfitej kolacji minęła zaledwie godzina), a w końcu nie podnosił nawet oczu, niewątpliwie dlatego, że miał w nich łzy.

Na pewno nie o to chodziło pani Ziemssen. Właściwie chciała tylko dla przyzwoitości wprowadzić do rozmowy nieco umiarkowanej powagi, nie zdając sobie sprawy, że właśnie to, co średnie i umiarkowane, nie było tu czymś naturalnym i że wybierać można było tylko między krańcami. Widząc syna tak przybitym, zdawała

się sama bliska płaczu i wdzięczna była siostrzeńcowi, że głęboko zasmuconego towarzysza starał się ożywić. Co się tyczy składu osobowego, mówił, to Joachim znajdzie różne zmiany i nowości, jednakże niektóre rzeczy wróciły podczas jego nieobecności do swego dawnego stanu. Na przykład stara ciotka z całym swym otoczeniem jest już od dawna z powrotem. Panie te siedzą, jak zawsze, przy stole pani Stöhr, Marusia śmieje się często i serdecznie.

Joachim zamilkł, natomiast pani Ziemssen słowa te przypomniały pewne spotkanie i pozdrowienia, które chciała przekazać, zanim o nich zapomni — mianowicie spotkanie z pewną panią, raczej sympatyczną, chociaż bardzo samodzielną i z nazbyt regularnymi brwiami. W Monachium, gdzie spędzili jeden dzień — między dwiema nocami w wagonie, podeszła do ich stolika, aby przywitać się z Joachimem. Dawniejsza pacjentka, która się tu leczyła razem z wami — niechże jej Joachim przypomni...

— Pani Chauchat — rzekł Joachim cicho. — Przebywa obecnie w jednym z uzdrowisk algawskich, a jesienią wybiera się do Hiszpanii. Na zimę zapewne przyjedzie tu znowu. Przesyła najlepsze pozdrowienia.

Hans Castorp nie był już dzieckiem i panował nad nerwami naczyńnymi, które mogłyby spowodować, że zaczerwieni się lub zblednie. Powiedział:

— Ach, to była ona? Patrzcie no, więc znów się pokazała zza Kaukazu. I chce jechać do Hiszpanii?

Pani wymieniła miejscowość w Pirenejach. — Ładna a przynajmniej powabna kobieta. Miły głos, miłe ruchy. Ale maniery bardzo swobodne i niedbałe — mówiła pani Ziemssen. — Zagadnęła nas po prostu, jak przyjaciół, wypytywała się, opowiadała, choć Joachim, jak słyszę, właściwie nigdy nie był jej przedstawiony. Dziwne.

— To Wschód i choroba — odparł Hans Castorp. Nie można tego mierzyć miarą humanistycznych obyczajów, to nie miałyby sensu. Zastanawia go, że pani Chauchat wybiera się do Hiszpanii. Hm. Hiszpania — ona jest też daleka od humanistycznego umiaru, ale odbiega odeń w odwrotnym kierunku, nie jest zbyt miękka, lecz właśnie zbyt surowa; cierpi nie na brak kształtu, lecz właśnie na jego nadmiar, śmierć występuje tam jako forma, jako hiperforma, jeśli tak rzecz można, nie jako rozkład pośmiertny, lecz właśnie śmierć w całej swej surowości, czarna, dostojna i krwawa, inkwizycja, nakrochmalone kryzy, Loyola, Eskurial... Ciekawe, jak się też pani Chauchat podobać będzie Hiszpania. Pewnie oduczy się tam trzaskania drzwiami, a może stanie się, że oba niehumanistyczne obozy uzupełnią się wzajem i dadzą coś na ludzką miarę. Ale gdy Wschód dostanie się do Hiszpanii, to wynik może też być zły i terrorystyczny...



Nie, ani się nie zaczerwienił, ani nie zbladł, wrażenie, wywołane na nim przez nieoczekiwaną wiadomość o pani Chauchat, objawiło się tylko w jego słowach; a słowa te wywołały zmieszanie, odpowiedzią na nie mogło być tylko milczenie. Joachim mniej był przerażony, wiedział, jak przemądrzały stał się jego kuzyn tu w górze. Ale w oczach pani Ziemssen malowało się przerażenie. Zachowała się tak, jak gdyby Hans Castorp mówił grube nieprzyzwoitości, a po nieprzyjemnej chwili milczenia wstała od stołu, usiłując kilku słowami taktownie wszystko zatuszować. Przed rozstaniem się Hans Castorp zakomunikował polecenie rady, aby Joachim leżał jutro w łóżku, zanim on go zbada. Reszta się okaże. Wkrótce potem wszyscy troje leżeli w swoich pokojach, przy otwartych oknach, w świeżości górskiej nocy letniej — każdy ze swymi myślami. Hans Castorp głównie z myślą o oczekiwanym w ciągu półrocza powrocie pani Chauchat.

Tak więc biedny Joachim powrócił do tej swojej ojczyzny na małą dodatkową kurację. Nazwano to w nizinach małą kuracją dodatkową i tu utrzymano tę formułę. Przyjął ją nawet radca Behrens, choć samego leżenia miało być cztery tygodnie, jak to wymruczał Joachimowi: były niezbędne, aby podreperować co najgorsze, tymczasowo nieco uporządkować jego temperaturę, i aby się zaaklimatyzować na nowo. Co do trwania kuracji, to umiał uniknąć tego pytania. Pani Ziemssen, rozsądna, pełna zrozumienia, nie mająca wcale sangwiničnego usposobienia, w nieobecności Joachima zaproponowała jako termin odjazdu jesień, na przykład październik, a Behrens zgodził się z nią o tyle, że oświadczył, iż wówczas będzie w każdym razie lepiej niż obecnie. Zresztą nadzwyczaj się jej podobał. Pełen galanterii, mówił do niej „wielce łaskawa pani”, po męsku na nią patrząc wilgotnymi, krwią nabiegłymi oczami, a gdy używał gwary korporantów, mimo swój smutek musiała się śmiać. „Wiem, że jest w najlepszych rękach” — powiedziała i po tygodniu odjechała z powrotem do Hamburga, bo o potrzebie pielęgnowania Joachima nie mogło być mowy, a ponadto miał przy sobie kogoś z rodziny.

— Więc ciesz się: w jesieni — rzekł Hans Castorp siedząc w nrze 28 przy łóżku kuzyna. — Stary jest poniekąd związany słowem; możesz się tego trzymać i liczyć się z tym. Październik to taka szczególna pora. Niektórzy ludzie będą wtedy jechać do Hiszpanii, a ty wrócisz do twojej bandera, gdzie będziesz mógł szczególnie się odznaczyć.

Codziennym jego zadaniem był pocieszanie Joachima, zwłaszcza co do tego, że — przebywając tu w górze — musiał opuścić wielką grę wojenną, która zaczynała się właśnie teraz w sierpniu — bo tego Joachim nie mógł przeboleć i miał wręcz

pogardę dla samego siebie za to swoje przeklęte niedołęstwo, któremu w ostatniej chwili uległ.

— *Rebellio carnis*\* — powiedział Hans Castorp — co na to poradzisz? Najmężniejszy oficer nic nie poradzi, nawet święty Antoni znał tę historię. Na miłość boską, manewry są przecież co roku, a następnie znasz przecież tutejszy czas! Nie ma go wcale, a na tak krótko stąd wyjechałeś, że łatwo wdrożysz się znów w tutejszy tryb życia i nim się obejrzysz, już będzie po twojej małej kuracji dodatkowej.

Jednakże Joachim, który dzięki pobytowi na równinach odświeżył swój zmysł czasu, nie mógł się nie lękać tych czterech tygodni. Starano się ułatwić mu ich przebycie; sympatia, jaką mieli wszyscy dla jego nieskazitelnego charakteru, znajdowała wyraz w odwiedzinach ludzi bliższych i dalszych. Przyszedł Settembrini, był pełen współczucia i szarmancki, a nazywał Joachima *Capitano*, ponieważ, „porucznikiem” nazywał go już uprzednio; zjawił się też Naphta, a z samego sanatorium zaczęli się pokazywać jeden za drugim dawni znajomi, którzy korzystali z wolnego od kuracji kwadransa, aby się przy jego łóżku, powtórzyć formułkę o małej kuracji dodatkowej i wypytać się o jego losy; tak czyniły panie Stöhr, Levi, Iltis i Kleefeld, panowie Ferge, Wehsal i inni. Niektórzy przynosili nawet kwiaty. Gdy cztery tygodnie minęły, Joachim wstał z łóżka, ponieważ temperatura jego na tyle spadła, że mógł chodzić, i zajął miejsce w jadalni obok swego kuzyna, między nim a panią Magnus, żoną właściciela browaru, naprzeciw pana Magnusa, na narożnym miejscu, które w swoim czasie zajmował wuj James, a przez parę dni także pani Ziemssen.

I znów młodzi ludzie przebywali razem, jak niegdyś; a ponieważ Mistress Macdonald z fotografią swego chłopca w ręku wydała ostatnie tchnienie, Joachim mógł nawet — aby dawne czasy odżyły jeszcze zupełnie — objąć swój poprzedni pokój, obok Hansa Castorpa, oczywiście po gruntownej dezynfekcji za pomocą H<sub>2</sub>CO. Właściwie mówiąc i biorąc rzecz uczuciowo, Joachim żył teraz u boku Hansa Castorpa, a nie odwrotnie, jak to było poprzednio: ten bowiem był teraz człowiekiem zasiedziałym, a tamten, będąc przybyszem na krótki przeciąg czasu i gościem, dzielił jego sposób życia. Bo od terminu październikowego Joachim bezwarunkowo nie myślał odstępować, mimo że niektóre punkty jego centralnego systemu nerwowego nie chciały się dostosować do humanistycznej normy postępowania i nie dopuszczały do wyrównywania się ciepłoty jego skóry.

Wznowione też zostały ich wizyty u Settembriniego i Naphty, a także spacerzy z tymi dwoma ludźmi związanymi z sobą swą wrogością; a gdy przyłączali się do nich A. K. Ferge i Ferdynand Wehsal, co się nieraz zdarzało, to stanowili szóstkę,

---

\* *Rebellio carnis* (łac.) — bunt ciała.

i nieustanne pojedynki dwóch przeciwników duchowych odbywały się przed sporą publicznością, jakkolwiek Hans Castorp sądził, że jego dusza była głównym przedmiotem tego dialektycznego współzawodnictwa. Aby przedstawić te pojedynki z pewną choćby dokładnością, musielibyśmy się zagubić w rozpaczliwej nieskończoności, tak jak to oni za każdym razem czynili. Od Naphty Hans Castorp dowiedział się, że Settembrini jest masonem, co zrobiło na nim nie mniejsze wrażenie niż ujawnienie przez Włocha związków Naphty z jezuitami. I tym razem był fantastycznie zdziwiony, dowiedziawszy się, że naprawdę coś podobnego istnieje, i pilnie wypytywał terrorystę o pochodzenie i istotę tej szczególnej instytucji, która za parę lat mogłaby obchodzić swój dwóchsetletni jubileusz. Podczas gdy Settembrini za plecami Naphty mówił o jego umysłowości w patetycznie ostrzegawczym tonie jako o czymś szatańskim, to znów Naphta za plecami Settembriniego podrwiwał z lekka ze środowiska, do którego tamten należał, dając do zrozumienia, że jest bardzo staroświeckie i zacofane: panuje w nim burżuazyjne oświecenie i przedwczorajsze wolnomyślicielstwo, będące już tylko pożałowania godnym upiorem, ale ulegające śmiesznemu złudzeniu, że jest czymś jeszcze żywym i rewolucyjnym. Mówił tak: — Cóż pan chce, już jego dziadek był karbonariuszem, wolnym węglarzem. Od niego wziął swą zabobonną wiarę — po niemiecku taka wiara nazywa się właśnie „węglarską” — wiarę w rozum, wolność, postęp ludzki i całe to pełne moli pudło klasycystyczno-mieszczańskiej ideologii moralnej... Widzi pan, całe zamieszanie w świecie pochodzi z braku równowagi między lotnością ducha a nieporadnością, powolnością, bezwładnością materii. Tym brakiem równowagi dostatecznie usprawiedliwiony jest fakt, że duch nie interesuje się rzeczywistością: jej fermenty wywołujące rewolucje przejmują go obrzydzeniem. Duch, który jest martwy, jest dla żywego wstrętniejszy niż np. bazalty, które przynajmniej nie pretendują do tego, aby być duchem i życiem. Bazalty te są pozostałościami dawnej rzeczywistości, którą duch tak daleko pozostawił za sobą w tyle, że już jej w ogóle nie uważa za rzeczywistość; utrzymują się one tylko bezwładem, a swym ciężkim i martwym trawieniem chronią swą niedorzeczność przed tym, by sobie swą niedorzeczność uświadomiła. Mówię w sposób ogólny, ale pan potrafi zastosować to do humanistycznego wolnomyślicielstwa, któremu wydaje się, że wciąż jeszcze walczy bohatersko z przemocą i autorytetami. A cóż dopiero te przewroty, którymi chciałoby wykazać swą rację bytu, te spóźnione, a hałaśliwe triumfy, które przygotowuje i chciałoby pewnego dnia święcić! Sama myśl o tym mogłaby na śmierć zanudzić żywego ducha, gdyby nie wiedział, że z tych przewrotów on jeden wyjdzie zwycięzcą, on jeden będzie z nich korzystał — on, który łącząc składniki przeszłości

i przyszłości dokona prawdziwej rewolucji... Jak się miewa pański kuzyn? pan wie, że mam dlań wiele sympatii.

— Dziękuję, panie profesorze. Cieszy się on powszechną sympatią, to rzeczywiście taki dzielny chłopak. Pan Settembrini ma do niego wyraźną słabość, choć musi potępiać pewnego rodzaju romantyczny terrorizm, związany z jego zawodem. A teraz dowiaduję się, że należy do loży. Patrzcie go. Muszę przyznać, że daje mi to do myślenia. Rzuca nowe światło na jego osobę i tłumaczy mi różne rzeczy. Może i on stawia przy okazji nogi pod kątem prostym i podaje rękę w szczególny sposób. Nigdy tego jednak nie zauważył...

— Nasz brat — rzekł Naphta — jest wyższy ponad takie dzieciństwa. A przypuszczam, że ceremoniał masonów musiał się tak czy inaczej dostosować do trzeźwego, mieszczańskiego ducha naszej epoki. Wstydziłoby się dawnego rytuału jako kuglarstwa odbiegającego od przyjętych zwyczajów, i to nie bez słuszności, bo nie ma sensu, naprawdę, z ateistycznego republikanizmu robić misterium. Nie wiem, jakich strachów użyto, aby wystawić na próbę niezłomność przekonań pana Settembriniego, czy z zawiązanymi oczami prowadzono go przez korytarze i w ciemnych piwnicach kazano mu czekać, zanim otworzyła się przed nim oświetlona reflektorami sala Związku, czy wtajemniczano go uroczyście wobec trupiej czaszki i przy trzech świecach, przykładając mu miecze do obnażonej piersi. Niech go pan sam o to zapyta, obawiam się jednak, że nie będzie zbyt wielomówny, choćby się to wszystko odbyło znacznie bardziej po mieszczańsku, bo jednak musiał ślubować milczenie.

— Ślubować? Milczenie? A więc jednak?

— Niezawodnie. Milczenie i posłuszeństwo.

— Jeszcze do tego i posłuszeństwo. Ależ, profesorze, w takim razie wydaje mi się, że nie miał żadnego powodu do krytykowania romantyzmu i terrorizmu w zawodzie mego kuzyna. Milczenie i posłuszeństwo! Nigdy nie myślał, że człowiek tak wolnomyślny jak Settembrini potrafi się podporządkować takim zdecydowanym hiszpańskim warunkom i przysięgom. Wyczuwam coś wprost militarnego i jezuickiego w wolnomularstwie...

— Wyczuwa pan zupełnie trafnie — odparł Naphta. — Pańska różdżka drga i daje znak. Idea jakiegokolwiek związku ludzkiego jest nieodłączna od idei absolutu i już w swych korzeniach jest z nią zespolona. Dlatego jest terrorystyczna, to znaczy: antyliberalna. Zwalnia indywidualne sumienie od odpowiedzialności i w imię absolutnego celu uświęca każdy środek, nawet krwawy, nawet przestępstwo. Są dane, że niegdyś także w lożach masonskich związek bratni przypieczęto-

wywano krwią. Nie ma związku, który by służył kontemplacji, wszystkie zawsze z samej swej natury służą, bezwzględnie rzecz biorąc, organizacji. Pan pewnie nie wie, że założyciel zakonu iluminatów, który przez jakiś czas prawie stapiał się z masonerią, był pierwotnie członkiem Towarzystwa Jezusowego.

— Nie, to dla mnie naturalnie nowość.

— Adam Weishaupt zorganizował swój tajny humanitarny związek całkowicie na wzór jezuickiego. Sam był masonem, a najwybitniejsi członkowie łóż byli w owym czasie iluminatami. Mówię o drugiej połowie XVIII wieku, którą Settembrini na pewno będzie przedstawiał jako epokę upadku swego bractwa. W rzeczywistości był to czas największego jego rozkwitu, jak i w ogóle wszelkich tajnych związków; w okresie tym mularstwo żyło naprawdę wyższym życiem, z którego je potem znów oczyścili ludzie tego pokroju co nasz przyjaciel ludzkości; wówczas należałby on bez wątpienia do tych, którzy Związkowi zarzucali jezuityzm i obskurantyzm.

— A czy mieli do tego podstawy?

— Tak, jeśli pan chce. Trywialne wolnomyślicielstwo miało do tego podstawy. W czasach tych nasi ojcowie chcieli tchnąć w Związek życie katolicko-hierarchiczne i w Clermont we Francji kwitła jezuicka loża wolnomularska. Wówczas również do łóż wtargnął ruch różokrzyżowców, tego szczególnego bractwa, które miało czysto racjonalne polityczno-społeczne cele, zmierzające ku ulepszeniu i uszczęśliwieniu ludzi, ale — niech pan to sobie zapamięta — zarazem miało osobliwe stosunki z tajnymi związkami Wschodu, z hinduską i arabską mądrością i z magicznym poznaniem przyrody. Wówczas to dokonana się reforma i sanacja wielu łóż wolnomularskich, idąca w kierunku surowszego przestrzegania reguły, w kierunku zdecydowanie irracjonalnym i tajemniczym, magiczno-alchemicznym; jemu to zawdzięczają swe istnienie szkockie wyższe stopnie mularstwa, mianowicie stopnie rycerzy zakonnych, którymi uzupełniono dawniejszą wojskową hierarchię ucznia, czeladnika i mistrza, hieratyczne stopnie wielkich mistrzów, wypełnione tajną nauką różokrzyżowców. W ten sposób sięgnięto wstecz do niektórych religijnych zakonów rycerskich średniowiecza, w szczególności do templariuszów, którzy, jak pan wie, przed patriarchą jerozolimskim składali śluby ubóstwa, czystości i posłuszeństwa. Dziś jeszcze jeden z wyższych stopni w hierarchii wolnomularskiej posiada tytuł „Wielkiego Księcia Jerozolimy”.

— To dla mnie nowe, wszystko zupełnie nowe, panie profesorze. Odślaniają mi się sekrety naszego Settembriniego... „Wielki Książę Jerozolimy” — to brzmi wcale

nieźle. Tak pan go powinien kiedyś na żarty nazwać. On pana ze swej strony przeważał niedawno „doctor angelicus”<sup>\*</sup>. Należy mu się za to odwet.

— O, jest znacznie więcej równie ważnych tytułów przysługujących wyższym i templariuszowskim stopniom surowej reguły. Mamy tam Doskonałego Mistrza, Rycerza Wschodu i Wielkiego Arcykapłana, a trzydziesty pierwszy stopień nosi nawet nazwę „Wzniosłego Księcia Królewskiej Tajemnicy”. Pan zauważył, iż wszystkie te nazwy wskazują, że Związek pozostawał w stosunkach z mistyką Wschodu. Ponowne pojawienie się templariuszy nie było niczym innym jak tylko odnowieniem tych stosunków, było faktycznie wdarcie się irracjonalnych fermentów do ideologii rozsądnej i utylitarnej reformy społecznej. Dzięki temu wolnomularstwo zyskało nowy urok i świetność, które tłumaczą ówczesny wzrost liczby jego zwolenników. Pociągnęło wszystkie żywioły mające już dość mędrkowania właściwego temu stuleciu, dość humanizmu, oświecenia, trzeźwości i pragnące mocniejszych napojów. Zakon miał takie powodzenie, że filistrzy uskarżali się, iż odciąga mężczyzn od domowego ogniska i cnotliwych kobiet.

— Jeśli tak, profesorze, to nie można się dziwić, że pan Settembrini niechętnie wspomina ten okres rozkwitu swego Zakonu.

— Istotnie niechętnie wspomina, że kiedyś jego Związek skupiał na sobie całą tę antypatię, którą wolnomysłicielstwo, ateizm, racjonalizm encyklopedystów zazwyczaj obdarza zespół złożony z Kościoła, katolicyzmu, zakonów i średniowiecza. Słyszał pan zapewne, że wolnomularzom zarzucano obskurantyzm...

— Dlaczego? Chętnie dowiedziałbym się dokładniej, dlaczego...

— Powiem to panu. Ścisłejsza reguła stanowiła pogłębienie i rozszerzenie tradycji Zakonu, przesunięcie jego historycznych początków w świat tajemnic, w tak zwane mroki średniowiecza. Wielcy mistrzowie byli wtajemniczani w *physica mystica*, byli znawcami magicznej wiedzy przyrodniczej i na ogół bywali wybitnymi alchemikami...

— Teraz muszę się usilnie starać, aby sobie uświadomić, jak mniej więcej rzecz się miała z alchemią. Alchemia to wyrabianie złota, kamień mądrości, *aurum potabile*...

— Tak, mówiąc popularnie. A mówiąc nieco bardziej uczenie, jest to oczyszczanie, przekształcanie i uszlachetnianie materii, jej transsubstancjacja, zamienianie na wyższe postacie, a więc potęgowanie; *lapis philosophorum*, męsko-kobiecy produkt siarki i rtęci, *res bina*, ta dwupłciowa *prima materia*, nie była niczym więcej, ale też

---

\* *Doctor angelicus* (łac.) — doktor anielski; przydomek nadawany Tomaszowi z Akwinu.

niczym mniej niż zasadą potęgowania rzeczy, podpędzania ich w górę za pomocą wewnętrznego oddziaływania — była magiczną pedagogiką, jeśli pan chce.

Hans Castorp zamilkł. Mrugając oczami patrzył skośnie w górę.

— Symbolem alchemicznej transmutacji — ciągnął dalej Naphta — był przede wszystkim grobowiec.

— Grób?

— Tak, miejsce rozkładu. Jest to pojęcie obejmujące całą hermetykę, jest naczyniem, starannie strzeżoną kryształową retortą, w której materia jest poddawana ostatecznej przemianie i oczyszczeniu.

— „Hermetyka” to dobra nazwa, panie profesorze. „Hermetyczny”: ten wyraz zawsze mi się podobał. To prawdziwie magiczne słowo z nieokreślonymi, rozległymi skojarzeniami. Niech pan wybaczy, ale zawsze mi ono przypomina nasze słoiki Wecka, które nasza hamburska gospodyni — nazywa się ona Schalleen, bez pani czy panny, po prostu Schalleen — ma poustawiane szeregami w swej spiżarni na półkach, hermetycznie zamknięte słoiki z owocami, mięsem i różnymi różnościami. Stoją tam latami, a kiedy się któryś z nich w razie potrzeby otwiera, to zawartość jego jest zupełnie świeża i nie tknięta zębem czasu, można ją spożywać tak jak jest. Oczywiście, nie chodzi tu o alchemię i o proces oczyszczania, lecz tylko o zachowywanie, stąd nazwa konserwy. Ale czarodziejstwo polega tu na tym, że to, co było zamknięte w słoiku Wecka, nie podlegało działaniu czasu; było hermetycznie przed nim zamknięte, czas przechodził obok tego, nie było czasu, wszystko to poza czasem stało na swych półkach. No, dość o weckach. Niewiele z tego wynikło. Przepraszam. Pan chciałby, jak mi się zdaje, jeszcze dalej mnie pouczać.

— Tylko jeśli pan tego sobie życzy. Uczeń musi być żądny wiedzy i wolny od lęku, mówiąc w stylu tych rzeczy, które nas zajmują. Grobowiec, grób bywa zawsze używany jako podstawowy symbol przy wtajemniczeniu, jakie się uzyskiwało w Związku. Uczeń, początkujący dopiero, a żądny dostępu do wiedzy, powinien wśród dreszczy, jakie wzbudza grób, pozostać nieustraszoną; wedle zwyczaju Związku musi on na próbę być sprowadzony do grobu i pozostać tam, aż go nieznaną braterską dłoń wyprowadzi. Stąd te kryte przejścia i mroczne piwnice, przez które nowicjusz musiał przechodzić, czarne sukno, jakim wedle ścisłej reguły obita była nawet sala związkowa, kult trumny, odgrywający tak ważną rolę w ceremoniale święceń i zebrań. Droga misteriów i oczyszczenia była najeżona niebezpieczeństwami, wiodła przez grozę śmierci, przez krainę rozkładu, a ucznia, neofitę, jako wcielenie młodości żądnej czarów życia i demonicznych przeżyć, prowadziły przez nią zamaskowane postacie, będące jedynie cieniami tajemnicy.

— Bardzo panu dziękuję, profesorze. Świetnie. To więc taka byłaby hermetyczna pedagogika. Nie może mi to zaszkodzić, żem i o niej cośkolwiek usłyszał.

— Tym bardziej że chodzi w niej o doprowadzenie człowieka do rzeczy ostatecznych, do absolutnego uznania świata nadzmysłowego, a więc — do celu. Alchemia, uprawiana w lożach, doprowadziła doń w późniejszych dziesięcioleciach wiele szlachetnych, szukających prawdy umysłów. Nie potrzebuję celu tego wymieniać, bo nie mógł pan nie zauważyć, że wyższe stopnie szkockie są jedynie surogatem hierarchii kościelnej, że alchemiczna wiedza masońskiego mistrza dopełnia się w misterium przemiany i że tajne kierownictwo, jakim loża darzy swych wychowanków, jest wyraźnym odpowiednikiem sakramentów, podobnie jak symboliczne igraszki masońskiego ceremoniału są odpowiednikiem liturgicznej i budującej symboliki naszego świętego Kościoła Katolickiego.

— Ach, tak!

— Przepraszam, i to jeszcze nie wszystko. Pozwoliłem sobie już przedtem zaznaczyć, że wyprowadzanie łóż z cechów mularskich, godnych skądinąd szacunku w dziedzinie rzemiosła, jest spłyceniem dokonany przez historyków. W każdym razie dzięki ściślejszej regule uzyskały one daleko głębsze ludzkie fundamenty. Tajemnica łóż, podobnie jak pewne misteria naszego Kościoła, ma związek z uroczystymi przemilczeniami i świętymi wybrykami wczesnej ludzkości... Jeśli chodzi o Kościół, to mam na myśli Wieczerzę Pańską i uczyty na jej pamiątkę urządzone przez pierwszych chrześcijan, spożywane w sakramencie Ciała i Krwi, a jeśli chodzi o loże...

— Chwileczkę. Chodzi mi o marginesową uwagę. Także w tym życiu zbiorowym, w którym bierze udział mój kuzyn, odbywają się przyjacielskie „wieczerze”. Często mi o nich pisywał. Odbywają się zupełnie przyzwoicie, co najwyżej bywają na nich nieco podchmieleni, i to nawet nie w tym stopniu jak na zebraniach burzowskich...

— Jeśli chodzi o loże, to mam na myśli kult grobu i trumny, już poprzednio zwracałem nań pańską uwagę. W obu wypadkach chodzi o symbol tego, co ostateczne i najwyższe, o elementy pierwotnej, orgiastycznej religijności, rozwiązałe nocne nabożeństwa ku czci umierania i stawania się, śmierci, przemienienia i zmartwychwstania... Pan przypomina sobie, że misteria Izydy, podobnie jak i eleuzyjskie, odbywały się nocą i w mrocznych jaskiniach. Otóż w wolnomularstwie było i jest moc reminiscencji egipskich, a wśród tajnych stowarzyszeń były takie, które nazywały siebie związkami eleuzyjskimi. Urządzały one w swych lożach uroczystości na cześć misteriów eleuzyjskich i afrodyzyjskich tajemnic, w których nareszcie



i kobieta uzyskała swą rolę, obchodziły też święta róż, do których aluzje stanowią owe trzy błękitne róże na fartuszku wolnomularskim; święta te, jak się zdaje, zamieniły się w bachanalie...

— No, no, co słyszę, profesorze. I to wszystko ma być wolnomularstwem? I mam z tym wszystkim łączyć w mych myślach naszego pana Settembriniego z jego jasnym umysłem...?

— Skrzywdziłby go pan jak najbardziej! O wszystkim tym Settembrini nic już nie wie. Mówiłem już panu, że przez ludzi jego pokroju loże zostały znowu oczyszczone ze wszelkich składników wyższego życia. Zhumanizowały się, zmodernizowały, miły Boże. Z takich bezdroży wróciły do spraw pożytecznych, do rozsądku i postępu, do walki przeciw księżętom i księżom, krótko mówiąc, do społecznego uszczęśliwiania; znów się w nich rozmawia o naturze, cnocie, umiarkowaniu i ojczyźnie. Przypuszczam, że również i o interesach. Jednym słowem: mizerne mieszczaństwo w formie klubu...

— Jakaż szkoda święta róż! Zapytam Settembriniego, czy rzeczywiście nic o nich nie wie.

— Nieposzlakowany rycerz węgielnicy! — szydził Naphta. — Musi pan też wziąć pod uwagę, że niełatwo został dopuszczony do budowania świątyni ludzkości, bo jest biedny jak mysz kościelna, a tam wymaga się nie tylko wyższego wykształcenia, humanistycznego wykształcenia, o, proszę bardzo, ale trzeba także należeć do zamożnej klasy, aby podołać niemałym kosztom przy wejściu do organizacji, a potem składkom rocznym. Wykształcenie i zamożność — oto ma pan burżuazję! Ma pan fundamenty liberalnej republiki powszechnej!

— Istotnie — śmiał się Hans Castorp — mamy ją teraz jasno i wyraźnie przed oczami.

— Niemniej — dodał Naphta po pauzie — radziłbym panu tego człowieka i jego spraw nie brać zbyt lekko, a raczej, skoro już o tych stosunkach mówimy, wręcz prosiłbym, żeby pan miał się na ostrożności. Rzeczy niesmaczne niekoniecznie są niewinne. Ograniczoność nie zawsze jest nieszkodliwa. Ci ludzie dużo dolali wody do swego wina, które niegdyś było jak ogień, jednakże idea Związku pozostała dość mocna, aby znieść to rozwodnienie; zachowała resztę płodnej tajemnicy i nie ma wątpliwości, że loże maczają ręce w polityce światowej, a miły pan Settembrini reprezentuje coś więcej niż samego siebie, stoją za nim potęgi, którym jest bliski i których jest emisariuszem...

— Emisariuszem?

— No tak, producentem nawróceńców, łowcą dusz.

„A ty jakim jesteś emisariuszem?” — myślał Hans Castorp. I powiedział głośno:

— Dziękuję, profesorze. Jestem szczerze zobowiązany za rady i ostrzeżenie. Wie pan co? Pójdę od razu o piętro wyżej, jeśli to, co tu jest na górze, można w ogóle jeszcze nazywać piętrem, i zamaskowanego braciszka pociągnę trochę za język. Uczeń musi być żądny wiedzy i wolny od lęku. Musi też być ostrożny... W stosunkach z emisariuszami ostrożność jest oczywiście wskazana...

Mógł śmiało o dalsze pouczenie prosić pana Settembriniego; ten nie miał prawa wymawiać panu Naphcie niedyskrecji, a zresztą sam nie robił szczególnych wysiłków, aby ukryć swą przynależność do owego harmonijnego stowarzyszenia. „Rivista della Massoneria Italiana” leżała otwarta na jego stoliku, a tylko Hans Castorp nie zwracał na nią przedtem uwagi. Gdy zaś, uświadomiony przez Naphtę, skierował rozmowę na królewską sztukę, jak gdyby związki Settembriniego z tą sztuką nigdy dlań nie ulegały wątpliwości, spotkał się z niewielką jedynie powściągliwością. Były co prawda punkty, o których literat nie mówił, a gdy były poruszane, zbywał je ostentacyjnym poniekąd milczeniem, widocznie związany owymi terrorystycznymi ślubami, o których mówił Naphta: okrywał mianowicie tajemnicą tak mało ważne sprawy, jak zewnętrzne obrządki i własną swoją pozycję w tej szczególnej organizacji. Ale poza tym był nawet bardzo wymowny i przed ciekawym młodzieńcem roztoczył imponujący obraz rozpowszechnienia Ligi, która w liczbie około dwudziestu tysięcy łóż i stu pięćdziesięciu wielkich łóż objęła cały prawie świat aż po Haiti i po murzyńską republikę Liberia. Umiał też wymienić niemało nazwisk wielkich ludzi, którzy byli lub obecnie są masonami, wymieniał Woltera, Lafayette’a i Napoleona, Franklina i Waszyngtona, Mazziniego i Garibaldiego, spośród żyjących nawet króla angielskiego, a ponadto mnóstwo ludzi, w których rękach spoczywają sprawy państw europejskich, członków rządów i parlamentów.

Hans Castorp okazał szacunek, ale nie okazał zdziwienia. Sądził, że rzeczy mają się tu tak samo jak ze studenckimi korporacjami. Wytwarzają one związki na całe życie i umieją popierać swoich ludzi, tak że w hierarchii urzędowej rzadko ten wysoko zajdzie, kto nie był korporantem. Przeto może niezupełnie słusznie pan Settembrini przedstawia przynależność tych znakomitości jako tak pochlebny dla loży; należy przyjąć raczej odwrotnie, że zajęcie tylu ważnych stanowisk przez masonów dowodzi jedynie potęgi Związku, który na pewno więcej ma wpływu na politykę światową, niż to pan Settembrini chce otwarcie przyznać.

Settembrini uśmiechnął się. Nawet wachlował się zeszytem „Massonerii”, który trzymał w ręku. Czyżby ktoś chciał go wciągnąć w pułapkę? zapytał. A może nawet

ktos chciał go sprowokować do nieostrożnych wypowiedzi na temat politycznej istoty i politycznego ducha łoży? — Zbędna przebiegłość, inżynierze! Przyznajemy się do udziału w polityce, bez zastrzeżeń, otwarcie. W oczach niektórych głupców — są oni w pańskim kraju, inżynierze, a poza tym prawie nigdzie — jakieś odium spada na ten wyraz i tytuł. My z tego odium nic sobie nie robimy. Przyjaciół ludzkości nie uznaje w ogóle różnicy między polityką a niepolityką. Nie ma niepolityki. Wszystko jest polityką.

— Bez wyjątku?

— Wiem dobrze, że są tacy, którzy twierdzą, że idea wolnomularstwa miała pierwotnie apolityczny charakter. Ale igrają oni ze słowami i stwarzają granice, których nie ma, które najwyższy czas uznać za urojone i bezsensowne. Po pierwsze, przynajmniej łoża hiszpańskie od samego początku miały zabarwienie polityczne.

— Wyobrażam to sobie.

— Pan niewiele może sobie wyobrazić, inżynierze. Niech pan sobie nie roi, że sam przez się może daleko zajść wyobraźnią, niech się pan raczej stara przejąć i przetrwać to, co jeszcze chcę mu wbić w pamięć: a proszę pana o to zarówno w jego własnym interesie, jak w interesie jego kraju i całej Europy. Mianowicie, po drugie: idea wolnomularstwa nie była apolityczna nigdy, w żadnej epoce, i nie mogła nią być, a jeśli sądziła, że jest, to nie rozumiała własnej istoty. Czymże jesteśmy? Budowniczymi i ich pomocnikami przy budowie. Cel wszystkich jest jeden, doskonałość całości jest podstawową zasadą zbratania. Jaka jest ta doskonałość i jaka budowa? *Lege artis*\* wzniesiona budowa społeczna, udoskonalenie ludzkości, nowa Jeruzalem? Cóż, na miłość boską, ma z tym polityka czy niepolityka do czynienia? Problem społeczny, problem współistnienia ludzi jest sam przez się polityką, na wskroś polityką i niczym innym. Kto mu się poświęca — a nie zasługuje na miano człowieka, kto tego nie czyni — ten bierze udział w polityce, wewnętrznej zarówno jak zewnętrznej; i ten rozumie, że sztuka wolnego mularza jest sztuką rządzenia.

— Rządzenia...

— Że masoni, iluminaci, posiadali w swej hierarchii stopień regenta...

— Bardzo dobrze, proszę pana. Sztuka rządzenia, stopień regenta, to wszystko mi się podoba. Ale chciałbym się jednego dowiedzieć, czy wy jesteście chrześcijanami, wy wszyscy w pańskiej łoży?

— *Perchè!*

---

\* *Lege artis* (łac.) — wedle zasad sztuki.

— Przepraszam, zapytam inaczej, ogólniej i prościej. Czy wierzycie w Boga?

— Odpowiem panu. Ale dlaczego pan o to pyta?

— Nie chciałem pana wystawiać na próbę, ale jest taka opowieść biblijna, że ktoś chciał Pana Jezusa na próbę wystawić za pomocą rzymskiej monety; dostał odpowiedź, że należy oddać cesarzowi, co jest cesarskiego, a Bogu, co jest boskiego. Mnie się wydaje, że jeśli się robi to rozróżnienie, to ma się podstawę do oddzielania polityki od niepolityki. Jeśli istnieje Bóg, to zachodzi także i ta różnica. Czy wolnomularze wierzą w Boga?

— Zobowiązałem się dać panu odpowiedź. Mówi pan o jedności, nad której wytworzeniem pracujemy, ale która ku ubolewaniu wszystkich dobrych ludzi jeszcze nie istnieje. Światowy związek wolnomularzy nie istnieje. Gdy jednak powstanie — a powtarzam, że nad tym wielkim dziełem pracuje się cicho, ale wytrwale — to bez wątpienia jego religijne wyznanie wiary będzie jednolite i będzie brzmiało: *Ecrasez l'infâme*\*.

— Wszyscy będą do tego zobowiązani? Byłoby to brakiem tolerancji.

— Do zagadnienia tolerancji jeszcze pan nie dorósł, inżynierze. Ale niech pan to sobie zapamięta, że tolerancja staje się przestępstwem, jeśli dotyczy zła.

— Czyżby Bóg był złem?

— Metafizyka jest złem. Bo do niczego innego nie prowadzi jak tylko do uspienia pilności, z jaką powinniśmy budować świątynię społeczną. Już w poprzednim pokoleniu Wielki Wschód Francji dał dobry przykład, usuwając imię Boga ze wszystkich swych dokumentów. My, Włosi, poszliśmy jego śladem...

— Jakże to po katolicku!

— Pan myśli...

— Uważam to za niesłychanie katolickie usuwać Boga.

— Pan chce powiedzieć...

— Nic ważnego, proszę pana. Niech pan nie zwraca uwagi na moje paplanie! Tylko wydało mi się na chwilę, że ateizm jest czymś kolosalnie katolickim i że po to usuwa się Boga, aby tym bardziej być katolickim.

Na to pan Settembrini zrobił pauzę, a było jasne, iż wyłącznie ze względów pedagogicznych. Po chwili milczenia odrzekł:

— Inżynierze, jestem bardzo od tego daleki, bym chciał go od jego protestanty-

---

\* *Ecrasez l'infâme* (franc.) — Zgniećcie niegodziwość; ulubione powiedzenie Voltaire'a, który przez niegodziwość rozumiał tu religijny fanatyzm i nietolerancję.

zmu odwieść albo chcieć go dotknąć. Mówiliśmy o tolerancji... Zbędną jest rzeczą podkreślać, że dla protestantyzmu mam coś więcej niż wyrozumiałość, mam dlań najwyższy podziw, boć był on historycznym przeciwnikiem gwałcenia sumień ludzkich. Wynalezienie druku i reformacja są i pozostaną dwiema najwznioślejszymi zasługami, jakie środkowa Europa położyła dla ludzkości. Nie ulega to wątpliwości. Ale po tym, co pan przed chwilą powiedział, sędzę, że pan mnie całkowicie zrozumie, gdy powiem, że jest to tylko pewna strona sprawy, a ma ona jeszcze drugą. Protestantyzm kryje w sobie różne składniki... Już sama osoba waszego reformatora kryła różne składniki... Mam na myśli składniki takie jak błogość, którą daje spokój, i jak hipnotyczne zagłębianie się w siebie; nie są to składniki europejskie, są obce i wrogie prawu rządzącemu życiem tej aktywnej części świata. Niech się pan przyjrzy Lutrowi! Niech się pan przyjrzy jego portretom, młodzieńczym i późniejszym! Co to za czaszka, co za kości policzkowe, jak szczególnie osadzone oczy! Przyjacielu, to Azja! Dziwiłbym się, bardzo bym się dziwił, gdyby tam nie wchodziło w grę coś wendyjsko-słowiańsko-sarmackiego i gdyby przeto w potężnej — temu nikt nie zaprzeczy — postaci tego człowieka nie przeważała fatalnie jedna z dwóch szali, które w pańskim kraju w tak niebezpieczny sposób utrzymują się w równowadze — nie przeważał straszliwy ciężar na szali wschodniej, od którego ta druga, zachodnia, po dziś dzień unosi się ku niebu...

Od składanego pulpitu humanisty przy okienku, przed którym stał, pan Settembrini podszedł do okrągłego stołu z karafką wody i zbliżył się do swego ucznia, który siedział na tapczanie pod ścianą i, nie mając oparcia wspierał łokcie na kolanach, a brodę na dłoni.

— Caro! — rzekł pan Settembrini. — Caro amico! Decyzje, będą musiały być powzięte, decyzje, których znaczenia dla szczęścia i przyszłości Europy nie można ocenić dość wysoko; a przypadną one pańskiemu krajowi, w jego duszy się dokonają. Postawiony między Wschodem a Zachodem będzie musiał wybierać, definitywnie i świadomie, między obu sferami, które chcą go dla siebie pozyskać. Pan jest młody i będzie pan mieć udział w tej decyzji, pan jest powołany, by na nią wywrzeć wpływ. Dlatego błogosławmy los, który zagnawszy pana w te okropne strony, dał mi możność moimi niezupełnie niewprawnymi, niezupełnie bezbarwnymi słowy oddziaływać na jego kształtującą się dopiero młodość, wyrabiać w nim poczucie odpowiedzialności, jaką pan — jaką pański kraj ma wobec cywilizacji...

Hans Castorp siedział z podbródkiem w pięści. Patrzył w górę ku mansardowemu oknu i w jego poczciwych niebieskich oczach malował się jakby upór. Milczał.

— Pan milczy — mówił Settembrini w podnieceniu. — Pan i jego kraj zachowujecie milczenie pełne zastrzeżeń co do przyszłości; milczenia tego nie można przejrzeć, więc też i osądzić jego głębi. Nie lubicie słowa; albo nim nie władacie, albo posługujecie się nim w jakiś nieprzyjazny sposób — świat słowa artykułowanego nie wie, co myślicie. Przyjacielu, to jest niebezpieczne. Mowa jest cywilizacją... Słowo, nawet najbardziej sprzeczne, jakże zobowiązuje... A milczenie czyni człowieka samotnym. Można przypuszczać, że swą samotność będzie pan usiłował przełamać czynami. Pan pozwie swego kuzyna Giacomo (pan Settembrini zwykł był dla wygody Joachima nazywać „Giacomo”), pan pozwie swego kuzyna, by stanął przed jego milczeniem — „i dwóch położył potężnym ciosem, inni uciekli”<sup>\*</sup>.

Ponieważ Hans Castorp zaczął się śmiać, uśmiechnął się również pan Settembrini, na razie zadowolony z efektu swych plastycznych słów.

— Dobrze, śmiejmy się! — powiedział. — Do wesołości zawsze jestem skory. „Śmiech jest przebłyskiem duszy” — powiedział któryś ze starożytnych. Odbiegliśmy ku sprawom, związanym, przyznaję to, z trudnościami naszych prac około utworzenia światowego związku wolnomularskiego, trudnościami, których przysparza zwłaszcza Europa protestancka... — i pan Settembrini w gorących słowach mówił dalej o idei tego światowego Związku, która wyszła z Węgier, a której oczekiwana realizacja da masonerii decydujący głos w świecie. Mimochodem pokazał, listy, jakie w tej sprawie otrzymał od zagranicznych wielkości związkowych, od szwajcarskiego Wielkiego Mistrza, brata trzydziestego trzeciego stopnia Quartier la Tente; roztrząsał też projekt, aby sztuczny język esperanto uczynić światowym językiem Związku. W uniesieniu wzniósł się w sferę wyższej polityki, zwracał to tu, to tam swój wzrok i oceniał widoki, jakie idea rewolucyjno-republikańska ma w jego ojczyźnie, w Hiszpanii, w Portugalii. Twierdził, że utrzymuje korespondencję z osobami stojącymi u szczytu Wielkiej Łoży w ostatnio wspomnianej monarchii. W kraju tym bez wątpienia rzeczy dojrzewają już do rozstrzygnięcia. Prosił, aby Hans Castorp pomyślał o nim, gdy tam w dole w najbliższym czasie zaczną się przewalać wypadki. Hans Castorp przyrzekł, że to uczyni.

Należy zauważyć, że te masońskie pogawędki między wychowankiem a jego dwoma mentorami, każdym oddzielnie, przypadły na czas poprzedzający jeszcze powrót Joachima. Debata zaś, do której teraz przechodzimy, miała miejsce już podczas jego ponownego pobytu w jego obecności, dziewięć tygodni po jego powrocie, u schyłku października. To spotkanie w jesiennym słońcu, pod Kurhauzem w uzdrowisku Davos, przy odświeżających napojach, Hans Castorp dlatego tak trwale

---

<sup>\*</sup> Parafraza wiersza Schillera pt. „Die Bürgschaft” (Poręka).

i dokładnie zachował w pamięci, że w tym czasie właśnie Joachim zaczął dawać mu powody do tajemnej troski; budziły ją objawy i symptomy, które nawet zwykle troski nie budzą, mianowicie bóle gardła i chrypka, a więc dolegliwości niewinne; jednakże młodemu Castorpowi ukazały się one w jakimś szczególnym świetle, w tym, które, rzecz można, spostrzegał w głębi oczu Joachima. Oczy te zawsze były łagodne i duże, ale teraz, dopiero teraz w jakiś nieokreślony sposób powiększyły się i pogłębiły, i z myślących stały się (trzeba użyć tego dziwnego wyrazu) — groźnymi, a zarazem nabrały owego wspomnianego już blasku wewnętrznego; nie można powiedzieć, że Hansowi Castorpowi blask ten się nie podobał, przeciwnie, podobał mu się nawet bardzo, ale jednocześnie budził w nim troskę. Słowem, wrażenia jego były tego rodzaju, że nie można mówić o nich inaczej niż niejasno.

Co się tyczy rozmowy, sporu — naturalnie sporu między Naphtą a Settembrinim — to dotyczył on sprawy szczególnej i w luźnym tylko pozostającej związku z tamtymi dwiema dyskusjami o łóżach. Poza kuzynami obecni byli przy nim również Ferge i Wehsal, i zainteresowanie było duże, choć nie wszyscy dorośli do jego przedmiotu — na przykład pan Ferge najwyraźniej nie dorósł. Ale spór był toczony, jak gdyby chodziło o życie, a zarazem z takim dowcipem i polorem, jak gdyby nie chodziło o życie, lecz o wytworne zawody słowne — a tak były toczone wszystkie dysputy Settembriniego i Naphty; jest oczywiście rzeczą interesującą przysłuchiwać się takiemu sporowi dla niego samego, nawet gdy się mało zeń rozumie i tylko niejasno dostrzega jego doniosłość. Nawet ludzie zupełnie doń nie należący, a tylko siedzący opodal, przysłuchiwali się wymianie zdań z podniesionymi brwiami, bo uwagę ich przykuwała namiętność i subtelność dyskusji.

Działo się to, jakśmy rzekli, przed Kurhauzem, po południu, po podwieczorku. Czterej goście „Berghofu” spotkali się tam z Settembrinim, a niebawem przyłączył się do nich Naphta. Siedzieli dokoła metalowego małego stolika przy różnych wodą sodową rozcieńczonych napojach, przy anyżówce i wermucie. Naphta, który tu jadł podwieczorek, kazał sobie dać wina i ciastek, co widocznie przypomniało mu czasy, gdy był alumnem; Joachim swą bolącą krtań zwilżał często naturalną lemoniadą, mocną i kwaśną, która miała działanie ściągające i sprawiała mu ulgę, a Settembrini pił po prostu wodę z cukrem, jednakże przez słomkę i w sposób tak wdzięczny i apetyczny, jak gdyby pociągał najkosztowniejszy, pokrzepiający trunek. Żartując mówił:

— Co słyszę, inżynierze? Co za pogłoski dochodzą do mnie? Pańska Beatrice wraca? Pańska przewodniczka przez wszystkie dziewięć wirujących sfer rajów? Mam jednak nadzieję, że nawet gdy ona wróci, nie odtrąci pan gotowej go prowadzić

przyjacielskiej dłoni pańskiego Wergiliusza! Nasz eklezjasta potwierdzi panu, że świat średniowieczny nie jest zupełny, jeśli mistyce franciszkańskiej brak przeciwnego bieguna w postaci tomistycznego poznania.

Śmiano się słysząc tyle żartobliwej uczoności i patrzano na Hansa Castorpa, który — również się śmiejąc — przepijał wermutem do „swego Wergiliusza”. Ale trudno uwierzyć, ile niewyczerpanych antagonizmów duchowych wypłynęło niebawem z zawilego wprawdzie, jednakże niewinnego powiedzenia pana Settembriniego. Bo Naphta, co prawda poniekąd sprowokowany, przeszedł niezwłocznie do ataku i rzucił się na łacińskiego poetę, którego Settembrini, jak wiadomo, ubóstwiał i stawiał nawet ponad Homera; Naphta zaś nieraz już w stosunku do niego i w ogóle do poezji łacińskiej objawiał najwyższe lekceważenie, a i teraz szybko i złośliwie podchwycił ku temu okazję. Jedyne, mówił, dobroduszną zależność od warunków epoki spowodowała, że wielki Dante tego średniego wierszoroba potraktował tak uroczyście i tak wzniosłą przeznaczył mu rolę w swym poemacie; choć zaznaczyć trzeba, że rolę tę pan Lodovico interpretuje nazbyt po wolnomularsku. Jakże to zresztą miała się rzecz z tym nadwornym poetą laureatus i pochlebcą Julijskiego domu, z tym stołecznym literatem i błyskotliwym retorem bez iskry twórczej, którego dusza, jeśli ją posiadał, była zapożyczona, a który w ogóle nie był poetą, lecz Francuzem ustrojonym w wielką perukę z czasów Augusta.

Pan Settembrini wyraził przekonanie, że przedmówca zapewne umie swą pogardę dla wielkiej cywilizacji rzymskiej jakoś pogodzić ze swymi funkcjami nauczyciela łaciny. Należy mu jednak, zdaje się, zwrócić uwagę, że tego rodzaju sądy wikłają go w poważną sprzeczność z ukochanymi przezeń stuleciami, które Wergiliuszem nie tylko nie gardziły, ale na swój prostoduszny sposób głosiły jego wielkość, czyniąc zeń mędrca i czarodzieja.

Pan Settembrini, odparł Naphta, na próżno szuka pomocy w prostocie ducha tych wczesnych czasów. Były one zwycięzcami, którzy podkreślają jeszcze swą potęgę, przypisując demoniczne własności temu, kogo zwyciężyli. Zresztą doktorzy wczesnego Kościoła nie przestawali ostrzegać przed kłamstwami dawnych filozofów i poetów, a już szczególnie przed przesadnym krasomówstwem Wergiliusza; dziś, gdy znów jedna epoka schodzi do grobu, gdy świta poranek proletariatu, moment jest naprawdę odpowiedni, by czuć tak jak oni. Należy jeszcze odpowiedzieć na aluzje, jakie pan Lodovico robił do mieszczańskich zajęć: może być przekonany, że on, Naphta, swe nieliczne tego rodzaju zajęcia spełnia ze wskazaną w tym wypadku *reservatio mentalis*\* i nie bez ironii podporządkowuje się klasycz-

---

\* *Reservatio mentalis* (łac.) — zastrzeżenie zrobione w duchu.



no-retorycznemu systemowi wychowawczemu, którego trwanie sangwinik może, co prawda, obliczać jeszcze na dziesiątki lat.

— A studiowaliście ich — zawołał Settembrini — studiowaliście w pocie czoła tych dawnych poetów i filozofów, staraliście się sobie przyswoić ich cenną spuściznę, tak samo jak używaliście materiału ze starożytnych budowli na wasze domy modlitwy! Bo dobrze czuliście, że własnymi siłami waszej proletariackiej duszy nie jesteście zdolni wytworzyć nowych form sztuki; mieliście nadzieję, że starożytność pobijecie jej własną bronią. I tak będzie zawsze! Nieokrzesany wasz wschodzący dzień będzie musiał iść na naukę do tego, dla którego pogardę chcielibyście wmówić w siebie i innych; bo bez wykształcenia bylibyście niczym w obliczu ludzkości, a wykształcenie jest tylko jedno: to, które nazywacie mieszczańskim, a które jest wykształceniem ludzkim. Koniec wykształcenia takiego, jak je rozumie humanizm, ma być kwestią dziesięcioleci? Jedyne uprzejmość nie pozwala panu Settembriniemu wybuchnąć równie beztróskim jak drwiącym śmiechem. Europa umiejąca strzec swych wiecznych dóbr przejdzie spokojnie ponad proletariackimi apokalipsami, które sobie ten czy ów roi, do porządku dziennego wyznaczonego przez klasyczny rozsądek.

O porządku dziennym, odparł Naphta zgryźliwie, pan Settembrini, jak widać, jest niezupełnie dobrze poinformowany. Na porządku dziennym stoi właśnie to zagadnienie, które on chciałby traktować jako załatwione: czy mianowicie śródziemnomorska, klasyczna, humanistyczna tradycja jest sprawą całej ludzkości i przeto w ludzkiej skali jest wieczna — czy też raczej była tylko formą duchową i właściwością jednej epoki, mieszczańsko-liberalnej i razem z nią się skończy. Zagadnienie to rozstrzygnie historia, a w każdym razie należy poradzić panu Settembriniemu, by nie był nazbyt pewien, że rozstrzygnięcie nastąpi po myśli jego łacińskiego konserwatyzmu.

Było to szczególną bezczelnością małego Naphty, że pana Settembriniego, zdecydowanego sługę postępu, nazwał konserwatystą. Wszyscy to w ten sposób odczuli, a ze szczególną goryczą odczuł to naturalnie ten, kto został dotknięty: w podnieceniu podkreślał wąsy, a szukając riposty pozostawił wrogowi czas na dalsze wypadki przeciw klasycznemu ideałowi wykształcenia, przeciw retorycznemu i literackiemu duchowi europejskiego szkolnictwa i wychowania, a także przeciw panującemu w nich gramatyczno-formalistycznemu splinowi, który jest przynależnością klasowego panowania burżuazji, ale dla ludu od dawna pośmiewiskiem. Trudno sobie wyobrazić, jak bardzo lud wyśmiewa nasze tytuły doktorskie i całe nasze mandaryństwo w edukacji, państwowe szkoły powszechne, to narzędzie kla-

sowej dyktatury burżuazji, stosowane w urojeniu, że lud należy kształcić tak, jak się kształci uczonych, tylko w rozwodniony sposób. Wykształcenie i wychowanie, jakiego potrzebuje do walki ze zmurszałym mieszczańskim państwem, lud umie od dawna znajdować gdzie indziej niż w przymusowych zakładach urzędowych; już ptaki o tym na dachu świergocą, że typ naszej szkoły, który rozwinął się ze średnio-wiecznej szkoły klasztornej, jest w całości śmiesznie przestarzały i anachroniczny, że już nikt na świecie właściwego swego wykształcenia nie zawdzięcza szkole i że wolne, swobodne nauczanie, za pomocą publicznych wykładów, wystaw, kin i tam dalej, stoi nieporównanie wyżej od każdego nauczania szkolnego,

W tej mieszance rewolucji i obskurantyzmu, którą Naphta częstował swych słuchaczy — tak odpowiedział pan Settembrini — przeważa obskurantyzm i psuje cały smak. A uznanie, jakie wzbudza jego troska o oświatę dla ludu, zmniejsza obawę, że troska ta wypływa z instynktowego dążenia do tego, by lud i świat pogrążyć w mroku analfabetyzmu.

Naphta uśmiechnął się. Analfabetyzm! Oto komuś się zdaje, że wyrzekł prawdziwie przerażające słowo, że pokazał głowę Gorgony, w przekonaniu, iż na jej widok każdy będzie musiał zblednąć. On, Naphta, żałuje, że swemu rozmówcy musi zgotować rozczarowanie, wyznając, iż lęk humanisty przed pojęciem analfabetyzmu po prostu go rozśmiesza. Trzeba na to być renesansowym literatem, człowiekiem zmanierowanym, siedemnastowiecznym, marinistą\*, komiczną figurą w estilo culto, aby umiejętności czytania i pisania przypisywać tak przesadne wychowawcze znaczenie, jak gdyby ciemnota duchowa musiała zapanować tam, gdzie ich braknie. Czy pan Settembrini sobie przypomina, że największy poeta średniowiecza, Wolfram von Eschenbach, był analfabetą? Wówczas było w Niemczech rzeczą obraźliwą, aby chłopca, który nie miał iść na księdza, posyłać do szkoły, i ta szlachecko-ludowa pogarda dla sztuk literackich nie przestała i dziś być cechą istotnej dostojności. Natomiast literat, ten nieodrodny syn humanizmu i burżuazji, umie wprawdzie czytać i pisać, czego szlachta, wojownicy i lud nie umieją albo co umieją słabo — ale poza tym nic nie umie i nie rozumie, jest tylko latynistą i fanfaronem, władającym jedynie mową, a życie pozostawia rzetelniejszym od siebie ludziom. Z polityki robi on worek z wiatrem, bo wypełnia go retoryką i literaturą piękną, co w języku partyjnym nazywa się radykalizmem i demokracją — i tak dalej, i tak dalej.

Ale pan Settembrini nie został dłużny odpowiedzi. Nazbyt śmiało, zawołał, jego

---

\* Marinista — naśladowca barokowego i afektowanego stylu poety włoskiego, G. Mariniego (1569—1625).

przeciwnik ujawnia upodobania do żarliwego barbarzyństwa pewnych epok, szycząc z miłości do formy literackiej, bez której zaiste niemożliwa i nie do pomyślenia jest ludzkość, bez której ludzkości nie ma i nigdy nie będzie! Dostojność? Tylko wróg ludzkości może chrzczyć jej imieniem surową i niemą, nie posługującą się słowem rzeczowość. Dostojna jest jedynie generosità, szlachetny zbytek, objawiający się tym, że formie przypisuje swoiście ludzką, od treści niezależną wartość — kult mowy jako sztuki dla sztuki, dziedzictwo grecko-rzymskiej cywilizacji, które humaniści, uomini letterati, odzyskali dla świata romańskiego, przynajmniej dla niego, i które jest źródłem całego późniejszego treściowego idealizmu, nie wyłączając także politycznego. — Tak, mój panie! To, co pan chciałby zohydzić oddzielając mowę od życia, jest właśnie wyższą jednością w koronie piękna, i nie obawiam się, po której stronie szlachetna młodzież zawsze walczyć będzie w sprawie między literaturą a barbarzyństwem.

Hans Castorp tylko połową uwagi śledził rozmowę, bo zajmowała go osoba obecnego przy niej wojownika i przedstawiciela istotnej dostojności, a raczej zajmował go nowy wyraz jego oczu; jednakże teraz wzdrygnął się, bo odczuł, że mówiąc o szlachetnej młodzieży pan Settembrini do niego się zwracał i jego prowokował; i przybrał taki sam wyraz twarzy jak wówczas, gdy Settembrini chciał go uroczyście zmusić do dokonania wyboru między „Wschodem a Zachodem”, wyraz powściągliwy i oporny — i milczał. Tamci obaj doprowadzali wszystko do ostateczności, co zapewne w sporze było potrzebne, i zaciekle kłócili się o krańcowe wypadki, podczas gdy jemu się zdawało, że między bronionymi przez nich niemożliwymi poglądami, między krasomówczym humanizmem a analfabetycznym barbarzyństwem, gdzieś pośrodku leżeć musi to, co zgodnie można nazwać rzeczą ludzką. Jednak nie powiedział tego, nie chcąc obu rozdrażniać i, osłonięty swymi zastrzeżeniami, obserwował, jak w swej wrogości pomagali jeden drugiemu, gubiąc się w szczegółach, odkąd Settembrini dał do tego pobudkę swym żarciem o łacińskim Wergiliuszu.

Settembrini jeszcze nie skończył, mówił dalej z emfazą, łaknął triumfu. Narzucał się na obrońcę literackiego geniuszu, sławił dzieje piśmiennictwa od chwili, gdy po raz pierwszy człowiek, aby utrwalić i upamiętnić swą wiedzę i swe uczucia, wrył słowa na kamieniu. Mówił o egipskim bogu Thot, z którym identyczny był po trzykroć wielki Hermes hellenizmu, a który był czczony jako wynalazca pisma, opiekun bibliotek i patron wszelkich poczynań umysłowych. Mówiąc to ugiął kolano przed tym Trismegistem, humanistycznym Hermesem, mistrzem palestry, któremu ludzkość zawdzięcza wielki dar literackiej mowy i retoryki sądowej — i tym skłonił Hansa Castorpa do zrobienia uwagi: że w takim razie ten Egipcjanin

był oczywiście również politykiem i w większym jeszcze stylu odegrał tę samą rolę co pan Brunetto Latini, któremu specjalnie Florentyńczycy zawdzięczali swą ogładę i który nauczył ich wymowy i sztuki kierowania republiką zgodnie z prawami polityki. Na to Naphta odparł, że pan Settembrini cośkolwiek zmyśla i daje nazbyt wymuskany obraz Thota-Trismegista. Był on bowiem raczej bogiem małym, księżycą i dusz, przedstawiano go jako pawiana z sierpem księżycą na głowie, a pod nazwą Hermesa czczono w nim przede wszystkim boga śmierci i umarłych, zniewalającego dusze i ich przewodnika; już późna starożytność zrobiła zeń arcyczarnoksiężnika, a kabalistyczne średniowiecze — ojca hermetycznej alchemii.

Co, co? Wszystko się wywracało w myślach Hansa i w warsztacie jego wyobraźni. Oto śmierć w niebieskim płaszczu, jako humanistyczny retor; ale jeśli się przyjrzeć bliżej pedagogicznemu bogu literatury i przyjacielowi ludzkości, to zamiast niego ukazywał się wykrzywiony małpi pysk ze znakiem nocy i czarnoksiężstwa na czole... Zrobił ręką gest obronny i zaprzeczający, potem rękę położył na oczach. Ale w ciemności, w którą się schronił, brzmiał głos Settembriniego sławiącego literaturę. Nie tylko wielcy badacze, ale także wybitni ludzie czynu żywo się nią zawsze interesowali: wymienił Aleksandra, Cezara, Napoleona, Fryderyka Pruskiego i innych bohaterów, nawet Lassalle'a i Moltkego. Nie zmieszało go, że Naphta przypomniał mu chińszczyznę, gdzie panuje najśmieszniejsze ubóstwienie abecadła, jakie kiedykolwiek istniało, gdzie feldmarszałkiem zostaje każdy, kto wszystkie czterdzieści tysięcy znaków pisarskich umie wymalować tuszem — fakt, który powinien za serce chwycić humanistę. Ech, Naphta wie dobrze, że chodzi nie o pisanie tuszem, lecz o literaturę, jako o istotny popęd ludzki, że chodzi o jej ducha, który — o biedny szyderco! — jest prawdziwym duchem, cudownym połączeniem analizy i formy. On to zawsze budził zrozumienie dla wszystkiego co ludzkie, osłabiał i tępił niemądre oceny i poglądy, przyczyniał się do umoralnienia, uszlachetnienia, ulepszenia rodzaju ludzkiego. Prowadził do najwyższego moralnego wysubtelnienia i wrażliwości, a jednocześnie wskazywał drogę do krytyki, do sprawiedliwości, tolerancji, nie popadając przy tym w fanatyzm. Oczyszczające, uświęcające działanie literatury, pokonanie namiętności przez poznanie i słowo, literatura pojmowana jako droga do zrozumienia, przebaczenia i miłości, z jej wyzwalającą potęgą, duch literacki jako najszlachetniejsza postać ludzkiego ducha, literat jako człowiek doskonały, jako święty: w tej promiennej tonacji przebiegała pieśń pochwalna pana Settembriniego. Ale jego przeciwnik także nie zapomniał języka w gębie, anielskie alleluja umiał pokrzyżować złośliwymi, a świetnymi zarzutami, stając po stronie tych, co bronią zachowania i życia wbrew duchowi rozkładu, kryjącemu się za tą seraficką obłudą. To cudowne połączenie, o którym

wyśpiewywał pan Settembrini — tak mówił teraz — jest ostatecznie oszukaństwem i kuglarstwem, bo forma, której zespoleniem z zasadą badania analizy duch literacki się chełpi, jest formą pozorną i kłamliwą, nie jest formą prawdziwą, przyrodzoną, naturalną, nie jest formą życia. Tak zwany naprawiacz ludzkości ma usta pełne czystości i świętości, ale naprawdę prowadzi do kastracji i upuszczenia krwi życiu; tak, duch, czysta teoria zadaje gwałt życiu, i kto wypowiada walkę namiętnościom, ten chce nicości, czystej nicości, rzeczywiście czystej, bo „czystość” jest istotnie jedynym atrybutem, jaki można przypisać nicości. I to właśnie ukazuje pana Settembriniego, literata, w prawdziwym świetle, mianowicie jako człowieka postępu, liberalizmu i mieszczańskiej rewolucji. Bo postęp jest czystym nihilizmem, a liberalny mieszczanin jest zaiste sługą nicości i szatana, tak, jest nim rzeczywiście, bo zaprzecza Bogu, zachowawczemu i pozytywnemu absolutowi, przysięgając na szatańskie przeciwieństwo absolutu, a przy tym ze względu na swój zabójczy pacyfizm wyobraża sobie, że jest Bóg wie jak pobożny. Ale właśnie niczego mu bardziej nie brak niż pobożności, jest natomiast wielkim przestępcą wobec życia i zasługuje na to, aby zostać pociągniętym przed jego inkwizycję i surowy tajny trybunał — et caetera.

Takimi pointe'ami umiał Naphta operować, umiał zmieniać pieśń pochwalną nadając jej diaboliczne piętno, a samego siebie przedstawiać jako wcielenie zachowawczości, miłości i surowości — tak że znów niepodobna było rozstrzygnąć, gdzie jest Bóg, a gdzie szatan, gdzie śmierć, a gdzie życie. Proszę nam jednak wierzyć na słowo, że jego antagoniście również nie zbrakło odwagi i że nie został mu dłużny odpowiedzi: odpowiedź ta była znakomita, ale na nią też otrzymał nie najgorszą, i trwało to tak jeszcze przez pewien czas, aż rozmowa dotarła do poprzednio już zaznaczonych tematów. Ale Hans Castorp już dłużej nie słuchał, gdyż Joachim przyznał się, że na pewno ma gorączkę z przeziębienia i nie wie, jak ma się teraz zachować, ponieważ zaziębienia nie są tu przecież „przyjęte”. Szermierze przeszli nad tym do porządku, ale Hans Castorp zatroskanym okiem spoglądał na kuzyna i wreszcie podczas jednej z replik pożegnał się i odszedł z nim, pozostawiając już dalszemu biegowi wypadków, czy publiczność złożona z Fergego i Wehsala będzie jeszcze dostatecznym bodźcem pedagogicznym do kontynuowania sporu.

Po drodze uzgodnił z Joachimem, że w sprawie jego przeziębienia i dolegliwości gardlanych najlepiej iść drogą służbową, to znaczy polecić kąpielowemu, aby zawiadomił starszą siostrę, na skutek czego coś może dla chorego zrobić. Tak też postąpił. Jeszcze tego samego wieczoru po kolacji Adriatica zastukała do pokoju Joachima, gdy właśnie Hans Castorp był u niego, i skrzeczącym głosem zapytała, czego młody oficer chce i na co się skarży. — Ból gardła? chrypka? — powtarzała.

— Młody człowieku, co pan wyrabia? — i podjęła próbę przenikliwego spojrzenia mu w oczy, która nie z winy Joachima się nie udała; jej to bowiem oczy umykały w bok. Że też tego zawsze próbowała, choć doświadczenie uczyło, iż nigdy tego zrobić nie umie. Za pomocą pewnego rodzaju metalowej łyżki do obuwia, którą wyciągnęła z kieszeni, zajrzała pacjentowi do gardła, podczas gdy Hans Castorp świecił lampką nocną. Stojąc na czubkach palców i oglądając jęczyczek w gardle Joachima, powiedziała:

— Niech mi pan powie, moje dziecko, czy pan się już kiedy zachłysnął?

Cóż można było na to odpowiedzieć! Na razie, dopóki mu oglądała gardło, nie miał w ogóle możliwości mówienia, ale i potem, gdy skończyła, trudno było coś rozsądnego odrzec. No, naturalnie, że się raz czy drugi w życiu zachłysnął przy jedzeniu i picciu; ale to się każdemu zdarza i nie o to zapewne chodziło w jej pytaniu. Odrzekł: O co chodzi? Nie może sobie przypomnieć, kiedy się ostatni raz zachłysnął.

No, dobrze; tylko tak się pyta. A zatem się zaziębił, powiedziała ku zdumieniu kuzynów, bo słowo zaziębienie było w zakładzie zakazane. W razie czego, do dokładniejszego zbadania gardła potrzebne jest laryngologiczne lustro radcy. Odchodząc zostawiła formamint oraz bandaż i ceratkę, do wilgotnych okładów na noc, i Joachim, skorzystawszy z jednego i drugiego, uważał, że doznaje po tych zabiegach wyraźnej ulgi; stosował je też dalej, zwłaszcza że chrypka nie chciała ustąpić, a nawet wzmogła się w najbliższych dniach, choć ból gardła chwilami zniknął prawie zupełnie.

Zresztą jego gorączka z przeziębienia była czystym przywidzeniem. Obiektywny stan rzeczy był ten sam co poprzednio, ten właśnie, który wraz z wynikami badań radcy zatrzymywał tu zacnego Joachima na małej kuracji dodatkowej, zanim powróci pod sztandar. Termin październikowy minął, przez nikogo nie wspomniany: nikt o nim nie powiedział słowa; ani radca, ani kuzyni w rozmowach z sobą; milcząc i ze spuszczonej oczami przeszli nad nim do porządku. Z tego, co Behrens przy badaniu miesięcznym podyktował swemu tak kompetentnemu w dziedzinie psychologii pomocnikowi i co pokazała klisza fotograficzna, wynikało jasno, że jeśli mogła być mowa o odjeździe, to jedynie o dzikim, a tymczasem chodziło o to, by wytrwać karnie w tej służbie sanatoryjnej i uzyskać dzięki niej całkowitą odporność na warunki klimatyczne, niezbędną przy służbie w nizinach i spełnianiu przysięgi żołnierskiej.

Hasło to obowiązywało, i obaj się na nie milcząco godzili. Jednakże prawda wyglądała tak, że żaden z nich nie był pewien, czy drugi w to hasło wierzy, i wsku-

tek tej wątpliwości jeden przed drugim spuszczał oczy, ilekroć oczy ich się spotykały. Zdarzało się to niejednokrotnie od owej rozmowy o literaturze, w czasie której Hans Castorp w głębi oczu Joachima zauważył jakiś nowy blask i szczególny, „groźny” wyraz. W szczególności zdarzyło się to raz przy stole, gdy zachrypnięty Joachim niechcący zachłysnął się wyjątkowo mocno i nie mógł złapać oddechu. Wówczas to, podczas gdy Joachim krztusił się za swą serwetą, a pani Magnus, jego sąsiadka, starym zwyczajem uderzała go po karku, oczy ich spotkały się w sposób, który Hansa Castorpa przeraził bardziej niż sam wypadek, mogący oczywiście przytrafić się każdemu; Joachim zamknął wtedy oczy i zasłonięty serwetą wstał od stołu i wyszedł z jadalni, aby się wykaszleć.

Uśmiechnięty, choć jeszcze nieco blady, wrócił po dziesięciu minutach, przepraszając za spowodowane zamieszanie, i spożywał dalej swój obfity posiłek; potem zaś nie pamiętano o trywialnym wydarzeniu i nikt nie zrobił o nim najmniejszej nawet uwagi. Ale gdy się ono parę dni później powtórzyło, tym razem nie przy obiedzie, lecz przy obfitym drugim śniadaniu, oczy kuzynów się nie spotkały, bo Hans Castorp schylony nad swym talerzem, na pozór nic nie zauważywszy, jadł dalej; musiano natomiast po wstaniu od stołu poświęcić jednak wydarzeniu temu parę słów i Joachim przeklinał tę przekłętą babę, tę Mylendonk, która swymi niepotrzebnymi pytaniami zaniepokoiła go, coś weń wmówiła, zauroczyła go, niech ją diabli wezmą. Tak, to najwyraźniej sugestia, powiedział Hans Castorp — zabawna rzecz, choć nieprzyjemna. A Joachim, odkąd sprawa została nazwana po imieniu, skutecznie bronił się przed czarodziejskimi sztuczkami, uważał przy jedzeniu i krztusił się ostatecznie nie częściej niż ludzie nie zaczarowani; ponownie zdarzyło się to dopiero po dziewięciu czy dziesięciu dniach, i tak, że nie było o czym mówić.

Jednakże został poza kolejką wezwany do Radamantysa. Zameldowała go starsza siostra i postąpiła raczej słusznie: bo skoro było w zakładzie lusterko laryngologiczne, to uporczywe zachrypnięcie Joachima, przechodzące na długie godziny w utratę głosu i ból gardła, którego doznawał, ilekroć nie stosował środków ślinopędnych, utrzymujących krtani w należytej elastyczności — wszystko to zdawało się dostatecznym powodem, aby wreszcie wyjąć z szafy to mądrze pomyślane narzędzie; a przy tym, jeśli Joachim krztusił się teraz tak rzadko jak normalni ludzie, to zawdzięczał to jedynie wielkiej ostrożności przy jedzeniu, na skutek której prawie zawsze był opóźniony przy posiłkach.

Radca tedy zbadał Joachima za pomocą lusterka, głęboko i długo zaglądał do jego krtani. Na specjalne życzenie Hansa Castorpa pacjent zaraz potem przyszedł do jego loggii, by zdać z badania sprawę. Na wpół szeptem — była to bowiem pora

głównego werandowania i obowiązywało milczenie — opowiedział, że było dokuczliwe i łechcące, że później Behrens głądził o jakimś stanie podrażnienia i powiedział, że potrzebne jest codzienne pędzlowanie; i zaraz jutro ma zacząć wypalać mu gardło, tylko musi przedtem przygotować lekarstwo. Więc stan podrażnienia i wypalanie gardła. Hans Castorp miał głowę pełną odległych skojarzeń z dalekimi ludźmi, jak z kulawym portierem, i z ową damą, której ostatecznie nic się nie stało, choć przez tydzień trzymała się za ucho; na usta cisnęły mu się różne pytania, ale nie wystąpił z nimi, zdecydował, że postawi je radcy w cztery oczy, a wobec Joachima wyraził jedynie zadowolenie, że jego dolegliwości są już obecnie pod kontrolą i że radca wziął sprawę w swe ręce. To jest byczy chłop i znajdzie już na to sposób. Joachim przytaknął mu nie patrząc nań, odwrócił się i przeszedł do swej loggii.

Co się działo z zacnym Joachimem? W ostatnich dniach oczy jego stały się tak niepewne i zalęknione. Jeszcze niedawno próba siostry Mylendonk przewiercenia go wzrokiem rozbiła się o jego łagodne ciemne spojrzenie, ale gdyby raz jeszcze usiłowała ponowić próbę, to już naprawdę nie wiadomo, jaki tego byłby wynik. Unikał podobnych spotkań, ale gdy do nich dochodziło (bo Hans Castorp pilnie go obserwował), nie było to przyjemne. Hans Castorp, przygnębiony, został w swej loggii; miał wielką ochotę niezwłocznie pójść zażądać wyjaśnień od szefa. Jednakże gdyby to zrobił, Joachim usłyszałby, że kuzyn wstaje i wychodzi, trzeba więc było przeczekać i przychwycić Behrensa w ciągu popołudnia.

To się jednak nie udało. Dziwna rzecz! Zupełnie się nie udawało przychwycić radcy ani tego wieczoru, ani też przez dwa następne dni. Co prawda, do pewnego stopnia przeszkodę stanowił sam Joachim, bo trzeba było tak się zachowywać, by nic nie zauważył, jednakże nie tłumaczyło to jeszcze, dlaczego w żaden sposób niepodobna było doprowadzić do rozmowy i schwytać Radamantysa. Hans Castorp szukał go i pytał o niego po całym domu, skierowywano go to tu, to tam, twierdząc, że go na pewno znajdzie, ale właśnie już go tam nie było. Przy jednym z posiłków Behrens był obecny, ale siedział daleko, przy gorszym stole rosyjskim, i znikł przed deserem. Parokrotnie zdawało się Hansowi Castorpowi, że go już trzyma za guzik, bo go widział na schodach czy na korytarzach, stojącego i rozmawiającego z Krokowskim, ze starszą siostrą, z jednym z pacjentów; Castorp czatował tedy na niego, ale gdy tylko odwrócił oczy, Behrensa już nie było.

Dopiero na czwarty dzień osiągnął swój cel. Z balkonu zobaczył, jak radca, cel jego pościgu, daje polecenie ogrodnikowi, wysliznął się szybko spod swego koca i pospieszył na dół. Widać było okrągły kark Behrensa, który wiosłując rękami



odchodził właśnie w kierunku swego mieszkania. Hans Castorp pobiegł kłusem, odważył się nawet zawołać, ale bezskutecznie. Wreszcie, dobiegając bez tchu, zatrzymał swoją ofiarę.

— Czego pan tu chce! — ofuknął go radca, patrząc nań swymi wilgotnymi oczyma. — Czy mam panu dać jeszcze jeden egzemplarz regulaminu? O ile mi wiadomo, jest teraz pora werandowania. Pański wykres i pańskie zdjęcie nie dają panu żadnego szczególnego prawa do fanaberyj. Trzeba by tu gdzieś wystawić porządnego stracha na złodziei, co by tym, którzy między drugą a czwartą do ogrodu przychodzą na rozpustę, zagrażał wbiciem na pal. Czego pan właściwie chce?

— Panie radco, koniecznie muszę z panem chwilę pomówić!

— Widzę, że pan to sobie roi już od dość dawna. Lata pan za mną, jak gdybym był babą i przedmiotem nie wiem jakich pożądań. Czego pan chce ode mnie?

— Tu chodzi tylko o mego kuzyna, panie radco, niech pan wybaczy! Teraz chodzi na pędzlowanie... Jestem przekonany, że w ten sposób wszystko jest na dobrej drodze. Przecież to niewinna rzecz, ośmielę się zapytać?

— Dla pana, Castorp, wszystko jest niewinne, taki pan już jest. Pan nawet chętnie wdaje się w rzeczy nie niewinne, ale wtedy pan je traktuje, jak gdyby były niewinne, i zdaje się panu, że staje się przez to miły Bogu i ludziom. Człowieku, pan jest w swoim rodzaju tchórzem i obłudnikiem i jeśli pański kuzyn nazywa pana cywilem, to wyraża się bardzo eufemistycznie.

— Być może, panie radco. Naturalnie, wady mego charakteru nie ulegają wątpliwości. Ale chwilowo nie o nie chodzi, tylko o to, że od trzech dni chcę pana prosić, by...

— Bym pana poczęstował przyjemnie osłodzonym zafałszowanym winem. Naprzykrza się pan i nudzi mnie, bym go utwierdził w jego przekłętej obłudzie i żeby pan mógł sobie spać spokojnie, podczas gdy inni ludzie czuwają i nie przymykają oczu na rzeczywistość.

— Ależ, panie radco, pan jest bardzo dla mnie surowy. Ja, przeciwnie, chciałem...

— Tak, surowość to nie dla pana. Pański kuzyn to chłop innego rodzaju, nie z tej samej gliny co pan. On rozumie, o co chodzi. Milcząc rozumie, pojmuje mnie pan? Nie wiesz się ludziom u poły surduta, żeby go otulali w błękitne mgły i utwierdzali w przekonaniu, że wszystko jest niewinne. On wiedział, co robi i co ryzykuje, jest męskim typem, umiejącym się zachować i milczeć; to jest sztuka dla mężczyzn, ale, niestety, nie dla takich dwunogich przyjemniaczków jak pan. Ale, Castorp, to panu

powiadam, że jak pan będzie tu sceny robił, wrzaski podnosił i oddawał się swoim cywilnym uczuciom, to pana stąd wyrzucę. Bo chcemy tu być między mężczyznami, czy pan mnie rozumie?

Hans Castorp milczał. Teraz i jemu, gdy przybladł, plamy występowały na twarzy. Płeć miał nazbyt miedzianoczerwoną, aby mógł całkowicie zblednąć. Wreszcie rzekł drgającymi ustami:

— Bardzo dziękuję, panie radco. Teraz i ja rozumiem, bo przypuszczam, że nie mówiłby pan do mnie tak, jak by to powiedzieć, tak uroczyście, gdyby stan Joachima nie był ciężki. Wcale mi nie do scen i nie do krzyku — pod tym względem jest pan niesprawiedliwy. A jeśli chodzi o dyskrecję, to i ja umiem trzymać język za zębami, sądzę, iż mogę to przyrzec.

— Pan jest przywiązany do kuzyna? — zapytał radca, schwyciwszy nagle rękę młodego człowieka, i patrzył nań spod białawych rzęs swymi niebieskimi, krwią nabiegłymi, wilgotnymi oczami...

— Cóż można powiedzieć, panie radco. Taki bliski krewny i bliski przyjaciel, i towarzysz tu w górze — Hans Castorp zaszlochał krótko; oparł jedną nogę na palcach, odwracając przy tym piętę na zewnątrz.

Radca pospiesznie puścił jego rękę.

— No, to niech pan będzie dobry dla niego przez te sześć czy osiem tygodni — powiedział. — Niech się pan podda swemu wrodzonemu poczuciu, że wszystko jest niewinne, to dla pana będzie najprzyjemniejsze. Także i ja tu jestem i właśnie po to, by wszystko się odbyło możliwie najbardziej po rycersku i z komfortem.

— Larynx<sup>\*</sup>, nieprawdaż? — powiedział Hans Castorp potakując radcy.

— Laryngea<sup>\*\*</sup> — potwierdził Behrens. — Szybko postępujący rozkład. I z błoną śluzową tchawicy też już jest niedobrze. Być może, że przez komenderowanie na służbie wytworzył się locus minoris resistentiae<sup>\*\*\*</sup>. Ale na takie dywersje musimy być zawsze przygotowani. Mało widoków, chłopcze; właściwie nie ma żadnych. Oczywiście trzeba próbować wszystkiego, użyć wszelkich środków.

— Matka... — powiedział Hans Castorp.

— Później, później. Jeszcze nie ma pośpiechu. Niech pan stara się ją taktownie i delikatnie stopniowo przygotować. A teraz szoruj pan na swoje stanowisko. Bo

---

\* Larynx (greck.) — krtań.

\*\* Laryngea (greck.) — gruźlica krtani.

\*\*\* Locus minoris resistentiae (łac.) — miejsce o zmniejszonej odporności.

gotów zauważyć. A byłoby mu przecież nieprzyjemnie, gdyby wiedział, że się o nim mówi poza jego plecami.

Joachim codziennie chodził na pędzlowanie. Jesień była piękna i nieraz miewał na sobie białe spodnie do granatowej marynarki, gdy po zabiegu, spóźniony, przychodził do jadalni; wygląd miał zawsze schludny i wojskowy, witał się krótko, uprzejmie a zarazem po męsku, przepraszając za spóźnienie, i zasiadał do posiłków, które mu teraz specjalnie przyrządzano, bo zwykłych potraw nie jadał z obawy przed zakrztuszeniem się; dostawał zupy, siekaniny, kaszki. Współbiesiadnicy szybko się zorientowali w sytuacji. Na powitanie odpowiadano mu ze szczególnie zaznaczoną uprzejmością i ciepłem, nazywając go „panem porucznikiem”. W jego nieobecności wypytywano oń Hansa Castorpa; również od innych stołów przychodzono i pytano. Pani Stöhr przychodziła z załamanymi rękoma i na swój sposób niekulturalnie lamentowała. Hans Castorp odpowiadał tylko monosylabami — przyznawał, że położenie jest poważne, ale zarazem do pewnego stopnia temu zaprzeczał, robił to wiedziony honorem, w poczuciu, że nie należy przedwcześnie dawać za wygraną.

Chodzili razem na przechadzki, trzy razy dziennie odbywali służbowe spacer, do których radca kazał się teraz Joachimowi ściśle ograniczać, aby unikać zbyt dużego wyładowywania energii. Hans Castorp szedł po lewej swego kuzyna — dawniej chodzili tak samo albo inaczej, jak wypadło, ale teraz Hans Castorp szedł przeważnie po lewej. Mówili niewiele, to jedynie, co przeciętny dzień w „Berghofie” kładł im w usta, poza tym nic. Na temat tego, co leżało między nimi, nie ma nic do powiedzenia, nie mają zwłaszcza nic do powiedzenia ludzie powściągliwych obyczajów, tacy, co tylko w ostateczności zwracają się do siebie po imieniu. W cywilnej piersi Hansa Castorpa coś się czasem wprawdzie podnosiło i falowało, jakby miało wybuchnąć. Ale to nie było możliwe. I to, co boleśnie i burzliwie nabrzmiało, niebawem opadało i milkło.

Joachim szedł obok niego ze spuszczoną głową. Patrzył w dół, jakby przyglądał się ziemi. Było to takie szczególne: oto szedł, schludny i przyzwoity, kłaniał się przechodzącym po rycersku, jak to zawsze robił, dbał nadal o swój wygląd i o bien-séance — ale należał już do ziemi. Co prawda, prędzej czy później należeć będziemy do niej wszyscy. Ale tak rychło już do niej należeć, będąc tak młodym i tak rwał się do służby żołnierskiej, to jest gorzkie; a dla kogoś, kto wie o wszystkim i idzie obok, jak Hans Castorp, jest bardziej jeszcze gorzkie i niepojęte niż dla samego skazańca, należącego już do ziemi; bo to, co ten wie, zwłaszcza jeśli zachowuje się o tym przyzwoicie milczenie, to jest właściwie natury akademickiej, jest

dlań pozbawione realności i w gruncie rzeczy mniej jest jego sprawą niż sprawą innych. W rzeczywistości śmierć nasza więcej dotyczy pozostałych przy życiu niż nas samych; bez względu bowiem na to, czy przytaczamy je tu poprawnie, czy też nie, nie traci nic ze swego waloru powiedzenie dowcipnego mędrca, że póki my jesteśmy, to nie ma śmierci, a gdy jest śmierć, to nie ma nas, że przeto nie ma realnego związku między nami a śmiercią i że jest ona rzeczą, która nie obchodzi nas wcale, a tylko coś nieco obchodzi świat i przyrodę: to sprawia, że wszystkie żywe istoty oczekują śmierci z wielkim spokojem, obojętnością, bez poczucia odpowiedzialności, z egoistyczną niewinnością. Dużo tej niewinności i nieodpowiedzialności Hans Castorp przez te tygodnie odnajdował w Joachimie i zrozumiał, że wprawdzie wie on wszystko, ale że nietrudno mu jest zachowywać przyzwoite milczenie o tym, co wie, bo jego wewnętrzny do tego stosunek jest luźny i teoretyczny; a jeśli stosunek ten wchodził praktycznie w grę, to normowało go i określało zdrowe poczucie przyzwoitości, nie dopuszczające do roztrząsania całej sprawy; było tu podobnie jak z wielu innymi nieprzystojnymi czynnościami, które życie sobie uświadamia i które, choć do życia niezbędne, nie przeszkadzają jednak w zachowywaniu bienséance.

Tak szli nie mówiąc o nieprzystojnych życiu sprawach natury. Ucichły też początkowo tak pełne wzburzenia i gniewu skargi Joachima, że musiał opuścić manewry i że w ogóle zapóźnił się w służbie wojskowej na równinach. Ale czemu za to powracał wciąż w jego niewinnych i łagodnych oczach wyraz posepnego lęku i ta niepewność siebie, która starszej siostrze przyniosłaby już teraz zwycięstwo, gdyby ta raz jeszcze ponowiła swą próbę? Czy dlatego, że wiedział, iż ma nadmierne powiększone oczy i zapadłe policzki? Bo po tych kilku tygodniach był jeszcze znacznie bardziej zmieniony niż wówczas, gdy przybył z nizin; jego ciemna płeć z dnia na dzień stawała się żółtawa i jakby skórzana. Spoglądał tak, jak gdyby otoczenie kazało mu wstydzic się i gardzić sobą samym, jak gdyby z panem Albinem myślał jedynie o tym, by korzystać z niczym nie ograniczonych stron dodatnich hańby. Przed kim i przed czym cofało się i chowało jego dawniej tak otwarte spojrzenie? Jakże szczególną rzeczą jest to zawstydzenie stworzeń, które szukają kryjówki, aby w niej życie zakończyć, w przeświadczeniu, że od przyrody nie mogą oczekiwać szacunku i pietyzmu dla swego cierpienia i śmierci, przeświadczeniu słusznym, bo radośnie fruujące stado ptactwa nie tylko nie szanuje chorego towarzysza, ale gniewnie i pogardliwie tłucze go dziobami. Taka jest pospolita natura, natomiast w piersi Hansa Castorpa nabrzmiewała jak najbardziej ludzka, z miłości zrodzona litość, ilekroć w oczach Joachima widział ów mroczny instynktowny wstyd. Szedł po lewej Joachima, robił to umyślnie; a że teraz i nogi Joachima stały

się nieco niepewne, więc go podpierał, gdy trzeba było wspinać się na lekko wznoszącą się łąkę: przewyciężając powściągliwość swych obyczajów, obejmował go wtedy ramieniem i nawet zapominał przez chwilę zdjąć rękę z ramion Joachima, dopóki ten jej sam na wpeł gniewnie nie usunął i nie powiedział:

— Słuchaj ty, cóż to ma być. Wyglądamy jak pijani, idąc w ten sposób.

Potem przyszedł moment, gdy zasepienie wzroku Joachima młody Hans Castorp ujrzał w innym jeszcze świetle; stało się to wówczas, gdy nakazano Joachimowi położyć się do łóżka; było to w początku listopada — śnieg leżał wtedy wysoki. W tym czasie stało się już dla Joachima rzeczą nazbyt trudną spożywać choćby tylko siekaniny i kaszki, bo co drugi łyk przedostawał mu się do tchawicy. Wskazane było przejście na wyłącznie płynne pożywienie i jednocześnie Behrens nakazał stałe leżenie dla oszczędzania sił. Właśnie w przeddzień jego położenia się do łóżka, ostatniego wieczoru, gdy jeszcze był na nogach, Hans Castorp go zastał — zastał przy rozmowie z Marusią, tą ciągle bez powodu śmiejącą się Marusią z pomarańczową chusteczką i na zewnątrz tak dobrze ukształtowaną piersią. Było to po kolacji, podczas wieczornego zebrania, w hallu. Hans Castorp był przedtem w salonie muzycznym i wyszedł zeń, aby zobaczyć, co się dzieje z Joachimem: wtedy to zastał go przed kafłowym kominkiem obok krzesła Marusi; było to krzesło bujające i Joachim lewą ręką przytrzymał jego oparcie przechylone wstecz, tak że Marusia z pozycji leżącej swymi ciemnymi okrągłymi oczami patrzyła do góry w jego twarz, którą on, mówiąc głosem cichym i przerywanym, nachylał nad jej twarzą; ona od czasu do czasu uśmiechała się i z podnieceniem a lekceważąco wzruszała ramionami.

Hans Castorp cofnął się pospiesznie, jednakże zdążył zauważyć, że inni goście, jak to zwykle bywało, rozbawieni, przyglądali się tej scenie. Joachim tego nie widział czy też nie zwracał na to uwagi. Widok ten — widok Joachima rozmawiającego i całkowicie zapatrzonego w Marusię o wysokich piersiach, z którą tak długo siedział przy jednym stole, nigdy słowa z nią nie zamieniwszy, przed której osobą i istnieniem on, rozsądny i prawy, spuszczał oczy z surowym wyrazem, choć dostawał plam na twarzy, gdy o niej była mowa — widok ten wstrząsnął Hansem Castorpem więcej niż wszystkie oznaki upadku sił, jakie w ostatnich miesiącach zauważył u swego biednego kuzyna. „Tak, jest zgubiony!” — pomyślał i cicho usiadł w salonie muzycznym, aby Joachimowi pozostawić czas na to, na co jeszcze tam w hallu pozwalał sobie ostatniego wieczoru.

Od tej chwili Joachim znalazł się już na stałe w pozycji poziomej; a Hans Castorp leżąc na swym znakomitym leżaku napisał o tym do Luizy Ziemssen; napi-

sał, iż do poprzednich, okolicznościowych wiadomości dodaje, że Joachim musiał położyć się do łóżka i że wprawdzie nic o tym nie mówił, jednak można mu wyczytać z oczu, iż pragnąłby mieć matkę przy sobie, a radca Behrens stanowczo popiera to nie wypowiedziane życzenie. I to także zaznaczył dyskretnie i wyraźnie. Nie było więc nic dziwnego, że pani Ziemssen skorzystała z najszybszych połączeń, aby przyjechać do syna; zjawiała się już w trzy dni po wysłaniu tego humanitarnie, ale alarmująco napisanego listu, a Hans Castorp przywiózł ją ze stacji „Davos-Wies” saniami w śnieżną zadymkę; przedtem, na dworcu, zanim kolejka podjechała, przybrał odpowiedni wyraz twarzy, aby matki nazbyt od razu nie przerażać, ale też aby od pierwszego wejrzenia nie powzięła bezpodstawnej otuchy.

Ileż razy musiały się już tu odbywać podobne powitania, ileż razy spieszo tu ku sobie, a wysiadający z pociągu patrzył badawczo i trwożnie w oczy tego, kto go witał! Pani Ziemssen robiła takie wrażenie, jak gdyby tu z Hamburga przybiegła na piechotę. Z rozpaloną twarzą, przyciągnęła rękę Hansa Castorpa do piersi, i lękliwie się rozglądając, w pośpiechu i jakby w tajemnicy zadawała mu pytania, których on usiłował uniknąć, dziękując jej, że tak szybko przybyła. To doskonale — mówił — jakże się Joachim z tego ucieszy. Niestety, na razie leży, a to ze względu na płynne pokarmy, które oczywiście nie są bez wpływu na stan jego sił. Ale w razie potrzeby — są na to jeszcze różne sposoby, na przykład sztuczne odżywianie. Zresztą, sama zobaczy.

Zobaczyła; i u jej boku zobaczył Hans Castorp. Do tej chwili zmian, jakie się dokonywały w ostatnich tygodniach w Joachimie, nie zauważył tak wyraźnie — młodzi ludzie nie mają oka dla takich rzeczy. Ale teraz, obok przybywającej z zewnątrz matki, patrzył na niego jakby jej oczami, jak gdyby go dawno nie widział; jasno też i wyraźnie zrozumiał, co niewątpliwie rozumiała także i ona, a co na pewno z trojga najlepiej wiedział sam Joachim, mianowicie, że jest on o krok od śmierci. Trzymał rękę pani Ziemssen w swojej ręce, równie wyżółkłej i wynędzniałej jak twarz; w twarzy zaś, na skutek wychudnięcia, uszy, ta drobna troska jego dobrych lat, odstawały silniej niż dawniej i w sposób nieprzyjemnie szpecący; ale pomijając ten defekt — piętno cierpienia i wyraz powagi i surowości, a nawet dumy uczyniły tę twarz bardziej męską i upiększyły ją, choć wargi pod czarnym wąsikiem wydawały się teraz zbyt pełne w przeciwstawieniu do cienistych i zapadłych policzków. W żółtawej skórze czoła wyżłobiły się dwie zmarszczki między oczami, które choć głęboko zapadły w oczodoły, były większe i piękniejsze niż kiedykolwiek i na które Hans Castorp mógł patrzeć z przyjemnością. Bo odkąd Joachim leżał, znikła z nich posępność i niepokój i w ich spokojnej, ciemnej głębi widać było tylko owo wcześniej zauważone światło, a wraz z nim co prawda także

i ową „grozę”. Bez uśmiechu trzymał rękę matki i witał ją szeptem. Nawet kiedy weszła, nie uśmiechnął się ani na chwilę, i ta nieruchomość, niezmiennosc jego wyrazu twarzy mówiła wszystko.

Luiza Ziemssen była mężną kobietą. Nie załamała się i nie wybuchła żalem na widok swego dzielnego syna. Opanowana i skupiona — tak samo jak jej włosy ujęte ledwie widzialną siatką — flegmatyczna i energiczna, jak większość ludzi z jej stron, wzięła w swe ręce opiekę nad Joachimem, którego widok jeszcze spotęgował jej macierzyńską gotowość do walki; wzięła ją z wiarą, że jeśli jest tu coś jeszcze do uratowania, to tylko ona swą siłą i czujnością to uratuje. Na pewno nie dla swej wygody, lecz przez zrozumienie tego, co wypada, zgodziła się po paru dniach, aby do ciężko chorego wezwana została jeszcze pielęgniarka. U łóżka Joachima zjawiała się siostra Berta, w rzeczywistości Alfreda Schildknecht, ze swą czarną walizką; ale zazdrosna energia pani Ziemssen czy w dzień, czy w nocy mało jej pozostawiała do roboty i siostra Berta, ze sznurkiem od binokli za uchem, miała wiele czasu do wystawiania na korytarzu i ciekawego podsłuchiwania.

Ta protestancka siostra miłosierdzia była osobą trzeźwą. Zdolna była powiedzieć, znajdując się w pokoju sama z Hansem Castorpem i z chorym, który bynajmniej nie spał, lecz z otwartymi oczami leżał na wznak:

— Czym mogła myśleć, że kiedyś jeszcze będę przy śmierci jednego z panów?

Hans Castorp, przerażony, pokazał jej z wściekłą miną pięść, ale ledwo pojęła, o co mu chodzi, daleka od myśli, aby należało Joachima oszczędzać, i zbyt rzeczowo myśląca, aby brać pod uwagę, że ktokolwiek, a już szczególnie sam najbliższy zainteresowany, może mieć złudzenia co do charakteru i nieuniknionego zakończenia tej choroby. Albo nalewając trochę wody kolońskiej na chusteczkę i trzymając ją pod nosem Joachima, mówiła: — Niech pan sobie jeszcze trochę dogodzi, panie poruczniku! — I rzeczywiście w tym okresie niewiele miałoby sensu zamylać pocziwemu Joachimowi oczy, chyba po to, aby oddziałać nań wzmacniająco, jak to usiłowała pani Ziemssen, gdy silnym, podnieconym głosem mówiła mu o jego wyzdrowieniu. Gdyż dwie rzeczy były jasne i nie można im było zaprzeczyć: najpierw, że Joachim jest przygotowany na śmierć, a po wtóre, że znajduje się w stanie harmonii i zadowolenia. Dopiero w ostatnim tygodniu, w końcu listopada, gdy wystąpiło osłabienie serca, pełen nadziei i nieświadomy swego stanu, zapomniał się całymi godzinami i mówił wtedy o rychłym powrocie do pułku i udziale w wielkich manewrach, sądząc, że jeszcze trwają. W tym samym właśnie czasie radca Behrens przestał już krewnym robić nadzieję i oświadczył, że koniec jest jedynie kwestią godzin.

To okłamywanie samego siebie, pochodzące z zapomnienia i łatwowierności, a występujące nawet w męskich umysłach, właśnie wtedy, gdy proces zniszczenia zbliża się do śmierci, jest zjawiskiem melancholijnym, ale zgodnym z prawami natury i równie bezosobistym i ponadindywidualnym jak nieprzeparta potrzeba snu u zamierzających, a krążenie wkoło u zabłąkanych. Hans Castorp, któremu troska i żal serdeczny nie przeszkadzały z rzeczowością obserwować tego fenomenu, nawiązał doń w rozmowie z Naphtą i Settembrinim, w której zdawał im sprawę ze stanu kuzyna; ściągnął przy tym na siebie nagane Włocha za swe niezręczne, choć bystre wywody. Twierdził mianowicie, że zwykły pogląd, jakoby filozofia ufności i wiara w dobro były wyrazem zdrowia, a pesymizm i potępienie świata były objawem choroby, że pogląd ten jest wierutnym błędem; inaczej bowiem właśnie końcowy beznadziejny stan nie mógłby wytwarzać tego chorobliwie różowego optymizmu, w porównaniu z którym przygnębienie wcześniejszego okresu choroby wydaje się objawem zdrowia i krzepkości. Na szczęście może im, jako współczującym z Joachimem, jednocześnie powiedzieć, że przy całej tej beznadziejności Radamantys wyraził nadzieję, iż koniec będzie łagodny i mimo młodości chorego przejdzie bez cierpień.

— Sielankowa afera sercowa, moja łaskawa pani! — oświadczył Behrens trzymając rękę Luizy Ziemssen w swych obu wielkich jak łopaty dłoniach i patrząc na nią swymi wilgotnymi, zażawionymi, krwią nabiegłymi, niebieskimi oczami. — Cieszę się, bardzo się cieszę, że to nabiera sercowego przebiegu i że nie trzeba będzie czekać na obrzęk krtani i inne takie nikczemności; w ten sposób uniknie się różnych szykan. Serce szybko słabnie, dobrze to dla niego i dobrze dla nas; co obowiązek każe i co do nas należy, to możemy jeszcze zrobić szprycką kamfory; bez szczególnych zresztą widoków, aby wiele przez to osiągnąć. Będzie w końcu dużo spać i przyjemnie śnić, sądzę, że mogę to obiecać, a gdyby na sam koniec spać nie mógł, to w każdym razie przeniesie się niepostrzeżenie do wieczności i wszystko będzie mu wtedy dość obojętne, może mi pani zaufać. W gruncie rzeczy tak jest zresztą zawsze. Znam się na śmierci, jestem od dawna jej urzędnikiem, przecenia się ją, niech mi pani wierzy! Mogę pani powiedzieć, że to nie jest nic takiego. A tej męki, która czasami p o p r z e d z a śmierć, nie można kłaść na jej rachunek, jest ona jeszcze objawem żywotności i może prowadzić do życia i wyzdrowienia. Ale o śmierci, gdyby ktoś wrócił z tamtego świata, to niewiele mógłby o niej powiedzieć, bo niczego się w niej nie doznaje. Wychodzimy z ciemności i idziemy w ciemność, pomiędzy tym są przeżycia, ale początku i końca, narodzin i śmierci nie przeżywamy, nie mają charakteru subiektywnego, jako wydarzenia należą całkowicie do obiektywnego świata, tak to już jest.



W taki to sposób radca udzielał pociechy. Wierzymy, że rozsądnej pani Ziemssen poniekąd przyniósł ulgę, a jego zapewnienia sprawdziły się w znacznym stopniu. W ostatnich dniach osłabiony Joachim spał godzinami, a przypuszczamy, że śnił o tym, co mu było miłe, a więc o nizinach i o wojsku. A gdy się budził, gdy go pytano, jak się czuje, opowiadał, co prawda niewyraźnie, że czuje się dobrze, że jest szczęśliwy — choć już prawie nie miał tętna, a w końcu nie czuł w ogóle ukłucia przy zastrzyku; ciało jego utraciło wrażliwość, można byłoby je palić czy szarpać, już to pocziwemu Joachimowi było obojętne.

Jednakże od przyjazdu matki dokonały się w nim jeszcze duże przemiany. Ponieważ golenie stało się dlań uciążliwe i zaniechał go od tygodnia czy dziesięciu dni, a zarost miał bardzo silny, więc czarna broda otoczyła jego woskową twarz o łagodnych oczach; była to broda jakby wojenna, taka jaką zapuszczają żołnierze na froncie; było mu z nią zresztą, jak wszyscy twierdzili, do twarzy, dodawała mu męskości. Przez tę brodę, ale zapewne nie tylko przez nią, Joachim z młodzieńca stał się nagle dojrzałym mężczyzną. Żył szybko, jak rozkręcająca się sprężyna zegara, w galopie przebywał okresy ludzkiego życia, których czas nie dał mu doczekać, a w ostatnich dwudziestu czterech godzinach stał się starcem. Osłabienie serca pociągnęło za sobą obrzmienie twarzy, na której pojawił się wyraz wysiłku; więc też Hans Castorp odniósł wrażenie, że umieranie jest jednak wielkim mozolem, aczkolwiek wydawało się, że dzięki częściowej utracie władz i ośpieniu Joachim już zeń nie zdawał sobie sprawy. Nabrzmienie wystąpiło najsilniej koło ust, a współdziałało z nim też wyschnięcie czy osłabienie jamy ustnej, tak że Joachim mówiąc mamrotał jak człowiek bardzo stary, i ta trudność budziła w nim prawdziwy gniew: bełkocząc mówił, że byle się jej pozbył, to wszystko będzie dobrze, ale ta dolegliwość jest przeklęta.

Co miał na myśli mówiąc, że „wszystko będzie dobrze”, niezupełnie było jasne — w stanie, w jakim, się znajdował, występowała jaskrawo skłonność do dwuznaczności, niejednokrotnie mówił rzeczy o podwójnym znaczeniu, robiło wrażenie, że coś wie i zarazem, że nie wie, a raz — wstrząśnięty widocznie poczuciem zagłady — potrząsając głową i tracąc panowanie nad sobą, oświadczył, że tak źle jeszcze nigdy z nim nie było.

Potem usposobienie jego stało się kłótlive, ostre i nieuprzejme, nawet niegrzeczne; nie pozwalał już na żadne fikcje i upiększenia, nie reagował na nie, obco patrzył przed siebie. Zwłaszcza odkąd młody pastor, wezwany przez Luizę Ziemssen, który ku żalowi Hansa Castorpa nie miał nakrochmalonej kryzy, lecz tylko

befkę, odbył z nim modlitwy, postawa Joachima stała się urzędowa i służbowa i życzenia wypowiadał już tylko w formie krótkich rozkazów.

O szóstej po południu rozpoczął szczególną czynność: prawą ręką, na której przegubie nosił złoty łańcuszek, parokrotnie sięgnął nad kołdrą w okolicę bioder, cośkolwiek rękę uniósł, a potem cofnął ją znów ku sobie takim, ruchem, jak gdyby coś na kołdrze skrobał czy grabił, jakby coś ściągał czy zbierał.

O siódmej umarł. Alfreda Schildknecht znajdowała się na korytarzu, a tylko matka i kuzyn byli obecni. Zsunąwszy się z poduszek, rozkazał krótko, aby go podniesiono wyżej. Podczas gdy pani Ziemssen, wykonując zlecenie, objęła go ramieniem, oświadczył z pewnym pośpiechem, że musi niezwłocznie ułożyć i wnieść podanie o przedłużenie urlopu, i podczas gdy to mówił, nastąpił szybki zgon, który w świetle lampki z czerwonym abażurem Hans Castorp śledził z nabożeństwem. Wzrok mu się załamał, ustąpiło nieświadome napięcie rysów, znikło od razu nabrzmienie ust i towarzyszący mu wyraz wysiłku, zamarłe oblicze naszego Joachima nabrało piękna wczesnej męskiej młodości — i tak się to dokonało.

Ponieważ Luiza Ziemssen szlochając odwróciła się, Hans Castorp końcem czwartego palca zamknął powieki leżącemu już bez ruchu i oddechu i ostrożnie dłoń jego ułożył na kołdrze. Potem on także stał i płakał, po policzkach jego płynęły łzy, które tak piekły owego oficera angielskiej marynarki, ta przejrzysta ciecz, tak obficie i gorzko płynąca wszędzie i o każdej godzinie w świecie, że wedle niej nazwano padół ziemski, ta alkaliczno-słona wydzielina gruczołów, którą wstrząs nerwowy przy dojmującym bólu fizycznym czy duchowym wyciska z naszego ciała. Wiedział, że jest w niej nieco mucyny i białka.

Przyszedł radca, powiadomiony przez siostrę Bertę. Jeszcze pół godziny temu był tu i robił zastrzyk kamfory; nie trafił tylko na chwilę szybkiego zgonu. — No, on ma to już za sobą — rzekł po prostu, podnosząc się i odejmując słuchawkę od zastygłej piersi Joachima. I z pochyloną głową uściśnął ręce obojga krewnych. Potem stał jeszcze chwilę z nimi przy łóżku, patrząc na nieruchome, wojenną brodą zarośnięte oblicze Joachima. — Szalony, szalony chłopak — rzekł przez ramię, wskazując głową na spoczywającego. — Chciał to przewyciężyć, pani wie — aby być na służbie, zadawał sobie przymus i gwałt; robił to gorączkowo — uda się lub nie uda. Pole chwały, pani rozumie — uciekł nam na pole chwały, ten dezenter. Dla chwały... Ale chwała była dlań śmiercią, a śmierć — możecie państwo to odwrócić, jeśli chcecie — w każdym razie teraz powołał go Bóg do swojej chwały. Szalony smarkacz, szalony chłopak. — I odszedł, długi, zgarbiony, z wydatnym karkiem.

Przewiezienie Joachima do ojczyzny było rzeczą postanowioną, a „Berghof”

zajął się wszystkim, co do tego było potrzebne i co wydawało się odpowiednie i przyzwoite. Matka i kuzyn nie potrzebowali ruszyć palcem. Następnego dnia, leżąc w jedwabnej koszuli, z kwiatami na kołdrze, w mdłej jasności śniegu, Joachim był jeszcze piękniejszy niż bezpośrednio po zgonie. Z twarzy jego znikł wszelki ślad wysiłku: zastygła w najczystszy, milczący kształt. Krótki kosmyk ciemnych włosów opadł na nieruchome żółtawe czoło, które zdawało się zrobione ze szlachetnego, ale nietrwałego materiału, jakby pośredniego między woskiem a marmurem; a wśród falującej brody rysowały się usta pełne i dumne. Starożytny hełm byłby godną osłoną tej głowy, jak sądzili niektórzy z tych, co przyszli pożegnać się ze zmarłym.

Pani Stöhr płakała w uniesieniu, patrząc na dawnego Joachima. — Bohater, bohater — wykrzykiwała wielokrotnie i domagała się, aby nad jego grobem wykonana została „Erotica” Beethovena\*.

— Niechże pani milczy — syknął na nią z boku Settembrini. Był przy umarłym jednocześnie z nią; był do głębi wzruszony. Obu rękami wskazywał obecnym Joachima, pobudzając ich, aby wyrażali swój żal. — Un giovanotto tanto simpatico, tanto stimabile!\* — powtarzał raz po raz.

Naphta, stojąc w skupionej postawie i nie patrząc nań, nie powstrzymał się od powiedzenia mu cicho a zgryźliwie:

— Cieszę się widząc, że ma pan zrozumienie nie tylko dla wolności i postępu, ale także i dla poważnych rzeczy.

Settembrini nie zareagował na obelgę. Może odczuł pewną, przejściowymi okolicznościami uwarunkowaną przewagę Naphty nad sobą; może tę właśnie chwilową przewagę przeciwnika chciał zrównoważyć żywością swego żalu, a teraz ta sama przewaga skłoniła go do milczenia — tak samo jak i później, gdy Leon Naphta, wyzyskując nietrwałe korzyści swej pozycji, ostro i sentencjonalnie oświadczył:

— Błąd literatów polega na przekonaniu, że jedynie dzięki duchowi rzeczy są jak należy. Prawdą jest raczej przeciwieństwo. Jedynie gdzie n i e m a ducha, tam jest jak należy.

„No — rozmyślał Hans Castorp — oto pityjska sentencja! Jeśli przy jej wypowiedzeniu zacisnąć zęby, to można na chwilę ludzi sterroryzować...”

---

\* Erotica (Miłosna) (wł.) — przekręcona nazwa III Symfonii Beethovena, pt. Eroica (Bohaterska).

\* Un giovanotto tanto simpatico, tanto stimabile! (wł.) — Młodzieniec tak sympatyczny, tak godzien szacunku!

Po południu przyniesiono metalową trumnę. Ułożenie Joachima w tym okazałym pomieszczeniu z ozdobnymi uchwytnymi i lwimi głowami — chciał całkowicie wziąć na siebie człowiek, który z trumną przyszedł, spokrewniony z zakładem pogrzebowym, czarno ubrany w rodzaj krótkiego tużurka, z obrączką na plebejskiej dłoni, jakby wrosniętą w ciało palca; wydawało się, że z jego tużurka wydziela się zapach trupi, ale było to uprzedzenie. W typowy dla fachowców sposób wyobrażał sobie, że cała jego robota powinna się odbyć niejako za kulisami, a tylko jej wyniki służące pietyzmowi i pompie powinny być ukazane oczom pozostałych; budziło to nieufność Hansa Castorpa i zupełnie nie było po jego myśli. Przemawiał wprawdzie za tym, by pani Ziemssen się oddaliła, sam natomiast nie uległ komplementom i nie dał się wyprosić, pozostał i przyłożył rękę do przenoszenia ciała: ujął je pod ramiona i pomógł przenieść z łóżka do trumny, w której na płótnie i poduszkach z frędzlami Joachim został ułożony między świecznikami dostarczonymi przez „Berghof”.

Jednakże następnego dnia wystąpiło zjawisko, na skutek którego Hans Castorp oderwał się wewnętrznie od formy, rozstał z nią i istotnie ustąpił pola profesjonalistom, okropnemu strażnikowi pietyzmu. Mianowicie na porosłej wojenną brodą twarzy Joachima, która miała dotąd wyraz tak dostojny i poważny, teraz oto pojawił się uśmiech; Hans Castorp nie ukrywał przed sobą, że uśmiech ten miał w sobie coś zwyrodniałego, i odczuł w sercu pragnienie, aby pospiesznie z tym skończyć. Dzięki Bogu, że ma nastąpić wyniesienie zmarłego, że trumna zostanie zamknięta i zašrubowana. Porzuciwszy wrodzoną powściągliwość obyczajów, delikatnie dotknął ustami na pożegnanie zimnego jak kamień czoła swego dawnego Joachima i mimo całą nieufność do człowieka, reprezentującego odwrotną stronę sprawy, wyszedł posłusznie razem z Luizą Ziemssen.

Opuszczamy zasłonę po raz przedostatni. Ale podczas gdy głośno zapada, my wraz z Hansem Castorpem, pozostałym w górach, wyteżmy wzrok i nasłuchujmy, jak daleko na nizinach, w wilgotnym ogrodzie pełnym krzyżów, zabłysła i opuściła się szpada, jak zadrgały słowa komendy, rozległy się trzy salwy karabinów, trzykrotnie oddane romantyczne honory żołnierskie, nad przerośniętymi korzeniami żołnierskim grobem Joachima Ziemssena.

## Rozdział siódmy

### Przechadzka po wybrzeżu

Czy można opowiedzieć czas, czysty czas jako taki, czas sam przez się i w sobie? Zaiste nie, byłoby to usiłowanie niedorzeczne. Opowiadanie brzmiące: „Czas upływał, przebiegał, toczył się” i tak dalej — nie, tego przecie nikt przy zdrowych zmysłach nie mógłby nazwać opowiadaniem. Byłoby to to samo, co chcieć szaleńczo przez godzinę utrzymać na klawiszach jeden ton lub akord i — nazywać tę czynność muzyką. Opowiadanie bowiem podobne jest w tym do muzyki, że czas w y p e ł n i a , że go „całkowicie zapełnia”, że go „dzieli” i sprawia, iż dzięki niemu czas „ma jakąś treść” i „coś się w nim dzieje” — aby z pełną smutku czcią, jaką mamy dla powiedzeń zmarłych, zacytować słowa powiedziane niegdyś przez śp. Joachima. Słowa dawno przebrzmiały — może czytelnik nie zdaje sobie nawet sprawy z tego, jak dawno przebrzmiały. Czas jest tak samo składnikiem opowieści, jak składnikiem życia — jest równie nierozzerwalnie z nią związany, jak z ciałami w przestrzeni. Czas jest również składnikiem muzyki, który mierzy i rozczłonkuje, który czyni z niej rozrywkę a zarazem nadaje jej wartość. Tym różni się muzyka od dzieł sztuk plastycznych, które od razu ujawniają się w całości, a tylko materialnie związane są z czasem; natomiast, jak się rzekło, w tym podobna jest do opowieści, bo ta również jest tylko następstwem i nie może istnieć inaczej niż w ciągłym przebiegu, a gdyby nawet chciała w każdej chwili istnieć w całości, to i tak do tego potrzebowałaby czasu.

To jest jasne, ale niemniej jest jasne, że zachodzą tu także różnice. Muzyka ma tylko jeden składnik czasowy: wycinek ludzkiego, ziemskiego czasu, w który się wlewa muzyka, aby go w niewypowiedziany sposób uszlachetnić i podnieść na wyżyny. Opowieść ma natomiast czas dwojaki: po pierwsze, czas własny, tak realny jak czas muzyki, który warunkuje jej przebieg i formę; po wtóre zaś, czas tego, co stanowi treść opowieści; ten drugi czas, czas wyobrażony, podlega zmianom perspektywicznym, i to tak różnorodnym, że może się zarówno pokrywać z muzycznym czasem opowieści, jak też odbiegać odeń o całe niebo. Utwór muzyczny pod

tytułem „Walc pięciominutowy” trwa pięć minut — na tym, i tylko na tym polega jego stosunek do czasu. Opowieść, której treść trwa pięć minut, trwać może faktycznie tysiąc razy dłużej, jeśli z niezwykłą skrupulatnością zapełni te pięć minut — a przy tym czas może przy jej czytaniu mknąć szybko, choć w porównaniu z czasem wyobrażonym włóklby się w nieskończoność. A z drugiej strony jest również możliwe, że czas treściowy opowieści drogą skrótów nieskończenie przekroczy jej czas formalny. Mówimy „drogą skrótów”, aby wskazać na złudzeniowy czas, dobitniej się wyrażając, chorobliwy składnik przeżycia, który w tym wypadku oczywiście występuje. Występuje mianowicie wtedy, gdy opowieść operuje tajemnym czarem i czasową nadperspektywą, przypominającą pewne anormalne stany i zjawiska z dziedziny rzeczywistego doświadczenia, które wskazują wyraźnie na czynniki ponadmysłowe. Istnieją notatki palaczy opium, świadczące o tym, że człowiek w narkotycznym oszołomieniu przeżywał w ciągu krótkiej chwili oderwania od świata sny, których zasięg czasowy wynosił lat dziesięć, trzydzieści, sześćdziesiąt, a nawet przekraczał granicę dostępną ludzkiemu doświadczeniu. Były to więc sny, których treść wyobrażona trwała nieporównanie dłużej niż one same; sny, w których zachodzi nieprawdopodobny skrót czasowych przeżyć, a wyobrażenia napływają z taką szybkością, jak gdyby (użyjmy słów palacza haszyszu) z mózgu człowieka oszołomionego narkotykiem „wyjęto coś jakby sprężynę zepsutego zegarka”.

Opowieść może podobnie postępować z czasem, podobnie go traktować jak owe sny ludzi oddanych nałogom. Skoro zaś może go „traktować”, to jasne, że czas, stanowiący składnik opowiadania, stać się może również jego *p r z e d m i o t e m*; jeśli więc nie można „opowiedzieć czasu”, to przecież „opowiadanie o czasie” nie jest zamierzeniem tak absurdalnym, jak się to nam z początku mogło zdawać. Wynika stąd swoista, rozmarzająca dwuznaczność, zawarta w pojęciu „powieść o czasie”. Pytanie: czy można opowiedzieć czas, postawiliśmy naprawdę po to tylko, by wyznać, że w niniejszym opowiadaniu takie rzeczywiście mamy zamierzenie. A co do dalszego zagadnienia, mianowicie, czy wszyscy słuchający naszej opowieści zdają sobie jeszcze całkiem jasno sprawę z tego, ile to czasu minęło od chwili, jak nieżyjący obecnie, zacny Joachim wplótł w rozmowę owe uwagi o muzyce i czasie (świadczące zresztą o jakimś alchemistycznym spotęgowaniu jego istoty, gdyż właściwie nie odpowiadały jego prostolinijnej naturze), to nie rozgniewałyby nas zbyt odpowiedź, że czytelnik w chwili obecnej nie zdaje sobie już dokładnie z tego sprawy, nie rozgniewałyby, a nawet może nappełniła zadowoleniem z tej prostej przyczyny, że chodzi nam naturalnie o to, aby wzbudzić powszechne zainteresowanie przeżyciami naszego bohatera, a bohater ten, Hans Castorp, nie miał co do tego zupełnej pewności, i to już od dawna. Należy to do

powieści o nim, „powieści o czasie” — w tym, to znów w innym znaczeniu tego wyrazu.

Ile czasu właściwie Joachim przebywał z nim tu w górze do swego dzikiego odjazdu, a ile razem wzięwszy; kiedy według kalendarza nastąpił pierwszy ten jego buntowniczy odjazd? Ile czasu był nieobecny, kiedy wrócił i jak dawno on sam, Hans Castorp, już tu przebywał do chwili, kiedy Joachim wrócił, a potem znalazł się poza czasem? A pomijając Joachima, jak długo pani Chauchat była nieobecna, od kiedy, od którego roku była z powrotem (bo była już z powrotem), ile ziemskiego czasu Hans Castorp spędził był w „Berghofie”, zanim wróciła? Nikt, na szczęście, nie stawiał mu tych pytań i on sam wzdrygał się przed ich stawianiem; gdyby wszakże ktoś się na to zdobył, Hans Castorp stuknąłby się palcami w czoło i nie wiedziałby na pewno, co na to odpowiedzieć: byłoby to zjawiskiem równie niepokojącym, jak to, że w pierwszym dniu pobytu tutaj nie mógł chwilowo podać Settembriniemu swego wieku; byłoby nawet pogorszeniem owego stanu, teraz bowiem już stale i zupełnie na serio nie wiedział, ile ma lat. Wszystko to brzmi nieco dziwacznie, jednakże nie ma w tym nic niezwykłego i nieprawdopodobnego i w pewnych okolicznościach może się to przydarzyć każdemu z nas; gdy okoliczności te zajdą, nic nas nie uchroni przed zapadnięciem w najgłębszą niewiedzę co do upływu czasu, a więc i co do własnego naszego wieku. Zjawisko to jest możliwe, bo organizm nasz nie posiada zmysłu czasu, a przeto jesteśmy niezdolni sami z siebie, nie mając zewnętrznego oparcia, określić, choćby w przybliżeniu, przebiegu czasu. Górnicy, zasypani w kopalni, nie mogący obserwować zmian dnia i nocy, po szczęśliwym odratowaniu oceniali czas spędzony w ciemnościach, pomiędzy nadzieją a rozpaczą, na trzy dni. W rzeczywistości byli zasypani przez dni dziesięć. Można by przypuszczać, że w ich strasliwym położeniu czas powinien im być się niesłychanie dłużyć; tymczasem właśnie się skurczył do mniej niż jednej trzeciej swego przedmiotowego trwania. Wynikałoby stąd, że w warunkach nie pozwalających na wyraźne określenie czasu bezradność ludzka skłonna jest go przeżywać raczej w wielkim skrócie niżli trwanie jego przeceniać.

Nikt oczywiście nie przeczy, że Castorp przy dobrych chęciach mógł być bez szczególnego trudu wyzbyć się niepewności i obliczyć czas — podobnie jak mógłby to z łatwością uczynić czytelnik, gdyby to, co czyta, przez swą nieokreśloność i zawikłanie nie godziło się z jego zdrowym rozumem. Hans Castorp również może nie czuł się z tym zbyt dobrze, nie zdobywał się jednak na wysiłek potrzebny do rozproszenia nieokreśloności i zawikłań i do wyjaśnienia sobie, ile właściwie przeżył tu lat; lęk, który go od tego powstrzymywał, miał swe źródło w jego sumieniu, choć niezwracanie uwagi na czas jest przecież najgorszą niesumiennością.

Nie wiemy, czy uznać za okoliczność łagodzącą, że warunki jego życia szły jak najbardziej na rękę jego brakowi dobrej woli, żeby już nie mówić wręcz o złej woli. Pani Chauchat wróciła w adwencie (Hans Castorp inaczej wyobrażał sobie jej powrót — ale o tym będzie mowa we właściwym miejscu), gdy bliski już był najkrótszy dzień, czyli, mówiąc astronomicznie, początek zimy. W rzeczywistości natomiast, niezależnie od teoretycznej kolejności, o ile chodzi o śnieg i mróz, zima panowała już znowu Bóg wie jak długo, właściwie trwała ciągle z małą przerwą upalnych dni letnich, kiedy to błękit nieba przybierał barwy tak przesadnie głębokie, że aż zbliżone do czerni. Podobne dni letnie zdarzały się zresztą także w ciągu zimy, jeśli pominiemy śnieg, który, co prawda, nieraz padał i podczas lata. Jakże często rozmawiał Hans Castorp z nieboszczykiem Joachimem o wielkim pomieszaniu pór roku, które obala ich kolejność, uniemożliwia rozczłonkowanie roku i prowadzi do zatarcia różnicy między tym, co mknie szybko, a tym, co się wlecze w nieskończoność, tak że właściwie o czasie nie może w ogóle być mowy, jak się dawno kiedyś z obrzydzeniem wyraził Joachim. Splątaniu uległy tu przede wszystkim sytuacje uczuciowe i świadomość tego, co jest „jeszcze”, a co „znów z powrotem”, tworzyły się stany duchowe diabelnie zawile, wywołujące największy zamęt, i to taki właśnie, do których Hans Castorp poczuł niemoralną skłonność zaraz w pierwszym dniu swego pobytu tu w górze; stało się to mianowicie podczas owych pięciu nadmiernie obfitych posiłków w jadalni malowanej w wesołe szablony, gdzie go opadło pierwsze tego rodzaju zamroczenie, stosunkowo jeszcze niezbyt szkockie. Od tego czasu złudzenia zmysłowe i umysłowe, jakim podlegał, przybrały znacznie na sile. Choćby nawet podmiotowe przeżycie czasu było osłabione lub zatracone, to jednak czas zachowuje swą rzeczową realność, jeśli jest związany z jakąś czynnością. Czy hermetycznie zamknięta konserwa stoi na półce poza czasem, jest zagadnieniem jedynie dla zawodowych myślicieli, toteż jeśli Hans Castorp się nim raz zajął, to tylko w przystępie młodzieńczej zarozumiałości. Wiemy przecież, że czas czyni swoje, choćbyśmy spali jak zabici. Pewien lekarz podaje fakt, że dwunastoletnia dziewczyna zapadła pewnego dnia w sen i obudziła się po upływie trzynastu lat — jednakże już nie jako dwunastoletnia dziewczyna, tylko jako dojrzała kobieta. Jakże mogłoby być inaczej! Trup jest trupem i pożegnał doczesność; ma wiele czasu, to znaczy sam osobiście nie ma go zupełnie. Bo mimo wszystko rosną mu jeszcze paznokcie i włosy, a także — ale nie powtarzajmy swawolnych uwag wypowiedzianych niegdyś na ten temat przez Joachima, które zgorszyły Hansa Castorpa myślącego jeszcze wówczas jak ludzie na nizinach. I jemu przecież rosły włosy i paznokcie, rosły dość szybko, siadywał tak często na krześle u fryzjera przy głównej ulicy Wsi, okryty białym płaszczem, i strzyżono mu włosy, bo za



usami były już przydługie — siadywał tam właściwie bez ustanku, a raczej: kiedy siedział i rozprawiał z ugrzecznonym i zręcznym fryzjerem, który dokonywał swego dzieła, podobnie jak swojego poprzednio dokonywał czas; lub kiedy stojąc przy drzwiach swego balkonu, z nożyczkami i pilniczką, wyjętymi z pięknego aksamitnego neseseru, przycinał sobie paznokcie — w takich momentach nawiedzało go owo zamroczenie. Był w nim jakby lęk, a zarazem pełna zaciekawienia rozkosz, był zamęt\*, a raczej (o, dwuznaczności wyrazów!) zawrót głowy i złuda, wirująca niemożność dalszego rozróżniania, co jest „jeszcze”, a co „znowu”, z których pomieszania i zatarcia się powstaje bezczasowe „zawsze” i „na wieki”.

Zapewnialiśmy nieraz, że nie chcemy go uczynić ani lepszym, ani gorszym, niż był w rzeczywistości. Nie możemy więc pominąć milczeniem, że swe godne potępienia upodobanie do ulegania mistycznym pokusom, którym poddawał się świadomie i umyślnie, kompensował przez usiłowania idące we wręcz odwrotnym kierunku. Siadywał nieraz z zegarkiem w ręku — ze swoim płaskim, gładkim, złotym zegarkiem kieszonkowym, otwierał kopertę z wyrytym na niej monogramem i patrzył na okrągłą, porcelanową płaszczyznę, otoczoną dwoma rzędami czarnych i czerwonych cyfr arabskich, oraz na złote, misternie rzeźbione wskazówki i cienki sekundnik, skrzętnie krążący po swym odrębnym kółku. Hans Castorp zatrzymywał na nim wzrok, usiłował wstrzymać lub przeciągnąć bieg kilku minut, złapać uciekający czas. Wskazówka dreptała dalej, nie zważając na cyfry, do których się zbliżała, których dosięgała, które mijała, zostawiała daleko za sobą, których, zbliżywszy się, ponownie dosięgała. Nie uznawała żadnych celów, odcinków, znaków. Powinna by się zatrzymać przez chwilę na sześćdziesiątce albo oznajmić przynajmniej w inny jakiś sposób, że tu się coś skończyło. Lecz nie — mijała ją szybko, tak samo jak każdą inną cyframi nie oznaczoną kreseczkę. Toteż jasne było, że z a s t a ł a całe to znakowanie i podział — a sama tylko idzie i idzie... Wobec tego Hans Castorp schował dzieło sztuki zegarmistrzowskiej do kieszeni kamizelki i pozostawił czas jego własnemu losowi.

Jakże można prawości ludzi z nizin wytłumaczyć zmiany, jakie zaszły w młodym poszukiwaczu przygód? Rozrastało się w nim to przyprawiające o zawrót głowy utożsamianie różnych rzeczy. Teraźniejszość dnia dzisiejszego mieszała się z bliźniaczo podobną teraźniejszością dnia wczorajszego i przedwczorajszego, co więcej, traciła własne oblicze w porównaniu z teraźniejszością sprzed miesiąca i sprzed roku, zlewając się wraz z nimi w jedno „zawsze”. Ponieważ jednak w zakresie świadomych moralnych odczuwań „jeszcze” i „znowu”, i „przyszłość” zach-

---

\* Zamęt — niem. Schwindel; wyraz ten ma w języku niemieckim oba znaczenia, o których w dalszym ciągu w tekście mowa (zawrót głowy i złuda).

wały swą odrębność, przeto wkradła się pokusa nadawania szerszego i rozleglejszego znaczenia określeniom takim, jak „wczoraj” lub „jutro”, za pomocą których broni się „dziś” przed zalewem przeszłości lub przyszłości. Nietrudno wyobrazić sobie istoty (może musiałyby one mieszkać na mniejszych planetach) mające czas miniatury, tak że zwawy bieg naszego sekundnika miałby w ich „krótkim” życiu znaczenie poważnego chodu wskazówki odmierzającej nam godziny. Ale można sobie również wyobrazić istoty, których czas stąpa krokami olbrzyma, tak że pojęcie oznaczające odstępy między tym, co zdarzyło się „niedawno” lub zdarzy za „chwile”, „wczoraj” albo „jutro”, w ich przeżyciach stają się ogromne. Jest to, zdaniem naszym, nie tylko możliwe, ale ze stanowiska tolerancyjnego relatywizmu i w myśl powiedzenia „Co kraj to obyczaj” winno być uważane za uprawnione, zdrowe i godne uznania. Cóż jednak myśleć o człowieku, który by pewnego pięknego dnia wpadł w bluźnierczy nawyk czy choćby chęć mówienia „wczoraj” zamiast „przed rokiem” lub „jutro” zamiast „za rok” — szczególnie jeśli będzie w takim wieku, że każdy dzień, tydzień, miesiąc, półrocze może w życiu jego odegrać niezmiernie ważną rolę, przynieść z sobą postęp i wiele zmian? Można by w tym widzieć jedynie obłąkanie i pomieszanie pojęć oraz przyczynę poważnej o niego troski.

Życie stwarza czasem takie sytuacje, takie krajobrazy (jeśli wolno nazwać „krajobrazem” to, co mamy w tej chwili na myśli), w których takie pomieszanie i zatarcie czasowo-przestrzennych odległości, doprowadzające do zawrotnej jednolitości wszystkiego, jest faktem naturalnym, usprawiedliwionym; i wtedy nie należy potępiać kogoś, kto w godzinach wolnych od zajęć zanurza się w ich czarze. Mamy na myśli przechadzkę nad brzegiem morza, przeżycie, które Hans Castorp wspominał zawsze z największą sympatią. Wiemy już zresztą, że żyjąc wśród śniegu, wspominał chętnie i wdzięcznie ojczyste wydmy nadbrzeżne. Wierzymy, że nie zawiedzie nas też doświadczenie i pamięć czytelnika, gdy mówić będziemy o tym przedziwnym nastroju zagubienia. Idziesz i idziesz... z przechadzki takiej nigdy nie wrócisz na czas do domu, boś zgubił czas, a czas zgubił ciebie. O morze, jestem z dala od ciebie, gdy to opowiadam, ale zwracam ku tobie swe myśli, swą miłość — bądź obecne w mej opowieści, bądź nim głośno, na me wezwanie, jak nim w gruncie rzeczy od początku byłeś, jesteś i będziesz... Szumiąca pustko, omotana bladą, jasną szarością, nasycona ostrą wilgocią, pozostawiającą smak soli na wargach! Idę, idę po gruncie lekko sprężystym, pokrytym trawą morską i małymi muszlami, a wiatr gra mi w uszach, wielki, szeroki a łagodny wiatr; wolny, bez przeszkód i podstępów przewiewa przestrzeń i wywołuje w mej głowie lekkie oszołomienie. Idę, idę i widzę, jak od zbliżającego się i znów oddalającego morza nadciągają języki pian,

by lizać me stopy. Wraca kipiela morska, fala za falą uderza i jedwabie toczy się po płaskim wybrzeżu — to w tym, to w innym znów miejscu, to hen w dali, na ławicach, a szum mętny, powszechny i łagodny czyni uszy nieczułymi na wszelki głos świata. Pełnia dosytu, świadome zapomnienie... Zamknijmy oczy, pogrążeni w wieczności! Nie — spojrzuj! Tam w spienionej szarozielonej oddali, nikszej na horyzoncie w olbrzymich skrótach, zjawił się żagiel. Tam? Gdzie jest to t a m ? Jak daleko? Jak blisko? Nie wiesz tego. Ocena odległości wymyka się twej świadomości, przyprawiając cię o zawrót głowy. Aby ocenić, jak daleko ten statek znajduje się od brzegu, musiałbyś wiedzieć, jaką ma wielkość jako ciało fizyczne. Czy jest mały, a blisko, czy też wielki, a daleki. Wzrok twój załamuje się w niewiedzy, bo nie masz żadnego zmysłu, żadnego organu, który by cię poinformował o przestrzeni... Idę, idę — jak długo już? Jak daleko? Nie wiadomo. Nic nie zmienia się, choć idę naprzód, dal jest podobna do pobliza, to, co przeszło — do tego, co obecne, i do tego, co nastąpi; w niezmierzonej monotonii przestrzeni tonie czas, w jednostajności ruch przestaje być ruchem, a gdzie ruch przestał być ruchem, tam przestał też istnieć czas.

Uczeni średniowieczni twierdzili, że czas jest złudzeniem, że jego przebieg w formach przyczyny i skutku jest tylko wynikiem budowy naszych zmysłów, prawdziwy zaś byt rzeczy jest nieruchomą terażniejszością. Może ów uczone, w którego mózgu zakiełkowała po raz pierwszy ta myśl, przechadzał się nad brzegiem morza — z gorzkim posmakiem wieczności na wargach? Powtarzamy jednakże, że mówimy tu o myślach opadających człowieka w godzinach wolnych, o rojeniach beczynnego życia, którymi istota moralna syci się szybko, jak człowiek zdrowy — wypoczynkiem na ciepłym piasku. Krytyka ludzkich środków i form poznawczych, stawianie pod znakiem zapytania ich czystego waloru byłoby absurdalną i nieuczciwą pretensją, gdyby ich dokonywano w jakiegokolwiek innej myśli aniżeli w tej, aby rozumowi wskazać granice, których nie można przekroczyć bez zaniedbania swych właściwych zadań. Możemy człowiekowi tej miary co pan Settembrini być tylko wdzięczni, że ze względów wychowawczych stanowczo napiętnował metafizykę jako „samo zło” wobec młodego człowieka, którego los nas zajmuje i którego tenże Settembrini przy sposobności nazwał bardzo trafnie „wiecznym dla życia strapieniem”. A pamięć miłego nam zmarłego uczcimy najlepiej, stwierdzając, że myślą, sensem i celem krytycyzmu może i powinno być tylko jedno: obowiązkowość, imperatyw życiowy. Tak jest; gdy normująca życie mądrość krytycznie wytycza granice rozumu, to jednocześnie wznosi na tych granicach sztandar życia i obwieszcza, że żołnierskim obowiązkiem człowieka jest służyć pod tym znakiem. Mamyż więc dla młodego Hansa Castorpa, dla jego występnej gospo-

darki czasem, dla jego niewłaściwego przekomarzania się z wiecznością, uznać za okoliczność łagodzącą fakt, że to, co pewien melancholijny gaduła nazwał „nadmierną gorliwością” jego kuzyna-wojaka, miało śmiertelny wynik?

## **Mynheer Peeperkorn**

Gościem sanatorium „Berghof”, tak słusznie używającego przymiotnika „międzynarodowe”, był przez pewien czas Mynheer Peeperkorn, Holender w starszym wieku. Samo z lekka kolorowe pochodzenie Peeperkorna — był mianowicie Holendrem z kolonii, pochodził z Jawy, był tam plantatorem kawy — nie skłoniłoby nas jeszcze do wprowadzenia do powieści tuż przed jej końcem pana Pietera (takie było jego imię i używał go mówiąc o sobie, na przykład: „Teraz Pieter Peeperkorn pokrzepia się wódeczką”). Mój Boże, do iluż barw i odcieni należało towarzystwo znanego sanatorium, znajdującego się pod opieką lekarską wielojęzycznego radcy dworu, doktora Behrensa, swoiście wyrażającego się poliglotty! Przybyła tam niedawno nawet jakaś egipska księżniczka, ta sama, która niegdyś podarowała doktorowi ów uwagi godny serwis do kawy i papierosy „Sfinks”. Osoba ta, o żółtych od nikotyny i pokrytych pierścieniami palcach, o włosach krótko przyciętych, budziła ogólną sensację. Z wyjątkiem obiadów i kolacyj, na które schodziła w paryskich toaletach, ukazywała się zazwyczaj w męskiej marynarce, z nienagannie zaprasowanymi spodniami; zresztą mężczyźni nie interesowali jej wcale, darzyła natomiast leniwym i gwałtownym zarazem uczuciem pewną Żydówkę z Rumunii, która nazywała się po prostu pani Landauer. A tymczasem pan prokurator Paravant zaniedbywał dla Jej Wysokości ulubioną matematykę i zakochany był w niej aż do śmieszności. Nie dość tego, w jej małej świcie znajdował się rzezaniec-Murzyn; ten chory, słabowity człowiek, mimo swą wadę organiczną (o której Karolina Stöhr chętnie rozprawiała) niezmiernie przywiązany do życia, był niepokieszony ujrzawszy obraz swego wnętrza na płycie, gdy rentgen prześwietlił jego czarną powłokę...

W porównaniu z takimi postaciami Mynheer Peeperkorn wydawał się nieledwie bezbarwny. A choć ten rozdział powieści, jak jeden z poprzednich, mógłby otrzymać nagłówek „Jeszcze ktoś”, to w tym wypadku nie byłoby powodu do obawy, że wchodzi na scenę przyszły twórca duchowego i pedagogicznego zamieszania. Nie, Mynheer Peeperkorn nie był bynajmniej człowiekiem zdolnym do wywoływania logicznych zaburzeń. Jak zobaczymy, był jednostką zupełnie innego typu. Że mimo

to osoba jego stała się przyczyną gwałtownych zaburzeń w duszy naszego bohatera, to tłumaczy się następującymi okolicznościami:

Mynheer Peeperkorn przybył na stację Davos-Wieś tym samym wieczornym pociągami co Madame Chauchat, zajechał tymi samymi saniami przed sanatorium „Berghof” i zasiadł z nią razem do wieczerzy w restauracji. Nie był to więc przyjazd równoczesny, ale wspólny; wspólność ta znalazła w dalszym ciągu wyraz także i w tym, że Mynheer otrzymał stałe miejsce przy lepszym stole rosyjskim, obok niej a naprzeciw doktora — tam gdzie niegdyś nauczyciel Popow urządził swój dziki i dwuznaczny występ. Ta wspólność, przez to, że była zupełnie nieprzewidziana, wyprowadziła Hansa Castorpa z równowagi. O dniu i godzinie przybycia Kławdii radca zawiadomił go we właściwy sobie sposób.

— No, Castorp, stary przyjacielu! — rzekł. — Wytrwałość będzie nagrodzona. Pojutrze wieczorem kotka wśliznie się znowu z powrotem. Otrzymałem telegram. — Nie wspomniał przy tym ani słowem, że pani Chauchat wraca w towarzystwie; może nie wiedział o niczym — w każdym razie, kiedy go Castorp nazajutrz o to pytał, twierdził, że sam był tym faktem zaskoczony.

— Nie mogę panu nawet powiedzieć, gdzie go wyłowila — oświadczył. — Widocznie znajomość zawarta w podróży, w Pirenejach zapewne. Ano, musi się pan teraz z tym pogodzić, rozczarowany Celadonie, na to nie ma rady. Wielka przyjaźń, rozumie pan? Zdaje się, że mają nawet wspólną kasę. To jakiś kolosalny bogacz, według tego, co mówią. Król kawy w stanie spoczynku, mój panie, malajski kamerdyner, luksus w każdym calu. Nie przyjechał tu zresztą dla rozrywki, bo poza zaflegmieniem, wywołanym przez alkohol, cierpi na złośliwą malarię, zimnicę, rozumie pan, skądś zawleczoną i bardzo uporczywą. Będzie mu pan musiał wiele wybaczyć.

— Proszę bardzo, proszę bardzo — odparł wyniośle Hans Castorp, a przy tym pomyślał: „A ty? Co ty na to? Jeśli mnie pozory nie mylą, to ty też od dawna nie jesteś tu obojętnym widzem, ty stary wdowcze o sinych policzkach, i nic ci nie pomoże całe twoje realistyczne malarstwo. Cieszysz się niemało moim zmartwieciem, a przecież jesteśmy do pewnego stopnia towarzyszami niedoli w stosunku do Peeperkorna”. — Ciekawy człowiek, zjawisko stanowczo nieprzeciętne — rzekł robiąc gest, jakby go chciał narysować. — I krzepki, i wąły zarazem, to jest wrażenie, jakie robi na pierwszy rzut oka, jakie zrobił na mnie przynajmniej dziś podczas śniadania. Krzepki i wąły — za pomocą tych przymiotników trzeba go zdaniem moim scharakteryzować, choć uchodzą zazwyczaj za trudne do pogodzenia. Jest wysoki, barczysty, staje często z rozkraczonymi nogami, z rękami w kieszeniach

(zauważyłem, że ma kieszenie u spodni umieszczone prostopadłe, a nie po bokach, jak pan i ja, i większość ludzi z dobrego towarzystwa). Kiedy tak stoi i mówi z holenderską, z podniebienną wymową, wtedy znać w nim jakąś krzepkość. Ale brodę ma rzadką — długą, a rzadką, tak że można by przeliczyć wszystkie włoski, i oczy małe, blade, nie mogę inaczej powiedzieć jak bezbarwne, na próżno je usiłuje wciąż szeroko otwierać, wszystko nadaremnie. Potworzyły mu się wskutek tego na czole głębokie bruzdy, najpierw pionowo przecinające skronie, a potem poziomo czoło, wysokie, czerwone czoło, obramowane siwymi włosami, długimi, ale rzadkimi. A oczy nie przestają być małe i blade, mimo że je ciągle rozwiera. Wysoko zapięta kamizelka nadaje mu wygląd duchownego, choć przeczy temu surdut w kratkę. Oto moje wrażenia z dzisiejszego ranka.

— Widzę, że go pan wziął na cel obserwacji — odparł Behrens — i dobrze się przyjrzał jego właściwościom. Rozsądnie to z pana strony, bo będzie się pan musiał pogodzić z jego obecnością!

— Owszem, na pewno to zrobię — rzekł Hans Castorp.

Powierzyliśmy mu skreślenie sylwetki nowego, nieoczekiwanego gościa i wywiązał się nieźle ze swego zadania — sami nie moglibyśmy uczynić tego dużo lepiej. Bo też jego punkt obserwacyjny był nadzwyczaj dogodny: wiemy już przecie, że w nieobecności Kławdii dostał się w sąsiedztwo lepszego stołu rosyjskiego; stół, przy którym siedział, stał równoległe do tamtego, a tylko nieco dalej od drzwi na werandę. Ponieważ Hans Castorp i Peeperkorn zajmowali miejsca u góry stołów, siedzieli tedy niejako obok siebie, tylko że Hans Castorp znajdował się nieco za Holendrem, dzięki czemu mógł go niepostrzeżenie obserwować. Twarz pani Chauchat widział w trzech czwartych, skośnie przed sobą. Do nakreślonego przezeń z talentem szkicu można by dodać, że górna warga Peeperkorna była golona, nos miał duży i mięsisty, usta szerokie, o wargach nieregularnie wykrojonych, jakby rozdartych. Dłonie jego były dość szerokie, palce zakończone długimi, ostro przyściętymi paznokciami. Rękoma posługiwał się przy mówieniu, przy swym nieustannym niemal mówieniu, którego treść Hans Castorp niezupełnie zresztą rozumiał. Wykonywał nimi wyszukane ruchy, skupiające uwagę słuchaczy, delikatnie cieniujące, staranne, precyzyjne i wytworne ruchy dyrygenta. Palec wielki i wskazujący układał w formę pierścienia albo rozwierał szeroko płaską, ale ostrymi paznokciami zakończoną rękę, jakby osłaniał, tłumił lub nakazywał uwagę; a potem to uprzejme skupienie, które wywołał, zamieniał w rozczarowanie przez niezrozumiałość tego, co mówił — a raczej nie w rozczarowanie, ale w wesołe zdziwienie; siła bowiem, delikatność i ekspresja ruchów przygotowawczych zastępowały w wysokim stopniu

to, czego brakło słowom, i zadowalały, bawiły, wzbogacały same przez się. Czasami po gestach słowa w ogóle nie następowały. Kładł rękę lekko na przedramię swego sąsiada od lewej, którym był jakiś młody bułgarski uczonec, albo na rękę Madame Chauchat — od prawej, potem unosił ramię skośnie w górę, nakazując milczenie i skupienie; wznosił brwi tak, że zmarszczki czoła, załamujące się pod kątem prostym ku oczom, pogłębiały się nadając twarzy wyraz maski, i wzrok wbijał w obrus; a tymczasem jego szerokie, rozdarte wargi rozchylały się, jakby wyrzec miały coś niezmiernie ważnego. Po chwili jednak wydychał powietrze, rezygnował z wszystkiego, czynił ruch, który oznaczał „Mówcie dalej!” i nic ostatecznie nie powiedziawszy wracał do swej kawy, szczególnie mocnej, którą kazał sobie podawać w specjalnej maszynie.

Po wypiciu kawy czynił, co następuje: Jednym ruchem ręki przerywał rozmowę, stwarzał ciszę, jak dyrygent, który nakazuje milczenie zmieszanemu hałasowi strojnych instrumentów i uprzejmym, ale rozkazującym gestem skupia je, aby rozpocząć wykonanie utworu. Wszyscy ulegali tym gestom, tak silne wrażenie robiła jego potężna głowa o bladych oczach i pobrużdżonym czole, opłomieniona siwymi włosami, z długą brodą i odsłoniętymi bolesnymi ustami. Wszyscy milkli i patrzyli nań z uśmiechem, w oczekiwaniu, a raz po raz ktoś uśmiechając się dawał mu znaki zachęty. Zaczynał mówić głosem dość cichym:

— Moi państwo. — W porządku. Wszystko w porządku. Skończone. Proszę jednakowoż wziąć pod uwagę — i nie zapominać — ani na chwilę nie zapominać, że — Ale nie mówmy już o tym. Tamto leży mi tak dalece na sercu, jak przede wszystkim to, że jesteśmy zobowiązani — że kategorycznym wymaganiem — powtarzam i podkreślam to wyrażenie — k a t e g o r y c z n y m wymaganiem nam stawianym — — Nie! Nie, moi państwo, nie tak! Nie, jakobym chciał — W błędzie byłby ten, kto by myślał, że ja — — S k o ń - c z o n e , moi państwo! Zupełnie skończone. Wiem, że jesteśmy przecież tego samego zdania, a więc: do rzeczy!

Ostatecznie nic nie powiedział, ale głowę miał tak niepospolitą, mimikę i gestykulację tak stanowczą, przejmującą i pełną wyrazu, że wszystkim a nawet nasłuchującym Hansowi Castorpowi wydawało się, iż słyszą coś niezmiernie ważnego, lub też, jeśli nawet uświadamiali sobie brak rzeczowego, skończonego oświadczenia, nie czuli się jednak zawiedzeni. Ciekawe jest, jakie wrażenie odniósłby w tym wypadku człowiek głuchy. Martwiłby się może, bo wnioskując z wyrazu, fałszywie oceniłby to, co zostało wyrażone, i sądziłby, że został poszkodowany i że z powodu swego kalectwa jest duchowo pokrzywdzony. Tacy ludzie łatwo stają się podejrzliwi i zgorzkniali. Natomiast młody Chińczyk siedzący na przeciwnym końcu stołu

i słabo jeszcze znający język niemiecki, chociaż nic nie rozumiał, lecz tylko słyszał i widział, dał wyraz swemu zadowoleniu okrzykiem: „Very well!” — a nawet klaśnął w dłoń.

Tymczasem Mynheer Peeperkorn przeszedł „do rzeczy”. Wyprostował się, wyprężył szeroką pierś, zapiał na guziki swój surdut w kratę, pod który wkładał wysoko zapiętą kamizelkę. Jego siwa głowa miała królewski majestat. Skinął ręką na kelnerkę — była to karlica — a ona przybiegła natychmiast na ów gest, mimo że była w tej chwili bardzo zajęta, i stanęła obok jego krzesła z dzbanuszkami mleka i kawy w rękach. Zwracała nań swą dużą, starą twarz z uśmiechem i wyrazem zachęty: jej także nakazał skupienie jego blady wzrok, potężne bruzdy jowiszowego czoła i wyciągnięta ręka, której wielki palec tworzył koło ze wskazującym, a pozostałe trzy sterczały jak włócznie, zakończone grotami paznokci.

— Moje dziecko — rzekł — dobrze. Na razie wszystko w porządku. Jesteś mała — a cóż mi to szkodzi? Wręcz przeciwnie! To ma swą pozytywną wartość. Dziękuję Bogu, że jesteś taka, jaka jesteś, i na skutek swego charakterystycznego małego wzrostu — Ano, dobrze! Bo i prośba, którą mam do ciebie, jest mała, mała i charakterystyczna. Przede wszystkim, jak się nazywasz?

Wyjąkała z uśmiechem, że na imię jej: Emerencja.

— Wspaniale! — zawołał Peeperkorn pochylając się w tył, ku oparciu krzesła, i wyciągając rękę w kierunku karlicy. Zawołał to tonem, jakby chciał powiedzieć: „Ależ czego chcecie? Wszystko jest jak najlepiej!” Potem ciągnął dalej najpoważniej w świecie i nieomal z pewną surowością: — Moje dziecko, to przechodzi wszelkie me oczekiwania. Emerencja — wypowiadasz to skromnie — ale to imię — i w dodatku w połączeniu z osobą — słowem, to ukazuje najpiękniejsze możliwości. Warto by tak jakoś sercem pełnym uczucia — w formie zdrobniałej — rozumiesz mnie, dziecko? w formie *z d r o b n i a ł e j* — na przykład Rencja albo Emcia — to będzie cieplejsze — decyduję się na razie bez wahania na Emcię. A więc, Emciu, moje dziecko, uważaj! Podaj mi chleba, moja kochana! Stój! Unikajmy nieporozumienia! Widzę po twojej względnie dużej twarzy, że to grozi — Chleba, Rencjo, ale nie pieczonego chleba — tego mamy tu dosyć we wszelkich postaciach. Ale palonego, aniołku. Boskiego, przezroczyściego chleba, który pokrzepia. Nie wiem, czy znaczenie wyrazu jest ci dość — można by to także nazwać „wzmocnieniem”, ale boję się, że użycie tego pojęcia w zwykły lekkomyślny sposób — Skoń-czone, Rencjo! Absolutnie skończone i wykluczone! A raczej w myśl naszych obowiązków i świętych powinności. — Na przykład mój dług honorowy, zaciągnięty wobec twojego charakterystycznego małego wzrostu, aby jak najserdeczniej — Jałowcówki,



moja droga! — Na rozruszanie, powiedzmy. Holenderskiej, Emerencjo! Biegnij i przynieś mi ją szybko!

— Jałowcówki, prawdziwej — powtórzyła karlica i odwróciła się na pięcie, aby się pozbyć jak najszybciej dzbanuszków. Postawiła je wreszcie Castorpowi przed nosem, nie chcąc widocznie przeszkadzać nimi panu Peeperkornowi. Podbiegła i rozkazodawca natychmiast otrzymał to, czego żądał. Kieliszek był tak pełny, że „chleb” ze wszystkich stron przelewał się na podstawkę. Podniósł go wielkim i średnim palcem w górę pod światło. — A więc — oświadczył — Pieter Peeperkorn pokrzepia się wódeczką. — Wychylił kieliszek, trzymał w ustach przez chwilę destylat żyta i przełknął. — Teraz — rzekł — widzę państwa wszystkich orzeźwionymi oczyma. — Podniósł do ust dłoń pani Chauchat, złożył ją z powrotem na obrusie i potem jeszcze przez chwilę zatrzymał na niej swą rękę.

Niezwykła, potężna indywidualność, choć niewyraźny człowiek. Towarzystwo „Berghofu” zajmowało się nim niepomernie. Mówiono, że wycofał się niedawno z interesów i żyje z kapitału. Opowiadano, że ma wspaniały dom w Hadze i willę w Scheveningen. Pani Stöhr nazywała go „magnesem pieniężnym” (magnatem chyba; co za okropna osoba!) i czyniła przy tym aluzje do sznura pereł, który Madame Chauchat od czasu powrotu wkładała do stroju wieczorowego, a który, zdaniem Karoliny, nie świadczył o rycerskości zakaukaskiego małżonka, lecz pochodził ze „wspólnej kasy podróźnej”. Mrugała przy tym znacząco w kierunku Hansa Castorpa i, udając zasmucenie, opuszczała kąciki ust; cierpienie i choroba nie zdołały jej wysubtelnić i kpiała w sposób bezwzględny z jego przykrego położenia. Ale Castorp panował nad sobą. Poprawił, i to dowcipnie, popełniony przez nią lapsus. Pani Stöhr się przemówiła — oświadczył. Chciała powiedzieć: Magnat pieniężny. Chociaż i o magnesie można by mówić, bo Peeperkorn ma w sobie coś pociągającego. Także nauczycielce, pannie Engelhart, która, czerwieniąc się, krzywo się uśmiechając i nie patrząc mu w oczy, zapytywała, jak mu się podoba nowy gość, odpowiedział z dobrze udaną obojętnością, że Mynheer Peeperkorn jest „zamazaną indywidualnością”, indywidualnością, aczkolwiek zamazaną. Ścisłość tego określenia świadczyła o jego obiektywizmie i równowadze duchowej i wytrąciła nauczycielce broń z ręki. Co się zaś tyczy Ferdynanda Wehsala i jego krętych aluzji do nieoczekiwanych okoliczności, w jakich powróciła pani Chauchat, to Hans Castorp dowiódł naocznie, że bywają spojrzenia, których jednoznaczność w niczym nie ustępuje najbardziej artykułowanym wyrazom mowy. „Podły!” mówił wzrokiem, którym mierzył mannheimczyka, mówił w sposób wykluczający wszelką fałszywą interpretację. Wehsal zrozumiał i schował obrazę do kieszeni; uśmiechnął się

nawet, szczerząc zepsute zęby: ale odtąd nie nosił już Hansowi Castorpowi płaszcz podczas przechadzek z Naphtą, Settembrinim i Fergem.

A niech tam! Przecież sam mógł i nawet wołał sam nosić swój płaszcz. Tylko z grzeczności od czasu do czasu oddawał go temu nędznemu indywiduum. Mimo to nikt chyba z nas nie wątpi, że zupełnie nieprzewidziane okoliczności, które wniwecz obróciły przygotowania, jakie poczynił w myśli na przyjęcie bohaterki swej karnawałowej przygody, musiały go mocno dotknąć. Wyrażając się ściśle, przygotowania te stały się niepotrzebne, a to właśnie było zawstydzające.

Zamiary jego były dalekie od niezręcznej zapalczywości, były rozsądne i pełne delikatności. Ani myślał iść po Kławdię na dworzec — i co za szczęście, że tego nie zrobił! Było przecież w ogóle wątpliwe, czy ta kobieta, dzięki chorobie korzystająca z pełnej swobody, raczy sobie przypomnieć fantastyczne zdarzenia owej dalekiej maskaradowej i obcojęzycznej nocy marzeń sennych i czy zechce, aby jej tę noc przypominano. Nie, tylko bez natręctwa, bez gruboskórnych pretensji! Jeśli nawet w stosunku do skośnookiej pacjentki w samej rzeczy przekroczył granice zachodnich obyczajów i rozsądku — to jednak powinien przestrzegać form cywilizowanego świata, a tymczasem zachować nawet pozory obojętności. Grzeczny ukłon od stołu do stołu — oto na razie wszystko. Kiedyś później, przy nadarzającej się sposobności, będzie można od niechcienia zapytać, co się z panią działo od owego czasu. A właściwe powitanie nastąpi, w przyszłości, w swoim czasie, jako nagroda za opanowanie i rycerskość.

Cała owa subtelność postępowania traciła swój sens wskutek tego, że nie była dobrowolna, nie było więc w niej żadnej zasługi. Obecność Mynheera Peeperkorna wykluczała możliwość wszelkiej, chociaż trochę tylko niepowściągliwej taktyki. Owego wieczora, kiedy pani Chauchat wróciła, Hans Castorp ujrzał ze swej loggi zajeżdżające sanie; na koźle obok woźnicy siedział lokaj Malajczyk, żółty człowiek w sztywnym kapeluszu, z futrzanym kołnierzem u płaszcza; obok Kławdii, w głębi, z kapeluszem nasuniętym na czoło, siedział obcy mężczyzna. Hans Castorp spał niewiele tej nocy. Rano dowiedział się bez trudności, jakie jest nazwisko niepokojącego przybysza. Na dodatek otrzymał informacje, że oboje zajęli sąsiadujące z sobą luksusowe apartamenty na pierwszym piętrze. Gdy nadeszła pora śniadania, znalazł się wcześniej na swym miejscu i błady czekał na zatrzaśnięcie się oszklonych drzwi. Nie zatrzasnęły się. Kławdia weszła cicho, bo drzwi zamknął za nią Mynheer Peeperkorn — wszedł za swą towarzyszką podróży, rosły, barczysty, o wysokim czole, z głową potężną, opłomienioną siwizną — a ona podeszła do stołu znanym, kocim krokiem, z głową wysuniętą naprzód. Tak, to ona, nie zmieniona ani trochę.

Wbrew postanowieniu, zapominając o wszystkim, objął ją Hans Castorp zmęczonym z niewyspania wzrokiem. Te same włosy, blond o czerwonawym odcieniu, nie uczesane kunsztownie, ale otaczające głowę zwykłym warkoczem, te same „ślepią wilka stepowego”, ta sama okrągłość karku i wargi wydające się pełniejszymi, niż były w rzeczywistości, dzięki owemu uwypukleniu kości policzkowych, które pociągało za sobą powabną wklęsłość policzków... Kławdia! Myślał o tym z drżeniem i bacznie się przyglądał nieoczekiwanemu jej towarzyszowi, dumnie stawił czoło jego wspaniałej aparycji, a nawet w głębi serca usiłował drwić z jego obecnych nieograniczonych praw, tak bardzo zdyskredytowanych przez pewne wypadki z przeszłości. O tak, te wypadki były p e w n e , a nie jakieś tam nieokreślone, związane z dyletanckim malarstwem olejnym, które jego samego niegdyś tak niepokoiły... Zachowała również swój zwyczaj zwracania się do sali, zanim zajęła swe miejsce, tak jakby się chciała zaprezentować całemu towarzystwu. A Peeperkorn czekał nieco na uboczu na ukończenie tej ceremonii, by usiąść potem u boku Kławdii.

Uprzejmy ukłon od stołu do stołu zupełnie się nie powiódł. Oczy Kławdii powędrowały przy owym „prezentowaniu się” ponad osobą Hansa Castorpa i nad całą tą stroną, gdzie siedział, ku dalszym częściom sali. Nie inaczej było podczas następnego spotkania w sali jadalnej. Im więcej mijało posiłków, w czasie których oczy pani Chauchat przy spotkaniu z jego wzrokiem przesuwwały się dalej, jakby nie widzące i obojętne, tym mniej wypadało już wprowadzać w czyn obmyślony ukłon. Podczas krótkich zebrań wieczornych Peeperkorn i pani Chauchat przesiadywali w mniejszym salonie, na kanapie, w towarzystwie sąsiadów od stołu. Wspaniała twarz Holendra, pokryta teraz ciemnym rumieńcem, odbijała od płomiennej białości włosów i brody; kończył butelkę czerwonego wina, którą kazał sobie podać do kolacji. Pił przy każdym z głównych posiłków jedną, a czasem półtorej lub dwie butelki, nie mówiąc już o „chlebie”, którym się raczył począwszy już od pierwszego śniadania. Widocznie jego królewski majestat wymagał niezwykle silnego pokrzepienia. Służyła mu do tego celu kilka razy dziennie także specjalnie mocna kawa; pił ją nie tylko rano, ale i w południe z dużej filiżanki, nie po posiłkach, ale podczas nich, obok wina. Hans Castorp słyszał, jak mówił, że kawa i wino są dobre przeciwko malarii (pominąwszy to, że działają krzepiąco), szczególnie przeciw jego malarii przerywanej, która go już nazajutrz przykuła do łóżka na parę godzin. Radca nazywał ją kwartaną, czwartaczką, bo atak jej nawiedzał Holendra co czwarty dzień; objawiała się naprzód dreszczami, potem gorączką, a wreszcie potami. Cierpiał też w związku z nią na obrzęk śledziony.

## Vingt-et-un

Tak mijał czas — trzy, może cztery tygodnie, według naszej oceny, bo nie możemy się absolutnie zdać na sąd i zdolność oceny, jakie w tym względzie mógł mieć Hans Castorp. Tygodnie mijały, nie przynosząc żadnych nowych zmian prócz tej, że bunt przeciw nieprzewidzianym okolicznościom, które bez jego zasługi narzuciły mu powściągliwość, przeszedł w duszy naszego bohatera w przyzwyczajenie; przeciw okoliczności, która wychylając wódeczkę sama siebie nazywała Pieter Peeperkorn; przeciw niepożądaney obecności tego majestatycznego, potężnego i niewyraźnego człowieka — który „przeszkadzał” tu o wiele bardziej aniżeli niegdyś Settembrini. Między brwiami Hansa Castorpa złościły się prostopadłe zmarszczki, wyrażające upór i niezadowolenie. Spod tych zmarszczek patrzył pięć razy dziennie na panią Chauchat, rad mimo wszystko, że może na nią spoglądać, i z lekceważeniem myślał o władczej obecności tego, który nie przeczuwał nawet, jaki cień przeszłość rzuca na jego władzę.

Pewnego wieczoru towarzystwo w hallu i pokojach recepcyjnych hotelu, bez szczególnego zresztą ku temu powodu, zachowywało się weselej niż zazwyczaj. Muzykowano, jakiś student Węgier odegrał z temperamentem na skrzypcach cygańskie melodie, potem zjawił się na chwilę radca Behrens z drem Krokowskim, skłonił kogoś do odegrania na fortepianie w niższych oktawach melodii „Chóru pielgrzymów”<sup>\*</sup>, a sam parodiował akompaniament skrzypcowy, uderzając lekko szczotką po górnych klawiszach wiolinowych. Wywołał tym śmiech — po czym wśród rześzystych oklasków opuścił salony ogólne, potrząsając głową nad własnym wybrykiem. Zabawa przeciągała się, muzykowano w dalszym ciągu, nie wymagając, by ktoś uważnie słuchał, grano w domino i brydza, pociągając napoje, bawiono się zabawkami optycznymi, tu i tam rozmawiano. Część towarzystwa, z lepszego stołu rosyjskiego, przyłączyła się do grupy siedzących w hallu i salonie muzycznym. Mynheer Peeperkorn przystępował to tu, to tam. Nie można go było nie zauważyć; jego majestatyczna głowa królowała nad otoczeniem, przewyższał wszystkich swą wielkością i powagą i nawet ci, których z początku pociągała doń tylko fama jego majątku, ulegali w końcu wyłącznie czarowi jego osobowości. Otaczali go uśmiechnięci i przytakiwali zachęcająco; pod urokiem jego bladych oczu, spozierających spod potężnych bruzd czoła, śledzili w naprężeniu wytworne ruchy rąk o długich paznokciach, nie doznając przy tym żadnego zawodu, że następujące po nich słowa były nie powiązane, niejasne i pozbawione znaczenia.

---

\* Chór pielgrzymów z „Tannhäusera”.

Jeżeli rozejrzemy się teraz za Hansem Castorpem, to znajdziemy go w czytelniku, tam gdzie niegdyś (to „niegdyś” jest dość nieokreślone; autor, bohater i czytelnik nie zdają sobie już sprawy, w jakim stopniu należy ono do przeszłości) przypadły mu w udziale ważne rewelacje o organizacji postępu ludzkości. Tu było ciszej, znajdowało się tu zaledwie parę osób. Ktoś pisał przy pulpicie, w świetle wiszącej lampy elektrycznej. Jakaś pani, z dwiema parami binokli na nosie, siedząc przy szafie bibliotecznej przeglądała tom ilustrowanego pisma. Hans Castorp siadł w pobliżu przejścia do pokoju muzycznego, tyłem do otwartych drzwi, z gazetą w rękę, na pluszowym renesansowym krześle z wysokim, prostym oparciem i bez poręczy. Trzymał gazetę tak, jak gdyby zagłębiał się w lekturze, ale naprawdę nie czytał, lecz słuchał z pochyloną w bok głową dochodzącej z sąsiedniego pokoju, zmieszanej z fragmentami rozmów muzyki. Po ściągniętych brwiach można było jednak poznać, że i muzyka nie pochłania całkowicie jego uwagi, a myśli krążą po drogach nie mających nic z nią wspólnego, po ciernistych drogach rozczarowania, zgotowanego przez okoliczności i czyhającego na młodego a wielce cierpliwego człowieka u końca długiego oczekiwania — po gorczy pełnych drogach buntu; był już bliski tego, by położyć gazetę na niewygodnym, przypadkowo zajęтым krześle, wyjść przez drzwi wiodące do hallu i przenieść mroźną samotność loggii, urozmaiconą przez „Marię Mancini”, nad to nieudane zebranie towarzyskie. — A pański kuzyn, Monsieur? — zapytał głos tuż za nim i ponad jego głową. Głos ten brzmiał czarowną muzyką w uchu, tak już zbudowanym, że cierpkosłodki, przytłumiony timbre tego głosu odczuwało jako największą przyjemność, i to jeśli z pojęciem przyjemności łączyć sens najwyższy. Był to ten sam głos, który mu niegdyś rzekł: „Owszem, ale go nie złam” — zwycięski, fatalny głos, pytał teraz, jeśli dobrze rozumiał, o Joachima.

Opuścił powoli gazetę i uniósł nieco twarz, tak że tyłem głowy dotykał tylko lekko oparcia krzesła. Przymknął nawet na chwilę oczy, ale otworzył je natychmiast i patrzył w pustkę. Poczciwiec, można było powiedzieć, że w wyrazie jego twarzy było coś, co przypominało wizjonera lub somnambulika. Pragnął, aby powtórzyła pytanie, lecz nie uczyniła tego. Nie był więc nawet pewny, czy stoi jeszcze za nim, kiedy po dłuższej chwili, z dziwnym opóźnieniem, półgłosem odpowiedział:

— Umarł. Pełnił służbę na równinie i umarł.

Zauważył, że pierwszym słowem, jakie między nimi znowu padło, było „umarł”. Zauważył jednocześnie, że z powodu niedostatecznej znajomości jego języka wyrazy współczucia, jakich użyła, były jakieś nazbyt lekkie. Zza niego i z góry dopłynęły go słowa:

— Mój Boże! Jaka szkoda! Więc umarł i pogrzebany? Kiedyż to się stało?

— Jakiś czas temu. Matka zabrała jego ciało na dół. Wyrosła mu broda, jak na wojnie. Nad grobem oddano trzy honorowe salwy.

— Zasłużył na nie. Był bardzo dzielny. Dzielniejszy od innych, od niektórych innych.

— Tak, był dzielnym człowiekiem. Radamantys mówił zawsze o jego nadmiernej gorliwości. Ale ciało zbuntowało się. *Rebellio carnis*, jak mówią jezuici. Zawsze był przejęty sprawami ciała, lecz w szlachetny sposób. Ale w jego ciało wtargnęły pierwiastki nieszlachetne i spletało ono figła jego nadmiernej gorliwości. Zgubić się, a nawet dopuścić do zupełnej swej zagłady, jest rzeczą moralniejszą niżli zbytnio troszczyć się o siebie.

— Widzę, że ktoś jest wciąż jeszcze tym samym filozofującym nicdobrego. Radamantys? Któż to taki?

— Behrens. Settembrini go tak przezwał.

— Ach, Settembrini, przypominam sobie. To ten Włoch... Nie lubiłam go. Nie miał ludzkiego nastawienia. (Wyraz ten wymówiła „ludzkiego”, przedłużając pierwszą samogłoskę leniwo i z rozmarzeniem.) Był zarozumiały. Nie ma go już tu? A ja jestem głupia. Nie wiem, co to znaczy: Radamantys.

— To coś humanistycznego. Settembrini przeniósł się gdzie indziej. Filozofowaliśmy bardzo dużo w ostatnich czasach, on, Naphta i ja.

— Kto to jest Naphta?

— To jego przeciwnik.

— Chciałabym go w takim razie poznać. Ale czyż nie przepowiedziałam, że pański kuzyn umrze, jeśli spróbuje służyć w wojsku na równinie?

— Tak, wiedziałaś o tym.

— Co pan sobie myśli?

Dłuższe milczenie. Nie odwoływał niczego. Czekał wtuliwszy głowę w oparcie, czekał z oczyma wizjonera, kiedy się ponownie głos odezwie, znów w niepewności, czy Kławdia stoi jeszcze za nim, w ciągłej obawie, że odgłos bliskiej muzyki zagłuszył może oddalające się kroki. Wreszcie głos odezwał się:

— A Monsieur nie pojechał nawet na pogrzeb kuzyna?

Odparkł:

— Nie, pożegnałem się z nim tu, zanim zamknięto trumnę, bo zaczął się uśmiechać. Nie uwierzysz, jak zimne było jego czoło.

— Już znowu? Co za dziwny sposób zwracania się do damy, której się nieomal nie zna.

— Czy mam mówić humanistycznie zamiast mówić po ludzku? (Mimo woli i on wydłużał ten wyraz, jak ktoś, kto budzi się ze snu, przeciąga się i ziewa.)

— Quelle blague! Pan tu był bez przerwy?

— Tak jest. Czekałem.

— Na co?

— Na ciebie.

Nad głową usłyszał wybuch śmiechu i jednocześnie wyraz „Głupiec!” — Na mnie? Nie puszczono cię pewnie.

— Owszem, Behrens już mnie raz zwolnił w ataku wściekłości. Ale to byłby dziki odjazd. Bo oprócz dawnych blizn z czasów szkolnych, wiesz przecież, znalazł Behrens świeże miejsce, które jest przyczyną gorączki.

— Wciąż jeszcze gorączka?

— Tak jest, wciąż trochę. Prawie ciągle, przychodzi i znów mija. Ale to nie jest gorączka przerywana.

— Des allusions?

Milczał. Ściągnął ponuro brwi nad swymi oczyma wizjonera. Po chwili zapytał:

— A gdzie ty byłaś?

Jej dłoń uderzyła w oparcie krzesła.

— Mais c'est un sauvage!\* Gdzie byłam? Wszędzie. W Moskwie — (mówiła w „Muoskwie” z tym samym leniwym wydłużaniem samogłosek) — w Baku, w niemieckich miejscowościach kąpielowych, w Hiszpanii.

— O, w Hiszpanii. Jakże tam było?

— Tak sobie. Podróżuje się tam okropnie. Ludzie podobni do Murzynów. Kastylija bardzo sucha i sztywna. Kreml jest piękniejszy od tego zamku czy klasztoru tam, u stóp góry...

— Eskurial.

— Tak. Zamek Filipa. Nieliudzki zamek. Taniec ludowy kataloński, sardana, przy dźwiękach kobzy, podobał mi się o wiele bardziej. Wszyscy chwytają się wół

\* Mais c'est un sauvage! (franc.) — Ależ to dzikus!

i tańczą wkoło. Sama także tańczyłam. Cały plac jest pełny. C'est charmant. To jest ludzkie. Kupiłam sobie małą, niebieską czapeczkę, taką jaką tam noszą wszyscy mężczyźni i chłopcy z ludu; podobna jest do fezu i nazywa się boina. Noszę ją podczas werandowania, a i kiedy indziej też. Monsieur oceni, czy mi w niej do twarzy.

— Jaki monsieur?

— A ten, co tu siedzi na krześle.

— Myślałem, że Mynheer Peeperkorn.

— Ten już osądził. Mówi, że wyglądam w niej zachwycająco.

— Rzeczywiście? Tak powiedział? Do końca? Skończył zdanie tak, że można go było zrozumieć?

— Ach, zdaje mi się, że ktoś jest w złym humorze. Że chciałby być złośliwy, zgryźliwy? I pokpiwać sobie z ludzi, którzy są o wiele więksi i lepsi, i bardziej ludzcy, aniżeli się jest samemu, razem ze swym... avec son ami bavard de la Méditerranée, son maître grand parleur... \* Ale nie pozwolę, aby moich przyjaciół...

— Czy masz jeszcze fotografię mojego wnętrza? — przerwał wpadając w melancholijny ton.

Zaśmiała się.

— Musiałabym poszukać.

— Twoją noszę zawsze przy sobie. Poza tym mam małe sztalugi na komodzie, gdzie ją w nocy i —

Nie skończył. Przed nim stał Peeperkorn. Szukał swej towarzyszki podróży; wszedł do pokoju i stanął przed krzesłem, zajęтым przez tego, z którym rozmawiała stojąc z tyłu — stał jak wieża, tak blisko, że gdy Hans Castorp, mimo stanu somnambulicznego, w jakim się znajdował, zdał sobie sprawę, iż należy uczynić zadość grzeczności i powstać, mógł tylko precyzyjnie się między tamtymi z trudem, usuwając się równocześnie na bok. W ten sposób osoby działające utworzyły trójkąt, z krzesłem pośrodku.

Pani Chauchat przedstawiła obu „panów” zgodnie z wymogami cywilizowanego Zachodu. Jest to znajomy z czasów jej pierwszego pobytu w tej miejscowości, powiedziała o Hansie Castorpie. Obecność zaś pana Peeperkorna nie wymagała żadnych wyjaśnień. Wymieniła tylko jego nazwisko, a Holender podał młodzieńcowi szeroką dłoń, której grzbiet pokryty był piegami, i zwrócił nań blade oczy, spod ara-

---

\* ...avec son ami bavard de la Méditerranée, son maître grand parleur (franc.) — ze swym gadatliwym przyjacielem znad Morza Śródziemnego, ze swym nauczycielem-krasomówcą.



besek głębokich bruzd na czole, przypominających figury bożków. „Gdyby nie włócznie paznokci, rzekłbyś, że to dłoń kapitana okrętu” — pomyślał Hans Castorp. Znalazł się po raz pierwszy pod bezpośrednim wpływem potężnej osobistości Peeperkorna. „Osobistość” — wyraz ten nasuwał się wciąż na jego widok; nagle stawało się jasne, czym jest osobistość, a nawet nabierało się przekonania, że osobistość nie może w ogóle inaczej wyglądać. Hans Castorp czuł, że ten barczysty, rumiany, siwy, sześćdziesięcioletni mężczyzna, z boleśnie wykrojonymi wargami, długą i wąską brodą, spływającą na wysoko zapiętą kamizelkę duchownego, przytłacza swą mocą jego chwiejną młodzienczość. Peeperkorn był zresztą uosobieniem grzeczności.

— Proszę pana — mówił — całkowicie. Niechże pan pozwoli — całkowicie! Zawieram z panem znajomość — znajomość z zaufaniem budzącym młodzińcem — uświadomiam to sobie w pełni, proszę pana, i jestem tym do głębi przejęty. Pan mi się podoba, mój panie; ależ proszę — bardzo pana proszę. Skończone. Przypadł mi pan do smaku.

Wszelki sprzeciw był niemożliwy. Jego wytworne gesty przesądzały wszystko z góry. Hans Castorp podobał mu się. Peeperkorn wysnuwał stąd wnioski, którym dawał wyraz napomknieniami, a z ust jego usłużnej towarzyszki podróży otrzymywały one odpowiednie uzupełnienia.

— Moje dziecko — mówił — wszystko w porządku. Ale jakby to było — proszę mnie dobrze zrozumieć. Życie jest krótkie, a nasza możliwość zadośćuczynienia jego wymogom jest niestety — To fakty, moje dziecko. Prawa. Nie-u-błagane prawa. Słowem, moje dziecko, po prostu — Zamarł w wymownym geście, który wyrażał, że zrzuca z siebie odpowiedzialność na wypadek, gdyby mimo jego wskazówek popełniono jakiś błąd nie do naprawienia.

Było wyraźne, że pani Chauchat umie odgadywać z półsłówek jego życzenia. Rzekła:

— Ależ owszem. Możemy tu jeszcze zostać razem, rozegrać może jakąś partyjkę i wypić butelkę wina. Czemu pan stoi? — zwróciła się do Hansa Castorpa. — Proszę się ruszyć. Nie zostaniemy przecież we troje, trzeba zebrać większe towarzystwo. Kto jest jeszcze w salonie? Niech pan ściągnie, kogo pan może. Proszę sprowadzić kilku przyjaciół z balkonów. A my zaprosimy doktora Ting-Fu, który siedzi przy naszym stole.

Peeperkorn zacierał ręce.

— Absolutnie — rzekł. — Doskonale! Wspaniale! Spiesz pan, młody przyja-

cielu! Proszę posłuchać! Stworzymy kółko! Będziemy grali, jedli i pili. Będziemy czuli, że — Absolutnie, młody człowieku!

Hans Castorp pojechał windą na drugie piętro. Zapukał do A. K. Fergego, a ten z kolei sprowadził z dolnej leżalni Ferdynanda Wehsala i pana Albina. Prokurator Paravant i państwo Magnusowie byli jeszcze w hallu, panie Stöhr i Kleefeld w salonie. Tu ustawiono pod środkowym żyrandolem duży stół do gry i otoczono go krzesłami i stolikami. Mynheer witał każdego nowego przybysza bladym i uprzejmym spojrzeniem, podnosząc uważnie arabski czoła. Zasiadło przy stole dwanaście osób, Hans Castorp w środku między majestatycznym gospodarzem a Kławdią Chauchat; rozłożono karty i żetony, gdyż zgodzono się na kilka rozgrywek vingt-et-un, a Peeperkorn w zwykły swój, pełen aluzji sposób kazał karlicy podać wina, białego Chablis z roku 06, trzy butelki, na razie, oraz słodczy, suszonych owoców i cukierków, ile się tylko znajdzie. Zacierał ręce z zadowolenia na widok przynoszonych smacznych rzeczy, a nawet usiłował dać wyraz swym uczuciom za pomocą zdań, które w znaczący sposób się urywały; udawało mu się to w pełni, jeśli chodziło o działanie jego fascynującej osobowości. Kładł obie dłonie na ręce sąsiadów, podnosił w górę palec wskazujący, podobny do grotu, skierowując uwagę obecnych na wspaniały, złocisty odcień wina napełniającego wysokie kielichy, na cukier wypacany przez grona z Malagi, a także na słone i makowe precelki, które nazywał boskimi; równocześnie tłumił w zarodku za pomocą stanowczego gestu wszelki możliwy protest zwrócony przeciwko tej przesadzie. Sam pierwszy objął bank, odstąpił go jednak wkrótce panu Albinowi, bo — jeśli go dobrze rozumiano — zajęcie to przeszkadza mu w pełnym rozkoszowaniu się chwilą.

Widać było, że hazard był dlań rzeczą uboczną. Grano bardzo nisko — jego zdaniem; jako najmniejszą stawkę ustanowiono pół franka, co jednak dla większości zebranych było dość wiele; prokurator Paravant i pani Stöhr bledli i czerwienieli na przemian, a szczególnie ta ostatnia wiała się wprost z niepewności, czy ma dokupić jeszcze jedną kartę, mając już w ręku osiemnastkę. Wykrzykiwała głośno, gdy pan Albin z zimną rutyną rzucał jej wręcz kartę, której wysokość dowodziła, że decyzja kupna była aktem zbyt ryzykownym. Peeperkorn śmiał się z tego serdecznie.

— Proszę krzyżeć, proszę krzyżeć, Madame! — mówił. — Brzmi to przenikliwe, ale jest w tym życie i pochodzi z najgłębszych — Proszę napić się i pokrzepić serce do nowych —

Dolewał jej wina, dolewał też swoim sąsiadom i sobie, zamówił jeszcze trzy butelki, trącał się kieliszkiem z Wehsalem i opustoszoną wewnątrz panią Magnus, ponieważ zdawało mu się, że im obojgu najbardziej trzeba ożywczego

działania napoju. Twarze zabarwiały się szybko i coraz bardziej pod wpływem rzeczywiście wspaniałego wina; tylko doktor Ting-Fu pozostał nieodmiennie żółty, z czarnymi jak z dżetu, szcurzymi oczami; z tłumionym chichotem stawiał bardzo wysokie sumy i wygrywał z bezwstydnym szczęściem. Inni nie chcieli pozostawać w tyle. Prokurator Paravant wyzwał z zamglonymi oczami los i postawił dziesięć franków na początkową kartę, nie rokującą wielkich nadziei, dokupił za wiele i zbladł, ale wygrał sumę podwójną dzięki temu, że Albin w zbytнім zaufaniu do asa, którego miał w ręce, zdublował stawki. Wydarzenia te wstrząsały nie tylko bezpośrednio zainteresowanymi osobami. Całe towarzystwo brało w nich żywy udział, a nawet pan Albin, którego zimna rozważa rywalizować mogła z opanowaniem krupierów z Monte Carlo (oświadczył zresztą, że bywa tam stałym gościem), okazywał duże podniecenie. Hans Castorp grał również o wysokie stawki, podobnie jak panna Kleefeld i pani Chauchat. Z kolei grano w „chemin de fer”, w niebezpieczną „différence” i inne gry hazardowe. Rozległy się okrzyki radości, wybuchy rozpacz, wyładowania gniewu i ataki histerycznego śmiechu, wywołane zmiennym szczęściem; były szczere i poważne — nie mogłyby brzmieć inaczej pośród zmiennych losów samego życia.

Jednakże nie tylko gra i wino, a nawet nie one najbardziej budziły napięcie, rozpały twarze, rozszerzały błyszczące źrenice, trzymały całe grono w napięciu i w prawie bolesnym skupieniu. Wszystko to tłumaczyć należało raczej obecnością w tym gronie władczej natury Peeperkorna, „osobistości”, dzierżącej władzę w swej wyrazistej dłoni i czarującej wspaniałą mimiką, bladym wzrokiem, porytym monumentalnymi bruzdami czołem, słowem i przekonującą pantomimą. Co takiego mówił właściwie? Coś niewyraźnego, tym bardziej niewyraźnego, im więcej pił. A jednak wszyscy słuchali z napięciem, patrzyli z podniesionymi brwiami i ustami rozchylonymi w uśmiechu na kółko utworzone przez palec wskazujący i wielki, obok którego sterczała ostro, na kształt włóczni, reszta palców; królewska twarz Holendra wciągała tymczasem słuchaczy w sferę uczuć znacznie przekraczających stopień zainteresowania i oddania, który skądinąd zwykli byli sobie przypisywać. Uczucia te były ponad siły niejednego. Pani Magnus załamała się pierwsza. Była bliska omdlenia, uparła się jednak, że nie odejdzie do swojego pokoju, i ułożyła się tylko na szezlongu, z mokrą serwetą na czole, po czym uspokoiła się i wróciła do towarzystwa.

Peeperkorn upatrywał przyczynę tego załamania się w złym odżywianiu. Wypowiedział się w tym duchu, w urywanych zdaniach, z podniesionym do góry palcem. Dał do zrozumienia, że trzeba jeść, porządnie jeść, aby czynić zadość wymaganiom — i zamówił posiłek dla całego grona, mięso, wędliny, ozór, gęsinę, pieczyście, kieł-

basę i szynkę — półmiski pełne przysmaków, garnirowane kulkami masła, rzodkiewkami i pietruszką, co upodabniało je do wspaniałych klombów kwiatnych. Wszyscy jedli z apetytem, mimo kolacji, której solidność była ponad wszelką wątpliwość; natomiast Peeperkorn uznał po kilku kęsach, że to wszystko nic niewarte; uczynił to gwałtownie i z gniewem, który był przerażającym wyrazem nieobliczalności jego władczej natury. Wpadł nawet we wściekłość, gdy ktoś odważył się wziąć w obronę podane przekąski; potężna głowa nabrzmiała mu i uderzał pięścią w stół, nazywając to wszystko przekłętą bryndzą — na co wszyscy umilkli, zmieszani, bo jako gospodarz miał ostatecznie prawo dowolnej oceny swych darów.

Zresztą było mu bardzo do twarzy z tym niezrozumiałym gniewem, jak to musiał przyznać nawet Hans Castorp. Nikt nie śmiał łączyć gwałtowności niezrozumiałego wybuchu z obfitą libacją, która go poprzedziła. Gniew nie szpecił mu twarzy, nie pomniejszał go, lecz nadał mu tyle wielkości i królewskości, że nikt nie śmiał głowy podnieść ani tknąć rozstawionych mięsów. Tylko pani Chauchat uspokajała swego towarzysza podróży. Gładząc jego szeroką dłoń kapitana, po uderzeniu spoczywającą teraz na stole, zauważyła przymilnie, że przecież można zamówić coś innego, jakąś ciepłą potrawę, jeśli tylko on zechce, a kucharz da się jeszcze do tego namówić. — Moje dziecko — odparł — dobrze. — Całując rękę Kławdii, znalazł bez trudu, z godnością, przejście od ataku wściekłości do umiarkowania. Zażądał omletów dla siebie i swoich — dobrych omletów z drobno siekaną jarzyną, aby można zadośćuczynić wymaganiom. Wraz z zamówieniem przesłał do kuchni banknot stufrankowy, by skłonić służbę do przerwania spoczynku po pracy.

Kiedy zjawiała się na kilku półmiskach dymiąca potrawa, kanarkowożółta w zielone plamki i rozniósł się po pokoju miękki, ciepły zapach jaj i masła, wrócił mu dawny humor. Zabrano się do jedzenia wraz z Peeperkornem, który urywanymi słowami i wytwornymi gestami przymuszał wszystkich do skupionej, żarliwej czci, należytą darom bożym. Kazał do tego podać holenderskiej jałowcówki i zmusił wszystkich, aby z nabożeństwem wychylili kieliszki, pełne przejrzystego trunku, woniącego zdrowym zapachem zboża z delikatną przymieszką jałowca.

Hans Castorp palił. Pani Chauchat również nie gardziła papierosami z ustnikiem, które dla jej wygody leżały przed nią na stole w rosyjskiej, lakowej papierošnicy, zdobnej w obrazek pędzącej „trojki”; Peeperkorn nie miał sąsiadom za złe, że używają tej przyjemności, ale sam nie palił, nie czynił tego nigdy. Twierdził, jeśli go dobrze rozumiano, że palenie tytoniu należy zaliczyć do tych nadmiernie wyrafinowanych rozkoszy, które umniejszają majestat zwykłych darów życia, a przecie uczuciom naszym ledwie mocy starczy, aby tym przynajmniej uczynić zadość. —

Młodzieńcze! — rzekł do Hansa Castorpa, czarując go bladym wzrokiem i wytwornym gestem — młodzieńcze — prostota! To świętość! Dobrze, pan mnie rozumie. Fłaszka wina, dymiąca potrawa z jaj, czysta wódeczka — użyjmy tego w pełni, wyczerpmy do dna, uczynmy zadość, zanim — Absolutnie, mój panie. Skończone. Znałem ludzi — kobiety i mężczyzn, kokainistów, palaczy haszyszu, morfinistów — Zgoda, przyjacielu! Wspaniale! Niechże im będzie! Nie powinniśmy prawować się ani sądzić. Ale wobec tego, co powinno być na pierwszym miejscu, wobec tego, co proste, wielkie, co od Boga początek bierze, ci ludzie okazali się zupełnie — Skończone, przyjacielu. Potępione. Zarzucone. Wobec wszystkiego tamtego okazali się bezsilni. Jakże się też pan nazywa, młody człowieku — Zgoda, wiedziałem to, ale zapomniałem znowu — nie w kokainie, nie w opium, nie w samym nałogu leży zdrożność. Grzech niewybaczalny tkwi —

Przerwał. Przedłużał chwilę potężnego, pełnego wyrazu milczenia, wysoki i barczysty, pochylony ku sąsiadowi, z podniesionym palcem, nieregularnie rozdartymi ustami, pod wargą bezwąsą, czerwoną, z lekkim zadrażnieniem od golenia, z podniesionymi w wysiłku fałdami nagiego, biało opłomienionego czoła i z rozszerzonymi małymi, wyblakłymi oczami. Hans Castorp widział w nich coś jakby przerażenie przed zbrodnią, przed wielkim grzechem, przed niewybaczalnym niespełnieniem swych zadań, o których napomknął. Milcząco oczarowując mocą swej niewyraźnej a władczej natury, nakazywał zgłębić całą okropność tego grzechu. Przerażenie to, myślał Hans Castorp, ma podstawy rzeczowe, ale jest w nim także jakiś pierwiastek osobisty, odnoszący się tylko do jego królewskiej osoby... A więc strach, i to nie byle jaki, słaby strach, ale, jak się wydawało, strach wręcz paniczny, zabłysnął przez chwilę w jego oczach. Hans Castorp zbyt był skłonny do doznawania czci, aby na ten widok nie odczuć wstrząsu, mimo że miał powody do zajęcia wrogiego stanowiska wobec majestatycznego towarzysza podróży pani Chauchat.

Spuścił wzrok i skinął, aby swemu wspaniałemu sąsiadowi wyrazić pełne zrozumienie.

— To prawda — rzekł. — Jest to zapewne grzechem — i świadectwem niewystarczalności człowieka — jeśli ulega wyrafinowanym rozkoszom, a sprostać nie potrafi zwykłym naturalnym darom życia, tak wielkim przecie i świętym. To miał pan na myśli, Mynheer Peeperkorn, jeśli go zrozumiałem dobrze. Zgadza się z panem, jest to i moje przekonanie, choć mi to jeszcze samemu nie przychodziło do głowy. Zresztą te zdrowe i proste dary życia rzadko bodaj spotykają się ze sprawiedliwą oceną. Większość ludzi jest niewątpliwie zbyt leniwa, nieuważna, niesumienna i duchowo wyjąłowiona, aby je sprawiedliwie ocenić. Tak to chyba jest.

Mocarz był w wysokim stopniu zadowolony. — Młody człowieku — mówił — wspaniale. Pozwoli mi pan — już ani słowa. Proszę napić się ze mną, wychylić kieliszek do dna, splećmy ramiona. Nie chcę proponować panu braterskiego „ty” — miałem zamiar uczynić to przed chwilą, ale zastanowiłem się, że to byłoby nieco przedwcześnie. Najprawdopodobniej będę mógł w najbliższym czasie — Może pan być tego pewien! Gdyby pan jednak chciał i upierał się, abyśmy natychmiast —

Hans Castorp delikatnie poparł projekt zwłoki, podany przez Peeperkorna.

— Dobrze, chłopcze. Dobrze, kolego. Niewystarczalność — dobrze. Dobrze i straszliwie zarazem. Niesumienność — bardzo dobrze. Dary — niedobrze. Żądania! Święte, kobiece żądania, które życie stawia honorowi i sile męskiej —

W tej chwili Hans Castorp zdał sobie sprawę, że Peeperkorn jest zupełnie pijany. Nie było jednak w tym pijaństwie nic zawstydzającego ani poniżającego, nie umniejszało w niczym jego godności, lecz, przeciwnie, łączyło się z wrodzonym mu majestatem we wspaniałą, czcigodną całość. „Pijany Bachus — rozmyślał Hans Castorp — opierał się również na ramionach swych ogarniętych entuzjazmem towarzyszy, a jednak nie tracił nic ze swej boskości; wszystko więc zależało od tego, kto był pijany, wybitna osobistość czy zwykły szewc”. Usiłował nie uронić nic z respektu przed przygniatającym sąsiadem, choć wytworne gesty Holendra stały się niepewne a mowa niewyraźna.

— Bracie — mówił Peeperkorn, przechylając w tył potężne ciało w swobodnym, dumnym zamroczeniu alkoholem, wyciągnawszy rękę i uderzając lekko a niepewnie pięścią w stół — w przyszłości — w niedalekiej przyszłości, choć na razie jeszcze rozważność — dobrze. Skończone. Życie — młody człowieku — to jest kobieta, rozłożysta kobieta, z bujnymi piersiami, szerokim miękkim brzuchem między potężnymi biodrami, ze szczupłymi ramionami i krągłymi udami, i na wpół przymkniętymi oczami, wspaniale, szyderczo prowokuje nas, domaga się największego wysiłku, pełnego napięcia męskiej żądy, która wyjdzie zwycięsko z tej próby albo haniebnie zawiedzie — haniebnie, młody człowieku, czy pan rozumie, co by to znaczyło? Klęska uczucia w walce z życiem to niewystarczalność, dla której nie ma łaski, nie ma współczucia ani godności; musi być zepchnięta bezlitośnie i szyderczo — skończona, młodzieńcze, i oplwana... Hańba i zbezczeszczenie — to słowa zbyt słabe na oddanie istoty tej ruiny i tego bankructwa, tej straszliwej kompromitacji. To kres wszystkiego, piekielna rozpacz, koniec świata...

Mówiąc to przechylał coraz bardziej ku tyłowi ciało i opuszczał królewską głowę coraz niżej ku piersi, jakby usypiał. Przy ostatnich jednak słowach osłabłą pięścią uderzył z całej siły w stół, tak że wątył Hans Castorp, zdenerwowany grą

i winem, i niezwykłymi okolicznościami, aż podskoczył i spojrzął na mocarza z czcią i przerażeniem. „Koniec świata” — jakże z tymi słowami było mu do twarzy! Hans Castorp nie przypominał sobie, by z czyichkolwiek ust był je kiedyś słyszał, chyba jedynie na lekcji religii w szkole. I nic w tym dziwnego, myślał, bo któż z jego znajomych mógłby wygłosić te grzmiące słowa, kto, żeby sformułować pytanie w sposób właściwy, posiadał do tego o d p o w i e d n i format? Mógłby ich kiedyś być użyć mały Naphta, byłoby to jednak uzurpacją i pretensjonalną gadaniną, podczas gdy w ustach Peeperkorna piorunujące wyrazy brzmiały jak grzmiący dźwięk potężnej trąby, pełne biblijnej wielkości. „Mój Boże — ależ to osobistość! — mówił sobie po raz setny. — Spotkałem wielkiego człowieka, który jest towarzyszem Kławdii!” — On również nie był już zupełnie trzeźwy. Obracał swój kieliszek dokoła jego osi, drugą rękę włożył do kieszeni spodni i mrużył jedno oko przed dymem papierosa, trzymanego w kąciку ust. Czy powinien milczeć, gdy powołane do tego usta wyrzekły piorunujące słowa? Na cóż mógł się jeszcze przydać jego kruchy głos? Ale jego demokratyczni wychowawcy — obaj z natury swej demokratyczni, choć jeden z nich temu zaprzeczał — przyzwyczaili go do dyskusowania, pozwilił więc sobie na jeden ze swych dobrodusznych komentarzy. Rzekł:

— Uwagi pańskie, Mynheer Peeperkorn (cóż to za wyrażenie: Uwagi! Czyż robi się „uwagi” o końcu świata?) — skierowują myśli moje z powrotem ku temu, cośmy poprzednio mówili o nałogu, a mianowicie, że jest on obrazą najprostszyc, świętych, jak je pan nazywa, czy też klasycznych, jak ja bym je nazwał, darów życia, tych darów wielkiego formatu, które marnujemy, dając pierwszeństwo wtórnym i wymyślnym, wyrafinowanym, którym się „ulega”, jak się jeden z nas wyraził, podczas gdy tamtym, wielkim, człowiek „poświęca się”, „hołduje”. Lecz w tym dopatruję się zarazem okoliczności usprawiedliwiającej „nałóg” — wybaczy pan, ja już z natury jestem skłonny do tego, by wszystko usprawiedliwiać — choć czuję wyraźnie, że to nie jest wcale dowodem formatu duchowego. Otóż można go usprawiedliwić, skoro polega na tym, co nazwaliśmy „niewystarczalnością”. To, co pan mówił o okropnej niewystarczalności, posiada taki format, że jestem tym szczerze przejęty. Ale nie zdaje mi się, aby człowiek ulegający nałogowi był nieczuły na te okropności, przeciwnie, zdaje sobie z nich sprawę, gdy załamanie się jego uczucia wobec klasycznych darów życia zapędza go w ramiona nałogu. Nałóg więc może być pojęty nie tylko jako obraza życia, ale także jako hołd życiu składany; boć przecie wyrafinowane rozkosze są środkami odurzającymi i podniecającymi, stimulantia, jak to się mówi; służą one do wsparcia i wzmożenia siły uczuć. Więc jednak ich celem i sensem jest życie, pragnienie doznawania uczuć, pragnienie uczucia, pragnienie, którego doznaje niewystarczalność... Zdaje mi się...

Co też on właściwie mówił? Czy nie dość demokratycznego bezwstydu było już w tym, że ośmielił się mówić „jeden z nas” i zestawić swoje zdanie z twierdzeniami Holendra, które są twierdzeniami prawdziwej osobowości? Czy odwagi do tego zuchwalstwa nie czerpał z owej przeszłości, która niejasne światło rzucała na obecne prawa Peeperkorna? Co go ugryzło, że się zaplątał w również bezwstydną analizę pojęcia „nałogu”? Trzeba było mu już tylko o tym myśleć, jak się z tego wyplątać; zdawało się bowiem pewne, że sprowokował coś straszliwego.

Mynheer Peeperkorn siedział podczas całej jego mowy bez ruchu, przechylony w tył, z głową zwieszoną na piersi, tak że można było wątpić, czy słowa Hansa Castorpa docierały do jego świadomości. Teraz dopiero, kiedy młodzieniec zmieszał się, począł się wolno prostować, podnosił się coraz wyżej, aż wreszcie stanął w całej swej wysokości. Majestatyczna głowa nabrzmiewała i zalewała się czerwienią, arabeski zmarszczek podnosiły się i napinały, a małe oczy rozszerzały się z wyrazem bladej groźby. Co się tu gotowało? Niewątpliwie nadciągał atak furii, wobec której tamten, poprzedni, był raczej przystępem złego humoru. Zaciśnęły się w potężnym gniewie wargi Mynheera, tak że kąty ust opadły, a broda wysunęła się naprzód; zaciśnięta pięść prawej ręki podnosiła się z groźnym rozmachem. Lada chwila unicestwiający cios spadnie na demokratycznego gadułę, który, przerażony i zarazem rozradowany przygodą i widokiem wyrazistego królewskiego gniewu, z trudem krył strach i chęć ucieczki. Chcąc zażegnać burzę, mówił z pośpiechem:

— Naturalnie, wyraziłem się nieściśle. Wszystko to jest kwestią formatu, niczym więcej. Nic z tego, co ma format, nie może być nałogiem. Nałóg nie ma nigdy wielkiego formatu. Nie ma go też wyrafinowanie. Ale ludzka potrzeba doznawania uczuć odkryła już w zamierzchłych czasach pewien środek pomocniczy, oduurzający i pobudzający, który należy sam do klasycznych darów życiowych, posiada więc cechy prostoty i świętości, przeciwnej nałogowi. Środkiem tym, posiadającym, że się tak wyrażę, pewien format, jest wino, boski dar, ofiarowany ludziom, jak to twierdziły już starożytne, przejęte humanizmem ludy, filantropijny wynalazek boga, wynalazek, z którym związana jest nawet — że pozwolę sobie to zaznaczyć — nasza cywilizacja. Słyszymy przecie, że ludzie wyszli ze swego pierwotnego barbarzyństwa i nabrali kultury dzięki sztuce uprawiania i tłoczenia wina, i dziś jeszcze — co jest rzeczą godną uwagi — narody, u których rośnie wino, uchodzą za bardziej kulturalne od innych, od nie znających wina Kimmeriów. Znaczy to, że cywilizacja nie jest rzeczą rozsądku i obdarzonej piękną dykcją trzeźwości, lecz raczej zapału, upojenia, poczucia krzepkości. Czy pan się z tym zgadza, jeśli wolno teraz zapytać o pańskie zdanie w tej sprawie?



Szczwany lis z tego Hansa Castorpa. Lub raczej, jak się wyraził po literacku i wytwornie pan Settembrini — „filut”. Nieostrożny, a nawet zuchwały w stosunkach z wybitnymi osobistościami — a potem znów chytry, gdy trzeba wypić piwo, którego nawarzył. Oto w możliwie najprzykrzejszej sytuacji zaimprovizował zgrabnie apologię pijaństwa, zarazem skierował mimochodem rozmowę na kwestię cywilizacji, której trudno się było dopatrzeć w pierwotnym, wybuchowym zachowaniu się Peeperkorna, a wreszcie odebrał podstawy takiemu zachowaniu się postawiwszy pytanie, na które żadną miarą odpowiedzieć nie było można z podniesioną pięścią. Toteż Holender złagodził przedpotopowy gest gniewu; ręka jego opadła powoli na stół, wyraz twarzy uspokoił się; stał się już mniej groźny, mówił: „twoje szczęście!” Burza minęła. Poza tym wmieszała się w tej chwili pani Chauchat, zwracając uwagę swemu towarzyszowi na zmianę nastroju gości.

— Drogi przyjacielu, zaniedbuje pan swych gości — mówiła po francusku. — Poświęca się pan zbyt wyłącznie temu panu; niewątpliwie omawiacie jakieś ważne sprawy, ale tymczasem gra się prawie urwała, obawiam się, że towarzystwo się nudzi. Chyba zakończymy już wieczór?

Peeperkorn popatrzył na grono zebrane dokoła stołu. Racja: wszystko, zdemoralizowane, popadło w letarg, ośpienie; goście dokazywali jak klasa bez nadzoru. Niektórym oczy kleiły się do snu. Peeperkorn niezwłocznie chwycił w ręce puszczone cugle. — Moi państwo — zawołał podnosząc wskazujący palec, i ten zaostrzony palec nabrał znaczenia wznoszonej szpady lub sztandaru z wypisanym nań hasłem w rodzaju: „Za mną, kto w Boga wierzy!”, hasłem, za pomocą którego dowódca powstrzymuje wojska idące w rozsypkę. Od razu dało się odczuć pobudzające i skupiające działanie jego osobowości. Ludzie jakby przyszedli do siebie, na zmęczonych twarzach ukazało się znów napięcie i uśmiechy skierowały się ku bladym oczom potężnego gospodarza, patrzącym spod sieci zmarszczek jak na posągach bożków. Wszyscy znaleźli się pod jego urokiem i poczuli świeży przyływ sił, patrząc, jak pochyła palec wskazujący ku wielkiemu i wyciąga resztę palców o zaostrzonych paznokciach. Potem rozpostarł swą kapitańską dłoń, a z boleśnie rozdartych warg popłynęły słowa, które, choć niejasne, nosiły jednak na sobie piętno osobowości i dzięki temu uzyskiwały władzę nad umysłami.

— Dobrze — moi państwo. Ciało, moi państwo, tak już jest — Skończone. Nie — proszę mi pozwolić, proszę — „mdłe”, tak stoi w Piśmie. „Mdłe”, to znaczy skłonne, aby wymaganiom — lecz ja apeluję do waszej — Jednym słowem, moi państwo, a - pe - lu - je. Odpowiedz na to: sen. Dobrze, moi państwo, doskonale, świetnie. Kocham i szanuję sen. Czczę głęboką, słodką, krzepiącą rozkosz, jaką

daje. Sen należy do — jak pan to powiedział, młody człowieku? — do klasycznych darów życia, pierwszego, najpierwszego — przepraszam — najwyższego rzędu, moi państwo. Proszę jednak zwrócić uwagę i przypomnieć sobie dobrze: Getsemani! „A wzięwszy Piotra i dwu synów Zebedeuszowych — Tedy im rzekł: Czekać tu a czuwajcie ze mną”. Przypominacie sobie? „I przyszedł do uczniów swoich i znalazł ich śpiących: I rzekł Piotrowi: Tak, nie mogliście jednej godziny czuwać ze mną?” Potężne, moi państwo. Przejmujące. Wzruszające. „I przyszedł znowu, i znalazł ich śpiących, albowiem były oczy ich obciążone — I rzekł im: Już śpijcie i odpoczywajcie. Oto przybliżyła się godzina —”<sup>\*</sup> Moi państwo: Przejmujące, rozdzierające.

Wszyscy byli rzeczywiście do głębi przejęci i zawstydzeni. Złożył ręce na piersi i pochylił głowę na bok. Gdy z bolesnych warg popłynęły słowa o samotnym cierpieniu przedśmiertnym, jego blade spojrzenie załamało się. Pani Stöhr załkała. Pani Magnus westchnęła głęboko. Prokurator Paravant poczuł się w obowiązku wystąpić w imieniu wszystkich zebranych i w krótkich, cichych słowach zapewnił czcigodnego gospodarza, że wszyscy solidaryzują się z nim całkowicie. Zaszła chyba jakaś pomyłka, bo całe grono czuje się świeże, rażne, wesołe i jest oddane duszą sprawie. Jest to wieczór tak piękny, tak uroczysty, wręcz niezwykły — wszyscy to pojmują i czują i nikt nie myśli na razie skorzystać z tego daru życia, jakim jest sen. Mynheer Peeperkorn może liczyć na swych gości, na wszystkich razem i na każdego z osobna.

— Doskonale! Wyśmienicie! — zawołał Peeperkorn i wyprostował się. Rozłożył ręce, wyprostował je ku górze, dłońmi na zewnątrz, jakby do jakiejś pogańskiej modlitwy. Jego wspaniała fizjonomia, uduchowiona jeszcze przed chwilą gotyckim bólem, rozkwitła nagle bujną radością; na policzku ukazał się nawet dołek sybaryty. „Oto przybliżyła się godzina —” Kazał podać sobie kartę, włożył na nos binokle w rogowej oprawie, których siodełko sterczało mu wysoko na czole, i zamówił szampana, trzy butelki, marki Mumm et Co, Cordon rouge, très sec; do tego petits fours, wspaniałe, stożkowatego kształtu ciasteczka, oblane barwnym lukrem, z najdelikatniejszego ciasta biszkoptowego, nadziewane kremem czekoladowym i pistacjowym; podano je na okrągłych serwetkach papierowych o koronkowych brzegach. Pani Stöhr, zajadając je, oblizywała palce. Pan Albin z rutyną i niedbale wy dobył pierwszy korek z więzów drutu, a potem otworzył butelkę, przy czym z ozdobnej szyjki butelki korek w kształcie grzybka wyleciał aż pod sufit, z trzaskiem dzieciennego pistoletu; potem owinął butelkę do połowy serwetką, jak się to

---

\* Ewangelia Św. Mateusza XXVI 37—45, przekład Wujka.

zwykło czynić w eleganckim świecie przed nalewaniem wina do kieliszków. Szlachetna piana zwilżyła serwetki leżące na stolikach. Tracono się płytkimi kieliszkami i wychylono je duszkiem, elektryzując swe wnętrza lodowato zimnym, pachnącym, musującym napojem. Oczy zabłyśły. Grę przerwano, a nikt nie pomyślał o tym, aby zebrać ze stołu karty i pieniądze. Towarzystwo całe popadło w błogi stan rozleniwienia; rozprawiano o tym i o owym bez związku; składniki rozmowy, podjęte w podnieceniu, same przez się były jak najbardziej obiecujące w swym stadium zaczątkowym, ale w miarę jak się krystalizowały, zmieniały się w fragmentaryczny, jakby odrętwiały, częścią niedyskretny, częścią zaś niezrozumiały galimatias, mogący wzbudzić gniew i wstyd w każdym trzeźwym człowieku, który by przyłączył się do towarzystwa. Natomiast obecni znosili go bez przykrości, wszyscy bowiem znajdowali się w tym samym wykluczającym wszelką odpowiedzialność stanie. Nawet pani Magnus poczerwieniały uszy i wyznała, że czuje, jak życie płynie jej w żyłach, co jednak nie bardzo uradowało pana Magnusa. Hermina Kleefeld oparła się plecami o pana Albina, podając mu kieliszek do napełnienia. Peeperkorn ostrymi i wytwornymi ruchami dyrygował bachanalią, a nie zapominał, że puste butelki należy zastępować pełnymi. Po szampanie kazał podać kawę, mocca double, ze zwykłym płynnym „chlebem” i czymś słodkim a ostrym, Apricotsbrandy, Chartreuse, Crème de Vanille oraz Maraschino dla dam. Później podano ostre filety z ryb i piwo, a wreszcie herbatę chińską i rumianek, dla tych, co nie woleli pozostać przy szampanie i likierach lub też wrócić do jakiegoś poważnego wina, do tych ostatnich należał też Mynheer, który dla siebie, pani Chauchat i Hansa Castorpa kazał po północy dać butelkę czerwonego szwajcarskiego, lekko, jakby naiwnie musującego wina i, prawdziwie spragniony, wychylał kieliszek za kieliszkiem.

O godzinie pierwszej po północy zabawa trwała w najlepsze. Przerwać jej nie pozwalało ciężkie jak ołów obezwładnienie alkoholem czy też szczególna przyjemność, jaką sprawia nocna hulanka, a także osobliwy wpływ Peeperkorna i odstraszący przykład św. Piotra i jego uczniów, nikt nie chciał naśladować ich mdłego ciała. Na ogół kobiety okazały się pod tym względem wytrzymalsze niż mężczyźni. Ci, czerwoni albo bladzi, nadymali policzki i wyciągali się na krzesłach, od czasu do czasu mechanicznie, ale już bez należytego animuszu sięgając po kieliszki. Kobiety natomiast pełne były zapału. Hermina Kleefeld oparła nagie łokcie na stole i, z policzkami na dłoniach, szczyrzyła w śmiechu zęby do chichocącego Ting-Fu. Tymczasem pani Stöhr kokietowała przez ramię prokuratora, usiłując w ten sposób przykuć go na nowo do życia. Pani Magnus zapomniała się tak dalece, że usiadła panu Albinowi na kolanach i ciągnęła go za uszy, co jednak jej mężowi sprawiało już raczej ulgę. Anton Karłowicz Ferge zaczął na ogólne żądanie opowiadać

o swym wstrząsie opłucnowym, ale język odmówił mu posłuszeństwa: przyznał się uczciwie do tego bankructwa, co uznano jednogłośnie za hasło do wychylenia kieliszków. Wehsal zapłakał gorzko nad jakąś głęboką niedolą, ale nie był już zdolny słowami jej wyrazić bliźnim, jednakże kawa i koniak postawiły go wkrótce duchowo na nogi; rzeżenia wydobywające się z jego piersi, drżący, pomarszczony podbródek, ociekający łzami, zainteresował wielce Peeperkorna. Podniesionym palcem wskazującym i podciągniętymi arabeskami czoła skierował ogólną uwagę na stan, w jakim znajdował się Wehsal.

— Oto jest — rzekł. — Oto jest przecie — Proszę pozwolić: święty! Osusz mu brodę, dziecinko, weź moją serwetkę! Albo lepiej nie, nie czyn tego! On sam nie życzy sobie. Moi państwo — święty!! Święty wedle wszelkich pojęć chrześcijańskich i pogańskich! Fenomen pierwotny! Fenomen pierwszej — najwyższej — Nie, nie, to jest — —

Cały ton wyjaśnień nastrojał się do słów „Oto jest” i „Oto jest przecie”. Towarzyszyły im precyzyjne, choć już nieco w burleskę wpadające wytworne gesty. Gdy ponad ucho podnosił zgięty palec wskazujący, tworzący koło z wielkim palcem, a głowę żartobliwie odwracał, to działał na zebranych tak, jakby sędziwy kapłan jakiegoś nieznanego kultu, który by, uniósłszy suknie, z dziwacznym wdziękiem tańczył dokoła ofiarnego ołtarza. Potem, wspaniale rozsiadłszy się w fotelu, z ręką opartą o sąsiednie krzesło, skierował ogólną uwagę na inny tor: ze zdumieniem słuchali, jak żywo i wnikliwie zaczął malować mroźny, ciemny poranek zimowy, kiedy żółtawy odblask lampki nocnej przedziera się poprzez okno w głąb nagich gałęzi, chwiejących się na dworze w lodowatej, rozbrzmiewającej krakaniem wron, porannej mgle... Niewyraźnymi aluzjami zdołał nadać tyle mocy temu codziennemu widokowi, że wszyscy zadrżeli, tym bardziej iż wspomniał także o lodowatej wodzie, którą można by w taki poranek polewać sobie kark, wyciskając wielką gąbkę. Wodę taką nazywał świętą. Była to tylko dygresja, rzucona jako przykład zwracania uwagi na sprawy życia, fantastyczne impromptu, które rozsunął przed słuchaczami, aby po chwili całą swą wnikliwość i siłę uczucia zwrócić do swobodnego nastroju nocy. Wyznał, że jest zakochany we wszystkich bez wyjątku kobietach, bez wyboru i bez względu na ich osobę. Czynił karlicy tego rodzaju propozycje, że kaleka szczyrzyła zęby w uśmiechu żłobiącym bruzdy na jej wielkiej starej twarzy; pani Stöhr prawili komplementy takiego kalibru, że ta ordynarna kobieta bardziej jeszcze pochylała ku przodowi ramiona, dochodząc w swym wdziękowaniu się do granic szaleństwa; skłonił pannę Kleefeld do złożenia pocałunku na jego dużych, jakby rozdartych ustach, czarował nawet beznadziejną panią Magnus. A jednocześnie swej towarzysze podróży okazywał czułe przywiązanie i często z rycerskim

nabożeństwem podnosił do ust jej dłoń. — Wino — mówił — kobiety — — To jest — To jest przecie — Proszę mi pozwolić — Koniec świata — Getsemani — —

Około godziny drugiej gruchnęła wieść, że „stary” — a więc radca Behrens — zbliża się pospiesznym marszem do sal rozrywkowych. Znużone towarzystwo ogarnęła momentalnie panika. Przewracając krzesła i kubły z lodem uciekano przez pokój biblioteczny. Peeperkorn wpadł w królewski gniew na widok nagłego zakończenia zabawy, tej uczty na cześć życia, uderzał pięścią w stół i wołał za uciekającymi coś o tchórzliwych niewolnikach. Jednakże pod wpływem Hansa Castorpa i pani Chauchat pogodził się do pewnego stopnia z myślą, że uczta, która trwała około sześciu godzin, musiała się i tak kiedyś skończyć; posłuchał więc upomnień o świętych własnościach krzepiącego snu i zgodził się na to, aby go zaprowadzono do łóżka.

— Wesprzyj mnie, moje dziecko! I ty mnie wesprzyj z drugiej strony, młody człowieku! — rzekł do pani Chauchat i Hansa Castorpa. Przy ich pomocy uniósł z krzesła swoje ciężkie ciało; podali mu ramiona, a on wsparty na nich, stąpając szeroko, z potężną głową przechyloną w jedną stronę, chwiejnymi krokami, spychając na bok to jedno, to drugie z nich, wyruszył na spoczynek. Pozwalał się tak prowadzić i wspierać w gruncie rzeczy po to, aby ukazać swój królewski przepych. Gdyby był do tego zmuszony, prawdopodobnie mógłby iść o własnych siłach — ale gardził wysiłkiem, który w danym wypadku mógłby mieć tylko ten małosłowny cel, aby wstydliwie ukryć stan zamroczenia alkoholem. Nie wstydził się widocznie tego stanu, lecz przeciwnie — wyżywał się w nim szeroko i bujnie i było to jego królewskim żartem, że zataczając się popychał chwiejnie swych usłużnych przewodników na prawo i na lewo. Tak idąc powiedział:

— Dzieci — nonsens — nie jest się naturalnie wcale — Gdyby w tej chwili — Zobaczylibyście — Śmieszne —

— Śmieszne! — potwierdził Hans Castorp. — Ależ bez wątpienia! Można uczcić klasyczny dar życia, chwiejąc się swobodnie na jego cześć to w prawo, to w lewo. Natomiast na serio... Ja przecież również nie jestem zupełnie trzeźwy, a jednak — mimo tak zwanego zamroczenia alkoholem zdaję sobie sprawę z tego, że mam szczególny zaszczyt odprowadzania do łoża wybitnej osobistości. Tak mało władzy ma to zamroczenie nade mną, który przecież pod względem formatu w ogóle nie mogę się nawet równać —

— Baj baj, ty mały gaduło — rzekł Peeperkorn i zatoczywszy się pchnął go na poręcz schodów, a równocześnie pociągnął za sobą panią Chauchat.

Najwidoczniej wieść o zbliżaniu się radcy była strzałem na postrach. Być może,

że rozgłosiła ją zmęczona karlica, aby położyć kres zabawie. Wobec tego Peeperkorn zatrzymał się i chciał zawrócić, aby pić dalej; ale pod wpływem perswazyj obojga przewodników ustąpił i pozwolił prowadzić się na spoczynek.

Malajski kamerdyner, ów człowieczek w białym krawacie i czarnych jedwabnych pantoflach, czekał na swego pana w korytarzu, przed drzwiami jego apartamentu; skłonił się, składając rękę na piersi, i przejął Peeperkorna od obojga.

— Pocałujcie się! — rozkazał Peeperkorn. — Młody człowieku, na zakończenie ucałuj tę czarującą kobietę w czoło! — zwrócił się do Hansa Castorpa. — Nie będzie miała nic przeciwko temu i odda ci pocałunek. Uczyni to na moje zdrowie i za moim pozwoleniem! — rzekł; Hans Castorp jednak wzbraniał się.

— Nie, Wasza Królewska Mość! — odparł. — Proszę o wybaczenie, ale to niemożliwe.

Peeperkorn, oparty o kamerdynera, podniósł arabski zmarszczek i zażądał wyjaśnienia — dlaczego to jest niemożliwe.

— Ponieważ nie mogę z pańską towarzyszką podróży wymieniać pocałunków w czoło — odparł Hans Castorp. — Życzę spokojnej nocy! Nie, jakkolwiek by na to spojrzeć, byłoby to czystym nonsensem!

Ponieważ także i pani Chauchat zbliżała się już do swoich drzwi, przeto Peeperkorn pozwolił odejść krnąbrnemu młodzieńcowi; jednakże patrzył jeszcze chwilę za nim przez swoje i przez Malajczyka ramię, z podniesionymi brwiami, zdumiony oporem, do którego nie przywykła jego władcza natura.

## **Mynheer Peeperkorn (dalszy ciąg)**

Mynheer Peeperkorn pozostał w sanatorium „Berghof” przez całą zimę — raczej przez resztę zimy i początek wiosny, tak że urządzono jeszcze na zakończenie pamiętną wspólną (z udziałem także Settembriniego i Naphty) wycieczkę do Flüelatal i do tamtejszego wodospadu... Na zakończenie? A więc nie został już dłużej? Nie, nie został. — A więc potem odjechał? — Tak i nie. — Tak i nie? Proszę, co za tajemniczość! Potrafimy przecież zapanować nad sobą. Zmarł przecież także porucznik Ziemssen, nie mówiąc już o tylu innych, mniej znacznych, z którymi śmierć poszła w tany. Czyż więc niewyraźnego Peeperkorna dobiła złośliwa malaria? — Nie, to nie to, ale cierpliwości! Nie wszystko może się dziać równocześnie, trzeba

uznawać ten podstawowy warunek życia i opowiadania, bo przecież nikt nie zechce buntować się przeciw formom ludzkiego poznania, danym przez Boga! Uszanujmy czas przynajmniej o tyle, o ile pozwala na to jeszcze istota naszej opowieści! Nie wiele to już zresztą znaczy, bo już wszystko w niej pędzi na łeb, na szyję ku końcowi albo, aby wyrazić się mniej hałaśliwie, sunie chyłkiem ku zakończeniu. Jakaś malutka wskazówka odmierza nam czas, drepcze, jakby odmierzała sekundy, a tymczasem, Bóg wie dlaczego, z zimną krwią i nie zatrzymując się mija punkt kulminacyjny. Jesteśmy tu w górze od lat, to pewne, w głowie nam się od tego kręci, jest to jakby sen nałogowca, tylko że bez opium i haszyszu, moralista nas potępi — a jednak zwalczamy to niebezpieczne zamroczenie odwołując się jak najbardziej do światła zdrowego rozsądku i logicznej ścisłości. Nie był to też przypadek, prosimy to uznać, że staraliśmy się obcować z takimi głowami, jak panowie Naphta i Settembrini, zamiast otoczyć się na przykład samymi niewyraźnymi Peeperkornami. Porównanie to jednakże pod wieloma względami, a szczególnie jeśli chodzi o format ludzi, okazuje się pochlebne dla późnego przybysza. Stwierdzał to w myśli Hans Castorp leżąc w swej loggii; musiał wyznać sam przed sobą, że obaj wygadani wychowawcy, którzy pod wpływ swój zagarnęli jego biedną duszę, wydawali się przy Peeperkornie nieledwie karłami; skłonny był nawet nazwać ich „gadulami” — mianem, które jemu, Castorpowi, nadał królewski żart pijanego Peeperkorna; stwierdził też, że zbieg okoliczności, dzięki któremu hermetyczna pedagogika pozwoliła mu zetknąć się jeszcze z tak wybitną osobistością, był niezwykle szczęśliwy.

Że osobistość ta była towarzyszem podróży pani Chauchat, że więc wystąpiła na widownię jako poważna przeszkoda — to było sprawą odrębną, co do której Hans Castorp nie chciał, aby wpływała na jego oceny. Nie pozwolił jej wpłynąć na swój szacunek i szczerę, choć czasem może nieco zbyt śmiało zainteresowanie się człowiekiem wielkiego formatu — wpłynąć tylko dlatego, że miał wspólną kasę podróżną z kobietą, od której on, Hans Castorp, pożyczył pewnej nocy karnawałowej ołówki. Rozumiemy dobrze, że niejeden lub niejedna zgani ten „brak temperamentu”, że woleliby, aby bohater nasz nienawidził i unikał Peeperkorna i myślał o nim, że jest starym osłem i bełkocącym pijakiem, a nie odwiedzał go, nie siadywał przy jego łóżku i nie gawędził z nim podczas ataków przerywanej gorączki (gawędził — to odnosi się naturalnie tylko do tego, co mówił Hans Castorp, nie zaś do słów wspaniałego Peeperkorna) — i wreszcie nie poddawał się wpływowi jego osobowości z ciekawością intelektualnego komiwojażera. Ale Hans Castorp wszystko to robił, my zaś przedstawiamy tylko prawdę, choćby miała komuś przywieść na pamięć Ferdynanda Wehsala, który nosił Castorpowi płaszcz. Skojarzenie

to jednak jest bez znaczenia. Nasz bohater nie był Wehsalem. Nie obchodziły go głębie niedoli ludzkiej. Po prostu tylko nie był „bohaterem”, to znaczy nie chciał uzależniać od kobiety stosunku między mężczyznami. Zgodnie z zasadą, aby go nie przedstawiać ani lepszym, ani gorszym, niż był istotnie, konstatujemy, że opierał się — nie świadomie i umyślnie, lecz całkiem naiwnie opierał się temu, by pod wpływem spraw miłosnych tracić sprawiedliwy stosunek do własnej płci, a także, by utracić chęć uczenia się od innych mężczyzn. Może się to nie podobać kobietom — zdaje się nawet, że irytowało to mimo woli panią Chauchat; wskazuje na to ta czy owa cierpka jej uwaga, której nie omieszkamy przytoczyć. Ale może właśnie ta cecha jego charakteru sprawiała, że o Hansa Castorpa warto było toczyć pedagogiczne boje.

Pieter Peeperkorn chorował często — toteż nic dziwnego, że zasnął nazajutrz po owym pierwszym wieczorze spędzonym przy kartach i szampanie. Wszyscy nieledwie uczestnicy długiej i podniecającej zabawy czuli się źle. Hans Castorp miał silny ból głowy, nie powstrzymało go to jednak od odwiedzenia wczorajszego gospodarza: spotkawszy w korytarzu pierwszego piętra Malajczyka, kazał się zameldować — i został przyjęty.

Holender zajmował sypialnię o dwu łóżkach przedzieloną salonem od sypialni pani Chauchat; Hans Castorp wszedłszy zauważył, że pod względem rozmiarów i elegancji apartament ten przewyższał znacznie przeciętne pokoje „Berghofu”. W sypialni Peeperkorna stały fotele kryte jedwabiem i stoły na wygiętych nogach; podłogę okrywał miękki dywan, a łóżka odbiegały od charakteru zwyczajnych higienicznych łóż śmierci, były wręcz wspaniałe: sporządzone z politurowanego drzewa wiśniowego, miały mosiężne okucia i mały baldachim bez zasłon bocznych.

Peeperkorn leżał w jednym z dwóch łóżek; czerwona jedwabna kołdra pokryta była książkami, listami i gazetami; na nosie miał swe wysoko sięgające rogowe binokle i czytał „Telegraaf”. Na krześle przy łóżku stała filiżanka czarnej kawy, na stoliku nocnym, obok flaszeczek z lekarstwami, opróżniona do połowy butelka czerwonego wina — było to owo wczorajsze, naiwnie musujące wino. Hans Castorp zauważył ze skromnym zdziwieniem, że Holender nie nosił płóciennej koszuli, ale trykotową z długimi rękawami, zapiętymi u przegubów, bez kołnierza, z okrągłym wycięciem, przylegającym szczelnie do szerokich barków i potężnej piersi starego człowieka. Na tle poduszek jeszcze wspanialsza wydawała się jego głowa, a cała aparycja, daleka od przeciętnego mieszczańskiego typu, nabierała dzięki temu strojowi cech po części ludworobotniczych, a po części posagowych, jakby wyszły spod dłuta rzeźbiarza.



— Ależ owszem, młody człowieku — rzekł zdejmując binokle. — Proszę bardzo — bynajmniej. Wręcz przeciwnie.

Hans Castorp usiadł przy nim; uprzejmym ożywieniem usiłował pokryć swe pełne sympatii zdziwienie, o ile uczuciem, do którego zmuszało go poczucie sprawiedliwości, nie był wręcz prawdziwy podziw. Peeperkorn sekundował mu wspańniętymi urywanymi zdaniami i wyrazistą gestykulacją. Wyglądał bardzo źle, był żółty, wyczerpany i cierpiący. Nad ranem obudził go atak gwałtownej gorączki, który wywołał ogólne osłabienie; łączyło się ono teraz z następstwami pijaństwa.

— Źleśmy wczoraj — mówił. — Nie, pozwól pan — bardzo źle! Pan jeszcze — jako tako, nie będzie żadnych — Ale w moim wieku i przy zagrożonym — Moje dziecko — zwrócił się nagle w sposób delikatny, ale niewątpliwie surowy do pani Chauchat, która w tej chwili weszła z salonu — wszystko w porządku, ale powtarzam, że należało lepiej uważać i nie pozwolić mi. — Mina jego i głos były takie, jakby zapowiadały wybuch królewskiego gniewu. Ale jakie dopiero gromy spadłyby na głowę tego, kto by się był wówczas odważył przeszkodzić mu w picciu. Trudno więc o pretensję bardziej nierozsądną i bezpodstawną. Widocznie tego rodzaju pretensje należą do wielkości. Toteż towarzyszka podróży Holendra przeszła do porządku nad tym powiedzeniem i przywitała się z Hansem Castorpem, który wstał na jej widok. Nie podając mu ręki, uśmiechnęła się doń tylko i poprosiła, by „przecież” usiadł i „przecież nie” przeszkadzał sobie w tête-à-tête z Mynheerem Peeperkornem... Krzątała się przez chwilę po pokoju, kazała kamerdynerowi sprzątnąć serwis do kawy, po czym wyszła, ale po chwili wróciła cicho i stanęła opodal, aby brać po trochu udział w ich rozmowie, czy nawet — jeśli mamy polegać na nieokreślonym wrażeniu Hansa Castorpa — czuwać nad jej przebiegiem. Naturalnie! Mogła sobie w towarzystwie osobistości wielkiego formatu powrócić do „Berghofu”, ale gdy ten, kto tu na nią tak długo czekał, oddawał owej osobistości — jak mężczyzna mężczyźnie — należną jej rewerencję, okazywała niepokój i nawet pewną cierpkość, która przebijała z tych jej „przecież” i „przecież nie”. Hans Castorp uśmiechnął się z tego powodu, pochylił głowę, aby ukryć ten uśmiech, ale zapłonął w duszy radością.

Peeperkorn nalał mu kieliszek wina z butelki, stojącej na nocnym stoliku. W podobnych okolicznościach, rzekł Holender, najlepiej jest nawiązać do stanu rzeczy z poprzedniej nocy; zresztą to musujące wino oddaje te same usługi co woda sodowa. Trącił się z Hansem Castorpem, który wychylając kieliszek przyglądał się, jak piegowata, ostrymi paznokciami zakończona kapitańska ręka, trykotową koszulą ciasno w przegubie opięta, ujmuje kieliszek, jak szerokie rozdarte wargi lgną do

jego brzegu i jak wino spływa do podnoszącej się i opadającej krtani, zarazem robotniczej i posągowej. Rozmowa zeszła potem na kwestię lekarstwa stojącego na stoliku. Peeperkorn przełknął na żądanie pani Chauchat i z jej ręki łyżkę brunatnego płynu — było to antipyreticum, jakiś przetwór chininy, i nakłonił gościa, by skosztował nieco lekarstwa i przekonał się o charakterystycznym gorzkawo-korzennym smaku preparatu. Holender jął chwalić własności chininy, która nie tylko niszczy zarazki i wpływa zbawiennie na ośrodek ciepła, ale działa także jako tonicum, usuwa nadmiar białka, odżywia organizm, słowem, jest prawdziwie krzepiącym trunkiem, cudownym środkiem wzmacniającym, pobudzającym i ożywiającym — a w dodatku także i odurzającym. Można się nim łatwo ululać, mówił czyniąc wspaniałe żartobliwe gesty rękami i głową, co upodabniało go znowu do pogańskiego kapłana.

Rzeczywiście, jakąż wspaniałą substancją jest kora chinowa! Nie minęło jeszcze lat trzysta od chwili, gdy dowiedziała się o niej farmakologia europejska, a niespełna sto lat temu chemia odkryła posiadający wspomniane własności alkaloid, właśnie chininę. Farmakologia dokonała potem jej analizy, co prawda tylko częściowej, bo do tej pory nie zdołała dokładnie zbadać jej składu ani też nie mogła wytworzyć jej sztucznie. Nasza farmakologia dobrze robi, że nie chwali się zbyt swymi osiągnięciami, bo także z innymi środkami przydarzały się jej wypadki podobne jak z chininą: wie to i owo o dynamice, o działaniu pewnych ciał, ale nie zdaje sobie zasadniczo sprawy z tego, na czym właściwie to działanie polega. Gdyby Castorp zainteresował się nauką o jadach, to na próżno by szukał wytłumaczenia najelementarniejszych własności, warunkujących działanie tzw. ciał trujących. Przykładem mogą być jady węzowe: wie się o nich tylko tyle, że należą do rzędu związków białkowych, składają się z różnych ciał białkowych, które tylko w tym określonym — a raczej całkiem nieokreślonym — składzie wywołują swoje piorunujące skutki: wprowadzone do obiegu krwi, powodują zmiany, które nas zadziwiają, bo nie zwykliśmy białku przypisywać własności trujących. Peeperkorn mówił podnosząc z poduszek głowę o bladych oczach i czole podkreślonym arabskimi; złożył przy tym dwa palce w kółko, jak zwykle, kiedy chciał być ścisły, a resztę palców wyciągnął na kształt włóczni. W świetle materii rzeczy mają się tak, że każde ciało kryje w sobie zarazem i życie, i śmierć; wszystko jest równocześnie lekarstwem i trucizną, toksykologia i farmakologia są jednym i tym samym, bo trucizna ma własności lecznicze, a to, co uchodzi za życiodajne, zabija w pewnych warunkach w przeciągu jednej sekundy.

Mówił bardzo dobitnie i, jak na siebie, niezwykle logicznie, a Hans Castorp przysłuchiwał się, potakując przechyloną na bok głową, i mniej zajęty tematem,

który zdawał się żywo interesować mówcę, aniżeli studiowaniem, jak działa osobowość mówcy. Działała w gruncie rzeczy w sposób równie niewytłumaczalny jak jady węzowe. W świetle materii, mówił Peeperkorn, dynamika jest wszystkim. Cała reszta jest od niej zupełnie zależna. Także i chinina jest trucizną leczniczą, i to niezwykle silną. Cztery jej gramy przyprawiają o głuchotę, zawroty głowy, astmę, wywołują zaburzenia wzrokowe jak atropina, upajają jak alkohol. Robotnicy w fabrykach chininy cierpią na zapalenie oczu, mają spuchnięte wargi i wyrzuty skórne.

Z kolei zaczął opowiadać o drzewie chinowym, o tzw. cinchonie, o dziewiczych lasach w Kordylierach, gdzie drzewo to rośnie na wysokości trzech tysięcy metrów i skąd dopiero tak późno jego kora dostała się do Hiszpanii pod nazwą „proszku jezuitów”, choć Indianie południowo-amerykańscy od niepamiętnych czasów znali jej działanie; opisywał olbrzymie plantacje cinchony założone przez rząd holenderski na Jawie, gdzie załadowuje się corocznie na okręty miliony funtów czerwonych, podobnych do cynamonu rurek kory, skierowując je do Londynu i Amsterdamu... W ogóle kora, tkanka korowa drzew, twierdził Peeperkorn, od epidermis do kambium, posiada zazwyczaj niezwykle własności dynamiczne, zarówno dodatnie, jak ujemne. Znajomość środków leczniczych u ras kolorowych przewyższa pod tym względem naszą. Na niektórych wyspach, położonych na wschód od Nowej Gwinei, sporządza sobie młodzież napój miłosny z kory pewnego drzewa, które jest prawdopodobnie równie trujące jak *Antiaris toxicaria*, rosnąca na Jawie. Drzewo to, podobnie jak manzanilla, zatruwa pono swymi wyziewami powietrze dokoła siebie i odurza śmiertelnie ludzi i zwierzęta. Otóż korę tego drzewa rozciera tubylcza młodzież na proszek, miesza ją z pokrajanym drobno miąższem orzecha kokosowego, po czym mieszankę zawija w liście i przypieka na wolnym ogniu. Otrzymanym stąd sokiem wystarczy pono bryznąć w twarz śpiącej osobie, której miłości się pragnie, a która się opiera — aby zdobyć jej wzajemność. Czasem także kora korzenia posiada szczególne własności. Tak ma się rzecz z rośliną pnącą z Archipelagu Malajskiego, zwaną *Strychnos Tieute*, którą tubylcy mieszają z jadem węzowym i otrzymują w ten sposób tzw. Upas-Radža, silny jad, sprowadzający śmierć natychmiast, skoro tylko dostanie się do obiegu krwi, np. przez zranienie zatrutą strzałą. A nikt by nie umiał powiedzieć Hansowi Castorpowi, na czym polega działanie tej trucizny, wiadomo tylko, że pod względem swej dynamiki Upas zbliżone jest do strychniny... I Peeperkorn, usiadłszy już zupełnie w łóżku i drżącą nieco ręką podnosząc od czasu do czasu do swych rozdartych warg kieliszek wina, z którego pociągał parę głębokich łyków, opowiadał o kulczybie, drzewie wroniego oka, rosnącym na wybrzeżu Koromandel, z którego owoców, o barwie pomarańczowej,

a zwanych „wronimi oczami”, otrzymuje się alkaloid o największej sile, zwany strychniną. Głosem zniżonym do szeptu, z podniesionymi arabeskami czoła opowiadał o popielatych gałęziach tego drzewa, o jego niezwykle błyszczącym listowiu i żółtawozielonych kwiatach, tak że wreszcie przed oczami Hansa Castorpa stanął obraz drzewa smutny a zarazem historycznie jaskrawy i wprowadził go ostatecznie w nastrój trochę niesamowity.

W tym miejscu wmieszała się pani Chauchat. Stwierdziła, że rozmowa źle działa na Peeperkorna, męczy go i może pociągnąć za sobą nawrót gorączki; czuje się więc zmuszona, mimo wielkiej przykrości, jaką jej to sprawia, prosić Hansa Castorpa, aby nie przedłużał swej wizyty. Zastosował się oczywiście do tego wezwania, ale w ciągu najbliższych miesięcy nieraz jeszcze siadywał przy łożu majestatycznego pacjenta, po każdym napadzie kwartany, podczas gdy pani Chauchat krzątała się, przysłuchując się ich rozmowie i czasem parę słów wtrącając. Także i wtedy, gdy Peeperkorn czuł się dobrze, spędzał z nim i z jego zdobną perłami towarzyszką podróży wiele godzin na rozmowie. Holender bowiem, jeśli choroba nie przykuwała go do łóżka, lubił zbierać dokoła siebie po kolacji, przy grze i winie, wybrane grono gości sanatoryjnych, o zmiennym składzie, czy to w salonie, jak za pierwszym razem, czy też w restauracji, przy czym utarło się, że Hans Castorp siadał między nim a nonszalancką panią Chauchat. Urządzano nawet wspólne spacer, w których brali udział również i inni, jak panowie Ferge i Wehsal, a niebawem także i dwaj duchowi przeciwnicy, Settembrini i Naphta. Spotkania z nimi nie sposób było uniknąć i Hans Castorp czuł się szczęśliwy, że mógł ich zapoznać z Peeperkornem i wreszcie także z Kławdią Chauchat, nie wchodząc w to, czy obaj dyskutanci byli z tej znajomości i tych nowych stosunków zadowoleni. Ufał bowiem w cichości ducha, iż tak silnie odczuwają potrzebę jakiegoś przedmiotu swych pedagogicznych wysiłków, że będą woleli zgodzić się na niemiłe towarzystwo niż stracić możliwość wyłuszczenia przed nim swych sprzecznych poglądów.

Nie mylił się też pod jednym względem: Członkowie niejednolitego grona jego przyjaciół poczęli się przyzwyczajać do tego przynajmniej, że nie mogą się do siebie przyzwyczaić. Napięcia, obcość, a nawet ukryta wrogość z natury rzeczy nie ustawały między nimi — i aż dziwić się można, w jaki sposób nasz skromny bohater osiągał to, że przestawali z sobą. Wytlumaczmy to sobie wrodzonym mu przebiegłym a życzliwym ustosunkowaniem się do życia, które sprawiało, że wszystko było dlań „godne usłyszenia”. Było ono łącznikiem nie tylko między nim samym a najróżnorodniejszymi osobami i osobistościami, ale także do pewnego stopnia między owymi różnorodnymi osobami, mimo dzielące je przeciwieństwa.

Cóż za dziwnie splecione stosunki! Chciałoby się ukazać wszystkim ich powikłane nici, tak jak je na owych spacerach obserwował przebiegły a życzliwie wobec życia nastawiony Hans Castorp. Oto nędzny Wehsal, pożądający skrycie pani Chauchat, a czczący uniżenie Peeperkorna i Hansa Castorpa, pierwszego ze względu na terażniejszość, a drugiego — na przeszłość. A oto Kławdia Chauchat, wdzięcznie stąpająca miękkimi krokami, chora podróżniczka, z własnej woli ulegająca Peeperkornowi, jednakże zawsze nieco zaniepokojona i cierpka skutkiem tego, że rycerz pewnej odległej nocy karnawałowej żyje z jej władcą na tak przyjaznej stopie. Czy ta jej irytacja nie przypominała innej, która rozstrzygała o jej sposobie odnoszenia się do Settembriniego? Do owego krasomówcy i humanisty, którego nie znosiła i nazywała wyniosłym i nieludzkim? Chętnie zapytałaby, co miały znaczyć lekceważące słowa, wypowiedziane do Hansa Castorpa przez jego przyjaciela i wychowawcę w śródziemnomorskim narzeczu, którego zupełnie nie rozumiała, podobnie jak on nie rozumiał jej mowy, tylko bez tak wyraźnego lekceważenia — słowa wypowiedziane wówczas, gdy ten dobrze wychowany Niemiec, ten ładny chłopak z dobrej burżuazyjnej rodziny, z wilgotnym miejscem w płucach, miał zamiar zbliżyć się do niej. — A dalej Hans Castorp, zakochany, jak to się mówi, „po uszy”, ale bynajmniej nie w radosnym znaczeniu tego powiedzenia, zakochany, jak się kocha, gdy miłość jest zakazana i nierozsądna i nie można o niej śpiewać pogodnych piosenek zrodzonych na nizinach. Więc choć srodze zakochany i w okowach zależności, cierpienia i służby, zachował jednak dość przebiegłości, by dobrze wiedzieć, iż jego uczuciom, tak samo dawniej jak i teraz, ta chora o skradającym się chodzie i czarującym tatarskich ślepiach przypisuje niemałą wartość; w swym ujarzmieniu i cierpieniu zdawał sobie także sprawę, że wartość tę mogła ona sobie uświadomić pod wpływem sposobu, w jaki zachowywał się wobec niej pan Settembrini; sposób ten aż nazbyt otwarcie potwierdzał jej podejrzenia, a był możliwie najbardziej odpychający, naturalnie w granicach zakreślonych przez humanistyczną uprzejmość. Pogarszała sprawę, choć w oczach Hansa Castorpa ją polepszała, okoliczność, że u Leona Naphty Kławdia nie znalazła poparcia, jakiego się po nim spodziewała. Nie spotkała się wprawdzie z jego strony z oporem tak zasadniczym, jaki okazywał jej Lodovico, i rozmowa łatwiej nawiązywała się między nimi; rozprawiali też często na osobności — Kławdia i bystry mały jezuita — o książkach, o problemach filozoficzno-politycznych, które traktowali oboje z równym radykalizmem. Hans Castorp sekundował im dobrodusznie. Mimo to zauważyć musiała u Naphty pewną arystokratyczną niechęć do całkowitego zbliżenia się, którą ów parweniusz, ostrożny jak wszyscy parweniusze, objawiał w stosunku do niej. Jego hiszpański terrorizm miał w gruncie rzeczy mało wspólnego z jej mętną i trzaskającą drzwiami „ludzkością”.

Łączyła się z tym jeszcze rzecz ostatnia i najdelikatniejsza — czuła instynktem kobiety, że obydwaj przeciwnicy, Settembrini i Naphta, darzą ją pewną nieuchwytną niechęcią (czuła to równie dobrze jak jej karnawałowy rycerz), a powodem tego jest ich stosunek do Hansa Castorpa. Była to niechęć wychowawców do kobiety jako czynnika przeszkadzającego i rozprasającego, cicha a podstawowa wrogość, która ich łączyła z sobą, bo tu kończył się ich antagonizm, pogłębiony przez momenty pedagogiczne.

Czy ta wrogość nie wpływała też na stosunek obu dialektyków do Peeperkorna? Zdawało się Hansowi Castorpowi, że tak jest w istocie — może zdawało mu się tylko dlatego, że ze złośliwą ciekawością spodziewał się tego; od dawna też zamierzał zbliżyć królewskiego jakałę do obu swych „radców królewskich” (jak ich czasem w cichości ducha dowcipkując nazywał), aby zaobserwować wyniki tego zbliżenia. Mynheer pod gołym niebem nie wywoływał tak potężnego wrażenia jak w czterech ścianach. Miękki filcowy kapelusz, nasunięty głęboko na czoło, przysłaniał siwe, płomienne włosy i potężne bruzdy zmarszczek, zmniejszał rysy, jakby je kurczył, i odbierał nawet majestat zaczerwienionemu nosowi. Wyglądał mniej efektownie, gdy szedł, niż kiedy stał. Zwykł był po każdym małym swym kroku przenosić cały ciężar potężnego ciała na nogę, którą wysuwał naprzód, i nawet głowę przechylać na tę stronę, co dawało mu wygląd raczej dobrotliwy i starczy niż królewski. Poza tym, idąc nie prostował się na całą swą wysokość, jak to czynił stojąc, ale się nieco pochylał. Lecz i tak przerastał o głowę pana Lodovica, a cóż dopiero małego Naphtę. Stanowiło to jeden, acz nie jedyny powód, dla którego obecność jego tak silnie — nie mniej silnie, niż to sobie Hans Castorp układał w swej wyobraźni — ciążyła nad egzystencją obu polityków.

Porównanie z Holendrem degradowało ich i przynosiło im ujmę — musiał sobie z tego zdawać sprawę baczny obserwator, a niewątpliwie także i zainteresowani, zarówno obaj niepokaźni i wygadani intelektualiści, jak i majestatyczny jakała. Peeperkorn odnosił się do Settembriniego i Naphty z uprzedzającą grzecznością i respektem, które Hans Castorp gotów byłby uważać za ironię, gdyby nie zdawał sobie sprawy, że pojęcie ironii jest zupełnie nie do pogodzenia z pojęciem wielkiego formatu. Królowie nie znają ironii — nie używają jej nawet w formie zwyczajnego i klasycznego retorycznego środka, a cóż dopiero w bardziej skomplikowanym znaczeniu tego wyrazu. Toteż postępowanie Holendra wobec przyjaciół Hansa było, pod maską nieco przesadnej powagi lub otwarcie, raczej subtelną a wspaniałą kpina. — Tak — tak — tak! — mówił grożąc im palcem i przechylając twarz z żartobliwie uśmiechniętymi ustami. — To jest — to są — Moi państwo, zwracam waszą uwagę — — Cerebrum, cerebralny, rozumiecie? Nie — nie, doskonale, nadzwyczajnie,

właśnie to, tutaj się przecie okazuje — — Mścili się wymieniając porozumiewawcze spojrzenia i spoglądając potem z rozpaczą w niebo; starali się w to porozumienie wciągnąć także Hansa Castorpa, jednakże bezskutecznie.

Pan Settembrini zainterpelował kiedyś wprost swego ucznia ujawniając w ten sposób swoje zaniepokojenie wychowawcy.

— Ależ na Boga, inżynierze, ten starzec jest zwyczajnym głupcem! Co pan w nim znajduje? Czyż może się panu na coś przydać? Naprawdę, rozum odmawia mi posłuszeństwa! Pogodziłbym się jeszcze ze wszystkim, choć i tak bym tego nie pochwalał, gdyby go pan tylko tolerował, gdyby pan to robił tylko po to, aby móc przestawać z jego obecną kochanką. Ale trudno nie zauważyć, że on nieomal więcej interesuje pana od niej. Błagam pana, niech mi pan wytłumaczy...

Hans Castorp zaśmiał się. — Owszem! — rzekł. — Doskonale! Tak właśnie — Proszę pozwolić — Dobrze! — Usiłował przy tym naśladować także wytworne gesty Peeperkorna. — Tak, tak — śmiał się dalej — pan uważa, że to jest głupie, a w każdym razie niewyraźne, co w pańskich oczach jest czymś jeszcze gorszym od głupoty. Ach, głupota! Tyle jest jej rodzajów, a mądrość nie jest bynajmniej najlepszym z nich... Halo! Oto i ukulem, zdaje mi się, dobre powiedzenie, un mot. Podoba się panu?

— Owszem, bardzo. Oczekuję z niecierpliwością ukazania się pierwszego zbioru pańskich aforyzmów. Może nie będzie za późno, jeśli poproszę pana, żeby doń włączył pewne uwagi, które poczyniliśmy kiedyś przy sposobności o tym, że w każdym paradoksie tkwi mizantropia.

— Stanie się to, proszę pana, stanie się z pewnością. Ależ moje mot nie jest wcale polowaniem na paradoksy. Chodziło mi tylko o wskazanie dużych trudności, jakie... sprawia określenie „głupoty” i „mądrości”. A więc: sprawia, nieprawdaż? Tak trudno oddalić tu jedno od drugiego, a tak łatwo się z sobą zlewają... Ja wiem, pan nienawidzi mistycznego guazzabuglio, pan jest zwolennikiem wartości, sądu, sądu wartościującego i przyznaję mu w tym rację. Ale jeśli chodzi o „głupotę” i „mądrość”, to jest to czasem kompletne misterium. A przecież musi być rzeczą dozwoloną zajmowanie się także misteriami, o ile się ma uczciwy zamiar ich zgłębiania. Pytam się więc pana w następujący sposób. Pytam: Czy może pan zaprzeczyć temu, że on zapędza nas wszystkich w koziego róg? Wyraziłem się nieco rubasznie, a jednak nie może pan temu, jak sądzę, zaprzeczyć. Zapędza nas w koziego róg i posiada Bóg wie skąd prawo naśmiewania się z nas. Skąd? W jaki sposób? Dlaczego? Z pewnością nie dlatego, że jest mądry. Przyznaję, że o mądrości trudno tu mówić. Przemawia przez niego coś niewyraźnego i uczucie, na punkcie uczucia ma

bzika. Powiadam więc: Nie zapędza nas w kozi róg przez swoją mądrość, to znaczy nie przez swą przewagę duchową — pan miałby tu zastrzeżenia i rzeczywiście to nie wchodzi w grę. Ale przecie nie dzieje się to także ze względu na jego przewagę fizyczną! To prawda, ma barki kapitana okrętu i niemałą siłę pięści; mógłby każdego z nas rozciągnąć jednym uderzeniem — ale nie myśli wcale czynić tego, a jeśli nawet wpadnie na podobną myśl, to wystarczy paru kulturalnych słów, aby go uspokoić... A więc nie o przewagę fizyczną tu chodzi. A jednak coś cielesnego odgrywa w tym wszystkim rolę — ale nie w znaczeniu siły pięści, w innym, mistycznym znaczeniu — cała sprawa staje się mistyczną, z chwilą gdy pierwiastek cielesny odgrywa pewną rolę. Pierwiastek cielesny przechodzi w duchowy i na odwrót, nie można ich od siebie odróżnić, nie można także odróżnić głupoty od mądrości, natomiast działanie jest, dynamika jest — i zostajemy zapędzeni w kozi róg. Jedno tylko słowo rozwiązuje tę trudność, a tym słowem jest „osobowość”. Używamy tego pojęcia też inaczej, każdy z nas jest przecież osobowością, etyczną, prawną i Bóg wie jeszcze jaką. Tu jednak osobowość ma inne znaczenie, mistyczne, leżące poza obrębem mądrości i głupoty — i trzeba się nią interesować, po części dlatego, aby ile możności ją sobie wyjaśnić, a po części dlatego, aby jeśli nie da się wyjaśnić, przynajmniej działała na nas budująco. A skoro pan jest zwolennikiem wartościowania, to przecież osobowość jest w końcu także pozytywną wartością — pozytywniejszą niż głupota i mądrość, w najwyższym stopniu, a b s o l u t n i e pozytywną, jak samo życie. Krótko mówiąc — jest to wartość życiowa i posiada wszelkie po temu warunki, by się nią żywo zainteresować. Oto odpowiedź na to, co pan zauważył w sprawie głupoty.

W ostatnich czasach Hans Castorp nie okazywał już zmieszania podczas tego rodzaju wynurzeń i nie przerywał ich w środku. Wypowiadał gładko swą rolę, obniżał głos ku końcowi i stawiał kropkę, jak przystoi mężczyźnie. Czerwienił się jeszcze tylko jak dawniej i odczuwał trochę strachu przed krytycznym milczeniem, które nastąpi po jego przemowie, aby miał czas wstydzic się swych słów. Settembrini istotnie przedłużał milczenie, a potem rzekł:

— Pan przeczy, jakoby polował na paradoksy. Ale pan dobrze wie, że ja w równym stopniu nie lubię, kiedy pan poluje na misteria. Czyni pan tajemnicę z osobowości, nie zważając na to, że to grozi bałwochwalstwem. To, co pan czci, jest maską. Widzi pan misterium tam, gdzie jest tylko mistyfikacja, jedna z tych złudnych, pustych form, którymi nas mami demon cielesności i fizjonomiki. Nie bywał pan nigdy w towarzystwie aktorów? Nie zna pan tych wyrazistych twarzy, w których jednoczą się rysy Juliusza Cezara, Goethego i Beethovena, ale których szczęśliwi posiadacze okazują się najżałośniejszymi głupcami, skoro tylko otworzą usta?



— Dobrze, to jest igraszka przyrody — rzekł Hans Castorp. — Ale jednak jest to nie tylko taką igraszką, nie tylko oszustwem. Bo ci ludzie będąc aktorami muszą mieć talent, a talent jest sam czymś, co wykracza poza głupotę i mądrość, jest sam wartością życiową. Mynheer Peeperkorn ma także talent, to nie ulega wątpliwości, i dlatego zapędza nas w kozi róg. Każe pan usiąść w jednym kącie sali Naphcie i skłoni go pan, żeby wygłosił nadzwyczaj pouczający wykład o Grzegorzcu Wielkim i o Państwie Bożym — a w drugim stoi pan Peeperkorn ze swymi dziwnymi ustami i wysoko podniesionymi bruzdami czoła i nie mówi nic innego jak tylko swoje: „Owszem! Proszę pozwolić — Skończone!” Zobaczy pan że ludzie skupią się dokoła Peeperkorna, wszyscy dokoła niego, a Naphta z całą swą mądrością i swym Państwem Bożym zostanie sam, choć wypowiada się tak jasno i wyraziście, że przejmuje do szpiku kości...

— Wstydz się pan tej apologii powodzenia! — stwierdził Settembrini. — *Mundus vult decipi*\*. Nie pragnę wcale, aby tłum zbierał się dokoła Naphty. To straszny złośliwiec. Ale podczas tej sceny wyimaginowanej, którą pan tu, i to z potępienia godnym uznaniem, odmalował, stanąłbym po stronie Naphty. Niech pan tylko tak dalej pogardza wszystkim, co ścisłe, wyraźne i logiczne, niech pan żywi pogardę dla wyrazów po ludzku powiązanych — a to na rzecz jakichś niewyraźnych sztuczek, aluzji i uczuciowej szarlatanerii — a znajdzie się pan na pewno w rękach diabła...

— Ależ zapewniam pana, że on nieraz mówi wcale logicznie, kiedy się zapali! — odparł Hans Castorp. — Opowiadał mi przy jakiejś okazji o mocy pewnych silnie działających leków i o azjatyckich drzewach trujących, tak zajmująco, że aż niesamowicie — rzeczy zajmujące są zawsze trochę niesamowite. A zajmujące były te rzeczy nie tyle same przez się, ale w związku z jego osobą: ona czyniła, że były niesamowite i interesujące zarazem...

— Naturalnie, znamy pańską słabość do wszystkiego, co azjatyckie. Ja rzeczywiście nie mogę służyć podobnymi cudami — odparł Settembrini z taką goryczą w głosie, że Hans Castorp oświadczył pośpiesznie, iż jego przemowy i pouczenia mają zalety zupełnie innego rodzaju, i kto by chciał porównywać, krzywdziłby obie strony. Ale Włoch puścił z pogardą mimo uszu ten zwrot grzecznościowy. Ciągnął dalej:

— W każdym razie pozwól pan, inżynierze, że wyrażę podziw dla jego rzeczywistości i równowagi duchowej. Przyzna pan, że trąci ona groteską. Realnie rzecz biorąc sprawy stoją tak: Ten bałwan sprzątnął panu sprzed nosa pańską Beatrice — nazywam rzeczy po imieniu. A cóż pan na to? To bezprzykładne.

---

\* *Mundus vult decipi* (łac.) — Świat pragnie być oszukiwanym.

— Różnica temperamentów, proszę pana. Wszystko zależy od tego, do jakiego stopnia ktoś ma gorącą krew i ile w niej rycerskości. Pan naturalnie, jako dziecko Południa, posłużyłby się trucizną i sztyletem, a w każdym razie postawiłby pan sprawę tak, jak każe namiętność i względy towarzyskie, inaczej powiedziałwszy — po koguciemu. Zapewne postąpiłby pan prawdziwie po męsku, zgodnie z towarzyskim pojęciem męskości i galanterii, Ale ze mną sprawa przedstawia się inaczej. Nie jestem męski w tym znaczeniu, abym w drugim mężczyźnie widział tylko współzawodniczącego samca — może w ogóle nim nie jestem, ale w każdym razie nie w ten sposób, który sam nie wiem dlaczego nazywam „towarzyskim”. Rozważam w duchu, czy mam mu coś w ogóle do zarzucenia. Czy wyrządził mi świadomie krzywdę? A przecież obraza musi być zamierzona, w przeciwnym razie nie jest obrażą. Jeśli chodzi o krzywdę, to musiałbym do niej mieć pretensje, a do tego znowuż nie mam żadnego prawa, w ogóle nie, a już wcale nie w odniesieniu do Peeperkorna. Przede wszystkim Peeperkorn jest osobistością, co samo znaczy już wiele u kobiet, a poza tym nie jest cywilem, jak ja, ale w pewnym sensie żołnierzem, tak jak mój kuzyn: to znaczy, że ma jakiś point d'honneur, mianowicie uczucie, życie... Mówię w tej chwili głupstwa, ale wolę to, jeśli przy tej sposobności w części przynajmniej wyrażę coś trudnego, niż powtarzać w kółko nienaganne truizmy. To może jest poniekąd, że tak powiem, żołnierska cecha mego charakteru...

— Tak może pan mówić — skinął Settembrini. — To jest stanowczo cechą zasługującą na pochwałę. Mieć odwagę w poznawaniu i wyrażaniu się — to literatura, to humanizm...

W ten sposób rozstawali się przy takich okazjach w znośnym nastroju; Settembrini kończył rozmowę tonem pojednawczym, a miał powody ku temu. Czuł, że pozycja jego nie jest tak bezwzględnie pewna, aby swoją surowość mógł doprowadzić do ostateczności; zazdrość była dlań śliskim tematem rozmowy. Powinien był właściwie zareplikować w jednej szczególnie sprawie: że wobec jego żyłki pedagogicznej jego pojęcie męskości również nie miało charakteru towarzysko-koguciego. Władczy Peeperkorn miesza mu tedy w tym samym stopniu szyki, co Naphta lub pani Chauchat. Wreszcie nie mógł mieć nadziei, że zdoła swego ucznia uwolnić spod wpływu i naturalnej przewagi osobowości Holendra, skoro w sprawach cerebralnych sam jej ulegał nie mniej niż Hans Castorp.

Najlepiej czuli się obaj mistrzowie podczas dyskusyj — wtedy bowiem mogli przykuwać uwagę uczestników przechadzki debatami eleganckimi a zarazem namiętnymi, akademickimi, ale prowadzonymi w takim tonie, jakby chodziło o najżywotniejsze i najaktualniejsze kwestie. Głos zabierali właściwie tylko oni, a jeśli

człowiek „wielkiego formatu” był obecny, to na czas trwania debaty wpływ jego był jakby zneutralizowany. Mógł ją jedynie śledzić, marszcząc ze zdziwieniem czoło i niewyraźnie wypowiadając ironiczne i urywane zdania. Jednakże nawet i w tej sytuacji nie przestawał wywierać nacisku, ciążył nad rozmową, która przez to traciła wiele ze swego blasku, ze swej właściwej istoty. Czuli to wszyscy, choć on sam, przeciwstawiając się dyskutującemu, działał zapewne nieświadomie, a jeśli świadomie, to Bóg raczy wiedzieć w jakim stopniu, w każdym razie nie wychodziło to na korzyść żadnej z obu stron, ponieważ spór tracił swą wagę nabierając cech — jeśli tak można powiedzieć — przelewania z pustego w próżne. Albo inaczej mówiąc: Duchowe zmaganie się na śmierć i życie liczyło się w jakiś głuchy i niejasny sposób z krocącym obok dyskutującym człowiekiem „wielkiego formatu”, i ten magnetyczny wpływ działał ujemnie. Nie można inaczej określić tego tajemniczego działania, które irytowało obu dyskutujących. Można tylko rzec, że gdyby nie było Peeperkorna, wszyscy czuliby się obowiązani zająć bardziej zdecydowane stanowisko w wypadku, gdy na przykład Leon Naphta bronił twierdzenia o arcyrewolucyjnej postawie Kościoła przeciwstawiając się poglądom Settembriniego, który w wyszukanych słówkach i wśród przekonujących gestów dowodził, że Kościół jest tylko opiekunem ciemnego konserwatyzmu i kwietyzmu, a wszystkie siły służące życiu i przyszłości, gotowe do zmian i przewrotów, związane są z epoką biegunowo przeciwną, wielką epoką, która w oparciu o kulturę starożytną wznowiła zasady oświecenia, nauki i postępu. Na to Naphta, chłodny i bystry jak zwykle, oświadczył gotowość wykazania — i rzeczywiście wykazał w sposób olśniewający i nie dopuszczający niemal sprzeciwu — że Kościół, będąc ucieleśnieniem idei religijno-ascetycznej, żadną miarą nie może popierać istniejących instytucji, nauk świeckich i państwowych norm prawnych, że, przeciwnie, na jego sztandarze wypisane były zawsze hasła najradykałniejsze, hasła całkowitego przewrotu. Wszystko, co było uważane za godne przetrwania i czego bronić usiłowali słabi, tchórze, konserwatyści i mieszczenie, a więc rodzina i państwo, sztuka i nauki — wszystko to pozostaje w zasadniczej, uświadomionej lub nieuświadomionej sprzeczności z ideą religijną i z Kościołem, którego wrodzoną tendencją i nieodmiennym celem jest rozsądzanie istniejącego świeckiego porządku rzeczy i kształtowanie na nowo społeczeństwa według wzorów idealnego, komunistycznego Państwa Bożego.

Następnie zabrał głos Settembrini i zaprawdę nie był dłużny odpowiedzi. Pożalowania godne — mówił — jest to pomieszanie lucyferycznej rewolucji myśli z powszechnym buntem wszystkich złych instynktów! Nowatorstwo Kościoła polegało przez wieki całe na tym, że każdą życiodajną myśl stawiał przed sąd inkwizycji, tłumił i dusił w dymie stosów, a dziś, jeśli przez usta swych emisariuszy wy-

wiada się za przewrotem, to dlatego, że celem jego jest stworzenie dyktatury motłochu i barbarzyństwa na gruzach wolności, kultury i demokracji. Och, jakiż straszny dokument nielogicznej konsekwencji, konsekwentnej nielogiczności...

Naphta stwierdził, że nielogiczności i niekonsekwencji nie brak również w rozumowaniu jego przeciwnika. We własnym swym mniemaniu jest demokratą, ale wynurzenia jego bynajmniej nie świadczą o tym, by był przyjacielem ludu i zwolnikiem równości społecznej. Przejawia się w nich raczej karygodne arystokratyczne zadzieranie nosa, gdy proletariat całego świata, powołany do objęcia tymczasowej dyktatury, nazywa motłochem. Demokracizm swój natomiast objawia w stosunku do Kościoła, który, jak to z dumą przyznać trzeba, stanowi najdostojniejszą potęgę w historii ludzkości, najdostojniejszą w ostatecznym i najwyższym, bo duchowym tego słowa znaczeniu. Albowiem duch ascezy — jeśli wolno użyć pleonazmu — duch wszechzaprzeczenia i wszechzniszczenia, jest samą dostojnością, jest czystą kulturą arystokratycznego pierwiastka, nie może nigdy dotrzeć do szerokich mas, toteż Kościół był w gruncie rzeczy zawsze niepopularny. Gdyby pan Settembrini zadał sobie trud przeprowadzenia odpowiednich literackich badań z dziedziny kultury średniowiecza, przekonałby się, że lud, i to lud w najszerszym znaczeniu tego wyrazu, odnosił się z niechęcią do ducha Kościoła. Dowodem tego są chociażby pewne postaci mnichów, wytworzone przez fantazję ludowych poetów, które zupełnie już po luterańsku przeciwstawiają się idei ascetyzmu w imię chęci użycia, kobiety, śpiewu i wina. Wszystkie instynkty świeckiego bohaterstwa, duch rycerski, poezja dworska — były skrytymi lub też jawnymi wrogami idei religijnej, a tym samym hierarchii. W porównaniu bowiem z reprezentowanym przez Kościół szlachectwem ducha wszystko to było tylko „świeckie”, wszystko było dziełem motłochu.

Settembrini wyraził podziękowanie za przypomnienie mu faktów. Postać mnicha Ilsana z „Ogrodu różanego”<sup>\*</sup> w porównaniu z grobowym arystokratyzmem, głoszonym przez przeciwnika, ma w sobie coś orzeźwiającego. On sam, Settembrini, nie jest wprawdzie wielbicielem niemieckiego reformatora, o którym przeciwnik w dyskusji napomknął, gotów jest jednak z zapalem bronić demokratycznego indywidualizmu, jakim tchnie jego nauka, przed zakusami duchownych i feudałów, chcących zawładnąć osobowością ludzką.

— Ech! — zawołał nagle Naphta. — Oto próby insynuowania Kościołowi, że nie jest demokratyczny i że nie rozumie znaczenia ludzkiej osobowości! A o czymże świadczy humanitarna tolerancja prawa kanonicznego? Prawo rzymskie uzależnia zdolność prawną jednostki od posiadania obywatelstwa, prawo niemieckie od przy-

---

\* „Ogród różany” (Rosengarten) — średnio-górnoniemiecki epos bohaterski z XIII wieku.

należności plemiennej i wolności osobistej. Natomiast prawo kanoniczne wymaga jedynie wspólnoty wyznaniowej i prawowierności, a nie liczy się ze względami państwowymi i społecznymi i walczy o prawo sporządzania testamentu i dziedziczenia dla niewolników, dla jeńców wojennych, dla ludzi nie posiadających wolności osobistej.

Settembrini zauważył zjadliwie, że na taką postawę Kościoła nie bez wpływu musiał być apetyt na „porcje kanoniczne”, przypadające mu w udziale przy każdym testamencie. Poza tym mówił o „kleszej demagogii”, a w poruszaniu piekła, gdy dla zrozumiałych względów bogowie kogoś odtrąca, widział łaskawość wypływającą z bezwzględnej żądzы władzy. Twierdził też, że Kościołowi zależy bardziej na ilości niż na jakości dusz, co dowodzi braku szlachectwa duchowego.

Brak szlachectwa duchowego — w Kościele? Naphta przypomniał Settembriniemu, że przecież u podłoża idei dziedziczności grzechu leży nieubłagany arystokratyzm. Przenoszenie ciężkiej przewiny na potomstwo, które jest przecież z punktu widzenia demokratycznego niewinne! Albo fakt na przykład, że dzieci nieprawego łoża są na całe życie napiętnowane i wyjęte spod prawa.

Settembrini prosił o pominięcie milczeniem tej sprawy, gdyż, po pierwsze, buntują się przeciw temu jego ludzkie uczucia, a po drugie, ma już dość ciągłych wykrętów. Poza tym w podstępnych chwytach apologetyki przeciwnika dostrzega ślady niecnego, szatańskiego kultu nicości, który bezpodstawnie chce być uważany za objaw ducha, a który świadczy o tym, jak bardzo słuszna i święta jest powszechnie znana niepopularność ascezy.

W tym miejscu Naphta poprosił, aby wolno mu było się uśmieć. Jak można mówić o nihilizmie Kościoła? O nihilizmie najbardziej realistycznego systemu rządzenia, jaki znają dzieje świata? Czyż pan Settembrini nie poczuł nigdy tchnienia wyrozumiałej ironii, z jaką Kościół nieustannie czynił ustępstwa dla doczesności, dla ciała, czyż nigdy nie dostrzegł mądrej pobłażliwości, która nie ujawnia ostatecznych wniosków płynących z zasad i każe duchowi być tylko czynnikiem regulującym, aby uniknąć zbyt ostrych starć z naturą? Jego przeciwnik zapewne również nie rozumie kapłańskiego pojęcia wyrozumiałości, pod które podpada nawet jeden z sakramentów, mianowicie sakrament małżeństwa; nie jest on, jak inne sakramenty, dobrem pozytywnym, lecz raczej ochroną przed grzechem, jest dany ludziom dla ograniczenia zmysłowej żądzы i nieumiarkowania. W ten sposób i w tym sakramencie znalazła wyraz zasada ascezy, ideał czystości, ale znalazła go w formie unikającej zbyt ostrego i niepolitycznego konfliktu z wymaganiami ciała.

Jakże pan Settembrini mógł się tu być powstrzymać od wyrażenia wszystkich

zastrzeżeń, które w nim budziło tak wstrętne rozumienie pojęcia „polityki”, ten gest zarozumiałej pobłażliwości i mądrości, na jaki pozwalała sobie duch (a raczej to, co jest tu nazywane duchem) wobec swego rzekomo grzesznego przeciwieństwa, wobec ciała, z którym trzeba obchodzić się „politycznie”, a które w rzeczywistości nie potrzebuje wcale tej jadowitej wyrozumiałości. Zaprotestował też przeciw przekłębemu dualizmowi światopoglądu, który oddaje diabłu całe uniwersum, zarówno życie, jak i ducha, jego rzekome przeciwieństwo. Jeśli bowiem życie jest złem, to i duch jako czyste jego zaprzeczenie musi być złem również! Począł wreszcie kruszyć kopie o to, że rozkosz nie jest grzechem. Hansowi Castorpowi stanęła wówczas mimo woli przed oczyma izdebka Settembriniego na poddaszu, z pulpitem, z wyplatanyimi krzesłami i karafką na wodę. Natomiast Naphta dowodząc, że rozkosz jest nieodłącznie związana z winą i że natura powinna wobec ducha mieć zawsze wyrzuty sumienia, nazywał politykę Kościoła i wyrozumiałość ducha „miłością”, aby zbić w ten sposób zarzut nihilizmu, postawiony ascezie. Hans Castorp zauważył, że wyraz „miłość” brzmi nieco dziwnie w ustach bystrego, chudego, małego Naphty...

W ten sposób dyskusja ciągnęła się dalej. Nie jest to dla nas nowością, nie było nią dla Hansa Castorpa. Przysłuchiwaliśmy się wraz z nim przez chwilę, aby zaobserwować, jak np. wyglądała taka perypatetyczna potyczka w cieniu kroczącej obok osobistości i w jakim stopniu obecność jej pozbawiała niepostrzeżenie rozmowę jej istotnego nerwu. Działo się to tak, że tajemny przymus ciągłego pamiętania o Holendrze gasił zapalające się raz po raz iskry i stwarzał nastrój martwoty, podobny do tego, jaki występuje po wyłączeniu przewodu elektrycznego. Zachodziło tu rzeczywiste podobieństwo: sprzeczności nie wyładowywały się już wśród trzasków, ani śladu iskry ni prądu; czyjaś obecność, którą duch pragnął zneutralizować, neutralizowała raczej ducha. Hans Castorp stwierdził to z niemałym zdumieniem i zaciekawieniem. Rewolucja i zachowanie istniejącego porządku rzeczy — wszyscy spoglądali na Peeperkorna, który, stąpając obok innych, nie sprawiał zbyt wspaniałego wrażenia, chwiał się na obie strony, z kapeluszem nasuniętym na czoło; patrzano na jego szerokie, nieregularnie rozdarte wargi i na głowę, która pochylała się żartobliwie na bok, gdy mówił do dyskutujących: — Tak — tak — tak! Cerebrum, cerebralny, państwo pojmują! To jest — tu się przecie objawia — I oto gniazdo wtyczkowe było nieczynne! Próbowali innych dróg, uciekali się do zaklęć mocniejszych, poruszali „problem arystokracji”, popularności i elitarności. Żadnej iskry! Rozmowa, jakby wiedziona magnetyzmem, schodziła na tory osobiste: Hans Castorp wyobrażał sobie towarzysza podróży Kławdii leżącego w łóżku, pod czerwoną jedwabną kołdrą, w trykotowej koszuli bez kołnierza — ni to stary

robotnik, ni to królewskie popiersie — i spór zamierał w słabych drganiach. Potrzeba mocniejszego napięcia! Z jednej strony negacja i kult nicości, z drugiej wieczna afirmacja i pełne miłości ciężenie ducha do życia! Gdy się patrzyło na Mynheera, nieuchronnie i mocą tajemniczego przyciągania znikał nerw, błysk i prąd. Nie było ich, i w tym właśnie tkwiło — by użyć wyrażenia Hansa — misterium. Do swego zbioru mógłby włączyć i ten aforyzm, że misterium wypowiada się najprostszymi słowami — albo pozostaje nie wypowiedziane. Chcąc je wyrazić trzeba było stwierdzić, że do Pietera Peeperkorna, o pomarszczonej królewskiej masce i gorzko rozdartych ustach, stosuje się i to, i tamto, że jedno i drugie zespala się w nim i neutralizuje. Tak, ten głupi starzec, to władcze zero! Osłabia istotę sprzeczności nie przez mieszanie pojęć i szafowanie sofizmatami, jak Naphta; nie mówił dwuznacznie jak tamten, a jeśli tak mówił, to była to dwuznaczność zupełnie odmienna, pozytywna. Stanowił zawrotne misterium, stojące widocznie nie tylko ponad głupotą i mądrością, ale też ponad wielu innymi przeciwieństwami, za pomocą których panowie Settembrini i Naphta starali się uzyskać potrzebne im dla celów pedagogicznych wysokie napięcie. Osobistość, jak się wydawało, nie miała żadnych zamierzeń wychowawczych, a jednak obcowanie z nią było dla intelektualnego komiwojażera niezwykle szansą. Jakże ciekawe było obserwować jego królewską dwulicowość, gdy dyskutujący poruszali temat małżeństwa i grzechu, sakramentu i wyrozumiałości, gdy spierali się o to, czy jest, czy też nie ma winy w rozkoszy! Schylał głowę na ramię lub na pierś i na ramiona, bolesne wargi rozchyłały się, usta otwierały się jakby w bezsilnej skardze, nozdrza rozdymały się, jak z bólu, unosiły się bruzdy czoła, w rozszerzonych oczach malował się wyraz bladego cierpienia — stanowił obraz goryczy. A zaraz potem, w jednej chwili na męczeńskiej twarzy zakwitowało bujne życie! Pochylona na bok głowa zmieniała wyraz na filuterny, wargi, wciąż jeszcze otwarte, zaczynały się uśmiechać obleśnie, na jednym policzku pojawiał się znany nam już dołek sybaryty — przed oczyma zjawiał się tańczący kapłan pogański: wskazując żartobliwie głową na cerebralnych towarzyszy mówił: — Ech, tak, tak, tak — wspaniale. To jest — To są — Tu się okazuje — Sakrament rozkoszy, rozumienie — —

Mimo wszystko, jako się rzekło, sytuacje obu zdegradowanych przyjaciół i nauczycieli Hansa Castorpa były jeszcze stosunkowo najkorzystniejsze wówczas, gdy mogli się kłócić. Byli wtedy w przeciwieństwie do wielkiego formatu, bądź co bądź w swoim żywiole, a rolę, jaką Peeperkorn przy tym odgrywał, można rozmaicie oceniać. Sytuacja zmieniała się natomiast bezwzględnie na ich niekorzyść z chwilą, gdy nie szło już o dowcip, o słowa i spryt, ale o rzeczy praktyczne, ziemskie — słowem, o pytania, w których rozwiązywaniu celują natury władcze. W ta-

kich chwilach było już po nich, ustępowali w cień, niknęli, a Peeperkorn chwycił berło, postanawiał, rozstrzygał, zarządzał, zamawiał i rozkazywał... Cóż dziwnego, że tęskno mu było za tym stanem i że wciąż doń dążył podczas walki o słowa? Póki trwała, cierpiał — a w każdym razie, jeśli trwała zbyt długo: Hans Castorp był jednak pewny, że to nie jego próżność cierpiała. Próżności brak formatu, prawdziwa wielkość nie jest próżna. Nie — u Peeperkorna potrzeba rzeczowości wynikała z innych powodów: „z lęku”, mówiąc z grubsza, z tej obowiązkowości i poczucia honoru, o których Hans Castorp wspomniał Settembriniemu i które uważał za cechy charakteru do pewnego stopnia wojskowe.

— Moi panowie — mówił Holender podnosząc kapitańską dłoń z ostrymi paznokciami, jakby zaklinając i coś nakazując — Dobrze, moi panowie, doskonale, wspaniale! — Asceza — wyrozumiałość — rozkosz zmysłowa — Chciałbym to — Za wszelką cenę! Niezmiernie ważne! Niezmiernie sporne! Ale proszę mi pozwolić — Obawiam się, że popełniamy okropną — Cofamy się, moi państwo, cofamy się w sposób zupełnie nieodpowiedzialny przed najświętszymi — Odetchnął głęboko. — Czujecie to powietrze, moi państwo? Charakterystyczna atmosfera halnego wiatru, z przymieszką denerwującego, pełnego przeczuć i wspomnień aromatu wiosny — nie powinniśmy go wdychać, aby potem w formie — Usilnie proszę: nie powinniśmy tego czynić. To obraza. Jemu tylko winniśmy naszą pełną, nieograniczoną — och, najwyższą i najbardziej świadomą — Załatwione, moi państwo! A potem możemy je z płuc — to będzie najwyższa pochwała jego zalet — — Przerywam, moi państwo! Przerywam na cześć tego — Przystanął, przegięty w tył, ocieniając oczy kapeluszem; wszyscy poszli za jego przykładem i również przystanęli. — Patrzcie — rzekł — w górę, wysoko w górę, na ów czarny, krążący punkt na tle przedziwnie błękitnego, czarniawoniebieskiego — To ptak drapieżny, wielki drapieżnik. To jest, jeśli się nie — Moi panowie i ty, moje dziecko, to orzeł. Zwracam nań z całą stanowczością — Patrzcie! To nie myszołów, nie sęp — gdyby państwo byli tak dalekowzroczni, jak ja się stałem z biegiem — Tak, moje dziecko, naturalnie, z biegiem. Włosy mam siwe, naturalnie. Na pewno byście państwo tak samo jak ja — po tępych zaokrągleniu skrzydeł — Orzeł, moi państwo. Orzeł zyz. Krąży właśnie nad nami po niebiosach, leci na olbrzymiej wysokości, nie poruszając skrzydłami — i śledzi zapewne potężnymi, dalekowzrocznymi oczami, spod wystających kości — Orzeł, moi państwo, Jowiszowy ptak, król swego rodu, lew przestworzy! Ma ciało opierzone i dziób z żelaza, zagięty z przodu, nogi niezmiernie silne, szpony zakrzywione u palców, z których jeden, jak żelazo, tylny, opasuje przednie. Patrzcie, tak! — I kapitańską dłonią o długich paznokciach usiłował uzmysłwić szpony orła. — Dlaczego krążysz i co śledzisz, kumie? — zwrócił się znów ku



górze. — Ruń na dół! Uderz dziobem żelaznym po łbie i oczach, rozerwij brzuch stworzenia, które ci Bóg — — Doskonale! Skończone! Szpony twe powinny wpić się we wnętrze, a dziób ociekać krwią —

Wpadł w zachwyty. Nikt już nie myślał o antynomiach Settembriniego i Naphty. Wizja orła, choć już o nim nie mówiono, działała jeszcze długo i wpływała na postanowienia i przedsięwzięcia, ku którym się zwrócono pod przewodnictwem Mynheera. Towarzystwo udało się do gospody i zasiadło do stołu. Nie był to czas posiłku, a jednak nikt nie uskarżał się na brak apetytu; podniecony wspomnieniem orła, dopisał wyśmienie. Zaczęła się uczta, jedna z tych, które Mynheer urządzał często poza sanatorium, w Davos-Uzdrowisku czy Wsi, w gospodach Glaris lub Klosters, dokąd udawano się koleją. Pod jego władczyim przewodem spożywano klasyczne dary — kawę ze śmietanką i z wiejskim pieczywem lub soczysty ser na pachnącym, alpejskim maśle, które smakowało zwłaszcza do pieczonych kasztanów; zapijano to wszystko czerwonym Veltlinem, którego było, ile serce zapragnie. Zaimprovizowanej uczcie towarzyszyły strzępy mowy Peeperkorna. Za jego namową zabierał czasem głos Anton Karłowicz Ferge, poczciwiec, dla którego niedostępne były wszelkie wyżyny, ale który umiał opowiadać do rzeczy o fabrykacji rosyjskich kaloszy, jak się to miesza masę gumową z siarką i innymi substancjami, a gotowe już lakierowane kalosze „wulkanizuje” się w temperaturze ponad sto stopni. Mówił także o kole podbiegunowym, aż tam bowiem zawiodły go niejednokrotnie podróże służbowe, o słońcu nie zachodzącym nawet o północy i o wiecznej zimie u Przylądka Północnego. Okręt — mówił wydobywając słowa z żylastego gardła, spod zwisających wąsów — wydawał się tam malutki w porównaniu z olbrzymimi skałami i stalowoszarą powierzchnią wód. Niebo pokryte było żółtymi smugami świetlnymi — była to zorza północna. A wszystko miało wygląd widmowy, cała sceneria i on sam, Anton Karłowicz.

Ferge — jedyne w tym niewielkim gronie — stał poza obrębem skomplikowanych stosunków łączących jednych z drugimi. Co do pozostałych, to należy zanotować dwie rozmowy, dwie dziwne konwersacje w cztery oczy, jakie przeprowadził w owym czasie nasz niebohaterski bohater: z Kławdią Chauchat i z jej towarzyszem podróży, z każdym z nich z osobna. Jedna z tych rozmów odbyła się w hallu, w godzinie wieczornej, gdy „przeszkoda” leżała w wysokiej gorączce na górze; druga — pewnego popołudnia przy łożu Mynheera...

Owego wieczora panował w hallu półmrok. Zebranie towarzyskie było krótkie i bezbarwne, goście rozeszli się wcześniej na swe balkony, aby odbyć przepisowe werandowanie wieczorne — o ile nie podążyli drogami niezgodnymi z przepisami

kuracji i nie zeszli na dół, by grać lub tańczyć. Pod sufitem opustoszałej sali świeciła jedna tylko lampa, a sąsiednie pokoje były także słabo oświetlone. Hans Castorp wiedział jednak, że pani Chauchat, zjadłszy kolację bez swojego władcy, nie wróciła jeszcze na pierwsze piętro, ale siedziała dotąd sama w czytelni; toteż zwlekał z odejściem. Siedział w tylnej części hallu, wyższej o jeden niski stopień i oddzielonej od właściwej sali kilkoma białymi łukami, wspartymi na obłożonych boazerią słupach. Siedział przy kaflowym kominku w fotelu bujającym, podobnym do tego, w którym kołysała się niegdyś Marusia, podczas swej jedynej rozmowy z Joachimem; palił papierosa, co o tej porze było tu dozwolone.

Nadchodziła, słyszał jej kroki i szelest sukni za sobą, już stała obok niego, poruszyła trzymaną w dwu palcach kopertą, jakby wachlarzem, i odezwała się swym Przybysławowym głosem:

— Concierge odszedł. Proszę mi dać un timbre-poste!

Miała tego wieczora na sobie lekką, ciemną, jedwabną suknię, z okrągłym wycięciem i obszernymi rękawami, spiętymi u przegubu ręki. Patrzył na to z przyjemnością. Szyję jej zdobił sznur pereł, połyskujących blado w mroku. Spojrzał ku górze na jej kirgiską twarz. Powtórzył:

— Timbre? Nie mam przy sobie.

— Jak to — nie mam? Tant pis pour vous\*. Nie jest pan gotów do usług, kiedy ich żąda kobieta? — Wydeła wargi i wzruszyła ramionami. — Jestem rozczarowana. Powinniście przecież być dokładni i staranni. Wyobrażałam sobie, że pan ma w portfelu małe, złożone arkusze znaczków różnego rodzaju, ułożone według wartości.

— Nie, bo i po cóż? — rzekł. — Nie pisuję nigdy listów. Do kogóż mam pisać? Chyba czasami kartkę pocztową, a ta już jest ofrankowana. Do kogóż bym mógł pisać listy? Nie mam nikogo. Nie pozostaję już w żadnym kontakcie z nizina, stracony jestem dla niej. Krąży u nas pewna ludowa pieśń, która zaczyna się od słów: „Stracony jestem dla świata!” Tak właśnie jest ze mną.

— Ano w takim razie niech mi pan da przynajmniej papierosa, stracony człowieku! — rzekła siadając naprzeciw, obok kominka, na ławce obłożonej płóciennymi poduszkami; założyła nogę na nogę i wyciągnęła rękę. — Papierosy pan chyba ma. — Niedbale i nie dziękując wzięła papierosa ze srebrnej papierošnicy, którą zaświecił przed jej twarzą. W tym leniwym „Niech mi pan da przynajmniej”, w tym braniu bez podziękowania widoczna była pewnoš siebie kobiety zepsutej

---

\* Tant pis pour vous (franc.) — Tym gorzej dla pana.

powodzeniem, ale także przekonanie o ludzkiej — powiedzmy dokładniej: „ludzkiej” — wspólnocie posiadania; dawanie i przyjmowanie zdawało się zrozumiałe samo przez się, w jakiś dziki i miękki zarazem sposób. Krytykował to w duszy, ale tak, jak krytykuje zakochany. Potem rzekł:

— Owszem, mam je zawsze. Papierosy noszę zawsze przy sobie. Trzeba je mieć. Jakżeby można bez tego wytrzymać? To się, prawda, nazywa namiętnością, kiedy ktoś tak pyta. Szczerze mówiąc, nie jestem człowiekiem namiętnym, ale mam swoje namiętności, flegmatyczne namiętności.

— To mnie bardzo uspokaja — odparła wydechając przy każdym słowie wciągany w płuca dym — kiedy słyszę, że pan nie jest namiętny. A zresztą, jakżeby mogło być inaczej? Musiałby pan zmienić skórę. Namiętność: to znaczy żyć dla życia. A wiadomo, że wy żyjecie na to, żeby mieć przeżycia. Namiętność to zapomnienie o sobie, a wam chodzi o wzbogacenie własnej osobowości. C'est ça. Nie ma pan nawet pojęcia, że to jest wstrętny egoizm i że pewnego dnia nazwie się was wrogami ludzkości.

— Halo, halo! zaraz wrogami ludzkości? — Co też ty mówisz, Kławdio — tak ogólnie? Cóż osobistego i określonego masz na myśli mówiąc, że nie chodzi nam o życie, ale wzbogacenie własnej treści? Wy, kobiety, nigdy przecież nie moralizujecie czysto teoretycznie. Ach, moralność? To temat do dyskusji dla Settembriniego i Naphty. To wkracza w zakres wielkiego pomieszania ich pojęć. Przecież nikt nie wie sam, czy żyje dla życia, czy dla siebie, nikt nie może tego wiedzieć dokładnie i na pewno. Granica jest płynna. Istnieje egoistyczne oddanie i pełen oddania egoizm... Myślę, że na ogół rzecz przedstawia się podobnie jak w miłości. Jest to naturalnie niemoralne, że nie mogę dostatecznie zwracać uwagi na to, co mi mówisz o moralności, lecz nade wszystko cieszę się tym, że siedzimy razem, tak jak dotychczas siedzieliśmy tylko raz jeden w życiu, a ani razu od czasu twego powrotu. I że ci mogę powiedzieć, jak ładnie ci jest z tymi mankietami, opinającymi ciasno twe przeguby, i z tym cienkim jedwabiem wokół ramion — ramion, które znam...

— Odchodzę.

— Proszę, nie odchodź! Potrafię się liczyć z okolicznościami i osobistościami.

— Przynajmniej tego można oczekiwać od człowieka bez namiętności.

— Widzisz? Drwisz sobie i wymyślasz mi, gdy ja... A chcesz odejść, gdy ja...

— Uprasza się nie pozostawiać luk w tym, co się mówi, jeśli się chce być zrozumianym,

— A więc nie mam wcale, ani trochę korzystać z twej wprawy w odgadywaniu

znaczenia urwanych zdań? To niesprawiedliwe, powiedziałbym, gdybym nie rozumiał, że nie chodzi tu o sprawiedliwość...

— Ach, nie. Sprawiedliwość jest flegmatyczną namiętnością. W przeciwieństwie do zazdrości, która ludzi flegmatycznych czyniłaby bezwarunkowo śmiesznymi.

— A widzisz? Śmiesznymi. Pozwól mi więc na flegmę! Powtarzam: Jakżebym mógł wytrzymać bez tego? Jakżebym bez tego na przykład miał być wytrzymać to czekanie?

— Co?

— Czekanie na ciebie.

— Voyons, mon ami! Nie chcę już mówić o formie, w jakiej pan do mnie z niemądrym uporem się zwraca. Znudzi się panu kiedyś, a ja w końcu nie myślę udawać oburzonej mieszczki...

— Nie, bo jesteś chora. Choroba daje ci wolność. Czyni cię — stój! Znalazłem słowo, którego jeszcze nigdy nie użyłem! — Czyni cię genialną!

— O geniuszu pomówimy innym razem. Nie o to mi chodziło. Żądam jednego. Nie będzie pan utrzymywał, że przyczyniłam się czymkolwiek do tego, by pan czekał — jeśli pan w ogóle czekał — że zachęcałam pana do tego czy że choćby pozwoliłam mu na to. Stwierdzi pan natychmiast i wyraźnie, że rzecz miała się wręcz przeciwnie...

— Z chęcią, Kławdio, naturalnie. Nie żądałaś ode mnie, bym czekał, czekałem z własnej woli. Rozumiem zupełnie, że przywiązujesz do tego wagę...

— Pan jest impertynencki, nawet gdy coś przyznaje. W ogóle impertynent z pana, Bóg wie z jakiej racji. Nie tylko w stosunku do mnie, ale i poza tym. Nawet gdy pan jest pełen podziwu i gdy podporządkowuje się innym, jest w tym coś impertynenckiego. Niech pan nie przypuszcza, że tego nie widzę! Nie powinna bym właściwie z tego powodu w ogóle z panem rozmawiać, a także i dlatego, że pan ośmiela się mówić o czekaniu. Jest to nieodpowiedzialne postępowanie, że pan tu jeszcze siedzi. Powinien pan już od dawna być przy swej pracy, sur le chantier\* czy gdzie to było...

— W tym, co teraz mówisz, Kławdio, nie ma nic genialnego. Jesteś całkiem konwencjonalna. Nie możesz tego rozumieć tak jak Settembrini — a cóż to może innego znaczyć? Powiedziałaś to na wiatr, nie mogę tego brać poważnie. Nie odjadę w sposób dziki jak mój biedny kuzyn, który — co sama przepowiedziałaś — umarł dlatego, że usiłował pełnić służbę na równinie. Wiedział, że umrze, ale wolał

---

\* ...sur le chantier (franc.) — w stoczni.

umrzeć niżli tu pełnić dalej służbę jako kuracjusz. Dobrze, po to był żołnierzem. Ale ja nim nie jestem, jestem cywilem, i gdybym chciał za wszelką cenę wbrew zakazowi Radamanta wrócić na równinę i pracować tam dla pożytku i postępu społecznego, byłoby to właśnie ucieczką spod sztandaru. Byłoby też największą niewdzięcznością i niewiernością wobec choroby, geniuszu i wobec mej ku tobie miłości, po której zostały mi dawne blizny i świeże rany, i przeciw tym ramionom, które znam, choć przyznaję, że poznałem je tylko we śnie, w genialnym śnie, a więc nie mogą stąd oczywiście wynikać żadne dla ciebie konsekwencje ani zobowiązania, ani jakiegokolwiek ograniczenie twojej wolności...

Śmiała się z papierosem w ustach, tak że jej tatarskie oczy prawie się mrużyły; oparta o boazerię, z rękoma na ławce i z założonymi nogami, zaczęła kołysać nogą, obutą w czarny, lakierowany pantofelek.

— Quelle générosité! Oh, la, la, vraiment\*, właśnie tak wyobrażałam sobie un homme de génie\*\*, mój biedny chłopcze!

— Przestań, Kławdio! To prawda, nie jestem z natury un homme de génie ani nawet człowiekiem wielkiego formatu, mój Boże, nie. Ale dzięki przypadkowi — nazwij to przypadkiem — wzniosłem się tu tak wysoko, w dziedzinę genialności... Krótko mówiąc, nie wiesz zapewne, że istnieje coś takiego, co nosi nazwę alchemiczno-hermetycznej pedagogiki, transsubstancjacji ku formom wyższym, a więc wznoszenie się, jeśli chcesz mnie dobrze zrozumieć. Ale kto ma się nadawać do tego, aby go wpływy zewnętrzne podniosły i pchnęły na wyżyny, musi mieć w sobie już przedtem jakieś na to zadatki. Ja miałem je dzięki temu, że — wiem to na pewno — od dawna żyłem na przyjacielskiej stopie z chorobą i śmiercią i już jako dziecko pożyczyłem sobie nierozsądnie od ciebie ołówkę, podobnie jak tu, w zapusty. A nierozsądna miłość ma w sobie coś z geniuszu, bo śmierć, jak wiesz, jest pierwiastkiem genialnym, resbina albo lapis philosophorum, i jest także pierwiastkiem wychowawczym, bo miłość śmierci wiedzie do miłości życia i ludzi. Tak to jest, przyszło mi to na myśl, kiedym leżał w swej loggii, i cieszę się niezmiernie, że mogę ci to wszystko powiedzieć. Dwie są drogi, które wiodą do życia: jedna to zwykła droga, prosta i prawa. Druga jest zła, wiedzie przez śmierć, i to jest genialna droga!

— Jesteś niemądrym filozofem — odparła. — Nie powiem, bym rozumiała wszystko w twoich mętnych, niemieckich myślach, ale to, co mówisz, brzmi po

---

\* Quelle générosité... (franc.) — Co za wspaniałomyślność! Ho, ho, rzeczywiście.

\*\*...un homme de génie (franc.) — człowiek genialny.

l i u d z k u i jesteś bez wątpienia dobrym chłopcem. Poza tym przyznać trzeba, że zachowałeś się istotnie en philosophe...

— Zanadto en philosophe, jak na twój gust, Kławdio. Czy nie?

— Daj pokój impertynencjom! Stają się nudne. To, żeś czekał, było głupie i niedozwolone. Ale nie gniewasz, się na mnie, żeś czekał na próżno?

— Ano, to było trochę przykre, Kławdio, nawet dla człowieka o flegmatycznych namiętnościach — przykre dla mnie i okrutne z twojej strony, żeś przyjechała razem z nim, bo naturalnie wiedziałaś od Behrensa, że tu jestem i czekam na ciebie. Ale powiedziałem ci już przecież, że tę naszą noc uważam za sen tylko i zostawiam ci pełną wolność. W końcu — nie czekałem przecież na próżno, bo jesteś tu z powrotem, siedzimy obok siebie jak niegdyś, słyszę cudowną ostrość twego głosu, od dawna znaną memu uchu, a pod tą zasłoną z jedwabiu są twoje ramiona; które znam — choć tam w górze leży w gorączce twój towarzysz podróży, wielki Peeperkorn, który ci podarował te perły...

— I z którym, celem wzbogacenia swej osobowości, utrzymuje pan tak przyjazne stosunki.

— Nie bierz mi tego za złe, Kławdio! Settembrini wymyślał mi również z tego powodu, ale to jest przecież tylko towarzyski przesąd. On jest wartościowym człowiekiem — mój Boże, jest przecież osobistością! Że jest starcem — to prawda. Mimo to rozumiałbym dobrze, gdybyś go, jako kobieta, niezmiernie kochała. Więc kochasz go bardzo?

— Mimo całą twą wielką filozofię, ty poczciwy Niemiaszku — odparła głaszcząc dłonią jego włosy — uważałabym za n i e l i u d z k i e opowiadać ci o swej miłości do niego!

— Ach, Kławdio, dlaczegoż nie! Zdaje mi się, że ludzkość zaczyna się tam, gdzie ludzie niegenialni sądzą, że się kończy. Mówmy o nim spokojnie! Kochasz go namiętnie?

Pochyliła się ku przodowi, aby rzucić do kominka wypalony papieros, a potem siedziała z założonymi na piersiach rękami.

— On mnie kocha — mówiła — jestem dumna z jego miłości, jestem mu wdzięczna i oddana. Ty to zrozumiesz, albo nie jesteś godny przyjaźni, jaką dla ciebie żywi... Uczucie jego zmusiło mnie, abym za nim poszła i służyła mu. Bo jakżeby inaczej? Powiedz sam! Czy jest rzeczą możliwą przejść do porządku nad jego uczuciem?

— Nie, to niemożliwe! — potwierdził Hans Castorp. — Nie, oczywiście, to było

wykluczone. Jakżeby kobieta mogła przejść do porządku nad jego uczuciem, nad jego lękiem o uczucie, porzucić go, że tak powiem, w Getsemani...

— Nie jesteś głupi — mówiła, a jej skośne oczy patrzyły z zamyśleniem. — Nie brak ci rozumu. Nad lękiem o uczucie...

— Nie trzeba mieć wiele rozumu, aby uznać, że musiałaś pójść za nim, chociaż — albo raczej: ponieważ — w jego miłości jest coś przerażającego.

— C'est exact... Przerażającego. Ma się z nim, wiesz, wiele trosk, wiele trudności... — Ujęła jego dłoń i bawiła się nią nieświadomie, ale nagle spojrzała nań ze ściągniętymi brwiami i spytała:

— Czy to nie podle, że mówimy o nim w ten sposób?

— Z pewnością nie, Kławdio. Nie, bynajmniej nie. To jest tylko po ludzku! Lubisz to słowo, przeciągasz je tak marzycielsko, zawsze lubiłem słyszeć je z twych ust. Mój kuzyn Joachim nie lubił go, ze względów „wojskowych”. Zdawało mu się, że ono oznacza ogólne niedołęstwo i brak hartu; jeśli się je tak pojmuje, jako bezbrzeżne guazzabuglio cierpliwości, to i ja mam pewne zastrzeżenia przeciw temu. Ale jeśli słowo to oznacza wolność, genialność i dobroć, to jest wielką rzeczą i możemy go spokojnie używać mówiąc o Peeperkornie i troskach oraz trudnościach, jakich ci przysparza. Są one naturalnie wynikiem jego point d'honneur, jego strachu przed tym, by uczucia nie odmówiły mu posłuszeństwa; dlatego tak chętnie posługuje się klasycznymi środkami wzmacniającymi i pokrzepiającymi. Możemy nie uwłaczając mu mówić o tym, bo wszystko u niego ma format, wspaniały królewski format. Nie umniejszamy ani nie ponizamy ani jego, ani siebie, gdy mówimy o tym po ludzku.

— Nie o nas tu chodzi — odparła krzyżując znów ramiona. — Nie byłabym kobietą, gdybym nie zgodziła się nawet na ponizenia, jeśli chodzi o mężczyznę wielkiego formatu, jak ty to nazywasz, dla którego jestem przedmiotem uczucia i lęku o uczucie.

— Bezwzględnie, Kławdio. Dobrześ to powiedziała. Ponizenie ma wtedy również format, a kobieta może z wyżyny swego ponizenia spoglądać na tych, którzy nie mają tak wielkiego formatu, i mówić tak lekceważąco, jak ty uczyniłaś to przed chwilą w związku ze znaczkami pocztowymi, mówić tym tonem, jakim rzekłaś: „Powinniście przecież być przynajmniej dokładni i staranni”.

— Widzę, że jesteś przeczulony. Dajże spokój! Precz z przeczuleniem — dobrze? I ja byłam czasami zbyt wrażliwa, muszę to wyznać, skoro dziś tak razem tu siedzimy. Irytowała mnie twoja flegma i to, że byłeś z nim w tak zażyłej przy-

jaźni, byleś miał swoje egoistyczne przeżycia. A mimo wszystko cieszyłam się i byłam ci wdzięczna, że masz dla niego szacunek... Było dużo lojalności w twoim postępowaniu, a jeśli było w nim też nieco impertynencji, to w końcu i tego nie mogłam potępić.

— To było bardzo łaskawie z twojej strony.

Spojrzała nań. — Zdaje się, że jesteś niepoprawny. Powiem ci: jesteś chytrym chłopcem. Nie wiem, czy jesteś bardzo inteligentny, ale chytry jesteś bezwzględnie. Zresztą to dobrze, można z tym żyć. I można też być dobrym przyjacielem. Zawrzyjmy przyjaźń, przymierze dla niego, tak jak się zawiera przymierze przeciw komuś! Zgoda? Dasz mi rękę na to? Boję się często... Obawiam się czasem samotności z nim, wewnętrznego osamotnienia, tu sais?... On mnie przeraża... Obawiam się nieraz, że może źle skończyć... Chciałabym bardzo mieć kogoś dobrego koło siebie... Enfin, jeśli i to chcesz wiedzieć, może dlatego właśnie przyjechałam z nim tu...

Siedzieli dotykając się kolanami, on na przechylnym ku przodowi bujającym fotelu, ona na ławce. Przy ostatnich, tuż przy jego twarzy wypowiedzianych słowach uściśliła mu rękę. Odparł:

— Do mnie? O, to pięknie, Kławdio, to nadzwyczajne! Przyjechałaś z nim do mnie? A mimo to mówisz, że oczekiwanie me było głupie i niedozwolone, i zupełnie daremne? Byłbym bardzo niezręczny, gdybym nie umiał ocenić twej propozycji przyjaźni: przyjaźni z tobą dla niego.

W tej chwili pocałowała go w usta. Był to taki rosyjski pocałunek, który w owym rozległym, uduchowionym kraju wymienia się podczas największych chrześcijańskich świąt, a którym przypieczętowuje się miłość. Wymieniał go jednak w tym wypadku notorycznie „chytry” młody człowiek z również jeszcze młodą kobietą o wdzięcznym chodzie. Kiedy o tym mówimy, mimo woli przypomina nam się z lekka to, co dr Krokowski zwykł był w swój kunsztowny, choć budzący pewne zastrzeżenia sposób mówić o miłości; mówił o niej w znaczeniu nieco chwiejnym, tak że nikt nie wiedział na pewno, czy chodzi o coś wzniosłego, czy też o namiętność cielesną. Czy postępujemy podobnie w tej chwili i my, czy podobnie też postępowali Hans Castorp i Kławdia Chauchat podczas owego rosyjskiego pocałunku? Ale cóż by powiedziano, gdybyśmy się po prostu wzbranieli wyjaśnić tę rzecz do głębi? Zdaniem naszym „ścisle” oddzielenie wzniosłości i namiętności jest, gdy chodzi o miłość, wprawdzie potrzebne ze względu na analizę, ale — aby użyć wyrażenia Hansa Castorpa — jest bardzo „niezręczne”, a nawet wrogie w stosunku do życia. Cóż tu znaczy „ścistość”? Co znaczy „chwiejne znaczenie” i „dwu-



znacznosc”? Śmiejemy się z tego otwarcie! Czyż nie jest to przedziwne, że język ma tylko j e d n ą nazwę na wszystko, co można przez to rozumieć, od uczucia najwznioślejszego do najbardziej cielesnego pożądania? Tworzy to zupełną jednoznaczność wśród dwuznaczności, miłość bowiem nie może być bezcielesna, nawet gdy jest tak najbardziej wzniosła, ale też nie może nie być wzniosła, gdy jest jak najbardziej cielesna. Jest zawsze sobą, czy w swym skrytym życiowym pędzie, czy w najwyższym uniesieniu, jest sympatią do pierwiastka organicznego, wzruszająco lubieżnym uściskiem obejmuje to, co skazane na rozkład. Charitas tkwi w każdej namiętności, zarówno w tej, która jest godna uwielbienia, jak w najwścieklejszej. Chwiejne pojęcie? Ale niechże sobie w imię Boże pojęcie miłości będzie chwiejne! Że jest nim, to dowodzi ludzkiej żywotności, a kto by martwił się z tego powodu, wykazałby beznadziejny brak sprytu.

W chwili więc gdy wargi Hansa Castorpa i pani Chauchat połączyły się w rosyjskim pocałunku, zaciemnijmy nasz mały teatr, aby zmienić dekorację. Teraz bowiem chodzi o drugą z przyrzeczonych przez nas rozmów. Gdy rozbłyśnie znów światło, ponure światło chylącego się ku wieczorowi wiosennego dnia w okresie tajania śniegu, ujrzymy naszego bohatera w powtarzającej się często sytuacji, u łóżka wielkiego Peeperkorna, w pełnej czci i przyjacielskiej z nim rozmowie. Po podwieczorku w sali jadalnej, przy którym pani Chauchat zjawiała się, podobnie jak przy trzech poprzednich posiłkach, sama, aby zaraz potem pójść na shopping do Uzdrowiska, kazał Hans Castorp zameldować Holendrowi, że pragnie go odwiedzić. Uczynił to, aby mu złożyć uszanowanie i rozerwać go trochę, a także aby samemu poddać się budującemu działaniu jego osobowości — słowem ze względów życiowo chwiejnych. Peeperkorn odłożył na bok swój „Telegraaf”, rzucił nań rogowe binokle, które zdjął z nosa chwytając za siodelko, i podał gościowi swą dłoń kapitana okrętu, a jednocześnie jego szerokie rozdarte wargi poruszały się niewyraźnie a boleśnie.

Miał jak zwykle pod ręką czerwone wino i kawę; serwis do kawy stał na krześle obok łóżka, a brunatne smugi na filizance świadczyły, że był użyty. Mynheer wypił już swój zwykły podwieczorek, gorący i mocny, z cukrem i śmietanką — co przyprowadziło go o poty. Opłomieniona siwizną królewska twarz była zaczerwieniona, a czoło i górna warga pokryte drobnymi kropelkami.

— Pocę się nieco — rzekł. — Witaj, młody człowieku. Wręcz przeciwnie. Proszę spocząć! To znak osłabienia, jeśli się ktoś po wypiciu czegoś gorącego zaraz — Proszę mi — Słusznie. Chustka. Dziękuję bardzo.

Rumieńce znikły wkrótce, ustępując, jak zwykle po złośliwym ataku, miejsca

żółtawej bladości, którą powlokła się twarz wspaniałego starca. Kwartana miała tego dnia przebieg szczególnie silny, przeszła wszystkie trzy stadia, stadium zimna, żaru i wilgoci. Małe, blade oczy Peeperkorna patrzyły znużone spod sieci zmarszczek. Powiedział:

— To jest — owszem, młody człowieku. Muszę absolutnie nazwać — godne pochwały — Absolutnie. Bardzo ładnie z pańskiej strony, że chorego starca —

— Że odwiedziłem? — zapytał Hans Castorp. — Ależ nie, Mynheer. To ja powinienem być wdzięczny, że wolno mi tu siedzieć przez chwilę; mam przecież z tego o wiele większą korzyść aniżeli pan; przychodzę ze względów czysto egoistycznych. A jakież to błędne określenie pańskiej osoby — „chory starzec”. Nikt by nie wpadł na to, że o p a n u mowa. To stwarza zupełnie fałszywy obraz rzeczy.

— Dobrze, dobrze — odparł Mynheer i zamknął na parę sekund oczy, odrzucając majestatyczną głowę w tył i palce o długich paznokciach splatając na szerokiej, królewskiej piersi, odznaczającej się pod trykotową koszulą. — To dobrze, młodzieńcze, a raczej, pan ma dobre chęci, jestem o tym przekonany. Wczoraj po południu było bardzo przyjemnie — tak, jeszcze wczoraj po południu — w owej miłej gospodzie — zapomniałem, jak się nazywa — gdzieśmy — wspaniałe salami, jajecznicę i to zdrowe tutejsze winko —

— To było wspaniałe! — potwierdził Hans Castorp. — Jedliśmy też wszyscy, aż się uszy trzęsły — kucharz sanatoryjny słusznie by się obraził, gdyby to widział — słowem zabraliśmy się wszyscy bez wyjątku intensywnie do rzeczy! To było prawdziwe, salami; Settembrini był wzruszony, jadł, że tak powiem, ze łzami w oczach. Wie pan przecież, że jest patriotą — demokratą i patriotą. Poświęcił swą kopię obywatelską na ołtarzu ludzkości, aby salami w przyszłości clono na Brennerze.

— To nieistotne — oświadczył Peeperkorn. — To jest człowiek rycerski, wesoły i rozmowny, a przy tym wytworny, choć widocznie nie stać go na to, by zmieniał często ubrania.

— W ogóle ich nigdy nie zmienia! — rzekł Hans Castorp. — W ogóle nie stać go na to! Znam go już od dłuższego czasu i jestem z nim bardzo zaprzyjaźniony, to znaczy on zajął się mną, za co mu jestem niezmiernie wdzięczny. Uważał mianowicie, że jestem „wiecznym dla życia strapieniem” — to takie wyrażenie, którego używamy między sobą — trochę niezrozumiałe bez bliższego wyjaśnienia — i stara się korygować moje poglądy. Nie widziałem nigdy, aby nosił zimą czy latem co innego niż spodnie w kratę i wytarty dwurzędowy surdut. Umie zresztą nosić stare ubrania z godnością, jak dżentelmen, co do tego zgadzam się z panem zupełnie. Sposób, w jaki je nosi, stanowi triumf nad ubóstwem, i wolę nawet to ubóstwo od elegancji

małego Naphty, która czyni niesamowite wrażenie i pachnie czymś diabelskim. Środki, które mu ją umożliwiają, pochodzą z tajnych źródeł — wiem o tym coś niecoś.

— Rycerski i wesóły człowiek — powtórzył Peeperkorn nie reagując na wzmiankę o Naphcie — chociaż — pozwoli pan na pewne zastrzeżenie — chociaż nie bez przesądów. Madame, moja towarzyszka podróży, nie ceni go zbyt wysoko, jak pan to pewnie zauważył, wyraża się o nim bez sympatii, dlatego zapewne, że w zachowaniu wobec niej te przesady — Ani słowa, młody człowieku. Nie chcę bynajmniej pana Settembriniego ani pańskich przyjaznych uczuć do niego — Skończone! Nie mam zamiaru twierdzić, żeby kiedykolwiek, gdy chodziło o grzeczność, którą wobec kobiety — Doskonale, drogi przyjacielu, zupełnie bez zarzutu! Ale jest tam przecież pewna granica, pewna powściągliwość, jakaś postawa nie-przy-chylna, która w wysokim stopniu — niechęć Madame —

— Czyni zrozumiałą. Czyni jasną. W wysokim stopniu usprawiedliwia. Pan mi wybaczy, że nie proszony, kończę pańskie zdanie. Mogę to zaryzykować w przekonaniu, że się zupełnie zgadzamy. Szczególnie jeśli się zważy, jak bardzo kobiety — wolno się panu uśmiechnąć, że ja w tak młodym wieku wydaję takie ogólne sądy o kobietach — jak bardzo kobiety w swym stosunku do mężczyzn są zależne od zachowania się mężczyzny wobec nich; nie ma więc w tym nic dziwnego. Kobiety, tak bym się wyraził, są istotami reaktywnymi, bez własnej inicjatywy, są leniwe, w tym sensie, że są bierne... Proszę mi pozwolić spróbować, choć z trudem, rozważania moje nieco rozwinąć. Kobieta, o ile mogłem skonstatować, uważa się w sprawach miłości pierwotnie za obiekt tylko, pozwala działać wypadkom, nie wybiera sama swobodnie; staje się podmiotem miłości i zaczyna wybierać dopiero na podstawie wyboru dokonanego przez mężczyznę. A nawet wtedy, niech mi będzie wolno to dodać, jej wybór jest ograniczony i jakby przekupiony tą okolicznością, że została wybrana. (Zakładam naturalnie, że chodzi o mężczyznę o niezbyt udręczonej duszy — choć i to nie stanowi warunku koniecznego.) Mój Boże, mówię pewno rzeczy oklepane, ale kiedy się jest młodym, wszystko się naturalnie wydaje nowe, nowe i zdumiewające. Pyta się pan kobiety: „Czyż ty go kochasz?” — a ona odpowiada, podnosząc lub spuszcżając oczy: „On mnie tak bardzo kocha!” — Proszę sobie teraz wyobrazić odpowiedź taką wychodzącą z ust któregoś z nas — pan mi wybaczy zestawienie! Może istnieją mężczyźni, którzy by musieli tak odpowiedzieć, ale to ludzie niewątpliwie śmieszni, to pantoflarze miłości, mówiąc epigramatycznie. Chciałbym wiedzieć, jak kobieta, która daje taką odpowiedź, ocenia swą własną wartość. Czy jest przekonana, że powinna odpłacić mężczyźnie bezgranicznym oddaniem za to, że raczył wybrać istotę tak marną jak ona, czy też w miłości

mężczyzny widzi nieomylny znak jego doskonałości? Zadawałem już sobie w ciichości ducha czasami takie mniej więcej pytanie.

— To sprawy najpierwotniejsze, fakty klasyczne! Młody człowieku, zręcznymi słówkami porusza pan rzeczy święte — odparł Peeperkorn. — Mężczyznę oszołomia żądza, kobieta pragnie oszołomienia się jego żądzą i tego oczekuje. Stąd nasz obowiązek uczucia! Stąd straszliwa hańba braku uczuć i niezdolności obudzenia żądzy w kobiecie. Napije się pan ze mną wina? Ja chciałbym się napić. Czuję pragnienie. Straciłem dziś dużo wilgoci.

— Bardzo panu dziękuję. Nie jest to wprawdzie moja właściwa pora, ale zawsze jestem gotów wychylić łyk wina za pańskie zdrowie.

— No to proszę wziąć kieliszek. Mam tu tylko jeden, więc ja posłużę się szklanką. Mam wrażenie, że nie obrażę tego musującego winka, jeśli — z prostej szklanki — Nalał przy pomocy gościa, bo jego kapitańska ręka trzęsa się lekko, i wlał chciwie w swoje posagowe gardło szklankę czerwonego wina, jakby to była czysta woda.

— To krzepi — rzekł. — Nie pije pan więcej? W takim razie pan pozwoli, że sobie jeszcze — Nalewając powtórnie, rozlał nieco wina. Na powleczeniu koldry ukazały się ciemnoczerwone plamy. — Powtarzam — rzekł podniósłszy ostro zakończony palec, podczas gdy w drugiej ręce drżała mu szklanka — powtarzam: Stąd pochodzi nasze zobowiązanie, nasz religijny obowiązek doznawania uczuć. Uczucie nasze, rozumie pan, to męska siła, budząca życie. Życie drzemie. Chce być obudzone, aby się upajać swymi zaślubinami z boskim uczuciem. Bo uczucie, młody człowieku, jest boskie. Człowiek jest podobny bogom, jeśli doznaje uczuć. Jest uczuciem Boga. Bóg stworzył go, aby za jego pośrednictwem doznawać uczuć. Człowiek nie jest niczym innym jak tylko organem, za pomocą którego Bóg poślubi obudzone i pijane namiętnością życie. Jeśli uczucie odmówi mu posłuszeństwa, popełnia świętokradztwo. Jest to klęska boskiej siły męskiej, kosmiczna katastrofa, niepojęta i straszliwa. — Wypił.

— Pozwoli pan, że wezmę pana szklankę, Mynheer Peeperkorn — rzekł Hans Castorp. — Śledzę bieg myśli pańskiej i dowiaduję się niezmiernie wiele. Rozwija pan teologiczną teorię, w której przypisuje pan ludziom wysoce zaszczytną, choć może nieco jednostronną religijną funkcję. Pański sposób myślenia jest, jeśli wolno mi tak powiedzieć, nieco rygorystyczny, jest w nim nawet, niech mi pan wybaczy, coś przytłaczającego. Ludzi skromnego formatu przytłacza, rozumie się, wszelka religijna surowość. Nie ośmieliłbym się poprawiać pana, ale chciałbym nawiązać do tego, co pan powiedział, chciałbym powrócić do owych „przesądów”, którymi

według pańskich obserwacji kieruje się pan Settembrini w stosunku do Madame, do pańskiej towarzyszki podróży. Znam pana Settembriniego od dawna, od bardzo dawna, od lat. I mogę pana zapewnić, że jego przesady, o ile je w ogóle ma, w każdym razie nie mają w sobie nic małostkowego, małomieszczańskiego — to śmieszne, nie może być o tym mowy. Mogą tu w grę wchodzić jedynie i wyłącznie przesady w większym stylu, a więc nieosobiste — ogólne zasady wychowawcze, przy których realizowaniu prawdę powiedziawszy, pan Settembrini, mnie jako „wieczne strapienie” — Ale to zawiodłoby za daleko. Jest to bardzo obszerna sprawa, nie mogę jej w kilku słowach —

— A pan kocha Madame? — zapytał nagle Mynheer i zwrócił ku gościowi królewską twarz z boleśnie rozdartymi ustami i małymi, bladymi oczami pod arabskimi czola... Hans Castorp przeraził się. Wyjąkał:

— Czy ja... to znaczy... Mam naturalnie dla pani Chauchat cześć, chociażby dlatego, że jest —

— Bardzo proszę — rzekł Peeperkorn wyciągając dłoń hamującym, wytwornym gestem. Zapewniwszy sobie w ten sposób dość miejsca dla własnych słów, ciągnął dalej: — Muszę powtórzyć, że nie mam bynajmniej zamiaru zarzucania temu Włochowi, jakoby kiedykolwiek uchybił w czymkolwiek przepisom rycerskości — Podobnego zarzutu przeciw nikomu nie podnoszę, przeciw nikomu. Ale to rzuca mi się w oczy — W tej chwili na przykład cieszę się bardzo — Dobrze, młody człowieku. Zupełnie dobrze, doskonale. Cieszy mnie to bez wątpienia: sprawia mi prawdziwą radość. Mimo to mówię sobie — Mówię po prostu tak: Pan zna panią Chauchat dłużej niż mnie. Dzielił pan z nią już poprzedni jej pobyt tutaj. A poza tym ona jest kobietą pełną najbardziej czarujących zalet, a ja tylko chorym starcem. Dlaczego to — Ponieważ jestem niedysponowany, poszła dziś po południu sama i bez żadnego towarzystwa do Uzdrowiska po zakupy — Nie ma nieszczęścia! Najmniejszego! Ale byłoby niewątpliwie — Czyż mam to przypisywać wpływom — jak pan to nazwał? zasad wychowawczych Signora Settembriniego, że pan rycerskiej chęci — Proszę mnie dobrze rozumieć...

— Rozumiem, Mynheer Peeperkorn! Więc nie. Ale to zupełnie nie. Postępuję wyłącznie z własnej inicjatywy. Przeciwnie, pan Settembrini nawet przy pewnej sposobności — — Widzę z przykrością plamy z wina na pańskiej pościeli, Mynheer Peeperkorn. Czy nie trzeba by — Posypywaliśmy je zwykle solą, zanim wyschły —

— To nieistotne — rzekł Peeperkorn nie spuszczać gościa z oka.

Hans Castorp zbladł.

— Sprawa — rzekł z nieszczerym uśmiechem — przedstawia się jednak nieco

inaczej niż zazwyczaj. Duch, jaki tu w górze panuje, nie jest, że tak powiem, konwencjonalny. Pierwszeństwo ma chory, bez względu na to, czy jest mężczyzną, czy kobietą. Przepisy rycerskości ustępują wobec tego na drugi plan. Pan jest chwilowo niezdrów, Mynheer Peeperkorn — jest to stan ostry, chwilowe niedomaganie. Pańska towarzyszka podróży jest w porównaniu z panem osobą zdrową. Sądzę więc, że działam całkiem po myśli Madame, jeśli na czas jej nieobecności zastępuję ją cokolwiek przy panu — o ile tu można mówić o zastępstwie, ha, ha! — wybrałem tę ewentualność zamiast drugiej, zamiast zastąpić pana przy niej i ofiarować jej swoje towarzystwo. Poza tym cóż by mnie upoważniało do tego, bym pańskiej towarzysze podróży narzucał się z rycerskimi usługami? Mogę powiedzieć, że mam dużo zrozumienia dla pozytywnych stosunków prawnych. Słowem — zdaje mi się, że zachowanie się moje jest poprawne, że odpowiada istniejącemu stanowi rzeczy, a przede wszystkim zgodne jest z moimi szczerymi uczuciami względem pana, Mynheer Peeperkorn. Sądzę, że tym samym dałem zadowalającą odpowiedź na pańskie pytanie, bo pan przecie zadał mi pewne pytanie.

— I to bardzo przyjemną odpowiedź — odparł Peeperkorn. — Słucham z mimowolną przyjemnością pańskich szybkich słówek, młodzieńcze. Biorą lekko wszystkie przeszkody i zaokrąglają sprawy odbierając im ostre kontury. Ale zadowalającą — nie. Pańska odpowiedź niezupełnie mnie zadowala — proszę wybaczyć, jeśli to dla pana jest rozczarowaniem. „Rygorystyczny” — użył pan przed chwilą, drogi przyjacielu, tego wyrazu w stosunku do pewnych moich zapatrywań. Ale także i pańskie wypowiedzi są nieco rygorystyczne, są wymuszone i surowe, co, jak mi się zdaje, niezgodne jest z pańską naturą, chociaż stwierdziłem to też w sposobie, w jaki się pan w pewnych okolicznościach zachowuje. Teraz zauważyłem to znowu. Jest to ten sam wymuszony sposób, który zaobserwowałem u pana podczas wspólnych przechadzek w stosunku do Madame — wyłącznie w stosunku do niej — a który mi pan — wytłumaczyć — to jest dług, młody człowieku, to zobowiązanie. Nie myślę się. Zbyt często stwierdzałem słusność tego spostrzeżenia i jest nieprawdopodobne, aby tego także i inni nie zauważyli, z tą różnicą, że inni zapewne, a nawet prawdopodobnie, umieją sobie wytłumaczyć to zjawisko.

Mynheer mówił dziś wyjątkowo ściśle i zaokrąglonymi, nie urywanymi zdaniami, mimo że był wyczerpany złośliwym napadem malarii. Na wpół siedząc w łóżku, potężne barki i wspaniałą głowę zwracał wprost ku gościowi; jedno jego ramię spoczywało na kołdrze, a piegowata ręka kapitana okrętu wystająca z trykotowego rękawa układała się w formie owego towarzyszącego ścisłym wywodom koła, nad którym sterczały włócznie trzech palców; usta formowały słowa tak ostro

i dokładnie, plastycznie wprost, z gardłowym R w wyrazach „prawdopodobnie” i „zaobserwowałem”, że pan Settembrini nie miałby mu nic do zarzucenia.

— Uśmiecha się pan — ciągnął dalej — kręci pan głową mrugając oczyma. Mam wrażenie, że na próżno się pan głowi. A jednak niewątpliwie pan wie, co mam na myśli, o co mi chodzi. Owszem, rozmawia pan czasem z panią Chauchat i odpowiada na jej pytania, gdy tego rozmowa wymaga — nie przeczę. Ale powtarzam, jest w tym coś wymuszonego, dokładnie mówiąc: coś wymijającego, unikanie czegoś, a mianowicie, jeśli się bliżej przyjrzeć, unikanie pewnej formy. Słuchając pana ma się wrażenie, że chodzi tu o jakiś zakład, mocą którego nie wolno panu zwracać się do niej w pewien określony sposób. Unika pan tego konsekwentnie i bez wyjątku. Nie mówi pan do niej „pani”.

— Ależ Mynheer Peeperkorn... Jakiż by zakład...

— Pozwolę sobie zwrócić pańską uwagę na okoliczność, z której pan sam sobie zapewne zdaje sprawę, a mianowicie, że zbladł pan w tej chwili jak ściana.

Hans Castorp nie podnosił oczu. Pochylony, badał pilnie czerwone plamy na pokryciu kołdry. „Musiało przyjść do tego! — myślał. — Zanosilo się na to. Sam zresztą robiłem, co mogłem, aby się tak stało. Zdaję sobie w tej chwili sprawę, że po prostu starałem się o to, aby chwila taka nadeszła. Czy naprawdę tak zbladłem? Możliwe, bo stawiam teraz wszystko na jedną kartę. Nie wiadomo, co się stanie. Czy mogę jeszcze kłamać dalej? Zapewne, ale wcale tego nie chcę. Pozostańmy na razie przy krwawych plamach, plamach z czerwonego wina na pokryciu kołdry”.

Nad nim milczano również. Cisza trwała dwie, trzy minuty — pozwalała zrozumieć, jak bardzo mogą się w tego rodzaju warunkach wydłużać drobne jednostki czasu.

Pieter Peeperkorn pierwszy na nowo zaczął rozmowę.

— Było to owego wieczoru, kiedy miałem przyjemność poznać pana — rozpoczął śpiewnie i zniżył głos ku końcowi na znak, że jest to pierwsze zdanie dłuższej opowieści. — Obchodziliśmy małą uroczystość, jedliśmy i pili, byliśmy w świetnych humorach, w swobodnym i przedsiębiorczym nastroju, a potem, ujawszy się pod ramię, udaliśmy się późną już porą na spoczynek. Tu, obok mych drzwi, wpadło mi coś na myśl: wezwałem pana, aby pan wargami dotknął czoła kobiety, która mi go przedstawiła jako swojego dobrego znajomego z czasów poprzedniego pobytu, i pozostawiłem jej uznaniu, czy chce również dokonać tego wesołego a uroczystego czynu w moich oczach na znak, że godzina jest podniosła. Pan odrzucił wręcz moją propozycję, odrzucił ją z tym uzasadnieniem, że nie miałoby sensu, by pan z moją towarzyszką podróży wymieniał pocałunki w czoło. Nie zaprzeczy pan

chyba, że wyjaśnienie to wymagałoby nowych wyjaśnień, a tych nie usłyszałem do tej pory. Czy chciałby pan udzielić mi ich teraz?

„Tak, a więc i to zauważył — pomyślał Hans Castorp i pochylił się jeszcze bardziej nad plamami z wina, drapiąc jedną z nich końcem środkowego palca. — Widocznie zależało mi wtedy na tym, aby to zauważył i zapamiętał sobie, bo w przeciwnym razie nie byłbym tego powiedział. Ale co teraz? Serce mi bije jak młotem. Czy nadejdzie straszliwy wybuch królewskiego gniewu? Może byłoby wskazane przekonać się, czy przypadkiem jego pięść nie zawisła już nade mną? Sytuacja moja jest bardzo oryginalna i wysoce niemiła!”

Nagle poczuł, że ręka Peeperkorna obejmuje jego prawą rękę w przegubie.

„Teraz chwyta mnie za rękę! — myślał. — Śmieszne, czemuż ja siedzę, jakby mi kto głowę zmył. Czy zawiniłem coś przeciw niemu? Bynajmniej. Skarżyć może się przede wszystkim jej mąż w Dagestanie, a potem jeszcze niejeden. A potem ja. On zaś, o ile wiem, w ogóle nie ma jeszcze żadnych powodów do skarg. Dlaczego więc bije mi serce? Najwyższy czas, abym się wyprostował i spojrział szczerze, choć z należnym mu szacunkiem, w jego potężne oblicze”.

Uczył to. Potężne oblicze było żółte, oczy patrzyły blado spod zmarszczek czoła, rozdarte wargi miały wyraz goryczy. Spojrzeli sobie w oczy, wielki starzec i skromny młodzieniec; pierwszy trzymał wciąż drugiego za rękę. Wreszcie Peeperkorn rzekł cicho:

— Pan był kochankiem Kławdii, gdy była tu po raz pierwszy.

A Hans Castorp pochylił głowę raz jeszcze, ale podniósł ją natychmiast i rzekł odetchnąwszy głęboko:

— Mynheer Peeperkorn! Okłamywanie pana byłoby mi w najwyższym stopniu wstrętne, szukam więc sposobu uniknięcia tego. Nie jest to rzeczą łatwą. Samochwalstwem byłoby, gdybym zdanie pańskie potwierdził, ale skłamałbym, gdybym mu zaprzeczył. Należy to rozumieć następująco. Mieszkałem w tym domu długo, bardzo długo obok Kławdii — przepraszam — obok pańskiej obecnej towarzyszki podróży, nie zawierając z nią znajomości. Stosunki towarzyskie były między nami wykluczone, zwłaszcza jeśli chodzi o mój stosunek do niej, którego geneza tonie w mroku. W myślach nie zwracałem się do Kławdii nigdy inaczej jak tylko „ty”, a także w rzeczywistości nie nazywałem jej nigdy inaczej. Pewnego wieczoru zrzuciłem owe krępujące mnie więzy pedagogiczne, o których wspomnieliśmy już w ciągu rozmowy, i zbliżyłem się do niej pod pozorem, od dawna zajmującym moje myśli. Była to maskarada, wieczór karnawałowy, wieczór nieodpowiedzialnego



„ty”, które uzyskało wówczas jakby we śnie i w sposób nieodpowiedzialny swój pełny sens. Lecz działo się to w przeddzień wyjazdu Kławdiei.

— Pełny sens — powtórzył Peeperkorn. — Bardzo to pan zgrabnie... — Puścił dłoń Hansa Castorpa i zaczął masować sobie policzki, oczodoły i brodę obu dłońmi swoich kapitańskich rąk o długich paznokciach. Potem splótł ręce na splamionej winem kołdrze, przechylił głowę w bok, na lewo, tak że odwrócił twarz od gościa.

— Dałem panu odpowiedź możliwie najbliższą prawdy, Mynheer Peeperkorn — rzekł Hans Castorp — i dołożyłem wszelkich starań, by nie powiedzieć ani za dużo, ani za mało. Zależało mi przede wszystkim na tym, aby panu zwrócić uwagę, że ów wieczór, gdyśmy mówili sobie uzasadnione w pełni „ty” i żegnali się z sobą, można, jeśli się chce, uważać za rzeczywisty lub nierzeczywisty — był to bowiem wieczór nadliczbowy, bez mała nie mieszczący się w kalendarzu, hors-d'oeuvre, że tak powiem, wieczór przestępny, dwudziesty dziewiąty lutego. Gdybym więc pańskiemu twierdzeniu zaprzeczył, skłamałbym tylko w połowie.

Peeperkorn nie odpowiadał.

— Woląłem — zaczął Hans Castorp po przerwie — powiedzieć całą prawdę, choćbym miał na skutek tego utracić pańską życzliwość, co, szczerze mówiąc, byłoby dla mnie dotkliwą stratą, rzec mogę, ciosem, prawdziwym ciosem; mógłbym go porównać chyba z innym, którego doznałem, gdy pani Chauchat powróciła nie sama, lecz jako pańska towarzyszka podróży. Zaryzykowałem jednak ten krok, bo pragnąłem od dawna, aby zapanowała między nami zupełna szczerłość — między panem, którego darzę tak niezwykłym uczuciem czci, a mną. Wydawało mi się to piękniejsze i bardziej ludzkie — pan wie, jak Kławdia wymawia ten wyraz swym cudownie przytłumionym głosem, z czarującym przeciąganiem — niżli milczeć i udawać; toteż spadł mi kamień z serca, kiedy pan zaczął o tym mówić.

Żadnej odpowiedzi.

— Jeszcze jedno, Mynheer Peeperkorn — ciągnął dalej Hans Castorp. — Jeszcze jedno skłoniło mnie do szczerości, a mianowicie, że sam doświadczyłem, jak denerwująco działa w podobnych wypadkach niepewność, konieczność zadowalania się połowicznymi domysłami. Pan teraz wie, z kim Kławdia przeżyła, przepędziła, obchodziła — niechże będzie, obchodziła — dwudziestego dziewiątego lutego, zanim wytworzył się obecny stan prawny, którego lekceważenie byłoby naturalnie szaleństwem. Ja ze swojej strony nigdy tego tak dobrze nie wiedziałem, choć zdawałem sobie sprawę, że każdy w podobnej sytuacji musi się liczyć z takimi faktami, chciałem powiedzieć — z poprzednikami. Co prawda, wiedziałem, że radca Behrens, który, jak pan wie zapewne, jest malarzem-dyletantem, namalował po wielu

posiedzeniach jej olejny portret, oddając jej skórę z realizmem, który, między nami mówiąc, może dać wiele do myślenia. Martwiłem się niemało z tego powodu i łamałem sobie głowę, a i teraz w dalszym ciągu to czynię.

— Pan ją jeszcze kocha? — zapytał Peeperkorn nie zmieniając pozycji, więc z odwróconą twarzą... Wielki pokój tonął coraz bardziej w zmroku.

— Pan mi wybaczy, Mynheer Peeperkorn — odparł Hans Castorp — ale uczucia, jakie żywię dla pana, uczucia najwyższej czci i podziwu, nie pozwalają mi mówić z panem o moich uczuciach względem pańskiej towarzyszki podróży.

— A czy ona — spytał cicho Peeperkorn — odwzajemnia dziś jeszcze te uczucia?

— Nie twierdę — odparł Hans Castorp — nie twierdę, iżby odwzajemniała je była kiedykolwiek. Jest to mało prawdopodobne. Poruszyliśmy przedtem tę kwestię teoretycznie, mówiąc o reaktywnej naturze kobiet. We mnie oczywiście niewiele jest rzeczy, które by można kochać. Jakiż ja mam format — niech pan to sam osądzi! Jeśli mimo to mógł się zdarzyć — dwudziesty dziewiąty lutego, to należy to przypisać jedynie i wyłącznie kobiecej przekupności, kobiecej skłonności do ulegania wyborowi mężczyzny. Jeszcze jedna uwaga: Mam wrażenie, że chwale się w sposób niesmaczny, nadając sobie miano mężczyzny; ale Kławdia jest w każdym razie kobietą.

— Poszła za głosem uczucia — spłynął szept z rozdartych warg Peeperkorna.

— Uczyniła to z dużo większą uległością w stosunku do pana — odparł Hans Castorp — a wedle wszelkiego prawdopodobieństwa uczyniła już przedtem niejednemu raz — to musi sobie uświadomić każdy, kto znajdzie się w położeniu —

— Dość! — rzekł Peeperkorn z twarzą wciąż jeszcze odwróconą, ale czyniąc w kierunku rozmówcy wyrazisty gest dłonią. — Czy to nie podłe, że mówimy o niej w ten sposób?

— Ależ nie. Nie, mogę pana pod tym względem zupełnie uspokoić. Mówimy przecież o rzeczach ludzkich — wyrazu „ludzki” używam w znaczeniu wolności i genialności. Pan wybaczy mi to moje nieco pretensjonalne wyrażenie, ale zacząłem go używać niedawno, bo było mi potrzebne.

— Dobrze, proszę mówić dalej! — rozkazał cicho Peeperkorn. I Hans Castorp mówił cicho, siedząc obok łóżka na brzegu krzesła, pochylony ku majestatycznemu starcowi, z rękami wciśniętymi w kolana.

— Jest to wszak genialna egzystencja — mówił — i jej zakaukaski mąż — wie pan przecież, że ma męża za Kaukazem — zgadza się na tę jej wolność i genial-

ność, nie wiem, z głupoty czy z rozsądku, nie znam tego człowieka. W każdym razie postępuje słusznie, bo ona jest wolna dzięki chorobie, dzięki genialnej zasadzie choroby, której podlega, i ktokolwiek znajdzie się w tym położeniu, powinien pójść za jego przykładem i nie uskarżać się ani na przeszłość, ani na przyszłość...

— Pan się nie uskarża? — zapytał Peeperkorn i zwrócił doń twarz... Wydała się szarą w zmięczeniu; oczy wyzierały blade i bezsilne spod bruzd czoła nadających mu wygląd bożka, a szerokie, rozdarte wargi były na wpół rozchylone jak u tragicznej maski.

— Nie sądziłem — odpowiedział skromnie Hans Castorp — że chodzi tu o mnie. Słowa moje zmierzały do tego, aby p a n nie uskarżał się na mnie, Mynheer Peeperkorn, i nie cofnął mi swej przyjaźni z powodu tego, co było. O to mi chodzi w tej chwili.

— Mimo to — rzekł Peeperkorn — ból, który panu bezwiednie sprawiłem, musiał być dotkliwy.

— Jeśli to jest pytaniem i jeśli na nie odpowiem twierdząco — odparł Hans Castorp — w żadnym razie nie znaczy to, że nie umiałem ocenić niezmiernego zaszczytu, jakim jest dla mnie znajomość z panem, a zaszczyt ten jest nierozdzielnie złączony z rozczarowaniem, o którym pan mówi.

— Dziękuję, młody człowieku, dziękuję. Umiem cenić uprzejmość pańskich miłych słów. Ale abstrahując od naszej znajomości —

— Trudno od niej abstrahować — rzekł Hans Castorp — a ja nawet nie powinienem tego czynić, jeśli chcę po prostu twierdząco odpowiedzieć na pańskie pytanie. Okoliczność bowiem, że Kławdia wróciła w towarzystwie osobistości pańskiego formatu, mogła przyczynić się tylko do pogłębienia i powikłania przykrości, wynikającej z faktu, że w ogóle wróciła w towarzystwie innego mężczyzny. Sprawa ta zaprzętała mnie i zaprzęta dotąd, nie przeczę; toteż w miarę możliwości uwagę raczej rozmyślnie zwracałem na jej stronę pozytywną, to jest na uczucie nieklamanej czci, jaką mam dla pana, Mynheer Peeperkorn. Była w tym zresztą zarazem mała złośliwość, z ostrzem zwróconym przeciw pańskiej towarzyszcze podróży; kobiety bowiem wcale nie lubią, kiedy ich kochankowie żyją z sobą w zgodzie.

— Rzeczywiście — rzekł Peeperkorn i starał się ukryć uśmiech, przesuując rękę po ustach i po brodzie, jakby zachodziła obawa, że pani Chauchat może dojrzeć ten uśmiech. Także Hans Castorp uśmiechnął się dyskretnie, a potem obaj skinęli głową na znak porozumienia.

— Należała mi się ostatecznie ta mała zemsta — ciągnął dalej Hans Castorp —

co do mnie bowiem, to mam naprawdę powód, aby uskarżać się wprawdzie nie na Kławdię i nie na pana, Mynheer Peeperkorn — ale aby w ogóle się uskarżać na własne życie i los. A ponieważ zaszczyca mnie pan swym zaufaniem, więc spróbuję w tej tak osobliwej szarej godzinie wyjaśnić to panu, chociażby ogólnikowo.

— Proszę o to — rzekł Peeperkorn grzecznie, po czym Hans Castorp ciągnął dalej:

— Przebywam tu w górze od dawna, Mynheer Peeperkorn, od wielu lat, nie wiem już nawet dokładnie, od jak dawna, ale te lata to lata życia, dlatego mówiłem przed chwilą o „życiu”, a także do „losu” wrócę jeszcze we właściwej chwili. Umarł tu mój kuzyn, do którego przyjechałem z krótką wizytą, żołnierz, pełen uczciwych, szlachetnych zamierzeń, z których mu nic nie przyszło, a ja wciąż tu jeszcze siedzę. Nie byłem żołnierzem, miałem zawód cywilny, jak pan może słyszał, dobry i rozsądny zawód, i to taki, który pono łączy narody. Ale przyznaję, że nie miałem doń specjalnego zamiłowania, a to z powodów, o których tyle powiem tylko, że toną w mroku; łączą się tam z początkami mych uczuć dla pańskiej towarzyszki podróży — nazywam ją tak wyraźnie, aby zaznaczyć, że ani mi w głowie zmieniać coś w istniejącym stanie prawnym — a więc moich uczuć do Kławdii Chauchat i zażyłości wyrażającej się słówkiem „ty”, której nie wyrzekłem się ani przez chwilę, odkąd jej oczy spotkały się z moimi i wzbudziły we mnie uczucie — nierozsądne, rozumie pan, uczucie. Dla niej to, a na przekór panu Settembriniemu, poddałem się pierwiastkowi nierozsądku, genialnemu pierwiastkowi choroby, któremu zresztą podlegałem zapewne już od dawna. Dlatego pozostałem tu w górze — nie wiem już dokładnie, jak długo, zapomniałem o wszystkim i zerwałem ze wszystkimi, ze swymi krewnymi, ze swym zawodem na nizinie, ze wszystkimi widokami na przyszłość. A gdy Kławdia odjechała, czekałem na nią, wciąż czekałem tu w górze, tak że stracony jestem dla nizin, dla nich jak gdybym nie żył. To właśnie miałem na myśli, gdy mówiłem o „losie” i pozwoliłem sobie zaznaczyć, że mam prawo uskarżać się na terażniejszy stan prawny. Czytałem kiedyś opowieść — nie, widziałem ją na scenie\*; pewien Bogu ducha winien chłopiec — żołnierz zresztą, jak mój kuzyn — poznał piękną Cyganę. Była to śliczna, dzika i fatalna kobieta, z kwiatem za uchem, która zdołała go tak usidlić, że wykoleił się zupełnie, poświęcił jej wszystko, popełnił dezercję, wstąpił wraz z nią do bandy przemytników i spodlił się do ostateczności. Kiedy już do tego doszło, miała go dość i zadała się z jakimś matadorem, władcą osobistością o wspaniałym barytonie. Skończyło się na tym, że mały żołnierz, blady jak płótno i z rozpiętą na piersi koszulą, prze-

---

\* Idzie o nowelę pisarza francuskiego Prospera Mérimée (1803—1870), pt. „Carmen”, która, udratyzowana, posłużyła jako libretto do opery G. Bizeta pod tymże tytułem.

bił ją nożem u wejścia do cyrku, do czego zresztą sama go doprowadziła. Cała ta historia niewiele ma z tym wszystkim związku. Ale dlaczego właściwie przypomniałem ją sobie?

Usłyszawszy wyraz „nóż” Mynheer Peeperkorn zmienił nieco swą siedzącą pozycję w łóżku; przysunął się na jego skraj, zwracając nagle twarz ku gościowi i patrząc mu badawczo w oczy. Potem wyprostował się i wsparty na łokciach rzekł:

— Młody człowieku, słyszałem i wiem już wszystko. Proszę pozwolić, bym na podstawie pańskich wynurzeń złożył lojalnie oświadczenie! Gdyby włosy me nie były siwe i gdyby złośliwa gorączka nie trawiła mego ciała, gotów byłbym dać panu, jak mężczyzna mężczyźnie, z bronią w rękę, zadośćuczynienie za krzywdę, którą mu wyrządziłem bezwiednie, i za tę, którą wyrządziła mu moja towarzyszka podróży, bo i za tę krzywdę powinienem ponosić odpowiedzialność. Doskonale, mój panie — byłbym gotów. W obecnym jednak stanie rzeczy proszę mi pozwolić wysunąć inną propozycję. Jest następująca: Pamiętam pewną podniosłą chwilę, na samym początku naszej znajomości — pamiętam ją dobrze, choć niemało wtedy piłem — chwilę, w której, ujęty pańskim sympatycznym usposobieniem, miałem zamiar zaofiarować panu braterskie „ty”; potem jednak zdałem sobie sprawę z tego, iż byłby to krok nieco przedwczesny. Otóż powołuję się teraz na ową chwilę, nawiązuję do niej i oświadczam, że postanowiona wówczas zwłoka już upłynęła. Młodzińcze, oświadczam niniejszym, że jesteśmy braćmi. Mówił pan o wyrazie „ty”, o pełnym jego sensie — nasze „ty” będzie miało pełny sens, będzie oznaczać braterstwo w uczuciu. Skoro wiek i choroba nie pozwala mi na danie panu satysfakcji z bronią w rękę, proponuję mu satysfakcję w innej postaci, w postaci braterskiego związku; związek taki zawiera się zwykle przeciw osobom trzecim, przeciwko światu, przeciw komuś, my zaś zawrzemy go w uczuciu ku komuś. Weź więc kieliszek, młodzińcze, a ja wezmę znów swoją szklanę, która temu skromnemu napitkowi w dalszym, ciągu nie czyni krzywdy —

I nalał wina lekko drżącą kapitańską ręką, a Hans Castorp pomagał mu w tym, pełen czci i zdumienia.

— Bierz pan! — powtórzył Peeperkorn. — Splećmy ramiona! I pij pan w ten sposób! Wypij pan do dna! Doskonale, młody człowieku. Skończone. Oto moja ręka. Czy jesteś zadowolony?

— To oczywiście wyraz zbyt słaby, Mynheer Peeperkorn — rzekł Hans Castorp, nie bez trudu wychyliwszy duszkiem pełny kieliszek i ocierając chustką kolana, poplamione winem. — Jestem niezmiernie szczęśliwy, tak chcę to wyrazić — i jeszcze nie mogę pojąć, że to tak nagle stało się moim udziałem — prawdę powiedziaw-

szy, mam uczucie, że to sen. Jest to dla mnie nie byle jaki zaszczyt — nie wiem, czym właściwie nań zasłużyłem, chyba biernym zachowaniem, nie inaczej, nic więc dziwnego, że dziwnie mi będzie z początku zwracać się w ten nowy sposób... iż będę się potykać... Szczególnie w obecności Kławdii, która może, jak to kobieta, nie bardzo będzie zadowolona z tego układu...

— To już pozostaw mnie — odparł Peeperkorn — a resztę zrobi wprawa i przyzwyczajenie. A teraz odejść, młody człowieku! Zostaw mnie samym, synu! Ściemniło się już, wieczór zapadł, kochanka nasza może wrócić każdej chwili, a nie bardzo może wypada, byście się w tej chwili spotkali.

— Bądź zdrów, Mynheer Peeperkorn — rzekł Hans Castorp i powstał. — Widzi pan, pokonuję usprawiedliwioną nieśmiałość i wprawiam się już w ten zuchwały sposób mówienia. Prawda, ciemno już! Wyobrażam sobie, że nagle mógłby wejść pan Settembrini i włączyć światło, aby zapanował rozsądek i nastrój towarzyski — taka już jego słabość. Do jutra! Wychodzę stąd taki zadowolony i dumny, że nigdy nawet marzyć o tym nie mogłem. Szybkiej poprawy zdrowia! Będzie teraz przynajmniej na przeciąg trzech dni wolny od gorączki i będzie pan mógł sprostać wszelkim wymaganiom. Cieszy mnie to tak, jak gdybym był tobą. Dobranoc!

## **Mynheer Peeperkorn (dokończenie)**

Wodospady są zawsze pociągającym celem wycieczek; toteż nie umiemy wytłumaczyć, dlaczego Hans Castorp, którego nawet specjalnie pociągał widok spadającej wody, nie znał dotychczas malowniczej siklawy w lesie doliny Flüela. Że jej nie poznał za czasów, gdy przebywał razem z Joachimem, to można by usprawiedliwić służbistością kuzyna, który tu był nie dla przyjemności i którego rzeczowość ograniczyła widnokrąg obu młodzieńców do najbliższego otoczenia „Berghofu”. Ale i po jego śmierci Hans Castorp zachował do tutejszej okolicy, jeśli pominąć jego narciarskie wycieczki, stosunek jednostajny i konserwatywny. Kontrast tej jednostajności z rozpiętością jego wewnętrznych doświadczeń i spraw jego „królowania” nie był pozbawiony pewnego świadomego uroku. Jednakże ucieszył się bardzo, gdy w jego najbliższym otoczeniu, w tym małym przyjacielskim gronie złożonym z siedmiu osób (łącznie z nim samym), zrodził się projekt wycieczki powozem do owego słynnego wodospadu.

Nastał maj, pora wychwalana przez prostoduszne piosenki śpiewane na równi-

nach — chłodny tu w górze i niezbyt pociągający; jednakże okres tajania śniegu można już było uważać za skończony. Wprawdzie w ostatnich dniach śnieg wielokrotnie jeszcze padał wielkimi płatkami, rozpływał się jednak szybko zostawiając po sobie tylko nieco wilgoci; zimowe zwały śnieżne wsiąkły, wyparowały, tu i ówdzie widniały jeszcze drobne ich resztki; świat, zielony znowu i dostępny, zapraszał do wycieczek.

Życie towarzyskie ucierpiało znacznie w ostatnich tygodniach na skutek niedyspozycji przywódcy, wspaniałego Peeperkorna; jego malaria, złośliwy dar okolic podzwrotnikowych, nie ustępowała ani pod wpływem nadzwyczajnego klimatu, ani środków leczniczych, stosowanych przez tak wybitnego lekarza jak radca Behrens. Leżał często w łóżku nie tylko w dniach, w których kwartana upominała się o swe groźne prawa. Radca oświadczył dyskretnie wobec przyjaciół pacjenta, że jest niedobrze z wątrobą i śledzioną. Również żołądek jego miał być daleki od stanu normalnego. Behrens nie omieszkiał zwrócić uwagi na niebezpieczeństwo chronicznej utraty sił, która mogła się wywiązać nawet w tak potężnym organizmie.

Mynheer przewodniczył w ciągu tych tygodni podczas jednej tylko wieczornej biesiady, a także wspólne spacerowanie ograniczono do jednej, niezbyt dalekiej przechadzki. To rozluźnienie stosunków towarzyskich odczuł zresztą — między nami mówiąc — Hans Castorp poniekąd jako ulgę, bo kielich braterstwa, wypity z towarzyszem podróży pani Chauchat, stał się dlań źródłem pewnych trudności; w rozmowach prowadzonych z Peeperkornem w obecności osób trzecich występowało to samo „wymuszenie” i „wymijanie”, to samo „unikanie”, wynikłe jakby z jakiegoś zakładu, które Peeperkorna uderzyło w stosunku Hansa Castorpa do Kławdii. Omiął formę „ty” na różne, przedziwne często sposoby, o ile nie mógł jej po prostu połknąć. Przyczyną tego był ten sam, a raczej odwrócony dylemat, który odgrywał tak ważną rolę w jego rozmowach z Kławdią w obecności osób trzecich, a nawet w obecności samego tylko jej władcy. Teraz, na skutek udzielonej mu satysfakcji, dylemat ten wytworzył podwójnie kłopotliwą sytuację.

A więc na porządku dziennym był projekt wycieczki do wodospadu. Peeperkorn sam określił cel i czuł się na siłach do tej wyprawy. Był to trzeci dzień po ataku kwartany; Mynheer oświadczył, że chce skorzystać z tego dnia. Wprawdzie na ranne posiłki nie zjawił się w sali jadalnej, lecz zjadł śniadanie, jak często w ostatnich czasach, u siebie w salonie, w towarzystwie pani Chauchat; ale już przy pierwszym śniadaniu Hans Castorp otrzymał przez kulawego odźwiernego polecenie, aby w godzinę po obiedzie był gotów do przejażdżki. Miał też przekazać ten rozkaz

panom Fergemu i Wehsalowi, zawiadomić Settembriniego i Naphtë, że zajedzie się po nich, a także zamówić dwa landa na godzinę trzecią.

Spotkano się o wymienionej porze przed portalem „Berghofu”; Hans Castorp, Ferge i Wehsal oczekiwali tam państwa z luksusowych apartamentów, skracając sobie czas głaskaniem koni i karmieniem ich z ręki kawałkiem cukru. Towarzysze podróży zjawili się na schodach przed hotelem z małym tylko opóźnieniem. Peeperkorn, którego królewska twarz zeszczuplała, stojąc u góry, przy boku Kławdii, w długim, znoszonym nieco płaszczu, uchylił miękkiego, okrągłego kapelusza, a wargi jego wyszeptały niedosłyszalne pozdrowienie dla wszystkich obecnych. Następnie uścisnął dłoń trzem panom, którzy podeszli do schodów naprzeciw zbliżającej się pary.

— Młodzieńcze — rzekł do Hansa Castorpa kładąc lewą rękę na jego ramieniu — jak się masz, synu?

— Dziękuję bardzo! A nawzajem? — odparł zapytany...

Słońce świeciło, dzień był piękny i jasny, a jednak dobrze zrobili ci, którzy włożyli cieplejsze okrycia; podczas jazdy niewątpliwie będzie chłodno. Pani Chauchat również miała na sobie ciepły płaszcz z włochatej materii w wielkie kraty, z paskiem i futrzanym kołnierzem. Za pomocą woalki oliwkowego koloru, uwiązanej pod brodą, przygięła z jednej strony brzeg swego pilśniowego kapelusza na dół; było jej z tym tak do twarzy, że obecni odczuwali to wręcz boleśnie — z wyjątkiem Fergego, który, jedyny w całym towarzystwie, nie był w niej zakochany. Ta obojętność sprawiła, że przydzielono mu na razie, aż do przyłączenia się gości spoza zakładu, miejsce w pierwszym landzie, naprzeciw Mynheera i Madame. Wsiadając do drugiego powozu, z Ferdynandem Wehsalem, Hans Castorp spostrzegł drwiący uśmiech Kławdii. Szczupły kamerdyner malajski uczestniczył w wycieczce. Ukazał się za swym państwem niosąc duży koszyk, z którego wyzierały szyjki dwu butelek wina; umieściwszy go pod tylnym siedzeniem pierwszego powozu, zasiadł obok woźnicy i skrzyżował ramiona, w tej chwili konie ruszyły i pojazdy z zaciśniętymi hamulcami potoczyły się po drodze schodzącej zakosami w dół.

Wehsal zauważył również uśmiech pani Chauchat i szczerząc zepsute zęby odezwał się do towarzysza drogi:

— Widział pan, jak się śmieje z pana, że musi pan sam jechać ze mną? Tak, tak, szyderstwo idzie krok w krok za niepowodzeniem. Czy bardzo to pana złości i brzydzi, że siedzi pan koło mnie?

— Niechże się pan opamięta i nie wygaduje takich nikczemnych rzeczy! — upomniał go Hans Castorp. — Kobiety uśmiechają się dla samego uśmiechu, czy



trzeba, czy nie trzeba; nie ma sensu za każdym razem się nad tym zastanawiać. Dlaczego pan się tak wciąż płaszczy? Ma pan swoje zalety i wady, jak my wszyscy. Na przykład gra pan bardzo pięknie marsza weselnego ze „Snu nocy letniej”, nie każdy to potrafi. Powinien pan zagrać znowu przy najbliższej sposobności.

— Tak, teraz namawia mnie pan, tak z góry — odparł nieszczęśnik — i nie wie pan nawet, jak bezwstydne są pańskie słowa pociechy i że mnie pan przez nie jeszcze bardziej poniża. Dobrze panu tak mówić i pocieszać mnie wyniośle, bo choć pan teraz robi wrażenie dość śmieszne, to kiedyś była pańska kolej, był pan w siódmym niebie, mój Boże, i czuł pan jej ramiona wokoło swej szyi; wszystko to, Boże miłosierny, pali mnie w gardle i sercu, kiedy o tym myślę — a teraz spogląda pan na moje męki żebraka, dobrze pamiętając o tym wszystkim, co mu przypało w udziale...

— Nieładnie się pan wyraża, a nawet wprost odrażająco. Nie potrzebuję tego ukrywać, skoro mi pan zarzuca, że jestem bezwstydny. Pan nawet chce, żeby to było odrażające. Pan stara się wręcz o to, by się uczynić wstrętnym i płaszczy się pan bezustannie. Czy pan jest rzeczywiście tak bardzo w niej zakochany?

— Strasznie! — odparł Wehsal potrząsając głową. — Wyrazić się nie da, jak cierpię z pragnienia i żądy. Chciałbym móc powiedzieć, że ta miłość to moja śmierć, ale z tym nie można ani żyć, ani umrzeć. Kiedy jej nie było, mój stan zaczynał się poprawiać, powoli zapomniałem o niej. Ale odkąd wróciła, odkąd widuję ją co dnia, ogarnia mnie czasem taka rozpacz, że gryzę palce, chwytam się cienia i rady sobie dać nie mogę. To zgroza, że coś podobnego istnieje na świecie, ale nie można nawet pragnąć, żeby nie istniało — bo to znaczyłoby pragnąć, żeby się życie skończyło — tak się to zespoliło z życiem — a tego właśnie niepodobna pragnąć, bo cóż by się miało z tego, gdyby się umarło. Potem — z przyjemnością. W jej ramionach — jak najchętniej. Ale przedtem byłoby szaleństwem, bo życie jest pożądaniem, a pożądanie życiem, nie może więc występować przeciw samemu sobie. Oto przeklęty diabelski młyn. A kiedy mówię „przeklęty”, jest to tylko frazes, jest tak, jakby mówił przeze mnie ktoś inny; ja sam przecież nie mogę tak myśleć. Tyle jest tortur, proszę pana, a kogo torturują, ten pragnie jednej tylko rzeczy; uwolnić się od nich, po prostu i bezwzględnie uwolnić, to jego jedyny cel. Ale od tortury, jaką jest pożądanie cielesne, człowiek pragnie się uwolnić tylko w jeden sposób, przez jego zaspokojenie — w żaden inny sposób, za żadną cenę! Tak to jest urządzone, kto tego nie zaznał, ten o tym nie myśli, ale na kogo to przyszło, temu oddech zapiera i łzy wyciska z oczu. Boże drogi, czemuż to tak jest, że ciało pożąda tak ciała tylko dlatego, że nie jest jego własne, a należy do innej duszy — jakież to

dziwne, a w gruncie rzeczy jakież skromne wymaganie! Można by rzec: skoro nie chce niczego więcej ponad to, to niech to sobie ma, w imię boże. Czegóż bo ja chcę? Czy chcę ją zamordować? Przelać jej krew? Przecie chciałbym tylko ją pieścić! Panie, kochany panie, proszę wybaczyć, że ja tak jęczę, ale na miłość boską, ona mogłaby spełnić moje życzenia! Przecież w tym jest także i coś wyższego, drogi panie, nie jestem przecież bydlęciem, ale na swój sposób jestem także człowiekiem! Pożądanie cielesne kieruje się to tu, to tam, nie jest określone i stałe, i dlatego nazywamy je zwierzęcem. Ale gdy się ustali i zwróci ku określonej osobie, wtedy usta nasze mówią o miłości. Pożądam przecież w niej nie jej powłoki cielesnej, nie samego ciała, nie mięsa. Gdyby w jej obliczu jakiś chociażby drobny szczegół był ukształtowany inaczej, możliwe, że nie pożądałbym wcale całego jej ciała; stąd wynika, że kocham jej duszę i że ją kocham duszą. Bo miłość oblicza jest miłością duchową...

— Co się z panem dzieje? Pan nie panuje nad sobą i wygaduje tu niestworzone rzeczy...

— Ale to właśnie, to właśnie jest nieszczęściem — ciągnął biedak dalej — że ona ma duszę, że jest człowiekiem złożonym z ciała i duszy! Bo dusza jej nie chce znać mojej, a przeto ciało jej nie chce znać mego ciała; to najstraszniejsze z nieszczęść, i dlatego żądza ma skazana jest na hańbę, a ciało musi się wić w wiecznej męce! Dlaczego ona ciałem i duszą nie chce mnie znać? Dlaczego moje pożądanie jest dla niej ohydą? Czyż nie jestem mężczyzną? Czy wstrętny mężczyzna nie jest mężczyzną? Jestem nim w najwyższym stopniu, przysięgam panu, przeszedłbym wszystkich, gdyby mi rozwarła rozkoszną krainę swych ramion, które są tak piękne dlatego, że należą do jej duchowego oblicza. Dałbym jej rozkosz całego świata, gdyby chodziło tylko o ciało, a nie o oblicza, gdyby nie miała przekłetej duszy, która nie chce mnie znać, bez której ja jednak znowu nie pożądałbym jej ciała — to jest diabelski młyn — wpleciony jestem na zawsze w jego koło!

— Panie Wehsal! Pst! Ciszej! Woźnica wszystko rozumie! Nie odwraca wprawdzie głowy, ale widzę po jego plecach, że nasłuchuje.

— Rozumie i nasłuchuje; oto ma pan, drogi panie! Ma pan znów to swoiste urządzenie, tę jedyną w swoim rodzaju sprawę! Gdybym mówił o palingenezie albo... o... hydrostatyce, nie rozumiałby, nie miałby o tym pojęcia, nie słuchałby i nie zajmowałoby go to wcale. Bo to nie jest popularne. Ale najwyższa, ostateczna, straszliwa, tajemnicza sprawa ciała i duszy, patrz pan, toć ona jest zarazem najpopularniejsza; każda zna się na niej i może się wyśmiewać z tego, na kogo to przyszło i dla którego dzień jest rozkoszną torturą, a noc piekłem hańby! Panie, drogi panie,

pozwól mi pan pojęczeć, bo jakież ja mam noce! Co noc śnię o niej, ach, czegoż ja o niej nie śnię. Pali mnie w gardle i w okolicy żołądka, kiedy myślę o tym. A sen kończy się zawsze tym, że ona mnie policzkuje, bije mnie po twarzy, a czasem pluje nawet — pluje z twarzą uduchowioną, wykrzywioną wstrętem, a wtedy budzę się okryty potem i hańbą, i rozkoszą...

— Tak, proszę pana, a teraz już dość i nie mówmy nic, aż zajedziemy przed sklep korzenny i ktoś się do nas przysiadzie. Proponuję tak i zarządzam. Nie chcę pana urazić i przyznaję chętnie, że jest pan w wielkich opałach. Ale mieliśmy w domu opowieść o kimś, komu za karę, podczas gdy mówił, wyskakiwały z ust węże i ropuchy, za każdym słowem ropucha albo wąż. Jak się w tej sytuacji zachowywał ów ktoś, o tym nie było mowy w książce, ale przypuszczałem zawsze, że zapewne przestał otwierać usta.

— Ależ to potrzeba ludzka — skarżył się Wehsal — to potrzeba ludzka, drogi panie, mówić w ten sposób, ulżyć sercu, jeśli się ktoś znajduje w takiej sytuacji jak ja.

— To nawet ludzkie prawo, mój panie, jeśli o to chodzi. Ale istnieją prawa, z których moim zdaniem nikt rozsądny w pewnych okolicznościach nie korzysta.

Milczeli więc na zarządzenie Castorpa; pojazdy dojechały zresztą szybko do obrośniętego winem domku kupca korzennego. Nie czekano ani chwili: Naphta i Settembrini stali już na ulicy, jeden w swojej podniszczonej kurtce futrzanej, drugi natomiast w fircykowatym białawożółtym wiosennym okryciu, ze stebnowanymi brzegami. Powitano się skinieniami i ukłonami, pojazdy zawróciły, panowie zajęli miejsca; Naphta siadł obok Ferzego, jako czwarty w pierwszym powozie, a Settembrini we wspaniałym humorze, tryskający dowcipem, przyłączył się do Hansa Castorpa i do Wehsala. Wehsal ustąpił mu miejsca w głębi powozu i pan Settembrini rozsiadł się z wyszukaną niedbałością, jakby jechał na korso.

Chwalił rozkosz jazdy, ów ruch ciała w stanie spoczynku i wśród ciągłej zmiany otoczenia; traktował Hansa Castorpa z ojcowską dobrocią, a biednego Wehsala pogłaskał nawet po twarzy i poradził mu, żeby zapomniał o własnej niesympatycznej jaźni, podziwiając jasny świat, na który wskazał ręką w wytartej skórzanej rękawiczce.

Jazda była doskonała. Cztery młode konie, z białymi strzałkami na czole, krępe, lśniące i dobrze odkarmione, uderzały w takt kopytami po równej i nie zakurzonej jeszcze drodze. Wzdłuż szosy miejscami leżały skalne obrywy, przerosłe trawą i kwiatami, słupy telegraficzne uciekały wstecz, wyrastały lesiste wzgórza, pełne wdzięku zakręty drogi odsłaniały nowe widoki, w słonecznej dali majaczyły góry,

pokryte jeszcze częściowo śniegiem. Pozostawiono za sobą stale oglądaną dolinę, zmieniony widok orzeźwiał umysły. Zatrzymano się wkrótce na skraju lasu: resztę drogi miano odbyć piechotą, aż do celu, z którym od dawna nawiązano już zmysłowy kontakt, słaby z początku, ale wciąż wzrastający. Ledwie pojazdy się zatrzymały, usłyszano lekki i cichy, raz po raz milknący szmer, szum, drganie powietrza. Zwracano sobie na to wzajemnie uwagę, wsłuchiwno się w to, wstrzymując kroki.

— Teraz — rzekł Settembrini, który już tu nieraz bywał — zapowiada się to skromnie. Ale na miejscu wrażenie o tej porze roku jest brutalne, proszę przygotować się na to, że nie będziemy rozumieli własnych słów.

Szli więc w głąb lasu ścieżką pokrytą wilgotnym igliwem; przodem Pieter Peeperkorn, oparty o ramię swej towarzyszki, nasunawszy na czoło czarny, miękki kapelusz, szedł swym chwiejącym się na boki krokiem. Pośrodku za nimi kroczył Hans Castorp, z odkrytą głową, podobnie jak reszta panów, z rękami w kieszeniach, z pochyloną głową; pogwizdywał cicho, rozglądając się dokoła. Dalej szedł Naphta i Settembrini, potem Ferge z Wehsalem, a na końcu Malajczyk, sam, z koszykiem w ręku. Rozmawiano o lesie.

Las nie przypominał innych lasów; przedstawiał swoisty, malowniczy widok, egzotyczny i niesamowity. Porósł go od stóp do głów i oplatał mech; z owiniętych porostami gałęzi zwisały długie, zbite brody i grube narośle pasożytniczych roślin o nienaturalnych barwach. Igliwie było prawie niewidoczne, widziało się tylko festony mchu — oblicze lasu było dziwnie zmienione, miało wygląd jakby zaczarowany i chorobliwy. Las czuł się niedobrze, chorował na skutek rozrostu tych lubieżnych pnączy, których uścisk groził mu uduszeniem; tak sądzili wszyscy uczestnicy małego pochodu, który posuwał się po ścieżkach pokrytych szpilkami; do uszu docierał już coraz wyraźniej szum, do którego się zbliżano, warkot i syczenie, przechodzące stopniowo w huk i zapowiadające, że sprawdzi się przepowiednia Settembriniego.

Za zakrętem otworzył się widok na lesistą i skalną rozpadlinę z przerzuconym mostem i z wodospadem. W chwili gdy się dojrzało wodospad, wrażenia słuchowe doszły do zenitu — łoskot był piekielny. Masy wód spadały pionowo jedną jedyną siedmio- czy ośmiometrową kaskadą, wysoką a zarazem dość szeroką, po czym srebrzystą pianą pędziły po skałach. Spadały z bezsensownym hałasem, w którym здаwały się mieszać wszystkie możliwe rodzaje szmerów i dźwięków: grzmot i syk, ryk, wycie, trzask, chrzęst, huk, brzęk i dźwięk dzwonów — wrażenie to przyprawiało niemal o utratę zmysłów. Turyści podeszli blisko po śliskim, skalnym terenie i patrzyli. Wilgoć wdzierała im się z oddechem do ust i opryskiwała twarze; spowici

mgłą wodną, mieli uszy pełne hałasu. Wymieniali spojrzenia i, onieśmieleni, z uśmiechem potrząsali głowami, patrząc na to widowisko, na ten nieustający kataklizm piany i szumu, ogłuszeni potężnym, straszliwym, oszałamiającym hałasem. Zdawało się wszystkim, że słyszą za sobą, nad sobą, ze wszystkich stron grożące i ostrzegające okrzyki, dźwięk trąb i brutalne męskie głosy.

Panowie i pani Chauchat skupili się za Mynheerem Peeperkornem i patrzyli na napór wód. Nikt nie widział twarzy Peeperkorna, zauważyli tylko, że obnażył głowę, opłomienioną białym włosem, i wdychał pełną piersią świeże powietrze. Porozumiewali się wymieniając spojrzenia i gesty, bo grzmot wodospadu zagłuszyłby zapewne nawet słowa krzyczane wprost do ucha. Wargi tworzyły bezdźwięczne wyrazy podziwu i zdumienia. Hans Castorp, Settembrini i Ferge, umówiwszy się na migi, zaczęli się piąć ku szczytowi rozpadliny, na której dnie huczał wodogrzmot, aby wydostać się na górną ścieżkę i stamtąd obserwować spadek wód. Nie była to rzecz trudna: Stromy rząd wąskich, w skale wykutych stopni wiódł jakby na wyższe piętro lasu. Wspięli się w górę jeden za drugim, weszli na most i stanąwszy pośrodku, oparli o poręcz, wisząc niejako nad łukiem spadającej wody, dawali znaki towarzyszom pozostałym na dole. Potem przeszli przez most, zeszli nie bez trudności drugą stroną na dół i ukazali się znowu reszcie towarzystwa na przeciwnym brzegu spienionego potoku, przez który niżej przerzucony był również most.

Zaczęto teraz porozumiewać się znakami w sprawie podwieczorku. Dawano wyraz temu, że należałoby usunąć się z kręgu hałasu, aby nie spożywać darów bożych jak głuchoniemi. Ale nie ulegało wątpliwości, że Peeperkorn jest temu przeciwny. Potrząsał głową, wskazując parokrotnie w dół, a jego rozdarte wargi, rozchylając się z trudem, formowały wyraz: „tu”. Cóż było począć? W takich sprawach był on panem i wodzem. Wpływ jego potężnej osobowości byłby rozstrzygający, nawet gdyby nie był organizatorem wycieczki. Ludzie tego formatu są zawsze autokratycznymi tyranami i pozostaną nimi zawsze. Mynheer chciał spożyć podwieczorek w obliczu wodospadu, pośród grzmotów, taki był jego wszechwładny upór, i kto nie chciał być głodny, musiał tu pozostać. Większość była niezadowolona. Panu Settembriniemu odebrano możliwość ludzkiej wymiany demokratycznej myśli i w jasne słowa ujętej pogawędki czy dysputy; toteż wznosił rękę nad głowę właściwym sobie gestem rozpacz i rezygnacji. Malajczyk pośpiesznie wykonał zarządzenie swego pana. Dla Mynheera i Madame ustawił pod ścianą skalną dwa składane krzesła. U stóp ich rozłożył na serwecie zawartość koszyka, serwis do kawy i kieliszki, termosy, pieczywo i wino. Wszyscy podeszli po swe porcje, po czym wyszukali sobie miejsca na kamieniach, na barierze ścieżki, i wśród huku spożywali

w milczeniu podwieczerek, trzymając w ręku filiżanki z gorącą kawą, a na kolanach talerze z pieczywem.

Peeperkorn z podniesionym kołnierzem płaszcza, położywszy kapelusz na ziemi, pił porto wychylając raz po raz srebrny kubek z monogramem. I nagle zaczął mówić. Jakiż dziwny człowiek! Nie mógł przecież sam słyszeć swego głosu, a tym bardziej inni nie mogli zrozumieć ani słowa z tego, co chciał powiedzieć. Lecz on podniósł palec wskazujący, wyciągnął lewe ramię, bo w prawej ręce trzymał kubek, wzniosł dłoń ukośnie ku górze i widać było, jak jego królewska twarz porusza się przy mówieniu, jak usta formują wyrazy, które pozostają bezdźwięczne, jakby rzucone w bezpowietrzną przestrzeń. Wszyscy byli pewni, że niebawem zaprzestanie tego bezcelowego mówienia, i patrzyli nań uśmiechając się z zakłopotaniem, ale on przemawiał dalej w huku pochłaniającym każde słowo, czyniąc lewą ręką sugestywne, wytworne gesty, które zmuszały do uwagi; małe, znużone, blade, przemocą szeroko rozwierane oczy patrzyły spod fałdów czoła kolejno to na jednego, to na drugiego słuchacza; ten, do kogo się zwracał, zmuszony był mu potakiwać, podnosił brwi, otwierał usta i przykładał rękę do ucha, jakby ruchem tym mógł umniejszyć beznadziejność sytuacji. W końcu Peeperkorn powstał nawet z miejsca! Stał pod skałą z kubkiem w ręku, w pomiętym, długim, prawie do kostek sięgającym podróżnym płaszczu z podniesionym kołnierzem, z gołą głową o pobrużdżonym czole bożka, opłomienionym siwizną — poruszał ustami, a wygłaszając swą przemowę, trzymał przed sobą złożone w kółko dwa palce, nad którymi pozostałe sterczały niby włócznie, jak gdyby swój niezrozumiały, niemy toast chciał zilustrować sugestywnym symbolem ścisłości. Po gestach i ruchach warg poznać było, kiedy wymawia zwykle swe słowa: „Wspaniale” i „Skończone” — nic więcej. Głowa jego pochylila się skośnie, na rozdartych wargach osiadła gorycz, twarz zmieniła się w maskę cierpienia. Jednakże po chwili na jego policzku zarysował się głęboki dołek, a wraz z nim ukazał się przebiegły wyraz sybaryty, jak gdyby podkasawszy szatę zabierał się do tańca, jak gdyby nim o władnęła święta rozwiązłość pogańskiego kapłana. Podniósł kubek, zatoczył nim łuk przed oczami gości i przechyliwszy go wypił w dwu czy trzech haustach do dna. Wreszcie wyciągnął ramię, podał kubek Malajczykowi, który odebrał go kładąc rękę na piersi — dał znak do powrotu.

Wszyscy dziękując skłonili się przed nim i pośpiesznie zaczęli przygotowywać się do wykonania rozkazu. Kto siedział na ziemi, skoczył na równe nogi, kto siedział na poręczu, zsunął się i wyprostował. Smukły Jawajczyk w sztywnym kapeluszu i futrzanym kołnierzu zebrał resztki posiłku i naczyń. W tym samym

porządku, w którym przyszli, wracali wilgotną ścieżką wysłaną igliwem, przez zniekształcony porostami las, ku szosie, na której czekały pojazdy.

Hans Castorp wszedł teraz do powozu mistrza i jego towarzyszki. Siadł naprzeciw nich, obok poczciwego Fergego, dla którego niedostępne były wszelkie wyżyny. Podczas drogi powrotnej nic prawie nie mówiono. Mynheer siedział złożony dłonie na pledzie, okrywającym jego kolana i kolana Kławdii; milczał opuściwszy dolną szczękę. Settembrini i Naphta wysiedli i pożegnali się, zanim powóz minął tor kolejowy i strumień; Wehsal podjechał sam w drugim powozie krętą serpentyną przed portal sanatorium, gdzie się też pożegnano.

Nocy tej Hans Castorp spał z jakąś wewnętrzną gotowością, z której sam nie zdawał sobie sprawy, a której następstwem był przerywany i lekki sen; najłżejsze zakłócenie zwykłego spokoju panującego w gmachu, najbardziej przytłumiony szmer, ledwo dosłyszalny odgłos dalekich kroków wystarczał, aby się rozbudził zupełnie i zerwał z pościeli. Toteż już nie spał w chwili, gdy około godziny drugiej zapukano do jego drzwi. Odpowiedział natychmiast trzeźwo, przytomnie i energicznie. Wysoki i niepewny głos jednej z pielęgniarek przekazywał mu prośbę pani Chauchat, aby niezwłocznie przyszedł na pierwsze piętro. Ze wzmożoną energią wyraził swą zgodę, zerwał się, ubrał się szybko, palcami odgarnął włosy z czoła i zszedł na dół, ani zbyt szybko, ani powoli, niepewny nie tyle, co go czeka, ile jak się to będzie przedstawiać.

Drzwi do salonu Peeperkorna i do jego jasno oświetlonej sypialni stały otworem. Zastał tam obu lekarzy, starszą siostrę von Mylendonk, Madame Chauchat i jawajskiego kamerdynera. Ten ostatni był ubrany inaczej niż zazwyczaj; miał na sobie rodzaj stroju narodowego, szeroką, do koszuli podobną bluzę w szerokie pasy, z długimi i obszernymi rękawami, zamiast spodni barwną spódnicę, a na głowie stożkową czapkę z żółtego sukna; pierś jego zdobiły liczne amulety. Stał nieruchomo ze skrzyżowanymi ramionami, po lewej stronie łóżka, na którym na wznak z wyciągniętymi rękami leżał Pieter Peeperkorn. Castorp spojrzął wkoło i zbladł. Pani Chauchat była doń odwrócona plecami. Siedziała na niskim fotelu w nogach łóżka, łokcie oparła o kóldrę, patrzyła w twarz swego towarzysza podróży, wpijając palce w dolną wargę.

— Dobry wieczór, chłopcze — rzekł Behrens, który rozmawiał właśnie cicho z drem Krokowskim i ze starszą siostrą; skinął z wyrazem smutku na twarzy i z uniesionym w górę siwym wąsikiem. Miał na sobie płaszcz kliniczny, z którego górnej kieszeni wyglądała słuchawka, i haftowane pantofle, był bez kołnierzyka. — Nie ma rady — dodał szeptem. — Zrobione bez zarzutu. Zbliź się pan i spojrzuj

okiem znawcy. Przyzna pan, że tu skutecznie zadbano o to, aby żadna sztuka lekarska nie pomogła.

Hans Castorp zbliżył się na palcach do łóżka. Oczy Malajczyka śledziły wszystkie jego ruchy, biegały za nim bez poruszenia głowy, a tylko połyskując białkami. Spojrzawszy w bok stwierdził, że pani Chauchat nie zwróciła nań uwagi, i przybrał typową pozę przy łożu zmarłego, przeniósł ciężar ciała na jedną nogę, splótł wolno opuszczone dłonie, pochylił na bok głowę i zapadł w pełne czci i powagi zamyślenie. Peeperkorn leżał pod czerwoną jedwabną kołdrą, w trykotowej koszuli, w jakiej go Hans Castorp tak często widywał. Jego ręce i część twarzy posiniały, nieomal szerniały. Zmienił się przez to bardzo, choć rysy pozostały królewskie. Linie zmarszczek na wysokim, białym opłomienionym czole, ciągnące się poziomo w czterech czy pięciu szeregach i pionowo opadające na skroniach, wyżłobione bezustannym natężeniem całego życia, zaznaczyły się ostro i teraz, przy opuszczonych powiekach i znieruchomiałej twarzy. Gorzko rozdarte wargi były lekko rozchylone. Posinienie wskazywało, że funkcje życiowe zahamowane zostały przez gwałtowny paraliż.

Hans Castorp czekał przez chwilę w badawczym skupieniu; nie zmieniał pozycji, w nadziei, że „wdowa” doń przemówi. Gdy to nie nastąpiło, nie chcąc przeszkadzać obejrzał się tylko poza siebie na resztę obecnych. Radca skinął głową w kierunku salonu. Hans Castorp skierował się tam za nim.

— Suicidium? — zapytał rzeczowo, przytłumionym głosem.

— I to jakie! — odparł Behrens z gwałtownym gestem i dodał: — W pełnym tego słowa znaczeniu. W superlatywie. Czy pan kiedy widział podobny drobiazg galanteryjny? — zapytał wyciągnąwszy z kieszeni lekarskiego płaszcza nieforemny futerał, z którego wyjął jakiś mały przedmiot i pokazał go młodzieńcowi... — Ja nie. Ale warto to widzieć. Człowiek nie przestaje nigdy się uczyć. Niezwykłe to i pomysłowe. Wyjąłem mu z ręki. Ostrożnie. Jeśli kropla spadnie panu na rękę, będzie pan mieć pęcherz jak od oparzenia.

Hans Castorp obracał w palcach zagadkowy przedmiot ze stali, kości słoniowej, złota i kauczuku; wyglądał bardzo dziwnie. Składał się z dwu zakrzywionych stalowych ostrzy, lekko wygiętej, sporządzonej z kości słoniowej i inkrustowanej złotem części środkowej, w której oba ostrza mogły się do pewnego stopnia elastycznie poruszać, a kończył się czymś w rodzaju balonika z półsztywnej, czarnej gumy. Długość przedmiotu nie przenosiła kilku cali.

— Co to takiego? — zapytał Hans Castorp.

— To — odparł Behrens — rodzaj strzykawki iniekcyjnej. Albo, inaczej rzecz



biorąc, mechaniczna kopia szczęk okularnika. Rozumie pan? — Zdaje się, że pan nie pojmuje — mówi dalej, bo Hans Castorp patrzył jakby odurzony na dziwaczny przedmiot. — Oto są zęby. Nie są całkowicie masywne, we wnętrzu ich znajduje się włoskowaty przewód, cieniutki kanalik, którego ujście może pan widzieć tu, nieco powyżej końców. Kanaliki mają oczywiście też drugie ujście u korzeni zębów, połączone z ujściem gumowego gruczołu, który kończy się tu, w oprawie z kości słonowej. Przy nagryzieniu zęby zwracają się nieco ku wnętrzu, to jasne, naciskają na rezerwuuar, tak że jego zawartość wypełnia kanaliki; w chwili gdy ostrza wbijają się w ciało, dawka trucizny tryska w żyły. Kiedy się to rozważy, wszystko jest proste. Trzeba tylko wpaść na to. Prawdopodobnie przyrząd sporządzono według jego własnych wskazówek.

— Z pewnością — rzekł Hans Castorp.

— Dawka zapewne była nieduża — ciągnął Behrens. — Ilość musiała być zastąpiona przez...

— Dynamikę — dokończył Hans Castorp.

— Ano, tak. Jeszcze zbadamy, co to takiego jest. Bardzo jestem ciekawy, jaki będzie wynik, a na pewno będzie pouczający. A założmy się, że ten egzotyczny strażnik, który się dzisiejszej nocy tak pięknie wystroił, mógłby nam wszystko dokładnie wyjaśnić. Przypuszczam, że chodzi tu o jakąś kombinację jadu zwierzęcego i roślinnego — coś znakomitego w każdym razie, bo działanie musiało być piorunujące. Wszystko przemawia za tym, że od razu przerwało mu oddech — paraliż ośrodka oddechowego, rozumie pan, gwałtowna śmierć przez uduszenie się, zapewne bez cierpień.

— Dałby Bóg! — rzekł Hans Castorp nabożnie i, z westchnieniem wręczwszy rady niesamowity mały przyrząd, powrócił do sypialni.

Znajdował się tam teraz tylko Malajczyk i Madame Chauchat. Tym razem Kławdia podniosła głowę, gdy młodzieniec zbliżył się do łóżka.

— Miał pan prawo do tego, bym pana wezwała — rzekła.

— Jestem pani zobowiązany — odparł — i ma pani rację. Byliśmy przyjaciółmi, byliśmy z sobą na „ty”. Wstydzę się, że się wstydzilem tak do niego mówić przy ludziach i że używałem wykrętów. Była pani przy nim w ostatnich chwilach?

— Służący doniósł mi, gdy było już po wszystkim — odpowiedziała.

— Był człowiekiem takiego formatu — zaczął znów Castorp — że gdy uczucie zawiodło wobec życia, odczuł to jako kosmiczną katastrofę i bluźnierstwo. Bo musi pani wiedzieć, że uważał siebie za organ weselny Boga. To było jego królewskim

głupstwem... Kiedy się jest wzruszonym, ma się odwagę używania wyrazów jaskrawych i jak gdyby pozbawionych pietyzmu, ale w gruncie rzeczy bardziej uroczy-  
stych niżli powszechnie przyjęte słowa czci.

— C'est une abdication\* — rzekła. — Czy wiedział o naszej głupocie?

— Nie mogłem jej ukryć przed nim, Kławdio! Odgadł wszystko w chwili, gdy nie chciałem w jego obecności pocałować pani w czoło. Obecność jego jest wpraw-  
dzie w tej chwili raczej symboliczna aniżeli realna, ale — czy pozwoli pani, że uczynię to teraz?

Pochyliła ku niemu głowę, przymykając oczy, jakby z lekkim skinieniem. War-  
gami dotknął jej czoła. Brązowe, zwierzęce oczy Malajczyka patrzyły na tę scenę  
obrócone w słup, błyszczące białkami.

## Wielkie otępienie

Raz jeszcze słyszymy głos radcy Behrensa — słuchajmy uważnie! Może słyszymy  
go po raz ostatni! Nawet ta nasza opowieść skończy się kiedyś; trwała i tak już nie-  
zmiernie długo, a raczej czas stanowiący jej treść potoczył się tak gwałtownie, że  
niepodobna go zatrzymać, a teraz kończy się też jej czas muzyczny. Może nie  
będziemy już mieli sposobności usłyszeć wesołego głosu i swoistego sposobu wyra-  
żania się Radamantysa. Mówił on teraz do Hansa Castorpa:

— Ej, Castorp, stary wygo, widzę, że się pan nudzi! Spuszcza pan nos na  
kwintę, nie ma dnia, żebym tego nie zauważył, na pańskiej twarzy maluje się znie-  
chęcenie, zblazowany z pana smarkacz. Zepsuły pana sensacje i jeśli nie dzieje się  
co dzień coś nadzwyczajnego, to skarży się pan na ogórkowy sezon. Mam rację, czy  
nie?

Hans Castorp milczał, co świadczyło, że w jego wnętrzu naprawdę panował  
mrok.

— Mam rację, jak zawsze — odpowiedział sobie samemu Behrens. — I zanim  
zarazisz tu innych jadem swego zniechęcenia, niezadowolony obywatelu, przeko-  
nasz się, że nie jesteś bynajmniej opuszczony przez Boga i ludzi, ale że władza  
wyższa ma na ciebie, mój drogi, baczne oko i niezmordowanie stara się o twoje roz-  
rywki. Jest jeszcze na świecie stary Behrens! A teraz bez żartów, chłopcze! Wpadło

---

\* C'est une abdication (franc.) — To abdykacja.

mi coś do głowy w związku z panem, wymyśliłem to dla niego podczas mych bezsennych nocy. Można by powiedzieć, że miałem natchnienie — i obiecuję sobie wiele po moim pomyśle — chodzi ni mniej, ni więcej, tylko o to, żeby pan pozbył się jadów i mógł w najkrótszym czasie tryumfalnie wrócić do domu.

— Ależ wytrzeszcza pan oczy — odpowiedział sam sobie po artystycznie zainscenizowanej pauzie, choć Hans Castorp oczu bynajmniej nie wytrzeszczał, lecz patrzył nań raczej sennie i z roztargnieniem. — Nie ma pan nawet pojęcia, o co chodzi staremu Behrensovi. Chodzi mi mianowicie o to. Nie uszło pewnie pańskiej szanownej uwagi, że coś z panem jest nie w porządku. Nie w porządku o tyle, że objawy zatrucia nie pozostają u pana w żadnym stosunku do stanu płuc, który się znacznie poprawił. Nie od dziś o tym myślę. Oto pańskie najnowsze zdjęcie... potrzymajmy no to cudo pod światło. Patrz pan, nawet największy zrzęda i „czarnowidz”, jak mówi nasz cesarz i władca, nie znalazłby tu powodu do obawy. Parę ognisk zresorbowało się zupełnie, gniazdo zmniejszyło się i jest ostro ograniczone, co, jak pan w swej uczoności wie, jest dowodem wyleczenia. Człowieku, na tej podstawie trudno wytłumaczyć niesolidność pańskiej gospodarki cieplnej; lekarz musi szukać innych przyczyn.

Hans Castorp wykonał głową ruch, który oznaczał trochę uprzejmej ciekawości.

— Pomyśli pan sobie teraz: Stary Behrens musi przyznać, że źle mnie leczył. Spudłuje pan myśląc w ten sposób i nie oceni należycie ani rzeczywistego stanu rzeczy, ani starego Behrensa. Sposób, w jaki pana leczyłem, nie był błędny, był może tylko nieco jednostronny. Zrozumiałem, że u pana może już dawniej symptomów chorobowych nie należało przypisywać wyłącznie gruźlicy, a tę możliwość wyprowadzam z prawdopodobieństwa, że obecnie ich tak już w ogóle tłumaczyć nie trzeba. Musi istnieć inne źródło zaburzeń. Zdaniem moim ma pan streptokoki, paciorkowce. To jest moje najgłębsze przekonanie — powtórzył radca z naciskiem, zauważwszy ruch głowy Hansa Castorpa. — Nie ma zresztą powodu do obaw.

(O obawie nie mogło być mowy. Mina Hansa Castorpa wyrażała raczej ironiczne uznanie czy to dla bystrości lekarza, czy też dla nowego zaszczytu przypisywanego mu hipotetycznie przez radcę.)

— Tylko bez paniki! — zmienił radca swój sposób perswadowania. — Każdy ma streptokoki. Może je mieć każdy osioł. Nie ma pan co być zarozumiały. Wiemy od niedawna, że można mieć we krwi paciorkowce nie wykazując żadnych objawów infekcji. Dochodzimy więc do rezultatu nie znanego dotąd większości moich kolegów, że również tuberkuły mogą istnieć we krwi bez dalszych konsekwencji. Jesteśmy już o krok od poglądu, że tuberkuloza jest właściwie chorobą krwi.

Hans Castorp osądził, że rzecz jest ciekawa.

— Więc kiedy mówię: streptokoki — zaczął znów Behrens — to nie powinien pan sobie zaraz wyobrażać owej ciężkiej choroby. Dopiero bakteriologiczne badanie krwi ustali, czy te małe stworzonka zagnieździły się w pańskim organizmie. A czy stan podgorączkowy należy przypisać ich działaniu — przy założeniu, że są one u pana — o tym przekonamy się po wynikach kuracji szczepionką paciorkowcową. Musimy ją rozpocząć — oto jest nasza droga, kochany przyjacielu, spodziewam się po niej niebywałych niespodzianek. Podczas gdy gruźlica jest chorobą przewlekłą, to schorzenia tego rodzaju leczy się dziś szybko. Jeśli pan będzie reagował w ogóle na zastrzyki, to w sześć tygodni będzie pan zdrów jak ryba. I cóż pan na to? Stary Behrens jest coś wart, he?

— Przecież na razie to jedynie hipoteza — odparł obojętnie Hans Castorp.

— Hipoteza, którą można udowodnić! Nadzwyczaj płodna hipoteza! — odparł radca. — Zobacz pan, jaka płodna, kiedy na pożywkach naszych rozmnożą się paciorkowce. Jutro po południu wypompujemy panu nieco krwi, Castorp, według wszystkich reguł sztuki wiejskich cyrulików. To już samo przez się stanowi miłą zabawę i może mieć błogosławione skutki dla duszy i ciała...

Hans Castorp oświadczył, że nie ma nic przeciw tej rozrywce, i podziękował lekarzowi za okazaną mu troskliwość. Z pochyloną w bok głową patrzył za radcą, który odchodził wiosłując rękami. Radamantys wystąpił ze swym przemówieniem właśnie w krytycznym momencie: zrozumiał dość trafnie minę i nastrój pacjenta, a nowy plan miał przewyciężyć martwy punkt, w jakim znalazł się od niedawna ów pacjent. Można to było wywnioskować z jego mimiki, która przypominała zachowanie się świętej pamięci Joachima w okresie, gdy gotowały się w nim pewne dzikie i buntownicze decyzje.

Co więcej, Hansowi Castorpowi zdawało się, że nie tylko on sam znalazł się w martwym punkcie, ale że rzecz ma się podobnie z całym światem, ze „wszystkim”, a raczej zdawało mu się, że trudno tu odróżnić szczegóły od ogółu. Od czasu jak ekscentrycznie rozwiązały się jego stosunki z pewną wybitną osobistością, powodując niemałe poruszenie w sanatorium, a także od czasu jak Kławdia Chauchat opuściła ponownie sanatoryjną społeczność, od pożegnania, na które padał tragiczny cień wielkiej rezygnacji i czci dla zmarłego przyjaciela — od owego punktu zwrotnego zdawało się młodemu człowiekowi, że ze światem i życiem coś jest nie w porządku; że wszystko bierze obrót coraz gorszy i bardziej niepokojący. Jak gdyby niepodzielną władzę objął zły a bezmyślny demon, który już od dawna wywierał wpływ na wypadki, a teraz zapanował tak otwarcie i z taką bezwzględno-

ścią, że mógł budzić tajemniczy lęk i chęć ucieczki — demon, któremu na imię było: otępienie.

Powie ktoś, że autor przesadza mocno i romantyzuje łącząc pojęcie otępienia z demonizmem i przypisując mu mistyczne i przerażające działanie. A jednak nic nie zmyślamy, lecz trzymamy się osobistych przeżyć naszego skromnego bohatera, o których, co prawda, wiemy ze źródeł nie podlegających weryfikacji. Przeżycia te zaś stanowią jedyny dowód, że otępienie może w pewnych warunkach przybrać taką właśnie postać i obudzić takie uczucia. Hans Castorp spoglądał dokoła siebie... Widział dokoła niesamowitość i złośliwość i rozumiał, co widzi: życie poza czasem, życie bez troski i bez nadziei, życie pracowite, a jednak gnijące w zastoju i rozwiązłości, życie martwe.

Nie brak było w tym życiu aktywności, oddawano się w nim przeróżnym zajęciom; a od czasu do czasu jedno z nich przeradzało się w modę, w masowy szal. Tak na przykład fotografia amatorska odgrywała od dawna wielką rolę wśród gości „Berghofu”, a dwukrotnie namiętność ta na przeciąg tygodni i miesięcy przeszła w ogólne szaleństwo. Przebywający tu przez czas dłuższy mogli obserwować periodyczny powrót takich epidemii. Kto żyw, z zatroskaną twarzą pochylał głowę nad opartym o brzuch aparatem, błyskał obiektywem, a pokazywaniu odbitek przy stole nie było końca. Stało się nagle punktem honoru, aby samodzielnie wywoływać zdjęcia. Ciemnica sanatoryjna okazała się zgoła niewystarczającą. Zawieszano okna i drzwi balkonów czarnymi zasłonami; kupowano czerwone żarówki i tak długo majstrowano przy różnych chemicznych kąpielach, że aż raz pewnego wybuchł pożar; o włos, a byłby padł jego ofiarą bułgarski student, siedzący przy lepszym stole rosyjskim. Zarząd wydał na skutek tego ostry zakaz. Wkrótce znudziły się zwykłe fotografie przy dziennym świetle; w modę weszły zdjęcia przy świetle magnezjowym i fotografie barwne według mody Lumière’a. Unoszono się nad zdjęciami, na których postacie, oślepienie nagłym światłem, patrzyły przed siebie z twarzami skurczonymi i oczami w słupek, jak trupy ludzi pomordowanych, którym nadano pozycję siedzącą. Hans Castorp przechowywał oprawną w tekturę płytkę szklaną, którą należało ustawić pod światło, aby dojrzeć jego samego między panią Stöhr a bladą jak z kości słoniowej panną Levi. Pierwsza miała na sobie błękitny, druga zaś krwistoczerwony sweter, a on sam, z twarzą miedzianą, stał na jaskrawozielonej polanie pomiędzy żółtymi kaczeńcami, z których jeden błyszczał w jego butonierce.

Poza tym uprawiano filatelistykę; niektórzy stale zbierali znaczki pocztowe, a niekiedy zbieranie to przechodziło w masowy obłęd. Kto mógł, nalepiał, handlo-

wał, wymieniał. Abonowano czasopisma filatelistyczne, prowadzono ożywioną korespondencję ze specjalnymi firmami w kraju i za granicą, ze stowarzyszeniami filatelistów i z prywatnymi zbieraczami. Nawet i ci, których środki materialne zaledwie starczyły na długoletni nieraz pobyt w luksusowej lecznicy, znajdowali w jakiś sposób zdumiewające sumy, umożliwiające im nabywanie rzadkich okazów filatelistycznych.

Trwało to długo, aż wszystkich opanowało inne głupstwo, mianowicie wyrazem dobrego tonu stało się gromadzenie i zjadanie czekolady różnych gatunków. Wszyscy chodzili z brązowymi ustami, a najwymyślniejsze przysmaki sanatoryjnej kuchni spotykały się z krytyką i nie budziły apetytu, bo żołądki były napchane i rozstrojone jakimiś Milka-Nut, Chocolat à la crème d'amandes, Marquis-Napolitains czy złoto nakrapianymi „Kocimi języczkami”.

Rysowanie z zamkniętymi oczami świnek, zainaugurowane któregoś karnawałowego wieczoru przez najwyżej stojącą osobistość i od owej chwili bardzo popularne, doprowadziło w swych dalszych etapach rozwojowych do łamigłówek geometrycznych, które w niektórych okresach absorbowały wszystkie siły duchowe gości, a nawet ostatnie myśli i siły skazanych już na śmierć. W ciągu całych tygodni sanatorium stało pod znakiem jakiejś skomplikowanej figury, złożonej z ośmiu wielkich i małych kół i wielu zachodzących na siebie trójkątów. Zadanie polegało na tym, aby kształt owej figury narysować jednym pociągnięciem ołówka, celem zaś najwyższym stało się dokonanie tego z zawiązanymi oczami. Udało się to wreszcie, jeśli pominąć kilka usterek formalnych, prokuratorowi Paravantowi, który wiódł prym wśród zacierzewionych zwolenników łamigłówek.

Wiemy, że zajmował się matematyką, wiemy o tym od samego radcy, znamy cnotliwe motywy tych zainteresowań, słyszeliśmy, jak zachwalano ich działanie ochładzające i zmniejszające pożądanie cielesne. Uprawiane powszechnie, prawdopodobnie uczyniłyby zbędnymi pewne, niedawno wprowadzone innowacje, polegające na zamykaniu drzwi łączących balkony. Kąpielowy zamykał co wieczór z domyślnym uśmiechem małe drzwiczki w dzielących balkony ściankach z mlecznego szkła, które nie dochodziły do balustrady. Od tej chwili szczególnie pożądanymi stały się pokoje na pierwszym piętrze nad werandą, stamtąd bowiem po przesadzeniu balustrady można się było po wystającym szklanym daszku dostać z jednej loggii do drugiej. Nie z powodu pana prokuratora została wprowadzona ta dyscyplinarna innowacja. Ciężka pokusa, spowodowana pojawieniem się owej egipskiej Fatme, minęła dawno, a od owego czasu nic go już nie wyprowadzało z równowagi. Rzucił się ze zdwojonym zapalem w ramiona jasnookiej bogini, o której uśmierzają-

cym działaniu tak umoralniająco mówił radca Behrens. Niegdyś z zapałem i uporem, nie opuszczającym go we dnie ani w nocy, ze sportową wytrwałością starał się dowodzić winy nieszczęsnym grzesznikom; było to przed uzyskaniem urlopu, który, wciąż przedłużany, przechodził niemal w stan spoczynku. Teraz z tym samym sportowym zapałem oddał się pewnemu problemowi, a był to ni mniej, ni więcej, tylko problem kwadratury koła.

Wykolejony urzędnik doszedł w ciągu swych rozmyślań do wniosku, że naukowe dowody niemożliwości tej konstrukcji nie wytrzymują krytyki i że Opatrzność w tym celu wybrała jego, Paravanta, i przeniosła z niższych regionów życia tutaj, aby ów transcendentny cel zrealizował na ziemi. Rysował więc i liczył przez dzień cały, pokrywał niezliczone kartki papieru figurami geometrycznymi, literami, cyframi, symbolami algebraicznymi; jego ogorzała twarz zdrowego pozornie człowieka przybierała wizjonerski i zacięty wyraz maniaka. Rozmawiał wyłącznie i ze straszliwą monotonią o liczbie pi — o owym rozpaczliwym ułamku, który niejaki Zachariasz Dase, mistrz w rachowaniu z pamięci, obliczył ongi do dwustu miejsc dziesiętnych; a dokonał tego tylko tak, dla sportu, bo nawet dwa tysiące miejsc dziesiętnych nie zbliżyłoby nas niemal wcale do nieosiągalnej ścisłości. Wszyscy unikali uciążliwego myśliciela, albowiem każdego, kogo dopadł, zalewał potokiem słów, aby wzbudzić w nim uczucie wstydu, że nieuleczalna niewymierność tej mistycznej relacji w tak haniebny sposób zanieczyszcza ludzkiego ducha. Bezplodność odwiecznego mnożenia średnicy przez pi dla otrzymania obwodu oraz mnożenia kwadratu promienia przez pi dla otrzymania powierzchni koła — nasuwała prokuratorowi przypuszczenie, że rozwiązanie zagadnienia jest w rzeczywistości dziecinnie proste, a tylko ludzkość od czasów Archimedesza niepotrzebnie je sobie utrudnia. Jak to, czyżby nie można wyprostować linii kołistej, a zatem także i odwrotnie, zgiąć prostej i uczynić z niej koła? Chwilami zdawało się Paravantowi, że jest już bliski objawienia. Siadywał do późna w noc w opustoszałej i słabo oświetlonej jadalni i widziano go nieraz, jak nadawał kawałkowi sznurka na stole kształt koła, aby go potem gwałtownym ruchem wyprostować, po czym, oparty całym ciężarem o powierzchnię stołu, zapadał w gorzkie zamyślenie. Radca zachęcał go niekiedy do tej melancholijnej zabawy, umacniał go w jego urojeniu. Maniak zwracał się także ze swoją ulubioną troską do Hansa Castorpa, a nawet zwracał się doń często, bo trafił u niego na życzliwość, zrozumienie i zainteresowanie tajemnicą koła. Uzmysławiał więc młodemu człowiekowi rozpaczliwe pi, pokazując mu nadzwyczaj precyzyjnie wykonany rysunek, który przedstawiał koło między dwoma wielobokami, jednym wpisany, a drugim opisanym: boki wieloboków były tak liczne i tak drobne, że leżały na samej granicy możliwości przybliżenia. — Pi — mówił prokurator, a dolna szczę-

ka mu drgała — pi jest to reszta, jest to łuk nie dający się przedstawić w formie liczby wymiernej, jak eter i widmo wymyka się ono obliczeniom. — Hans Castorp mimo całą swą wrażliwość nie przejmował się istotą pi tak bardzo, jak to czynił jego rozmówca. Nazywał to wszystko sowizdrzalstwem i radził Paravantowi, aby się zbytnio nie zapalał do tej zabawy w łapankę. Mówił przy tym o nieprzestrzennych punktach zwrotnych, z których składa się koło od swego nie istniejącego początku aż po nie istniejący swój koniec, o przekornej melancholii, płynącej z zamkniętej w sobie wieczności, pozbawionej kierunku trwania, a mówił z takim spokojem i nabożeństwem, że chwilami wpływał na prokuratora uspokajająco.

Pocziwy Hans Castorp był zresztą z natury predestynowany na powiernika swoich towarzyszy sanatoryjnych, którzy byli owładnięci jakąś manią i cierpieli z powodu tego, że u większości ludzi, lżej biorących życie, nie znajdowali posłuchu. Pewien były rzeźbiarz pochodzący z jakiegoś prowincjonalnego miasta austriackiego, niemłody człowiek z siwym wąsem, orlim nosem i niebieskimi oczami, ukuł plan finansowy — i spisał go kaligraficznym pismem, podkreślając jeszcze ważniejsze miejsca sepią. Plan polegał na tym: Należy skłonić prenumeratorów gazet, ażeby odkładali codziennie 40 gramów starych gazet i odstawiali je pierwszego każdego miesiąca do odpowiedniego urzędu. Da to w jednym roku około 14 000 gramów, w dwudziestu zaś latach nie mniej niż 288 kilogramów. Licząc po 20 fenigów za kilogram papieru, będzie to przedstawiało wartość 57 marek niemieckich i 60 fenigów. Pięć milionów prenumeratorów — ciągnęło dalej memorandum — zaoszczędzi tedy w ciągu lat dwudziestu olbrzymią sumę 288 milionów marek, z czego dwie trzecie zaliczyć można na poczet dalszej prenumeraty, która dzięki temu potanieje, resztę zaś, w sumie około 100 milionów marek, będzie można zużyć na cele humanitarne, finansowanie sanatoriów dla chorych na gruźlicę, popieranie ludzi ubogich a utalentowanych, i tym podobne. Plan był opracowany do najdrobniejszych szczegółów, nie pominięto przyrzędu mierniczego, za pomocą którego urząd zbierania starych gazet ustalać miał wartość dostarczonego papieru, ani perforowanych formularzy na kwity dla dostawców. Każdy punkt był wszechstronnie opracowany i uzasadniony. Lekkomyślne marnotrawstwo i niszczenie papieru gazetowego, praktykowane przez nieuświadomionych, którzy go palą lub topią spuszczać wodę, jest zdradą wobec naszych lasów i naszej gospodarki narodowej. Oszczędzać papier, szanować papier, znaczy tyle, co szanować celulozę, zalesienie kraju, materiał ludzki, kapitał, który zużywa się podczas fabrykacji celulozy i papieru; tak, znaczy to także szanować materiał ludzki i kapitał. A że wartość papieru gazetowego może łatwo wzrósć w czwórnasób, dzięki jego przeróbce na papier do pakowania i kartony, więc papier stanie się ważnym czynnikiem gospo-



darczym, podstawą wydajnego opodatkowania państwowego i gminnego, a zarazem odciążą czytelników gazet jako płatników podatkowych. Słowem, plan był dobry, wręcz nie do obalenia; jego niesamowitość, zbędność, ponure szaleństwo pochodziły tylko z dziwnego fanatyzmu, z jakim były artysta przywarł do jednej i tylko do tej jednej idei ekonomicznej, której widocznie w gruncie rzeczy nie traktował na serio, skoro nie czynił najmniejszych starań, aby ją w czyn wprowadzić... Hans Castorp przysłuchiwał się mówcy, potakując pochyloną w bok głową, podczas gdy tamten rozwijał przed nim swą zbawczą myśl w gorączkowo wyrzucanych słowach; analizował równocześnie uczucia niechęci i pogardy, których wobec tego wszystkiego doznawał i które nie pozwalały mu stanąć po stronie wynalazcy przeciw bezmyślnemu światu.

Kilku mieszkańców „Berghofu” uczyło się esperanta i umiało przy stole prowadzić konwersację posługując się tą sztuczną gwarą. Nieszczęsny Hans Castorp spozierał na nich ponuro, choć zdawał sobie sprawę, że ci właśnie nie należą do najmniejbezpiecznych. Przybyła tu niedawno grupa Anglików, która wprowadziła grę towarzyską polegającą jedynie na tym, że jeden stawiał pytanie: „Did you ever see the devil with a night-cap on?”\*, na co zapytany odpowiadał: „No! I never saw the devil with a night-cap on”.\*\* Pytanie to podawano dalej i tak wciąż w kółko. To było okropne. Ale jeszcze przykrzejszy był dla Hansa Castorpa widok stawiających pasjans, których obserwować mógł na każdym miejscu i o każdej porze. Namiętność ta przybrała ostatnio takie rozmiary, że całe sanatorium zmieniło się dosłownie w dom gry. Hans Castorp miał powody do patrzenia na to z przerażeniem, a to tym bardziej, że sam stał się na jakiś czas ofiarą zarazy, i to w większym może stopniu niż inni. Przyczyną tego stał się pasjans zwany „jedenastką”: polega na tym, że rozkłada się karty wistowe w trzech szeregach po trzy, a potem przykrywa się nowymi dwie karty, które w sumie dają jedenaście, oraz każdą z trzech figur, jeśli jest odkryta — dopóki się nie poszczęści i pasjans nie wyjdzie. Jest rzeczą na pozór niezrozumiałą, że z tak prostych czynności wyniknąć mogą duchowe podniety, które człowieka niemal że zaczarowują. A jednak Hans Castorp wypróbował to na sobie, podobnie jak tylu innych — wypróbował z ponuro ściągniętymi brwiami, wyuzdanie bowiem nigdy nie jest wesołe. Zdany na łaskę i niełaskę chochlika karcianego, uległ czarowi fantastycznej zmienności szczęścia. Czasem tworzyły się jedenastki same przez się, a grupy walet-dama-król rosły pod ręką i talia kończyła się, zanim po raz trzeci wyłożył karty do końca (zwodniczy tryumf pobudzał nerwy do natychmiastowego podjęcia nowych prób); ale potem wykładał karty po dziewięć razy —

---

\* Did you ever see... (ang.) — Czy widział pan kiedy diabła w czepku nocnym?

\*\* No! I never saw... (ang.) — Nie, nigdy nie widziałem diabła w czepku nocnym.

więcej nie wolno było — bez żadnej możliwości przykrycia; kiedy indziej powodzenie, które zdawało się zapewnione, udaremniała w ostatniej chwili nagła przeszkoda. Kładł pasjans wszędzie i o każdej porze dnia, nocą w świetle gwiazd, rano nie zdjąwszy jeszcze pidżamy, przy stole, a nawet we śnie. Przerażało go to, ale kładł je dalej. Zastał go przy tym pewnego razu Settembrini, „przeszkodził” mu, co od dawna było jego misją.

— Accidenti! — rzekł. — Stawia pan sobie kabałę, inżynierze!?

— Nie o kabałę mi chodzi — odparł Hans Castorp. — Po prostu układam karty i wojuję z abstrakcyjnym przypadkiem. Zaciekawiają mnie jego kaprysy, zmienne jak pogoda, jego usłużność, a potem znów niewiarogodny opór. Dziś rano, zaraz po wstaniu, wyszedł mi pasjans łatwo trzy razy z rzędu, i to raz nawet za drugim razem, co stanowi rekord. Czy uwierzy pan, że kładę go teraz po raz trzydziesty drugi i ani razu nie udało mi się dojść chociażby do połowy talii?

Settembrini spojrział nań smutnymi, czarnymi oczami, tak jak to często czynił w ciągu ostatnich lat.

— Bądź co bądź jest pan zajęty — rzekł. — Widzę, że nie znajdę u niego pociechy na moje kłopoty ani balsamu na rozterki wewnętrzne, które mnie dręczą.

— Rozterki? — powtórzył Hans Castorp i wykladał dalej karty.

— Jestem zdezorientowany stanem politycznym świata — westchnął mason. — Liga Bałkańska dojdzie do skutku, inżynierze, wszystkie moje informacje przemawiają za tym. Pracuje nad tym gorączkowo Rosja, a ostrze tego porozumienia zwraca się przeciw monarchii austriacko-węgierskiej; bez jej rozbicia nie może się ziścić ani jeden punkt rosyjskiego programu. Rozumie pan moje skrupuły? Nienawidzę Wiednia z całej duszy, wie pan o tym. Ale czyż dlatego mam dawać duchowe poparcie sarmackiemu despotyzmowi, który zamierza wzniecić pożogę w naszej szlachetnej części świata? Z drugiej strony uważałbym za hańbę najmniejsze choćby współdziałanie mego kraju z Austrią. To są kwestie sumienia, które...

— Siedem i cztery — rzekł Hans Castorp. — Osiem i trzy. Walet, dama, król. Idzie dobrze, przyniósł mi pan szczęście.

Włoch zamilkł. Hans Castorp czuł, że w głębokim smutku spoczywają na nim ciemne oczy, wzrok mądry i dobry; wykladał jednak jeszcze przez chwilę karty, a potem oparł policzek na dłoń i spojrział na stojącego przed nim mentora z fałszywą, niewinność udającą miną krnąbrnego dziecka.

— Oczy pana — rzekł ów — na próżno starają się ukryć, że wie pan dobrze, co się z panem dzieje.

— Placet experiri — odparł bezczelnie Hans Castorp; Settembrini odszedł — po czym zresztą młodzieniec, pozostawszy sam, siedział przez dłuższy czas przy stole w białym pokoju i, zaniechawszy stawiania pasjansów, z głową opartą na dłoni, poruszony do głębi, rozmyślał nad niesamowitym i dziwacznym stanem, w jakim się znalazł świat pod bezrozumnym i nieokiełznanym panowaniem szczerzącego zęby demona, któremu na imię „ostateczne otępienie”.

Było to imię niedobre, apokaliptyczne, jak stworzone, by budzić tajemny strach. Hans Castorp siedział i pocierał dłonią czoło i serce. Bał się. Miał uczucie, że „to wszystko” musi się źle skończyć, że skończy się katastrofą, buntem cierpliwej natury, nadciągnie burza i oczyszczający wichur, który sprawi, że pryśnie czas ciągnący nad światem, wyrwie życie z „martwego punktu” i „sezon ogórkowy” postawi przed straszliwym sądem ostatecznym. Chciał uciekać — wspominaliśmy już o tym — i szczęście, że władza roztoczyła nad nim wspomnianą już przedtem „baczną opiekę”, że umiała czytać z jego twarzy i wystarała się o rozrywkę w formie nowej, owocnej hipotezy!

Władza, przemawiając językiem korporantów, oświadczyła, że jest na tropie przyczyn, dla których Hans Castorp tak niesolidnie gospodaruje swą ciepłotą. Według jej naukowej opinii przyczyny te były tak łatwe do usunięcia, że wyzdrowienie chorego i formalne zwolnienie go na niziny stało się już rzeczą bliskiej przyszłości. Serce młodego człowieka, ogarnięte sprzecznymi uczuciami, było mocno, gdy wyciągnął rękę, aby z niej pobrano krew. Mrugając oczyma i blednąc nieco, podziwiał wspaniałą rubinową czerwień życiowego soku, którego słup wznosił się w przeźroczystej strzykawce. Radca przeprowadzał osobiście małą, ale doniosłą operację, w asyście dra Krokowskiego i jednej z sióstr miłosierdzia. Potem minął szereg dni, podczas których Hansa Castorpa dręczyło pytanie, co ujawni oddana przezeń krew, obejrzana okiem nauki.

Z początku radca oświadczył, że na razie nic jeszcze naturalnie nie mogło się rozwinąć. Nic, niestety, nie chciało się rozwinąć — rzekł w parę dni później. Ale wreszcie pewnego poranku, podczas śniadania, podszedł do Hansa Castorpa, który podówczas zajmował miejsce przy lepszym rosyjskim stole, tam gdzie niegdyś siedywał jego wspaniały przyjaciel — i począł go obsypywać swoiście sformułowanymi gratulacjami; bo jednak na jednej z pożywek stwierdzono niewątpliwie paciorkowce. Czy objawy zakażenia należy tłumaczyć gruźlicą, bądź co bądź istniejącą, choć w małym stopniu, czy też również w małej tylko ilości występującymi streptokokami.— to jest zagadnienie z zakresu rachunku prawdopodobieństwa. On sam, Behrens, musi się bliżej i dokładniej zająć tą sprawą. Hodowla streptokoków nie

rozrosła się jeszcze dostatecznie. — Pokazał mu ją w laboratorium; czerwona, skrzepla krew z szarymi punkcikami. To były paciorkowce. (Ale paciorkowce mógł przecież mieć każdy osioł, tak samo jak i tuberkuły; gdyby nie objawy chorobowe, stwierdzenie ich nie miałyoby żadnego znaczenia.)

Skrzepla krew Hansa Castorpa spełniała w dalszym ciągu przewidywania — poza nim, pod okiem nauki. Pewnego poranku radca zaraportował wyrażając się po swoim: streptokoki wyrosły nie tylko na jednej, ale na wszystkich pożywkach, i to w wielkich ilościach. Nie wiadomo tylko, czy to rzeczywiście są paciorkowce; jednakże jest więcej niż prawdopodobne, że objawy zakażenia pochodzą z tego źródła; niepewne jest tylko, co należy złożyć na karb niewątpliwie istniejącej niedawno jeszcze i niezupełnie wyleczonej gruźlicy. Stąd wniosek? Kuracja szczepionką paciorkowcową. Prognoza? Nadzwyczaj korzystna — tym bardziej że próba nie jest połączona z żadnym ryzykiem i bezwarunkowo nie może zaszkodzić. Surowica została przecież sporządzona z własnej krwi Hansa Castorpa, a więc przez zastrzyk jej nie wprowadzi się do jego ciała żadnego pierwiastka chorobotwórczego, który by się i tak tam nie znajdował. W najgorszym wypadku wynik będzie równy zeru — ale i w takim razie nie stanie się nic złego, bo pacjent tak czy inaczej musi pozostać w sanatorium.

Nie, tego nie brał Hans Castorp pod rozwagę. Poddał się kuracji, choć uważał ją za śmieszna i ubliżającą. Szczepienia dokonywane za pomocą cząstki siebie samego wydawały mu się wstrętnym i niewesołym urozmaiceniem, czymś jakby kazirodczym, bezpłodnym i beznadziejnym już w samej swej istocie. Taka opinia, wypływająca z jego niekompetencji i hipochondrii, pod jednym tylko względem była słuszna zupełnie — mianowicie kuracja okazała się całkowicie nieskuteczna. Trwała całymi tygodniami. Chwilami zdawała się szkodzić choremu — co oczywiście musiało być pomyłką, chwilami znów zdawała się mu pomagać — ale i to okazywało się błędem. Wynik był równy zeru, choć nikt tego wyraźnie nie powiedział. Przedsięwzięcie spełzło na niczym i Hans Castorp kładł dalej pasjanse — oko w oko z demonem, którego nieograniczona władza musiała się, jego zdaniem, skończyć w sposób straszny.

## **Pełnia harmonii**

Jakaż to zdobycz i innowacja w zakładzie „Berghof” uwolniła naszego długoletniego przyjaciela od karcianego bzika i rzuciła w ramiona innej, szlachetniejszej,

choć w gruncie nie mniej dziwnej namiętności? Pragniemy o niej opowiedzieć i oddać jej tajemny czar, który nami samymi owładnął.

Chodziło o powiększenie ilości przyrządów rozrywkowych w sali zebrań towarzyskich, które w swej niewyczerpanej troskliwości obmyślił i wprowadził w czyn zarząd tej ze wszech miar polecenia godnej instytucji. Kosztów tego nie będziemy obliczać, ale nie możemy nie podziwiać wspaniałomyślności zarządu: Czy chodziło o jeszcze jedną pomyslową zabawkę w rodzaju stereoskopu, kalejdoskopu o kształcie lunety lub stroboskopu? Tak, ale zarazem było to coś zupełnie innego. To, co pewnego dnia zostało zainstalowane w pokoju muzycznym, nie było, po pierwsze, przyrządem optycznym, lecz akustycznym (przy oglądaniu go jedni wznosili ręce nad głowę, a inni składali je, schyliwszy się, na brzuchu); a poza tym tamte drobne atrakcje nie mogły z tą w ogóle iść w porównanie pod względem wartości i znaczenia. Nie była to dziecinna zabawka, która łatwo obrzydnie i której po trzech tygodniach pobytu w sanatorium nikt już do rąk nie brał. Był to róg obfitości, niewyczerpane źródło wesołych i głębokich artystycznych rozkoszy. Był to aparat muzyczny. Był to gramofon.

Poważną naszą troską jest, aby wyrazu tego nie zrozumiano w sposób niegodny i przestarzały i aby tego, co mamy przed sobą, nie wyobrażano sobie wedle jego pierwotnej formy, która dziś już zupełnie wyszła z mody. Wyobrażenia takie nie liczyłyby się z niezmordowanymi wysiłkami techniki, która w służbie sztuki doszła do niezwykłej doskonałości. Moi drodzy! Nie była to bynajmniej owa pocziwa skrzynka z korbą, zaopatrzona w tarczę i rylec, z nieforemnym mosiężnym głośnikiem u góry, której nosowy ryk, płynący z karczemnego stołu, wypełniał niewybredne uszy. Matowoczarna bejcowana szafka, nieco bardziej głęboka niż szeroka, połączona z kontaktem w ścianie za pomocą jedwabnego sznura, ustawiona na specjalnym stoliczku, prosta i pełna dystynkcji, nie miała już nic wspólnego z ową pierwotną, przedpotopową maszyną. Zwężającą się ładnie pokrywę podnosiło się ku górze, a wtedy z dna automatycznie wyskakiwała mosiężna podpora i podtrzymywała pokrywę w położeniu skośnym, tworząc z niej jakby parawan. Wewnątrz można było dostrzec w płytkim zagłębieniu okrągłą tarczę, obitą zielonym suknem, z niklową obwódką i takimże sztyftem pośrodku, na który nakładało się otwór ebonitowej płyty. Na boku z prawej strony znajdował się regulator szybkości, podobny do cyferblatu zegarka, po lewej zaś dźwignia, za pomocą której maszynę puszczało się w ruch i zatrzymywało; z tyłu zaś z lewej strony sterczało nikłowe ramię, złożone z wielu ruchomo z sobą połączonych części, zakończone okrągłą i płaską puszką; zawierała ona membranę i śrubki, które przytrzymywały posuwającą się po płycie igłę. Gdy się otwierało skrzydła umieszczonych na przodzie podwójnych

drzwiczek, widziało się szereg skośnych listewek, podobnych do żaluzji z czarnego, bejcowanego drzewa — to wszystko.

— Najnowszy model — rzekł radca wchodząc do sali. — Ostatnia zdobycz, dzieci, pierwsza klasa, ef-ef, nie ma pod słońcem nic lepszego. — Wymawiał wyrazy w sposób niesłychanie komiczny, udając niewykształconego sprzedawcę zachwalającego swój towar.

— To nie aparat, nie maszyna — ciągnął dalej, zakładając igłę, wyjętą z kolorowego, blaszanego pudełeczka, które stało na tym samym stoliku — to jest instrument, Stradivarius, Guarneri, najwyższy stopień wyrafinowania rezonansu i czystości tonu. Jak państwa informuje napis na wewnętrznej stronie wieka, aparat jest marki „Polihymnia”. Niemiecki wyrób, muszą państwo wiedzieć. Nasze aparaty są stanowczo najlepsze. Najczystsza muzyka w nowoczesnej zmechanizowanej formie. Dusza niemiecka up to date. A tu mają państwo całą literaturę! — rzekł wskazując na szafkę ścienną, w której rzędem stały grube albumy. — Oddaję w ręce państwa ten zaklęty skarb, ale polecam go opiece publiczności. Może puścimy coś na próbę?

Pacjenci poprosili o to błagalnie, więc Behrens wyjął jedną z czarodziejskich ksiąg, niemych a pełnych treści, otworzył jej ciężkie karty i wyjął płytę z kartonowej torebki zaopatrzonej w okrągłe wycięcie, przez które widoczny był barwny tytuł. Założył płytę, włączając prąd puścił w ruch tarczę obrotową, a po upływie dwóch sekund, gdy płyta osiągnęła pełny bieg, umieścił ostrożnie cienki koniec stalowej igły na krawędzi płyty. Rozległ się lekki szelest, jakby coś ostrzono; radca obniżył wieko. W tej chwili popłynął przez otwarte drzwiczki, pomiędzy szczelin żaluzji, a nawet z całej skrzynki zgiek instrumentów, wesola a natarczywa melodia, pierwsze skoczne takty uwertury Offenbacha.

Wszyscy słuchali z uśmiechem na rozchyłonych ustach. Koloratura dętych instrumentów drewnianych brzmiała tak czysto i naturalnie, że nie wierzono własnym uszom. Fantastyczne preludium popłynęło ze skrzypiec bez akompaniamentu. Słysząc było pociągnięcia smyczka, tremolo szyjki, pełne słodczy przechodzenie jednych tonów w drugie. Wyłoniła się z tego melodia, walc. „Ach, straciłem ją, straciłem”\*. Orkiestra podchwyciła przymilną arię, w zachwycający sposób podjął ją zespół i powtarzał w szumnym tutti. Brzmiało to naturalnie inaczej, niż gdyby orkiestra koncertowała tu w sali. Dźwięki doznawały perspektywicznego przytłumienia, nie tracąc zresztą swych własności; jeśli wolno dla zjawisk akustycznych użyć porównania wzrokowego, to działo się tak, jak gdyby jakiś obraz był widziany przez odwróconą lornetkę i przez to oddalał się i zmniejszał, nie tracąc przy tym nic

---

\* Walce z „Orfeusza w piekle” J. Offenbacha (1818—1880).

z ostrości swych zarysów ani nasilenia barw. Utwór muzyczny, skomponowany z talentem i pełen pikanterii, w dowcipny sposób rozwijał swe niefrasobliwe pomysły. Zakończenie było już czystą swawolą, zabawnym, stopniowo się rozpedzającym galopem, bezwstydnym kankanem, wywołującym wizję potrząsanych w powietrzu cylindrów, w górę wyrzucanych nóg, wzlatujących sukien; zbliżał się koniec komiczny i triumfalny, ale wciąż jeszcze nie było końca. Aż wreszcie mechanizm zatrzymał się sam. Skończyło się. Klaskano z całego serca.

Proszono o ciąg dalszy i proszono niedaremnie: z wnętrza aparatu rozległ się głos ludzki — był to męski głos, miękki i silny zarazem, sławny baryton włoski, któremu towarzyszyła orkiestra. Teraz nie było już mowy o oddaleniu i przytłumieniu dźwięku; wspaniały głos miał całą swą pełnię i siłę; gdyby wejść do sąsiedniego pokoju i nie patrzeć na aparat, miałoby się wrażenie, że w salonie obok stoi artysta we własnej osobie, z nutami w ręku, i śpiewa. Śpiewał po włosku brawurową arię operową — eh, il barbiere. Di qualità, di qualità! Figaro qua, Figaro là!\*\* Figaro, Figaro, Figaro! — Słuchacze wili się ze śmiechu, słuchając falsetowego parlando, zdumieni kontrastem olbrzymiego głosu i zawrotnej dykcji. Znamcy podziwiali artyzm frazowania i opanowania oddechu. Mistrz zniewalający tłumy, wirtuoz we włoskim smaku, lubujący się w bisowaniu, przedłużał przedostatni ton przed akordem końcowym i słuchacze mieli złudzenie, że widzą go, jak z wzniesioną ręką podchodzi do rampy — oklaski zerwały się, zanim jeszcze skończył. To było znakomite.

A było tego więcej. Pięknie i dyskretnie wykonano na waltorni wariacje na temat jakiejś melodii ludowej. Sopranistka odśpiewała z wdzięcznym spokojem i precyzją arię z „Traviaty”, pełną staccatów i trelów. Duch skrzypka o światowej sławie zagrał jakby za zasłoną „Romance” Rubinsteina przy akompaniamencie fortepianu, brzmiałym sucho jak szpinet. W cudownej kasecie jak gdyby wrzało, płynęły z niej dźwięki dzwonów, glissanda harf, huk trąb, grzmoty bębnow. Wreszcie założono płyty z muzyką taneczną. Znalazły się nawet okazy świeżo importowanego tanga, zrodzonego w egzotycznych knajpach portowych, a któremu sądzone było usunąć w cień wiedeńskiego walca. Dwie pary, obeznane z nowym tańcem, zaczęły się popisywać na dywanie. Behrens odszedł, zaleciwszy, aby igieł używać tylko raz i z płytami obchodzić się jak „ze zbitym jajkiem”. Hans Castorp zajął się aparatem.

Dlaczego on właśnie? Tak się jakoś złożyło. Powściągliwie, lecz sucho odtrącił tych, którzy po odejściu radcy chcieli zająć się zmienianiem igieł i płyt, włączaniem

---

\*\* ...eh, il barbiere... (wł.) — ech, cyrulik. Znakomity, znakomity! Figaro tu, Figaro tam!

i wyłączaniem prądu. — Proszę pozwolić, ja to będę robił! — rzekł odsuwając ich na bok; ustąpili bez przykrości, po pierwsze dlatego, że miał taką minę, jakby od dawna znał się na rzeczy, a po wtóre, ponieważ nie zależało im na tym, by być u źródła rozkoszy zamiast w sposób wygodny i do niczego nie zobowiązujący dać się obsługiwać, póki ich ta zabawa nie znudzi.

Hans Castorp myślał inaczej. Gdy radca demonstrował nowy nabytek, usunął się w kąt, nie śmiał się i nie wyrażał swego zadowolenia, ale śledził z napięciem wszystko, kręcąc z przyzwyczajenia w dwu palcach brwi. Z pewnym niepokojem zmieniał parokrotnie miejsce za plecami zebranych, wszedł do biblioteki, aby stamtąd słuchać muzyki, a potem z rękami na plecach i z nieprzeniknionym wyrazem twarzy stanął za Behrensem przyglądając się bacznie, jak się aparat obsługuje. Coś mu szeptało: „Uwaga! To zdarzenie epokowe! Uśmiech losu!” Napełniało go zdecydowane przeczucie nowej namiętności, nowego czaru, brzemienia nowej miłości. Takiego uczucia doznaje na równinie na widok dziewczyny młodzieniec, trafiony niespodzianie ostrą strzałą Amora. Od tej chwili opanowała go zazdrość. Dobro publiczne? Ciekawość bez energii nie ma ani prawa, ani siły, by cokolwiek posiadać. „Proszę pozwolić, ja to będę robił!” — wycedził przez zęby i nikt nie miał nic przeciw temu. Tańczono jeszcze trochę przy dźwiękach lekkich utworów, które przegrywał, zażądano jeszcze jakiejś pieśni, duetu z jakiej opery, barkaroli z „Opowieści Hoffmanna”, tak mile pieszczącej ucho, a gdy wreszcie zamknął wieko, towarzystwo, lekko podniecone, odeszło gawędząc do leżalni na spoczynek. Tego tylko czekał. Zostawili za sobą nieporządek, otwarte pudełeczka z igłami i albumy, rozrzucone płyty. Niczego innego nie można się było po nich spodziewać. Udawał, że idzie z nimi, lecz na schodach odłączył się od nich, wrócił do salonu, zamknął wszystkie drzwi i pozostał tam przez połowę nocy, bardzo zajęty.

Zapoznał się dokładnie z nowym nabytkiem i korzystając z tego, że nikt mu nie przeszkadza, przejrzał cały repertuar zawarty w ciężkich albumach. Było ich dwanaście, w dwu formatach, zawierały po dwanaście płyt; wiele z tych czarnych, kolisto wyżłobionych krążków było nagranych obustronnie, bo niektóre utwory zajmowały także i odwrot płyt, a na innych dyskach były utrwalone dwa zupełnie różne utwory. Miał więc przed sobą dziedzinę trudną na razie do ogarnięcia, a nawet oszalałamiącą, ale za to obiecującą wspaniałe zdobycze i możliwości. Używał specjalnych igieł, tłumiących dźwięki, aby nie zakłócać ciszy nocnej, i w ten sposób odegrał sobie ze ćwierć setki tych płyt. Ale nie stanowiły one nawet ósmej części tego, z czym mógł się zapoznać i co go kusilo. Na dziś musiał się zadowolić tym, że przejrzał tytuły, a tylko od czasu do czasu na próbę wkładał w zaczarowaną skrzynkę tę lub inną niemą płytę chcąc, aby rozległ się jej głos. Czarne ebonitowe



krażki różniły się jedynie kolorowymi, umieszczonymi pośrodku etykietkami; jeden był jak drugi, wszystkie mniej lub więcej wypełnione koncentrycznymi kołami. A przecież wyżłobione w nich linie kryły najróżnorodniejszą muzykę, owoce cudownego natchnienia we wszystkich dziedzinach tej sztuki i oddawały je w sposób jak najbardziej wyszukany.

Znalazł pośród nich wiele uwertur i wyjątków ze wzniosłych uwertur symfonicznych, odegranych przez sławne orkiestry pod batutą dyrygentów wymienionych na płytach. Poza tym szereg pieśni śpiewanych przy akompaniamencie fortepianu przez artystów wielkich oper — a były to zarówno pieśni kompozytorów, świadomych celu i środków artystycznych, jak i proste pieśni ludowe, a także i takie, które znajdowały się niejako pośrodku między obu rodzajami, będąc bowiem tworem artyzmu, oddawały przy tym z całą rzetelnością i pietyzmem to, co stanowi ducha ludowego; były to sztuczne pieśni ludowe, jeśli się można tak wyrazić, nie ubliżając ich szczerości; była między nimi jedna zwłaszcza pieśń, którą Hans Castorp znał od dzieciństwa, a do której powziął teraz głębokie, na tajemnych związkach oparte upodobanie; wrócimy do niej jeszcze. — Cóż tam jeszcze było, a raczej czego tam nie było? Było muzyki operowej ile dusza zapagnie. Międzynarodowy chór mieszany z dyskretnym akompaniamentem orkiestry zaprodukował głosy z bożej łaski, a jednocześnie niezwykle wyszkolone, zaprodukował je w ariach, duetach i zbiorowych scenach, pochodzących z różnych krajów i z różnych epok rozwoju opery: od sztuki Południa z jej podniosłymi, ale powierzchownymi porywami, poprzez twory ludowe niemieckiego ducha, zarazem filuterne i demoniczne, aż po sztukę francuską z jej Wielką Operą i Operą Komiczną. Czy koniec na tym? O nie. Następowala seria utworów muzyki kameralnej, kwartety i tria, sola na skrzypce, wiolonczelę i flet, pieśni estradowe z obowiązkowym akompaniamentem skrzypiec czy fletu, a także utwory czysto fortepianowe, nie mówiąc o muzyce rozrywkowej, o kupletach i płytach, na których taneczne orkiestry utrwaliły melodie wymagające grubszej igły.

Hans Castorp wszystkie te płyty przeglądał samotnie wśród nocy i układał, a część ich powierzał instrumentowi, aby w nich wzbudził życie. Potem poszedł spać podniecony, tak późno, jak po pierwszej uczcie z majestatycznej pamięci Mynheerem Peeperkornem, i śnił od godziny drugiej do siódmej o zaczarowanej skrzynce. Przez sen widział dysk poruszający się z niezmierną szybkością a bezdźwięcznie; ruch ten składał się nie tylko z wirującego opływania, lecz nadto także ze swoistego falowania ku bokom i w formie elastycznego drgnienia, jakby oddechu, udzielał się zaopatrzonemu w igłę a złożonemu z wielu części nikłowemu ramieniu; podnosiło to, jak przypuszczać można, vibrato i portamento instrumentów smyczko-

wych i głosów ludzkich; jednakże we śnie było równie niezrozumiałe jak na jawie, w jaki sposób posuwanie się igły po wąziutkiej linii ponad dającą rezonans próżnią mogło za pomocą samych tylko drgań membrany odtworzyć bogatą skalę dźwięków, zalewających ucho sennego słuchacza.

Wczesnie rano, przed śniadaniem jeszcze, był już znowu w salonie, usiadł na fotelu i splótnszy ręce kazał śpiewać wspaniałemu barytonowi przy akompaniamencie harfy: „Gdy się rozglądam w tym szlachetnym gronie”<sup>\*</sup>. Wypływający ze skrzynki dźwięk harfy był całkowicie naturalny, nie zdeformowany i nie osłabiony, a tak samo nabrzmiewający, dyszący, wyrzucający słowa głos ludzki. Wszystko to było podziwu godne. A trudno o coś czulszego niż duet z jednej ze współczesnych oper włoskich<sup>\*\*</sup>, który zabrzmiał z kolei, jak skromne a serdeczne zbliżenie między głosem sławnego, wielokrotnie w albumach reprezentowanego tenora a kryształowo czystym, niewielkim sopranem, niż jego śpiew: „Da mi il braccio, mia piccina”<sup>\*\*\*</sup>, i śpiewana przez nią w odpowiedzi krótka fraza, prosta, słodka i melodyjna...

Hans Castorp wzdrygnął się, bo ktoś otworzył za nim drzwi. Był to radca, który patrzył na niego; stał przez chwilę, w klinicznym płaszczu, ze słuchawką w kieszeni, z ręką na klamce, i pokiwał głową. Castorp odpowiedział mu skinieniem przez ramię, po czym sina twarz szefa, o uniesionym z jednej strony w górę wąsiku, zniknęła, drzwi się zamknęły i Hans Castorp powrócił do pięknego śpiewu niewidzialnej parki miłosnej.

Później, w ciągu dnia, po obiedzie lub po kolacji, miał wokół siebie grono słuchaczy, zmieniającą się stale publiczność — jeśli Hansa Castorpa nie zaliczać już do publiczności, lecz raczej uważać za szafarza rozkoszy muzycznych. On sam skłaniał się do takiego rozumienia swej roli, a goście sanatoryjni przystali milcząco na to, że samowolnie objął pieczę i kierownictwo tej instytucji użyteczności publicznej. Nic ich to nie kosztowało. Bo wprawdzie zachwycali się do pewnego stopnia, gdy rozpływał się w melodiach tenor, bożyszczę tłumów, gdy uszczęśliwiał ich swym głosem i najwyższym kunsztem nabrzmiałej namiętności kantyleny; jednakże mimo głośno wyrażanego zachwyty nie byli do głębi przejęci i przeto troskę o to wszystko gotowi byli pozostawić każdemu, kto by miał na to ochotę. Hans Castorp utrzymywał w porządku zapas płyt i na obwolutach albumów wypisał ich zawartość, tak że każda płyta była na zawołanie i w tej chwili pod ręką; samym instrumentem manipulował ruchami, które niebawem stały się wprawne, krótkie

---

\* Aria Wolframa von Eschenbach z „Tannhäusera”.

\*\* Mowa o „Cyganerii” Pucciniego (1858—1924).

\*\*\* Da mi il braccio... (wł.) — Podaj mi ramię, moja malutka.

a delikatne. Cóż byliby zrobili inni? Zbeczcześciliby płyty używając zużytych igieł, zostawialiby je porozrzucane po wszystkich krzesłach, płataliby niemądre figle, puszczając jakiś dostojny utwór w tempie stu dziesięciu albo nastawiając wskaźnik na 0, co wywoływałyby we wnętrzu skrzynki histeryczny jazgot lub przytłumiony skowyt... Wszystko to już zresztą czynili. Byli wprawdzie chorzy, ale gruboskórni. Toteż wkrótce Hans Castorp zaczął nosić po prostu w kieszeni klucz od szafki z albumami i igłami, tak że trzeba było go wzywać, gdy chciano czegoś posłuchać.

Późno, po wieczornym zebraniu towarzyskim, gdy tłum się już rozszedł, czuł się najlepiej. Wtedy zostawał w salonie albo też po cichu tam wracał i muzykował do późna w nocy. Obawiał się już mniej niż z początku, że zmaćci ciszę zakładu, bo nośność tej muzyki duchów okazała się niezbyt wielka; dźwięki brzmiały potężnie w pobliżu swego źródła, ale słabły w miarę oddalania się, jak wszystko, co należy do sfery duchów. Hans Castorp był sam pośród czterech ścian z cudami swej szafki — z rozkoszami, które dawała owa ozdobna trumienka ze skrzypcowego drzewa, owa matowoczarna mała świątynia, przed której rozwartymi wrotami siedział na fotelu, ze splecionymi rękami, z przechyloną na ramię głową, z otwartymi ustami, skąpany w harmonii dźwięków.

Nie widział śpiewaków ani śpiewaczek, którym się przysłuchiwał. Ich powłoka ludzka przebywała gdzieś w Ameryce, Mediolanie, Wiedniu, Petersburgu. A niechże sobie tam przebywają, bo dali mu najlepszą swą część, swój głos; nieobecność ich oczyszczała stosunek do nich, czyniła go jakby abstrakcyjnym, i cenił to, bo przez to unikał ujemnych stron zbytniego zbliżenia osobistego, a stosunek ów pozostawał dostatecznie zmysłowy, aby pozwalać — zwłaszcza gdy chodziło o jego rodaków, Niemców — na dostrzeganie różnych ich cech indywidualnych. Zdawał sobie sprawę z różnic w wymowie, w dialekcie, z pochodzenia artystów; charakter ich głosu mówił niejedno o ich właściwościach duchowych, a według tego, czy korzystali ze swych możliwości duchowego oddziaływania, czy też je marnowali, można było oceniać stopień ich inteligencji. Hans Castorp irytował się, gdy popełniali błędy. Cierpiał i gryzł ze wstydu wargi, gdy zauważał techniczne błędy w wykonaniu, siedział jak na rozżarzonych węglach, gdy w utworze, często odgrywanym, jakiś ton wypadł ostro lub wrzaskliwie, co zdarzało się niejednokrotnie, zwłaszcza w trudnych partiach kobiecych. Ale godził się i z tym, albowiem miłość musi cierpieć. Czasami pochylał się nad krążącym i jak gdyby oddychającym dyskiem, jak nad wiązką bzu, i zanurzał głowę w obłoku dźwięków; kiedy indziej stał przed instrumentem i wzywał się we władczą radość dyrygenta, gdy ten wzniesioną ręką daje znak trąbce, by na czas wpadła. W zbiorze płyt miał swe ulubione, kilka utwo-

rów instrumentalnych i wokalnych, których mógł słuchać bez końca. Wymienimy je po kolei.

Jedna niewielka grupa płyt zawierała końcowe sceny pompatycznej opery pełnej natchnionych melodii, napisanej przez znakomitego rodaka Settembriniego, wielkiego mistrza muzyki dramatycznej Południa, w drugiej połowie ubiegłego stulecia na zlecenie wschodniego księcia z okazji uroczystego oddania na usługi ludzkości pewnego dzieła techniki\*, które miało zbliżyć do siebie narody. Dzięki swym studiom Hans Castorp wiedział coś niecoś o tej operze, znał w ogólnych zarysach losy Radamesa, Amneris i Aidy, którzy ze skrzynki śpiewali do niego po włosku. Był między nimi niezrównany tenor, królewski alt ze wspaniale załamana pośrodku skalą głosową i srebrzysty sopran. Nie rozumiał wielu słów, ale z pomocą przychodziła mu znajomość sytuacji, sympatia, zainteresowanie i zażyłość, tym większa, im częściej puszczał te cztery czy pięć płyt; w końcu był w nich rzeczywiście zakochany.

Na pierwszej z nich Amneris rozprawiała się z Radamesem: Córa królewska kazała w więzach przyprowadzić przed swoje oblicze tego, którego kochała i pragnęła uratować z całej duszy, mimo że zdradził ojczyznę i okrył się hańbą dla niewolnicy z barbarzyńskiego szczepu — co prawda, zapewniał on, że „wolne są od skazy i myśl, i honor” jego. Ta jednak wewnętrzna czystość połączona z ciężką przewiną niewiele mu pomogła, bo jego jawna zbrodnia oddawała go w ręce sądu duchownego, całkowicie pozbawionego ludzkich uczuć i który zasądziłby go bez wahania, o ile w ostatniej chwili nie wyrzeknie się niewolnicy i nie rzuci w ramiona królewskiemu altowi, który, akustycznie rzecz biorąc, tak bardzo na to zasługiwał. Amneris żarliwie usiłowała przekonać tenora, mającego głos dźwięczny, ale tragicznie zaślepionego i zrezygnowanego, żeby porzucił niewolnicę i ratował życie. Na zropane prośby odśpiewywał wciąż tylko: „Nie mogę!” lub „Na próżno!” — „Nie mogę!” — „Jeszcze raz jeden: wyrzecz się jej!” — „Na próżno!” — Zaślepienie, pogarda śmierci i najgorętsze cierpienie miłosne łączyły się w dwuspiew niezwykle piękny, ale beznadziejny. Potem krzyki bólu Amneris mieszały się ze straszliwie formalistycznymi debatami sądu duchownego, głucho płynącymi z oddali, a w których nieszczęsny Radames nie brał żadnego udziału.

„Radamesie, Radamesie!” — śpiewał z naciskiem arcykapłan i przedstawiał mu w czarnych barwach dokonaną przezeń zbrodnię zdrady.

„Wytłumacz się!” — żądali chórem kapłani.

---

\* Mowa o operze Verdiego pt. „Aida”, zamówionej u kompozytora przez wicekróla Egiptu, Izmaila Paszę, i wykonanej po raz pierwszy w Kairze w roku 1869, w ramach uroczystości związanych z otwarciem Kanału Sueskiego.

Arcykapłan zwrócił uwagę, że Radames milczy, więc sąd jednogłośnie uznał go winnym zdrady.

„Radamesie, Radamesie!” — zaczął znów przewodniczący. — „Ty opuściłeś obóz nasz przed walką!”

„Wytłumacz się!” — wołano znów. — „Patrzcie, milczy!” — po raz wtóry stwierdził stronniczy arcykapłan, toteż i teraz głosy sędziów złączyły się z jego głosem w dźwięcznym werdykcie:

„Zdrajcą jest!”

„Radamesie, Radamesie!” — zawołał po raz trzeci nielitościwy oskarżyciel. — „Złamałeś wiarę, zdradziłeś ojczyznę, króla i honor swój.” — „Wytłumacz się!” — zabrzmiało znów. „Zdrajcą jest” — przyznali ostatecznie ze zgrozą kapłani, gdy przypomniano im, że Radames wciąż jeszcze milczy. Stać się tedy musiało, co było nieuniknione, a co zgodny chór obwieścił złoczyńcy jako sprawiedliwy wyrok: los jego jest przesądzony, zginie śmiercią przeklętych, żywcem zstąpić ma do grobu w podziemiach świątyni gniewnego boga.

Wyobraźnia słuchacza w miarę możliwości musiała sama dośpiewać sobie oburzenie Amneris na klesze okrucieństwo kapłanów, tu bowiem kończyła się płyta. Zmieniał ją Hans Castorp cichymi, oszczędnymi ruchami, jakby ze spuszczonego oczyma. Kiedy znów siadał, aby słuchać, rozbrzmiewała ostatnia już scena melodramatu — końcowy duet Radamesa i Aidy, śpiewany na dnie piwnicznego lochu, podczas gdy nad ich głowami fanatyczni i okrutni kapłani odprawiali w świątyni obrzędy, rozkładali ramiona i mruczelili modlitwy... „Tu — in questa tomba?!”\* — wołał nieopisanie wzruszający, lecz słodki i bohaterski zarazem głos Radamesa, z przerażeniem i zachwytem... Tak, przybyła do niego ukochana, dla której poświęcił cześć i życie, czekała nań tutaj, by z nim razem zostać zamkniętą i umrzeć, a melodie na ten temat, które wyśpiewywali kolejno lub wspólnie, przerywane od czasu do czasu głuchymi odgłosami odprawianych w górze obrzędów — wzruszały najgłębiej samotnego Castorpa, przysłuchującego się im pośród nocy; wzruszały go zarówno tragizmem okoliczności, jak muzycznym wyrazem. W pieśniach tych była mowa o niebie, ale one same były niebiańskie i niebiańskie było ich odtworzenie. Linia melodii, podchwytywana bez końca przez głosy Radamesa i Aidy, każdy z osobna, a potem przez oba razem, prosty i uduchowiony, na tonice i dominancie zbudowany zwrot, który wznosił się od tonu zasadniczego aż do wybitnie akcentowanej i przetrzymanej dużej septymy i ledwie musnąwszy oktawę opierał się na kwincie, wydawał się słuchaczowi czymś najbardziej promiennym i podziwu god-

---

\* Tu — in questa tomba?! (wł.) — Ty — w tym grobie?!

nym na świecie. Ale nie zachwyciłby się tak dźwiękami, gdyby podłożem ich nie była tragiczna sytuacja, która dopiero uczyniła jego umysł w pełni wrażliwym na ich słodycz.

Jakież to było piękne, że Aida odszukała utraconego Radamesa, aby jego los dzielić na wieki! Słusznie opierał się skazaniec złożonej dłoń ofierze z tak uroczego życia, ale w jego czułym a zrozpaczonym: „No, no! troppo sei bella”<sup>\*</sup> — drżał przecież zachwyty i radość, że połączony jest ostatecznie z tą, której nie spodziewał się już zobaczyć. Hans Castorp odczuwał ów zachwyty i wdzięczność bez najmniejszego wysiłku wyobraźni. Wszakże najgłębsze jego uczucia wyrastały z innego źródła: Patrząc ze splecionymi rękami na małą, czarną żaluzję, za którą wykwiłało to wszystko, czuł zwycięstwo idealnego charakteru muzyki, sztuki, ludzkiego ducha, wzniosłe i niezniszczalne piękno, kładące swój odblask na wstrętnej i nikczemnej codzienności. Należałoby sobie tylko trzeźwo uprzytomnić, co się tu właściwie działo! Dwie osoby żywcem pogrzebane zginęłyby tu w zaduchu podziemnym śmiercią głodową — równocześnie lub, co gorsza, jedna po drugiej — a potem poczęłyby się ciała ich rozkładać, aż wreszcie zostałyby na dnie lochu dwa szkielety, obojętne i niewrażliwe na to, czy leżą samotnie, czy też nie. To była realna, rzeczowa strona wypadków — rzecz i sprawa odrębna, nie brana wcale w rachubę przez idealizm uczucia i w cień usunięta tryumfalnie przez ducha piękna i muzyki. Dla operowych postaci Radamesa i Aidy nie istniała rzeczowa strona wypadków. Głosy ich wznosiły się unisono ku owej uszczęśliwiającej, opóźnionej oktawie, zapewniając, że otwiera się przed nimi niebo, a tęsknocie ich poczyna przyświecać wieczność. Pokrzepiająca siła tego upiększenia rzeczywistości podnosiła słuchacza na duchu i przyczyniła się niemało do tego, że ten właśnie numer jego ulubionego programu stał mu się szczególnie miły i bliski.

Po płynącym z niej lęku i wzniosłych radościach wypoczywał zazwyczaj przy dźwiękach innego utworu, krótkiego, pełnego skoncentrowanego czaru. Był w swej treści o wiele spokojniejszy od tamtego, był sielanką wyrafinowaną, odmalowaną i ukształtowaną za pomocą oszczędnych a jednocześnie skomplikowanych środków najnowszej sztuki. Był utworem wyłącznie orkiestralnym, bez śpiewu, symfonicznym preludium pochodzenia francuskiego<sup>\*\*</sup>, skomponowanym z pomocą skąpego, jak na współczesne stosunki, aparatu technicznego, ale korzystającym ze wszystkich zdobyczy nowoczesnej techniki dźwiękowej i umiejącym wprowadzić duszę w stan marzenia.

---

\* No, no! Troppo sei bella (wł.) — Nie, nie! ty nazbyt jesteś piękna!

\*\* Mowa o „Preludium do popołudnia fauna” C. Debussy’ego (1862—1918).

Hans Castorp słuchał i marzył: Leżał na wznak na łące zalanej słońcem, pokrytej różnobarwnymi kwiatami, jedną nogę podciągnąwszy w górę, a drugą założywszy na tamtą. Ale były to nogi koźle. Dla własnej tylko przyjemności — bo na łące był zupełnie sam — przebierał palcami po trzymanym w ustach klarncie czy fujarce, z którego wydobywał spokojne, nosowe dźwięki. Płynęły beztrąsko jeden za drugim w niewymuszonej kolejności, jednakże łącząc się w powabną całość, i wznosiły się ku ciemnobłękitnym niebiosom, pod którymi błyszcząły w słońcu wiatrem poruszane liście samotnych brzoź i jesionów. Ale wkrótce ciszę przerwały inne także głosy, prócz tej spokojnej, niedbałej, na pół melodyjnej muzyki. W gorącym powietrzu rozległo się nad trawami brzęczenie owadów, zadźwięczał nawet sam blask słoneczny, chwiejne szczyty drzew, połysk listowia — cała łagodna cisza letnia przepełniła się muzyką; prosta, własna jego pieśń na fujarce zaczęła na tym tle nabierać coraz to nowego, a zawsze zadziwiająco wyszukanego sensu harmonijnego. Symfoniczny akompaniament przycichał chwilami i milkł; ale Hans o koźlich nóżkach grał dalej i naiwną monotonią swej gry wywoływał wyszukany czar dźwięków, drzemający w przyrodzie, aż po kilku pauzach muzyka przyrody nabrała największej siły, wzmacniana przez rosnące w swej wysokości głosy coraz to innych instrumentów, nabrzmiewała stopniowo, dochodząc do całej pełni. Była to jedna przelotna chwila, ale rozkoszna, wystarczająca, zawierająca w sobie wieczność. Młody faun na letniej łące czuł się niezmiernie szczęśliwy. Nikt tu nie wołał „Wytłumacz się”, nie było odpowiedzialności ani sądu duchownego nad kimś, kto wyzbył się czci i opuścił szeregi. Panowało tu zapomnienie, błogosławiony spokój, niewinność bezczasowości, żadnym niepokojem sumienia nie zakłócone lenistwo. Była to, słowem, wymarzona apoteoza tego wszystkiego, z czym walczy zachodni nakaz aktywności. Nocny muzykant ukochał tę płytę za płynące z niej ukojenie.

A oto trzecia... A raczej znów kilka powiązanych z sobą — trzy lub cztery. Sama tylko aria tenora zajmowała jedną stronę płyty, pokrytej do połowy kolistymi wyżłobieniami. Było to znów coś francuskiego, wyjątek z opery znanej dobrze Hansowi Castorpowi, którą słyszał i widział parokrotnie w teatrze i do której treści zrobił nawet kiedyś aluzję w rozmowie, a była to pewna rozstrzygająca rozmowa. „Akt drugi rozgrywał się w hiszpańskim szynku, obszernej spelunce z belkowanym pułapem, przyozdobionej chustami, o pseudomauretańskiej architekturze. Carmen oświadczyła ostrym nieco, ale charakterystycznym i ujmującym głosem, że chce zatańczyć przed sierżantem. Już zagrzechotały jej kastaniety. Ale w tej samej chwili rozległy się z dala trąbki, apel, kilka sygnałów żołnierskich. Żołnierz zerwał się. „Chwilę poczekaj! Stój”, — zawołał i nastawił uszy jak koń. A gdy Carmen pytała: „No co?” i „I cóż tam stało się?”, wołał: „Słyszysz tam ten głos?”, zdumiony, że ona

nie rozumie tego, co dla niego jest jasne. Ależ to są trąbki z koszar, wieczorny capstrzyk. „Powrotu nadszedł czas!” — rzekł operowo. Ale Cyganka nie mogła, a przede wszystkim też nie chciała tego zrozumieć. Tym lepiej, odparła z głupia frant, nie trzeba będzie kastanietów, samo niebo zsyła muzykę do tańca. A więc: „Lalalala!” — był zrozpaczony. Ale własny jego ból i rozczarowanie zeszły na drugi plan wobec wysiłków, aby jej wytłumaczyć, o co tu chodzi, i że nie ma na świecie takiej miłości, która by pozwalała nie stawić się na ten sygnał. Jakże mogła nie rozumieć czegoś tak zasadniczego i bezwzględneho! „Do koszar muszę iść, na apel stawić się!” — wołał zrozpaczony takim brakiem zrozumienia, który zdwojonym ciężarem przygniatał mu i tak już ciężkie serce. Ale trzeba było słyszeć Carmen! Była wściekła, oburzona do głębi duszy, a głos jej był głosem oszukanej i obrażonej miłości — czy może udawała tak tylko? „Musisz iść? Stawić się?” A jej serce? jej dobre, czułe serce, tak słabe — przyznaje to, tak słabe! — że chciała mu czas skrócić śpiewem i tańcem „Traterata!” I z dzikim szyderstwem podniosła do ust zwiniętą rękę, chcąc naśladować głos trąbki: „Traterata!” I to już wystarcza. Głupi żołnierz zrywa się i chce iść. Dobrze więc, niech idzie precz! Oto hełm i szabla, i pendent!. Niechże pędzi do koszar, byle prędzej, prędzej! — Prosił o litość. Lecz ona szydziła zeń dalej bezlitośnie, naśladując jego ruchy i pokazując, jak na głos trąbki stracił rozum. Traterata, na apel! Na litość boską, spóźni się! A więc precz, bo przecie tam trąbią na apel — i zrywa się jak głupi w chwili, gdy ona, Carmen, chce zatańczyć! wyłącznie dla niego. Tak, tak, tak wygląda jego miłość!

Co za rozpaczliwe położenie. Nie rozumiała. Ta kobieta, ta Cyganka, nie mogła i nie chciała zrozumieć. Nie chciała — to pewna, bo w jej wściekłości i szyderstwie było coś, co wychodziło poza chwilowy nastrój i osobistą urazę, tkwiła w nich odwieczna wrogość i nienawiść do zasady, która ową francuską wrogość hiszpańskim wojskowym rogiem wzywała zakochanego żołnierzyka; jej najwyższą, wrodzoną i nadosobistą ambicją było zatriumfować nad tą zasadą subordynacji. Użyła więc sposobu bardzo prostego; twierdziła, że odchodząc dowiedzie, iż jej nie kocha. To już przekraczało siły Joségo tam wewnątrz w skrzynce. Zaklinał, by go dopuściła do słowa. Nie chciała. Zmusił ją więc — był to moment diabelnie poważny. Fatalne dźwięki popłynęły z orkiestry, ponury, groźny motyw; Hans Castorp wiedział, że przewijać się on będzie przez całą operę aż do jej katastrofального rozwiązania; motyw ów stanowił też wstęp do arii żołnierzyka, od której zaczynała się druga płyta.

„Dar twój, ta wiązka kwiatów mała” — José śpiewał przepięknie, Hans Castorp często puszczał tę płytę osobno, bez związku z całością, i przysłuchiwał jej się zawsze z uwagą i sympatią. W treści tej arii nie było nic szczególnego, ale jej błą-



galny wyraz uczuciowy wzruszał do głębi. Żołnierz śpiewał o kwiatach, które mu Carmen rzuciła na początku znajomości i które były dlań wszystkim w więzieniu, do którego się dostał z jej powodu. Głęboko wstrząśnięty, wyznawał, że chwilami przeklinał los, który pozwolił, by kiedykolwiek ujrzał Carmen. Ale natychmiast gorzko żałował bluźnierstwa i na klęczkach prosił Boga, by mu dozwolił zobaczyć ją jeszcze. I o t o — „oto” poczynało się tym samym wysokim tonem, co poprzednio „Ach” we frazie: „Ach, dziewczę drogie” — o t o — tu w orkiestrze rozpętał się cały czar instrumentalny, z jakim zdolna jest odmalować ból, tęsknotę, utraconą czułość i słodką rozpacz żołnierzyka — oto stanęła przed jego oczami w całym swym fatalnym wdzięku i odczuł wtedy jasno i wyraźnie, że „padł straszny los” („straszny” z łkającym, całotonowym akcentem na drugiej zgłosce), padł na zawsze. „Ty szczęście me, radości moja!” — śpiewał z rozpaczą w powracającej i przez orkiestrę raz jeszcze powtórzonej żalosalnej frazie, która, wzniosłszy się o dwa stopnie od tonu zasadniczego, przechodziła z uczuciem w głębszą kwintę. „Do ciebie serce me należy”, zapewniał w sposób tuzinkowy, ale z niezmierną czułością; głos jego przy wypowiedaniu powyższej frazy sphywał stopniowo aż do seksty, by dodać: „I wiecznie twoim zostać chce”. Po czym, o decymę wyżej, rozległo się wzruszone wyznanie: „Carmen, ja kocham cię!”, którego wydźwięk doznawał boleśnego opóźnienia skutkiem przetrzymania i zmiany harmonii w przedostatniej zgłosce, zanim owa zgłoska utworzyła akord podstawowy z końcowym „cię”.

— Tak, tak! — rzekł Hans Castorp ze smutkiem i wdzięcznością i nałożył jeszcze płytę z finałem, w którym wszyscy winszowali Josému zatargu z oficerem, bo uniemożliwił mu powrót i zmusił do dezercji. Carmen, ku jego grozie, żądała tego już dawniej.

O pójdz z nami w jary i knieje,  
Beztroski, czysty wśród skał wicher wieje

śpiewali chórem — słyszało się ich wyraźnie:

Otwarty świat — bez żadnej troski,  
Ojczyzną każda strzecha;  
A ponad wszystko tam żywot boski,  
Wolność się w górach uśmiecha!

— Tak, tak — powtórzył raz jeszcze i przeszedł do czwartej melodii, do czegoś bardzo miłego i dobrego.

Nie jest naszą winą, że był to znów utwór francuski, i nie ponosimy odpowiedzialności za to, że i w nim także panował duch wojskowy. Była to wkładka, solo,

„Modlitwa” z „Fausta” Gounoda. Śpiewał ktoś, ktoś nadzwyczaj sympatyczny, noszący imię: Walentyn, jednakże Hans Castorp nazywał go w głębi ducha inaczej, nadając mu imię bliskie i budzące smutne wspomnienia, bo tego, kto śpiewał w zaczarowanej skrzynce, utożsamiał z kimś innym, choć głos śpiewającego był o wiele piękniejszy. Był to mocny, ciepły baryton, a pieśń jego składała się z trzech części, dwu podobnych do siebie strof, początkowej i końcowej, utrzymanych w tonie religijnym, bez mała w stylu protestanckiego chorału, oraz ze strofy środkowej, agresywnej, rycerskiej, wojowniczej, lekkomyślnej, a przecie też nabożnej; to ona właśnie miała charakter żołnierski i francuski. Niewidzialny śpiewak śpiewał:

Gdy więc opuścić mi trzeba  
Tę ojczyznę miłą mą

i zwracał się z prośbą do Pana niebios, by opiekował się jego uroczą siostrą! Zbliżała się wojna, rytm zmieniał się, stawał się agresywny; precz ze smutkiem i troską, on, niewidzialny, rzuci się śmiało a z wiarą, po francusku, na wroga, tam gdzie rozgorzeje bitwa najgorętsza, gdzie niebezpieczeństwo będzie największe. A jeśli go Bóg powoła do swej chwały — śpiewał — to wtedy czuwać będzie „nad nią” z góry. Mówiąc „nad nią” miał na myśli swą siostrę, jednakże słowa te wzruszały Hansa Castorpa do głębi, i wzruszenie nie ustępowało aż do końca, kiedy dzielny żołnierz w skrzynce śpiewał przy akompaniamencie chorałowych akordów:

O Boże, słysz me błaganie,  
Pod pieczęą Twą niech dziewczę zostanie!

Poza tym trudno coś o płycie owej powiedzieć. Wspomnieliśmy o niej mimochodem, bo Hans Castorp lubił ją tak szczególnie, ale także dlatego, że później, w szczególnych okolicznościach, odegra jeszcze pewną rolę. Na razie przechodzimy do piątego i ostatniego utworu z cyklu najulubieńszych płyt Castorpa. Nie było to już nic francuskiego, ale nawet coś szczególnie i typowo niemieckiego, nie opera, ale pieśń — jedna z owych pieśni, które łącząc ludowość z artyzmem nabierają przez to piętna duchowego i światopoglądowego... Ale nazwijmy rzecz po imieniu! Była to po prostu pieśń Szuberta „Lipa” zaczynająca się od znanych słów: „U studni tuż przed bramą”.

Tenor, śpiewający pieśń przy akompaniamencie fortepianu, wykazał wiele artystycznego smaku i taktu, interpretując prosty a zarazem wzniosły utwór w sposób przemyślany i subtelny i ze znajomością recytacji. Wiemy wszyscy, że ta wspaniała pieśń w ustach dzieci i ludu brzmi nieco inaczej niż w śpiewie artystycznym. Tam

doznaje ona przeważnie uproszczenia, strofy powtarzają tę samą zasadniczą melodię. Tymczasem u Szuberta owa ludowa linia melodyjna przechodzi już w drugiej ośmiowierszowej zwrotce w tonację molową, powraca niezwykle pięknie do durowej na początku piątego wiersza, w następnych, w których mowa jest o podmuchu „zimnego wiatru” i zerwanym z głowy kapeluszu, rozwiązuje się dramatycznie i wraca do pierwotnej formy dopiero w ostatnich czterech wierszach trzeciej strofy, powtórzonych dla pełniejszego rozwinięcia melodii. Chwytający za serce zwrot w melodii pojawia się trzy razy, a mianowicie w drugiej, modulującej połowie pieśni, po raz trzeci już przy powtórzeniu ostatniej półstrofy: „Dalekiej odtąd drogi”. Ten czarujący zwrot, którego nie próbujemy słowami określić, przypada na fragmenty zdań „Jam wyrył w korze jej”, „Jak gdyby wołał mnie”, „Za sobą szmat już mam”. Jasny, ciepły, panujący nad oddechem i skłonny do lekkiego łkania głos tenora oddawał ów moment z takim zrozumieniem jego piękna, że w niesłychany sposób chwycił słuchacza za serce, a to tym bardziej, iż podnosił efekt niezwykle uczuciowymi tonami falsetowymi przy wierszach: „W szczęściu i w chwili złej”, „Tu spokój czeka cię”. Powtarzając zaś ostatni wiersz „Znalazłbyś spokój tam”, śpiewał wyraz „znalazłbyś” po raz pierwszy pełną, jakby stęsknioną pierśią, a po raz drugi dopiero jakby najdelikatniejszym flażoletem.

Tyle o pieśni i jej wykonaniu. Pochlebiamy sobie, że w poprzednich wypadkach udało nam się dać poniekąd czytelnikom zrozumienie głębokiego zainteresowania, z jakim Hans Castorp odnosił się do pewnych wybranych punktów programu swych nocnych koncertów. Natomiast jest sprawą bardzo drażliwą wyjaśnienie, czym dlań był punkt ostatni, owa stara pieśń o lipie; musimy się zabrać do rzeczy z całą ostrożnością, aby nie zaciemniać jeszcze bardziej tego, co chcemy wyjaśnić.

Postawimy rzecz w ten sposób: Przedmiot duchowy, to znaczy doniosły, właśnie dlatego jest „doniosły”, że wskazuje poza siebie i jest wyrazem i wykładnikiem czegoś duchowo ogólniejszego, całego świata uczuć i dyspozycji, których jest mniej lub bardziej doskonałym wyrazem; tym mierzy się doniosłość przedmiotu. Sama miłość do takiego przedmiotu również jest „doniosła”. Mówi bowiem wiele o człowieku, który ją odczuwa, określa stosunek jego do zagadnień ogólnych, do świata przez ów przedmiot reprezentowanego — kto bowiem przedmiot ten ukochał, ten świadomie czy nieświadomie kocha cały ów świat duchowy.

Czy chcemy wierzyć, że nasz skromny bohater po wielu latach hermetyczno-pedagogicznego wznoszenia się w górę dość głęboko wniknął w życie duchowe, by uświadomić sobie „doniosłość” swego uczucia i jego przedmiotu? Twierdzimy i utrzymujemy, że dorósł do tego. Pieśń ta była dlań całym światem, i to

światem, który widocznie kochał, bo w przeciwnym razie nie byłby go tak opętał symbol tego świata. Wiemy, co mówimy dodając — choć może nie wyda się to zbyt jasne — iż gdyby umysł jego nie był podatny na działanie uczuć i całej postawy duchowej, w tkliwy a tajemniczy sposób streszczonych przez ową pieśń, to inaczej ukształtowałyby się koleje jego losu. Ale los przyniósł z sobą nasilenia i przygody, otworzył nowe horyzonty, narzucił problemy królowania, dzięki którym bohater nasz dojrzał i stał się zdolny do krytyki swego umiłowanego świata i jego symbolu, skądinąd tak godnego podziwu — a krytyka ta postawiła pod znakiem zapytania cały ten świat, jego symbol i miłość do niego.

Kto by sądził, że podobne zwątpienia ujmę przynoszą miłości, dałby dowód, że na jej sprawach zupełnie się nie zna. Wręcz przeciwnie, nadają jej one właściwy smak. To dopiero zwątpienie robi z miłości namiętność, tak iż można namiętność wręcz nazwać wąpiącą miłością. Na czymże polegały skrupuły i związane z królowaniem wątpliwości Hansa Castorpa, czy miłość jego ku czarownej pieśni i jej światu jest w wyższym słowa znaczeniu miłością dozwoloną? Jakież to świat krył się poza nią, który w jego poczuciu był krajem wzbronionej miłości?

Była to śmierć.

Ależ to wyraźny obłęd! Przecież to czarująca pieśń! Arcydzieło zrodzone z ostatecznych i najświętszych głębin ducha ludu! Najwyższe dobro, prawzór uczucia, ucieleśniony wdzięk! Więc cóż za szkaradne oszczerstwo!

Ano tak, tak, bardzo ładnie, tak powie każdy uczciwy człowiek. A jednak poza owym pełnym wdzięku utworem kryła się śmierć! Hans Castorp utrzymywał związki ze śmiercią, w których można było znajdować upodobanie, zdając sobie jednakże w formie przeczuć i dociekań przy królowaniu sprawę, że jest to upodobanie niedozwolone. Samo przez się, w swej pierwotnej istocie nie było to wcale upodobaniem do śmierci, miało w sobie coś bardzo ludowego i pełnego życia, a przecie stawało się upodobaniem do śmierci, i choć w swych zaczątkach było czystą zbożnością i głębszą myślą (temu nikt nie przeczy), to jednak prowadziło do ciemności.

Cóż on sobie znów wmawia? — Nikt by go jednak nie przekonał, że jest inaczej. Prowadzi do ciemności? Toż to duch siepaczy z kaźni tortur i nienawiść do ludzi, odziana w hiszpańską czerń i kryzę w kształcie talerza, rozpusta, a nie miłość — jako wynik szczerzej zbożności.

Hans Castorp nie uważał wprawdzie literata Settembriniego za człowieka bezwzględnie zasługującego na zaufanie, jednakże zapamiętał dobrze jedną z nauk, której mu jasno myślący mentor u początków jego hermetycznej kariery udzielił

niegdyś, mówiąc o chęci powrotu, duchowego powrotu do pewnego świata. Naukę tę pragnął zastosować ostrożnie do swej obecnej sprawy. Pan Settembrini nazwał ową chęć powrotu „chorobą” — zarówno sam pogląd na świat, jak i epoka, której ta chęć dotyczy, musiały z jego wychowawczego punktu widzenia wydawać się „chorobliwymi”. Jakżeż to! Pełna tęsknoty pieśń Hansa Castorpa, uczucia, które wyrażała, i upodobanie, które budziła — miały być chorobliwe? Ależ nie! Były najzdrowsze w świecie. A jednak były owocem, który w tej chwili jest zdrowy, wonny i świeży, ale w chwili następnej zacznie gnić; spożyty w odpowiednim momencie — krzepił umysł, ale gdy moment ów minął, pozostawiał w ustach spożywającej go ludzkości posmak zgnilizny i zniszczenia. Był owocem życia zrodzonym przez śmierć i śmiercią brzemennym. Był cudem ducha — najwyższym może, jeśli chodzi tylko o piękno, nie liczące się z sumieniem; natomiast z uzasadnioną nieufnością odnosić się doń musi umysł odpowiedzialny, życzliwy dla życia, chcący mieć udział w kierowaniu nim, przywiązany do organicznego świata i gotowy do przezwyciężenia samego siebie, jeśli tak ostatecznie postanowi jego sumienie.

Tak, przezwyciężenie samego siebie, ono bodaj stanowi istotę przezwyciężenia owej miłości — owego duchowego czaru z posępnymi konsekwencjami! Ale myśli Hansa Castorpa, czy raczej półmyśli i półuczucia, biegły wysoko, gdy on sam siedział samotnie do późna w nocy obok śpiewającej trumny — sięgały wyżej, niż mógł podążyć jego umysł, rosły jak w rękach alchemika. Jak potężny był ów czar duchowy! Wszyscy byliśmy jego synami i służąc mu mogliśmy wiele dokonać na ziemi. Nie trzeba było więcej geniuszu, lecz tylko o wiele więcej talentu, niż miał autor pieśni, by stać się czarodziejem, dać pieśni kształty olbrzymie i podbić nią świat. Można by na niej zapewne państwa budować, ziemskie, nazbyt ziemskie państwa, krzepkie, dążące ku postępowi i bynajmniej nie chorujące na nostalgię — ale pieśń zmarniałaby w nich i zesłaby do rzędu elektrycznej, gramofonowej muzyki. A najlepszym owego czaru synem byłby zapewne ten, kto by życie swe strawił na jego przezwyciężaniu i umarł z wyrazem nowej, nie wypowiedzianej jeszcze miłości na ustach. Warto umrzeć za tę czarowną pieśń! Ale kto za nią umiera, ten umiera już właściwie nie za nią i staje się bohaterem, bo umiera w gruncie rzeczy za nowe słowo miłości i przyszłości, zrodzone w jego sercu.

To więc były najulubieńsze płyty Hansa Castorpa.

## Sprawy najbardziej zagadkowe

Konferencje Edhina Krokowskiego wzięły z biegiem czasu nieprzewidziany obrót. Badania jego, dotyczące analizy duszy i snów, nosiły zawsze cechy czegoś podziemnego, zrodzonego w katakumbach; ostatnio wszakże (szersza publiczność nie zauważyła nawet tego przejścia) zwróciły się w kierunku kwestii magicznych, zupełnie już tajemniczych. Odbywane co dwa tygodnie w sali jadalnej wykłady — główna atrakcja zakładu, z dumą wymieniana w prospekcie — na których referent zjawiał się w tużurku i sandałach, siadał za nakrytym stolikiem i przemawiał do zamarłej w skupieniu publiczności egzotycznie przeciągającym akcentem, wykłady te zmieniły swą treść. Tematem ich nie był już ukryty erotyzm i przekształcanie się zmian chorobowych z powrotem w uświadomione afekty, lecz dziwaczne głębie hipnotyzmu i somnambulizmu, zjawiska telepatii, snów wróżebnych i jasnowidzenia, dziwy hysterii, a wszystko to niesłychanie rozszerzało horyzonty filozoficzne i ukazywało słuchaczom sprawy tak zagadkowe jak stosunek materii do ducha, a nawet samo życie, sprawy mogące budzić nadzieje, że się je na drogach niesamowitych i chorobliwych rozwiąże prędzej niż na zdrowych.

Mówimy to uważając za nasz obowiązek zadać kłam lekkomyślnym plotkom, głoszącym, że dr Krokowski wykłady swe zaczął poświęcać wiedzy tajemnej po to tylko, aby uniknąć grożącej im beznadziejnej monotonii, a więc dla względów czysto emocjonalnych. Mówiły to złe języki, których nigdzie nie brak. To prawda, że panowie podczas poniedziałkowych wykładów bardziej niż kiedykolwiek nastawiali uszu, by lepiej słyszeć, a panna Levi bardziej jeszcze stała się podobną do woskowej figury z ukrytym wewnątrz mechanizmem. Ale takie działanie wykładów było równie usprawiedliwione jak ewolucja duchowa uczonego, nie tylko konsekwentna, ale wręcz konieczna. Przedmiotem jego studiów zawsze były ciemne a rozległe dziedziny duszy ludzkiej, które noszą miano podświadomości, choć słuszniej by tu było mówić o nadświadomości, albowiem ze sfer tych wyłania się niekiedy wiedza przekraczająca znacznie wiedzę świadomą jednostki; podsuwa ona myśl, że między najniższą i ciemną strefą duszy jednostkowej a wszechwiedzącą duszą wszechbytu mogą zachodzić pewne stosunki i związki. Dziedzina podświadomości, „tajemna” w dosłownym rozumieniu tego wyrazu, okazuje się tajemną również w ciaśniejszym jego znaczeniu i tworzy jedno ze źródeł, z których płyną zjawiska, nazywane tak w braku lepszej nazwy. Ale to nie wszystko. Kto w organicznych objawach choroby dopatruje się działania zhisteryzowanych i wygnanych ze świadomości afektów, ten uznaje twórczą moc ducha w materii i moc tę zmuszony jest uznać za drugie źródło

fenomenów magicznych. Taki idealista patologii czy nawet patologiczny idealista ujrzy się wkrótce u kresu myślowych procesów, znajdujących niebawem ujście w ogólnym zagadnieniu bytu, to znaczy w zagadnieniu stosunku między duchem a materią. Materialista, wychowanek filozofii ceniącej jedynie ciężyznę, nigdy nie omieszka potraktować ducha jako fosforyzującego wytworu materii. Natomiast idealista weźmie za punkt wyjścia twórczą historię i będzie skłonny i bardzo prędko zdecydowany zagadnienie prymatu ducha czy materii rozwiązać w sposób wręcz odwrotny. W gruncie rzeczy powtarza się tu raz jeszcze dylemat, co było wcześniej: kura czy jajo? — dylemat niezwykle zawiły dzięki dwu faktom, iż nie można pomyśleć jaja, którego nie zniosła kura, ani kury, która się nie wykluła z jaja.

Dokoła tych spraw obracały się tedy w ostatnich czasach wykłady dra Krokowskiego. Nie możemy dość silnie podkreślić raz jeszcze, że doszedł do nich rozumując organicznie, poprawnie i logicznie, i nie potrzebujemy chyba dodawać, że stało się to o wiele wcześniej, nim zjawiła się Ellen Brand i sprawy te wprowadziła w stadium empiryczne i eksperymentalne.

Któż to była Ellen Brand? Zapomnieliśmy nieledwie, że czytelnik tego nie wie, podczas gdy my, oczywiście, dobrze znamy jej nazwisko. Kim była? Na pierwsze wejście prawie niczym. Miłym dziewiętnastoletnim stworzeniem, nazywanym Elly, o lnianych włosach, rodem z Danii, ale nawet nie z Kopenhagi, tylko z Odense na wyspie Fionii, gdzie ojciec jej posiadał sklep z nabiałem. Pracowała już zawodowo, od paru lat siadywała na obracającym się krzeselku, z czarnym rękawem na prawym ramieniu, nad grubymi księgami, w prowincjonalnej filii pewnego stołecznego banku — i właśnie przy tym zaczęła gorączkować. Nie był to poważny wypadek, było to właściwie tylko podejrzenie, ale Elly rzeczywiście była delikatna i najwyraźniej cierpiała na blednicę; przy tym była tak sympatyczna, że miało się czasami ochotę pogłodzić ją po jasnych jak len włosach — i radca nie omieszkiwał tego robić, ilekroć rozmawiał z nią w sali jadalnej. Otaczał ją północny chłód, kryształowo czysta, dziecinnie dziewicza atmosfera, pociągająca jak pełne i czyste spojrzenie jej błękitnych oczu, wysoki głos i delikatny sposób mówienia. Mówiła łamaną niemczyzną, z typowymi błędami fonetycznymi. W rysach jej nie było nic szczególnego. Podbródek miała zbyt krótki. Siedziała przy stole obok panny Kleefeld, która jej matkowała.

Owa młoda dziewczyna, owa Elly, uprzejma, mała duńska rowerzystka i biuralistka, miała w sobie coś, o czym by się na widok jej jasnej aparycji nikomu nawet nie śniło. Zaczęło się to objawiać już w pierwszych tygodniach jej pobytu w sanatorium, a dr Krokowski zajął się wyświeceniem tych zagadkowych zjawisk.

Zdumienie uczonego wzbudziły przede wszystkim pewne fakty zaobserwowane podczas wieczornych zebrań towarzyskich. Bawiono się w „zgadywanie” albo szukano ukrytych przedmiotów z pomocą fortepianu, na którym grano głośniej, gdy szukający zbliżał się do kryjówki, a ciszej, gdy poszukiwania zwracał w niewłaściwym kierunku. Z biegiem czasu zmieniono zasady gry w ten sposób, że ktoś wychodził z sali, a po powrocie miał wykonać jakąś złożoną czynność, postanowioną w jego nieobecności; na przykład miał zamienić dwu osobom pierścionki, zaprosić kogoś do tańca potrójnym ukłonem, wziąć z biblioteki jakąś określoną książkę i podać ją komuś itp. Zauważyć należy, że tego rodzaju zabawy nie były w zwyczaju pośród towarzystwa sanatoryjnego. Trudno było później stwierdzić, kto je właściwie wprowadził. Nie zrobiła tego z pewnością Elly. Wszakże pomysł ten zrodził się dopiero w jej obecności.

Uczestnicy tych zabaw — byli to prawie sami starzy znajomi, a między nimi Hans Castorp — wywiązywali się z tych prób mniej lub bardziej zręcznie albo też zupełnie nieudolnie. Natomiast uzdolnienia, jakie w tym zakresie miała Elly Brand, okazały się nadzwyczajne, zadziwiające, wprost nieprzyzwoite. Jej niezawodna pewność w odnajdowaniu skrytek mogłaby jeszcze ujść, choć i ona wzbudzała oklaski i pełne podziwu wybuchy śmiechu; ale przy bardziej skomplikowanych zadaniach obecni niemieli ze zdumienia. Wykonywała wszystkie zadania, które obmyślono dla niej w tajemnicy przed nią, wykonywała natychmiast, gdy tylko weszła, z łagodnym uśmiechem, bez wahań i bez pomocy muzyki. Przyniosła z jadalni szczyptę soli, posypała nią głowę prokuratora Paravanta, potem wzięła go za rękę, poprowadziła do fortepianu i wskazującym palcem prokuratora zagrała początek piosenki „Kommt ein Vogel geflogen”<sup>\*</sup>. Potem odprowadziła go z powrotem na miejsce, dygnęła, przyniosła podnózek i usiadła u jego stóp. Było to dokładnie to samo, co z niemałym trudem dla niej wymyślono.

A więc podsłuchiwała!

Zaczerwieniła się. Zawstydzenie jej sprawiło prawdziwą ulgę; lecz gdy wszyscy jeden przez drugiego czynili jej wymówki, zapewniała: Nie, nie, tego nie robiła, proszę jej o to nie posądzać! Nie podsłuchiwała tam, za drzwiami, naprawdę!

— Nie tam, nie za drzwiami?

— Nie, nie, proszę pozwolić! — Wyznała, że słucha, ale tu, w pokoju, gdy już weszła, i że nie może inaczej.

— Nie może inaczej? W pokoju?

---

\* „Kommt ein Vogel geflogen” (niem.) — „Przylatuje tu ptaszek”, ludowa piosenka austriacka.



Opowiadała, że słyszy szept. Ktoś jej szepcze, co ma robić, cicho, ale stanowczo i wyraźnie.

Niełatwo było jej to wyznać. Czowała się poniekąd winną oszustwa. Powinna była przecie powiedzieć od razu, że nie nadaje się do tego rodzaju gry, skoro coś jej szepcze to wszystko do ucha. Współzawodnictwo traci cały swój sens, jeśli jeden z przeciwników posiada nadprzyrodzone zdolności. Toteż wyznanie Ellen dyskwalifikowało ją ze sportowego punktu widzenia; niemniej niejednego przeszedł dreszcz, gdy to usłyszał. Kilka głosów naraz zażądało wezwania dra Krokowskiego. Ktoś pobiegł, aby go odszukać; nadszedł wkrótce, krępy i jędrnie uśmiechnięty, od razu orientujący się we wszystkim, całą swą istotą zachęcający do zaufania. Zadyszani, wołali, że zaszło coś jaskrawo anormalnego, że pojawiła się jasnowidząca dziewczyna, która słyszy głosy. — No, no, i co więcej? Spokojnie, moi drodzy! Zobaczmy, co to takiego. — Na tym terenie był jak u siebie w domu, poruszał się na nim swobodnie, podczas gdy inni chwiali się na nim, jak na lepkiem, grząskim bagnie. Wypytywał się, kazał sobie opowiadać. Tak, naprawdę, patrzcie no? — A więc to tak jest, moje dziecko? — I położył dziewczynie rękę na głowie, jak to chętnie czynili wszyscy. Są wszelkie powody do skupienia uwagi, ale nie ma żadnego do przerażenia. Zatopił swój ciemny, egzotyczny wzrok w bładoniebieskich oczach Ellen Brand i łagodnie zaczął wodzić ręką od czubka jej głowy do ramienia. Odpowiadała skromnym i coraz skromniejszym spojrzeniem, coraz bardziej w górę patrząc, bo opuszczała z wolna głowę na piersi. Wreszcie gdy oczy jej poczęły gasnąć, uczony uczynił niedbały ruch ręką w górę wzdłuż jej twarzyczki, po czym stwierdził, że wszystko jest w porządku, i kazał całemu towarzystwu rozejść się na „wieczorną służbę”, zatrzymując tylko Ellen Brand, z którą, jak twierdził, chciał jeszcze „pogawędzić”.

Pogawędzić! Łatwo to sobie było można wyobrazić. Wszystkich przejął chłód od prostych słów wesołego kolegi Krokowskiego. Nawet Hans Castorp, udający się z opóźnieniem na swój wygodny leżak, czuł się nieswojo, wspominając, jakie uczucia wywołały w nim dziwne wyczyny Ellen i tłumaczenie ich, które wstydliwie podawała; miał wtedy wrażenie, że grunt usuwa mu się spod stóp, że mu się robi niedobrze i że w całym ciele odczuwa lęk, jakby w lekkiej chorobie morskiej. Nie przeżywał nigdy trzęsienia ziemi, ale przyszło mu na myśl, że wówczas doznaje się podobnego swoistego lęku; poza tym niesamowite własności dziewczyny budziły w nim najwyższe zaciekawienie; ciekawość ta łączyła się z poczuciem beznadziejności, bo uświadamiał sobie, że dotyczy ona niedostępnej dziedziny i że przeto jest bezowocna czy nawet grzeszna — niemniej ciekawość zostawała jednak ciekawością. Hans Castorp słyszał, jak każdy, niejedno o rzeczach tajemnych i nadnatural-

nych — wspominaliśmy przecie o jakiejś ciotecznej prababce mającej dar jasnowidzenia, a której melancholijna tradycja doszła aż do niego. Ale nigdy dotąd ze światem tym, któremu nie odmawiał teoretycznego i bezstronnego uznania, nie wszedł w bezpośrednią styczność, nie zdobył o nim praktycznych doświadczeń. I żywe jego zaniepokojenie równało się pewnej niechęci wobec podobnych doświadczeń, jakiejś estetycznej odraze i odczuwanemu wobec nich sprzeciwowi ludzkiej dumy — jeśli wolno użyć tak pretensjonalnych wyrazów w związku z naszym zupełnie bezpretensjonalnym bohaterem.

Przeczuwał z góry, jasno i wyraźnie, że podobne doświadczenia, jakkolwiek się potoczą, muszą zawsze wypaść w sposób niesmaczny, niezrozumiały i nie liczący z godnością ludzką. Mimo wszystko pragnął ich gorąco. Pojmował, że niemiła alternatywa „bezowocne albo grzeszne” nie jest naprawdę alternatywą, doświadczenia te są i jednym, i drugim i że ich duchowa nicość jest tylko pozamoralnym wyrazem tego, iż są niedozwolone. Lecz zasada placet experiri, wpojona weń przez kogoś, kto by się zresztą ostro przeciwstawił takim eksperymentom, tkwiła mocno w jego umyśle; jego etyka zlewała się, jak zwykle, z ciekawością, z tą samą bezwzględną ciekawością intelektualnego komiwojażera, z którą niegdyś kosztował tajemnicy osobowości i która zbliżyła go już wtedy do ukazującej mu się teraz dziedziny. Rys wojskowy tej ciekawości objawiał się w tym, że nie cofała się przed zerwaniem zakazanego owocu, gdy się sposobność ku temu nadarzyła. Hans Castorp postanowił tedy czuwać baczenie i nie stać na uboczu, w razie gdyby z Ellen Brand miały się dalej dziać nadzwyczajności.

Dr Krokowski wydał ostry zakaz czynienia dyletanckich eksperymentów z tajemniczymi zdolnościami panny Brand. Zajął niejako dziewczynę na rzecz nauki, odbywał z nią posiedzenia w swym analitycznym lochu, hipnotyzował ją, jak powiadano, starał się rozwinąć i poddać dyscyplinie drzemiące w niej możliwości oraz zbadać jej dotychczasowe życie duchowe. To samo zresztą czyniła również matkująca jej starsza przyjaciółka i opiekunka, Hermina Kleefeld. Dowiedziawszy się od niej w tajemnicy tych czy innych szczegółów, przekazywała je w takiej samej tajemnicy wszystkim w sanatorium, nie wyłączając odźwiernego. Dowiedziała się na przykład, że ten czy to, co podszeptywało małej rozwiązania zadań podczas zabawy, nazywało się Holger — i było młodzieńcem nazwiskiem Holger, a raczej duchem młodzieńca, bliską jej, eteryczną i oderwaną istotą, czymś w rodzaju anioła stróża małej Ellen. — A więc on to powiedział jej o szczypcie soli i wskazującym palcu Paravanta? — Tak, szeptał jej pieszczotliwie, zbliżając niewidzialne wargi do samego ucha, tak że aż czuła jakby lekkie, do śmiechu pobudzające łaskotanie. — Jakże to musiało być przyjemnie, gdy Holger dawniej podpowiadał jej w szkole,

kiedy była nie przygotowana. — Ellen nie odpowiedziała. Dopiero później oświadczyła, że widocznie Holgerowi nie wolno tego robić. Zabroniono mu mieszać się do takich poważnych spraw, a zresztą może sam tego nie umiał.

Okazało się z czasem, że Ellen miewała od dzieciństwa, co prawda niezbyt często, widoczne lub niewidoczne wizje. — Ale co ma znaczyć „niewidoczna wizja”? — Na przykład tak: Siedziała sobie jako szesnastoletnia dziewczyna w bawialnym pokoju rodziców, przy okrągłym stole, z robótką w ręku, w jasne popołudnie, a obok niej na dywanie leżał dog ojca, suka Freia. Stół przykryty był różnokolorowym tureckim szalem, takim jaki noszą stare kobiety złożywszy go w trójkąt; rogi szala zwisały ku ziemi. Wtem Ellen dostrzegła, że ktoś zwija powoli jeden róg, cicho, starannie, regularnie, aż gdzieś ku środkowi stołu, tak że powstaje długi wałek. Równocześnie Freia zerwała się dziko, zjeżyła sierść, przysiadła na łapach, wreszcie uciekła z wyciem do sąsiedniego pokoju, gdzie wlaźła pod kanapę, i potem przez cały rok nie można jej było skłonić, aby weszła do bawialnego pokoju.

— Czy to Holger zwijał szal? — pytała panna Kleefeld. — Mała Brand nie wiedziała. — A o czymże myślała, gdy się to zdarzyło? — Nie myślała o niczym, bo rzeczywiście trudno było cokolwiek przy tym myśleć. — Czy opowiedziała o tym rodzicom? — Nie. — To dziwne. Mimo że nie można było absolutnie o niczym przy tym myśleć, czuła jednak instynktownie, że powinna to zachować dla siebie i ukrywać wstydliwie tę tajemnicę. — Czy ciężko to znosiła? — Nie, nie było w tym nic szczególnie przykrego. Cóż przykrego może być w zwijaniu się szala? Ale inne wypadki znosiła gorzej. Na przykład było tak:

Przed rokiem, również w domu rodzicielskim w Odense, wyszła raz wcześniej ze swego pokoju na parterze i przez sień poszła po schodach na górę do jadalni, aby, jak to zwykle czyniła, przygotować śniadanie dla rodziców, zanim wstaną. Minęła właśnie podest w połowie piętra, kiedy spostrzegła tuż obok siebie swoją zameżną starszą siostrę, Zofię, która mieszkała w Ameryce. Zofia miała na sobie białą szatę i, rzecz dziwna, wieniec z lilii wodnych i sitowia, ręce złożyła na piersi i skinęła jej głową. — Ależ, Zofio, czyż jesteś tutaj? — zapytała, stanąwszy jak wryta, Ellen, przerażona i jednocześnie uradowana. Wtedy Zofia raz jeszcze skinęła, a potem ulotniła się. Stała się przezroczysta; po chwili widać ją było tak, jak się widzi płynącą falę ciepłego powietrza, a potem już w ogóle nie, tak że droga stanęła dla Ellen otworem. Ale później okazało się, że o tej samej porannej godzinie siostra Zofia umarła w New Jersey na zapalenie osierdzia.

Hans Castorp, wysłuchawszy tych wiadomości z ust panny Kleefeld, pomyślał, że jednak mają jakiś sens logiczny, że można o nich słuchać bez przykrości. Śmier-

telny wypadek w Ameryce, a wizja tutaj — można się w tym doszukać jakiegoś związku godnego uwagi. Zdecydował się więc, że weźmie udział w spirytystycznej zabawie towarzyskiej, którą pełni niecierpliwości kuracjusze postanowili w tajemnicy urządzić z Ellen Brand, wbrew zazdrosnemu zakazowi dra Krokowskiego.

Do wzięcia udziału w seansie zaproszono niektóre tylko zaufane osoby; rzecz miała się odbyć w pokoju Herminy Kleefeld. Oprócz gospodyni, Hansa Castorpa i małej Brand przewidziana była obecność tylko pań: Stöhr i Levi, pana Albina, Czecha Waclawa i doktora Ting-Fu. Wieczorem, z uderzeniem dziesiątej, goście weszli chyłkiem i zaczęli oglądać przygotowania, jakie poczyniła Hermina; polegały na tym, że ustawiła na środku pokoju nie nakryty okrągły stół średniej wielkości i umieściła pośrodku odwrócony podstawą do góry kieliszek na wino. Na brzegu stołu leżały w odstępach małe kościane płytki, używane zazwyczaj przy grze w karty jako żetony, na których teraz było atramentem wypisanych dwadzieścia pięć liter alfabetu. Panna Kleefeld poczęstowała gości na wstępie herbatą, która została przyjęta z wdzięcznością, bo pani Stöhr i panna Levi miały zimne ręce i serca im biły, mimo że seans był dziecinną zabawką. Rozgrzawszy się towarzystwo zasiadło dokoła stolika; gospodyni, aby podnieść nastrój zgasiła górną lampę i pozostawiła tylko nocną lampkę pod abazurem, więc pokój tonął w bladoróżowym półmroku; każdy ułożył rękę na stole tak, że koniec jednego z palców prawej ręki dotykał podstawy kieliszka. Tak nakazywała metoda. Czekano chwili, gdy kieliszek zacznie się poruszać.

Mogło to stać się łatwo, bo powierzchnia stołu była gładka, brzeg kieliszka dobrze oszlifowany i nacisk choćby jak najlżej go dotykających drżących palców, z natury rzeczy nieregularny, w jednym miejscu bardziej prostopadły, a w innym znów raczej skośny, musiał z czasem doprowadzić do tego, że kieliszek opuści swe centralne miejsce. Na peryferii pola ruchu natknie się wtedy na litery; i jeśli, te, ku którym się zbliży, wytworzą zrozumiałe wyrazy, to będzie to zjawiskiem tak skomplikowanym, że aż nieczystym, będzie wynikiem pomieszania świadomych, półświadomych i nieświadomych elementów. Niektórzy pomagając będą bezwiednie kieliszkowi w myśl własnych życzeń i tajemnej zgody mrocznych warstw psychicznych całego zespołu, jakiegoś podziemnego współdziałania — w osiągnięciu wyników pozornie dalekich, w których jednak owe mroczne warstwy psychiczne poszczególnych uczestników będą w mniejszym lub większym stopniu mieć udział, a naturalnie najważniejszy mieć będzie mała, milutka Elly. W gruncie rzeczy wiedzieli o tym wszyscy, a Hans Castorp, jak to było jego zwyczajem, zaczął nawet mówić o tym z innymi, kiedy siedzieli i czekali z drżącymi palcami. Zimne ręce i bicie serca dam a wymuszona wesołość panów wynikały stąd jedynie, że wszystko

to wiedzieli — i przez to zebranie ich w cichą noc było nieczystą grą z własną naturą, nieśmiałym a ciekawym eksperymentem z nieznaną cząstką własnej jaźni i oczekiwaniem tych bądź pozornych, bądź połowicznych faktów, które się nazywa magią. Nieomal tylko aby sprawie nadać jakąś formę, a więc ze względów konwencjonalnych, ustalono, że przez kieliszek przemawiać będą do zgromadzonych duchy zmarłych. Pana Albina uproszono, aby w imieniu wszystkich zebranych pertraktował z duchami, ponieważ tu i ówdzie brał już kiedyś udział w seansach spirytystycznych.

Minęło ponad dwadzieścia minut. Szepty ustały z braku tematu, pierwsze napięcie ustąpiło. Lewą ręką podpierano prawą, trzymając ją w łokciu. Czech Waclaw był bliski zaśnięcia. Ellen Brand paluszkami dotykała lekko kieliszka i patrzyła poza stojące w pobliżu przedmioty w blask nocnej lampki.

Nagle kieliszek przechylił się, uderzył i wymknął się spod rąk siedzących wokół. Z trudem podążyli za nim palcami. Osunął się na brzeg stołu, przez chwilę poruszał się jego skrajem, a potem w prostej linii powrócił mniej więcej na środek. Uderzył raz jeszcze i stanął bez ruchu.

Wszystkich ogarnęło na pół radosne przerażenie. Pani Stöhr oświadczyła płaczliwie, że woli przerwać zabawę, ale ktoś odparł, że powinna się była wcześniej zastanowić, a teraz niech cicho siedzi. Zaczynało się. Ustalono, że odpowiedzi „tak” i „nie” wyrażać się będą przez jednokrotne lub dwukrotne stuknięcie, bez uciekania się do pomocy liter.

— Czy jest ktoś między nami? — rzucił poważne pytanie w próżnię ponad głowami pan Albin... Krótkie wahanie. Potem kieliszek przechylił się i uderzył twierdząco.

— Jak się nazywasz? — zapytał pan Albin tonem niemal szorstkim i potrząsnął jeszcze głową dla dodania energii słowom.

Kieliszek ruszył z miejsca. Biegł zdecydowanie zygzakiem, od żetonu do żetonu, zwracając się po drodze wciąż ku środkowi; pobiegł ku literze H, ku O, ku L, potem zdawało się przez chwilę, że jakby zgubił drogę i nie wiedział, dokąd się zwrócić; wreszcie ruszył dalej, wskazał na G, E i R. A więc to był Holger we własnej osobie. Holger-duch, ten, co zdradził tajemnicę szczypty soli itd., ale nie wtrącał się oczywiście do nauki szkolnej. Był tu obecny, znajdował się gdzieś w powietrzu, unosił nad głowami zebranych. Co należało z nim począć? Wszystkich ogarnęło osłupienie. Naradzano się po cichu i jakby zakrywając usta ręką, o co go należy pytać. Pan Albin zdecydował, że należy dowiedzieć się, jakie stanowisko

zajmował Holger za życia i czym się trudnił. Zadał więc pytanie, jak przedtem, tonem sędziego śledczego, surowo, ostro i z namarszczoną brwią.

Kieliszek milczał przez chwilę. Potem skierował się chwiejąc i potykając ku literze P, cofnął się i wskazał O. Cóż to miało być? Napięcie rosło. Dr Ting-Fu chichocząc wyraził obawę, że Holger był zapewne policjantem. Pani Stöhr wybuchnęła histerycznym śmiechem, który jednak nie wstrzymał kieliszka w biegu; posuwał się kulejąc i klekocąc ku E, skończył na T, opuszczając błędnie ostatnią literę. Przesylabizował wyraz „poet”.

Cóż, u diabła, Holger był poetą? — Kieliszek podskoczył parokrotnie i jakby z dumą potwierdził. Panna Kleefeld spytała, czy był poetą lirycznym; Hans Castorp zauważył, że dźwięk Y wymówiła jak I, co napełniło go odrazą... Holger nie miał, zdaje się, ochoty do tego rodzaju rozróżnień. Nie dał żadnej nowej odpowiedzi, tylko powtórzył szybko, pewnie i bezbłędnie dawną, dodając jeszcze na końcu literę A, o której poprzednio zapomniał.

Dobrze, zgoda, więc poeta. Zakłopotanie wzrastało — dziwne zakłopotanie, wywołane ujawnieniem się niedostrzegalnych dziedzin własnej jaźni, ale wobec chwiejności i połowiczności tego objawienia skierowane znowu ku zjawiskom zewnętrznym. Zapytano, czy Holger czuje się szczęśliwy w stanie, w jakim się znajduje. Posunięcia kieliszka utworzyły marzycielsko wyraz „spokojny”. Ach tak, „spokojny”. Ano tak, nikt by sam nie wpadł na to, ale kieliszek tak wysylabizował, więc osądzili wszyscy, że to jest prawdopodobne i dobrze sformułowane. — A od jak dawna znajduje się Holger w tym stanie spokoju? — Usłyszano znów coś, co nikomu nie przyszłoby do głowy, a było rozmarzające Brzmiało to: „pośpieszne trwanie”. — Bardzo dobrze. Mogło zresztą również brzmieć „trwały pośpiech”. Była to poetycka sentencja brzuchomówcy; podobało się zwłaszcza Hansowi Castorpowi. Pośpieszne trwanie było właściwym Holgerowi elementem czasu, naturalnie, musiał za pomocą jakiejś sentencji pozbyć się pytających natrętów, a odczył się zapewne operowania ziemskimi słowami i miarami ścisłymi. Czegóż jeszcze chciano by się odeń dowiedzieć?

Panna Levi wyznała, że jest ciekawa, jak Holger wygląda, względnie jak niegdyś wyglądał. Czy jest pięknym młodzieńcem? — Pan Albin przykazał, aby zapytała go sama, uważał bowiem, że stawianie takiego pytania jest poniżej jego godności. Spytała więc, przemawiając per „ty” do Holgera-ducha, czy ma jasne loki?

— Piękne, ciemne, ciemne loki — ciągnął dalej kieliszek, sylabizując dwukrotnie wyraz „ciemne”. W towarzystwie zapanowała radosna wesołość. Panie przyzna-

wały się głośno, że są zakochane w Holgerze. Posyłały ku sufitowi całusy. Dr Ting-Fu zauważył chichocząc, że Mister Holger, jest, jak się zdaje, cokolwiek próżny.

W tej chwili kieliszek zirytował się widocznie! Począł biec jak szalony bez ładu i składu dokoła stołu, pochylał się wściekle, aż przewrócił się i upadł na kolana pani Stöhr, która patrzyła nań z rozłożonymi rękami, blada ze strachu. Postawiono go ostrożnie na dawnym miejscu, prosząc o przebaczenie. Zwymyślano Chińczyka. Jak mógł się odważyć na coś podobnego! Oto do czego prowadzi niewczesna ciekawość. A co będzie, jeśli Holger rozgniewawszy się odejdzie i żadnej już nie da odpowiedzi? Uspokajano jego kieliszek, jak tylko się dało. Może chciałby coś zaimprovizować! Był przecie poetą, zanim znalazł się w krainie pośpiesznego trwania. Ach, jakże chcieliby wszyscy posłuchać jego wierszy! Sprawiłoby im to prawdziwą rozkosz.

Wtem pocziwy kieliszek dał znak: „Tak”. A zrobił to w sposób rzeczywiście dobrotliwy i jakby świadczący o gotowości do zgody. Po czym Holger- duch zaczął improwizować; improwizował szczegółowo, obszernie, bez pamięci, nie wiadomo jak długo — zdawało się, że nie umilknie nigdy! Był to ze wszech miar zadziwiający poemat, magiczny utwór, bezbrzeżny jak morze i w którym też głównie o morzu była mowa; poeta przemawiał jak brzuchomówca, a siedzący wokół ludzie powtarzali jego słowa z podziwem.

Wzdłuż wąskiego pasa wybrzeża, u głębokiej zatoki, w krainie wysp o stromych wydmach nadbrzeżnych wielkie kępy trawy morskiej. Patrzcie, jak dal niezmierną konającą zielenią roztapia się w wieczności. Pod szerokimi smugami mglistych zasłon, w posępnym karmazynowym przepychu i mlecznym, miękkim blasku — letnie słońce powoli, powoli chyli się ku zachodowi! Żadne usta nie wyrażą, kiedy i jak srebrny, ruchliwy odbłask wody zmienia się w błyski perłowej masy, w nie dającą się wyrazić grę barw blado opalizującej księżycowej poświaty, która pokrywa wszystko... Ach, cichy czar rozwiął się równie tajemnie, jak powstał. Usnęło morze, ale w dali zostały jeszcze ślady pożegnania ze słońcem. Zupełna ciemność nie zapadnie aż późną nocą. W sosnowym lesie, porastającym wzgórze wydm, panuje widmowa, blada jasność, w której piasek zda się śniegiem. Milczący, jakby zimowy las, którego ciszę maści szelest skrzydeł przelatującej sowy! Zatrzymajmy się tu w tę późną godzinę łagodnej nocy! Stopa tonie miętko w piasku, a tam, głęboko pod nami, morze oddycha spokojnie i szepcze przez sen. Czy tęskno ci za nim, czy chciałbyś je znowu ujrzeć? Wstąp na gładkie niby lodowiec blade zbocze wydmy, podejdź w górę, brodząc po miękkim, chłodnym puchu, sypiącym się do obuwia. Gęste zarośla opadają stromo ku skalistym brzegom, a na skraju nik-

nanej dali wciąż jeszcze przeblyskują widmowo resztki dnia... Spocznij tu w górze na piasku. Jest chłodny jak śmierć, sypki i jedwabisty! Spływa ci z zamkniętej dłoni bezbarwnym, wąskim strumieniem, tworząc maleńki pagórek. Czy poznajesz? Jest to bezszelestne, ciche spływanie przez wąską klepsydrę, to poważne a kruche naczynie zdobiące zagrodę pustelnika. Rozwarta księga, trupia czaszka, a na podstawie, w lekko spojonej oprawie, podwójnie wydęta bańka — w niej odrobina piasku, cząstka wieczności, zastępująca czas, spełnia swe tajemne i święte a przerażające zadanie...

Tak to Holger- duch zaczął swą liryczną improwizację od rodzinnego morza, by dziwacznymi skokami myślowymi przejść do pustelnika i klepsydry. Mówił jeszcze o innych rzeczach, ludzkich i boskich, ujmując je w marzycielskie a śmiałe słowa; zebrani z największym zdziwieniem odcyfrowywali wyrazy, a kieliszek poruszał się w zygzakach tak szybko po powierzchni stołu, że ledwie czasu starczyło na wyrażenie zachwytu; minęła godzina, a nic nie zapowiadało kresu improwizacji; bez końca mówił o troskach macierzyńskich, o pierwszym pocałunku kochanków, o koronie cierpienia i ojcowskiej dobroci Boga, zagłębiał się w losy istoty stworzonej, gubił się w dawnych czasach, nieznanym krajach, przestrzeniach gwiazdnych, napomknął nawet raz o Chaldejczykach i o zodiaku; trwałoby to zapewne przez noc całą, gdyby ci, co wywołali ducha, nie odjęli wreszcie palców od kieliszka i wśród gorących podziękowań nie oświadczyli Holgerowi, że na ten raz trzeba przerwać seans, że improwizacja była niewypowiedzianie piękna i należy niezmiernie żałować, iż nikt jej nie zapisał, bo przez to poemat ulegnie niewątpliwie zapomnieniu, a nawet niestety już po większej części mu uległ z powodu pewnej nieuchwytności, która go upodabnia do sennego marzenia. Następnym razem wyznaczy się na czas sekretarza, a wtedy będzie się można przekonać, jak poemat wygląda, gdy będzie spisany czarno na białym i gdy się go odczyta w całości. Na razie, nim Holger powróci spokojnie w krainę pośpiesznego trwania, może będzie lepiej, a w każdym razie będzie to z jego strony nadzwyczaj uprzejmie, jeśli zechce odpowiedzieć na kilka rzeczowych pytań; nie wiadomo jeszcze, jakie to będą pytania, ale chodzi o to, czy zasadniczo byłby łaskaw przychylić się do tej prośby?

— Tak — brzmiała odpowiedź. Ale wtedy okazało się, że nie wiedziano, o co należy pytać. Członkowie seansu czuli się jak owi ludzie z bajki, którym wróżka czy krasnoludek obiecał spełnienie jednego życzenia i którzy oniemieli z obawy, żeby nie zmarnować jedynej, drogocennej sposobności. Wiele było rzeczy w świecie i w przyszłości, o które warto by zapytać, ale nikt nie chciał wziąć na siebie odpowiedzialności za wybór. Wobec ogólnego niezdecydowania odezwał się Hans Castorp, z palcem opartym o kieliszek, podpierając dłonią lewy policzek; on



pozwole sobie zapytać, jak długo potrwa jego pobyt tu w górze, pobyt zakrojony pierwotnie na trzy tygodnie.

Dobrze! Skoro nie wymyślono nic lepszego, to niechże duch udzieli słuchaczom tej pierwszej z brzegu cząstki swej nieprzebranej wiedzy. Kieliszek ruszył po krótkim wahaniu. Tworzył jakieś dziwne wyrazy, pozornie bez związku z pytaniem; nikt nie mógł się domyślić, o co chodzi. Odczytano zgłoskę „idź!”, a potem wyraz „w poprzek”, ale nie wiedziano, co z tym począć; potem była mowa o pokoju Hansa Castorpa; wyglądało to na lakoniczny rozkaz, by pytający „przeszedł w poprzek swojego pokoju”. — W poprzek pokoju! W poprzek numeru 34? Co to ma znaczyć? Siedziano jeszcze, naradzano się i potrzęsano głowami, gdy rozległo się nagle silne uderzenie pięścią w drzwi.

Wszyscy zdrętwieli. Czy był to napad? Czy może za drzwiami stał dr Krokowski, zdecydowany rozpędzić niedozwolone zebranie? Z wyrazem zmieszania na twarzy oczekiwano wejścia oszukanego lekarza. Nagle uderzyło coś z trzaskiem w środek stołu, znów jak pięścią i jakby wyjaśniając, że i pierwsze uderzenie pochodziło od wewnątrz, a nie od zewnątrz.

To był chyba niesmaczny żart pana Albina! Zaklinał się, że jest niewinny, a zresztą i bez jego zapewnień wszyscy byli przekonani, że to nikt spośród obecnych nie uderzył w stół. A więc Holger? Spojrzeli na Elly; wszyscy zauważyli równocześnie, że zachowuje się zupełnie cicho. Końce jej palców spoczywały na skraju stołu, a przeguby rąk zwisały ku dołowi; siedziała oparta, z głową przechyloną na ramię, z podniesionymi brwiami i ściągniętymi w dół kącikami ust, wokół których igrał na wpół skryty, na wpół niewinny uśmiezek, i patrzyła dziecinnymi, niebieskimi, jakby nie widzącymi oczami w pustkę. Poczęto na nią wołać, ale nie dawała znaku życia. W tej chwili zgasła lampka na stoliku nocnym.

Zgasła? Pani Stöhr już się nie mogła powstrzymać od okrzyków przerażenia; słyszała bowiem trzask przekreślanego wyłącznika. A więc światło nie zgasło, lecz zgasła je ręka, którą nazywano bardzo ostrożnie, mówiąc, że to o b c a ręka. Czy była to ręka Holgera? Był przecież dotychczas taki łagodny, układny i poetyczny, ale teraz zmienił się, zaczął płać złośliwe figle i kawały. Któż mógł ręczyć, że pięść, która waliła we drzwi i meble i łajdacko gasiła światło, nie chwyci kogoś nagle za gardło? Wołano pośród ciemności o zapalki, o latarkę. Panna Levi wrzasnęła, że ktoś ją pociągnął za włosy. Pani Stöhr straciła ze strachu panowanie nad sobą i zaczęła się głośno modlić. „Panie Boże, jeszcze tylko ten raz!” — krzychała i błagała jękliwie, by Bóg okazał raczej swe miłosierdzie niż sprawiedliwość, choć wywołali piekielne moce. Dr Ting-Fu wpadł na zdrowy pomysł, by przekreślić

wyłącznik górnej lampy; w jednej chwili w pokoju zrobiło się jasno. Co do lampki nocnej, to stwierdzono że istotnie nie zgasła przypadkiem, lecz została zgaszona i że wystarczy ją po prostu ponownie zaświecić, aby znowu zapłonęła. Hansa Castorpa spotkała tymczasem dziwna niespodzianka, w której widział dowód, że dziecinny figiel ze zgaszeniem światła pozostawał w szczególnym związku z nim samym. Oto na kolanach jego leżał lekki przedmiot, „pamiątka”, która niegdyś przeraziła wuja, gdy ją wziął z komody siostrzeńca — szklany diapozytyw, przedstawiający wewnętrzny portret pani Chauchat; a na pewno Hans Castorp sam go tu nie przyniósł.

Schował go do kieszeni, nie wspominając nikomu o dziwnym zjawisku. Zakrzętnięto się dokoła Ellen Brand, która wciąż jeszcze siedziała na swoim miejscu w wyżej opisanej pozycji, z błędnym wzrokiem i wysoce nienaturalnym wyrazem twarzy. Pan Albin dmuchnął na nią i przed jej twarzą wykonywał, naśladując dra Krokowskiego, jakby wachlujący ruch ręką w górę; wtedy ocknęła się i — nie wiadomo dlaczego — zaczęła popłakiwać. Głaskano ją, pocieszano, ucałowano w czoło i posłano spać. Ponieważ niekulturalna pani Stöhr, będąc silnie zdenerwowana, nie chciała pozostać sama, panna Levi oświadczyła gotowość spędzenia u niej nocy. Hans Castorp, z podarunkiem ducha w portfelu, zgodził się chętnie na zakończenie nienormalnego wieczoru wraz z innymi u pana Albina, przy koniaku; uważał bowiem, że podobne wypadki nie mają wprawdzie wpływu ani na serce, ani na umysł, działają natomiast na nerwy żołądka, i to tak uporczywie, jak morska choroba; dotknięty nią podróżny odczuwa jeszcze przez dłuższy czas na stałym lądzie kołysanie, które wywołuje mdłości.

Ciekawość jego była na razie zaspokojona. Poemat Holgera był miejscami wcale dobry, ale, jak słusznie przeczuwał, wszystko to wydawało mu się tak beznadziejne i niesmaczne, że wystarczyło mu tych kilku płomyków piekielnego ognia, które go dotknęły, i postanowił z tym skończyć. Łatwo pojąć, że Settembrini, któremu opowiedział o tych przeżyciach, starał się go umocnić w tym postanowieniu. — Tego tylko jeszcze brakowało! — wołał. — O nędzo ludzka, o nędzo! — Potem osądził krótko, że mała Elly jest wyrafinowaną oszustką.

Wychowanek nie potwierdził ani nie zaprzeczył. Wzruszył ramionami i stwierdził, że nie można w sposób jednoznaczny określić, co jest rzeczywistością, a więc także, co jest oszustwem. Może granica między nimi jest płynna. Może istnieją formy przejściowe między nimi, różne stopnie realności w nic nie mówiącej i nie wartościującej naturze, między którymi nie można rozstrzygać, bo każde rozstrzygnięcie zdaje się zależeć od czynników moralnych. A co pan Settembrini myśli

o wyrazie „kuglarstwo”? W pojęciu tym mieszczą się pierwiastki snu i rzeczywistości, łącząc się w całość mniej może obcą naturze niż naszemu pospolitemu myśleniu na jawie. Tajemnica życia jest dosłownie bezdenną, cóż więc dziwnego, że to, co się z niej wyłania, bywa czasem kuglarstwem, które — i tak dalej w stylu naszego bohatera, miłym, kompromisowym i bardzo nieścistym.

Pan Settembrini zmył mu należycie głowę, co wywołało chwilowy przypływ silnej woli, oraz wymusił na nim coś w rodzaju przyrzeczenia, że w przyszłości nigdy już nie weźmie udziału w takich okropnościach. Napominał go: — Inżynierze, niech pan uszanuje człowieka w sobie! Niech pan nabierze zaufania do jasnej myśli ludzkiej, a ze wstrętem odwróci się od zbrodni umysłowych, od bagna duchowego! Kuglarstwo? Tajemnica życia? Caro mio! Gdzie zatracą się etyczna odwaga rozstrzygnięcia i odróżniania oszustwa od rzeczywistości, tam koniec z życiem w ogóle, z sądem, wartościowaniem, z czynem mającym ulepszyć rzeczywistość; natomiast zaczyna się tam straszliwy proces rozkładu, którego dokonuje sceptycyzm moralny. Dodał jeszcze, że człowiek jest miarą wszechrzeczy; nikt nie może mu odebrać prawa poznawania i rozstrzygnięcia między złem i dobrem, prawdą i fałszem. Biada temu, kto by się ośmielił zachwiać w nim wiarę w to twórcze prawo! Lepiej, by sobie przywiązał kamień młyński do szyi i utopił się w najgłębszej studni.

Hans Castorp przyznał mu rację i rzeczywiście trzymał się na razie z dala od tego rodzaju przedsięwzięć. Słyszał, że dr Krokowski urządzał z Ellen Brand posiedzenia w swojej analitycznej suterence i zapraszał na nie wybranych gości. Sam obojętnie odmawiał w nich udziału, jednakże wiedział od uczestników i od dra Krokowskiego niejedno o wynikach seansów. Dr Krokowski hipnotyzował małą Ellen i wprowadzał ją w stan snu na jawie, według wszystkich reguł sztuki; systematycznie i z pełną gwarancją ich autentyczności wywoływał na seansach zjawiska podobne do tych, które działy się w sposób nieopanowany i przypadkowy w pokoju panny Kleefeld, mianowicie uderzenia w stół i w ściany, gaszenie lampy i tym podobne rzeczy. Okazało się, że próby te lepiej się udawały przy akompaniamencie muzyki, toteż gramofon służył często wieczorami potrzebom kółka magicznego. W Hansie Castorpie nie budziło to zbytniego niepokoju, albowiem pan Waclaw, który w tych okolicznościach opiekował się aparatem, był człowiekiem muzykalnym, na pewno więc umiał się obchodzić z gramofonem i nie zrobiłby mu krzywdy. Do tego specjalnego celu Castorp wybrał spośród zbioru płyt jeden album, w którym znalazły się rozmaite utwory lekkie, taneczne, małe uwertury i inne podobne drobiazgi; spełniały one znakomicie swą rolę, Elly bowiem nie potrzebowała bynajmniej poważniejszej muzyki.

Dowiedział się tedy, że przy wtórze tych dźwięków podniosła się pewnego razu z ziemi chustka, a raczej uniósł ją jakiś w fałdach jej ukryty „szpon”, innym znów razem zawisł pod sufitem kosz na papiery należący do doktora, wahadło zegara ściennego zostało „przez nikogo” zatrzymane i znowu puszczone w ruch, „coś wzięło” dzwonek ręczny i dzwoniło nim — i tym podobne ponure drobiazgi. Uczony kierownik eksperymentów był w tym szczęśliwym położeniu, że mógł badaniom nadawać pełne powagi naukowe nazwy greckie. Objąśniał więc w wykładach i podczas rozmów prywatnych, że są to zjawiska „telekinetyczne”, wypadki przenoszenia ruchu na odległość; zaliczył je do dziedziny zjawisk nazwanych przez naukę materializacją; one właśnie były przedmiotem jego dociekań podczas eksperymentów z Ellen Brand.

Chodziło tu, jak się wyrażał, o biopsychiczne rzutowanie podświadomych kompleksów na świat obiektywny, o procesy, za których źródło uważać należy mediumiczne skłonności i stan hipnozy. Można by je uważać za uprzedmiotowione wyobrażenia senne, gdyż objawia się w nich pewnego rodzaju ideoplastyczna zdolność natury, przysługująca myślom ludzkim w pewnych warunkach, a polegająca na przyciąganiu ku sobie materii i uzyskiwaniu w niej przemijającej realności. Materia owa wypływa z ciała medium i formuje się przejściowo poza nim, przybierając kształt biologicznie żywych kończyn, członków zdolnych do chwytania, rąk, i stwarzając owe zadziwiające zjawiska, których świadkami byli uczestnicy seansów w laboratorium dra Krokowskiego. W pewnych warunkach były owe członki dostrzegalne i wyczuwalne, zostawiały nawet odciski w parafinie i gipsie. W innych wypadkach materializacja nie kończyła się na tym. Oczom eksperymentatorów ukazywały się głowy, twarze ludzkie o cechach indywidualnych, zjawy w pełnej postaci — i nawiązywały z nimi pewien ograniczony kontakt. W tym punkcie teorie dra Krokowskiego poczęły sięgać, gdzie wzrok nie sięga, przybierały ów chwiejny i dwuznaczny charakter, jakim odznaczały się jego dawniejsze wynurzenia o „miłości”. Albowiem teraz nie chodziło już o zrozumiałe i naukowo uzasadnione przezruty podmiotowych przeżyć medium i jego biernych pomocników w świat obiektywny; przynajmniej w połowie, przynajmniej do pewnego stopnia wchodziły tu teraz w grę jaźnie ukazujące się z zewnątrz i z zaświatów. Chodziło — zapewne, choć niezupełnie przyznawał się do tego — o coś spoza kręgu życia, o istoty korzystające z zawilej i tajemniczej chwilowej szansy, aby ucieleśnić się na nowo i odpowiedzieć na wezwanie — słowem, o spirytystyczne zaklinanie zmarłych.

Do takich oto wyników zmierzał kolega Krokowski wraz ze swymi współpracownikami. Barczysty i jędrnie uśmiechnięty, zachęcał do nie zmaconego niczym zaufania, sam czując się w domu na śliskim terenie spraw podejrzanych, leżących

poniżej ludzkiego poziomu, do których wciągał nawet wahających się i niezdecydowanych. Powodzenie zdawało mu się uśmiechać dzięki niezwykłym darom Ellen Brand, które usiłował rozwijać i pielęgnować: tak przynajmniej mówiono Hansowi Castorpowi. Zdarzyło się, że niektórzy uczestnicy seansów poczuli dotknięcie zmaterializowanych rąk. Prokurator Paravant dostał raz siarczysty policzek ze sfer transcendentnych, na który, zachowując naukową pogodę ducha, nie zareagował a nawet nadstawił drugi policzek — chociaż jako dżentelmen, prawnik i senior korporacji czułby się zmuszony zareagować w zupełnie inny sposób, gdyby cios pochodził od żywej istoty. A. K. Ferge, ten skromny cierpiętnik, dla którego wszelkie wyżyny były niedostępne, pewnego wieczoru trzymał w swej dłoni niewidzialną rękę ducha i przekonał się namacalnie, że jest zbudowana w sposób normalny i właściwy, po czym z jego uścisku, którego serdeczność nie wychodziła poza granice respektu, dłoni wysunęła się w sposób nie dający się ściśle określić.

Minał czas długi, około dwu i pół miesiąca, posiedzenia odbywały się dwa razy na tydzień; aż pewnego wieczoru pojawiła się nad stołem w świetle stojącej lampy przyćmionej abazurem z czerwonego papieru — ręka z zaświatów, ręka, jak się zdawało, młodego człowieka. Przesunęła się przed oczami wszystkich, poruszając palcami, i pozostawiła ślad w glinianej misce z mąką. Ale dopiero w tydzień potem, koło północy, na balkon Hansa Castorpa wpadła grupa współpracowników dra Krokowskiego, mianowicie: pan Albin, pani Stöhr, małżonkowie Magnus; na ich zmienionych twarzach był entuzjazm, rozgorączkowanie, zachwyty; drzemiacemu na ostrym mrozie opowiadali jedni przez drugich, że zjawił się Holger, że głowa jego wychyliła się spoza pleców Ellen, pogrążonej w hipnotycznym śnie; że miał naprawdę „piękne, ciemne, ciemne loki”, uśmiechał się z niezapomnianą słodyczą i melancholią, a potem znikł!

Jakże pogodzić, rozmyślał Hans Castorp, szlachetny smutek Holgera z jego zachowaniem się w innych wypadkach, z jego płaskimi dziecinnymi figlami i niewymyślnymi psotami, na przykład z owym zgoła niemelancholijnym policzkiem, na który prokurator nie zareagował? Nie można tu było najwidoczniej spodziewać się konsekwencji ni jednolitości charakteru. A może z usposobienia swego podobny był do garbuska z piosenki, z jego smutną złośliwością. Widać było, że wielbiciele Holgera nie troszczą się o to wcale. Chcieli natomiast skłonić Hansa Castorpa, aby się nie wstrzymywał od udziału w seansach. Teraz, kiedy sprawy tak dobrze stoją, musi bezwzględnie wziąć udział w najbliższym posiedzeniu. Elly obiecała mianowicie we śnie, że następnym razem wywoła ducha każdego zmarłego, którego by ktokolwiek z obecnych zażądał.

Każdego? Hans Castorp mimo to trwał w swej postawie odpornej. A jednak to, że mógłby to być dowolny zmarły, nie dawało mu spokoju i sprawiło, że w ciągu trzech dni zmienił swe postanowienie. Ściśle biorąc, zmiana jego decyzji była dziełem nie trzech dni, ale kilku zaledwie minut. Zmiana ta nastąpiła, gdy wieczorem samotnie w salonie muzycznym puszczał raz jeszcze płytę, na której utrwalona była arcysympatyczna postać Walentyna. Siedział na krześle i przysłuchiwał się żołnierskiej modlitwie odchodzącego wojaka, któremu spieszno było na pole chwały i który śpiewał:

Nawet gdy Bóg mię powoła do nieba,  
Będę cię bronić, gdy zajdzie potrzeba,  
O Małgorzato!

Przy dźwiękach tych Hans Castorp jak zwykle odczuł tęsknotę, ale tym razem dzięki zarysowującym się możliwościom była jeszcze silniejsza i przekształciła się w wyraźne pragnienie.

„Byłaby to niezwykle dziwna i rozczulająca przygoda — pomyślał — mniejsza o to, czy byłaby bezowocna i grzeszna, czy też nie. On, o ile go znam, nie weźmie mi tego za złe, jeśli ma z tym coś wspólnego.” — Przypomniawszy sobie jego obojętny a liberalny okrzyk: „Ależ proszę!”, którym niegdyś wśród ciemności panującej w laboratorium rentgenologicznym dał mu zezwolenie na pewne optyczne niedyskrecje.

Następnego ranka zgłosił swój udział w mającym się tego wieczoru odbyć seansie; w pół godziny po kolacji przyłączył się do tych, którzy niefrasobliwie gwarząc, jak przystało na stałych bywalców, zmierzali ku suterenom gmachu. Byli to wszystko ludzie, którzy w sanatorium zapuścili korzenie, a w każdym razie przebywali w nim już od dawna, jak dr Ting-Fu i Czech Waclaw, z którymi spotkał się na schodach; nadto panowie Ferge i Wehsal, prokurator, panie: Levi i Kleefeld, nie mówiąc już o tych, którzy mu donieśli o zjawieniu się głowy Holgera; nie brakowało też naturalnie medium, Elly Brand.

Kiedy Hans Castorp przekroczył drzwi zdobne w bilet wizytowy, dziecię Północy znajdowało się już pod opieką doktora, który, ubrany w swój czarny kitel, objął je po ojcowsku ramieniem; oboje witali gości u stóp schodów, wiodących z poziomu suterenu w dół, do mieszkania asystenta. Powitanie było wesołe i serdeczne. Postanowiono widocznie nie dopuścić do nastroju uroczystego i sztywnego. Rozmawiano i żartowano głośno i bezładnie, wymieniano szturchańce i usiłowano na wszelki sposób zachować swobodę. Dr Krokowski wciąż szczerzył złote zęby

w jędrnym, zachęcającym do zaufania uśmiechu i powtarzał: „Pozddawiam państwa”, szczególnie zaś serdecznie powitał Hansa Castorpa, który był milczący i minę miał niezdecydowaną. Gospodarz podnosząc głowę i przechylając ją ku tyłowi zdawał się mówić: „Odwagi, przyjacielu!”, podczas gdy ręka jego ścisnęła aż nazbyt mocno dłoń gościa. „Uszy do góry! Precz z obłudą i bigoterią! Tu panuje męska wesołość, jak przystało na wolnych od przesądów badaczy!” Pantomima ta nie poprawiła jednak humoru Castorpa, do którego się zwracała. Mówiliśmy, że w chwili podjęcia decyzji przypomniał sobie wypadki w laboratorium rentgenologicznym, ale to nie wystarcza do określenia jego nastroju. Nastrój ten podobny był raczej do tego swoistego i niezapomnianego uczucia, złożonego z bytu, zdenerwowania, ciekawości, pogardy i skupienia, którego doznał niegdyś przed laty, gdy po pijatyce, urządzonej z kolegami, wybrał się z nimi po raz pierwszy do publicznego domu w dzielnicy Sankt Pauli.

Ponieważ towarzystwo było już w komplecie, dr Krokowski udał się z dwiema asystentkami — były nimi tym razem pani Magnus i blada jak z kości słoniowej panna Levi — do sąsiedniego pokoju, celem przeprowadzenia rewizji osobistej medium; Hans Castorp i dziewięcioro jego towarzyszy czekało w pokoju ordynacyjnym doktora na wynik tego stale powtarzanego a zawsze bezskutecznego aktu naukowej ścisłości. Znał ów pokój dobrze od czasu rozmów, które przez jakiś czas miewał z analitykiem, poza plecami Joachima. Był to typowy lekarski pokój przyjęć, jakich wiele; biurko z fotelem gospodarza i drugim dla gościa, stojące w głębi, pod oknem, po lewej; podręczna biblioteka po obu stronach drzwi bocznych; ukośnie stojący szezlong, pokryty ceratą, na prawo w głębi, oddzielony od biurka kilkukrzydłowym parawanem; szklana szafka na instrumenty lekarskie, umieszczona w jednym kącie, popiersie Hipokratesa w drugim i sztych „Anatomii” Rembrandta nad kominkiem gazowym na prawej ścianie bocznej. Teraz jednak poczyniono w umeblowaniu pewne zmiany dla celów specjalnych. Okrągły mahoniowy stół, otoczony krzesłami, którego miejsce było pośrodku pokoju, pod elektrycznym świecznikiem, na czerwonym dywanie, pokrywającym całą nieledwie podłogę, był teraz przesunięty w kąt ku przodowi, tam gdzie stało gipsowe popiersie. Bliżej płonącego i promieniującego suchym żarem kominka ustawiono mniejszy, nakryty stolik z lampką osłoniętą czerwonym abażurem; nad stolikiem zwisała z sufitu gruszka, okryta czerwonym, a ponadto jeszcze czarnym woalem. Na stoliku i obok niego widniało kilka osławionych przedmiotów: dzwonek ręczny, a raczej dwa, o różnej konstrukcji, mianowicie jeden do potrząsania i drugi — dzwoniący za naciśnięciem, prócz tego talerz z mąką i kosz na papiery. Stolik otaczało półkolem jakie dwanaście krzesel różnego typu; jeden koniec półkola znajdował się w pobliżu

szezlonga, drugi zaś mniej więcej w środku pokoju, pod świecznikiem. Tu, w pobliżu ostatniego krzesła, w połowie drogi do bocznych drzwi, ustawiono też gramofon. Obok na krześle leżał album z lekkimi utworami muzycznymi. Tyle o urządzeniu. Czerwonych lamp jeszcze nie zapalono. Żyrandol rozsyłał jasne światło podobne do dziennego. Okno, pod którym stało bokiem biurko, zakryte było ciemną zasłoną i zwisającymi jeszcze przed nią kremowymi, ażurowymi, jakby koronkowymi storami.

Po upływie dziesięciu minut doktor wrócił z gabinetu wraz z trzema kobietami. Wygląd Elly zmienił się zupełnie. Miała teraz na sobie rodzaj specjalnego kostiumu; była to długa szata, podobna do szlafroka, zrobiona z białej krepy i przewiązana w pasie sznurem; wąskie ramiona były obnażone. Pod tym strojem niewiele zapewne miała na sobie, bo dziewicza pierś rysowała się pod nim miękko i swobodnie.

Powitano ją z ożywieniem. „Halo, Elly! jak uroczo dziś wygląda! Zupełnie jak czarodziejka! Pokaż, co umiesz, aniołku!” Odpowiadała uśmiechem na okrzyki, uradowana swym strojem; wiedziała, że jej w nim do twarzy. — Kontrola wstępna dała wynik ujemny — stwierdził dr Krokowski — a więc do pracy, koledzy! — dodał wymawiając egzotycznie R za pomocą jednorazowego uderzenia języka o zęby. Wszyscy poczęli zajmować miejsca w półkolu, rozmawiając głośno i poklepując się po ramionach; Hans Castorp, niemile uderzony słowami doktora, chciał właśnie usiąść, gdy wtem dr Krokowski zwrócił się wprost do niego.

— Panu, mój przyjacielu — rzekł — który jesteś dziś poniekąd naszym gościem i nowicjuszem w naszym gronie, chciałbym nadać na ten wieczór szczególne prawa honorowe. Powierzam panu kontrolę nad naszym medium. Wykonujemy ją w ten sposób. — Poprosił młodzieńca, by usiadł u jednego końca otwartego łuku, obok szezlonga i parawanu; Elly zajęła tam już miejsce na zwykłym trzcinowym krześle, z twarzą zwróconą bardziej ku drzwiom wejściowym ze schodkami niżli ku środkowi pokoju; doktor sam usiadł na takimże krześle, tuż naprzeciw medium, pochwycił obie ręce Elly, silnie przytrzymując kolanami jej kolana. — Zrób pan to samo! — rozkazał i Hans Castorp zajął jego miejsce. — Mam wrażenie, że chwyt jest zupełnie pewny. W każdym razie może pan liczyć na pomoc. Droga panno Kleefeld, czy mogę panią prosić? — Wezwana tak dworsko a egzotycznie, podeszła do grupy i przytrzymała obu rękami wiotkie przeguby rąk Elly.

Hans Castorp musiał z konieczności spojrzeć z bliska w twarz cudownego dziecka, które trzymał w uwięzi. Wzrok ich spotkał się, ale Elly spuściła oczy na znak zrozumiałego w tym położeniu zawstydzenia; uśmiechnęła się przy tym



z pewną afektacją, przechylając głowę na bok i ściągając nieco wargi, podobnie jak niedawno podczas seansu z kieliszkiem. Na widok tej milczącej afektacji obudziło się w nadzorującym ją inne jeszcze wspomnienie. Przyszło mu na myśl, że mniej więcej tak samo uśmiechała się Karen Karstedt, kiedy stała w towarzystwie jego i Joachima nad nie otwartym jeszcze grobem w Davos-Wsi...

Wszyscy zasiedli w półkolu — trzynaście osób, nie wliczając Czecha Waclawa, który, jak zwykle, poświęcał się wyłącznie obsłudze „Polihymnii” i, przygotowawszy wszystko do puszczenia jej w ruch, usiadł teraz za plecami towarzystwa na krzeselku obok aparatu. Miał przy sobie również gitarę. Dr Krokowski usiadł pod świecznikiem na drugim końcu półkola, zapaliwszy wprzód obie czerwone lampki i zgasiwszy białe światło sufitowe. Żarząca się ciemność zapanowała teraz w pokoju i dalsze jego części i kąty stały się niedostępne dla wzroku. Czerwonawe światło rozjaśniało właściwie tylko powierzchnię stołu i jego najbliższe otoczenie. W pierwszej chwili można było zaledwie rozpoznać twarze sąsiadów. Dopiero po pewnym czasie oczy przywykły do półmroku i nauczyły się korzystać z pozostawionego światła, wzmacnianego cośkolwiek przez płomyki skaczące w gazowym piecyku.

Doktor poświęcił kilka słów oświeceniu, przeproszał, że jest takie skąpe, tłumacząc to względami naukowymi. Nie należy w tym widzieć pragnienia wywoływania nastroju i mistyfikacji. Mimo najlepszych chęci nie można zezwolić na razie na większe oświecenie. W naturze sił, które tu mają zamiar studiować, leży, że przy jasnym świetle nie mogą się objawiać i działać. Jest to warunek bezwzględny, należy się więc z nim na razie pogodzić. Hans Castorp był zadowolony z ciemności: była przyjemna i łagodziła niezwykłość położenia. Poza tym, aby ją usprawiedliwić, wspominał gabinet do prześwietleń i panujący tam mrok, który pozwalał skupić się i jakby przemyślał oczy, aby mogły „widzieć”.

W dalszym ciągu swej wstępnej przemowy, najwyraźniej zwróconej przede wszystkim do Hansa Castorpa, dr Krokowski oświadczył, że medium nie potrzebuje już hipnotycznego uśpienia ze strony lekarza. Elly, jak to będzie mógł skonstatować kontroler, wpada w trans sama z siebie, a wtedy przemawia przez nią jej duch opiekuńczy, znany już wszystkim Holger; do niego więc, a nie do niej należy się zwracać z życzeniami. Przy tym mylne i szkodliwe jest przekonanie, że należy wolę i myśli skupić za wszelką cenę na tym, co się będzie działo. Przeciwnie, należy uwagę poniekąd rozpraszać i zabawiać się rozmową. Hans Castorp winien przede wszystkim pilnować skrupulatnie kończyn medium.

— Utworzyć łańcuch! — zakończył dr Krokowski; dokonano tego śmiejąc się

głośno, gdyż w ciemności trudno było odszukać ręce sąsiadów. Dr Ting-Fu, siedzący obok Herminy Kleefeld, położył prawą dłoń na jej ramieniu, a lewą podał panu Wehsalowi. Obok lekarza siedzieli państwo Magnus, dalej A. K. Ferge, który — jeśli Hansa Castorpa wzrok nie mylił, trzymał za rękę bladą jak z kości słoniowej Levi, swą sąsiadkę z prawej — i tak dalej. — Muzyka! — rozkazał dr Krokowski; Czech puścił w ruch gramofon za plecami lekarza i jego gości i przytknął igłę do płyty. — Rozmowa! — zakomenderował znów Krokowski; gdy zabrzmiały pierwsze takty uwertury Millöckera, posłusznie usiłowano nawiązać rozmowę, ale była to rozmowa o niczym, o tegorocznych opadach śnieżnych, o tym, co dano ostatnio na obiad, o przybyciu nowego pacjenta, o dzikim czy legalnym odjeździe; podtrzymywana sztucznie, rwała się i znowu nawiązywała, częściowo przygłuszała ją muzyka. Minęło kilka minut.

Płyta nie dobiegła jeszcze końca, gdy Elly wzdrygnęła się gwałtownie. Przeszył ją dreszcz, westchnęła, osunęła się ku przodowi, tak że czołem dotknęła czoła Hansa Castorpa, a ramiona jej poczęły wraz z ramionami trzymających ją za ręce dwojga osób wykonywać dziwne ruchy, jakby pompowała coś lub przyciągała i odpychała.

— Trans! — zameldowała doświadczona panna Kleefeld. Muzyka umilkła. Rozmowa urwała się. W nagłej ciszy rozległ się przeciągający miękko wyrazy baryton doktora:

— Czy Holger jest wśród nas?

Elly znów zadrzała. Zachwiała się na krześle. Potem Hans Castorp poczuł, że uścisnęła mocno i krótko obie jego dłonie.

— Ścisnęła mi dłonie! — doniósł.

— To on — poprawił go doktor. — On ścisnął panu dłonie... A więc jest obecny. — Pozddawiamy cię, Holger — ciągnął dalej z namaszczeniem. — Z serca cię witamy, przyjacielu! Pozwól, że ci przypomnę! Kiedy po raz; ostatni przebywałeś wśród nas, obiecywałeś, że wezwiesz i ukażesz naszym śmiertelnym oczom ducha jakiegokolwiek zmarłego, mężczyzny czy kobiety, których wymieni ktoś z naszego grona. Czy chcesz i potrafisz dotrzymać dziś tego przyrzeczenia?

Elly wzdrygnęła się ponownie. Westchnęła i zwlekała z odpowiedzią. Powoli podniosła ku skroniom ręce własne i te, które ją trzymały w uścisku, i trwała przez chwilę w tej pozycji. Potem szepnęła tuż przy uchu Hansa Castorpa gorące „Tak!”

Podrażnienie ucha prądem powietrza sprawiło, że nasz przyjaciel poczuł ów rodzaj naskórkowego dreszczu, zwany popularnie „gęsią skórą”, którego istotę

wyjaśnił mu niegdyś radca. Nazywamy to dreszczem, aby wyraźnie odróżnić pierwiastek fizyczny od psychicznego — o przerażeniu bowiem nie mogło być mowy. Słyszając szept, myślał mniej więcej tak: „Ależ dziewczątku nie zbywa na odwadze!” — Równocześnie jednak doznał wzruszenia, a nawet wstrząsu, którym towarzyszyło zmieszanie na skutek złudnej zresztą okoliczności, że młode stworzenie, które trzyma za ręce, szepnęło mu do ucha „Tak”.

— Powiedział: Tak — zaraportował i zawstydził się.

— A więc dobrze, Holger! — mówił dr Krokowski. — Trzymamy cię za słowo. Ufamy wszyscy, że uczciwie spełnisz przyrzeczenie. Wymienimy ci zaraz imię tego ukochanego, którego chcielibyśmy widzieć. Koledzy — zwrócił się do całego towarzystwa — czy ktoś ma jakieś życzenie w pogotowiu? Kogo ma nam ukazać nasz przyjaciel Holger?

Zapadło milczenie. Każdy czekał, by się ktoś inny odezwał. W ciągu ostatnich dni ten i ów zastanawiał się, kogo pragnąłby wywołać, ale powrót umarłych, a raczej to, czy powrót ten jest pożądany, jest sprawą złożoną i drażliwą. W gruncie rzeczy i szczerze mówiąc, pragnienie ich powrotu jest złudą, jest omyłką; jest, patrząc na to trzeźwo, równie niemożliwe, jak sam powrót, a wyszłoby to na jaw, gdyby natura chciała to niepodobieństwo powrotu choć na jeden raz odwołać; to zaś, co nazywamy żałobą, jest może nie tyle bólem z powodu niemożliwości zmarłych wstania, ile z powodu niemożności pragnienia ich powrotu.

Czuli to wszyscy niejasno; lękali się więc widoku tego, o kim myśleli, choć nie chodziło tu przecież o rzeczywisty i mający praktyczne znaczenie powrót do życia, lecz tylko o sentymentalne, teatralne przedstawienie, podczas którego można by zobaczyć zmarłego bez dalszych życiowych konsekwencji. Każdy byłby wolał odstąpić bliźniemu prawo wyrażania życzeń. Wahał się również Hans Castorp, choć słyszał owo pocziwe i wyrozumiałe „Ależ proszę!” dochodzące go z nocy, i skłonny był w ostatniej chwili ustąpić pierwszeństwa komuś innemu. Trwało to jednak zbyt długo, rzekł więc przytłumionym głosem, zwracając głowę; do przewodniczącego zebrania:

— Chciałbym zobaczyć mojego zmarłego kuzyna, Joachima Ziemssena.

Wszyscy odczuli ulgę. Zmarłego nie znali spośród obecnych tylko dr Ting-Fu, Czech Waclaw i samo medium. Inni — Ferge, Wehsal, pan Albin, prokurator, pan i pani Magnus, panie: Stöhr, Levi i Kleefeld, Wyrazili swą zgodę głośno i z radością. Nawet dr Krokowski skinął z zadowoleniem, choć jego stosunek do Joachima był zawsze chłodny, bo ten odnosił się niechętnie do spraw analizy.

— Bardzo dobrze — rzekł lekarz. — Słyszałeś, Holger? Tego, który został

wymieniony, nie znałeś za życia. Czy rozpoznasz go na tamtym świecie i zechcesz go nam tu sprowadzić?

Napięcie osiągnęło swój szczyt. Uspiona chwiała się, wzdychała i drżała. Zdało się, że szuka i walczy, kiedy, przechylając się to w przód, to znów ku tyłowi, szeptała do ucha Hansowi Castorpowi, to znów pannie Kleefeld jakieś niezrozumiałe wyrazy. Wreszcie Hans Castorp odczuł uścisk obu dłoni, który miał znaczyć „Tak”. Zameldował o tym i — Doskonale — zawołał dr Krokowski — Holger, do pracy! Muzyka! — wołał. — Rozmowa! — I powtórzył raz jeszcze, że nie należy trzymać się kurczowo myśli o tym, czego się oczekuje, bo swobodna i niewymuszona uwaga jest w tym wypadku najkorzystniejsza.

Teraz nastąpiły najdziwniejsze godziny, jakie dotąd przeżył nasz młody bohater; i choć niezupełnie jesteśmy pewni, jakie w przyszłości będą jego losy, choć stracimy go z oczu w pewnym punkcie opowieści, to jednak skłonni jesteśmy przypuszczać, że godziny te były w ogóle najdziwniejsze ze wszystkich, które kiedykolwiek przeżył.

Były to dwie godziny, przeszło dwie — mówimy to od razu — wliczając krótką przerwę w „pracy” Holgera, a raczej małej Elly. Praca dłużyła się tak strasznie, że wszyscy zaczęli już wątpić, czy da jakiegokolwiek wyniki, a ponadto chcieli ją przerwać z samej już tylko litości; było to bowiem zadanie niezwykle ciężkie i przekraczało wątłe siły medium, na którego barki je włożono. My, mężczyźni, o ile nie wyłamujemy się ze spraw ludzkich, znamy z pewnych sytuacji życiowych owo nieznośne współczucie, które nikomu nie przynosi korzyści, a może jest nawet całkiem niewłaściwe, owo buntownicze „dość”, wrywające się z naszej piersi, choć to „coś”, co się dzieje, ustać nie chce ani nie powinno i tak czy inaczej musi być doprowadzone do końca. Mamy tu — rzecz jasna — na myśli naszą sytuację jako męża i ojca, mówimy o akcie rodzenia; zmaganie się Elly było rzeczywiście tak niedwuznacznie i niewątpliwie doń podobne, że zauważyć to musiał nawet ktoś, kto go jeszcze wcale nie znał, jak na przykład Hans Castorp. Zapoznawał się i on teraz z tym aktem, pełnym organicznej mistyki, ponieważ i on nie wyłamывał się ze spraw życia. Ale w jakiejż formie! W jakim celu! I w jakich okolicznościach! Okoliczności tych i szczegółów podochoconej, czerwono oświetlonej izby położniczej nie można było nazwać inaczej, jak tylko skandalicznymi; sprawiała to dziewczyna osoba położnicy w powłóczystym szlafroku i z nagimi ramionami, a także inne warunki, w których się akt ten odbywał, jak nieustająca ochocza muzyka gramofonowa, jak sztucznie na rozkaz podtrzymywana rozmowa półkola gości i nawoływania, za pomocą których usiłowano dodać sił walczącej. „Halo! Holger! Odwagi!

Jeszcze trochę! Nie ustawaj! Holger, czekamy!” W tym wszystkim wyjątku nie stanowiła osoba i pozycja „małżonka” — jeśli za „małżonka” uważać tu Hansa Castorpa, jako tego, który wystąpił był z inicjatywą — małżonka, który ścisnął kolanami kolana „matki” i w rękach trzymał jej ręce; rączki te były równie wilgotne jak niegdyś małej Leili — musiał je wciąż chwytać na nowo, aby mu się nie wysłiznęły.

Kominek gazowy za plecami siedzących buchał bowiem żarem.

Mistyczny i uroczysty nastrój? Ależ nie, raczej hałaśliwe i niesmaczne było to, co się działo w czerwonej ciemności, do której oczy niebawem o tyle przywykły, iż orientowały się w zalegającym pokój mroku. Muzyka i nawoływania przypominały metody propagandowe Armii Zbawienia, porównanie z nimi narzucało się nawet komuś, kto jak Hans Castorp nigdy jeszcze nie był świadkiem religijnych obchodów tych wesołych fanatyków. Scena, choć mistyczna i tajemnicza, pobudzająca wierzącego do pobożności, nie miała jednak w sobie nic widmowego, przeciwnie, robiła wrażenie czegoś naturalnego i organicznego, a dzięki jakiemu to bliskiemu i intymnemu wewnętrznemu podobieństwu — o tym była już mowa. Wysiłki Elly powtarzały się jak powracające bóle; w przerwach zwisała bezwładnie z krzesła, niedostępna dla podnieć zewnętrznych; temu jej stanowi dr Krokowski nadał miano „głębokiego transu”. Potem zrywała się znów z jękiem, rzucała się niespokojnie, wyrывała z rąk tych, którzy jej pilnowali; szeptała im do ucha słowa gorące i bez związku, zdawało się, że gwałtownymi ruchami chce coś z siebie wyrzucić, zgrzytała zębami, a nawet ugryzła w rękaw Hansa Castorpa.

Trwało to dłużej niż godzinę. Potem kierownik seansu uznał, że leży w interesie wszystkich, aby zarządzić przerwę. Czech Waclaw, który dla odmiany zatrzymał był od pewnego czasu gramofon i bardzo umiejętnie wydobywał to głuche, to dźwięczne tony ze swej gitary, odłożył teraz na bok instrument. Z westchnieniem ulgi przerwano łańcuch rąk. Dr Krokowski podszedł do ściany, by załączyć górną lampę. Białe światło zabłysło tak oślepiająco, że wszyscy przymknęli przyzwyczajone do mroku oczy. Elly spała, pochylona mocno ku przodowi, z twarzą nieledwie na kolanach. Wykonywała dziwne ruchy, którym Hans Castorp przyglądał się z uwagą i zdziwieniem, choć inni byli widocznie z nimi oswojeni: Przez kilka minut przesuwiała dłonie tam i z powrotem wzdłuż bioder — wyciągała ręce i znowu je ku sobie przyciągała, jakby czerpiąc coś i zgarniając. Potem wzdrygnąwszy się kilkakroć ocknęła się, zamrugnęła nieprzytomnymi ze snu oczami i uśmiechnęła się.

Uśmiechnęła się — kokieteryjnie i trochę tajemniczo. Nie było naprawdę powodów roztkliwiać się nad jej wysiłkiem. Nie wyglądała na szczególnie znużoną.

Może nie pamiętała o niczym. Siedziała teraz w fotelu, na którym doktor sadzał pacjentów, w tyle za stojącym pod oknem biurkiem, przed parawanem zakrywającym szezlong, ustawiła fotel w ten sposób, że mogła oprzeć się ramieniem o biurko, i spoglądała na pokój. Siedziała tak, nie mówiąc słowa, podczas całej piętnastominutowej przerwy, a tymczasem inni patrzyli na nią ze wzruszeniem i ruchami głowy dodawali jej otuchy.

Była to prawdziwa pauza — spędzona w nastroju odprężenia i satysfakcji z powodu dokonanej już pracy. Panowie wyciągnęli papierośnice. Palono beztrąsko papierosy i skupiwszy się w grupy omawiano wyniki seansu. Bynajmniej nie tracono co do nich nadziei i nie sądzono, aby do końca miały być negatywne. Nie brak było poszlak wskazujących, że zwątpienie byłoby całkowicie nieuzasadnione. Ci, którzy zajmowali miejsca na drugim końcu półkola, obok doktora, zgodnie oświadczyli, że kilkakrotnie czuli wyraźnie chłodny powiew, który zawsze płynie od medium, gdy ma nastąpić materializacja. Innym zdawało się, że zaobserwowali zjawiska świetlne, białe plamy, krążące skupienia sił, które zjawiały się w różnych miejscach przed parawanem. Słowem, nie należy ustawać w wysiłkach! Nie wolno małodusznie wątpić! Holger dał słowo, i nikt nie ma prawa podejrzewać, że go nie dotrzyma.

Dr Krokowski dał znak do ponownego rozpoczęcia seansu. Sam odprowadził Elly na miejsce, usadowił na krześle tortur i pogłaskał jej włosy; tymczasem inni zajęli swoje miejsca. Wszystko odbywało się jak przedtem; Hans Castorp zaproponował wprawdzie, aby zwolniono go z obowiązków pierwszego kontrolera, ale kierownik seansu odrzucił tę propozycję. Oświadczył, iż zależy mu na tym, aby ten, kto wypowiedział życzenie, mógł uzyskać bezpośrednią zmysłową rękojmię, że wykluczona jest możliwość jakiegokolwiek oszustwa ze strony medium. Hans Castorp powrócił tedy do swojej dziwnej pozycji. Światło ustąpiło mrocznej czerwieni, zabrzmiały znów dźwięki muzyki. Po kilku minutach wystąpił u Elly nagły wstrząs, pompujące ruchy, tylko że teraz zameldował już o tym sam Hans Castorp. „Trans!” Skandaliczny poród rozpoczął się na nowo.

Jakże był ciężki! Zdawało się, że nie czyni żadnych postępów — bo i w jaki sposób byłoby to możliwe? Co za szaleństwo! Skąd tu macierzyństwo? Rozwiązanie — z czego i w jaki sposób? „Ratunku, ratunku!” jęczało dziecko, a bóle jej zmieniały się w owe bezpłodne a niebezpieczne przeciągłe skurcze, którym uczeni położnicy nadają miano „eklampsji”. Od czasu do czasu wołała na doktora, aby położył jej ręce na głowie. Robi to wśród usilnych perswazji. To jakby magnetyczne działanie dodawało jej sił do dalszej walki.

W ten sposób minęła następna godzina; w pokoju rozlegały się na przemian głu- che brzęki gitary i dźwięki lekkiego repertuaru gramofonowego; oczy, odwykłe od światła dziennego, powoli przystosowywały się znowu do czerwonego mroku. Wtem zdarzyło się coś, czego przyczyną był Hans Castorp. zaproponował miano- wicie coś, wyraził życzenie i myśl, którą już od dawna żywił, od samego początku seansu, i z którą powinien był właściwie wystąpić wcześniej. Elly znajdowała się właśnie w „głębokim transie”, z twarzą ukrytą w przytrzymywanych dłoniach, a pan Wacław miał zamiar zmienić płytę czy też obrócić ją na drugą stronę, gdy nasz przyjaciel z determinacją zabrał głos i powiedział, że chciałby coś zaproponować — coś niezbyt ważnego, co jednak może okazać się pożytecznym. Mianowicie posiada... to znaczy, zbiór należący do sanatorium zawiera pewną płytę, bardzo wzruszającą: Modlitwa Walentyna z „Fausta” Gounoda, baryton przy wtórze orkie- stry. Jest zdania, że należy spróbować, jakie będzie działanie tej płyty.

— A to dlaczego? — rozległo się z czerwonego mroku pytanie doktora...

— To sprawa nastroju, kwestia odczucia — odparł młodzieniec. Aria ta ma szczególnie i swoisty charakter. Trzeba by więc spróbować. Zdaniem jego jest nie- wykłuczone, że swoisty charakter arii skróci proces, o który tu chodzi.

— Czy płyta jest tutaj? — zapytał lekarz.

— Nie, jest na górze. Ale mogę ją przecież za chwilę przynieść.

— Co też panu na myśl przychodzi! — Krokowski odrzucił stanowczo propozy- cję. Jak to? Hans Castorp chciałby sobie pójść i wrócić, przynieść coś, a potem znów rozpocząć przerwana pracę? Widać, że brak mu doświadczenia. Nie, to jest zupełnie niemożliwe, wszystko byłoby na nic, trzeba by zaczynać od początku. Poza tym ścisłość naukowa nie zezwala na tego rodzaju wychodzenie i wchodzenie. Drzwi są zamknięte. On, Krokowski, ma w kieszeni klucz. Słowem, jeżeli płyty nie ma pod ręką, to musi się... Mówił jeszcze, gdy od gramofonu doleciały słowa Cze- cha:

— Płyta jest tutaj.

— Tutaj? — zapytał Hans Castorp...

— Tak, tutaj. „Faust”, modlitwa Walentyna. Proszę bardzo. Dostała się tu przy- padkiem, do albumu utworów lekkich, z drugiego zielonego albumu aryj, gdzie jest jej właściwe miejsce. Przypadkowo, w nadzwyczajny sposób, przez przeoczenie, niedbalstwo, ale na szczęście dostała się pomiędzy lekkie utwory i trzeba ją tylko nałożyć.

Co na to powiedział Hans Castorp? Nic. To doktor odparł „Tym lepiej” — a kil-

ka głosów powtórzyło jego słowa. Igła zaskrzypiała, wieko opadło. Pośród dźwięków chorałowego wtóru rozpoczął męski głos: „Gdy więc opuścić mi trzeba” —

Wszyscy słuchali w milczeniu. Przy pierwszych dźwiękach Elly podjęła swą pracę. Zrywała się, drżała, jęczała, pompowała śliskimi, wilgotnymi dłońmi i podnosiła je znowu do czoła. Płyta krążyła. Rozpoczęła się część środkowa o zmiennym rytmie, część mówiąca o walce i niebezpieczeństwie, zawadiacka, pobożna i francuska. Po niej nastąpiło zakończenie, orkiestra podjęła we wzmocnionej formie melodię początkową o potężnym brzmieniu: „O Boże, słysz me błaganie” —

Hans Castorp zajęty był przy Elly. Usiłowała się wyrwać, zaczerpnęła powietrza przez ściśnięte gardło, potem opadła z przeciągłym westchnieniem i pozostała bez ruchu. Pochylił się nad nią zaniepokojony, gdy wtem usłyszał piskliwy, jęczący okrzyk pani Stöhr:

— Ziems-sen!

Nie wyprostował się. Poczuł w ustach smak goryczy. Dosłyszał głos inny, niski i zimny:

— Widzę go już od dawna.

Płyta skończyła się, przebrzmiał ostatni akord dętych instrumentów. Ale nikt nie zatrzymał aparatu. Igła obiegała dalej płytę, szmer głuchego drapania rozlegał się w ciszy. Wtem Hans Castorp podniósł głowę i oczy jego pobiegły, nie szukając ani chwili, we właściwą stronę.

W pokoju było o jednego człowieka więcej. Tam, na uboczu, w tyle, gdzie reszta czerwonego światła niemal ginęła w ciemności, tak że wzrok przedzierał się z trudem przez mroki, pomiędzy biurkiem a parawanem, w zwróconym w stronę pokoju fotelu, w którym Elly odpoczywała podczas przerwy, siedział Joachim. Był to Joachim z ostatnich dni swego życia, z cieniami na zapadłych policzkach i wojenną brodą, pośród której rysowały się usta, pełne i dumne. Siedział oparty i założył nogę na nogę. Na wychudłym obliczu — choć padał na nie cień od okrycia głowy — znać było piętno cierpienia, ale także ów męski wyraz powagi i surowości, który je tak upiększał. Na czole, między oczami osadzonymi głęboko w oczodołach, utworzyły się dwie zmarszczki, ale to nie zmieniało w niczym łagodnego spojrzenia tych pięknych, dużych, ciemnych oczu, patrzących badawczo, z cichym i przyjaznym skupieniem na Hansa Castorpa, na niego jednego tylko. Pod okryciem głowy widoczne były odstające uszy, owo drobne zmartwienie wczesnej młodości, a samo okrycie było dziwne jakies i niezrozumiałe. Kuzyn Joachim nie był po cywilnemu; szablę oparł, jak się zdawało, o nogę założoną na nogę, ręce złożył na rękojęści; miało się wrażenie, że ma u pasa rewolwer. A jednak nie był to też właściwie mun-



dur. Nic w nim nie było świecącego ani kolorowego; była to kurtka z kołnierzem przypominającym bluzę wojskową dawnego typu i z bocznymi kieszeniami, a na niej krzyż, przypięty gdzieś dość nisko. Stopy Joachima wydawały się duże, a nogi bardzo cienkie; owinięte były ciasno na sposób sportowy raczej niż wojskowy. A okrycie głowy? Wyglądało tak, jak gdyby Joachim osłonił ją jakimś naczyniem polowym, garnkiem żelaznym, i umocował je pod brodą za pomocą rzemyka. Robiło ono wrażenie staroświeckie i wojownicze i, rzecz szczególna, było w nim Joachimowi do twarzy.

Hans Castorp czuł na dłoni oddech Ellen Brand. Obok niego dyszała panna Kleefeld. Poza tym nic nie było słychać, tylko nieustanne drapanie igły na krążącej płycie, której nikt nie zatrzymał. Nie oglądał się na swych towarzyszy, nie chciał ich widzieć. Pochylony naprzód, z głową spuszczoną nieledwie nad kolana, wpatrywał się przez czerwony mrok w przybysza siedzącego na fotelu. Przez chwilę zdawało mu się, że serce podchodzi mu do gardła. Dławiło go w gardle, cztery czy pięć razy wstrząsnęło nim głębokie, kurczowe łkanie. „Przebacz!” szeptał bezdźwięcznie, a potem oczy zaszyły mu mgłą, tak że nie widział już nic.

Słyszał szepty: „Niech pan do niego przemówi!” — Potem słyszał, jak uroczysty a pogodny baryton Krokowskiego wymienił jego nazwisko i powtórzył wezwanie. Nie posłuchał, cofnął swe ręce spod twarzy Elly i wstał.

Dr Krokowski raz jeszcze wywołał jego nazwisko; tym razem tonem ostrym i karcącym. Ale Hans Castorp kilkoma krokami podszedł do stopni przy drzwiach wejściowych i krótkim ruchem ręki włączył białe światło elektryczne.

Przez ciało Ellen Brand przeszedł gwałtowny wstrząs. Drgała teraz w ramionach panny Kleefeld. Fotel był pusty.

Hans Castorp ruszył ku Krokowskiemu, który zerwał się z krzesła i protestował. Podszedł tuż do niego, usiłował coś powiedzieć, ale ani jedno słowo nie wydostało się z jego ust. Wyciągnął rękę i wykonał szorstki, rozkazujący ruch głową. Otrzymawszy klucz, z wyrazem groźby w oczach, odwrócił się i wyszedł z pokoju.

## **Wielkie rozdrażnienie**

Kiedy tak mijały lata, w zakładzie poczęło się dziać coś dziwnego, powiał nowy duch, Hans Castorp podejrzewał, że pochodzi on bezpośrednio od demona, którego złowieszcze imię wymienialiśmy w innym miejscu; studiował jego przejawy z nie-

odpowiedzialną ciekawością intelektualnego komiwojażera, a nawet odnalazł w sobie zastraszające możliwości współdziałania w straszliwym kulcie, jakim jego otoczenie darzyło demona. Jednakże nie był stworzony na to, by dość wiernie służyć nowemu władcy, którego panowanie, podobnie jak i władcy poprzedniego, tkwiło już zresztą dawno w zarodku i tu i ówdzie się objawiało. Mimo to zauważył ze strachem, że ilekroć przestawał się pilnować, zaczynał w słowach, w wyrazie twarzy i w całym zachowaniu ulegać infekcji, od której nikt w jego otoczeniu nie był wolny.

Cóż to się działo? Co wisiało w powietrzu? — Kłótność. Rozdrażnienie dochodzące do punktu szczytowego. Nie wypowiedziana niecierpliwość. Ogólna skłonność do zjadliwych sprzeczek, wybuchów wściekłości, nawet do bijatyk. Co dnia zrywały się między jednostkami i całymi grupami zajadłe spory, obsypywano się nawzajem wyzwiskami, a najbardziej znamieny był fakt, że osoby nie zainteresowane, zamiast odczuwać wstręt do uczestników kłótni lub chęć pogodzenia poróżnionych stron, uczuciowo brały udział w zatargach i same dawały się porywać w wir ogólnego podniecenia. Ludzie bledli i drżeli na całym ciele. Oczy błyskały napastliwością, usta wykrzywiała namiętność. Tym, co w danym momencie brali czynny udział w zatargach, inni zazdrościli prawa i sposobności do krzyku. Duszę i ciało dręczyła chęć naśladowania ich i kto nie miał dość sił, by uciec i ukryć się w samotności, tego beznadziejnie wciągał wir wydarzeń. Mnożyły się wypadki niepotrzebnych konfliktów i wzajemnych oskarżeń przed władzami sanatoryjnymi, które usiływały łagodzić spory, ale same z przerażającą łatwością wpadały w ton hałaśliwy i grubiański. A kto w stanie znośnej równowagi psychicznej opuszczał zakład na parę godzin, nigdy nie wiedział, w jakim nastroju powróci. Pewna dość elegancka dama z prowincji, z Mińska, która siedziała przy lepszym stole rosyjskim, młoda jeszcze i lekko chora (miała się leczyć przez trzy miesiące, nie dłużej) — udała się raz do Uzdrowiska, by poczynić zakupy w francuskim magazynie konfekcyjnym. Tutaj pokłóciła się do tego stopnia ze sprzedawczynią, że, wróciwszy do domu w najwyższym zdenerwowaniu, dostała krwotoku i od tej chwili była chora nieuleczalnie. Wezwano jej męża i oświadczone mu, że żona będzie musiała na zawsze już pozostać tu w górze.

To jeden z przykładów. Z niechęcią wymienimy dalsze. Ten i ów zapewne przypomina sobie jeszcze ucznia czy też byłego ucznia, w okrągłych okularach, który siedział przy stole pani Salomon, młodego biedaka, który zwykł był potrawy krajać na talerzu na drobne kawałki i mieszał je z sobą, a potem pochylony, pochłaniał je, od czasu do czasu sięgając serwetką pod grube szkła okularów. Otóż ten uczeń, czy były uczeń, siedział tak przez cały czas, połykał, wycierał sobie oczy i dotąd zaled-

wie dawał powody do zajmowania się jego osobą. A teraz pewnego dnia podczas pierwszego śniadania wpadł nagle i niespodziewanie we wściekłość, która zaalarmowała wszystkich i zwróciła na niego uwagę zebranych na sali. Z miejsca, gdzie siedział, dolatywały głośnie krzyki: siedział tam, blady jak ściana, i wrzeszczał do biednej karlicy, która mu podała śniadanie: — To kłamstwo! — Głos przechodził w pisk. — Herbata jest zimna! Herbata, którą mi podano, jest zimna jak lód! Nie chcę jej! Niech pani sama skosztuje, zanim pani skłamię, czy to nie są zimne pomyje, których przyzwoity człowiek nie może przełknąć bez odrazy! To bezczelność podawać taką herbatę! Jak pani śmie przynosić mi herbatę zimną jak lód, jak pani mogło przyjść do głowy, że można mi podać taką letnią lurę i że ja ją wypiję?! Nie będę pić! Nie chcę tego! — krzyczał dalej i począł walić w stół obu pięściami, aż naczynie zaczęło dźwięczeć i skakać. — Chcę gorącej herbaty! Chcę wrzącej, to jest moje słuszne prawo! Nie chcę tej, chcę wrzącej, niech zginę na miejscu, jeżeli choćby jeden łyk — Przeklęta kaleko! — wrzasnął nagle, jakby zrywając ostatnie więzy i upajając się najskrajniejszą wolnością szaleństwa. Wygrażał przy tym Eme-rencji pięściami i odsłaniał zęby, dosłownie okryte pianą. Potem bił dalej pięścią w stół i tupał nogami, wyjąc swoje „Chcę” i „Nie chcę” — a w sali tymczasem działo się to, co zwykle w tego rodzaju wypadkach. Z gorącą sympatią wszyscy spoglądali w napięciu na szalejącego ucznia. Niektórzy zerwali się i patrzyli na niego z zaciśniętymi pięściami, zaciśniętymi wargami i płonącymi oczami. Inni siedzieli, bladzi, drżący, ze wzrokiem spuszczonego ku ziemi. Drżeli jeszcze, gdy uczeń, zupełnie wyczerpany, od dawna już siedział nad przyniesioną mu inną herbatą nie pijąc jej.

Cóż to było?

Członkiem społeczności „Berghofu” został od pewnego czasu pewien trzydziestoletni mężczyzna, niegdyś kupiec, od dawna gorączkujący, który od lat wędrował z jednego zakładu do drugiego. Był wrogiem Żydów, antysemitą ze względów zasadniczych i dla sportu, z radosnym zacierzeniem — ta nieustępliwa negacja stanowiła dumę i treść jego życia. Był niegdyś kupcem, przestał nim być, nie był w ogóle niczym, ale antysemitą pozostał. Był bardzo poważnie chory, dręczył go ciężki kaszel, a czasem miało się wrażenie, że kicha płucami, ostro, krótko, raz i niesamowicie. Nie był jednak Żydem i to było jego jedyną cechą pozytywną. Nazywał się Wiedemann, było to nazwisko chrześcijańskie, nie było nieczyste. Abonował czasopismo „Znicz Aryjski” i wygłaszał przemowy w rodzaju następującej:

— Przyjeżdżam do sanatorium X w miejscowości A... Chcę się właśnie zainsta-

lować w leżalni — patrzę — kto leży na leżaku po lewej stronie? Pan Hirsch! A kto na prawo? Pan Wolf! Naturalnie, wyjechałem natychmiast — itd.

„Dobrze ci tak!” myślał z niechęcią Hans Castorp.

Wiedemann rzucał dokoła krótkie, badawcze spojrzenia. Wyglądało to (dosłownie, nie w przenośni) tak, jakby mu przed nosem uwieszono na sznurku jakiś przedmiot, na który wciąż złośliwie zezem patrzył, nie widząc nic poza nim. Fałszywa myśl, która nim owładnęła, przekształciła się u niego w dokuczliwą podejrzliwość, w uporczywą manię prześladowczą, która skłaniała go do ciągłego wyszukiwania, demaskowania i piętnowania nieczystej rasy, ukrywającej się w jego otoczeniu. Gdziekolwiek się znalazł, robił docinki, rzucał podejrzenia, pienił się ze złości. Krótko mówiąc, egzystencję jego wypełniało stawianie pod pręgierzem wszystkich przejawów życia, nie mających tej zalety, która była jego jedyną zaletą.

Wewnętrzne okoliczności, które właśnie szkicujemy, niezmiernie spotęgowały chorobliwe nastawienie tego człowieka; a ponieważ i tu z konieczności natrafił na ludzi posiadających defekt, od jakiego on, Wiedemann, był wolny, przeto doszło pod wpływem tych okoliczności do ohydnej sceny, której Hans Castorp był naocznym świadkiem, a która posłuży nam za dalszy przykład omawianych nastrojów.

Wśród gości znajdował się mianowicie ktoś, kogo nie trzeba było nawet demaskować, wypadek bowiem był jasny. Człowiek ten nazywał się Sonnenschein, a że nie można nosić wstrętniejszego nazwiska, tedy osoba Sonnenscheina stała się od pierwszej chwili owym wiszącym przed nosem Wiedemanna przedmiotem, na który patrzył zezem, krótko i złośliwie i który uderzał ręką, nie po to, by go odepchnąć, lecz by go rozkołysać i rozdrażniać się jeszcze bardziej.

Sonnenschein, także z zawodu kupiec, był również poważnie chory i chorobliwie wrażliwy. Ten uprzejmy, niegłupi i z natury skłonny do żartów człowiek nawzajem nienawidził śmiertelnie Wiedemanna za jego docinki i zaczepki. Pewnego dnia wszyscy zbiegli się do leżalni, albowiem Wiedemann i Sonnenschein wodzili się tam za łby, owładnięci niesłychaną i zgoła zwierzęcą pasją.

Był to widok straszliwy i żaloszny. Tłukli się jak mali chłopcy, ale z zapamiętaniem ludzi dorosłych, którzy są zdecydowani na wszystko. Paznokciami orali sobie twarze, chwyтали się za nosy i gardła, okładając się na oślep pięściami, ciasno spleceni tarzali się ze straszliwą i najwyższą powagą po ziemi, opluwali się, deptali i kopali, szarpali się i z pianą na ustach nawzajem się grzmocili. Nadbiegli wreszcie urzędnicy z biura zakładu i z trudem rozdzielili rozjuszonych i zajadłych przeciwników. Ociekającemu śliną i krwią Wiedemannowi, na którego twarzy malowało się ogłupienie, włosy stanęły dęba na głowie. Hans Castorp nie widział jeszcze nigdy

tego zjawiska i nie wierzył w jego możliwość. Włosy zjeżyły się panu Wiedemannowi na głowie i stały tak jeszcze, sztywne i proste, kiedy wybiegał z sali, podczas gdy Sonnenschein, z zapuchniętym okiem i krwawą luką w wieńcu czarnych, kędzierzawych włosów otaczających jego czaszkę, odprowadzony został do biura i opadł tam na krzesło, płacząc gorzko, z twarzą ukrytą w dłoniach.

Tak miała się rzecz z Wiedemannem i Sonnenscheinem. Świadkowie tej sceny długo nie mogli się uspokoić. W porównaniu z tą ohydą względnie przyjemne będzie dla nas sprawozdanie z prawdziwej sprawy honorowej, która przypada również na ten okres, a która ze względu na swą uroczystą formalistykę zasługiwała na miano honorowej. Hans Castorp nie był naocznym świadkiem poszczególnych jej faz, lecz dowiedział się o zawiązanym, dramatycznym jej przebiegu z dokumentów, oświadczeń i protokołów, odnoszących się do sprawy, a rozpowszechnianych w odpisach w zakładzie i poza nim, i to nie tylko w mieście, kantonie i kraju, ale za granicą i nawet w Ameryce, a nadsyłanych do wglądu także osobom, co do których było pewne, że się sprawą tą zupełnie nie mogą i nie chcą interesować.

Był to honorowy zatarg powstały w łonie niewielkiej grupy polskiej, której członkowie spotkali się niedawno w „Berghofie” przy lepszym stole rosyjskim — (dodamy tu, że Hans Castorp nie siedział już przy nim, ale miał swe miejsce kolejno przy stole panny Kleefeld, potem pani Salomon, a w końcu panny Levi). Towarzystwo to odznaczało się taką elegancją i takim polorem rycerskości, że można było tylko pokiwać głową i być przygotowanym na wszystko. Składało się z pary małżeńskiej, młodej panny pozostającej w bliskich stosunkach z jednym z panów, a poza tym z samych młodych ludzi. Nazywali się oni: Żuławski, Cieszyński, Rosiński, Michał Łodygowski, Leon Asarapetian i tak dalej. Otóż pewnego razu niejaki pan Japołł wyraził się w restauracji zakładowej przy szampanie, wobec dwu innych panów, w sposób nie nadający się do powtórzenia o małżonce pana Żuławskiego oraz o pannie Kryłow, zaprzyjaźnionej z panem Łodygowskim. Wynikły z tego kroki, działania i formalności stanowiące treść pism, które rozdawano i rozsyłano. Hans Castorp czytał tłumaczone z oryginału polskiego oświadczenie:

„Dnia 27 marca 19.. zwrócił się pan Stanisław Żuławski z prośbą do panów dra Antoniego Cieszyńskiego i Stefana Rosińskiego, aby udali się w jego imieniu do pana Kazimierza Japołła i na drodze zgodnej z kodeksem honorowym zażądali od niego satysfakcji za ciężką obrazę i oszczerstwo rzucone przez pana Kazimierza Japołła w rozmowie z panami Januszem Teofilem Lenartem i Leonem Asarapetianem, na małżonkę pana Żuławskiego, panią Jadwigę Żuławską.

Pan Żuławski dowiedziałwszy się przed paroma dniami za pośrednictwem osób

trzecich o wyżej wspomnianej rozmowie, która się odbyła z końcem listopada, poczynił natychmiast odpowiednie kroki, celem upewnienia się co do prawdziwego stanu rzeczy i istoty doznanej obrazy. Dnia wczorajszego, tj. 27 marca 19.., stwierdzono oszczerstwo i obrazę na podstawie słów pana Leona Asarapetiana, bezpośredniego świadka wymienionej rozmowy, w której przebiegu padły obraźliwe słowa i insynuacje. Na skutek tego zwrócił się pan Stanisław Żuławski niezwłocznie do podpisanych i złożył w ich ręce pełnomocnictwa do wszczęcia sprawy honorowej przeciw panu Kazimierzowi Japołłowi.

Podpisani składają następujące oświadczenie:

1. Na podstawie jednostronnego protokołu spisane go 9 kwietnia 19.. we Lwowie przez panów Zdzisława Żygulskiego i Tadeusza Kadyja, zastępców pana Władysława Godulecznego w sprawie honorowej przeciw panu Kazimierzowi Japołłowi — oraz na podstawie wyroku sądu honorowego wydanego w tejże sprawie we Lwowie, dnia 18 czerwca r. 19.., które to akty orzekają zgodnie, że pan Kazimierz Japołł nie może być uważany za dżentelmena, a to na skutek wielokrotnych jego postępów nie dających się pogodzić z pojęciem honoru —

2. podpisani wyciągają wynikające stąd konsekwencje w całej pełni: stwierdzają, że p. Kazimierz Japołł jest absolutnie niezdolny do udzielenia jakiegokolwiek satysfakcji na drodze honorowej.

3. Uważają, że niedopuszczalną jest rzeczą, by przeciw osobie honorowo zdyskwalifikowanej prowadzili sprawę honorową lub w niej pośredniczyli.

W związku z powyższym stanem rzeczy zwracają podpisani uwagę panu Stanisławowi Żuławskiemu, że dochodzenie praw na panu Kazimierzem Japołłem w drodze honorowej jest bezcelowe, i radzą mu zwrócić się na drogę prawną, aby uniknąć dalszej ujmy na honorze ze strony osoby, która jest w tym stopniu niezdolna do udzielenia satysfakcji jak pan Kazimierz Japołł. — (Data i podpisy) Dr Antoni Cieszyński, Stefan Rosiński.”

Hans Castorp czytał dalej:

„Protokół

świadków zajścia między panem Stanisławem Żuławskim i panem Michałem Łodygowskim

a panami Kazimierzem Japołłem i Januszem Teofilem Lenartem — które miało miejsce w barze Kurhauzu w D. dnia 2 kwietnia 19.. między godziną 7½ a 7¾ wieczorem.

Na podstawie złożonego dnia 28 marca 19.. oświadczenia swych pełnomocni-

ków, panów dra Antoniego Cieszyńskiego i Stefana Rosińskiego, w sprawie pana Kazimierza Japoła, doszedł pan Stanisław Żuławski po dojrzałej rozwadze do przekonania, że poleczone mu zwrócenie się na drogę prawną z powodu «obrazy i oszczerstwa» rzuconego na jego małżonkę, Jadwigę, przez pana Kazimierza Japoła nie może mu dać zadośćuczynienia, a to z następujących powodów:

1. Istnieje uzasadniona obawa, iż pan Kazimierz Japoł nie stanąłby w oznaczonym terminie przed sądem, a dalsze pociąganie go do odpowiedzialności byłoby utrudnione, a nawet wręcz uniemożliwione na skutek okoliczności, że jest on poddanym austriackim.

2. Kara sądowa, wymierzona panu Kazimierzowi Japolle, nie jest dostatecznym zadośćuczynieniem za obrazę, za pomocą której pan Kazimierz Japoł usiłował w oszczerczy sposób okryć hańbą nazwisko i dom pana Stanisława Żuławskiego i żony jego Jadwigi.

Pan Stanisław Żuławski wybrał tedy drogę najkrótszą, najskuteczniejszą i, zdaniem jego, zważywszy okoliczności i warunki, najodpowiedniejszą. Dowiedziawszy się za pośrednictwem osób trzecich, że pan Kazimierz Japoł ma zamiar nazajutrz wyjechać, parokrotnie spoliczkował pana Kazimierza Japoła w barze tutejszego Kurhauzu dnia 2 kwietnia 19.. między godziną 7½ a 7¾ wieczór, w obecności swej małżonki, Jadwigi, oraz panów Michała Łodygowskiego i Ignacego Mellina, podczas gdy pan Japoł raczył się przy stoliku napojami wysokowymi w towarzystwie pana Janusza Teofila Lenarta i dwu nie znanych bliżej dam z «American Bar».

Bezpośrednio potem pan Michał Łodygowski spoliczkował pana Kazimierza Japoła podając jako przyczynę swego postępowania obrazę, której dopuścił się pan Japoł wobec niego samego i wobec panny Kryłow.

Niezwłocznie potem pan Michał Łodygowski spoliczkował pana Janusza Teofila Lenarta za skwalifikować się nie dającą krzywdę wyrządzoną państwu Żuławskim, a wreszcie

pan Stanisław Żuławski bezzwłocznie spoliczkował też wielokrotnie pana Janusza Teofila Lenarta za oszczercze zniesławienie jego małżonki oraz panny Kryłow.

Panowie Kazimierz Japoł i Janusz Teofil Lenart zachowali się podczas całego zajścia zupełnie biernie. (Data i podpisy:) Michał Łodygowski, Ignacy Mellin.”

Wewnętrzna sytuacja Hansa Castorpa nie pozwoliła mu wobec tego krzyżowego ognia oficjalnych policzków wybuchnąć śmiechem, jakby to w innym wypadku niewątpliwie uczynił. Zadrzał przeczytawszy to wszystko; nienaganne stosowanie przepisów kodeksu przez jedną stronę a tchórzliwy i hultajski brak honoru drugiej,

rzucające się w oczy przy lekturze dokumentów, poruszyły go do głębi swym trochę niezyciowym, ale efektownym kontrastem. Podobnie miała się rzecz z innymi. W najszerszych kołach studiowano zapamiętane akta polskiej sprawy honorowej i sprzeczano się o nią namiętnie, z zaciśniętymi zębami. Otrzeźwiająco podziałała ulotka, wydana z kolei przez pana Kazimierza Japoła; stwierdzał w niej, że pan Żuławski był od początku poinformowany, iż on, Japoł, został w swoim czasie we Lwowie przez jakiegoś nadętego chłystka uznany za zdyskwalifikowanego honorowo, a zatem wszystkie owe natychmiastowe i bezzwłoczne kroki były ze strony pana Żuławskiego podłą komedią, ponieważ wiedział z góry, że nie będzie się musiał z nim bić. A ze skargi sądowej zrezygnował pan Żuławski jedynie i wyłącznie z tego powodu, że każdy, i on sam również, wie o tym dobrze, iż małżonka jego, Jadwiga, zaopatrzyła go w całą kolekcję rogów, na co mógłby podpisany z łatwością przeprowadzić dowód prawdy; także pannie Kryłow roztrząsanie przed sądem jej prowadzenia się nie przyniosłoby zaszczytu. Poza tym dyskwalifikacji honorowej dowiedziono tylko jemu, Japołowi, ale nie drugiemu rozmówcy, panu Lenartowi; pan Żuławski jednak ukrył się pod płaszczkiem pierwszej, aby nie narażać się na niebezpieczeństwo. Rolę, jaką w całej sprawie odegrał pan Asarapetian, pominie milczeniem. W związku zaś z incydentem w barze, oświadcza Japoł, że jego ostry język i dowcip nie idą w parze z siłą fizyczną i pan Żuławski wraz ze swymi przyjaciółmi i nadzwyczaj silną Żuławską miał olbrzymią przewagę fizyczną, tym bardziej że damulki znajdujące się w towarzystwie jego i Lenarta były wprawdzie istotami wesołymi, ale bardzo tchórzliwymi. Chcąc tedy uniknąć bezmyślnej bijatyki i publicznego skandalu, skłonił sam chcącego się bronić Lenarta, by zachował spokój i cierpliwie zniósł owe rękoczyn panów Żuławskiego i Łodygowskiego, które nie były dotkliwe i przez obecnych tłumaczone były jako przyjacielskie przekomarzenie się.

Tyle Japoł, w którego obronie niewiele oczywiście można było powiedzieć. Jego zastrzeżenia mogły tylko powierzchownie zakłócić piękny kontrast między honorem a bezceństwem, jaki wyłaniał się z oświadczeń przeciwników, tym bardziej że do rozpowszechniania jego ulotki brakło mu należytej techniki powielania, którą rozporządzała partia Żuławskiego. Zaledwie kilka odbitek maszynowych swojej repliki zdołał rozprowadzić między ludzi. Natomiast owe protokoły znalazły się, jak było powiedziane, w rękach wszystkich, nawet tych, co sprawą zupełnie nie byli zainteresowani. Otrzymali je np. również Settembrini i Naphta; Hans Castorp widział, jak je czytali, i nie uszło jego uwagi, że czytali z miną zaciętą i z wielkim przejęciem. Spodziewał się, że przynajmniej od pana Settembriniego usłyszy słowa wesołego szyderstwa, na które sam nie mógł się zdobyć ze względu na panujące



okoliczności wewnętrzne. Ale widocznie świątły duch wolnomularza uległ również powszechnej, obserwowanej przez Hansa Castorpa infekcji, która odebrała mu zdolność do śmiechu i uczyniła go wielce podatnym na podniecające działanie afery policzkowej. Poza tym tego człowieka pełnego życia przygnębiały stałe postępy jego choroby, z chwilowymi tylko złudnymi zmianami na lepsze; w tym czasie musiał się co parę dni kłaść do łóżka; przeklinał stan swego zdrowia i wstydził się go z zawziętą pogardą dla siebie samego.

Nie lepiej działało się jego sąsiadowi i przeciwnikowi. I w jego organizmie czyniła postępy choroba, która była fizyczną przyczyną czy raczej pretekstem przedwczesnego zakończenia kariery zakonnej, a której nie zdołały powstrzymać w rozwoju pobyt w górach ani rozrzedzone powietrze, w jakim tu przebywano. I on bywał często przykuty do łóżka; głos jego jeszcze bardziej przypominał dźwięk pękniętego talerza, a przy podniesionej temperaturze mówił jeszcze więcej niż dawniej i słowa jego kryły w sobie jeszcze ostrzejsze i bardziej gryzące szyderstwo. Obca mu była z idealistycznych pobudek płynąca oporna postawa Settembriniego wobec choroby i śmierci i dręcząca świadomość, że pobudki te muszą ulec wobec przemocy nikczemnej natury; toteż przyjmował pogarszanie się zdrowia nie ze smutkiem i żalem, lecz z bezprzykładną szyderczą wesołością i zaczepnością, i z żądzą podawania wszystkiego w wątpliwość, zaprzeczania wszystkiemu, mącenia wszystkiego; wyprowadzało to z równowagi melancholijnie nastrojonego Włocha i z dnia na dzień zaostrzało ich intelektualne spory. Hans Castorp mógł naturalnie o tych tylko coś powiedzieć, których był świadkiem. Miał wszakże prawie pewność, że nie opuścił żadnego, bo do wywołania istotniejszych dysput potrzebna była jego obecność, jako tego, który był przedmiotem wychowawczych zabiegów obu przeciwników. Chociaż więc nie oszczędzał Settembriniemu tej przykrości, że uważa złośliwości Naphty za godne usłyszenia, to jednak musiał przyznać, że przechodzą one czasem wszelką miarę i niejednokrotnie granicę zdrowego rozsądku.

Naphta był człowiekiem chorym, który nie miał sił czy dobrej woli okazania się wyższym ponad chorobę, lecz stawiał cały świat pod jej znakiem. Na złość panu Settembriniemu, który wolałby, żeby wychowanek tego nie słuchał, lecz wyszedł z pokoju lub zatkał sobie uszy, dowodził, że materia jest zbyt lichym tworzywem, aby duch mógł się w niej urzeczywistnić. Kto zmierza do tego, jest głupcem. Jakie są tego wyniki? Brednie! Tak zachwalana rewolucja francuska wydała w praktyce kapitalistyczne państwo burżuazyjne — ładny to wynik! A chce się go poprawić w ten sposób, że się tę ohydę upowszechnia. Powszechna republika będzie z pewnością szczęściem! Postęp? Ach, taki sam jak w znanej opowieści o chorym, który przewraca się z boku na bok w nadziei, że mu będzie lepiej. Wyrazem tego jest pra-

gnienie wojny, do którego nikt się nie przyznaje, ale które wszyscy żywią w tajemnicy. Wojna przyjdzie — i dobrze, że przyjdzie, choć mieć będzie inne skutki, niż spodziewają się ci, co do niej prą. Naphta pogardzał mieszczańskim państwem, dbającym tylko o bezpieczeństwo. Miał okazję mówić o nim, gdy jesienią podczas przechadzki w Uzdrowisku deszcz zaczął padać, a wszyscy przechodnie otworzyli jak na komendę parasole. Było to dlań symbolem tchórzostwa i ordynarnej zniewieściałości, które są owocem cywilizacji. Atawistycznie wprowadzie, lecz orzeźwiająco działają wypadki i przestrogi takie, jak zatonięcie parowca „Titanic”. Ale potem wszystko kończy się na krzyku o zwiększenie bezpieczeństwa komunikacji. I w ogóle zawsze najwyższe oburzenie, ilekroć coś zagraża „bezpieczeństwu”. Jest to godne pożałowania i swym humanitarnym niedołęstwem doskonale harmonizuje z drapieżną żarłocznością i podłością ekonomicznego pola walki, jakim jest państwo burżuazyjne. Wojna! Wojna! Godzi się na nią, a powszechne jej pragnienie wydaje mu się czymś stosunkowo godnym szacunku.

Ilekroć jednak Settembrini wprowadzał do rozmowy wyraz „sprawiedliwość” i zalecał tę szczytną zasadę jako środek zapobiegawczy przeciw katastrofom polityki wewnętrznej i międzynarodowej, okazywało się, że Naphta, który przed chwilą tak wysoko ducha cenił, iż uważał go za zbyt doskonały, aby mógł i miał ucieleśnić się w materii tu na ziemi, usiłował teraz nawet ten duchowy pierwiastek poniżyć i podać w wątpliwość. Sprawiedliwość! Czyż pojęcie to zasługiwało na uwielbienie? Czyż było pojęciem boskim? pojęciem najwyższej kategorii? niesprawiedliwy jest i Bóg, i natura, mają swych faworytów, nierówno rozdając łaski, jednych w niebezpieczny sposób wyróżniają, a innym gotują łatwy, pospolity los. A człowiek obdarzony, woła? Dla niego sprawiedliwość jest obezwładniającą słabością, największym zwątpieniem — z drugiej strony fanfarą, dającą hasło do nie budzących obawy czynów. A skoro tę „sprawiedliwość” człowiek musi wciąż korygować przez tamtą „sprawiedliwość”, aby nie wykoleić się z drogi etyki — to gdzież jest wartość bezwzględna i radykalizm tego pojęcia? Zresztą jest się „sprawiedliwym” z jednego punktu widzenia a l b o z drugiego. Wszystko inne jest liberalizmem, któremu nikt nie da się dzisiaj wziąć na lep. Sprawiedliwość jest oczywiście tylko wyrazem, pustą łupiną mieszczańskiej retoryki, a do działania potrzebna jest przede wszystkim świadomość, którą sprawiedliwość ma się na myśli: tę, która każdemu oddaje, co mu się należy, czy też tę, która wszystkich chce równo obdzielić.

Wzięliśmy z niezliczonej ilości pierwszy z brzegu przykład tego, jak Naphta usiłował zburzyć wszystko, co oparte na rozsądku. Gorzej jeszcze było, gdy rozmowa schodziła na wiedzę — w którą nie wierzył. Mówił, że w nią nie wierzy, bo wiara lub niewiara w tej dziedzinie zależy jedynie od woli człowieka. Wiedza jest wiarą,

taką samą jak każda inna wiara, a tylko gorszą i głupszą; sam termin „wiedza” jest wyrazem najgłępszego realizmu, który nie wstydzi się brać i podawać za dobrą monetę wątpliwych odbić przedmiotów w umyśle ludzkim. W ten sposób powstaje najbardziej bezmyślny i beznadziejny ze wszystkich dogmatyzmów, jakimi kiedykolwiek obdarzono ludzkość. Czy pojęcie świata zmysłowego, który istnieje sam przez się, nie stanowi najśmieszniejszej sprzeczności wewnętrznej? A tymczasem dogmatyczne przyrodoznawstwo współczesne opiera się jedynie i wyłącznie na metafizycznym założeniu, że formy poznania, właściwe naszej duchowej organizacji, jak przestrzeń, czas, przyczynowość, w których rozgrywają się zjawiska, posiadają byt niezależny od naszej funkcji poznawczej. Monizm ten jest najbardziej otwartym bezwstydem, jakim kiedykolwiek poczęstowano ducha. Przestrzeń, czas i przyczynowość, czyli w języku monistów: rozwój — oto podstawowy dogmat wolnomyślicielsko-ateistycznej pseudoreligii, za pomocą której chce się obalić Mojżeszową „Księgę Rodzajów” i rzekomo ogłupiającej bajce przeciwstawić rzekome światło wiedzy. Zupełnie tak, jak gdyby Haeckel był obecny przy stworzeniu świata. Doświadczenie! A eter — czy na pewno istnieje we wszechświecie? A istnienie atomu, tego miłego żartu na temat „najmniejszych, niepodzielnych cząstek”, czy jest dowiedzione? Nauka o nieskończoności przestrzeni i czasu czy aby opiera się naprawdę na doświadczeniu? Przy odrobinie logiki dojść można zaiste do śmiesznych doświadczeń i wyników z dogmatem nieskończoności i realności przestrzeni i czasu, mianowicie: do nicości. Do przekonania, że realizm jest w gruncie rzeczy nihilizmem. Dlaczego? Z tej prostej przyczyny, że stosunek jakiegokolwiek wielkości do nieskończoności jest równy zero. W nieskończoności nie ma wielkości, a w wieczności nie ma ani trwania, ani zmiany. W nieskończoności przestrzennej, w której każda odległość jest matematycznie równa zero, nie mogą istnieć nawet dwa obok siebie leżące punkty, a tym bardziej ciała; i tym bardziej nie może być w niej mowy o ruchu. On, Naphta, stwierdza to, aby odeprzeć zuchwałość, z jaką materialistyczna nauka podaje jako poznanie absolutne swoje astronomiczne bzdurstwa i swą pustą gadaninę o „wszechświecie”. Pożałowania godna jest ludzkość, jeśli wystarczyło pyszałkowane nagromadzenie bezwartościowych liczb, aby w niej wywołać poczucie własnej nicości i odebrać człowiekowi górne przekonanie o własnym znaczeniu. Można to jeszcze znieść, póki rozsądek ludzki i poznanie trzyma się rzeczy ziemskich i w tych granicach swoim przeżyciom z subiektywnymi obiektami przypisuje realność. Ale z chwilą gdy sięga dalej, do odwiecznej zagadki, gdy uprawia tak zwaną kosmologię czy kosmogonię — żart się kończy, a uroszczenia dochodzą do szczytu potworności. Jakimże w gruncie rzeczy występny nonsensem jest obliczanie „oddalenia” jakiejś gwiazdy od Ziemi w trylionach kilome-

trów albo w latach świetlnych i wmawianie w siebie, że za pomocą tych przechwałek liczbowych wyjaśnia się duchowi ludzkiemu istotę nieskończoności i wieczności. Przecież nieskończoność nie ma w ogóle i bezwzględnie nic wspólnego z wielkością, a wieczność — z trwaniem i odległością w czasie. Nie są one bynajmniej pojęciami przyrodniczymi i raczej stanowią wręcz zaprzeczenie wszystkiego, co nazywamy przyrodą! Doprawdy, woli sto razy naiwność dziecka, które wierzy, że gwiazdy są otworami w sklepieniu niebieskim, przez które błyszczy wieczna jasność, aniżeli pustą, bezsensowną i zarozumiałą gadaninę monastycznej nauki, rozprawiającej o „wszechświecie”.

Settembrini zapytał, czy on sam żywi również ową naiwną wiarę w sprawie gwiazd. Odparł na to, że zastrzega sobie prawo do pokory i wolności, prawo, jakie mu daje sceptycyzm. Stąd łatwo było raz jeszcze się przekonać, co rozumie przez wolność i do czego takie jej pojęcie może prowadzić. Gdybyż przy tym pan Settembrini nie miał powodu do obaw, że Hans Castorp uzna to wszystko za godne usłyszenia!

Złośliwy Naphta czyhał tylko na sposobność, aby podchwycić słabe strony ujarzmiającego przyrodę postępu i aby jego pionierom i apostołom wypomnieć ich ludzkie nawroty ku irracjonalizmowi. Lotnicy, mówił, są po większej części marnymi podejrzanymi indywiduami, a przede wszystkim są niezmiernie zabobonni. Biorą na pokład swych powietrznych statków świnki, mające przynieść szczęście, wrony, pluja po trzy razy na wszystkie boki, wkładają rękawiczki szczęśliwych pilotów. Jak można ten prymitywny brak rozsądku pogodzić ze światopoglądem, na którym opiera się ich zawód? Rozkoszował się sprzecznością, którą wykazał, sprawiała mu zadowolenie i rozwodził się nad nią długo... Ale wyławiamy tę i ową próbkę spośród niewyczerpalnej różnorodności przejawów wrogiego nastawienia Naphty, gdy tymczasem należy opowiedzieć o sprawach aż nadto konkretnych.

Pewnego popołudnia w miesiącu lutym umówili się panowie na wycieczkę do Monstein, oddalonego o półtorej godziny jazdy saniami od ich stałego miejsca pobytu. Byli to Naphta i Settembrini, Hans Castorp, Ferge i Wehsal. Wyruszyli z miejsca zamieszkania Settembriniego i Naphty około godziny trzeciej, ciepło okryci, rozmieściwszy się w dwu jednokonnych saniach. Hans Castorp siedział z humanistą, Naphta zaś z Fergem i Wehsalem, który zajął miejsce na koźle. Miłe dźwięki dzwonek rozległy się w cichym, zaśnieżonym pejzażu; sunęli wprost na południe, wzdłuż prawego stoku, poprzez Frauenkirch i Glaris. Śnieżne chmury napływały szybko z tej strony, tak że wkrótce tylko z tyłu nad łańcuchem Rhätikonu widać było bladoniebieską smugę nieba. Był silny mróz, w górach leżała mgła.

Wąska droga, niby nie zaopatrzona w poręcz platforma między ścianą a przepaścią, wznosiła się stromo ku jodłowej puszczy. Jechali stępa. Mijali ich sportowcy zjeżdżający w dół na saneczkach, z których przy spotkaniu musieli wstawać. Spoza zakrętów zabrzmiały dźwięcznie i ostrzegawczo inne dzwonki i nadjechały sanki zaprzężone w dwa konie w szpic, wymijanie się wymagało dużej ostrożności. Gdy byli już blisko celu, rozwarł się piękny widok na skalistą partię drogi prowadzącej dalej na południe. Wysiedli, odrzuciwszy koce, przed małą gospodą w Monstein, która nosiła miano Kurhauzu; zostawili sanie i poszli jeszcze parę kroków pieszo, by przyjrzeć się grani „Stulsegrat”, wznoszącej się na południowy wschód od Monstein. Olbrzymia ściana, wysoka na trzy tysiące metrów, tonęła we mgle. Tylko gdzieś w górze wyrastała znad zadymki podniebna skalna turnia, nadziemska, daleka jak wizja Walhalli, święta i niedostępna. Hans Castorp zachwycił się widokiem i domagał się od innych, aby czynili to samo. To on właśnie w poczuciu własnej małości rzucił wyraz „niedostępna” i wywołał tym uwagę pana Settembriniego, że jednakże ludzie wchodzili już naturalnie niejednokrotnie na tę skałę. Niedostępna natura, nie tknięta dotychczas stopą ludzką — ależ tego w ogóle nieledwie już nie ma zupełnie. Mała przesada i zadzieranie nosa, odparł Naphta. Wymienił Mount Everest, który — jak dotąd — przeciwstawia wszelkim wysiłkom ludzkim lodowaty chłód i ma, jak się zdaje, zamiar trwać i nadal w tej rezerwie. Humanista zirytował się. Panowie powrócili do Kurhauzu, przed którym stało już, obok ich własnych, kilka par wyprzęgniętych sani.

Był to też dom mieszkalny. Na piętrze znajdowały się pokoje hotelowe i jadalnia, urządzona w stylu chłopskim i dobrze opalona. Wycieczkowcy zamówili u usługowej gospodyni przekąskę złożoną z kawy, miodu, bułek i ciasta z gruszkami, stanowiącego miejscową specjalność. Woźnicom posłano nieco czerwonego wina. Przy innych stołach siedzieli Szwajcarzy i Holendrzy.

Mielibyśmy ochotę stwierdzić, że ciepła i doskonała kawa skierowała rozmowę naszych pięciu przyjaciół na wznioślejsze tematy. Popelnilibyśmy jednak pewną nieściskość, rozmowa bowiem była właściwie monologiem Naphty, który rozpoczął go parę zaledwie uwagach zrobionych przez innych, a wygłaszał go w sposób dość dziwny i towarzysko niewłaściwy. Eksjezuity zwracał się mianowicie w uprzejmym, pouczającym tonie wyłącznie do Hansa Castorpa, odwracając się plecami do pana Settembriniego, który był jego sąsiadem z drugiej strony, i nie zwracając najmniejszej uwagi na pozostałych dwu panów.

Trudno byłoby dać jakiś tytuł jego improwizacji, której Hans Castorp słuchał, na wpół potakując głową. Poruszała różne tematy, obracała się swobodnie w sferze

ducha, dotykając coraz to innego przedmiotu; jednakże zmierzała wyraźnie do tego, by odbierać wszelką otuchę, i wykazywała, że zjawiska życia duchowego są jak najbardziej dwuznaczne, że wysnute z nich podstawowe pojęcia mienia się jak tęcza i jako oręż myślowy pozbawione są wszelkiej wartości i że absolut pojawia się na ziemi w pstrej szacie.

W każdym razie wykład jego dotyczył głównie zagadnienia wolności, które omawiał tak, aby wprowadzić w nie zamieszanie. Mówił między innymi o romantyzmie i o fascynującej dwuznaczności tego europejskiego prądu z początków XIX wieku, prądu, który pokazał, że pojęcia reakcji i rewolucji nic nie są warte, jeśli nie zespolą się dla wyższego celu. Naraża się bowiem w sposób oczywisty na śmieszność ten, kto pojęcie rewolucji sprzęga z postępem i zwycięsko atakujący|n Oświeceniem. Europejski romantyzm był przede wszystkim ruchem wolnościowym, antyklasycystycznym, antyakademickim, zwróconym przeciw starofrancuskiemu smakowi, przeciw starej szkole rozumu, której zwolenników przezywał „pudrowanymi łbami”.

I Naphta zaczął mówić o wojnach wolnościowych, o Fichteńskim entuzjazmie, o owych szumnych i pełnych śpiewu powstaniach ludowych przeciw nieznośnej tyranii, za którą niestety, he, he, uważano wówczas wolność, to znaczy: idee rewolucji. Czyż to nie zabawne? Oto z głośnym śpiewem na ustach chwycono za broń, aby rewolucyjną tyranię rozbić na korzyść bata reakcyjnych książąt i — dokonano tego w imię wolności.

Młodociany słuchacz będzie mógł zauważyć tu różnicę czy nawet przeciwieństwo między zewnętrzną a wewnętrzną wolnością — i stanie przed ciekawym pytaniem, jaki rodzaj niewoli da się najłatwiej — he, he — najtrudniej uzgodnić z honorem narodowym.

Pojęcie wolności — mówił dalej — jest właściwie tworem raczej romantyzmu niż Oświecenia, albowiem z romantyzmem wspólny mu jest nierozzerwalny splot właściwych ludzkości popędów do ekspansji z namiętnie zacieśniającym podkreśleniem jaźni. Indywidualistyczna żądza wolności wydała historyczno-romantyczny kult nacjonalizmu; jest to kult wojowniczy, a humanitarny liberalizm zwie go ponurym, choć przecie sam wyznaje indywidualizm — tylko nieco inaczej pojęty. Romantycznym i średniowiecznym pierwiastkiem indywidualizmu jest przekonanie o nieskończonej, kosmicznej wartości jednostki, a z tego przekonania wypływa wiara w nieśmiertelność duszy, geocentryzm i astrologia. Ale z drugiej strony indywidualizm jest poglądem liberalizującego humanizmu, który jest skłonny do anarchii, a w każdym razie pragnie swą ukochaną jednostkę uchronić przed tym, by ją

złożono w ofierze na ołtarzu dobra ogólnego. Oto czym jest indywidualizm, to tym, to znów owym, jest słowem, które może niejedno oznaczać.

Trzeba jednak przyznać, że patos wolnościowy stworzył najwspanialszych wrogów wolności, że powołał do życia najinteligentniejszych obrońców przeszłości, walczących z postępem i jego rozkładowym działaniem, dla którego nie ma nic świętego. Tu Naphta wymienił Arndta, przeklinającego industrializm i gloryfikującego stan szlachecki, Görresa, autora „Chrześcijańskiej mistyki”. A czyż mistyka nie ma nic wspólnego z wolnością? Czyż nie była zawsze antyscholastyczna, antydogmatyczna, antyklerykalna? Zapewne, w hierarchicznym ustroju nie można nie widzieć czynnika wolności, ponieważ położył tamę nieograniczonej monarchii. Ale mistyka późnego średniowiecza zadokumentowała swój wolnościowy charakter, bo była poprzedniczką reformacji — reformacji, he, he, w której również łączą się w nierozzerwalną całość wolność i średniowieczne wstecznictwo...

Czyn Lutra... Ach tak, zaletą jego jest, że zademonstrował najbardziej naocznie, jak wątpliwą rzeczą jest czyn jako taki, czyn w ogóle. A czy słuchacz Naphty wie, co to jest czyn? Czynem było na przykład zamordowanie radcy stanu Kotzebuego przez korporanta Sanda. Co, mówiąc językiem literatury kryminalnej, „wcisnęło Sandowi broń do ręki”? Naturalnie entuzjastyczne umiłowanie wolności. Jeśli wszakże przyjrzeć się bliżej, okazuje się, że działało tu raczej fanatyczne pojmowanie moralności i nienawiść do obcego ludowi libertynizmu. Kotzebue pozostawał wprawdzie w służbie rosyjskiej, a więc w służbie Świętego Przymierza — wynikałoby więc, że Sand dokonał zamachu w obronie wolności, ale to znów o tyle jest nieprawdopodobne, że pośród jego najbliższych przyjaciół znajdowali się jezuici. Słowem, cokolwiek by można powiedzieć o czynie, to w każdym razie jest nieodpowiednim wyrazem zapatrywań i mało się przyczynia do uporządkowania duchowych problemów.

— Czy wolno mi zapytać, kiedy pan ma zamiar skończyć swe śliskie wywody?

Pytanie to postawił pan Settembrini, i to ostro. Siedział dotąd bez słowa, bębnił palcami po stole i kręcił węża. Teraz miał już tego dosyć. Cierpliwość jego wyczerpała się. Był bardzo blady. Siedział prosto, więcej niż prosto; jeśli tak rzecz można, siedząc stanął na palcach, tak że tylko uda jego dotykały krzesła — i w takiej pozycji spoglądał błyszczącymi, czarnymi oczami na przeciwnika, który z udanym zdziwieniem zwrócił się ku niemu.

— Pan raczył się wyrazić? — Naphta odpowiedział pytaniem na pytanie.

— Raczyłem powiedzieć — rzekł Włoch i przełknął — że jestem zdecydowany przeszkodzić panu w dalszym nagabywaniu dwuznacznikami bezbronnej młodzieży.

— Panie, niech pan się liczy ze słowami.

— Wezwanie to jest niepotrzebne, mój panie: Zwykłem liczyć się ze słowami, a słowa me będą ściśle odpowiadać faktom, gdy stwierdzę, że pański sposób wprowadzania zamętu w chwiejne już skądinąd umysły młodzieży, uwodzenia jej i odbierania jej siły moralnej jest *b e z e c e ń s t w e m*, dla którego nie wystarczą słowne cięgi...

Wymawiając słowo „bezeczeństwo” Settembrini uderzył dłonią w stół i odsuwając krzesło przybrał pozycję już zupełnie stojącą. Reszta towarzystwa uczyniła to samo. Scenę tę poczęli obserwować siedzący przy innych stołach, a raczej przy jednym tylko, bo szwajcarscy goście opuścili już gospodę i jedynie Holendrzy, ze zdumionymi minami, przysłuchiwali się wybuchłej sprzeczce.

Przy naszym stole wszyscy stali sztywni i wyprostowani. Hans Castorp i obaj przeciwnicy, a naprzeciw nich Ferge i Wehsal. Wszyscy pobledli, oczy im się rozszerzyły, a usta drżały. Czy ci trzej, którzy nie brali udziału w sporze, nie mogli załagodzić sytuacji i za pomocą jakiegoś żartu lub ludzkiej perswazji doprowadzić do pomyślnego jej rozwiązania? Nikt nie podjął tej próby. Na przeszkodzie stały im okoliczności wewnętrzne. Nawet A. K. Ferge, któremu notorycznie wszelkie wyżyny były obce i który z góry zrezygnował z oceny ważności sporu — i on nawet był przekonany, że idzie tu o śmierć i życie i że nawet jeśli się kto w sprawę tę wmieszał, nie mógłby zrobić nic innego, jak tylko zostawić ją własnemu jej biegowi. Jego poczciwe wąsiska wznosiły się gwałtownie i opadały.

W ciszy, która zapadła, słychać było, jak Naphta zgrzyta zębami. Dla Hansa Castorpa było to podobne zjawisko jak włosy stające dęba Wiedemannowi na głowie. Sądził dotąd, że tak się tylko mówi, ale nic podobnego nie zdarza się w rzeczywistości. Jednakże teraz Naphta naprawdę zgrzytał zębami wśród zaległej ciszy, był to strasznie nieprzyjemny a dziwny odgłos, który zresztą okazał się oznaką jakiegoś strasznego opanowania, bo Naphta nie podniósł głosu, lecz powiedział cicho, jakby dysząc i na wpół się śmiejąc:

— Bezeczeństwo? Cięgi? Więc cnotliwe osły zaczynają się narowić? Czy pedagogiczna policja cywilizacji doszła już do tego, że chwyta za broń? Jest to pewien sukces, jak na początek — ale dodać muszę z lekceważeniem, że sukces łatwy do osiągnięcia, jeśli wystarczyła tak łagodna zaczepka, by w cnocie stojącej na straży wzbudzić gniew. Znajdzie się i reszta, mój panie! Także i „cięgi”, także one. Mam nadzieję, że, mimo swe przekonania cywila, pan wie, co mi jest winien, w przeciwnym razie byłbym zmuszony przekonania te wystawić na próbę, za pomocą środków, które...



Settembrini wykonał jedynie sztywny ruch, więc Naphta mógł mówić dalej:

— Ach, widzę, że to nie będzie potrzebne. Stoję panu w drodze i pan mnie również, dobrze więc, postaramy się wyrównać tę drobną niezgodność na właściwym terenie. Na razie jedno tylko. Pański obłudny lęk o scholastyczny system pojęć jakobińskiej rewolucji widzi pedagogiczną zbrodnię w moim sposobie budzenia wątpliwości w młodzieży, obalania przyjętych kategorii i odbierania ideom ich akademickiej godności moralnej. Lęk ten jest aż nadto usprawiedliwiony, bo z pańskim humanizmem, może być pan pewny, już koniec, koniec raz na zawsze. Dziś jest on już anachronizmem, niesmacznym pseudoklasycyzmem, duchową nudą, wywołującą ziewanie. Nowa, nasza rewolucja skończy z nim raz na zawsze. Gdy jako wychowawcy siejemy zwątpienie głębsze niż to, o jakim kiedykolwiek śniło wasze skromne Oświecenie — wiemy dobrze, co czynimy. Tylko z radykalnego sceptycyzmu, z moralnego chaosu zrodzi się bezwzględny, święty terror, którego domaga się nasza epoka. Tyle dla usprawiedliwienia tego, co robię, i dla pouczenia pana. Co się tyczy reszty — to inna sprawa. Przypomnę się panu jeszcze.

— Stanie się wedle pańskiego życzenia, mój panie — zawołał za nim Settembrini, po czym Naphta odszedł od stołu ku wieszadłom i sięgnął po swoje futro. Wtedy mason upadł ciężko na krzesło i przycisnął rękami serce.

— Distruttore! Cane arrabbiato! Bisogna ammazzarlo!\* — wyrzucał z siebie zadyszany.

Inni stali wciąż jeszcze dokoła stołu. Wąsy Fergego dalej podnosiły się i opuszczały. Wehsal wykrzywił dolną szczękę. Hans Castorp opierał brodę tak, jak to niegdyś czynił jego dziadek, bo czuł drzenie karku. Wszystkim przyszło na myśl, że wyjeżdżając na wycieczkę nie spodziewali się takiego obrotu spraw. Wszyscy, nie wyłączając Settembriniego, pomyśleli też sobie, jakie to szczęście, że wyjechali dwoma, a nie jednym saniami. Ta okoliczność ułatwiała na razie przynajmniej powrót. Ale co dalej?

— Wyzwał pana — rzekł Hans Castorp ze ściśniętym sercem.

— Rzeczywiście — odparł Settembrini i popatrzył na stojącego obok niego, a potem odwrócił się i oparł głowę na rękę.

— Przyjmuje pan? — dopytywał się Wehsal...

— Pan pyta? — odparł Settembrini obrzucając i jego przez chwilę spojrzeniem...

— Moi panowie — ciągnął dalej i powstał, opanowany już zupełnie — bardzo mi żal, że wycieczka nasza wzięła taki obrót, ale na podobne wydarzenia musi każdy

---

\* Distruttore!... (wł.) — Szkodnik! Wściekły pies! Zabić go trzeba!

mężczyzna być w życiu przygotowany. Teoretycznie potępiam pojedynek, myślę kategoriami prawnymi. W praktyce jednak rzecz wygląda inaczej; bywają sytuacje, w których — przeciwieństwa, które — słowem, jestem do dyspozycji tego pana. Dobrze, że kiedyś, za młodu, uczyłem się trochę szermierki. Parę godzin ćwiczenia, a przegub mojej ręki odzyska swą elastyczność. Chodźmy! Trzeba będzie omówić szczegóły. Sądzę, że tamten pan już kazał zaprzęgać.

Podczas drogi powrotnej i później jeszcze Hans Castorp miał chwile, w których doznawał zawrotu głowy na myśl o straszliwych wypadkach, jakie mogły zajść, zwłaszcza gdy się okazało, że Naphta nie chce słyszeć o białej broni, lecz upiera się przy pojedynku na pistolety, i że ma prawo wyboru broni, gdyż wedle kodeksu honorowego jest stroną obrażoną. Przychodziły na młodego człowieka momenty, w których do pewnego przynajmniej stopnia odnajdował siebie i wyzwał się z zamroczenia, w jakie umysł jego wpędziły okoliczności wewnętrzne, i mówił sobie, że wszystko to jest przecie szaleństwem i że należy temu przeszkodzić.

— Gdybyż to była prawdziwa zniewaga! — wołał w rozmowie z Settembrinim, Fergem i Wehsalem, który już w powrotnej drodze zgodził się być sekundantem Naphty i pośrednikiem między obu zwaśnionymi stronami. — Obraza, jakich wiele w burżuazyjnym towarzystwie! Gdyby to jeden zhańbił dobre imię drugiego, gdyby chodziło o kobietę, czy o inną podobną, uchwytną fatalną sytuację życiową, z której nie widzi się innego wyjścia! Dobrze, w takim wypadku pojedynek może ostatecznie stanowić jedyne rozwiązanie. Gdy w ten sposób uczyni się zadość wymaganiom honoru i rzecz skończy się względnie szczęśliwie, gdy zostanie zaprotokołowane, że „przeciwnicy pogodzili się” — to można powiedzieć, że instytucja pojedynku jest dobra, zbawienna i godna stosowania w pewnych zawikłanych wypadkach. Ale cóż on właściwie zrobił? Nie chcę go bynajmniej bronić, ale pytam tylko, czym pana obraził? Obalał pewne kategorie. Odbierał, jak się wyraził, ideom ich akademicką godność. Pan poczuł się tym obrażony, przypuśćmy, że słusznie...

— Przypuśćmy? — powtórzył pan Settembrini i spojrzał na niego...

— Więc słusznie, słusznie! Była w tym obraza, ale nie było zniewagi! To jest różnica — proszę pozwolić! Chodzi tu o rzeczy abstrakcyjne, duchowe. One mogą stać się przyczyną obrazy, ale nie przedmiotem zniewagi. To jest maksyma, którą by uznał każdy sąd honorowy, zapewniam pana na wszystko co święte. Z tego samego powodu nie jest zniewagą to, co mu pan odparł o „bezeczeństwie” i „ciągach”, bo i to było rozumiane w sensie duchowym, wszystko obracało się w dziedzinie ducha i zupełnie nie miało do czynienia ze sprawami osobistymi, a przecie tylko w ich

obrzebie można mówić o zniewadze. Sfera ducha nie może nigdy mieć cech osobistych — to jest uzupełnienie i objaśnienie poprzedniej maksymy — i dlatego —

— Myli się pan, przyjacielu — odparł Settembrini z zamkniętymi oczami. — Myli się pan, najpierw, przyjmując, że sprawy duchowe nie mogą nabrać charakteru osobistego. Nie powinien pan tak sądzić — rzekł z nieznacznym a bolesnym uśmiechem. — Przede wszystkim jednak fałszywa jest w ogóle pańska ocena pierwiastka duchowego, jeśli mu pan nie przypisuje dość siły, by mógł wywoływać konflikty i namiętności równie potężne jak te, które stwarza realne życie i dla których nie ma innego rozstrzygnięcia, jak tylko z bronią w ręku. All'incontro!\* To, co oderwane, oczyszczone, idealne, to jest zarazem absolutne, a więc bezwzględne; jest też źródłem o wiele głębszej i radykalniejszej nienawiści, stwarza bardziej bezwzględne, nieprzejednane przeciwieństwa aniżeli życie społeczne. Nic tedy dziwnego, że drogą jeszcze prostszą i bardziej nieubłaganą prowadzi do sytuacji najradykalniejszej, do alternatywy: ty albo ja, do pojedynku, do fizycznej walki dwu osób. Pojedynek, mój drogi, nie jest „instytucją” jak każda inna. Jest czymś ostatecznym, powrotem do pierwotnego stanu natury, lekko tylko złagodzonym pewnymi, zresztą bardzo powierzchownymi przepisami natury rycerskiej. Istotą sytuacji jest tu moment całkowicie pierwotny, moment fizycznej walki; dla każdego mężczyzny, mimo że oddalił się od stosunków pierwotnych, jest obowiązkiem stanąć na wysokości takiej sytuacji. Może się spotkać z nią każdej chwili. Kto nie potrafi spraw idealnych bronić własną osobą, ramieniem, krwią, ten nie jest ich godzien; chodzi o to, aby przy tym uduchowieniu pozostać jednak mężczyzną.

Taką to nauzkę dostał Hans Castorp. Cóż mógł odpowiedzieć? Milczał, pogrążony w ciężkich rozmyślaniach. Słowa pana Settembriniego robiły wprawdzie wrażenie logicznych i spokojnych, a jednak brzmiały w jego ustach obco i nienaturalnie. Jego myśli nie były jego własnymi myślami — nie byłby także nigdy wpadł sam na pomysł pojedynkowania się, lecz przejął go od małego terrorysty, jakim był Naphta; świadczyły o wpływie owych powszechnych okoliczności wewnętrznych, których niewolnikiem i narzędziem stał się jasny umysł Settembriniego. Jak to, pierwiastek duchowy, dlatego że jest czymś bezwzględnym, miałby prowadzić do zwierzęcego traktowania zatargów, do ich rozstrzygania w walce fizycznej? Hans Castorp buntował się przeciw temu, a raczej usiłował się buntować, ale stwierdzał ku swemu przerażeniu, że nie potrafi tego zrobić. Owe okoliczności wewnętrzne opanowały także i jego. On również nie umiał się im oprzeć. Jako coś straszliwego i nieodwołalnego wyłonił mu się z pamięci obraz, jak to Wiedemann i Sonnenschein

---

\* All'incontro! (wł.) — przeciwnie!

tarzali się rozpaczliwie w zwierzęcej walce, i pojał z przerażeniem, że u kresu wszechrzeczy jest jedynie ciało, kły i pazury. Tak, tak, należy stanąć do walki, bo w ten sposób można przynajmniej pierwotny stan natury złagodzić rycerskimi przepisami... Hans Castorp zaproponował panu Settembriniemu, że będzie jego sekundantem.

Settembrini odmówił. — Nie, to nie wypada, nie godzi się — odparł mu najprzód Włoch z nieznacznym a bolesnym uśmiechem, a potem to samo powiedzieli Ferge i Wehsal, którzy stwierdzili, również nie podając powodów, że nie wypada, aby Hans Castorp w tym charakterze brał udział w pojedynku. Raczej jako bezstronny — obecność takiej osoby należała przecież do rycerskich przepisów, mających złagodzić zwierzęcość walki — może być obecny na miejscu spotkania. Nawet sam Naphta przez usta swego honorowego zastępcy, Wehsala, wypowiedział się za tym rozwiązaniem; Hans Castorp był z tego zadowolony. Jako świadek czy osoba bezstronna zyskiwał w każdym razie wpływ na ustalenie warunków, co niestety okazało się bardzo potrzebne.

Warunki bowiem, które stawiał Naphta, przekraczały wszelkie dopuszczalne granice. Żądał odległości pięciu kroków i trzykrotnej wymiany strzałów, gdyby zaszła tego potrzeba. Tę szaloną propozycję postawił jeszcze wieczorem w dniu zatargu przez usta Wehsala, który stał się oddanym rzecznikiem jego interesów i upierał się twardo przy takich warunkach na podstawie danych mu pełnomocnictw a częściowo także idąc za swoim upodobaniem. Settembrini nie miał naturalnie nic do powiedzenia przeciw temu, ale jego sekundant, Ferge, i Hans Castorp byli oburzeni, a nawet ten ostatni przemówił ostro i nieuprzejmie do nędznego Wehsala. Pytał go, czy nie wstydzi się piętrzyć tylu trudności, skoro chodzi o abstrakcyjny pojedynek, a nie było konkretnej zniewagi! Dość już chyba, że spotkanie odbyć się ma na pistolety, po cóż jeszcze owe mordercze warunki szczegółowe! Tu kończy się już rycerskość. Może by po prostu postanowiono strzelać na dystans chustki do nosa! Wehsalowi łatwo zdobyć się na taką krwiożerczość, bo to przecież nie do niego będzie się strzelało z takiej odległości — i tak dalej. Wehsal nic nie odpowiadał, tylko wzruszał ramionami, dając tym do zrozumienia, że sytuacja jest właśnie krytyczna; tym samym rozbijał do pewnego stopnia stronę przeciwną, która skłonna była zapominać o tej okoliczności. W każdym razie stronie tej udało się w ciągu pertraktacji dnia następnego zredukować trzykrotną wymianę strzałów do jednorazowej i uregulować sprawę dystansu w ten sposób, że przeciwnicy mieli stać naprzeciw siebie w odległości piętnastu kroków, i wolno im było postąpić przed strzałem o pięć kroków naprzód. Ale i to zostało osiągnięte jedynie pod warunkiem, że nie będą robione próby doprowadzenia do zgody. Zresztą nie było pistoletów.

Miał je pan Albin. Oprócz małego błyszczącego rewolweru, którym lubił straszyc damy, posiadał parę oficerskich pistoletów, spoczywających we wspólnym pluszowym futerale; były to automatyczne belgijskie browningi o rękojeściach z brązowego drzewa — w których znajdowały się magazynki — o stalowym, niebieskawym mechanizmie i błyszczących lufach, zakończonych precyzyjnymi celownikami. Hans Castorp widział je kiedyś u tego fanfaronu i zaofiarował się, choć wbrew własnemu przekonaniu, z czystej bezstronności, że je po prostu od niego wypożyczy. Zrobił to nie kryjąc celu, do jakiego mają być użyte, i zobowiązał go tylko do dyskrecji, odwołując się, nie bez powodzenia, do jego poczucia rycerskości. Pan Albin nie czynił trudności, pouczył nawet Hansa Castorpa, jak się broń ładuje, i oddał przy nim próbne strzały z obu pistoletów.

Wszystko to zajęło jednak niemało czasu, toteż minęły dwa dni i trzy noce do chwili spotkania. Hans Castorp obmyślił miejsce: zaproponował malowniczą, latem błękitnie kwitnącą okolicę, w której niegdyś chętnie spędzał chwile samotnego królowania. Tu miało nastąpić rozstrzygnięcie na trzeci dzień po sprzeczce, skoro świt. W przeddzień dopiero, dość późnym wieczorem, wpadło bardzo podnieconemu Hansowi Castorpowi na myśl, że konieczna jest przecież obecność lekarza na polu walki.

Omówił natychmiast z Fergem tę sprawę, która okazała się trudna do załatwienia. Radamantys był wprawdzie ongi korporantem, ale od lekarza naczelnego zakładu nie można było wymagać, by brał udział w czymś tak sprzecznym z ustawami, tym bardziej że chodziło tu o chorych. W ogóle mała była nadzieja, by znaleziono tu lekarza, który by zechciał przyłożyć rękę do pojedynku między dwoma ciężko chorymi ludźmi. Co do Krokowskiego, nie było nawet pewności, czy ten teoretyk zna się w ogóle na opatrywaniu ran.

Obecny podczas narady Wehsal zakomunikował, że Naphta zajął już w tej sprawie stanowisko, oświadczając, iż nie życzy sobie lekarza. Nie idzie na miejsce spotkania, aby dać się smarować maściami i owijać bandażami, ale żeby się bić, i to całkiem serio. Obojętne mu jest, co potem nastąpi — a zresztą, jakoś to będzie! Oświadczenie to brzmiało ponuro, ale Hans Castorp usiłował je sobie wytłumaczyć w ten sposób, że Naphta spodziewa się w cichości ducha, iż nie trzeba będzie lekarza. Czyż i Settembrini nie odpowiedział przez wysłanego doń Fergego, żeby nie roztrząsano tej sprawy, która go wcale nie obchodzi? Można było przypuszczać, że obaj przeciwnicy mają w gruncie rzeczy zamiar nie dopuścić do rozlewu krwi. Już dwie noce przespano od czasu owej wymiany słów i miano jeszcze przespać trzecią. To otrzeźwia i rozjaśnia w głowie, żaden nastrój nie może się oprzeć zwycięsko bie-

gowi godzin. Jutro rano z bronią w ręku żaden z nich nie będzie już tym samym człowiekiem, co w chwili zatargu. Postępować będą co najwyżej jeszcze mechanicznie, kierując się zasadami honoru, a nie wolną, w danej chwili działającą wolą, nie tak jak wówczas, gdy postępowanie ich płynęło z rzeczywistej chęci i przekonania. Przecież w jakiś sposób będzie można uniknąć takiego wyparcia się ich aktualnej jaźni na rzecz dawniejszej!

Hans Castorp miał do pewnego stopnia rację rozumując w ten sposób — ale, niestety, ani mu się śniło, dlaczego tak jest. Miał nawet rację zupełną, w odniesieniu do Settembriniego. Gdyby jednak przeczuwał, w jakim kierunku do chwili rozstrzygnięcia czy w samej jego chwili Leon Naphta zmieni swe zamiary, to nawet pod wpływem okoliczności wewnętrznych, z których zrodziło się to wszystko, nie byłby dopuścił do tego, co miało nastąpić.

Okolo godziny siódmej słońce nie wyszło jeszcze bynajmniej zza swej góry, ale rozpoczynał się już mglisty, mozolny świt, gdy Hans Castorp po źle przespanej nocy opuścił zakład „Berghof”, aby się udać na miejsce spotkania. Służące, które sprzątały hall, spoglądały nań ze zdziwieniem. Główna brama była już jednak otwarta, widocznie przeszli przez nią Ferge i Wehsal, razem czy też osobno, pierwszy, aby pójść do Settembriniego, a drugi — po Naphtę. On, Hans, szedł sam, ponieważ jako nie należącemu do żadnej ze stron nie wolno mu było przyłączyć się do żadnej z nich.

Szedł machinalnie, ulegając nakazom honoru i pod naciskiem okoliczności. Rozumiało się samo przez się, że musi być obecny przy pojedynku. Wymówić się od tego i oczekiwać wyników leżąc w łóżku było dlań niemożliwe, po pierwsze dlatego — nie dokończył jednak tego, „po pierwsze” i dodał od razu, że, po drugie, nie wolno wypadków pozostawiać ich naturalnemu rozwojowi. Chwała Bogu, nie zdarzyło się jeszcze nic złego i nie musiało się zdarzyć; było to nawet nieprawdopodobne, żeby się zdarzyło. Trzeba było wstawać przy sztucznym świetle, nie można było zjeść śniadania i trzeba było spotkać się teraz w dotkliwym porannym mrozie — ale tak było umówione. Potem za to pod jego, Castorpa, wpływem obróci się wszystko z pewnością na lepsze — w jaki sposób, nie wiadomo jeszcze, i lepiej nie starać się tego odgadnąć, bo doświadczenie uczy, że nawet najskromniejsze wydarzenie ma przebieg inny, aniżeliśmy go sobie w myślach próbowali z góry wyobrazić.

Mimo wszystko nie pamiętał równie przykrego poranka. Osłabiony i niewyspany, miał skłonność do nerwowego szczęknięcia zębami i w głębi duszy zaczynał tracić zaufanie do perswazyj, którymi sam usiłował się uspokoić. Czasy były tak

szczególne... Dama z Mińska, którą zgubił atak kłótności, oszalały student, Wiedemann i Sonnenschein, sprawa policzkujących się Polaków — wszystkie te wspomnienia kłębiły mu się w głowie. Nie mógł sobie wyobrazić, by przed jego oczami, w jego obecności dwóch ludzi mogło do siebie strzelać i ranić się do krwi. Ale kiedy wspomniał, że te same oczy jego patrzyły na to, co się działo z Wiedemannem i Sonnenscheinem, tracił zaufanie do siebie i do swego świata i pod futrzaną kurtką przeszywał go dreszcz. Z drugiej jednak strony podnosiło go na duchu i dodawało energii poczucie nadzwyczajności i patosu położenia, a powietrze poranka działało nań wzmacniająco.

Wśród tak mieszanych i gniewnych uczuć i myśli szedł w rozjaśniającym się powoli świcie w górę ku Wsi, od zakończenia toru bobslejowego, najwyższą ścieżką wznosząc się po stoku, dotarł do głęboko zaśnieżonego lasu, przeszedł przez drewniane mostki, pod którymi biegł tor, i kroczył dalej pośród drzew, drogą, którą stopy ludzkie ubiły mocniej niż łopaty. Szedł szybko, toteż wkrótce dopędził Settembriniego i Fergego, który niósł w ręce skrzynkę z bronią, ukrytą pod szerokim płaszczem. Hans Castorp nie krępując się przyłączył się do nich, a ledwie się z nimi zrównał, dostrzegł niedaleko przed nimi Naphtę i Wehsala.

— Zimny ranek, najmniej osiemnaście stopni — rzekł naiwnie i przeraził się sam brzmienia swych beztroskich słów. Dodał natychmiast: — Proszę panów, jestem przekonany...

Tamci milczeli. Ferge podnosił i opuszczał swe poczciwe wąsy. Po chwili Settembrini stanął, ujął rękę Castorpa w obie swoje dłonie i rzekł:

— Mój przyjacielu, ja nie będę zabijać. Nie będę. Wystawię się na jego kulę, oto wszystko, co mi nakazywać może honor. Ale nie będę zabijać, może pan być tego pewny!

Puścił rękę Castorpa i zaczął iść dalej. Hans Castorp był głęboko wzruszony, ale po kilku krokach rzekł znowu:

— Jakież to piękne stanowisko, ale — z drugiej strony... Gdyby on...

Pan Settembrini potrząsnął tylko głową. Hans Castorp rozmyślał tymczasem, że jeśli jeden nie strzeli, to i drugi nie będzie mógł tego uczynić, a więc wszystko zapowiada się szczęśliwie i jego przypuszczenia zaczynają się sprawdzać. Kamień spadł mu z serca.

Minęli kładkę nad przepaścią, gdzie w lecie spadał milczący dziś w okowach lodu wodospad, który tak wiele malowniczości dodawał okolicy. Naphta i Wehsal chodzili tam i z powrotem przed grubo pokrytą śniegiem ławką, na której Hans

Castorp niegdyś, snując niezwykle żywe wspomnienia, musiał czekać, aż ustanie jego krwotok z nosa. Naphta palił papierosa, a Hans Castorp zastanawiał się, czy miałby ochotę pójść za jego przykładem, nie znalazł jednak w sobie najmniejszej ku temu chęci i wyciągnął stąd wniosek, że tym bardziej u Naphty palenie jest w tej chwili objawem afektacji. Rozejrzał się dokoła z upodobaniem, jakie odczuwał na widok zacisznego miejsca, nie mniej pięknego w lodowej szacie niż w okresie swego błękitnego kwitnięcia. Pień i gałęzie pochyłej sosny pokrywała ciężka okiść śnieżna.

— Dzień dobry! — zawołał wesoło, chcąc wprowadzić naturalny ton, który miał się przyczynić do rozproszenia chmur, ale nie znalazł oddźwięku, nikt mu nie odpowiedział. Przywitano się wymieniając nieme ukłony, tak sztywne, że prawie niewidoczne. Nie zachwiało to jednak jego decyzji, by podniecenie serca i ciepło, które miał w sobie po szybkim marszu w zimowy poranek, spożytkować niezwłocznie dla dobrego celu. Zaczął więc:

— Proszę panów, jestem przekonany...

— Innym razem da pan wyraz swoim przekonaniom — przerwał zimno Naphta. — Proszę o broń — dodał z tą samą wyniosłością. Hans Castorp zamilkł i patrzył tylko, jak Ferge wyjmował spod płaszcza fatalny futerał i jak Wehsal, który się doń zbliżył, otrzymał od niego jeden z pistoletów i wręczył go Naphcie. Settembrini wziął swoją broń z ręki Fergego. Potem trzeba było usunąć się na bok; Ferge poprosił o to półgłosem i począł mierzyć krokami i wytyczać dystanse. Zewnętrzne granice oznaczył grzebiąc obcasami krótkie linie w twardym śniegu. Bariery wewnętrzne zaznaczył za pomocą dwóch lasek, własnej i Settembriniego.

Czymże to zajmował się pocziwy cierpiętnik? Hans Castorp nie wierzył własnym oczom. Ferge miał długie nogi i stawiał kroki możliwie największe, tak że piętnaście ich wytworzyło odległość dość znaczną — gdyby tylko nie owe bariery wewnętrzne, które były rzeczywiście blisko siebie. Z pewnością nie działał w złym zamiarze. Ale w jakimż zamroczeniu umysłu musiał robić przygotowania o tak przeraźliwym znaczeniu?

Naphta rzucił futro w śnieg, tak że widać było podbicie z nurków, i stanął z bronią w rękę na jednej z zewnętrznych linii, skoro tylko została przeprowadzona i zanim jeszcze Ferge odmierzył dystans. Gdy skończył, zajął swe miejsce także Settembrini, rozpiąwszy zniszczoną, futrzaną kurtkę. Hans Castorp otrząsnął się z osłupienia i wystąpił raz jeszcze gwałtownie naprzód.

— Proszę panów — rzekł dobitnie — tylko bez pośpiechu! Mimo wszystko jest moim obowiązkiem...



— Milcz pan! — przeciął Naphta. — Czekam na znak.

Ale nikt znaku nie dawał. Nie przewidziano tego należycie. Nie pomyślano o tym, a w każdym razie nie wspomniano, że straszne wezwanie ma paść z ust tego, kto nie należy do żadnej ze stron. Hans Castorp milczał, a nikt go nie wyręczył.

— Zaczynamy! — oświadczył Naphta. — Proszę iść naprzód i strzelać! — zawołał do przeciwnika i począł sam zbliżać się doń z wyciągniętą ręką i pistoletem wymierzonym w jego pierś. Był to widok niewiarygodny. Settembrini uczynił to samo. Posunąwszy się o trzy kroki — tamten stanął już obok bariery, nie oddając strzału — podniósł broń ku górze i nacisnął cyngiel. Ostry strzał odbił się wielokrotnym echem. Góry podawały sobie wzajem dźwięk, rozbrzmiewała nim dolina, a Hans Castorp pomyślał, że za chwilę zaczną zbiegać się ludzie.

— Strzelił pan w powietrze — rzekł Naphta panując nad sobą i opuścił broń.

Settembrini odparł:

— Strzelam, gdzie mi się podoba.

— Będzie pan raz jeszcze strzelał.

— Ani myślę. Teraz kolej na pana. — Pan Settembrini podniósł głowę, spozierając w niebo, i stanął zwrócony nieco bokiem, niezupełnie frontem do przeciwnika. Był to wzruszający widok. Jasne było, że słyszał, iż nie należy prosto wystawiać się na strzał przeciwnika, i że postępuje w myśl tej wskazówki.

— Tchórze! — krzyknął Naphta; w okrzyku tym brzmiało ludzkie przyznanie, że trzeba więcej odwagi, by strzelać do drugiego, aniżeli by pozwolić strzelać do siebie. Potem podniósł broń w sposób, który nie miał już nic wspólnego z walką, i wypalił sobie prosto w skroń.

Żaloszny, niezapomniany widok! Zatonął się o parę kroków wstecz, podczas gdy góry głośno i przenikliwie odrzucały sobie jak piłkę echo jego czynu, po czym runął wyrzucając nogi ku przodowi i, opisawszy całym ciałem łuk ku prawej stronie, padł twarzą w śnieg.

Przez chwilę stali wszyscy jak wryci. Settembrini odrzucił daleko od siebie broń i pierwszy podbiegł do niego.

— Infelice! — wołał. — Che cosa fai per l'amor di Dio!\*

Hans Castorp pomógł mu odwrócić na wznak ciało. Ujrzeni przy skroni czarnoczerwony otwór. Spojrzeli w stygnącą twarz i woleli ją zakryć jedwabną chusteczką, której jeden róg wystawał z kieszeni surduta Naphty.

---

\* Infelice!... Che cosa fai... (wł.) — Nieszczęsny! Co czynisz, na miłość boską!

## Grom

Przez siedem lat Hans Castorp przebywał tu w górze — liczbę lat nie dość okrągłą dla zwolenników systemu dziesiętnego, ale bądź co bądź dobrą, przydatną w swoim rodzaju — mityczno-malowniczy szmat czasu, można by rzec — o wiele bardziej przemawiającą do uczucia niżeli chociażby suche pół tuzina. Siedział przy wszystkich siedmiu stołach jadalni, mniej więcej przez rok przy każdym. W końcu zajmował miejsce przy gorszym stole rosyjskim, obok dwu Armeńczyków, dwu Finów, Bucharyjczyka i Kurda. Zapuścił tymczasem małą bródkę, jasnoblond bródkę dość nieokreślonego kształtu; musimy ją uważać za dowód pewnej filozoficznej obojętności wobec własnego wyglądu. Musimy nawet pójść dalej i skłonność jego do zaniedbywania własnej osoby powiązać z taką skłonnością, którą otaczający go świat miał w stosunku do niego. Władza zwierzchnia przestała dlań obmyślać rozrywki. Radca już dość rzadko z nim rozmawiał, jeśli nie liczyć retorycznego i sumarycznego porannego pytania, czy dobrze spał. Podobnie zachowywała się Adriatica von Mylendonk (w czasie, o którym mówimy, miała na oku dojrzały jęczmień), która, ściśle rzecz biorąc, mówiła z nim rzadko lub wcale nie. Zostawiono go w spokoju — trochę jak ucznia, któremu przysługuje ten szczególnie miły przywilej, że nauczyciele go nie pytają i że nie potrzebuje nic robić, ponieważ jest rzeczą postanowioną, że zostanie na drugi rok, więc machnięto na niego ręką. Dodajmy, że wolność, jakiej doznawał, miała orgiastyczną postać, ale zadajmy sobie też pytanie, czy wolność może kiedykolwiek mieć inną postać? W każdym razie władza zwierzchnia nie miała potrzeby zajmować się nim zbyt troskliwie, widziała bowiem, że w jego piersi nie dojrzeją już żadne dzikie, buntownicze postanowienia, że jest człowiekiem pewnym i skończonym, który nie wiedziałby, co ma robić z sobą poza zakładem, nie był w ogóle zdolny myśleć o powrocie na równinę... Czyż niedbałość, z jaką go traktowano, nie wyrażała się choćby w tym, że został przeniesiony do gorszego rosyjskiego stołu? Stołowi temu nie chcemy zresztą przez to bynajmniej ubliżyć! Między siedmiu stołami nie było żadnych uchwytnych różnic. Stanowiły, wyrażając się śmiało, demokratyczny zespół stołów, z których każdy był zaszczytny. Przy wszystkich podawano te same przeobfite posiłki; przy każdym po kolei siadywał sam Radamantys i spletał przed talerzem olbrzymie swe dłonie. Przy wszystkich jadali ludzie różnych szczepów będących szanownymi członkami ludzkości, choć nie znały łaciny i nie zachowywały się zbyt wytwornie przy jedzeniu. Czas jest podobny nie do zegarów na dworcach, których wskazówka posuwa się skokami, raz na pięć minut, lecz raczej do małych zegarków, których wskazówki poruszają się niewidocznie, albo do trawy, która rośnie niepostrzeżenie, aż pewnego dnia okazuje

się, że urosła! Czas jest prostą złożoną z samych nieprzeznaczonych punktów (tragicznie zmarły Naphta zapytałby tu prawdopodobnie, w jaki sposób szereg nieprzeznaczonych wytworzyć może linię). Owóż czas, pełnąc we właściwy sobie niedostrzegalny, tajemniczy, a przecie niezmierny sposób, nie przestawał dokonywać zmian. Na przykład chłopiec imieniem Teddy przestał pewnego dnia być chłopcem; mówimy „pewnego dnia”, choć dnia tego naturalnie niepodobna określić. Panie nie mogły go już brać na kolana, kiedy czasami wstawał, zamiast podzamy wkładał sportowe ubranie i schodził na dół. Zanim się spostrzeżono, karta odwróciła się, teraz przy takich okazjach on brał owe panie na kolana i sprawiało to obu stronom taką samą, a nawet większą przyjemność. Stał się, jeśli nie kwitnym, to w każdym razie wybujałym młodzieńcem; Hans Castorp nie widział tego, co się z Teddym działo, aż zobaczył to, co się już stało. Zresztą czas i rośnięcie nie wyszły Teddy’emu na zdrowie, nie był do tego stworzony. Rozstał się z tym światem — umarł w dwudziestym pierwszym roku życia wskutek choroby, do której miał dyspozycję i w pokoju jego zrobiono gruntowne porządki. Opowiadamy o tym ze spokojem, bo pomiędzy jego nowym a dotychczasowym stanem nie było wielkiej różnicy.

Zdarzały się też ważniejsze, na równinie zachodzące wypadki śmierci, które bliżej obchodziły naszego bohatera, a przynajmniej dawniej byłyby go bliżej obeszły. Mówimy o niedawnym zgonie starego konsula Tienappla, wuja-dziadka i opiekuna Hansa. Zacierał się już teraz w pamięci siostrzeńca. Choć wystrzegał się starannie niekorzystnych dla zdrowia zmian ciśnienia atmosferycznego i pozostawił to wujowi Jamesowi, aby narażając się na nie nie kompromitował się, przecież nie uniknął ataku apopleksji. Telegraficzna, krótka, ale ostrożnie i delikatnie sformułowana wiadomość o zgonie zastała Hansa Castorpa na wygodnym leżaku — ostrożnie i delikatnie była ułożona raczej ze względu na zmarłego niż na tego, kto wiadomość miał otrzymać. Hans Castorp zakupił papier listowy z czarną obwódką i odpisał wujomkuzynom, że on, sierota bez ojca i matki, czuje się teraz raz jeszcze, potrójnie już, osierocony, a ból jego jest tym większy, że nie wolno mu pod żadnym warunkiem przerwać tutejszego pobytu i nie może oddać ostatniej posługi wujowi.

Mówić tu o żałobie byłoby upiększać rzeczywistość, ale bądź co bądź oczy Hansa Castorpa miały w owych dniach wyraz bardziej zamyślony niż zwykle. Śmierć ta nigdy nie miałaby dla niego większego uczuciowego znaczenia, a lata rozłąki zmniejszyły je nieledwie do zera, jednakże przecinała jeszcze jedną nić, jeszcze ostatnie więzy łączące go z równiną i sprawiała, że to, co Hans Castorp nazywał słuszną wolnością, stało się teraz całkowite. Rzeczywiście, w tych końcowych czasach, o których mówimy, zniknęły resztki kontaktu, jaki miał dotąd z niziną. Nie wysyłał ani nie otrzymywał żadnych listów. Nie sprowadzał już stamtąd

cygar marki „Maria Mancini”. Znalazł tu w górze inną markę, która mu odpowiadała i której był równie wierny jak niegdyś tamtej przyjaciółce. Był to wyrób, który nawet podbiegunowym podróżnikom mógł być pomocny w znoszeniu trudów, bo gdy się go paliło, miało się wrażenie, że leży się na brzegu morza — i można było wszystko wytrzymać! Było to dobre cygaro, zwane „Rütlichwur”, krótsze nieco niż Maria, koloru mysiego, z niebieskawą opaską, łagodne i miłe, tworzące gęsty i biały jak śnieg popiół, w którym znać było żyłkowanie wierzchniego liścia; spalało się tak równo, że mogłoby naszemu młodzieńcowi posłużyć zamiast klepsydry do mierzenia czasu, a nawet, gdy było potrzeba, służyło mu do tego celu, bo już nie nosił swego kieszonkowego zegarka. Zepsuł się, spadł pewnego razu z nocnego stolika, a on nie oddał go do naprawy i nie dał go znowu wprawić w okrężny ruch mierzący czas — z tych samych względów, z jakich rezygnował z posiadania kalendarza, zarówno takiego, w którym codziennie zdziera się kartki, jak i takiego, który poucza, kiedy wypadają takie czy inne dni i święta: uczynił to więc na cześć „wolności”, na cześć przechadzki po wybrzeżu, wiecznego trwania i hermetycznego czaru, na który on — obcy sprawom ziemskim — okazał się podatny i który stał się podstawową przygodą jego duszy, tłem, na którym w tej prostej opowieści rozegrały się wszystkie alchemistyczne przygody.

Tak miały się jego sprawy i w tych warunkach pośrodku lata przyszła — choć nie pamiętał o niej — siódma rocznica jego przyjazdu.

Wtem zagrzmiało —

Ale wstyd i nieśmiałość nie pozwalają nam rozwodzić się szeroko nad tym, co się rozległo i wydarzyło. Tylko bez przechwałek i bez blagi! Spuśćmy z tonu i powiedzmy, że zagrzmiał dobrze nam znany grom, ogłuszająca detonacja nagromadzonej od dawna złowróznej mieszaniny ośpienia i rozdrażnienia — mówiąc z pewnym respektem, historyczny grom, który wstrząsnął podstawami ziemi, dla nas jednak dokonał tego, że rozbił czarodziejską górę i poza jej bramy wyrzucił niepoprawnego śpiocha. Siedzi teraz zdumiony, rozgląda się i przeciera oczy, jak ktoś, kto mimo niejedno upomnienie nie czytywał gazet.

Śródziemnomorski przyjaciel i nauczyciel starał się od dawna poniekąd temu zaradzić i w ogólnych zarysach pouczyć swego utrapionego wychowanka o tym, co się dzieje na dole, ale niewiele znajdował posłuchu. Bo ten królując snuł sobie myśli o duchowych cieniach rzeczy, ale na rzeczy same nie zwracał uwagi, gdyż pycha kazała mu brać cienie za rzeczy, a w rzeczach widzieć tylko cienie. Nie należy go nawet zbyt ganić z tego powodu, albowiem stosunek obu tych światów nie jest ostatecznie wyświetlony.

Nie działo się już teraz tak jak dawniej, gdy pan Settembrini zapaliwszy znie-  
nacka światło siedział przy łóżku Hansa Castorpa, skazanego na pozycję poziomą,  
i usiłował korygować jego poglądy na sprawy życia i śmierci. Teraz, przeciwnie, to  
Hans Castorp siadywał z dłońmi wciśniętymi między kolana u łóżka humanisty  
w małej sypialni lub też za dnia w zacisznej mansardowej pracowni z krzesłami kar-  
bonariusza i karafką na wodę; dotrzymywał mu towarzystwa i słuchał uprzejmie  
rozważań o światowej sytuacji politycznej. Pan Lodovico leżał bowiem teraz prze-  
ważnie w łóżku. Niesamowita śmierć Naphty, terrorystyczny czyn zrozpaczonego  
opozycjonisty był ciężkim ciosem dla jego wrażliwej natury, po którym nie mógł  
przyjść do siebie i zapadł w stan wielkiego wyczerpania i osłabienia. Urwała się  
współpraca w „Socjologii cierpienia”, encyklopedia wszystkich dzieł literatury  
pięknej mających za przedmiot cierpienie ludzkie nie posuwała się naprzód. Liga  
Organizacji Postępu czekała nadaremno na zamówiony przez nią tom encyklopedii,  
pan Settembrini musiał ograniczyć swe współdziałanie z ową Ligą do ustnych  
wykładów, a jedyną do tego sposobnością były dlań przyjacielskie wizyty Hansa  
Castorpa.

Mówił głosem słabym, ale wiele, pięknie i serdecznie o doskonaleniu się ludz-  
kości na drodze społecznej. Mowa jego była najpierw gołębio łagodna, ale wkrótce,  
gdy poruszał na przykład temat jednoczenia się wolnych narodów dla osiągnięcia  
powszechnej szczęśliwości, przenikał do jego słów — choć sam tego nie chciał i nie  
wiedział o tym — jakby szum orlich skrzydeł; był w tym bez wątpienia wpływ poli-  
tyki, dziedzictwa po dziadku, która zespoliła się z humanistycznym dziedzictwem  
po ojcu i w osobie jego, Lodovica, przyjęła postać literatury pięknej. Podobnie  
łączył się humanizm z polityką, głosząc podniosłą koncepcję cywilizacji, koncepcję  
o gołębiej łagodności a orlej potędze, i czekając, kiedy nadejdzie jej dzień i zaświta  
jutrzienka ludów, kiedy skończy się panowanie zasady bezwładności i powstanie  
Święte Przymierze demokracji... Słowem, nie wszystko było tu z sobą w zgodzie.  
Pan Settembrini był człowiekiem humanitarnym, ale przy tym i właśnie na skutek  
tego usposobiony był wojowniczo, choć na wpeł tylko dawał temu wyraz. W pojedy-  
nku z paradoksalnym Naphta zachował się jak przystało na człowieka, ale wobec  
wielkich spraw, w których humanitaryzm łączy się w entuzjastycznym porywie  
z polityką, aby wytworzyć ideę zwycięstwa i panowania cywilizacji, i przychodzi  
czas złożenia piki na ołtarzu ludzkości, stawało się wątpliwe, czy on sam, choć nie  
osobiście, nie zechce umoczyć rąk we krwi; wewnętrzne okoliczności sprawiały, że  
nawet w pięknym sposobie myślenia pana Settembriniego wybijała się coraz wyraź-  
niej na plan pierwszy orla odwaga z uszczerbkiem dla gołębiej łagodności.

Jego stosunek do wielkich konstelacji politycznych świata bywał nieraz niekon-

sekwentny, pełen skrupułów i niezdecydowany. Niedawno, półtora czy dwa lata temu, niepokoiło go dyplomatyczne współdziałanie jego ojczyzny z Austrią w sprawie Albanii; podnosiło go na duchu, bo było skierowane przeciw nieznającej łaciny pół-Azji, knutom i Schlüsselburgowi, ale jednocześnie niepokoiło go, jako niepożądane przymierze z dziedzicznym wrogiem, z zasadą bezwzględności i uciemnienia narodów. Poprzedniej jesieni równie sprzeczne uczucia wzbudziła w nim wielka pożyczka, której Francja udzieliła Rosji na rozbudowę linii kolejowej w Polsce. Pan Settembrini należał bowiem w swym kraju do stronnictwa frankofilskiego, co nie może dziwić, jeśli się zważy, że dziadek jego dnia rewolucji lipcowej stawiał na równi z dniem stworzenia świata; ale z drugiej strony o przyjaźni oświeconej republiki z bizantyńską Scytią myślał ze ściśniętym sercem; bo nie godziła się z jego pojęciami moralnymi — jednakże znów budziła w nim nadzieję i radość, gdy uświadamiał sobie, że ową sieć kolejową budowano ze względów strategicznych. Potem nastąpił zamach na księcia, bojowe hasło dla wszystkich, prócz niemieckich szpiechów, wyraźny znak dla świadomych głów, do których słusznie należy zaliczyć pana Settembriniego. Hans Castorp widział, że jako człowiek prywatny Włoch wzdrygał się przed tym aktem terroru, że jednak radość rozpięra jego pierś na myśl, iż dokonano czynu narodowego i wolnościowego, zwróconego przeciw bastionom znienawidzonej przezeń potęgi; co prawda, że ściśniętym znów sercem w czynie tym musiał widzieć owoc starań moskiewskich. Niemniej w trzy tygodnie później ultimatum postawione Serbii przez monarchię uznał za obrazę ludzkości i straszliwą zbrodnię ze względu na następstwa, które przewidywał jako wtajemniczony i które w wielkim podnieceniu powitał...

Krótko mówiąc, uczucia pana Settembriniego były bardzo złożone, podobnie jak zbliżające się groźne wydarzenia. Widział, jak szybko zbierają się chmury, i usiłował wychowankowi otworzyć na nie oczy; robił to zresztą półsłówkami, bo od pełnej szczerości powstrzymywało go coś jakby narodowa grzeczność i litość. W dniach pierwszych mobilizacji, pierwszych wypowiedzeń wojny przyjął zwyczaj wyciągania do gościa obu rąk i ściskania obu jego dłoni; chwyciło to za serce naszego głuptaska, choć nie bardzo rozumiał, o co chodzi. — Przyjacielu! — mówił Włoch — proch strzelniczy, prasa drukarska — to wasze wynalazki niewątpliwie! Ale jeśli pan sądzi, że ruszymy przeciw rewolucji... Caro...

Podczas dni dusznego oczekiwania, które trzymały w napięciu i torturowały nerwy Europy, Hans Castorp nie widywał Settembriniego. Rozwydrzone dzienniki wtargnęły bezpośrednio z nizin na jego balkon, wstrząsnęły całym zakładem, napełniły salę jadalną zapierającą oddech wonią siarki i dostały się nawet do pokoiów ciężko chorych i oczekujących śmierci. Były to chwile, w których legendarny

śpioch\* budzi się powoli nie wiedząc, co się stało, i przecierając oczy podnosi się z trawy... Doprowadźmy to porównanie do końca, aby w ten sposób przedstawić jak należy rozwój uczuć naszego bohatera. Podciągnął pod siebie nogi, wstał, rozejrzył się dokoła. Zrozumiał, że czar prysł, że jest wyzwolony, uwolniony. Przyznać musiał ze wstydem, że stało się to bez udziału jego woli, dzięki działającym z zewnątrz żywiołowym mocom, dla których uwolnienie go było czymś najzupełniej ubocznym. Ale choćby nawet jego własny, drobny los był niczym w porównaniu z losem świata — to czyż nie przejawiała się w tym boska dobroć i sprawiedliwość, ku niemu osobiście się zwracająca? Jeśli życie przyjmowało z powrotem swe grzeszne, utrapione dziecię — to nie mogło się to stać byle jak, lecz tylko w ten właśnie sposób, poważnie i surowo, jako dopust Boży, który w tym wypadku dla grzesznika znaczył może nie tyle co życie, tyle jednak co trzy honorowe salwy. Padł tedy na kolana, wznosił twarz i ręce ku niebiosom, które były wprawdzie przesłonięte groźnymi chmurami, ale nie były już sklepieniem groty w górze grzechu.

W tej sytuacji zastał go Settembrini; należy to naturalnie rozumieć bardzo przenośnie, bo w rzeczywistości, jak wiemy, powściągliwość obyczajów naszego bohatera wykluczała podobnie teatralne sceny. W rzeczywistości mentor zastał go przy pakowaniu kufrów — od chwili bowiem obudzenia Hans Castorp znalazł się w wirze dzikich odjazdów, wywołanych przez grom, który uderzył w nizinę. „Ojczyzna” przypominała mrowisko w panice. Ludzie przebywający tu w górze śpieszyli na łeb, na szyję o pięć tysięcy stóp w dół, w krainę dopustu bożego, wisząc na stopniach wagonów, bez pakunków, jeśli zachodziła tego potrzeba, których stopy zalegały peron. Zdawało się, że swąd spalenizny przedostaje się z nizin i obejmuje rojący się od tłumy dworzec. Hans rzucił się za innymi. W tłoku uścisnął go Lodovico, zamknął go dosłownie w swe ramiona i ucałował w oba policzki, jak południowiec (czy też jak Rosjanin?), co mimo gorączkowego podniecenia nie mało zażenowało naszego podróżnika. A w ostatniej chwili tego dzikiego odjazdu o mało nie stracił panowania nad sobą, gdy pan Settembrini nazwał go po imieniu, mianowicie „Giovanni” — i potem, zaniechawszy zwykłej, używanej przez cywilizowany Zachód formy, zaczął mówić mu „ty”!

— E cosi in giù — rzekł — in giù finalmente! Addio, Giovanni mio!\* Nie takiego wyjazdu pragnąłem dla ciebie, ale może właśnie dlatego bogowie postanowili to tak, a nie inaczej. Spodziewałem się, że cię wyślę do pracy, tymczasem będziesz walczył pośród swoich. Mój Boże, tobie to było przeznaczone, a nie

---

\* Aluzja do podania o Siedmiu Braciach Śpiących.

\* E cosi in giù... (wł.) — Tak więc na dół, wreszcie na dół! Żegnaj, mój Janie!

naszemu porucznikowi. Jak dziwnie życie się plecie... Walcz dzielnie w szeregach tych, z którymi cię łączą więzy krwi! Więcej nikt dziś zrobić nie może! A mnie przebacz, jeśli resztki sił swych zużyję na to, by i moją ojczyznę pchnąć do walki po tej stronie, którą wskazuje duch narodu i jego święte samolubstwo! Addio!

Hans Castorp wsunął głowę między dziesięć innych, wypełniających ramę okna. Skinął ponad nimi. Pan Settembrini żegnał go ruchem prawej ręki, serdecznym palcem lewej z lekka dotykając kącika oka.

Gdzie jesteśmy? Cóż to jest? Dokąd uniósł nas sen? Zmierzch, deszcz i brud, łuna na ponurym niebie, nieustanny ryk ciężkich grzmotów napęlniających wilgotne powietrze, rozdzierane przeraźliwym gwizdem, wściekłym, piekielnym, pędzącym wyciem, które kończy się trzaskiem i błyskiem, fontanną ziemi i ognia, jękami i krzykiem, metalicznym dźwiękiem, a jednocześnie wtórem bębnow, nagłym do coraz większej szybkości... Oto las, z którego wylewa się bezbarwna chmara ludzka, biegną, padają i zrywają się. Oto pasmo wzgórz na tle dalekiej pożogi, której żar wybucha raz po raz płomieniami. Dokoła nas faliste orne pola, poryte i rozmiękle. Szosa błotnista i niczym las pokryta odłamkami gałęzi, zorana głębokimi brzdami, bezdenna polna droga odbiega od niej łukiem ku wzgórzom, w zimnym dżdżu sterczą kikuty drzew, nagie, pozbawione gałęzi...

Tu stoi drogowskaz — lecz po co go pytać? Mrok uczyniłby pismo nieczytelnym, gdyby nawet deski z napisem nie przeszył na wskroś pocisk. Wschód czy zachód? To równina, to wojna. A my jesteśmy nieśmiałyimi cieniami przy drodze, zawstydzeni tym, że jako cienie jesteśmy bezpieczni, ani więc nam w głowie samochwalstwo i błaga; przywiódł nas tu duch naszej opowieści, abyśmy jednemu z tych szarych, biegnących, padających, naprzód gnanych żołnierzy, którzy wychylają się z lasu, abyśmy spojrzeli w twarz jednemu z nich, który nam towarzyszy od tylu lat, grzesznikowi, którego głos słyszeliśmy tak często — abyśmy spojrzeli raz jeszcze w jego prostoduszną twarz, zanim stracimy go z oczu.

Rzucono ich w bój, by rozstrzygnęli ostatecznie całodzienną bitwę, której celem było zdobycie straconej przed dwoma dniami pozycji na wzgórzach i płonących za nimi wiosek. Jest to pułk ochotniczy, młodzież sama, przeważnie studenci, od niedawna dopiero w polu. Zaalarmowano ich w nocy, jechali koleją do rana, a potem maszerowali w deszczu po zniszczonych drogach, a raczej bezdrożami, bo szosy były zapchane. Szli więc po polach i bagnach, przez siedem długich godzin, w ciężkich od deszczu płaszczach, w rynsztunku szturmowym, nie był to, zaiste, przyjemny spacer, bo kto nie chciał zgubić po drodze butów, musiał się nieledwie co



krok pochylać, chwytać palcami za cholewy i wyciągać nogi z rozmokłego gruntu. Godzinę trwało, nim przeszli małą łączkę. Teraz jednak doszli już tutaj, młodość zwyciężyła wszystkie trudności, ciała podniecone, już wyczerpane, ale trzymane w napięciu przez najgłębsze zasoby życia, nie pytają o wzbroniony spoczynek ani o pożywienie. Wilgotne, zbryzgane błotem, paskiem hełmu obramowane twarze płoną pod hełmami w szarych pokrowcach. Płoną z wysiłku i na widok strat, jakie ponieśli przechodząc przez bagnisty las. Bo wróg wiedząc, że nadchodzą, otworzył ogień zaporowy szrapneli i granatów wielkiego kalibru, które już w lesie uderzały i pękały pośród ich drużyn, a i teraz wyją, bryzgają, płoną na szerokim ugorze.

Ale muszą go przejść, te trzy tysiące rozgorączkowanych chłopców, ta rezerwa, która swymi bagnetami ma rozstrzygnąć atak na okopy przed pasmem wzgórz i poza nimi aż do płonących wsi i ma posunąć się do punktu oznaczonego w rozkazie spoczywającym w kieszeni dowódcy. Jest ich trzy tysiące po to, aby ich było dwa tysiące, gdy dojdą do wzgórz i wsi; dlatego jest ich tak wielu. Stanowią jedno ciało, którego celem jest, by mimo wielkie straty móc jeszcze działać i zwyciężyć, i zwycięstwo powitać jeszcze okrzykiem wydanym przez tysięczne głosy — stanowią jedno ciało, bez względu na tych, którzy się odeń oddzielili padając. Niejeden już się oddzielił, padł w forsownym marszu, do którego okazał się za młody i za słaby; bladł i chwiał się, zbierał zaciekle ostatki sił, a jednak w końcu zostawał w tyle. Wlókł się jeszcze przez chwilę obok kolumny marszowej, mijany kolejno przez wszystkie oddziały, aż zniknął, padał tam, gdzie nie powinien był. A potem był ów las pełen pękających granatów. Jednak w kolumnie zostało jeszcze wielu; trzy tysiące mogą znieść upust krwi i pozostać wciąż jeszcze rojącym się tłumem. Zalali już chłostaną pociskami, od deszczu rozmokłą przestrzeń, szosę, drogę polną, błotniste pola; my, przydrożne cienie patrzące na nich, jesteśmy pośród nich. Na skraju lasu wyćwiczonymi ruchami nakładają bagnety, trąbki przynaglają ich, bębny biją i huczą głębokim grzmotem — i niebawem runą naprzód jak kto może, z ostrym krzykiem, z nogami ciężącymi jak zły sen, bo niezgrabne buty oblepione są ciężkimi jak ołów grudami ziemi.

Rzucają się na ziemię przed nadlatującymi z wyciem pociskami, by za chwilę znów się zerwać i śpieszyć dalej, z młodzieńczym okrzykiem odwagi, bo pociski ich nie trafiły. A trafieni potem w czoło, w serce, we wnętrzości, padają trzepocząc rękami, leżą twarzami w błocie, już bez ruchu. Leżą, plecami wsparci o tornistry, z głowami wciśniętymi w bagno, z palcami jak szpony zakrzywionymi, chwytając powietrze. Lecz z lasu nadciągają inni, którzy rzucają się na ziemię, zrywają się i między tymi, którzy padli, biegną z krzykiem czy w milczeniu.

Młodzież z plecakami i bagnetami, w brudnych płaszczach i butach! Humanistyczny pięknoduch patrząc na nią wymarzyłby sobie inny obraz, wyobraziłby sobie młodych ludzi, jak pławią konie w zatoce morskiej, jak przechadzając się na brzegu z ukochanymi, szepczą, zbliżają usta do uszu gibkich oblubienic albo jak po przyjacielsku, uszczęśliwieni, uczą się wzajem strzelania z łuku! Zamiast tego leżą tu, z nosem w ognistym błocie. A że czynią to radośnie, choć w bezgranicznym lęku i niewypowiedzianej tęsknocie za domem matczynym — to inna już sprawa, wzniosła i zawstydzająca, która jednak nie uzasadnia tego, by ich narażano na takie męki.

Oto nasz dobry znajomy, oto Hans Castorp! Poznaliśmy go już z daleka po bródce, która mu urosła, gdy siedział jeszcze przy gorszym stole rosyjskim. Pała, choć przemoczony do nitki, jak wszyscy. Nogi mu ciężą z powodu grud ziemi, ale biegnie z bagnetem w zwisającej pięści. Patrzcie, nastąpił na rękę koledze, który padł — wdeptuje ją podkutymi butami w błotnisty, odłamkami gałęzi pokryty grunt. A jednak to on. I co takiego — śpiewa! Nuci tak czasem człowiek osłupiały w beznamiętnym podnieceniu, nie wiedząc, że to robi — i tak on zużywa swój rwący się oddech, by sobie podśpiewywać:

Niejedno miłe słowo  
Jam wyrył w korze jej —

Pada. Nie, rzucił się tylko na ziemię, albowiem nadlatuje wyjąć piekielny pies, olbrzymi granat, diabelska głowa cukru. Leży twarzą w chłodnym błocie, z rozstawionymi nogami, odwrócone stopy wbija obcasami w ziemię. A twór zdziczałej nauki, naładowany tym, co najokropniejsze, pada jak szatan o trzydzieści kroków na ukos przed nim, zarywszy się głęboko w grunt, pęka tam z okropną mocą i wybucha wysoką fontanną ziemi, ognia, żelaza, ołowiu i rozerwanych ciał ludzkich. Leżeli tam dwaj przyjaciele, którzy przytulili się do siebie w potrzebie; teraz zmieszali się z sobą i zniknęli.

O, wstydzmy się my, którzy będąc cieniami jesteśmy bezpieczni! Przerwijmy naszą opowieść! Czy nasz znajomy został trafiony? Sądził przez chwilę, że tak. Ogromna gruda ziemi uderzyła go w udo, zabołało mocno, ale to nic. Zrywa się, zatacza się kulejąc, nogi mu ciężą i śpiewa nieprzytomnie:

A po-szum jej gałą-ęzi  
Jak gdy-by wołał mnie —

I tak w zgiełku, w deszczu, w zmierzchu znika nam z oczu.

Bądź zdrów, bądź zdrów, ty poczciwy utrapieńcze! Opowieść o tobie już skoń-

czona! Opowiedzieliśmy ją do końca; nie była ani zajmująca, ani nudna, była opowieścią hermetyczną. Opowiadaliśmy ją dla niej samej, a nie dla ciebie, który byłeś istotą nieskomplikowaną. Lecz w końcu stała się przecie opowieścią o tobie: treść jej musiała mieć związek z tobą, skoro tobie się wydarzyła. I nie myślimy zaprzeczyć, że w jej przebiegu powzięliśmy dla ciebie pewną skłonność pedagogiczną, sprawiającą, iż mogliśmy końcem palca dotknąć z lekka kącika oka na myśl, że już nie będziemy cię w przyszłości widzieć ni słyszeć o tobie.

Żegnaj więc — bez względu na to, czy żyć będziesz, czy też padniesz. Złe masz widoki na przyszłość, straszliwy tan, który cię porwał, potrwa jeszcze dobrych parę latek i nie założylibyśmy się, czy wyjdiesz z tego cało. Szczerze mówiąc, pozostawiamy beztrasko kwestię tę otwartą. Przygody cielesne i duchowe wzbogaciły twą prostoduszność i pozwoliły ci duchem przetrwać czas, którego zapewne nie przetrwasz ciałem. Miałeś chwile wieszczego królowania, w których ze śmierci i wyuzdania cielesnego wyrasta twój sen o miłości. Czy z tych śmiertelnych zapasów, z gorączkowej orgii, która wokół ciebie zapala teraz dżdżyste niebo wieczorne, zrodzi się również kiedyś miłość?

FINIS OPERIS

## Droga do Berghofu

### I

Lubeka była starym miastem hanzeatyckim, siedzibą żeglarzy, szkutników i kupców. Całe pokolenia pracowały na jej bogactwo, a ponieważ także historia okazała się łaskawa i oszczędziła wąskim, zbiegającym się koncentrycznie uliczkom poważniejszych wojennych wstrząsów, zebrało się tu z biegiem stuleci wiele okazałych fortun. Stare rodziny patrycjuszowskie żyły prawdziwie po książęcemu i jak książęta traktowano ich kolejnych potomków — spokojnych, dobrze wychowanych, zawsze jakby trochę sennych ludzi, nawykłych do okazałych posiłków przy masywnych dębowych stołach, pełnych niezachwianej pewności, iż świat urządony jest tak właśnie, jak należy, a oni — senatorzy, właściciele wielkich firm spedycyjnych, handlarze zboża — przyczyniają się swoją pracą do zachowania i utwierdzenia tego błogosławionego porządku. Wiara protestancka umacniała ich w głębokim, bo podbudowanym praktyczną metafizyką poczuciu słuszności tego sposobu życia; instytucje oświatowe i wychowawcze dbały o to, by kolejne pokolenia od początku już pojmowały właściwie swoje zadania; życie kulturalne miasta rozweselało i usypiało operetkami i towarzyskimi polemikami krytyków teatralnych. Ze świata docierało tu niewiele. Dwie miejscowe gazety powtarzały za ledwie dalekie echa głosów europejskich metropolii, interesującymi aktualnościami były tylko notowania giełdowe, a jedyna miejscowa księgarnia splajtowała po kilku latach istnienia.

Na swój sposób prezentowała Lubeka dobrotliwy model mieszczaństwa. Brakło jej wewnętrznego niepokoju, koniecznego dla heroicznych gestów, brakło możliwości powstania napięć między artystyczną bohemą a zasiedziałymi kamienicznikami, brakło wreszcie (poza rokiem 1848) większych konfrontacji politycznych czy społecznych. Kiedy w 1884 roku umarł Emanuel Geibel, jedyny poeta, jakiego wydało to senne miasto — autor prostych i niezwykle popularnych ballad — sprzedawczyni ryb na miejscowym targu miała podobno zapytać: „A kto będzie teraz poetą? Kto dostanie tę posadę?”

Dwaj bracia zrodzeni w tej atmosferze jako potomkowie jednej z najszacowniejszych lubeckich rodzin czuli się przytłoczeni spokojem i niezmiennością. Czas był zresztą taki, że młodzież skłaniała się raczej do artystycznego buntu, choćby tylko na pokaz, niż do potulnej pracy w kantorach ojców. Tomasz i Henryk Mannowie wcześniej podjęli próby literackie, wcześniej też — choć dopiero po śmierci ojca — rozpoczęli samodzielne życie. Starszy, Henryk (ur. 1870), był człowiekiem bardziej bezkompromisowym, naturą nieuładzoną, ostrym krytykiem stosunków mieszczańskich, od których uciekał w cygańskie życie wielkich miast. Pociągała go kultura śródziemnomorska, jej lekkość, jej tylko właściwy rodzaj harmonii; francuskie „esprit” cenił znacznie wyżej od spekulacji niemieckich filozofów. Po krótkim okresie dekadenczkich wahań poszedł tą właśnie drogą — pełen rozluźnienia, swobody, ale i nieprzejednany w kwestiach zasadniczych, zwolennik francuskich ideałów demokratycznych, wielbiciel Emila Zoli, Stendhala, przyjaciel Romain Rollanda.

Młodszy z braci, Tomasz Mann (ur. 1875), wybrał inny szlak. Z natury spokojny, refleksyjny, skłonny do zamyśleń i oddzielania się od świata ochronną warstwą fantazji, był typowym dzieckiem swego kraju i swego miasta. Ukształtował go krajobraz północnoniemiecki z uspokajającym, łagodzącym przeciwieństwa widokiem morza na horyzoncie; obyczaje domu rodzinnego i zachowany w pamięci wzór ojca na całe życie zaszczyliły w nim mieszczańskie poczucie obowiązku i tęsknotę za porządkiem; wąskie uliczki Lubeki wywierały na niego wpływ nawet wtedy, gdy w latach czterdziestych osiedlił się na stałe w Kalifornii. Nosił ze sobą swoje pochodzenie, w przeciwieństwie do starszego brata nie zamierzał mu przeczyć, a co więcej — w nim właśnie odnajdywał główne motywy artystyczne.

Pierwsze kroki literackie utwierdziły go w tym przekonaniu. Wydał debiutancki tom nowel, w planach i częściowo na papierze miał już dalsze. Otwierała się przed nim wymarzona przyszłość pisarskiego sukcesu. Jedno może tylko mąciło ten jasny obraz. Niewyraźne, nie do końca sprecyzowane, nieuchwytnie właściwie wyrzuty sumienia mieszczanina. Nie należy słowa tego pojmować zupełnie dosłownie. „Mieszczanin” — pojęcie obrosłe w kulturze europejskiej olbrzymią, wielowarstwową i wieloznaczną tradycją — to był w rozumieniu Manna ktoś, kto potrafił żyć chwilą i dniem, żyć dla życia, nie zaś dla wątpliwych, nieuchwytnych i jakże często podejrzanych moralnie efektów artystycznych, jakie z życia można było wysublimować. Byt mieszczanina był wolny od artystycznych wątpliwości i literackiej obecności wobec życia ogółu: tego właśnie zazdrościł młody pisarz swoim jasnowłosym rówieśnikom z Lubeki, którzy poszli normalną drogą kupieckiej czy urzędniczej kariery, ale też, z tego samego powodu, czuł się od nich wyższy — wyższy talentem, siłą umysłu, powołaniem pisarza. Chciał być artystą i mieszczani-

nem zarazem, mimo że wiedział, jak bardzo nie do pogodzenia są te przeciwieństwa. Kusiły go rozkosze przeciętności, a jednocześnie wiedział, że nie zasmakuje ich, dopóki nie wyrzeknie się pasji wyrażania tych tęsknot w literaturze. Innej, pośredniej drogi — sądził wówczas — nie było.

Tak więc pierwsza jego wielka powieść, „Buddenbrookowie” (1901), napisana w olbrzymim natężeniu, opublikowana mimo sprzeciwów przerażonego jej objętością wydawcy i wkrótce już czytana przez setki tysięcy Niemców, traktowała o stopniowym rozpadzie owej sfery, do której tak wiele go ciągnęło: o dezintegracji i zamieraniu ducha mieszczańskiego, chorego, by tak rzec, na artyzm. Historia trzech pokoleń Buddenbrooków była w istocie ubraną w powieściowy kostium historią rozpadu lubeckiej rodziny Mannów, która dlatego właśnie zatracić musiała swój patrycjuszowski charakter, że dwaj najstarsi jej synowie woleli pisać o patrycjuszach, niż kontynuować ich tradycje: smutna, nie pozbawiona tęsknoty i sentymentu refleksja nad formami życia, które wrócić już nie mogły. Starszy z braci oglądał je z ostrą i często napastliwą dociekliwością krytycznego obserwatora, młodszy — z pełnym zadumy smutkiem. Rację mieli obydwaj i razem — podkreślmy: razem właśnie — pisali kronikę zmierzchu niemieckiego XIX wieku.

Mijały lata, znaczone kolejnymi dziełami. Dwaj bracia utwierdzali w literaturze swoje pozycje jakże różnych w duchu i w poglądach humanistów. Kolejne powieści Henryka obnażały groteskowość mieszczańskiej społeczności ery wilhelmińskiej; kolejne nowele Tomasza stawały się lekturą obowiązującą całe pokolenia młodych mieszczan zabłąkanych w regiony muz, niechętnych jak i on sam polityce, zachowujących dystans wobec wszelkich problemów społecznych i z nieufnością patrzących na wszystko, co zakłócić mogło ów melancholijny stan wsłuchania w siebie. Młodszy z braci prędzej stał się sławny. Jako nadzieja niemieckiej prozy — ubrany z nieco rygorystyczną elegancją, pewien wyniesionych z domu manier, umiarkowanie romantyczny i umiarkowanie praktyczny — zjawił się w monachijskim domu profesora Pringsheima, wybitnego matematyka i kolekcjonera dzieł sztuki, by po niewielu miesiącach wyjść stamtąd z młodziutką żoną, Katią Pringsheim. Małżeństwo obiecywało mu mocne ramy moralnego i bytowego porządku, w których umieścić chciał cały swój artystyczny niepokój; pragnął, by poprzez połączenie w jednej osobowości dwóch biegunów — życia mieszczańskiego i pracy artystycznej — powstała choćby iluzja zniesienia przeciwieństw. Dopomóc mu w tym miały stałe, przestrzegane z feldfeblowskim rygiorem godziny pracy, uregulowany aż do przesady tryb życia, pozycja ojca coraz liczniejszych dzieci. Wrastał w społeczeństwo — czy może: powracał do niego — zachowując wciąż przywileje pisarza-obszawatora. A przecież nie wierzył nigdy do końca w możliwość całkowitego pojednania;

wiedział, że — jak Aschenbacha, bohatera „Śmierci w Wenecji” — i jego spotkać może owo ucieleśnione w postaci młodzieńczego Fajdrosa wezwanie do irracjonalnej otchłani.

## II

Czas był jednak niespokojny. Literatura drżała od obaw i napięć, które — jak wielu jej twórców słusznie przewidywało — były jedynie rezonansami wstrząsów na scenie europejskiej. Wiek XIX teraz dopiero, z kilkunastoletnim opóźnieniem, zbliżał się do swojej apokalipsy. Epoki trwają bowiem często dłużej, niż precyzuje to chronologia. Prawdziwy schyłek XIX-wiecznego mieszczaństwa niemieckiego, prawdziwy kres ery Buddenbrooków nadchodził wraz z rokiem 1914.

Jednym z nielicznych, którzy zrozumieli to w porę, był Henryk Mann — uważny obserwator i krytyczny sędzia stanów społecznych, który w mieszczaństwie niemieckim widział nie tyle idylliczną ciągłość tradycji rodzinnych, ile narastające symptomy zła: butnego, rozpanoszonego, a przede wszystkim bezmyślnego nacjonalizmu, wyznawanego przez miliony synów dobrych niemieckich rodzin. Jednego z nich uczynił bohaterem swojej satyrycznej powieści „Poddany”.

Druk jej jednak, mimo że rozpoczęty w 1913 roku, został wkrótce zawieszony. Duszna atmosfera przed burzą sprowadziła bowiem pierwszy grom: rozległ się on w sierpniu na moście w Sarajewie. W konsekwencji wybuchła wojna światowa. Jedni powitali ją z radością, jako możliwość oczyszczenia Europy z narosłych w ciągu minionych lat międzynarodowych niesprawiedliwości, inni od pierwszych już dni widzieli w niej jedynie ostateczny przejaw niemieckiej ekspansji.

W tym też krytycznym punkcie doszło do najostrzejszej konfrontacji między braćmi. Starszy żądał z całą zarliwością otwartości i uczciwości życia publicznego, pojmując przez to nie tylko ograniczenie wilhelmińskiej cenzury, ale — i przede wszystkim — otwarcie Niemiec dla świata, przyjęcie zdrowych wpływów kultury romańskiej z wszystkimi jej tradycjami demokratycznymi. Młodszy, przeciwnie, sądził, że Niemcy bronią w wojnie jedynie swego prawa do im tylko, tylko temu z natury swej „apolitycznemu” narodowi, właściwych form życia, do świadomego odcięcia od świata, zacisznego schronienia wśród muzyki Wagnera, filozofii Schopenhauera i Nietzschego, romantycznej poezji Eichendorffa. Zbyt blisko, zbyt intymnie i zbyt metafizycznie czuł się związany z ową niemiecko-średniowieczną atmosferą, pełną dürerowskiej melancholii, wagnerowskiego upojenia śmiercią i romantycznego zamyślenia. Ten świat ostać się mógł tylko na uboczu polityki,

z dala od wszelkiej innowacji, więcej: musiał bronić się przed innymi, a skoro tak — musiał być i agresywny, Siły szukał w ciemnych sferach ludzkiego bytu, gdzie romantyzm, choroba, śmierć i kult piękna wytwarzały tę jedyną, jak sądził Tomasz Mann, atmosferę, w której mógł oddychać Niemiec. Niemiec — człowiek z natury apolityczny.

Tak też, „Rozważania człowieka apolitycznego”, nazwał olbrzymi esej, w którym starał się wyłożyć istotę swych poglądów na sprawę niemiecką. Były to nie tylko zwierzenia intelektualne, ale i tekst polemiczny. W „Rozważaniach” bowiem zwracał się Tomasz Mann przeciwko adwersarzowi, którego nazwał „literatem świata cywilizowanego”, a którym był w istocie nie kto inny, jak jego starszy brat. W jego postawie i poglądach odnajdywał, jak mniemał, wszystko to, co prowadzić mogło do pozbawienia Niemców ich niemieckości, ich tradycji kulturalnych i dobroczynnych wpływów wielowiekowej historii. „Cywilizacja” oznaczała przecież nie co innego, jak zeuropeizowanie, ono zaś prowadzić musiało siłą rzeczy do zmieszania się kultur, zatarcia granic, zatracenia się tych wszystkich cech, które brały się z duchowej izolacji, a sprawiały, że Niemcy tak często uważali się za naród wyjątkowy.

Istoty tego stanowiska nie trzeba bliżej charakteryzować: był to skrajny nacjonalizm. U Tomasza Manna nie brał się on jednak z pobudek politycznych, a stanowił jedynie konsekwencję jego rozwoju intelektualnego, który z kolei musiał przejść i przez ten etap. Książka była nieaktualna, nim jeszcze została napisana, a sam jej autor zdawał się, im bliżej był ostatniego rozdziału, szukać raczej stanowiska pojedynczego, niż trwać uparcie na początkowych pozycjach. To jednak — zamiar zaiste olbrzymi, będący bowiem próbą analizy stanu ducha niemieckiego, intelektualną wędrówką wśród ekstremów, decydujących o jego rozwoju i zniekształceniach — zamierzał zrealizować w innej książce. Nosił się z myślą o powieści, która w na poły ironicznej, na poły eseistycznej formie przynosiłaby sumę przemyśleń i doświadczeń wojennych, a także łączyła je z całym tym szerokim kręgiem problemów, które fascynowały go wcześniej. Krótco przed 1914 rokiem rozpoczął przecież pracę nad nowelą, która zdawała się obiecywać konstrukcję na tyle mocną i przejrzystą, by zdołała ona — po urośnięciu do rozmiarów powieści — udźwignąć cały ten ciężar. W pierwotnym zamyśle nazywać się ona miała „Zaczarowana góra” („Der verzauberte Berg”); teraz, po latach, rękopis, który coraz częściej powracał na biurko Manna, nosił tytuł „Czarodziejska góra”.



### III

„Czarodziejska góra” — powieść o chorych i o chorobie, o zdrowiu fizycznym i duchowym, o życiu i śmierci: dwa bieguny, oznaczające całą rozpiętość Mannowskiego sposobu myślenia. Zdrowie bowiem oznaczało w tym systemie wartości normalność i przeciętność, choroba — odchylenie od nich, które nazywać się mogło nieszczęściem, często jednak oznaczało sublimację i geniusz. Życie było jedynie postępowaniem za nakazami zmysłów, śmierć — buntem wobec nich, buntem ducha przeciwko sferze fizycznej, a więc domeną intelektualną. Ekstremy nie występowały, rzecz jasna, w postaci czystej, choć wcześniej, bo już w „Buddenbrockach” zapowiedziana została ich wzajemna wrogość, rozwinięta potem, szczególnie w „Rozważaniach”, w zasadnicze przeciwieństwo jasności myślenia i metafizyki, romantyzmu i oświecenia, muzyki i polityki. Ludzie, którym przeznaczał Mann w swojej twórczości wyższe zadania artystyczne czy intelektualne, zawsze dotąd naznaczeni byli chorobą. Ostatecznym dopowiedzeniem była w tym kontekście nowela „Śmierć w Wenecji”, w której starzejący się pisarz, utrzymujący dotąd dzięki żelaznemu wysiłkowi woli harmonię życia i pracy, załamuje się wobec irracjonalnej pokusy, ucieleśnionej w postaci młodego polskiego chłopca, a skoro poddaje się jego woli, skoro — za nią — poddaje się także intelekt, również i ciało ulega, poddając się destrukcji i rozkładowi.

„Czarodziejska góra” stanowić miała początkowo ironiczne uzupełnienie „Śmierci w Wenecji”. Punktem wyjścia stało się autentyczne przeżycie pisarza, który, odwiedzając w Davos chorą żonę, nie tylko poznał przy tej okazji całe europejskie panoptikum zamożnych gruźlików, ale o mało nie pozostał wśród nich, kiedy lekarz naczelny i w jego płucach dopatrywał się jakichś podejrzanych śladów. Mann wiedział jednak zbyt dobrze, czym grozi — czym grozi szczególnie jemu, naturze impulsywnej i podatnej na wszelkie wmówienia — poddanie się presji choroby. Wyjechał z Davos jak najprędzej i swoje wrażenia zamknął w szkicu noweli, której bohaterem zostać miał młody i obdarzony niezbyt skomplikowanym życiem wewnętrznym Niemiec, przezywający w szwajcarskim sanatorium swoje pierwsze spotkania ze światem choroby. Daty pozwalają oznaczyć się ze skrajną dokładnością: od 15 maja do 13 czerwca 1913 roku pobyt w Davos, począwszy od pierwszych dni lipca tego roku — wstępne prace nad nowelą, później, z właściwą Mannowi dokładnością, praca nad początkowymi jej fragmentami. Trwała ona do 1915 roku.

Wojna, „Rozważania człowieka apolitycznego”, rozmaite kłopoty codzienne i potrzeba ucieczki od nich, która objawiła się w dwóch napisanych tuż po roku

1918 idyllach — wszystko to zaabsorbowało uwagę pisarza na tyle, że dopiero po 5 latach wrócił do zakłętą kręgu sanatorium Berghof. Teraz jednak temat zatrzymał go aż na kilka lat. W okresie wojny wiele się przecież zmieniło, wiele wymagało ponownego przemyślenia, ciężar intelektualny, jaki powieść musiała udźwignąć, powiększył się o cały blok „Rozważań człowieka apolitycznego”, kontrowersję z bratem, wreszcie i o polityczne perspektywy pierwszych lat powojennych. Mann pragnął bowiem, by „Czarodziejska góra” stała się nie tylko diagnozą wystawioną pośmiertnie minionej epoki, ale przede wszystkim, by — analizując intelektualny plon czasu przeszłego — wskazywała naprzód, w rozpoczynające się właśnie lata dwudzieste. Stąd może trudno związać jego powieść z jakimś konkretnym przedziałem chronologii. To prawda, że kończy ją wybuch I wojny światowej, jest to jednak manewr pozorny, gdyż — jak przyznał sam autor — wydarzenie to mogłoby równie dobrze otwierać akcję, otwierać ją w sensie myślowym. Powieść krąży jedynie po pierwszych dwóch dekadach XX wieku, w żadnej z nich nie znajdując sobie stałego miejsca i żadnej nie uznając za swój początek.

Jest to zresztą i pod innymi względami powieść nietypowa. Czytelnika przyzwyczajonego do śledzenia wątków fabularnych znużyć może fakt, że tak niewiele się w niej dzieje: rozmowy, spacerunki i przede wszystkim olbrzymie rozważania esejistyczne zajmują miejsce wydarzeń, intrygi czy akcji. To jednak tylko pozór, akcja „Czarodziejskiej góry” jest bowiem bardzo żywa, tyle że nie można uchwycić jej w kategoriach ruchu, zmiany planów i fizycznych konfliktów między ludźmi. Tutaj wszystko dzieje się „wewnątrz”, intryga rozgrywa się na płaszczyźnie intelektualnej, przeciwko sobie występują nie osoby, ale idee, a napięcie, jakie — trudno zaprzeczyć — rodzi ich konfrontacja, bierze się stąd, że ścierają się ze sobą światopoglądy sprzeczne, niepojednywalne, a przecież, mimo to, wywodzące się wciąż z tej samej epoki, tego samego czasu, więcej nawet — reprezentowane w pewnym sensie przez tego samego człowieka.

Radykalizm i libertynizm, kult śmierci i kult życia, romantyzm i oświecenie — raz jeszcze powraca tu cały system pojęć, na którego fundamencie zbudowane zostały „Rozważania człowieka apolitycznego”, więcej nawet — cała wcześniejsza twórczość Tomasza Manna. W „Czarodziejskiej górze” postawy te znajdują swoich reprezentantów, swoje, by tak powiedzieć, ucieleśnienia, w postaciach kolejnych nauczycieli Hansa Castorpa — młodego Niemca, który nie przypadkiem chyba przybywa do Berghofu z miasta podobnego do Lubeki, z tych samych niemal warunków życiowych, jakie stanowiły i o początkach artystycznego rozwoju Tomasza Manna. Czy zatem ta droga do Berghofu jest jedynie zakamuflowaną intelektualną autobiografią? Byłaby to hipoteza zbyt śmiała. Tomasz Mann nie napisał

wprawdzie przez całe swoje życie nic, co nie opierałoby się w jakiś sposób na jego własnych doświadczeniach, zarazem jednak nie można też w jego twórczości — wyjąwszy okolicznościowe szkice — znaleźć najmniejszego choćby utworu beletrystycznego, który opierałby się wyłącznie na tej najbardziej osobistej, a tym samym najbardziej hermetycznej sferze przeżycia. Pisał o innych, wykorzystując jedynie swój los, przyznając się do własnych pomyłek i — to także — szczycąc się własną mądrością. Tak też chyba pojmować należy wszystkie polemiki i spory, jakie toczą się w „Czarodziejskiej górze”. Mann dotarł do Berghofu własną drogą, nie bez błędzenia i zagłębiania się w ślepe zaułki, i opis tej marszruty starał się oddać możliwie wiernie, zarazem jednak, z wysokości „Czarodziejskiej góry”, widział wyraźnie, jak wiele mogło prowadzić do niej dróg, a nie chciał i nie mógł wierzyć, że ta, którą wybrał, była jedyną słuszną. Ważna była tylko edukacja, jaką odebrał Hans Castorp w świątyni choroby, gdyż ona właśnie — poprzez ukazanie mu możliwości łagodzenia przeciwieństw, przez świadomość, że człowiek jest ostatecznie pojęciem najbardziej dumnym, wskazywała drogę w dół, drogę do zdrowia.

*Marek Wydmuch*

## Spis treści

### ROZDZIAŁ SZÓSTY

Zmiany.....	2
Jeszcze ktoś.....	24
O Państwie Bożym i złym zbawieniu.....	44
Wściekłość i jeszcze coś bardzo przykrego.....	68
Odparty atak.....	81
Operationes spirituales.....	95
Śnieg.....	122
Po żołniersku i mężnie.....	151

### ROZDZIAŁ SIÓDMY

Przechadzka po wybrzeżu.....	194
Mynheer Peeperkorn.....	201
Vingt-et-un.....	209
Mynheer Peeperkorn (dalszy ciąg).....	227
Mynheer Peeperkorn (dokończenie).....	267
Wielkie otępienie.....	279
Pełnia harmonii.....	289
Sprawy najbardziej zagadkowe.....	307
Wielkie rozdrażnienie.....	334
Grom.....	359
Droga do Berghofu.....	369